JOHN IRVING

MODLITWA ZA OWENA

Prószyński i S-ka

POLECAMY

CZWARTA RĘKA

JEDNOROCZNA WDOWA

MAŁŻEŃSTWO WAGI PÓŁŚREDNIEJ

METODA WODNA

MOJE FILMOWE PERYPETIE. PAMIĘTNIK

RATOWAĆ PROŚKA

REGULAMIN TŁOCZNI WIN

SYN CYRKU

UWOLNIĆ NIEDŹWIEDZIE

WYMYŚLONA DZIEWCZYNA

ZANIM CIĘ ZNAJDĘ

OSTATNIA NOC W TWISTED RIVER

W JEDNEJ OSOBIE

ŚWIAT WEDŁUG GARPA

ALEJA TAJEMNIC

HOTEL NEW HAMPSHIRE

JOHN IRVING

Modlitwa za Owena

Przełożyli
Magdalena Iwińska
i Piotr Paszkiewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
A PRAYER FOR OWEN MEANY

Copyright © 1989 by Garp Enterprises, Ltd.
All rights reserved

Projekt okładki
Joanna Strękowska

Zdjęcie na okładce
© Tetra images/Getty Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Janina Rogalska-Koźbiel

Korekta
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8097-606-1

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Colinowi i Brendanowi

PODZIĘKOWANIA

Autor wiele zawdzięcza pracy pod tytułem „Historia miasta Exeter w New Hampshire” (Boston, 1988) pióra Charlesa H. Bella oraz książce „Akademia Phillips Exeter w New Hampshire: szkic historyczny” (Exeter, N.H., 1983) tegoż autora; z tych właśnie źródeł pochodzą wszystkie wzmianki dotyczące „Historii Gravesend” Walla. Kolejnym niezwykle ważnym źródłem informacji był dla mnie „Almanach wojny w Wietnamie” (Nowy Jork, 1985) autorstwa Harry’ego G. Summersa, Jr. Chciałbym również serdecznie podziękować pułkownikowi Summersowi za jego niezwykle cenną korespondencję. Wielką pomoc okazała mi także wielebna Ann E. Tottenham, dyrektorka szkoły Biskupa Strachana. Jestem jej ogromnie wdzięczny za uwagę, z jaką czytała rękopis. Muszę jednocześnie wyrazić swoją wdzięczność uczennicom oraz pracownikom tejże szkoły; wielokrotnie okazywali mi swą cierpliwość i nie szczędzili czasu. Mam też głęboki dług wdzięczności wobec pracy „Twój głos” autorstwa Roberta Lawrence’a Weera (New York, 1977) – jej korekty i redakcji dokonał Keith Davis. Pan Davis, wielce zasłużony i szanowany nauczyciel śpiewu i solfeżu, okazał ogromną cierpliwość, znosząc moje amatorskie próby „nauki oddychania”. Rady udzielane przez bohatera mej książki „Grahama McSwineya” zawdzięczam *verbatim et literatim* panu Weerowi. Jestem niezwykle wdzięczny panu Davisowi, że wprowadził mnie w temat. Muszę podkreślić, jak wielkim jestem dłużnikiem książek mojego byłego nauczyciela Fredericka Buechnera: chodzi zwłaszcza o „Wielką przegraną” (Nowy Jork, 1977), „Głodną ciemność” (Nowy Jork: Harper & Row, 1969), a także „Alfabet łaski” (Nowy Jork, 1970). Ogromne znaczenie miała dla mnie korespondencja wielebnego Buechnera, jego uwagi na temat rękopisu oraz wytrwałość jego

zachęty – dziękuję ci, Fred. Mam również ogromny dług wdzięczności wobec dr. Hasa E. Bickela („Kapitana”), mistrza granitowego, płk. Charlesa C. Krulaka („Brutala”) oraz Rona Hansena eskortującego ciała. Dziękuję też i wam, Bayardzie i Curcie, moi drodzy kuzyni z Północy.

O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem.
List świętego Pawła do Filipian

To całkiem poważny problem, że nie mogę sobie właściwie wyobrazić autentycznego, unaoczniającego swoją autentyczność religijnego doświadczenia. Czy Bóg mógłby, nie niszcząc mnie przy tym, ujawnić mi się w taki sposób, który nie zostawia miejsca na wątpliwości? Gdyby nie było miejsca na wątpliwości, zabrakłoby miejsca dla mnie.
Frederick Buechner

Każdy chrześcijanin, który nie jest bohaterem, jest świnią.
Leon Bloy

KIKS

Do końca życia będę pamiętał chłopca o ochrypłym głosie – nie dlatego, że miał taki właśnie głos, ani dlatego, że był najmniejszy w klasie, ani nawet dlatego, że przyczynił się do śmierci mojej matki, ale z tego powodu, iż dzięki niemu wierzę w Boga. Jestem chrześcijaninem tylko za sprawą Owena Meany'ego. Nie zamierzam mówić, że żyję w Chrystusie czy nawet z Chrystusem, a już na pewno nie dla Chrystusa, jak twierdzą niektórzy gorliwcy. Nie znam zbyt dobrze Starego Testamentu, a do Nowego nie zaglądałem od czasu szkółki niedzielnej; tylko kiedy bywam w kościele, słyszę czytane na głos fragmenty. Może lepiej znam ustępy z Biblii, które mogę znaleźć w modlitewniku. Do modlitewnika sięgam dość często, z Biblią mam do czynienia jedynie przy okazji świąt. Modlitewnik jest lepiej uporządkowany.

Do kościoła – co mogę z czystym sumieniem stwierdzić – zawsze chodziłem dość regularnie. Kiedyś należałem do Kościoła kongregacjonalistów – w nim zostałem ochrzczony – a po kilku latach bliższych kontaktów z członkami Kościoła episkopalnego, w tej właśnie wierze przyjąłem bierzmowanie; moja religia stała się bliżej nie określona. Jako nastolatek chodziłem do kościoła, który trudno byłoby zdefiniować. Wreszcie zostałem anglikaninem. Od dwudziestu już lat, od kiedy wyjechałem ze Stanów, należę do Anglikańskiego Kościoła Kanady. Anglikanizm ma wiele wspólnego z Kościołem episkopalnym; tak dalece, że w czasie nabożeństwa w kościele anglikańskim zastanawiam się czasami, czy przypadkiem znowu nie wróciłem na łono Kościoła episkopalnego. Ale nie, raz na zawsze rozstałem się z krajem oraz z Kościołem kongregacjonalistów i episkopalnym.

Gdy umrę, chcę, żeby pochowano mnie w New Hampshire obok matki, ale wszelkie uroczystości religijne mają odbyć się w kościele anglikańskim, zanim moje ciało zostanie narażone na uwłaczającą konieczność przeszmuglowania przez amerykańską kontrolę celną. Wybrane przeze mnie na tę okazję hymny są dość konwencjonalne i można je znaleźć w porządku, w jakim mają być odczytane – lecz nie śpiewane – w modlitewniku. Prawie wszyscy moi przyjaciele znają ten urywek ze świętego Jana, zaczynający się od słów: *Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we mnie wierzy, ma życie wieczne*. I jeszcze to: *W domu mego ojca jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, tobym wam powiedział*. Zawsze podobała mi się szczerość płynąca z tego oto fragmentu Tymoteusza: *Nie przynieśliśmy nic na ten świat i z pewnością nic z niego nie zabierzemy*. Chciałbym, żeby było to anglikańskie nabożeństwo oparte na modlitwach z modlitewnika, a coś takiego przyprawi o lekki dreszcz moich byłych współwyznawców z Kościoła kongregacjonalistów. Jestem teraz anglikaninem i jako anglikanin zamierzam umrzeć. Co prawda, zdarza mi się czasami opuścić niedzielne nabożeństwo. Nie twierdzę, że uważam się za wyjątkowo pobożnego. Moja nieco chwiejna wiara potrzebuje cotygodniowego zastrzyku. Całą swoją wiarę zawdzięczam Owenowi – chłopcu, z którym się wychowałem i który uczynił ze mnie człowieka wierzącego.

W szkółce niedzielnej wymyśliliśmy sobie zabawę kosztem Owena Meany'ego; był taki niziutki! Mało, że nogami nie sięgał podłogi; kolana nie dochodziły mu do krawędzi ławki, a więc kiedy siedział na krześle, musiał trzymać nogi wyprostowane do przodu jak lalka. Wyglądało to tak, jakby Owen Meany urodził się bez stawów.

Owen był taki malutki, że uwielbialiśmy go podnosić. Nie mogliśmy wręcz oprzeć się tej pokusie. Był lekki jak piórko. W zasadzie to dziwne, bo rodzina Owena trudniła się eksploatacją granitu. Kamieniołomy Granitu Rodziny Meanych zajmowały olbrzymi teren. Maszyny do odstrzeliwania i cięcia granitowych brył były ciężkie i groźne, a sam granit taki surowy i twardy! Ale jedyny widoczny związek Owena z kamieniołomami stanowił pył skalny – szary proszek, który wysypywał mu się z ubrania, kiedy go podnosiliśmy.

Chłopiec miał karnację koloru płyty nagrobnej – jego skóra, tak jak perła, odbijała i jednocześnie pochłaniała światło. Czasami wydawał się przezroczysty, zwłaszcza na skroniach, gdzie niebieskie żyłki przeświecały przez skórę (to obok niezwykle małego wzrostu kolejny dowód na to, że był wcześniakiem).

Miał jakiś niedorozwój strun głosowych albo też stracił głos na skutek wszechobecnego pyłu skalnego. Przyczyną mogło być także uszkodzenie krtani bądź tchawicy. A może uderzył go kiedyś w szyję odłamek skały. Owen musiał krzyczeć nosowym głosem, żeby go w ogóle usłyszano.

Wszyscy jednak bardzo go lubiliśmy; dziewczyny wołały na niego „laleczka", ale on czym prędzej wtedy uciekał od nich i od nas.

Nie pamiętam już, jak się zaczęła ta zabawa z podnoszeniem Owena. Było to w kościele episkopalnym pod wezwaniem Chrystusa w Gravesend w New Hampshire. Nasza nauczycielka, wiecznie znużona kobieta o nieszczęśliwym wyrazie twarzy, nazywała się Walker. To nazwisko[1] nawet do niej pasowało, ponieważ jej metoda nauczania w dużej mierze polegała na wychodzeniu z klasy. Pani Walker zaczynała od odczytania pouczającego fragmentu z Biblii. Potem prosiła, abyśmy się poważnie zastanowili nad tym, co usłyszeliśmy. „Macie myśleć w ciszy i skupieniu – mówiła. – Teraz zostawię was samych z waszymi myślami – oznajmiała złowieszczo, tak jakby nasze myśli mogły nas wyprowadzić z równowagi. – Chciałabym, żebyście się nad tym bardzo głęboko zastanowili". Po tych słowach wychodziła z klasy. Przypuszczam, że dużo paliła, a nie mogła sobie pozwolić na palenie w naszej obecności. „Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę".

Zanim wróciła, zdążyliśmy już zapomnieć, o czym czytała, ponieważ gdy tylko zamykały się za nią drzwi, zaczynaliśmy wariować. Wcale nie bawiły nas samotne rozważania, podnosiliśmy więc Owena i ponad głowami przesyłaliśmy go sobie w przód i w tył. Udawało nam się to bez wstawania z miejsc, na tym zresztą polegała cała zabawa. Ktoś tam podnosił się w ławce – już nie pamiętam kto – chwytał Owena, siadał z powrotem i przekazywał go następnej osobie i tak dalej. Dziewczyny też brały w tym udział, niektórym

nawet się to okropnie podobało. Każdy potrafił udźwignąć Owena. Byliśmy bardzo ostrożni – ani razu go nie upuściliśmy. Może tylko trochę gniotła mu się przy tym koszula. Czasami rozwiązywał się krawat; miał tak długi krawat, że musiał go wsuwać za pasek, bo inaczej sięgałby mu do kolan. Niekiedy drobne wypadały Owenowi z kieszeni prosto na nasze twarze. Pieniądze zawsze oddawaliśmy właścicielowi.

Czasami wypadały i karty baseballowe, jeśli je miał przy sobie. Bardzo się wtedy złościł. Musiał trzymać karty w porządku alfabetycznym albo jakoś inaczej je układał, na przykład wszystkich polowych razem. Nie mieliśmy pojęcia o systemie, który sobie wypracował, ale z pewnością jakiś porządek istniał, bo kiedy pani Walker wracała do klasy, a Owen na swoje miejsce, my zaś pooddawaliśmy mu już wszystkie drobniaki i karty, siedział wściekły, porządkując je z zaciętą miną.

Nie grał za dobrze w baseball, ale miał bardzo małą strefę strajku, więc często go wykorzystywaliśmy; nie dlatego, że potrafił porządnie uderzyć piłkę (właściwie to nawet zakazywaliśmy mu w ogóle próbować), ale dlatego, że mógł zarobić bazę darmo. Kiedy graliśmy w Małej Lidze, często odmawiał, a raz nawet oświadczył, że nie będzie rzucał, o ile nie pozwolimy mu odbić piłki. Ale nie było dostatecznie małego kija, który by nie pociągnął go za sobą; takiego, co by go nie walił po plecach i nie wyrzucał z bazy nosem do ziemi. Więc po upokarzającej scenie, kilkakrotnie usiłując odbić piłkę, Owen Meany nie trafił w nią i na dodatek się przewrócił. Decydował się na następującą formę upokorzenia: kucał bez ruchu na bazie domowej, gdy miotacz celował w jego strefę strajku, nigdy właściwie nie trafiając.

Owen w każdym razie uwielbiał swoje karty baseballowe i z jakichś niezrozumiałych powodów uwielbiał też samą grę, mimo że była dla niego taka okrutna. Przeciwnicy próbowali go zastraszyć. Mówili, że jeśli nie odbije ich piłek, walną w niego. „Masz głowę większą niż strefa strajku” – powiedział mu jeden z miotaczy. Więc Owen Meany już po uderzeniu piłką biegł do pierwszej bazy.

W grze między bazami był prawdziwą gwiazdą. Nikt nie umiał tak obiec baz jak Owen. Jeśli nasza drużyna potrafiła się utrzymać

dostatecznie długo w ataku, Owen Meany mógł ukraść bazę domową. Wykorzystywaliśmy go w ostatnich zmianach. Meany był dobry w ataku; nazywaliśmy go Meany spryciulka. W obronie był jednak beznadziejny – bał się piłki, zamykał oczy, kiedy się do niego zbliżała, a jeśli jakimś cudem udawało mu się ją złapać, nie potrafił jej odrzucić – miał za małą dłoń. Skarżył się przy tym w taki dziwaczny sposób! Gdy użalał się nad sobą, miał tak nietypowy głos, że udawało mu się wzbudzać w słuchających sympatię.

Kiedy w szkółce niedzielnej trzymaliśmy Owena w górze – zwłaszcza wysoko w górze – śmiesznie protestował! O ile sobie przypominam, nawet specjalnie go dręczyliśmy, żeby tylko usłyszeć jego głos. Czasami mi się wydawało, że ten głos należy do istoty z innej planety. Teraz jestem całkowicie przekonany, że był to głos nie z tego świata.

– Puśćcie mnie! – krzyczał Owen zduszonym, ale donośnym falsetem. – Dosyć tego! Wystarczy! Puśćcie mnie, dupki!

A myśmy go po prostu podawali dalej. Za każdym razem podchodził do tej zabawy z coraz większą rezygnacją. Robił się sztywny, już nie walczył. Uniesiony do góry, prowokacyjnie krzyżował ramiona na piersiach i patrzył groźnie w sufit. Czasami łapał za krzesło już w momencie, kiedy pani Walker wychodziła z klasy. Trzymał się go kurczowo jak ptaszek w klatce, który wczepia się w swój drążek, ale łatwo go było oderwać, bo miał łaskotki. Szczególnie zręcznie robiła to niejaka Sukey Swift. Wystarczyło, żeby go dotknęła – wyrzucał ramiona i nogi w górę i bez oporu dawał się podnieść.

– Tylko bez łaskotania! – ostrzegał, ale to my ustalaliśmy reguły gry. Nigdy nie słuchaliśmy przy tym Owena.

Pani Walker wracała w końcu do klasy, zastając go w górze. Jeśli stosowała biblijną wykładnię swego polecenia, byśmy „myśleli bardzo głęboko", może wydawało się jej, że jakąś nadzwyczajną mocą naszego wspólnego wysiłku umysłowego udało nam się doprowadzić Owena Meany'ego do lewitacji. Może sądziła, że Owen unosił się ku niebiosom w rezultacie pozostawienia nas sam na sam z naszymi myślami.

Reagowała jednak zawsze tak samo – brutalnie, bez krzty wyobraźni, jak ostatnia tępaczka.

– Owen! – wrzeszczała. – Owen Meany, wracaj natychmiast na miejsce! Złaź stamtąd!

Czego pani Walker mogła nas nauczyć o Biblii, skoro była na tyle głupia, by uważać, że Owen Meany sam wzniósł się do góry?

Owen zachowywał się w takiej sytuacji z niezwykłą godnością. Nigdy nie mówił: „To oni! Oni zawsze tak! Podnoszą mnie do góry, rozrzucają mi pieniądze, robią bałagan w moich kartach baseballowych i nigdy mnie nie spuszczają na ziemię, kiedy ich o to proszę. A co pani myśli, że zacząłem fruwać?".

Chociaż Owen często się wobec nas uskarżał, nigdy nie skarżył na nas. Czasami udawało mu się zachować stoicki spokój, kiedy był w górze, ale spokoju tego nigdy nie tracił, gdy pani Walker zarzucała mu, że zachowuje się jak dziecko. Ani razu się na nas nie poskarżył. Nie był donosicielem. Owen Meany był ilustracją męczeństwa, prawie równie wymowną, jak niektóre historyjki z Biblii. Prawdziwy męczennik.

Tak, jakby nie żywił do nas żadnej urazy. I chociaż najbardziej wyrafinowane formy dokuczania zostawialiśmy na niedzielę, unosiliśmy Owena w górę także przy innych okazjach, o wiele bardziej spontanicznie. Któregoś dnia został powieszony za kołnierz na wieszaku w sali konferencyjnej. Nawet wtedy nie walczył – wisiał cicho i czekał, aż go zdejmą. Kiedy indziej po gimnastyce ktoś go powiesił na wieszaku w szafce i zamknął w środku.

– To wcale nie jest śmieszne! Wcale! – krzyczał tak długo, aż przyznano mu rację i uwolniono od towarzystwa gatek gimnastycznych nie większych od procy.

Skąd mógłbym wtedy wiedzieć, że Owen jest bohaterem?

Zacznijmy jednak od tego, że nazywam się Wheelwright, a Wheelwrightowie w naszym mieście bardzo się liczyli. Wheelwrightowie nie czuli zbytniej sympatii do Meanych. Nasza rodzina była matriarchalna, ponieważ dziadek zmarł bardzo młodo i zostawił babkę samą, ale poradziła sobie pierwszorzędnie.

Ze strony babki (nazywała się z domu Bates, a jej rodzina przypłynęła do Ameryki na „Mayflower") jestem potomkiem Johna Adamsa. Jednakże w naszym miasteczku większym poważaniem cieszyło się nazwisko dziadka, a babka obnosiła się z nim z taką pewnością siebie, jakby sama pochodziła z Wheelwrightów, a oprócz tego była i Adams, i Bates.

Miała na imię Harriet, ale prawie wszyscy zwracali się do niej pani Wheelwright, a już na pewno wszyscy z rodziny Owena Meany'ego. Mam wrażenie, że babce nazwisko Meany kojarzyło się nieodmiennie z George'em Meanym – robotnikiem palącym cygara. Połączenie związków zawodowych z cygarami niezbyt odpowiadało Harriet Wheelwright. (O ile wiem, George Meany nie był krewnym żadnego Meany'ego z naszego miasteczka).

Wychowałem się w Gravesend w New Hampshire. Nie było tam żadnych związków zawodowych. Kilku palaczy cygar, ale ani jednego związkowca. Miasteczko, w którym się urodziłem, zostało zakupione od wodza indiańskiego w roku 1638 przez wielebnego Johna Wheelwrighta; nazwano mnie właśnie na jego cześć. W Nowej Anglii wodzów indiańskich i starszyznę nazywało się „sagamore'ami", ale kiedy ja byłem chłopcem, jedynym Sagamore, jakiego znałem, był pies myśliwski – suka sąsiadów – który tak właśnie się wabił. (Nie przypuszczam, żeby miało to jakiś związek z indiańskimi przodkami suki – wynikało raczej z ignorancji właścicieli.) Pan Fish, właściciel Sagamore i zarazem nasz sąsiad, powtarzał mi, że suka zawdzięcza swe imię nazwie jeziora, w którym kąpał się w lecie, „gdy był chłopcem". Tak twierdził pan Fish. Biedaczek. Nie miał pojęcia, że słowo to oznacza indiańskiego wodza bądź starszyznę, a nazwanie głupiego labradora Sagamore z pewnością może kogoś śmiertelnie obrazić. I tak też się stało.

Amerykanie jednak nie są zbyt mocni w historii, więc przez wiele lat – dzięki informacjom sąsiada – żyłem w przekonaniu, że „sagamore" to indiańskie słowo na określenie jeziora. Psi Sagamore zginął pod kołami ciężarówki z pieluszkami i dzisiaj mam wrażenie, że za ten wypadek odpowiedzialność ponoszą bogowie niespokojnych wód obrzucanego obelgami jeziora. Historia byłaby znacznie zabawniejsza, gdyby to pan Fish, a nie jego suka, został

przejechany przez ciężarówkę wyładowaną pieluszkami. Wszelkie jednak rozważania na temat bogów, jakichkolwiek bogów, sprowadzają się do opowieści o zemście na niewinnych. (Takie jest moje zdanie, choć często spotykam się z ostrym sprzeciwem znajomych z Kościołów kongregacjonalistycznego, episkopalnego i anglikańskiego).

Wracając zaś do mojego przodka Johna Wheelwrighta… Wylądował on w Bostonie w roku 1636 i dwa lata później dosłownie wykupił nasze miasteczko. Pochodził z wioski Saleby z Lincolnshire w Anglii i nikt właściwie nie wie, dlaczego nazwał je Gravesend. Z pewnością nie miał żadnych powiązań z brytyjskim Gravesend; choć niewątpliwie stamtąd pochodziła inspiracja nazwy. Wheelwright był absolwentem Cambridge – grał w piłkę nożną z Oliverem Cromwellem, który Wheelwrighta (jako zawodnika) tyleż wielbił, co uważał za idiotę. Oliver Cromwell był przekonany, że Wheelwright gra złośliwie i nieczysto i że doszedł do perfekcji w stosowaniu triku polegającego na obaleniu przeciwnika, a potem przewróceniu się na niego. Gravesend (to angielskie) znajduje się w Kent – dość daleko od boiska Wheelwrighta. Może mieszkał tam jakiś jego przyjaciel, może był to przyjaciel, który wraz z nim zamierzał wyruszyć do Ameryki, ale nie udało mu się wyjechać z Anglii; albo zmarł w drodze?

Jak czytamy w napisanej przez Walla „Historii Gravesend", wielebny John Wheelwright był dobrym kapłanem Kościoła anglikańskiego aż do czasu, kiedy zaczął „kwestionować znaczenie pewnych dogmatów". Został purytaninem i potem już władze kościelne zabroniły mu nauczać z powodu „odstępstwa od doktryny". Mam wrażenie, że swoje kłopoty z religią oraz upór zawdzięczam mojemu przodkowi, który spotkał się z krytyką Kościoła anglikańskiego nie tylko, zanim wyruszył do Nowego Świata. Tuż po przyjeździe do Ameryki popadł w konflikt ze swoimi współwyznawcami w Bostonie. Wielebny Wheelwright wraz z osławioną panią Hutchinson został wygnany z Kolonii Zatoki Massachusetts z powodu zakłócania „spokoju publicznego". Tak naprawdę to nie powiedział nic wywrotowego, tylko sformułował nieortodoksyjną opinię na temat pozycji Ducha Świętego, w Massachusetts jednak oceniono go

bardzo surowo. Odebrano mu broń. Następnie wraz z rodziną oraz kilkoma dzielnymi zwolennikami popłynął na północ od Bostonu w kierunku Wielkiej Zatoki. Aby tam dotrzeć, musiał najpierw minąć duże, wcześniej założone placówki New Hampshire – to, co nazywano wtedy Strawbery Banke u ujścia Pascataqua (obecnie Portsmouth) – a także osadę w Dover.

Wheelwright ruszył z Wielkiej Zatoki wzdłuż rzeki Squamscott. Dotarł aż do wodospadu, gdzie słodka woda zlewa się ze słoną. Ostępy leśne musiały wtedy być gęste. Indianie pewnie nauczyli go łowić ryby. Według „Historii Gravesend" Walla biegły tamtędy „trawiaste ścieżki" oraz znajdowały się w owych okolicach „bagna, do których docierały wody przypływu".

Miejscowy wódz nazywał się Watahantowet. Zamiast podpisu odcisnął na dokumencie znak swego totemu – bezrękiego człowieka. Później doszło do niezbyt interesujących dyskusji na temat indiańskiego dokumentu, a także ciekawszych rozważań, dlaczego totemem Watahantoweta jest bezręki człowiek. Jedni uważali, że postać ta symbolizuje stan ducha wodza, który oddając ziemię, czuje się, jakby ucinano mu rękę, inni twierdzili, że wcześniejsze „znaki" wodza przedstawiają wprawdzie postać bez rąk, lecz z piórem w ustach. Miało to podobno wyrażać frustrację Watahantoweta z powodu tego, że nie potrafi pisać. Jednakże w kilku innych wersjach totemu przypisywanego Watahantowetowi postać ma tomahawk w ustach i niesamowicie dziki wyraz twarzy. Kiedy indziej wykonuje gest pokoju – mimo że bez rąk i z tomahawkiem w ustach. Wszystko razem, być może, oznacza, że Watahantowet nie walczy. Jeśli zaś chodzi o omawiany dokument, możecie być pewni, że to nie Indianie odnosili korzyści wynikające z różnicy zdań w tej kwestii.

A jeszcze później miasto nasze zaczęło podlegać władzom Massachusetts, co być może wyjaśni, dlaczego ludność Gravesend po dziś dzień nienawidzi mieszkańców Massachusetts. Pan Wheelwright przeprowadził się do Maine. Stuknęła mu już osiemdziesiątka, kiedy przemawiał w Harvardzie, apelując o wsparcie finansowe na odbudowę części college'u zniszczonego przez pożar, czym dowiódł, że miał z mieszkańcami Massachusetts znacznie mniej na pieńku niż

obywatele Gravesend. W wieku lat dziewięćdziesięciu Wheelwright zmarł w Salisbury jako duchowy przywódca miejscowej wspólnoty religijnej.

Przyjrzyjmy się teraz liście nazwisk założycieli Gravesend – nie znajdziemy wśród nich żadnego Meany'ego:

Barlowe
Blackwell
Cole
Copeland
Crawley
Dearborn
Hilton
Hutchinson
Littlefield
Read
Rishworth
Smart
Smith
Walkner
Wardell
Wentworth
Wheelwright

Matka nigdy nie zrezygnowała ze swego panieńskiego nazwiska, ale chyba nie tylko dlatego, że nazywała się Wheelwright. Miała poczucie dumy niezależnie od dziedzictwa rodziny. Wydaje mi się, że zachowałaby swoje nazwisko panieńskie, nawet gdyby była z domu Meany. A mnie w tamtych czasach nie spotykały żadne przykrości z tego powodu, że nazywałem się tak jak ona. Byłem małym Johnnym Wheelwrightem, wychowującym się bez ojca, i wcale mi to wtedy nie przeszkadzało. Nigdy nie narzekałem. Nie opuszczało mnie przekonanie, że któregoś dnia matka opowie mi wszystko – kiedy będę już na tyle duży, aby zrozumieć. Najwyraźniej była to historia, do której trzeba dorosnąć. I dopiero gdy umarła, nie zdradziwszy ani

słowem swojej opinii na temat mojego ojca, poczułem się oszukany, pozbawiony informacji, która mi się należała. Dopiero po śmierci matki poczułem, że jestem na nią odrobinę zły. Czy to nie egoizm z jej strony, że nie powiedziała mi nic na jego temat? Nawet jeśli tożsamość mojego ojca i związana z nim opowieść były dla matki bolesne, nawet jeśli historia ta kryła coś, co mogłoby postawić obydwoje rodziców w niekorzystnym świetle.

Naturalnie – jak Owen Meany słusznie zauważył – miałem tylko jedenaście lat, kiedy moja zaledwie trzydziestoletnia matka umarła. Pewnie jej się wydawało, że zdąży mi wszystko opowiedzieć. Zdaniem Owena Meany, matka wcale nie przeczuwała, że niedługo umrze.

Rzucaliśmy z Owenem kamienie do rzeki Squamscott – słonej rzeki przynoszącej wody przypływu. Właściwie powinienem powiedzieć, że to ja rzucałem kamienie, bo kamienie Owena lądowały w mule; był właśnie odpływ i woda znajdowała się zdecydowanie za daleko jak na jego słabe i wątłe ręce. Nasze kamienie przeszkadzały polującym na śledzie mewom, które dziobały w błocie po drugiej stronie Squamscott porośniętym podmokłą trawą.

Był gorący, parny, letni dzień. Przesiąknięta solą woń moczarów podczas odpływu była wyjątkowo silna. Owen Meany twierdził, że ojciec dowie się o śmierci matki i że kiedy będę już dorosły – odnajdzie mnie i powie, że to on jest moim tatą.

– Jeśli nadal żyje – odrzekłem, nie przestając rzucać kamieniami. – Jeśli nadal żyje i w ogóle obchodzi go to, że jest moim ojcem.

I chociaż tego dnia mu nie uwierzyłem, właśnie wtedy Owen Meany rozpoczął swoje pracowite dzieło, które doprowadziło mnie do wiary w Boga. Owen rzucał coraz mniejsze kamienie, ale nadal nie wpadały do wody. Z pewnością mógł odczuwać drobne zadowolenie, słysząc plusk kamienia lądującego na mulistym brzegu, ale zdecydowanie bardziej wolałby plusk wody. I tak zupełnie od niechcenia, z przekonaniem, które zaskakująco kontrastowało z jego drobną postacią, Owen Meany oświadczył mi, że nie ma najmniejszej wątpliwości, iż mój ojciec żyje i wie, że jest moim ojcem, i że Bóg wie, kto jest moim ojcem. Nawet jeśli ojciec nigdy nie ujawni się mnie, Bóg mi objawi, kto nim jest, oświadczył Meany.

„Może ty nie będziesz znał swojego ojca, ale on nie ukryje się przed Bogiem”, zapewnił.

I po tym oświadczeniu odchrząknął, rzucając kamień, który wreszcie, niespodziewanie dla nas obu, doleciał do wody. Tego dnia nie rzuciliśmy już ani jednego kamienia. Staliśmy zapatrzeni w rozszerzające się na powierzchni rzeki kręgi, aż do chwili kiedy nawet mewy nabrały pewności, że już im nie będziemy przeszkadzać, i wróciły na nasz brzeg Squamscott.

Przez lata całe w naszej rzece łowiono wspaniałe łososie i nie było mowy o tym, żeby trafił się jakiś śnięty. Odwrotnie niż dzisiaj. Kiedyś było tu także w bród śledzi. Nawet jeszcze wtedy, gdy byliśmy z Owenem mali. Łowiliśmy je. Gravesend jest oddalone od oceanu dosłownie o dziewięć mil. I chociaż Squamscott nigdy nie była Tamizą, dawno temu wielkie transatlantyki docierały do Gravesend. Od tamtej jednak pory w rzece zaczęły zalegać pokłady skał i zwały piasku, tak więc żaden statek o większej wyporności nie mógł tędy przepłynąć. I chociaż ukochana kapitana Smitha Pocahontas zakończyła swą ziemską wędrówkę w ziemi brytyjskiej na cmentarzu parafialnym prawdziwego Gravesend, Watahantowet, pozbawiony duchowego ramienia, nigdy nie został pochowany w naszym Gravesend. Jedynym Sagamore, któremu w naszej osadzie sprawiono oficjalny pogrzeb, był czarny labrador pana Fisha, przejechany na Front Street przez ciężarówkę z pieluchami. Psa pogrzebano w rozarium mojej babki z wszelkimi honorami, jakie oddały mu dzieci z sąsiedztwa.

Przez prawie sto lat w Gravesend żyło się głównie z produkcji materiałów budowlanych – to najwcześniejszy i najważniejszy zarazem przemysł w New Hampshire. I chociaż New Hampshire określa się jako stan granitu – granitu używanego w budownictwie, do nawierzchni dróg i na nagrobki – to granit zajmował drugie miejsce po drewnie. Właściwie kiedy wycięło się już całe drewno, pozostawały jeszcze skały, ale granit znajdował się przede wszystkim pod ziemią.

Mój wuj – wuj Alfred – zajmował się drewnem. Pracował w Przedsiębiorstwie Obróbki Drewna Eastmanów. Ożenił się z siostrą mojej matki, ciotką Martą Wheelwright. Pamiętam, że kiedy jako mały chłopiec jeździłem odwiedzić swoje rodzeństwo cioteczne, piętrzyły się tam zawsze zwały drewnianych kloców i kłód, i nawet sobie przypominam, że uczestniczyłem w jakichś zawodach toczenia pni drzewa. Chyba nie miałem jednak dostatecznego doświadczenia, żeby rywalizować z kuzynami. Teraz zaś firma wuja Alfreda przeszła w ręce moich kuzynów, którzy zabrali się za handel nieruchomościami. W New Hampshire po wycięciu wszystkich drzew tylko to pozostało do sprzedania.

Ale w stanie granitu zawsze będzie dosyć granitu, a rodzina Owena Meany'ego właśnie nim się zajmowała, chociaż nie był to rodzaj przedsiębiorstwa, którego by sobie można życzyć w naszym niewielkim nadmorskim miasteczku w New Hampshire, mimo iż kopalnia Meanych znajdowała się w miejscu określanym przez geologów jako plutoniczny masyw Exeter. Meany mawiał, że mieszkańcy Gravesend siedzą na prawdziwej żyle wulkanicznej skały intruzyjnej – wypowiadał te słowa z wyraźnym szacunkiem, tak jakby mieszkańcy Gravesend uważali skały plutoniczne za równie cenne jak żyła złota.

Moja babka, prawdopodobnie ze względu na swych przodków z „Mayflower", zdecydowanie bardziej wolała drzewa od skał. Mając na uwadze względy, których mi nigdy nie wyjaśniono, Harriet Wheelwright uważała, że drewno to zajęcie czyste, granit zaś łączy się z brudem. Zupełnie tego nie rozumiałem, skoro mój dziadek parał się szewstwem. Niestety, zmarł, zanim się urodziłem, więc jego słynne postanowienie, aby jednak nie zezwolić na działalność związkową w warsztacie, docierało do mnie tylko w formie pogłoski. Babka sprzedała fabryczkę zupełnie nieźle, ja zaś wychowałem się, wysłuchując poglądów, jak to wspaniale jest mordować drzewa, aby tym sposobem zarabiać na życie. I jak nisko upadli ci, co zajmują się skałami. Wszyscy znamy tych, którzy dorobili się na drewnie – jednym z nich był mój wuj Alfred Eastman. Czy kto natomiast kiedy słyszał o kamieniarskich baronach?

Granitowe kamieniołomy rodziny Meanych w Gravesend są teraz nieczynne. Przekopana ziemia z głębokimi i niebezpiecznymi zbiornikami wody nie przedstawia żadnej wartości nawet jako nieruchomość. Według matki zresztą nigdy takiej wartości nie miała. Matka twierdziła, że w Gravesend już za czasów jej młodości kamieniołomy nie były czynne i że chociaż ich ożywiona działalność pod zarządem rodziny Meanych przeżywała wzloty i upadki, z góry skazana była na niepowodzenie. Zdaniem matki, z ziemi wydobyto już najlepszy granit, zanim Meany'owie zjawili się w Gravesend. Jeśli zaś chodzi o konkretną datę ich przybycia, mówiono mi zawsze, że miało to miejsce „mniej więcej wtedy, kiedy się urodziłem". Ponadto tylko niewielką część granitu opłaca się wydobywać – reszta ma różne skazy, a nawet jeśli jest to dobra skała, trudno ją wydostać na powierzchnię bez uszkodzenia.

Owen bez przerwy opowiadał o fundamentach, o pomnikach. Na prawdziwy pomnik, jak mawiał, potrzeba olbrzymiego, równo uciętego, gładkiego bloku granitu bez żadnego uszczerbku. Subtelność, z jaką Owen o tym mówił, w połączeniu z delikatnością jego postury stanowiła absurdalny kontrast w stosunku do olbrzymich, ciężkich odłamów skalnych, jakie widzieliśmy na ciężarówkach, oraz do przenikliwego hałasu kamieniołomów, przeszywającego odgłosu świdra wwiercającego się w kamień na koparce wzdłużnej, zwanej przez Owena Korytkiem, i dynamitu.

Czasami zastanawiałem się, jak to możliwe, że Owen nie ogłuchł. Tym dziwniejsze wydawało się, że jest taki malutki i że coś jest nie tak z jego głosem, skoro uszy ma w porządku, przecież praca przy granicie wiąże się z ogłuszającym hukiem.

To właśnie dzięki Owenowi poznałem „Historię Gravesend" Walla, choć całą książkę przeczytałem dopiero pod koniec nauki na Akademii Gravesend, kiedy była mi potrzebna do opracowania dziejów miasta. Owen przeczytał ją, zanim skończył dziesięć lat. Powiedział mi, że w książce aż roi się od Wheelwrightów.

Urodziłem się w domu Wheelwrightów przy Front Street. I często zastanawiałem się nad tym, dlaczego matka zdecydowała się wydać

mnie na świat, skoro później i tak niczego mi nie wyjaśniła – mnie ani też swojej matce czy siostrze. Matka nie miała tupetu. Jej ciąża i nieprzejednane milczenie na ten temat stanowiły tym większe zaskoczenie, że była osobą spokojną i skromną.

Powiedziała tylko tyle, że poznała tego mężczyznę w pociągu linii Boston & Maine.

Moja ciotka Marta kończyła wtedy college i była już zaręczona, matka zaś oświadczyła, że nawet nie zamierza starać się o przyjęcie do college'u. Dziadek umierał, więc babcia najprawdopodobniej całą uwagę skupiła na nim i nawet nie przyszło jej do głowy zmuszać matkę do tego, czego rodzina wymagała od ciotki Marty, czyli zdobycia wykształcenia na poziomie szkoły średniej. Matka twierdziła, że skoro dziadek jest obłożnie chory, może być potrzebna w domu – mogłaby trochę odciążyć babcię w tej trudnej, pełnej napięcia sytuacji. Jednocześnie wielebny Lewis Merrill, pastor z kościoła kongregacjonalistów, a także dyrygent chóru, w którym śpiewała matka, przekonał moich dziadków, że ma ona głos, który warto szkolić. Pastor uważał, że zainwestowanie w profesjonalne szkolenie jej głosu jest równie sensowne jak w wykształcenie, jakie może dać college.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że na tym etapie życia matka kierowała się sprzecznymi motywami w postępowaniu. Jeśli śpiew i szkolenie głosu były dla niej tak ważne, to dlaczego zorganizowała wszystko tak, że lekcje miewała tylko raz w tygodniu? A jeśli dziadkowie zgadzali się ze zdaniem Merrilla na temat jej głosu, to dlaczego tak bardzo sprzeciwiali się temu, żeby raz w tygodniu nocowała w Bostonie? Ja uważałem, że powinna była przenieść się wtedy do Bostonu i mieć lekcje codziennie! Przypuszczam jednak, że przyczyną takiej sprzeczności była nieuleczalna choroba dziadka – matka pragnęła pomagać w domu, a babcia chciała ją mieć przy sobie.

Matka miała wtedy rano szkolenie głosu czy lekcję śpiewu. Znaczy to, że musiała spędzić poprzednią noc w Bostonie, oddalonym od Gravesend o półtorej godziny jazdy pociągiem. Jej nauczyciel śpiewu był rozchwytywany; mógł poświęcić matce czas tylko wcześnie rano. I tak miała szczęście, że w ogóle chciał udzielać jej

lekcji, bo przeważnie zajmował się zawodowymi śpiewakami, jak twierdził wielebny Lewis Merrill, a chociaż matka i ciotka Marta zaliczyły wiele godzin śpiewu w chórze kościelnym, matka nie była profesjonalistką. Miała po prostu śliczny głos i na swój pogodny, wręcz nieśmiały sposób postanowiła zrobić wszystko, żeby go szkolić.

Decyzja matki, by przerwać naukę, została przyjęta przez rodziców spokojniej niż przez siostrę. Kochana ciotka Marta do takiego postanowienia była usposobiona mało przychylnie, wręcz niechętnie. Chociaż może nie tak bardzo. Matka miała lepszy głos, była ładniejsza. Kiedy razem dorastały w wielkim domu przy Front Street, to właśnie ciotka Marta przyprowadzała chłopców z Akademii Gravesend, żeby ich przedstawić dziadkom. Marta była starsza i ona pierwsza przyprowadzała do domu chłopaków, jak mawiała matka. Ale wystarczyło, żeby chłopcy zobaczyli matkę; nawet gdy była jeszcze za młoda, żeby się z nimi umawiać na randki! Na tym zwykle kończyła się ich znajomość z Martą.

Aż tu nagle coś takiego! Niespodziewana ciąża! Według ciotki Marty dziadek i tak „był już jedną nogą na tamtym świecie" – tak bliski śmierci, że nie zdążył się o tej ciąży dowiedzieć, „chociaż matka nie starała się tego ukryć", jak twierdziła ciotka Marta. Biedny dziadek, powiedziała mi kiedyś ciotka, zmarł „dziwiąc się, że twoja matka tak bardzo przytyła".

Za czasów ciotki Marty każdy, kto wychował się w Gravesend, wiedział, że Boston to miasto grzechu. I chociaż matka zatrzymywała się w wielce szacownym i dobrze strzeżonym hoteliku dla samotnych kobiet, udał jej się „skok w bok", jak to określała ciotka Marta, z facetem z Boston & Maine.

Moja matka była taka spokojna, tak do niej nie pasowała jakakolwiek krytyka czy potwarz, że określenie użyte przez Martę wcale nie wprawiało jej w zakłopotanie. Właściwie to nawet słyszałem, jak sama wypowiadała to słowo z czułością.

– Mój ty skoku – przemawiała niekiedy do mnie pieszczotliwie.

To od rodzeństwa ciotecznego po raz pierwszy usłyszałem, że moja matka była uważana za dość „łatwą dziewczynę". Dowiedzieli się tego pewnie od swojej matki – ciotki Marty. Kiedy ową insynuację, to

znaczy „że była dość łatwa”, wypowiedziano wobec mnie, nie miała już ona tak ostrego wydźwięku – matka nie żyła od dziesięciu lat.

Ale nie chodziło jedynie o to, że była piękna i miała piękny głos przy niewątpliwym braku szczególniejszych walorów umysłowych. Ciotka Marta słusznie przypuszczała, że dziadek i babcia ją rozpieszczali. Nie tylko dlatego, że była najmłodsza, ale także dlatego, że miała takie, a nie inne usposobienie – nigdy nie wpadała w złość czy przygnębienie, nie miewała napadów złego humoru ani nie użalała się nad sobą. Miała taki słodki charakter, że trudno było się na nią gniewać. Zdaniem ciotki Marty, nigdy „nie było po niej widać, że może być stanowcza”. Po prostu robiła to, co chciała, a później mówiła z przekonaniem: „Och, to okropne, że sprawiłam wam przykrość. Za to teraz będę dla was tak czuła, żebyście mi wybaczyli i kochali mnie, jakbym nie zrobiła nic złego”. I to działało!

Działało do chwili jej śmierci. Wtedy nie mogła już obiecać, że w jakikolwiek sposób wynagrodzi nasz żal. Tego nie mogła już uczynić.

I nawet kiedy nadal robiła to, co chciała, i bez żadnych wyjaśnień urodziła mnie i nazwała na cześć założyciela Gravesend – nawet później, gdy już udało się jej przekonać o tym swoją matkę i siostrę, a także miasto (nie mówiąc o kościele kongregacjonalistów, gdzie nadal śpiewała w chórze i często uczestniczyła w różnej działalności na terenie parafii), i nawet kiedy już mnie urodziła jako dziecko z nieprawego łoża (wyglądało na to, że wszyscy z tych narodzin byli zadowoleni) – nadal jeździła co środa do Bostonu i nocowała w tym okropnym mieście, żeby świeża i wypoczęta mogła zdążyć na poranną lekcję śpiewu.

Kiedy byłem nieco starszy, czasami miałem o to do niej żal. Tylko dwa razy, gdy zachorowałem na świnkę, a potem na ospę wietrzną, zrezygnowała z wyjazdu i została ze mną. I później jeszcze raz – gdy w czasie przypływu łowiliśmy z Owenem śledzie w odnodze Squamscott wpadającej do rzeki pod Swasey Parkway; poślizgnąłem się wtedy i złamałem nadgarstek. Ale każdego innego tygodnia jeździła do Bostonu i nocowała tam, aż do chwili, kiedy skończyłem dziesięć lat, a ona wyszła za mężczyznę, który mnie legalnie zaadoptował i został jakby moim ojcem. Śpiewała aż do tego czasu.

Nikt mi jednak nigdy nie powiedział, czy faktycznie robi jakieś postępy.

Dlatego właśnie urodziłem się w domu babci – obrzydliwym, potężnym, murowanym szkaradztwie. Gdy byłem dzieckiem, ogrzewano go węglem. Zsyp węgla znajdował się pod skrzydłem budynku, w którym mieściła się moja sypialnia. Węgiel często przywożono wcześnie rano, więc nierzadko budził mnie huk. Kiedy zdarzało się to we czwartek – matka wówczas była w Bostonie – budziłem się i wyobrażałem sobie, że w tym właśnie momencie zaczyna śpiewać. W lecie, gdy miałem otwarte okna, budziłem się przy śpiewie ptaków w rozarium babki. I tutaj dochodzimy do kolejnego sądu wypowiadanego przez babcię, którego źródeł można dopatrywać się w podobnych przekonaniach jak w sprawie jej poglądu na temat skał i drzew. Babcia twierdziła, że każdy może hodować zwykłe kwiaty i warzywa, ale tylko ogrodnik hoduje róże. Babcia była ogrodnikiem.

Przy Front Street jedynym murowanym budynkiem, który rozmiarami dorównywał domowi babci, była gospoda Gravesend. Podróżni, którzy słyszeli, że gospoda znajduje się w centrum miasta i że to „duży murowany budynek po lewej stronie, jak się minie Akademię", często mylili się i brali dom babci za zajazd.

Babcię bardzo to złościło, wcale jej nie pochlebiało, że ktoś bierze jej dom za gospodę.

„To nie jest zajazd" – oświadczała zagubionym i zdezorientowanym podróżnym, którzy spodziewali się zobaczyć w drzwiach kogoś młodszego, kto wziąłby od nich bagaż. „To mój dom" – oświadczała babcia. „Gospoda jest tam dalej" – machała ręką w bliżej nie sprecyzowanym kierunku. Określenie „tam dalej" uchodzi nawet za dość precyzyjne, w New Hampshire bowiem nie lubimy mówić ludziom, jak gdzie dojść. Wydaje nam się, że jeśli nie znasz drogi, to nie powinieneś się tutaj znajdować. W Kanadzie jesteśmy dużo bardziej uczynni – odpowiadamy każdemu na każde pytanie.

W naszym domu przy Front Street znajdowało się również sekretne przejście – biblioteczka. W rzeczywistości były to drzwi prowadzące

na schody do piwnicy o podłodze ubitej z gliny, oddzielonej jednak kompletnie od pomieszczenia z piecem, gdzie absolutnie nic się nie działo – była to po prostu kryjówka. Ale przed czym? Często się nad tym zastanawiałem. Wcale nie pocieszała mnie myśl, że w naszym domu istnieje takie tajemne przejście donikąd. Właściwie pobudzało to moją wyobraźnię i zaczynałem wymyślać, przed jakim to zagrożeniem trzeba by się tam chować, a takie myśli nikomu dobrze nie robią.

Raz zabrałem do piwnicy Owena Meany'ego i tak pokierowałem sprawą, że zabłądził w ciemności – naprawdę okropnie się przeraził. Naturalnie, coś podobnego robiłem z każdym ze swoich kolegów, ale to, że przestraszyłem Owena, było czymś szczególnym. Jego przerażenia nie dało się z niczym porównać, a to z powodu ochrypłego głosu. Od ponad trzydziestu lat usiłuję naśladować głos mojego przyjaciela, i to właśnie ten głos nie dopuszczał do mnie nawet myśli, że kiedykolwiek mógłbym zacząć pisać o nim, ponieważ na kartce papieru trudno ten głos przekazać. Nie wyobrażałem też sobie, że kiedykolwiek mógłbym opowiadać o Owenie, ponieważ już na samą myśl o tym, że musiałbym publicznie naśladować jego głos, czułem się zażenowany. Dopiero po trzydziestu latach zdobyłem się na odwagę, żeby mówić o głosie Owena z obcymi.

Babkę tak bardzo poruszył dźwięk głosu Owena protestującego przeciw narażeniu go na nieprzyjemności przy okazji zwiedzania tajemnego przejścia, że po wyjściu chłopca zwróciła się do mnie:

– Nie życzę sobie, żebyś mi opowiadał, co takiego wyprawiałeś z tym biedakiem, że jego głos brzmiał tak przeraźliwie. Ale jeśli zrobisz to jeszcze raz, proszę, żebyś mu zakrył usta ręką – rzekła. – Widziałeś kiedyś mysz złapaną w pułapkę? – spytała babka. – Chodzi mi o taką naprawdę złapaną mysz – ze skręconym karkiem, zupełnie martwą. Głos tego biedaka potrafiłby chyba przywrócić ją do życia!

Teraz wydaje mi się, że głos Owena był głosem wszystkich zamordowanych myszy powracających do życia, w dodatku pałających pragnieniem zemsty.

Nie chciałbym, aby taki obraz babki pozostawił wrażenie osoby nieczułej. Babka miała służącą – Lydię, dziewczynę pochodzącą z Wyspy Księcia Edwarda. Przez wiele, wiele lat Lydia była naszą

kucharką i gospodynią. Kiedy zachorowała na raka i amputowano jej prawą nogę, babka wynajęła następne dwie służące. Jedną po to, by opiekowała się Lydią, która już nigdy więcej nie pracowała. Miała własny pokój, ulubione trasy w olbrzymim domu; przemierzała je w swoim wózku inwalidzkim. Była kaleką, przy której wykonywano absolutnie wszystkie posługi. Babka pewnie sobie wyobrażała, że któregoś dnia sama zostanie podobną inwalidką i że wtedy będzie się nią opiekować ktoś taki jak Lydia. Często dostawcy i goście przybywający do naszego domu brali Lydię za babcię, ponieważ wyglądała dostojnie w swoim fotelu na kółkach, a na dodatek miała mniej więcej tyle samo lat. Codziennie po południu piła z babcią herbatę, a także grała w karty w klubie brydżowym, do którego należała babcia; z tymi samymi paniusiami, którym niegdyś serwowała herbatę. Tuż przed śmiercią Lydii nawet ciotka Marta dziwiła się, że Lydia się zrobiła taka podobna do babci. Jednakże wszystkim dostawcom i gościom Lydia zawsze odpowiadała z niejakim oburzeniem, naśladując babcię: „Nie jestem paniusią Wheelwright, jestem dawną służącą paniusi Wheelwright". Robiła to dokładnie tak samo jak babcia, gdy twierdziła, że jej dom to nie gospoda Gravesend.

A zatem moja babka nie była pozbawiona ludzkich uczuć. I jeśli do pracy w ogródku wkładała koktajlowe sukienki, to były to sukienki, których już i tak nie nosiła na przyjęcia. Nie chciała, żeby ją widziano nieodpowiednio ubraną nawet w ogrodzie. Jeśli suknie ubrudziły się przy pracy, po prostu je wyrzucała. Kiedyś na sugestię matki, że może warto by je oddać do pralni, babka odpowiedziała z oburzeniem: „Też wymyśliłaś! Dopiero ci ludzie w pralni zaczęliby się zastanawiać, co takiego robiłam, że te suknie są aż tak brudne".

Dzięki babce dowiedziałem się, że logika jest rzeczą względną.

Ale moja książka to tak naprawdę historia Owena Meany'ego, opowieść o tym, jak nauczyłem się naśladować jego głos. Ten karykaturalny głos robił na mnie wrażenie większe nawet niż głęboka wiedza babki.

Pod koniec życia babcię zaczęła zawodzić pamięć. Tak jak wielu starszych ludzi, lepiej pamiętała własne dzieciństwo niż dzieciństwo

swych dzieci, wnuków czy też prawnuków. Największe kłopoty miała z najbliższą przeszłością.

– Pamiętam cię jako dziecko – powiedziała do mnie nie tak dawno. – Ale teraz, kiedy na ciebie patrzę, nie wiem, kim jesteś.

Odpowiedziałem, że sam często mam takie uczucie. I kiedyś, gdy rozmawialiśmy na temat jej pamięci, zapytałem, czy przypomina sobie małego Owena Meany'ego.

– Tego robotnika? – spytała. – To związkowiec.

– Nie, chodzi mi o Owena.

– Nie, absolutnie nie – odrzekła.

– Nie przypominasz sobie rodziny, która zajmowała się eksploatacją granitu? Granitowe Kamieniołomy Meanych. Nie pamiętasz?

– Granit? – prychnęła z niesmakiem. – Oczywiście że nie pamiętam!

– A może pamiętasz jego głos? – spytałem babkę.

Miała prawie sto lat. Zaczynała się niecierpliwić. Pokręciła głową. Już zbierałem się na odwagę, żeby zademonstrować jej głos Owena.

– Zgasiłem wtedy światło w sekretnym przejściu i okropnie go wystraszyłem – przypominałem babce.

– Robiłeś to wszystkim – odparła babcia obojętnym tonem. – Nawet Lydii, kiedy jeszcze miała obie nogi.

– Zapal światło! – krzyczał Owen Meany. – Coś dotyka mojej twarzy! Zapal światło! To coś ma język! Coś mnie liże!

– To tylko pajęczyna, pamiętam swoje słowa.

– To jest za mokre na pajęczynę! To jakiś język! Zapal światło!

– Starczy! – odezwała się babcia. – Pamiętam, już sobie przypominam! O Boże, żebyś mi nigdy więcej tego nie powtarzał!

Ale to właśnie dzięki niej nabrałem pewności, że potrafię naśladować głos Owena. Nawet cierpiąc na drobne zaniki pamięci, babka przypomniała sobie jego głos. Nie powiedziała jednak, że przypomina sobie, iż to on właśnie był przyczyną śmierci jej córki. Pod sam koniec życia babcia nie pamiętała już tak dokładnie, że zostałem anglikaninem i Kanadyjczykiem.

W pojęciu babki Meany'owie nie należeli do elity z „Mayflower". Nie wywodzili się spośród „ojców-pielgrzymów". Nie mogli odtworzyć drzewa genealogicznego tak, by sięgało Johna Adamsa. Pochodzili z późniejszej imigracji – byli Irlandczykami z Bostonu. Przeprowadzili się do New Hampshire z Bostonu, a zatem nie z Anglii. Ponadto mieszkali przedtem w Concord w New Hampshire oraz w Barre w Vermont, a więc w okolicach w znacznej mierze robotniczych, nie tak jak Gravesend. Były to prawdziwe królestwa granitu Nowej Anglii. Babka żyła w przekonaniu, że kopalnie i kamieniołomy wymagały zdecydowanie kreciej, a nie ludzkiej pracy. Tymczasem członkowie rodziny Meanych byli właściwie dość wysocy, z wyjątkiem Owena.

I za te wszystkie obrzydliwe kawały, jakie mu robiliśmy, Owen odgryzł się tylko raz. Któregoś dnia pozwolono nam się wykąpać w jednym z kamieniołomów jego ojca, ale tylko pod warunkiem, że będziemy wchodzić do wody po kolei, i to obwiązani w pasie grubą liną. W tego typu jeziorach właściwie się nie pływało – podobno były głębokie jak ocean i równie lodowate, nawet w środku lata, a także czarne i spokojne jak morze ropy naftowej. Ale to nie z powodu zimna chcieliśmy wyskakiwać, ledwie wskoczyliśmy do wody – przerażała nas niezmierzona głębia, strach przed tym, co na dnie, i to, że do dna jest tak daleko.

Pan Meany, ojciec Owena, obstawał przy tym, żebyśmy byli przewiązani liną i abyśmy kąpali się pojedynczo. Pamiętam, że to jeden z bardzo niewielu rodzicielskich zakazów z dzieciństwa, który właściwie nigdy nie został złamany – z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy złamał go Owen. Żadnego z nas ten zakaz nie korcił. Wcale nie mieliśmy ochoty odwiązać się i rzucić do wody bez nadziei na to, że ktoś nas może wyratować.

Ale pewnego sierpniowego dnia Owen Meany rozwiązał sznur pod wodą i zanurkował w kierunku jakiejś ukrytej szczeliny wśród skał. My tymczasem czekaliśmy, aż wypłynie. Gdy nie pojawiał się na powierzchni, pociągnęliśmy za linę. Ponieważ wiedzieliśmy, że Owen waży tyle co piórko, nie chcieliśmy uwierzyć własnym rękom, czyli faktowi, że nie jest przywiązany do sznura. Nie wierzyliśmy w to, że go nie ma, dopóki wypukły węzeł nie wyłonił się z wody. Ciszę, jaka

wtedy zapadła, przerywały jedynie krople wody kapiące z końca sznura.

Nikt go nie zawołał, nikt nie zanurkował, żeby go szukać. W tej wodzie i tak nic nie było widać! Chciałbym uwierzyć, że zdecydowalibyśmy się rzucić do wody i go szukać, gdyby tylko dał nam trochę więcej czasu, żeby zdobyć się na odwagę, ale Owen doszedł do wniosku, że nasza reakcja jest zbyt powolna i że zbyt wyraźnie mamy to wszystko w nosie. Wypłynął ze szczeliny na przeciwległym brzegu. Poruszał się lekko, niczym jakiś owad wodny nad przeraźliwą głębią, która – naszym zdaniem – sięgała samego dna Ziemi. Płynął wściekły jak nigdy dotychczas.

– No to jak to jest z robieniem ludziom przykrości? Na co niby czekaliście? Aż się pokażą bąbelki? Myśleliście, że jestem ryba, co? Nikt nawet nie próbował mnie szukać?

– Przeraziłeś nas, Owen – odezwał się któryś z chłopców. Byliśmy za bardzo wystraszeni, żeby się bronić, jeśli w ogóle mogła być o tym mowa w stosunku do Owena.

– Pozwoliliście mi utonąć! Nie zrobiliście nic, żeby mi pomóc! Tak po prostu patrzyliście, jak tonę! Ja już nie żyję! Zapamiętajcie sobie: pozwoliliście mi umrzeć!

Pamiętam bardzo dobrze szkółkę niedzielną w kościele episkopalnym. Razem z Owenem byliśmy tam nowymi uczniami. Kiedy matka wyszła za tego drugiego mężczyznę, którego poznała w pociągu, zmieniliśmy religię. Przestaliśmy chodzić do kościoła kongregacjonalistów, a zaczęliśmy uczęszczać do kościoła mojego przybranego ojca, który, według matki, uważał się za episkopalistę. I chociaż nie miałem żadnych dowodów na to, że jest gorliwym wyznawcą tego Kościoła, matka upierała się przy zmianie. Był to cios dla mojej babki, bowiem my, Wheelwrightowie, byliśmy kongregacjonalistami niemal bez przerwy, od chwili gdy przestaliśmy być purytanami („kiedy prawie przestaliśmy być purytanami”, mawiała babka, ponieważ Wheelwrightowie właściwie nigdy nie wyzwolili się z purytanizmu). Niektórzy członkowie rodziny – mam tu na myśli nie tylko założyciela rodu – byli nawet w ciągu ostatniego

stulecia kapłanami Kościoła kongregacjonalistów. Decyzja ta sprawiła także przykrość pastorowi kongregacjonalistów, wielebnemu Lewisowi Merrillowi. To on mnie ochrzcił i zasmucała go myśl, że utraci w chórze głos matki. Znał ją od dziecka, i – co matka zawsze powtarzała – mocno ją wspierał, kiedy spokojnie i bez emocji usiłowała zachować milczenie na temat mego poczęcia.

Decyzja ta niezbyt mi odpowiadała, o czym się za chwilę przekonamy. Owen Meany potrafił uczynić z każdej sprawy tajemnicę, twierdząc, że jest zanadto zawikłana i okropna, żeby o niej w ogóle wspominać. On też przechodził z jednego Kościoła do drugiego, po to, jak twierdził, by uciec przed katolikami, a właściwie to ojciec Owena uciekał przed katolikami, wysyłając chłopca do szkółki niedzielnej, żeby został bierzmowany w kościele episkopalnym. Według Owena, kiedy kongregacjonalista staje się episkopalistą, to nic w tym złego – oznacza to po prostu krok w górę w kościelnej hierarchii – w całym tym cyrku, jak powiedział Owen. Ale dla katolika przejście do kościoła episkopalnego to nie tylko odejście od tego cyrku, lecz krok, który może pociągnąć za sobą wieczne potępienie. Owen często mówił z wielką powagą, że ojciec na pewno zostanie potępiony za zrobienie tego kroku, lecz jednocześnie, że właśnie katolicy dokonali rzeczy strasznej – śmiertelnie obrazili ojca i matkę.

Kiedy krytykowałem całą tę klękaninę – nie mówiąc już o niezliczonej liczbie litanii i odmawianiu wyznań wiary – Owen odpowiadał, że nie mam o niczym pojęcia. Katolicy nie tylko klękali i bezustannie mruczeli litanie i wyznania wiary, ale do tego stopnia obwarowali rytuałem wszelką nadzieję na kontakt z Bogiem, że – według Owena – uniemożliwiali mu modlitwę, czyli bezpośrednią rozmowę z Bogiem. Poza tym była jeszcze spowiedź! Narzekam oto na klękanie, ale czy mam w ogóle pojęcie, co to jest spowiedź z własnych grzechów? Owen twierdził, że presja ta jest tak silna, iż niejednokrotnie wymyślał różne grzechy, aby je wyznać księdzu.

– Ależ to szaleństwo! – stwierdziłem.

Owen musiał mi przyznać rację. A co takiego doprowadziło do rozdźwięku między katolikami i panem Meanym? Nieodmiennie zadawałem to pytanie. Owen jednak nigdy mi nie odpowiedział.

Sprawa była nieodwracalna i mówił o niej tylko jako o rzeczy strasznej.

Możliwe, że moje niezadowolenie z powodu zamiany Kościoła kongregacjonalistów na episkopalny, w połączeniu z zadowoleniem, jakie ta zamiana dawała Owenowi uciekającemu przed katolicyzmem, przyczyniało się do tego, że podnoszenie Owena Meany'ego w powietrze sprawiało nam podwójną frajdę. Wszystkim nam można zarzucić, z czego zdaję sobie teraz sprawę, iż uważaliśmy, że Owen istnieje tylko i wyłącznie dla naszej rozrywki. Ale w moim wypadku – zwłaszcza w kontekście Kościoła episkopalnego – można mi chyba zarzucić również i zazdrość wobec Owena. W szkółce niedzielnej prześladowałem go bodaj głównie dlatego, że byliśmy tacy różni; był bardziej ode mnie wierzący, i chociaż zawsze zdawałem sobie z tego sprawę, najbardziej odczuwałem to w kościele. Nie podobali mi się wyznawcy Kościoła episkopalnego, gdyż jakby wierzyli bardziej – albo przynajmniej w więcej rzeczy – niż kongregacjonaliści, a ponieważ ja wierzyłem w bardzo niewiele, znacznie bardziej odpowiadali mi ci ostatni, którzy wymagali minimalnego wręcz zaangażowania wiernych.

Owen też nie lubił episkopalistów, ale jego niechęć wobec nich była zdecydowanie mniejsza niż wobec katolików. Jego zdaniem, i jedni, i drudzy wierzyli nie tak głęboko jak on, ale katolicy znacznie bardziej przeszkadzali mu w jego wierze i praktykach religijnych. Był moim najlepszym przyjacielem, a najlepszemu przyjacielowi często wiele się wybacza. Ale dopiero kiedy znaleźliśmy się w tym samym kościele, w tej samej szkółce niedzielnej, byłem zmuszony uznać, że wiara religijna mojego przyjaciela jest znacznie bardziej ugruntowana (żeby nie powiedzieć dogmatyczna) niż wszystko, cokolwiek dotąd słyszałem, zarówno w kościele kongregacjonalistycznym, jak i episkopalnym.

Zupełnie nie przypominam sobie szkółki niedzielnej w kościele kongregacjonalistów, chociaż – zdaniem matki – zawsze wtedy dużo jadłem, czy to w samej szkole, czy przy okazji różnych zajęć grup parafialnych. Już prawie nie pamiętam smaku jabłecznika i ciasteczek. Wyraźnie za to pamiętam – czysto i jaskrawo – biało oszalowany kościół, czarny zegar na wieży oraz nabożeństwa, które

zawsze odbywały się na piętrze w nieformalnej atmosferze towarzyskiego spotkania w dobrze oświetlonym pomieszczeniu. Można tam było spoglądać przez wysokie okna na gałęzie strzelistych drzew. Z kolei nabożeństwa episkopalne odbywały się w ponurym, niemal piwnicznym pomieszczeniu. Był to kościół zbudowany z kamienia – ciemny, zatęchły jak suterena. Mrok w zagraconej sali potęgowały ciemne złocenia organowych piszczałek, rozjaśnionych jedynie pogmatwanym układem witraży, przez które nie widać było ani jednej gałęzi.

Gdy mówiłem, że mi się nie podoba kościół, miałem na myśli takie sprawy, jakie zwykle mogą się nie podobać dzieciakowi – poczucie klaustrofobii, nuda. Ale żale Owena miały podłoże religijne.

– Każdy ma wiarę, która rozwija się w jego własnym tempie – mawiał Owen. – W kościele najgorsze jest nabożeństwo. Nabożeństwo jest przeznaczone dla masowego odbiorcy. Kiedy jakiś hymn zaczyna mi się podobać, wszyscy padają na kolana, żeby się modlić. Jak tylko dociera do mnie modlitwa, wszyscy wstają, żeby zacząć śpiewać. A kazanie jest tak głupie, że nie ma nic wspólnego z Bogiem. Kto może wiedzieć, jak Bóg widzi to, co się teraz dzieje na świecie? Kogo to obchodzi?

Na wszelkie tego typu zastrzeżenia mogłem tylko zareagować chwyceniem i podniesieniem Owena Meany'ego do góry.

– Za bardzo drażnisz się z Owenem – mawiała matka.

Ale ja sobie nie przypominam, żebym się z nim za bardzo drażnił, z wyjątkiem podnoszenia go do góry. A może matce chodziło o to, że nie zdaję sobie sprawy z tego, jak poważnym chłopcem jest Owen – obrażały go wszelkie tego rodzaju dowcipy. Przecież przeczytał „Historię Gravesend" Walla, zanim skończył dziesięć lat. Nie była to łatwa lektura, byle jakie czytadło. Poza tym przeczytał Biblię – oczywiście nie w wieku lat dziesięciu, ale chodzi mi o to, że przeczytał ją w całości.

Ponadto była sprawa Akademii Gravesend, sprawa aktualna dla każdego chłopca w mieście – do Akademii nie przyjmowano wtedy dziewcząt. Nie uczyłem się dobrze i chociaż babka mogła pozwolić

sobie na korepetycje, miałem zostać w średniej szkole; ponieważ jednak matka wyszła za mąż za kogoś, kto wykładał w Akademii, zostałem formalnie adoptowany. Dzieci zaś nauczycieli – nazywano nas „wydziałowe brzdące” – miały na Akademię wstęp wolny.

Takie rozwiązanie musiało ucieszyć babkę. Zawsze żałowała, że jej własne dzieci nie mogły uczęszczać na uczelnię, miała bowiem tylko córki. Matka i ciotka Marta chodziły do szkoły średniej – Akademię znały tylko od strony randek. Trzeba powiedzieć, że ciotka Marta dobrze wykorzystała te znajomości – wyszła za chłopca z Akademii (jednego z tych nielicznych, którzy nie woleli matki), co z kolei spowodowało, że moi kuzyni również mieli ułatwiony wstęp na tę uczelnię jako dzieci absolwenta Akademii. (Jasna sprawa, że z tych koneksji nie mogła skorzystać moja siostra cioteczna).

Owen Meany w pełni zasługiwał jednak, by zostać studentem Akademii Gravesend – uczył się świetnie i od początku wszyscy wiedzieli, że pójdzie na uczelnię. Mógłby złożyć papiery i zostać przyjęty – i jeszcze na dodatek dostać pełne stypendium, ponieważ Kamieniołomy Meanych nigdy nie były przedsiębiorstwem bardzo dochodowym, więc rodziców Owena nie stać było na czesne. Jednakże pewnego dnia, kiedy matka wiozła mnie i Owena na plażę – mieliśmy wówczas z Owenem po dziesięć lat – matka powiedziała:

– Mam nadzieję, że nie przestaniesz pomagać Johnny’emu w pracy domowej, Owen, zwłaszcza że obaj macie trafić na Akademię, gdzie Johnny będzie miał jeszcze większe trudności z nauką.

– Ale ja nie idę na Akademię!

– Jak to nie idziesz! – odrzekła matka. – Jesteś przecież najlepszym uczniem w New Hampshire, może nawet w całym kraju!

– Akademia nie jest dla ludzi takich jak ja – odparł Owen. – Dla takich jak ja są szkoły publiczne!

Przez chwilę zastanawiałem się, o jakich ludzi mu chodzi – czy o takich małych; to by znaczyło, że szkoły publiczne są dla ludzi wyjątkowo niskich; matka jednak myślała znacznie szybciej niż ja.

– Dostaniesz pełne stypendium. Twoi rodzice chyba zdają sobie z tego sprawę. Będziesz chodził na Akademię, nie płacąc ani grosza.

– Ale tam trzeba codziennie nosić marynarkę i krawat – rzekł Owen. – A stypendium nie starcza na kupno marynarki i krawata.

– To się da załatwić – odparła matka i wyczułem, że osobiście się tym zajmie – jeśli nikt inny tego nie zrobi, to ona kupi mu wszelkie potrzebne marynarki i krawaty.

– Poza tym są jeszcze koszule i buty. Jeśli człowiek chodzi do szkoły z bogaczami, to nie chce wyglądać jak ich służący.

Przypuszczam, że w tej uwadze matka wyczuła zgryźliwe politykierstwo pana Meany'ego, przedstawiciela klasy pracującej.

– Zajmiemy się wszystkim, czego będziesz potrzebował – obiecała.

Byliśmy w Rye, mijaliśmy główny kościół i wiatr od oceanu zrobił się już dość silny. Mężczyzna z wielką stertą gontów do krycia dachu na taczce miał kłopoty, żeby je utrzymać i żeby wiatr mu ich nie porwał. Również drabina oparta o dach zakrystii mogła się w każdej chwili przewrócić. Mężczyźnie z pewnością przydałby się pomocnik albo przynajmniej jedna dodatkowa para rąk.

– Należałoby się zatrzymać i pomóc temu człowiekowi! – zauważył Owen, ale matka miała głowę zaprzątniętą czymś zupełnie innym i dlatego nie widziała niczego za oknem.

– Może powinnam o tym porozmawiać z twoimi rodzicami? – spytała.

– Jest jeszcze sprawa autobusu – oświadczył chłopak. – Do szkoły publicznej można jeździć autobusem. Przecież nie mieszkam w samym mieście. Jak miałbym dojeżdżać codziennie do Akademii i potem wracać? Bo rodzice nigdy nie zgodziliby się na to, żebym mieszkał w bursie. Po pierwsze, potrzebują mnie w domu; po drugie, bursa to źródło zła. A jak można codziennie dojeżdżać do Akademii i wracać?

– Takich uczniów podwozi się samochodem – odparła matka. – Ja mogłabym cię podwozić, przynajmniej dopóki nie zrobisz prawa jazdy.

– Nie, nic z tego. Ojciec jest za bardzo zajęty, a matka nie prowadzi.

Obydwoje z matką wiedzieliśmy, że pani Meany nie tylko nie prowadzi samochodu – ba, nigdy nawet nie wychodzi z domu. Również w lecie okna jej domu są zawsze zamknięte; matka ma uczulenie na pyły – tak nam wyjaśniał Owen. Dzień w dzień pani Meany siedziała w domu za zamkniętymi oknami, zakurzonymi

i zamazanymi pyłem z kamieniołomów. Na głowie miała parę starych słuchawek lotniczych (przewody zwisały nie podłączone), ponieważ nie znosiła hałasu koparki wzdłużnej, ceownika i wiertła do skał. W dniach, kiedy powietrzem wstrząsały wybuchy, puszczała bardzo głośno gramofon – wielką orkiestrę symfoniczną. Igła niekiedy przeskakiwała, gdy dynamit eksplodował blisko czy szczególnie donośnie.

Zakupy robił pan Meany. To on odwoził Owena do szkółki niedzielnej i odbierał go stamtąd, mimo że sam nie uczestniczył w nabożeństwach. Najwyraźniej uważał, że dostatecznie mści się na katolikach, posyłając syna do kościoła episkopalnego. Sądził też może, że do zemsty nie jest już potrzebne jego osobiste uczestnictwo albo że tak wiele wycierpiał ze strony Kościoła katolickiego, iż pozostał głuchy na naukę jakiegokolwiek kościoła.

Matka wiedziała, że pozostaje także dość nieczuły w kwestii Akademii Gravesend.

– Co innego interes miasta, a co innego ich interes! – wypowiedział się kiedyś na spotkaniu rady miejskiej. Chodziło wtedy o próbę poszerzenia słonej rzeki i pogłębienie kanału odpływowego w takim miejscu Squamscott, żeby ulepszyć tor wyścigowy Akademii. Kilka lekkich łodzi utknęło swego czasu w błotnistym dnie podczas odpływu. Akademia chciała poszerzyć odcinek rzeki przy półwyspie utworzonym z odpływowych bagien, graniczącym z Kamieniołomami Meanych. Była to zupełnie bezużyteczna ziemia, należała jednak do Meany'ego, a jemu najwyraźniej nie podobał się pomysł, żeby Akademia wykopała owe zwały błota i przeznaczyła ten teren – jak to sam określił – na „cele rekreacji".

– Mówimy w tej chwili o błocie, a nie o granicie – zauważył przedstawiciel Akademii.

– A ja mówię o podziale my–oni! – krzyknął pan Meany w czasie spotkania, które przeszło już teraz do historii. Spotkanie rady miejskiej Gravesend przechodziło do historii, jeśli zdarzała się na nim na przykład porządna kłótnia. Rzekę Squamscott poszerzono, kanał został pogłębiony. Miasto zdecydowało, że to tylko błoto – nieważne, do kogo należy.

– Idziesz na Akademię i nie ma sprawy – powiedziała matka. – Ty do tej szkoły idealnie pasujesz – ty albo nikt.

– Mogliśmy spełnić dobry uczynek – zauważył raz jeszcze Owen. – Ten człowiek kładący gonty potrzebował pomocy.

– Nie sprzeczaj się ze mną, Owen – rzekła matka. – Idziesz na Akademię, nawet gdybym musiała cię adoptować. Jeśli trzeba będzie, to cię porwę.

Ale Owen Meany to najbardziej uparty człowiek na tej ziemi. Odezwał się dopiero po przejechaniu mili i wtedy w końcu powiedział:

– Nie, nic z tego.

Akademia Gravesend została założona w roku 1781 przez wielebnego Emery'ego Hurda, zwolennika oryginalnych przekonań równie oryginalnego Wheelwrighta, bezdzietnego purytanina, zdolnego, według Walla, do „modlitwy o pożytek płynący z nauczania oraz posiadającego tę szczęśliwą skłonność, by upowszechniać cnotę i religijność". Ciekawe, co by wielebny Hurd powiedział o Owenie Meanym? W pojęciu Hurda Akademia miała być miejscem, w jakim „żaden zły młodzieniec", który mógłby mieć zgubny wpływ na swych kolegów, nie może „zostać ani chwili", a „studenci mają ciężko pracować" i z tej ciężkiej pracy wyciągać naukę.

Resztę pieniędzy Emery Hurd pozostawił na „edukację i chrystianizację amerykańskich Indian". W czasie ostatnich lat swego życia wielebny Hurd, który nieustannie pilnował, aby Akademia służyła „religijnym i miłosiernym celom", przechadzał się podobno po Water Street w centrum miasta, wyszukując młodocianych przestępców – zwłaszcza młodych mężczyzn, którzy nie uchylili przed nim kapelusza, oraz młode damy, które przed nim nie dygnęły. W nagrodę za takie wykroczenie Emery Hurd skłonny był zaoferować młodym ludziom resztę swego intelektu – pod koniec życia bowiem zostały mu już tylko resztki.

Przypominam sobie, jak moja babka podobnie traciła rozum po kawałku. Kiedy była taka stara, że prawie nic nie pamiętała, a już na

pewno nie pamiętała ani Owena Meany, ani nawet mnie, zdarzało jej się czasami wybuchnąć, jeśli akurat ktoś był w pokoju.

– Dlaczego to już nikt nie unosi kapelusza? – potrafiła nagle wrzasnąć. – Trzeba znowu zacząć się kłaniać i dygać!

– Tak, babciu – przytakiwałem.

– Ach, co ty tam wiesz – mówiła wtedy. – A tak w ogóle to kto ty jesteś?

– To pani wnuczek, Johnny! – odpowiadałem, starając się jak najudatniej naśladować głos Owena.

– O Boże, to on ciągle tu jest? – odpowiadała wtedy babcia. – Czy jest tutaj ten śmieszny facecik? Czy zamknąłeś go w podziemnym przejściu, Johnny?

Tego lata, kiedy mieliśmy po dziesięć lat, Owen powiedział mi, że matka przyjechała do kamieniołomów porozmawiać z jego rodzicami.

– No i co oni na to? – spytałem.

Słowem nie wspomnieli o tej wizycie, ale Owen wie, że matka u nich była.

– Wyczułem jej perfumy – stwierdził. – Musiała tam być dłuższą chwilę, bo zapach był tak silny jak u ciebie w domu. Moja matka nie używa perfum – dodał.

Nie musiał mi tego nawet mówić. Pani Meany nie tylko nie chciała wychodzić na zewnątrz – nie chciała nawet wyglądać na świat. Kiedy widziałem ją w różnych oknach domu, zawsze siedziała bokiem, zdecydowana nie patrzeć na świat, a jednocześnie jakby chcąc coś zademonstrować. Siedziała bokiem może po to, by podkreślić, że jeszcze niecałkowicie odwróciła się do świata plecami. Miałem wrażenie, że była to sprawka katolików. Nie wiem, co takiego jej zrobili, ale z pewnością to, co wyrządzili rodzicom Owena, zasługiwało na miano strasznej rzeczy. Takie samouwięzienie w czterech ścianach kojarzyło się z prześladowaniami religijnymi, jeśli nie z wiecznym potępieniem.

– Jak ci poszło u Meanych? – spytałem matki.

– Czy powiedzieli Owenowi, że u nich byłam?

– Nie, ale on poznał twoje perfumy.

– Ach tak – uśmiechnęła się. Chyba wiedziała, że Owen czuje do niej miętę – wszyscy koledzy czuli miętę do mojej matki. I gdyby

dożyła chwili, kiedy zostaną nastolatkami, ich oczarowanie niewątpliwie by się pogłębiło i stałoby się nieprzyjemne, doszłoby do sytuacji nieznośnej dla nich i dla mnie.

I chociaż matka potrafiła powstrzymać się przed tym, co było ogromną pokusą dla moich rówieśników – to znaczy od podniesienia Owena do góry – nie umiała się powstrzymać, żeby go nie dotknąć. Człowiek czuł się jakby zmuszony to zrobić – Owen był tak cholernie zabawny, że trzeba go było dotknąć. Miał w sobie atrakcyjność futerkowego zwierzątka, z wyjątkiem gołych i prawie przezroczystych uszu, które niczym u jakiegoś gryzonia wyrastały po bokach ostrej twarzy. Babka twierdziła, że mój przyjaciel przypomina embrion lisa. Kiedy się dotykało Owena, każdy w pierwszym odruchu unikał uszu chłopca – zdawało się, że będą chłodne w dotyku – nie unikała ich jednak matka. Nawet masowała mu te uszy, żeby się trochę ogrzały. Przytulała go, całowała, trącali się nosami. A wszystko to robiła z taką samą naturalnością, jakbym to był ja, ale nigdy czegoś podobnego nie robiła z innymi moimi kolegami ani nawet z moim rodzeństwem ciotecznym. Owen reagował na nią zupełnie spontanicznie – czasami się czerwienił, ale zawsze się uśmiechał. Wówczas znikał mu wieczny mars z czoła, a na twarzy zakwitała radość pomieszana z zawstydzeniem.

Doskonale go sobie przypominam, gdy tak stał, sięgając matce głową do dziewczęcej talii, gdyby wspiął się na palce, czubkiem głowy dotykałby jej piersi. Kiedy siedziała, a on podchodził do niej po tradycyjną porcję uścisków i czułości, jego twarz znajdowała się dokładnie na poziomie jej biustu. Matka uwielbiała swetry. Miała śliczną figurę i doskonale o tym wiedziała. Nosiła modne wtedy swetry, które uwypuklały jej kształty.

Owen był niezwykle poważny – świadczył o tym sposób, w jaki rozmawiał ze mną o matkach wszystkich naszych kolegów. Zawsze pozytywnie oceniał moją. Uchodziło mu to na sucho, bo wiedziałem, że nie żartuje. Owen zresztą nigdy nie żartował.

– Żadna matka nie ma takich piersi jak twoja.

Żaden inny kolega nie mógłby bezkarnie czegoś takiego powiedzieć.

– Naprawdę tak uważasz? – pytałem.

– Absolutnie żadna!
– A pani Wiggin? – upewniałem się.
– Za duże – odpowiadał Owen.
– Pani Webster?
– Opadają jej za nisko – wyjaśniał.
– Pani Merrill? – dopytywałem się dalej.
– Bardzo śmieszne.
– A co powiesz o pannie Judkins?
– Nie wiem. Nie pamiętam. Poza tym ona nie jest matką.
– Panna Farnum?
– Wygłupiasz się tylko – mówił Owen poirytowany.
– A Caroline Perkins?
– Może kiedyś będzie miała ładne – odpowiadał z powagą. – Ale ona też nie jest matką.
– Irene Babson?
– Nie złość mnie! – ostrzegał Owen. – Twoja matka jest najlepsza. Poza tym najładniej ze wszystkich pachnie.
– Tutaj musiałem mu przyznać rację – mama zawsze cudownie pachniała.

Może to dziwnie brzmi, że rozmawiałem z kolegą na temat piersi własnej matki, ale matka była niekwestionowaną pięknością, a Owen wygłaszał szczere sądy – można mu było całkowicie zaufać.

Matka często służyła nam za kierowcę. Odwoziła mnie do kamieniołomów, żebym mógł się pobawić z Owenem; przywoziła Owena, kiedy miał się bawić ze mną, a potem zabierała go z powrotem. Kamieniołomy Meanych znajdowały się jakieś trzy mile od centrum miasta; niedaleko jak na przejażdżkę rowerową, tyle że droga prowadziła cały czas pod górę. Matka często dowoziła mnie tam z rowerem, którym później wracałem do domu. Albo Owen przyjeżdżał do mnie na rowerze, a potem matka go odwoziła wraz z rowerem. Tak często była naszym kierowcą, że właściwie traktowała Owena jak drugiego syna. A ponieważ w małym miasteczku mamy często służą za kierowców, moja matka była dla niego jakby bardziej matką niż jego własna.

Kiedy bawiliśmy się u Owena, rzadko wchodziliśmy do domu. Urzędowaliśmy na stertach kamieni, w dołach czy nad rzeką,

a w niedzielę siadywaliśmy na pogrążonych w bezruchu maszynach, wyobrażając sobie, że zawiadujemy kopalnią albo że jest wojna. Owenowi widać jego dom wydawał się równie dziwny i przytłaczający jak mnie. Gdy była słota, bawiliśmy się u mnie w domu, a ponieważ w New Hampshire pogoda przeważnie jest niepewna, najczęściej przebywaliśmy u mnie.

Tak jak teraz na to patrzę, faktycznie tylko się bawiliśmy. Tego lata, kiedy zmarła matka, mieliśmy po jedenaście lat. Był to ostatni rok rozgrywek Małej Ligi, która nas już zresztą nudziła. Moim zdaniem, baseball to nieciekawa gra. Ostatni rok w Małej Lidze daje przedsmak nudy, jaka czeka większość Amerykanów. Niestety, Kanadyjczycy również grają w baseball i lubią go oglądać. To gra, w której trzeba dużo czekać i w której w miarę przebiegu meczu możliwość ruchu jest coraz bardziej ograniczona. Bogu dzięki, mecze w Małej Lidze są rozgrywane szybciej niż mecze dorosłych! Nigdy nie marnowaliśmy czasu na spluwanie bądź wsadzanie rąk pod pachy czy w krocze – takie objawy zdenerwowania występują jedynie w grach dla dorosłych. Ale mimo to trzeba wyczekiwać miotaczy, a także czekać, aż łapacz i sędzia ocenią piłkę po narzucie; i czekać na łapacza, żeby poszedł na bazę miotacza i dał sygnał miotaczowi, jak ma rzucać piłkę, i czekać na trenera drużyny, żeby wparował na boisko i wraz z miotaczem i łapaczem zaczął się martwić o różne możliwości narzutu kolejnej piłki.

Tego dnia w czasie ostatniej zmiany czekaliśmy z Owenem tylko na to, żeby mecz się już skończył. Byliśmy tak znudzeni, że nie przyszło nam do głowy, iż w tym właśnie momencie dobiega kresu czyjeś życie. Tego dnia nie mieliśmy żadnych szans. Nasza drużyna zdrowo przegrywała. Zastępowaliśmy graczy z reprezentacji graczami drugorzędnymi tak często i tak przypadkowo, że nie potrafiłem już nawet rozpoznać pałkarzy, nie mówiąc już o tym, że nie miałem pojęcia, kiedy jest moja kolej. Nie byłem pewien, czy powinienem wstać, i miałem już właśnie spytać naszego miłego, grubiutkiego menedżera i trenera pana Chickeringa, kiedy będę odbijać, ale on odwrócił się do Owena Meany'ego.

– Odbijaj zamiast Johnny'ego, Owen – polecił.

– Ale ja właśnie nie wiem, kiedy jest moja kolej – zwróciłem się do pana Chickeringa, który mnie zresztą nie usłyszał. Jego też nudził już mecz, i podobnie jak my wszyscy, czekał, aż się wreszcie skończy.

– Ja wiem, kiedy ty odbijasz – odparł Owen. To właśnie było w nim irytujące – zwracał uwagę na takie szczegóły i zapamiętywał je. Właściwie nie grał, ale zwracał uwagę na wszystkie nudne drobiazgi.

– Jeśli ma odbijać Harry, to ja później nie mam szans. Jeśli Buzzy ma odbijać, to ja po nim także.

– Marne szanse – rzekłem. – A może jest tylko jeden aut?

– Dwa.

Wszyscy z ławki patrzyli gdzieś w bok, mimo pola, nawet Owen. Ja również spojrzałem, co ich tam tak intryguje. I wtedy ją zobaczyłem. To była moja matka. Właśnie przyjechała. Zawsze się spóźniała – ją również baseball nudził. Potrafiła dokładnie wyczuć, kiedy przyjechać, żeby nas zawieźć do domu. Nosiła obcisłe stroje także w lecie, bo lubiła cienkie dżersejowe sukienki. Miała ładną opaleniznę, a sukienka była prosta, z białej bawełny, dopasowana na piersiach i w pasie i rozkloszowana dołem. Czerwoną chustką matka przewiązywała włosy, które inaczej spadałyby jej na nagie ramiona. Nie obserwowała gry. Stała z boku na wysokości lewego zapola, za trzecią bazą, przyglądając się, czy wśród nielicznej publiczności nie zobaczy kogoś znajomego.

Zdałem sobie sprawę z tego, że nikt nie spuszcza z niej wzroku. To nic nowego, ale tego dnia przyglądali się jej jakby bardziej wnikliwie, a może mi się tak tylko wydaje, bo wyraźniej tę sytuację pamiętam, gdyż wtedy widziałem ją żywą po raz ostatni. Miotacz patrzył na bazę domową, łapacz czekał na piłkę. Przypuszczam, że pałkarz również czekał na piłkę. Ale nawet obrońcy odwrócili się, żeby spojrzeć na matkę. Na ławce też wszyscy się jej przyglądali – chyba najbardziej pan Chickering, potem Owen. Najmniej ja. Z widowni, którą lustrowała, również wszyscy na nią spoglądali.

Był to czwarty błąd miotacza. Może i miotacz jednym okiem zerkał na matkę. Harry Hoyt otrzymał bazę darmo. Buzzy Thurston zaczął się przygotowywać i przyszła kolej na Owena. Uniósł się z ławki i zaczął się rozglądać za najmniejszą pałką. Buzzy odbił łatwą piłkę po ziemi; pewny aut, ale matka nawet nie spojrzała na toczący się

mecz. Zaczęła iść wzdłuż linii trzeciej bazy. Minęła trenera trzeciej bazy i nadal patrzyła na widownię, kiedy łącznik spaprał łatwą piłkę Buzzy'ego Thurstona i biegacze pozostali na swoich bazach.

Owen był już przygotowany.

Najlepszy dowód, że gra była okropnie nudna i że strasznie przegrywaliśmy, to to, że pan Chickering kazał Owenowi dobrze się zamachnąć. Pan Chickering również chciał jak najszybciej wrócić do domu.

Zwykle mówił: „Miej oczy szeroko otwarte, Owen!" To znaczyło: „Idź! Nie zdejmuj pałki z ramienia". Co z kolei znaczyło mniej więcej: „Tylko, broń Boże, na nic się nie zamachnij!"

Ale tego dnia pan Chickering powiedział:

– Wal, chłopcze!

– Rozwal piłkę, Meany! – krzyknął ktoś z ławki, a potem spadł z niej, krztusząc się ze śmiechu.

Owen, pełen godności, przypatrywał się miotaczowi.

– Dowal im, Owen! – zawołałem.

– Machnij dobrze! – wrzasnął pan Chickering. – Machnij dobrze!

Teraz zaczęli chłopcy z naszej ławki. Najwyższa pora iść do domu. Niech Owen się zamachnie, niech popełni trzy błędy i wreszcie będzie można pójść do domu. Poza tym spodziewaliśmy się, że jego zamachnięcie się może wyglądać dość zabawnie.

Pierwszy narzut był niecelny i Owen go przepuścił.

– Zamachnij się! – krzyknął pan Chickering. – Zamachnij się dobrze!

– Tamta była za daleko! – odrzekł Owen. Mój przyjaciel robił wszystko jak trzeba.

Drugi narzut omal go nie trafił w głowę i chłopiec musiał rzucić się do przodu – przez pył na bazie domowej prosto na trawę. Druga piłka. Wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok fontanny kurzu, która wzbiła się z mundurka Owena, ale Owen kazał nam wszystkim czekać, aż się wytrzepie.

Matka stała plecami do bazy domowej. Zauważyła kogoś, kto siedział w loży honorowej, i pomachała. Znajdowała się na wysokości trzeciej bazy, ale nadal była bliżej trzeciej bazy niż bazy domowej, kiedy Owen Meany zaczął brać zamach. Wydawało się, że

zaczął, nim miotacz wyrzucił piłkę. Była to szybka piłka – taka, jakie się często zdarzają w Małej Lidze, ale zamach Owena mocno wyprzedzał piłkę, przez co doszło do zaskakującego uderzenia (tuż przed bazą domową, mniej więcej na wysokości piersi). Nigdy dotychczas nie widziałem, żeby równie mocno uderzył, a siła uderzenia tak zaskoczyła samego Owena, że stał na nogach; przynajmniej tym razem się nie przewrócił.

Walnięcie pałki było tak niespodziewanie ostre jak na rozgrywki w Małej Lidze, że jego odgłos przyciągnął nawet uwagę mojej matki. Odwróciła głowę w kierunku bazy domowej – przypuszczam, że po to, by sprawdzić, kto tak walnął – i piłka uderzyła ją w lewą skroń, obracając matką tak szybko, że złamał się jej jeden wysoki obcas. Z rozsuniętymi kolanami przewróciła się do przodu, w kierunku ławek dla widowni, padając twarzą prosto na ziemię, a ręce jej nawet nie drgnęły, żeby choć trochę złagodzić upadek, dlatego później uważano, że kiedy runęła na ziemię, była już martwa.

Nie wiem, czy umarła aż tak szybko. W każdym razie nie żyła już, gdy na miejsce wypadku podbiegł pan Chickering. On pierwszy znalazł się przy niej. Uniósł głowę matki, potem ułożył nieco wygodniej. Ktoś powiedział później, że zanim to zrobił, zamknął matce oczy. Pamiętam też, że obciągnął jej sukienkę, bo była zadarta prawie do połowy ud, i zsunął kolana. Potem wstał i zdjął swoją wiatrówkę, którą, niczym pogromca byków trzymający czerwoną kapę, wyciągnął przed siebie. Ja jako pierwszy z graczy przekroczyłem linię trzeciej bazy – zaraz po panu Chickeringu, który mimo swej tuszy był niezwykle zręczny. Złapał mnie i zarzucił mi na głowę wiatrówkę. Nic nie widziałem i nie mogłem się skutecznie bronić.

– Nie, Johnny. Nie! – powiedział pan Chickering. – Ty nie możesz jej oglądać w takim stanie.

Pamięć jest straszliwa. Człowiek może o czymś zapomnieć, ona nie. Po prostu odkłada rzeczy do odpowiednich przegródek. Przechowuje dla ciebie różne sprawy albo je przed tobą skrywa – i kiedy chce, to ci to wszystko przypomina. Wydaje ci się, że jesteś panem swojej pamięci, ale to odwrotnie – pamięć jest twoim panem.

Później pamiętałem wszystko doskonale. Kiedy przypominałem sobie scenę śmierci matki, miałem w oczach wszystkich, którzy tego dnia byli na trybunie. Pamiętam też, kogo nie było. Jak również, co do mnie mówiono, a także czego nie powiedziano. Ale przy pierwszym powrocie do tej sceny nie przypominałem sobie żadnych szczegółów. Pamiętam Pike'a – szefa policji w Gravesend – później chodziłem z jego córką. Utkwił mi w pamięci tylko ze względu na idiotyczne pytanie, jakie zadał, a jeszcze bardziej ze względu na sposób, w jaki je sformułował.

– Gdzie jest piłka? – spytał szef policji, kiedy oczyszczono teren, jak to oni nazywają. Ciała matki już nie było i siedziałem na ławce wtulony w pana Chickeringa. Nadal miałem na głowie jego wiatrówkę; teraz dlatego, że mi się tak podobało, bo sam ją sobie narzuciłem.

– Piłka? – spytał Chickering. – Szuka pan pieprzonej piłki?

– No tak, to jakby narzędzie zbrodni – odrzekł szef Pike. Miał na imię Ben. – Można ją chyba nazwać śmiercionośną bronią.

– Narzędzie zbrodni! – powtórzył Chickering, przytulając mnie silniej. Czekaliśmy, żeby przyjechała po mnie babcia albo mąż matki. – O Boże, Ben – śmiercionośna broń – przecież to była piłeczka do baseballu!

– No dobrze, ale gdzie ona jest? – spytał Pike. – Jeśli kogoś zabiła, powinienem ją zobaczyć, a właściwie nawet wejść w jej posiadanie.

– Nie pierdol, Ben.

– Może zabrał ją któryś z chłopaków? – indagował Pike naszego grubiutkiego trenera i menedżera.

– To sam się ich spytaj, nie mnie – odrzekł Chickering.

Wszyscy gracze musieli stać za lożą honorową, gdy tymczasem policja fotografowała ciało. Stali tam nadal, spoglądając na śmiercionośne pole przez puste ławki. Wraz z nimi stało sporo osób z miasta – mamusie i tatusiowie oraz paru zapalonych kibiców. Pamiętam, że później głos Owena dotarł do mnie w ciemności, bo nadal byłem zakryty wiatrówką.

– Bardzo mi przykro!

W ciągu następnych lat wracało to do mnie po trochu – pamiętam wszystkich, którzy stali tam za ławkami, i wszystkich, którzy poszli do

domu.

Ale wtedy ściągnąłem z głowy kurtkę i jedyne, co zobaczyłem, to to, że Owen Meany nie stoi za ławkami. Chickering musiał zwrócić na to samo uwagę.

– Owen! – zawołał.

– Poszedł do domu! – odkrzyknął ktoś.

– Miał rower – dodał ktoś inny.

Łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak walczy z rowerem, jadąc pod górę Maiden Hill Road – najpierw pedałuje, potem z trudem się na nim kolebie, a za chwilę musi już zsiąść, żeby go prowadzić. Przez cały ten czas będzie miał widok na rzekę. Wtedy nasze stroje do baseballu były zrobione ze swędzącej wełny i oczyma wyobraźni widziałem strój Owena, cały przepocony, z numerem 3 – za dużym jak na jego plecy, bo kiedy wkładał koszulę w spodnie, zakrywał też połowę numeru, a więc każdy, kto by go mijał na Maiden Hill Road, myślałby, że to numer 2.

Chyba faktycznie nie miał powodu czekać. Matka zawsze po meczu podwoziła go z rowerem do domu.

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że to Owen ma piłkę. Lubił kolekcjonować różne rzeczy; wystarczy przypomnieć sobie jego karty baseballowe.

– W końcu była to przecież jedyna porządnie odbita przez niego piłka – powiedział mi Chickering wiele lat później. – I nawet wtedy zagrał nieczysto. Nie mówiąc już o tym, że kogoś zabiła.

„No to co z tego, że Owen może mieć piłkę", tak sobie w tamtej chwili myślałem. Ale moje myśli zaprzątała wówczas głównie matka – zaczynałem się na nią złościć, że nigdy mi nie wyjawiła, kim był mój ojciec.

Byłem wtedy zaledwie jedenastolatkiem. Nie miałem zielonego pojęcia, kto jeszcze kibicował w tym meczu i pozostał świadkiem śmierci matki – i kto miał również swoje powody, żeby chcieć zdobyć piłkę uderzoną przez Owena Meany'ego.

1 Od *walk* (ang.) – chodzić.

PANCERNIK

Moja matka miała na imię Tabita, ale nikt poza babcią tak się do niej nie zwracał. Babcia nie cierpiała zdrobnień i tylko na mnie nie wołała nigdy John. Dla niej bowiem zawsze byłem Johnny, nawet wtedy, gdy nikomu nie przyszłoby już do głowy zdrabniać moje imię. Do matki wszyscy mówili Tabby. Tylko raz, jak sobie przypominam, wielebny Lewis Merrill powiedział „Tabita", ale było to w obecności ich obu: matki i babci, i w dodatku przy okazji sprzeczki czy wymówki, jaką jej zrobił. Powodem była decyzja matki, by odejść z Kościoła kongregacjonalistów i wstąpić do Kościoła episkopalnego, i wielebny Merrill zwracając się do babci, tak jak gdyby matki nie było w pokoju, powiedział: „W naszym chórze jedynie Tabita Wheelwright ma prawdziwie anielski głos i jeśli ona nas opuści, to pozbawi nasz chór duszy". W obronie pastora Merrilla muszę dodać, że nie zawsze przemawiał z tak bizantyńskim patosem, ale tym razem był dostatecznie wyprowadzony z równowagi postanowieniem matki, a także i moim odejściem z jego Kościoła, że swoje opinie wygłaszał jak z ambony.

Kiedy byłem chłopcem, Tabby uchodziło w New Hampshire za popularne imię dla kota, i niewątpliwie matka miała w sobie coś kociego, nie tyle przebiegłość czy chytrość, jakie kryją się za tym słowem, ile inne przymioty kociego gatunku: czystość, lśniące włosy, opanowanie i jakby zachętę, żeby ją pogłaskać. Matkę miało się ochotę dotknąć, ale zupełnie inaczej niż Owena Meany. Zawsze zdawałem sobie sprawę z tego, jak bardzo ludzie chcą lub potrzebują to zrobić. Mam na myśli nie tylko mężczyzn, chociaż już będąc chłopcem, widziałem, jak w jej towarzystwie nie bardzo wiedzą, co zrobić z rękoma. Wszyscy chcieli jej dotknąć, natomiast w zależności od stosunku matki do tego, kto to robił, jej reakcje były również

kocie. Potrafiła reagować z tak lodowatą obojętnością, że ręka wyciągnięta w jej stronę zamierała w powietrzu. Mając doskonale skoordynowane i zadziwiająco szybkie ruchy, umiała – jak kot – uniknąć dotyku, dając nagle nurka lub odskakując od intruza tak instynktownie, jak inni się wzdrygają. Przypominała koty i w tym, że potrafiła oddawać się rozkoszom dotyku, bezwstydnie wyginając się w łuk i coraz to mocniej napierając na głaszczącą rękę, aż – tak sobie przynajmniej wyobrażałem – osoby stojące bliżej mogły dosłyszeć jej pomruki zadowolenia.

Kiedyś Owen Meany, który nie lubił szafować słowami i miał zwyczaj przerywania rozmowy uwagą rzuconą jak moneta do głębokiej wody... uwagą, która opadała niczym prawda na samo dno, gdzie pozostawała nietknięta, tak rzekł do mnie: „Twoja matka jest szalenie seksowna. Aż zapominam, że to czyjaś matka".

Jeśli zaś chodzi o insynuacje ciotki Marty, o których dowiedzieli się moi kuzyni, i następnie, dziesięć lat później, powiedzieli mi, że moja matka była „dość łatwa", to – jak sądzę – ich źródeł należy upatrywać w podejściu zazdrosnej starszej siostry, nacechowanym brakiem zrozumienia. Ciotka Marta nie mogła pojąć jednej podstawowej rzeczy, mianowicie tego, iż matka urodziła się całkowicie w nie swoim ciele. Tabby Wheelwright wyglądała jak młodziutka gwiazda filmowa – była bujnych kształtów, kapryśna, z łatwością mogła mówić o wszystkim i o niczym. Wyglądała na taką, którą nietrudno zadowolić, bądź też – jak twierdziła ciotka – która jest „dość łatwa". Na taką, co to lubi, kiedy się ją dotyka. Jestem jednak głęboko przekonany, iż moja matka miała zupełnie inny charakter, niż można było pozornie mniemać. Będąc jej synem, wiem, że w roli matki sprawdziła się niemal doskonale – jedyne, co jej mogę zarzucić, to to, że umarła, nie zdążywszy mi powiedzieć, kim był mój ojciec. Wiem również i to, iż będąc niemal matką doskonałą, czuła się także szczęśliwą kobietą, prawdziwie zaś szczęśliwa kobieta doprowadza niektórych mężczyzn i prawie wszystkie inne kobiety do szału. Jeśli jej ciało sprawiało nawet wrażenie niespokojnego, to ona sama taka nie była. Była zadowolona z życia, i w tym także przejawiała się jej kocia natura. Zachowywała się tak, jakby od życia pragnęła jedynie dziecka

i kochającego męża. Zwróćmy tu uwagę na liczbę pojedynczą. Nie chciała bowiem dzieci, chciała jedynie mnie, po prostu mnie, i miała mnie. Nie chciała mężczyzn, a tylko jednego mężczyzny, tego właściwego, i na krótko przed śmiercią go znalazła.

Mówiłem już, że ciotka Marta to „kochana kobieta", i nadal tak uważam – jest ciepła, pociągająca, miła, skromna oraz pełna dobrych intencji; i zawsze mnie kochała. Kochała także moją matkę, tyle że nigdy jej nie rozumiała, a kiedy choćby odrobina zazdrości miesza się z brakiem zrozumienia, to wtedy zaczynają się kłopoty.

Wspominałem już, że matka uwielbiała swetry, co jest zaprzeczeniem skromności, z jaką się ubierała. Wprawdzie uwydatniała przy tym piersi, ale nigdy ciało, z wyjątkiem silnych, omal niewinnych ramion. Lubiła je obnażać. Zawsze chodziła schludnie ubrana, jej sukienki nie były ani ekscentryczne, ani jaskrawe. Kolory dobierała niezmiennie takie same – o ile pamiętam, w jej szafie królowały czernie i biele, z wyjątkiem dodatków – uwielbiała czerwień szalików, kapeluszy, pantofli czy rękawiczek. Nie nosiła żadnych rzeczy obcisłych na biodrach, ale z upodobaniem podkreślała swoją szczupłą talię i ładny biust. Owen faktycznie się nie mylił – miała najwspanialsze piersi ze wszystkich matek.

Nie wydaje mi się, by lubiła flirtować czy „podrywać" mężczyzn, ale co ja mogłem do jedenastego roku życia zauważyć? Być może więc i trochę flirtowała. Wyobrażałem sobie, że ograniczała flirty do linii kolejowej Boston & Maine i że gdziekolwiek się znalazła – nawet w tym przerażającym mieście, jakim jest Boston – była moją matką w każdym calu, ale niewykluczone, że w pociągu rozglądała się za mężczyznami. W jaki bowiem inny sposób można wytłumaczyć fakt, iż poznała mężczyznę, który mnie spłodził? A także, że jakieś sześć lat później, na tej samej trasie, również spotkała mężczyznę, który ją poślubił! Czy stukot jadącego po torach pociągu w jakiś sposób ją rozluźniał, powodując, że traciła silną wolę? Czy też kiedy nie stała twardo na ziemi, zmieniała się na czas samej jazdy?

Jeden tylko raz, i tylko z Owenem, podzieliłem się tą absurdalną obawą. Był zaszokowany.

– Jak możesz myśleć coś takiego o własnej matce? – zapytał.

– Ale sam mówisz, że jest seksowna, i zachwycasz się jej piersiami – odparłem.

– Wcale się nie zachwycam.

– Niech ci będzie. Rozumiem, że ci się podoba – zauważyłem. Podobała się młodym i starym.

– Zapomnij o tym pociągu – rzucił Owen. – Twoja matka jest kobietą doskonałą. Nic jej się nie przydarzyło w czasie podróży.

I chociaż powiedziała mi, że mego ojca „poznała" w pociągu linii Boston & Maine, jakoś nigdy nie wyobrażałem sobie, że tam właśnie zostałem poczęty. Fakt pozostaje jednak faktem, iż w tym właśnie pociągu poznała mężczyznę, którego poślubiła. Historia ta nie była zresztą tajemnicą ani kłamstwem. Ile razy prosiłem matkę, by mi ją opowiedziała! I zawsze, bez najmniejszego wahania i najmniejszego oporu, opowiadała ją, nic nie zmieniając. A po jej śmierci wielokrotnie zwracałem się do Dana, by mi opowiedział tę historię, i zawsze robił to z równym entuzjazmem i w ten sam sposób.

Nazywał się Dan Needham. Ileż to razy modliłem się do Boga, by on był moim prawdziwym ojcem!

Pewnego czwartkowego wieczoru, wiosną 1948 roku, ja, moja babcia, matka i Lydia bez jednej nogi zasiedliśmy do kolacji. W czwartki matka zawsze wracała z Bostonu i wówczas podawano nieco bardziej wystawną kolację. Pamiętam, że niedługo przedtem amputowano Lydii nogę, ponieważ czułem się trochę nieswojo, kiedy jadła z nami przy stole, siedząc na wózku inwalidzkim, i gdy dwie nowe służące zamiast Lydii, która robiła to jeszcze niedawno, obsługiwały nas i sprzątały naczynia. Sam wózek był także i dla Lydii czymś nowym, nie pozwalała mi więc go pchać. I jedynie matka oraz babcia, a także jedna z nowych służących mogły to robić. Nie pamiętam już tych wszystkich trywialnych zawiłości związanych z wózkiem Lydii i tym, kto ma go pchać, a jedynie to, że czworo nas kończyło kolację i że obecność Lydii przy stole była czymś nowym i czymś, co dawało się zauważyć jak świeża farba.

Pamiętam również, że moja matka oświadczyła: „Spotkałam drugiego mężczyznę w pociągu linii Boston & Maine".

Efekt chyba nie był zamierzony, tak przynajmniej sądzę, ale jej słowa całkowicie nas zaskoczyły – Lydię, babcię i mnie. Lydia odsunęła się wózkiem od stołu, pociągając obrus, tak iż wszystkie naczynia, kieliszki, srebrna zastawa podskoczyły. Lichtarze zachybotały. Babcia chwyciła za olbrzymią broszkę wpiętą w suknię pod szyją – zdawało się, że nagle się nią zadławi – a ja przygryzłem spory kawałek dolnej wargi, aż poczułem krew.

Wszyscy myśleliśmy, że matka posługuje się eufemizmami. Nie było mnie przy tym, kiedy podawała szczegóły dotyczące pierwszego mężczyzny, którego poznała w pociągu. Być może, powiedziała wówczas: „Poznałam mężczyznę w pociągu linii Boston & Maine... i jestem teraz w ciąży". A może ujęła to tak: „Spodziewam się dziecka jako owocu flirtu z nieznajomym, którego poznałam w pociągu linii Boston & Maine – z kimś, kogo nie chcę już nigdy więcej widzieć na oczy".

W każdym razie, o ile nie potrafię odtworzyć tego, co powiedziała za pierwszym razem, jej drugie oświadczenie było dość dramatyczne. Wszyscy myśleliśmy, że chce nam wyjawić, iż znowu jest w ciąży, i to z innym mężczyzną.

Jak bardzo ciotka Marta była w błędzie, uważając, iż matka jest „dość łatwa", świadczy fakt, że matka, zorientowawszy się natychmiast, co mamy na myśli, z miejsca wybuchnęła śmiechem, po czym wyjaśniła:

– Nie! Nie! Nie spodziewam się dziecka. Nie będę miała drugiego dziecka! Mam już swoje dziecko. Po prostu powiedziałam wam, że spotkałam mężczyznę, który mi się podoba.

– Tamtego mężczyznę, Tabito? – spytała babcia, kurczowo ściskając broszkę.

– Nie, nie tego. Nie bądź niemądra – odparła matka, wybuchając znowu śmiechem, który ponownie przyciągnął wózek Lydii, tym razem bardzo ostrożnie, do stołu.

– A więc mężczyznę, który ci się podoba, Tabito? – dopytywała się babcia.

– Nie mówiłabym o nim, gdyby mi się nie podobał. Chciałabym, byście go wszyscy poznali.

– Umawiasz się z nim na randki? – indagowała babcia.

– Nie! Właśnie go poznałam. Dzisiaj w pociągu – odpowiedziała matka.

– I już zdążyłaś go polubić? – spytała Lydia głosem, który żywo przypominał głos babci, tak że musiałem się obrócić, by stwierdzić, która z nich to mówi.

– Tak – odparła poważnie matka. – Dobrze wiesz, jak to jest. Dużo czasu na to nie potrzeba.

– Ile razy przedtem przytrafiło ci się coś takiego? – nie ustępowała babcia.

– To jest pierwszy raz, naprawdę. I dlatego wiem.

Lydia i babcia spojrzały odruchowo na mnie, być może, by upewnić się, czy właściwie rozumiem słowa matki, że „przedtem", kiedy miała „skok", którego owocem byłem właśnie ja, matka nie darzyła specjalnym uczuciem mego ojca, ktokolwiek to był. Ale przyszło mi do głowy co innego. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie był to mój ojciec, czy przypadkiem nie był to ten pierwszy mężczyzna spotkany w pociągu, który dowiedziawszy się o mnie, chciał mnie poznać, i że tylko coś bardzo ważnego stało temu na przeszkodzie przez ostatnie sześć lat. W końcu, gdy się urodziłem w 1942 roku, trwała wojna.

Jak bardzo ciotka Marta była w błędzie, świadczy również fakt, że matka, widząc, co snuje mi się po głowie, odparła natychmiast:

– Musisz zrozumieć, Johnny, że ten mężczyzna nie ma żadnych związków z mężczyzną, który jest twoim ojcem. Spotkałam go po raz pierwszy dopiero dzisiaj i bardzo mi się podoba. To wszystko – polubiłam go i myślę, że i tobie się spodoba.

– OK – odparłem, nie mogąc jednak spojrzeć jej prosto w oczy. Pamiętam, że nie spuszczałem wzroku z dłoni Lydii zaciśniętych na wózku inwalidzkim, a także dłoni babci zajętych broszką.

– Czym on się zajmuje, Tabito? – spytała babcia. To takie wheelwrightowskie zadać tego typu pytanie. W opinii babci to, co ktoś „robi", łączy się nierozerwalnie z tym, skąd „pochodzi" jego rodzina – zawsze miała nadzieję, że z Anglii, i to siedemnastowiecznej. Krótka zaś lista „zajęć", jakie babcia aprobowała, była nie mniej specyficzna niż cała siedemnastowieczna Anglia.

– Teatrem – odparła matka. – Jest kimś w rodzaju aktora, ale niezupełnie.

– Bezrobotnym aktorem? – indagowała babcia. Teraz wiem na pewno, że i aktor, który ma zatrudnienie, byłby kimś niestosownym.

– Nie, on nie szuka pracy jako aktor; jest aktorem amatorem – odrzekła matka.

Pomyślałem wówczas o tych ludziach na stacjach, którzy poruszają kukiełkami – miałem na myśli ulicznych artystów, chociaż w wieku lat sześciu trudno mi było znaleźć odpowiednie słowo.

– On uczy gry aktorskiej i wystawia sztuki.

– To reżyser? – z nadzieją w głosie spytała babcia.

– Niezupełnie – wyjaśniła matka, marszcząc brwi. – Jechał do Gravesend na rozmowę w sprawie pracy.

– Aż trudno mi sobie wyobrazić, by teatr u nas mógł być czymś atrakcyjnym.

– Miał spotkanie w sprawie ewentualnej pracy na Akademii – odparła matka. – Chodziło o wykłady – historia dramatu czy coś takiego. A chłopcy przecież mają swój teatr. Pamiętasz, że z Martą chodziłyśmy na przedstawienia. Jakie to było zabawne, kiedy przebierali się za dziewczęta!

– To faktycznie było najzabawniejsze. Nie miałem pojęcia, że reżyserowanie takich przedstawień jest zawodem.

– A więc jest nauczycielem? – spytała babka. To w ostateczności Harriet Wheelwright mogła zaakceptować, chociaż jako kobieta interesu doskonale zdawała sobie sprawę, że zarobki, nawet w tak prestiżowej szkole przygotowawczej jak Akademia Gravesend, nie są na poziomie właściwym jej klasie.

– Tak! – wydusiła z siebie matka zmęczonym głosem. – Jest nauczycielem. Uczył sztuki aktorskiej w prywatnej szkole w Bostonie. A przedtem studiował na Harvardzie, rocznik 45.

– Na Boga! – wykrzyknęła babcia. – Dlaczego nie zaczęłaś od Harvardu?

– Bo nie przywiązuję do tego wagi.

Jednak Harvard, rocznik 45, był na tyle ważny dla babci, że jej zdenerwowane ręce uspokoiły się i zostawiwszy broszkę w spokoju, spoczęły na swoim miejscu na podołku. Po stosownej przerwie Lydia

cal po calu przesunęła wózek do przodu i podniósłszy mały srebrny dzwonek, potrząsnęła nim, by przywołać służące – ten sam dzwonek, który jakby dopiero wczoraj tak często przyzywał ją samą. Dzwonek uwolnił nas – choć tylko na moment – od paraliżującego napięcia. Z tego wszystkiego babcia zapomniała zapytać, jak się ten mężczyzna nazywa. Bowiem z jej punktu widzenia my, Wheelwrightowie, nie wypadliśmy sroce spod ogona, by nie znać nazwiska potencjalnego członka rodziny. Nie daj Bóg, żeby był to jakiś Cohen, Calamari czy Meany! Ręce babci znowu powędrowały do broszki.

– Nazywa się Daniel Needham – wyjaśniła matka. Fiu, fiu! Z jaką ulgą dłonie babci znów znalazły się na podołku! Needham to stare dobre nazwisko w rodzaju tych, jakie nosili „ojcowie pielgrzymi", nazwisko, które można znaleźć wśród założycieli Kolonii Zatoki Massachusetts, jeśli nie samego Gravesend. A Daniel był takim samym Danielem jak Daniel Webster; miał imię, jakiego Wheelwrightowie mogli sobie tylko życzyć.

– Ale mówią na niego Dan – dodała matka, wywołując lekką zmarszczkę niezadowolenia na obliczu babci. Harriet Wheelwright nigdy z Tabity nie robiła Tabby i gdyby przyszło jej zwracać się do Daniela, nigdy by nie zdrabniała jego imienia na Dan. Była jednak na tyle prawą i jednocześnie inteligentną kobietą, by ustąpić w tak drobnej kwestii.

– A więc się umówiłaś? – spytała babcia.

– Niezupełnie – odparła matka. – Jestem jednak pewna, że się z nim znowu zobaczę.

– Ale jeszcze żadnych planów nie robiłaś? – Wymijające odpowiedzi irytowały babcię. – Jeśli nie dostanie pracy na Akademii, to możesz się z nim nigdy więcej nie zobaczyć!

– Ale ja wiem, że się z nim spotkam – powtórzyła matka.

– Tak ci się tylko wydaje, że wszystko wiesz, Tabito Wheelwright – rzuciła babcia z gniewem w głosie. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego młodzi ludzie nie znoszą robienia planów. – Słowom tym, tak jak prawie wszystkiemu, co mówiła babcia, Lydia potakiwała z wielkim zrozumieniem. Jej milczenie było wymowne – babcia

powiedziała dokładnie to, co Lydia by sama zrobiła, tyle że babcia ją wyprzedziła o tych kilka chwil.

I wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Zarówno Lydia, jak i babcia spojrzały na mnie, jak gdyby tylko moi koledzy byli na tyle źle wychowani, by nieproszeni zjawiać się po kolacji.

– Kto to, na Boga? – spytała babcia. Obie z Lydią popatrzyły wymownie na zegarki, chociaż nie minęła jeszcze nawet ósma. Niebo nadal było dość jasne, a wiosenny wieczór pachniał upojnie.

– Założę się, że to on – rzuciła matka, wstając od stołu, by podejść do drzwi. Z aprobatą przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze nad kredensem, gdzie stygnąc, czekała pieczeń, i ruszyła do hallu.

– A więc jednak się umówiłaś? – obstawała przy swoim babcia. – Zaprosiłaś go?

– Niezupełnie. Ale powiedziałam mu, gdzie mieszkam!

– Już dawno zauważyłam, że wy, młodzi, nigdy nic nie załatwiacie jak trzeba – zwróciła się babcia bardziej do Lydii niż do mnie.

– Masz zupełną rację – przyznała Lydia.

Miałem już dość ich gadaniny. Od lat tego wysłuchiwałem. Podążyłem za matką do drzwi. Babcia, pchając przed sobą Lydię, ruszyła za mną. Wiedzieliśmy, że matka nie ma najmniejszych zamiarów odsłonić przed nami choćby rąbka tajemnicy, jaka otaczała pierwszego mężczyznę, którego prawdopodobnie spotkała w pociągu linii Boston & Maine, ale drugiego mężczyznę mogliśmy zobaczyć na własne oczy. Na progu domu przy Front Street 80 w Gravesend stał Dan Needham.

Oczywiście matka chodziła na „randki” i przedtem, ale nigdy nie wspominała, że chce, byśmy jakiegoś mężczyznę poznali, albo że go lubi lub też, że się na pewno z nim jeszcze zobaczy. Od początku mieliśmy więc świadomość, iż Dan to ktoś wyjątkowy.

Ciotka Marta, mówiąc o matce, że jest „dość łatwa”, miała chyba na myśli, że lubiła młodszych mężczyzn, ale w tym upodobaniu matka po prostu wyprzedzała swoje czasy. To prawda, iż mężczyźni, z którymi się umawiała, byli często nieco od niej młodsi. A nawet chodziła z kilkoma uczniami ze starszych lat Akademii, gdy tymczasem mogła być studentką ostatniego roku college’u. Po prostu

z nimi „chodziła”. Kiedy oni uczyli się jeszcze w szkole przygotowawczej, ona miała już ponad dwudziestkę i nieślubne dziecko, ale jej randki ograniczały się do potańcówek, kina i teatru oraz imprez sportowych.

Muszę przyznać, że przywykłem do odwiedzin dobiegaczy, którzy nigdy zresztą nie wiedzieli, jak się do mnie odnosić. Nie mieli najmniejszego pojęcia, w jaki sposób traktować sześciolatka. Przynosili mi gumowe kaczuszki do wanny czy inne zabawki dla niemowlaków albo też słowniki angielskie Fowlera, uważając widocznie, że każdy sześciolatek powinien właśnie tym się zajmować. A kiedy zobaczyli, że wprawdzie jestem nieduży, ale naprawdę jestem, kiedy zobaczyli moją nieuprzejmą, zawziętą minę, kiedy zorientowali się, że wyrosłem z zabawek do kąpieli, a jednocześnie nie dorosłem do gramatyki języka angielskiego, wówczas stawali na głowie, by mi zademonstrować pełną czułości uwagę, z jaką podchodzą do takiego kurdupla jak ja. Proponowali grę w berka na podwórku, a potem rzucali do mnie piłką lub paplali po dziecinnemu, żebym im pokazał swoją ulubioną zabawkę, po to, by następnym razem móc przynieść mi coś bardziej stosownego. Tyle że prawie nigdy nie było tego następnego razu. Kiedyś jeden z nich zapytał matkę, czy przestałem już siusiać w majtki – sądzę, że uważał to za zupełnie stosowne pytanie, nim zachęci mnie, bym usiadł mu na kolanach.

– Powinieneś był powiedzieć, że tak – zauważył Meany. – A potem zsikać mu się na spodnie.

O chłopcach mamy można powiedzieć jeszcze jedno – wszyscy byli przystojni. Pod tym względem więc zaskoczył mnie wygląd Dana Needhama – wysokiego gapy o kędzierzawych włosach koloru marchewki, który nosił okulary za małe jak na swoją jajowatą głowę. Te doskonale okrągłe soczewki nadawały mu lękliwy wygląd olbrzymiego sowiego mutanta, który się właśnie wybrał na łowy. Kiedy już sobie poszedł, babcia powiedziała, że chyba po raz pierwszy w historii Akademii Gravesend zatrudniono „kogoś, kto wygląda młodziej od swoich studentów”. Co więcej, był fatalnie ubrany – zbyt obcisła marynarka miała za krótkie rękawy, krok workowatych spodni wisiał gdzieś bliżej kolan niźli kobiecych bioder,

stanowiących zresztą jedyną zaokrągloną część tego bardzo szczególnego ciała.

Ja jednak byłem za młody i zbyt cyniczny, by poznać się na jego miłym charakterze. Jeszcze nim został przedstawiony babci oraz Lydii, a nawet mnie, zwrócił się wprost do mnie, mówiąc: „Ty jesteś chyba Johnny. W ciągu półtoragodzinnej jazdy z Bostonu do Maine dowiedziałem się o tobie tyle, iż sądzę, że można ci powierzyć ważną paczkę". Była to brązowa torba na zakupy, w której środku znajdowała się inna brązowa papierowa torba. O Boże, pomyślałem, nareszcie! Dmuchany wielbłąd, który pływa i wypluwa wodę. – „Ale nie, to nie dla ciebie – oświadczył Dan Needham – to nie jest dla kogoś w twoim wieku. Jednak ufam, że położysz torbę tak, że nikt na nią nie nadepnie, z dala od wszelkich czworonogów, jeśli takowe masz. Nie wolno ci dopuścić, żeby do torby podeszło jakieś zwierzę. I żadną miarą jej nie otwieraj. Powiedz mi tylko, kiedy się poruszy".

I wtedy wręczył mi to coś. Było za lekkie jak na „Modern English Usage" Fowlera, i jeśli miałem to trzymać z dala od zwierząt i powiedzieć, kiedy się poruszy, to to coś musiało być żywe. Szybko wsunąłem torbę pod stół w hallu, który nazywaliśmy stołem telefonicznym, i stanąłem między salonem i hallem, żeby widzieć, jak Dan Needham siada.

Znalezienie miejsca do siedzenia w salonie babci nigdy nie należało do rzeczy łatwych, ponieważ na wielu meblach, mimo takiego właśnie ich przeznaczenia, nie można było siadać. To antyki, które babcia trzymała ze względów historycznych; siadanie nie wychodziło im na dobre. Dlatego też, chociaż w salonie wspaniale prezentowały się obite skórą krzesła i kanapy, tylko na kilku można było spocząć, tak iż gość, zgiąwszy już kolana, nagle na okrzyk babci: „Na Boga! Nie na tym! Na tym nie można siadać!", podrywał się na równe nogi. Skonfundowany usiłował usiąść na kolejnym krześle czy kanapie, które w opinii babci miały się zawalić pod jego ciężarem. Przypuszczam, że babcia zauważyła, iż Dan Needham jest wysoki i że ma sporych rozmiarów tyłek, a to znaczyło jeszcze mniej niż zwykle miejsc do siedzenia. Na dodatek Lydia, nie dość zręcznie przemieszczająca się na swym wózku inwalidzkim, ciągle wjeżdżała

w paradę, a ani matka, ani babcia nie miały na tyle przytomności umysłu, by ją po prostu odsunąć.

A więc salon stał się świadkiem idiotycznej, pełnej zamieszania sceny, kiedy Dan Needham krążył od jednego do drugiego cennego antyku, matka i babcia co rusz wpadały na wózek Lydii, babcia zaś wykrzykiwała przy tym polecenia, gdzie kto ma usiąść. Ja trzymałem się na uboczu, nie spuszczając oka ze złowieszczej torby na zakupy i wyobrażając sobie, że się odrobinę poruszyła lub że pojawił się obok jakiś tajemniczy czworonóg i zjadł to coś, co jest w środku, bądź został przez to coś zjedzony. Nigdy nie mieliśmy w domu żadnego zwierzaka, babcia uważała bowiem, że ludzie, którzy trzymają zwierzęta, robią pośmiewisko z samych siebie, świadomie zniżając się do ich poziomu. Niemniej jednak byłem niezwykle podniecony, obserwując torbę i wyczekując najmniejszego choćby poruszenia. Z jeszcze większym zaciekawieniem przyglądałem się temu pełnemu głupiej nerwowości rytuałowi dorosłych, jaki rozgrywał się w salonie. Stopniowo jednak całą moją uwagę pochłonęła torba. Wycofałem się ze swej pozycji na progu salonu do hallu, zasiadając po turecku na dywanie naprzeciw stołu z telefonem. Boki torby prawie że oddychały i wydawało mi się, że czuję obcy całkowicie zapach. W związku z podejrzeniami, jakie zapach ten we mnie wzbudzał, zacząłem przysuwać się coraz bliżej torby, aż wczołgałem się pod stolik z telefonem i przyłożywszy ucho do leżącego pakunku, nasłuchiwałem, zaglądając jednocześnie do środka, jednak druga torba tkwiąca wewnątrz torby na zakupy zasłaniała mi widok.

W salonie rozmawiano o historii, bo Dan Needham miał zacząć pracować właśnie na Wydziale Historii. Wiadomości, jakie zdobył na Harvardzie, wystarczyły, by móc w tym zakresie prowadzić wykłady na zwykłych kursach w Gravesend. „Och, dostałeś pracę! – stwierdziła matka. Jego podejście wyróżniało się umiejętnością wykorzystania historii dramatu – tu powiedział coś o rozrywkach, które charakteryzują dany okres w takim samym stopniu, jak tak zwana polityka, ale ja, pochłonięty bez reszty zawartością torby na zakupy w hallu, zatraciłem sens jego uwag. Podniosłem torbę i położywszy ją na kolanach, czekałem, aż się poruszy.

W trakcie rozmowy z członkami Wydziału Historycznego oraz dyrektorem Dan Needham, jak twierdzi, poprosił o trochę czasu, by móc zwrócić się do studentów, a także członków Wydziału, którzy interesują się teatrem, i w swoim wystąpieniu usiłował pokazać, w jaki sposób rozwój niektórych technik teatralnych oraz pewne umiejętności dramaturgiczne mogą wzbogacić nasze rozumienie nie tylko postaci na scenie, ale także czasu i miejsca akcji. A na tego typu zajęcia ze studentami historii dramatu zawsze przynosił jakiś „rekwizyt" – coś interesującego, by przyciągnąć uwagę słuchaczy bądź odciągnąć ich od tego, co im ostatecznie miał pokazać. Pomyślałem sobie, że zalicza się raczej do osób gadatliwych.

– Jakie rekwizyty? – zapytała matka.

– Tak, jakie? – powtórzyła Lydia.

Dan Needham odparł, że za „rekwizyt" może posłużyć cokolwiek. Kiedyś wykorzystał piłeczkę tenisową, kiedy indziej ptaka w klatce.

Mam! Pomyślałem, że to w torbie jest twarde, bez życia, nieruchome, i taka właśnie mogłaby być klatka na ptaki. Ptaka oczywiście nie mogłem dotknąć. Ale chciałem go zobaczyć, więc z drżeniem serca i najciszej, jak to możliwe, żeby ci nudziarze w salonie nie usłyszeli szelestu papieru, odchyliłem brzeg torby znajdującej się w drugiej torbie.

To coś, co uważnie mi się przyglądało, nie było jednak ptakiem i żadna klatka nie powstrzymałaby tego stworzenia przed rzuceniem się na mnie, stworzenie zaś najwyraźniej miało wielką ochotę to zrobić. Z wąskiego jak nos lisa pyska, którym celowało prosto we mnie niczym z rewolweru, wyzierała srogość. Dzikie, błyszczące oczy, w których nie było cienia strachu, rzucały spojrzenia pełne nienawiści. Pazury u przednich łap, które wyciągały się w moją stronę, były długie, wręcz prehistoryczne. Stworzenie wyglądało jak łasica w skorupie, przypominało pokrytą łuskami fretkę.

Krzyknąłem. Zupełnie zapomniałem, gdzie siedzę, bo kiedy się poderwałem, przewróciłem stolik, zaplątując nogi w sznurze telefonicznym. Nie mogłem uciec. I nagle wypadłem z hallu do salonu, pociągając za sobą z olbrzymim rumorem telefon, stolik, a także zwierzę w torbie. Znowu krzyknąłem.

– O Boże! – jęknęła babcia.

– Mówiłem ci, że otworzy torbę – rzucił Dan Needham wesoło.

Najpierw pomyślałem, że Dan Needham to taki sam głupiec jak wszyscy inni, który nie ma pojęcia o podstawowych sprawach: jeśli sześcioletniemu dzieciakowi mówi się, żeby nie otwierał torby, to jest to wyraźne zaproszenie, żeby ją właśnie otworzył. Ale on doskonale wiedział, jakie są sześciolatki. A dla wyjaśnienia sprawy dodajmy, że Dan Needham zawsze miał w sobie coś z sześciolatka.

– Co, na Boga, jest w tej torbie? – zapytała babcia, kiedy w końcu, wyplątawszy się z przewodu telefonicznego, doczołgałem się do matki.

Mój rekwizyt! – odparł Dan Needham.

Niezły rekwizyt – w torbie siedział wypchany pancernik! Dla chłopca z New Hampshire pancernik wyglądał jak mały dinozaur, kto bowiem w New Hampshire kiedykolwiek słyszał o ponadpółmetrowym szczurze z pancerzem na grzbiecie i ze szponami jak u mrówkojada? Pancernik odżywia się owadami, glistami, pająkami i ślimakami, ale skąd ja mogłem o tym wszystkim wiedzieć? Patrzył, jakby co najmniej miał ochotę zjeść mnie.

Dan Needham zostawił go w prezencie. Był to pierwszy podarunek od jednego z „chłopców" matki, który sobie zatrzymałem. Jeszcze przez lata, kiedy pancernik dawno już stracił pazury i ogon, zapadły mu się boki, nos złamał się w połowie i wypadły szklane oczy, przechowywałem kostne tarczki z jego pancerza.

Strasznie mi się ten pancernik podobał i Owenowi Meany'emu również. Nieraz na przykład bawiliśmy się na strychu, pastwiąc nad babciną przedpotopową maszyną do szycia lub przebierając się w ubrania nieboszczyka dziadka, a Owen ni z tego, ni z owego rzucał: „Chodźmy po pancernika. Przynieśmy go tutaj i ukryjmy w garderobie".

Szafa z ubraniami po zmarłym dziadku była olbrzymia i pełna tajemnic, miała mnóstwo zakamarków, półek wysoko nad głową oraz niezliczone rzędy butów. Chowaliśmy pancernika w rękawie starego smokingu, w wysokim kaloszu czy pod melonikiem. Albo wieszaliśmy go na szelkach. Jeden z nas chował go w szafie, a drugi musiał znaleźć, mając tylko latarkę do dyspozycji. I chociaż widzieliśmy pancernika setki razy, to kiedy natykaliśmy się na niego w ciemnej

szafie, niespodziewanie oświetlony pysk, na którym malowało się obłąkanie i furia, nieodmiennie napawał nas strachem. I za każdym razem ten, który go znajdował, wydawał okrzyk przerażenia.

Wrzaski Owena niejednokrotnie ściągały uwagę babci, która nie miała specjalnie ochoty wspinać się po chybotliwych schodach na górę i mocować z klapą na strych. Stawała wówczas u stóp schodów, wołając: „Chłopcy! Nie tak głośno". Czasami dodawała, żebyśmy ostrożnie obchodzili się ze starowinką-maszyną do szycia i ubraniami dziadka, bo któregoś dnia będzie może chciała je sprzedać. „Dobrze wiecie, że ta maszyna to antyk!" No, cóż. Prawie wszystko w domu przy Front Street było jednym wielkim antykiem i, o czym doskonale z Owenem wiedzieliśmy, nic nie pójdzie na sprzedaż, przynajmniej dopóki babcia żyje. Lubiła swoje antyki, czego świadectwem była rosnąca liczba krzeseł i kanap w salonie, na których nikomu nie pozwalała usiąść.

Jeśli zaś chodzi o rupiecie na strychu, to wiedzieliśmy, że nic im nie grozi. Szukanie pośród tych reliktów przeszłości napawającego przerażeniem pancernika, który sam wyglądał jak jakiś relikt świata zwierzęcego, jak jakiś pierwotny okaz z epoki, gdy ludzie przy każdym wyjściu z jaskini narażali się na śmiertelne niebezpieczeństwo... polowanie na tego wypchanego stwora pośród artefaktów ze świata kultury mojej babci było jedną z ulubionych zabaw Owena Meany.

– Nie mogę go znaleźć – wołał z szafy. – Mam nadzieję, że nie schowałeś go w butach, ponieważ nie chciałbym na niego nadepnąć. I że nie położyłeś go na górnej półce, ponieważ nie chcę go mieć nad głową. Nie znoszę, jak patrzy na mnie z góry. I nie byłoby ładnie z twojej strony, gdybyś go schował, żeby spadł na mnie, jeślibym przypadkiem czegoś dotknął, ponieważ to zbyt straszne. A jeśli jest w rękawie, nie mogę go znaleźć, nie sięgnąwszy do środka. I to także jest nie w porządku.

– Zamknij się i szukaj – odpowiadałem.

– Nie powinieneś wsadzać go do pudła na kapelusze – dodawał, gdy tymczasem ja nasłuchiwałem, jak potyka się o buty w szafie. – A także nie fair, jeśli wyskoczy na mnie, ponieważ powiesiłeś go na szelkach, tak żeby… Aaaaaaaaa! To nie fair!

Zanim w moim życiu pojawiło się coś tak egzotycznego jak pancernik, którego przyniósł Dan Needham, czy sam ofiarodawca, rzeczy niezwykłych mogłem się spodziewać wyłącznie w związku z Owenem Meanym, a także wakacjami szkolnymi i częścią lata, kiedy podróżowaliśmy z matką „na Północ", by odwiedzić ciotkę Martę i jej rodzinę.

Dla mieszkańców nadmorskiego New Hampshire określenie „północ" mogło oznaczać dowolne miejsce w tymże stanie, ale ciotka Marta i wuj Alfred mieszkali w Białych Górach, nazywanych powszechnie „północą krainą", i kiedy oni lub moi kuzyni mówili, że jadą „na Północ", oznaczało to stosunkowo krótką podróż do jednego z wielu miast położonych nieco na północ, takich jak Bartlett czy Jackson, gdzie są doskonałe warunki narciarskie. A jezioro Loveless, w którym latem się kąpaliśmy, również leżało „na północ" od Sawyer Depot – miejsca, gdzie mieszkali Eastmanowie. Była to ostatnia przed North Conway stacja kolejowa linii Boston & Maine, gdzie wysiadała większość narciarzy. W każde wakacje Bożego Narodzenia i Wielkanocy razem z matką, obładowani nartami, wysiadaliśmy z pociągu w Sawyer Depot. Do domu wujostwa z dworca mogliśmy już dojść pieszo. Latem wybieraliśmy się tam co najmniej raz, i wówczas, bez nart, szło się jeszcze łatwiej.

Te właśnie podróże – co najmniej dwie godziny jazdy w jedną stronę – były najlepszą okazją, bym mógł wyobrażać sobie matkę jadącą pociągiem linii Boston & Maine w przeciwnym kierunku – na południe, do Bostonu, dokąd prawie nigdy nie jeździłem. Zawsze uważałem, że pasażerowie podróżujący na północ – narciarze, turyści, miłośnicy górskich jezior – różnią się zasadniczo od pasażerów miejskich. Ci mężczyźni i kobiety nie szukali sposobności, by się z kimś umówić, ani nie pędzili na umówione spotkanie. Rytuał podróży kolejowych na północ był dla mnie niezapomniany, chociaż w pamięci nie zostało mi nic z podróży powrotnych do Gravesend. Do dnia dzisiejszego podróże powrotne, obojętne skąd, przeważnie wywołują u mnie pełne nudy odrętwienie bądź kamienny sen.

Za każdym razem, kiedy jechaliśmy z mamą pociągiem do Sawyer Depot, ważyliśmy zalety jazdy z lewej strony wagonu, tak by widzieć

Mt Chocorua, oraz z prawej, gdzie naszym oczom ukazywało się jezioro Ossipee. Widząc Chocorua, mogliśmy ocenić, ile będzie śniegu tam, dokąd jedziemy, ale wokół jeziora zawsze się więcej dzieje niż na górze, często zatem „decydowaliśmy się na Ossipee" – jak to nazywaliśmy. Urządzaliśmy też sobie zabawę, polegającą na zgadywaniu, gdzie kto wysiądzie, a ja zawsze zjadałem za dużo tych malutkich kanapeczek do herbaty z odciętą skórką, które serwowano w pociągu. Takie opychanie się miało uzasadnić moją przymusową wycieczkę do chyboczącej się dziury klozetowej. W dole umykały w zawrotnym tempie podkłady kolejowe, a pęd cuchnącego powietrza bił w mój goły tyłek.

– Już prawie dojeżdżamy do Sawyer Depot, Johnny – powtarzała zawsze matka. – Czy nie byłoby ci wygodniej, gdybyś poczekał, aż przyjedziemy do cioci Marty?

I tak, i nie. Prawie zawsze mogłem poczekać. Jednakże chodziło nie tylko o to, by wypróżnić pęcherz i jelita, nim spotkam się z ciotecznym rodzeństwem, była to również nieodzowna próba odwagi – siedzieć tak z gołym tyłkiem, wypiętym nad niebezpiecznym otworem, i wyobrażać sobie, jak bryły węgla i obluzowane haki szynowe ranią mnie, wpadając do środka z potworną prędkością. Należało wypróżnić pęcherz i jelita ze względu na brutalny sposób, w jaki miałem zostać w najbliższym czasie potraktowany – musiałem przygotować się na gwałtowne łamańce przy powitaniu z kuzynami, jeśli nie wręcz na użycie siły. Trzeba było zebrać się w sobie, by im stawić czoło, trochę się pobać, aby w ten sposób pokonać strach przed wszystkimi niespodziankami, jakie niosły ze sobą wakacje.

Moi kuzyni nie byli tchórzami znęcającymi się nad słabszymi – tego bym nie powiedział. To kłótliwi łobuziacy i szaleńcy o dobrym sercu, którzy szczerze chcieli, bym się dobrze bawił, ale zabawa w rozumieniu mieszkańca Północy nie była tym samym, do czego przywykłem w swoim życiu, mieszkając w Gravesend w domu przy Front Street 80, i to jedynie z kobietami. Nie mocowałem się z babcią ani nie boksowałem z Lydią, nawet wówczas, gdy miała obie nogi. Z mamą grałem wprawdzie w krokieta, ale krokiet to nie sport, w którym ma się bezpośredni kontakt fizyczny

z przeciwnikiem. A biorąc pod uwagę, że moim najlepszym przyjacielem był Owen Meany, w domu nie miałem zbyt dużo okazji do gimnastycznych wybryków.

Matka kochała swoją siostrę i szwagra. W ich towarzystwie czuła się osobą mile widzianą i kimś szczególnym. Robili wszystko, żebym ja też się tak czuł. A matka niewątpliwie cieszyła się tymi rzadkimi chwilami z dala od władczej mądrości babci.

Babcia zjawiała się w Sawyer Depot na kilka dni w czasie Bożego Narodzenia. Z wielkim szumem zjeżdżała też każdego lata na jeden weekend, jednakże za Północą specjalnie nie przepadała. I chociaż była absolutnie tolerancyjna wobec podejmowanych przeze mnie jednego prób niszczenia dorosłego życia przy Front Street, a nawet względnie tolerancyjna wobec zabaw, które z Owenem Meanym urządzaliśmy w starym domu, to niezależnie od miejsca nie miała za grosz cierpliwości do zamieszania, jakie powstawało, gdy spotykały się wszystkie wnuki naraz. Wizyty Eastmanów w Gravesend w Święto Dziękczynienia stanowiły zakłócenie spokoju w kategoriach „zniszczeń wojennych", jak to określała babcia przez dobrych kilka miesięcy potem.

Moi kuzyni zaliczali się do niezwykle walecznych sportowców – babcia nazywała ich „wojownikami" – i w ich towarzystwie stawałem się kimś zupełnie innym. Bałem się ich, a z drugiej strony uwielbiałem. Nie potrafiłem ukryć podniecenia, w miarę jak zbliżał się czas naszego spotkania, jednocześnie zaś nie mogłem doczekać się chwili, gdy się od nich uwolnię. Tęskniłem za spokojnymi zabawami, w których uczestniczyłem tylko ja, tęskniłem za Owenem Meanym. A nawet brakowało mi bezustannych, choć nie pozbawionych podstaw, zgryźliwych uwag babci.

Moi kuzyni – Noah, Simon i Hester (wymieniam ich według wieku) – byli wszyscy ode mnie starsi: Hester o niecały rok, chociaż zawsze była wyższa. Od Simona byłem młodszy o dwa lata, od Noaha o trzy. Wprawdzie nie są to zbyt duże różnice, jednak w tym wieku miały istotne znaczenie, gdyż moi kuzyni byli we wszystkim ode mnie lepsi.

Ponieważ wychowali się na Północy, doskonale jeździli na nartach. Ja, mówiąc delikatnie, jeździłem bardzo ostrożnie, swoje szerokie, łagodne zakręty wzorując na pełnych wdzięku krystianiach matki,

którym brakowało jednak śmiałości. Była śliczną średnio zaawansowaną narciarką, nigdy jednak nie traciła panowania nad nartami. Nie uważała, by istotą sportu była szybkość. Nie zmagała się również z górą. Moje rodzeństwo urządzało na zboczu wyścigi, zajeżdżając sobie nawzajem drogę i podcinając jedno drugie. Rzadko kiedy szusowali wzdłuż oznaczonych tras. Wpędzali mnie w lesie w głęboki puch, z którego nie można się było wygrzebać, a ja usiłując za nimi nadążyć, przestawałem zjeżdżać ostrożnie, w kontrolowany sposób, tak jak nauczyła mnie tego matka, i w rezultacie z rozkraczonymi nogami lądowałem na drzewach, gubiłem gogle w zamarzniętych strumieniach czy rozpaczliwie chwytałem się ośnieżonych płotów.

Kuzyni naprawdę starali się nauczyć mnie utrzymywania nart równolegle i podskoków na hopach, ale niedzielny narciarz nigdy nie dorówna mieszkańcowi Północy. Przez swoją brawurę postawili mi poprzeczkę tak wysoko, iż w końcu jeżdżenie z matką nie sprawiało mi żadnej przyjemności. Miałem poczucie winy, że jeździ sama, ale matka rzadko kiedy narzekała na samotność. Pod koniec dnia można ją było spotkać trenującą pod czujnym okiem jakiegoś przyszłego albo świeżo upieczonego instruktora.

Ze wspólnych zjazdów z kuzynami pamiętam długie, upokarzające i bolesne upadki. Zbierali wówczas moje kijki, rękawiczki i czapkę, które leżały rozrzucone na stoku.

– Nic ci się nie stało? – pytał najstarszy kuzyn Noah. – Wyglądało to nieprzyjemnie.

– Wyglądało wspaniale! – mówił wtedy Simon, który uwielbiał wywijać orły. Zawsze szukał guza.

– Jeśli nie przestaniesz tak jeździć, to nie będziesz miał dzieci – dorzuciła Hester, dla której każde wydarzenie naszego wspólnego dzieciństwa było albo seksualnie pożyteczne, albo seksualnie szkodliwe.

Latem jeździliśmy na nartach wodnych po jeziorze Loveless, nad którym Eastmanowie mieli hangar, gdzie na pięterku urządzili sobie pub w angielskim stylu. Wuj Alfred był bowiem anglofilem. Matka

z ciotką Martą żeglowały, wuj Alfred natomiast z nieodłącznym piwem w ręku jak szalony prowadził na pełnym gazie motorówkę. Ponieważ sam nie jeździł na nartach, uważał, że zadaniem prowadzącego łódź jest maksymalnie utrudnić drogę narciarzowi. Potrafił na przykład w środku zakrętu nagle się cofnąć, tak iż linka obluzowywała się albo całkiem zatapiała. To znowu kreślił morderczą ósemkę czy działał przez pełne zaskoczenie, naprowadzając cię na tor nadpływającej z przeciwka łodzi bądź innego równie zaskoczonego narciarza, których nie brakowało na zatłoczonym jeziorze. Jakakolwiek jednak była przyczyna wywrotki, wuj Alfred zasługę przypisywał tylko sobie. Kiedy ktoś pędzący za łodzią wzbijał fantastyczną fontannę, ślizgając się po powierzchni wody z oderwanymi nartami, z głową to w górze, to w dole, wuj Alfred wydawał wówczas okrzyk: „Bingo!”

Jestem żywym dowodem na to, że woda z Loveless nadaje się do picia, ponieważ jeżdżąc co lato na nartach wodnych z moimi kuzynami, wypijałem chyba połowę jeziora. Pewnego razu uderzyłem o powierzchnię wody tak silnie, że prawa powieka w bardzo zabawny sposób wywinęła mi się do góry. Simon rzekł na to, że straciłem ją bezpowrotnie, Hester zaś dodała, iż może to doprowadzić do ślepoty. Na szczęście wujowi Alfredowi po kilku pełnych napięcia minutach udało się zlokalizować zgubioną powiekę.

Z moim rodzeństwem ciotecznym nieźle rozrabialiśmy również w domu. Po dzikiej walce na poduszki nie mogłem złapać tchu. Urządzaliśmy sobie też zabawę, która polegała na tym, że Noah i Simon wsadzali mnie związanego do kosza na brudną bieliznę Hester, gdzie dziewczyna zawsze mnie znajdowała. I jeszcze zanim mnie rozwiązała, oskarżającym tonem robiła mi wyrzuty, że wącham jej bieliznę. Zdawałem sobie sprawę z tego, że Hester specjalnie zależało na moich wizytach, ponieważ nie mogła sobie darować, że jest gorsza od braci. Nie to, żeby się nad nią znęcali czy jej dokuczali. Zważywszy, że byli chłopcami, i to starszymi od niej, ona zaś dziewczyną, w dodatku młodszą, wydaje mi się, że traktowali ją wspaniale. Jednakże moi kuzyni we wszystkim ze sobą współzawodniczyli i Hester drażniło, że przegrywa. Naturalnie, jej bracia byli „lepsi” od niej we wszystkim. Jakże musiała się cieszyć

z mojej obecności, kiedy to wreszcie ona mogła być „lepsza” ode mnie, nawet w toczeniu dużych kloców z wyrębu w składzie drewna i tartaku Eastmana. Bawiliśmy się również w zdobywanie sterty trocin, często wysokiej na jakieś osiem, dziesięć metrów. Trociny na spodzie, te, które leżały bezpośrednio na ziemi, były niejednokrotnie twarde jak kamień albo przynajmniej podmarznięte. Chodziło o to, by zostać królem góry i zrzucać pozostałych z wierzchołka na sam dół albo zagrzebać atakującego w trocinach.

Najgorsze, co cię mogło spotkać, kiedy tkwiłeś zakopany po brodę w trocinach, to to, że pies pilnujący składu drewna, zawsze obśliniony bokser Eastmanów, bezrozumne, choć przyjazne zarazem stworzenie o obrzydliwie cuchnącym oddechu, który przywodził na myśl trupy wygrzebane z ziemi... Otóż tego psa o pysku kostuchy wołano, by lizał mnie po twarzy. Tkwiąc zaś w trocinach, bezręki niczym totem Watahantoweta, nie miałem sił, by go odegnać.

Mimo to uwielbiałem widywać się z moimi kuzynami. Wprowadzali takie ożywienie, że w ich domu z rzadka mogłem zasnąć i całymi nocami leżałem rozbudzony, czekając, aż się rzucą na mnie lub wpuszczą do mego pokoju tego boksera, Firewatera, który zalizałby mnie na śmierć. Albo leżałem, wyobrażając sobie, w jakich to wyczerpujących zawodach przyjdzie mi nazajutrz uczestniczyć.

Dla matki nasze podróże do Sawyer Depot stanowiły krótki okres wytchnienia – świeże powietrze, beztroskie rozmowy z ciotką Martą i te bez wątpienia potrzebne jej chwile oddechu od klaustrofobicznego zamknięcia, jakim było życie z babcią, Lydią i służącymi na Front Street. Matka uwielbiała wyjeżdżać z domu. Kto zresztą nie lubi! Prawie każdemu jest to potrzebne. Mnie jednak Sawyer Depot przypominało obóz treningowy. Ale w kontaktach z kuzynami nie same sporty były sprawą najbardziej ekscytującą. Najbardziej w tych zawodach podniecał lekki seksualny klimat, który nieodmiennie towarzyszył naszej rywalizacji, a zwłaszcza rywalizacji z Hester.

Po dziś dzień spieram się z Noahem i Simonem, czy Hester „stanowiła wytwór” swego otoczenia, które prawie całkowicie zostało ukształtowane przez nich dwóch – takie przynajmniej było moje zdanie – czy też urodziła się z nadmiernym ładunkiem agresji

seksualnej i skłonnością do rodzinnych animozji, jak twierdzą Noah i Simon. Wszyscy natomiast jesteśmy zgodni co do tego, że ciotka Marta jako wzór kobiecości nie wywoływała aż tak silnego wrażenia, jakie budziła męskość wuja Alfreda. Tartak Eastmana zajmował się ścinaniem drzew, karczowaniem lasu, cięciem drewna – to dopiero były męskie roboty!

Dom w Sawyer Depot należał do pięknych i przestronnych, ponieważ ciotka Marta odziedziczyła po matce dobry gust i wniosła w małżeńskim posagu własne pieniądze. Jednakże wuj Alfred bez wysiłku pomnożył ten majątek, robiąc niezłą fortunę. Uchodził także za wzór męskości z tej przyczyny, że był bogaty, a ubierał się jak drwal. To, że większość czasu spędzał za biurkiem, nie miało wpływu na jego wygląd. Nawet jeśli na krótko zaglądał do tartaku, bo do lasu, gdzie wycinano drzewa, zapuszczał się nie częściej niż dwa razy w tygodniu, to wyglądał, jakby nic innego nie robił. Wprawdzie był okropnie silny, ale nigdy nie widziałem, by wziął się bodaj do najlżejszej fizycznej roboty. Tryskał wyśmienitym zdrowiem i chociaż „w polu" spędzał mało czasu, w gęstych włosach zawsze miał trociny, ze sznurowadeł w butach sterczały mu drzazgi, z kolan zaś brązowych dżinsów wypadały rozsiewające przyjemną woń igły sosnowe. Niewykluczone, że te igły, drzazgi i trociny przechowywał w szufladzie swego biurka.

Czy to zresztą ważne? Mocując się z moimi kuzynami i ze mną, wuj Alfred był zawsze przyjaźnie nastawionym przeciwnikiem. Roztaczał wokół siebie zapach prostej roboty, prawdziwą woń lasów. Nie wiem, jak ciotka Marta to znosiła, ale Firewater często spał na królewskim łożu w pokoju wujostwa, co było kolejną manifestacją męskości wuja Alfreda – to, że kiedy nie przytulał się do czarującej cioci Marty, rozwalał się w łóżku z dużym psem.

Wuj Alfred był wspaniałym człowiekiem – tak wówczas uważałem – i cudownym ojcem. Dla chłopców stanowił to, co dzisiaj różni idioci określają mianem pierwszorzędnego wzorca. Jednakże musiał być z niego trudny wzorzec dla Hester, gdyż jej pełna uwielbienia miłość wobec ciągłych przegranych w codziennej rywalizacji ze starszymi braćmi całkowicie ją przerastała, narażając na bezpodstawną wzgardę ciotki Marty.

Ale wiem, co by na to powiedział Noah – po prostu „gówno”; oświadczyłby, że jego matka jest wzorem słodyczy i opiekuńczości, bo też była! Tego nie kwestionuję. Ani tego, że antagonizm między Hester i matką był wrodzony, że moją kuzynkę cechowała wrodzona wrogość, którą odpowiadała na miłość rodziców, i że jedynym sposobem, w jaki mogła odegrać się na braciach za to, że jeżdżą szybciej na nartach zwykłych i wodnych i że zrzucają ją ze sterty trocin oraz wpychają brata ciotecznego do kosza z jej brudną bielizną, było onieśmielenie każdej dziewczyny, jaką którykolwiek z nich miał, i zrobienie sieczki z mózgu każdego ich kolegi. Co zresztą robiła.

Sprzeczności między naszymi cechami wrodzonymi a wpływem otoczenia nie sposób rozwikłać. Jest to zresztą trud jałowy, upraszcza bowiem tajemnice, które towarzyszą naszym narodzinom i naszemu dalszemu życiu.

Osobiście nadal jestem bardziej wyrozumiały w stosunku do Hester niż jej własna rodzina. Wydaje mi się, że od samego początku znajdowała się na straconych pozycjach i że jej przyszłość została określona w momencie, kiedy Noah i Simon zmusili mnie, bym ją pocałował, ponieważ dali mi tym wyraźnie do zrozumienia, że całowanie Hester to kara, że sankcja karna jest częścią gry – być zmuszonym pocałować Hester równało się przegranej.

Nie pamiętam dokładnie, ile mieliśmy lat, gdy po raz pierwszy musieliśmy się z Hester pocałować, ale na pewno było to w jakiś czas po zawarciu przez matkę znajomości z Danem Needhamem, ponieważ Dan spędzał z nami święta Bożego Narodzenia u Eastmanów w Sawyer Depot, ale jeszcze zanim matka za niego wyszła, nadal bowiem mieszkałem z nią w domu przy Front Street. W każdym razie ani Hester, ani ja nie osiągnęliśmy jeszcze wieku dojrzewania – nie byliśmy dojrzali seksualnie, jeśli można tak powiedzieć. Może w wypadku Hester nie było to zgodne z prawdą, ale w moim na pewno.

W każdym razie, na północy mróz zelżał, trochę popadał deszcz, a potem na poły stajały śnieg pozmarzał się w głębokich koleinach. Śnieg przypominał poszczerbioną taflę szklaną, co jeszcze bardziej podniecało Noaha i Simona. W moim natomiast wypadku jeżdżenie

na nartach w ogóle nie wchodziło w rachubę. Noah i Simon pojechali więc na północ stawić czoło żywiołom, ja zaś zostałem w niezwykle komfortowym domu Eastmanów. Nie pamiętam już, dlaczego Hester także została. Może miała akurat muchy w nosie albo po prostu wolała dłużej pospać. Nieważne zresztą dlaczego, fakt, że zostaliśmy razem i pod koniec dnia, kiedy Noah z Simonem wrócili, grałem z Hester w jej pokoju w Monopoly. Nienawidzę Monopoly, ale nawet kapitalistyczna gra stanowiła miłe wybawienie od bardziej męczących zajęć, do jakich zmuszali mnie kuzyni, Hester zaś, zupełnie wyjątkowo, była spokojna, a może rzadko widziałem ją samą, bez Noaha i Simona, w których towarzystwie trudno zachować spokój.

Leżeliśmy wygodnie rozłożeni na grubym miękkim dywanie w jej pokoju, gdzie kilka starych wypchanych zwierzątek służyło za poduszki, gdy chłopcy o twarzach i rękach zsiniałych od jazdy na nartach nas zaatakowali. Przegalopowali po planszy tak skutecznie, że nie było szans odtworzyć miejsca naszych hoteli, domów czy żetonów.

– No, no! – krzyknął Noah. – Popatrz tylko na te umizgi.

– Jakie znowu umizgi! – z gniewem zaprotestowała Hester.

– No, no! – zawtórował Noahowi Simon. – Strzeż się Hester Okrutnicy!

– Wynoście się z mojego pokoju! – wrzasnęła moja kuzynka.

– Kto ostatni okrąży dom, całuje Hester Okrutnicę! – rzucił Noah i chłopcy ruszyli biegiem. W panice spojrzałem na dziewczynę i pobiegłem za nimi. „Okrążenie domu" polegało na tym, że trzeba było pędem przebyć sypialnie od tyłu – pokój Noaha i Simona oraz pokój gościnny, który zajmowałem – a następnie zbiec kuchennymi schodami, okrążyć podest koło pokoju służącej, gdzie należało się spodziewać, że pokojówka May na nas nakrzyczy, i dotrzeć do kuchni wejściem, którego zwykle używała May, zatrudniona także jako kucharka. Potem goniliśmy się po kuchni i jadalni, po salonie i gabinecie wuja Alfreda, pod warunkiem oczywiście, że go nie było, a dalej ścigaliśmy się po frontowych schodach, pokojach gościnnych od strony ulicy, do których wchodziło się z głównego hallu, pędem biegliśmy przez sypialnię ciotki i wujka – oczywiście wtedy, kiedy byli

nieobecni – do hallu od tyłu, przylegającego do łazienki Hester. Finisz rozgrywał się w jej sypialni.

Oczywiście, May wynurzyła się ze swego pokoju, by nakrzyczeć na Noaha i Simona, że biegają po schodach, ale na podeście poza mną nie było już nikogo, kogo można by złajać. Nie pozostawało mi więc nic innego jak tylko zwolnić i wymamrotać do May „przepraszam". Oni zaś, dostawszy się z kuchni do jadalni, zamknęli za sobą drzwi wahadłowe, tak że minęło trochę czasu, nim je otworzyłem. Wuja Alfreda nie było w gabinecie. Zamiast niego siedział tam Dan Needham i coś czytał. Naturalnie, tylko ja jeden z całej trójki zwolniłem na tyle, by rzucić „cześć" Danowi. U szczytu frontowych schodów drogę zablokował mi Firewater. Na pewno spał w najlepsze, kiedy Noah i Simon przelecieli obok niego, teraz jednak był rozbudzony i chętny do zabawy. Usiłowałem go wyminąć, ale udało mu się złapać mnie za piętę. Nie mogłem przecież za daleko biec, ciągnąc psa za sobą, musiałem więc zatrzymać się i oddać mu skarpetkę.

Byłem zatem ostatni w biegu dookoła domu; zawsze dobiegałem ostatni, więc nikogo nie dziwiło, że przegrana, czyli pocałowanie Hester, mnie przypadła w udziale. By doszło do wymuszonego pocałunku, Noah i Simon nie mogli dopuścić, żeby siostra zamknęła się w łazience, co usiłowała zrobić, a następnie musieli przywiązać ją do łóżka; udało im się to dopiero po zażartej walce, kiedy doszło do oderwania głowy jednemu z wypchanych zwierzaków Hester, którego na próżno zniszczyła, waląc nim braci. W końcu, związana, leżała plackiem na łóżku, grożąc, że odgryzie wargi każdemu, kto by się ośmielił ją pocałować, co napawało mnie takim przerażeniem, że Simon i Noah musieli zużyć jeszcze więcej liny alpinistycznej, by przywiązać mnie do dziewczyny. Leżeliśmy tak w niezbyt wygodnej pozycji, twarz przy twarzy, a także, co miało nas jeszcze bardziej upokorzyć – pierś przy piersi, biodro przy biodrze. Grozili, że nas nie rozwiążą, póki się nie pocałujemy.

– Pocałuj ją! – rozkazał Noah.

– Daj mu się pocałować, Hester! – nalegał Simon.

Wydaje mi się teraz, że ta propozycja nie była tak przykra dla Hester jak dla mnie. Ja wiedziałem tylko tyle, że usta kuzynki są

równie zachęcające jak pysk Firewatera. Chyba jednak oboje zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że potencjalne zażenowanie z powodu tej małżeńskiej pozycji pod bacznym okiem Noaha i Simona, którzy z uwagą przyglądali się najmniejszym nawet naszym poruszeniom, może być na dłuższą metę bardziej przykre niż pojedynczy pocałunek. Jakże byliśmy naiwni, myśląc, że Noah i Simon zechcą poprzestać na jednym pocałunku! Spróbowaliśmy się leciutko musnąć ustami, ale Noah rzucił: „Nie dotknęliście się wargami". Spróbowaliśmy jeszcze raz, zbliżając wargi na tak krótko, że nie zabrakło nam powietrza, lecz to nie usatysfakcjonowało Simona, który polecił: „Otwórzcie usta". Otworzyliśmy usta. Musieliśmy coś zrobić z nosami, które nam przeszkadzały, by w zdenerwowaniu móc się delektować przenikaniem śliny z ust do ust, ocieraniem się wilgotnych języków, niespodziewanym szczękiem zębów. Byliśmy złączeni tak długo, że musieliśmy zacząć oddychać. Zdumiałem się, jak słodki jest oddech mojej kuzynki. Kiedy to sobie dzisiaj przypomnę, mam nadzieję, że i mój nie był najgorszy.

Kuzyni równie nagle, jak wymyślili zabawę, ogłosili jej zakończenie. Ale nigdy już nie podchodzili z podobnym entuzjazmem do często dotychczas powtarzanej gonitwy po domu, kończącej się przymusowym pocałunkiem z Hester dla tego, kto przegra. Być może, zdali sobie sprawę, że rozmyślnie zacząłem przegrywać. Ciekawe też, co sobie myśleli, gdy nas rozwiązali, i Hester rzekła do mnie:

– Czułam, jak ci stwardniał.

– Nieprawda – zaprzeczyłem.

– Prawda. Nie był jeszcze taki twardy ani duży. Ale go czułam.

– Nieprawda – powtórzyłem.

– A właśnie, że tak – upierała się Hester.

Była to jednak prawda. Przyznać trzeba, że nie był duży. Być może też i nie za twardy, ale stał.

Czy Noah i Simon zastanawiali się kiedykolwiek, że ta zabawa może być groźna? Sposób, w jaki uprawiali narciarstwo wodne czy zimowe, a później jeździli samochodem, sugerował raczej, że w niczym nie dostrzegali niebezpieczeństwa. Ale niebezpieczeństwo kryło się w Hester i we mnie. Oni je zapoczątkowali – Noah i Simon.

Uratował mnie Owen Meany. Jak się zorientujecie, to on zawsze mnie ratował. Ale trwający całe życie proces wyciągania mnie z opresji Owen zaczął od uratowania mnie przed Hester.

Owen był cholernie czuły na punkcie moich spotkań z rodzeństwem ciotecznym. Wpadał w zły humor na wiele dni przedtem, nim wyjechałem do Sawyer Depot, i jeszcze przez wiele dni po powrocie boczył się poirytowany. I chociaż nie omieszkałem mu wyjaśnić, jak wyczerpujący psychicznie i męczący jest czas spędzany z kuzynami, mimo to zrzędził. Wydaje mi się, że był zazdrosny.

– Tak sobie właśnie myślałem – zaczął. – Prawda, że kiedy mnie prosisz, bym został u ciebie na noc, to prawie zawsze zostaję i bawimy się dobrze, no nie?

– Ma się rozumieć – odparłem.

– No więc, gdybyś mnie poprosił, żebym pojechał z tobą i matką do Sawyer Depot, to prawdopodobnie bym pojechał – kontynuował Owen. – A może bym się nie spodobał twoim kuzynom, co?

– Jasne, że by cię polubili, ale wątpię, czy oni by się spodobali tobie. – Nie wiedziałem, jak mu powiedzieć, że moim zdaniem czułby się okropnie w ich towarzystwie; jeśli my go podnosimy i podajemy ponad głowami w szkółce niedzielnej, to trudno sobie wyobrazić, jakie zabawy z Owenem mogliby wymyślić moi kuzyni.

– Nie umiesz jeździć na nartach – powiedziałem. – Ani na nartach wodnych – dodałem. – Nie wydaje mi się też, by ci się podobało toczenie pni albo zabawa w stertach trocin. – Mógłbym też dodać „czy całowanie Hester”, ale nie potrafiłem sobie wyobrazić Owena w tej sytuacji. O Boże, pomyślałem, przecież moi kuzyni by go wykończyli!

– Może twoja matka mogłaby mnie nauczyć jeździć na nartach? A toczenie pni nie jest chyba obowiązkowe, no nie?

– Ale za moimi kuzynami trudno nadążyć. Nie zawsze masz czas odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

– Może mógłbyś ich poprosić, by nie obchodzili się ze mną tak ostro, przynajmniej dopóki się nie przyzwyczaję – zasugerował. – Chybaby cię posłuchali?

Trudno było sobie wyobrazić Owena w tym towarzystwie! Wydaje mi się, że już na sam jego widok wstąpiłby w moich kuzynów diabeł.

A co dopiero, gdyby się odezwał, gdyby po raz pierwszy usłyszeli jego głos! Wystarczyło sobie wyobrazić, jak wymyślają różne sztuczki, żeby zrobić z Owena pocisk. Zrobiliby z niego lotkę do badmintona, przywiązaliby go do pojedynczej narty, spuścili z góry i pognali na dół. Kazaliby mu siedzieć w misce do sałaty i przy dużej szybkości ciągnęli za sobą po jeziorze Loveless. Zakopaliby go w stercie trocin i zgubili. Nigdy by chłopaka nie znaleźli. I zjadłby go Firewater.

– Problem w tym, że moi kuzyni, hm... jak by tu... Trudno mieć nad nimi jakąś kontrolę – wyjaśniłem.

– Z tego, co mówisz, wynika, że są jak dzikie bestie – stwierdził Owen.

– Bo właśnie są – dodałem.

– Ale bawisz się z nimi dobrze. A dlaczego ja nie miałbym się z nimi dobrze bawić?

– Jak by to powiedzieć... – odparłem. – Po prostu wydaje mi się, że towarzystwo moich kuzynów to trochę za dużo jak na ciebie.

– Uważasz więc, że ze mnie zbyt wielki słabeusz?

– Wcale nie uważam cię za słabeusza, Owen.

– Ale sądzisz, że twoi kuzyni mogą tak myśleć?

– Nie wiem – przyznałem.

– A może mógłbym spotkać się z nimi w twoim domu, kiedy odwiedzą was na Święto Dziękczynienia – zasugerował. – Zabawne, że nigdy mnie nie zapraszasz, gdy oni przyjeżdżają.

– Babcia uważa, że jak oni są u nas, to już wystarczy – próbowałem wyjaśnić, ale Owen wpadł z tego powodu w tak ponury nastrój, że poprosiłem go, by zanocował, co bardzo lubił. Jak zawsze zatelefonował spytać ojca, czy może, ale pan Meany nie miał nigdy nic przeciwko temu. Owen nocował u nas tak często, że w mojej łazience trzymał szczoteczkę do zębów, a w szafie pidżamę.

A gdy Dan Needham podarował mi pancernika, Owen przywiązał się do małego zwierzęcia i do Dana zupełnie jak ja. Kiedy Owen spał w moim pokoju w drugim łóżku, oddzielonym od mojego nocnym stolikiem, pieczołowicie umieszczaliśmy pancernika pod lampą nocną, tak żeby stał dokładnie bokiem do każdego z nas, wpatrując się w nogi łóżka. Światło nocnej lampki umocowanej do jednej z nóg

stolika świeciło w górę, oświetlając brodę zwierzęcia i odsłonięte nozdrza w wąskim pysku. Rozmawialiśmy, aż nas zmorzył sen, ale rano pancernik zawsze był przesunięty – pysk miał zwrócony bardziej w stronę Owena niż moją, a jego profil nie był już tak doskonały. Raz, kiedy się zbudziłem, widziałem, że Owen nie śpi – wpatrywał się w zwierzę z uśmiechem. Gdy już pancernik Dana Needhama pojawił się w moim życiu, wcale nie byłem zdziwiony, kiedy Owen wykorzystał mój wyjazd do Sawyer Depot, by wyrazić troskę o dobro zwierzaka.

– Z tego, co mi mówisz o swoich kuzynach – zaczął – wydaje mi się, że nie powinieneś zabierać pancernika do Sawyer Depot.

Nie miałem najmniejszego zamiaru go tam zabierać, ale uwaga Owena jasno mi uzmysłowiła możliwość tragedii, jaką pociągała za sobą taka podróż.

– Możesz zostawić go w pociągu – zauważył. – Albo pożre ci go ten ich pies. Jak on się wabi?

– Firewater.

– Tak, Firewater. On może być niebezpieczny dla naszego pancernika. I jeśli twoi kuzyni to tacy chuligani, jak sam mówisz, nietrudno przewidzieć, jaką zabawę mogą wymyślić – na przykład rozerwać pancernika na kawałki albo porzucić go w śniegu.

– Tak, masz rację.

– Czy potrafiłbyś ich powstrzymać, gdyby zachciało im się zabrać go na narty wodne? – zapytał Owen.

– Pewnie nie.

– Tak też myślałem. Lepiej więc nie zabieraj go ze sobą.

– W porządku.

– Pozwól mi go wziąć do domu. Będę się nim opiekował w czasie twojej nieobecności. Jeśliby został tutaj sam, to któraś ze służących mogłaby zrobić jakieś głupstwo. A gdyby wybuchł pożar?

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– U mnie będzie bezpieczny – zapewnił Owen. Oczywiście przystałem na to. – I tak sobie też pomyślałem – dodał – że w następne Święto Dziękczynienia, kiedy przyjadą tu twoi kuzyni, będzie lepiej, jeśli mi pozwolisz wziąć pancernika do domu. Wydaje mi się, że mogą się z nim zbyt brutalnie obchodzić. Ma taki delikatny

nos. I ogon może mu się złamać. Poza tym, to chyba nie najlepszy pomysł, by wciągać kuzynów do naszej zabawy z pancernikiem w szafie z ubraniami dziadka. Boję się, że mogliby go po ciemnku zdeptać.

„Albo jeszcze lepiej – wyrzucić przez okno", pomyślałem sobie.

– To prawda – przyznałem.

– W porządku. A więc wszystko ustalone – będę opiekował się pancernikiem podczas twego wyjazdu i kiedy twoi kuzyni do ciebie przyjadą w czasie najbliższego Święta Dziękczynienia. Wtedy mnie zaprosisz, bym ich poznał. Dobra?

– Dobra, Owen.

– W porządku.

Był bardzo zadowolony z rozwoju sytuacji, choć może trochę zdenerwowany. Kiedy po raz pierwszy brał ze sobą pancernika do domu, przyniósł pudełko wyścielane watą – było tak wymyślnie zrobione i mocne, że zwierzę można by bezpiecznie wysłać pocztą za ocean. Pudełko, jak wyjaśnił Owen, służyło do przesyłania morzem narzędzi do obróbki granitu – jakichś rylców do grawerowania płyt nagrobnych – było więc bardzo mocne. Pan Meany, by podtrzymać kiepski interes w kamieniołomie, coraz bardziej angażował się w sprzedaż nagrobków. Owen twierdził, iż jego ojciec niechętnie sprzedaje niektóre ze swoich najlepszych złomów granitu innym kamieniarzom wykonującym nagrobki, za które, jak mówił pan Meany, niemiłosiernie zdzierają. Otworzył w śródmieściu makabryczny sklep z nagrobkami – nazywało się to Nagrobki Meany'ego – i na wystawie od frontu modele płyt nagrobnych wyglądały nie tyle jak wzory, ile jak składnica prawdziwych grobów.

– To okropne – skomentowała babcia. – Zupełnie przypomina cmentarz w sklepie – dodała oburzona.

Pan Meany był jednak nowicjuszem w handlu nagrobkami i, być może, potrzebował trochę więcej czasu, żeby sklep wyglądał jak należy.

W każdym razie pancernik został zapakowany do pudła, które służyło do transportu dłut – czegoś, co Owen nazywał klinami i piórami – i mój przyjaciel uroczyście przyrzekł, że nic złego nie stanie się malutkiemu zwierzątku. Okazało się jednak, że pani Meany

przestraszyła się na jego widok. Owen w ogóle nie uprzedził rodziców o wizycie pancernika. Utrzymywał jednak, że ten niewielki szok skutecznie odstraszył matkę od wchodzenia znienacka do jego pokoju. W pokoju Owena, choć tylko w niewielkim stopniu udało mi się go poznać, panował porządek jak w muzeum, i jak w muzeum niczego nie wolno było dotykać. I dlatego, tak mi się przynajmniej wydaje, przez tyle lat mogłem sobie z łatwością wyobrażać, że piłka baseballowa, od której zginęła moja matka, zajmuje w nim honorowe miejsce.

Nigdy nie zapomnę Święta Dziękczynienia, kiedy przedstawiłem Owena Meany'ego moim zwariowanym kuzynom. W przeddzień ich przyjazdu do Gravesend Owen podjechał do nas, by zabrać pancernika.

– Przecież przyjadą dopiero jutro wieczorem – zauważyłem.

– A jeśli zjawią się wcześniej? – spytał. – I coś się stanie? Lepiej nie ryzykować.

Owen chciał przyjść do nas poznać moich kuzynów bezpośrednio po świątecznym obiedzie, uważałem jednak, że lepiej, jeśli to zrobi następnego dnia. Sugerowałem, że po takim obiedzie wszyscy są obżarci i atmosfera przeważnie jest ciężka.

– Myślałem, że zaraz po posiłku mogą być trochę spokojniejsi – zauważył Owen. Muszę przyznać, że jego zdenerwowanie sprawiało mi przyjemność. Bałem się, że kuzyni mogliby być w nietypowym jak na nich, łagodnym nastroju właśnie w momencie, kiedy poznają Owena, który jeszcze gotów dojść do wniosku, że wymyślam bajki o tym, jakie to dzikusy. I nie miałbym wówczas żadnego wytłumaczenia, dlaczego nigdy nie zapraszam go do Sawyer Depot. Chciałem, żeby moi kuzyni polubili Owena, ponieważ ja go lubiłem – był moim najlepszym przyjacielem – ale jednocześnie nie chciałem, żeby wypadło to jak najlepiej i żebym musiał zaprosić Owena do Sawyer Depot następnym razem, gdy będę tam jechał. Z pewnością byłoby to straszne. Denerwowałem się, że moi kuzyni mogą wyśmiewać się z Owena. Denerwowałem się też, że mój przyjaciel

wprawi mnie w zakłopotanie, i tego uczucia wstydzę się po dziś dzień.

Tak czy inaczej, i ja, i Owen byliśmy zdenerwowani. Szeptem rozmawialiśmy przez telefon w noc Święta Dziękczynienia.

– Czy oni są naprawdę tacy zwariowani? – spytał Owen.

– Nie aż tak bardzo – odparłem.

– O której godzinie wstają? Kiedy powinienem jutro przyjść?

– Chłopcy wstają wcześnie, ale Hester śpi trochę dłużej lub przynajmniej dłużej nie wychodzi ze swego pokoju.

– To Noah jest najstarszy, tak? – upewniał się Owen, chociaż już setki razy się o to dopytywał.

– Tak – odpowiedziałem.

– A Simon jest następny pod względem wieku, chociaż nie ustępuje wzrostem Noahowi i jeszcze większy z niego dzikus? – indagował Owen.

– Tak – potwierdziłem.

– Hester jest najmłodsza, mimo że większa od ciebie. I jest piękna, choć nie tak piękna, co? – nie ustępował.

– Zgadza się.

Hester brakowało trochę czaru Eastmanów. Noah i Simon odziedziczyli wyjątkowo męską urodę po wuju Alfredzie – szerokie ramiona, grube kości, potężne szczęki. Po ciotce Marcie chłopcy mieli jasne włosy i arystokratyczny wygląd. Jednakże szerokie ramiona, grube kości i potężna szczęka nie stanowiły takiej atrakcji u Hester, która nie miała ani jasnych włosów, ani arystokratycznego wyglądu ciotki. Hester miała równie ciemne i gęste włosy jak wuj Alfred, a także ciemne krzaczaste brwi – w zasadzie była to jedna brew rosnąca nieprzerwanie nad nosem – po wuju odziedziczyła też długie dłonie, niczym łapy jakiegoś zwierzaka.

Mimo to moja kuzynka odznaczała się seksapilem, tak jak wszystkie mocno zbudowane dziewczyny tamtych czasów. Była duża, masywna i niewątpliwie jako nastolatka będzie musiała walczyć z nadwagą. Miała jednak gładką cerę, zdecydowane rysy twarzy, agresywne usta, w których połyskiwało mnóstwo zdrowych zębów, oczy zaś odznaczające się głęboką inteligencją patrzyły z ironią. Gęste włosy były rozwichrzone.

– Mam takiego przyjaciela... – wspomniałem Hester tego wieczoru. Pomyślałem sobie, że zacznę od niej i spróbuję ją pozyskać, a dopiero potem powiem o Owenie Noahowi i Simonowi. Ale chociaż mówiłem cicho, będąc przekonany, że Noah i Simon szukają jakiejś stacji radiowej, to chłopcy dosłyszeli, co trzeba.

– Jakiego przyjaciela? – spytał Noah.

– Hm, to mój najlepszy przyjaciel – odparłem ostrożnie. – Chciałby was poznać.

– Świetnie, znakomicie... Więc gdzie on jest i jak ma na imię? – indagował Simon.

– Owen Meany – odpowiedziałem, starając się, by mój głos zabrzmiał jak najnaturalniej.

– Jak? – zapytał Noah i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

– Nazwisko dobre dla słabeusza! – rzucił Simon.

– A co z nim jest nie tak? – zwróciła się do mnie Hester.

– Nic – odparłem jednak trochę niepewnie. – Jest dość niski.

– Dość niski – powtórzył Noah z wyraźnie brytyjskim akcentem.

– Dość słabeuszowaty, no nie? – poprawił Simon, naśladując wymowę brata.

– Nie, żaden z niego słabeusz – wyjaśniłem. – Po prostu jest mały. Ma taki zabawny głos – wykrztusiłem wreszcie.

– Zabawny głos! – rzucił Noah komicznym tonem.

– Zabawny głos? – powtórzył Simon, zgrywając się.

– A więc to chłopaczek o zabawnym głosie – powiedziała Hester. – No i co z tego? Co z nim jest nie tak?

– Nic – powtórzyłem.

– A co ma z nim być nie tak, Hester? – zwrócił się Noah do siostry.

– Hester prawdopodobnie ma ochotę trochę się nad nim poznęcać – zauważył Simon.

– Zamknij się, Simon – warknęła Hester.

– Obydwoje się zamknijcie – polecił Noah. – Chcę wiedzieć, dlaczego Hester uważa, że z każdym jest coś nie w porządku.

– Wszyscy twoi przyjaciele, Noah, są jacyś tacy... – odparła Hester. – To samo dotyczy wszystkich przyjaciół Simona – dodała. – Założę się, że z przyjaciółmi Johna też coś jest nie tak.

– Przypuszczam natomiast, że z twoimi przyjaciółmi wszystko jest w porządku – zauważył Noah.

– Hester nie ma żadnych przyjaciół! – odparował Simon.

– Zamknij się! – rzuciła Hester.

– Zastanawiam się, dlaczego? – zapytał Noah.

– Zamknij się – powtórzyła.

– No dobra. Z Owenem jest wszystko okay, tyle że jest mały i ma trochę inny głos.

– Z tego, co mówisz, wynika, że to może być sympatyczny gość – stwierdził Noah uprzejmie.

– Jeśli to twój przyjaciel – zaczął Simon, klepiąc mnie po ramieniu – to nie martw się. Będziemy dla niego mili.

– Zobaczymy. – Hester wzruszyła ramionami.

Od Wielkanocy nie pocałowałem jej. W czasie mojego letniego pobytu w Sawyer Depot każdą wolną minutę spędzaliśmy na dworze i nikomu nawet nie przyszło do głowy, by zaproponować zabawę z gonitwą po całym domu i całowaniem Hester. Miałem duże wątpliwości, czy uda nam się w to pobawić w czasie Święta Dziękczynienia, ponieważ babcia nie tolerowała u siebie bieganiny. Pomyślałem sobie, że pewnie będę musiał poczekać aż do Bożego Narodzenia.

– A może twój przyjaciel chciałby pocałować Hester? – zasugerował Simon.

– Ja sama wybieram, kto mnie pocałuje – rzuciła Hester.

– No, no!

– Wydaje mi się, że Owen będzie trochę onieśmielony waszym towarzystwem – odważyłem się powiedzieć.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie będzie miał ochoty mnie pocałować? – spytała moja kuzynka.

– Mówię tylko tyle, że może być trochę nieśmiały.

– Ty lubisz się ze mną całować – zauważyła Hester.

– Nieprawda – skłamałem.

– Lubisz – upierała się.

– No, no! – wtrącił się Noah.

– Nic nie powstrzyma Hester Okrutnicy.

– Zamknij się – warknęła.

I tak przygotowałem grunt na pojawienie się Owena Meany'ego.

Następnego dnia po Święcie Dziękczynienia tak bardzo hałasowaliśmy na strychu, że nikt z nas nie usłyszał, jak Owen Meany skrada się po schodach i otwiera klapę. Mogę sobie wyobrazić, co wówczas myślał. Prawdopodobnie czekał, aż go zauważymy, żeby nie przedstawiać się samemu. Chodziło mu o to, aby pierwszą rzeczą, na jaką zwrócą uwagę kuzyni, nie był jego głos. Z drugiej strony, jego mały wzrost i szczególny wygląd mógłby równie dobrze ich zaszokować. Owen musiał się długo zastanawiać, w jaki sposób się przedstawić – czy odezwać się pierwszy, co zawsze było wstrząsem dla obcych, czy poczekać, aż ktoś go zauważy, co stanowiło jeszcze większy wstrząs. Później mi powiedział, że stał po prostu przy klapie, którą specjalnie zatrzasnął z hałasem, mając nadzieję, iż zwrócimy uwagę na ten odgłos. Ale nikt go nie usłyszał.

Simon bez opamiętania naciskał pedał maszyny do szycia, tak że igła i szpulka aż furkotały, Noahowi zaś udało się przyciągnąć rękę Hester na tyle blisko szalejącej igły z nitką, że przyszyła sobie rękaw bluzki do próbki materiału, którą się bawiła. Chcąc wyswobodzić się od maszyny – Simon bowiem w swoim szaleństwie nie zamierzał przestać pedałować – musiała zdjąć bluzkę. Kiedy Owen przyglądał się nam, Noah grzmocił Simona po uszach, żeby wreszcie się uspokoił z tym pedałowaniem, Hester zaś w samym podkoszulku stała czerwona ze złości, lamentując nad swoją jedyną białą bluzką, z której usiłowała wypruć niezwykle skomplikowany ścieg naszyty purpurową nitką. Ja zaś mówiłem, że jeśli nie przestaniemy robić takiego harmidru, to babcia palnie nam kazanie na temat wartości rynkowej swojej przedpotopowej maszyny do szycia.

Przez cały ten czas Owen Meany stał przy klapie, nie spuszczając z nas oka i to zbierając się w sobie, by się przedstawić, to postanawiając dać drapaka, nim któreś z nas go zauważy. W tym momencie moi kuzyni musieli wydać mu się jeszcze gorsi niż w najgorszych oczekiwaniach. Szokowało go, że Simon uwielbia, kiedy się go bije. Nigdy w życiu nie widziałem chłopaka, którego najlepszą obroną przeciw laniu, jakie regularnie dostawał

od starszego brata, było to, że takie cięgi wręcz sprawiają mu przyjemność. Tak jak lubił turlać się z góry czy być zrzucanym ze sterty trocin albo szusować w dół na nartach, obrywając po głowie gałęziami drzew, tak był cały szczęśliwy pod gradem ciosów Noaha. Punktem honoru dla Noaha było pobić Simona do krwi, nim ten zacznie błagać o litość. Pierwsze krople krwi oznaczały zwycięstwo Simona, a porażkę Noaha. Teraz Simon ze wszystkich sił pedałował, jakby chciał rozwalić maszynę – obie ręce trzymał zaciśnięte na blacie, oczy miał zamknięte pod ciosami pięści Noaha, kolana zaś poruszały się tak wściekle, jak gdyby pedałował na rowerze na za niskiej przerzutce, zjeżdżając ze zbyt stromego wzgórza. Zawziętość, z jaką Noah tłukł swego brata, mogła z łatwością zmylić każdego obserwatora co do jego w pełni łagodnego usposobienia i szlachetnego charakteru. Już dawno temu zrozumiał, że bicie brata to robota wymagająca cierpliwości, rozwagi i strategicznego podejścia – pospieszne rozkwaszenie Simonowi nosa niewiele dawało, lepiej było walić tam, gdzie boli, ale za to tak łatwo nie krwawi. Należało go przede wszystkim zmęczyć.

Podejrzewam jednak, że to Hester wywarła największe wrażenie na Owenie Meanym. Nie było wątpliwości, że pewnego dnia urosną jej imponujące piersi. To, że zaczyna dojrzewać, było równie widoczne przez bawełnianą koszulkę, jak jej męskie bicepsy. Sposób zaś, w jaki wyszarpywała zębami nitkę ze zniszczonej bluzki, burcząc przy tym i przeklinając, jakby ją chciała zjeść, miał zademonstrować Owenowi, do czego są zdolne groźne usta Hester. W tej właśnie chwili jej drapieżność objawiała się w całej pełni.

Naturalnie, moje błagania, by nie narażać się na nieuniknioną reprymendę ze strony babci, pozostały nie tylko zlekceważone, lecz wręcz nie zauważone, podobnie jak Owen Meany, który stał z rękoma założonymi do tyłu. Jego odstające uszy w promieniach słońca wpadających na strych przez świetlik w dachu zrobiły się jaskraworóżowe; słońce było tak ostre, że malutkie żyłki i naczynia krwionośne w małżowinach wyglądały jak oświetlone od środka. Silne promienie porannego słońca padały na głowę Owena z góry i trochę od tyłu, tak iż samo światło zdawało się dokonywać prezentacji. Poirytowany obojętnością moich kuzynów, spojrzałem

znad maszyny do szycia i zobaczyłem Owena. Z rękoma założonymi do tyłu wyglądał jak bezręki Watahantowet. W blasku słońca jego uszy zdawały się płonąć, przypominał gnoma świeżo wyjętego z ogniska. Wciągnąłem powietrze. W tym samym momencie, spojrzawszy do góry, Hester zauważyła Owena z wykrzywionymi z wściekłości ustami pełnymi purpurowych nici. Krzyknęła.

– Nie wyglądał mi na człowieka – powiedziała później.

I od tej właśnie chwili, kiedy po raz pierwszy zjawił się przed moimi kuzynami, zacząłem często się zastanawiać, jak dalece Owen Meany jest człowiekiem. Nie ma bowiem wątpliwości, iż w oślepiających promieniach słońca, które wpadały na strych przez świetlik, jawił się niby anioł z nieba – malutkie, choć popędliwe bóstwo, zesłane na ziemię, by rozstrzygać o popełnionych przez nas błędach.

Krzyk Hester tak wystraszył chłopca, że i on wrzasnął, a jego krzyk dał moim kuzynom próbkę tego wielce rzadkiego głosu – co więcej, dosłownie ich zamurowało. Włosy stanęły im dęba, wręcz zamarli, jakby usłyszeli pisk kota, po którym wolno przejeżdża samochód.

– Miłosierny Boże. To znowu ten chłopak! – dobiegł z głębi wielkiego domu głos babci.

Usiłowałem złapać oddech, by wykrztusić z siebie: „To mój najlepszy przyjaciel, o którym wam opowiadałem", bo jeszcze nigdy w życiu nie widziałem, żeby moi kuzyni z rozdziawionymi gębami gapili się na kogoś, przy czym z ust Hester wysnuwała się jeszcze purpurowa nić, ale Owen był szybszy.

– Wnoszę, że przeszkodziłem wam w zabawie – zaczął. – Nazywam się Owen Meany i jestem najlepszym przyjacielem waszego ciotecznego brata. Być może opowiadał wam o mnie. Ja słyszałem o was prawie wszystko. Ty jesteś Noah – najstarszy. – Owen wyciągnął rękę w stronę Noaha, który potrząsnął nią oniemiały. – A ty oczywiście jesteś Simon, drugi z kolei. Jesteś młodszy od Noaha, ale równie duży, a nawet bardziej zwariowany niż twój brat. Cześć, Simon – powiedział, wyciągając rękę do Simona, który mimo iż szaleńcza podróż na maszynie do szycia wycisnęła zeń siódme poty i ledwo dyszał z wysiłku, bez chwili wahania podał mu rękę. – A ty musisz być Hester – stwierdził, odwracając wzrok. – Tyle o tobie słyszałem. Jesteś tak śliczna, jak sobie wyobrażałem.

– Dziękuję – wymamrotała Hester, wyciągając nitkę z ust i wsuwając koszulkę do dżinsów.

Moi kuzyni nie przestawali gapić się na Owena, spodziewałem się więc najgorszego. I nagle zdałem sobie sprawę, czym w rzeczywistości są małe miasteczka. To miejsca, gdzie dorastasz, mając dosłownie w zasięgu ręki różne dziwaczne zjawiska – stykasz się z dziwacznymi ludźmi i nieprawdopodobnymi sprawami tak długo, że wszystko, co cię otacza, powszednieje. Moi kuzyni byli zarówno mieszkańcami małego miasteczka, jak i ludźmi nie stąd. Nie dorastali razem z Owenem Meanym, który napawał ich strachem; niemniej jednak stado bydła miałoby chyba większą ochotę zaatakować kota, niż oni go napaść czy wymyślić dla niego jakieś tortury. Twarz Owena, którą oświetlały jaskrawe promienie słońca, pulsowała krwistą czerwienią, jak sądzę, od jazdy rowerem do miasta. Pod koniec listopada było cholernie zimno jak na przejażdżkę z Maiden Hill, zwłaszcza kiedy jechało się pod przenikliwy wiatr znad Squamscott. Jeszcze przed Świętem Dziękczynienia temperatura spadła tak bardzo, że woda w rzece zamarzła. Od Gravesend do Kensington Corners rzekę skuły połacie czarnego lodu.

– Mhm. Zastanawiałem się nad tym, co możemy robić – oznajmił Owen, a moi niesforni kuzyni słuchali go z szacunkiem. – Rzeka zamarzła, świetnie będzie się jeździć na łyżwach. Dobrze wiem, że lubicie takie pełne ruchu zabawy, że lubicie szybkość, niebezpieczeństwo i zimno. A więc łyżwy to jedna możliwość. I chociaż rzeka jest zamarznięta, jestem pewien, że zdarzają się gdzieniegdzie jakieś szczeliny, a nawet przeręble. Sam wpadłem do takiej dziury w zeszłym roku. Wprawdzie nie jestem najlepszym łyżwiarzem, ale chętnie z wami pójdę. Mimo że właśnie wychodzę z przeziębienia i w taką pogodę nie powinienem być za długo na dworze.

– Nie! – rzuciła Hester. – Jeśli dopiero co byłeś przeziębiony, to powinieneś zostać w domu. Będziemy się bawić pod dachem. Nie musimy jeździć na łyżwach. W końcu chodzimy na łyżwy cały czas.

– Racja! – zgodził się Noah. – Jeśli Owen jest zaziębiony, to bawmy się w domu.

– Tak, najlepiej w domu – przyznał Simon. – Owen powinien wyleczyć się z przeziębienia.

Być może moich kuzynów uspokoiło twierdzenie Owena, że „mija mu zaziębienie", ponieważ częściowo mogłoby to tłumaczyć jego przeraźliwy głos. Co prawda, wiedziałem, że przeziębienie nie ma tu nic do rzeczy i że fakt, iż „mija mu przeziębienie" to dla mnie coś zupełnie nowego, ale szacunek, jaki mu kuzyni okazywali, przyniósł mi taką ulgę, iż w żadnym razie nie miałem zamiaru podważać jego słów.

– Mhm. Sam też myślałem, że zabawa pod dachem będzie najlepsza – przyznał Owen. – Ale niestety, nie mogę zaprosić was do siebie, ponieważ u mnie w domu tak naprawdę nie ma nic do roboty, a ponadto mój ojciec prowadzi kamieniołomy, gdzie wydobywa się granit, i jest dość zasadniczy, jeśli chodzi o sprzęt i same kamieniołomy, które poza tym są na świeżym powietrzu. Tak czy owak nie za bardzo można się u mnie w domu bawić, ponieważ moi rodzice specjalnie nie przepadają za dziećmi.

– Nie ma sprawy – stwierdził Noah.

– Nie przejmuj się – dodał Simon. – W tym domu jest co robić.

– Wszyscy rodzice są tacy sami! – Hester uspokajała Owena, ja natomiast milczałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Przez wszystkie lata naszej znajomości z Owenem kwestia, jak dziwni są jego rodzice, nie tylko zresztą „jeśli chodzi o dzieci", nigdy nie wypłynęła w naszych rozmowach. Była to raczej tajemnica poliszynela w miasteczku, coś, o czym się nie mówiło, chyba że mimochodem czy w zdaniach wtrąconych, bądź na boku wśród znajomych.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy poprzebierać się w rzeczy dziadka. Mówiłeś swoim kuzynom o ubraniach, co? – zwrócił się do mnie Owen. Ja jednak nie wspominałem im o tym. Przypuszczałem, że uznają taką maskaradę za zabawę dobrą dla dzieci bądź chorobliwy wybryk fantazji, albo też jedno i drugie. A także, że na pewno zniszczą rzeczy z szafy, zorientowawszy się, iż samo przebieranie się to nic, co z kolei mogłoby podsunąć im zabawę, która polegałaby na wzajemnym zdzieraniu z siebie ubrania – wygrywa ten, kto ostatni zostanie rozebrany do naga.

– Ubrania dziadka? – spytał Noah z niezwykłym jak na niego respektem w głosie.

Simon wzdrygnął się. Hester nerwowo zdejmowała z bluzki pojedyncze wiśniowe nitki.

W tym momencie znów odezwał się Owen Meany, który zdążył objąć przywództwo grupy:

– W garderobie przeważnie trzyma się ubrania. Po ciemku może być tam strasznie. A co powiedzielibyście na chowanego; oczywiście po ciemku? To by dopiero była zabawa!

– Świetny pomysł! Zabawmy się w chowanego po ciemku! – zapalił się Simon.

– Nie wiedziałam, że tam są ubrania dziadka – zauważyła Hester.

– A co, boisz się, że zaczną straszyć? – spytał Noah.

– Zamknij się! – Hester nie bawiła się w sentymenty.

– To niech Hester pierwsza się schowa, a my kolejno będziemy próbowali ją po ciemku odnaleźć.

– Wcale nie mam ochoty, żebyście mnie tam wymacywali.

– Wszystko polega na tym, żeby znaleźć ciebie, zanim ty znajdziesz nas – wyjaśnił Noah.

– Kto kogo pierwszy dotknie – dodał Simon.

– Jak mnie dotkniesz, Simon, to ci urwę fiutka – zagroziła.

– Bomba! O to właśnie chodzi! – zakrzyknął Noah. – Musimy znaleźć Hester, zanim nas pociągnie za fiutka!

– Hester Okrutnica! – zakrzyknął złowróżbnie Simon.

– Ale muszę się przyzwyczaić do ciemności. Dajcie mi jakieś fory! A ten, kto mnie szuka, wchodzi do środka bez żadnego przygotowania.

– Jest latarka – dodał zaniepokojony Owen. – Może dobrze byłoby mieć latarkę, bo przecież i tak będzie dość ciemno?

– Nie ma mowy! – odrzekła Hester.

– Nie! – przytaknął Simon. – A temu, kto wchodzi do szafy szukać Hester, będziemy świecić latarką prosto w oczy, żeby go oślepić. Nie może nic widzieć!

– Świetny pomysł! – podchwycił Noah.

– Dacie mi dosyć czasu, żebym się mogła schować i przyzwyczaić wzrok do ciemności?

– Nie! – Simon był stanowczy. – Będziemy liczyć do dwudziestu!

– Do stu! – próbowała się targować Hester.

– Do pięćdziesięciu! – przystał w końcu Noah. I na tym stanęło. Simon zaczął liczyć, ale Hester natychmiast go walnęła.

– Poczekaj, aż wejdę do środka!

Idąc w kierunku szafy, musiała przejść obok Owena Meany'ego i kiedy znalazła się blisko niego, stało się coś dziwnego. Zatrzymała się i wyciągnęła rękę w kierunku Owena – jej duża dłoń, niezwykle czujna i delikatna, wyciągnęła się i dotknęła jego twarzy, tak jakby jakaś niewidzialna siła zmuszała wszystkich przechodzących obok Owena, żeby go dotknęli. Hester zrobiła to z uśmiechem. Twarz chłopca znajdowała się na poziomie nierównych wypukłości młodzieńczego biustu rysującego się pod bawełnianą bluzeczką. Owen był już przyzwyczajony do tego, że ludzie czują jakąś wewnętrzną potrzebę dotykania go, ale w wypadku Hester niespokojnie się cofnął, choć nie na tyle gwałtownie, żeby jej sprawić przykrość.

Po chwili Hester wkroczyła do garderoby. Słyszeliśmy szurgot butów i szelest rozsuwanych ubrań. Słyszeliśmy zgrzyt metalowych wieszaków, a następnie coś jakby przesuwanie pudeł na kapelusze po górnych półkach. W którymś momencie dobiegło nas: „Cholera!", potem zaś: „A to co takiego?". Po chwili, gdy wszystkie hałasy ucichły, Simon został skutecznie oślepiony świecącą prosto w oczy latarką. Strasznie zależało mu na tym, żeby być pierwszym, i kiedy wsadzaliśmy go do szafy, absolutnie nic nie widział; gdyby w tym momencie wybrał się na spacer w pełnym blasku słońca, też by szedł po omacku. Hester musiała zaatakować Simona, kiedy ten tylko znalazł się w środku i zamknęliśmy za nim drzwi. Chyba złapała go za fiutka mocniej, niż miała zamiar, ponieważ zawył bardziej z bólu niż z zaskoczenia, a gdy wytoczył się z szafy i padł na podłogę, ciągle jeszcze leżał zwinięty wpół i ze łzami w oczach próbował złagodzić ból w intymnych częściach ciała.

– Hester, rety! Coś ty mu zrobiła? – spytał Noah.

– Nie chciałam – dobiegł z szafy jej głos.

– To nie fair ciągnąć za fiutka i za jaja! – wrzasnął Simon, wijąc się po podłodze.

– Nie chciałam – powtórzyła słodziutko.

– Suka! – skomentował Simon.

– To ty się zawsze ze mną tak ostro obchodzisz! – odcięła się Hester.

– Ale nie można łapać jednocześnie za fiutka i za jaja! – stwierdził Noah. Na to Hester już nic nie odpowiedziała.

Słyszeliśmy, że zajmuje pozycję do kolejnego ataku, w tym zaś momencie Noah szepnął do mnie i Owena, że skoro do szafy są drugie drzwi, to możemy zaskoczyć Hester od tyłu.

– My to znaczy kto? – spytał szeptem Owen.

Noah w ciszy wskazał na niego, a ja poświeciłem latarką w szeroko rozwarte, niespokojne oczy Owena – światło nadało jego twarzy wygląd osaczonej myszy.

– Nie powinnaś łapać tak mocno! – wrzasnął Noah, ale Hester teraz już milczała.

– Nie chce zdradzić, gdzie się schowała – szepnął Owen, dodając sobie otuchy.

W tej chwili Noah i ja wrzuciliśmy Owena do szafy przez drugie drzwi. Garderoba miała kształt litery L. Skoro Owen wszedł do środka na krótszym ramieniu, wydawało nam się, że nie natknie się na Hester przed zakrętem – oczywiście, o ile Hester się ruszy, bo pewnie chowa się gdzieś przy górnej części litery.

– To nie fair wchodzić drugimi drzwiami! – krzyknęła natychmiast, zdradzając tym samym z korzyścią dla Owena swoją kryjówkę. Przynajmniej w przybliżeniu. A potem zapadła cisza. Wiedziałem, co robi Owen. Miał nadzieję, że wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, zanim Hester go znajdzie, i na pewno nie zamierzał się ruszyć ani jej szukać, dopóki nie zacznie czegokolwiek widzieć.

– Co się tam, do cholery, dzieje? – spytał Simon, ale z garderoby nie dobiegł w odpowiedzi żaden odgłos.

Chwilę później rozpoznaliśmy stukot pojedynczych butów dziadka, których były tam całe setki. Jak się później dowiedziałem, Owen poruszał się na czworakach, ponieważ spodziewał się ataku z jednej z górnych półek, czego zresztą bał się ogromnie. Skąd mógł wiedzieć, że Hester położyła się na podłodze i przykryła płaszczem dziadka, na którym ustawiła całe mnóstwo jego butów. Leżała bez

ruchu i właściwie niewidoczna – wystawała jej tylko głowa i ręce. Ale głowę miała zwróconą w złą stronę, to znaczy musiała wywracać oczy do góry, żeby obserwować zbliżającego się chłopca. Patrzyła więc na niego do góry nogami, ponad własnym czołem i przez gęstą czuprynę. Owen, który podszedł do niej na czworakach, dotknął najpierw tej żywej, poskręcanej gmatwaniny włosów, które nagle poruszyły się pod jego dłonią. Hester szybko podniosła ręce do góry i złapała go w pasie.

Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że wcale nie miała zamiaru pociągnąć Owena za fiutka, ale ponieważ bez trudu trzymała chłopca w pasie, postanowiła przejechać dłońmi w górę po żebrach i trochę go połaskotać. Owen był cholernie wrażliwy na łaskotki, a Hester, łaskocząc chłopca, kierowała się tylko jak najszczerszą sympatią, ale wszystko to razem – dotknięcie w ciemności żywych ruszających się włosów, a także łaskotanie przez dziewczynę, która, jak się Owen spodziewał, za chwilę zamierza chwycić go za fiutka – było jak na niego za dużo. Zlał się.

Kiedy Hester zdała sobie sprawę z tego, co się stało, była tak zaskoczona, że go puściła. Spadł prosto na nią, wyślizgnął się z jej uchwytu, wyleciał z garderoby i zbiegł w dół po schodach. Pędził przez dom tak szybko i bezszelestnie, że nawet babcia go nie zauważyła. Nie zauważyłaby go też i mama, gdyby właśnie nie wyglądała przez kuchenne okno. A tak zobaczyła, jak Owen w nie dopiętej kurtce, nie zasznurowanych butach i przekrzywionej czapce wsiada z niejakim trudem na rower, walcząc z lodowatymi podmuchami wiatru.

– O rety, Hester! Co ty mu zrobiłaś? – spytał Noah.

– Już ja wiem, co mu zrobiła! – odezwał się Simon.

– Nie, to nie to! – odrzekła Hester z prostotą. – Po prostu zaczęłam go łaskotać, a on się posiusiał. – Nie powiedziała tego wcale po to, by ośmieszyć Owena, i muszę przyznać, że moi kuzyni nie przyjęli tej wiadomości z charakterystyczną dla nich złośliwością, która nieodmiennie kojarzy mi się z Sawyer Depot – równie nieodłącznie, jak upadki z jeżdżeniem na nartach.

– Biedaczek! – odezwał się Simon.

– Wcale nie chciałam! – stwierdziła Hester.

W tym momencie zawołała mnie mama. Musiałem pójść opowiedzieć jej, co się stało Owenowi, po czym kazała mi się ubierać, sama uruchamiając w tym czasie samochód. Mogłem się domyślać, którędy Owen będzie wracał do domu, ale musiał pedałować bardzo ostro, bo nie dogoniliśmy go nawet na wysokości gazowni przy Water Street. Ale kiedy przejechaliśmy Dewey Street, nie napotykając go, zacząłem podejrzewać, że wyjechał z miasta Swasey Parkway. Zatem zawróciliśmy wzdłuż Squamscott, ale i tam Owena nie było.

W końcu go dopadliśmy, gdy z trudem podjeżdżał pod Maiden Hill. Na widok jego czerwono-czarnej myśliwskiej kurtki i czapki z odstającymi nausznikami do kompletu zwolniliśmy. Kiedy się z nim zrównaliśmy, musiał już zsiąść z roweru, który zaczął pchać pod górę. Wiedział, że to my, nawet nie patrząc, ale nie chciał się zatrzymać, więc mama jechała wolno obok niego, a ja odkręciłem szybę.

– To był wypadek! Za bardzo się rozbawiłem. Wypiłem za dużo soku pomarańczowego na śniadanie, a jak wiesz, nie znoszę łaskotek! Nikt mnie nie uprzedzał, że będą łaskotki!

– Owen, proszę, nie wracaj do domu – odezwała się mama.

– Wszystko jest w porządku. Moim kuzynom jest ogromnie przykro – dodałem.

– Obsiusiałem Hester! A poza tym nakrzyczą na mnie w domu – mówił, ciągle jeszcze prowadząc rower bardzo szybko. – Ojciec się wścieka, gdy mi się to zdarza. Mówi, że już nie jestem dzieckiem, ale czasami za bardzo się rozbawię.

– Owen, upiorę i wysuszę ci rzeczy u nas w domu – powiedziała mama. – Możesz na ten czas włożyć jakieś ubrania Johnny'ego.

– Żadne ubrania Johnny'ego nie będą na mnie pasowały – zaoponował Owen. – A poza tym muszę się wykąpać.

– Możesz się wykąpać u nas, proszę cię, wracaj – usiłowałem go przekonać.

– Mam jakieś ubrania, z których Johnny wyrósł, a te na pewno będą na ciebie dobre – dodała mama.

– Pewnie śpioszki – rzekł Owen, ale zatrzymał się i oparł głowę na kierownicy roweru.

– Owen, proszę, wsiądź do samochodu – namawiała go. Wysiadłem pomóc mu wsadzić rower do bagażnika, po czym wsunął się na przednie siedzenie pomiędzy mamę i mnie.

– Starałem się zrobić jak najlepsze wrażenie, bo chciałem pojechać do Sawyer Depot, ale teraz mnie już nigdy nie zabierzecie.

To zupełnie nieprawdopodobne, że nadal chciał tam pojechać.

– Owen, możesz z nami jechać, kiedy tylko zechcesz – zapewniła go mama.

– Johnny nie życzy sobie, żebym pojechał – mówił, jakby nie było mnie w samochodzie.

– Wcale nie o to chodzi – zaprotestowałem. – Bałem się, że moi kuzyni mogą się okazać wobec ciebie nieznośni. – A po tej całej aferze ze zsiusianiem się w majtki nie chciałem już nic mówić o tym, że faktycznie Owen może mieć z nimi kłopoty. – Ta zabawa jak na nich i tak była spokojna.

– Myślisz, że ja się ich boję, bo mogą mi coś zrobić? – podniósł głos, stawiając swą malutką stopę na obudowie wału napędowego. – Myślisz, że się tym przejmuję? – wrzasnął. – Czy ja kiedykolwiek wyjadę? Gdybym nie chodził do szkoły, do kościoła czy do was, to w ogóle nie wychodziłbym z domu! – wykrzykiwał dalej. – A gdyby twoja matka nie zabrała mnie na plażę, nigdy nie wyjechałbym poza miasto. Nigdy nie byłem w górach, nigdy nie jechałem pociągiem. Myślisz, że nie miałbym ochoty przejechać się pociągiem w góry? – nie przestawał krzyczeć.

Matka zatrzymała samochód, przytuliła go, pocałowała, powiedziała, że zawsze może z nami jechać, jeśli będziemy się gdzieś wybierać. A ja dość niezręcznie otoczyłem go ramieniem i siedzieliśmy tak dobrą chwilę, aż się uspokoił na tyle, że mogliśmy wrócić do domu. Wszedł kuchennymi drzwiami, minął pokój Lydii oraz służące zajęte w kuchni, ruszył w górę kuchennymi schodami, minął służbówkę, wszedł do mojej sypialni i zamknął się w łazience, gdzie zrobił sobie porządną kąpiel. Wręczył mi zasiusiane ubranie, którym natychmiast zajęły się służące. Mama zastukała do łazienki, a potem odwracając głowę, wsunęła do środka rękę ze stertą ubrań, które Owen wziął od niej. Nie były to śpioszki, jak się tego obawiał, ale po prostu niezwykle małe ubrania.

– Co mamy zrobić? – spytała Hester, kiedy czekaliśmy na Owena w izdebce na górze; tak nazywało się to pomieszczenie, przynajmniej za życia dziadka. W czasie wizyt mojego rodzeństwa ciotecznego był to pokój dziecinny.

– Zrobimy, co będzie chciał – oświadczył Noah.

– Tak było ostatnim razem! – stwierdził Simon.

– Nie całkiem – odezwała się Hester.

– Właśnie się zastanawiałem... – zaczął Owen, wchodząc do „izdebki". Był nawet bardziej zaróżowiony niż zwykle, tak czysty, że aż się błyszczał, z gładko przyczesanymi włosami. Na nogach miał tylko skarpetki, w których się trochę ślizgał po drewnianej podłodze, a kiedy doszedł do starego wschodniego dywanu, stanął na jednej nodze, opierając stopę na stopie. Podczas mówienia wypychał biodra w przód i w tył. Machał przy tym ramionami w górę i w dół, jak motyl.

– Bardzo mi przykro, że się tak strasznie zapaliłem. Znam chyba jednak zabawę, która nie byłaby dla mnie takim przeżyciem, a jednocześnie wam nie powinna się wydać nudna. Posłuchajcie. Jedno z was będzie musiało mnie ukryć w dowolnym miejscu, a inni muszą mnie znaleźć. Wygrywa ten, kto ukryje mnie tak, żeby pozostali szukali jak najdłużej. W tym domu łatwo znaleźć takie miejsce, w którym można by mnie schować. Dom jest olbrzymi, a ja malutki.

– Ja pierwsza – zaproponowała Hester.

Nikt nie oponował. Nie wiem, gdzie go ukryła, w każdym razie nie znaleźliśmy Owena. Noahowi, Simonowi i mnie wydawało się, że to bedłka. Ja znałem dokładnie wszystkie zakamarki domu babci, a oni wszystkie zakamarki szatańskiego umysłu Hester. Ale mimo to nie mogliśmy go znaleźć. Hester rozłożyła się na kanapie, przeglądając stare egzemplarze „Life'u" i z rosnącym zadowoleniem stwierdzając, że nasze poszukiwania są bezskuteczne. Zapadł zmrok. Zacząłem się już wtedy niepokoić, że Hester może wsadziła Owena gdzieś, gdzie mu zabraknie powietrza, czy – kiedy mijały godziny – on sam zdrętwieje od siedzenia w niewygodnej pozycji. Ale na takie uwagi Hester machała tylko beztrosko ręką. Gdy nadeszła pora kolacji, musieliśmy dać za wygraną. Hester kazała nam zaczekać na dole

w korytarzu, a sama tymczasem poszła po Owena, który pojawił się na schodach, krocząc bez najmniejszych trudności i absolutnie swobodnie oddychając, choć włosy miał tak przygniecione, jakby spał. Zjadł z nami kolację, a potem powiedział, że chętnie zostałby na noc. Matka się naturalnie zgodziła, twierdząc, że ubranie jeszcze nie całkiem wyschło.

I chociaż wypytywałem go: „Gdzie cię schowała? Daj choć jedną wskazówkę! W której części domu albo chociaż na którym piętrze!", nie miał najmniejszej ochoty zdradzić tajemnic swego triumfu. Był całkowicie rozbudzony, wcale nie zamierzał spać i wdał się w denerwujące dyskusje filozoficzne na temat charakteru mojego ciotecznego rodzeństwa, utrzymując, że przedstawiłem mu swoich kuzynów w złym świetle.

– Naprawdę źle ich oceniłeś – ciągnął swój wykład. – Możliwe, że to, co nazywasz dzikim charakterem, to po prostu brak ukierunkowania. Każdą grupą ludzi należy pokierować.

Leżałem sobie w ciemności, myśląc, że fajnie by było, gdyby wreszcie znalazł się w Sawyer Depot, gdzie moi kochani kuzyni wsadzą go po prostu na narty i ustawią twarzą w dół stoku. Może to by mu zamknęło buzię i przestałby ględzić o „właściwym ukierunkowaniu". Ale nic go nie mogło zniechęcić – gadał jak najęty.

Poczułem się senny i odwróciłem do niego plecami, więc nie bardzo wiedziałem, o czym mówi, kiedy usłyszałem:

– Trudno jest bez niego spać, jak już się człowiek do niego przyzwyczai, prawda?

– Bez kogo? – spytałem. – Do kogo się przyzwyczai?

– Do pancernika.

A zatem ten dzień po Święcie Dziękczynienia, gdy Owen Meany poznał moich kuzynów, dostarczył mi dwóch bardzo wyrazistych obrazów przyjaciela. Nawiedzały mnie, zwłaszcza wtedy, kiedy w nocy po śmierci mamy zabitej fatalną piłką leżałem w łóżku, wiedząc, że Owen też leży, myśląc o mojej mamie, i że myśli nie tylko o mnie, ale także o Danie Needhamie, że obu nam będzie jej tak ogromnie brakowało, a jeśli Owen myślał o Danie, to na pewno myślał też o pancerniku.

Ważne było i to, że tego dnia, kiedy goniliśmy z matką za Owenem, widząc, jak na rowerze próbuje pedałować w górę Maiden Hill, dostrzegłem, że się zachwiał i musiał zsiąść, żeby resztę drogi przejść pieszo. Tego dnia widziałem więc Owena w zimowej scenerii i mogłem sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądał owego letniego wieczoru, wracając po meczu Małej Ligi w lepiącym się do pleców stroju baseballowym. Co powie rodzicom na temat meczu?

Jeszcze przez wiele, wiele lat będę pamiętał moment podejmowania decyzji, czy noc po tym fatalnym meczu powinienem spędzić z Danem Needhanem w jego mieszkaniu, do którego razem z mamą przeprowadziliśmy się po ich ślubie (było to mieszkanie w bursie Akademii), czy też lepiej by było, bym spędził ją w moim starym łóżku w domu babci. Przez wiele lat będę wspominał mnóstwo szczegółów związanych z tym meczem.

W każdym razie Dan i babcia zdecydowali, że lepiej będzie, jak zanocuję na Front Street. Zatem następnego ranka, oprócz poczucia zagubienia po krótkiej nocy i uświadomienia sobie, że to nie był sen, że Owen Meany faktycznie mocno uderzył piłkę do baseballa i zabił mamę, poczułem się dodatkowo zdezorientowany, bo nie wiedziałem, gdzie się ni z tego, ni z owego znalazłem. Przypominało to przebudzenie bohatera z książki fantastyczno-naukowej – kogoś, kto podróżował w czasie wstecz – jako że przyzwyczaiłem się już do mieszkania Dana Needhama.

I tak jakby tego wszystkiego nie było jeszcze dosyć, rano posłyszałem hałas, jakiego dotychczas na Front Street nie słyszałem. Dobiegał z podjazdu, a ponieważ okna mojej sypialni nie wychodziły na tę stronę, musiałem wyjść z pokoju, żeby sprawdzić, co to takiego. Choć właściwie wiedziałem. Słyszałem ów odgłos wielokrotnie w kamieniołomach Meanych. To niezwykle charakterystyczny, najniższy bieg potężnej ciężarówki transportowej, którą pan Meany przewoził granitowe bloki, przeznaczone na płyty i krawężniki uliczne oraz nagrobki. I rzeczywiście. Cały podjazd domu babci zajmowała załadowana granitem i nagrobkami ciężarówka przedsiębiorstwa Meanych.

Bez trudu mogłem sobie wyobrazić oburzenie babci, gdyby naturalnie wstała i zobaczyła ciężarówkę w tym miejscu. Jakbym

w głębi duszy słyszał jej słowa: „Cóż to za brak taktu! Moja córka zmarła dopiero wczoraj, a on już nam przywozi nagrobek! Pewnie zdążył też wykuć napis!” Takie właśnie myśli chodziły mi po głowie.

Jednakże pan Meany nie wysiadł z szoferki. To Owen pojawił się z drugiej strony, przeszedł do tyłu ciężarówki i zdjął z niej kilka ogromnych kartonów. Najwyraźniej nie były pełne granitu, skoro Owen sam sobie z nimi poradził. Udało mu się to wszystko zrobić, a na dodatek przeniósł kartony pod drzwi kuchenne i byłem pewien, że zaraz naciśnie dzwonek. Nadal dźwięczały mi w uszach przeprosiny, które wypowiedział, gdy skrywałem głowę pod wiatrówką pana Chickeringa. I chociaż bardzo chciałem zobaczyć Owena, wiedziałem, że w chwili, kiedy przemówi albo ja się do niego odezwę, wybuchnę płaczem. Dlatego odetchnąłem z ulgą, gdy Owen nie zadzwonił. Zostawił kartony pod kuchennymi drzwiami i pędem wrócił do szoferki, pan Meany zaś wycofał ciężarówkę z podjazdu, ciągle jadąc na najniższym biegu.

W kartonach znajdowały się wszystkie karty baseballowe Owena. Babcia była przerażona, ale przez całe lata ani nie rozumiała Owena, ani nie chciała go zrozumieć. Dla niej był tylko „tym chłopcem”, „tym brzdącem”, czy też „tym głosem”. Wiedziałem, czym są karty baseballowe dla Owena, wiedziałem, że to jego skarb. Od razu też zrozumiałem, jak bardzo to wszystko, co związane z baseballem, zmieniło dla niego znaczenie, podobnie zresztą jak dla mnie – chociaż ja nigdy nie byłem takim fanatykiem jak on. Nie musiałem rozmawiać z Owenem, żeby wiedzieć, iż żaden z nas już nigdy nie zagra w rozgrywkach Małej Ligi i że obu nas czeka jakiś specjalny rytuał – musimy uroczyście wyrzucić nasze kije, rękawice i stroje, a także wszystkie piłki, jakie się tylko znajdą w domu i na podwórku (z wyjątkiem tej jednej, która niewątpliwie nabrała dla mojego przyjaciela rangi obiektu muzealnego).

Jednakże na temat kart baseballowych musiałem porozmawiać z Danem, gdyż stanowiły największy skarb Owena – właściwie jego jedyny skarb, a ponieważ śmierć mamy uczyniła z baseballu sport śmierci, więc co takiego miałem z tymi kartami zrobić? Czy Owen pragnął w ten sposób zademonstrować, że umywa ręce i nie chce mieć już nic wspólnego z tą wspaniałą amerykańską rozrywką, czy

też usiłował złagodzić nieco mój ból, dając mi okazję do spalenia kart? Tego dnia podpalenie ich sprawiłoby mi dużo radości.

– Chce, żebyś mu je oddał – rozstrzygnął Dan Needham.

Od początku wiedziałem, że mama, wybierając Dana, zdecydowała się na fajnego faceta, ale dopiero w dzień po jej śmierci zorientowałem się, że wybrała również faceta bardzo mądrego. Jasne, że Owen tego właśnie oczekuje. Dał mi swoje karty baseballowe, żeby pokazać, jak mu przykro z powodu wypadku i jak bardzo go to boli, bo kochał mamę prawie tak mocno jak ja. A dając mi karty, chciał jakby przez to powiedzieć, że i mnie kocha na tyle, by powierzyć mi swoją sławną kolekcję. Ale to jasne, że pragnie ją mieć z powrotem!

– Przejrzyjmy je – zaproponował Dan. – Założę się, że nawet w pudełkach są w jakimś porządku.

I faktycznie były. Nie mogliśmy z Danem rozgryźć żadnego schematu, ale karty zostały ułożone zgodnie z jakimś bardzo skomplikowanym zamysłem. Po pierwsze, nazwiska graczy szły według alfabetu, ale sami pałkarze – chodzi mi o tych największych – mieli swoją podgrupę. Odrębną grupę tworzyli też polowi, ci najlepsi. Oddzielnie też znajdowali się miotacze. Wygląda na to, że były nawet odpowiednie podgrupy w zależności od wieku graczy. Ale ani Dan, ani ja nie potrafiliśmy zbyt długo przeglądać tych kart – tak wielu graczy patrzyło w aparat ze śmiercionośną pałką spokojnie spoczywającą im na ramieniu.

Znam dzisiaj mnóstwo osób, które odruchowo kulą się ze strachu na każdy dźwięk choćby minimalnie przypominający strzał karabinowy czy wybuch bomby – palnięcie z rury wydechowej, odgłos szczotki czy łopaty spadającej płasko na cementową podłogę albo linoleum, jakiś kapiszon wystrzelony przez dziecko – wystarczy tylko coś takiego, a ci moi znajomi zasłaniają uszy, spodziewając się (tak jak my wszyscy w dzisiejszych czasach) ataku terrorystycznego lub przypadkowego strzału. Ale nie dotyczy to mnie ani Owena Meany'ego. Wszystko z powodu jednej źle zagranej piłki baseballowej, jednego nieszczęśliwego zamachnięcia się, jednego niefortunnego ruchu, wszystko z powodu wstrętnego kiksu – jednego na milion. Owen Meany i ja już na zawsze jesteśmy skazani

na to, że będziemy wzdrygać się na dźwięk innego strzału – uwielbianego przez Amerykanów w lecie – na odgłos uderzenia baseballowego kija.

Dlatego więc, nie po raz ostatni, poszedłem za radą Dana Needhama. Zapakowaliśmy pudła z kartami baseballowymi do samochodu i zaczęliśmy się zastanawiać, jaka byłaby najlepsza pora dnia, żeby pojechać do Kamieniołomów Meanych – chodziło o taką porę, kiedy moglibyśmy uniknąć przypadkowego spotkania z panem Meanym i nie przeszkodzić pani Meany w ponurym kontemplowaniu profilem widoku z jednego z kilku okien, no i wreszcie nie wpaść na samego Owena. Dan rozumiał, że kocham Owena i że nade wszystko chcę z nim porozmawiać, ale zarówno dla dobra Owena, jak i mojego najlepiej było tę rozmowę odłożyć. Zanim jednak skończyliśmy pakowanie kart baseballowych do samochodu, Dan zaskoczył mnie pytaniem:

– A ty co mu dasz?

– Jak to? – nie bardzo zrozumiałem.

– No, co mu dasz, żeby pokazać, że go kochasz? – wyjaśnił Dan. – Właśnie to Owen chciał ci zademonstrować. Co takiego ty mógłbyś mu dać?

Naturalnie wiedziałem, czym mógłbym przekonać Owena, że go kocham. Wiedziałem, ile dla niego znaczy mój pancernik, ale byłoby mi trochę niezręcznie „dać" Owenowi pancernika w obecności Dana, od którego go przecież dostałem. A jeśliby Owen mi go nie oddał? Mnie Dan pomógł zrozumieć, że powinienem zwrócić te cholerne karty baseballowe. Gdyby natomiast Owenowi przyszło do głowy zatrzymać pancernika?

– Johnny, masz pokazać Owenowi, że kochasz go na tyle, aby powierzyć mu każdą rzecz, nawet nie licząc na to, że ci ją zwróci. Powinno to być coś naprawdę specjalnego, coś, co z pewnością chciałbyś mieć z powrotem – i on o tym musi wiedzieć. Wtedy dopiero będzie to miało szczególną wymowę.

– A gdybym mu dał pancernika? I on by go sobie zatrzymał?

Dan Needham przysiadł na przednim zderzaku samochodu. Było to kombi marki Buick w kolorze ciemnozielonym, po bokach i z tyłu wykończony prawdziwym drewnem, i z chromowanymi

wywietrznikami, które przypominały otwarty pysk żarłocznej ryby. W pozycji, w jakiej siedział Dan, wyglądało, jakby samochód za chwilę miał go pożreć, Dan zaś był już na tyle zmęczony, że dałby się pożreć bez walki. Jestem pewien, że całą noc nie spał, płacząc bez przerwy, tak samo zresztą jak ja, a oprócz tego robił pewnie to, czego ja nie robiłem – przez całą noc pił. Wyglądał okropnie. Jednakże w rozmowie ze mną okazywał wiele cierpliwości, ostrożnie dobierając słowa.

– Johnny, byłbym niezwykle szczęśliwy, gdyby jakaś rzecz, którą ode mnie dostałeś, mogła ci się szczególnie przydać. Byłbym naprawdę dumny, jeśli miałaby służyć jakiemuś ważnemu celowi.

Właśnie wtedy po raz pierwszy zacząłem myśleć o różnych wydarzeniach czy przedmiotach jako o szczególnie „ważnych" czy „służących jakiemuś istotnemu celowi". Dotychczas nie zwracałem większej uwagi na to, że każda rzecz służy czemuś określonemu, szczególnemu. Jeszcze wtedy nie byłem „człowiekiem wierzącym", jak teraz. Wierzę w Boga i wierzę w „istotny cel" pewnych wydarzeń czy rzeczy. Obchodzę wszystkie święta, które uznają tylko staroświeccy anglikanie. Całkiem niedawno obchodziliśmy takie święto i miałem wtedy szczególne powody, żeby pomyśleć o Owenie Meanym. Było to 25 stycznia 1987 roku i przypadające na ten dzień czytanie Ewangelii o nawróceniu świętego Pawła przypomniało mi o Owenie. Pan mówi do Jeremiasza:

Zanim ukształtowałem cię w łonie matki,
znałem cię,
nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię,
prorokiem dla narodów ustanowiłem cię.

Jeremiasz jedynie odpowiada, że nie umie mówić, jest tylko „młodzieńcem". I wtedy Pan mu wyjaśnia:

Nie mów „jestem młodzieńcem",
gdyż pójdziesz, do kogokolwiek cię poślę,
i będziesz mówił, cokolwiek tobie polecę.

Nie lękaj się ich, bo jestem z tobą,
by cię ochronić – wyrocznia Pana.

I w tym momencie Pan dotyka ust Jeremiasza mówiąc:

Oto kładę moje słowa w twoje usta.
Spójrz, daję ci dzisiaj władzę nad narodami
i nad królestwem, byś wyrywał i obalał,
byś niszczył i burzył, byś budował i sadził.

Szczególnie w dni świąteczne myślę o Owenie. Niekiedy myślę o nim zbyt intensywnie, i to przeważnie wtedy, kiedy zdarzy mi się opuścić kilka niedzielnych nabożeństw i walczę z sobą, żeby przez jakiś czas nie otwierać modlitewnika. Odnoszę wrażenie, że dla osoby nawróconej, takiej jak ja, nawrócenie świętego Pawła ma specyficzny wydźwięk.

A przecież nie mogę nie myśleć o Owenie przy lekturze Listu świętego Pawła do Galatów, gdzie pisze: *Kościołom zaś chrześcijańskim w Judei pozostawałem osobiście nie znany. Docierała do nich jedynie wieść: ten, co dawniej nas prześladował, teraz jako Dobrą Nowinę głosi wiarę, którą ongiś usiłował wytępić. I wielbili Boga z mego powodu.*

Jakże dobrze znam to uczucie! Ja wierzę w Boga ze względu na Owena Meany'ego!

Dałem Owenowi pancernika, dlatego że zaufałem Danowi Needhamowi. Wsadziłem zwierzę do brązowej torby, którą z kolei włożyłem do innej jeszcze brązowej torby papierowej i choć nie miałem wątpliwości, że Owen będzie dokładnie wiedział, jaka jest zawartość przesyłki, jeszcze zanim ją rozpakuje, przez moment zastanawiałem się, czy jego matka przeżyłaby szok, gdyby rozpakowała paczkę. Ale w końcu to nie ona miała otwierać torbę.

Mieliśmy wtedy z Owenem po jedenaście lat. Nie potrafiliśmy w żaden inny sposób wydusić z siebie tego wszystkiego, co czuliśmy w związku ze śmiercią mamy. Owen dał mi swoje karty baseballowe,

ale tak naprawdę chciał je mieć z powrotem, a ja mu dałem wypchanego pancernika, i nie ukrywam, że miałem głęboką nadzieję, iż mi go odda. A to wszystko dlatego, że nie potrafiliśmy rozmawiać o naszych uczuciach. No bo jak może czuć się chłopiec, który uderzył tak mocno piłeczkę baseballową, że ta zabiła matkę jego najlepszego przyjaciela? A jakie uczucia mogły się zrodzić we mnie, gdy widziałem matkę rozciągniętą na trawie, nad uchem zaś brzęczał mi debilny szef policji, marudząc, że nie wie, gdzie się podziała piłeczka baseballowa, i twierdząc, że ta idiotyczna piłeczka to „narzędzie śmierci", „mordercza broń"? Nie potrafiliśmy z Owenem o tym rozmawiać, przynajmniej jeszcze nie wtedy. I dlatego podarowaliśmy sobie nawzajem to, co każdy miał najcenniejszego, licząc, że dostaniemy te przedmioty z powrotem. Gdyby się nad tym bliżej zastanowić, nie było to wcale takie głupie.

Według moich oczekiwań Owen spóźnił się z oddaniem pancernika o jeden dzień. Zatrzymał go na dwie noce, moim zdaniem, o jedną za dużo. Ale zwrócił mi go. Ponownie usłyszałem pracujący na najniższym biegu motor ciężarówki przedsiębiorstwa Meanych, raz jeszcze do domu przy Front Street została dostarczona przesyłka – wcześnie rano, zanim pan Meany, jak co dzień, zajął się swoimi trudnymi obowiązkami. Owen wykorzystał te same brązowe torby papierowe, w które i ja wpakowałem pancernika, zostawiając go na schodku przy drzwiach kuchennych. Uważałem, że to niebezpieczne zostawiać pancernika na zewnątrz, biorąc pod uwagę nieokiełznany apetyt pewnego psa myśliwskiego, który należy do naszego sąsiada, pana Fisha, ale w tym momencie przypomniałem sobie, że Sagamore już nie żyje.

Dopiero jednak po chwili odkryłem rzecz straszną. Pancernik nie miał dwóch malutkich przednich łap – była to jego najpożyteczniejsza i najbardziej efektowna część ciała! Owen zwrócił pancernika, ale zatrzymał sobie łapy!

No tak – przyjaźń przyjaźnią, ale pancernik to już coś zupełnie innego. Byłem tak wściekły, dokonawszy tego odkrycia, że musiałem porozmawiać z Danem. Jak zawsze, Dan znalazł dla mnie czas. Siedział na brzegu łóżka, na którym chlipałem – bez łap pancernik nie będzie mógł już stać prosto! Będzie się przewracać na pyszczek!

Nie sposób go ustawić tak, by nie wyglądał jak żebrak albo, nie daj Boże, pokiereszowany kaleka! Co za przykrość! Jak mój najlepszy przyjaciel mógł zrobić coś takiego! Ale dopiero Dan uświadomił mi, że Owen chciał w ten sposób wyrazić swoje uczucia. Według niego, gest ten symbolizował to, co Owen wyrządził i mnie, i sobie – że obydwaj zostaliśmy okaleczeni, okrojeni.

– Twój przyjaciel jest niezwykle oryginalny – stwierdził Dan z głębokim szacunkiem. – Czy ty tego nie rozumiesz? Gdyby mógł, odciąłby sobie ręce. Tak się właśnie czuje, dlatego że w ogóle dotknął tego kija, że się nim tak mocno zamachnął. Wszyscy odbieramy to podobnie – ty, ja i Owen. Straciliśmy cząstkę siebie.

Dan wziął do ręki okaleczonego pancernika i zaczął z nim eksperymentować na moim nocnym stoliku, tak jak już zresztą wcześniej robiłem i ja, starając się znaleźć pozycję, w której zwierzę mogłoby stać albo przynajmniej się położyć, zachowując przy tym pozór wygody lub odrobinę godności. Niestety, pancernik był kaleką. Został inwalidą. Zastanawiałem się z kolei, co Owen zrobił z tymi łapami? Jaki straszny ołtarzyk sobie zbudował? Czy łapy obejmowały śmiercionośną piłeczkę?

Dość mocno poruszeni, zaczęliśmy z Danem szukać pozycji, w której pancernik wyglądałby przyzwoicie.

– Problem w tym – doszedł do wniosku Dan – że nie ma pozycji, w której prezentowałby się w sposób możliwy do zaakceptowania. To bowiem, co się zdarzyło, jest nie do zaakceptowania! Mimo to nadal musimy z tym żyć.

To naprawdę genialny pomysł, jakiż oryginalny – mruczał Dan, aż wreszcie usnął na drugim łóżku w mojej sypialni, na którym Owen nocował tak wiele razy. Przykryłem go więc i zostawiłem w spokoju. Kiedy babcia przyszła pocałować mnie na dobranoc, pocałowała też i Dana. I wtedy w półmroku odkryłem, że mogę ustawić pancernika w lekko wysuniętej górnej szufladzie nocnej szafki, tak iż przy odrobinie fantazji będzie sprawiał wrażenie czegoś zupełnie innego. Schowany do połowy, pancernik wyglądał jak jakieś stworzenie wodne – widać było tylko głowę i tułów. Mogłem sobie wyobrazić, że tam, gdzie zaczynają się łapy, wystają mu skarłowaciałe płetwy.

Tuż przed zaśnięciem zdałem sobie sprawę z tego, że wszystko, co Dan mówił na temat intencji Owena, jest słuszne. Jakież to było dla mnie ważne, że Dan Needham prawie nigdy się nie mylił! Przed osiemnastym rokiem życia, kiedy sam przeczytałem to dzieło, nie znałem dobrze „Historii Gravesend" Walla. Znałem natomiast fragmenty, które Owen uważał za ważne. Tuż przed zaśnięciem zrobiłem dodatkowe odkrycie – uświadomiłem sobie, czym jeszcze, oprócz tego wszystkiego, co wyjaśnił mi Dan, jest mój pancernik. Pancernikowi obcięto łapy po to, by przypominał totem Watahantoweta – tragicznego, pozbawionego ramion mężczyznę. Bo przecież Indianie mieli w sobie tyle mądrości, by wiedzieć, że wszystko ma swoją własną duszę, własnego ducha.

To właśnie Owen Meany zwrócił mi uwagę na próżność białych, którzy twierdzą, iż biały człowiek jest kimś wyjątkowym tylko dlatego, że ma duszę. Owen był zdania, że rację miał Watahantowet. Wierzył, iż duszę mają także zwierzęta, ba, że nawet mocno eksploatowana rzeka Squamscott ma duszę. Watahantowet wiedział, że tereny, które sprzedał moim przodkom, są pełne duchów. Skały, które wydobyli oni z ziemi, by zaorać pole, już na zawsze pozostały niespokojnymi duchami. Także drzewa, które ścięli, by z nich zbudować domy, zamieszkiwały inne duchy niż te, które wydostawały się przez komin wraz z dymem. Watahantowet był prawdopodobnie ostatnim mieszkańcem Gravesend w New Hampshire, który tak naprawdę wiedział, że wszystko ma swoją cenę. Oto macie moją ziemię! Ale ja wraz z nią tracę ramiona!

Musiało jeszcze upłynąć wiele lat, zanim w pełni pojąłem myśli Owena Meany'ego, ale tamtej nocy niezbyt dobrze go rozumiałem. Teraz wiem, że pancernik miał wyrazić uczucia mego przyjaciela, chociaż on sam zrobił to dopiero, kiedy znaleźliśmy się na Akademii. Dopiero wtedy pojąłem, że Owen przekazał mi swoje odczucia za pośrednictwem pancernika. Owen Meany (a także pancernik) chciał powiedzieć: „Bóg zabrał twoją matkę. Moje ręce były narzędziem Boga. Bóg odebrał mi moje ręce. Jestem narzędziem Boga".

Jak mogło mi w ogóle coś takiego przyjść do głowy? Czy mogłem przypuścić, że jedenastoletni gówniarz miewa takie myśli? Byłem daleki od tego, by sądzić, że Owen Meany widzi w sobie wybrańca

Bożego. Zaskoczyłoby mnie, gdyby Owen uważał się za człowieka wyznaczonego przez Boga. Kiedy się go widziało majtającego nogami w powietrzu w szkółce niedzielnej, nikomu by nie przyszło do głowy, że wykonuje zadanie nakazane przez Boga. A ponadto, abstrahując zupełnie od Owena – w wieku lat jedenastu w ogóle nie wierzyłem w to, iż bywają „wybrani" albo że Bóg może kogokolwiek „wybierać" bądź wyznaczać jakieś „zadania". Nie wiem, czy istnieją inne dowody, na których opierał się Owen, wierząc, iż został wybrany, by prowadzić dzieło Pana. Jednakże przekonanie Owena, iż w każdym jego postępku kryje się zamysł Boży, wyrastało nie tylko z owego nieszczęsnego uderzenia pałką do baseballa. Niedługo się zresztą o tym przekonamy.

Dzisiaj, 30 stycznia 1987 roku, w Toronto pada śnieg. Psy uważają, że w śniegu Toronto prezentuje się znacznie lepiej. Bardzo lubię wyprowadzać psa na spacer, kiedy sypie, ponieważ entuzjazm zwierzęcia jest zaraźliwy. Na śniegu pies ustanawia swoje prawa terytorialne do Zbiornika Świętej Klary, tak jakby był pierwszym psem, który się tam załatwia. To tylko złudzenie, zrodzone dzięki warstwie świeżego śniegu, co przysypał pokłady psich odchodów, z których to miejsce słynie.

W śniegu zegar na wieży College'u Górnej Kanady wygląda, jakby wybijał godziny dla szkoły podstawowej w małym miasteczku Nowej Anglii. Gdy śnieg nie pada, samochody i autobusy wydają się znacznie liczniejsze, ich hałas dobiega wyraźniej, a i centrum Toronto wygląda, jakby leżało znacznie bliżej. Przykryty śniegiem zegar na wieży College'u Górnej Kanady, zwłaszcza widziany z Kilbarry Road albo nawet bliżej – z końca Frybrook Road, przypomina mi wieżę głównego gmachu Akademii Gravesend – wieża jest równie wymyślna i ponura.

Kiedy spadnie śnieg, okolice, w których mieszkam przy Russell Hill Road, przywodzą na myśl Nową Anglię. Co prawda, mieszkańcy Toronto nie lubią za bardzo biało oszalowanych domów z ciemnozielonymi czy czarnymi okiennicami, ale dom mojej babci przy Front Street był zbudowany z cegły. W Toronto wolą cegłę

i kamień. Jednakże, co dla mnie niezrozumiałe, potrafią to zaśmiecić zbyt wielką liczbą ozdób albo na przykład dekoracji okiennych i okiennic. Czasami nawet w okiennicach rzeźbią serca czy liście klonowe, ale śnieg zakrywa wszystkie te ozdóbki. A niekiedy, gdy śnieg, tak jak dzisiaj, jest wyjątkowo mokry i ciężki, nawet ceglane domy stają się białe. Toronto jest miastem stonowanym, ale nie surowym. Gravesend jest surowe, choć jednocześnie ładne. Toronto z kolei trudno nazwać ładnym miastem. Jednakże pod śniegiem może przypominać Gravesend. Oba są ładne i surowe zarazem.

Z okna mojej sypialni przy Russell Hill Road widzę zarówno kościół Łaski na Wzgórzu, jak i kaplicę biskupa Strachana. Cóż to za zbieg okoliczności, że chłopiec, który w dzieciństwie był rozdarty między dwa kościoły, może teraz z okna popatrzeć sobie na jeszcze dwa! Ale dzisiaj taka sytuacja mi odpowiada. Obydwa kościoły są anglikańskie. Ich zimne, szare, kamienne budynki również dużo lepiej się prezentują pokryte śniegiem.

Babcia często mawiała, że śnieg „uzdrawia", że uzdrawia wszystko. To typowo jankeskie podejście. Jeśli porządnie sypie, śnieg dobrze robi. Mnie na pewno dobrze robi w Toronto. I te dzieciaki jeżdżące na sankach po Zbiorniku Świętej Klary przypominają mi Owena, ponieważ dla mnie Owen zawsze pozostał takiego samego wzrostu jak wtedy, gdy miał jedenaście lat, czyli wzrostu przeciętnego pięciolatka. Muszę jednak uważać, żeby nie przypisać zbyt wiele śniegowi. Tyle innych rzeczy przypomina mi Owena.

Staram się unikać amerykańskich gazet i czasopism, jak również amerykańskiej telewizji, a także innych Amerykanów w Toronto. Tylko że Toronto nie jest dostatecznie daleko. Dosłownie przedwczoraj, 28 stycznia 1987 roku, na pierwszej stronie „The Globe and Mail" zamieszczono pełne sprawozdanie Ronalda Reagana o stanie państwa. Czy ja się już nigdy nie nauczę? Kiedy widzę coś takiego, po prostu nie powinienem tego czytać. Powinienem za to wziąć modlitewnik. Nie wolno mi pozwalać sobie na wybuchy gniewu, ale wybacz mi, Boże! Przeczytałem raport o stanie kraju. Po prawie dwudziestu latach spędzonych w Kanadzie nadal fascynują mnie niektórzy amerykańscy szaleńcy!

„Nie może być żadnych sowieckich przyczółków w Ameryce Środkowej!” – oświadczył prezydent Reagan. Utrzymywał również, że nie poświęci proponowanego przez siebie systemu kosmicznej broni nuklearnej, ukochanego planu Gwiezdnych Wojen, na rzecz porozumienia ze Związkiem Radzieckim w sprawie ograniczenia zbrojeń. Posunął się nawet do stwierdzenia, że „elementem kluczowym stosunków USA–ZSRR” jest kwestia „bardziej odpowiedzialnej polityki Związku Radzieckiego na arenie światowej” – tak jakby Stany mogły komuś służyć przykładem „odpowiedzialnej polityki na arenie międzynarodowej”!

Wiem, że prezydent Reagan wygłasza tego typu stwierdzenia, gdyż zdaje sobie sprawę, że Amerykanie nigdy go nie pociągną do odpowiedzialności za wypowiedziane słowa. Do odpowiedzialności pociąga historia, a ja już miałem okazję wyrazić swoją opinię, iż Amerykanie nie są w historii zbyt mocni. Ilu z nich zna na przykład najnowsze dzieje własnego kraju? Czy wydarzenia sprzed dwudziestu lat to odległa przeszłość? Czy pamiętają datę 21 października 1967 roku? W Waszyngtonie demonstrowało wtedy przeciwko wojnie pięćdziesiąt tysięcy ludzi. I ja tam byłem. Nazywało się to „marsz na Pentagon”. Pamiętacie? Dwa lata później w Waszyngtonie znowu zgromadziło się pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Szli z latarkami. Domagali się pokoju. Na Boston Common było dwieście tysięcy demonstrantów żądających pokoju. W Nowym Jorku zebrało się dwieście tysięcy. Ronaldowi Reaganowi nie udało się jeszcze uśpić całych Stanów, ale przynajmniej powiodło mu się to w Kalifornii. Według jego słów, protesty przeciwko wojnie w Wietnamie „służą pomocą i wsparciem dla sił wroga”. Jako prezydent ciągle jeszcze nie wiedział, kto jest wrogiem.

Za to teraz jestem przekonany, że Owen Meany doskonale wiedział. Zawsze wszystko wiedział.

W lutym 1962 roku byliśmy na ostatnim roku Akademii Gravesend. W moim domu przy Front Street często oglądaliśmy telewizję. Prezydent Kennedy oświadczył, że doradcy amerykańscy w Wietnamie odpowiedzą ogniem, jeśli zostaną zaatakowani.

– Mam nadzieję, że doradzamy właściwym ludziom – stwierdził wtedy Owen.

Tej wiosny, niecały miesiąc przed końcowymi egzaminami na Akademii Gravesend, pokazano w telewizji mapę Tajlandii. Wysyłano tam właśnie pięć tysięcy amerykańskich marines i pięćdziesiąt myśliwców odrzutowych „w odpowiedzi na komunistyczną ekspansję w Laosie", oznajmił prezydent Kennedy.

– Mam nadzieję, że wiemy, co robimy! – rzucił Owen.

Latem 1963 roku, w czasie wakacji po naszym pierwszym roku na uniwersytecie, w Wietnamie odbyły się demonstracje mnichów buddyjskich. Zaczęły się rozruchy. Po raz pierwszy zobaczyliśmy wtedy z Owenem w telewizji akt samospalenia. Siły rządowe Wietnamu Południowego pod dowództwem wybranego w wyborach prezydenta Ngo Dinh Diema zaatakowały kilka pagód buddyjskich. Było to w sierpniu. Jeszcze w maju brat Diema, Ngo Dinh Nhu, który stał na czele tajnej policji, przerwał obchody buddyjskiego święta, zabijając ośmioro dzieci i jedną kobietę.

– Diem jest katolikiem – oświadczył Owen Meany. – Jak katolik może być prezydentem kraju, w którym główną religią jest buddyzm?

Tego właśnie lata Henry Cabot Lodge został ambasadorem amerykańskim w Wietnamie. Również tego lata Lodge otrzymał telegram z Departamentu Stanu sugerujący, iż Stany Zjednoczone „nie będą dłużej tolerować wpływu" Ngo Dinh Nhu na reżim prezydenta Diema. Dwa miesiące później wojskowy zamach stanu obalił rząd Południowego Wietnamu. Następnego dnia Diem oraz jego brat Nhu zostali zamordowani.

– Wygląda jednak na to, że doradzaliśmy nie tym, co trzeba – stwierdził Owen.

A następnego lata, kiedy zobaczyliśmy w telewizji północnowietnamskie łodzie patrolowe w Zatoce Tonkińskiej, które dwa dni później zaatakowały dwa niszczyciele amerykańskie, Owen spytał:

– Czy to jest film, czy to było naprawdę?

Prezydent Johnson poprosił Kongres o specjalne pełnomocnictwa, aby „podjąć niezbędne kroki w celu odparcia zbrojnego ataku na siły Stanów Zjednoczonych i powstrzymać dalszą agresję". Rezolucja w sprawie Zatoki Tonkińskiej została przyjęta przez Izbę

Reprezentantów jednogłośnie 416 głosami. Przeszła przez Senat stosunkiem 88 głosów do 2. Ale wówczas Owen Meany zadał telewizorowi babci następujące pytanie:

– Czy to znaczy, że prezydent może wypowiedzieć wojnę bez jej wypowiedzenia?

W czasie owego sylwestra – pamiętam, że Hester wypiła za dużo i wymiotowała – w Wietnamie przebywało niewiele ponad dwadzieścia tysięcy osób personelu wojskowego Stanów Zjednoczonych, z których zaledwie kilkanaście (albo coś koło tego) zostało zabitych. Zanim w maju 1970 roku Kongres odwołał rezolucję w sprawie Zatoki Tonkińskiej, w Wietnamie znajdowała się już prawie półmilionowa armia amerykańska. Spośród niej zginęło ponad czterdzieści tysięcy żołnierzy.

Już na początku roku 1965 Owen Meany dostrzegł pewien problem strategiczny.

W marcu Siły Powietrzne USA rozpoczęły operację „Grzmot". Miała ona zniszczyć cele w Północnym Wietnamie, zatrzymać dostawy do Wietnamu Południowego, w Wietnamie zaś wylądowały pierwsze amerykańskie jednostki wojskowe.

– Tej wojny nie będzie można zakończyć – stwierdził Owen Meany. – Nie będzie jej można dobrze zakończyć.

W dzień Bożego Narodzenia prezydent Johnson wstrzymał operację „Grzmot". Przerwał bombardowania. Wznowiono je miesiąc później. Senacka Komisja Spraw Zagranicznych rozpoczęła przesłuchania w związku z wojną, transmitowane przez telewizję. To właśnie wtedy moja babcia zaczęła się tym wszystkim bliżej interesować.

Na jesieni 1966 roku operacja „Grzmot" doprowadziła do zacieśnienia pierścienia wokół Hanoi, ale Owen Meany oznajmił:

– Wydaje mi się, że Hanoi sobie z tym poradzi.

A pamiętacie operację „Trop Tygrysa"? Albo operację „Ugniatacz/Białe Skrzydło/Than Phong 11"? W tej ostatniej zginęło 2389 żołnierzy wroga. Potem była operacja „Paul Revere/Than Phong 14" – może nie tak spektakularna – pochłonęła bowiem, według oficjalnych danych, zaledwie 546 „ofiar ze strony wroga". A co powiecie o operacji „Maeng Ho 6"? Wtedy strona wroga straciła 6161 żołnierzy.

Do sylwestra 1966 roku w akcji zginęło 6644 amerykańskich żołnierzy. Tylko Owen Meany pamiętał, że była to liczba o 483 większa niż liczba żołnierzy wroga zabitych w operacji „Maeng Ho".

– Jak możesz to wszystko spamiętać? – spytała babcia Owena.

Generał Westmoreland prosił z Sajgonu o „świeże posiłki". Owen i to pamiętał. Według Departamentu Stanu, a konkretnie Deana Ruska – przypominacie go sobie? – wygrywaliśmy „wojnę na wyczerpanie".

– Nie jestem pewien, czy to taka wojna, którą potrafimy wygrać – oświadczył Owen Meany.

Pod koniec roku 1967 w Wietnamie przebywało pięćset tysięcy amerykańskiego personelu wojskowego. To właśnie wtedy generał Westmoreland stwierdził: „Doszliśmy do ważnego punktu, kiedy zaczynamy widzieć początek końca".

– Jakiego końca? – spytał Owen Meany generała. – A co się stało ze świeżymi posiłkami? Pamięta pan „świeże posiłki"?

Teraz wydaje mi się, że Owen pamiętał wszystko. Na to, żeby wiedzieć wszystko, trzeba też wszystko pamiętać.

A przypominacie sobie ofensywę „Tet"? Było to w styczniu 1968 roku. „Tet" to tradycyjne święto wietnamskie – odpowiednik Bożego Narodzenia czy Nowego Roku. W okresie wojny wietnamskiej podczas takich świąt zwykle przestrzegano zawieszenia ognia. Ale tego roku Północny Wietnam zaatakował ze sto południowowietnamskich miast – ponad trzydzieści stolic prowincji. Było to tego roku, gdy prezydent Johnson oznajmił, iż nie będzie ponownie kandydował w najbliższych wyborach prezydenckich. Pamiętacie? Tego roku zamordowano Roberta Kennedy'ego. Może to pamiętacie? Tego roku Richard Nixon został wybrany na prezydenta. A jego sobie przypominacie? Następnego roku, w 1969, kiedy Ronald Reagan stwierdził, iż protesty przeciwko wojnie w Wietnamie „służą pomocą i wsparciem dla sił wroga", w Wietnamie nadal przebywało pół miliona Amerykanów. Nigdy nie znalazłem się wśród nich.

W Wietnamie służyło ponad trzydzieści tysięcy Kanadyjczyków. I prawie tyle samo Amerykanów przybyło do Kanady w czasie wojny wietnamskiej. Byłem jednym z nich – jednym z tych, którzy zostali. W marcu 1971, kiedy porucznik William Calley został skazany za

morderstwo z premedytacją, byłem zasiedziałym imigrantem, który złożył już podanie o obywatelstwo. Prezydent Nixon zbombardował Hanoi w Boże Narodzenie 1972 roku. Atak trwał jedenaście dni, zużyto ponad czterdzieści tysięcy ton silnych materiałów wybuchowych. Ale tak jak Owen mówił, Hanoi jakoś sobie poradziło.

Czy powiedział kiedyś coś, co się okazało niesłuszne? Pamiętam, co mówił na temat Abbie Hoffmana – a Abbie Hoffmana sobie przypominacie? To ten facet, co próbował „ruszyć z posad" Pentagon. Zachowywał się jak błazen. Stworzył Międzynarodową Partię Młodzieży, tak zwanych Yippies. Aktywnie uczestniczył w protestach przeciwko wojnie. Jednocześnie uważał, że żadna ważna rewolucja nie ma w sobie nic z komizmu.

– Co ten kretyn myśli, że komu pomaga? – pytał Owen Meany.

To właśnie dzięki Owenowi nie znalazłem się w Wietnamie – tylko jemu mogła się udać taka sztuczka.

– Traktuj to jako drobny upominek ode mnie – tak to ujmował.

Wstydzę się teraz, gdy sobie przypomnę, jaki byłem zły, że zabrał mi łapy pancernika. O Boże! Owen dał mi znacznie więcej, niż kiedykolwiek ode mnie wziął. Nawet biorąc pod uwagę to, że zabrał mi matkę.

ANIOŁ

W sypialni przy Front Street 80 matka miała manekin krawiecki. Stał na baczność przy łóżku, jak służący, który ma właśnie ją zbudzić, jak wartownik pilnujący jej podczas snu, jak kochanek, który zamierza wślizgnąć się do jej łóżka. Matka umiała dobrze szyć. Gdyby żyła w innych warunkach, byłaby krawcową. Smak miała niezbyt wyszukany, ale dla siebie zawsze wszystko szyła sama. Maszyna do szycia, którą również trzymała w sypialni, była niezwykle nowoczesna w porównaniu ze staruszką na strychu, służącą nam do zabawy. Maszyna matki stanowiła szczyt techniki i nigdy nie stała bezczynnie.

Przez wszystkie te lata, nim wyszła za Dana Needhama, matka nie miała stałej pracy ani też nie studiowała. I chociaż nigdy nie brakowało jej pieniędzy, ponieważ babcia niczego matce nie żałowała, wydatki na siebie potrafiła zawsze ograniczyć do minimum. Przywoziła z Bostonu najlepsze kreacje, ale nigdy ich nie kupowała. Wkładała je na manekin i kopiowała. Potem zwracała ubrania do różnych bostońskich sklepów. Zawsze mówiła to samo – i sprzedawcy nigdy nie mieli jej za złe. Wręcz przeciwnie – było im jej żal i przyjmowali ubrania z powrotem bez słowa.

– Nie podobają się mojemu mężowi – wyjaśniała.

Często śmiała się z tego konceptu, kiedy rozmawiała ze mną i z babcią.

– Chyba myślą, że wyszłam za jakiegoś tyrana – nic mu się nie podoba!

Babcia uśmiechała się dość powściągliwie, pamiętając, że matka w ogóle nie jest niczyją żoną, ale była to całkiem niewinna zabawa i Harriet Wheelwright z pewnością nie miała nic przeciwko temu, że jej córka ma jakąś rozrywkę.

Mama naprawdę szyła wspaniałe stroje. Były proste, tak jak mówiłem – najczęściej czarne w połączeniu z bielą, zawsze jednak z najlepszego materiału i doskonale skrojone. Różnokolorowe sukienki, bluzki i spódnice, które przywoziła do domu, miały skomplikowane fasony, ale matka doskonale potrafiła podpatrzyć krój i kopiowała ten sam fason w bieli i czerni. Potrafiła wiele rzeczy zrobić sama, mimo że nie wykazywała przy tym ani odrobiny oryginalności czy pomysłowości. Ta zabawa, kiedy nieodmiennie posługiwała się doskonałą figurą manekina krawieckiego, musiała radować jej oszczędną jankeską naturę, którą po części odziedziczyła po Wheelwrightach.

Matka nie znosiła ciemności. Dla niej nigdy nie było dosyć światła. Manekin – moim zdaniem – służył jej w walce z nocą. Zaciągała zasłony tylko wtedy, gdy się przebierała, ale kiedy miała już na sobie koszulę nocną i szlafrok, z powrotem je odsłaniała. Po zgaszeniu lampki na szafce nocnej do pokoju wpadało światło z zewnątrz, a zawsze była go choćby odrobina. Na Front Street nieodmiennie paliły się latarnie, pan Fish zostawiał na noc światła w domu, a i babcia miała jedną lampę zapaloną zupełnie bez sensu, bo oświetlała drzwi do garażu. Poza tym pokój rozjaśniał blask gwiazd, księżyca czy niesamowitego światła, które pojawia się nad wschodnim horyzontem, jeśli się mieszka w pobliżu wybrzeża Atlantyku. Nie było zatem nocy, kiedy matka leżałaby w łóżku, nie widząc dodającej jej otuchy postaci manekina. Był nie tylko jej sojusznikiem w walce przeciw ciemnościom – był także jej sobowtórem.

Nigdy nie stał nagi. Nie dlatego, że matka miała fisia na punkcie szycia i bez przerwy coś tam dłubała. Nie, raczej z poczucia przyzwoitości czy może dlatego, że lubiła się bawić – przebierać lalki, z czego nigdy nie wyrosła. Tak czy siak, manekin zawsze był ubrany. I to nie byle jak. Matka nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby stał w halce. Zatem stał zawsze w ubraniu, i to porządnym.

Pamiętam, jak się budziłem w nocy, bo śniło mi się coś strasznego, albo dlatego, że byłem chory. Szedłem wtedy ciemnym hallem, po omacku trafiałem na klamkę. Kiedy już wkraczałem do jej pokoju, miałem wrażenie, jakbym się znalazł w innej strefie czasowej. Po

ciemności mojego pokoju i czerni korytarza sypialnia matki wręcz jaśniała – inaczej niż w reszcie domu, u matki zawsze było jakby tuż przed świtem. I pośrodku stał manekin, ubrany, jak gdyby za chwilę miał ożyć i znaleźć się w wielkim świecie. Czasami wydawało mi się, że manekin to matka, że już wstała i właśnie do mnie idzie – może słyszała, jak kasłałem czy krzyczałem przez sen. A może przed chwilą wróciła do domu, mimo że jest tak późno? Kiedy indziej manekin zaskakiwał mnie całkowicie. Zapominałem, że tam jest, i w szarym półmroku pokoju jawił mi się jak napastnik, ponieważ postać stojąca nieruchomo obok łóżka równie dobrze może być strażnikiem, jak napastnikiem.

Łudząco przypominał postać matki. „Dzięki niemu jesteś podwojona", mawiał Dan Needham.

Dan opowiedział mi kilka historyjek o manekinie – przygód, które wydarzyły się już po ślubie z matką. Gdy przeprowadziliśmy się do mieszkania Dana przy Akademii Gravesend, manekin, a także mamy maszyna do szycia przeniosły się na stałe do jadalni, w której nie zjedliśmy ani jednego posiłku. Przeważnie chodziliśmy do stołówki szkolnej. A jeśli już jedliśmy w domu, to w kuchni.

Dan tylko kilka razy spróbował spać z manekinem w sypialni.

– Tabby, co się stało? – spytał pierwszej nocy, bo myślał, że matka wstała. – Wracaj do łóżka – powiedział manekinowi kiedy indziej. A raz spytał manekin, czy nic mu nie jest. Matka, która leżała obok i jeszcze nie całkiem zasnęła, zamruczała „Nie, a tobie?".

Naturalnie, najciekawsze przygody z manekinem miał Owen Meany. Na długo zanim pancernik Dana Needhama zmienił życie moje i Owena, najbardziej ulubioną jego zabawą w domu przy Front Street było rozbieranie i ubieranie manekina matki. Babci zabawa ta nie bardzo się podobała – zwłaszcza dlatego, że byliśmy przecież chłopcami. Matkę z kolei napełniała z początku obawami – bała się o stroje. Ale nabrała do nas zaufania. Mieliśmy czyste ręce, wieszaliśmy bluzki i spódnice na właściwe wieszaki, a bielizna, porządnie złożona, wracała do odpowiednich szuflad. Matka podchodziła z taką tolerancją do naszej zabawy, że czasami nawet gratulowała nam, jeśli wymyśliliśmy zestawienie stroju, o jakim ona sama dotychczas nie pomyślała. Niekiedy Owenowi tak bardzo

podobało się to, co nam przyszło do głowy, że błagał matkę, by osobiście przymierzyła oryginalne zestawienie.

Jedynie mój przyjaciel mógł wywołać rumieniec na twarzy matki.

– Miałam tę starą bluzkę i starą spódnicę od wielu lat – mówiła. – Ale nigdy nie przyszło mi do głowy włożyć jedno i drugie z tym paskiem. Owen, jesteś genialny!

– To na pani wszystko wygląda wspaniale – odpowiadał, a matka się czerwieniła.

Gdyby Owen chciał być bardziej oszczędny w komplementach, mógłby po prostu stwierdzić, że matkę, albo też manekin, łatwo ubierać. Cała jej garderoba stanowiła kombinację białego z czarnym, więc wszystko do wszystkiego pasowało.

Miała tylko jedną czerwoną suknię i jakoś nie mogliśmy jej przekonać do niej. Absolutnie nie pasowała do reszty strojów, ale odnoszę wrażenie, że ta część natury matki, która ma coś wspólnego z Wheelwrightami, nie pozwoliła jej sukni wyrzucić. Wyszperała ją w niezwykle eleganckim sklepie w Bostonie. Ogromnie jej się podobał lejący materiał, wycięte plecy, dopasowana talia i rozkloszowana spódnica, ale miała zastrzeżenia co do koloru – szkarłatnej czerwieni, czerwieni poinsecji. Chciała skopiować suknię w bieli i czerni – podobnie jak wszystko inne, ale tak bardzo podobał jej się fason, że zrobiła dwie kopie – jedną białą, drugą czarną. „Białą do opalenizny, a czarną na zimę".

Kiedy wróciła do Bostonu, żeby zwrócić czerwoną suknię, okazało się, że magazyn spłonął doszczętnie. Z początku nie mogła sobie przypomnieć, jak się ten sklep nazywał, ale wypytała mieszkających tam ludzi. Były jakieś kłopoty z ubezpieczeniem i dopiero po kilku miesiącach udało jej się do kogoś dotrzeć – i to tylko do prawnika.

– Nie zapłaciłam za tę suknię! – powiedziała matka. – A była bardzo droga. Miałam ją tylko przymierzyć. Nie chcę tej sukienki. Nie chcę, żeby za kilka miesięcy przysłano mi słony rachunek. Była bardzo droga – powtórzyła. Ale adwokat stwierdził, że to bez znaczenia. Spłonęło wszystko. Spaliły się książki sprzedaży, spis towarów, cały magazyn.

– Telefon się stopił, kasa też – dodał. – Ta sukienka to naprawdę kropla w morzu. Teraz należy do pani. Miała pani szczęście –

oświadczył w taki sposób, że wzbudził w niej poczucie winy.

– O Boże! Jak łatwo w Wheelwrightach wywołać poczucie winy! – stwierdziła babcia. – Weź się w garść, Tabita, i przestań narzekać. Sukienka jest śliczna – akurat w kolorze odpowiednim na Boże Narodzenie – orzekła babka. – W okresie świąt jest mnóstwo różnych przyjęć. Będzie się do tego idealnie nadawała. – Ale nie przypominam sobie, żeby matka choć raz wyjęła ją z szafy po skopiowaniu modelu. Jeśli suknia kiedykolwiek trafiała na manekin, to jedynie wtedy, gdy robił to Owen; nawet jemu jednak nie udało się matki przekonać, że to śliczna suknia.

– Może i ma kolor odpowiedni na Boże Narodzenie, ale ja jestem nieodpowiedniego koloru, zwłaszcza w okresie świąt. – Chodziło jej o to, że bez opalenizny w czerwonym wyglądała trochę blado, a kto w New Hampshire ma opaleniznę na Boże Narodzenie!

– No to niech ją pani nosi latem! – sugerował Owen.

Ale jaskrawy kolor był również nieodpowiedni, żeby nosić go latem. Według matki zanadto podkreślał opaleniznę. Dan zaproponował, żeby matka oddała suknię do jego kolekcji podniszczonych kostiumów teatralnych. Uważała to jednak za marnotrawstwo, a poza tym, żaden z chłopców w Akademii, a już na pewno żadna inna kobieta w mieście nie miała figury odpowiedniej do tej sukni.

Dan Needham nie tylko zajął się działalnością dramaturgiczną wśród chłopców z Akademii Gravesend, ale ponadto ożywił w naszym malusieńkim miasteczku grupę teatralną, jeszcze do niedawna całkiem nieruchawą, pod nazwą Trupa Gravesend. Dan namawiał wszystkich do uczestnictwa. Pod jego wpływem prawie połowa członków wydziału wydobyła z siebie ukryte zdolności aktorskie, a połowa mieszkańców odkryła w sobie talenty komiczne, gdyż namówił ich do spróbowania sił w jego sztuce. Raz nawet udało mu się przekonać matkę, żeby zagrała główną kobiecą rolę.

Matka uwielbiała śpiewać, ale gdy przychodziło do gry na scenie, była niezwykle nieśmiała. Tylko raz zgodziła się wystąpić w sztuce reżyserowanej przez Dana. Mam wrażenie, że przystała jedynie dlatego, by mu okazać swoje zaangażowanie, ponieważ byli narzeczeństwem już od dłuższego czasu. I to pod tym tylko warunkiem, żeby Dan grał razem z nią główną rolę męską, ale nie jej

kochanka. Podobno nie chciała, aby ludzie w mieście za dużo sobie wyobrażali. Po ślubie matka już nie grała, tak zresztą jak i Dan. On był zawsze reżyserem – ona suflerem. Głos matki, cichy, ale wyraźny, doskonale się do tego nadawał. W końcu lekcje śpiewu na coś się przydały.

Jedyną sztuką, w której grała – i to główną rolę – była „Ulica Aniołów". Miało to miejsce już tak dawno temu, że nie pamiętam ani nazwisk postaci, ani nawet scenografii. Trupa wystawiała w ratuszu i nikt się zbytnio do scenografii nie przykładał. Pamiętam natomiast film, jaki zrobiono na podstawie „Ulicy Aniołów". Miał tytuł „Latarnia gazowa" i widziałem go kilka razy. Matka występowała w roli żony, która z powodu swego męża wpada w obłęd; w filmie grała ją Ingrid Bergman. Tym łajdakiem był Dan – w filmie – Charles Boyer. Jeśli znacie fabułę, to wiecie, że chociaż Dan i mama na scenie byli małżeństwem, nie odczuwali jednak wobec siebie miłości. Wtedy jeden jedyny raz widziałem Dana okazującego nienawiść wobec matki.

Dan twierdzi, że w Gravesend nadal spotyka ludzi, którzy posyłają mu „pełne złości spojrzenie" z powodu tamtej roli. Patrzą na niego tak, jakby to on dawno temu uderzył tę nieczystą piłkę – i jakby zrobił to rozmyślnie.

I tylko raz w czasie tego przedstawienia – konkretnie podczas próby kostiumowej – matka miała na sobie czerwoną suknię. Może chodziło o ten wieczór, kiedy elegancko ubrana ma iść ze swoim okropnym mężem do teatru (albo gdzie indziej), ale on ukrył gdzieś obraz i zarzuca jej, że to ona go schowała. Ona w końcu zaczyna mu prawie wierzyć, i wtedy mąż każe jej iść do pokoju i nie pozwala z niego wyjść. A może było to tego wieczoru, gdy idą na koncert i on znajduje swój zegarek w jej torebce – sam go tam włożył, ale swoim zachowaniem powoduje, że ona się załamuje i w obecności wszystkich tych snobów błaga go, by jej uwierzył. W każdym razie matka miała włożyć na siebie czerwoną suknię tylko w jednej scenie – i w tej właśnie scenie była okropna. Nie mogła się zmusić, żeby zostawić sukienkę w spokoju – zrywała niewidzialne nitki, przyglądała się sobie, jak gdyby dekolt zupełnie niespodzianie

obsunął się dobrych kilka centymetrów. Nie przestawała się drapać, jakby materiał sukni nieustannie drażnił jej skórę.

Razem z Owenem oglądaliśmy każdy spektakl „Ulicy Aniołów". Bywaliśmy zresztą na wszystkich sztukach Dana – zarówno tych, które reżyserował na Akademii, jak i z amatorami Trupy Gravesend. Ale tylko przedstawienia „Ulicy Aniołów" oglądaliśmy wszystkie. Cała ta scena z matką i Danem, który jest dla niej okropny, była jednym wielkim kłamstwem. Nie interesowała nas sama sztuka – interesowało nas kłamstwo, że Dan jest niedobry dla matki, że chce ją skrzywdzić. To naprawdę było fascynujące.

Zawsze znaliśmy z Owenem wszystkich biorących udział w przedstawieniach Trupy Gravesend. Pani Walker, prawdziwy wilkołak naszej niedzielnej szkółki przy kościele episkopalnym, grała w „Ulicy Aniołów" flirtującą służącą – Angelę Lansbury. Oczywiście, o ile ktoś potrafił w to uwierzyć. My z Owenem w każdym razie nie mogliśmy. Pani Walker jako ulicznica! Pani Walker wulgarna! Spodziewaliśmy się, że lada chwila krzyknie: „Owenie Meany, złaź stamtąd! Wracaj na swoje miejsce!" Miała na sobie strój francuskiej służącej – bardzo obcisłą spódnicę oraz czarne wzorzyste pończochy, więc od tamtej pory co niedziela daremnie wypatrywaliśmy jej nóg – co za niespodzianka, że pani Walker ma w ogóle nogi. A nawet – że ma ładne nogi.

Rolę dobrego faceta, jak ją nazywam, czyli rolę Josepha Cottena, grał w „Ulicy Aniołów" nasz sąsiad pan Fish. Owen i ja wiedzieliśmy, że nadal jest w żałobie po śmierci Sagamore. Przerażenie, jakie wywołał w nim straszliwy wypadek ciężarówki z pieluchami, nadal malowało się na jego twarzy, kiedy pełen boleści śledził na scenie ruchy matki. Pan Fish niezbyt dobrze pasował do mojego i Owena wyobrażenia o bohaterze, ale Dan Needham, który miał wyjątkowy talent do obsadzania w różnych rolach nawet najbardziej zielonych amatorów, musiał w tym wypadku kierować się chęcią złagodzenia bólu i złości naszego sąsiada wywołanych zderzeniem Sagamore z ciężarówką wyładowaną pieluchami.

W każdym razie po próbie kostiumowej „Ulicy Aniołów" czerwona suknia wróciła do szafy, z której wyłaniała się tylko wtedy, gdy Owen wkładał ją na manekin. Musiało go chyba kusić to, że matka tej

sukni tak bardzo nie lubi. Na manekinie suknia zawsze wyglądała szałowo.

Opowiadam o tym tylko po to, by pokazać, że Owen znał manekin równie dobrze jak ja, ale nie znał go tak dobrze w nocy. Nie był przyzwyczajony do zmroku panującego nocą w pokoju matki, kiedy to manekin stał nad nią, prezentując jedyne w swym rodzaju ciało – doskonałą sylwetkę z profilu. Manekin tkwił tak nieruchomo, jakby liczył oddechy mamy.

Któregoś wieczoru leżeliśmy z Owenem w moim pokoju, każdy w swoim łóżku. Od dłuższego czasu bezskutecznie usiłowaliśmy zasnąć, ponieważ w hallu na dole kasłała Lydia. Kiedy nam się wydawało, że minął jeden atak albo że już umarła, zaczynała od nowa. Owen zbudził mnie dosłownie, gdy tylko zasnąłem. Wyrwał mnie z tak głębokiego snu, że prawie nie mogłem się ruszyć – czułem się, jakbym leżał w wyłożonej pluszem trumnie i grabarze spuszczali mnie do dołu, mimo że ze wszystkich sił starałem się podnieść.

– Niedobrze mi – powiedział.

– Czy będziesz wymiotował? – spytałem, choć nie mogłem się ruszyć. Nie mogłem nawet otworzyć oczu.

– Nie wiem – odrzekł. – Chyba mam gorączkę.

– Idź, powiedz mamie – poradziłem.

– To chyba jakaś rzadka choroba – stwierdził Owen.

– Idź, powiedz mamie – powtórzyłem. Po chwili usłyszałem, że wpadł na fotel przy biurku. Potem drzwi do pokoju otworzyły się i zamknęły. Słyszałem, jak Owen obmacując ściany w korytarzu stara się odnaleźć drogę. Na chwilę, która przeciągnęła się w nieskończoność, zatrzymał się z ręką na klamce do pokoju matki.

I wtedy pomyślałem sobie, że go pewnie zdziwi manekin. Chciałem już krzyknąć: „Nie bój się manekina! Wygląda dość dziwnie w niezwykłym świetle", ale nadal leżałem głęboko w trumnie snu i miałem zamurowane usta. Czekałem na jego krzyk. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że Owen wrzaśnie. Rozlegnie się mrożące krew w żyłach „aaaaaaaaaa!" – i cały dom stanie na nogi. Owen mógł też

w przystępie desperackiej odwagi zaatakować manekin i powalić go na podłogę.

Ale czekając na najgorsze, zorientowałem się nagle, że Owen wrócił do pokoju, siedzi przy moim łóżku i ciągnie mnie za włosy.

– Zbudź się! Ale bądź cicho! – szepnął. – Twoja matka nie jest sama. Widziałem kogoś w jej pokoju. Chodź zobaczyć! Mnie się wydaje, że to anioł!

– Anioł?

– Szszszsz!

Teraz już się przebudziłem na dobre i strasznie chciałem zobaczyć, jak zrobi z siebie wariata, więc ani słowem nie wspomniałem o manekinie. Wziąłem go za rękę i ruszyliśmy korytarzem w kierunku pokoju matki. Owen cały drżał.

– Skąd wiesz, że to anioł? – szepnąłem.

– Szszszsz...

Więc zaczęliśmy się czołgać przez pokój mamy na brzuchach, jak snajperzy w poszukiwaniu osłony, aż łóżko ukazało nam się w całej okazałości, a wraz z nim jej ciało niby odwrócony znak zapytania, obok zaś stojący manekin.

– Już go nie ma! – odezwał się Owen po chwili. – Musiał mnie przedtem zobaczyć.

Jak niewiniątko wskazałem na manekin.

– A to co? – wyszeptałem.

– Przecież to manekin, idioto! – odrzekł Owen. – Anioł stał z drugiej strony łóżka!

Dotknąłem jego czoła. Był cały rozpalony.

– Masz gorączkę, Owen – powiedziałem.

– Widziałem anioła – twierdził.

– Czy to wy, chłopcy? – spytała matka sennie.

– Owen ma gorączkę – oznajmiłem. – Jest mu niedobrze.

– Chodź tutaj, Owen – rzekła matka, siadając na łóżku.

Podszedł, dotknęła jego czoła. Mnie kazała iść po aspirynę i szklankę wody.

– Owen widział anioła – powiedziałem.

– Czy męczyły cię jakieś zjawy? – spytała mama Owena, kiedy wsunął się do niej do łóżka.

– Właściwie to nie – odparł Owen stłumionym głosem, z buzią wciśniętą w poduszkę.

Gdy wróciłem z wodą i aspiryną, mama już spała, obejmując chłopca ramieniem. Z odstającymi uszami na poduszce i ramieniem matki przerzuconym w poprzek klatki piersiowej wyglądał jak motyl złapany przez kota. Udało mu się wziąć aspirynę i wypić wodę, nie budząc mamy. Zwrócił mi szklankę ze stoickim wyrazem twarzy.

– Zostanę tutaj, na wypadek gdyby miał wrócić! – rzucił odważnie.

Wyglądał tak idiotycznie, że nie mogłem na niego patrzeć.

– Chyba mówiłeś, że to anioł. Czy anioł mógłby wyrządzić krzywdę mamie? – szepnąłem.

– Nie wiem, jaki to był anioł – odpowiedział szeptem, a matka poruszyła się we śnie. Zacisnęła ramię wokół Owena, co go jednocześnie przestraszyło i zachwyciło, więc wróciłem do pokoju sam.

Nie mam pojęcia, co takiego podszepnęło Owenowi Meany'emu coś, co potem nazywał wzorem? Czyżby rozgorączkowana wyobraźnia? Wiele lat później, kiedy mówił o tej fatalnej piłce baseballowej, poprawiałem go poirytowany:

– Chodzi ci o ten wypadek?

Wściekał się, gdy sugerowałem, że coś może być dziełem przypadku – zwłaszcza jeśli chodzi o niego. W kwestii predestynacji Owen Meany był gotów odsądzić Kalwina od czci i wiary. Nie ma przypadków. Ta piłka baseballowa też służyła jakiemuś celowi, tak jak jakiemuś celowi służyło to, że Owen jest malutki i że ma dziwny głos. Owen uważał, że przeszkodził aniołowi, przerwał mu pracę, zakłócił rozwój wypadków.

Teraz widzę, iż nigdy nie uważał go za Anioła Stróża. Zwłaszcza po tamtej fatalnej piłce baseballowej był całkowicie przekonany, że przeszkodził Aniołowi Śmierci. Chociaż wtedy jeszcze nie rozwinął przede mną Boskiej Teorii – wiem, że właśnie tak myślał. On, Owen Meany, przeszkodził Aniołowi Śmierci w jego świętej pracy i anioł właśnie jemu przekazał swoje zadanie! Jak to możliwe, żeby czcze fantazje przybrały w jego umyśle takie rozmiary i żeby równie głęboko w nie uwierzył?

Matka była zbyt śpiąca, żeby mu zmierzyć temperaturę, ale niewątpliwie miał gorączkę i przez tę gorączkę trafił do niej do łóżka. W efekcie spędził noc w jej ramionach. Był podekscytowany, leżąc razem z nią w łóżku, nie mówiąc już o gorączce, nic więc dziwnego, że mógł tak czuwać z szeroko otwartymi oczami całą noc, czekając na przybycie kolejnego intruza, czy to anioła, ducha, czy jakiegoś nieszczęsnego członka rodziny. Z pewnością tak musiało być.

Kilka godzin później w pokoju matki zjawiła się druga przerażająca zjawa. Przerażająca dlatego, że Owen bał się wtedy mojej babki. Musiał wyczuć, że babka nie darzy większą sympatią kopalni granitu. Zostawiłem zapalone światło w łazience matki, a także otwarte drzwi do łazienki, i co gorsza, kiedy nalewałem wody dla Owena, nie zakręciłem kranu. Babcia zawsze twierdziła, że słyszy licznik odmierzający każdy kilowat. Gdy tylko robiło się ciemno, chodziła za matką po całym domu, gasząc po niej światła, które ta zapalała. Tej nocy, wyczuwając, że jakaś lampa jest gdzieś zapalona, babka usłyszała także, że gdzieś leje się woda – to mogła być pompa w piwnicy albo otwarty kran. Babcia, zorientowawszy się, że w łazience mamy jest coś nie tak, ruszyła do jej sypialni zdenerwowana, czy matka nie czuje się źle, a jeśli nie, by wykazać jej czarno na białym, że jest rozrzutna, nawet jeśli musiałaby ją w tym celu zbudzić.

Babcia zgasiłaby światło, zamknęła wodę i wróciła do łóżka, gdyby nie pomyliła się i nie pokręciła kranem w złą stronę – odkręciła go jeszcze bardziej, zalewając się strumieniem lodowatej wody. Woda leciała już od wielu godzin. Babcia zatem kompletnie przemoczyła koszulę nocną; musiała się przebrać. I dlatego postanowiła zbudzić mamę. Mało, że tak straszliwie marnowała się elektryczność i woda, to jeszcze babcia została przemoczona do suchej nitki, kiedy próbowała położyć kres tej ucieczce energii. Domyślam się zatem, że nie wkroczyła do pokoju w zbyt pogodnym nastroju, i chociaż Owen oczekiwał anioła, mógł się spodziewać, że nawet Anioł Śmierci pojawi się mniej rozgniewany.

Babcia, ociekająca wodą, w koszuli nocnej – która zwykle powiewała luźno – oblepiającej wychudzone, przygarbione ciało, w lokówkach i z twarzą grubo nasmarowaną kremem, o odcieniu

pozbawionej życia poświaty księżycowej, wparowała do pokoju mamy. Owen Meany dopiero po wielu dniach powiedział mi, co o tym wszystkim myśli – kiedy ktoś przestraszy Anioła Śmierci, boski zamysł wymaga takiego anioła, którego nie sposób odstraszyć – takiego, co zwraca się do człowieka po imieniu.

– Tabita! – zawołała babka.

– Aaaaaaaaaa!

Owen Meany wrzeszczał tak przeraźliwie, że babcia nie mogła złapać tchu. Na łóżku obok matki zobaczyła maleńkiego demona, który wyskoczył prosto w górę z niespodziewaną i nienaturalną siłą, niczym małe stworzonko wzbijające się do lotu. Matka jakby lewitowała obok niego. Lydia – jeszcze wtedy miała obie nogi – wyskoczyła z łóżka na komodę. Długo potem pokazywała nam posiniaczony nos. Sagamore, suka, której zostało jeszcze trochę czasu do spotkania z ciężarówką, zbudziła pana Fisha szczekaniem. W całej okolicy zaczęły trzaskać pokrywy od pojemników na śmieci – to koty i szopy, zaalarmowane wrzaskiem Owena Meany'ego, uciekały w te pędy. Mieszkańcy w sąsiedztwie musieli nerwowo przewracać się na łóżkach, wyobrażając sobie, że Anioł Śmierci po kogoś przyszedł.

– Tabita – zwróciła się babcia do matki następnego ranka. – Uważam, że to nie wypada, żeby ten mały diabeł spał w twoim łóżku.

– Miał gorączkę – odrzekła mama. – A mnie się bardzo chciało spać.

– W jego wypadku to coś poważniejszego niż gorączka. Mówi i zachowuje się, jakby był opętany.

– Zawsze można dopatrzyć się czegoś u człowieka, który nie jest absolutnie doskonały – odrzekła matka.

– Owenowi wydawało się, że zobaczył anioła – wyjaśniłem babci.

– Myślał, że ja to anioł? Mówiłam ci już – on jest opętany!

– To Owen jest aniołem – odparła mama.

– Co tam z niego za anioł? To mysz – granitowa mysz.

Gdy pan Fish zobaczył Owena i mnie na rowerach, zamachał do nas. Udawał, że naprawia obluzowaną sztachetę w płocie, ale tak naprawdę obserwował nasz dom, czekając tylko, aż ktoś się pojawi.

– Cześć, chłopcy! – zawołał. – Wczoraj w nocy wybuchła jakaś wrzawa. Chyba słyszeliście? – Owen pokręcił głową.

– Słyszałem, że Sagamore szczekała – rzekłem.

– Nie, nie, chodzi mi o to, co było wcześniej – wyjaśnił pospiesznie pan Fish. – Co za wrzaski! Coś okropnego! Niezły harmider!

Kiedy babci udało się już złapać oddech, ona też zaczęła krzyczeć – Lydia zresztą także, gdy wpadła na komodę. Owen stwierdził później, że babcia zawodziła jak banshee[2], ale nic nie mogło dorównać jego wrzaskom.

– Owenowi wydawało się, że zobaczył anioła – wyjaśniłem panu Fishowi.

– Musiał to być chyba niezbyt przyjazny anioł – zauważył pan Fish.

– Tak naprawdę to myślałem, że pani Wheelwright jest duchem.

– Ach tak, teraz wszystko rozumiem – odezwał się pan Fish współczująco. Pan Fish bał się babci tak samo jak Owen. Zwłaszcza w kwestii przepisów rejonizacyjnych i ruchu na Front Street odnosił się do niej zawsze z pełnym nabożeństwa szacunkiem.

Cóż to za zdanie „teraz wszystko rozumiem”! Sam już jestem mądry na tyle, żeby wiedzieć, że nigdy nie można zrozumieć wszystkiego.

Później naturalnie opowiedziałem Danowi Needhamowi o całym zdarzeniu; Owen był przekonany, że przeszkodził Aniołowi Śmierci i że jemu przypadło w udziale zadanie anioła.

Ale z jednego nie zdawałem sobie do końca sprawy – że Owen – zupełnie jakby nie był dzieckiem – wypowiada się niezwykle precyzyjnie i rozumie wszystko dosłownie. Jeszcze wiele lat później powtarzał: nigdy nie zapomnę, jak twoja babka zawodziła zupełnie jak banshee, ale nie brałem tego na serio. Nie bardzo sobie przypominam, żeby babcia robiła jakieś wielkie halo – pamiętam za to wrzask Owena. Poza tym wydawało mi się, że to tylko takie wyrażenie, i zupełnie nie rozumiałem, dlaczego Owen tak wyraźnie zapamiętał poruszenie babci. Chyba musiałem powtórzyć Danowi Needhamowi, co wtedy powiedział, ponieważ wiele lat później Dan spytał mnie:

– Czy Owen nazwał babcię banshee?

– Powiedział, że zawodziła jak banshee – wyjaśniłem.

Dan wyciągnął wtedy słownik. Zaczął cmokać, kręcić głową i mówić sam do siebie: „Co za chłopak! Co za chłopak! Błyskotliwy, ale niedorzeczny!" I wówczas po raz pierwszy dowiedziałem się, co dosłownie znaczy banshee – według irlandzkich podań, banshee to duch w kobiecej postaci, którego zawodzenie oznacza, że jakaś ukochana osoba wkrótce umrze.

Dan Needham jak zawsze miał rację, tak trafnie określając granitową mysz – „błyskotliwy, ale niedorzeczny". To samo ja myślałem o Owenie Meanym: „błyskotliwy, ale niedorzeczny". Wkrótce zobaczymy, że może nie taki całkiem niedorzeczny.

W całym mieście, a także u Wheelwrightów, decyzję matki, by przez cztery lata trwać w narzeczeństwie z Danem Needhamem, nim zgodzi się wyjść za niego za mąż, uznano za objaw dziwnej zmiany w jej charakterze. Według ciotki Marty, matka nie zastanawiała się nawet pięciu minut przed skokiem, którego owocem byłem właśnie ja. Ale może teraz postępowała tak właśnie dlatego. Jeśli rodzina matki i całe Gravesend miało jakieś podejrzenia co do jej moralności – zakładali pewnie, że łatwo na wszystko przystaje – długie zaręczyny z Danem Needhamem z pewnością dały im do myślenia. Bo od początku sytuacja była jasna – Dan i matka są w sobie zakochani. On był jej oddany, ona nie umawiała się z nikim innym i już po kilku miesiącach byli „zaręczeni". Ponadto nikt nie miał wątpliwości, że uwielbiam Dana. Nawet babcia, która zawsze miała oczy szeroko otwarte w obawie, że jej córka zbyt łatwo angażuje się w różne sprawy, niecierpliwie wyczekiwała wyznaczenia daty ślubu. Urok osobisty Dana Needhama, nie mówiąc już o tym, że tak szybko stał się ulubieńcem ludzi związanych z Akademią Gravesend, podbił serce babci.

A serce babci niełatwo było podbić – komukolwiek. Jednocześnie tak ją oczarował urok Trupy z Gravesend, że zgodziła się nawet przyjąć rolę w „Wiernej żonie" Maughama. Grała matkę zdradzanej żony, wielką panią, dowodząc, że doskonale i z wdziękiem radzi sobie z komedią salonową. Stanowiła uosobienie wyrafinowania, które dla

nas było zbędne. Sama nawet, bez specjalnej sugestii ze strony Dana, zaczęła mówić z brytyjskim akcentem. Ale Dan nie był głupcem i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że brytyjski akcent nie mógł się skryć zbyt głęboko w piersi Harriet Wheelwright; potrzebował tylko odpowiedniej okazji, żeby się ujawnić.

„Nie znoszę udzielać prostych odpowiedzi na proste pytania" – mówiła wyniośle babcia jako pani Culver, doskonale zresztą pasując do swej roli. W innym wspaniałym momencie, komentując romans, jaki jej zięć ma z „najlepszą przyjaciółką córki", orzekła: „Jeśli John zamierza zdradzać Constance, to lepiej z kimś, kogo wszyscy znamy". No tak, babcia grała tak znakomicie, że porwała widownię. Przedstawienie było pierwszorzędne, ale moim zdaniem zepsuła je para kiepskich aktorów w rolach Johna i Constance – pierwszego grał okropnie nieśmiały pan Fish, nasz sąsiad miłujący psy (Dan prawie zawsze go wybierał), a rolę kobiecą – pani Walker. Nogi stanowiły jej najbardziej seksowny atrybut, jednak w długiej sukni odpowiedniej do tej salonowej komedii nie było ich wcale widać. Babka z fałszywą skromnością stwierdziła po prostu, że rok 1927 zapisał się w jej pamięci szczególnie. Nie wątpię – musiała być wtedy piękną młodą kobietą. „A twoja matka – mówiła – była wówczas młodsza od ciebie".

Więc dlaczego Dan i matka czekali cztery lata?

Jeśli nawet się o coś sprzeczali, jeśli dzieliły ich różnice zdań, to nic mi o tym nie wiadomo. Zachowała się już wystarczająco niestosownie przez to, że mnie urodziła, na dodatek nigdy mi niczego nie wyjaśniając na temat mego poczęcia. Może teraz po prostu chce być aż za bardzo poprawna? Czy to Dan chciał być ostrożny? Nie sprawiał takiego wrażenia. A może to ja stanowiłem problem? Czasem się nad tym zastanawiałem. Ale przecież kochałem Dana – i z wielu oznak mogłem wnosić, że i on mnie kocha. Wiem, że mnie kochał i nadal kocha.

– Tabito, czy to chodzi o dzieci? – spytała kiedyś przy kolacji babcia. Lydia i ja czujnie nastawiliśmy uszu, chcąc usłyszeć odpowiedź. – Czy on chce dzieci, a ty nie chcesz? A może jest na

odwrót? Chyba nie powinnaś robić z tego problemu, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi taki miły, oddany mężczyzna.

– Czekamy, żeby mieć stuprocentową pewność – odrzekła matka.

– Na Boga, chyba już nie masz wątpliwości – z niecierpliwością w głosie wtrąciła się babcia. – Nawet ja ich nie mam. Tak jak i Johnny. A ty, Lydio? Nie jesteś już pewna?

– Jasne, że jestem – przytaknęła Lydia.

– Nie chodzi o dzieci – dodała mama. – W ogóle nie ma żadnych problemów.

– Niektórzy zdecydowali się na kapłaństwo w znacznie krótszym czasie, niż wy potrzebujecie na decyzję o ślubie – stwierdziła babka.

Aluzja do kapłaństwa stanowiła ulubiony chwyt Harriet Wheelwright. Zawsze zestawiała to z jakąś nieznośną głupotą, trudnościami, jakie człowiek piętrzy sam przed sobą, działaniem nieludzkim i jednocześnie dziwacznym. Babci chodziło o księży katolickich. Wiem jednak, iż w związku z ewentualnym przejściem matki i moim do Kościoła episkopalnego martwiło ją to, że tam mają księży i biskupów, a „niski" Kościół episkopalny jest nawet bardziej podobny do katolickiego niż kongregacjonaliści. Na szczęście babcia nigdy za wiele nie wiedziała o anglikanach.

Przez ten długi okres narzeczeństwa Dan i matka chodzili i na nabożeństwa kongregacjonalistów, i episkopalistów, tak jakby uczestniczyli w prywatnym czteroletnim seminarium teologicznym – moje wprowadzenie do szkółki niedzielnej przy kościele episkopalnym również następowało stopniowo. Matka zasugerowała, żebym poszedł kilka razy na zajęcia jeszcze przed ich ślubem, jak gdyby już wiedziała, jakie decyzje podejmie później. Z czasem również przestała jeździć do Bostonu na lekcje śpiewu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Danowi przeszkadzają te jej wyjazdy, chociaż pamiętam, jak babcia pytała, czy Dan nie ma nic przeciwko temu, że mama raz w tygodniu spędza noc w Bostonie.

– A dlaczego miałby mieć? – odparła mama.

Odpowiedź, która w tym momencie nie padła, była równie oczywista dla babci, jak i dla mnie – że najbardziej prawdopodobnym kandydatem na nie obsadzoną pozycję mojego ojca oraz tajemniczego kochanka matki jest „sławny" nauczyciel śpiewu. Ale

ani babcia, ani ja nie ośmieliliśmy się przedstawić tej teorii mamie, a Danowi najwyraźniej nie przeszkadzały lekcje śpiewu oraz fakt, że matka nadal raz w tygodniu wyjeżdża. Chyba że wiedział coś więcej, czego nie wiedzieliśmy my z babcią i co dawało mu jakąś gwarancję.

– Nauczyciel śpiewu nie jest twoim ojcem – stwierdził kiedyś mimochodem Owen. – To byłoby zbyt oczywiste!

– Owen, tu chodzi o prawdziwe życie – powiedziałem. – Nie o powieść. – Bo według mnie w życiu nic nie stoi na przeszkodzie, by ojciec mógł być oczywisty – ale sam też uważałem, że to chyba jednak nie nauczyciel śpiewu. Był najbardziej prawdopodobnym kandydatem tylko dlatego, że jedynym, jaki mnie i babci w ogóle przychodził do głowy.

– Gdyby to był on, to dlaczego miałaby robić z tego taką tajemnicę? Jeśli to on, matka pewnie wolałaby się z nim widywać częściej niż raz w tygodniu – albo wcale.

W każdym razie nie miało chyba większego sensu uważać, że matka i Dan nie mogli się pobrać przez cztery lata ze względu na nauczyciela śpiewu. Doszedłem więc do wniosku, który może według Owena był zbyt oczywisty – że Dan czekał na więcej informacji na mój temat, ale matka nie chciała mu ich wyjawić. Bo przecież rozsądek nakazywałby, żeby Dan chciał się dowiedzieć, kim jest mój ojciec. Wiem natomiast, że matka by mu tego nie powiedziała.

Owen jednak skrytykował ów pomysł.

– Czy nie widzisz, że jest w matce bardzo zakochany? Kocha ją tak mocno jak my. Do niczego by jej nie zmuszał. Do niczego!

Teraz w to wierzę. Owen miał rację. W tym czteroletnim zwlekaniu z czymś, co i tak miało nastąpić, chodziło o coś innego.

Dan pochodził z bardzo wpływowej rodziny – lekarzy, prawników, którzy byli ogromnie niezadowoleni z tego, że nie kształcił się dalej. Dan zaczął studiować na Harvardzie, ale później nie poszedł na medycynę czy prawo, a to już lenistwo wołające o pomstę do nieba! Pochodził z rodziny, która sens życia upatrywała w bezustannym parciu do przodu. Nie byli zachwyceni faktem, że Dan zadowolił się posadą zwykłego nauczyciela w szkole przygotowawczej, a także że z taką pasją oddaje się teatrowi amatorskiemu, uważali, iż równie niepoważne zajęcie nie jest odpowiednie dla dorosłego człowieka!

Nie akceptowali też mojej mamy, a to oznaczało zerwanie Dana z rodziną. Mówili o niej „ta rozwódka". Przypuszczam, że nikt w rodzinie Needhamów nigdy się nie rozwodził, więc uważali to za najgorsze określenie, jakie może się odnosić do kobiety, nawet gorsze niż to, które było dla mamy odpowiednie – niezamężna matka. Być może, „niezamężna matka" implikuje pewne nieszczęście, „rozwódka" zakłada natomiast intencję – to kobieta, która chce usidlić Dana, ich rodzinnego nieudacznika.

Spotkanie z rodziną Dana nie utkwiło mi zbyt dokładnie w pamięci. W czasie ślubu najwyraźniej nie chcieli się mieszać z gośćmi. Babka była wściekła, że ktoś ośmielił się spoglądać na nią z góry i traktować ją jak jakąś prowincjuszkę. Pamiętam, że matka Dana miała niewyparzony język, i kiedy zostałem jej przedstawiony, skwitowała prezentację uwagą: „A więc to jest to dziecko!" Potem przez dłuższą chwilę badawczo przyglądała się mojej twarzy, pewnie by doszukać się jakichś wskazówek na temat mojego nieznanego męskiego progenitora. Ale właściwie nic więcej sobie nie przypominam. Dan nie pragnął już mieć z nimi nic wspólnego. Nie przypuszczam, żeby odegrali jakąkolwiek rolę w przedłużeniu okresu narzeczeństwa.

Tak matka, jak i Dan cieszyli się natomiast silnym wsparciem religijnym. Mimo wszelkich różnic i podobieństw, zarówno Kościół kongregacjonalistów, jak i episkopalny zabiegały o to, by Dan i matka uczęszczali do ich świątyń. Moim zdaniem, nie powinny były ze sobą rywalizować. Jasne, że to frajda podnosić Owena w czasie lekcji w szkółce niedzielnej, ale do tego ograniczała się praktycznie przewaga, jaką episkopaliści mieli nad kongregacjonalistami.

Chodziło mi tylko o te różnice, o których już wspominałem, to znaczy o atmosferę i architekturę. Do tego dochodziły różnice natury religijnej, co powodowało, że nabożeństwo episkopalne było znacznie bardziej katolickie niż nabożeństwo kongregacjonalistów. Katolickie przez duże k – jak by powiedział Owen. Poza tym lubiany przeze mnie wielebny Lewis Merrill znacznie różnił się od wielebnego Dudleya Wiggina – rektora kościoła episkopalnego, uosobienia nudy.

Nie będę ukrywał, że takie pełne wzgardy porównanie wyrastało we mnie z tej odrobiny snobizmu, jaką odziedziczyłem po babci

Wheelwright. Kongregacjonaliści mają pastorów – wielebny Lewis Merrill był naszym pastorem. Jeśli człowiek wychowa się na takim budzącym zaufanie słowie, trudno mu przystać na rektora. Wielebny Dudley Wiggin był rektorem kościoła pod wezwaniem Chrystusa w Gravesend. Zarówno babka, jak i ja nie lubiliśmy słowa rektor – za bardzo przypominało *rectum,* żeby je traktować poważnie.

Ale wielebnego Dudleya trudno byłoby brać na serio, nawet gdyby był pastorem. Merrill poczuł powołanie jako młody człowiek i od zawsze żył religią, gdy tymczasem wielebny Wiggin pracował kiedyś jako pilot. Ale z powodu kłopotów z oczami musiał wcześnie zrezygnować z latania. Zjechał do naszego znużonego życiem miasteczka z nowo odkrytą u siebie pasją – miał zapał przechrzty, dzięki czemu był taki rozentuzjazmowany – jeden z tych „starszych" obywateli po pięćdziesiątce, którzy uczestniczą w wymagających krzepy zawodach dla oldbojów. Pastor Merrill używał języka ludzi wykształconych – studiował angielski w Princeton, w Unii Teologicznej słuchał wykładów Niebuhra i Tillicha. Rektor Wiggin natomiast posługiwał się w swych kazaniach językiem byłego pilota. Grzmiał z ambony jak ktoś, kto nigdy nie ma najmniejszych wątpliwości.

Merrill jawił się nam jako człowiek znacznie bardziej atrakcyjny, gdyż był pełen wątpliwości. Potrafił wyrazić nasze wątpliwości w sposób niezwykle wymowny i pełen zrozumienia. Z jego całkowicie trzeźwego i przekonywającego sposobu patrzenia na Biblię wynika, że księga ta ma, co prawda, skomplikowany wątek, lecz można go zrozumieć. Bóg tworzy nas z miłości, ale my nie chcemy Boga albo nie chcemy w Niego wierzyć bądź też nie zwracamy na Niego uwagi. Niemniej jednak Bóg nadal nas kocha – przynajmniej tyle. Nadal próbuje zwrócić na siebie naszą uwagę. W ujęciu pastora Merrilla religia wyglądała rozsądnie. A cały ten kruczek z wiarą zasadza się na tym, by wierzyć w Boga bez żadnych wielkich i ostatecznych dowodów na to, że nie żyjemy w świecie bez Boga.

I chociaż Merrill znał najlepsze, a może najmniej nudne opowieści w Biblii, potrafił do nas przemówić dlatego, że jego zdaniem, wątpliwości stanowią esencję wiary, a nie jej przeciwieństwo. Tymczasem wielebny Dudley Wiggin najwyraźniej uwierzył w Boga

głównie dlatego, że leciał swym samolotem dość blisko Słońca. Rektor nie potrafił posługiwać się zbyt wyszukanym językiem, był ślepy na jakiekolwiek wątpliwości czy niepokoje. Być może problem z jego „wzrokiem" to eufemizm określający religijne zaślepienie, będące wynikiem nagłego nawrócenia. Wiggin bowiem nigdy nie odczuwał żadnego strachu, w związku z czym mógł być niezwykle brawurowym pilotem i jednocześnie szalonym kaznodzieją.

Nawet wybór fragmentów Biblii, jakiego dokonywał, był dziwaczny – satyryk nie zrobiłby tego lepiej. Wielebny Wiggin uwielbiał zwłaszcza słowo „firmament" – w jego wyborze nie mogło go zabraknąć. Uwielbiał też wszelkie aluzje do wiary jako szaleńczej walki, którą należy toczyć i wygrać. Wiara to wojna wypowiedziana przeciwnikom wiary. „Obleczcie pełną zbroję Bożą!" – grzmiał. Mieliśmy nosić „pancerz, którym jest sprawiedliwość", nasza wiara była „tarczą" przeciw „wszystkim rozżarzonym pociskom złego". Rektor według własnych słów nosił „hełm zbawienia". To z „Listu do Efezjan". Wiggin uwielbiał ów list. Lubił również wykrzykiwać o Izajaszu, zwłaszcza ten fragment, kiedy „Pan zasiada na tronie" – rektor mówił dużo na temat siedzącego na tronie. Pana otaczają serafini. Jeden z nich podlatuje do Izajasza, który skarży się, że jest „człowiekiem o nieczystych wargach". Ale nie na długo – przynajmniej według Izajasza. Serafin dotyka ust Izajasza „płonącym węglem" i Izajasz staje się jak nowo narodzony.

Właśnie o czymś takim słyszeliśmy od wielebnego Dudleya Wiggina – o wszystkich najmniej prawdopodobnych cudach.

– Nie lubię serafinów – narzekał Owen. – Po co mam się bać?

I chociaż Owen przyznawał mi rację, że rektor to kretyn, który żongluje Biblią dla nieprzekonanych wiernych, zarzucając nas najgorszymi opowieściami o Wszechmocnym i Okrutnym Bogu, a także zdawał sobie sprawę, że kazania wielebnego Wiggina są mniej więcej równie zabawne i przekonywające jak głos pilota w interkomie, wyjaśniający techniczne problemy w momencie, kiedy samolot jak kamień spada na ziemię, stewardesy zaś wrzeszczą wniebogłosy, z dwojga złego wolał Wiggina, mimo iż właściwie nie znał pastora Merrilla. Owen faktycznie nie miał okazji poznać Merrilla – nigdy nie należał do Kościoła kongregacjonalistów. Jednakże Merrill

był tak popularnym kaznodzieją, że niektórzy parafianie z innych kościołów często opuszczali własne nabożeństwa, by go tylko posłuchać. Niekiedy robił to i Owen, ale on zawsze krytycznie odnosił się do pastora. Nie przestał być krytyczny nawet wtedy, kiedy Akademia Gravesend przyznała pastorowi niejako intelektualne wyróżnienie, zapraszając go jako kaznodzieję do szkolnego kościoła.

– Wiara nie jest sprawą intelektu – narzekał Owen. – Jeśli ma tyle wątpliwości, to znaczy, że powinien sobie znaleźć inny zawód.

Ale kto ma tak niewiele wątpliwości jak Owen Meany i rektor Wiggin? Mój przyjaciel sprawy wiary traktował w sposób naturalny, ja zaś podziwiałem pana Merrilla, mając jednocześnie zastrzeżenia co do Wiggina przez wzgląd na zdrowy rozsądek. Oceniałem ich z pozycji typowo jankeskiej. Ta część mego ja, która należała do Wheelwrightów, wyraźnie popierała Lewisa Merrilla, stawiając jednocześnie opór Dudleyowi Wigginowi. My, Wheelwrightowie, nie dajemy się zwieść pozorom. Często rzeczy faktycznie są takie, na jakie wyglądają. Liczy się pierwsze wrażenie. Kościół kongregacjonalistów, czysta, dobrze oświetlona świątynia, stare białe oszalowanie, wysokie, jasne okna, za którymi gałęzie drzew majaczą na tle nieba – to pierwsze wrażenie, które zapadło mi głęboko w pamięć. Stanowiła dla mnie model czystości i zaprzeczenie nonsensu, z którym episkopalna ponurość kamienia, dywanów i witraży nie mogły w żaden sposób konkurować. Poza tym pastor Merrill był przystojny na swój sposób, bladawy, jakby wychudzony. Miał chłopięcą twarz – niespodziewanie wykwitający, ujmujący i zażenowany uśmiech, jakby sprzeczny ze stałym wyrazem zaniepokojenia, dzięki któremu wyglądał często jak niepewne siebie dziecko. Kiedy schylał się nad kartką z kazaniem czy nad Biblią, na czoło spadał mu niesforny kosmyk włosów; miał nieposłuszną czuprynę, która jeszcze silniej podkreślała chłopięcość jego postaci. Poza tym bez przerwy przekładał okulary, choć właściwie ich chyba nie potrzebował, to znaczy mógł bez nich czytać, mógł bez nich patrzeć na wiernych (jakby wszystko dokładnie widział), po czym nagle, zupełnie niespodziewanie, rozpoczynał szaleńcze poszukiwanie okularów. Wzbudzało to w nas uczucie ogromnej sympatii – tak samo zresztą jak to, że się lekko zacinał, a przy tym

baliśmy się o niego. Baliśmy się, że nagle straci swój dar krasomówstwa i porazi go paraliż organów mowy. Mówił świetnie, ale nigdy nie ukrywał, ile wysiłku kosztuje go kazanie. Wręcz przeciwnie – zawsze starał się wykazać, jaka to ciężka praca. Najwyraźniej po to, by dostosować wiarę do swych wątpliwości, tak jak chciał mówić płynnie niezależnie od lekkiego jąkania się.

A poza tym, żeby już w pełni przedstawić sylwetkę Merrilla – współczuliśmy mu z powodu rodziny. Jego żona pochodziła ze słonecznej Kalifornii. Babcia wymyśliła sobie, że była jedną z tych wiecznie opalonych energicznych blondynek, okazów zdrowia, które zbyt łatwo jednak potrafią uwierzyć, że zdrowie i niewyczerpana energia do dobrych uczynków wynikają z przyzwoitego życia i rzeczywistych cnót. Nikt jej nie powiedział, że zdrowie, energia i praca dla Boga przychodzą znacznie trudniej przy brzydkiej pogodzie. Pani Merrill czuła się okropnie w New Hampshire.

Była wyraźnie nieszczęśliwa. Jej blond włosy zaczęły przypominać słomę, policzki i nos nabrały koloru łososiowego, oczy się rozwodniły. Łapała każdą możliwą grypę, każde najzwyklejsze przeziębienie. Nie omijała jej żadna epidemia. Zrozpaczona, że straciła kalifornijską karnację, próbowała używać makijażu, co spowodowało, że jej skóra stała się jak glina. Nie potrafiła się opalić nawet w lecie. Przez zimę robiła się tak trupio biała, że latem mogła się już tylko spalić. Prawie cały czas chorowała, tracąc całą energię. Zrobiła się apatyczna, nabrała obfitych kształtów matrony, a także tego nieokreślonego wyglądu osoby powyżej czterdziestki, która równie dobrze może mieć sześćdziesiątkę albo skończy ją jutro.

Wszystko to stało się, kiedy dzieci wciąż były małe. One również często chorowały. I chociaż uczyły się dobrze, przez częste choroby opuszczały tak wiele dni nauki, że nieraz musiały powtarzać klasę. Dwoje z nich było starszych ode mnie, ale niewiele. Jedno zostało nawet cofnięte do mojej klasy. Już nie pamiętam które, ani czy był to chłopak czy dziewczyna. Rzecz typowa dla dzieci Merrilla – ich obraz natychmiast zacierał się w pamięci. Jeśli nie widziało się ich przez kilka tygodni, a potem znowu się pojawiały, trudno je było rozpoznać.

Wielebny Lewis Merrill sprawiał wrażenie przeciętnego człowieczka, który dzięki wykształceniu, silnej woli i talentowi krasomówstwa wzniósł się ponad własną przeciętność. Jego rodzina natomiast była tak bezbarwna, że nijakość żony i dzieci przewyższała nawet ich chorowitość, która już sama w sobie była wyjątkowa.

Mówiło się, że pani Merrill lubi zaglądać do kieliszka. Niewątpliwie, nawet jeśli piła mało, to okropnie się ten alkohol kłócił z lekarstwami, które zażywała. Jedno z dzieci połknęło kiedyś wszystkie lekarstwa w domu i trzeba mu było płukać żołądek. A po którymś z pełnych animuszu wystąpień pana Merrilla dla pierwszej klasy szkółki niedzielnej najmłodszy potomek pastora wyrwał mu garść włosów i splunął w twarz. Jedno ze starszych dzieci Merrilla zbezcześciło cmentarz.

Tak oto prezentował się nasz pastor – był niewątpliwie inteligentny, bezspornie zmagał się z najbardziej nawet uczonymi elementami wiary oraz wątpliwościami, tyle że Bóg ewidentnie przeklął jego rodzinę.

Wielebny Dudley Wiggin żadną miarą nie budził podobnego współczucia – co ostrzejsi krytycy nazywali go kapitan Wiggin. Był czerstwym, krzepkim typem. Uśmiech na jego twarzy przypominał bliznę. Uśmiechał się niczym człowiek, którego dręczy niepokój z tego powodu, że przetrwał. Wyglądał jak zestrzelony pilot, weteran katastrof lotniczych czy podniebnej strzelaniny. Dan Needham powiedział mi, że kapitan Wiggin był w czasie wojny pilotem bombowca, a Dan takie rzeczy na pewno dobrze wie. Sam służył w randze sierżanta we Włoszech i w Brazylii, gdzie pracował jako szyfrant. Ale nawet Dana odstręczała beznadziejna głupota, z jaką Wiggin ustawiał żywe obrazy z okazji Bożego Narodzenia, a Dan podchodził do przedstawień amatorskich ze znacznie większą tolerancją niż ktokolwiek w Gravesend. Pan Wiggin nadał bożonarodzeniowym miraklom[3] posmak horroru. Według rektora, każda opowieść biblijna, o ile tylko zostanie dobrze zrozumiana, musi napawać przerażeniem.

Jego żona natomiast wcale nie cierpiała. Barbara Wiggin, niegdyś stewardesa, była hałaśliwa, jowialna i miała rude włosy. Wiggin

nazywał ją „Barb” i tak się też przedstawiała, telefonując w sprawach związanych z działalnością charytatywną.

– Cześć! Mówi Barb Wiggin! Czy mama albo tata są w domu?

W stosunku do Owena zachowywała się wyjątkowo obcesowo, ponieważ lubiła go unosić za spodnie do góry – chwytała chłopca za pasek, wciskając mu pięść w brzuch, i podnosiła do twarzy – całkiem ładnej, zdrowej twarzy stewardesy.

– Ach, jaki jesteś śliczny! – mawiała. – Żebyś mi się tylko nie odważył urosnąć!

Owen jej nienawidził. Zawsze błagał Dana, żeby dał pani Wiggin rolę prostytutki albo osoby zboczonej, napastującej dzieci, ale w Trupie Gravesend nie przewidziano zbyt wielu ról tego rodzaju, Danowi zaś nie przychodziło nic do głowy. Jej dzieci były ogromne, głupkowate, obrzydliwie „okrągłe”. Wszyscy Wigginowie grali w *touch footballl*[4] – mecze organizowali w każde niedzielne popołudnie na trawniku domu parafialnego. I mimo to – co wydaje się nieprawdopodobne – przenieśliśmy się do episkopalistów. Nawet nie z powodu *touch footballu*, którym Dan i matka pogardzali. Mogę się tylko domyślać, że oboje chcieli mieć dzieci, a Dan życzył sobie, żeby zostały ochrzczone w kościele episkopalnym, chociaż – jak już wcześniej pisałem – nie wyglądał na człowieka, który przywiązuje zbytnią wagę do religii. Może matka traktowała przekonania religijne Dana znacznie poważniej niż on sam. Powiedziała mi tylko tyle, że lepiej, byśmy wszyscy byli w jednym Kościele, i że Danowi zależy bardziej na jego Kościele, niż jej na jej własnym – a może w ogóle byłoby fajnie, gdybym znalazł się tam, gdzie Owen.

Na szczęście istniał jeszcze kościół Hurda – tak niezręcznie określano ponadwyznaniowy kościół na Akademii Gravesend, nazwany na cześć jej założyciela, bezdzietnego purytanina, wielebnego Emery’ego Hurda. Gdyby zabrakło neutralnego terytorium kościoła Hurda, matka być może rozpoczęłaby wojnę wyznaniową – no bo gdzie miałaby wziąć ślub? Babcia chciała, żeby to wielebny Lewis Merrill odprawił ceremonię. Jednocześnie wielebny Dudley Wiggin miał absolutne prawo spodziewać się, że uroczystość ta jemu przypadnie w udziale.

Na szczęście była jeszcze ziemia niczyja. Jako pracownik Akademii Gravesend, Dan Needham miał prawo skorzystać z kościoła Hurda, zwłaszcza przy okazjach tak niezwykle ważnych jak ślub oraz pogrzeb, który wkrótce potem nastąpił. Kościół Hurda zaś słynął ze swej nieagresywności. Nikt nie pamiętał, jakiego wyznania był szkolny kapłan, stojący już nad grobem starowina, który lubił nosić muszki i często potrafił sobie mimochodem przyszpilić szaty do podłogi, machając laską. Cierpiał na podagrę. W kościele pełnił zwykle funkcję mistrza ceremonii, ponieważ rzadko kiedy sam wygłaszał kazanie. Przeważnie zapraszał coraz to innych kaznodziejów – większych niż on sam i bardziej kontrowersyjnych mistrzów kwiecistego stylu. Wielebny „Różyczka" Scammon uczył religii na Akademii Gravesend. Jego zajęcia podobno zaczynały się i kończyły przeprosinami pod adresem Kierkegaarda, ale stary „Różyczka" równie sprytnie przekazywał swoje wykłady z religii zaproszonym gościom. Nieodmiennie namawiał wizytującego pastora, aby został jeszcze na poniedziałek i poprowadził za niego zajęcia. W pozostałe dni tygodnia Scammon omawiał ze studentami to wszystko, o czym mówił gość.

Budynek kościoła Hurda z szarego granitu, który na tyle się nie wyróżniał, że mógłby być Urzędem Stanu Cywilnego, biblioteką miejską czy zakładem wodociągowym, jakby dostosował się wyglądem do podagrycznego kuśtykania Scammona oraz trupich rysów jego twarzy. Kościół był ciemny i podniszczony, ale dość wygodny – szerokie, wypolerowane od ciągłego przesiadywania wiernych ławki zachęcały do natychmiastowej drzemki. Światło wchłaniane przez taką ilość kamienia było szare, ale łagodne – główną zaletą kościoła mogła być akustyka. Faktycznie, głos nabierał tu czystego, głębokiego tonu. Każdy kaznodzieja wypadał tam lepiej niż w rzeczywistości. Hymny słychać było wyraźnie, modlitwy miały silny pogłos. Organy rozbrzmiewały niby w jakiejś katedrze. Kiedy w kościele Hurda zamknąłeś oczy – a atmosfera temu właśnie sprzyjała – mogłeś sobie wyobrazić, że jesteś w Europie.

Całe pokolenia chłopców z Gravesend ryły imiona swoich dziewcząt oraz wyniki meczów na podstawkach do modlitewników. Całe pokolenia służb porządkowych w Akademii usiłowały zamazać co

bardziej skandaliczne sprośności, choć od czasu do czasu można było natrafić na jakieś „jaja” czy „pierdoły” świeżo wyrżnięte na deszczułkach, które podtrzymywały zużyte egzemplarze „Śpiewnika pielgrzyma”. W kościele panował taki mrok, że świątynia zdecydowanie lepiej nadawała się na pogrzeby niż na śluby, ale matka miała tam i jedno, i drugie.

W ceremonii ślubu w kościele Hurda uczestniczył zarówno pastor Merrill, jak i rektor Wiggin, którym udało się uniknąć niezręcznej sytuacji, to znaczy otwartej demonstracji czy rywalizacji. Stary „Różyczka” Scammon łagodnie potakiwał obu mówcom. Momenty uroczystości dopuszczające improwizację przypadały w udziale Merrillowi, który radził sobie sprawnie i z wdziękiem – zdenerwowanie widać było tylko w lekkim zacinaniu się. Merrill miał również wygłosić część przemowy adresowaną do „drogich oblubieńców”. „Zebraliśmy się tutaj, by uczestniczyć w uroczystości zaślubin tego oto mężczyzny i tej oto kobiety”, zaczął. W tym momencie zorientowałem się, że kościół jest nabity po brzegi. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Zjawili się licznie przedstawiciele wydziału, a także tłumnie panie z pokolenia babci, które zawsze przybywały tam, gdzie mogły ją zobaczyć. Zgodnie z przekonaniem kobiet swego pokolenia babcia reprezentowała ród na skalę Gravesend wręcz królewski. W końcu była to dość specyficzna okazja – jej „upadła” córka postanowiła właśnie wrócić na łono szacownych obywateli. Ależ ta Tabby Wheelwright jest bezczelna, żeby się jeszcze ubrać na biało! Głowę dałbym, że tak myślała większość tych staruszek z klubu brydżowego. Prawdę powiedziawszy, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo plotka swymi mackami oplata społeczność Gravesend. Wtedy wydawało mi się tylko, że na ślubie zjawiło się bardzo wiele osób.

Liturgia Słowa została odprawiona przez kapitana Wiggina, który nie miał najmniejszego pojęcia o interpunkcji. Potrafił albo jednym tchem przelecieć całość tekstu, albo robił tak długie pauzy, jakby mu ktoś przyłożył pistolet do skroni. „O, szczodrobliwy i wieczny Boże! Stworzyłeś nas kobietą i mężczyzną na Twój obraz. Spójrz łaskawie

na tę tutaj kobietę i tego mężczyznę, którzy pragną Twego błogosławieństwa, i nie pozwól, aby Twa łaska ich opuściła" – stękał.

Następnie Merrill i Wiggin uczestniczyli w czymś, co można by nazwać „wymianą zdań". Każdy z nich prezentował bliskie swemu sercu ujęcie stosownych fragmentów z Biblii – dobór Merrilla był bardziej trafny, Wiggina bardziej kwiecisty. Rektor znowu wrócił do Efezjan i zagrzmiał, że powinniśmy miłować ojca, „bo on jest głową żony". Potem przeszedł do Kolosan oraz fragmentu mówiącego o „miłości, która jest więzią doskonałości", i zakończył cytatem z Marka: „A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało".

Pastor Merrill rozpoczął od Pieśni nad pieśniami. „Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości" – odczytał. Potem zaatakował nas przy pomocy Koryntian („Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest") i zakończył cytując św. Jana – „Miłujcie się wzajemnie, jak ja was umiłowałem". W tym momencie Owen Meany wydmuchał nos, co skierowało moją uwagę na ławkę, w której siedział na dość niestabilnej stercie śpiewników, by móc dojrzeć rodzinę Eastmanów, a zwłaszcza wuja Alfreda.

Następnie w domu przy Front Street odbyło się przyjęcie. Dzień był parny, zamglony i babcia denerwowała się, że przy takiej pogodzie jej róże nie prezentują się najlepiej. I miała rację – oklapły w tym upale. Taki senny dzień odświeżyć może jedynie gwałtowna burza. Harriet Wheelwright martwiła się też, że burza gotowa jest się rozpętać w każdej chwili. Niemniej jednak bar i stoły zostały ustawione na trawniku. Mężczyźni zdjęli marynarki, podwinęli rękawy i rozluźnili krawaty, a mimo to pocili się w samych koszulach; babcia była niezadowolona zwłaszcza z tego, że rozwieszali marynarki na żywopłocie z ligustrów, przez co zwykle nieskazitelne, ciemnozielone obramowanie rozarium wyglądało jak przyprószone śmieciami przywianymi z innej części miasta. Niektóre kobiety się wachlowały. Inne, zrzuciwszy pantofle na wysokich obcasach, spacerowały po trawniku na bosaka.

Planowano urządzenie parkietu na ceglanym tarasie, lecz dość szybko pomysł ten zarzucono z powodu rozbieżności zdań na temat muzyki.

– Może to i dobrze – podsumowała babcia – to znaczy dobrze, że nie było tańców przy takiej duchocie.

Wszystko odbyło się tak, jak powinno podczas wesela w środku lata – było parno, chwilami ładnie, ale nade wszystko upalnie. Wuj Alfred popisywał się przede mną i moimi kuzynami ilością wypitego piwa. Jakiś zabłąkany pies, rasy beagle, należący do ludzi mieszkających na Pine Street, skradł kilka ciastek ze stołu. Pan Meany stał tak sztywno w kolejce do składania życzeń, że wyglądało, jakby miał kawały granitu w kieszeniach. Gdy przyszła jego kolej na ucałowanie panny młodej, zarumienił się.

– Owen ma prezent – rzekł, odwracając się. – Kupiliśmy wspólny prezent od nas obu. – Pan Meany i Owen jako jedyni mieli na sobie czarne garnitury i Simon powiedział później Owenowi, że wyglądał jak ze szkółki niedzielnej, co nie było odpowiednie na tę okazję.

– Owen, ubrałeś się jak na pogrzeb – zauważył.

Wyraźnie sprawił mu tym przykrość i Owen zrobił obrażoną minę.

– Tylko żartowałem – dodał Simon po chwili.

Owen jednak nadal czuł się urażony i zadał sobie trud, układając na tarasie wszystkie ślubne podarki w taki sposób, aby prezent jego i ojca znalazł się w samym środku. Podarek, który mój przyjaciel musiał unieść dwiema rękami, miał kształt i rozmiar cegły, a zapakowany był w papier zadrukowany choinkami. Nie wątpiłem ani chwili, że to granit.

– To pewnie jedyny garnitur Owena, ty dupku! – ofuknęła Simona Hester. Zaczęli się kłócić. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Hester w sukience. Wyglądała bardzo ładnie. Żółty materiał ostro odcinał się od opalenizny; w upale z jej czarnych włosów zrobił się prawdziwy gąszcz, ale zachowywała się wspaniale jak na taką szczególną okazję towarzyską, jaką jest przyjęcie ślubne w ogrodzie. Kiedy Noah próbował przestraszyć dziewczynę ropuchą, Hester wyrwała mu ją i walnęła nią Simona w twarz.

– Hester, chyba ją zabiłaś! – rzucił Noah, nachylając się nad ogłuszonym płazem ze znacznie większym zatroskaniem niż to, które wykazał wobec brata.

– To nie moja wina – odparła Hester. – Sam zacząłeś.

Babcia orzekła, że toalety na górze nie nadają się dla gości weselnych, więc przed łazienkami na dole tworzyły się spore kolejki – były tylko dwie ubikacje. Lydia namalowała tekturki: „Panowie" i „Panie". Przed „Paniami" ogonek był znacznie dłuższy.

Kiedy Hester chciała skorzystać z toalety na piętrze jako członek rodziny, który nie musi stosować się do zasad dla gości, matka kazała jej czekać w kolejce razem ze wszystkimi. Ciocia Marta, tak jak wielu Amerykanów, w obronie demokracji potrafiła stać się tyranem. Noah, Simon, Owen i ja przechwalaliśmy się, że możemy siusiać w krzakach, a Hester poprosiła nas tylko o niewielką pomoc w tym względzie. Mieliśmy popilnować, aby jakiś inny chłopak czy mężczyzna odczuwający nagłą potrzebę upłynnienia uczuć w gęściej zarośniętej części żywopłotu nie zaskoczył jej, kiedy przykucnie. Poprosiła też, żeby jeden z nas potrzymał jej majtki, bo inaczej mogłaby je zamoczyć. Naturalnie, bracia obruszyli się na ten pomysł i zaczęli z ironią komentować, jak bardzo, niezależnie od okoliczności, chce im się trzymać jej majtki. Ja, jak zwykle, zwlekałem z odpowiedzią. W tej sytuacji moja kuzynka po prostu zdjęła białe bawełniane figi i podała je Owenowi.

Można by pomyśleć, że wręczyła mu żywego pancernika. Jego maleńka buzia zapłonęła niepohamowaną ciekawością i zainteresowaniem. Ale Noah wyrwał Owenowi majtki Hester, a Simon z kolei zarzucił mu je na głowę. Pasowały zupełnie dobrze; jego twarz nagle wyjrzała przez wycięcie nogawki. Zaczerwienił się i zerwał figi z głowy, ale kiedy usiłował wsadzić je do kieszeni marynarki, zorientował się, że kieszenie ma zaszyte. Wprawdzie nosił ten garniturek już od kilku lat, nikt mu jednak nie rozpruł kieszeni, a może wszyscy uważali, że tak powinno być. Odzyskał zimną krew i wsadził majtki do wewnętrznej kieszonki marynarki, gdzie tworzyły pokaźne wybrzuszenie. Przynajmniej nie miał ich na głowie, gdy podszedł do niego ojciec. Noah i Simon zaczęli szurać nogami po nie przystrzyżonej trawie i pojedynczych gałązkach żywopłotu. W ten sposób udało im się zagłuszyć siusianie Hester.

Pan Meany mieszał szampana ogórkiem kiszonym rozmiarów swego palca wskazującego. Nie wypił jeszcze ani kropli, ale

najwyraźniej sprawiało mu przyjemność moczenie ogórka w alkoholu.

– Czy wracasz ze mną do domu? – spytał Owena. Już na samym początku oznajmił, że nie zostanie długo. Matka i babcia i tak były zaskoczone, że w ogóle przyszedł. Nie lubił chadzać na przyjęcia. Nosił prosty granatowy garnitur z podobnie taniego materiału jak garnitur Owena – ale ponieważ Owena często unosiliśmy do góry, przypuszczam, że garnitur pana Meany'ego był w znacznie lepszym stanie. Trudno mi tylko powiedzieć, czy kieszenie garnituru pana Meany'ego zostały rozprute czy nie. Garniturek Owena miał jakby zagniecenia tuż nad nadgarstkami i kostkami – to znaczy, że musiał być podłużany. Ale rękawy i nogawki trzeba było podłużać zaledwie odrobinę, Owen rósł bowiem w tempie karłowatego drzewka.

– Chcę zostać – odrzekł chłopiec.

– Tabby nie podwiezie cię pod górę w dniu swego ślubu – ostrzegł pan Meany.

– Proszę pana, Owena podwiezie albo moja mama, albo tata – odezwał się Noah. Moje rodzeństwo cioteczne – chociaż w stosunku do innych dzieci zachowywało się okropnie – zostało tak wychowane, by okazywać uprzejmość i serdeczność dorosłym. Pogodna życzliwość Noaha nieco zaskoczyła Meany'ego. Przedstawiłem mu kuzynów, ale wyczuwałem, że Owen chce jak najszybciej odciągnąć ojca – może obawiał się, że Hester lada chwila wyłoni się spośród żywopłotu i poprosi o zwrot majtek.

Pan Meany przyjechał swoim pikapem i kilkoro gości zablokowało mu drogę na podjeździe, poszedłem więc tam z Owenem, żeby pomóc rozpoznać samochody. Byliśmy już niemal na środku trawnika, daleko od żywopłotu, kiedy zobaczyłem gołą rękę Hester, wyłaniającą się z zieleni.

– Podajcie mi! – poprosiła, a Noah i Simon zaczęli się z nią drażnić.

– Co niby mamy ci podać?

Zapisaliśmy z Owenem numery rejestracyjne samochodów blokujących pikap pana Meany'ego i przekazaliśmy listę babci, która bardzo lubiła wygłaszać różne oświadczenia, naśladując głos matki z „Wiernej żony" Maughama. Dłuższą chwilę zajęło nam uwolnienie pikapa. Owen wyraźnie się odprężył, kiedy ojciec odjechał.

On sam został, trzymając w ręku prawie pełen kieliszek szampana. Radziłem mu jednak, żeby tego nie pił. Byłem pewien, że musi mocno smakować ogórkiem. Poszliśmy obejrzeć prezenty i w tym momencie spostrzegłem, jak eksponowane miejsce zajmuje podarek Owena i jego ojca.

– Sam to zrobiłem – oświadczył Owen. W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi mu o gwiazdkowy papier, ale po chwili zorientowałem się, że o prezent. – Ojciec pomógł mi wybrać właściwy kamień – dodał. O Boże, a więc to jednak granit!

Owenowi było przykro, że państwo młodzi chcieli otworzyć prezenty dopiero po podróży poślubnej, ale nie powiedział mi, co zrobił. Wyjaśnił, że będę mógł to oglądać jeszcze przez wiele lat. I tu się nie mylił.

Był to blok przepięknego granitu w kształcie cegły.

– Nagrobkowy, wydobywają taki w Barre – wyjaśnił. Owen sam go wyciął i oszlifował. Sam ozdobił i wycyzelował krawędzie, sam też zrobił napis. Pracował nad tym w warsztacie po szkole i w czasie weekendów. Było to coś, co przypominało nagrobek dla czworonożnego ulubieńca domu, a już w najlepszym razie nagrobek dla dziecka, które się urodziło martwe. Jednakże dużo bardziej nadawało się dla kota czy chomika. Kamień miał leżeć poziomo, jak bochen chleba, a wypisana data była przybliżoną datą ślubu matki z Danem:

LIPIEC 1952

Nie wiem, czy Owen nie znał dokładnej daty, czy może wygrawerowanie jej wymagałoby wielu godzin pracy; niewykluczone też, że pełna data zniszczyłaby mu estetyczną koncepcję całości. W każdym razie kamień był zbyt duży i zbyt ciężki, żeby mógł służyć za przycisk do papieru. I chociaż Owen później sugerował, że można by go właśnie w tym celu wykorzystać, bardziej praktyczny byłby jako zapora do drzwi. Dan Needham sumiennie używał kamienia do zastawiania drzwi, choć bardzo często obijał o niego palce u nóg, a potem oddał go mnie. Niezależnie jednak od ostatecznego

przeznaczenia, granit musiał leżeć na wierzchu, tak aby Owen odwiedzając nas, mógł go zobaczyć. Był z niego bardzo dumny, a matka wręcz piała nad nim z zachwytu. Tak zresztą jak i nad Owenem. Myślę, że podobałoby się jej nawet, gdyby otrzymała kamień nagrobny z wolnym miejscem na datę śmierci. Teraz zarówno Dan, jak i ja uważamy, że Owen faktycznie dał jej nagrobek. Został on wykonany w warsztacie kamieniarskim przy użyciu narzędzi do wykuwania liter na nagrobkach – to nic, że miał wypisaną datę ślubu matki – był to jej miniaturowy nagrobek.

I chociaż w czasie wesela panował nastrój ogólnej radości, i nawet babcia wykazała się niebywałą wręcz tolerancją wobec młodzieży i licznej grupki podstarzałych młodzieniaszków, która rozrabiała, bo trochę sobie podchmieliła, przyjęcie zakończyło się gwałtowną burzą, zdecydowanie bardziej pasującą do pogrzebu niż ślubu.

Owen wymyślił sobie doskonałą zabawę z majtkami Hester. Nigdy nie był zbyt odważny wobec dziewczyn, a przy mojej kuzynce tylko głupek mógłby być śmiałkiem, z wyjątkiem oczywiście Noaha i Simona. Owen po prostu znikał w tłumie gości, tak że zażenowana sytuacją Hester nie bardzo mogła odebrać mu swoją własność.

– Oddawaj! – syczała.

– Naturalnie! Chcesz je w tej chwili? – pytał, sięgając jednocześnie do kieszeni, a stał właśnie między ciotką Martą i wujem Alfredem.

– Nie tutaj! – odpowiadała złowieszczo.

– Ach tak, więc ich nie chcesz i mogę je sobie zatrzymać?

Przez całe przyjęcie Hester kroczyła jego śladem. Nie była specjalnie zła. Powiedziałbym nawet, że się dobrze bawiła. Ich flirt wzbudził we mnie odrobinę zazdrości, cała sprawa zaś ciągnęła się na tyle długo, że Noah i Simon znudzili się i uzbrojeni w confetti czekali na wyjazd mamy i Dana.

Państwo młodzi musieli wyjechać wcześniej, niż zakładano, ponieważ gdy tylko zaczęli kroić tort weselny, rozpętała się burza. Już od pewnego czasu robiło się coraz ciemniej, a wiatr przyniósł mżawkę. Kiedy jednak niebo rozdarły błyskawice, którym towarzyszyły grzmoty, wiatr ucichł i natychmiast zaczęło lać jak z cebra. Goście rzucili się do ucieczki, a babci szybko znudziło się upominać ich, żeby wycierali nogi. Służba walczyła z barem i stołami

zastawionymi jedzeniem. Rozbito namiot, który niczym markiza osłonił tylko połowę tarasu, więc nie starczyło miejsca na prezenty oraz jedzenie i picie. Pomogliśmy z Owenem przenieść podarki do domu. Mama i Dan pobiegli na górę się przebrać i zabrać bagaże. Wujka Alfreda poproszono, aby podjechał buickiem, którego nawet nie za bardzo zniszczył tradycyjną dekoracją dla nowożeńców. Napisał tylko kredą na bagażniku „Państwo młodzi", ale napis prawie całkowicie zdążył się zmyć, nim matka z Danem w strojach podróżnych zbiegli na dół z bagażami.

Goście zebrali się tłumnie przy rozlicznych oknach domu, aby popatrzeć, jak nowożeńcy odjeżdżają, ale nie był to zwykły wyjazd. Gdy usiłowali włożyć torby do bagażnika, lało jak z cebra. Wuj Alfred w roli lokaja przemókł do suchej nitki, a ponieważ Simon i Noah zagarnęli całe confetti dla siebie, tylko oni fetowali młodą parę. Najbardziej obsypali swego ojca, wujka Alfreda, a ponieważ był cały mokry, confetti poprzyklejało mu się do ubrania i po chwili wyglądał jak klown.

Z okien domu przy Front Street ludzie wydawali okrzyki na cześć państwa młodych, ale babcia miała zachmurzoną minę. Nie lubiła bałaganu. Niepowodzenie jest niepowodzeniem, nawet jeśli goście bawią się dobrze. Niepogoda pozostaje niepogodą, nawet gdy nikomu deszcz zanadto nie przeszkadza. A poza tym całej scenie przyglądały się niektóre stare baby. (Jak też rodzina królewska reaguje na deszcz w czasie wesela? Tabby Wheelwright akurat sobie na coś takiego zasłużyła, ośmielając się włożyć białą suknię!). Ciocia Marta zaryzykowała wyjście na deszcz, żeby ucałować mamę i Dana. Ją także Noah i Simon okleili confetti.

A po chwili, równie nagle jak ustał wiatr, deszcz przeszedł w grad. W New Hampshire człowiek nie może być pewien pogody nawet w lipcu. Grad odbijał się od buicka niby kule z broni maszynowej. Dan i matka wskoczyli do samochodu. Ciocia Marta z krzykiem zasłoniła głowę. Wraz z wujkiem Alfredem wbiegli do domu. Nawet Noah i Simon poczuli uderzenia gradu i również się wycofali. Ktoś krzyknął, że grad stłukł kieliszek szampana zostawiony na tarasie. Bił z taką siłą, że ci, którzy stali blisko okna, cofnęli się. Wtedy mama opuściła szybę. Myślałem, że chce wszystkim pomachać na

pożegnanie, ale wołała mnie. Uniosłem kurtkę nad głową. Mimo to czułem dość bolesne uderzenia. Jedna z kulek, rozmiarów ptasiego jaja, trafiła mnie w sam koniuszek nerwu na łokciu i aż skrzywiłem się z bólu.

– Do widzenia, kochanie! – rzekła matka, wciągając moją głowę do samochodu i całując mnie. – Babcia wie, dokąd jedziemy, ale nie powie ci, chyba że coś się stanie.

– Bawcie się dobrze – powiedziałem. Kiedy spojrzałem na dom, w oknach na parterze zobaczyłem jakby galerię portretów – przyglądano się mnie oraz nowożeńcom. Widziałem prawie wszystkie twarze z wyjątkiem dwóch świętych mężów Gravesend. Z drugiej strony domu, samotni w swych okienkach, wielebni Lewis Merrill oraz Dudley Wiggin kontemplowali niebo. Zastanawiałem się, czy rozpatrują religijny aspekt gradobicia. Przypuszczam, że rektor Wiggin oceniał pogodę okiem byłego pilota – myślał sobie pewnie, że byłby to gówniany dzień na latanie. Pastor Merrill niewątpliwie szukał w niebie przyczyny tak gwałtownej burzy gradowej. Czy w Piśmie Świętym można odnaleźć jakiekolwiek sugestie co do znaczenia gradu? Obaj wielebni tak bardzo chcieli wykazać się znajomością Pisma, że żaden z nich nie zaoferował matce i Danowi błogosławieństwa, które daje ogromną otuchę: „Pozwól im razem dożyć starości!”.

Niedobrze, że o tym nie pomyśleli, ale protestancka edycja Biblii raczej nie zawiera apokryfów. Danowi Needhamowi i matce nie było dane wspólnie się zestarzeć – a uderzenie piłki Owena miało dosięgnąć mamę za niespełna rok.

Prawie zdążyłem wrócić do domu, kiedy matka zawołała mnie ponownie.

– Gdzie jest Owen? – spytała. Udało mi się go zlokalizować dopiero po dłuższej chwili. Był na piętrze, w sypialni mamy. Obok niego stała kobieca postać w czerwonej sukni – sobowtór mojej matki, jej manekin krawiecki. Teraz już wiem, że w tej chwili w domu przy Front Street było trzech świętych mężów – trzech mężczyzn, którzy przyglądali się rozszalałej burzy. Owen nie patrzył w stronę odjeżdżających nowożeńców. On także obserwował niebo – jedną ręką obejmował manekin w pasie, zwieszając się na jego biodrze.

Spoglądał zaniepokojony w górę. Powinienem był się domyślić, jakiego anioła wypatruje. Ale był to dzień pełen zamieszania, matka pytała, gdzie jest Owen, więc po prostu wbiegłem na górę i przyprowadziłem go. Jemu grad najwyraźniej nie przeszkadzał. Kulki bombardowały cały samochód, ale według mnie, jego nie uderzyła ani jedna. Wsunął głowę do samochodu i matka go pocałowała. Potem spytała, jak dotrze do domu.

– Chyba nie zamierzasz wracać na piechotę? Albo jechać na rowerze? W każdym razie nie w taką pogodę! – powiedziała. – Chcesz, to cię podwieziemy.

– Ale przecież jedziecie w podróż poślubną!

– Wsiadaj – zaproponowała matka. – Podwieziemy cię.

Zrobił strasznie zadowoloną minę, że pojedzie z mamą w podróż poślubną – choćby ten maleńki kawałeczek. Próbował wślizgnąć się do samochodu obok niej, ale miał okropnie mokre spodnie i zaczepił o spódnicę mamy.

– Zaczekaj. Ja wyjdę, a ty wsiądziesz pierwszy.

Chodziło jej o to, że jest taki malutki i może usiąść na przednim siedzeniu między nią i Danem, ale kiedy tylko wysiadła z buicka – dosłownie na sekundę – kulka gradu odbiła się rykoszetem od dachu samochodu i trafiła ją między oczy.

– Ojej! – krzyknęła, łapiąc się za głowę.

– Bardzo przepraszam – rzucił czym prędzej Owen.

– Wsiadaj, wsiadaj! – ponagliła go ze śmiechem.

Ruszyli.

I w tym właśnie momencie Hester uświadomiła sobie, że Owenowi udało się uciec z jej majtkami.

Wybiegła na podjazd i stała z rękami na biodrach, gapiąc się na wolno odjeżdżający samochód. Dan i mama wysunęli ręce za okno, żeby pomachać mimo gradu. Owen usadowiony między nimi na przednim siedzeniu odwrócił się do tyłu. Uśmiech wypłynął mu na twarz. Wyraźnie widać było, jaką wiadomość chce przekazać Hester.

– Ty draniu! – zawołała Hester. Ale w tej samej chwili grad przeszedł z powrotem w deszcz i Hester w mgnieniu oka zmokła do suchej nitki – żółta sukienka przylgnęła do jej ciała tak ściśle, że bez

trudu można było dostrzec, czego dziewczynie brakuje. Popędziła do domu.

– Moja panno – zagadnęła ją ciocia Marta. – Gdzie, na Boga, podziały się twoje...

– Wielkie nieba, Hester! – zakrzyknęła babcia.

Jednak wielkie nieba nie patrzyły w tym momencie najprzychylniej, a babcine staruchy, widząc Hester, musiały sobie myśleć w duchu: „To jest wprawdzie dziewczyna Marty, ale może sprawić im tyle kłopotów, co Tabby".

Simon i Noah zbierali kulki gradu, zanim roztopią się w deszczu. Wybiegłem do nich na zewnątrz. Co większymi natychmiast zostałem zaatakowany. Zebrałem własną amunicję i odpowiedziałem ogniem. Byłem zdziwiony, że grad jest taki zimny, jakby dotarł do ziemi z innego, znacznie zimniejszego świata. Ściskałem sporej wielkości kulkę w dłoni i byłem zaskoczony, że jest taka twarda – tak twarda jak piłka do baseballa.

Pan Chickering, nasz tłustawy i serdeczny trener z Małej Ligi i jednocześnie menedżer drużyny – człowiek, który owego pamiętnego dnia zdecydował, by Owen odbijał za mnie, i który pouczył mego przyjaciela, żeby „się zamachnął" – dożywa swych dni w Domu dla Emerytowanych Żołnierzy przy Court Street. Zniekształcone obrazy, jakie go od czasu do czasu nachodzą, bo cierpi na chorobę Alzheimera, spowodowały, że jest nieco kapryśny i zagubiony, ale, co ciekawe – niezwykle czujny. Jak człowiek siedzący pod drzewem w otoczeniu gromadki dzieci, które zamierzają go obrzucić żołędziami – spodziewa się ciosu w każdej chwili. Nawet tak jakby czeka na ten cios z radością, choć nie ma pojęcia, skąd mogą się wziąć żołędzie, mimo że powinien mocno czuć, iż pień drzewa jest za jego plecami. Kiedy go odwiedzam, a żołędzie lecą i trafiają z dobrego kierunku, natychmiast się ożywia.

– Przygotuj się, Johnny! – oświadcza radośnie. A raz nawet rzekł: – Owen odbija za ciebie!

Ale kiedy indziej myślami jest daleko stąd. Może właśnie odwraca twarz matki do ziemi, przedtem zamknąwszy jej oczy, albo obciąga

jej dla przyzwoitości sukienkę i zsuwa kolana. Raz, gdy wydawało mi się, że mnie rozpoznał, a mimo to nie udało mi się z nim nawiązać żadnej nici porozumienia, odezwał się dopiero, gdy odchodziłem.

– Johnny, lepiej, żebyś jej nie oglądał – zabrzmiał jego smutny, zamyślony głos.

W czasie pogrzebu matki w kościele Hurda Chickering był wyraźnie wzruszony. Jestem pewien, że układając martwe ciało matki, dotykał jej po raz pierwszy. Zarówno to wspomnienie, jak i myśl o szefie policji, który szukał „narzędzia zbrodni", wyraźnie poruszyły Chickeringa – bez żenady szlochał na pogrzebie, jakby był to pogrzeb całego baseballu. Faktycznie. Po tym straszliwym meczu nie tylko ja i Owen na zawsze odeszliśmy z drużyny – również inni członkowie Małej Ligi wykorzystali ów przykry wypadek jako pretekst do uwolnienia się od niemiłego obowiązku, który wynikał raczej z przekonania rodziców, że właśnie baseball jest dobry dla ich dzieci, ale nie był to nigdy ich sport z wyboru. Chickering, człowiek gołębiego serca, zawsze nam powtarzał, że jeśli wygrywamy, to jako drużyna, i także jako drużyna przegrywamy. Teraz w jego pojęciu zabiliśmy drużynę. Ale płakał w swojej ławce, jakby to on ponosił większą niż inni odpowiedzialność.

Zaprosił kilku chłopców z drużyny z rodzicami, aby zasiedli razem z nim, między innymi tego nieszczęśnika Harry'ego Hoyta, który otrzymał bazę darmo przy dwóch autach. To on właśnie miał swój skromny udział w tym, że Owen Meany wszedł na odbicie. W końcu przecież Harry mógł być wyautowany i w tym wypadku matka tak jak zwykle odwiozłaby mnie i Owena do domu. Ale Harry miał szczęście. Siedział w kościele Hurda, mocno poruszony łzami pana Chickeringa. Harry był prawie niewinny. Mieliśmy tyle punktów straconych, a na dodatek na koncie strat dwa auty w ostatniej zmianie. Harry był na z góry straconej pozycji. Przedłużył tylko mecz. Harry powinien dać się wyautować.

Harry to poza tym istota, która nie mogła wyrządzić nikomu większej krzywdy. Jego ojciec nie żył, a matka pracowała jako recepcjonistka w gazowni – to ona odbierała wszystkie telefony informujące o awariach i pomyłkach w opłatach. Harry nie nadawał się na ucznia Akademii Gravesend. Przykładnie ukończył średnią

szkołę i zgłosił się na ochotnika do marynarki. W Gravesend marynarka była bardzo popularna. Matka usiłowała go wyciągnąć z wojska, twierdząc, że jest wdową i że potrzebuje jego wsparcia, ale po pierwsze, miała pracę, a po drugie, to Harry sam chciał wstąpić do marynarki. Czuł się zażenowany tym, że matka ma tak niewielkie poczucie patriotyzmu. Może właśnie wtedy po raz pierwszy się z kimś pokłócił, ale wówczas wygrał. Wyjechał do Wietnamu, gdzie zmarł od ukąszenia jadowitego węża. Była to żmija łańcuszkowa, a ukąsiła go, kiedy siusiał pod drzewem. Później dowiedzieliśmy się, że drzewo znajdowało się przy wejściu do burdelu, gdzie Harry czekał na swoją kolejkę. Oto cały Harry – zmierzał powoli tam, dokąd nie było w ogóle sensu iść.

Po jego śmierci matka mocno się rozpolitykowała, a przynajmniej mocno jak na Gravesend. Uważała się za pacyfistkę i ogłaszała wszem wobec, że można u niej zasięgnąć darmowej porady, jak uniknąć mobilizacji. Właściwie nigdy nie było żadnych podstaw, by przypuszczać, iż te wieczorowe sesje porad tak ją męczyły, że zaniedbywała swoje obowiązki w gazowni, niemniej jednak została zwolniona. Kilku patriotów z miasta aresztowano pod zarzutem zniszczenia jej samochodu i garażu. Nie złożyła na nich jednak żadnej skargi. Krążyły plotki, że podkopuje moralność młodzieży. Wprawdzie była kobietą dość nieatrakcyjną, wręcz zaniedbaną, ale zarzucano jej, że uwiodła kilku młodzieńców zainteresowanych jej radami. W końcu wyprowadziła się z Gravesend, i to dostatecznie daleko, bo chyba do Portsmouth. Przypominam ją sobie na pogrzebie matki – nie siedziała z synem, tam gdzie Chickering zgromadził całą drużynę. Nigdy nie lubiła gier zespołowych, a Harry tak.

Pamiętam, że to pani Hoyt pierwsza stwierdziła, iż krytykowanie konkretnego prezydenta amerykańskiego nie jest aktem antyamerykańskim i że krytykowanie konkretnej polityki amerykańskiej nie jest aktem niepatriotycznym. Brak zaś poparcia dla zaangażowania Ameryki w konkretną wojnę przeciwko komunistom nie jest jednoznaczny z opowiadaniem się po stronie komunistów. Większość jednak obywateli Gravesend zatraciła umiejętność rozróżniania tych spraw. Tak jak zresztą wielu współczesnych Amerykanów.

Nie pamiętam, żebym widział Buzzy'ego Thurstona na pogrzebie matki. A powinien być. Kiedy Harry Hoyt zdobył bazę darmo, wydawało się, że Buzzy Thurston będzie ostatnim wyautowanym. Odbił łatwą przyziemną piłkę – wszyscy się spodziewali, że będzie aut. Ale w jakiś nieprawdopodobny sposób łącznik przeciwnika spaprał piłkę. Buzzy Thurston dotarł do bazy wskutek błędu przeciwnika. Kto grał na pozycji łącznika? On też powinien znaleźć się w kościele.

Buzzy nie przyszedł może dlatego, że był katolikiem. Tak przynajmniej sugerował Owen, ale wśród zebranych w kościele znaleźli się i katolicy. Mówiąc to, Owen po prostu zamanifestował swoje uprzedzenia. A może niesłusznie posądzam Buzzy'ego – może uczestniczył w pogrzebie – w końcu przecież kościół był pełniusieńki, jak na ślubie matki. Zjawiły się wszystkie staruchy babci. Wiem, po co przyszły – chciały zobaczyć, jak na takie zdarzenie reaguje ród królewski. Jak Harriet Wheelwright przyjmuje swoje Przeznaczenie przez duże p, albo też Akt Boży (jeśli zdecydujemy się użyć takiej nazwy). Wszystkie te staruchy, czarne i przygarbione jak kruki, co obsiadły jakiegoś trupa na drodze, przyszły na nabożeństwo, jakby chciały powiedzieć: „Zdajemy sobie sprawę, Boże, że Tabby Wheelwright nie wolno było wyjść z tego obronną ręką".

W New Hampshire coś takiego to grzech śmiertelny. Ta ptasia drapieżność, która wyzierała z oczu babcinych staruch, świadczyła o tym, że – ich zdaniem – matka nie uniknęła słusznej kary.

Buzzy Thurston, niezależnie od tego, czy był na pogrzebie, czy nie, również dostał za swoje. Nie mogę powiedzieć, że nie lubiłem Buzzy'ego – zwłaszcza od chwili, gdy zabrał głos w naszej obronie, kiedy to po drobnym incydencie w szkole parafialnej św. Michała zaangażowaliśmy się z Owenem w gorący spór z kilkoma katolikami – kolegami Buzzy'ego z klasy. Buzzy jednak został ostro skrytykowany za rolę, jaką odegrał w otrzymaniu bazy darmo, czym spowodował wejście Owena Meany'ego (jeśli można to nazwać krytyką). Poza tym wiadomo było, że nie nadaje się do Akademii Gravesend. Skończył natomiast roczne pomaturalne studium ekonomiczne, ponieważ uchodził za dobrego sportowca. Uprawiał

sporty popularne w New Hampshire – futbol, hokej i baseball. Widać nie zawsze docierał do bazy wskutek błędu przeciwnika.

W niczym się tak naprawdę nie wyróżniał, ale był dostatecznie dobry, żeby dostać się na uniwersytet stanowy, gdzie zdobył odznaki w trzech dyscyplinach sportowych. Przez rok nie uczestniczył w zawodach, bo miał kontuzję kolana, i udało mu się psim swędem zaliczyć piąty rok college'u, co o całe dwanaście miesięcy pozwoliło mu przedłużyć sobie studenckie uprawnienia. Potem był już „w wieku poborowym", ale czynił rozpaczliwe wysiłki, by uniknąć wyprawy do Wietnamu przez wzgląd na słaby stan zdrowia. Przez dwa tygodnie wypijał dziennie jedną piątą butelki burbona, palił tyle marihuany, że włosy śmierdziały mu jak szafka kuchenna pełna oregano. Zrobił sobie maleńkie ognisko w piecyku rodziców, prażąc peyotl. Znalazł się w szpitalu z powodu zaburzeń okrężnicy po doświadczeniu z LSD, kiedy to nabrał przekonania, że jego sportowa koszula z Hawajów nadaje się do jedzenia, więc spożył jej część, łącznie z guzikami i zawartością kieszeni – kartonikiem zapałek, paczką bibułek papierosowych i spinaczami.

Przy charakterystycznym dla Gravesend prowincjonalnym podejściu do poboru rekrutów Buzzy został uznany za osobnika niezdatnego do służby z psychologicznego punktu widzenia, o co w końcu mu zresztą chodziło. Niestety, kłopot w tym, że polubił burbona, marihuanę, peyotl oraz LSD. A nawet tak zaczęło go bawić przedawkowywanie, że pewnej nocy zginął na Maiden Hill Road, uderzając w kolumnę kierownicy swego plymoutha, kiedy wjechał prosto na przęsło mostu kolejowego zaledwie kilkaset metrów poniżej Kopalni Granitu Meanych. To właśnie ojciec Owena wezwał policję. Doskonale znaliśmy z Owenem ten most. Znajdował się tuż za wyjątkowo ostrym zakrętem u podnóża stromego zbocza – trzeba było na niego dobrze uważać, nawet kiedy jechaliśmy na rowerach.

Nikt inny, tylko powszechnie krytykowana pani Hoyt dostrzegła, że Buzzy jest po prostu kolejną ofiarą wojny wietnamskiej. I chociaż nie zwracano na nią uwagi, twierdziła, że Buzzy właśnie z powodu wojny niszczy w ten sposób swoje zdrowie. Wojna przecież zabiła także jej Harry'ego. Pani Hoyt uważała, że takie zjawiska jak nadużywanie narkotyków i alkoholu, szybkie prowadzenie samochodu na granicy

samobójstwa, a także burdele w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie wiele amerykańskich prawiczków przeżyło swoje pierwsze i może nawet ostatnie doświadczenie seksualne, nie mówiąc już o żmijach łańcuszkowych, które czyhają pod drzewami, są symptomatyczne dla okresu wojny wietnamskiej.

Chickering powinien był płakać – nie tylko z powodu tego kaprysu, który kazał mu polecić Owenowi Meany'emu, by „się zamachnął". Gdyby wtedy mógł przewidzieć wszystko, co miało nastąpić, zalałby się jeszcze rzewniejszymi łzami niż te, jakie wylewał w kościele Hurda nad całą drużyną.

Rzecz jasna, szef policji Pike siedział osobno. Policjanci lubią miejsca przy drzwiach. I szef Pike wcale nie płakał. Dla niego moja matka nadal była „sprawą" – nabożeństwo to dodatkowa okazja, by przyjrzeć się podejrzanym, gdyż w oczach szefa Pike'a wszyscy byliśmy podejrzani. Szef Pike przypuszczał, że wśród żałobników skrył się złodziej piłeczki.

Szef Pike zawsze siedział „koło drzwi". Kiedy chodziłem z jego córką, spodziewałem się, że Pike lada chwila wpadnie przez drzwi czy przez okno. Niewątpliwie z obawy, że może się nagle pojawić, zaplątałem dolną wargę w jej aparat korekcyjny do zębów, zbyt pospiesznie wycofując się z pocałunku, bo dałbym głowę, że gdzieś w pobliżu słyszę jego skrzypiące buty.

Owego dnia w kościele Hurda prawie dało się słyszeć skrzyp tych buciorów przy drzwiach, tak jakby Pike się spodziewał, że skradziona piłeczka baseballowa wypadnie z kieszeni złodzieja i oskarżycielsko potoczy się po szkarłatnym chodniku. W oczach szefa Pike'a kradzież piłeczki, która zabiła moją matkę, była czymś znacznie poważniejszym niż zwykłe przestępstwo, żeby nie powiedzieć: zbrodnia. Szefa Pike'a jakby nie obchodził fakt, że matka zginęła od tej właśnie piłeczki. Nieco ciekawsze wydawało mu się to, że piłeczkę uderzył Owen Meany'ego, ale tylko dlatego, iż fakt ten dostarczał mu motywacji, by wejść w jej posiadanie. Tak więc nasz szef policji nie wpatrywał się w zamkniętą trumnę mamy. Pike nie zwracał też szczególnej uwagi na byłego pilota, kapitana Wiggina. Nie interesowało go również nieznaczne zacinanie się wzruszonego pastora Merrilla. Przenikliwe spojrzenie szefa naszej policji wbijało

się w tył głowy Owena Meany, który siedział niepewnie na sześciu czy siedmiu egzemplarzach „Śpiewnika pielgrzyma". Owen wiercił się na stercie śpiewników, jakby wzrok policjanta potrafił zachwiać jego równowagę. Usiadł jak najbliżej ławki, którą zajmowała nasza rodzina. Siedział tam, gdzie na ślubie – za Eastmanami, a konkretnie za wujem Alfredem. Tym razem Simon nie będzie miał okazji żartować sobie z nieodpowiedniego garnituru Owena – była to pomniejszona kopia garnituru ojca. Pan Meany, jak z granitu, zasiadł obok Owena.

– Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan – odezwał się wielebny Dudley Wiggin. Błogosławieni, którzy umierają w Panu.

– O Boże, dawco niezliczonych łask – rzekł wielebny Lewis Merrill. – Przyjm nasze modlitwy w imieniu Twej służebnicy Tabby i pomóż jej wejść do krainy światła i radości, współistnienia wszystkich świętych.

W przyćmionym świetle kościoła Hurda błyszczał jedynie wózek inwalidzki Lydii. Stał w nawie obok ławki babci, która siedziała samotnie. My z Danem zajęliśmy miejsce tuż za nią. Z tyłu usadowili się Eastmanowie.

Wielebny kapitan Wiggin przypomniał Koryntian – „Bóg otrze z naszych oczu wszelką łzę" – i w tym momencie Dan zaczął płakać.

Rektor, zgodnie ze swoim upodobaniem przyrównywania wiary do walki, zacytował Izajasza: „On pochłonie śmierć i zwycięstwo". Teraz usłyszałem, że do Dana dołączyła ciocia Marta. Ale żadne z nich nie dorównywało Chickeringowi; szlochał jeszcze przed rozpoczęciem czytań ze Starego i Nowego Testamentu.

„Dobry jest Pan dla ufnych". – Pastor Merrill zacinając się, przywołał słowa z Lamentacji Jeremiasza.

Następnie zostaliśmy przeprowadzeni przez psalm 23, tak jakby w Gravesend mógł się znaleźć ktoś, kto nie zna jego słów na pamięć.

„Pan jest moim pasterzem – nie brak mi niczego" – i tak dalej. I kiedy doszliśmy do tego fragmentu: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę" – dobiegł do mnie głos Owena górujący nad pozostałymi.

„Daj męstwo tym, którzy są pogrążeni w smutku" – odezwał się rektor, a ja w tym momencie zacząłem się niepokoić, jak głośno

Owen będzie śpiewał ostatni hymn. Wiem, że miał to być taki, który lubi.

Na słowa pastora: „Pomóż nam modlić się pośród tych rzeczy, których nie rozumiemy", już zacząłem nucić hymn, aby z góry zagłuszyć głos Owena.

„Dozwól nam powierzyć Tabitę Twej nieustającej miłości" – spróbowali zaintonować wspólnie Wiggin i Merrill, a ja wiedziałem, że to już. O mały włos nie zatkałem uszu.

Cóż innego można śpiewać na pogrzebie przedwcześnie zmarłej osoby, co innego, jak nie ten miły dla ucha wiersz określony w „Śpiewniku pielgrzyma" mianem najlepszego hymnu na „wniebowstąpienie i królowanie", popularnie zwany „Panu koronę włóż na skroń!" – hymn, który naprawdę rozsadza organy.

Bo kiedyż indziej jak nie podczas pogrzebu ukochanej osoby najmocniej potrzebujemy słyszeć o zmartwychwstaniu, wiecznym życiu; o tym, który powstał z martwych?

Dajcie Barankowi na tronie
Po wielekroć zasiąść w koronie!
Zagłusza niebiańskie pienie
To, co gdzie indziej zda się milczeniem.
Duszo moja, zbudź się i oddawaj cześć
Panu memu, co za mnie życie oddał swe.
Cześć należną składaj Mu!
Choćby i w wiecznościach stu!
Panu miłości koronę włóż na skroń!
Spójrz, oto Jego bok i dłoń,
To strumień, posoka obfita.
Lecz krew ta chwałę wyda.
Żaden Anioł Pański w niebie
Patrzeć na ten widok nie śmie.
Tylko wzrok spuszcza oślepiony
Blaskiem tajemnicy niewyjaśnionej.

Owen jednak najsilniej przeżywał trzecią strofę.

Panu życia koronę włóż na skroń!
To On zwyciężył śmierci broń!
Z grobu powstawszy się pokazał
Zwycięski, wielki, który zbawia!
Śpiewamy wieczną chwałę Mu!
On zmarł i powstał, wyszedł z grobu!
On zmarł, by wieczne życie dać
I żyje, by naszą śmierć wymazać!

Nawet później, w czasie chowania zwłok, dochodził mnie okropny głos Owena. Nawet wtedy, gdy Wiggin rzekł: „Jesteśmy w śmierci pośród życia", Owen ciągle jeszcze mruczał melodię hymnu „Panu koronę włóż na skroń!", ponieważ miałem wrażenie, że nic innego nie słyszę. Teraz wiem, że taka jest natura hymnów – jakby chciały, żebyśmy je powtórzyli, i jeszcze raz powtórzyli. Stanowią element każdego nabożeństwa, a w czasie nabożeństwa żałobnego często sprawiają, iż wydaje nam się, że wszystko można przeżyć. Z pewnością natomiast nie do przeżycia jest sam moment grzebania człowieka, i to w wypadku mojej matki podwójnie, gdyż po wyciszającym odrętwieniu kościoła Hurda nagle znaleźliśmy się na zewnątrz – był typowy dla Gravesend słoneczny, parny i gorący dzień. Z pobliskiego boiska sportowego dobiegały okrzyki dzieci, tak bardzo nie licujące z powagą sytuacji.

Cmentarz przy końcu Linden Street był widoczny zarówno z okien szkoły średniej, jak i podstawowej. Chodziłem do tej podstawówki zaledwie przez dwa lata, ale to wystarczyło, bym słyszał – wiele razy – uwagi uczniów, którzy uwięzieni w klasie siedzieli najbliżej okna, skąd rozciągał się widok na cmentarz. Mówili, że mniej by się nudzili tam, wśród nagrobków.

– W pewności i wierze w zmartwychwstanie do wiecznego życia przez naszego Pana Jezusa Chrystusa powierzamy naszą siostrę Tabitę Wszechmocnemu Bogu, a jej ciało ziemi – rzekł pastor Merrill. W tej samej chwili zauważyłem, że żona pastora zatyka sobie uszy. Była okropnie blada, z wyjątkiem górnej tłustej części ramienia od tyłu, tak spieczonej, że już od samego patrzenia człowieka bolało.

Na pogrzeb przyszła ubrana w luźną sukienkę bez rękawów, bardziej szarą niż czarną, ale może po prostu nie miała innej odpowiedniej, bo chyba nie mogła wcisnąć takiej bolesnej opalenizny w rękawy. Kiwała się, lekko mrużąc oczy. Z początku myślałem, że ma zatkane uszy z powodu jakiegoś straszliwego bólu głowy. Wysuszone blond włosy wyglądały, jakby za chwilę miały stanąć w płomieniach. Stopa wysunęła się jej z sandała. Jedno z chorowitych dzieci opierało się pani Merrill na biodrze.

„Prochem jesteś i w proch się obrócisz" – mówił właśnie jej mąż, ale ona nie mogła go słyszeć. „Zasłaniała uszy" to za mało powiedziane – wydawało mi się, że wciska je w czaszkę.

Hester też to zauważyła. Przyglądała jej się tak intensywnie, jak ja Hester. I nagle twarz dziewczynki przeszył ostry ból albo może jakieś nagłe bolesne wspomnienie – i ona także zakryła uszy. Ale mnie w głowie nadal dźwięczała melodia: „Panu koronę włóż na skroń!" i nie usłyszałem tego, co usłyszały pani Merrill i Hester. Myślałem, że obie są bardzo niegrzeczne wobec pastora Merrilla, który starał się, jak mógł, z błogosławieństwem, chociaż teraz wyraźnie przyspieszył. Nawet normalnie nieporuszony kapitan Wiggin kręcił głową, jakby chciał się uwolnić od jakiejś wody w uszach czy nieprzyjemnego dźwięku.

„Niech Pan jej błogosławi i zachowa w pokoju" – rzekł Merrill. W tym momencie spojrzałem na Owena. Miał zamknięte oczy, poruszał wargami – jakby mruczał, ale to było nucenie, najlepsze, na jakie się mógł zdobyć. Istotnie nucił „Panu koronę włóż na skroń!" – tyle dosłyszałem. To nie był wybryk mojej wyobraźni. Ale i Owen zakrywał uszy rękoma.

Nagle zobaczyłem, że do góry unosi ręce Simon – Noah już miał wzniesione, wuj Alfred i ciocia Marta też zatykali uszy. I nawet Lydia to zrobiła. Babcia rzucała groźne spojrzenia, ale powstrzymywała się przed podniesieniem rąk. Starała się słuchać, choć widziałem, że to dla niej bolesne – wtedy i ja usłyszałem. Na boisku sportowym w szkole bawiły się dzieci. Grały w baseball, krzyczały jak zawsze, co chwila się sprzeczały, wyglądało na to, że wszystkie mówią jednocześnie. A potem chwilę ciszy przerywały – jak zawsze w meczu baseballowym – uderzenia pałki. Rzut – usłyszałem niezłe

odbicie i w tej chwili nawet pan Meany, stojący z kamienną twarzą, skrzywił się i zacisnął palce na ramieniu Owena.

„Niech Pan spojrzy na nią i okaże swą łaskę. O Panie, skieruj na nią swe oblicze i obdarz ją pokojem. Amen" – zacinał się bardziej niż zwykle Merrill.

Natychmiast schylił się i wziął do ręki garstkę ziemi. On pierwszy miał rzucić ziemię na trumnę, w której leżała matka w czarnej sukni – jej fason skopiowała ze znienawidzonej czerwonej. Biały egzemplarz według Dana nie wyglądał na niej tak dobrze. Mam wrażenie, że śmierć źle wpłynęła na opaleniznę matki. Wiedziałem już, że odradzono nam otwartą trumnę z powodu opuchlizny na skroni oraz otaczającego ją siniaka. Inna rzecz, że Wheelwrightowie i tak nie przepadali za otwartymi trumnami. Jankesi są przeważnie za zamykaniem drzwi.

Uczestnicy pogrzebu jeden po drugim rzucali ziemię na trumnę – a potem już nie bardzo mogli z powrotem zatykać uszy, chociaż Hester zrobiła to bez większego zastanowienia. Usmarowała sobie przy tym ucho i kawałek twarzy. Owen nie chciał rzucić ziemi. Zauważyłem także, że nie chciał odsłonić uszu. Nie chciał też otworzyć oczu i ojciec musiał siłą wyprowadzić go z cmentarza. Słyszałem, jak dwukrotnie powtórzył: „Przepraszam!"

Zanim Dan Needham zabrał mnie na Front Street, zdążyłem jeszcze usłyszeć kilka uderzeń pałki. U babci zebrała się tylko rodzina. Ciocia Marta zaprowadziła mnie do mojej starej sypialni i razem zasiedliśmy na moim starym łóżku. Powiedziała, że mogę przyjechać „na Północ", gdzie zawsze będę mile widziany, i zamieszkać z nią, wujem Alfredem, Noahem, Simonem i Hester. Przytuliła mnie, pocałowała i poprosiła, żebym nie zapominał o ich domu.

Po chwili do mojej sypialni wkroczyła babcia – wygoniła ciocię Martę i usiadła obok mnie. Oświadczyła, że jeśli mi nie przeszkadza towarzystwo starej kobiety, to moja sypialnia zawsze na mnie czeka, że to zawsze będzie mój pokój i że nikt nie będzie miał nigdy do niego prawa. Ona też mnie przytuliła i pocałowała. Powiedziała, że obydwoje powinniśmy starać się okazywać jak najwięcej miłości i czułości Danowi.

Następny zjawił się Dan. On także przysiadł na moim łóżku. Przypomniał mi, że jestem jego prawnie przysposobionym dzieckiem i że chociaż w Gravesend wszyscy znają mnie jako Johnny'ego Wheelwrighta, dla szkoły jestem Johnnym Needhamem, co znaczy, że zgodnie z życzeniem matki mogę pójść na Akademię Gravesend – oczywiście w odpowiednim czasie. Jako prawowite dziecko wykładowcy Akademii, tak jakbym faktycznie był jego synem. Dan w każdym razie stwierdził, że on uważa mnie za syna i że nie zmieni pracy, to znaczy nie porzuci Akademii, dopóki jej nie skończę. Poza tym dobrze rozumie, że może mi się mieszkać wygodniej w domu babci niż w jego mieszkaniu w akademiku, ale że lubi, gdy jestem u niego, o ile naturalnie nie przeszkadza mi ciasnota. A może wolałbym spędzać kilka nocy u niego, a kilka u babci – według własnego uznania.

Odrzekłem, że sobie poradzę, i poprosiłem, żeby w moim imieniu powiedział cioci Marcie – naturalnie nie sprawiając jej przykrości, że tak naprawdę to jestem chłopcem z Gravesend i nie chcę przeprowadzać się „na Północ". Sam pomysł zamieszkania z moim rodzeństwem ciotecznym przyprawiał mnie o dreszcz przerażenia i byłem przekonany, że jeśli pozwoliłbym sobie na taki krok, przeżerałoby mnie grzeszne pragnienie spełniania wynaturzonych zachcianek mojej kuzynki Hester. (Tego, rzecz jasna, Danowi nie mówiłem).

Jeśli ktoś, kogo kochasz, umiera, i to niespodziewanie, nie odczuwasz straty natychmiast. Tracisz tego kogoś kawałek po kawałku przez długi czas – w miarę jak przestaje do niego przychodzić poczta, jak wietrzeje zapach jego perfum na poduszce oraz ubrań w szafie i szufladzie. Stopniowo gromadzisz fragmenty, które odeszły. Właśnie wtedy nadchodzi ten dzień – ten dzień, gdy brakuje ci szczególnie jednej konkretnej cząstki i przytłacza cię uczucie, że ta osoba odeszła na zawsze, a potem nadchodzi inny dzień i odczuwasz szczególny brak czegoś innego.

Tego wieczoru w dniu pogrzebu odczułem jej nieobecność, kiedy nadeszła pora powrotu Dana do mieszkania. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że ma wolną rękę – może wrócić do mieszkania – sam albo ze mną. Mógł też zostać przy Front Street, mógł nawet

spać w drugim łóżku w mojej sypialni, bo już powiedziałem babci, że nie chcę, aby ze mną nocował ani Noah, ani Simon. Ale gdy tylko zorientowałem się, jakie Dan ma możliwości wyboru, uświadomiłem sobie jednocześnie, że każda z nich jest na swój sposób niedoskonała. Uświadomiłem sobie, że żaden z wariantów, jakie przed nim stoją, nigdy już nie będzie doskonały. I że już na zawsze będzie coś ułomnego zarówno w tym, że jest sam, jak i w tym, że jest ze mną.

– Czy chcesz, żebym wrócił z tobą do akademika? – spytałem.

– A może chciałbyś, żebym ja tutaj został? – zaproponował z kolei Dan.

– Ale co to ma za znaczenie?

Patrzyłem, jak idzie wzdłuż Front Street w kierunku świateł Akademii. Wieczór był ciepły – wielokrotnie dawało się słyszeć trzaskanie drzwi na ażurowe werandy, dochodził odgłos bujanych foteli i skrzypienie krzeseł. Dzieci z sąsiedztwa bawiły się przy latarce. Na szczęście nawet dla amerykańskich dzieciaków było już za ciemno, by walić w baseball.

Moi kuzyni wyjątkowo mocno przeżyli tę tragedię. Noah powtarzał w kółko: „Nie mogę w to uwierzyć!". A potem kładł mi rękę na ramieniu. Na co Simon, może niezbyt taktownie, lecz w dobrej wierze, dodawał: „Kto by przypuszczał, że potrafi uderzyć tak mocno?".

Ciotka Marta zwinęła się na kanapie w bawialni, kładąc głowę na kolanach wujowi Alfredowi. Leżała bez ruchu – jak mała dziewczynka, która cierpi na ból ucha. Babcia siedziała razem z nimi w swym okazałym jak tron fotelu. Od czasu do czasu spoglądali na siebie z Alfredem i potrząsali głowami. W pewnej chwili ciotka Marta wstała rozczochrana i walnęła pięścią w stolik.

– To absolutnie nie ma sensu! – krzyknęła. Potem położyła z powrotem głowę wujowi Alfredowi na podołku i przez chwilę popłakiwała. Babcia na ten wybuch nie zareagowała ani skinieniem, ani przeczącym pokręceniem głowy. Patrzyła zagadkowo w sufit – może szukała tam ukojenia czy sił do wytrwania, może jakiegoś sensu, którego według Marty w tym wszystkim brakowało.

Hester nie zmieniła jeszcze sukienki, w której była na pogrzebie – sukienki z czarnego lnu, o prostym fasonie, dobrze leżącej, w stylu, jaki odpowiadałby mojej matce. Wyglądała w niej wyjątkowo dorośle, chociaż zdążyła ją już mocno pognieść. Włosy miała podpięte z powodu upału, ale na twarz i szyję spadały jej bez przerwy luźne kosmyki, więc zniecierpliwiona, z powrotem włosy rozpuściła. Delikatne kropelki potu na górnej wardze nadawały skórze gładkość i połysk szkła.

– Może się przejdziemy? – spytała.

– Dobra.

– Chcesz, żebyśmy z Noahem poszli z wami? – spytał Simon.

– Nie – ucięła krótko Hester.

W większości domów przy Front Street na parterze nadal paliło się światło. Psy szczekały na podwórkach. Ale dzieciaki, które bawiły się latarkami, zostały już wezwane do domu. Z chodnika nadal biło ciepło. W upalne letnie noce w Gravesend fala gorąca uderzała najpierw w krocze. Hester wzięła mnie za rękę.

– Dopiero drugi raz widzę cię w sukience – zauważyłem.

– Wiem.

Noc była wyjątkowo ciemna, pochmurna. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Księżyc stanowił jedynie nieprzezroczysty opłatek we mgle.

– Pomyśl sobie tylko – zaczęła – że Owen musi się czuć znacznie gorzej niż ty.

– Wiem – odrzekłem, ale przy tym stwierdzeniu poczułem ostre ukłucie zazdrości. Zabolało mnie, że Hester przejmuje się również Owenem.

Zeszliśmy z Front Street na wysokości gospody Gravesend. Zawahałem się, zanim przeszedłem przez Pine Street, ale Hester najwyraźniej wiedziała, dokąd zmierza – jej ręka mnie prowadziła. Na parkingu szkoły stał samochód policyjny – ci z patrolu dawali baczenie, czy nie ma gdzieś chuliganów albo czy młodzież szkolna nie wykorzystuje parkingu oraz boiska do różnych niewłaściwych celów.

Słyszałem włączony silnik. Motor brzmiał zbyt głęboko i gardłowo jak na samochód policyjny, a gdy minęliśmy szkołę, hałas stał się

głośniejszy. To chyba niemożliwe, żeby cmentarz chodził na jakiś silnik, ale odgłos właśnie stamtąd dobiegał. Teraz wydaje mi się, że chciałem zobaczyć jej grób w nocy, wiedząc, że nie znosiła ciemności. Chyba chciałem się przekonać, czy w nocy dociera tam jakieś światło.

Latarnie uliczne z Linden Street oświetlały fragment cmentarza i wyraźnie ciężarówkę Spółki Granit Meanych, która zaparkowała z zapalonym silnikiem przed głównym wejściem. Hester i ja dostrzegliśmy pełną powagi twarz pana Meany'ego siedzącego za kierownicą, oświetloną rozżarzonym koniuszkiem papierosa, kiedy się mocno zaciągał. W szoferce siedział sam, ale wiedziałem, gdzie jest Owen.

Pan Meany nie zdziwił się zbytnio na mój widok, choć poczuł się trochę zażenowany obecnością Hester. Właściwie wszyscy w jej towarzystwie czuli się nieswojo. Przy dobrym świetle i z bliska wyglądała dokładnie na swój wiek – jak duża, wyjątkowo dobrze rozwinięta dwunastolatka. Ale z pewnej odległości, przy braku odpowiedniego oświetlenia, można było przypuszczać, że ma lat osiemnaście i że... mogą z nią być kłopoty.

– Owen miał jej jeszcze coś do powiedzenia – wyznał pan Meany. – Jest już tam od pewnego czasu. Wróci pewnie lada chwila.

Poczułem kolejną falę zazdrości na myśl o tym, że Owen ubiegł mnie w trosce o matkę w jej pierwszą noc na cmentarzu. W wilgotnym powietrzu z rury wydechowej diesla wydobywały się ciężkie, cuchnące spaliny, ale jestem pewien, że trudno byłoby przekonać pana Meany'ego, by wyłączył silnik. Zostawił go na jałowym biegu, prawdopodobnie dlatego, żeby skrócić modlitwy Owena.

– Chcę ci powiedzieć jedno – odezwał się. – Posłucham rady twojej matki. Kazała mi się nie wtrącać, jeśli Owen zechce pójść na Akademię. Nie będę więc mu w tym przeszkadzał. Obiecałem jej to – dodał po krótkiej chwili.

Dopiero wiele lat później zrozumiałem, że od chwili, kiedy Owen uderzył piłkę, pan Meany postanowił mu w niczym „nie przeszkadzać".

– Powiedziała mi też, żebym się nie martwił o pieniądze – rzekł. – Nie wiem tylko, jak to teraz z tym będzie.

– Owen dostanie pełne stypendium – odparłem.

– Nie znam się na tym – wyjaśnił. – Pewnie tak. O ile będzie chciał – dodał. – Matka mówiła też o ubraniach, o marynarkach i krawatach i tak dalej.

– Niech się pan tym nie przejmuje – rzekłem.

– Wcale się nie przejmuję! Obiecuję ci tylko, że nie zamierzam się wtrącać. O to mi jedynie chodzi!

Pan Meany spostrzegł, że patrzymy w kierunku dobiegającego z cmentarza światła.

– Wziął lampę ze sobą – wyjaśnił. – Nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie wrócił. Już i tak jest tam dosyć długo. – Przycisnął pedał gazu, tak jakby zwiększenie na moment obrotów mogło ponaglić Owena. – Ale może lepiej idźcie zobaczyć, co on tam robi – dodał po chwili.

Światło na cmentarzu było nikłe. Ostrożnie ruszyliśmy z Hester w jego kierunku; nie chcieliśmy podeptać kwiatów czy podrapać łydek o mniejsze groby. Im bardziej oddalaliśmy się od ciężarówki Meanych, tym cichszy i głębszy stawał się odgłos silnika, tak jakby to motor był w jądrze ziemi, który ją obraca i zmienia dzień w noc. Słyszeliśmy urywki modlitwy Owena. Chyba przywiózł ze sobą latarkę, żeby odczytać „Modlitewnik powszechny” – może czytał wszystkie modlitwy po kolei?

„Niech aniołowie zawiodą cię do raju” – dobiegł nas głos.

Zatrzymaliśmy się z Hester. Stanęła z tyłu i objęła mnie w pasie. Jej piersi opierały się na moich łopatkach, a ponieważ była ode mnie odrobinę wyższa, czułem na sobie dotyk jej szyi. Brodą naciskała mi głowę.

„Nasz wspólny ojcze, modlimy się do ciebie za tych, których kochamy, ale już nie widzimy na tej ziemi” – czytał Owen. Hester ścisnęła mnie i pocałowała w oboje uszu. Pan Meany nadepnął znowu na gaz, ale Owen najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Klęczał przed pierwszym rządkiem leżących kwiatów, u stóp świeżej mogiły – nagrobka matki. Przed sobą miał rozłożony modlitewnik, światło latarki migało między kolanami.

– Owen? – Nie dosłyszał mnie jednak. – Owen! – zawołałem głośniej. Podniósł głowę, ale nie spojrzał w moją stronę. To znaczy – podniósł głowę, usłyszał, że ktoś go woła po imieniu, ale nie rozpoznał mego głosu.

– Słyszę cię – krzyknął gniewnie. – Czego chcesz? Co tu robisz? Czego chcesz ode mnie?

– Owen, to ja. – Czułem, że stojąca z tyłu za mną Hester mocno wciągnęła powietrze. Nagle zacząłem się zastanawiać: z kim to on niby rozmawia?

– To ja i Hester – dodałem, ponieważ zdałem sobie sprawę, że postać dziewczyny jakby ze mnie wyrastała i mogła również zostać przez Owena niewłaściwie zinterpretowana. Owen nie przestał wypatrywać anioła, którego wystraszył z pokoju matki.

– Och, to ty! – W jego głosie brzmiało wyraźne rozczarowanie. – Cześć, Hester! Nie poznałem cię, wyglądasz tak dorośle w sukience, przepraszam.

– Nie ma sprawy – odrzekłem.

– Jak tam Dan?

Powiedziałem mu, że z Danem wszystko w porządku, ale że wrócił do domu sam. Ta wiadomość natychmiast otrzeźwiła Owena.

– A manekin nadal jest w jadalni? – spytał.

– Oczywiście.

– To niedobrze. Dan nie powinien zostawać sam na sam z tym manekinem. A jeśli będzie siedział i gapił się na niego? Albo zbudzi się w nocy i zobaczy manekin po drodze do lodówki? Powinniśmy go stamtąd zabrać, i to natychmiast!

Ułożył latarkę tak, że świecący krążek całkowicie przykryły kwiaty i światło padało na mogiłę. Następnie wstał i otrzepał kolana. Zamknął modlitewnik, sprawdził, czy grób jest odpowiednio oświetlony – najwyraźniej był zadowolony z efektu. Nie tylko ja wiedziałem, że matka nie znosi ciemności.

Nie zmieścilibyśmy się wszyscy do szoferki, więc Owen usiadł ze mną i Hester na pokrytej pyłem podłodze ciężarówki, a pan Meany zawiózł nas do mieszkania Dana. Starsi uczniowie byli jeszcze na nogach – mijaliśmy ich na schodach i w hallu. Niektórzy mieli już na sobie pidżamy i wszyscy co do jednego strzelali do Hester oczami.

Słyszałem jeszcze przed otwarciem drzwi, jak Dan miesza lód w szklance.

– Przyjechaliśmy zabrać manekin – oświadczył Owen, natychmiast przejmując dowództwo.

– Manekin? – spytał Dan.

– Chyba nie zamierzasz tak siedzieć i gapić się na niego? – Ruszył w kierunku jadalni, gdzie manekin mamy niczym strażnik czuwał nad maszyną do szycia. Kilka materiałów było rozrzuconych na stole. Nowy wykrój leżał przyciśnięty nożycami. Manekin nie był jednak ostatnio przebierany, miał na sobie znienawidzoną przez mamę czerwoną suknię. To Owen go ostatnio ubierał; tym razem, aby suknię jakoś uatrakcyjnić, spróbował przybrać ją ulubionym szerokim czarnym paskiem mamy.

Teraz zdjął pasek i położył na stole, tak jakby Dan mógł go jeszcze jakoś wykorzystać, i uniósł manekin za biodra. Kiedy stali tak obok siebie, Owen sięgał manekinowi do piersi, gdy podniósł manekin – piersi znalazły się nad jego głową, jakby wskazując drogę.

– Rób co chcesz, Dan. Ale nie wolno ci siedzieć tu i gapić się w ten manekin, cierpiąc jeszcze bardziej.

– Dobra – odrzekł Dan, nalewając sobie drugą whisky. – Dziękuję, Owenie – dodał, ale Owen już wychodził.

– Chodźcie! – zwrócił się do Hester i do mnie. Ruszyliśmy za nim.

Jechaliśmy Court Street oraz całą Pine Street. Nad głowami szumiały nam drzewa, a pył granitowy uderzał nas w twarz. Owen rąbnął w szoferkę.

– Szybciej! – zawołał do ojca i pan Meany dodał gazu.

– Mogłabym tak jeździć całą noc. Na przykład na plażę i z powrotem, jest przynajmniej chłodno – odezwała się Hester, kiedy pan Meany zaczynał zwalniać na Front Street.

Owen natychmiast ponownie walnął w szoferkę.

– Jedź na plażę! Jedź do głowy dzika i z powrotem!

Ruszyliśmy dalej.

– Gazu! – krzyknął Owen na pustej drodze do Rye.

Było to dobre osiem czy dziesięć mil szybkiej jazdy. Wkrótce pęd powietrza wywiał cały pył z platformy i rozgniatał nam jedynie od czasu do czasu na twarzach jakiegoś owada. Hester miała

rozwiane włosy. Wiatr był zbyt silny, byśmy mogli rozmawiać. Pot wysychał natychmiast, łzy też. Czerwona suknia powiewała na wietrze, to znów opinała manekin. Owen siedział oparty plecami o szoferkę. Manekin leżał na nim; wyglądało to, jakby obydwoje starali się, bez większego jednak powodzenia, lewitować.

Kiedy dotarliśmy na plażę, do Głowy Dzika, zdjęliśmy buty i ruszyliśmy po wodzie. Pan Meany cierpliwie czekał, silnik nadal pracował. Owen przez cały czas niósł manekin, starając się nie wchodzić zbyt głęboko w morze; czerwona suknia ani trochę się nie zamoczyła.

– Zatrzymam manekin u siebie. Nie powinien być u babci. Lepiej, żebyś ty też na niego nie patrzył – stwierdził.

– Ani ty! – zauważyła Hester, jednakże Owen zignorował jej uwagę, podnosząc wysoko nogi w wodzie.

Kiedy pan Meany podwiózł nas z powrotem na Front Street, światła na parterze domów były wygaszone, z wyjątkiem okien babci. Paliło się natomiast w kilku sypialniach, gdzie ludzie pewnie jeszcze czytali. Gdy było gorąco, pan Fish sypiał w hamaku na ażurowej werandzie, więc staraliśmy się jak najciszej pożegnać z Owenem i panem Meanym. Owen powiedział ojcu, żeby nie zawracał na naszym podjeździe. Ponieważ manekin nie mieścił się do szoferki, mój przyjaciel stał na platformie, obejmując go w pasie. Ciężarówka ruszyła do tyłu. Wolną ręką Owen trzymał się łańcucha – były to łańcuchy do umocowywania płyt chodnikowych albo nagrobków.

Jeśli pan Fish spał tej nocy w swoim hamaku i zbudził się, ujrzał pod latarniami Front Street niezapomniany widok. Ciemna, potężna ciężarówka jechała w mroku, a na niej stała kobieta w czerwonej sukni, o świetnej figurze – choć bez głowy i bez rąk – którą w pasie obejmowało dziecko przypięte do łańcuchów. A może to był karzeł?

– Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że on ma hopla – stwierdziła Hester zmęczonym głosem.

Popatrzyłem jednak za odjeżdżającym Owenem, pełen zadumy. Udało mu się dyrygować moją żałobą w dzień pogrzebu matki. I jak w wypadku łap pancernika – zabrał to, co chciał, to znaczy sobowtóra mamy – nieśmiały manekin krawiecki w nielubianej czerwonej sukni. Później pomyślałem sobie, że według Owena,

manekin to coś bardzo ważnego. Musiał przewidzieć, że nawet nielubiana suknia może się do czegoś przydać. Ale wtedy, tego wieczoru, byłem skłonny przyznać rację Hester. Wydawało mi się, że tę czerwoną suknię Owen uważa za jakiś talizman – amulet mający odganiać złe moce „anioła", którego, jak mu się wydawało, widział.

Toronto, 1 lutego 1987, czwarta niedziela po Trzech Królach. Teraz już wierzę w anioły. Nie twierdzę, że to coś daje. Na przykład, wiara ta nie przydała mi się do niczego podczas wyborów do komitetu parafialnego – nie zostałem nawet kandydatem. Tylekroć byłem już kościelnym, i to od tak wielu lat, że właściwie nie narzekam. Może parafianie pomyśleli, że dając mi roczny urlop, robią mi grzeczność. Faktycznie, gdybym miał kandydować na nadzorcę czy zastępcę nadzorcy, pewnie bym się nie zgodził. Przyznam szczerze, że jestem tym zmęczony. Zrobiłem już, co do mnie należało, dla kościoła Łaski na Wzgórzu. Niemniej jednak czułem się nieco zdziwiony, że nie zostałem mianowany kandydatem na ani jedno stanowisko. Z grzeczności, jeśli już nie przez uznanie dla moich zasług i poświęcenia, powinni mnie do czegoś wyznaczyć.

Nie wolno mi jednak dopuścić, aby ta przykrość – o ile jest to przykrość – mogła odciągnąć moje myśli od niedzielnego nabożeństwa. To by nie było w porządku. Pełniłem kiedyś funkcję nadzorcy u kanonika Campbella, i to wtedy, kiedy jeszcze kanonik Campbell był naszym rektorem. Muszę przyznać, że za jego życia czułem się lepiej traktowany. Ale od czasu, gdy rektorem jest kanonik Mackie, tylko raz zostałem zastępcą nadzorcy rektora. Jednego roku piastowałem także stanowisko przewodniczącego pomocników prowizora kościelnego. Byłem również przewodniczącym rady parafialnej. To już nie wina kanonika Mackie'ego, że nigdy nie zastąpi w mym sercu kanonika Campbella. Kanonik Mackie jest serdeczny, miły i nie przeszkadza mi jego gadulstwo. Chodzi o to, że kanonik Campbell był kimś szczególnym – tak jak szczególne były te pierwsze dni tutaj.

Nie powinienem rozwodzić się zbytnio na temat tak idiotycznej sprawy jak coroczny wybór władz parafii, zwłaszcza nie powinienem

pozwolić, żeby myśli te przeszkadzały mi w chóralnej Eucharystii i kazaniu. To dziecinada.

Rozpraszał mnie także kaznodzieja wizytujący naszą parafię. Kanonik Mackie bardzo lubi, kiedy kazania wygłaszają przyjezdni kapłani – co nam zresztą oszczędza gadatliwości kanonika – ale dzisiejszy gość, nie wiem zresztą skąd, musiał reprezentować coś w rodzaju zreformowanego anglikanizmu, a teza, jaką chciał udowodnić, brzmiała mniej więcej tak: wszystko, co z początku wydaje się odmienne, jest w rzeczywistości takie samo. Przed oczyma stanął mi od razu Owen Meany – co też by powiedział na coś takiego?

W tradycji protestanckiej zwracamy się zawsze do Biblii, jeśli szukamy odpowiedzi. Ale dzisiaj nawet Biblia mnie rozpraszała. Na czwartą niedzielę po Trzech Królach kanonik Mackie wybrał świętego Mateusza – owe niepokojące błogosławieństwa; przynajmniej zawsze niepokoiły Owena i mnie.

„Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie".

Po prostu tak trudno wyobrazić sobie, żeby ktoś „ubogi w duchu" mógł wiele osiągnąć.

„Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni".

Miałem jedenaście lat, kiedy zginęła moja matka. Nadal po niej płaczę. Płaczę zresztą nie tylko po niej. Jak dotychczas, nie „dostąpiłem pocieszenia".

„Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię".

– Nie ma na to żadnego dowodu – powiedział Owen do pani Walker w szkółce niedzielnej.

I tak dalej, i tak dalej.

„Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą".

– Ale co im pomoże to, że zobaczą Boga? – spytał panią Walker Meany.

A czy Owenowi pomogło to, że zobaczył Boga?

„Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie" – mówi Jezus.

Tak, to jest to, co mnie i Owenowi trudno było zrozumieć – nagroda w niebie.

– Dobro jako łapówka – mawiał Owen. Tego argumentu pani Walker jakoś nie mogła pojąć.

A potem, po błogosławieństwach i po kazaniu wygłoszonym przez kogoś mi nie znanego, spadło na mnie nicejskie wyznanie wiary. Kanonik Campbell miał zwyczaj wszystko wyjaśniać. Niepokoiła mnie część mówiąca o „wierze w jeden święty, katolicki i apostolski Kościół". Dzięki kanonikowi Campbellowi mogłem wyjść poza słowa, pomógł mi pojąć znaczenie słowa „katolicki" w rozumieniu „apostolski". Kanonik Mackie twierdzi, że za bardzo przejmuję się „słowami". To są tylko słowa.

A potem była ta część o „wszystkich narodach", a zwłaszcza o „naszej królowej". Nie czuję się już Amerykaninem, ale ciągle z trudem przychodzi mi ten fragment, który brzmi: „pobłogosław Twej służebnicy ELŻBIECIE, naszej królowej", by „prowadziła wszystkie narody w prawości" – toż to wierutne bzdury!

I przed przystąpieniem do komunii świętej uchyliłem się od spowiedzi powszechnej.

„Spowiadam się ze wszystkich swych grzechów oraz słabości". Niekiedy słowa te ledwo przechodzą mi przez gardło. Kanonik Campbell wykazał pełne zrozumienie, gdy mu się przyznałem, że taka spowiedź jest dla mnie trudna, jednakże kanonik Mackie stosuje w moim wypadku swoją tezę „zwykłych słów", aż do momentu, kiedy już mu nie mogę wybaczyć. I gdy kanonik Mackie prowadził Eucharystię poprzez Dziękczynienie i Konsekrację, które odśpiewał, byłem dla niego niesprawiedliwy nawet w ocenie głosu. W śpiewie nigdy nie dorówna Campbellowi – Panie, świeć nad jego duszą!

W czasie całego tego nabożeństwa tylko psalm wydał mi się autentyczny, i na dodatek poczułem się ogromnie zawstydzony. Był to psalm 37, a chór śpiewał go jakby specjalnie dla mnie.

Nie wpadaj w gniew z powodu złoczyńców,
nie zazdrość tym, co czynią nieprawość[5].

Tak, to prawda. Nie powinienem „wpadać w gniew". Czy zazdrość może komukolwiek przynieść coś dobrego? I ja także „czyniłem

nieprawość”, jak zresztą za chwilę sami zobaczycie.

2 Banshee (irl.-szkoc.) – zjawa zwiastująca śmierć (przyp. tłum.).

3 Mirakl – gatunek średniowiecznego dramatu z życia Marii Panny, świętych i męczenników, wysuwający na plan pierwszy cudowne wydarzenia (przyp. tłum.).

4 *Touch football* – nieformalna odmiana futbolu amerykańskiego (przyp. tłum.).

5 Przekład Czesława Miłosza.

DZIECIĄTKO JEZUS

Pierwszego Bożego Narodzenia po śmierci matki nie spędziłem w Sawyer Depot. Babcia powiedziała ciotce Marcie i wujowi Alfredowi, że może nieobecność mamy okaże się mniej bolesna, gdy rodzina nie zbierze się w całości. Uważała, że jeśli ja z nią i z Danem zostaniemy w Gravesend, a Eastmanowie w Sawyer Depot, to będziemy za sobą tęsknić, ale braku mamy nie odczujemy tak dotkliwie. Od owej Gwiazdki w 1953 roku pojąłem, że okres świąteczny może być piekłem dla rodzin, w których nagle kogoś zabrakło albo które zdają sobie sprawę ze swej niedoskonałości – duch dawania może być równie zachłanny, jak duch brania. W czasie Bożego Narodzenia szczególnie wyraźnie uświadamiamy sobie nasze braki bądź czyjąś nieobecność w domu.

Dzieliłem swój czas między Front Street i opuszczony internat, gdzie Dan miał mieszkanko, i wtedy po raz pierwszy było mi dane posmakować, jakie wrażenie robi na Boże Narodzenie Akademia Gravesend, kiedy wszyscy lokatorzy rozjechali się do domów. Ponura ceglana budowla, oszroniony bluszcz, sypialnie i sale z zamkniętymi oknami budziły skojarzenia z domem poprawczym, a cały teren przypominał więzienie podczas strajku głodowego. Nagie brzozy koloru kości, odcinające się czarno i biało na tle śniegu, rosnące wzdłuż prostopadłych ścieżek, po których nikt teraz nie biegał, wyglądały niczym rysunek węglem albo też szkielety studentów.

Nie rozlegał się odgłos dzwonu z kaplicy ani dzwonka na lekcje. A zatem nieobecność matki podkreślał dodatkowo brak charakterystycznych dla Gravesend dźwięków, odgłosów Akademii, które uważałem za naturalne, aż do momentu, gdy ich nagle zabrakło. Tylko zegar na wieży kościoła Hurda uroczyście wybijał godziny. W czasie przeraźliwie zimnych dni grudniowych, na tle

zaśnieżonego pejzażu, roztapiającego się i na powrót przymarzającego do ponurych srebrnosinych blach cynkowych, zegar na wieży kościoła Hurda odmierzał czas jak dzwon pogrzebowy.

Nie był to radosny okres, mimo że kochany Dan starał się, jak mógł. Niestety, pił za dużo i wypełniał pusty, pełen ech internat piskliwym kolędowaniem. Jego wersja kolęd daleko odbiegała od sposobu, w jaki śpiewała je mama. A kiedy do Dana dołączał Owen, zwłaszcza przy zwrotce: „Niech Bóg ułoży Cię do snu" czy, co gorsza: „Zdarzyło się to o północy" – przypominająca studnię stara kamienna klatka schodowa odbijała pienia, które wcale nie brzmiały świątecznie, lecz wręcz żałobnie. Dołączały do nich głosy duchów tych wszystkich chłopców z Gravesend, którzy nie mogli pojechać do domu na Gwiazdkę i śpiewali dla swych odległych rodzin.

Bursy Gravesend nosiły imiona zmarłych dawno temu dyrektorów Akademii i profesorów: Abbota, Amena, Bancrofta, Dunbara, Gilmana, Gorhama, Hoopera, Lamberta, Perkinsa, Portera, Quincy'ego, Scotta. Dan Needham mieszkał w Waterhouse Hall, zawdzięczającym swe imię jakiemuś nieżyjącemu zrzędzie, nauczycielowi łaciny Amosowi Waterhouse, który z pewnością śpiewał kolędy po łacinie nie lepiej, niż myląc się robili to ci ponuracy, Dan i Owen Meany.

Z powodu śmierci matki babcia postanowiła nie brać udziału w świątecznej dekoracji domu. Wieńce przybito do drzwi zbyt nisko, a dolna część choinki była bardziej niż zwykle obwieszona błyskotkami i ozdobami; Lydia pomagała dość intensywnie, ale tylko do wysokości, na jaką pozwalał wózek inwalidzki.

Wszystkim nam byłoby lepiej w Sawyer Depot – oświadczył Dan Needham trochę podchmielony.

– Ja chyba nigdy nie będę miał okazji tam pojechać – westchnął posępnie Owen.

Urządziliśmy sobie obchód po wszystkich pokojach chłopców, którzy wyjechali na święta. Dan miał zapasowe klucze. Prawie każdego popołudnia prowadził próby tegorocznej wersji „Opowieści wigilijnej" z Trupą Gravesend. Dla wielu aktorów była to już czysta rutyna, ale Dan wpadł na pomysł, by z roku na rok zmieniać im role, co bardzo odświeżało przedstawienie. Zatem w tym roku pan Fish,

który był kiedyś duchem Marleya, a kiedy indziej duchem Wigilijnej Przeszłości, w tym roku miał grać samego Scrooge'a. Po wielu latach korzystania z usług rozkosznych dzieciaczków, które kładły występ, Dan zaczął błagać Owena, żeby został Maleńkim Timem, ale Owen twierdził, że wszyscy się będą z niego śmiali – jeśli nie na sam widok, to już na pewno, gdy się odezwie, a poza tym matkę Maleńkiego Tima miała grać pani Walker. A to by go z pewnością przyprawiło o dreszcze.

Już wystarczy, że Owen co roku wygłupiał się, grając tę samą rolę w żywych obrazach, które wystawiał na Boże Narodzenie kościół pod wezwaniem Chrystusa.

– Niech no tylko Wigginowie spróbują mnie znowu obsadzić w roli tego idiotycznego anioła – odgrażał się ponuro.

Miały to być pierwsze jasełka, w których uczestniczyłem, ponieważ zwykle wyjeżdżałem do Sawyer Depot na ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem. Ale Owen miał już dosyć roli Anioła. Narzucał mu ją kapitan Wiggin i jego stewardesa Barbara, która twierdziła, że nikt „równie zabawnie" jej nie odgrywa. Owen pojawiał się w „snopie światła" (zawieszony na czymś w rodzaju żurawia, do którego był przymocowany drutami jak marionetka). Miał obwieszczać cudowną obecność istoty leżącej w betlejemskim żłobku, przez cały czas machając ramionami (żeby zwrócić uwagę na gigantyczne skrzydła przymocowane do anielskiej szaty i tym samym uciszyć chichoty wiernych).

Co roku ponura grupa pasterzy gromadziła się przy balustradzie komunijnej, okazując strach przed Bożym wysłańcem. Stanowili pstrokaty tłum. Pasterze przydeptywali sobie szaty, zrzucali nawzajem turbany i sztuczne brody, wymachując laskami i kijami pasterskimi. Barb Wiggin miała kłopoty z umiejscowieniem ich w „snopie światła", starając się jednocześnie oświetlić zwiastującego dobrą nowinę anioła – Owena Meany'ego.

Rektor w tym momencie czytał fragment z Łukasza: *W tej samej okolicy przebywali w polu pasterze i trzymali straż nocną nad swoją trzodą. Naraz stanął przy nich anioł Pański i chwała Pańska zewsząd ich oświeciła, tak że bardzo się przestraszyli.* Teraz urywał, żeby tym efektowniej wypadli pasterze drżący na widok Owena, który starał

się dotknąć stopami ziemi. Barb Wiggin zajmowała się obsługą skrzypiącego aparatu utrzymującego chłopca w powietrzu, spuszczając go w niebezpiecznej odległości od zapalonych świec symbolizujących ogniska, wokół których pasterze czuwali, strzegąc swoich trzód.

– Nie bójcie się! – oznajmiał Owen, ciągle jeszcze przebierając nogami w powietrzu. – Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znak dla was: znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i leżące w żłobie. – Po czym oślepiająca, niezbyt trwała „smuga światła" rozjarzała się jak błyskawica albo jakby w kościele Chrystusowym nastąpiła krótka awaria prądu – i Owen unosił się w ciemność – niekiedy dość gwałtownie. A raz nawet tak szybko, że jedno ze skrzydeł odpadło, lecąc wprost na głowy skonsternowanych pasterzy.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że przez resztę przedstawienia mój przyjaciel musiał wisieć w powietrzu, gdyż nie sposób go było opuścić, tak by nikt nie zauważył... Jeśli miał skrywać się w ciemności, nie pozostawało mu nic innego, jak wisieć na drutach – nad Dzieciątkiem leżącym w żłobie, nad osłami, co idiotycznie kiwały głowami, i królami stąpającymi niepewnie pod ciężarem koron.

Ponadto, twierdził Owen, niezależnie od tego, kto gra Józefa, zawsze uśmiecha się kretyńsko, tak jakby Józef rzeczywiście miał się z czego śmiać.

– Przecież Józef w tym wszystkim nic nie znaczy – złościł się Owen. – Przypuszczam, że powinien stać gdzieś w pobliżu żłobu, ale przecież nie musi się uśmiechać!

A Maryję obowiązkowo grała najładniejsza dziewczyna.

– Czy uroda ma z tym coś wspólnego? Kto mówi, że Maryja była ładna?

Wigginowie realizowali w tych przedstawieniach własne pomysły – doprowadzili na przykład do tego, że Owen został zredukowany do ledwo widocznego dymku, a mniejsze dzieci odgrywały gołąbki. Kostiumy wyglądały do tego stopnia idiotycznie, że nikt i tak nie wiedział, za co dzieciaki są przebrane. Przypominały raczej jakieś anioły z powieści science fiction, spektakularne formy życia z innej

galaktyki, tak jakby Wigginowie zakładali, że w Bożym Narodzeniu uczestniczyły stwory z odległych planet (albo że powinny uczestniczyć).

– Nikt nie wie, co robią tu te idiotyczne gołąbki – narzekał Owen.

Do prawdziwego szału zaś doprowadzało go samo Dzieciątko Jezus. Wigginowie twierdzili, że Dzieciątko nie może uronić ani jednej łzy, więc jak maniacy gromadzili za kulisami kilkanaścioro dzieci. Dowolnie je potem zamieniali; kiedy tylko Dzieciątko mało świątobliwie jęknęło czy zagruchało, znikało ze sceny i natychmiast na jego miejsce pojawiało się inne – ciche albo jakieś troszkę śnięte. Aby dostarczać kolejne, co bardziej nieme niemowlę do żłobka – i to natychmiast – długi szereg złowieszczo wyglądających postaci ginął w ciemnościach za amboną, pod krzyżem, za szkarłatnofioletową zasłoną. Potężnej postury dorośli o pewnych dłoniach zręcznie podający sobie dzieci albo przynajmniej tacy, którzy nie upuszczą niechcący szybko przekazywanego Dzieciątka Jezus, jakoś nie za bardzo pasowali do tego żywego obrazu. Czy to królowie albo pasterze? A jeśli tak, to dlaczego są o tyle więksi od innych królów i pasterzy, pomijając już to, że i tak są wyżsi od normalnych ludzi? Stroje mieli wprawdzie takie jak dzieci, chociaż niektóre brody były naturalne. W zdecydowanie mniejszym stopniu cieszyli się atmosferą Bożego Narodzenia, skoncentrowani na swoim zadaniu – przypominali strażaków podających sobie z rąk do rąk kubeł wody.

Za kulisami wojnę nerwów toczyły matki. Rywalizacja o to, które niemowlę najlepiej się zachowuje, była zacięta. Co roku dzięki jasełkom Wigginów oprócz Dzieciątka Jezus rodził się jeszcze potwór – kółko scenicznych matek. Mówiłem Owenowi, że może lepiej będzie, jeśli się znajdzie „ponad" tym wszystkim, ale jego zdaniem, to ja oraz inni uczniowie szkółki niedzielnej byliśmy, przynajmniej częściowo, winni tego poniżającego wyniesienia. Bo przecież to my pierwsi unieśliśmy Owena w górę. Mój przyjaciel podejrzewał panią Walker o poddanie Barb Wiggin tego pomysłu z unoszącym się w powietrzu aniołem.

Nic dziwnego, że Owena nie zachwyciła sugestia Dana, by wystąpił w roli Maleńkiego Tima.

– Kiedy mówię „Nie bójcie się, oto zwiastuję wam dobrą nowinę”, wszystkie dzieci płaczą, a pozostali się śmieją. A jak myślisz, co zrobią, gdy powiem „Niech Bóg błogosławi nas wszystkich”?

Naturalnie, chodziło mu o głos. Mógłby mówić „Oto nadchodzi koniec świata”, a ludzie i tak pękaliby ze śmiechu. Owen cierpiał prawdziwe katusze, bo nie miał w sobie ani krzty humoru, bo był wyłącznie poważny, wywołując jednocześnie swoją obecnością efekty komiczne.

Nic więc dziwnego, że pod koniec listopada zaczynał się martwić o Boże Narodzenie, gdyż w biuletynie parafialnym już w ostatnią niedzielę po Zielonych Świątkach można było przeczytać informację „o zasadach uczestnictwa w żywych obrazach”. Pierwsza próba miała się odbyć po dorocznym zebraniu parafian i wyborach do komitetu parafialnego dosłownie na początku ferii.

„Kim chciałbyś być? – zapytywano w biuletynie. – Potrzebujemy królów, aniołów, pasterzy, osłów, gołębic, Marii, Józefa, niemowląt i wielu, wielu innych postaci!”.

– Boże, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią! – mówił wtedy Owen.

Babcię nasze zabawy w domu przy Front Street doprowadzały do irytacji, nic więc dziwnego, że chętnie szukaliśmy samotności w Waterhouse Hall. Dana popołudniami nie było w bursie, zostawaliśmy zatem zupełnie sami. Cztery piętra sypialni chłopców, wspólne natryski, pisuary i sracze na każdym poziomie, na końcu zaś korytarza jeszcze mieszkanie dla wykładowcy. Dan mieszkał na drugim piętrze. Lokator z pierwszego wyjechał do domu na Boże Narodzenie. Pan Peabody, świeżo upieczony nauczyciel matematyki, sam zresztą dzięki młodzieńczemu wyglądowi nie różniący się specjalnie od swoich podopiecznych, był jeszcze kawalerem, który najprawdopodobniej nie ożeni się w najbliższej przyszłości. Mama nazywała go „Nelly Nerwus”. Miał wrażliwą, nieśmiałą naturę i chłopcy z piętra bez problemu potrafili owinąć go sobie wokół palca. W te noce, kiedy pełnił dyżur w całym internacie, to znaczy pilnował wszystkich pięter, w Waterhouse nieodmiennie wybuchała rewolucja. To w czasie nocnego dyżuru pana Peabody chłopiec

z pierwszego roku zwisał zawieszony za pięty z ziejącego zsypu pralni na trzecim piętrze. Jego stłumione wrzaski odbijały się echem po całym budynku. Peabody, otwierając drzwi pralni na pierwszym piętrze, przeżył szok, gdy spojrzał w górę i zobaczył wpatrującą się w niego twarz chłopaka zwisającego dwa piętra wyżej.

Peabody zareagował w sposób, jakiego nie powstydziłaby się pani Walker.

– Vanie Arsdale – krzyknął w górę. – Wyłaź z pralni! Weź się w garść! Postaw nogi na ziemię!

Nawet mu do głowy nie przyszło, że biednego Vana Arsdale trzymają mocno za kostki dwaj brutalni gracze liniowi z drużyny futbolowej Gravesend. Dzień w dzień wyżywali się na Vanie.

A zatem pan Peabody wyjechał odwiedzić rodziców, więc pierwsze piętro zostało bez opieki. Na Boże Narodzenie wyjechał również fanatyk wychowania fizycznego zajmujący mieszkanie na trzecim piętrze, pan Tubulari, trener lekkiej atletyki. Także kawaler. Obstawał przy tym, żeby mieszkać na trzecim piętrze – jak twierdził – dla zdrowia. Podobno uwielbiał biegać po schodach. Często odwiedzały go kobiety. Gdy miały na sobie sukienki bądź spódnice, chłopcy z rozkoszą podglądali z niższych pięter, jak wspinają się czy schodzą po schodach. W te wieczory, kiedy w Waterhouse Hall wypadał jego dyżur, chłopcy zachowywali się bardzo grzecznie. Tubulari był szybki – działał cicho, sprawnie i uwielbiał łapać uczniów „na gorącym uczynku", cokolwiek by robili. Na przykład, na obrzucaniu się kremami do golenia, paleniu w pokoju, a nawet na masturbacji. Na każdym piętrze znajdowało się specjalne pomieszczenie dla palaczy, tak zwana peciarnia. Palenie w sypialniach było jednak zabronione. Podobnie zresztą jak seks w jakiejkolwiek formie, alkohol, a także lekarstwa nie przepisane przez szkolnego lekarza. Pan Tubulari miał nawet zastrzeżenia co do aspiryny. Według Dana, Tubulari wyjechał na jakieś wyczerpujące zawody z okazji Bożego Narodzenia, a konkretnie pięciobój najtrudniejszych sportów zimowych. Tubulari nazywał to „zimobój". Dan Needham nie znosił neologizmów i bez ogródek wyrażał się o zawodach, w jakich Tubulari uczestniczył. Ten fanatyk wyjechał na Alaskę albo może do Minnesoty.

Dan zabawiał mnie i Owena, opisując „pięciobój” Tubulariego, czyli „zimobój”.

Wszystko zaczyna się od czegoś niezwykle zdrowego, jak na przykład rozłupywanie sągów drzewa – odejmują ci punkty, jeśli złamiesz siekierę. Potem trzeba przebiec dziesięć mil w głębokim śniegu albo trzydzieści, jeśli jest po kostki. Następnie musisz wyrąbać siekierą otwór w zamarzniętym jeziorze i nie wypuszczając jej z rąk, przepłynąć milę, siekierą torując sobie cały czas drogę. Dalej musisz zbudować igloo, żeby się ogrzać, po czym następują wyścigi psich zaprzęgów. Trzeba wędrować z psami po śniegu od Anchorage do Chicago. I wreszcie, dla odpoczynku, należy zbudować drugie igloo.

– To już szósta czynność, a pięciobój oznacza pięć – zauważył Owen.

– No dobra, to zapomnij o drugim igloo – odrzekł Dan.

– Ciekaw jestem, co pan Tubulari pije w sylwestra.

– Sok z marchwi – odparł Dan, nalewając sobie kolejną whisky. – Pan Tubulari oczywiście sam go wyciska.

Tak czy siak, Tubulari wyjechał. Dan wychodził popołudniami i wtedy z Owenem mieliśmy trzy górne piętra Waterhouse Hall do własnej dyspozycji. Na parterze zostało tylko małżeństwo Brinker-Smithów, ale z nimi nie musieliśmy mieć nic wspólnego, o ile zachowywaliśmy się cicho. Było to młode małżeństwo z Anglii, któremu niedawno urodziły się bliźniaki. Problem, jak przeżyć, mając na głowie bliźnięta, pochłonął ich z kretesem. Pan Brinker-Smith, biolog z wykształcenia, uważał się również za wynalazcę. Wynalazł podwójne wysokie krzesło, podwójny wózek, podwójną huśtawkę. Huśtawka była umocowana we framudze drzwi, gdzie bliźniaki zwisały jak małpy na lianie, dostatecznie blisko siebie, by się ciągnąć za włosy. Na krzesełku rzucały w siebie jedzeniem, więc tata wymyślił ściankę działową, na tyle wysoką, żeby nie mogły nad nią przerzucać pokarmu. Dzieciaki zatem stukały w ściankę, upewniając się, że to drugie faktycznie jest po przeciwnej stronie, a następnie jakby malując, palcami rozmazywały na niej jedzenie; wymyślały tym samym przedjęzykowy system komunikacji między rodzeństwem. Pana Brinker-Smitha fascynowały niepowodzenia, jakimi – dzięki

bliźniakom – okazywały się jego kolejne wynalazki. Był prawdziwym naukowcem – w równym stopniu interesowały go eksperymenty nieudane, jak i udane, nic więc nie było w stanie zachwiać determinacji, z jaką parł ku kolejnym udoskonaleniom.

Za to pani Brinker-Smith uchodziła za osobę nieco tym wszystkim znużoną. Była kobietą zbyt przystojną, by wyglądać na męczennicę. Miała jednak ręce pełne roboty z bliźniakami oraz ulepszającymi życie wynalazkami pana Brinker-Smitha, przez co sprawiała wrażenie niezwykle roztargnionej, tak że często wraz z Danem i Owenem podejrzewaliśmy, iż jest lunatyczką. Dosłownie nas nie zauważała. Na imię miała Ginger, co pozostawało w jakimś związku z jej powabnymi piegami i truskawkowoblond włosami. Stanowiła przedmiot pożądliwych fantazji wszystkich chłopców z Gravesend, zarówno w okresie poprzedzającym moją edukację na Akademii, jak i później. Biorąc pod uwagę pełne pożądliwości myśli, jakim oddają się chłopcy z Gravesend, przypuszczam, że Ginger Brinker-Smith była obiektem lubieżnych westchnień nawet wtedy, kiedy chodziła w ciąży z bliźniakami. Ale w czasie Bożego Narodzenia 1953 roku mnie i Owena kształty pani Brinker-Smith niespecjalnie kusiły. Odnosiliśmy wrażenie, że chodzi we śnie i chyba sypia w ubraniu. Jej osławioną zmysłowość, która na długo jeszcze utrwaliła mi się w pamięci, tak jak zresztą wszystkim chłopcom z Gravesend, zakrywała ogromna luźna bluzka, ponieważ taki właśnie strój z pewnością umożliwiał łatwe rozpięcie stanika do karmienia. Wychowana w europejskiej tradycji, umocnionej jeszcze podróżowaniem po New Hampshire, była najwyraźniej gotowa karmić bliźniaki, aż osiągną wiek szkolny.

Rodzina Brinker-Smithów szeroko propagowała karmienie piersią, czego pan Brinker-Smith nie omieszkał zademonstrować przy pomocy żony podczas swych lekcji biologii. Był nauczycielem lubianym, stosującym bardzo liberalne metody, mimo że niezbyt przychylnie ocenianym przez co bardziej konserwatywnych wykładowców Gravesend. Korzystał z każdej możliwej okazji, by do klasy wprowadzać prawdziwe „życie”, jak mawiał. Obejmowało to również odkrywczy pokaz w wykonaniu Ginger Brinker-Smith karmiącej piersią bliźniaki. Niestety, eksperyment ten został

zmarnowany na studentów biologii, a ponadto odbył się, zanim my z Owenem trafiliśmy na Akademię.

W każdym razie Owen i ja, dokonując przeglądu sypialni na parterze Waterhouse Hall, nie obawialiśmy się żadnych tarć z rodziną Brinker-Smithów. Szczerze mówiąc, byliśmy nawet rozczarowani, że tak mało się z nimi widujemy, bo mieliśmy nadzieję choć przez ułamek sekundy podpatrzyć, jak Ginger karmi. Nawet czasami specjalnie przesiadywaliśmy na korytarzu na parterze, w głębi duszy licząc na to, iż pan Brinker-Smith otworzy nagle drzwi, zobaczy, że sobie ot, tak siedzimy, pozornie nie mając nic lepszego do roboty, i że wtedy zaprosi nas, żebyśmy mogli popatrzeć, jak jego żona karmi bliźniaki. Niestety, nie zrobił tego.

Pewnego mroźnego dnia Owen i ja towarzyszyliśmy pani Brinker-Smith w drodze na targ. Na zmianę pchaliśmy podwójny wózek z zakutanymi bliźniakami, a nawet pomogliśmy wnieść zakupy do mieszkania. Była to wyprawa, która dawałaby się zakwalifikować jako piąta dyscyplina sportowa w pięcioboju pana Tubulari. Ale czy myślicie, że pani Brinker-Smith wyciągnęła na wierzch biust i zechciała dla nas nakarmić dzieciaki? Wcale nie.

Zatem Owenowi i mnie nie pozostało nic lepszego do roboty niż sprawdzanie, co też chłopcy ze szkoły przygotowawczej trzymają u siebie w pokojach. Braliśmy klucz Dana, który wisiał na haczyku przy otwieraczu do konserw, i zaczynaliśmy od trzeciego piętra. Mój przyjaciel uwielbiał takie detektywistyczne poszukiwania. Wchodził do pokoju, tak jakby jego lokator wcale nie wyjechał na święta, lecz chował się pod łóżkiem czy w szafie, i to z siekierą. I nic nie dało ponaglanie Owena, nawet w najmniej ciekawym pomieszczeniu. Zaglądał do każdej szuflady, sprawdzał każdą sztukę ubrania, zasiadał przy każdym biurku i kładł się na każdym łóżku – we wszystkich pokojach była to ostatnia czynność. Kładł się na łóżku, zamykał oczy i wstrzymywał oddech. Dopiero gdy zaczynał na powrót oddychać normalnie, wygłaszał swoją opinię o właścicielu pokoju. Czy jest szczęśliwy czy nie, czy niepokoją go jakieś zdarzenia w dalekim domu bądź z przeszłości. Owen nigdy nie ukrywał, jeśli w jakimś przypadku lokator pokoju stanowił dla niego zagadkę.

– Ten to naprawdę jakiś tajemniczy typ – mówił wtedy. – Dwanaście par skarpetek, żadnej bielizny, dziesięć koszul, dwie pary spodni, jedna sportowa marynarka, jeden krawat, dwie rakiety do lacrossa, ani jednej piłki, żadnych zdjęć dziewcząt, żadnych zdjęć rodziny i żadnych butów.

– Buty ma pewnie na sobie – podpowiadałem.

– Tylko jedną parę!

– Może tuż przed wakacjami wysłał większość ubrań do pralni – podsuwałem.

– Do pralni nie posyła się butów ani rodzinnych fotografii. To naprawdę tajemniczy typ.

Nauczyliśmy się, gdzie szukać pism pornograficznych czy sprośnych obrazków. Przeważnie pod materacem na sprężynach łóżka. Na widok niektórych Owen dostawał dreszczy. W tamtych czasach takie zdjęcia były denerwująco niewyraźne albo rozczarowująco poprawne. Do tej drugiej kategorii zaliczały się kalendarze z modelkami w kostiumach kąpielowych. Troszkę śmielsze fotografie przypominały zdjęcia wykonane przez dzieci z jadącego samochodu. Kobiety nie pozowały – wyglądały na zatrzymane w ruchu, jakby aparat uchwycił je w momencie, kiedy robiły coś nieprzyzwoitego. Na przykład, kobieta nachylała się nad mężczyzną w bliżej nie określonym celu, tak jakby miała zamiar dokonać gwałtu na całkowicie bezsilnym trupie. Seks kobiecy przeważnie skrywały włosy łonowe – często znacznie gęstsze, niż się nam to z Owenem wydawało prawdopodobne. Sutki zasłaniały czarne wycięcia cenzora. Z początku myśleliśmy, że te wycięcia to jakieś narzędzia tortur. Sprawiały wrażenie znacznie groźniejszych niż sama nagość. Nagość zresztą też była dość groźna, ponieważ kobiety nie grzeszyły urodą. Albo też ich zatroskane poważne twarze wyrażały dość krytyczną ocenę skąpego stroju.

Wiele obrazków i pism uległo częściowo zniszczeniu pod ciężarem chłopców, którzy wciskali je w zardzewiałe sprężyny. Na ciałach kobiet nierzadko pozostawał spiralny tatuaż, tak jakby stare sprężyny wycisnęły w ten sposób zbrukaną wersję opadającej w dół sprężyny pożądania.

Naturalnie obecność pornograficznych wydawnictw wpływała ujemnie na opinię Owena na temat lokatora danej sypialni.

– Nie jest szczęśliwy – mówił w końcu, wypuściwszy powietrze po dłuższej chwili leżenia z zamkniętymi oczami. – Co za człowiek dorysowuje wąsy własnej mamie i rzuca strzałkami w portret ojca? Kto się kładzie spać, myśląc o robieniu tych rzeczy z owczarkiem alzackim? A co takiego robi w szafie psia smycz? A w szufladzie obroża przeciw pchłom? Przecież nie wolno trzymać zwierząt w sypialni, prawda?

– Może jego pies zginął w lecie – podsuwałem. – Zatrzymał sobie smycz i obrożę.

– Jasne. I to pewnie ojciec go przejechał. A matka robiła te rzeczy właśnie z psem.

– To tylko przedmioty – stwierdzałem. – Co tak naprawdę możesz powiedzieć o facecie, który tu mieszka?

– Że jest nieszczęśliwy – odrzekł Owen.

Przeszukanie sypialni tylko na trzecim piętrze zajęło nam całe popołudnie. Owen stosował systematyczne metody badań; pieczołowicie odkładał wszystko z powrotem na miejsce, jakby ci chłopcy z Gravesend byli choć odrobinę do niego podobni. Tak jakby przyświecał im podobny cel co Owenowi, który ze swego pokoju robił maleńkie muzeum. Zachowywał się niczym święty poszukujący starożytnej katedry – zamierzając wygłosić odwieczne i święte proroctwa.

Bardzo niewielu chłopców było według niego szczęśliwych. Jego zdaniem – tylko ci, których toaletki otaczały zdjęcia rodzinne oraz fotografie prawdziwych dziewczyn (takich, co to mogłyby być ich siostrami). Właściciel kalendarza z kostiumami kąpielowymi ewentualnie mógł być szczęśliwy, albo prawie, ale chłopcy z wyciętymi obrazkami reklamującymi bieliznę czy okrojone modelki z katalogu Sears byli co najmniej w znacznej mierze nieszczęśliwi. A już dla posiadaczy zdjęć całkowicie nagich kobiet nie miał Owen słów litości. Im kobieta miała gęstsze włosy na podbrzuszu, tym nieszczęśliwszy, zdaniem Owena, był chłopak. Im mocniej piersi kobiety znaczyły czarne paski cenzora, tym bardziej nieszczęśliwy był lokator sypialni.

– Jak można być szczęśliwym, jeśli przez cały czas myśli się o tych rzeczach? – pytał Owen.

Ja wolałem zawsze sobie wyobrażać, że pokoje, które przeszukiwaliśmy, są czymś bardziej przypadkowym i mniej mówią o właścicielu, niż się wydawało Owenowi. W końcu miały to być cele klasztorne przebywających tu tylko chwilowo uczniów. Stanowiły coś pośredniego między gniazdem rodzinnym a pokojem hotelowym. Nie były naturalną „siedzibą". Cechował je przypadkowy bałagan i deprymujące podobieństwo. Powtarzały się nawet zdjęcia championów sportowych i gwiazd filmowych. U wszystkich też kolejnych lokatorów dawało się dostrzec tę samą tęsknotę za domem rodzinnym – fotografia samochodu z chłopcem dumnie siedzącym za kierownicą (uczniom z Gravesend nie wolno było prowadzić ani nawet jeździć samochodem), zdjęcie doskonale nijakiego podwórka, a nawet niezmiernie intymne ujęcie bliżej nie określonej postaci odwracającej się od aparatu, plecami do nas, której prawdziwy wygląd zamknięty został w pamięci autora zdjęcia. Wrażenie, jakie te cele wywoływały, okropna tęsknota za domem, identyczna u każdego z tych chłopców, zagubienie spowodowane oddaleniem od tego domu – właśnie to Owen miał na myśli, kiedy mówił mojej matce, że internat jest źródłem ZŁA.

Od śmierci mamy Owen twierdził, że przemożna siła, jaką był jej upór, by poszedł na Akademię, przestała istnieć. Dzięki tym pokojom potrafiliśmy sobie wyobrazić, jacy moglibyśmy być – nawet nie sprowadzając się tutaj (bo ja nadal mieszkałbym z Danem i babcią, a Owen w domu). Mimo to mielibyśmy takie same sekrety, taki sam bałagan w uczuciach, nad którymi z trudem panowaliśmy, a nawet takie same żądze, jak ci biedni mieszkańcy Waterhouse Hall. W tych pokojach szukaliśmy odpowiedzi na to, jak będzie wyglądać nasze życie w niedalekiej przyszłości, Owen postąpił więc niezwykle mądrze, poświęcając tej sprawie tyle czasu.

To na drugim piętrze Owen odkrył „środki profilaktyczne". Wszyscy mówili na coś takiego „gumy", ale w Gravesend nazywano je „żucze skórki". Nie znam źródła tego określenia. Technicznie biorąc, „żucza skórka" to używana prezerwatywa – a konkretniej taka, jaką znajduje się na parkingu czy w pisuarze kina, do którego wjeżdża się

samochodem. Wydaje mi się, że prawdziwe „żucze skórki” to właśnie stare, mocno zużyte prezerwatywy, na które nagle natrafiasz w miejscach publicznych.

Owen odkrył pół tuzina czy nawet więcej prezerwatyw zapakowanych w folię, niezbyt zręcznie ukrytych w szufladzie ze skarpetami, w pokoju na drugim piętrze należącym do studenta starszego roku Pottera, podopiecznego Dana.

– Żucze skórki! – wrzasnął, upuszczając je na podłogę. Cofnęliśmy się. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy „gumek” w opakowaniu firmowym.

– Jesteś pewien? – dopytywałem się.

– To świeże skórki – odrzekł. – Katolicy nie pozwalają ich używać. Katolicy sprzeciwiają się kontroli urodzin – dodał.

– Dlaczego?

– Nieważne. I tak już nie mam z nimi nic wspólnego.

– W porządku.

Zastanawialiśmy się, czy Potter może wiedzieć dokładnie, ile ma skórek w swojej szufladzie ze skarpetkami, czy zauważyłby, gdybyśmy otworzyli jedno opakowanie i bliżej się przyjrzeli skórce, naturalnie nie odkładając jej z powrotem na miejsce. Musielibyśmy ją gdzieś wyrzucić. Czy Potter się zorientuje? Oto pytanie. Owen stwierdził, że odpowiedź uzyskamy, przeszukawszy pokój i stwierdziwszy, czy Potter jest porządnym lokatorem. Musieliśmy sprawdzić, czy bieliznę trzyma w jednej szufladzie, czy ma wszystkie podkoszulki poskładane, czy buty stoją w jednym szeregu na podłodze w szafie, czy marynarki, koszule i spodnie wiszą oddzielnie, czy wieszaki są zwrócone w jedną stronę, czy kładzie razem wszystkie ołówki i pióra, jak leżą spinacze w pudełeczku, czy ma tylko jedną tubkę pasty do zębów otwartą czy więcej, czy żyletki trzyma gdzieś skrzętnie schowane, czy ma specjalny wieszak na krawaty, czy też wiszą byle gdzie? I czy żucze skórki przechowuje tylko tak, na pokaz, czy ich faktycznie używa.

W szafie Pottera, zatopiona w bucie do górskich wędrówek rozmiar 44, stała prawie opróżniona butelka Jack Daniel’s Old No. 7, Black Label. Owen doszedł do wniosku, że skoro Potter ryzykuje trzymanie whisky w pokoju, to żucze skórki nie są na pokaz. Jeśli Potter

korzysta z nich stosunkowo często, to z pewnością nie zauważy braku jednej.

Z wielkim namaszczeniem poddaliśmy badaniu żuczą skórkę. Była to nie nasmarowana prezerwatywa – nawet nie jestem pewien, czy za czasów, kiedy mieliśmy z Owenem po jedenaście lat, istniały smarowane – i nie bez kłopotów, a nawet przezwyciężając ból, założyliśmy to coś na nasze maleńkie penisy. Z wyjątkowym trudem przychodziło nam wyobrazić sobie ów aspekt naszego życia w najbliższej przyszłości. Teraz widzę wyraźnie, że rytuał, który odprawiliśmy w pokoju Pottera, miał dla Owena Meany'ego charakter buntu religijnego – stanowił jeszcze jeden policzek dla katolicyzmu, przed którym – jak twierdził – uciekał.

Szkoda tylko, że Owen nie mógł uciec przed bożonarodzeniowymi żywymi obrazami w wydaniu wielebnego Dudleya Wiggina. Pierwsza próba odbywała się w nawie kościoła w drugą niedzielę adwentu tuż po komunii świętej. Omawianie rozdziału ról zostało opóźnione z tego powodu, że przedtem odczytano raport Stowarzyszenia Kobiet. Kobiety chciały ogłosić, że Dzień Milczenia, który zaplanowały na początek adwentu, zakończył się dużym sukcesem – medytacje, a następnie chwilę ciszy na refleksje, przyjęto bardzo dobrze. Pani Walker, której kadencja członka komitetu parafialnego dobiegała właśnie końca, co niestety pozostawiało jej więcej energii na pastwienie się nad dzieciakami w szkółce niedzielnej, stwierdziła, że spadła frekwencja na wieczornych zebraniach kółka biblijnego.

– No tak, przed Bożym Narodzeniem wszyscy są zajęci – zauważyła Barb Wiggin, która niecierpliwiła się, by jak najprędzej przejść do obsadzania ról w żywych obrazach. Nie chciała, żeby wszystkie potencjalne osły i gołąbki musiały zbyt długo czekać. Wyczuwałem już, że Owen z góry jest rozdrażniony zachowaniem żony rektora.

Zupełnie nie zważając na niechęć Owena, Barb Wiggin zaczęła dokładnie tak, jak się zaczęło święte zdarzenie – od Anioła Pańskiego.

– No tak, wszyscy wiemy, kto będzie Aniołem – oświadczyła.

– Na pewno nie ja – stwierdził Owen.

– Ależ, Owen! – oburzyła się Barb Wiggin.

– Niech ktoś inny frunie sobie w powietrze. A może pasterze mogliby tylko patrzeć na „snop światła”? W Biblii jest powiedziane, że anioł ukazał się jedynie pasterzom, a nie całemu kościołowi. I proszę wykorzystać kogoś, kto ma głos, z którego wszyscy się nie śmieją. – Urwał, a zgromadzeni wybuchnęli śmiechem.

– Ależ, Owen... – zaczęła Barb Wiggin.

– Barbaro, daj spokój – wtrącił się pan Wiggin. – Jeśli Owen ma już dosyć roli Anioła, to powinniśmy to zrozumieć. Tu jest demokracja – dodał bez większej siły przekonywania. Była stewardesa popatrzyła na byłego pilota, a teraz swego męża, jakby mówiła i myślała bez dostatecznej ilości tlenu.

– I jeszcze jedno – dodał Owen. – Józef nie powinien się głupio uśmiechać.

– Faktycznie, masz rację – rzekł rektor z przekonaniem. – Nie miałem pojęcia, że przez te wszystkie lata nasz Józef głupio się uśmiechał.

– A jak myślisz, Owenie, kto byłby dobrym Józefem? – spytała Barb Wiggin, zupełnie bez naturalnej dla stewardesy uprzejmości.

Z charakterystyczną wyniosłością Owen wskazał na mnie. Zostałem wybrany w takiej ciszy, że poczułem, jak włosy na karku stają mi dęba. Wiele lat później pomyślałbym, że zostałem wybrany przez Wybranego. Ale w tę drugą niedzielę adwentu, stojąc w nawie kościoła, kiedy mi już opadły stojące dęba włosy, byłem zły na Owena. Bo przecież to taka mało twórcza rola – nieszczęsny Józef, który zawsze idzie z tyłu, facet, który czeka, aż za niego wszystko załatwią.

– Zwykle zaczynamy od Maryi – stwierdziła Barb Wiggin. – Potem Maryja wybiera Józefa.

– No cóż, w tym roku może Józef wybierze sobie Maryję? Nie powinniśmy bać się żadnych zmian – dodał serdecznie pastor, ale żona go wyraźnie zignorowała.

– Zawsze najpierw wybieramy Anioła – obstawała przy swoim. – Nadal nie mamy Anioła, ale mamy już Józefa, zanim jeszcze wybraliśmy Maryję. I to bez Anioła! – (Stewardesy należą do osób

uporządkowanych, które zdecydowanie lepiej się czują, postępując według określonego schematu).

– No więc kto w tym roku miałby ochotę zawisnąć w powietrzu? – spytał rektor. – Owen, powiedz im, jak tam z góry świetnie wszystko widać.

– Czasami to urządzenie podtrzymujące odwraca się tyłem do sali – ostrzegł Owen ewentualne Anioły. – Niekiedy też uprząż wrzyna się w skórę.

– Temu z pewnością można zaradzić – stwierdził Wiggin.

– Kiedy wyciągają cię ze snopu światła, jest bardzo ciemno – mówił dalej Owen.

Ani jeden potencjalny Anioł nie podniósł ręki.

– Trzeba też spamiętać dosyć długi tekst – ciągnął Owen. – No wiecie. „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan. A to będzie znakiem dla was: znajdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i leżące w żłobie”.

– Wiemy, wiemy – przerwała mu Barb.

– To nie takie proste.

– A może wybierzemy najpierw Maryję i dopiero wtedy zajmiemy się Aniołem? – zaproponował wielebny Wiggin.

Barb Wiggin rozłożyła ręce.

Jeśli jednak spodziewali się, że będę na tyle głupcem, by wybrać sobie Maryję, to się grubo mylili. Sytuacja zrobiła się patowa! Mam wybrać Maryję. Ale co też by ludzie powiedzieli o mnie i o wybranej przeze mnie dziewczynie? A co by powiedziały dziewczyny, których nie wybrałem?

– Maria Beth Baird nigdy jeszcze nie była Maryją – stwierdził Owen. – W ten sposób Maria będzie Maryją.

– Maryję wybiera Józef! – zaprotestowała Barb Wiggin.

– To tylko sugestia – odparł Owen.

Ale jak można było teraz odmówić Marii Beth Baird, skoro już jej tę rolę zaproponowano? Maria Beth Baird była tłustawą dziewczyną, nieśmiałą, niezgrabną i zupełnie nijaką.

– Byłam już trzy razy gołąbkiem – zamruczała.

– To zupełnie coś innego – wyjaśnił Owen. – Nikt i tak nie wie, że to są gołąbki.

– Chwileczkę, idźmy po kolei – zaproponował Dudley Wiggin.

– Po pierwsze, Józef wybiera Maryję – upierała się Barb.

– Maria Beth Baird może być – zgodziłem się.

– No dobra, więc Maria będzie Maryją – rzekła pani Wiggin. Maria Beth Baird zakryła twarz rękoma. Barb Wiggin także.

– W porządku, Owen. To o co chodzi z tymi gołąbkami? – indagował rektor.

– Zaczekaj chwilę z gołąbkami – przerwała mu Barb Wiggin. – Ja chcę Anioła!

Dotychczasowi królowie i pasterze siedzieli w milczeniu. Byłe osły też się nie wychylały. A osły składały się z dwóch części – część tylna nigdy nie widziała przedstawienia. Ale ani jedna tylna część osła nie zgłosiła się do roli Anioła. Gołąbki również się do tego nie paliły.

– Anioł jest przecież taki ważny – przekonywał rektor. – Mamy specjalne urządzenie do podnoszenia i zniżania i przez chwilę Anioł sam pozostaje w snopie światła! Wszystkie oczy są zwrócone właśnie na niego!

Nawet myśl, że wszystkie oczy będą zwrócone właśnie na nie, nie zachęciła dzieci z kościoła Chrystusa do odegrania roli Anioła. W tyle nawy siedział tłustawy Harold Crosby, sprawiający wrażenie osoby jeszcze mniej znaczącej niż zwykle ze względu na wiszący w pobliżu gigantyczny obraz „Powołanie apostołów", a wrażenie to potęgował wizerunek Jezusa powołującego swych uczniów. Rzadko kiedy patrzyliśmy na Harolda Crosby, nie był bowiem na tyle zabawny, żeby go drażnić ani nawet żeby na niego zwracać uwagę. To pokraka, którą nie warto sobie zawracać głowy. Dlatego właśnie Harold Crosby starał się trzymać od wszystkiego z dala. Siadywał z tyłu, stawał na końcu rzędu, mówił tylko, jeśli ktoś się do niego zwracał, pragnął, aby go zostawić w spokoju, i przeważnie zostawiano go w spokoju. Przez kilka lat doskonale odgrywał tylną część osła. I jestem pewien, że nie życzył sobie innej roli. Widziałem, że bardzo go niepokoi cisza, jaka zapadła po pytaniu pana Wiggina o Anioła. Być może górujące nad nim podobizny uczniów Chrystusa spowodowały, że Harold Crosby nie czuł się osobą odpowiednią do

tej roli, a może bał się, że rektor z braku ochotników wybierze Anioła spośród tchórzliwych dzieci; a jeśli (broń Boże!) wybierze jego?

Harold Crosby oparł się na krześle i zamknął oczy. Może była to metoda ukrycia się zapożyczona od ostrygi, a może Harold wyobrażał sobie, że jeśli będzie spał, to nikt go nie poprosi o nic więcej niż zagranie tylnej części osła?

– Ktoś musi być Aniołem – odezwała się Barb Wiggin złowróżbnie.

W tym momencie Harold Crosby zachwiał się do tyłu wraz z krzesłem. Pogorszył jeszcze sytuację, gdy starając się złapać równowagę, chwycił ramę olbrzymiego obrazu „Powołanie apostołów". Potem postanowił jednak, że się rozbije u stóp uczniów Chrystusa, i spadł na podłogę. Ale jak wszystko, co się przydarzało Haroldowi Crosby'emu, tak i ten jego upadek był zdecydowanie bardziej fascynujący ze względu na niezręczność, z jaką to zrobił, niż na widowiskowość. Niemniej jednak tylko rektor był na tyle nieczuły, że niezręczność Harolda wziął za chęć zgłoszenia się na ochotnika.

– Bardzo dobrze, Haroldzie! Dzielny z ciebie chłopak! – zawołał rektor.

– Co? – spytał Harold Crosby.

– Zatem zgłosił nam się Anioł! – stwierdził radośnie pan Wiggin. – Kto następny?

– Ja mam lęk wysokości – zaprotestował Harold.

– No to naprawdę jesteś odważny, decydując się na tę rolę! – odrzekł rektor. – Trudno o lepszy moment, by stawić czoło wszystkim naszym obawom.

– Ale dźwig – zaczęła Barb Wiggin. – Nasz aparat...

Chciała coś powiedzieć mężowi, ten jednak uciszył ją machnięciem ręki. Wzrok rektora mówił wyraźnie, że chyba nie zamierza dać chłopcu do zrozumienia, że winien się czuć zażenowany z powodu swej tuszy. Z pewnością druty i sznury są dość mocne. Barb Wiggin spojrzała groźnie na męża.

– Jeśli zaś chodzi o gołąbki... – zaczął Owen, a Barb Wiggin zamknęła oczy. Nie oparła się na krześle, ale chwyciła je oburącz.

– Ach tak, Owen, co nam chciałeś powiedzieć na temat gołąbków? – dopytywał się wielebny.

– Wyglądają jak przybysze z kosmosu – stwierdził Owen. – Nikt tak naprawdę nie wie, co to ma być.

– To są gołębie! – zaprotestowała Barb Wiggin. – Wszyscy przecież wiedzą, co to są gołębie!

– Te gołębie są wyjątkowo olbrzymie. Są jak pół osła. Co to za ptaszyska z Marsa? Tak naprawdę to można się ich przestraszyć.

– Owen, nie każdy może być królem, pasterzem czy osłem – wyjaśnił rektor.

– Ale też nikt nie jest na tyle mały, by grać gołębicę, poza tym nie wiadomo, co mają znaczyć te wszystkie papierowe chorągwie.

– To pióra! – nie wytrzymała dłużej Barb Wiggin.

– Te gołębie przypominają jakieś stwory. Wyglądają, jakby zostały porażone prądem elektrycznym.

– No tak, przypuszczam, że przy żłóbku były i inne zwierzęta – zauważył rektor.

– Czy zamierzasz zająć się kostiumami? – spytała męża Barb Wiggin.

– Spokojnie, spokojnie.

– Do osłów dobrze pasują krowy – podsunął Owen.

– Krowy? – zdziwił się rektor. – Może.

– A kto zrobi strój dla krowy? – dopytywała się Barb.

– Ja – zaproponowała Maria Beth Baird. Nigdy dotychczas nie zgłosiła się jeszcze do niczego na ochotnika, ale wyraźnie wybór na Maryję dodał jej skrzydeł albo przynajmniej pozwolił uwierzyć, że potrafi zrobić kostium dla krowy.

– Wspaniale, Mario! – pochwalił ją rektor.

W tej chwili Barb Wiggin i Harold Crosby zamknęli oczy. Harold nie wyglądał najlepiej – tak jakby miał za chwilę zwymiotować u stóp apostołów, którzy nachylali się nad nim. Jego twarz przybrała kolor oliwkowozielony.

– I jeszcze jedno – odezwał się Owen. Nadstawiliśmy uszu. – Chodzi o Dzieciątko Jezus. – Wszystkie dzieci pokiwały głową z aprobatą.

– Co znowu jest nie tak? – spytała Barb Wiggin.

– Mamy tyle niemowlaków. Czy żeby mieć jednego, który leży w żłobie i nie płacze, potrzebujemy aż tak wielu dzieciaków?

– Ale to tak jak w tej kolędzie – stwierdził rektor. – Jezus malusieńki leży cichutko, nie chcąc uronić ani jednej łzy.

– No dobra! Ale te wszystkie niemowlaki i tak płaczą, słychać je nawet za kulisami. I jeszcze na dodatek tabuny dorosłych, którzy przekazują sobie dzieci tam i z powrotem! Są tacy wielcy! Wyglądają idiotycznie. A my przy nich jeszcze bardziej idiotycznie!

– Owen, czy znasz niemowlę, które nie płacze? – spytała Barb Wiggin, i oczywiście, gdy tylko zaczął mówić, zorientowała się, że złapał ją w sidła.

– Znam kogoś, kto zmieści się do żłóbka. Jest dostatecznie mały, by wyglądać jak dziecko, a jednocześnie na tyle dorosły, by nie płakać.

Maria Beth Baird nie mogła się powstrzymać.

– Owen może być Dzieciątkiem Jezus! – krzyknęła.

Owen uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Owszem. Ja się zmieszczę do żłóbka – stwierdził skromnie.

Harold Crosby też już dłużej nie mógł się powstrzymać – zwymiotował. Dostatecznie często wymiotował, żeby nie robiło to na nas większego wrażenia, tym bardziej że cała nasza uwaga skupiała się w tej chwili na Owenie.

– A poza tym możemy go podnieść! – dodała podniecona Maria Beth Baird.

– Nigdy dotychczas nie podnosiliśmy Dzieciątka Jezus! – zauważyła Barb Wiggin.

– To znaczy chciałam powiedzieć, jeśli będzie taka potrzeba, jeśli będziemy mieli na to ochotę – wyjaśniła Maria Beth.

– No więc, jeśli wszyscy chcą, żebym był Dzieciątkiem, wydaje mi się, że będę musiał zagrać tę rolę.

– Tak! – zakrzyknęli zgodnie królowie i pasterze.

– Niech Owen będzie Dzieciątkiem! – zawołały osły i krowy, dotychczasowe gołąbki.

Decyzja ta przypadła wszystkim do gustu, ale Barb Wiggin spojrzała na Owena, jakby zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie Owen jest „zabawny”, rektor zaś patrzył na niego z nietypowym jak na byłego pilota przejęciem. Wielebny Wiggin, który był już weteranem bożonarodzeniowych jasełek, spoglądał na Owena

Meany'ego z głębokim szacunkiem – jakby widział już wiele Dzieciątek, ale nigdy dotychczas takiego, które tak doskonale pasuje do swej roli.

Już na drugiej próbie Owen zdecydował, że kołyska, w której ledwo się mieści, nie jest konieczna, a nawet niepotrzebna. Dudley Wiggin opierał całą swoją wizję zachowania Dzieciątka Jezus na wspomnianej kolędzie, która ma tylko dwie zwrotki.

To właśnie ta kolęda przekonała wielebnego Wiggina, że Dzieciątko Jezus nie może płakać.

Bydło głowy uniża przed Dzieciątkiem niebieskim,
A Jezusek maleńki nie uroni łezki...

Jeśli pan Wiggin przywiązywał tak dużą wagę do drugiej zwrotki kolędy, Owen uważał, że winniśmy również inspirować się tą pierwszą.

Leży w żłobie, bo nie ma dla się kołyseczki
Ani miejsca żadnego dla świętej główeczki...

– Skoro kolęda mówi, że nie ma kołyski, to dlaczego my mamy? – dopytywał. Najwyraźniej kołyska stanowiła dla niego duże ograniczenie. – *Gwiazdy patrzą, jak na sianie leży dzieciąteczko* – zaśpiewał.

I znowu udało mu się postawić na swoim. Będzie leżał na sianie, które zaczął układać w taki sposób, aby było mu wygodnie i znajdował się dostatecznie wysoko, doskonale widoczny dla całej publiczności.

– Jeszcze jedno. Czy zauważyliście, że w kolędzie jest napisane, że bydło „uniża głowy"? Dobrze więc, że mamy krowy. Gołąbki nie za bardzo mogłyby to robić.

Jeśli nasze krowy miały w rzeczywistości uchodzić za krowy, to wymagały nie mniejszej wyobraźni niż poprzednio gołąbki. Być może wyniesienie do roli Maryi zainspirowało Marię Beth Baird do

zaprojektowania nowych strojów, ale Najświętsza Panna najwyraźniej nie służyła swą boską pomocą przy sporządzaniu kostiumów. Marii Beth musiały pomieszać się obrazy wszystkich szopek, jakie w życiu widziała. Jej krowy miały jelenie rogi, poroża bardziej odpowiednie dla reniferów, które też pewnie posłużyły Marii Beth jako inspiracja. Co gorsza, rogi były miękkie, zrobione z jakiegoś wiotkiego materiału, więc spadały krowom na oczy, całkowicie zasłaniając im już i tak ograniczone pole widzenia, przez co przy żłóbku powstawało większe niż zwykle zamieszanie. Krowy wpadały na siebie, potykały się o osły, przewracały królów i pasterzy.

– Krowy, o ile to są faktycznie krowy – stwierdziła Barb Wiggin – winny stać w miejscu i nie kręcić się w kółko – właściwie nie powinny w ogóle się ruszać. Chyba nie chcielibyśmy zadeptać Dzieciątka Jezus? – Szaleńczy błysk w oku Barb Wiggin sugerował, że taki wypadek mógłby zostać uznany za bliski cudowi Bożemu, ale Owen, który zawsze się bał, żeby ktoś na niego nie wpadł, teraz – jako że leżał bezbronny na sianie i wystawiony był na wszelkie ataki – szybko zawtórował Barb Wiggin, kiedy dawała rady krowom.

– Hej, krowy! Pamiętajcie, że się macie tylko uniżać, a nie kręcić w kółko!

– Nie chcę, żeby krowy „się uniżały” czy żeby się kręciły w kółko – stwierdziła Barb Wiggin. – Chcę, żeby słychać było śpiew i czytania z Biblii. Nie ma żadnego „uniżania się”.

– W zeszłym roku chciała pani, żeby gołębie gruchały – przypomniał jej Owen.

– Najwyraźniej nic nie jest tak jak w zeszłym roku – rzekła Barb Wiggin.

– Dobrze, dobrze – uspokajał ją rektor.

– W kolędzie jest: „Bydło głowy uniża” – wyjaśniał Owen.

– A może chciałbyś, żeby osły ryczały? – wrzasnęła Barb.

– W kolędzie nie ma mowy o osłach.

– Czy nie traktujemy tej kolędy zbyt dosłownie? – wtrącił pan Wiggin, ale ja wiedziałem, że dla Owena Meany’ego nie istnieje coś takiego jak „zbytnia dosłowność”. On do wszystkiego podchodził w sposób ortodoksyjny.

Tym razem Owena przestało obchodzić, czy bydło winno się „uniżyć” czy nie. Doszedł do wniosku, że więcej może zyskać, przerabiając oprawę muzyczną, która mu nigdy nie odpowiadała. Twierdził, że nie ma sensu zaczynać od „Trzech Króli”, gdy Anioł zjeżdża w snopie światła. Anioł ukazał się pasterzom, nie królom. Lepiej zacząć od „W Betlejem, niewielkim mieście” w czasie pojawienia się Anioła. Nowina, jaką zwiastuje Anioł, zabrzmi najlepiej, jeśli zostanie wygłoszona między drugą i trzecią zwrotką. I wtedy, kiedy snop światła ześlizguje się z Anioła, albo raczej jeśli szybko sfruwający Anioł sam opuszcza snop światła, tak, dopiero wtedy widzimy królów. Niespodziewanie dołączyli do zaskoczonych pasterzy. W tym momencie należy zagrać „Trzech mędrców Orientu”, i to głośno.

Harold Crosby, który jeszcze nie posmakował swego pierwszego lotu w aparacie podnoszącym jego wiarygodność jako Anioła, chciał się koniecznie dowiedzieć, gdzie jest „Ori i Ent”.

Nikt nie rozumiał jego pytania.

– „My, trzej mędrcy Ori i Entu” – zacytował Harold. – Gdzie jest Ori i Ent?

– My trzej mędrcy Orientu – poprawił go Owen. – Czy ty nic nie czytasz?

Ale Harold wiedział tylko tyle, że nie chce latać. Był gotów zadać każde pytanie, stworzyć jakikolwiek pretekst, byle tylko odwlec moment wystrzelenia go w górę przez Barb Wiggin.

Ja w roli Józefa nie miałem nic do roboty, nie musiałem nic mówić, nie musiałem się niczego uczyć. Maria Beth Baird sugerowała, że jako chętny do pomocy mąż mógłbym na zmianę z nią zajmować się Owenem Meanym. Niekoniecznie go podnosić, ponieważ Barb Wiggin bardzo ostro się temu sprzeciwiała, ale przynajmniej mogliśmy, jak proponowała Maria, popieścić Owena, dotknąć go, pogładzić po głowie.

– Żadnego głaskania – uciął Owen.

– W ogóle nic – upierała się Barb Wiggin. – Nie wolno dotykać Dzieciątka Jezus.

– Ale przecież jesteśmy jego rodzicami! – oponowała Maria Beth, która wspaniałomyślnie przemawiała również w imieniu Józefa.

– Mario, jeśli dotkniesz Jezusa, będziesz musiała zagrać krowę – ucięła dyskusję Barb Wiggin.

Dlatego właśnie nasza Maryja w czasie prób dąsała się na cały świat. Co to za matka, którą pozbawia się przyjemności dotykania własnego dziecka! A Owen, umościwszy sobie olbrzymie gniazdo w stercie siana, promieniował jakby iście nieuchwytną boskością, wzbudzając szacunek należny prorokowi całkowicie pewnemu swych racji.

Jakieś techniczne trudności z uprzężą oszczędziły Haroldowi pierwszych wrażeń anielskiego uniesienia. Zauważyliśmy, że z powodu lęku wysokości Harold zapominał tekstu swej ważkiej kwestii. A może też nie przygotował się dostatecznie do roli, po prostu nie mógł wyjść bez potknięcia poza: „Nie bójcie się! Oto zwiastuję wam radość wielką...".

Królowie i pasterze nie potrafili kroczyć dostatecznie wolno, podążając za „snopem światła" w kierunku grupy zwierząt, wraz z Marią i Józefem skupionej wokół majestatycznej postaci Dzieciątka Jezus na tronie z siana. Choćby szli nie wiem jak wolno, docierali do wzruszającej sceny w stajence przed końcem piątej zwrotki „Trzech mędrców Orientu". Tam musieli doczekać, aż skończy się kolęda, i wówczas zaskakiwał ich chór przechodzący gwałtownie do „W żłobie położony".

Według wielebnego Dudleya Wiggina, wyjściem z sytuacji byłoby pominięcie piątej zwrotki pierwszej kolędy, lecz zdaniem Owena rozwiązanie takie byłoby nieortodoksyjne. Poprzestanie na czwartej zwrotce w niczym nie przypominało pełnego radości „Alleluja" na koniec piątej. Owen błagał nas, byśmy zwrócili szczególną uwagę na słowa czwartej zwrotki. Przecież to jasne, że nikt nie będzie chciał stanąć przed Dzieciątkiem Jezus przy akompaniamencie czegoś takiego.

– „Pełni smutku i westchnień, zakrwawieni, umieramy zamknięci w kamiennym grobowcu" – zaśpiewał z przejęciem.

– Ale jest przecież jeszcze refren! – wtrąciła się Barb Wiggin. – „O gwiazdo cudów, gwiazdo nocy" – zanuciła, Owen jednakże był nieprzejednany.

Rektor zapewniał go, że w Kościele już od dawna nie śpiewa się wszystkich wersów każdego hymnu czy kolędy. Jednakże Owenowi udało się nas przekonać, że tradycja Kościoła, niezależnie od tego, jak długa, opiera się na mniej pewnych podstawach niż słowo pisane. Jeśli wydrukowano pięć zwrotek, to znaczy, że wszystkie pięć należy śpiewać.

– Pełni smutku i westchnień, zakrwawieni, umieramy… – to nastrój czysto bożonarodzeniowy.

Maria Beth starała się uświadomić wszystkim, że rozwiązałaby ten problem, gdyby pozwolono jej przelać odrobinę czułości na Dzieciątko Jezus. Ale najwyraźniej Barb Wiggin i Owen doszli do porozumienia w tej tylko kwestii, że Marii Beth nie wolno maltretować Dzieciątka Jezus, a krowom nie wolno się ruszać.

Kiedy obraz został już odpowiednio wyreżyserowany, co w końcu udało nam się osiągnąć przy zakończeniu czwartej zwrotki „Trzech Mędrców", chór zaczynał śpiewać „W żłobie położony", a my w tym czasie oddawaliśmy cześć Owenowi Meany'emu, adorując Dzieciątko Jezus.

Może winniśmy poświęcić jeszcze chwilę uwagi „powijakom". Owen nie zgodził się, by go zawinąć aż pod brodę. Chciał mieć wolne ręce, może po to, żeby w razie czego odgonić natrętną krowę lub osła. Dlatego owinięto go na całej długości tułowia, aż pod pachy, a potem jeszcze obandażowano mu piersi, przykrywając zwłaszcza ramiona i szyję – przede wszystkim szyję, bo Barb Wiggin szczególnie zależało, by zakryć chłopcu jabłko Adama, które jej zdaniem wyglądało „zbyt dorośle". To prawda. Jabłko Adama wystawało bardzo ostro, zwłaszcza kiedy Owen leżał. Ponadto jego oczy również sprawiały wrażenie „zbyt dorosłych", bo albo zdawały się wyłupiaste, albo nieco straszyły w oczodołach. Drobne, ale ostre rysy wcale nie były dziecinne, zwłaszcza w jaskrawym „snopie światła". Owen miał ciemne obwódki wokół oczu i – jak na dziecko – zbyt wydatny nos, a także kości policzkowe. Nie wiem, dlaczego nie zawinęliśmy go po prostu w koc. „Powijaki" przypominały nałożone na siebie kolejne warstwy bandaża, więc Owen wyglądał jak tragiczna ofiara poparzenia, która skurczyła się do nienaturalnych rozmiarów, a której ogień nie zwęglił jedynie twarzy i ramion. „Snop

światła” oraz pełne nabożeństwa pozy otaczającej go świty sprawiały, że Owen robił wrażenie, jakby za chwilę miał zostać poddany jakiemuś rytualnemu zdjęciu bandaży na sali operacyjnej, przez zebranych wokół chirurgów i pielęgniarki.

Po zakończeniu kolędy Wiggin ponownie odczytywał fragment świętego Łukasza: *Gdy aniołowie odeszli od nich do nieba, pasterze mówili nawzajem do siebie: „Pójdźmy do Betlejem i zobaczmy, co się tam zdarzyło i o czym nam Pan oznajmił”. Udali się w pośpiechu i znaleźli Maryję, Józefa i niemowlę leżące w żłobie. Gdy Je ujrzeli, opowiedzieli, co im zostało objawione o tym dziecięciu. A wszyscy, którzy to słyszeli, dziwili się temu, co im pasterze opowiadali. Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu.*

Podczas tego czytania królowie kłaniali się Dzieciątku Jezus i obdarowywali je tymi samymi co zawsze prezentami. Dawali mu ozdobne pudełka i puszki, różne świecidełka, które trudno z daleka rozpoznać, lecz które wyglądały dostatecznie królewsko i dostojnie. Kilku pasterzy składało Dzieciątku skromniejsze i bardziej wiejskie dary. Jeden z nich ofiarował, na przykład, gniazdo ptasie.

– A na co mi gniazdo? – spytał Owen.

– To przynosi szczęście – odrzekł rektor.

– Czy tak jest napisane w Biblii? – dopytywał się Owen.

Ktoś twierdził, że z widowni gniazdo przypomina kępkę starej wyschniętej trawy. Ktoś inny zauważył, że z daleka wygląda jak „krowie łajno”.

– Zaraz, zaraz – próbował uspokoić nastroje Wiggin.

– Nieważne, jak wygląda – odezwała się Barb Wiggin z ostrą nutą w głosie. – Dary i tak są symboliczne.

Maria Beth dostrzegała jednak poważniejszy problem. Ponieważ czytanie z Łukasza kończy się słowami: „Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu”, dla Maryi „rzeczy”, które rozważała w swoim sercu, miały większe znaczenie niż trywialne dary. Czy zatem i ona nie powinna czegoś zrobić, aby ukazać publiczności, jaki to ciężar dla jej biednego serca stanowi takie pełne powagi „zachowywanie” i „rozważanie”?

– Co znowu? – spytała Barb Wiggin.

– Chodzi jej o to, czy nie powinna grać jak osoba, która się nad czymś zastanawia – wyjaśnił Owen.

Maria Beth Baird była taka szczęśliwa, słysząc, jak zręcznie ujmuje jej problem, że omal go nie uściskała i nie wycałowała, ale Barb Wiggin czym prędzej ich rozdzieliła, zostawiając własnemu losowi kontrolkę światła. Reflektory oświetliły dość niesamowicie naszą grupę i jakby z własnej woli skoncentrowały się na postaci Matki Bożej.

Nastąpiła chwila pełnego szacunku milczenia, a my w tym czasie zastanawialiśmy się, co takiego Maria Beth Baird mogłaby zrobić, aby ukazać, że to dla niej taka ciężka praca. Mieliśmy całkowitą pewność, że Maria Beth byłaby najszczęśliwsza, gdyby w jakiś fizyczny sposób pozwolono jej okazać uwielbienie Dzieciątku Jezus.

– Mogłabym je pocałować – odezwała się nagle cicho. – Mogłabym się nachylić i je pocałować – naturalnie tylko w czoło.

– A gdybyśmy czegoś takiego spróbowali? – odezwał się ostrożnie rektor.

– No to spróbujmy – przyzwoliła pełna wątpliwości Barb Wiggin.

– Nie. Nie ma żadnego całowania – zaprotestował Owen.

– Dlaczegóż by nie? – zapytała rozbawiona Barb Wiggin. Oto okazja, żeby się trochę podrażnić z Owenem; chętna była z niej skorzystać.

– To nadzwyczaj święta chwila – rzekł wolno Owen.

– Racja – przytaknął rektor.

– Niezwykle wzniosła – dodał Owen.

– Tylko w czoło – błagała Maria Beth.

– Zobaczymy po prostu, jak to by wypadło – zaproponowała Barb Wiggin.

– Nie. – Mój przyjaciel był nieprzejednany. – Jeśli Maryja ma „rozważać w swym sercu", że jestem Jezusem Chrystusem, Synem Bożym… Zbawcą – nie zapominajcie, że Zbawcą… Czy uważacie, że pocałowałaby mnie, jak jakaś zwyczajna matka całuje zwyczajne dziecko? Maryja nie tylko wtedy zachowywała różne rzeczy w swym sercu. Pamiętacie, jak jadą do Jerozolimy na Paschę, a Jezus zostaje w świątyni i naucza? Józef i Maryja martwią się o Niego, bo szukają Go wszędzie i nie mogą znaleźć. A On ich pyta, czemu się niepokoją,

dlaczego Go szukają. „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?”. Chodzi Mu o świątynię. Pamiętacie? Maryja i to zachowała w swoim sercu.

– Ale, Owen, czy ja nie powinnam czegoś zrobić? – spytała Maria Beth. – Jak mogłabym się zachowywać?

– Masz wszystko zachować w swym sercu.

– Zatem co? – spytał wielebny Wiggin. Rektor, podobnie jak i nauczyciele w świątyni, zdawał się „zdumiony”. Tak właśnie jest powiedziane o nauczycielach, którzy słyszeli młodego Jezusa: „Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami”.

– Czy uważasz, że nie powinna nic robić? – powtórzył rektor. – A może spróbowałaby czegoś innego niż pocałunek?

– Owszem – stwierdził Owen. Maria Beth Baird zadrżała. Była gotowa zrobić wszystko, co jej tylko poleci. – Spróbuj się skłonić – zaproponował.

– Skłonić! – powtórzyła z niesmakiem Barb Wiggin.

Maria Beth Baird padła na kolana i schyliła głowę. Nie należała do osób zbyt zręcznych i przy tym gwałtownym ruchu straciła równowagę. Wreszcie znalazła trzy punkty oparcia – klęczała, wspierając głowę na stercie siana i wciskając ją jednocześnie w biodro Owena.

Owen uniósł rękę, żeby ją pobłogosławić, i zupełnie mimochodem dotknął jej włosów – następnie jego dłoń wzniosła się ponad głowę dziewczyny, tak jakby próbując osłonić jej oczy przed ostrym „snopem światła”. Może Owen chciał mieć swobodne ręce chociażby dla tego tylko gestu?

Królowie i pasterze nie mogli oderwać oczu od tej sceny ukazującej, co Maryja rozważa w swym sercu. Krowy stały nieruchomo. Nawet tylne części osłów, którym nie dane było widzieć Matki Bożej oddającej pokłon Dzieciątku Jezus – ani w ogóle niczego – wyczuły, że to moment adoracji. Przestały się kiwać, ogony zwisały im równo i nieruchomo. Barb Wiggin wstrzymała oddech, przyglądając się scenie z otwartymi ustami, a rektor stał jak zamurowany. Ja – Józef – nie robiłem nic – byłem tylko świadkiem. Bóg jeden wie, jak długo Maria Beth Baird trzymałaby schyloną

głowę wspartą na biodrze Dzieciątka Jezus. Bez wątpienia dziewczyna nie posiadała się z radości, że jest tak blisko niego. Może zastyglibyśmy tak na całą wieczność. Może przeszlibyśmy do historii jako żywy obraz, który podczas próby znieruchomiał na zawsze, natchniony magią, jaką aktorzy chcieli unaocznić. Bylibyśmy taką trwającą w nieskończoność sceną narodzenia Jezusa.

Jednakże dyrygent chóru, któremu wzrok zaczynał szwankować, stwierdził, że spóźnił się z rozpoczęciem ostatniej kolędy, a właśnie ona chórowi wychodziła szczególnie dobrze.

Słuchajcie! Anioł głosi chwałę narodzonemu Królowi!
Pokój na ziemi, łaskę grzesznikowi!
Radość wielka w narodach wtóruje pieniom niebios,
Anioł zwiastuje: W Betlejem narodził się Jezus!
Słuchajcie! Anioł głosi chwałę narodzonemu Królowi!

Maria Beth Baird uniosła głowę już przy pierwszym „słuchajcie!" Miała dziko zmierzwione włosy, w które zaplątało się siano. Skoczyła na równe nogi, jakby mały Książę Pokoju wypędził ją ze swego gniazda. Osły zaczęły się znowu kiwać, krowy – na nowo pospadały im rogi – też się poruszyły, a królowie i pasterze na powrót stworzyli dość bezładną grupę. Rektor, który miał wyraz twarzy człowieka nieśmiertelnego, nagle przywołanego z powrotem na ziemię, odzyskał głos.

– To było doskonałe – stwierdził. – Cudowne, naprawdę.

– Może powinniśmy tę scenę jeszcze raz przećwiczyć? – zaproponowała Barb Wiggin, gdy tymczasem chór nie ustawał w głoszeniu nowiny, że narodził się „wieczny Pan".

– Nie – orzekł Książę Pokoju. – Wydaje mi się, że wypadło zupełnie dobrze.

W Toronto w dni powszednie o 8.00 odbywa się modlitwa poranna, o 17.15 – modlitwa wieczorna. Komunia święta – wtorki, środy, piątki. Zdecydowanie wolę nabożeństwa w ciągu tygodnia niż to niedzielne. Rozpraszam się mniej, kiedy oprócz mnie w kościele Łaski

Bożej na Wzgórzu prawie nikogo nie ma – nie ma też wtedy kazań. Owen nigdy nie lubił kazań, choć wydaje mi się, że chętnie sam by niejedno wygłosił.

I jeszcze coś mi się podoba w nabożeństwach w dni powszednie – wtedy do kościoła nie trafia nikt wbrew swej woli. A to dodatkowo mnie w niedzielę rozprasza. Któż z nas nie przeżył tego przykrego doświadczenia, gdy w ławce przed nami siedzi cała rodzina – walczące ze sobą dzieci gniotą się między matką i ojcem, którzy zmusili je do przyjścia do kościoła. Zadawnione spory aż przywierają do ich pośpiesznie, byle jak włożonego ubrania. „To jedyny dzień, kiedy mogłabym się trochę wyspać!" – zdaje się mówić obszarpany sweter córki. „Ale nudy!" – przemawia zawinięty kołnierzyk marynarki chłopca. Faktycznie, dzieci uwięzione między rodzicami bez przerwy wiercą się w ławce. Tak się nad sobą rozczulają, jakby lada chwila miały zacząć krzyczeć.

Ojciec ze srogim wyrazem twarzy siedzi od ściany. Jego skupienie przyćmiewają czasami momenty pustki na obliczu – surowości i skoncentrowanej uwadze towarzyszy tak doskonała pustka, że bezbłędnie dostrzegam przyczyny, dla których człowiek ten w ogóle przychodzi do kościoła. Robi to tylko dla dzieci. W taki sam sposób niektórzy mężczyźni z równie pustym wyrazem twarzy przystają na małżeństwo. Kiedy dzieci będą na tyle duże, by same mogły decydować o swoim stosunku do religii, ten człowiek zostanie w niedzielę w domu.

Wykończona matka, która stanowi mniejszy kawałek chleba w rodzinnej sprasowanej kanapce i która zasiada w tej części ławki, skąd najgorzej widać kaznodzieję na ambonie (dokładnie pod jego szczękami) – usiłuje nie trzymać dłoni na podołku córki. Jeśli jeszcze choć jeden raz wygładzi sukienkę dziewczyny, skończy się to płaczem, o czym obie doskonale wiedzą.

Chłopiec wyciąga z kieszeni marynarki malusieńką fioletową ciężarówkę. Ojciec wyrywa mu ją, przy okazji gniotąc i wykręcając chłopcu palce.

– Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że się źle zachowujesz, to do końca dnia będziesz siedział na tyłku – syczy ojciec.

– Do wieczora? – dopytuje się chłopiec z niedowierzaniem. Ewidentna niemożność zachowywania się dobrze nawet przez część dnia kładzie się na chłopcu ciężarem i przytłacza go poczuciem klaustrofobii nie do przezwyciężenia, jak klaustrofobia samego kościoła.

Córka zaczyna płakać.

– Dlaczego ona płacze? – pyta syn ojca, nie otrzymując jednak odpowiedzi. – Czy masz okres? – zwraca się do siostry; w tej samej chwili matka nachyla się nad córką i szczypie chłopca w udo – powoli, skręcając skórę. Teraz już i on płacze. Pora na modlitwę. Spadają na ziemię klęczniki, rodzina osuwa się na kolana. Synowi udaje się stary numer ze śpiewnikiem – przesuwa książkę po ławce dokładnie na miejsce, w którym usiądzie siostra, kiedy skończy się modlić.

– Jeżeli jeszcze raz... – syczy ojciec zatopiony w modlitwie.

Ale jak tu się modlić, skoro głowę zaprzątają ci myśli o miesiączce tej dziewczyny? Jest już chyba na tyle duża, że mogła zacząć miesiączkować. A jednocześnie wygląda niezwykle młodo, więc niewykluczone, że to jej pierwszy okres. Może to ty powinieneś przesunąć śpiewnik, zanim skończy się modlić i usiądzie na nim? Może powinieneś wziąć śpiewnik i rąbnąć nim chłopca w głowę? Ale tak naprawdę to masz ochotę rąbnąć ojca, a matkę uszczypnąć w udo, dokładnie tak jak uszczypnęła syna. I jak w takich warunkach się modlić?

Teraz czas najwyższy skrytykować sutannę kanonika Mackie'ego. Jest koloru grochówki. A także powiedzieć coś niecoś na temat kurzajki nadzorcy Hardinga. Z kolei jego zastępca Holt jest rasistą. Zawsze narzeka, że „ci kolorowi z Indii Zachodnich zajęli całą Bathurst Street". Opowiada okropną historię, jak to musiał czekać w kolejce do kserokopiarki. Dwóch czarnych powielało sobie całe pismo pornograficzne. Za coś takiego zastępca nadzorcy Holt chciałby młodych ludzi aresztować. I jak tu się modlić?

Na nabożeństwa w ciągu tygodnia prawie nikt nie przychodzi – jest cicho, spokojnie. Brzęczenie wolno kręcącego się wentylatora nad głową rozlega się metronomicznie, sprzyja koncentracji i w czwartym czy piątym rzędzie czuje się na twarzy regularny powiew. W klimacie

kanadyjskim wentylator ma za zadanie przesuwać ciepłe powietrze i spychać je na dół – prosto na zmarzniętych wiernych. Można sobie wówczas wyobrazić, że człowiek się modli w kościele misyjnym, gdzieś w tropikach.

W niektóre dni kościół jest nadmiernie oświetlony. Drewniane, ciemne od brudu przypory na tle otynkowanego na biało wysokiego sklepienia wyraźnie podkreślają, że jest niezwykle widno. Mimo że w kościele przeważa kamień i witraże, nie sposób znaleźć choćby jednego ponurego ciemnego kąta. Niektórzy krytycy uważają oświetlenie za zbyt sztuczne, zbyt współczesne jak na taką starą budowlę. Ale przecież wentylator nad głową również jest współczesny, absolutnie nie napędzany przez matkę naturę, a na wentylator nikt nie narzeka.

Drewniane przypory to przykład niezgorszej roboty. Są wyłożone boazerią, gdzie widać nawet szczeliny złączeń, mimo że przypory znajdują się dość wysoko. A to dlatego, że kościół jest tak dobrze oświetlony. Wśród tych przypór nie dałoby się skryć Harolda Crosby'ego czy jakiegokolwiek innego anioła. Każde urządzenie służące do opuszczania czy podnoszenia anioła byłoby wyraźnie widoczne. Cud Bożego Narodzenia nie byłby tutaj równie „cudowny". Faktycznie, nigdy nie miałem oglądać w tym kościele inscenizacji Bożego Narodzenia. Raz już widziałem cud. I to wystarczy. Boże Narodzenie 1953 roku wystarczy mi za wszystkie inne.

W tamto Boże Narodzenie wieczory były długie. Kolacje z Danem i babcią ciągnęły się powoli i uroczyście. Wśród obrazów z przeszłości wyraźnie widzę wózek Lydii, który przydałoby się naoliwić, i pamiętam Dana narzekającego, jak to amatorzy mogą położyć przedstawienie „Opowieści wigilijnej". Danowi wcale nie dodawała ducha obecność naszego sąsiada, pana Fisha – amatora o najdłuższym stażu.

Tak bardzo chciałem grać Scrooge'a – mówił pan Fish, wpadając do domu przy Front Street, po kolacji, pod jakimkolwiek pretekstem, kiedy widział samochód Dana na naszym podjeździe. Czasami za pretekst służyła mu chęć przyznania po raz kolejny racji babci w jej

stanowisku na temat nie obowiązującej jeszcze zasady prowadzenia psów na smyczy. Zarówno babcia, jak i pan Fish opowiadali się za takim przepisem. Przy czym jemu w najmniejszym stopniu nie przeszkadzała własna hipokryzja w tym względzie. Na pewno staruszka Sagamore przewracała się w grobie, słysząc, jak jej ziemski pan narzuca psiemu rodowi jakiekolwiek ograniczenia. Sagamore aż do samego końca biegała zupełnie swobodnie.

Ale tak naprawdę panu Fishowi nie chodziło o obowiązek prowadzania psów na smyczy. Chodziło mu głównie o rolę Scrooge'a – doskonałą rolę według pana Fisha, a kompletnie położoną przez amatorszczyznę duchów.

– Duchy to zaledwie maleńka cząstka tego, co w tym wszystkim się wali – zauważył Dan. – Pod koniec przedstawienia publiczność będzie domagała się śmierci Maleńkiego Tima. Może nawet ktoś wpadnie na scenę i zatłucze go kulami. – Dan był ciągle zawiedziony, że nie udało mu się namówić Owena, by zagrał dzielnego kalekę, jednakże Dzieciątko Jezus pozostawało nieczułe na jego prośby.

– Ale nam się trafiły duchy! – jęczał pan Fish.

Pierwszy duch – duch Marleya, był grany przez okropnego amatora z Wydziału Anglistyki Akademii Gravesend. Pan Early odtwarzał każdą rolę, jaką mu oferował Dan, jakby był co najmniej królem Lirem. Ze wszystkich jego ruchów emanowało szaleństwo i tragizm, dzika melancholia nachodziła go odrażającymi falami.

„Przybyłem tu dzisiejszego wieczora, aby cię powiadomić – mówi pan Early do Fisha – że nie przepadła jeszcze dla ciebie wszystka nadzieja, że możesz jeszcze uniknąć mego losu"[6]. – Przez cały czas tej przemowy odwija bandaż, który zakłada się zmarłym, by im nie opadały szczęki.

„Byłeś mi zawsze dobrym przyjacielem" – odpowiada na to pan Fish, ale w tym czasie pan Early zdążył się zaplątać w bandaż. I w końcu pochłonięty jego rozwijaniem zapomniał swej kwestii.

„Nawiedzą cię kolejno cztery zjawy" – oświadcza Early, na co pan Fish zamyka oczy.

– Trzy, nie cztery – krzyczy Dan.

– Przecież ja jestem czwarty – oznajmia Early.

– Ty jesteś pierwszy – podpowiada pan Fish.

– Ale są jeszcze trzy! – brzmi odpowiedź Early'ego.

– O Boże! – jęczy Dan.

– Duch Marleya jednak nie był jeszcze tak fatalny jak Duch Wigilijnej Przeszłości – irytująca młoda kobieta, członek zarządu Biblioteki Miejskiej. Nosiła męskie stroje i namiętnie paliła jednego papierosa za drugim. Ona z kolei nie była jeszcze tak okropna jak Duch Tegorocznego Bożego Narodzenia, którego odtwarzał pan Kenmore, rzeźnik w naszym lokalnym A&P, który (zdaniem pana Fisha) śmierdzi jak surowy kurczak i zamyka oczy zawsze, kiedy pan Fish przemawia. Kenmore musiał do odegrania swej roli tak się skoncentrować, że obecność Scrooge'a go rozpraszała. Ale żaden z nich nie umywał się nawet do Ducha Przyszłych Wigilii – pana Morrisona, naszego listonosza, który zewnętrznie doskonale pasował do tej roli. Był wysoki, szczupły, ponury. Roztaczał wokół siebie kwaśny zapach. Psy nie tylko nie miały zamiaru go ugryźć, ale na dodatek uciekały na sam jego widok. Musiały wyczuwać, że jest równie trujący jak muchomor. Była w nim jakaś ponurość, nieobecność, która – według Dana – doskonale pasuje do ostatniego ducha. Jednakże kiedy pan Morrison zorientował się, że nie ma do wygłoszenia żadnych kwestii, rola przestała mu się podobać. Groził, że się wycofa, ale wreszcie pozostał, wściekły, prychając szyderczo na wszystko, co biedny Scrooge miał do powiedzenia, łypiąc spod oka na publiczność, próbując odciągnąć jej uwagę od Fisha, a zwrócić na siebie (tak jakby miał żal do Dana i Dickensa, że nie pozwolili temu najważniejszemu duchowi zabrać głosu).

Nikt nie pamięta, żeby pan Morrison jako listonosz kiedykolwiek coś mówił, jednakże jako zwiastun złego losu czuł, że ma wiele do powiedzenia. Ale najgorsze w tym wszystkim to to, że żaden z tych duchów tak naprawdę nie był straszny.

– Jakże mam być Scrooge'em, jeśli wcale się nie boję? – pytał Dana Fish.

– Jesteś aktorem, musisz udawać – odpowiadał Dan. A ja w skrytości ducha żałowałem, że nogi pani Walker się marnują, ponieważ grała rolę matki Maleńkiego Tima.

Biedny pan Fish. Nigdy nie wiedziałem, w jaki sposób zarabia na życie. Był właścicielem Sagamore, występował jako pozytywny bohater w „Ulicy aniołów" – pod koniec przedstawienia wziął mamę za rękę. Grał także niewiernego męża w „Wiernej żonie" i Scrooge'a. Ale czym się tak naprawdę zajmował? Nie miałem zielonego pojęcia. Mogłem o to spytać Dana. I właściwie nadal mogę. Ale pan Fish nade wszystko stanowił kwintesencję sąsiada. Był wszystkimi sąsiadami. Uosabiał wszystkich właścicieli psów, wszystkie przyjazne twarze z zaprzyjaźnionych podwórek, wszystkie dłonie spoczywające na moim ramieniu podczas pogrzebu matki. Nie pamiętam, czy miał żonę. Nawet nie pamiętam, jak wyglądał, ale sprawiał wrażenie człowieka, który zaraz się schyli, żeby podnieść z ziemi pożółkły liść. Uosabiał wszystkich porządkujących ogródki, wszystkich odgarniających śnieg z chodników. I chociaż rozpoczął Boże Narodzenie jako Scrooge, który się niczego nie boi, widziałem go również, kiedy miał pietra.

Widziałem go także jako młodego beztroskiego człowieka, bo takim właśnie był przed śmiercią Sagamore. Pamiętam pewne słoneczne wrześniowe popołudnie, gdy klony przy Front Street zaczynały już żółknąć i czerwienieć. Nad kruchymi białymi deszczułkami i dachówką łupkową czerwone klony jawiły się jak drzewa, które wysysają z ziemi krew. Pan Fish nie miał dzieci, ale bardzo lubił rzucać i kopać piłkę, i w takie jasne jesienne popołudnie udawało mu się nakłonić Owena i mnie, żebyśmy przyszli z nim zagrać. Ani Owena, ani mnie tak naprawdę nie bawił sport – z wyjątkiem tych momentów, kiedy razem z nami grała suka Sagamore. Sagamore jak prawie wszystkie labradory automatycznie aportowała piłkę. Strasznie to było zabawne, gdy usiłowała pyskiem chwycić futbolową piłkę. Próbowała unieruchomić ją przednimi łapami, potem przycisnąć klatką piersiową, ale nigdy nie udało jej się wziąć piłki do pyska. Tyle, że ją porządnie obśliniła. Taką piłkę trudniej było złapać i Sagamore psuła to, co pan Fish nazywał estetyką gry, której my z Owenem i tak nie dostrzegaliśmy. Absolutnie nie potrafiłem opanować spiralnego podania, a Owen miał za małą dłoń, więc w ogóle piłki nie rzucał, tylko ją kopał. Nas, chłopców, najbardziej bawił zapał, z jakim Sagamore usiłowała utrzymać piłkę w pysku,

i nasz wysiłek, żeby jej nie dopuścić do piłki. Pan Fish natomiast starał się, jak mógł, podawać i łapać na poważnie.

Ta gra będzie dużo fajniejsza, kiedy troszkę dorośniecie – mawiał, gdy piłka toczyła się pod żywopłot albo wpadała na gazony róż babci, ja zaś i Owen specjalnie przewracaliśmy się przed nosem Sagamore. Widok pędzącego jak burza i obślinionego psa bawił nas ogromnie.

Powinienem właściwie współczuć panu Fishowi. Zepsuliśmy mu tyle doskonałych podań! Owen uwielbiał biec z piłką, aż Sagamore go dopadnie. A potem kopał piłkę, gdzie popadło. Tę dyscyplinę sportu, którą uprawialiśmy w owe jesienne popołudnia, można by raczej nazwać psią piłką, a nie futbolem. Pan Fish nie tracił jednak nigdy nadziei, że któregoś dnia Owen i ja w jakiś cudowny sposób dorośniemy do futbolu i będziemy grać prawidłowo.

Parę domów od nas mieszkało młode małżeństwo z dzieckiem. Nasza ulica nie zaliczała się do takich, na których mieszka wiele młodych małżeństw, a dziecko to było jedynym niemowlęciem na całej Front Street. Młodzi ludzie obnosili się po okolicy z miną, jakby dali początek jakiemuś nowemu gatunkowi – jakby byli pierwszym małżeństwem w New Hampshire, któremu urodziło się dziecko. Owen wrzeszczał jak najęty, kiedy graliśmy z panem Fishem w futbol, tak że mieszkający parę domów dalej młodzi rodzice prędzej czy później wysuwali głowy zza żywopłotu, prosząc, żebyśmy zachowywali się trochę ciszej... „ze względu na dziecko".

Przez te wszystkie lata współpracy z Trupą Gravesend pan Fish nauczył się przynajmniej przewracania oczami. I gdy już młody rodzic wracał, by pilnować swego cennego nowo narodzonego skarbu, bezwolnie zaczynał przewracać oczami.

– Co za głupie dziecko! Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o tym, by kontrolować hałasy na dworze?

Tak właśnie wszystko się odbyło – może już setny raz – tego dnia, kiedy Owenowi udało się kopnąć piłkę poza podwórko – poza podwórko babci, a także poza podwórko pana Fisha. Piłka przeleciała nad garażem babci i potoczyła się podjazdem w kierunku ulicy. Owen, Sagamore i ja popędziliśmy za nią. Pan Fish stał z rękoma na biodrach, wzdychając. On nie gonił za kiksami. Właśnie takie błędy

starał się z naszej gry wyeliminować, ale tego dnia zaskoczyła go niezwykła siła (jeśli już nie kierunek), z jaką Owen kopnął piłkę.

– Aleś kopnął! – zawołał pan Fish. Piłka toczyła się w stronę ulicy. Sagamore biegła tuż za nią, a my słyszeliśmy nieustanny brzęk grzechotki na ciężarówce z pieluszkami. Dochodził nas nawet w chwili, gdy ciężarówka gwałtownie zderzyła się z nieszczęsną głową Sagamore.

Biedny pan Fish! Owen pobiegł do niego, ale pan Fish usłyszał już pisk opon, a nawet głuchy odgłos. Był w połowie podjazdu, kiedy wpadł na niego Owen.

– Chyba lepiej, żeby pan tego nie oglądał. Proszę sobie usiąść, a my się już wszystkim zajmiemy.

Pan Fish siedział na ganku, gdy na ulicy pojawili się młodzi rodzice. Chcieli się pewnie znowu poskarżyć na hałasy albo może zorientować się, co zatrzymało ciężarówkę z pieluszkami, bo przecież wjeżdżała na Front Street tylko z powodu ich dziecka.

Kierowca siedział w szoferce z włączonym silnikiem.

– Cholera! – rzucił.

Z ciężarówki, gdy podeszło się bliżej, dolatywał falami smród moczu. Babci przywożono drewno na opał w jutowych workach. Matka pomogła mi opróżnić jeden z nich, ja zaś pomogłem Owenowi wsadzić do niego Sagamore. Piłka, nieapetyczna, ciągle jeszcze obśliniona, leżała na krawężniku. Przylepiło się do niej trochę żużlu i jeden papierek od cukierka.

W Gravesend pod koniec września mogło być albo jak w sierpniu, albo jak w listopadzie. Kiedy udało nam się z Owenem zaciągnąć Sagamore w worku do ogródka pana Fisha, słońce schowało się za chmurami, żywe barwy klonów jakby przygasły, wiatr zaś, rozdmuchujący wokół liście, zrobił się przejmująco chłodny. Pan Fish oświadczył, że złoży ciało Sagamore w „podarunku" babcinym różom. Podobno zdechły pies jest niezwykle ceniony przez ogrodników. Babcia sama chciała podjąć decyzję, gdzie pies ma być pochowany. Wkrótce zdecydowano, który z krzewów zostanie chwilowo wykopany, a następnie zasadzony na nowo, i pan Fish chwycił za łopatę. Dużo łatwiej było kopać w rozarium babci niż w ogródku pana Fisha. Młode małżeństwo wraz z dzieckiem było na

tyle wzruszone, że wzięło udział w pogrzebie, tak zresztą jak i dzieciarnia z Front Street. Nawet babcia poprosiła, żeby ją zawołać, gdy dół będzie gotów, a matka – mimo że nagle zrobiło się bardzo chłodno – nie weszła do domu po jakieś okrycie. Miała ciemnoszare flanelowe spodnie i czarny sweter z wycięciem w serek. Stała skulona najpierw na jednej nodze, potem na drugiej, a w tym czasie Owen gromadził różne dziwne przedmioty, które miały towarzyszyć Sagamore w zaświaty. Właśnie zamierzał włożyć do worka piłkę, ale pan Fish podczas kopania mogiły orzekł, że gra w futbol jeszcze będzie nam sprawiać przyjemność – „kiedy trochę podrośniemy". Znalazł za to kilka dobrze pogryzionych piłeczek tenisowych, miskę Sagamore oraz kocyk, na którym pies podróżował w samochodzie. To wszystko wraz z garścią co jaskrawszych liści klonowych włożył do worka, dodając także kotlet barani z wczorajszej kolacji, który Lydia zostawiła dla psa.

Kiedy pan Fish skończył kopanie grobu, w niektórych domach zapalono już światła. Owen postanowił więc, że żałobnicy powinni trzymać świece, choć Lydia nie chciała ich przynieść. Przyniosła je dopiero na wyraźne polecenie mamy. Wtedy wezwano babcię.

– Była dobrym psem.

Słowom Owena towarzyszyły pomruki aprobaty.

– Nigdy nie będę już miał innego – dodał pan Fish.

– Przypomnę ci to w odpowiedniej chwili – zapewniła babka. Na gorzką ironię zakrawał dla niej fakt, że rozarium, które przez te wszystkie lata tyle wycierpiało od różnych wybryków Sagamore, teraz otrzyma w darze jej rozkładające się szczątki.

Cały ów rytuał przy blasku świec musiał wyglądać dość niesamowicie dla przechodniów na Front Street. Pewnie właśnie dlatego wielebny Lewis Merrill wraz z żoną znaleźli się w naszym ogródku. Merrill, blady w tym okresie roku, jakby był środek zimy, zjawił się dokładnie w chwili, gdy nie bardzo wiedzieliśmy, co powiedzieć. Jego żona, z nosem zaczerwienionym od pierwszego jesiennego kataru, miała na sobie zimowy płaszcz – jak w styczniu. Merillowie, odbywający właśnie swoją wieczorną przechadzkę, zwietrzyli uroczystość religijną.

Matkę, która stała drżąc z chłodu, niezwykle zaskoczyło ich pojawienie się.

– Tabby, robi mi się zimno na twój widok – rzucił pan Merrill, nerwowo przebiegając wzrokiem po wszystkich zebranych, aby zorientować się, która z jego owieczek leży w worku.

– Dziękujemy, pastorze, że pan przyszedł – odezwał się Fish, urodzony aktor-amator. – Może mógłby pan powiedzieć kilka słów z okazji rozstania z najlepszym przyjacielem człowieka? – Jednakże na twarzy Merrilla nadal malowało się zaskoczenie i zupełny brak zrozumienia. Spojrzał na matkę i na mnie. Następnie na worek. Zajrzał również do dołu na klombie róż, tak jakby to był jego własny grób. Jakoś nie dziwił go fakt, że właśnie tutaj zakończyli z żoną swój krótki spacerek.

Babcia, widząc zdenerwowanie pastora, który nieomal zaniemówił, wzięła go za rękę.

– To tylko pies – szepnęła. – Niech pastor powie kilka słów, dla dzieci.

Ale Merrill zaczął się jąkać. Im silniej drżała mama, tym bardziej drżał i on, tym bardziej trzęsły mu się wargi i nie potrafił wypowiedzieć najprostszych słów. Nie udało mu się wykrztusić pierwszego zdania. Pan Fish, który nigdy nie uczęszczał do żadnego z kościołów w mieście, podniósł jutowy worek i opuścił Sagamore do świata zmarłych.

Odpowiednie słowa znalazł Owen Meany.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan. Kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie na wieki”.

Jak na pogrzeb psa, były to podniosłe słowa, wielebny Merrill zaś, który przestał się jąkać, zamilkł.

– „Żyć będzie na wieki” – powtórzył Owen.

Gwałtowny poryw wiatru zasłonił mamie twarz włosami, w chwili gdy sięgnęła po rękę Owena.

Owen Meany zawsze przewodniczył wszelkim rytuałom, wszelkim nabożeństwom, obrządkom towarzyszącym przejściu na tamten świat.

W okresie owego pamiętnego Bożego Narodzenia 1953 roku, czy to podczas prób jasełek, czy przymierzając prezerwatywy Pottera na drugim piętrze Waterhouse Hall, właściwie nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to Owen wszystkim dyryguje. A już zupełnie nie przypuszczałem, że z tych wydarzeń mogłoby coś wyniknąć. Nawet w dziwacznym pokoju Owena nie dostrzegałem procesu wznoszenia ołtarza, choć wrażenie było właściwie nieodparte.

Trudno mi powiedzieć, czy rodzina Meanych obchodziła Boże Narodzenie. Co prawda, do drzwi wyjściowych na farmie przymocowywali grubym, obrzydliwym drutem wiecheć sosnowych gałęzi. Była to klamra jak z przemysłowych zszywarek, która na oko mogła posłużyć do łączenia dwóch bloków granitu albo przybicia Chrystusa do krzyża. Wiecheć w niczym nie przypominał wieńca. Stanowił bezkształtną masę, niby jakieś leśne legowisko, pospiesznie sklecone i porzucone w panice. Wewnątrz szczelnie zamkniętego domu nie było choinki ani żadnej dekoracji świątecznej. Nie było świec w oknach ani nawet zniedołężniałego Mikołaja, który by się opierał o lampkę na biurku.

Na kominku, gdzie nieomal bezustannie kopcił ogień, bo albo opał był zawsze wilgotny, albo węgle leżały nie poruszane przez wiele godzin, ustawiono szopkę z tandetnymi malowanymi figurkami drewnianymi. Krowa miała trzy nogi – stała niepewnie jak krowy Marii Beth Baird, oparta o dość groźnie wyglądającego kurczaka, który był tylko o połowę od niej mniejszy; przypominało to nieco proporcje gołębi Barb Wiggin. Puste oczodoły w twarzy pomalowanej na cielisty kolor dawały Matce Bożej wyraz osoby ponad wszelką wątpliwość ślepej i jednocześnie strasznej. Ktoś zatem w rodzinie Meanych zrobił bardzo słusznie, odwracając jej twarz od żłóbka. Bo proszę sobie wyobrazić, że stał tam żłóbek. Józef stracił gdzieś rękę. Może sam ją sobie odrąbał, na przykład w napadzie wściekłej zazdrości, bo w wyrazie jego twarzy było coś ponurego, tak jakby dym, który okopcił obramowanie kominka, wpłynął na niego przygnębiająco. Harfa jednego z aniołów została odłamana, a z wyrazu ust drugiego łatwiej można się było domyślać jęku żałobnika niż słodyczy anielskich pieni.

Ale najbardziej złowieszczą wymowę tej szopki stanowił brak samego Jezusa. Żłóbek był pusty. Dlatego właśnie okaleczona Maryja odwraca od niego swą okaleczoną twarz. Dlatego właśnie jeden anioł roztrzaskał swoją harfę, a drugi krzyczy przerażony. Dlatego właśnie Józef stracił rękę, a krowa nogę. Nie było w żłóbku Dzieciątka Jezus – albo zostało porwane, albo uciekło. W tradycyjnej scence brakowało obiektu kultu.

Za to więcej porządku, więcej boskiego zamysłu dostrzec można było w pokoju Owena, chociaż i tam brakowało symboli świątecznych, z wyjątkiem może czerwonej sukni mamy na manekinie. Ale wiedziałem przecież, że to jedyna suknia, jaką manekin mógł nosić przez okrągły rok.

Manekin stał teraz w głowie łóżka Owena, stał bliżej jego łóżka niż niegdyś łóżka mamy. Nie miałem żadnych wątpliwości, że w nocy mój przyjaciel może wyciągnąć rękę i dotknąć znajomej postaci.

– Nie wpatruj się tak bardzo w manekin. Nic dobrego z tego nie wyniknie – mówił.

Ale jemu to widać nie przeszkadzało, bo oto mama stała tuż nad nim.

Jestem pewien, że karty baseballowe, które kiedyś trzymał wyłożone na wierzchu, nie zniknęły. Niemniej nie leżały na żadnym widocznym miejscu. Nie widać też było żadnego atrybutu baseballa, choć dałbym głowę, że mordercza piłka musiała się znajdować gdzieś w pokoju. Tak jak przednie łapy pancernika, ale i ich nie widać było na pierwszy rzut oka. A Dzieciątko Jezus porwane ze żłóbka?... Nie miałem cienia wątpliwości, że Dzieciątko znajduje się gdzieś w pokoju Owena, może w pobliżu prezerwatyw Pottera, które Owen zabrał ze sobą, ale których nie było widać, tak samo zresztą jak łap pancernika, uprowadzonego Księcia Pokoju i tak zwanego narzędzia śmierci mojej matki.

Taki pokój nie zachęcał do dłuższej wizyty. Zjawialiśmy się tam zresztą tylko na krótko, czasami po to tylko, żeby Owen się przebrał, bo w czasie wakacji Bożego Narodzenia spał częściej u nas niż w domu.

Pani Meany nigdy ze mną nie rozmawiała ani nie zwracała na mnie uwagi, gdy się u nich zjawiałem. Nie pamiętam też, żeby Owen

kiedykolwiek zadał sobie trud poinformowania jej, że właśnie przyszedł albo że ja ich odwiedziłem. Pan Meany był przeważnie miły. Nie można było o nim powiedzieć, że jest wesoły czy ożywiony. Nigdy poza tym nie lubił przelewać z pustego w próżne, ale miałem okazję usłyszeć próbkę jego pełnego rezerwy poczucia humoru.

– O proszę, przyszedł Johnnie Wheelwright! – mawiał, tak jakby moja obecność u nich była dla niego zaskoczeniem albo jakby nie widział mnie od wielu lat... Może też w ten niezbyt delikatny sposób oznajmiał pani Meany, że przybyłem. Ale jej takie powitanie nie wzruszało. Nadal siedziała bokiem do okna i do mnie. Czasem dla odmiany patrzyła w ogień, jednak nawet najgorsza sytuacja w kominku nie mogła zmusić jej, by się ruszyła i poprawiła szczapy drewna czy węgle. Pewnie wolała dym od płomieni.

– Proszę, proszę, przyszedł Johnnie Wheelwright! – zaczął kiedyś pan Meany. Tego dnia musiał być chyba niezwykle skory do rozmowy, bo dodał: – Jak tam idą próby jasełek?

– Owen jest gwiazdą naszych żywych obrazów – odpowiedziałem. I dokładnie w tej samej chwili poczułem kostki jego malutkich dłoni na plecach.

– Nigdy nic nie mówiłeś, że jesteś gwiazdą! – zwrócił się pan Meany do syna.

– Owen gra Dzieciątko Jezus. A ja jestem Józefem.

– Dzieciątko Jezus? – zdziwił się pan Meany. – Myślałem, że jesteś aniołem.

– W tym roku nie – odrzekł Owen. – Chodź, musimy już iść. – Owen ciągnął mnie za koszulę.

– Jesteś małym Chrystusem? – dopytywał się ojciec.

– Tylko ja mogłem się zmieścić w żłóbku.

– Teraz nawet nie mamy żłóbka – wyjaśniałem dalej. – Owen kieruje wszystkim. Jest nie tylko gwiazdą, ale i reżyserem. – Owen tak mocno szarpnął mnie za koszulę, że rozpięła się na brzuchu.

– Reżyserem – powtórzył cicho pan Meany.

Nagle poczułem chłód, jakby nienaturalny ciąg wiatru przez komin. Ale to nie był przeciąg. To pani Meany się poruszyła. Wpatrywała się w Owena. Miała dość zaszokowaną minę – na jej twarzy malowała się mieszanina przerażenia i grozy. A także dobrze znane oburzenie.

Zrozumiałem teraz, jak przyjemnie wyglądał jej profil w porównaniu z takim wyrazem twarzy.

Na zewnątrz, w ostrym podmuchu wiatru znad Squamscott, spytałem Owena, czy powiedziałem coś, czego nie powinienem był powiedzieć.

– Chyba wolą mnie w roli anioła – odparł.

Śnieg nigdy nie chciał się trzymać na Maiden Hill. Nie mógł przyczepić się do sterczących wysoko ogromnych złomów granitu, zaznaczających granice kamieniołomów. W dołach śnieg był brudny, zmieszany z piaskiem, ze śladami ptaków i wiewiórek. Zbocza tych jam były zbyt strome dla psów. Wokół kamieniołomów granitu zawsze jest pełno piachu. Jakimś cudem udaje mu się wydostać na szczyt śnieżnej zaspy. Koło domu Owena było podobnie i nawet zimą miotło w twarz piaskiem jak na plaży.

Zobaczyłem, że Owen opuszcza nauszniki czerwono-czarnej czapki myśliwskiej w szachownicę. I w tym momencie przypomniałem sobie, że swoją czapkę zostawiłem u niego na łóżku. Schodziliśmy właśnie w dół Maiden Hill. Dan miał po nas podjechać samochodem do przystani przy Swasey Parkway.

– Zaczekaj chwilę – zwróciłem się do Owena. – Zapomniałem czapki. – Pobiegłem do domu. Zostawiłem go kopiącego kamień przymarznięty do koleiny podjazdu.

Nie zapukałem. Wiecheć gałęzi sosnowych i tak zasłaniał najbardziej oczywiste miejsce, w które mogłem zastukać. Pan Meany stał przy kominku. Patrzył albo na żłóbek, albo na ogień.

– Wpadłem tylko po swoją czapkę – wyjaśniłem, kiedy podniósł na mnie wzrok.

Do pokoju Owena również nie zastukałem. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że manekin się ruszył, że w jakiś tajemniczy sposób udało mu się zgiąć w pasie i usiąść na łóżku. Ale po chwili zorientowałem się, że to pani Meany tam siedzi. Wpatrywała się dość intensywnie w figurę mojej matki i nie oderwała od niej wzroku, gdy wszedłem.

– Zapomniałem czapki – powtórzyłem. Nie wiedziałem, czy mnie usłyszała czy nie.

Włożyłem czapkę i właśnie miałem wyjść z pokoju, starając się zamknąć za sobą jak najciszej drzwi.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy – odezwała się nagle pani Meany. Były to pierwsze słowa, jakie do mnie kiedykolwiek wyrzekła. Zajrzałem z powrotem do pokoju. Pani Meany siedziała nieporuszona. Miała głowę schyloną w kierunku manekina, jakby w oczekiwaniu na jakieś instrukcje.

Było południe, kiedy wraz z Owenem przechodziliśmy pod estakadą mostu kolejowego kilkaset jardów od kopalni granitu. Wiele lat później na podporze tego mostu miał znaleźć śmierć Buzzy Thurston, któremu szczęśliwie udało się nie pójść do wojska. Ale w czasie tego Bożego Narodzenia 1953 roku przechodziliśmy tamtędy dokładnie w chwili, gdy przejeżdżał Latający Jankes – pociąg ekspresowy, który pokonywał dystans między Portland a Bostonem w niespełna dwie godziny. Przelatywał przez Gravesend każdego dnia w południe. I chociaż nieraz przyglądaliśmy mu się z Owenem, stojąc na stacji, i także nieraz kładliśmy na torach miedziaki, żeby się rozpłaszczyły pod kołami, nigdy dotychczas nie znaleźliśmy się pod mostem w chwili, kiedy pędził po nim ekspres.

Gdy podpory mostu zaczęły drżeć, nadal miałem przed oczyma błagalny wyraz twarzy pani Meany siedzącej przed manekinem mamy. Ze szczelin konstrukcji zaczęły się sypać prosto na nas drobne kamyki. Drżały nawet betonowe przęsła. Osłaniając oczy przed lecącym żwirem, spojrzeliśmy w górę na ogromne ciemne cielsko pociągu, który huczał nad naszymi głowami. W przerwach między pędzącymi wagonami prześwitywało ołowiane zimowe niebo.

– To Latający Jankes! – próbował przekrzyczeć stukot Owen. Owenowi Meany'emu wszystkie pociągi wydawały się czymś szczególnym, gdyż sam nigdy koleją nie jechał. Ale już szczytem możliwości podróżowania był Latający Jankes, pędzący z taką zawrotną szybkością i nie zatrzymujący się w Gravesend. Owen, który sam nigdy nigdzie nie wyjeżdżał, był niezwykłym podróżnikiem-marzycielem.

– Co za zbieg okoliczności! – powiedziałem, kiedy Latający Jankes już przejechał. Chodziło mi o to, że mieliśmy kolosalne szczęście, by znaleźć się pod mostem dokładnie w południe, ale Owen uśmiechnął

się do mnie tym swoim niezwykle irytującym uśmiechem, w którym kryło się współczucie i pogarda zarazem. Naturalnie, teraz już wiem, że Owen nie wierzył w zbiegi okoliczności. Owen Meany był przekonany, że „zbieg okoliczności" stanowi głupi naiwny wybieg, stosowany przez głupich naiwnych ludzi, którzy nie potrafią zaakceptować faktu, iż ich życie kształtuje straszliwa groźna siła, potężna i niemożliwa do zatrzymania, znacznie potężniejsza niż Latający Jankes.

Służąca, która opiekowała się babcią i zastąpiła Lydię, kiedy ta straciła nogę, nazywała się Ethel i nieustannie musiała znosić zawoalowane przytyki na temat swej pracy, jakich nie szczędziły jej zarówno Lydia, jak i babcia. Mówię „zawoalowane" tylko dlatego, że babcia i Lydia nigdy nie robiły żadnych przytyków bezpośrednio pod adresem Ethel. Ale na przykład w jej obecności babcia mówiła do Lydii: „Pamiętasz, jak to przynosiłaś dżemy i galaretki z półek w sekretnym przejściu, gdzie się tak bardzo kurzą, i ustawiałaś je na półce w kuchni według dat?".

– Tak, pamiętam – odpowiadała wtedy Lydia.

– Mogłam w ten sposób zrobić przegląd wszystkich przetworów i stwierdzić chociażby, że któreś nie są zbyt smaczne, a ponieważ mają już dwa lata, więc można je spokojnie wyrzucić. Pamiętasz? – pytała babcia.

– Właśnie, któregoś roku wyrzuciłyśmy całą pigwę.

– Tak, po prostu lubiłam wiedzieć, co tam mamy – wzdychała babcia.

– Zawsze powtarzałam, że trzeba dokładnie kontrolować wszystkie te zapasy – przypominała Lydia.

I naturalnie następnego ranka biedna Ethel, stosownie, choć nie bezpośrednio pouczona – przynosiła dżemy i galaretki, żeby je odkurzyć i żeby babcia mogła sprawdzić ich zawartość.

Ethel była kobietą niewysoką, mocno zbudowaną, silną siłą jakby wiecznej młodości. Jednakże jej walory fizyczne podważał powolny umysł oraz kompletny brak pewności siebie. Poruszała się, nawet w trakcie tak podstawowej czynności jak sprzątanie domu, mocno

machając serdelkowatymi ramionami. Ale tym zdecydowanym wysiłkom towarzyszyły pełne wahań i niepewności kroczki szerokich stóp pod grubymi kostkami. Ethel często się potykała. Owen był zdania, że za wolno myśli, by można ją było porządnie przestraszyć, więc prawdę powiedziawszy, rzadko nią sobie zawracaliśmy głowę, nawet jeśli trafiały nam się okazje, żeby ją zaskoczyć w ciemnym sekretnym przejściu. I dlatego Ethel była w pewnym sensie gorsza od Lydii, ponieważ powiernica babci doskonale nadawała się do straszenia, zwłaszcza gdy jeszcze miała dwie nogi.

Służąca wynajęta do opieki nad Lydią to „zupełnie inna para kaloszy". Nazywała się Germaine i zarówno Lydia, jak Ethel się nad nią pastwiły. Babcia zupełnie świadomie ją ignorowała. Pośród tych nadętych bab Germaine znajdowała się w tej niekorzystnej sytuacji, że była młoda i całkiem ładna w nieśmiały, wręcz mysi sposób. Zachowywała się niezręcznie i nijako, jak ktoś, kto nieustannie robi wszystko, by nie rzucać się w oczy, i to tak dalece, że w końcu okazywała się wyjątkową, wręcz wyrafinowaną fajtłapą. Zupełnie nieświadomie Germaine ściągała na siebie uwagę, elektryzując otoczenie swą nerwowością.

Kiedy próbowała się prześlizgnąć obok okien, te się nagle zamykały. Drzwi niespodziewanie się otwierały. Cenne wazony, gdy się do nich zbliżała, zaczynały drżeć. Kiedy wyciągała rękę, by je przytrzymać, nagle rozbijały się z hukiem. Wózek Lydii pod dotykiem niepewnej ręki Germaine natychmiast się zacinał. A gdy Germaine otwierała lodówkę, natychmiast gasło w niej światło. Gdy zaś żarówka w garażu paliła się całą noc, babcia, wypytując wszystkich wczesnym rankiem, dowiadywała się nieodmiennie, że to właśnie Germaine ostatnia kładła się spać.

– Ten, kto idzie spać ostatni, gasi światło – mawiała sennym szeptem Lydia.

– Ja się na pewno nie kładłam ostatnia – oświadczała Ethel. – Wiem, bo Germaine zbudziła mnie, kiedy szła do łóżka.

– Bardzo przepraszam – szeptała Germaine.

Babcia w odpowiedzi na coś takiego wzdychała głęboko i potrząsała głową, tak jakby w ciągu nocy ogień pochłonął kilka

pomieszczeń jej olbrzymiego domu i nic już się nie dało uratować – nie zostało jej zresztą też nic do powiedzenia.

Ale ja wiem, dlaczego babcia starała się ignorować Germaine. W odruchu iście jankeskiej oszczędności podarowała dziewczynie wszystkie ubrania mamy. Germaine była trochę za niska, a na pewno w życiu nie miała równie pięknych ubrań. Nosiła je z radością i jednocześnie pełnym szacunkiem. Germaine nigdy nie wyczuła, jak bolesna musi być dla babci jej obecność w tych wszystkich znajomych ubiorach. Babcia chyba nie zdawała sobie sprawy, że widok ten będzie dla niej tak przykry. Jednocześnie była zbyt dumna, żeby kiedykolwiek przyznać się do popełnionego błędu. Nie pozostawało jej nic innego, jak odwracać od dziewczyny wzrok. A że to, co ma na sobie, nie za bardzo na nią pasuje, to tylko wina Germaine.

– Powinnaś więcej jeść – mówiła babcia, nie patrząc na służącą. Właściwie nigdy nie zwracała uwagi na to, co dziewczyna je, zauważając tylko, że ubrania na niej wiszą. Ale Germaine choćby nie wiem jak się opychała, i tak nigdy nie będzie miała biustu mamy.

– John? – szeptem pytała Germaine, wchodząc do sekretnego korytarza. Jedyna żarówka u stóp krętych schodów nie oświetlała całego przejścia. – Owen? Jesteście tutaj? Nie przestraszcie mnie!

Owen i ja czekaliśmy, aż skręci korytarzem za wysokie zakurzone półki sięgające mniej więcej do ramion. Dziwaczne kształty słoików z dżemami i galaretkami rzucały poskręcane cienie na przykryty pajęczynami sufit. Wyższe, mniej regularne figury powstawały od większych słoi z przetworami pomidorów i słodkiej papryki, słoiki zaś ze śliwkami w brandy rzucały cienie niewyraźne, całe pogięte, niby jakieś twory wulkaniczne.

– Nic się nie bój! – szeptał Owen w ciemności. Wtedy, podczas wakacji zimowych, Germaine po czymś takim wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam! To tylko ja! – zawołał za nią chłopiec.

Ale Germaine szczególnie bała się Owena. Wierzyła we wszystkie nadprzyrodzone rzeczy, które nazywała „znakami". Znakiem było na przykład, gdy jeden z kotów przy Front Street zagryzł rudzika, co się zresztą zdarzało dość często. Jej zdaniem, kiedy ktoś był świadkiem takiej tortury, to „oczywisty znak", że będzie uczestniczył w jeszcze

bardziej krwawym wydarzeniu. Dla biednej Germaine sam Owen był „znakiem” – będąc tak niewielkiej postury, mógł wkraść się do ciała i duszy drugiej osoby i spowodować, że osoba ta zachowywała się w nieprawdopodobny sposób.

To w czasie rozmowy przy stole Germaine dostrzegła, jaki nienormalny głos ma Owen. Babcia spytała mnie, czy Owen albo jego rodzina próbowali coś kiedyś zrobić z głosem chłopca.

– W sensie medycznym – dodała babcia, a Lydia z takim zapałem zaczęła kiwać głową, że bałem się, czy jej spinki nie wylecą z włosów na talerz.

Mama raz podszepnęła Owenowi, że jej nauczyciel śpiewu mógłby może coś poradzić albo zasugerować jakieś ćwiczenia, żeby mówił trochę, no jak by to powiedzieć – normalniej. Babcia i Lydia jak zwykle na samo wspomnienie o tym człowieku wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Wyjaśniłem im później, że mama nawet podała Owenowi adres i numer telefonu owego tajemniczego osobnika. Jestem jednak pewien, że Owen nigdy się z nim nie skontaktował.

– Dlaczego nie? – spytała babcia. „Faktycznie, dlaczego?” – zdawała się pytać Lydia, kiwając nieprzerwanie głową. To kiwanie głową stanowiło najoczywistszy dowód, że starzeje się znacznie szybciej niż babcia. A właściwie coś takiego szepnęła mi kiedyś na osobności babcia. Babcię wręcz chorobliwie interesował proces starzenia dawnej służącej, ponieważ zachowanie Lydii stanowiło jakby barometr jej bliskiej przyszłości.

Ethel sprzątała ze stołu – jak to zwykle ona – manifestując agresję w połączeniu ze ślamazarnością. Wzięła zbyt wiele naczyń naraz, ale marudziła przy stole tak długo, że wyglądało na to, iż za chwilę część ich odstawi. Chyba właśnie usiłowała się zastanowić, dokąd ma to wszystko zabrać. Germaine zbierała ze stołu tak, jak kaleka jaskółka, która sfruwa, żeby porwać okruch z piknikowego talerza. Ona z kolei brała zawsze za mało. Na przykład, jedną łyżkę. I to często tę niewłaściwą. Albo też potrafiła sprzątnąć widelec do sałatki, zanim sałatka została podana. Ale nawet jeśli niepokój, jaki wprowadzała wokół stołu, był nieznaczny, choć pełen fantazji, to towarzyszyło temu charakterystyczne dla Germaine niebezpieczeństwo różnych

przykrych przygód. Kiedy podchodziła do ciebie Ethel, można się było spodziewać lawiny z talerzy, która jednak nigdy nie spadała. Gdy zbliżała się Germaine, pilnowałeś talerza i sreber w obawie, że jakiś potrzebny sprzęt zniknie ci nagle sprzed nosa i przy okazji zaleje cię woda z przewróconej w tym nagłym kapryśnym ataku szklanki. A coś takiego niestety często się zdarzało.

I właśnie na tej pełnej niepokoju arenie, w czasie sprzątania ze stołu po kolacji wyjaśniłem babci i Lydii, dlaczego Owen Meany nie chciał poradzić się nauczyciela mamy, jak zmienić swój głos.

– Owen uważa, że nie powinien próbować zmieniać swego głosu – rzekłem.

Ethel nie dała za wygraną, ociężale odchodząc od stołu, obładowana dwoma półmiskami, salaterką na jarzynę oraz wszystkimi dużymi talerzami i sztućcami. Babcia, wyczuwając elektryzującą obecność Germaine, chwyciła jedną ręką szklankę z wodą, kieliszek z winem – drugą.

– Dlaczego, na Boga, tak uważa? – spytała, a w tym czasie Germaine, nie wiadomo po co, sprzątnęła młynek do pieprzu, jednocześnie zostawiając na stole solniczkę.

– Uważa, że jego głos służy jakiemuś celowi. Że ma taki właśnie głos z jakiegoś konkretnego powodu.

– Jakiego? – dopytywała się babcia.

Ethel zbliżała się do drzwi kuchennych, ale wyraźnie zwlekała z wejściem, przenosząc z jednej ręki do drugiej całą stertę naczyń i, być może, zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinna ich zanieść do bawialni. Germaine zajęła stanowisko tuż za fotelem Lydii, ta zaś przybrała natychmiast postawę obronną.

– Owen uważa, że jego głos pochodzi od Boga – rzekłem cicho w chwili, gdy Germaine, sięgając po czystą łyżeczkę deserową Lydii, upuściła jednocześnie młynek do mielenia pieprzu do jej szklanki z wodą.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęła Lydia. Było to ulubione powiedzonko babci, która przyjrzała się w tym momencie Lydii, tak jakby ta kradzież stanowiła kolejny dowód na to, że Lydia znacznie bardziej się od niej posunęła w latach.

– Moim zdaniem, jego głos pochodzi od diabła – odezwała się ku ogólnemu zaskoczeniu Germaine.

– Bzdura! – zakrzyknęła babcia. – Ani od Boga, ani od diabła! Wszystkiemu winien jest granit! Nawdychał się pyłów, kiedy był mały, i dlatego ma taki dziwaczny głos i nie urósł!

Lydia, wciąż kiwając głową, nie pozwoliła Germaine wyciągnąć młynka ze szklanki. Na wszelki wypadek zrobiła to sama. Ethel wparowała do kuchni z wielkim hukiem. Drzwi otworzyły się szeroko i Germaine przebiegła szybko przez pokój z pustymi zupełnie rękoma.

Babcia westchnęła głęboko. Nawet w odpowiedzi na westchnienie babci Lydia kiwała głową, tyle że tym razem skinęła może nieco słabiej.

– Od Boga! – powtórzyła babcia pogardliwie. – No tak. Właściwie to wątpię, żeby twój mały przyjaciel zachował adres i telefon nauczyciela śpiewu, co? No bo, jak mówiłeś, i tak nie miał zamiaru się do niego odezwać.

Przy tym zręcznym pytaniu babcia i Lydia wymieniły jak zwykle porozumiewawcze spojrzenia. Ja zaś na serio zacząłem ten problem rozważać. Dostrzegłem w nim kilka znaczeń. Wiem, że babcia nie miała żadnych informacji o nauczycielu śpiewu, a jakże musiało ją to ciekawić. Jednocześnie wiedziałem, że Owen nigdy by nie wyrzucił kartki z adresem. Niezależnie od tego, że i tak nie zamierzał z niej skorzystać. Owen prawie nigdy niczego nie wyrzucał. A już coś, co dała mu mama, nie tylko nie znalazłoby się w koszu, ale na dodatek zostałoby otoczone szczególną czcią.

Mojej babci zawdzięczam wiele, między innymi umiejętność zadawania zręcznych pytań.

– Po co Owen miałby ją zatrzymać? – spytałem niewinnie.

Babcia ponownie westchnęła, a Lydia skinęła głową.

– Faktycznie, po co? – powtórzyła Lydia ze smutkiem.

Teraz przyszła kolej na babcię z kiwaniem głową. Stwierdziłem, że obie się starzeją i robią słabowite, ale tak naprawdę to zastanawiałem się, dlaczego postanowiłem zatrzymać tylko dla siebie informację, że mój przyjaciel może mieć adres i numer telefonu nauczyciela mamy. Nie wiem dlaczego – w każdym razie wtedy nie

wiedziałem. Teraz za to wiem, iż Owen Meany orzekłby, że to nie przypadek.

A co by powiedział na odkrycie, że owego Bożego Narodzenia nie byliśmy jedynymi, którzy robili użytek z pustych pokoi w Waterhouse Hall? Czy to też nieprzypadkowo któregoś popołudnia, gdy zabawialiśmy się jak zwykle myszkowaniem na pierwszym piętrze, usłyszeliśmy, jak drugi zapasowy klucz otwiera drzwi? Jednym susem wskoczyłem do garderoby, bojąc się, że wieszaki nie przestaną hałasować, zanim kolejny intruz wejdzie do pokoju. Owen czmychnął pod łóżko. Leżał na plecach, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, niby żołnierz w pośpiesznie wykopanym grobie. Z początku pomyślałem sobie, że to Dan nas przyłapał, ale Dan miał próbę z Trupą Gravesend, chyba że w odruchu rozpaczy prawie wszystkich wywalił i odwołał przedstawienie. Mógł to być jeszcze tylko ten biolog, Brinker-Smith, ale on mieszkał na parterze. Zachowywaliśmy się tak cicho, że nie uwierzę, by z parteru można nas było usłyszeć.

– A teraz się troszkę zdrzemniemy. – Słowom Brinker-Smitha towarzyszył chichot jego żony.

W mgnieniu oka zdaliśmy sobie z Owenem sprawę z tego, że Ginger nie przyprowadziła swego męża do tego pokoju po to, by go nakarmić. Nie mieli ze sobą bliźniaków. Bliźniaki zresztą w tym czasie spały po obiedzie. Teraz widzę, że Brinker-Smithom natura nie poskąpiła inicjatywy połączonej z cudownym i niezwykle twórczym zmysłem figlarności, bo jakże by inaczej mogli korzystać z przyjemności życia małżeńskiego, nie przeszkadzając jednocześnie swoim wymagającym bliźniakom? Wtedy oczywiście Owena i mnie uderzyło, iż Brinker-Smithowie są niewyżyci seksualnie, skoro jak szaleni korzystają z łóżek w sypialni studentów, nie mówiąc już o tym, czego dowiedzieliśmy się później, że po kolei wypróbowywali wszystkie sypialnie Waterhouse Hall. No tak, naszym zdaniem, jak na rodziców było to zachowanie dość perwersyjne. Dzień po dniu, drzemka za drzemką, łóżko za łóżkiem Brinker-Smithowie systematycznie zbliżali się do trzeciego piętra, a ponieważ Owen i ja schodziliśmy na parter, nasze spotkanie z nimi na pierwszym piętrze było nieuniknione, chociaż Owen stwierdziłby, że to nie przypadek.

Przez zamknięte drzwi szafy nic nie widziałem, ale wiele słyszałem. (Nigdy nie słyszałem, jak Dan robił to z matką). Jak zawsze, Owen Meany miał lepsze pole obserwacji tego pełnego namiętności zdarzenia. Części garderoby Brinker-Smithów lądowały na podłodze z obu jego stron. Legendarny stanik karmiącej matki należący do Ginger znalazł się dosłownie kilka centymetrów od jego twarzy. Musiał odwracać głowę na bok, aby nie dźgnęły go wybrzuszające się sprężyny łóżka, które gwałtownie ocierały mu się o nos. Nawet jeśli odwracał się na bok, sprężyny od czasu do czasu schodziły aż do podłogi, muskając go w policzek.

– Najgorszy z tego wszystkiego był hałas – powiedział mi później z oczyma pełnymi łez, kiedy już Brinker-Smithowie wrócili do swych bliźniaków. – Czułem się jak pod latającym Jankesem!

Fakt, że Brinker-Smithowie w sposób o wiele bardziej twórczy i oryginalny wykorzystywali Waterhouse Hall niż Owen i ja, miał ogromny wpływ na resztę naszych zimowych wakacji. Byliśmy zaszokowami i zbici z tropu. W końcu Owen zaproponował, żebyśmy powrócili do zdecydowanie bardziej cywilizowanych poszukiwań w domu przy Front Street.

– Ach, jaki twardy! – krzyczała Ginger Brinker-Smith.

– Jaka wilgotna! – wydzierał się w odpowiedzi pan Brinker-Smith. Bang! Bang! – łomotały po głowie Owena Meany'ego sprężyny łóżka.

– Cóż to za idiotyzmy – twardy, wilgotna! To przez seks ludzie dostają fioła! – Owen był zdegustowany.

Wystarczyło mi tylko pomyśleć o Hester, żeby mu przyznać rację.

I właśnie po naszym pierwszym kontakcie z aktem miłosnym znaleźliśmy się w domu przy Front Street numer 80, bez żadnego zresztą konkretnego celu; w dniu, w którym nasz listonosz pan Morrison oświadczył, że rezygnuje z roli Ducha Przyszłych Wigilii.

– Dlaczego mnie pan o tym mówi? – spytała babcia. – Ja nie jestem reżyserem.

– Do Dana mi nie po drodze – oświadczył ponury pocztylion.

– Nie przekazuję tego typu wiadomości, nawet Danowi – rzekła babcia. – Powinien pan pójść na najbliższą próbę i sam mu o tym powiedzieć.

Babcia zostawiła drzwi zewnętrzne szeroko otwarte i mroźne grudniowe powietrze musiało jej mocno wiać po nogach. Nawet mnie i Owenowi, którzy staliśmy za babcią, głębiej w hallu, było zimno, a obaj mieliśmy na sobie flanelowe spodnie. Czuliśmy chłód emanujący z pana Morrisona, który w ręce obleczonej rękawiczką trzymał plik korespondencji, tak jakby nie chciał jej oddać babci, aż się zgodzi przekazać wiadomość Danowi.

– Moja noga już więcej nie postanie na żadnej z tych prób – stwierdził pan Morrison, przesuwając stopy w ciężkich wysokich botkach i unosząc wyładowaną skórzaną torbę.

– Gdyby składał pan wymówienie na poczcie, to czy poprosiłby pan pośrednika o przekazanie wiadomości szefowi? – spytała go babcia.

Morrison na chwilę się zamyślił. Jego twarz stawała się na przemian to czerwona, to fioletowa z zimna.

– Nie przypuszczałem, że to będzie taka rola – odezwał się w końcu.

– No to niech pan powie o tym Danowi – odrzekła babcia. – Przyznam się szczerze, że sama niewiele wiem na jej temat.

– Ale ja wiem – wtrącił się Owen. Babcia spojrzała na niego niepewnie. Zanim jednak ustąpiła mu miejsca przy otwartych drzwiach, wyrwała Morrisonowi pocztę z niepewnie wyciągniętej dłoni.

– A co ty tam wiesz? – spytał listonosz Owena.

– To bardzo ważna rola. Jest pan ostatnim duchem, który ukazuje się Scrooge'owi. Jest pan Duchem Przyszłych Wigilii. Najstraszniejszym z tych duchów!

– Ale nie mówię ani słowa! Ten duch nie wygłasza ani jednej kwestii! – ciągnął rozżalony pan Morrison.

– Wielki aktor nie musi mówić! – wyjaśnił Owen.

– Muszę nosić ten ogromny czarny płaszcz, i to z kapturem! – protestował dalej pan Morrison. – Spod którego nie widać mojej twarzy.

– Jest na świecie jakaś sprawiedliwość – szepnęła do mnie w tym momencie babcia.

– Wielki aktor nie potrzebuje twarzy.

– Ale aktor musi coś robić! – wykrztusił wreszcie z siebie listonosz.

– To pan ukazuje Scrooge'owi, co się z nim stanie, jeśli nie uwierzy w Boże Narodzenie! – krzyknął Owen. – To pan pokazuje człowiekowi jego własny grób. Czy może być coś straszniejszego?

– Ale ja mam tylko wskazywać. A nikt by nie wiedział, na co wskazuję, gdyby stary Scrooge nie mówił sam do siebie. „O, duchu, jeżeli jest w Londynie ktoś, kogo śmierć tego człowieka poruszyła, pokaż mi go, duchu. Błagam cię, pokaż mi go!". Scrooge ciągle coś takiego wygaduje – skarżył się Morrison. – „Pokaż mi, duchu, jakieś uczucia tkliwe, obudzone czyjąś śmiercią", i tak dalej. – Był wyraźnie rozgoryczony. – A ja mam wskazywać. I nie muszę nic mówić. Widać tylko mój jeden palec! – żołądkował się pan Morrison. Ściągnął rękawiczkę i długim kościstym paluchem wycelował w Owena Meany'ego, który cofnął się na widok jego kościotrupiej dłoni.

– To wielka rola dla wielkiego aktora – ciągnął uparcie Owen. – Musi pan dać odczuć swoją obecność. A nic tak nie napawa przerażeniem jak przyszłość.

Za plecami Owena zgromadził się tłumek ciekawskich – Lydia na wózku inwalidzkim, Ethel zajęta polerowaniem świecznika i Germaine widząca w Owenie diabła... Wszyscy tłoczyli się za babcią, która była na tyle stara, by wziąć sobie do serca stwierdzenie Owena. Wiedziała, że nic tak nie przeraża jak przyszłość, chyba że ktoś ją zna.

Owen gwałtownie wyrzucił ręce do góry, tak że zaskoczone kobiety aż odskoczyły.

– Pan wie, co się ma zdarzyć! – krzyczał na utyskującego listonosza. – Jeśli wejdzie pan na scenę, tak jakby znał pan przyszłość, jakby wiedział pan wszystko, to ludzie zesrają się ze strachu!

Pan Morrison chwilę rozważał treść usłyszanych słów. Na moment w jego spojrzeniu zabłysła nawet iskierka zrozumienia, jakby zobaczył, choć na krótko, swoje napawające przerażeniem możliwości. Ale bardzo szybko wzrok przesłoniła mu mgiełka własnego oddechu na zimnym powietrzu.

– Proszę po prostu powiedzieć Danowi, że odchodzę, to wszystko – oświadczył, po czym odwrócił się i wyszedł, „zupełnie niedramatycznie", jak orzekła później babcia. W owej chwili babcia,

mimo że nie lubiła wulgarnego języka, była niemal oczarowana Owenem Meanym.

– Odejdź od tych otwartych drzwi – powiedziała. – Już i tak poświęciłeś temu głupkowi znacznie więcej uwagi, niż na to zasługuje – nie daj Boże, jeszcze się zaziębisz!

– Natychmiast dzwonię do Dana – mimochodem rzucił Owen. Ruszył prosto do telefonu i wykręcił numer. Ani kobiety, ani ja nie chcieliśmy wyjść z hallu, chociaż żadne z nas nie zdawało sobie chyba sprawy, że staliśmy się jego publicznością.

– Halo, Dan? Mówi Owen! – Tak jakby mogły być jakiekolwiek wątpliwości. – Dan, mam pilną sprawę. Straciłeś Ducha Przyszłych Wigilii. Tak, Morrisona, tego bojaźliwego listonosza.

– Tego bojaźliwego listonosza! – powtórzyła pełna podziwu babcia.

– Tak, tak, wiem, że się do niczego nie nadawał, ale nie możesz przecież zostać bez tego ducha.

I w tym właśnie momencie przejrzałem wszystko. Zobaczyłem przyszłość albo przynajmniej jedną małą jej cząstkę. Owenowi nie udało się namówić pana Morrisona, aby zagrał, ale przekonał sam siebie, że jest to niezwykle ważna rola, zdecydowanie bardziej atrakcyjna niż Maleńkiego Tima, bohatera pozytywnego. Poza tym ustalono, że Duch Przyszłych Wigilii nic w sztuce nie mówi. Owen nie musiałby używać swego głosu – ani w roli Dzieciątka Jezus, ani Ducha Przyszłych Wigilii.

– W każdym razie nie wpadaj w panikę, Dan – ciągnął Owen. – Bo chyba znam kogoś, kto się idealnie do tej roli nadaje. No, może nie idealnie, ale jest w każdym razie trochę inny.

Przy słowie „inny” babcia zadrżała. Poza tym pierwszy raz spojrzała na Owena Meany’ego oczyma, w których dało się dostrzec namiastkę szacunku.

Pomyślałem sobie, że po raz kolejny maleńki Książę Pokoju przejął dowództwo. Popatrzyłem na Germaine – przygryzała dolną wargę. Dobrze wiedziałem, co sobie myśli. Lydia, kołysząc się w fotelu, jak zahipnotyzowana przysłuchiwała się tej jednostronnej rozmowie telefonicznej. Ethel trzymała w ręku lichtarz niczym broń.

– Ta rola wymaga pewnej obecności – mówił Owen do Dana. – Duch musi zachowywać się tak, jakby faktycznie znał przyszłość. Tak

się składa, że inna rola, jaką gram w czasie tego Bożego Narodzenia – tak, tak, chodzi mi o te idiotyczne żywe obrazy – no więc, tak się składa, że ona przygotowuje mnie do tej właśnie roli. W obu trzeba panować nad sytuacją bez słów. Tak, naturalnie, mam na myśli siebie! – Nastąpiła przerwa, w czasie której Owen słuchał, co Dan ma mu do powiedzenia. – A kto mówi, że Duch Przyszłych Wigilii musi być wysoki? – odezwał się ze złością. – Jasne, wiem, że pan Fish jest wysoki. Ale, Dan, nie myślisz chyba... – Nastąpiła kolejna krótka przerwa i Owen odezwał się dopiero po chwili. – Możemy zrobić prosty test: najnormalniej w świecie spróbuję to zagrać. Jeśli ludzie zaczną się śmiać, to nie ma sprawy. Jeśli się przestraszą, ja zagram tę rolę. Tak, „włącznie z panem Fishem". Jeśli się śmieją – nie gram, jeśli się przestraszą, angażujesz mnie.

Ale ja nie musiałem czekać na wyniki tego dziwacznego testu. Wystarczyło popatrzeć na pełną niepokoju twarz babci, a także na stojące wokół niej kobiety. Strach przed Owenem Meanym był widoczny w sparaliżowanej minie Lydii, w zbielałych kostkach dłoni Ethel zaciśniętych na lichtarzu, w drżącej wardze Germaine. Nie potrzebowałem czekać do pierwszej próby Owena, żeby wiedzieć, czy jest dobry. Wiedziałem doskonale, jak potrafi urealnić swą obecność, zwłaszcza jeśli chodzi o znajomość przyszłości.

Tego wieczoru podczas kolacji usłyszeliśmy od Dana o sukcesie Owena; o tym, jak aktorzy stali przerażeni, nawet nie mając pojęcia, kim jest ten karzeł, bo Owena całkowicie zakrywał czarny płaszcz i kaptur. Nieważne, że nie wypowiedział ani słowa oraz że nie widzieli jego twarzy. Nawet pan Fish nie miał pojęcia, kto napędza im takiego stracha.

Wszystko odbyło się zgodnie ze słowami Dickensa: „O straszna, zimna, okrutna śmierci, wznoś tu sobie swój ołtarz i ozdabiaj go wszystkimi okropnościami, jakie masz do rozporządzenia, gdyż jest to twoje królestwo".

Owen potrafił prawie że przefrunąć po scenie. Parokrotnie zaskoczył pana Fisha, który tracił już orientację, gdzie on się znajduje. Kiedy Owen wskazywał, co miał wskazywać, czynił to gwałtownym, konwulsyjnym, niecierpliwym ruchem – biała dłoń wystrzelała spośród fałd czarnego, powiewającego płaszcza. Potrafił

sunąć w powietrzu powoli, jak łyżwiarz, który wyhamowuje, albo też muskał ziemię z odrażającą szybkością nietoperza.

– „Zanim podejdę bliżej do nagrobka, który wskazujesz – mówił pan Fish przy grobie Scrooge'a – odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy widziadła, któreś mi ukazał, są cieniami przyszłości, która musi czy tylko może nastąpić?".

Jak nigdy dotychczas pytanie to przyciągało uwagę wszystkich amatorów Trupy Gravesend. Nawet dla pana Fisha odpowiedź na nie wydawała się kluczowa. Ale karłowaty Duch Przyszłych Wigilii był bezlitosny. Jego obojętność wobec tego pytania nawet Dana Needhama przyprawiła o dreszcze.

W tym momencie pan Fish podchodził do grobu na tyle blisko, żeby dostrzec wypisane na nim swoje imię.

– „Ebenezer Scrooge... A więc to ja byłem owym nieszczęśnikiem, który leżał na marach?" – krzyczał, padając na kolana. I właśnie z tej wysokości, kiedy znalazł się dosłownie tuż ponad głową Owena Meany'ego, po raz pierwszy w pełni zobaczył odwróconą pod kapturem twarz. Panu Fishowi daleko było do śmiechu – wrzasnął.

Miał właśnie powiedzieć: „Nie, duchu! O, nie, nie, nie! Wysłuchaj mnie, duchu! Nie jestem już tym człowiekiem, jakim byłem dotąd!", i tak dalej, ale on po prostu wrzeszczał. Tak gwałtownie cofnął ręce od kaptura Owena, że strącił mu go z głowy, ukazując twarz chłopca pozostałym aktorom. Niektórzy krzyknęli, ale nikt się nie zaśmiał.

– Kiedy tylko sobie przypomnę tę scenę, to jeszcze czuję, jak mi włosy stają dęba – opowiadał Dan przy kolacji.

– Wcale się nie dziwię! – odrzekła babcia.

Po kolacji zjawił się z pokorną miną pan Fish.

– No, mamy przynajmniej jednego dobrego ducha – rzekł. – W tej sytuacji jest mi dużo łatwiej, naprawdę – dzielił się na głos swoimi myślami. – Ten mały robi dobre wrażenie, nie ma co. Ciekaw jestem, jak na niego zareaguje publiczność.

– Mieliśmy już przecież okazję to zauważyć – przypomniał mu Dan.

– No tak, racja – pośpiesznie przytaknął pan Fish, ale był wyraźnie zaniepokojony.

– Ktoś mi powiedział, że córka pana Early zrobiła siusiu w majtki – poinformował nas Dan.

– Wcale mnie to nie dziwi – powtórzyła babcia. Germaine, sprzątając ze stołu po jednej łyżeczce, była gotowa zrobić to samo.

– Może mógłby pan go trochę utemperować? – zasugerował Fish.

– Jak to?

– No, niech się trochę opanuje w tym, co robi – ciągnął pan Fish.

– To znaczy w czym?

– Bo ja wiem. To jest takie... nieprzyjemne.

– Może gdy ktoś siedzi trochę dalej, w dalszych rzędach, nie odbiera tego aż tak – sugerował Dan.

– Tak pan myśli? – nie dowierzał pan Fish.

– Do końca nie jestem pewien.

– A gdybyśmy tak od razu widzieli jego twarz? – padła kolejna propozycja.

– Jeśli nie ściągnie mu pan kaptura, nikt nie zobaczy twarzy – stwierdził Dan. – Tak chyba będzie lepiej.

– Owszem, zdecydowanie lepiej – przyznał mu rację pan Fish.

Ojciec Owena podwiózł chłopca do domu przy Front Street, gdzie miał spędzić noc. Pan Meany wiedział, że babcia nie znosi hałasu, jaki ciężarówka robi na podjeździe. Dlatego właśnie nikt z nas nie słyszał przyjazdu Owena, bo ojciec wysadził go na ulicy.

Wszystko zgrało się w czasie w sposób iście magiczny. Pan Fish żegnał się dokładnie w momencie, kiedy Owen sięgał do dzwonka. W tej samej chwili babcia zapaliła światło na ganku. Owen zamrugał gwałtownie. Jego drobna, ostra twarz wyjrzała spod czerwono-czarnej czapki myśliwskiej i zwróciła się w stronę pana Fisha. Mój przyjaciel wyglądał jak ktoś nagle osaczony, kogo na dodatek zaskoczyło światło. Żółtawy siniak, przechodzący w odcień zmatowiałego srebra, pokrywał policzek Owena w miejscu, w którym ocierała go sprężyna z łóżka Brinker-Smithów, nadając twarzy niejednolity trupi kolor. Pan Fish cofnął się do hallu.

– O diable mowa... – przywitał go z uśmiechem Dan. Owen również odpowiedział uśmiechem skierowanym do nas wszystkich.

– Chyba już słyszeliście, że dostałem rolę – obwieścił mnie i babci.

– Wcale nie było to dla mnie zaskoczeniem – odrzekła babcia. – Może wejdziesz? – Nawet przytrzymała przed nim otwarte drzwi. A także zdobyła się na rozkoszny dziewczęcy dyg, właściwie całkiem

nie na miejscu, ale Harriet Wheelwright miała ten dar, że jednym królewskim gestem potrafiła nadać stosowny charakter krotochwilom i sarkazmom.

Uwadze Owena Meany'ego nie uszła ironia w głosie babci. Jednakże uśmiechnął się do niej szeroko i odpowiedział na jej dyg pewnym siebie skinieniem głowy, unosząc lekko czerwono-czarną czapkę myśliwską. Owen odniósł triumf i wiedział o tym. Babcia też o tym wiedziała. Nawet Harriet Wheelwright, z charakterystyczną dla elity przybyłej na „Mayflower" obojętnością wobec wszystkich Meanych tego świata, pojęła, że w granitowej myszy kryje się coś więcej niż to, co można dostrzec gołym okiem.

Pan Fish, być może po to, by odzyskać spokój, nucił sobie pod nosem melodię popularnej kolędy. Nawet Danowi jej słowa nie były obce. Kiedy Owen skończył otrząsać śnieg z butów i Dzieciątko Jezus wkroczyło w nasze progi, Dan jakby na pół śpiewając, na pół mrucząc do siebie, zanucił refren, który tak dobrze wszyscy znaliśmy: *Słuchajcie! Anioł głosi chwałę narodzonemu Królowi.*

6 Karol Dickens, „Opowieść wigilijna", tłum. Krystyna Tarnowska, Warszawa 1985.

DUCH PRZYSZŁYCH WIGILII

I tym sposobem Owen Meany zmienił naszą tradycję świąt Bożego Narodzenia. Skoro znowu nie mógł pojechać do Sawyer Depot, o czym już od tak dawna marzył, postarał się dostać dwie główne, nie wymagające mówienia role w obu przedstawieniach, jakie proponowano Gravesend w sezonie zimowym. Jako Dzieciątko Jezus oraz Duch Przyszłych Wigilii przyjął rolę proroka i – co nas wszystkich napawało niepokojem – wyglądało na to, że coś wie na temat naszej przyszłości. Raz – tak mu się przynajmniej wydawało – przejrzał przyszłość mojej mamy. A nawet został narzędziem jej losu. Zastanawiałem się, co też wiedział o przyszłości Dana, babci, Hester, mojej czy swojej.

Owen Meany zapewnił mnie, że Bóg wyjawi mi, kim jest mój ojciec. Ale jak dotychczas, Bóg milczał.

Za to Owen gadał bez przerwy. Udało mu się przekonać Dana i mnie, żebyśmy się wyrzekli manekina na jego korzyść. Umieścił sobie tę rozdzierającą serce postać koło łóżka, aby go pilnowała, aby była jego aniołem. Udało mu się przekonać wszystkich, że powinien zejść z niebios do żłóbka. Ze mnie zrobił Józefa, dobrał mi Maryję, przemienił gołębie w krowy. Zmienił koncepcję Bożego Narodzenia, ale na tym nie poprzestał. Interpretował na nowo Dickensa, bo nawet Dan musiał przyznać, że Owen Dickensa nieznacznie przerobił. Milczący Duch Przyszłych Wigilii skradł przedostatnią scenę Scrooge'owi.

I nawet w „The Gravesend News-Letter" nie wspomniano, że Scrooge jest w tym przedstawieniu pierwszoplanową postacią. Krytykowi teatralnemu gazety absolutnie umknął fakt, że główną rolę gra pan Fish. Pisał on: *Doskonałość „Opowieści wigilijnej", której sława przez coroczne powtórzenia przygasła już nieco, przynajmniej*

w oczach piszącego te słowa, nagle nabrała nowego blasku. W tę spektakularną część opowieści, w której uczestniczą duchy, zostało tchnięte życie, a splendoru dodała jej wspaniała kreacja malutkiego Owena Meany'ego. Mimo niewielkiego wzrostu stwarza on na scenie potężną osobowość. Przy drobnej postury Owenie inni aktorzy karłowacieją. Reżyser przedstawienia, Dan Needham, winien się zastanowić nad tym, w jaki sposób w przyszłorocznym wystawieniu „Opowieści wigilijnej" w roli Scrooge'a obsadzić aktora wzrostu Maleńkiego Tima!

Autor recenzji ani słowem nie wspomniał o tegorocznym Scrooge'u i pan Fish wściekał się, że o nim zapomniano. Owena zaś złością napawały wszelkie uwagi krytyczne.

– Czy musiał pisać o mnie „malutki", „niewielkiego wzrostu" albo „drobnej postury"? – wściekał się. – O innych aktorach nie wyrażają się w ten sposób.

– Zapomniałeś o „wzroście Maleńkiego Tima" – zwróciłem mu uwagę.

– Tak, wiem, wiem. Czy ktoś tu mówi na przykład: „były właściciel psa, Fish" doskonale gra Scrooge'a? Czy piszą „złośliwy tyran ze szkółki niedzielnej, pani Walker", jest czarująca jako mama maleńkiego Tima?

– Ale mówią o tobie, że stworzyłeś wspaniałą kreację, że jesteś potężną osobowością – przypomniałem mu.

– A jednocześnie piszą „malutki", „niewielkiego wzrostu", „drobnej postury"! – krzyczał.

– Całe szczęście, że w tej roli nie musiałeś nic mówić – przywołałem go do porządku.

– Ale śmieszne!

Jeśli chodzi o to konkretne przedstawienie, Dan nic sobie nie robił z opinii miejscowej prasy. Przejmował się raczej tym, co by o Owenie pomyślał sam Dickens. Na pewno nie byłby zachwycony.

– Coś tu nie gra – mówił Dan. – Małe dzieci wybuchają płaczem i trzeba je wyprowadzać z sali, zanim doczekają się szczęśliwego zakończenia. Przed wejściem zaczęliśmy już nawet ostrzegać matki z małymi dziećmi. Nie jest to widowisko familijne, choć powinno być. Dzieciaki wychodzą z teatru z taką miną, jakby zobaczyły Drakulę!

Dan jednak zauważył z ulgą, że Owena zaczyna brać przeziębienie. Chłopiec bardzo łatwo się zaziębiał, a teraz na dodatek był ciągle przemęczony. Rano brał udział w próbach jasełek, a wieczorem występował jako Duch Przyszłych Wigilii. Czasem po południu tak padał na nos, że zasypiał u babci. Zasypiał albo w izdebce na dywanie pod kanapą, albo na stercie poduszek z kanapy, gdzie kiedyś ostrzeliwał ołowianych żołnierzyków z mojej dziecinnej armatki. Zdarzało się to najczęściej, gdy schodziłem do kuchni po jakieś ciasteczka; kiedy wracałem, okazywało się, że Owen leży pogrążony w głębokim śnie.

– Robi się podobny do Lydii – stwierdziła babcia, ponieważ Lydia także często ucinała sobie popołudniową drzemkę. Opadała jej głowa, gdy siedziała w swoim wózku, tam gdzie Germaine go zostawiła, czasem nawet twarzą do ściany. Dla babci był to kolejny dowód na to, że Lydia znacznie bardziej posunęła się w latach niż ona.

Ale kiedy Owen zaczął wykazywać wczesne objawy zaziębienia, gdy od czasu do czasu kichał czy kasłał i ciekło mu z nosa, Dan począł się zastanawiać, czy przypadkiem jego inscenizacja „Opowieści wigilijnej" nie zyskałaby na chorobie chłopca. Wcale nie chciał, żeby zachorował na dobre. Wystarczyłby lekki katar, kaszel czy sporadyczne kichnięcie. Wiedział, że takie ludzkie odgłosy dochodzące spod kaptura bardzo rozluźniłyby widzów. Kichanie czy pokasływanie Owena mogłoby nawet u niektórych przywołać na twarz lekki uśmiech, a według Dana uśmiech wcale by tu nie zaszkodził.

– Myślę, że śmiech sprawiłby przykrość Owenowi – zauważyłem. – Chyba nie byłby zadowolony, gdyby ludzie się śmiali.

– Nie chciałbym z Ducha Przyszłych Wigilii zrobić postaci komicznej – tłumaczył Dan. – Tylko trochę ją uczłowieczyć. – Bo o to właśnie według Dana chodziło. Owen nie wyglądał jak człowiek. Był rozmiarów dziecka, ale ruchy miał niesamowicie dorosłe. Na scenie zaś zachowywał się nawet bardziej niż dorośle – sprawiał wrażenie istoty nadprzyrodzonej.

– Zastanów się tylko – tłumaczył mi dalej Dan. – Duch, który kicha, kaszle albo od czasu do czasu musi wydmuchać nos, nie jest już taki

przerażający.

A co można powiedzieć o Dzieciątku Jezus, które kicha, kaszle i musi od czasu do czasu wydmuchać nos? – pomyślałem sobie w tej chwili. Jeśli Wigginowie tak bardzo upierali się przy tym, że Dzieciątko nie może płakać, to co by powiedzieli o zakatarzonym Księciu Pokoju?

W czasie tego Bożego Narodzenia wszyscy chorowali. Dan ledwo wygrzebał się z bronchitu i natychmiast dostał zapalenia spojówek. Lydię męczył taki kaszel, że czasami aż udawało się jej pchnąć samej na wózku. Kiedy pan Early, który grał ducha Marleya, zaczął chrząkać i pociągać nosem, Dan zwierzył mi się w zaufaniu, że gdyby każdemu duchowi coś dolegało, powstałaby doskonała symetria, co sztuce wyszłoby tylko na dobre. Pan Fish, który miał najwięcej kwestii do wygłoszenia, starał się do nikogo nie zbliżać, żeby przypadkiem się nie zarazić. Zatem Scrooge uciekał na widok ducha Marleya z jeszcze większym niż dotychczas przerażeniem.

Babcia twierdziła, że nie może wychodzić, bo jest za ślisko. Nie przejmowała się zaziębieniem, bała się jednak poślizgnąć.

– W moim wieku – powiedziała mi któregoś razu – jeden upadek, jedno złamane biodro, a potem człowiek umiera wolno na zapalenie płuc.

Lydia na przemian to kasłała, to kiwała głową, ale żadna ze staruszek nie chciała się ze mną podzielić swoim doświadczeniem życiowym i wyjaśnić, dlaczego złamane biodro prowadzi do zapalenia płuc, nie mówiąc już o „długiej powolnej śmierci".

– Ale musisz zobaczyć Owena w „Opowieści wigilijnej" – upierałem się.

– Już miałam okazję dosyć się na niego napatrzyć – odpowiedziała babcia.

– Pan Fish też nieźle gra – dodałem.

– Jego również mogę oglądać dostatecznie często.

Pełna ochów i achów recenzja w „The Gravesend News-Letter" wpędziła jakby pana Fisha w milczącą depresję. Kiedy po kolacji zjawił się u nas, wzdychał tylko bez słowa. Jednocześnie trudno ocenić, jak wiadomość o sukcesie Owena zniósł ten ponurak, nasz listonosz. Pochylał się pod ciężarem swej skórzanej torby, jakby

stanowiła brzemię znacznie większe niż obfita korespondencja świąteczna. Łatwo sobie wyobrazić, jak mógł się czuć, dostarczając te wszystkie egzemplarze „The Gravesend News-Letter", w których jego niedoszłą rolę uznano za „mało że kluczową, ba – zasadniczą", Owena Meany'ego zaś obsypano tymi wszystkimi pochwałami, jakie mogły stać się jego udziałem.

Dan powiedział mi, że pan Morrison nie pojawił się na przedstawieniu ani w ciągu pierwszego, ani drugiego tygodnia. Co dziwne, nie przyszli także państwo Meany.

– Czy oni nie czytują „The Gravesend News-Letter"? – spytał.

Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby pani Meany cokolwiek czytała. Nie miałaby na to czasu – tyle uwagi musiała przecież poświęcać gapieniu się na ściany, w różne kąty, przez okno, gdy siedziała tak trochę bokiem, na gasnący ogień i na manekin mamy. Kiedy w tym wszystkim miałaby znaleźć czas na czytanie gazety? Pan Meany zaś nie był typem faceta, który czytałby bodaj wiadomości sportowe. Mogłem też przypuszczać, że państwo Meany ani razu nie słyszeli o „Opowieści wigilijnej" od Owena. Przecież nawet nie chciał, żeby cokolwiek wiedzieli na temat jasełek.

Mógłby chyba o sztuce wspomnieć panu Meany'emu któryś z pracowników? Może widział ją kamieniarz albo żona operatora dźwigu? Albo któreś z nich przeczytało o tym w „The Gravesend News-Letter"?

– Podobno pański chłopak robi za gwiazdę – mógłby ktoś powiedzieć.

Ale już sobie wyobrażałem, co by na to odrzekł Owen.

– Ja tylko pomagam Danowi, bo nagle znalazł się w tarapatach. Odszedł jeden z duchów, wiecie, ten tchórz Morrison. Tak, po prostu miał tremę. To drugorzędna rola, nawet nic nie trzeba mówić. Sztuki też bym nie polecał – jest mało realistyczna. A poza tym wcale nie widać mojej twarzy. Występuję na scenie chyba niecałe pięć minut.

Owen na pewno tak by to ujął. Moim zdaniem, był niezwykle dumny i do rodziców odnosił się aż niegrzecznie. Wszyscy przez to przechodzimy, że wstydzimy się swoich rodziców – u niektórych trwa to nawet całe życie. Nie chcemy mieć ich przy sobie, bojąc się, że zrobią albo powiedzą coś, co nam przyniesie wstyd. Mnie się

wydawało, że Owen odczuwał podobne zażenowanie prawie zawsze i właśnie dlatego trzymał rodziców na dystans. Był też niezwykle apodyktyczny w stosunku do ojca. W wieku, kiedy większość naszych rówieśników cierpi z tego powodu, że rodzice nimi bez przerwy kierują, Owen nieustannie wydawał polecenia swemu ojcu.

Nie współczułem mu, że wstydzi się swoich rodziców. Mnie brakowało przecież mamy. Ogromnie bym się cieszył, gdyby mi siedziała na głowie. A ponieważ Dan nie był moim prawdziwym ojcem, nigdy nie czułem wobec niego żadnej urazy. Bardzo lubiłem mieć Dana koło siebie. Babcia, chociaż była kochającą babcią, zachowywała się z rezerwą.

– Owen – zagadnął któregoś wieczoru przy kolacji Dan. – Może chciałbyś zaprosić rodziców, żeby zobaczyli sztukę? Co byś powiedział na ostatnie przedstawienie w Wigilię?

– Wydaje mi się, że w Wigilię mają inne plany.

– To może wcześniej? Na przykład, któregoś wieczoru przed świętami? Może sam powinienem ich zaprosić? Niech przyjdą, kiedy chcą.

– Oni właściwie nie lubią chodzić do teatru – oświadczył Owen. – Nie chciałbym ci sprawić przykrości, Dan, ale nie sądzę, żeby moi rodzice bawili się dobrze.

– Na pewno jednak chętnie by cię zobaczyli na scenie – odrzekł Dan. – Myślisz, że nie podobałby im się twój występ?

– Oni lubią tylko fakty – zaczął Owen. – Są dość realistyczni i niespecjalnie przepadają za wymyślonymi historyjkami. Nie wierzą w nic nieprawdziwego, a już na pewno w żadne opowieści z duchami.

– Nie przepadają za duchami? – spytał Dan.

– Nie, nie przepadają – odparł Owen. Ale słuchając go, odniosłem dokładnie przeciwne wrażenie. Mnie się wydawało, że jego rodzice są akurat zupełnie inni. Że wierzą tylko w wymyślone historyjki. Że wierzą wyłącznie w duchy i wyłącznie duchów słuchają. – Dan, chodzi mi o to, że wolałbym raczej nie zapraszać rodziców. Jeśli przyjdą – to dobrze, ale przypuszczam, że nie przyjdą.

– No dobra, skoro tak chcesz... – stwierdził Dan.

Dan Needham cierpiał na tę samą przypadłość co mama. Też nie mógł powstrzymać się od dotykania Owena. Tyle że nie tarmosił go za czuprynę, nie klepał po ramieniu. Dan łapał człowieka za ręce i zgniatał je, aż chrzęściły kostki. Ale objawy fizycznej czułości, jaką okazywał Owenowi, przerastały nawet jego serdeczność w stosunku do mnie. Dan wiedział dobrze, że powinien się trzymać ode mnie z dala – miał być dla mnie jak ojciec, ale jednocześnie nie odgrywać tej roli zbyt dosłownie. Ze względu na fizyczną ostrożność, z jaką Dan dotykał mnie, czuł się bardziej swobodny w stosunku do Owena, którego ojciec nigdy nie dotykał (przynajmniej w mojej obecności). Dan Needham wiedział chyba, że Owena w domu nikt nie rozpieszcza.

Po sobotnim przedstawieniu, kiedy kurtyna uniosła się już po raz czwarty, Dan wysłał Owena samego na scenę. Wyraźnie widać było, że publiczność się go domaga. Pan Fish wychodził już razem z Owenem, a potem sam. Widownia szalała za Owenem – co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Publiczność wstała, gdy wyszedł. Czubek jego czarnego jak u śmierci kaptura był troszkę za spiczasty, nieco przekrzywiony i może za wysoki, przez co chłopak przypominał bardziej zawadiackiego, psotnego gnoma. Kiedy zsunął kaptur do tyłu, ukazując publiczności swą promienną twarz, jakaś dziewczyna w jednym z pierwszych rzędów zemdlała. Miała mniej więcej tyle lat co my – dwanaście albo trzynaście – i padła tak po prostu, jak worek.

– Tam, gdzie siedziałyśmy, było dość ciepło – tłumaczyła później matka dziewczyny, gdy Dan przyszedł sprawdzić, czy doszła do siebie.

– Głupia! – stwierdził Owen za kulisami. Sam sobie robił charakteryzację. I chociaż przez całe przedstawienie miał twarz skrytą w za dużym, obszernym kapturze, pobielał się dziecinnym pudrem, podkreślając czarną kredką i tak już ciemne worki pod oczyma. Chciał wyglądać jak prawdziwy duch, i to w każdym calu. Nasilające się przeziębienie podkreślało jeszcze bladą cerę, na której tak bardzo mu zależało.

Gdy Dan odwoził go do domu, Owen zaczął zupełnie zdrowo kaszleć. Nazajutrz była ostatnia niedziela przed Bożym Narodzeniem – dzień, kiedy wystawialiśmy jasełka.

– Wygląda na to, że jest bardziej chory, niż sobie tego życzyłem – rzekł Dan, gdy wracaliśmy potem do domu. – Może mnie samemu przyjdzie jutro zagrać Ducha Przyszłych Wigilii. Albo gdyby Owen czuł się źle, może ty mógłbyś zagrać tę rolę?

Ale ja byłem tylko Józefem. Miałem wrażenie, że Owen wyznaczył mi jedyną rolę, jaką mogłem grać.

Przez całą noc sypał śnieg. Zerwała się nawet niezbyt gwałtowna śnieżyca. A potem temperatura zaczęła spadać, tak że zrobiło się za zimno, żeby padał śnieg. W ów niedzielny ranek Gravesend zbudziło się przykryte świeżą bielusieńką warstwą. Wiatr, który potrafi nieść przenikliwe zimno, wzbijał tumany suchego puchu i zawodząc miótł nimi po pustych rynsztokach wzdłuż Front Street. Rynsztoki były puste, ponieważ zrobiło się za zimno, by świeżo spadły śnieg mógł się utrzymać na ziemi.

Tego niedzielnego ranka pługi śnieżne nie spieszyły się z wyjazdem na miasto i jedynym pojazdem, który nie ślizgał się na boki, była potężna ciężarówka Przedsiębiorstwa Meanych. Owen miał na sobie tyle warstw, że nie mógł wręcz zgiąć kolan, kiedy z trudem posuwał się po naszym podjeździe. Również ramiona nie zwisały mu swobodnie wzdłuż boków, lecz sterczały sztywno jak u straszaka na wróble. Został tak opatulony w długi ciemnozielony szalik, że trudno było dojrzeć jego twarz, ale i bez tego Owena Meany'ego nie sposób było pomylić z nikim innym. Ten szalik podarowała mu moja mama, kiedy którejś zimy zorientowała się, że w ogóle nie ma szalika. Owen uważał, iż przynosi mu szczęście, i oszczędzał go na specjalne okazje, gdy było wyjątkowo zimno.

W ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem został zmuszony do włożenia szalika. Kiedy wraz z Owenem drałowaliśmy w kierunku kościoła pod wezwaniem Chrystusa, ptaki odlatywały wystraszone jego przeraźliwym kaszlem. W płucach rzęziło mu od flegmy – na

tyle głośno, że mogłem to dosłyszeć przez wiele warstw zimowych ubrań.

– Nie podoba mi się ten kaszel – odezwałem się.

– Gdyby Jezusowi przyszło narodzić się w taki dzień jak dziś, nie dożyłby swego ukrzyżowania.

Dziewiczą prawie pokrywę śniegu na Front Street zadeptała przed nami tylko jedna para butów. Poza nierównomiernymi strużkami psich sików nic nie mąciło bieli chodnika. Postać, która zostawiła ślady na śniegu, była za daleko i zbyt opatulona, żebyśmy mogli ją rozpoznać.

– Babcia nie przyjdzie zobaczyć jasełek? – spytał Owen.

– Należy do Kościoła kongregacjonalistów – przypomniałem mu.

– Czyżby była aż tak konserwatywna, że raz w roku nie może przyjść zobaczyć jasełek? Przecież kongregacjonaliści czegoś takiego nie mają.

– Wiem, wiem.

Ale wiedziałem coś jeszcze. Wiedziałem, że kongregacjonaliści nie mają zwyczajowego porannego nabożeństwa w ostatnią niedzielę przed Bożym Narodzeniem. Mają za to nieszpory. To bardzo uroczyste nabożeństwo, kiedy się śpiewa przede wszystkim kolędy. Nie chodziło o to, że nabożeństwo babci koliduje z naszymi jasełkami. Babcia po prostu nie miała większej ochoty oglądać Owena w roli Dzieciątka Jezus. Stwierdziła, że cały ten pomysł wydaje jej się wręcz „odrażający". Na dodatek bez przerwy powtarzała, jak to łatwo złamać kość biodrową w taką pogodę, a potem w końcu oznajmiła, że zamierza nawet opuścić wieczorne nieszpory w kościele kongregacjonalistów. Późniejszym popołudniem, gdy robi się ciemno, jeszcze łatwiej złamać nogę w biodrze.

Człowiekiem, który nas tak znacznie wyprzedzał, był pan Fish. Dość szybko go jednak dogoniliśmy. Pan Fish brnął w śniegu niezwykle ostrożnie. On też musiał się bać, żeby nie złamać nogi w biodrze. Zaskoczył go widok Owena okutanego tak szczelnie szalikiem mamy, że widać mu było tylko oczy. Ale Owen na tyle często zaskakiwał pana Fisha swym wyglądem, że ten zdążył się do tego przyzwyczaić.

– Dlaczego nie jesteście jeszcze w kościele? – spytał. – Już dawno powinniście zacząć się przebierać.

Powiedzieliśmy, że i tak będziemy pewnie godzinę za wcześnie. Pan Fish, jeśliby się poruszał w takim tempie, w jakim właśnie szedł, też dojdzie pół godziny przed czasem. Właściwie to byliśmy z Owenem zaskoczeni, że pan Fish w ogóle idzie na przedstawienie.

– Pan przecież nie chodzi do kościoła! – stwierdził oskarżycielskim tonem Owen.

– Tak, to prawda – przyznał Fish. – Ale za żadne skarby świata nie przepuściłbym tej okazji!

Owen dość podejrzliwie popatrzył na swego partnera z „Opowieści wigilijnej". Pan Fish zdawał się na tyle zachwycony i jednocześnie przygnębiony aktorskim sukcesem Owena, że jego obecność na jasełkach mogła się wydawać podejrzana. Ja mam wrażenie, że pan Fish lubił sam wpędzać się w nastrój przygnębienia. Ponadto był tak wierny amatorskiemu aktorstwu, że pragnął podpatrzyć jak najwięcej tajników sztuki u nowo odkrytego geniusza.

– Obawiam się, że dzisiaj nie będę w najlepszej formie – ostrzegł Owen, dramatycznie demonstrując swój charkotliwy kaszel.

– Takiemu aktorowi jak ty chyba nie może przeszkodzić drobna niedyspozycja – orzekł pan Fish. Wszyscy razem z trudem torowaliśmy sobie drogę w świeżym śniegu – pan Fish starał się robić mniejsze kroki, żebyśmy mogli za nim nadążyć.

Wyznał nam, że trochę się denerwuje swoją wizytą w kościele, że nigdy nikt go nie zmuszał, by chodził do kościoła, bo jego rodzice w ogóle nie byli religijni, i że „zaglądał" tam tylko z okazji ślubu czy pogrzebu. Pan Fish nie za dobrze się nawet orientował, jaki fragment życia Jezusa pokazują jasełka.

– Niecałe – wyjaśnił Owen.

– W każdym razie nie to z krzyżem, co? – upewniał się pan Fish.

– Nie ukrzyżowali go przecież, kiedy był dzieckiem! – oburzył się Owen.

– A te wszystkie uzdrowienia i nauczania? – dopytywał się pan Fish.

– Jasełka pokazują tylko Boże Narodzenie – odrzekł zniecierpliwiony Owen. – Jest to sama scena narodzin.

– I nic tam nie mówią – dodałem.

– Racja, zapomniałem.

Kościół pod wezwaniem Chrystusa znajdował się przy Elliot Street, na skraju miasteczka studenckiego Akademii Gravesend. Na rogu Elliot i Front Street czekał na nas Dan. Reżyser też chyba chciał podpatrzyć kilka różnych rzeczy.

– No proszę, kogo my tu mamy! – przywitał Dan czerwieniącego się pana Fisha.

Owen ogromnie się ucieszył, że Dan też idzie.

– Jak to dobrze, że jesteś, Dan, bo dla pana Fisha będą to pierwsze jasełka w życiu i jest trochę zdenerwowany.

– Po prostu nie wiem, w którym momencie trzeba klękać, no i te inne bzdury – zachichotał pan Fish.

– Nie wszyscy w kościele episkopalnym klękają – poinformował go Owen.

– Ja na przykład nie – wyjaśniłem.

– A ja tak – oświadczył Owen.

– Ja czasami klękam, a czasami nie – powiedział Dan. – Po prostu patrzę, co robią inni.

I tak cała nasza czwórka składająca się z różnych indywidualności dotarła do kościoła.

Mimo chłodu wielebny Dudley Wiggin czekał na schodku, by osobiście witać pierwszych przybyłych. Nie miał kapelusza i jego czaszka pod przerzedzającą się siwą czupryną płonęła żywą czerwienią – uszy miał zmrożone i tak zupełnie bezkrwiste, że można je chyba było z łatwością złamać. Obok stała Barb Wiggin w srebrzystym futrze i czapce do kompletu.

– Wygląda jak pracownica obsługi kolei transsyberyjskiej – zauważył Owen.

Przeżyłem moment głębokiego zaskoczenia, kiedy obok Wigginów ujrzałem wielebnego Lewisa Merrilla oraz jego żonę rodem z Kalifornii. Owen był równie zdziwiony.

– Czy zmienili państwo wyznanie?

Żałośnie wyglądający Merrillowie najwyraźniej mieli za mało wyobraźni, żeby zrozumieć, o co Owenowi chodzi. Takie pytanie spowodowało, oczywista, że Merrill zaczął się jąkać jeszcze bardziej.

– Mmmmmy mmmammy dziiiisiaj nieszpory! – odrzekł, ale Owen zdawał się nie rozumieć.

– W dzisiejszą niedzielę w kościele kongregacjonalistów odbywają się nieszpory. Nie ma porannego nabożeństwa, za to nieszpory późnym popołudniem – próbowałem mu wytłumaczyć.

– Wiem, kiedy odprawia się nieszpory! – odrzekł poirytowany Owen.

Wielebny Wiggin objął ramieniem swego kolegę po fachu, ściskając wielebnego Merrilla tak, że na twarzy mniejszego i bledszego pastora pojawił się wyraz przerażenia. Odnoszę wrażenie, że wyznawcy Kościoła episkopalnego są bardziej wylewni niż kongregacjonaliści.

– Co roku chodzimy z Barb pośpiewać kolędy w czasie nieszporów – oświadczył rektor Wiggin. – A państwo Merrillowie przychodzą na nasze jasełka.

– Owszem, co roku – potwierdziła beznamiętnie pani Merrill. Nieszczęsna, z jakąż niewysłowioną zazdrością patrzyła na szalik Owena, który zasłaniał chłopcu całą twarz.

Wielebny Merrill uspokoił się nieco. Od czasu spontanicznego pogrzebu Sagamore nie widziałem, żeby się aż tak jąkał, i to chyba Owen tak okropnie go speszył.

– Rzeczywiście, staramy się pielęgnować tradycję kolędowania. Właśnie śpiewem chcemy uświetnić Boże Narodzenie. Dlatego chór jest w naszym kościele tak ważny – wyjaśnił pastor Merrill. I wypowiedziawszy z głębi serca słowo „chór", popatrzył na mnie. Tak, jakby samo wspomnienie o tych szkolonych aniołach mogło przypomnieć mi o straconym na wieki głosie mamy.

– Nas interesuje bardziej cudowna strona tego wydarzenia – stwierdził radośnie pan Wiggin. – A w tym roku – dodał rektor, silną dłonią pilota chwytając nagle Owena za ramię – w tym roku mamy Dzieciątko Jezus, które wszystkich zadziwi!

Wielebny Dudley Wiggin dość niezręcznie machnął wielką łapą nad głową Owena, nasuwając mu na oczy daszek czerwono-czarnej czapki myśliwskiej i jednocześnie dość skutecznie go oślepiając, bo podciągnął do góry szczęśliwy szalik od mamy. – Tak, tak. – Rektor Wiggin podsunął teraz z kolei Owenowi czapkę tak szybko, że jego delikatne niemowlęce włoski naelektryzowały się i stanęły na

baczność we wszystkich kierunkach. – Tego roku – zaczął złowieszczo rektor – na widowni wszyscy będą ryczeli.

Owen, którego jakby dusił szalik, kichnął.

– Owen, chodź ze mną! – poleciła stanowczo Barb Wiggin. – Musimy tego biedaka zawinąć w powijaki, zanim się przeziębi – wyjaśniła Merrillom. Biednemu Merrillowi i jego drżącej z zimna żonie też przydałyby się powijaki. Najwyraźniej zaskoczyła ich wiadomość, że Owen Meany ma występować w roli Księcia Pokoju. Wydaje mi się, iż kongregacjonaliści są zdecydowanie mniej podatni na elementy cudowności w wierze niż członkowie Kościoła episkopalnego.

W chłodnej sieni domu parafialnego Barb Wiggin zaczynała krępować wolność Owena za pomocą powijaków, ale niezależnie od tego, czy owijała go ciasno czy luźno, Owen i tak narzekał.

– Za ścisło, nie mogę oddychać – skarżył się, kaszląc. Albo wykrzykiwał: – Czuję, że mnie przewiewa!

Barb Wiggin wykonywała swoje zadanie z tak ponurym, pozbawionym odrobiny humoru poczuciem obowiązku, że można by przypuszczać, iż go mumifikuje. Może o tym właśnie myślała, chcąc się uspokoić.

Połączenie szorstkiego traktowania przez Barb Wiggin ze świadomością, że babcia mogła przyjść obejrzeć jasełka, ale zdecydowała się tego nie robić, wpływało bardzo niekorzystnie na nastrój Owena. Zrobił się kapryśny i rozdrażniony. Uparł się, że Barb ma go odwinąć, a następnie owinąć w szczęśliwy szalik od mamy. Kiedy Barb skończyła, biała bawełna zakryła szalik. Zależało mu na tym, żeby mieć szalik blisko ciała.

– Ma mnie grzać i przynosić mi szczęście – wyjaśnił.

– Owen, Dzieciątko Jezus nie potrzebuje „szczęścia” – sprostowała Barb Wiggin.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że Jezus miał w życiu dużo szczęścia? – spytał Owen. – Moim zdaniem, przydałoby mu się go jeszcze trochę. Powiedziałbym nawet, że pod koniec szczęście go opuściło.

– Ależ, Owen – zareagował na to rektor Wiggin. – Ukrzyżowano go, a jednak powstał z martwych. Przecież został zbawiony!

– Został po prostu wykorzystany – odrzekł Owen, który najwyraźniej był dzisiaj w kłótliwym nastroju.

Widziałem, że rektor namyśla się, czy to właściwa pora na eklezjastyczne dyskusje. Po Barb Wiggin widać było, że z chęcią zadusiłaby Owena szalikiem mamy. Czy Chrystus miał szczęście czy nie, czy został zbawiony czy wykorzystany – to niezwykle istotne różnice, nawet w gorączkowej atmosferze panującej w sieni domu parafialnego, gdzie hulał wiatr, bo ciągle otwierano i zamykano drzwi, a na dodatek wśród obłoków pary, jakie buchały z mokrych wełnianych okryć, z których wykapywał na piece roztopiony śnieg. Tylko czy taki zwykły rektorzyna mógł się sprzeczać z owiniętym w powijaki Dzieciątkiem Jezus, które już za chwilę spocznie w żłobie?

– Zawiń go tak, jak chce – polecił Wiggin żonie. Ale w jego głosie zabrzmiała groźba, tak jakby rektor zastanawiał się, czy Owen Meany jest bardziej Chrystusem czy Antychrystem. Barb odwijała go i zawijała z taką wściekłością, że wyraźnie widać było, iż dla niej nie jest Księciem Pokoju.

Krowy, które niegdyś były gołąbkami, stały chwiejne w zatłoczonej sieni, jakby zaniepokojone brakiem siana. Maria Beth Baird wyglądała dość zażywnie w swej białej szacie – jak pulchna gwiazdka filmowa. Ale efekt boskości Matki Boskiej – Świętej Dziewicy, psuł nieco jej długi, zawadiacki koński ogon. Ja byłem ubrany jak typowy Józef, w ponurą brązową szatę – biblijny odpowiednik tuzinkowego garnituru. Harold Crosby, opóźniając moment wzniesienia się za pomocą często nawalającej „anielskiej" maszyny, już dwukrotnie pytał, czy może pójść „po raz ostatni" do ubikacji. Całe szczęście, że Owen, tak opatulony, nie musiał się iść załatwić. Nie mógł stać o własnych siłach, a nawet gdyby go postawiono na nogi, nie potrafiłby sam iść. Barb Wiggin dość ciasno obandażowała mu także nogi.

Pierwszy problem – jak wsadzić Owena do żłóbka. Abyśmy mogli zająć miejsca nie widziani przez wiernych, przed prymitywnym żłóbkiem postawiono trzyczęściowy parawan. Każdą z fioletowych części tryptyku ozdabiał krzyż kryty brokatem przetykanym złotą nicią. Mieliśmy ustawić się za tym „ołtarzem" i zastygnąć w fotograficznym bezruchu. I kiedy anioł rozpoczynał swoją

dramatyczną wędrówkę w dół, odwracając uwagę wiernych od nas, ktoś miał usunąć fioletową zasłonę. „Snop światła” obejmujący pasterzy i królów powinien był skierować zachwycone oczy wiernych na nas wszystkich.

Naturalnie Maria Beth Baird chciała zanieść Owena do żłóbka.

– Ja to zrobię – oświadczyła Matka Boska. – Już go kiedyś podnosiłam!

– Nie, Józef nosi dzieciątko Jezus! – wrzasnął Owen błagalnie. Jednakże Barb Wiggin postanowiła sama się z tym uporać. Zauważyła, że Dzieciątko Jezus ma katar, i zręcznie wytarła mu nos. Następnie przytrzymała chusteczkę, każąc mu „dmuchać”. Dmuchnął jak krasnoludek. Maria Beth Baird otrzymała czystą chusteczkę, na wypadek gdyby nos Dzieciątka Jezus zaczął się źle prezentować, gdy będzie leżał na widoku. Dziewicza Matka była szczęśliwa, że faktycznie mogła się zaopiekować Owenem.

Barb Wiggin przed uniesieniem Małego Księcia Pokoju nachyliła się i potarła mu policzki. Wszystkie jej zabiegi przy Owenie były przedziwną mieszaniną rutynowych czynności o niejakim zabarwieniu erotycznym. Widziałem naturalnie w jej zachowaniu coś bardzo „stewardesowskiego”. Zajmowała się Owenem, jakby mu zmieniała pieluszkę, a jednocześnie tak lubieżnie przysuwała swoją twarz blisko jego, jakby go chciała uwieść.

– Jaki jesteś blady! – oświadczyła, szczypiąc go w policzek.

– Auu! – wrzasnął.

Dzieciątko Jezus powinno mieć rumieńce! – wyjaśniła. Nachyliła się nad nim jeszcze niżej, tak że ich nosy się zetknęły. Zupełnie niespodziewanie pocałowała go w usta. Nie było w tym nic z czułości, namiętności. Był to raczej pocałunek okrutny i złośliwy, który Owena zaskoczył. Chłopak zrobił się czerwony, policzki mu się zaróżowiły, tak jak sobie tego życzyła Barb Wiggin. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Wiem, Owenie, że nie lubisz, jak się ciebie całuje – odezwała się Barb Wiggin zalotnie. – To był tylko pocałunek na szczęście. – Nie miałem wątpliwości, że od śmierci mamy Owena pocałowano w usta po raz pierwszy, ani też, że wściekał się, iż Barb Wiggin śmie mu przypominać mamę. Zacisnął piąstki przy bokach, kiedy uniosła go

sztywnego na wysokość piersi. Miał mocno zabandażowane nogi, które – ponieważ nie mógł zgiąć kolan – sterczały prosto. W rękach tej czarownicy i ladacznicy skutecznie lewitował. Maria Beth Baird, która tak bardzo nalegała, żeby pozwolono jej pocałować Dzieciątko Jezus, teraz z zazdrością i nienawiścią patrzyła na Barb Wiggin. Swego czasu musiała być z niej niezwykle silna stewardesa. Bez trudu niosła Owena na jego miejsce na sianie. Zupełnie bez żenady przyciskała go do piersi i wykonywała swoje zadanie z wprawą mistrza ceremonii – jak rudowłosy właściciel zakładu pogrzebowego, który niesie dziecko faraona do ukrytego w piramidzie grobu.

– Rozluźnij się – szeptała. Z premedytacją przyłożyła mu usta do ucha, a on czerwienił się coraz bardziej.

A ja, Józef, jak zawsze stojący na uboczu, zobaczyłem to, czego zazdrosna Maryja Dziewica nie mogła zobaczyć. Dostrzegłem to ja i na pewno Barb Wiggin. Dlatego właśnie tak bezwstydnie nie przestawała go torturować. Dzieciątko Jezus miało erekcję. Wybrzuszenie widać było wyraźnie mimo ściśle przylegających do ciała licznych warstw powijaków.

Barb Wiggin złożyła chłopca w żłóbku. Posłała mu pełen zrozumienia uśmiech i jeszcze raz zalotnie uszczypnęła go w policzek. Owen przekonał się, że ktoś, kogo nienawidzisz, może spowodować, że ci stanie, a była to lekcja, która odbiegała od Chrystusowej nauki. Na jego buzi na przemian malowały się złość i wstyd. Maria Beth Baird, nie rozumiejąc dobrze wyrazu twarzy Dzieciątka Jezus, wytarła mu nos. Jedna z krów nadepnęła na Anioła, który omal nie przewrócił trzyczęściowego fioletowego parawanu. Kiwająca się ścianka przygniotła tylną część osła. Spojrzałem w ciemność, żeby wśród sztucznych przypór dojrzeć napawający otuchą kształt Anioła. Ale Harold Crosby nadal był niewidoczny – skrywał się, pewnie cały drżąc ze strachu, ponad „snopem światła".

– Dmuchnij! – szepnęła Maria Beth Baird do Owena, który wyglądał, jakby lada chwila miał wybuchnąć.

Uratował go chór.

Kiedy uruchomiony został mechanizm do opuszczania Anioła, rozległo się metaliczne zgrzytanie, coś, co brzmiało jak łoskot zębów

zapadni. Po czym dobiegło nas głębokie westchnienie – to przerażony Harold Crosby wciągał powietrze – i w tej samej chwili zaczął śpiewać chór.

O małe miasteczko Betlejem!
Głęboki jest spokój twój.
Nad twym cichym, czarnym snem
Gwiazdozbiorów świeci rój...

Dzieciątko Jezus dopiero po pewnym czasie rozwarło zaciśnięte piąstki. I dopiero po dłuższej chwili ustąpiła mu erekcja. Błysk wściekłości widoczny w oczach Owena złagodniał, jakby przygasł pod wyrazem senności, i na obliczu malutkiego Księcia Pokoju zapanował spokój, który napełnił i tak już wilgotne oczy Najświętszej Maryi Panny łzami uwielbienia.

– Dmuchnij! Dlaczego nie chcesz wydmuchać nosa? – szeptała płaczliwie. Trzymała chustkę przy nosie Owena, jednocześnie zakrywając mu usta, tak jakby podawała Dzieciątku jakiś środek znieczulający. Owen, ruchem delikatnym i pełnym wdzięku, odsunął jej dłoń z chusteczką. Jego uśmiech wybaczał wszystko, nawet niezdarność, i Dziewica Maryja osunęła się na kolana, jakby za chwilę miała zemdleć.

Barb Wiggin, nie widziana przez wiernych, ale złowieszczo widoczna dla nas, chwyciła za dźwignie urządzenia opuszczającego Anioła jak operator koparki, który chce zaatakować ziemię łychą. Kiedy jej oczy napotkały wzrok Owena, straciła jakby pewność siebie i równowagę. Spojrzał na nią wyzywająco i lubieżnie zarazem. Ciałem Barb Wiggin wstrząsnął dreszcz. Zadrżały jej ramiona. Zapomniała o swym zadaniu. Harold Crosby, który miał majestatycznie spłynąć na ziemię, zatrzymał się w pół drogi.

– „Nie bójcie się!" – zaczął drżącym głosem.

Jednakże ja – Józef, widziałem jedną osobę, która się bała. Barb Wiggin znieruchomiała nad kontrolką „snopu światła". Zajęta swoimi obowiązkami przy aparacie, który opuszczał Anioła, bała się Owena Meany'ego. Teraz kontrolę nad sytuacją odzyskał Książę Pokoju.

Dokonał on drobnego, jednak ważnego odkrycia – stoi ci przez chwilę, a potem opada. „Snop światła", który miał towarzyszyć ryzykownemu, przerwanemu teraz w pół drogi spuszczaniu Harolda Crosby'ego, zaczął żyć własnym życiem. Oświetlił Owena na stercie siana, tak jakby światło wyrwało się spod kontroli Barb Wiggin. Światło, które miało ukazać Anioła, zalało żłobek.

Kiedy odźwierny na palcach zniósł trzyczęściowy parawan, z widowni dobiegł pojedynczy głośny pomruk. Dzieciątko Jezus uciszyło jednak widzów nieznacznym ruchem ręki. Spojrzało zupełnie niedziecięcym, szyderczym wzrokiem na Barb Wiggin, która dopiero wtedy odzyskała kontrolę nad swoim urządzeniem. Zawróciła „snop światła" w kierunku Anioła, gdzie było zresztą jego miejsce.

– „Nie bójcie się!" – powtórzył Harold Crosby. Barb Wiggin zbyt energicznie potraktowała aparaturę i Harold Crosby gwałtownie poleciał w dół. Spadł prawie o dziesięć stóp, zanim go nagle zatrzymała. Głowa skakała mu na boki i z otwartymi ustami, jak olbrzymia lalka powiewająca na wietrze, kiwał się w przód i w tył nad przerażonymi pasterzami.

– „Nie bójcie się!" – krzyknął głośno Harold. I w tym momencie urwał, nie przestając dyndać w powietrzu. Zapomniał dalszej kwestii.

By Anioł się nie huśtał, Barb Wiggin odwróciła Harolda Crosby plecami do pasterzy i wiernych. Nadal kołysał się w powietrzu, ale tyłem, tak jakby postanowił odwrócić się od świata albo zatrzymać dla siebie swoje przesłanie.

– „Nie bójcie się!" – wymamrotał niewyraźnie.

Z siana w ciemności dobiegł zachrypnięty falset, ochrypły głos niespodziewanego suflera. Bo któż inny mógłby znać na pamięć kwestię Harolda Crosby'ego, jeśli nie były Anioł?

– „Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu" – szepnął Owen. Ale Owen Meany tak naprawdę nie mógł mówić szeptem. W jego głosie było za dużo piasku i żwiru. Podpowiedź Dzieciątka Jezus doleciała do uszu nie tylko Harolda Crosby'ego, ale także całej widowni. Wszyscy usłyszeli stłumiony święty głos dobiegający z pogrążonego w mroku żłóbka i dyktujący Aniołowi, co ma mówić. Harold posłusznie powtórzył kwestię.

Zatem, kiedy wreszcie „snop światła” ruszył za pasterzami i królami na ich właściwe miejsce adoracji przy żłóbku, wierni również byli gotowi oddać cześć temu niezwykłemu Chrystusowi, który zna nie tylko swoją rolę, ale także wszystkie inne najważniejsze role w sztuce.

Maria Beth Baird nie mogła się już opanować. Opuściła twarz na siano, by po chwili otrzeć się policzkiem o biodro Dzieciątka Jezus. Pochyliła się w ukłonie jeszcze głębszym, składając swą ciężką głowę na podołku Owena. Przy tym bezwstydnym, mało matczynym geście „snop światła” zadrżał. Barb Wiggin była wściekła, przewidując, że najgorsze dopiero nadejdzie. Czuła się jak dowódca gniazda karabinu maszynowego. Z trudem przychodziło jej utrzymać światło nieruchomo.

Zdałem sobie sprawę, że Barb Wiggin wciągnęła Harolda Crosby’ego na tyle wysoko, iż w ogóle nie było go widać. Hen, w mroku wśród sztucznych przypór, Harold Crosby najprawdopodobniej nadal był zwrócony w złą stronę i tłukł skrzydłami niczym uwięziony nietoperz, ale ja go nie widziałem. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jak bardzo jest przerażony i bezradny.

– „Kocham cię, Dzieciątko, ach, spójrz na mnie z nieba...” – śpiewał chór, nakładając się na „W żłobie położony”. Wielebny Dudley Wiggin spóźnił się nieco z lekturą świętego Łukasza. Może pomyślał, że Matka Boża miała oddać pokłon, gdy skończy czytanie. Teraz, kiedy już głowa Maryi spoczywała na podołku Owena, rektor najprawdopodobniej bał się, czym Maria Beth zechce zastąpić „pokłon”, który już wykonała.

– „Gdy anioł odszedł od nich do nieba...” – zaczął rektor. Wierni automatycznie spojrzeli w górę, szukając pod sufitem Harolda. Nikt z tych, którzy siedzieli w pierwszych ławkach, nie wypatrywał zagubionego Anioła z równym zapałem, jak pan Fish. Był i tak już dostatecznie zaskoczony faktem, że Owen mimo wszystko miał rolę mówioną.

Owen wyglądał, jakby za chwilę zamierzał kichnąć, albo może przytłaczała go tak bardzo ciężka głowa Marii Beth, utrudniając oddychanie. Po górnej wardze spływały Owenowi z nie wydmuchanego i nie wytartego nosa dwie błyszczące strużki.

Widziałem, że jest spocony. W taki zimny dzień stary piec kościelny grzał na pełny regulator. Na podwyższeniu przy ołtarzu było znacznie cieplej niż w drewnianych ławkach, gdzie wielu wiernych nadal siedziało w płaszczach. W żłóbku panowała duchota. Współczułem osłom i krowom. Musiały być zlane potem. „Snop światła" był na tyle gorący, że rozgrzewał siano, na którym leżało Dzieciątko Jezus, przyszpilone głową Maryi Dziewicy.

Nadal słuchaliśmy czytania ze Świętego Łukasza, kiedy zemdlał pierwszy osioł. A właściwie zemdlała tylko jego tylna część, więc efekt był zaskakujący. Wiele osób na widowni nie zdawało sobie sprawy z tego, że osły składają się z dwóch części. Im właśnie upadek osła musiał wydać się jeszcze bardziej przerażający. Wyglądało to, jakby tylne nogi zwierzęcia załamały się pod jego własnym ciężarem, gdy tymczasem przednie walczyły o to, by się utrzymać w pozycji stojącej, a głowa chwiała się to w tę, to w tamtą stronę, usiłując zachować równowagę. Zad osła i tylne kończyny po prostu osunęły się na podłogę, tak jakby zwierzę przeżyło częściowy wylew albo jakby ktoś do niego strzelił. Zad miało sparaliżowany. Przednia część zwierzęcia dokładała wszelkich starań, żeby się jakoś utrzymać na nogach, ale wkrótce i ona została pociągnięta w dół. Jedna z krów, oślepiona zsuwającymi się rogami, usiłując umknąć przed przewracającym się osłem, walnęła pasterza, który wypadł z ołtarza przez niską balustradę. Pasterz padł na szczęście na poduszki do klęczenia i potoczył się do środkowej nawy, tuż pod pierwsze ławki.

Kiedy osunął się drugi osioł, wielebny Wiggin przyśpieszył czytanie.

– „Lecz Maryja zachowywała wszystkie te sprawy i rozważała je w swoim sercu" – mówił.

Maryja uniosła głowę znad podołka Dzieciątka Jezus. Na jej usta wypłynął tajemniczy uśmiech. Przycisnęła obie dłonie do serca, sprawiając wrażenie, że jakaś strzała czy ostrze przeszyło ją od tyłu, i przewróciła oczyma, tak jakby, nim upadnie, chciała wyzionąć ducha. Książę Pokoju, zaniepokojony nagle, w którym kierunku i z jaką siłą Matka Boża może się przewrócić, wyciągnął rękę, żeby ją złapać, ale nie miał dość siły, by ją podtrzymać nad sobą, więc

przygwoździła go na sianie i wyglądali jak złączeni zapaśniczym uściskiem.

I ja, Józef, widziałem, w jaki sposób Dzieciątko Jezus zrzuciło z siebie matkę – ono ją po prostu kopnęło w górę. Zrobiło to niezwykle szybko, pod osłoną wirującego w powietrzu siana. Żeby zorientować się, co się stało, trzeba było być w tym momencie albo Józefem, albo Barb Wiggin. Publiczność zobaczyła jedynie, że Maryja zsunęła się ze sterty siana i potoczyła po podłodze, po czym dopiero w bezpiecznej odległości od pełnego niespodzianek Księcia Pokoju wstała na równe nogi, Owen Meany zaś zmierzył Marię Beth spojrzeniem równie pogardliwym jak to, które posłał Barb Wiggin.

Takim samym spojrzeniem ogarnął następnie wiernych, zupełnie nie zwracał uwagi na dary, jakie złożyli u jego stóp mędrcy i pasterze, można nawet powiedzieć, że potraktował je wzgardliwie. Jak dowódca dokonujący przeglądu swych żołnierzy, Dzieciątko Jezus spojrzało po zebranych. Twarze, które ja mogłem dostrzec – te z pierwszych ławek – wydawały się zastygłe. Zarówno Dan, jak i pan Fish – obaj fachowcy od teatru amatorskiego – siedzieli z otwartymi ustami, podziwiając akcję rozgrywającą się na scenie: potrafiła ona nie tylko ogrzać atmosferę, ale i wykroczyć daleko poza zwykłą amatorszczyznę. Owen poradził sobie doskonałe z błędami w sztuce, złym aktorstwem i odejściem od scenariusza.

A potem dostrzegłem widzów, których Owen najprawdopodobniej zauważył w tym samym czasie co ja. Trudno by chyba było znaleźć dwie bardziej skupione twarze niż te, które należały do pani i pana Meanych. Kamienny spokój pana Meany'ego podkopał strach. Ale nic nie mogło odwrócić jego uwagi. Z idiotycznego, bezmyślnego oblicza pani Meany emanował całkowity brak zrozumienia. Trzymała dłonie ściśnięte w żarliwej modlitwie, a mąż obejmował ją za ramiona wstrząsane przeraźliwym łkaniem, przypominającym raczej zwierzęce zachowanie niedorozwiniętego dziecka, które w ten sposób chce wyrazić swoją rozpacz.

Owen usiadł na stercie siana tak niespodziewanie, że kilkoro wiernych z pierwszych ławek gwałtownie wciągnęło powietrze, a innym wyrwał się nawet okrzyk zaskoczenia. Z trudem zgiął się w pasie, jak mocno skręcona sprężyna, i z dzikim wyrazem twarzy

wskazał na matkę i ojca. Wielu zebranych odebrało to, jakby wskazywał ręką kogokolwiek innego albo też wszystkich naraz.

– Co wy tu robicie? – wrzasnęło z wściekłością Dzieciątko Jezus.

Liczni wierni odnieśli wrażenie, że pytanie to jest skierowane właśnie do nich. Nie miałem cienia wątpliwości, że pana Fisha pytanie to zaszokowało, ale ja wiedziałem, do kogo Owen się zwraca. Państwo Meany skulili się ze strachu. Zsunęli się na poduszki klęcznika, pani Meany zaś zakryła twarz dłońmi.

– Nie powinniście tu być! – krzyczał na nich Owen. Ale pan Fish, a wraz z nim połowa widowni, czuł, że jest to oskarżenie pod jego adresem. Dostrzegłem twarz wielebnego Lewisa Merrilla oraz jego kalifornijskiej żony. Najwyraźniej i oni uważali, że Owen właśnie ich ma na myśli.

– Dopuściliście się świętokradztwa, przychodząc tutaj! – wrzeszczał Owen. Co najmniej kilkanaście osób z tylnych ławek uniosło się ze swoich miejsc w poczuciu winy i już gotowało się do wyjścia z kościoła. Pan Meany pomógł oszołomionej żonie wstać. Pani Meany żegnała się jak opętana. Ten bezradny, bezmyślny katolicki gest doprowadzał Owena do szału.

Państwo Meany z zażenowaniem zaczęli się zbierać do wyjścia. Byli potężni, dość tędzy i przeciśnięcie się przez zatłoczoną ławkę, a potem do nawy, którą ludzie zdążyli już opuścić, nie szło im ani łatwo, ani zgrabnie.

– Chcieliśmy cię tylko zobaczyć! – usprawiedliwiał się przepraszającym tonem ojciec.

Ale Owen Meany niewzruszenie wskazywał na drzwi w tyle świątyni, którymi zresztą wyszło już kilka osób. Rodzice Owena, tak jak para wygnana z rajskiego ogrodu, opuścili kościół pod wezwaniem Chrystusa. Jednakże nawet zapał, z jakim chór na skutek rozpaczliwych sygnałów rektora zaczął śpiewać „Słuchajcie! Anioł głosi chwałę...” nie zmazał niezatartego wrażenia, że państwo Meany są niezwykle posłuszni wobec swego jedynaka.

Rektor, miętosząc w obu dłoniach Biblię, usiłował ściągnąć na siebie uwagę żony. Ale Barb Wiggin stała, jakby ją zamurowało. Rektor chciał, aby przygasiła „snop światła”, który jaskrawo oświetlał zagniewanego Jezusa.

– Wyprowadź mnie stąd! – polecił Książę Pokoju Józefowi. A kimże innym jest Józef, jak nie człowiekiem, który robi, co mu się każe? Podniosłem go. Maria Beth też chciała w akcie uczestniczyć. Nie wiem, czy kopniak pogłębił jeszcze jej zauroczenie, czy też zdrowo nią wstrząsnął, nie umniejszając jednak gorliwości dziewczyny. Tak czy siak, chciała mu służyć jak niewolnica, gotowa na każde skinienie. Razem unieśliśmy go z siana. Był tak ciasno owinięty, że nieśliśmy go niczym nieporęczną ikonę. Jakkolwiek byśmy go jednak wzięli, i tak nie mógł się zgiąć.

Z początku nie bardzo wiedzieliśmy, dokąd go zanieść. Wyjście z tyłu ołtarza, którym dotarliśmy do żłóbka, blokowała Barb Wiggin.

Dzieciątko Jezus, tak jak zawsze wtedy, gdy byliśmy niezdecydowani, wyznaczyło nam kierunek. Wskazało ręką nawę główną, którą wyszli jego rodzice. Krowy i osły ruszyły na nami zupełnie bezwiednie. One po prostu musiały wyjść na świeże powietrze. Nasza procesja powiększała się niczym maszerująca orkiestra. Trzecia zwrotka kolędy, która miała stanowić kluczowy moment wystąpienia wielebnego Wiggina, zwiastowała nasze wyjście.

Leży pośród chwały, zrodzon, by innym życie dać,
Zrodzon, by grzechy zgładził,
Zrodzon, by człowiek z martwych mógł wstać.

W czasie całej naszej wędrówki wzdłuż nawy głównej nie opuszczał nas snop światła kierowany przez Barb Wiggin. Jakaż to siła kazała jej coś takiego zrobić? Stąd mogliśmy już tylko wyjść na zewnątrz, prosto na zimno i śnieg. Krowy i osły zdarły nakrycia głowy, żeby się lepiej przyjrzeć Dzieciątku. Przeważnie grały je młodsze dzieci – zaledwie kilkoro było mniejszych od Owena. Przyglądały mu się przerażone. Wiatr przewiewał powijaki i bardzo szybko ramiona Owena poczerwieniały. Przycisnął je do swej ptasiej klatki piersiowej. Państwo Meany przerażeni czekali na niego w szoferce ciężarówki. Najświętsza Maryja Panna pomogła mi go wpakować do środka. Był tak opatulony, że musiał leżeć rozłożony na całym siedzeniu. Nogi

trzymał na podołku ojca, choć na szczęście, nie przeszkadzał mu w obracaniu kierownicą, głowa zaś i górna część tułowia spoczywała na kolanach matki, która znowu patrzyła nie całkiem prosto przez okno na coś nie całkiem konkretnego.

– Zaopiekuj się moim ubraniem – poleciło mi Dzieciątko Jezus.

– Naturalnie – odparłem.

– Jak to dobrze, że miałem na sobie mój szczęśliwy szalik! – te słowa skierował do mnie. – Jedźmy do domu! – polecił rodzicom i pan Meany wrzucił bieg.

Z Front Street wyjeżdżał właśnie w Elliot Street pług śnieżny. W Gravesend wszyscy zazwyczaj ustępują drogi pługowi. Ale tym razem to kierowca pługu zatrzymał się i puścił przodem ciężarówkę z Owenem.

Toronto, 4 lutego, 1987. Na środowej porannej komunii nie było prawie nikogo. Dużo przyjemniej jest ją przyjmować, kiedy nie trzeba się tłoczyć w nawach i czekać w kolejce przy balustradzie, jak zwierzę przeciskające się wśród innych do wodopoju albo jak klient w barze szybkiej obsługi. Nie znoszę przyjmować komunii w tłumie ludzi.

Zdecydowanie wolę, gdy sakramentu udziela wielebny Foster, bo nie podoba mi się złośliwość kanonika Mackie'ego. Ten rozkoszuje się, wręczając mi najcieńszy opłatek, jaki ma w ręku – dosłownie okruszek – albo niemożliwy do przełknięcia kęs chleba, który prawie nie mieści się w ustach i którego nie sposób połknąć bez dłuższego przeżuwania. Kanonik lubi się ze mną drażnić. Mówi na przykład: „No cóż, wydaje mi się, że tak często przystępujesz do komunii i że może to mieć ujemny wpływ na twoją dietę. Dobrze, że ktoś chce się o to zatroszczyć" – i chichocze. Kiedy indziej mówi z kolei: „No cóż, doszedłem do wniosku, że tak często przyjmujesz komunię, ponieważ umierasz z głodu. Dobrze by więc było, by cię ktoś w końcu porządnie nakarmił". I chichocze przy tym jeszcze bardziej.

Na szczęście wielebny Foster, pomocnik naszego kapłana, zawsze rozdziela chleb z poczuciem świętości. O nic więcej nie proszę. O wino nie mam żadnych pretensji. Rozdzielają je bardzo zręcznie

nasi honorowi pomocnicy – wielebny Larkin oraz wielebna Katherine Keeling. Jest dyrektorką szkoły im. Biskupa Strachana i w jej obecności czuję się nieswojo jedynie wtedy, kiedy jest w ciąży. Trzeba jednak przyznać, iż wielebna Katherine Keeling dość regularnie spodziewa się dziecka i – moim zdaniem – nie powinna rozdzielać wina, gdy ma tak duży brzuch, iż nachylanie się do przodu, by przytknąć kielich do naszych warg, może stanowić dla niej wysiłek. To mnie napawa niepokojem. A ponadto, kiedy się klęczy, czekając na wino, jej bardzo wydatny brzuch, który się zbliża dokładnie na wysokości wzroku, działa niezwykle rozpraszająco. Jest jeszcze wielebny Larkin. On potrafi cofnąć kielich, zanim jeszcze w ogóle skosztujesz wina. Przy nim to dopiero trzeba się dobrze śpieszyć. A poza tym niezbyt dokładnie wyciera brzeg naczynia.

Z całej tej trójki najlepiej rozmawia się z wielebną Katherine Keeling, zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już kanonika Campbella. Katherine Keeling naprawdę lubię i podziwiam. Żałuję, że nie mogłem spotkać się z nią dzisiaj, gdy czułem potrzebę, by z kimś porozmawiać. Ale pani Keeling jest czasowo na urlopie – właśnie rodzi kolejne dziecko. Wielebny Larkin kończy rozmowę równie szybko, jak wycofuje kielich z winem sprzed twoich ust. Z kolei zaś pomocnik naszego kapłana, wielebny Foster, choć pała misyjnym żarem, nie ma cierpliwości do kłopotów takiego jak ja mężczyzny w średnim wieku, który mieszka sobie luksusowo na Forest Hill. Wielebny Foster opowiada się za otwarciem misji na Jarvis Street oraz postuluje udzielanie porad dziwkom na temat chorób przekazywanych drogą kontaktów seksualnych. Jest zatopiony po uszy w różnych planach prac społecznych na rzecz obywateli Zachodnich Indii na Bathurst Street – tych samych, którym tak ostro złorzeczy pomocnik nadzorcy Holt. Wielebny Foster nie ma współczucia dla moich niepokojów – jego zdaniem, są one tylko wytworem mojej wyobraźni! Podoba mi się to „tylko”!

I tym sposobem jedyna osoba, z którą mogłem dzisiaj porozmawiać, to kanonik Mackie. Ale z nim jest podobny problem. Spytałem:

– Czy czytał pan dzisiaj gazetę „Globe and Mail”? Było to na pierwszej stronie.

– Nie, rano nie miałem czasu na czytanie gazet – odrzekł kanonik Mackie. – No, ale niech zgadnę. Czy chodziło o coś, co ma związek ze Stanami? Pewnie prezydent Reagan coś powiedział? – Właściwie kanonik Mackie nie traktuje mnie protekcjonalnie. A wręcz można by rzec, że traktuje mnie nieprotekcjonalnie.

– Wczoraj odbyła się pierwsza próba nuklearna – pierwszy amerykański wybuch w 1987 roku – rzekłem. – Był zaplanowany na jutro, ale przyspieszyli cały eksperyment. Chcieli zagrać na nosie tym, którzy przeciwko temu protestowali. Naturalnie, protesty były zorganizowane na jutro.

– To zrozumiałe – przytaknął kanonik Mackie.

– A na dzisiaj demokraci zaplanowali głosowanie nad rezolucją, która miałaby przekonać Reagana do odwołania próby – poinformowałem kanonika. – Rząd nawet uciekł się do kłamstwa, jeśli chodzi o datę próby. Nieźle wykorzystują pieniądze podatników, co?

– Ty przecież nie płacisz podatków w Stanach; w każdym razie nie teraz – odrzekł kanonik.

– Rosjanie twierdzą, że pierwsi nie będą przeprowadzać żadnych prób z bronią. Czy pan nie widzi, że to ewidentna prowokacja? Co za arogancja! I wbrew wszystkim porozumieniom w sprawie redukcji zbrojeń! Wszelkich zbrojeń! Każdy Amerykanin powinien obowiązkowo mieszkać za granicą przez jakiś rok czy dwa, po to, by mógł zobaczyć, jacy jesteśmy śmieszni. Powinien posłuchać, co inni o nas mówią. W każdym kraju wiedzą więcej na temat Ameryki niż się wie w Ameryce. Za to Amerykanie nie mają zielonego pojęcia, co się dzieje gdzie indziej na świecie.

Kanonik Mackie przyglądał mi się spokojnie. Już wiedziałem, co się święci. Ja mówię o jednym, a on nagina temat, żeby wrócić do mnie.

– Zdaję sobie sprawę, John, że przykro ci z powodu wyborów do rady parafialnej – zaczął. – Wiesz przecież, że nikt nie wątpi w twoje oddanie dla kościoła.

Ja tu sobie rozprawiam o wojnie nuklearnej i zwykłej amerykańskiej arogancji, a kanonik Mackie chce mówić tylko o mnie.

– Na pewno zdajesz sobie sprawę, że wszyscy parafianie ogromnie cię szanują – tłumaczył kanonik. – Ale czy nie dostrzegasz, że twoje

opinie mogą utrudniać życie innym? Takie zdecydowane poglądy są typowe dla Amerykanów. A Kanadyjczycy nie ufają niezachwianym opiniom.

– Jestem Kanadyjczykiem. I to od dwudziestu lat – zaoponowałem.

Kanonik Mackie jest wysokim przygarbionym mężczyzną o łagodnej twarzy, tak pospolicie brzydkim, że jego niebywały wzrost zdaje się niegroźny, i tak pospolicie porządnym, że nawet jego upór właściwie nie jest agresywny.

– Ach, John, John! – rzekł. – Jesteś obywatelem kanadyjskim, ale zastanów się tylko, o czym ty zawsze mówisz! Rozprawiasz o Ameryce znacznie częściej niż Amerykanie, jakich znam. A poza tym jesteś bardziej antyamerykański niż wszyscy znani mi Kanadyjczycy. Nie wydaje ci się, że jesteś trochę, jak by to powiedzieć, monotematyczny?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Ach, John, John – powtórzył kanonik Mackie. – Twoja złość też jest tak bardzo niekanadyjska. – Kanonik wie, jak się do mnie dobrać – przez moją złość.

– Tak, to nie po chrześcijańsku – przyznałem. – Bardzo mi przykro.

– Niech ci nie będzie przykro – oświadczył radośnie. – Postaraj się być tylko trochę... inny! – Te jego pauzy są równie irytujące jak rady.

– To te cholerne Gwiezdne Wojny tak na mnie działają – próbowałem mu wytłumaczyć. – Jedynym ograniczeniem wyścigu zbrojeń jest układ o redukcji systemów obrony przeciwrakietowej między USA i ZSRR z roku 1972. Teraz Reagan dał Związkowi Radzieckiemu przyzwolenie na próby z bronią nuklearną. A jeśli przejdzie do swego planu wykorzystania broni w kosmosie, to da Sowietom oczywiste zaproszenie, żeby też odrzucili traktat z 1972 roku.

– Świetnie pamiętasz wszystkie daty – zauważył kanonik. – Gdzie ci się one wszystkie mieszczą?

– Kanoniku Mackie... – zacząłem.

– Ach, John. Wiem, że jest ci przykro. Nie robię sobie z ciebie żartów. Po prostu chcę, żebyś zrozumiał, jak to się stało z tymi wyborami...

– Mam w nosie wybory! – wybuchnąłem ze złością, dowodząc tym samym, że tak naprawdę mnie obchodzą. – Bardzo mi przykro.

Kanonik położył ciepłą wilgotną dłoń na moim ramieniu.

– Naszym młodszym parafianom wydajesz się nieco ekscentryczny. Oni nie rozumieją tych czasów, które cię tu przywiodły. Zastanawiają się, dlaczego – zwłaszcza że tak gwałtownie szkalujesz Stany – dlaczego nie jesteś bardziej kanadyjski! Bo tak naprawdę nie jesteś Kanadyjczykiem, i to niepokoi nawet niektórych starszych parafian. To niepokoi nawet tych, którzy pamiętają okoliczności, jakie cię tutaj sprowadziły. Skoro dokonałeś wyboru i pozostałeś w Kanadzie, to dlaczego masz tak niewiele wspólnego z Kanadą? Dlaczego tak mało o nas wiesz, John? Słyszałeś, że krąży taki żart – podobno nie znasz nawet Toronto.

Oto kanonik Mackie, to cały on. Ja tu się martwię o groźbę wojny, a on dręczy się tym, że gdy tylko wysunę nos z Forest Hill, to natychmiast błądzę. Ja mówię o zerwaniu najważniejszego traktatu między ZSRR i USA, a kanonik drażni się ze mną, że mam taką dobrą pamięć do dat!

To prawda, pamiętam świetnie różne daty. Pamiętacie na przykład, co się wydarzyło 9 sierpnia 1974 roku? Nastąpił koniec Richarda Nixona. A 8 września 1974 roku? Wybaczono Richardowi Nixonowi. Potem był 30 kwietnia 1975 roku. Armia amerykańska ewakuowała wtedy z Wietnamu cały pozostały tam jeszcze personel. Nazwano to operacją „Częsty Wiatr".

Muszę przyznać, że kanonik Mackie świetnie sobie ze mną radzi. Mówi o „datach" i mojej „pamięci do historii", aby wysunąć znaną teorię – a mianowicie, że żyję przeszłością. Przez to zaczynam się zastanawiać, czy moje oddanie kanonikowi Campbellowi nie jest także tego kolejnym symptomem. Wiele lat temu, kiedy czułem się bliski kanonikowi Campbellowi, mniej żyłem przeszłością. Albo może to, co teraz nazywamy przeszłością, było wtedy teraźniejszością. Był to wówczas dzień dzisiejszy, w którym ugrzęźliśmy obydwaj – kanonik Campbell i ja. Możliwe, że gdyby kanonik Campbell żył dzisiaj i nadal był rektorem kościoła Łaski, wcale nie okazywałby mi więcej współczucia niż kanonik Mackie.

Kanonik Campbell żył jeszcze 21 stycznia 1977 roku. Tego właśnie dnia prezydent Jimmy Carter ogłosił amnestię dla tych, którzy wykręcili się od wojska. Ale co mnie to mogło obchodzić? Byłem już wtedy obywatelem kanadyjskim.

I chociaż kanonik Campbell ostrzegał mnie również przed moim gniewem, rozumiał, dlaczego to „przebaczenie" tak bardzo mnie rozgniewało. Pokazałem mu list, który napisałem do Jimmy'ego Cartera. *Panie Prezydencie! A kto wybaczy Stanom Zjednoczonym?*

No bo kto wybaczy Stanom Zjednoczonym? Jak można im wybaczyć Wietnam, ich politykę w Nikaragui, ich systematycznie rosnący wkład w rozprzestrzenianie broni nuklearnej?

– Ach, John, John – westchnął kanonik Mackie. – To twoje przemówienie na spotkaniu rady parafialnej na Boże Narodzenie! Chyba nawet Scrooge nie wykorzystałby takiej okazji do wygłoszenia podobnego oświadczenia.

– Powiedziałem tylko, że Boże Narodzenie to dla mnie okres przygnębiający – stwierdziłem.

– „Tylko"! – oburzył się kanonik Mackie. – Kościół wiąże wielkie nadzieje z Bożym Narodzeniem – jeśli chodzi o jego misję, jego obecność w mieście. A poza tym to okres niezwykle ważny dla dzieci.

A co by kanonik powiedział, gdybym mu oświadczył, że dla mnie święta skończyły się raz na zawsze w 1953 roku? Pewnie znowu by stwierdził, że żyję przeszłością. Nie odezwałem się więc słowem. Przede wszystkim wcale nie chciałem rozmawiać na temat Bożego Narodzenia.

Czy to dziwne, że święta, zwłaszcza od czasu tamtej Gwiazdki, są dla mnie czymś przygnębiającym? Boże Narodzenie, którego byłem świadkiem w 1953 roku, zajęło miejsce starej historii. Niewątpliwie Chrystus narodził się „w sposób cudowny". Ale jeszcze bardziej cudowne są wymagania, jakie stawia, zanim zacznie choćby chodzić! Wymaga nie tylko adoracji i uwielbienia od chłopów i królów, od zwierząt i swoich rodziców, ale co więcej – wygania własną matkę i ojca z domu modlitwy i pieśni. Nigdy nie zapomnę jego zaognionej gołej skóry na zimowym chłodzie i szpitalnej bieli powijaków na tle

świeżo spadłego śniegu – to wizja Dzieciątka Jezus, które urodziło się już jako ofiara, zakrwawione, obandażowane, ze złością rozognioną oskarżeniami. Urodziło się tak szczelnie owinięte powijakami, że w ogóle nie mogło zgiąć nóg, i musiało leżeć na kolanach rodziców, sztywne jak śmiertelnie ranny człowiek na noszach.

Jak po czymś takim można lubić Boże Narodzenie? Zanim stałem się człowiekiem wierzącym, mogłem przynajmniej szukać przyjemności w fantazji.

Owej niedzieli, kiedy na Elliot Street czułem, jak wiatr przenika moje Józefowe szaty, zacząłem mocniej wierzyć w cuda i zarazem mniej je lubić. Jak ci wszyscy wierni się pchali, żeby tylko wyjść z nawy! Kto lubi, żeby tak bez jakiegokolwiek uprzedzenia zmieniać mu rytuał? W drzwiach zabrakło rektora, który podawałby im dłoń na pożegnanie, ponieważ taki tłum wiernych ruszył za naszym triumfalnym pochodem, że wielebny Wiggin pozostał przy ołtarzu, nie wypowiedziawszy swego błogosławieństwa. Miał je wygłosić z nawy, dokąd powinien zaprowadzić jego, a nie nas napierający tłum.

A co Barb Wiggin miała zrobić ze „snopem światła", skoro już odprowadził on Dzieciątko Jezus i jego świtę do drzwi? Dan Needham powiedział mi później, że wielebny Dudley Wiggin wykonał na ambonie zupełnie nietypowy jak na kaznodzieję gest. Otóż przejechał palcem wskazującym po gardle, dając tym żonie sygnał, by „zlikwidowała" światło, co też w końcu (ale już dobrze po tym, jak wyszliśmy) zrobiła. Ale dla wielu zaskoczonych wiernych, którzy patrzyli na Wiggina, szukając u niego wskazówek – bo skąd mieliby wiedzieć, jak się zachować, co teraz zrobić w tej nietypowej sytuacji – ów gest rektora podcinającego sobie gardło był szczególnie wymowny. Pan Fish, jako człowiek niezbyt obeznany, powtórzył ów gest niczym rozkaz, a potem popatrzył na Dana, szukając w jego oczach aprobaty. Dan dostrzegł, że pan Fish nie był w tym, co robi, odosobniony.

A jakie było nasze zadanie? Grupa ze żłóbka, nieodpowiednio ubrana na taką pogodę, zbiła się niepewnie w gromadkę, kiedy ciężarówka do przewożenia granitu skręciła już we Front Street

i zniknęła nam z oczu. Tylna część osła, która nagle ożyła, pobiegła do drzwi przedsionka domu parafialnego, ale okazało się, że są zamknięte. Krowy ślizgały się na śniegu. Dokąd mieliśmy się udać, jak nie do głównego wejścia? Czy ktoś zamknął dom parafialny z obawy, że mogą nam ukraść ubrania? O ile wiedziałem, w Gravesend nie brakowało takich ubrań jak nasze. Nie było też złodziei. Ruszyliśmy zatem pod prąd. Ruszyliśmy naprzeciw wiernym wychodzącym z kościoła, mając nadzieję, że uda nam się wejść do środka. Barb Wiggin, która życzyłaby sobie, żeby każde nabożeństwo przebiegało tak gładko jak lot bez turbulencji, i na dodatek bez żadnych opóźnień, widok korka w głównej nawie musiał przygnębić jeszcze bardziej. Co mniejsze aniołki i pastuszkowie przedzierali się między nogami dorosłych. Co bardziej stateczni królowie z rękoma na przechylonych koronach, niezręcznie poruszające się krowy i już przepołowione osły z trudem przeciskały się pośród grubych zimowych okryć. Oblicza wielu parafian wyrażały zaskoczenie i oburzenie, tak jakby Pan Jezus właśnie splunął im w twarz, zarzucając świętokradztwo. Wśród starszych parafian, u których jowialny kapitan Wiggin oraz jego zuchwała żona nie cieszyli się zbytnią sympatią, przeważała wściekłość widoczna w zmarszczonych, skupionych twarzach, jakby okropne jasełka, które właśnie zobaczyli, odzwierciedlały pogląd rektora na nowoczesność. Tak czy inaczej, nie byli tym zachwyceni i znowu minie kolejnych kilka lat, zanim zaakceptują byłego pilota.

Nagle na wysokości brody wyrosła przede mną klatka piersiowa Lewisa Merrilla, który, tak jak wszyscy zgromadzeni wierni, nie bardzo wiedział, co ma wraz z żoną teraz robić. Znajdowali się bliżej nawy kościoła niż rektor, którego w ogóle nie było widać w pobliżu, i gdyby wielebny Merrill wraz z całym tłumem parł w kierunku drzwi, mógłby się znaleźć na schodkach – gdzie żegnałby wychodzących – wcześniej niż wielebny Wiggin. To już pewne, że żegnanie wiernych Kościoła episkopalnego po ich nieudanych jasełkach nie należało do obowiązków pastora Merrilla. Broń Boże, jeszcze kto pomyśli, że to on był winien tej katastrofie albo że może kongregacjonaliści w taki właśnie sposób chcą ukazać Boże Narodzenie.

– Ten twój maleńki przyjaciel... – szepnął do mnie Merrill – czy on... czy on jest zawsze taki?

„Jaki?” – pomyślałem sobie. Ale w tym szalonym tłumie trudno by mi było dyskutować, więc już nie oponowałem.

– Tak – odrzekłem. – Dzisiaj miał pan najdoskonalszą próbkę możliwości Owena. Nie sposób przewidzieć, jak się zachowa.

– Jest, że tak powiem... niezwykły – zauważył wielebny Merrill z nikłym uśmiechem, najwyraźniej cały szczęśliwy, że w kościele kongregacjonalistów obchodzi się Boże Narodzenie przy śpiewie kolęd, a nie za pomocą żywych obrazów, i jednocześnie z ulgą, iż Owen i jego ojciec nie zeszli niżej w protestanckiej hierarchii niż episkopaliści. Pastor chyba wyobrażał już sobie, jakich to szkód mógłby się dopuścić Owen w czasie nieszporów.

Dan dopadł mnie w korytarzu łączącym dom parafialny z kościołem. Powiedział, że zaczeka, aż wezmę ubranie swoje i Owena. Moglibyśmy wtedy razem pojechać albo do niego, albo do babci. Pan Fish był szczęśliwy i poruszony. Nie miał wątpliwości, że wielebny Dudley Wiggin co roku „podrzyna sobie gardło” tak jak dziś, a już zupełnie nie przyszło mu do głowy, że całe wystąpienie Owena mogło być niezgodne ze scenariuszem. Zachwycił go również dramaturgiczny aspekt przedstawienia.

– Ogromnie mi się podobało, kiedy podpowiada Aniołowi, co ten ma powiedzieć – to genialny pomysł – pochwalił. – Albo to, jak odrzuca matkę. Już od początku życia wszystko krytykuje. No, od razu widać, że to nie jest przeciętne dziecko. Rozumiecie? Widać, że to on jest Panem! I to od pierwszego dnia. Widać, że już od samego początku wydaje polecenia, rozkazuje wszystkim, co mają robić. A ja myślałem, że w tej sztuce nic nie mówi. Nie miałem pojęcia, że ten rytuał jest tak... prymitywny, tak gwałtowny, tak barbarzyński! Ale jakże wzruszający! – dodał pospiesznie pan Fish, byśmy z Danem nie poczuli się dotknięci, że ktoś może określać naszą religię jako „barbarzyńską” i „prymitywną”.

– Właściwie nie wypadło to dokładnie tak, jak sobie życzył autor – tłumaczył Dan. Zostawiłem go, kiedy wyjaśniał zapalonemu amatorowi, w którym miejscu przedstawienie rozminęło się ze scenariuszem – chciałem jak najszybciej się ubrać i wziąć rzeczy

Owena, nie natykając się na któreś z Wigginów. Ale dopiero po dłuższej chwili udało mi się odnaleźć ubranie Owena. Maria Beth zgarnęła je w kupkę wraz ze swoim w rogu kruchty, a potem położyła się na rzeczach, szlochając. Trudno było usunąć stamtąd dziewczynę, nie uciekając się do przemocy i nie przerywając jednocześnie jej spazmów. Uważała, że wszystko, co sprawiło przykrość Dzieciątku Jezus, to jej wina. Mało, że nie potrafiła go ukoić, to na dodatek była jeszcze złą matką. Twierdziła, że Owen jej nienawidzi. Och, jakże chciałaby go lepiej zrozumieć! Ale mimo wszystko – wyjaśniła mi przez łzy – ma wrażenie, że to ona go lepiej rozumie niż ktokolwiek inny.

W wieku lat jedenastu nie potrafiłem na tej podstawie ocenić, jak znerwicowaną matką i żoną będzie Maria Beth Baird. Kiedy tak stałem nad nią w kruchcie kościelnej, miałem jedynie ochotę jej przyłożyć, wyrwać ubranie i zostawić ją w kałuży łez. Niedobrze mi się robiło na samą myśl, że ona może rozumieć Owena Meany'ego! A tak naprawdę to chciała go zabrać do domu i położyć się na nim. Myślała, że zrozumieć to nakryć jego ciało swoim i nigdy nie pozwolić mu wstać.

Ponieważ jednak zbyt dużo czasu zbałamuciłem w kruchcie, przyłapała mnie Barb Wiggin.

– Powiedz mu to, jak będziesz oddawał ubranie – szepnęła mi do ucha, wpijając palce w ramię i tarmosząc mnie. – Powiedz, że nie wolno mu przyjść do kościoła, dopóki się ze mną nie zobaczy. Przed następną niedzielą, zanim pójdzie na nabożeństwo, najpierw musi przyjść do mnie. Nie wolno mu przychodzić do kościoła, zanim się ze mną nie zobaczy! – powtórzyła, potrząsając mną porządnie na pożegnanie.

Byłem tak poruszony, że wyrzuciłem z siebie wszystko przed Danem, który kręcił się w okolicy ołtarza wraz z panem Fishem. Zapalony amator teatru z kolei przyglądał się rozrzuconemu w żłóbku sianu oraz kilku darom pozostawionym przez Dzieciątko Jezus, tak jakby sposób, w jaki cały ten śmietnik zawalał scenę, krył w sobie jakieś głębsze znaczenie.

Powiedziałem Danowi, co kazała mi przekazać Barb Wiggin, opowiedziałem, jak doprowadziła go do erekcji, wspomniałem

o wojnie bez słów, jaka się między nimi toczyła, a teraz, nie miałem wątpliwości, że Owenowi nigdy już nie „będzie wolno” zjawić się w kościele episkopalnym. Jeśli warunkiem powrotu Owena do kościoła pod wezwaniem Chrystusa było spotkanie z nią, wiem, że Owen wystrzegałby się episkopalistów, tak jak teraz wystrzega się katolików. Z wielkim zapałem rozprawiałem o tej możliwości, a Dan, który siedział obok mnie w przedniej ławce, słuchał pełen współczucia.

Podszedł do nas pan Fish oświadczając, że Anioł nadal wisi w powietrzu. Zastanawiał się, czy i to należy do sztuki, to, żeby zostawić Harolda Crosby’ego zawieszonego pod sufitem nawet wtedy, kiedy żłóbek i ławki już opustoszały. Harold Crosby, który uważał, że zarówno Bóg, jak i Barb Wiggin opuścili go na zawsze, dyndał pośród sztucznych łuków przyporowych niczym ofiara mordu popełnionego przez straż obywatelską. Danowi, doskonale obeznanemu z techniką teatralną, udało się w końcu zapanować nad maszynerią i sprowadzić wygnanego Anioła na twardy grunt – Harold przyjął ten gwałtowny powrót z prawdziwą wdzięcznością i ulgą. Cały się zarzygał, a ponieważ próbował się trochę obetrzeć jednym ze skrzydeł, jego strój był godny pożałowania.

W tym właśnie momencie Dan z całkowitym przejęciem i w sposób konkretny, żeby nie powiedzieć wręcz bohaterski, wszedł w swoją rolę ojczyma. Zaniósł przemoczonego Harolda Crosby’ego do kruchty domu parafialnego, gdzie zagadnął Barb Wiggin, czyby mu nie mogła poświęcić chwilki czasu.

– Nie widzi pan... że nie jest to może najbardziej odpowiednia chwila? – odrzekła.

– Nie chciałbym poruszać z członkami komitetu parafialnego sprawy tego chłopca, którego zostawiła pani dyndającego w powietrzu – oświadczył Dan. Trzymał Harolda na rękach z niejakim trudem, nie tylko dlatego, że był mokrusieńki i ciężki, ale też i dlatego, że smród rzygowin w tym malutkim pomieszczeniu stawał się nie do zniesienia.

– Nie jest to najlepszy moment, żeby o czymkolwiek ze mną rozmawiać – ostrzegła Barb, jednakże Dan nie należał do ludzi, których mogłaby odstraszyć jakaś tam stewardesa.

– Nikt tak naprawdę nie przejmuje się, jeśli jakieś cuda zdarzają się w czasie jasełek, to jest jednak poważna sprawa; o tym chłopcu, który wisiał dwadzieścia stóp nad betonową posadzką, po prostu zapomniano! Mógł się zdarzyć niezwykle poważny wypadek spowodowany pani niedbalstwem. – Harold Crosby zamknął oczy, jakby się bał, że Barb Wiggin go uderzy albo z powrotem przypnie pasami do maszynerii unoszącej Anioła w powietrze.

– Bardzo mi przykro... – zaczęła, ale Dan przerwał jej w pół zdania.

– Nie będzie pani wprowadzać żadnych obostrzeń wobec Owena Meany'ego – oświadczył. – Nie jest pani rektorem, lecz jedynie żoną rektora. Miała pani jedno konkretne zadanie – sprowadzić tego chłopca bezpiecznie na ziemię – i zapomniała pani o tym. Ja o wszystkim zapomnę, jeśli pani zapomni, że ma się spotkać z Owenem. Owen ma prawo wstępu do kościoła, kiedy tylko zechce. Żeby przyjść tutaj, nie potrzebuje żadnego specjalnego zezwolenia. Jeśli rektor życzyłby sobie rozmawiać z Owenem, niech zadzwoni do mnie. – I w tym momencie Dan Needham uwolnił oślizgłego Harolda Crosby'ego, który sądząc po sposobie, w jaki ruszył na poszukiwanie swego ubrania, przez długie uwięzienie w aparacie całkowicie stracił czucie w nogach. Chwiejnym krokiem przemieszczał się po kruchcie, a dzieci ustępowały mu z drogi z powodu smrodu, który roztaczał. Dan Needham położył mi rękę na karku i delikatnie popchnął mnie w kierunku Barb Wiggin.

– Ten chłopiec nie będzie pani posłańcem – orzekł. – Nie chciałbym być zmuszony wspominać o tym wszystkim członkom komitetu parafialnego – powtórzył.

Stewardesy cieszą się na ogół przynajmniej niewielkim autorytetem. Barb Wiggin doskonale zdawała sobie sprawę, że jej autorytet podupadł. Miała tak obrzydliwie słodką minę, ale to tak obrzydliwie słodką, że aż mi było za nią wstyd. Czym prędzej skupiła całą uwagę na przebraniu Harolda Crosby'ego w jakieś czyste rzeczy. Zdążyła dosłownie w ostatnim momencie. Matka Harolda wkroczyła do przedsionka dokładnie w chwili, kiedy my z Danem wychodziliśmy z domu parafialnego.

– Ach, mój najdroższy, to musiała być świetna zabawa – zagadnęła pani Crosby. – Czy dobrze się bawiłeś? – Kiedy Harold w odpowiedzi

skinął głową, Barb Wiggin zupełnie spontanicznie przytuliła go do siebie.

W tym czasie pan Fish odnalazł rektora, który właśnie mierzył bożonarodzeniowe świece, żeby się upewnić, czy wystarczą na przyszły rok. Wielebny rektor Dudley Wiggin miał ten zdrowy odruch pilota, który nieodmiennie troszczy się o przyszłość. Nie żył chwilą teraźniejszą, zwłaszcza jeśli ta teraźniejszość zawierała w sobie znamiona klęski. Na pewno nigdy nie zatelefonowałby do Dana, żeby porozmawiać z Owenem. Owen zostałby „dopuszczony" do kościoła pod wezwaniem Chrystusa bez konsultacji z rektorem.

– Bardzo mi się podoba sposób, w jaki Józef i Maryja wynoszą Dzieciątko Jezus ze żłóbka – komentował pan Fish.

– Naprawdę? Cieszę się.

– To wspaniałe, niezwykle dramatyczne zakończenie – kontynuował pan Fish.

– Prawda? Może zrobimy podobne w przyszłym roku?

– Naturalnie, rola ta wymaga kogoś o tak silnej osobowości jak Owen – ocenił w odpowiedzi pan Fish. – Założę się, że nie co roku trafia się ktoś taki.

– To prawda – przyznał rektor.

– Jest taki naturalny!

– Prawda?

– Czy widział pan „Opowieść wigilijną"? – spytał pan Fish.

– Nie, w tym roku nie – odrzekł rektor.

– A co pan robi w Wigilię?

Ja wiem, co bym strasznie chciał robić w Wigilię. Tak bardzo chciałbym być w Sawyer Depot i czekać wraz z mamą na przyjazd Dana pociągiem o północy. Tak właśnie wyglądały nasze Wigilie, od kiedy mama związała się z Danem. Razem z mamą rozkoszowałem się gościnnością Eastmanów, wyciskałem z siebie siódme poty, dokazując z moimi niepohamowanymi kuzynami, a potem, po przedstawieniu Trupy Gravesend, dojeżdżał do nas Dan. Wysiadał z pociągu w samym środku nocy niezwykle zmęczony, ale w domu Eastmanów wszyscy, nawet babcia, czekali na niego. Wuj

Alfred częstował Dana czymś dobrym do picia, a w tym czasie mama oraz ciocia Marta kładły spać wszystkie dzieci.

Za piętnaście dwunasta Hester, Simon, Noah i ja opatulaliśmy się grubo i przechodziliśmy na drugą stronę ulicy na dworzec. Na Północy pogoda w noc wigilijną nie wydaje się dorosłym zbyt zachęcająca, więc łaskawie pozwalali nam wyjść po Dana. Staraliśmy się przyjść wcześniej, żeby zdążyć ulepić dużo kul ze śniegu. W tamtych czasach pociągi się nie spóźniały. Nie było zbyt wielu pasażerów, a w Sawyer Depot nie wysiadał prawie nikt oprócz Dana. Wtedy obrzucaliśmy go śnieżkami. Mimo że był tak okropnie zmęczony, rozpoczynał z nami walkę na kule śniegowe.

Jeszcze przed naszym wyjściem po Dana mama i ciocia Marta śpiewały kolędy. Czasami dołączała do nich babcia. My, dzieci, pamiętałyśmy przeważnie tylko słowa pierwszych zwrotek. Dopiero w dalszych zwrotkach mama i ciocia Marta wystawiały na próbę te wszystkie lata, jakie prześpiewały w chórze kościoła kongregacjonalistów. Konkurs wygrywała bezapelacyjnie mama – znała słowa wszystkich kolęd od początku do końca. Tak więc w miarę śpiewania milkła najpierw babcia, potem coraz mniej słychać było ciocię Martę, a na sam koniec zostawała już tylko mama.

– Co za marnotrawstwo, Tabby! – wzdychała ciocia Marta. – Tak marnować pamięć! Znasz wszystkie słowa wszystkich zwrotek, nawet tych, których się nigdy nie śpiewa!

– A do czego innego mogłabym jeszcze wykorzystać swoją pamięć? – pytała mama siostrę i obie kobiety uśmiechały się do siebie tajemniczo. Ciocia Marta swym uśmiechem starała się sprowokować tę część pamięci mamy, która kryła wspomnienia o moim ojcu. Ale tak naprawdę doskonała pamięć mamy do kolęd drażniła ciotkę dlatego, że mama śpiewała ostatnie zwrotki solo. Nawet wuj Alfred przerywał wtedy swoje zajęcia i słuchał jej głosu.

Pamiętam, że było to na pogrzebie mamy. Wielebny Lewis Merrill powiedział wtedy babci, że dwukrotnie przyszło mu pożegnać się z głosem mamy – pierwszy raz, gdy Marta wyszła za mąż, bo od tamtej pory obie dziewczyny spędzały Boże Narodzenie w Sawyer Depot. Co prawda mama ćwiczyła wraz z całym chórem przed

świętami, ale na niedzielnych nieszporach była nieobecna, gdyż zdążyła już wyjechać do siostry. Ponownie pastor Merrill stracił głos mamy, gdy przeniosła się do kościoła pod wezwaniem Chrystusa. Ale ja straciłem jej głos dopiero na Boże Narodzenie 1953 roku, kiedy to miasteczko, w którym się urodziłem, stało się dla mnie tak bardzo obce. Od tej pory nie znosiłem spędzać Wigilii w Gravesend.

Ma się rozumieć, byłem wdzięczny, że w ogóle miałem jak zabić czas. Naturalnie, obejrzałem każde wystawienie „Opowieści wigilijnej", łącznie z próbą kostiumową. Cieszyłem się bardzo, że główne przedstawienie może mi zająć czas w Wigilię. Wydaje mi się, że Danowi i mnie przyświecał ten sam cel – dokładaliśmy wszelkich starań, by się czymś zająć. Po występie Dan zaplanował przyjęcie dla aktorów – doskonale rozumiem dlaczego. Chciał wypełnić sobie każdą minutę aż do północy, a nawet później, żeby nie myśleć o podróży do Sawyer Depot (oraz o mamie, która na niego czeka w ciepłym domu Eastmanów). Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że Eastmanom też nie jest lekko. Po pierwszej zwrotce ciocia Marta będzie miała kłopoty z każdą kolędą.

Dan chciał zorganizować przyjęcie na Front Street, i to też rozumiem. Chciał, żeby babcia miała pełne ręce roboty. Naturalnie, babcia narzekała, że będą hulanki, że lista gości jest zbyt „urozmaicona", biorąc pod uwagę fakt, iż wśród aktorów Dana są ludzie o tak różnych osobowościach i statusie społecznym. Ale znaczyło to przynajmniej, że babcia byłaby czymś zajęta. Niemniej jednak odmówiła. Dan musiał ją błagać, żeby w ogóle przyszła zobaczyć sztukę.

Z początku wymyślała najprzeróżniejsze wymówki – że nie może zostawić Lydii samej, bo Lydia jest chora, ma jakiś zator w płucach i przewodach oddechowych, i żadną miarą nie może pójść na przedstawienie. Poza tym babcia twierdziła, że z okazji Wigilii pozwoli Ethel odwiedzić krewną (Ethel miała wolne w Boże Narodzenie i także następnego dnia), a przecież Dan doskonale wie, iż Lydia nie znosi zostawać sama z Germaine.

Dan odparł, że przecież Germaine została wynajęta właśnie po to, by się opiekować Lydią. Tak, to prawda, przyznała mu rację babcia. Z drugiej jednak strony dziewczyna jest ponura, wierzy w gusła, a na

Wigilię Lydii potrzeba przede wszystkim towarzystwa. Właśnie „ze względów towarzyskich", tłumaczył jej uprzejmie Dan, zależało mu na tym, by babcia zobaczyła „Opowieść wigilijną", a nawet spędziła trochę czasu w radosnej atmosferze przyjęcia dla aktorów. Ponieważ babcia nie zgodziła się, by zabawa odbyła się u niej w domu, Dan zrobił dekorację świąteczną na całym trzecim piętrze Waterhouse Hall. Otworzył co mniej zagracone pokoje chłopców oraz wspólną salę, bo w jego malusieńkim mieszkaniu wszyscy by się nie pomieścili. Ostrzegł też Brinker-Smithów, że dwa piętra wyżej będzie pewnie troszkę zamieszania. Mogli dołączyć do towarzystwa albo – według uznania – zatkać bliźniakom uszy watą.

Babcia nie miała większej ochoty w tym wszystkim uczestniczyć, ale było staruszce przyjemnie, że Dan stara się jej przypodobać i wyrwać ją z niechętnego ludziom nastroju swarliwości i zrzędliwości, więc w końcu zgodziła się przyjść na przedstawienie. Co zaś się tyczy przyjęcia, doszła do wniosku, że zobaczy, jak się będzie czuła po występach. Zatem wszystko spadło na mnie. Musiałem doprowadzić babcię do ratusza na ostatni spektakl „Opowieści wigilijnej". Przez całą drogę miałem się na baczności, by babcia przypadkiem się nie przewróciła i nie złamała nogi w biodrze, choć chodniki zostały dla bezpieczeństwa posypane piaskiem i nie spadł świeży śnieg, doskonale zaś wypastowane drewniane podłogi dawnej sali obrad były znacznie bardziej śliskie niż jakakolwiek nawierzchnia, na jaką babcia mogłaby się natknąć na dworze.

Zawiasy starych składanych krzeseł zaskrzypiały jednocześnie, kiedy zacząłem prowadzić Harriet Wheelwright w kierunku miejsc honorowych w trzecim rzędzie na środku. Mieszkańcy naszego miasteczka odwracali głowy, zupełnie jak wierni w kościele, którzy chcą zobaczyć pannę młodą, ponieważ babcia weszła do teatru tak, jakby wywołały ją na scenę oklaski po odegranej już dość dawno temu „Wiernej żonie" Maughama. Harriet Wheelwright potrafiła zrobić entrée w iście królewskim stylu. Rozległy się nawet pojedyncze oklaski, które babcia uciszyła doskonale wymierzonym groźnym spojrzeniem. Była skłonna zaakceptować szacunek wywołany strachem, najchętniej niemym przerażeniem. W tych

jednakże okolicznościach oklaski wydały się jej czymś wielce prostackim.

Potrzeba jej było pięciu minut, by się wygodnie usadowić. Zdjęła co prawda swoje futro z norek, ale nadal miała je zarzucone na ramiona, poluźniła apaszkę, choć zostawiła ją tak, by dokładnie przykrywała plecy, chroniąc je przed przeciągami, które mogły powiać od tyłu. Nie zdjęła kapelusza, mimo że ci, co siedzieli z tyłu, nic nie widzieli (na szczęście pan, który zajmował miejsce tuż za nią, przesiadł się). Wreszcie mogłem udać się za kulisy, gdzie zawsze uczestniczyłem w podniosłym obrządku towarzyszącym makijażowi Owena Meany'ego przed lustrem.

Przeżycie, jakiego doświadczył podczas jasełek, widniało w jego oczach, jakby zmarł mu ktoś bliski z rodziny. Kaszel wydobywał mu się z głębi piersi, a przez gorączkę był na zmianę to rozpalony i oblany potem, to drżał z zimna. Nie potrzebował nadużywać ołówka do smutnych, ciemnych, podkrążonych już oczu, a dziecięcy puder, który co wieczór kładł w dużych ilościach na twarz bledziutką jak u laleczki z chińskiej porcelany, rozsypał się białą warstewką na toaletce – zupełnie jak pył skalny. Owen wypisał palcem na blacie swoje imię – litery były kwadratowe, jak w ulubionym liternictwie nagrobkowym pana Meany'ego.

Owen wcale nie zamierzał tłumaczyć, dlaczego obecność rodziców w kościele podczas jasełek tak go oburzyła. Kiedy próbowałem powiedzieć, że zareagował zbyt ostro i gwałtownie, odrzucił moje zastrzeżenia w sposób, który miał opanowany do perfekcji – po prostu wybaczył mi, bo pewnych rzeczy i tak nie mogłem wiedzieć, a on nigdy nie zamierzał mi ich wyjaśnić. Miał na myśli tę niewyobrażalną zniewagę, jakiej dopuścili się katolicy, oraz fakt, iż rodzice nie mogli się wznieść ponad prześladowanie religijne, którego padli ofiarą. Ale moim zdaniem, to Owen prześladował rodziców. Na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, dlaczego godzili się na takie traktowanie.

Za kulisami mogłem swobodnie się rozejrzeć, czy przypadkiem na widowni nie ma niepożądanych tam państwa Meanych. Nie było. Jednakże moja obserwacja została uwieńczona sukcesem, gdyż dostrzegłem krwiożerczego Morrisona – tego tchórzliwego listonosza.

Jego oczy miotały błyskawice na wszystkie strony, trzymane zaś na podołku ręce zaciskał tak, jakby właśnie skręcał komuś kark. Wyglądał jak człowiek, który chce pokazać, że gdyby to on zagrał, na scenie lałaby się krew i zewsząd emanował smutek. Gdyby Owena zmogła gorączka, pan Morrison chętnie by go zastąpił.

Widownia była pełna. Z niejakim zdziwieniem stwierdziłem, że niektóre twarze widziałem już na wcześniejszych przedstawieniach. Ponownie przyszedł zobaczyć sztukę wielebny Lewis Merrill, a może miał już ją oglądać po raz trzeci! Nie opuścił żadnej próby kostiumowej, kilkakrotnie oglądał też gotowy spektakl. Danowi powiedział, że bardzo lubi obserwować, jak aktorzy „wczuwają się" w swoje role. „Opowieść wigilijna" musiała mieć dla niego specjalne znaczenie, gdyż był duchownym. Historia ta ukazywała niezwykle wyraziście proces nawrócenia. Stanowiła nie tylko lekcję dobroczynności, lecz także przykład ludzkiej pokory wobec świata duchowego. Mimo to na widowni nie dostrzegłem rektora Wiggina. Nie liczyłem też, że zobaczę Barb. Przypuszczam, że to, co mieli już okazję obejrzeć, a więc interpretację świata duchowego w wykonaniu Owena Meany'ego, dostarczyło im dość natchnienia aż do przyszłego roku.

Lewis Merrill, w aurze nieodłącznego zgorzknienia, które rozsiewała jego żona, siedział również nieodmiennie w otoczeniu udręczonych dzieci, często zbuntowanych, zawsze nieposłusznych i ponurych, każde na swój sposób. Dzieci Merrila doskonale potrafiły wykorzystać swe niezadowolenie z faktu, że zostały na siłę zaciągnięte do amatorskiego teatru. Wysoki chłopiec, sławny z barbarzyńskich aktów wandalizmu na cmentarzu, wyciągnął nogi na sam środek przejścia, obojętny na to, że może stanowić zagrożenie dla osób starszych, chorych czy nieostrożnych. Dziewczynka, o tak brutalnie krótko przyciętych włosach, że przy kanciastym bezkształtnym ciele nadawały jej chłopięcy wygląd, głośno pracowała nad gumą do żucia. Zsunęła się w fotelu na tyle nisko, że kolanami uciskała w szyję widza, który miał wątpliwe szczęście siedzieć przed nią. Był to tłuściutki miły człowieczek w średnim wieku, wykładający przedmioty ścisłe na Akademii Gravesend. A kiedy odwrócił się, by ostrym spojrzeniem naukowca zmierzyć dziewczynkę, dmuchnęła mu

w nos balonem z gumy. Trzecie i najmłodsze dziecko, o bliżej nie określonej płci, czołgało się między krzesłami, łapiąc niespodziewanie za kostki zaskoczonych widzów i pokrywając się jednocześnie warstwą brudu i popiołu oraz wszelakiego błota, którego tamci nanieśli.

Pani Merrill cierpliwie znosiła przykrości, których źródłem były jej dzieci. Nie sprzeciwiała się ich zachowaniu, mimo że wyraźnie sprawiało jej ból. Zresztą prawie wszystko potrafiło zadać jej ból, trudno więc byłoby te właśnie przykrości jakoś specjalnie wyróżniać. Pan Merrill nie odrywał wzroku od środka sceny, niczym zahipnotyzowany szczeliną w kurtynie, która później miała się rozsunąć. Tak, jakby wierzył, że bacznie obserwując we wzniosłym akcie koncentracji odsłanianie się kurtyny, pomoże się jej otworzyć. Dlaczego więc był taki zdziwiony, kiedy kurtyna faktycznie się rozsunęła?

A dlaczego ja byłem taki zaskoczony aplauzem, jaki powitał starego Scrooge'a siedzącego w kantorze? Przecież każde przedstawienie zaczynało się tak samo. Ale dopiero w Wigilię zdałem sobie sprawę z tego, jak wielu widzów musiało siedzieć na trybunach owego letniego dnia, bijąc brawo czy pragnąc oklaskami nagrodzić Owena, który z taką siłą odbił piłkę.

Faktycznie, był obecny grubas Chickering, którego wiatrówka oszczędziła mi zbyt dokładnego widoku śmiertelnej rany. Był również szef policji Pike. Jak zwykle, usadowił się gdzieś blisko drzwi, podejrzliwie lustrując całą widownię, tak jakby zakładał, że winowajca przyniesie skradzioną piłeczkę do teatru!

– „Gdybym mógł postąpić wedle swej woli – mówił pan Fish z oburzeniem – każdy dureń, który chodzi po ludziach z życzeniami Wesołych Świąt, zostałby ugotowany w swoim własnym świątecznym puddingu i pochowany z gałązką ostrokrzewu wetkniętą w serce".

Widziałem, jak pan Morrison bezgłośnie powtarza słowo za słowem. Ponieważ jako Duch Przyszłych Wigilii nie miał do zapamiętania żadnej kwestii, nauczył się całej roli Scrooge'a. Ciekawe, jak on wykorzystał ten kiks, który tak spektakularnie zakręcił moją mamą w powietrzu? Czy był tam i widział, jak pan Chickering gwoli przyzwoitości zsunął jej rozrzucone kolana?

Tuż przed odbiciem piłki przez Owena matka zauważyła kogoś w loży. Przypominam sobie, że machała do kogoś na moment przed uderzeniem. Na pewno nie machała do pana Morrisona, co do tego nie mam wątpliwości. Jego cyniczna osobowość nie zachęcała wszak do tak spontanicznego odruchu jak machnięcie ręką – ten ponurak zasługiwał co najwyżej na skinięcie głową.

No to do kogo mama machała? Do kogo należała ostatnia twarz, jaką widziała w życiu? Którą twarz wybrała w tłumie, czyją twarz spostrzegła, z widokiem czyjej twarzy zamknęła oczy? Wzdrygając się, próbowałem sobie wyobrazić, kto to mógł być, skoro nie babcia i nie Dan.

– „Muszę wlec za sobą łańcuch, który sam ukułem za życia" – powiedział duch Marleya Scrooge'owi. Mimo że wpatrywałem się w publiczność, poznałem, jakie to miejsce w sztuce, dzięki brzęczeniu łańcucha Marleya.

– „Interesy! – jęczał duch Marleya. – Miast interesom powinienem był życie całe poświęcić ludzkości! Powinienem był życie całe poświęcić pracy dobroczynnej, okazywać bliźnim miłosierdzie, wyrozumiałość, życzliwość. Sprawy związane z kupieckim rzemiosłem stanowiły zaledwie znikomą kroplę w niezmierzonym oceanie mych powinności!".

Z nerwowym drżeniem wyobraziłem sobie, że osoba, do której machała, to był mój ojciec – że w chwili śmierci machała do mego ojca! Nie mając zupełnie pojęcia, w jaki sposób miałbym go rozpoznać, zacząłem poszukiwania od lewej strony pierwszego rzędu. Lustrowałem kolejno widza za widzem. Z miejsca, w jakim stałem za kulisami, widziałem zastygłe niemal twarze, a ich uwaga nie skupiała się na mnie. Te twarze, przynajmniej częściowo, były mi obce, a w dalszych rzędach twarzyczki robiły się mniejsze niż na kartach baseballowych.

Obserwacja do niczego nie doprowadziła i właśnie wtedy wszystko sobie przypomniałem. Przyglądając się mieszkańcom mojego miasteczka zebranym w ratuszu w Wigilię Bożego Narodzenia, zacząłem zapełniać ławkę po ławce w owo letnie popołudnie. Pamiętałem tych nielicznych wielbicieli baseballa, którzy oglądali mecz. Na przykład, pani Kenmore, żona rzeźnika, oraz ich syn

Donny, który z powodu gorączki reumatycznej nie mógł grać. Oni przychodzili na każdy mecz. Przyszli też na przedstawienie „Opowieści wigilijnej", żeby popatrzeć, jak pan Kenmore zarzyna rolę Ducha Tegorocznego Bożego Narodzenia. Ale ja widziałem ich w letnich strojach w krótkimi rękawkami, z jednakowo opalonymi nosami. Zawsze siadali niżej, ponieważ Donny niezbyt zręcznie się poruszał i pani Kenmore obawiała się, że może gdzieś zlecieć.

Obecna była również córka pana Early – Maureen, ta, która podobno zlała się, kiedy Owen Meany próbował swoich sił w roli Ducha Przyszłych Wigilii. Była i dzisiaj, przychodziła zresztą co wieczór, żeby się przyjrzeć, jak ojciec bezskutecznie próbuje upodobnić ducha Marleya do Króla Lira. Ojca darzyła jednocześnie bałwochwalczym szacunkiem i pogardą. Uchodził za okropnego snoba i zasypywał Maureen zarówno mnóstwem nie zasłużonych pochwał, jak i nieprawdopodobną listą wymagań, wśród których nie zapomniał i o doktoracie – w najgorszym wypadku. Ale gdyby kiedyś chciała zrealizować swoje marzenia i stać się gwiazdą filmową, na reputację na srebrnym ekranie mogła liczyć jedynie po serii triumfów w „prawdziwym" teatrze. Maureen Early była marzycielką, która kuliła się w swym fotelu, obojętne, czy oglądała przedramatyzowaną grę ojca, czy przyglądała się Owenowi Meany'emu, zbliżającemu się do bazy domowej. Pamiętam, że siedziała w górnym rzędzie, skulona obok Caroline O'Day, której ojciec był dyrektorem Domu Handlowego Chevy. Caroline O'Day należała do tego rzadkiego gatunku dziewcząt z prowincji, które potrafią nosić mundurek szkoły św. Michała, to znaczy plisowaną flanelową spódniczkę oraz ciemnoczerwone podkolanówki, tak jakby była kelnerką serwującą koktajle w lokalu o wątpliwej reputacji. Wobec chłopców Caroline O'Day zachowywała się agresywnie niczym korweta na polu bitwy i Maureen Early odpowiadało jej towarzystwo, gdyż zdaniem pana Early, O'Dayowie to ludzie wulgarni. Pan Early nie ukrywał specjalnie niezadowolenia, że ojciec Caroline – Larry O'Day – gra rolę Boba Crachita. Jednakże pan O'Day był zarówno młodszy, jak przystojniejszy od pana Early. Z kolei Dan Needham wiedział, że czyn bohaterski sprzedawcy z Domu Handlowego Chevy wypadnie znacznie lepiej niż próba

przekształcenia roli Boba Crachita w króla Lira, której niewątpliwie podjąłby się pan Early.

Pamiętam je tak wyraźnie owego letniego wieczoru – Maureen Erly i Caroline O'Day śmiały się jak szalone i kręciły na swoich miejscach w momencie, gdy Owen Meany wstał, by odbijać.

Odkryłem w sobie niezwykłą moc! Doszedłem do wniosku, że potrafię zapełnić ławki dla publiczności. Nie miałem wątpliwości, że pewnego dnia „zobaczę" wszystkich, którzy tam siedzieli, że odnajdę tę właśnie osobę, do której w ostatnich chwilach swego życia machała mama.

Był tam także pan Artur Dowling. Miałem go wyraźnie przed oczyma, jak jedną ręką osłania oczy sobie, a drugą – żonie. Zachowywał się wobec niej niczym służący. Artur Dowling przyszedł obejrzeć „Opowieść wigilijną", gdyż jego żona, jedna z najgorliwszych członkiń Zarządu Biblioteki Miejskiej, starała się wcielić swoje pozbawione humoru ja w rolę Ducha Minionych Wigilii. Amanda Dowling była w naszym miasteczku pionierem na polu obalania stereotypów przypisanych konkretnej płci. Ubierała się po męsku, a w jej mniemaniu strojem odświętnym była marynarka i krawat. Kiedy zaś paliła, wydmuchiwała mężczyźnie dym prosto w nos, co – jej zdaniem – stanowiło kwintesencję tego, jak mężczyźni traktują kobiety. Zarówno Amanda, jak jej mąż chcieli raz na zawsze obalić stereotypy związane z płcią, a może po prostu jak najżarliwiej i jak najbardziej świadomie starali się odwrócić role płci. Dlatego on, robiąc zakupy, często miał na sobie fartuszek, a ona nosiła krótsze włosy niż on, z wyjątkiem owłosienia na nogach i pod pachami, bo tam je zapuszczała. W ich rodzinnym słowniczku niektóre określenia miały pozytywny wydźwięk, jak na przykład przymiotnik „europejski". Kobiety, które nie goliły pach i nóg, były niewątpliwie bardziej „europejskie" niż Amerykanki, i na tym polegała ich niezaprzeczalna wyższość.

Nie mieli dzieci. Dan twierdził, że może tak zdecydowanie „zamienili się" rolami, iż w ich przypadku spłodzenie dziecka może być niezwykle trudne. A jeśli już uczestniczyli w rozgrywkach Małej Ligi, to wyraźnie dawali do zrozumienia, że całkowicie dezaprobują ten sport. Fakt, iż dziewczynkom nie wolno grać w Małej Lidze, był

właśnie przykładem stereotypu i stanowił doskonałą pożywkę dla braku poczucia humoru i zacietrzewienia Dowlingów. Odgrażali się więc, że gdyby mieli córkę, to na pewno by grała. Byli małżeństwem oddanym sprawie. Niestety, tylko jednej, i to mało ważnej; na dodatek zaś robili wokół niej za dużo szumu, jednakże młode małżeństwo, które ma do spełnienia tak palącą misję, zdawało się zjawiskiem dość ciekawym na tle tępawych, nijakich osobników, jacy niewątpliwie dominowali w Gravesend. Pan Chickering, nasz tłuściutki trener i menedżer, żył w nieustannym strachu, że któregoś dnia Dowlingom uda się sprokurować córkę. A będąc człowiekiem starej daty, uważał, że tylko chłopcy winni grać w baseball, dziewczyny zaś mają im się przyglądać albo co najwyżej grać w softball.

Tak jak wielu naprawiaczy świata z małych miasteczek, Dowlingowie byli na tyle zamożni, że mogli wieść spokojny żywot. On właściwie nie zajmował się niczym konkretnym, z wyjątkiem nieustannego meblowania swego dobrze urządzonego domu i pielęgnacji trawnika, do której podchodził z pedanterią godną lepszej sprawy. Artur Dowling aż do szaleństwa rozwinął w sobie pasję trafiania piłką golfową do dołka, w czym o niebo przerósł możliwości emerytów, dla których strzelanie do dołka to konwencjonalne zajęcie. Amanda Dowling też nie pracowała, ale niestrudzenie uczestniczyła w zebraniach wszelkiego rodzaju zarządów i Biblioteka Miejska nie stanowiła jedynej organizacji, której służyła. Pracy w Zarządzie Biblioteki oddawała się po prostu z największą pasją.

Wśród metod, jakimi się posługiwała naprawiając świat, królowały zakazy upowszechniania niektórych książek. Twierdziła, że stereotypy dotyczące danej płci nie wzięły się z powietrza. To książki miały zasadniczy wpływ na dzieci. A już najwięcej szkody wyrządzały te, które przedstawiały chłopców jako chłopców i dziewczyny jako dziewczyny. Weźmy na przykład „Przygody Tomka Sawyera” czy „Przygody Hucka”. Książki te uczyły protekcjonalnego stosunku do kobiety. Już same w sobie kształtowały stereotypy dotyczące płci. Albo z kolei „Wichrowe Wzgórza”. Amanda Dowling dostawała ataku

furii, widząc, w jaki sposób powieść ta uczy kobiety podporządkowywania się mężczyźnie.

W zajęciach Trupy Gravesend Dowlingowie uczestniczyli na zmianę. Nie ustawali w swoich zabiegach, choć nie spotykały się one z szerszym odzewem. Ona próbowała grać role powierzane zwykle mężczyźnie, on zaś wybierał drugoplanowe role kobiece, zazwyczaj takie, w których nie trzeba mówić. Ona miała zdecydowanie większe ambicje niż on w realizacji swej misji odwrócenia stereotypów płci – uważała, że akurat idealnie się dla niej nadają partie mówione. Dan Needham dawał im role, jakie tylko mógł. Gdyby odmówił, ryzykowałby zarzut, którym z taką lubością szafowali, że ten i ten stosuje zasady „dyskryminacji". Każde wystąpienie Dowlingów na scenie charakteryzowała ta sama co zwykle absurdalność. Amanda grała męskie role fatalnie, ale – jak to szybko zauważył Dan – jeszcze gorzej grałaby kobiece, Artur zaś był po prostu beznadziejny. Dla ludzi z Gravesend stanowili atrakcję, jaką tacy ekscentrycy mogą stanowić tylko w małym miasteczku, w którym wszyscy doskonale wszystko o sobie wiedzą. Dowlingowie niewątpliwie byli nudni, a ich ekscentryczność daleka od doskonałości i jeszcze na dodatek pozbawiona pikanterii przez to, że swymi wybiórczymi pasjami nikogo już nie potrafili zaskoczyć. Jednakże wrośli w krajobraz Trupy Gravesend, stanowiąc trwałą, choć ograną do cna kartę. Dan Needham był na tyle rozsądny, że nie próbował ich zmieniać.

Owego Bożego Narodzenia zaskoczyłem sam siebie. Wiedziałem, że po miesiącach, a nawet latach, cierpliwie spędzonych za kulisami w trakcie przedstawień Trupy Gravesend, znajdę wreszcie twarz człowieka, do którego machała mama. Można by się zastanawiać, dlaczego nie chciałem tego zrobić na meczu baseballowym? Dlaczego nie lustrowałem twarzy kibiców w rzeczywistej scenerii? Ludzie przeważnie siadają na tych samych miejscach. Jednakże teatr Dana dawał mi pewną przewagę. Mogłem przyglądać się widowni, sam pozostając nie zauważony. I w ten sposób nie zwracać na siebie uwagi, stając między boiskiem i nimi. Za kulisami człowiek jest całkowicie niewidoczny. Skoro szukałem swego ojca, to czy nie powinienem szukać go, kiedy nie patrzy na mnie?

– „Duchu – rzekł Scrooge do Ducha Minionych Wigilii – zabierz mnie stąd!”.

Przyglądałem się Arturowi Dowlingowi – nie spuszczał wzroku ze swej żony, która właśnie deklamowała: „Mówiłem ci już, że są to jeno cienie tego, co ongiś było, a że przeszłość twoja jest taka, jak ją tu widzisz, nie mnie o to obwiniaj!”. Dostrzegłem, że niektórzy widzowie prychnęli. Wszyscy z wyjątkiem Artura Dowlinga, który najwyraźniej pozostawał pod silnym wrażeniem odwrócenia roli płci, jakiego właśnie był świadkiem.

To, że Dowlingowie grają w Trupie Gravesend „po kolei”, że nigdy nie biorą udziału w tej samej sztuce, było powodem wielu żartów. Dan lubił sobie na ten temat podowcipkować z panem Fishem.

– Ciekaw jestem, czy Dowlingowie również te rzeczy robią „na zmianę”?

– Co za niesmaczny pomysł! – skwitował to pan Fish.

Ileż to różnych marzeń jawiło mi się za kulisami w czasie tego wigilijnego wieczoru! Starałem się jak najlepiej zapamiętać twarze ludzi z mojego miasteczka! Kiedy pan Fish spytał Ducha Tegorocznego Bożego Narodzenia, czy te nędzne, biedne dzieci są jego, Duch odrzekł: „Są to dzieci człowiecze”. Ach, jakaż dumna była pani Kenmore z pana Kenmore, rzeźnika! Jakże podskoczyło z radości osłabione reumatyzmem serce ich syna Donny’ego na widok taty, który ma do czynienia ze słowami, nie mięsem!

– „Chłopiec uosabia Ciemnotę – mówił rzeźnik – dziewczynka Nędzę. Strzeż się tych dwojga i wszystkich ich pobratymców, ale najbardziej strzeż się chłopca, gdyż na jego czole widzę wypisaną zapowiedź zguby. Zapowiedź ta ziści się, jeżeli napis nie zostanie przetarty”. – Chciał powiedzieć „zatarty”, ale myślał prawdopodobnie o kiełbasie. Z ufnych twarzy mieszkańców miasteczka nie widać było, że się przejęzyczył, tak jak zresztą nie widać tego było po twarzy samego pana Kenmore’a. I tylko Harriet Wheelwright, która obejrzała prawie wszystkie wystawienia „Opowieści wigilijnej”, jakie Dan Needham reżyserował, skrzywiła się, słysząc tę tak bardzo rzeźniczą wersję kwestii Ducha Tegorocznego Bożego Narodzenia. Babcia, urodzony krytyk, przymknęła na chwilę oczy i westchnęła.

Byłem tak zainteresowany widownią, że na scenę spojrzałem dopiero w chwili, gdy pojawił się tam Owen Meany.

Nie musiałem go widzieć, żeby zorientować się, że już wszedł. Widownia się uciszyła. Twarze ludzi – tak rozbawione, tak zaciekawione, tak różnorodne – nagle stały się szokująco podobne. Każda odzwierciedlała przerażenie drugiej. Nawet babcia, wyniosła w swej obojętności, opatuliła się szczelniej futrem, a mimo to zadrżała. Najwyraźniej mieszkańcy Gravesend poczuli na karku podmuch chłodnego powietrza. Ten sam dreszcz, który przeszedł babcię, przeszedł też wszystkich. Donny Kenmore kurczowo chwycił się za swoje osłabione serce. Maureen Early, starając się ze wszystkich sił znowu nie posiusiać, zamknęła oczy. Przerażenie malujące się na twarzy Artura Dowlinga przeważyło nawet nad jego zainteresowaniem odwróconymi rolami, ponieważ ani tożsamość, ani płeć Owena Meany'ego nie były jasne. Jasne było za to to, że jest duchem.

– „O Duchu Przyszłych Wigilii! – zawołał pan Fish. – Lękam się ciebie bardziej niźli twoich poprzedników". – Twarze publiczności świadczyły o tym najwyraźniej. Chyba wszyscy jednomyślnie zgodzili się, że pan Fish dobrze ocenił straszliwość tego ducha. – „Czy nie odezwiesz się do mnie?" – pytał błagalnie Scrooge.

Owen kaszlnął. Nie był to jednak, wbrew oczekiwaniom Dana, „ludzki odgłos". Głuchy charkot dobiegał z jakiejś głębiny i tak nieodłącznie kojarzył się ze śmiercią, że publiczność była aż zaskoczona. Wszyscy niecierpliwie zaczęli się wiercić na krzesłach. Maureen Early, tracąc już zupełnie nadzieję, że uda się jej powstrzymać mocz, otworzyła szeroko oczy, by przyjrzeć się źródłu nieziemskiego hałasu. Akurat i ja spojrzałem na niego – przypudrowana dłoń wystrzeliła nagle spomiędzy fałd czarnej peleryny, na coś wskazując. Zimny dreszcz wstrząsnął ramieniem, a dłoń zareagowała nań jak na impuls elektryczny. Pan Fish wzdrygnął się.

– „Prowadź mnie więc! – zawołał Scrooge. – Prowadź!".

Owen Meany ruszył „posuwistym krokiem". Ale właściwie przez cały czas Scrooge nie mógł rozszyfrować przyszłości, aż wreszcie dotarli na cmentarz. „Było to nader godne miejsce", jak mówi o nim

Dickens, zarośnięte trawą i zielskiem – bujną roślinnością śmierci, nie życia. Miejsce dławiące się od nadmiaru grobów, o ziemi sytej, ponad miarę użyźnionej".

– „Zanim podejdę bliżej do nagrobka, który wskazujesz..." – zaczął Scrooge. Pośród papierowych nagrobków z papier-mâché imitujących cmentarz, gdzie stał Fish, jeden był wyjątkowo okazały. Właśnie na niego wskazywała dłoń Owena. Cały czas była wyciągnięta w jego kierunku po to, by pan Fish przestał się w końcu zajmować mało istotnymi sprawami i przeszedł do tego fragmentu, w którym odczytuje swoje własne nazwisko. W tym właśnie celu Owen podszedł bliżej do nagrobka.

– „Gdy człowiek kroczy po jakiejś drodze, zawsze przewidzieć można, jaki go czeka kres – zaczął mruczeć Scrooge. – Lecz jeśli człowiek zmieni drogę życia, inny go także będzie czekał kres. Powiedz mi, duchu, że tak właśnie jest z widziadłami, któreś mi ukazał".

Owen Meany, zachowując niewzruszone milczenie, nachylił się nad nagrobkiem, jakby sam dla siebie chciał czytać wypisane tam nazwisko, ale tak naprawdę to zemdlał.

– Owen! – krzyknął zdenerwowany pan Fish. Ale Owen, podobnie jak Duch Przyszłych Wigilii, nie zamierzał otworzyć ust. – Owen? – powtórzył pan Fish, tym razem już z nutką współczucia. Publiczność jakby dobrze rozumiała, dlaczego pan Fish nie ma większej ochoty dotknąć leżącej zakapturzonej postaci.

Pomyślałem sobie, że byłoby to bardzo w stylu Owena, gdyby nagle odzyskał przytomność i z wrzaskiem skoczył na równe nogi. I dokładnie tak zrobił Owen, zanim Dan dał sygnał, by zaciągnąć kurtynę. Pan Fish przewrócił się na nagrobek, który miał być jego własnym, a przerażeniu w głosie Owena towarzyszyło przerażenie publiczności. Rozległy się krzyki, głębokie westchnienia. Wiedziałem, że majtki Maureen Early znowu są mokre. Ale co takiego Duch Przyszłych Wigilii zobaczył?

Pan Fish, zaprawiony już w niejednym boju i dobrze radzący sobie z różnymi nieprzewidzianymi sytuacjami na scenie, schylił się, żeby móc wreszcie „przeczytać" swoje nazwisko na tekturowym nagrobku, którego omal nie zgniótł upadając.

– „Ebenezer Scrooge! A więc to ja byłem owym nieszczęśnikiem?” – spytał Owena, ale coś najwyraźniej było nie tak, bo Owen jakby sam bardziej się bał nagrobka niż Scrooge. Powoli się wycofywał, aż doszedł do końca sceny. Przez cały ten czas pan Fish błagał go o odpowiedź. Jednakże Duch Przyszłych Wigilii bez słowa, a tylko wskazując na nagrobek, który miał taką moc, że nawet jego samego napełnił przerażeniem, zniknął za kulisami.

W swej garderobie zasiadł przy toaletce, szlochając. Puder przysypał mu włosy, czarny ołówek do oczu rozmazał się po policzkach. Dan dotknął czoła chłopca.

– Owen, jesteś cały rozpalony! Natychmiast jedziemy do domu i prosto do łóżka.

– O co chodzi? Co się stało? – pytałem Owena, ale potrząsnął tylko głową, wybuchając jeszcze gwałtowniejszym płaczem.

– Po prostu zemdlał, ot co – stwierdził Dan. Ale Owen pokręcił głową.

– Czy nic mu nie jest? – spytał pan Fish, stając w progu. Dan spuścił kurtynę przed ostatnią sceną. – Owen, wszystko w porządku? – dopytywał się pan Fish. – O Boże, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

– Teraz już widziałem wszystko! – stwierdził Dan. – Widziałem, jak Scrooge zadziera nosa, a także Ducha Przyszłych Wigilii, który przestraszył sam siebie.

W zatłoczonej garderobie zjawił się również wielebny Lewis Merrill. Chciał zaproponować swoją pomoc, choć Owenowi bardziej chyba potrzebny był lekarz niż duchowny.

– Owen? – spytał pastor Merrill. – Wszystko w porządku? – Owen kiwnął głową. – Co takiego zobaczyłeś?

Owen przestał płakać i popatrzył na niego. Zaskoczyła mnie pewność pastora, że Owen coś zobaczył. Może jako duchowny, jako człowiek wiary, był bardziej przyzwyczajony do widzeń niż inni. Być może potrafił zauważyć, że ktoś inny ma widzenie.

– O co panu chodzi? – spytał Owen Merrilla.

– Zobaczyłeś coś, prawda? – indagował pastor Merrill. Owen nie spuszczał z niego wzroku. – Prawda? – powtórzył Merrill.

– Zobaczylem na grobie moje nazwisko – rzekł Owen Meany.

Dan objął go i przytulił.

– Ach, Owen, to tylko fikcja! Jesteś bardzo chory i masz gorączkę! Poza tym wszystko tak silnie przeżywasz. Nazwisko na grobie i cała ta sprawa... To tak jak w przedstawieniu. Uwierzyłeś w fikcję! – próbował go przekonać Dan.

– To było moje imię, nie Scrooge'a – stwierdził Owen.

Wielebny Merrill przykląkł obok niego.

– To zupełnie naturalne, Owen – zagadnął. – Każdemu z nas zdarza się coś takiego – zobaczyć nagrobek z wyrytym naszym własnym imieniem i nazwiskiem. To po prostu zły sen!

Jednakże Dan Needham dziwnie patrzył na wypowiadającego te słowa Merrilla; może tego typu doświadczenie było mu zupełnie obce. Nie miał do końca pewności, czy zobaczenie własnego nazwiska na grobie jest czymś całkiem naturalnym. Pan Fish przyglądał się wielebnemu Merrillowi, tak jakby spodziewał się więcej takich „cudów", jakie ostatnio przeżył po raz pierwszy przy okazji jasełek.

Na toaletce, w warstwie pudru, nadal można było przeczytać „Owen Meany"; Owen sam to przecież napisał.

– Popatrz, napisałeś to dziś wieczorem – pokazałem mu napis. – Widzisz, już przed przedstawieniem myślałeś o swoim nazwisku.

Ale Owen tylko na mnie patrzył. Nie odrywał ode mnie oczu. Potem przeniósł wzrok na Dana, aż ten odezwał się do pana Fisha:

– Podnieśmy kurtynę. Najwyższa pora już skończyć przedstawienie.

Owen wbił spojrzenie w Merrilla.

– Zawiozę cię od razu do domu – zaproponował pastor. – Nie powinieneś tu czekać, aż cię wywołają na scenę, gdy masz Bóg wie jaką temperaturę!

Pojechałem z nimi. Ostatnia scena „Opowieści wigilijnej", już po występie Ducha Przyszłych Wigilii, była naprawdę mało istotna.

Owen wolał wpatrywać się w ciemność niż w oświetloną drogę przed nami.

– Zobaczyłeś coś – powtórzył pastor Merrill. Pomyślałem sobie, jak to miło z jego strony, iż zaofiarował się odwieźć Owena do domu, zwłaszcza że Owen nigdy nie był kongregacjonalistą. Zauważyłem, że pastor Merrill przestaje się jąkać, kiedy komuś pomaga, chociaż

Owen nie zareagował zbyt serdecznie na jego gest. Zdawał się całkowicie pochłonięty swą „wizją", jak prawdziwy prorok, który nie ma najmniejszych wątpliwości – tak przynajmniej ja to widziałem. Zobaczył na grobie swoje imię. Świat, nie mówiąc już o pastorze Merrillu, miałby niejakie trudności, by go przekonać, że było inaczej.

Zostaliśmy z panem Merrillem w samochodzie, patrząc, jak Owen, potykając się, pokonuje zamarznięte, przysypane śniegiem koleiny. Rodzice zostawili dla niego światło na zewnątrz, a drugie paliło się w pokoju, który, jak wiem, był sypialnią Owena. Zaskoczyło mnie to jednak, że w Wigilię położyli się spać nie poczekawszy, aż wróci!

Co za niezwykły chłopak! – rzucił pastor Merrill, chcąc jakoś zagaić rozmowę, gdy odwoził mnie do domu. Nie przyszło mu do głowy spytać, do którego z dwóch „domów" chciałbym pojechać, i naturalnie zawiózł mnie do babci. Miałem ochotę być na przyjęciu urządzanym przez Dana w Waterhouse Hall, jednakże kiedy pan Merrill ruszył spod domu przy Front Street, za późno było, żeby mu powiedzieć, dokąd chciałbym jechać. Wtedy pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, to mógłbym wejść do środka i sprawdzić, czy babcia wróciła, czy też może Danowi udało się ją przekonać, żeby spędziła chwilę na przyjęciu. W chwili, gdy otworzyłem drzwi, nie miałem wątpliwości, że babcia jeszcze nie wróciła. Może w ratuszu publiczność nadal oklaskiwała aktorów, a może pan Merrill prowadził szybciej, niż mi się wydawało.

Wciągnąłem głęboko zatęchłe powietrze starego domu. Lydia i Germaine musiały już dawno spać, bo nawet ktoś, kto czyta w łóżku, odrobinę hałasuje, a tutaj było cicho jak w grobie. I w tym właśnie momencie przyszło mi do głowy, że to jest grób. Dom mnie przeraził. Wiedziałem, że nadal jestem prawdopodobnie pod silnym wrażeniem „wizji" Owena, czy jak by to nazwać, i już miałem wyjść i pobiec Front Street do akademika Dana, kiedy nagle usłyszałem Germaine.

Trudno ją było dosłyszeć, ponieważ skryła się w tajemnym przejściu i mówiła prawie szeptem. Jednakże w całym domu panowała tak głęboka cisza, że dobiegł do mnie jej głos.

– O Jezu! Pomóż mi! – mówiła. – Boże, dobry Boże, wspomóż mnie!

„A więc jednak w domu babci są złodzieje!” – pomyślałem. Członkowie rady parafialnej nie byli tacy głupi, że zamykali dom parafialny! W wieczór wigilijny bandyci splądrowali dom babci. Germaine skryła się w sekretnym przejściu, ale co takiego zrobili z Lydią? Może ją porwali albo skradli jej wózek i zostawili zupełnie bezradną na pastwę losu?

Książki z biblioteczki zasłaniającej sekretne przejście były porozrzucane – połowa znalazła się na podłodze, tak jakby Germaine, zdjęta paniką, zapomniała, gdzie jest ukryty zamek i klucz... nad którą półką i za którymi książkami. Narobiła takiego bałaganu, że gdyby ktoś wszedł teraz do salonu, mógłby dokładnie zobaczyć, gdzie znajduje się zamek i klucz, zwłaszcza że rozrzucone na podłodze książki natychmiast kierowały wzrok na biblioteczkę.

– Germaine? – szepnąłem. – Czy już sobie poszli?

– Kto? – również szeptem odpowiedziała Germaine.

– Złodzieje.

– Jacy złodzieje?

Otworzyłem drzwi do sekretnego przejścia. Stała skurczona ze strachu tuż za progiem, obok dżemów i galaretek. Miała we włosach co najmniej tyle samo pajęczyn, ile ozdabiało przetwory i sosy oraz puszki starych zgranych piłek tenisowych, jeszcze z czasów, gdy mama zbierała je dla Sagamore. Germaine była w długim do kostek flanelowym szlafroku, ale miała gołe stopy – kryjąc się w sekretnym przejściu, najprawdopodobniej zachowała się podobnie jak wtedy, gdy sprzątała ze stołu.

– Lydia nie żyje – oświadczyła Germaine. Nie chciała wyjść spośród pajęczyn i cieni, mimo że ciężkie drzwi z półkami na książki przytrzymywałem szeroko otwarte.

– Zabili ją? – spytałem przerażony.

– Nikt jej nie zabił. – W oczach dziewczyny pojawił się jakby błysk mistycznego uniesienia, które zmusiło ją jednak do ściślejszego sprecyzowania tej wypowiedzi. – Po prostu Śmierć po nią przyszła – oświadczyła, dygocąc gwałtownie. Sama była uosobieniem śmierci. W końcu to przecież ona uważała, że głos Owena Meany’ego jest niczym innym jak głosem diabła.

– Jak umarła? – spytałem.

– W łóżku, kiedy jej czytałam. Dosłownie chwilę przedtem zdążyła mnie jeszcze poprawić – powiedziała Germaine.

Naturalnie, Lydia zawsze i wszędzie ją poprawiała. Nie odpowiadał jej akcent dziewczyny, zwłaszcza że sama wzorowała się na sposobie mówienia babci. Lydia obwiniała również Germaine o to, że nie potrafi czytać tak samo jak babcia. Babcia i Lydia często czytały sobie na głos na zmianę, bo jak twierdziły, musiały dać odpocząć oczom. Zatem Lydia zmarła, odpoczywając z zamkniętymi oczami i poprawiając Germaine w tej czy innej kwestii. Lydia co jakiś czas przerywała jej czytanie i prosiła, by powtórzyła konkretne słowo. Niezależnie od tego, czy dziewczyna wymawiała je poprawnie, czy nie, Lydia mówiła: „Założę się, że nie wiesz, co to znaczy". Zatem Lydia zmarła podczas procesu edukacji Germaine, zdaniem zaś babci proces ten nie miał końca.

Dziewczyna siedziała przy zmarłej tak długo, jak tylko udało jej się wytrzymać.

– Z ciałem działy się różne rzeczy – wyjaśniła mi Germaine, ostrożnie zaglądając do salonu. Zaskoczona, popatrzyła na stertę książek, tak jakby Śmierć przyszła po nią także. Może szukała jej i właśnie wtedy zrobiła cały ten bałagan?

– Co takiego? – spytałem.

– A takie różne mało przyjemne rzeczy – odrzekła Germaine, ciągle jeszcze kręcąc głową.

Łatwo przyszło mi sobie wyobrazić, jak stary dom, atakowany podmuchami zimnego wiatru, skrzypi i cały się porusza. Biedna Germaine musiała sobie myśleć, że Śmierć nadal krąży gdzieś w pobliżu. Może Śmierć spodziewała się, że z Lydią będzie trudniejsza przeprawa? Kiedy poszło jej tak gładko, może poczuła nagle chrapkę, żeby zostać i zabrać drugą duszę? Dlaczego miałaby sobie nie urządzić porządnego polowania?

Wzięliśmy się za ręce, jak rodzeństwo, które zapuszcza się w gąszcz ryzykownych przygód, i poszliśmy zobaczyć Lydię. Byłem naprawdę zaskoczony jej wyglądem, ponieważ Germaine nie uprzedziła mnie o swoich usilnych staraniach, by zamknąć Lydii usta. Podwiązała szczęki zmarłej jednym z różowych getrów, który zawiązała na czubku głowy. Przy bardziej szczegółowych oględzinach

zorientowałem się także, że Germaine wzbiła się na wyżyny pomysłowości, chcąc zamknąć oczy Lydii na wieki. Gdy już jej się to udało, za pomocą taśmy klejącej umocowała na powiekach dwie różne monety – miedziaka i ćwierćdolarówkę. Wyjaśniła mi, że jedyne jednakowe monety, jakie znalazła, to dziesiątki, a te są za małe, i że jedna powieka jakby mrugała – tak jej się przynajmniej wydawało – i ciągle zrzucała pieniążek. Dlatego Germaine musiała pomóc sobie taśmą. Przykleiła ją na obu powiekach, mimo że ćwierćdolarówka sama się trzymała, bo – jak mi później wyjaśniła – przyklejenie taśmą jednej tylko monety burzyło jej poczucie symetrii. Kiedy wiele lat później przypomniałem sobie to słowo, doszedłem do wniosku, że babci i Lydii udało się nauczyć Germaine różnych rzeczy. Jestem pewien, że wyraz „symetria" nie znajdował się w słowniku Germaine, zanim zamieszkała u babci. Pamiętam natomiast, że choć miałem zaledwie jedenaście lat, już posługiwałem się podobnymi słowami. I to głównie na skutek edukacyjnych zabiegów babci i Lydii. Moja mama nigdy nie przywiązywała specjalnej wagi do czegoś takiego jak słowa, Dan Needham zaś nie przeszkadzał chłopcom, by byli po prostu chłopcami.

Odczuliśmy głęboką ulgę, kiedy Dan i babcia wrócili do domu. Do tej chwili siedzieliśmy z Germaine przy ciele Lydii, starając się nawzajem przekonać, że Śmierć przyszła, wzięła sobie to, co chciała, i poszła, że odeszła, zostawiając dom babci w spokoju, przynajmniej do końca Wigilii. Ale dłużej już byśmy siedzenia w towarzystwie Lydii nie wytrzymali.

Jak zwykle, Dan wziął sprawy w swoje ręce. Przywiózł babcię do domu po jej krótkiej bytności na przyjęciu dla aktorów i zostawił gości, by przyjęcie toczyło się swoim torem. Położył babcię do łóżka, nie zapominając o ponczu rumowym. Naturalnie, Harriet Wheelwright, rozstrojona przedstawieniem, jakie urządził Owen w czasie „Opowieści wigilijnej", teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Owen w jakiś sposób przepowiedział śmierć Lydii i że pomyliła mu się ona z jego własną. Takie stwierdzenie natychmiast przemówiło do wyobraźni Germaine, która oświadczyła, że kiedy czytała Lydii tuż przed jej śmiercią, obu im się wydawało, że słyszą krzyk.

Babcia oburzyła się, że Germaine bez zmrużenia oka przytakuje, i chciała się odżegnać od wszelkich zabobonnych bzdur, które wygłaszała dziewczyna. Co za nonsens! Lydia i Germaine nie mogłyby usłyszeć krzyku Owena aż z ratusza, zwłaszcza w taki zimny i wietrzny wieczór, kiedy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Germaine była przesądna i pewnie co noc wydawało jej się, że słyszy jakieś wrzaski. Co się zaś tyczy Lydii – oto najlepszy dowód, że starzała się znacznie szybciej niż babcia. Wprawdzie babcia gotowa była nawet przystać na to, że w Owenie siedzą jakieś nadprzyrodzone „moce", umożliwiające mu „przepowiedzenie" śmierci Lydii, ale nie miało to nic wspólnego z idiotycznymi przesądami, a przynajmniej z przesądami w wydaniu Germaine.

– Owen niczego nie przepowiedział – oświadczył Dan Needham poruszonym kobietom. – Przy prawie czterdziestu stopniach gorączki mógł mieć co najwyżej rozbudzoną wyobraźnię!

Jednak wobec takiego postawienia sprawy babcia i Germaine wyjątkowo utworzyły wspólny front. Między śmiercią Lydii i tym, co Owen „zobaczył", musiał istnieć jakiś złowróżbny związek. Zdolności „tego chłopca" wyraźnie wykraczały poza zwykłą wyobraźnię.

– Harriet, napij się jeszcze ponczu – zaproponował Dan babci.

– Nie musisz się mną już tak bardzo przejmować – stwierdziła babcia. – To straszne – dodała – że taki kretyn rzeźnik położył swoje zakrwawione łapy na tej cudownej roli. Fatalna obsada.

– Zgadza się – przyznał jej rację Dan.

Uzgodniono również, że Lydia może pozostać w swoim pokoju, tyle że drzwi mają być szczelnie zamknięte. Germaine miała spać na drugim łóżku w moim pokoju. I chociaż mnie zdecydowanie bardziej odpowiadałby pomysł powrotu z Danem do Waterhouse Hall, uzmysłowiono mi, że przyjęcie może potrwać do samego rana, co by mi zresztą w pełni odpowiadało. A ponadto Germaine, która była „strasznie roztrzęsiona", nie powinna zostawać sama. Nie wypadałoby przecież, żeby spała w tym samym pokoju co Dan. Nie do pomyślenia było również, żeby babcia dzieliła sypialnię ze służącą, a ja przecież miałem dopiero jedenaście lat.

Tyle razy spał ze mną w tym pokoju Owen. Och, jak bardzo chciałem porozmawiać z nim tej nocy! Ciekawe, co by powiedział na

sugestię babci, że przewidział śmierć Lydii? I czy odetchnąłby z ulgą, gdyby dowiedział się, że Śmierć nie chciała wcale przyjść po niego? Czy uwierzyłby w to? Na pewno byłby bardzo zawiedziony, że nie widział Lydii. Chciałem mu też wspomnieć o swoim odkryciu, o tym, że przyglądając się widowni teatru, miałem wrażenie, iż mogę przypomnieć sobie twarze publiczności w czasie tego fatalnego meczu. Co by Owen powiedział na ten niespodziewany pomysł, że na ułamek sekundy, zanim ją trafił, mama machała do mego ojca? Co Owen poruszający się we własnym świecie „wizji", jak to nazwał wielebny Merrill, powiedziałby na taki pomysł?

Ale Germaine nie dawała mi zasnąć. Chciała, żeby nocną lampkę zostawić zapaloną. Poza tym bez przerwy się wierciła. Leżała, wpatrując się w sufit. Kiedy wstałem, żeby pójść do łazienki, poprosiła, żebym szybko wracał. Nawet na chwilkę nie chciała zostać sama.

Pomyślałem sobie, że gdyby tylko zasnęła, mógłbym zatelefonować do Owena. W domu państwa Meanych był tylko jeden aparat – w kuchni, tuż obok sypialni Owena. Mogłem dzwonić do niego o dowolnej porze, bo budził się w mgnieniu oka, a jego rodzice spali jak kłody, czy też raczej jak nieporuszone bloki granitu.

Potem przypomniałem sobie, że przecież dzisiaj jest Wigilia. Mama powiedziała kiedyś, że „całe szczęście", że jeździmy na Boże Narodzenie do Sawyer Depot, bo w ten sposób Owen nie porównuje swoich prezentów gwiazdkowych z moimi.

Ja dostawałem po kilka podarków od najbliższych i dalszych krewnych – od babci, cioci i wujka, od rodzeństwa ciotecznego, od Dana. I kilka drobiazgów od mamy. W tym roku też zajrzałem pod choinkę u babci i naprawdę wzruszyłem się, że Dan i babcia bardzo się starali, by było tak jak zawsze, przynajmniej ilościowo – bym i tym razem dostał tyle samo prezentów co w Sawyer Depot. Zdążyłem je już policzyć. Było prawie czterdzieści pakunków, a w piwnicy albo w garażu zwykle znajdowało się jeszcze coś dużego, co nie dawało się zapakować.

Nigdy nie wiedziałem, co Owen dostał na Gwiazdkę, ale miałem wrażenie, że skoro rodzice nie czekali na niego w Wigilię, to w domu państwa Meanych nikt nie przywiązuje specjalnej wagi do Bożego

Narodzenia. Zawsze dotychczas, zanim jeszcze zdążyłem wrócić z Sawyer Depot, połowa moich mniejszych zabawek albo się już połamała, albo zagubiła; te nowe, które faktycznie warto było zatrzymać, Owen odkrywał stopniowo w ciągu kilku dni bądź tygodni.

– Skąd to masz?

– Dostałem na Gwiazdkę.

– Aha.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie mogę sobie przypomnieć, żeby choć raz pokazał mi coś, co dostał „na Gwiazdkę". Chciałem do niego zadzwonić, ale Germaine nie pozwoliła mi wstać z łóżka. Im dłużej tak leżałem i im bardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że Germaine przewraca się z boku na bok na drugim łóżku w moim pokoju, nie mogąc zasnąć, tym bardziej nachodziły mnie jakieś dziwne uczucia. Zacząłem myśleć o Germaine tak, jak czasami zdarzało mi się myśleć o Hester – ile lat mogła mieć Germaine w roku 1953? Jakieś dwadzieścia. A nawet zapragnąłem, by wsunęła się do mojego łóżka, a potem zacząłem się zastanawiać, że może to ja wejdę do niej. Myślę, że nie miałaby nic przeciwko temu. Może byłaby całkiem zadowolona z takiej niewinnej pieszczoty i z możliwości przytulenia do siebie chłopca, którego myśli nie były już tak niewinne, ale którego bliska obecność mogłaby odgonić Śmierć. Zacząłem sobie przemyśliwać – i to zupełnie nie jak jedenastolatek, ale jak starszy, napalony chłopak, do jakiego stopnia udałoby mi się wykorzystać Germaine, biorąc pod uwagę fakt, że tak głęboko przeżywa dzisiejszy dzień.

– Wierzę ci, że słyszałaś krzyk – skłamałem. Nie wierzyłem ani trochę!

– To na pewno był jego głos! – odrzekła natychmiast. – Jak sobie teraz przypomnę, to wiem, że to był jego głos.

Wyciągnąłem rękę w przerwę między łóżkami. Jej ręka już tam czekała. Chwyciliśmy się za dłonie. Przypomniałem sobie sposób, w jaki Barb Wiggin pocałowała Owena. W nagrodę poczułem, że moja erekcja jest na tyle silna, by nieznacznie unieść prześcieradła. Ale kiedy specjalnie mocno ścisnąłem Germaine za rękę, nie odwzajemniła mi uścisku.

– Śpij! – powiedziała. Gdy jej dłoń wyślizgnęła się z mojej, zorientowałem się, że zasnęła. Przez dłuższy czas wpatrywałem się w nią, ale nie miałem odwagi się do niej zbliżyć. Wstyd mi było, że owładnęły mną podobne uczucia. Mimo całego dorosłego słownictwa, z jakim spotykałem się na co dzień w towarzystwie babci i Lydii, nie miałem dotychczas okazji doświadczyć pożądania. To raczej nie jest słowo, jakiego mógłbym się od nich nauczyć. Było to uczucie, którego nie potrafiłem nazwać. I na dodatek wydawało mi się po prostu złe. Miałem poczucie winy, że jakaś cząstka mego ja zachowuje się wrogo w stosunku do drugiej. I wtedy właśnie chyba zrozumiałem, skąd te uczucia pochodzą. Doszedłem do wniosku, że od mojego ojca. Wewnątrz mnie burzyła się ta cząstka, która była z nim. I po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mój ojciec może być tym złem, albo że to, co mi dał z siebie, tkwi we mnie jako zło.

I już zawsze od tamtej pory, gdy czułem się jakoś dziwnie, a zwłaszcza, kiedy czułem się właśnie tak, kiedy odczuwałem pożądanie – miałem wrażenie, że ojciec utwierdza we mnie swą obecność. Wtedy na nowo zapragnąłem dowiedzieć się, kto to jest. Nie dlatego, że mi go brakowało czy żeby odnaleźć kogoś, kogo kocham. Wszak miałem Dana i jego miłość. Miałem babcię i wszystkie, niewątpliwie wyolbrzymione, wspomnienia związane z mamą. To nie w odruchu miłości pragnąłem odnaleźć ojca, ale z ciekawości, i to jej najbardziej mrocznych zakamarków. By uzmysłowić sobie, do jakiego zła jestem zdolny.

Ach, jak bardzo chciałem o tym wszystkim porozmawiać z Owenem!

Kiedy Germaine zaczęła chrapać, wstałem i na palcach zszedłem po schodach w kierunku kuchni i telefonu.

Światło zapalone znienacka przestraszyło zaprzyjaźnioną domową mysz, która musiała czym prędzej zaniechać poszukiwań w pojemniku na pieczywo. Światło zaskoczyło także i mnie, ponieważ przekształciło konstelację szybek okiennych w stylu kolonialnym w tysiące fragmentów mojego odbicia. Nagle zobaczyłem siebie w wielu wydaniach stojącego na dworze, jak zerkam do środka i sam się sobie przyglądam. W jednym z obrazów rozpoznałem w swej zaszokowanej twarzy przerażenie i niepewność charakterystyczne dla

pana Morrisona. Dan twierdził, że podszyty strachem listonosz zareagował na omdlenie Owena szokiem i sam zemdlał. Szef policji Pike wyniósł powalonego aktora tragedii zatrudnionego na poczcie na rześkie nocne powietrze. Kiedy pan Morrison przyszedł do siebie, przepełniało go pragnienie zemsty. Zaczęli się siłować na śniegu, aż wreszcie listonosz uległ silnemu ramieniu przedstawiciela prawa.

Jednakże w kuchni byłem sam. Małe kwadratowe szybki odbijały moją twarz w wielu wersjach, ale żadna obca twarz nie przyglądała mi się, gdy wykręcałem numer Meanych. Owen nie odbierał telefonu dłużej, niż się spodziewałem, i już miałem się rozłączyć. Przypomniałem sobie, że ma wysoką gorączkę i pewnie śpi mocniej niż zwykle i że dzwonek telefonu mógłby zbudzić rodziców Owena.

– Wesołych świąt – powiedział, kiedy w końcu podniósł słuchawkę.

Zrelacjonowałem mu wszystko od początku. Okazał niezwykłe zrozumienie, gdy usłyszał, że przyglądając się widowni w teatrze, potrafiłem sobie przypomnieć publiczność zebraną na owym meczu baseballa. Zaproponował, że może byśmy lustrowali widownię razem. Co dwie pary oczu, to nie jedna. A jeśli chodzi o „przypuszczenia", że mama w ostatnich sekundach swego życia machała do mojego prawdziwego ojca, Owen twierdził, że należy ufać takim przeczuciom. Powiedział, że muszę być na właściwej drodze, bo już na samą myśl o tym ma dreszcze, a to niewątpliwy znak. I znalazłem też pełne zrozumienie Owena co do tego, że chciałem wykorzystać Germaine, by mi stanął. Skoro w nim mogła wzbudzić pożądanie Barb Wiggin, to nie dziwi go, że do takiego okropnego stanu doprowadziła mnie Germaine. Owen przygotował sobie króciutkie kazanko na temat pożądania – uczucia, które później miał określić jako prawdziwe ostrzeżenie, że potępienie jest czymś rzeczywistym. Co zaś się tyczy tego nieprzyjemnego wrażenia związanego z ojcem, że te obrzydliwe myśli to pierwszy znak jego istnienia we mnie, Owen całkowicie się ze mną zgadzał. Pożądanie, jak twierdził później, to sposób, w jaki Bóg pomaga mi zidentyfikować ojca. Z pożądania zostałem poczęty i w pożądaniu go odnajdę.

Teraz, kiedy to wspominam, zastanawiam się, jak takie porywy szalonej wyobraźni i filozofowanie zainspirowane nocą pełną

strachów i nieszczęść mogły się nam wtedy wydawać logiczne. Ale czegóż innego oczekiwać po przyjacielu, jeśli nie wsparcia?

– Naturalnie – zgodził się ze mną – to głupota ze strony Germaine utrzymywać, że go słyszała aż z ratusza! Nie krzyczałem przecież aż tak głośno! – przypomniał oburzony.

Różniliśmy się jedynie w poglądach co do babcinej interpretacji jego przepowiedni. Skoro już chciał w coś wierzyć, to dlaczego nie mógł uwierzyć babci, że nagrobek był zapowiedzią śmierci Lydii, że po prostu zobaczył niewłaściwe nazwisko?

– Nie – upierał się. – Tam było moje imię, nie Scrooge'a ani nie Lydii.

– Ale na tym właśnie polega twój błąd – wypaliłem. – Myślałeś o sobie, ba – nawet wypisywałeś swoje imię, i to dosłownie chwilę wcześniej. A poza tym miałeś wysoką gorączkę. Jeżeli ten nagrobek faktycznie miał ci coś powiedzieć, to to, że ktoś umrze. I tym kimś była właśnie Lydia. Przecież ona nie żyje. A ty żyjesz, zgadza się?

– To było moje imię – powtórzył uparcie.

– Spójrz na to tak – rozwiązałeś zagadkę, ale tylko w połowie – odparłem, starając się mówić jak ktoś, kto od lat ma do czynienia z „widzeniami" i na dodatek umie je jeszcze interpretować. Próbowałem zrobić takie wrażenie, jakbym znał się na tym lepiej niż pastor Merrill.

– To nie było tak po prostu moje imię – przerwał mi w tym momencie Owen. – To nie było moje imię, tak jak je zwykle piszę i jak napisałem tam na pudrze. To było moje prawdziwe imię, w całości.

Zastanowiłem się przez chwilę. Nie dawał się przekonać. Jego „prawdziwe" imię to Paul – tak jak ojca. Pełne nazwisko brzmiało Paul O. Meany, Jr. Został ochrzczony jako katolik, potrzebował więc imienia świętego, jak na przykład święty Paweł. Jeśli nawet istnieje święty Owen, to nigdy o nim nie słyszałem. A ponieważ był już jeden „Paweł" w rodzinie, to pewnie dlatego nazwali go też „Owen" – nigdy nie mówił po kim. I nigdy też nie miałem się tego dowiedzieć.

– Na nagrobku było napisane PAUL O. MEANY, JUNIOR, zgadza się? – spytałem.

– Było wszystko – powtórzył Owen i odłożył słuchawkę.

Te jego dziwactwa doprowadzały mnie do szaleństwa. Nie poszedłem spać, tylko zacząłem pić sok pomarańczowy i zajadać ciasteczka. Potem wsadziłem kawałek świeżego boczku do pułapki na myszy i zgasiłem światło. Tak jak mama, nie znoszę ciemności. Po ciemku dotarło do mnie, co to znaczy wszystko. Z powrotem zapaliłem światło i zadzwoniłem do niego jeszcze raz.

– Wesołych świąt – powiedział, odbierając telefon.

– Czy na nagrobku była data? – spytałem. Wydawało mi się, że kłamie, bo odparł dopiero po chwili wahania.

– Nie.

– Jaka to była data? – dopytywałem się. Znowu się zawahał.

– Nie było żadnej daty – odrzekł. Miałem ochotę się rozpłakać. Nie dlatego, że wierzyłem choć odrobinę w te idiotyczne „wizje", ale dlatego, że po raz pierwszy mnie okłamał.

– Wesołych świąt – rzekłem teraz ja i odłożyłem słuchawkę.

Kiedy po raz drugi zgasiłem światło, ciemność jakby jeszcze bardziej zgęstniała.

Jaka to była data? Ile czasu mu jeszcze zostało?

Jedyne pytanie, jakie chciałem zadać ciemności, to to, na które i Scrooge pragnął znaleźć odpowiedź. „Czy widziadła, któreś mi ukazał, są cieniami przyszłości, która musi czy tylko może nastąpić?". Ale Duch Przyszłych Wigilii nie udzielił na to pytanie odpowiedzi.

GŁOS

Babcia nade wszystko nienawidziła lenistwa. Ta niechęć szczególnie dziwiła Dana Needhama, Harriet Wheelwright bowiem nie przepracowała ani dnia w swoim życiu, nie oczekiwała tego również po mamie, a nawet mnie nie przydzielała najmniejszej choćby roboty. Nieustannego wysiłku wymagało jednak to, aby umieć znaleźć się w świecie, i to zarówno naszym, jak i świecie poza Gravesend. Wysiłku i inteligencji wymagało na przykład ciągłe interpretowanie własnych obserwacji, w podejmowaniu zaś takich wysiłków babcia była wręcz niezmordowana. Właśnie wiara w wartość wysiłku powstrzymała ją od kupna telewizora.

Była zapaloną czytelniczką. Uważała czytanie za jeden z najszlachetniejszych wysiłków. Odwrotnie niż pisanie, które w jej oczach uchodziło za wielką stratę czasu, wręcz dziecięcą rozrywkę, i na dodatek jeszcze brudniejszą niż malowanie palcem. Uwielbiała natomiast czytać, widząc w tym bezinteresowne działanie dostarczające człowiekowi informacji i inspiracji. Z politowaniem patrzyła na głupców, którzy marnują życie na pisaniu tylko po to, byśmy mieli co czytać. Dzięki czytaniu ugruntowujemy znajomość języka, który stanowi narzędzie niezbędne do bezustannego formułowania komentarzy na temat naszych obserwacji. Babcię nurtowały wątpliwości i co do radia, chociaż przyznawała, iż dzisiejszy świat porusza się w takim tempie, że chcąc dotrzymać mu kroku, trzeba ignorować słowo pisane. Słuchanie bowiem wymaga pewnego wysiłku, język zaś, jaki się słyszy w radiu, nie jest specjalnie gorszy od tego, z którym się coraz częściej spotykamy w gazetach czy tygodnikach.

Co do telewizji nie miała żadnych wątpliwości. Patrzenie nie wymaga żadnego wysiłku. Czytanie lub słuchanie przynosi

nieskończenie więcej korzyści zarówno duszy, jak i intelektowi. Jednocześnie przerażeniem napawało babcię to, co – jej zdaniem – można zobaczyć w telewizji. Rzecz jasna, że o tym wtedy tylko czytała! Składała protesty i w Domu Żołnierza, i w Domu Spokojnej Starości w Gravesend – w obu tych instytucjach była członkiem zarządu – twierdząc, że udostępnianie starszym ludziom telewizji skraca im życie. Zupełnie nie przyjmowała do wiadomości zażaleń obu tych instytucji, że ich mieszkańcy są częstokroć zbyt słabowici lub mają za duże trudności z koncentracją, by czytać, radio zaś ich usypia. Babcia złożyła wizytę w obu domach i to, co zobaczyła, utwierdziło ją w opinii – cóż tu dużo mówić, spostrzeżenia Harriet Wheelwright zawsze potwierdzały opinie, jakie miała – że na jej oczach następowało przyspieszenie procesu umierania. Widziała niedołężnych staruszków, którzy z ustami szeroko rozdziawionymi wpatrywali się w ekran. I chociaż rzeczywistość w najlepszym razie tylko częściowo do nich docierała, letargicznie nie spuszczali wzroku z obrazów, które babcia określiła jako „zbyt banalne, by o nich mówić". Wówczas to po raz pierwszy w życiu Harriet Wheelwright widziała włączony telewizor i wzięło ją! Zauważyła, iż telewizja wysysa z tych staruszków resztki życia, a jednak w tej właśnie chwili zapragnęła mieć własny odbiornik.

Śmierć mamy, a także Lydii, w niecały rok później, miała niewątpliwy wpływ na to, że babcia zdecydowała się zainstalować telewizję u siebie w domu. Mama należała do zagorzałych entuzjastek victroli. Wieczorami słuchaliśmy piosenek Franka Sinatry, któremu towarzyszyła orkiestra Tommy'ego Dorseya. Mama lubiła śpiewać do wtóru Sinatrze. „Ten Frank – mawiała – ma głos wymarzony dla kobiety, ale żadnej kobiecie się aż tak nie poszczęściło". Pamiętam kilka jej ulubionych utworów. Kiedy je słyszę, kusi mnie, by się dołączyć, chociaż nie mam głosu mojej mamy. Tak zresztą jak i Sinatry. Brakuje mi też jego buńczucznego patriotyzmu. Nie wydaje mi się, by mama była zachwycona polityką, którą uprawiał, podobał się jej jednak jego głos – głos z wczesnych lat, jak mawiała, a zwłaszcza piosenki z pierwszych nagrań z Tommym Dorseyem. Ponieważ lubiła śpiewać razem z Sinatrą, wolała jego głos sprzed wojny, kiedy był bardziej stonowany i nie

robił z siebie gwiazdora, i gdy Dorseyowi udawało się jakoś zachować równowagę między piosenkarzem a orkiestrą. Jej ulubione kawałki pochodziły z roku 1940 – „Do zobaczenia", „Tylko głupcy wpadają jak bomba", „Nie mam czasu, by być milionerem", „Jutro będzie piękny dzień", „To wszystko i niebo zarazem", „Gdzie masz serce?", „Pasaty", „Zew kanionu" i przede wszystkim „Jesteś zbyt romantyczna".

Miałem własne radio, i kiedy umarła mama, coraz częściej go słuchałem. Wydawało mi się, że odtwarzanie starych piosenek Sinatry na victroli będzie denerwować babcię. Jeszcze za życia Lydii babci wystarczały książki. Czytały sobie na zmianę bądź zmuszały Germaine, by czytała na głos, gdy tymczasem one dawały odpocząć swoim oczom albo z całą energią, na jaką było je stać, pouczały Germaine. Po śmierci Lydii dziewczyna nie chciała czytać na głos, przekonana, że właśnie takie czytanie zabiło Lydię bądź przyspieszyło jej zgon, ona zaś wcale nie pragnęła zabić babci w podobny sposób. Przez pewien czas to babcia czytała na głos Germaine. Tym samym jednak jej oczy nie mogły odpocząć. Często też przerywała lekturę, by się upewnić, czy Germaine słucha z należytą uwagą. Dziewczyna żadną miarą nie mogła skoncentrować się na treści; podczas czytania dokładała maksymalnych starań, aby samej nie utracić życia.

Jak widać, nasz dom stanowił podatny grunt dla inwazji telewizji. Na przykład Ethel żadną miarą nie mogła być taką towarzyszką babci jak Lydia. Lydia uchodziła za uważnego i pełnego zrozumienia słuchacza komentarzy, jakimi babcia bezustannie raczyła swoje otoczenie. Po Ethel zaś nie można się było spodziewać żadnej reakcji – była sprawna, choć pozbawiona iskry bożej, sumienna, lecz jednocześnie bierna. Właśnie przez ten jej brak temperamentu babcia się postarzała – tak przynajmniej uważał Dan Needham. Kiedy jednak sugerował jej zmianę Ethel na kogoś o żywszym usposobieniu, babcia z lojalnością buldoga broniła służącej. Wheelwrightowie, choć snoby, postępują uczciwie. Nie wyrzucają służących na zbity pysk tylko dlatego, że są przyciężcy i ospali. W końcu Ethel została, babcia zaś zbyt się postarzała i zrobiła

zanadto niecierpliwa, by można ją było zabawiać. I ona stanowiła materiał podatny na inwazję telewizji.

Germaine, którą przerażało czytanie babci i która sama była przerażona, kiedy jej babcia czytała, nie miała prawie nic do roboty. Zrezygnowała więc z pracy. Wheelwrightowie przychylnie podchodzą do takich decyzji, chociaż mnie osobiście było przykro, że Germaine odchodzi. Pożądanie, jakie we mnie wzbudzała – obrzydliwe w moim wieku – było tropem wiodącym do mego ojca. A ponadto te lubieżne zachcianki, chociaż same w sobie złe, stanowiły większą rozrywkę niż wszystko razem, co mogłem usłyszeć z radia.

Po śmierci Lydii babcia nie potrzebowała dwóch służących, zwłaszcza że ja spędzałem połowę czasu u Dana. Nie było sensu przyjmować kogoś na miejsce Germaine, Ethel w zupełności wystarczała. A po odejściu Germaine również i ja byłem podatny na inwazję telewizji.

– Babcia kupuje telewizor? – zapytał Owen Meany. W ich domu też nie było telewizora. Nie miał go również i Dan. W 1952 roku głosował przeciw Eisenhowerowi i przyrzekł sobie, że jak długo Ike będzie prezydentem, nie kupi telewizora. Nawet Eastmanowie nie mieli telewizji. Wuj Alfred bardzo chciał, Noah, Simon i Hester wręcz błagali, żeby kupić odbiornik, ale na Północy odbiór telewizji był jeszcze dość prymitywny. W Sawyer Depot na ekranie pojawiał sią głównie śnieg, ciotka Marta zaś nie zgodziła się na wybudowanie wieży antenowej. Twierdziła, że będzie wyglądać zbyt „szkaradnie", mimo że wujek tak bardzo pragnął mieć telewizor, iż gotów był nawet – przynajmniej tak twierdził – wznieść wieżę, o którą mogłyby zahaczać nisko latające samoloty, byle tylko zapewniło mu to właściwy odbiór.

– Będziesz miał telewizor? – spytała Hester, telefonując z Sawyer Depot. – Ty szczęśliwy dupku! – Zazdrość wyczuwalna w jej głosie przeszywała mnie dreszczem zachwytu.

Ani Owen, ani ja nie mieliśmy zielonego pojęcia, jaki jest program telewizji. Do tej pory oglądaliśmy jedynie sobotnie poranki w podupadającym kinie w Gravesend, nie wiadomo dlaczego zwanym „Idaho" – czy to od nazwy położonego daleko na północy stanu czy ziemniaka. Nigdy nie było nam dane poznać prawdy.

W „Idaho” najchętniej wyświetlano filmy o Tarzanie, a także coraz częściej biblijne eposy. Tych ostatnich nienawidziliśmy. Zdaniem Owena, były świętokradzkie, moim – po prostu nudne. Owenowi nie podobały się również filmy o Tarzanie.

– Co za głupota z tym wiszeniem na linach, które na dodatek nigdy się nie rwą. A zawsze kiedy idzie popływać, wpuszczają do wody aligatora czy krokodyla. Na dodatek wydaje mi się, że jest to ciągle ten sam. Biedne stworzenie nauczono walczyć z Tarzanem. Prawdopodobnie go kocha! I zawsze ten sam staruszek słoń ucieka w panicznym strachu. Tak jak i ten sam lew, ten sam lampart i ten sam głupi guziec. Jak ta Jane może z nim wytrzymać? Jest tak beznadziejnie głupi. Tyle lat byli małżeństwem, a on się nawet nie nauczył mówić po angielsku. Byle szympans jest inteligentniejszy.

Ale najbardziej złościli go Pigmeje – na sam ich widok ciarki przechodziły mu po plecach. Zastanawiał się, czy Pigmejów zatrudnia się do innych filmów. Bał się, że wśród młodzieżowych gangów popularne staną się ich dmuchawki z zatrutymi strzałami.

– Jakie znowu młodzieżowe gangi i gdzie? – dopytywałem się.

– Może są jakieś w Bostonie.

Nie bardzo więc wiedzieliśmy, czego się spodziewać po telewizji babci.

Być może filmy z Pigmejami puszczano w 1954 roku w Kinie Nocnym telewizji, ale przez kilka lat nie pozwalano nam tego programu oglądać. Babcia mimo całego swego uwielbienia dla wysiłku i zasad nie krępowała naszego oglądania telewizji żadnymi innymi zakazami. A może w 1954 roku jeszcze nie było Kina Nocnego. To zresztą nieważne. Ważne jest to, że babcia nigdy nie bawiła się w cenzora. Uważała tylko, że tak Owen, jak i ja powinniśmy iść do łóżka o „przyzwoitej” godzinie. Telewizję oglądała całymi dniami do późna. Przy kolacji wszystkie te głupoty ze szczegółami relacjonowała mnie, Owenowi, Danowi, a nawet Ethel, pospiesznie zapowiadając bzdury dostępne w Kinie Nocnym. Stała się niewolnikiem telewizji, z drugiej zaś strony potępiała prawie wszystko, co oglądała, i energia, z jaką wyrażała swe oburzenie, być może przedłużała jej życie. Swą nienawiść do telewizji głosiła z taką namiętnością i takim dowcipem, że oglądanie i komentowanie

telewizji – czasami komentarze kierowała bezpośrednio do odbiornika – stało się jej pracą.

Dla babci współczesna kultura w każdym z jej przejawów była dowodem postępującego upadku narodu, dowodem naszego koszmarnego moralnego i umysłowego zepsucia, szybko pogłębiającej się i wszechogarniającej nieodwracalnej dekadencji. Nigdy już nie widziałem, by sięgnęła po książkę. Często jednak odwoływała się do książek, tak jak gdyby były to sanktuaria i katedry nauki, które telewizja, splądrowawszy, porzuciła.

W programach telewizyjnych zarówno Owena, jak i mnie wiele zaskakiwało. Największą jednak niespodzianką był aktywny udział babci w tym, co oglądaliśmy. W rzadkich skądinąd sytuacjach, kiedy zasiadaliśmy przed telewizorem bez niej, czuliśmy się zawiedzeni. Bez jej zjadliwych komentarzy tylko bardzo nieliczne programy trzymały nas w napięciu. Gdy sami oglądaliśmy telewizję, Owen zwykle mawiał: „Już wiem, co by twoja babcia w tym momencie powiedziała".

Trudno znaleźć kogoś, choćby o najbardziej poważnym usposobieniu, kto by w śmierci kultury nie potrafił dostrzec elementów humorystycznych. Nawet babci podobał się jeden show w telewizji. Ku memu zaskoczeniu, babcia i Owen okazali się zagorzałymi zwolennikami tego samego programu. W przypadku babci był to jedyny show, który darzyła bezkrytyczną miłością, w wypadku Owena – ulubiony spośród tych nielicznych, jakie od samego początku uwielbiał.

Tą nieprawdopodobną postacią, której udało się porwać krytyczne z reguły serca babci i Owena, był bezwstydny pochlebca tłumu – muzyczny stręczyciel, który szatkował Chopina, Mozarta i Debussy'ego na dwu-, trzyminutowe przygrywki, wybijane na pianinie palcami zakutymi w diamentowe pierścienie. Niekiedy grał na przezroczystym pianinie ze szklanym wiekiem i z dumą oznajmiał, ile to setek tysięcy dolarów za nie zapłacił. Jeden z jego pierścieni miał kształt fortepianu, on sam zaś nigdy nie zasiadł do instrumentu, jeśli fortepianu nie dekorował bogato zdobiony kandelabr. Kiedy telewizja była jeszcze w powijakach, uchodził za idola, głównie w oczach kobiet starszych od mojej babci i nawet w połowie nie tak

wykształconych jak ona. Zarówno babcia, jak i Owen uwielbiali go. Mając czternaście lat wystąpił nawet jako solista z chicagowską orkiestrą symfoniczną, teraz jednak, kiedy jego trzydziestoletnią skroń okalały ondulowane włosy, bardziej dbał o efekty wizualne niż akustyczne. Ubierał się w futra do ziemi i garnitury z cekinów. Na jeden z płaszczy wcisnął skóry z szynszyli warte sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Miał marynarkę obszytą nicią z dwudziestoczterokaratowego złota. Nosił też smoking z diamentowymi guzikami, które układały się w jego imię.

– Liberace! – wykrzykiwał Owen za każdym razem na widok artysty. Jego telewizyjny show nadawano dziesięć razy w tygodniu. Ten śmieszny człowieczek o aparycji pawia miał przesłodzony kobiecy głos i dołeczki na twarzy tak głębokie, że sprawiały wrażenie wybitych specjalnym młoteczkiem.

– Dlaczego by nie włożyć czegoś bardziej widowiskowego? – gruchał sobie, i za każdym razem babcia z Owenem ryczeli z aprobatą, kiedy zmieniwszy cekiny na pióra Liberace zasiadał z powrotem do pianina.

Liberace był pionierem dwupłciowości, który – jak przypuszczam – przygotował społeczeństwo na pojawienie się takich dziwolągów jak Elton John czy Boy George. Nie mogłem jednak żadną miarą zrozumieć, dlaczego babcia i Owen go uwielbiają. Z pewnością nie z powodu muzyki, interpretował bowiem Mozarta z taką beztroską, iż można by pomyśleć, że gra „Mackie Majchra", zresztą i to też grywał od czasu do czasu.

– Kocha swoją matkę – mawiała babcia w obronie Liberace'a i wszystko wskazywało na to, że to prawda. Mało że rozpływał się na jej temat w telewizji, to jeszcze, jak głosiła fama, mieszkał ze starszą panią aż do jej śmierci w 1980 roku!

– Dał swojemu bratu pracę – zauważył Owen. – A nie wydaje mi się, żeby George był szczególnie utalentowany. – I to prawda. George, pozostający w cieniu brat Liberace'a, grał w tle na skrzypcach aż do chwili, kiedy został kuratorem w Muzeum Liberace'a w Las Vegas, gdzie zresztą zmarł w 1983 roku. Ale skąd Owenowi przyszło do głowy, że Liberace był szczególnie utalentowany? Moim zdaniem, główną jego zaletę stanowiła

umiejętność, zresztą zupełnie nieświadoma, rozśmieszania samego siebie – potrafił także z samego siebie żartować. Ale babcia z Owenem rozpływali się nad nim wręcz histerycznie, zupełnie jak damy o farbowanych na niebiesko włosach wśród jego telewizyjnej publiczności, zwłaszcza kiedy ten sławny głupek wchodził między widzów, by z nimi zatańczyć.

– On naprawdę lubi starszych ludzi – zauważyła babcia zdumiona.

– Nie potrafiłby nikomu wyrządzić krzywdy – dodał Owen z podziwem.

W tamtych latach Liberace uchodził w moich oczach za pedzia, jednakże pewien londyński dziennikarz, który podobno obsmarował go w związku z jego upodobaniami seksualnymi, przegrał sprawę o zniesławienie. (Było to w 1959 roku, kiedy artysta, składając zeznania, oświadczył, że jest przeciwny homoseksualizmowi. Pamiętam owację, jaką urządzili mu Owen i babcia).

I tak w 1954 roku moją ekscytację telewizyjną w naszym domu przytłumiło żenujące uwielbienie, jakim ci oboje darzyli Liberace'a. Czułem się dość obco w tym ich kręgu bezrozumnych czcicieli kiczowatego idola. Matka nigdy by nie śpiewała przy akompaniamencie Liberace'a, ja zaś – jak zawsze – dzieliłem się krytycznymi uwagami z Danem.

Dan Needham podchodził do nieszczęścia w sposób twórczy, ba – czasami pozytywny. Wielu profesorów nawet w lepszych szkołach średnich to pechowcy – ludzie leniwi, którzy tę odrobinę autorytetu, jaki im pozostał, potrafią narzucić jedynie młodzieży. Ale Dan do nich nie należał. Nigdy już się nie dowiem, czy kiedy zakochał się w mojej matce i ją poślubił, nie miał zamiaru zrezygnować z pracy w Akademii Gravesend. Jednakże jej strata i jego reakcja na niesprawiedliwość, jaka go spotkała, spowodowały, że całkowicie poświęcił się kształceniu „całościowej osobowości chłopca", i to robiąc znacznie więcej niż zakładał szumnie sformułowany program w Gravesend, gdzie na „całościową osobowość chłopca" składały się wyniki czteroletniego programu nauczania. Dan okazał się najlepszym spośród nauczycieli szkoły przygotowawczej. Był nie tylko pełnym zapału, dobrym pedagogiem, ale święcie wierzył w to, że młodość wcale nie jest taka łatwa, że znacznie trudniej być

nastolatkiem niż dorosłym, co w końcu nie należy do powszechnych opinii ludzi starszych, a już zupełną rzadkością jest wśród ciała pedagogicznego szkoły prywatnej, którego członkowie częściej traktują swoje obowiązki, jakby byli uprzywilejowanymi prostakami z uprzywilejowanej klasy społecznej – zepsutymi brzdącami wymagającymi dyscypliny. I chociaż w Akademii Gravesend Dan Needham napotkał wielu zepsutych brzdąców, którym odrobina dyscypliny dobrze by zrobiła, znacznie więcej współczucia miał dla nastolatków niż swoich rówieśników, mimo iż z coraz większym zrozumieniem odnosił się także do ludzi starszych, którzy, jego zdaniem, cierpią na wtórną młodość i – jak chłopcy w Gravesend – wymagają specjalnej troski.

– Twoja babcia się starzeje – mawiał Dan. – Straciła męża, córkę. A Lydia, chociaż ani babcia, ani sama Lydia nie zdawały sobie z tego sprawy, była najprawdopodobniej najbliższą przyjaciółką Harriet. Ethel jako dama do towarzystwa nie jest o wiele lepsza od hydrantu przeciwpożarowego. I jeśli babcia uwielbia Liberace'a, nie wymawiaj jej tego. Nie bądź takim snobem! Nie krytykuj kogoś, kto daje jej tyle radości.

O ile jednak na babcię, która – będąc w tak podeszłym wieku – lubi Liberace'a, można było patrzeć z przymrużeniem oka, to trudno przychodziło pogodzić się z myślą, że Owen Meany także uwielbia ten głupawy uśmiech znad fortepianu.

– Mam już dosyć tego, że Owen uważa się za mądralę – zwróciłem się do Dana. – Jeśli naprawdę jest taki mądry, to jak może lubić Liberace'a? W jego wieku!

– Owen jest mądry – odparł Dan. – Jest mądrzejszy, niż mu się wydaje. Ale brakuje mu obycia. Bóg jeden wie, z jakimi przesądami stykał się w swojej rodzinie od urodzenia. Jego ojciec to niewykształcony facet, o którym nic nie wiadomo, problemy psychiczne zaś, z jakimi boryka się jego matka, to jedna wielka tajemnica. Tkwi pogrążona w tak głębokim stanie lunatycznym, że trudno nawet się zorientować, jak bardzo jest obłąkana. Być może Owen lubi Liberace'a tylko dlatego, że ktoś taki nie mógłby zaistnieć w Gravesend. Dlaczego twój przyjaciel uważa, że czułby się szczęśliwy w Sawyer Depot? Tylko dlatego, że tam nie był.

Przyznawałem Danowi rację, choć jego teorie na temat Owena zawsze były zbyt daleko idące. Kiedy powiedziałem Danowi, że Owen jest przekonany, iż widział dokładną datę swojej śmierci i że nie chce mi wyznać, jaki to dzień, Dan zbyt łatwo włożył całą tę sprawę między przesądy, jakimi raczyli Owena jego rodzice. Mnie natomiast nie opuszczała myśl, że Owen jest jednak zbyt twórczy i odpowiedzialny jak na coś takiego.

Ale skoro Dan był jednym z tych zdolnych i altruistycznie nastawionych członków ciała pedagogicznego, to jego szczere poświęcenie kształtowaniu „całościowej osobowości chłopca" mogło go na tyle zaślepić, iż nie zauważał usterek szkoły, a zwłaszcza wielu słabości członków wydziału i administracji. Dan wierzył bowiem, że Akademia Gravesend może uratować każdego. Owen musiał jedynie przetrwać do czasu, kiedy będzie na tyle duży, by wstąpić na Akademię. Jego stanowiący doskonały materiał umysł dojrzeje w konfrontacji z wymaganiami uczelni. Jego przesądy rozwieją się, gdy zacznie przebywać w towarzystwie bardziej obytych uczniów. Jak wielu oddanych nauczycieli, Dan Needham uczynił edukację swą religią. Owenowi Meany'emu brakowało jedynie bodźców społecznych i intelektualnych, których dostarczyć mu mogła dobra szkoła. Dan był pewien, że na Akademii prymitywny i prostacki wpływ rodziców na chłopca zostanie całkowicie zmyty, tak jak wody oceanu przy Głowie Małego Dzika spłukują do czysta ciało Owena z granitowego pyłu.

Ciotka Marta i wuj Alfred nie mogli się doczekać, aż Noah i Simon dorosną na tyle, by uczęszczać na Akademię Gravesend. Eastmanowie, podobnie jak Dan, wierzyli w zalety dobrej edukacji w prywatnej szkole. Liczyli, że tych szaleńców – Noaha i Simona – może ona uratować od typowego losu, jaki spotyka wiejskich chłopców z Północy – mariażu szybkiej jazdy na bocznych drogach, piwa i dziewczyn na tylnych siedzeniach samochodu – dziewczyn, które z powodzeniem robiły wszystko, by tylko zajść w ciążę jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej. I jak w wielu chłopcach wysyłanych do prywatnych szkół, w moich kuzynach Noahu

i Simonie tkwiła jakaś dzikość, której ani rodzinny dom, ani otoczenie nie mogły poskromić. Wszyscy wierzyli, że rygor panujący w dobrej szkole wywrze pożądany efekt, że ich utemperuje, że Akademia Gravesend narzuci im moc nowych wymagań i niemożliwych do spełnienia warunków. Sama ilość pracy domowej, nie mówiąc już o stopniu jej trudności, miała ich wyczerpać do ostatnich granic, a wszyscy wiedzą, że zmęczeni chłopcy to spokojniejsi chłopcy. Drętwa rutyna codziennych zajęć, rygorystycznie przestrzegany obowiązek odpowiedniego stroju, przepisy dotyczące niezwykle rzadkich spotkań z przedstawicielkami płci odmiennej, i to zawsze pod bacznym okiem opiekuna... z pewnością ich utemperują. Zagadką dla mnie pozostaje natomiast fakt, dlaczego ciotce Marcie i wujowi Alfredowi mniej zależało na utemperowaniu Hester.

To, że Akademia Gravesend nie przyjmowała wówczas dziewcząt, nie powinno zaważyć na ich decyzji, by wysłać Hester do prywatnej szkoły. Takich szkół dla dziewcząt było co niemiara, a i Hester należało ratować od dzikości, jaka ją przenikała – od panujących na Północy wiejskich rytuałów właściwych jej płci – i to w równym stopniu jak Noaha i Simona. Ale w tym okresie przejściowym, kiedy moi kuzyni, Owen i ja, czekaliśmy, aż będziemy na tyle duzi, żeby móc uczęszczać na Akademię, Hester miała za złe, że nie czyni się żadnych planów, aby ją uratować. Sama myśl, że tego wybawienia nie potrzebuje, mogłaby dziewczynę urazić. Tak jak – choć w inny sposób – zranić by ją mogło przypuszczenie, iż zdaniem ciotki i wujka, nie sposób jej w ogóle uratować.

– Tak czy siak – oświadczył Owen Meany – Hester weszła na wojenną ścieżkę.

– Jaką znowu wojenną ścieżkę? – zapytała babcia. Byliśmy jednak z Owenem na tyle przezorni, by z babcią nie rozmawiać o Hester.

Z powodu Liberace'a między babcią a Owenem nawiązała się nowa nić porozumienia. Razem oglądali też mnóstwo starych filmów i prześcigali się w nieustannych komentarzach. To właśnie uznanie babci dla komentarzy Owena, pełnych zjadliwości tak jak jej własne, zadecydowało o poparciu staruszki dla chłopca jako „potencjalnego materiału" dla Akademii Gravesend.

– Co to znaczy, że „nie możesz" iść na Akademię? – spytała.

– Wiem, że się dostanę, a także, że otrzymam pełne stypendium.

– Jasne, że otrzymasz.

– Ale nie mam odpowiednich strojów – tych wszystkich marynarek, krawatów, koszul i butów.

– Uważasz, że nie robią twojego rozmiaru? Bzdura. Trzeba tylko kupować w odpowiednich sklepach.

– Chodzi mi o to, że rodziców nie stać na tego typu ubrania.

Właśnie oglądaliśmy stary film Alana Ladda – „Randka z niebezpieczeństwem", który wyświetlano w ramach programu „Wczesną porą". Owena śmieszyło, że wszyscy mężczyźni w Gary w stanie Indiana noszą garnitury i kapelusze.

– Kiedyś i tutaj tak się ubierali – odparła babcia. Ale prawdopodobnie nie w Kamieniołomach Granitu Meanych.

– Jack Webb, zanim zagrał dobrego gliniarza w „Dragnet", był w „Randce z niebezpieczeństwem" złym facetem, który usiłuje zamordować zakonnicę. Na taki pomysł Owenowi ciarki przechodziły po plecach.

Również dla babci film był silnym przeżyciem, ponieważ przypomniała sobie, że widziała go w 1951 roku w „Idaho" razem z mamą.

– Zakonnicy nic się nie stanie – uspokajała Owena.

– Mnie nie chodzi o morderstwo – wyjaśnił. – Na samą myśl o zakonnicach przechodzą mnie ciarki.

– Dobrze cię rozumiem. – Również babcia żywiła uprzedzenia względem katolików.

– Ile by kosztowało kilka garniturów, marynarek, dwie pary spodni na oficjalne okazje, a także koszule, krawaty i buty – no, wszystko co potrzeba? – zapytał Owen.

– Sama wybiorę się z tobą na zakupy. I pozwól, że o ceny to ja się będę martwiła. Nikt nie musi wiedzieć, ile te rzeczy kosztują.

– Być może ubrania mojego rozmiaru nie są takie drogie.

I tak, nawet bez usilnej namowy ze strony mojej matki, Owen zgodził się, że jest „potencjalnym materiałem" do Akademii Gravesend. Akademia także na to przystała. Nawet bez rekomendacji Dana Needhama przyznaliby mu pełne stypendium. Bezsprzecznie go potrzebował, a ponadto w szkole średniej w Gravesend uzyskał same

bardzo dobre oceny. Problem w tym, że chociaż Dan Needham prawnie mnie zaadoptował i dzięki temu przysługiwał mi uprzywilejowany status syna wykładowcy, to w Akademii niechętnie patrzono na moją kandydaturę. Moje szkolne osiągnięcia były tak mizerne, że poradzono Danowi, by zapisał mnie do dziewiątej klasy w szkole średniej. Następnego roku przyjęto by mnie do Akademii, też do klasy dziewiątej, tak żeby – jak powiedziano – łatwiej mi było się przystosować, powtarzając tę samą klasę.

Zawsze wiedziałem, że kiepski ze mnie uczeń. Taka opinia nie raniła jednak mojego poczucia godności własnej. Bolesna za to była dla mnie myśl, że Owen mnie wyprzedzi, że nie będziemy w tej samej klasie i że nie ukończymy razem Akademii. Istniała jeszcze jedna, bardziej praktyczna strona tego medalu – że pod koniec nauki nie będę miał pod ręką Owena, który by mi pomógł w pracach domowych. A obietnicę, że zawsze będzie mi w tym pomagał, Owen złożył mamie.

I tak, zanim jeszcze babcia zabrała Owena na zakupy, mój przyjaciel oświadczył, że on także zamierza uczęszczać do dziewiątej klasy szkoły średniej w Gravesend. Zostanie ze mną i wstąpi na Akademię w następnym roku – mógłby co prawda opuścić dziewiątą klasę, ale postanowił ją powtórzyć razem ze mną! Dan zaś przekonał komisję rekrutacyjną Akademii, że chociaż Owen jest intelektualnie bardzo rozwinięty, to powtórka roku wyjdzie mu tylko na dobre „ze względu na jego fizyczną niedojrzałość". Kiedy panowie z komisji zobaczyli Owena, zgodzili się z Danem – nie mieli tylko pojęcia, że przez rok on wcale nie urośnie.

Lojalność Owena względem mnie wzruszyła babcię i Dana. Hester naturalnie uznała jego zachowanie za „dziwaczne". Oczywiście, ja go kochałem i byłem mu wdzięczny za to poświęcenie. W głębi serca jednak miałem żal, że roztacza nade mną taką władzę.

– Nie zastanawiaj się nad tym za bardzo. Jesteśmy kumplami, no nie? Od czego są przyjaciele? Nigdy cię nie opuszczę.

Toronto, 5 lutego 1987. Wczoraj zmarł Liberace, miał 67 lat. Jego wielbiciele czuwali przy zapalonych świecach za bramą pałacu idola

w Palm Springs, który kiedyś był klasztorem. Czy ten fakt nie wywołałby dreszczy u Owena? Liberace zmienił swój negatywny stosunek do homoseksualizmu. „Jeśli kręcisz z młodymi pedałami, to tylko i wyłącznie twoja sprawa" – powiedział. Niemniej jednak w trakcie procesu w 1982 roku przeczył, jakoby płacił za usługi seksualne pracownikom – byłemu lokajowi i mieszkającemu w jego domu szoferowi. Do ugody doszło poza salą sądową. Menedżer Liberace'a zaprzeczył pogłoskom, że artysta padł ofiarą AIDS, jego zaś niedawną utratę wagi tłumaczył dietą arbuzową.

Co by na to powiedzieli babcia i Owen?

– Liberace! – wykrzyknąłby Owen. – Kto by pomyślał? Liberace stracił życie przez arbuzy!

Dopiero w Święto Dziękczynienia 1954 roku moi kuzyni przyjechali do Gravesend i na własne oczy zobaczyli telewizor babci. Noah zaczął uczęszczać na Akademię tej jesieni, czasami więc w weekendy oglądał ze mną i Owenem telewizję. Żaden jednak osąd na temat kultury, jaka nas otaczała, nie mógł być pełny bez automatycznej aprobaty Simona dla każdej dosłownie formy rozrywki, i równie automatycznej dezaprobaty Hester.

– Znakomity – zauważył Simon. Uważał, że Liberace również jest „znakomity".

– Przecież to gówno – odparła Hester. – Dopóki wszystko nie będzie w kolorze, a sam kolor doskonały, to nie warto oglądać telewizji. – Ale Hester pozostawała pod wrażeniem energii, z jaką babcia nieustannie krytykowała prawie cały program, i ten właśnie babciny styl Hester usiłowała naśladować, nawet „gówno" bowiem warto obejrzeć, jeśli tylko pozwala rozwodzić się na temat, jaki to rodzaj gówna.

Wszyscy byli zgodni co do tego, iż powtórki filmów są ciekawsze od programów telewizyjnych, tylko Hester uważała, że wybrane filmy są „zbyt stare". Babci odpowiadały takie starocie – „im starszy, tym lepszy" – nie lubiła natomiast większości gwiazd filmowych. Po obejrzeniu „Kapitana Blooda" obwieściła wszem wobec, że Flynn „nie ma za grosz rozumu, tylko dużą klatę". Hester uważała, iż Olivia de

Havilland ma „cielęcy wzrok”. Owen zaś sugerował, że wszystkie filmy o piratach są takie same.

– Te idiotyczne walki na szable! Popatrzcie tylko, jak są ubrani. Jeśli miałbyś zamiar walczyć na szable, to chyba nie wkładałbyś luźnej workowatej koszuli – przecież natychmiast potną ją na kawałki.

Babcia narzekała, że wybór filmów nie jest nawet zgodny z „kalendarzem”. Jaki sens ma pokazywanie „Zdarza się to każdej wiosny” w listopadzie? Nikt przecież nie myśli o baseballu w Święto Dziękczynienia, a „Zdarza się to każdej wiosny” to tak kretyński film o baseballu, że nawet gdybym go oglądał codziennie, nic by mi się nie kojarzyło ze śmiercią mamy. Ray Milland jest profesorem college’u i staje się fenomenalnym graczem w baseball po odkryciu substancji, która działa odpychająco na drewno – przecież to nie ma żadnego związku z rzeczywistością.

– Doprawdy, kto wymyśla takie rzeczy? – spytała babcia.

– Dzięcioły – odparła Hester, która wciąż wzbogacała swoje słownictwo.

Trudno nam było ocenić, czy Akademia Gravesend podjęła trud, by uratować Noaha przed nim samym. Właściwie to raczej Simon wyglądał na wyciszonego, być może dlatego, że jesienią brakowało mu Noaha i przytłoczyła go rozbudzona na powrót fizyczna rywalizacja. Noah miał poważne kłopoty z nauką na Akademii i Dan wielokrotnie prowadził na ten temat szczere rozmowy z wujem Alfredem i ciotką Martą. Eastmanowie doszli do wniosku, że Noah jest wyczerpany intelektualnie. Rodzina miała spędzić wakacje Bożego Narodzenia na jakiejś relaksującej plaży na Karaibach.

– W odprężającej scenerii „Kapitana Blooda” – zauważył Owen.

Owen był zawiedziony, że Eastmanowie postanowili wyjechać na Boże Narodzenie na Karaiby. Kolejna możliwość pobytu w Sawyer Depot przeszła mu koło nosa.

Po Święcie Dziękczynienia wpadł w ponury nastrój i tak jak ja – myślał o Hester. Poszliśmy do kina „Idaho” na sobotni poranek i za cenę normalnego biletu zobaczyliśmy dwa filmy: „Skarb złotego kondora”, gdzie Cornel Wilde gra dziarskiego Francuza, który w XVIII wieku poszukuje w Gwatemali skarbów Majów, oraz „Takt bębna” z Alanem Laddem w roli kowboja i Audrey Dalton – Indianki.

Oglądając te filmy o starodawnych skarbach i wyprawach po skalpy, nie po raz pierwszy zdaliśmy sobie z Owenem sprawę, że żyjemy w nudnych czasach, że przygody zawsze zdarzały się gdzie indziej i dawno temu. Tarzan pasował do tej reguły tak samo jak napawający lękiem epos biblijny. Ten zaś w połączeniu z doświadczeniami, jakich Owen nabył w trakcie chrześcijańskich jasełek, złożyły się na nową posępną i zamkniętą w sobie osobowość, którą mój przyjaciel zaprezentował światu w kościele pod wezwaniem Chrystusa.

Fakt, iż Wigginom podobała się „Szata", przesądził o decyzji Owena – obojętne, czy kiedyś wybierze się do Sawyer Depot czy nie, to i tak nigdy nie weźmie udziału w kolejnych jasełkach. Jestem przekonany, że Wigginowie nie przejęli się zanadto postanowieniem Owena, który jeśli chodzi o biblijną epikę generalnie, a „Szatę" w szczególności, był bezlitosny. I chociaż uważał, że Jean Simmons jest „tak ładna jak Hester", to twierdził również, iż Audrey Dalton w „Takcie bębna" „mogłaby przypominać Hester, gdyby Hester była Indianką". Oprócz tego, że wszystkie trzy miały ciemne włosy, nie widziałem między nimi żadnego podobieństwa.

Prawdę powiedziawszy „Szata", którą obejrzeliśmy z Owenem pewnego sobotniego popołudnia w „Idaho", zrobiła na nas ogromne wrażenie. Od śmierci mamy nie minął jeszcze rok i ani ja, ani Owen nie okrzepliśmy na tyle, by spokojnie przyglądać się, jak Richard Burton i Jean Simmons tak radośnie wychodzą naprzeciw śmierci. Co więcej, wyglądało na to, że opuszczają kino i własne życie, idąc prosto do nieba. Był to widok szczególnie przykry. Richard Burton grał rzymskiego trybuna, który nawraca się na chrześcijaństwo po ukrzyżowaniu Jezusa. Zarówno Burton, jak i Jean Simmons na przemian wyrywali sobie szatę Chrystusa.

– Tyle zamieszania z powodu kawałka koca. Religijny stosunek do przedmiotów jest tak typowy dla katolików – dodał Owen.

Katolicy i ich uwielbienie dla przedmiotów to był konik Owena. Jednocześnie wszyscy wiedzieliśmy, że sam ma zwyczaj kolekcjonować rzeczy, które na swój sposób przemienia w obiekty kultu. Wystarczy przypomnieć łapy pancernika. Największą wzgardą w całym Gravesend darzył Owen kamienny posąg Marii Magdaleny,

nawróconej prostytutki, który stał na straży boiska szkoły parafialnej św. Michała. Posąg naturalnych rozmiarów umieszczono w idiotycznej arkadzie z cementu – „idiotycznej" dlatego, że prowadziła donikąd. Była to brama, która nie wiodła do żadnego konkretnego miejsca; wejście, ale bez domu. Arkada, jak i sama Maria Magdalena górowały nad porytym koleinami szkolnym boiskiem, którego powierzchnia była zbyt nierówna, by dryblować tam piłkę do kosza. Z powyginanych i zardzewiałych obręczy dawno już zniknęły siatki, linie zaś pola karnego zatarły się bądź zostały przysypane piaskiem.

W weekendy i szkolne wakacje boisko świeciło kompletną pustką. Korzystano z niego tylko podczas przerw między lekcjami, chociaż kręcący się tam wtedy uczniowie niechętnie się bawili. Surowe spojrzenie Marii Magdaleny robiło im wyrzuty, jej poprzednie zajęcie i nawrócenie ich zawstydzało. I chociaż samo boisko było w opłakanym stanie, posąg co wiosna bielono i nawet w najbardziej pochmurne szare dni Maria Magdalena, niezależnie od tego, że tu i tam popstrzyły ją ptasie gówna czy ślady ludzkiego świętokradztwa, przyciągała i odbijała więcej światła niż jakikolwiek inny przedmiot czy istota ludzka na terenie szkoły św. Michała.

Owenowi ta szkoła wydawała się jak więzienie, do którego o mały włos nie trafił. Bo gdyby jego rodzice nie wyrzekli się katolicyzmu, to wylądowałby u św. Michała. Panowała tam dość ponura atmosfera, niczym w zakładzie poprawczym. Życie odmierzały hałasy z pobliskiej stacji benzynowej – dzwonek, który rozlegał się, gdy pojazd przejeżdżał i odjeżdżał, głośna praca pomp benzynowych, a także harmider mechaników pracujących w kanałach, gdzie dokonywano przeglądu samochodów.

I nad tym niezbyt świętym, mało naukowym i nie bardzo odpowiednim terytorium trzymała pieczę Maria Magdalena. Pod swoją osobliwą cementową arkadą czasami wyglądała, jakby pilnowała jakiegoś skomplikowanego, choć niedostatecznie przyprawionego zarazem barbecue domowej roboty. Kiedy indziej przypominała bramkarza na bramce.

Naturalnie, żaden katolik nigdy nie strzeliłby w jej kierunku piłką, krążkiem do hokeja czy w ogóle jakimkolwiek innym pociskiem.

Przed taką akcją powstrzymywała uczniów z parafii – nawet gdyby mieli na to ochotę – nieubłagana, czujna obecność zakonnic. I chociaż kościół katolicki w Gravesend znajdował się w innej części miasta, odrapany budynek, w którym mieszkały siostry i niektórzy nauczyciele ze szkoły, stał jak strażnica w rogu boiska, skąd można było bacznie obserwować posąg Marii Magdaleny. Jeśli jakiemuś protestantowi przechodzącemu obok przyszła nagle ochota zademonstrować brak szacunku wobec świętej, czujne zakonnice w mgnieniu oka wyfruwały ze strażnicy, trzepocząc połami czarnych habitów niczym groźne zawzięte kruki.

Owen bał się zakonnic.

– Jest w nich coś nienaturalnego – mawiał. Ale ja z kolei myślałem, czy może być coś bardziej nienaturalnego niż skrzekliwy falset Granitowej Myszy albo narzucająca się obecność Owena, która pozostaje w tak olbrzymiej dysproporcji do jego miniaturowych rozmiarów?

Każdej jesieni kasztanowce między Tan Lane i Garfield Street dostarczały wielu gładkich, twardych, ciemnobrązowych pocisków. Trudno więc się dziwić, że Owen i ja zawsze przechodziliśmy obok Marii Magdaleny z kieszeniami pełnymi kasztanów. Pomimo lęku, jakim napawały go zakonnice, Owen nie mógł oprzeć się pokusie, by nie wypróbować celu w postaci świętej-bramkarza. Ja przeważnie lepiej trafiałem, ale Owen rzucał kasztany z większym zacięciem. Nasze pociski prawie nie zostawiały śladu na jej długiej do ziemi szacie, na łagodnej śnieżnej twarzy, na rękach rozłożonych w błagalnym geście. Jednakże zakonnice atakowały nas z żarliwością, którą tłumaczyć mógł jedynie fanatyzm religijny. Goniły za nami jak szalone, wydawały przeraźliwe piski niczym nietoperze zaskoczone światłem słonecznym, ale uciekaliśmy im bez trudu.

– Pingwiny! – wrzeszczał Owen, biegnąc. Wszyscy nazywali zakonnice „pingwinami". Pędziliśmy wzdłuż Cass Street aż do torów kolejowych, które wyprowadzały nas z miasta. Zanim dotarliśmy na Maiden Hill czy do kamieniołomów, mijaliśmy fermę Fort Rock i resztką kasztanów bombardowaliśmy pasące się tam czarne bydło. Mimo że krowy były takie ogromne, miały niebieskie wargi i języki,

nie chciały nas gonić równie entuzjastycznie jak pingwiny, które przeważnie dawały za wygraną dopiero przed Cass Street.

Każdej wiosny z kolei bagna między Tan Lane i Garfield Street dostarczały tysięcy kijanek i ropuch. Czy ktoś odważy się zaprzeczyć, że chłopcy w pewnym wieku nie są okrutni? Napełnialiśmy puszkę po piłkach tenisowych kijankami i pod osłoną ciemności wylewaliśmy je Marii Magdalenie na stopy. Te z kijanek, które szybko nie przeobraziły się w ropuchy, wysychały na pomniku i zdychały. Dochodziło nawet do tego, że mordowaliśmy ropuchy i dość perwersyjnie umieszczaliśmy ich rozszarpane zwłoki na odwróconych dłoniach świętej bramkarki, plamiąc je posoką tych ziemno-wodnych zwierząt. Mam nadzieję, że Bóg nam to wybaczy! Zachowywaliśmy się w tym okresie naszego życia tak fatalnie, że dopiero Akademia Gravesend mogła nas uratować przed nami samymi.

Wiosną 1957 roku Owen podchodził do bezbronnej fauny bagnisk Gravesend, a także Marii Magdaleny, w sposób wyjątkowo bezlitosny. Tuż przed Wielkanocą obejrzeliśmy w kinie „Idaho" „Dziesięć przykazań" Cecile'a B. DeMille'a. Mojżesza grał Charlton Heston, któremu wielokrotnie w czasie akcji zmieniano strój i uczesanie.

– To kolejny film o mężczyznach obdarzonych sutkami – skomentował Owen. I faktycznie. Oprócz dowodów na to, że Charlton Heston ma sutki, wyraźnie było widać, że ma je również Yul Brynner, John Derek, a nawet Edward G. Robinson!

W kinie „Idaho" pokazano „Dziesięć przykazań" tuż przed Wielkanocą, co – zdaniem babci – najdobitniej świadczyło o kiepskim wyczuciu prawie wszystkich zatrudnionych w przemyśle rozrywkowym. To oburzające, że oglądaliśmy „Wyjście Narodu Wybranego" w przeddzień Męki i Zmartwychwstania Pana Jezusa.

– Karmią nas tą starotestamentową szmirą, kiedy powinniśmy myśleć o Jezusie! – tak to ujmował Owen. Ostro krytykował nawet rozstąpienie się Morza Czerwonego.

– Nie można zrobić cudu i go pokazać! – rozprawiał z oburzeniem. – Nie można dowodzić, że stał się cud! W cud trzeba po prostu uwierzyć. Jeśli Morze Czerwone faktycznie się rozstąpiło, to na pewno nie tak! Nikt nie wie, jak to wyglądało, bo nie sposób sobie tego wyobrazić!

Nie potrafiłem jednak odnaleźć w jego furii cienia logiki. Skoro tak bardzo rozwścieczył go film, to dlaczego złość wyładowuje na Marii Magdalenie oraz garści kijanek i ropuch?

W czasie tych wszystkich lat, zanim rozpoczęliśmy naukę na Akademii Gravesend, zdobywaliśmy z Owenem wiedzę przede wszystkim dzięki temu, co widzieliśmy na ekranie „Idaho" oraz babcinego telewizora. Któż z nas nie „poznawał życia" w ten przypadkowy sposób? Czy ktoś może Owenowi zarzucić, że właśnie tak zareagował na „Dziesięć przykazań"? Każda reakcja była lepsza niż uwierzenie w te bzdury. Ale skoro taki idiotyczny film mógł doprowadzić do tego, że Owen mordował ropuchy, obrzucając nimi Marię Magdalenę, imponujący występ w wykonaniu Bette Davis w „Zwycięstwie nad mrokiem" powinien go przekonać, że i on ma guz mózgu.

Z początku Bette Davis umiera i nie wie o tym. Ani lekarz, ani przyjaciel nie chcą jej tego wyjawić.

– Powinni natychmiast jej o tym powiedzieć – oświadczył niespokojnie Owen. Lekarza grał George Brent.

– I tak nie potrafił niczego porządnie zrobić – zauważyła babcia.

Humphrey Bogart grał stajennego, który mówi z irlandzkim akcentem. Było Boże Narodzenie 1956 roku i oglądaliśmy film sprzed dwudziestu lat. Wtedy po raz pierwszy babcia pozwoliła nam obejrzeć Kino Nocne – w każdym razie wydaje mi się, że to było to. Od którejś tam godziny albo przynajmniej od momentu, kiedy zaczynała się czuć śpiąca, nazywała wszystko kinem nocnym. Troszkę jej nas było żal, ponieważ Eastmanowie spędzali kolejne święta na Karaibach. Dla mnie wyjazdy do Sawyer Depot stawały się powoli przyjemnością, która odchodzi w przeszłość, dla Owena pozostawały ciągle nie zrealizowanym marzeniem.

– Humphreya Bogarta stać chyba na to, żeby lepiej grać Irlandczyka – skrytykowała go babcia.

Dan zauważył, że nie zaangażowałby George'a Brenta do żadnego przedstawienia Trupy Gravesend. Owen dodał, że pan Fish byłby bardziej przekonywającym lekarzem dla Bette Davis, jednakże zdaniem babci, „pan Fish miałby pełne ręce roboty jako mąż Bette Davis" – jej lekarz faktycznie się z nią żeni.

– Każdy miałby pełne ręce roboty, gdyby był mężem Bette Davis – dodał Dan.

To okrutne, uważał Owen, że Bette Davis musi sama dowiedzieć się, iż niedługo umrze. „Zwycięstwo nad mrokiem" to jeden z tych filmów, które mają nas nauczyć, jak należy umierać. Pokazują nam Bette Davis, która akceptuje swój los w sposób pełen wdzięku. Wraz z George'em Brentem przenosi się do Vermont i zabiera się do uprawiania ogródka. Pogodnie godzi się z myślą, że pewnego dnia nadejdzie ciemność.

– To jest bardzo smutne! – wykrzykiwał Owen. – Jak to możliwe, że w ogóle o tym nie myśli?

Ronald Reagan grał w filmie ckliwego młodego pijaka.

– To za niego powinna była wyjść – zauważyła babcia. – Ona umiera, a on już nie żyje.

Owen stwierdził, że znane mu są objawy śmiertelnego guza mózgu, jakiego ma Bette Davis.

– Owen, ale ty nie masz guza – zwrócił mu uwagę Dan.

– Bette Davis też nie – zauważyła babcia. – Ale możliwe, że ma go Ronald Reagan.

– A może także George Brent – rzucił Dan.

– Pamiętacie ten moment, kiedy jakby zamazuje się jej obraz przed oczyma? Mnie się też czasami coś takiego zdarza – dokładnie tak samo jak Bette Davis!

– Powinieneś pójść do okulisty – poradziła mu babcia.

– Ty nie masz guza na mózgu – powtórzył Dan.

– Ale coś mam – upierał się Owen.

Poza oglądaniem telewizji dużo czasu spędzaliśmy także za kulisami podczas występów Trupy Gravesend, choć na samo przedstawienie właściwie rzadko zwracaliśmy uwagę. Patrzyliśmy raczej na widownię – zapełnialiśmy ławki na owym meczu Małej Ligi z lata 1953 roku. Powoli loża przestawała być pusta. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości co do miejsca, jakie zajmowali Kenmorowie czy Dowlingowie. Owen nie zgadzał się ze mną, że Maureen Early i Caroline O'Day siedziały w najwyższym rzędzie. On widział je gdzieś niżej. Nie mogliśmy też dojść do porozumienia na temat Brinker-Smithów.

– Brytyjczycy nie oglądają baseballu – twierdził Owen.

Ja za to zawsze miałem oko na Ginger Brinker-Smith i jej osławioną zmysłowość. Twierdziłem, że ją tam „widziałem”.

– W ogóle byś na nią wtedy nie popatrzył, nawet gdyby tam była. W każdym razie nie owego lata – upierał się Owen. – Byłeś za młody, a poza tym dopiero co urodziła bliźniaki i wyglądała okropnie!

Uważałem, że Owen był wrogo nastawiony do Brinker-Smithów od momentu, kiedy w trakcie ich żywiołowego aktu miłosnego został przyszpilony do podłogi sprężynami łóżka. Jeśli chodzi o resztę osób, nie mieliśmy problemów z ustaleniem ich obecności i miejsca, jakie zajmowali. Nie nurtowały nas żadne wątpliwości co do listonosza, pana Morrisona. On po prostu nigdy nie przychodził na mecze. Nie lubiła też rozgrywek biedna pani Merrill, mimo że sezon baseballu musiał wzbudzać w niej bardzo drogie wspomnienia o pięknej pogodzie w jej rodzinnej Kalifornii. Nie byliśmy do końca pewni, jeśli chodzi o wielebnego Merrilla. Zdecydowaliśmy, że pewnie nie oglądał meczu, tylko na tej podstawie, że rzadko kiedy widywało się go gdzieś bez żony. Nie mieliśmy wątpliwości, że Wigginów nie było. Przychodzili dość często, ale przy każdym zdobytym punkcie wykazywali taki prostacki entuzjazm, że gdyby na tym meczu kibicowali, to z pewnością byśmy ich zauważyli. A że wówczas jeszcze Barb Wiggin uważała, iż Owen jest „zabawny”, z pewnością popędziłaby pocieszyć chłopca, kiedy tak niefortunnie odbił fatalną piłeczkę. Za to rektor Wiggin niewątpliwie odprawiłby jakieś modły nad rozciągniętym ciałem mamy albo po męsku poklepywałby mnie po ramieniu.

– Gdyby Wigginowie tam byli, toby urządzili takie widowisko, że byśmy ich nie zapomnieli – tak to ujął Owen.

Mimo że poszukiwania zaginionego rodzica są, niezależnie od metody, niezwykle ekscytującym zajęciem, musieliśmy z Owenem przyznać, że – jak dotychczas – zebraliśmy raczej nieliczną i niezbyt ciekawą grupkę miłośników baseballu. Nie przyszło nam jednak do głowy spytać, czy zapaleni kibice Małej Ligi są również wytrwałymi widzami Trupy Gravesend.

– Pamiętaj o jednym – pouczał mnie Owen. – Była dobrą matką. Gdyby uważała, że ten facet jest równie dobrym ojcej, tobyś go na pewno już znał.

– Wygląda to tak, jakbyś miał stuprocentową pewność – odparłem.

– Ja cię tylko ostrzegam. Szukanie ojca jest ekscytującym zajęciem, ale nie powinieneś zakładać, że jak już go znajdziesz, będziesz zachwycony. Chyba wiesz, że trudno o drugiego Dana.

No i co o tym sądzić? Wydawało mi się, że Owen za bardzo filozofuje. To rzeczywiście ekscytujące szukać własnego ojca – co do tego nie miałem wątpliwości.

Nić pożądania, jak to określał Owen, przydawała smaczku naszym poszukiwaniom, dlatego tym gorliwiej prowadziliśmy polowanie na ojca – bo tymi słowy mój przyjaciel nazywał całe przedsięwzięcie.

– Za każdym razem, kiedy ci staje, pomyśl, czy możesz sobie przypomnieć kogoś znajomego. – Owen uważał, że pożądanie to najbardziej namacalna nić łącząca mnie z moim nieznanym progenitorem.

A skoro mowa o pożądaniu, to miałem nadzieję, że teraz, kiedy już Noah, a także Simon są uczniami Akademii Gravesend, będę się częściej widywać z Hester. Niestety, spotykaliśmy się rzadziej. Noah miał kłopoty z nauką i musiał powtarzać klasę. Simonowi pierwszy rok poszedł nieco gładziej – był cały szczęśliwy, kiedy Noah nie otrzymał promocji. Gdy nadeszło Boże Narodzenie 1957 roku, obaj chłopcy znaleźli się razem w młodszej klasie. Jednocześnie tak bardzo absorbowały ich różne wymyślne formy życia prywatnej szkoły, że widywałem kuzynów zaledwie odrobinę częściej niż Hester. Noah i Simon rzadko kiedy byli już tak znudzeni szkołą, by zdobyć się na odwiedziny u babci. Nie zjawiali się nawet w czasie weekendów, które coraz częściej spędzali w towarzystwie niewątpliwie bardziej interesujących kolegów z klasy. My z Owenem byliśmy dla nich chyba za mało dorośli.

Nie ulega wątpliwości, że za dziecinni byliśmy też dla Hester, która w przeciwieństwie do zimującego Noaha dała jakoś radę zdać do następnej klasy. W szkole w Sawyer Depot nie miała zbytnich trudności z nauką i łatwo nam z Owenem przyszło wyobrazić sobie, jak to skutecznie terroryzuje uczniów i nauczycieli. Może nawet dołożyła odrobinę wysiłku, by przeskoczyć jedną klasę, jak zawsze chcąc prześcignąć braci. Tak czy inaczej, całe moje rodzeństwo cioteczne miało skończyć szkołę w roku 1959 – w tym samym czasie,

kiedy Owen i ja zaledwie kończyliśmy dziewiątą klasę na Akademii. Nasz rocznik miał opuścić szkołę w 1962. Czułem się tym wyjątkowo upokorzony. Łudziłem się kiedyś, że któregoś dnia dorównam moim szalonym kuzynom, ale teraz wydawało się, że przerastają mnie znacznie bardziej niż dotychczas. Nieosiągalna dla mnie była zwłaszcza Hester.

– No cóż, przecież to twoja kuzynka, a więc powinna być dla ciebie nieosiągalna – tłumaczył mi Owen. – A poza tym jest niebezpieczna. Może to i dobrze, że jest nieosiągalna. Chociaż jeśli faktycznie szalejesz na jej punkcie, to któregoś dnia musi ci się udać. Hester gotowa jest zrobić wszystko, aby zagrać na nosie rodzicom. Byłaby nawet gotowa wyjść za ciebie!

– Wyjść za mnie! – krzyknąłem. Na samą myśl o małżeństwie z Hester przeszły mnie ciarki.

– No tak, właśnie coś takiego musiałoby jej rodziców wyprowadzić z równowagi. Może nie mam racji, co?

Na pewno. Owen się nie mylił. Hester poczytywała sobie za punkt honoru, by doprowadzać rodziców, ale też i braci, do szału – była to kara za to, że traktowali ją „jak dziewczynę". Zdaniem Hester, Sawyer Depot to „raj dla chłopaczysków", a ciotka Marta „przynosi wstyd całej płci żeńskiej", bo przyklaskuje wujowi Alfredowi, który twierdzi, że chłopcy potrzebują edukacji w szkole prywatnej, że muszą „poszerzać swoje horyzonty". Hester zamierzała poszerzać swoje horyzonty w taki sposób, by uświadomić rodzicom, jakie popełniają błędy. Nie do pomyślenia wydawało mi się jednak to, co sugerował Owen – że Hester gotowa była wyjść za kuzyna po to tylko, by dać porządną nauczkę cioci Marcie i wujowi Alfredowi.

– Hester może mnie w ogóle nie lubić – powiedziałem Owenowi, który wzruszył ramionami.

– Gdyby nawet za ciebie wyszła, to niekoniecznie dlatego, że cię lubi – stwierdził.

A tymczasem nie zaproszono nas do Sawyer Depot na Boże Narodzenie. Najpierw przez kilka kolejnych lat Eastmanowie wyjeżdżali na Karaiby i dopiero w roku 1957 postanowili spędzić święta w domu. Nasze rozbudzone nadzieje jednak dość szybko się rozwiały. Nie zostaliśmy zaproszeni do Sawyer Depot. Eastmanowie

nie pojechali na Karaiby tylko dlatego, że Hester korespondowała z czarnym marynarzem, który zaproponował jej spotkanie na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Dziewczyna zaangażowała się uczuciowo w czasie poprzedniego Bożego Narodzenia, które spędzali na Tortoli, a miała wówczas dopiero piętnaście lat! Naturalnie, nikt nam nigdy dokładnie nie wytłumaczył, co znaczy „zaangażowanie" w wykonaniu Hester. Musieliśmy zadowolić się tylko tymi fragmentami historii, jakie ciocia Marta przekazała Danowi – a było to znacznie więcej, niż usłyszała babcia, która doszła do wniosku, że marynarz po prostu „poderwał" jej biedną wnuczkę i był na dodatek tak prostacki, że Hester w rezultacie sama chciała zostać w domu. W rzeczywistości dziewczyna groziła, że ucieknie na Tortolę. Poza tym nie rozmawiała z Noahem i Simonem, bo to oni pokazali listy czarnego marynarza cioci i wujkowi. Miała im także za złe, że nie poznali jej z żadnym ze swoich kolegów z Akademii Gravesend.

Dan Needham ujął sytuację w formie sensacyjnego nagłówka w prasie: „Nastolatki w Sawyer Depot mają odpał". Sugerował, że dla własnego dobra nie powinniśmy wchodzić w żadne układy z Hester. Po stokroć miał rację! Ale my tak bardzo pragnęliśmy uczestniczyć w pasjonującej marności prawdziwego życia, w której według naszych przypuszczeń tonęła po uszy! Znajdowaliśmy się na tym etapie życia, który – zwłaszcza dzięki telewizji i kinu – był tylko namiastką. Podniecało nas każde plugawe głupstwo mające choćby najmniejszy związek z miłością.

Tym, co stanowiło dla nas największe przybliżenie miłości, były miejsca w pierwszym rzędzie w kinie „Idaho". W Boże Narodzenie 1957 roku mieliśmy z Owenem po piętnaście lat. Wmówiliśmy sobie, że zakochaliśmy się w Audrey Hepburn, nieśmiałej ekspedientce z księgarni w „Zabawnej buzi". Cały czas pragnęliśmy jednak Hester. Tak naprawdę autentyczne było tylko to, że w sferze miłości nie jesteśmy nic warci. Czuliśmy się jeszcze większymi głupkami niż Fred Astaire tańczący z własnym płaszczem. I jednocześnie bardzo martwiliśmy się, że wyrafinowany świat Akademii Gravesend będzie miał dla nas jeszcze mniej szacunku niż my sami dla siebie.

Toronto, 2 kwietnia 1987, Palmowa Niedziela w deszczu. I nie jest on wcale ciepły i wiosenny, zatem zupełnie nie pasuje do tej pory roku, jak mawiała babcia. Nieprzyjemne zimne strugi są bardziej odpowiednie na dzień Męki Pańskiej. W kościele Łaski na Wzgórzu dzieci i akolici stali stłoczeni w narteksie z palmami w ręku, wyglądając jak turyści, którzy nagle znaleźli się w tropiku w zupełnie nietypowy dla tego regionu chłodny dzień. Na uroczystą procesję organista wybrał Brahmsa – *„O Welt, ich muss dich lassen”* – O świecie, muszę cię opuścić.

Owen nie znosił Niedzieli Palmowej – zdrady Judasza, tchórzostwa Piotra, słabości Piłata.

– Mało, że go ukrzyżowali, to jeszcze musieli się z niego naigrawać!

Kanonik Mackie czytał na głos Mateusza – o tym, jak szydzili z Jezusa, jak go opluwali, i o tym, kiedy zawołał: „Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?”.

Moim zdaniem, Wielki Tydzień jest bardzo męczący. Choć już tyle razy przeżyłem mękę i śmierć Chrystusa, nieodmiennie niepokoję się o Jego zmartwychwstanie – jestem przerażony, że w tym roku się to nie uda. Że wtedy się to w ogóle nie zdarzyło. To żadna sztuka przeżywać wzruszenia w okresie Bożego Narodzenia. Każdy głupi może się wtedy czuć chrześcijaninem. Ale najważniejsza jest Wielkanoc. Jeśli ktoś nie wierzy w zmartwychwstanie, to nie jest człowiekiem wierzącym.

– Jeśli nie wierzysz w Wielkanoc, nie masz co się oszukiwać – nie jesteś chrześcijaninem – twierdził Owen Meany.

Na Niedzielę Palmową organista wybrał jak zwykle najróżniejsze Alleluja. W lodowatej mżawce przedostałem się na drugą stronę Russel Hill Road i tylnym wejściem wkroczyłem do szkoły Biskupa Strachana. Przeszedłem przez kuchnię, gdzie nagle zaczęły do mnie mówić wszystkie pracujące tam kobiety oraz pensjonariuszki, które właśnie miały dyżur przy przygotowywaniu niedzielnego posiłku. Dyrektorka, wielebna Katherine Keeling, siedziała jak zwykle u szczytu stołu pośród wychowawczyń internatu. Około czterdziestu pensjonariuszek – biednych dziewcząt, które nie miały w miasteczku żadnych przyjaciół mogących zaprosić je na weekend, oraz takich, które po prostu wolały zostać w szkole – siedziało przy innych

stołach. Zawsze mnie zaskakuje widok dziewcząt nie w mundurkach szkolnych. Wiem, że zdecydowanie wolą je nosić przez cały czas, ponieważ w ten sposób nie muszą się martwić, co na siebie włożyć. Ale jednocześnie nie przywiązują wagi do tego, w jaki sposób noszą te mundurki – nie zdobyły w tym względzie zbyt wielkiego doświadczenia. Dlatego, kiedy mogą ubierać się swobodnie, po „cywilnemu", nie mają odpowiedniej klasy i wyglądają dość prowincjonalnie.

Przez te dwadzieścia lat, gdy byłem nauczycielem w szkole Biskupa Strachana, dziewczęce mundurki nie zmieniły się w sposób istotny. Nawet je polubiłem. Gdybym był dziewczyną, chętnie nosiłbym – i to niezależnie od wieku – sukienkę lekko za kolana, luźno zawiązany krawat, blezer (z godłem szkoły), podkolanówki i plisowaną spódniczkę. Kiedy klękają, spódniczka powinna dotykać podłogi.

Na niedzielny lunch dla pensjonariuszek dziewczyny wkładają swoje własne rzeczy. Czasami są tak źle ubrane, że ich nawet nie rozpoznaję. I z tego powodu naturalnie się ze mnie nabijają. Niektóre wyglądają jak chłopaki, inne jak ich własne mamy, a jeszcze inne jak kokoty, które widziały w telewizji czy w kinie. A ponieważ w niedzielę jestem przeważnie jedynym mężczyzną na lunchu, być może stroją się właśnie dla mnie.

Nie widziałem mojej przyjaciółki – a w zasadzie szefowej – Katherine Keeling od momentu, kiedy urodziła ostatnie dziecko. Ma taką dużą rodzinę i tyle dzieci, że właściwie już straciłem rachubę – ile. Ale w niedzielę zawsze stara się usiąść przy stole, gdzie zasiadają kierowniczki internatu, i serdecznie porozmawiać z dziewczętami, które zostały w szkole na weekend. Katherine jest wspaniała, choć za chuda. Zawsze robi okropnie zażenowaną minę, gdy uda mi się ją przyłapać na tym, że nic nie je, chociaż powinna już się przestać temu dziwić. Przecież znacznie częściej zasiadam przy niedzielnym stole niż ona. Ja nie biorę w kółko urlopów, żeby urodzić kolejne dziecko! W tę Niedzielę Palmową siedziała nad talerzem, na którym piętrzyły się ziemniaki purée, indyk i nadzienie.

– Indyk jak zwykle troszkę za suchy? – spytałem i panie, jak zawsze, zaśmiały się, Katherine natomiast poczerwieniała. Kiedy ma na sobie koloratkę, wygląda jeszcze szczuplej niż zwykle. Od czasu

śmierci kanonika Campbella to mój najbliższy przyjaciel w Toronto. I zarazem szef, chociaż pracuję w szkole Biskupa Strachana znacznie dłużej niż ona.

Gdy mnie tutaj zaangażowano, stanowisko dyrektora piastował staruszek Misio Kilgour, jak go nazywaliśmy. Poznał nas ze sobą kanonik Campbell, który był kapelanem w szkole Biskupa Strachana, zanim został rektorem kościoła Łaski na Wzgórzu. Trudno byłoby chyba o osobę rekomendującą, która miałaby w szkole lepsze „koneksje" – nie miałby ich nawet sam Misio Kilgour. Nadal lubię przypominać Katherine te dawne czasy. A co by było, gdyby to ona była dyrektorką, kiedy szukałem pracy? Czy ona by mnie przyjęła? Młodego mężczyznę ze Stanów w tych latach wojny w Wietnamie, nawet dość atrakcyjnego, nieżonatego. Biskup Strachan nie zatrudniał zbyt wielu przedstawicieli płci brzydkiej i w ciągu dwudziestu lat mojej pracy w szkole często zdarzało mi się być tutaj jedynym mężczyzną.

Kanonik Campbell i stary Misio Kilgour naturalnie się nie liczyli. Nie można ich uznać za mężczyzn w tym sensie, że nie stanowili potencjalnego zagrożenia dla młodych dziewcząt. I chociaż kanonik, oprócz pełnienia obowiązków kapelana, nauczał również Pisma Świętego i historii, miał już swoje lata. Zarówno jemu, jak i staruszkowi Misiowi Kilgourowi małżeństwo „zdążyło się już przejeść" – tak mawiała Katherine Keeling.

Misio spytał, czy „pociągają mnie młode dziewczęta", ale musiałem zrobić na nim wrażenie człowieka, który poważnie potraktuje swoje obowiązki naukowe i który będzie się raczej zajmował umysłami tych młodych istot niż ich ciałami.

– I faktycznie tak było? – pyta mnie z nieodmiennym upodobaniem Katherine Keeling. W tym momencie przełożone internatu zawsze chichoczą jej do wtóru – tak jak publiczność na widowni oglądająca występy Liberace'a sprzed wielu, wielu lat.

Katherine jest osobą o znacznie żywszym poczuciu humoru niż moja babcia, ale i u niej potrafię dostrzec oznaki lekkiego sarkazmu. Ma również dobrą dykcję i potrafi się odpowiednio wysłowić, co mi przypomina babcię. Pewnie by się sobie spodobały, a wielebna Keeling przypadłaby i Owenowi do gustu.

Wprowadziłbym cię jednak w błąd, drogi czytelniku, mówiąc, że na niedzielnych lunchach obecni czują się osamotnieni i opuszczeni. Możliwe, że oni tak, ale ja mam świetne samopoczucie. Rytuał przynosi pocieszenie – rytuał przezwycięża samotność.

W Niedzielę Palmową dużo mówiło się o pogodzie. Tydzień wcześniej zrobiło się okropnie zimno i wszyscy zaczęli narzekać, że ptaki się pomyliły i odleciały za wcześnie. Każdej wiosny – przynajmniej w Kanadzie – niektóre ptaki za bardzo spieszą się z odlotem na północ. Tysiące z nich zaskakuje ziąb. Wracają wtedy na południe. Najczęściej opowiada się straszne historie na temat drozdów i szpaków. Katherine widziała kilka siewek lecących na południe. Ja przytoczyłem opowieść o bekasach, która wywarła głębokie wrażenie. Wszyscy także czytaliśmy „The Globe and Mail" z ubiegłego tygodnia. Ogromnie podobała się nam historia ścierwników czerwonogłowych, które „przymarzły" i nie mogły pofrunąć. Przez pomyłkę uznano je za jastrzębie i przeniesiono w ludzkie otoczenie, żeby odtajały – było ich dziewięć. Zwymiotowały wszystko na swoich dobroczyńców. Skąd biedni ludzie mogli wiedzieć, że ścierwniki rzygają, kiedy zostaną zaatakowane? Kto mógł przypuszczać, że są tak sprytne?

Wprowadziłbym cię jednak, drogi czytelniku, znowu w błąd, usiłując przekonać, że na niedzielnych lunchach mówi się o trywialnych sprawach. Są one dla mnie bardzo ważne. Po lunchu w Niedzielę Palmową przeszliśmy z Katherine do kościoła Łaski i wpisaliśmy się na tablicy informacyjnej w narteksie na całonocne czuwanie. Co roku o dziewiątej wieczorem w Wielki Czwartek zaczyna się czuwanie modlitewne i noc skupienia, które trwają do dziewiątej rano w Wielki Piątek. Zawsze z Katherine wybieramy godziny, których nikt inny nie chce, to znaczy od trzeciej do piątej nad ranem. Wtedy właśnie jej mąż i dzieci śpią i niczego od niej nie potrzebują.

– Mogę się trochę spóźnić, jeśli karmienie o drugiej rozpocznie się nieco później – ostrzegła mnie tego roku z uśmiechem i jej kochana szczupła szyja wyglądała w koloratce znacznie delikatniej. Często widuję rodziców dziewcząt, które chodzą do szkoły Biskupa Strachana. Są szalenie elegancko ubrani, jeżdżą jaguarami i nigdy

nie mają czasu, żeby porozmawiać. Wiem, że wielebna Katherine Keeling dla nich się nie liczy, ponieważ jest dyrektorką w każdym calu. Katherine to nie typ kobiety, która zwróciłaby uwagę ludzi tego pokroju. Ale jest mądra, miła, dowcipna i doskonale potrafi wyrazić swoje myśli. Jednocześnie nie wygaduje głupstw na temat Wielkanocy.

– Wielkanoc to Wielkanoc – mawiał Owen Meany.

W kościele Chrystusa w Niedzielę Wielkanocną rektor Wiggin obwieszczał: „Alleluja, Chrystus zmartwychwstał".

A my, lud, odpowiadaliśmy: „Zaiste zmartwychwstał, Alleluja".

Toronto, 9 kwietnia 1987, wilgotna letnia niedziela wielkanocna. To bez znaczenia, jakie preludium rozpocznie nabożeństwo. I tak na zawsze pozostanie mi w pamięci „Mesjasz" Heandla, a także niezbyt wyszkolony sopran mamy śpiewającej „Wiem, że mój Zbawiciel żyje".

Tego ranka siedziałem bez ruchu w kościele Łaski na Wzgórzu, czekając na ten znany fragment ze świętego Jana. Wiedziałem, jakie czytanie zaraz usłyszymy. W starej wersji króla Jakuba miejsce to nazywało się „grobowcem", w nowej przejrzanej – po prostu „grobem". Tak czy siak, znałem tę historię na pamięć.

„A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus kochał, i rzekła do nich: »Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono«".

Pamiętam, jak Owen zwykle komentował ten fragment. Co roku na Wielkanoc nachylał się do mnie w ławce i szeptał mi na ucho: „na dźwięk tych słów przechodzą mnie ciarki".

Po dzisiejszym nabożeństwie stałem wraz z innymi mieszkańcami Toronto w słońcu na schodach kościoła. Niektórzy leniwie przechadzali się po chodniku wzdłuż Lonsdale Road. W promieniach słońca było tak przyjemnie i gorąco. Niczym dzieci cieszyliśmy się ciepłem, zupełnie jakbyśmy spędzili lata całe w zimnym grobie, w którym Maria Magdalena nie znalazła Jezusa.

Katherine Keeling nachyliła się do mnie.

– Te ptaki, które już pofrunęły na północ, a potem wróciły na południe – zaczęła szeptać mi na ucho dokładnie tak jak kiedyś Owen – dzisiaj pewnie znowu polecą na północ.

– Alleluja – rzekłem. I gdy dodałem – On zmartwychwstał – myślałem o Owenie.

– Alleluja – odparła wielebna Katherine Keeling.

Wkrótce przestała nas kusić telewizja, która w domu przy Front Street była włączona na okrągło. Słyszeliśmy, jak babcia mówi sama do siebie bądź do Ethel, bądź też wygłasza komentarze bezpośrednio do telewizora. Słyszeliśmy również sztucznie wywoływany w studiu śmiech: jak wznosi się i opada. Dom był bardzo duży. Przez cztery lata zdawało nam się z Owenem, że gdzieś tam, w jakimś odległym pokoju, odbywa się ponure zebranie dorosłych. Babcia sprawiała wrażenie przemawiającego do potulnego tłumu przywódcy, jakby do niej należało skrzyczeć publiczność, jednocześnie ją zabawiając, ponieważ nagradzali jej poczucie humoru wymierzonymi salwami śmiechu – mogłoby się wydawać, że ludzi doskonale bawi jej nieustannie obelżywy ton.

Dość wcześnie zatem zorientowaliśmy się, co warta jest gówniana telewizja, nawet nie zdając sobie sprawy, że nie sami doszliśmy do tego wniosku. Gdyby babcia pozwalała nam oglądać telewizję tylko dwie godziny dziennie albo dosłownie godzinę wieczorem, bo następnego dnia „trzeba iść do szkoły", z pewnością zostalibyśmy niewolnikami telewizji, tak jak całe nasze pokolenie. Z początku Owenowi podobało się zaledwie kilka programów, choć oglądał wszystko jak leci – tyle, ile mógł wytrzymać.

Po czterech latach oglądał już tylko Liberace'a i stare filmy. A ja robiłem, albo przynajmniej starałem się robić, dokładnie to, co Owen. Na przykład letnią porą 1958 roku, kiedy mieliśmy po szesnaście lat, Owen pierwszy zdał egzamin na prawo jazdy, nie tylko dlatego, że był o miesiąc starszy, ale dlatego, że już umiał prowadzić samochód. Sam się nauczył na różnych ciężarówkach ojca. Jeździł po tych stromych, krętych drogach, które opasują kamieniołomy, znacząc Maiden Hill jak dzioby po ospie.

Zdawał egzamin na prawo jazdy dokładnie w dniu swych szesnastych urodzin, jadąc czerwoną ciężarówką ojca. Wtedy w New Hampshire nie było żadnych kursów samochodowych. W egzaminie uczestniczył po prostu policjant, który siedział obok kierowcy. Policjant mówił, gdzie trzeba skręcić, zatrzymać się, gdzie cofnąć czy zaparkować. Owena egzaminował sam szef Ben Pike. Pike wyrażał pewne wątpliwości, czy chłopak aby sięgnie do pedałów albo czy głowa będzie mu wystawać ponad kierownicę. Ale Owen to przewidział. Miał smykałkę do różnych drobnych prac i tak wysoko podniósł siedzenie, że szef Pike omal nie przebił głową sufitu, kiedy wsiadł do ciężarówki. Poza tym przesunął je tak bardzo do przodu, że policjant z trudem wcisnął kolana pod tablicę rozdzielczą. Było mu w ciężarówce okropnie niewygodnie, więc egzamin trwał stosunkowo krótko.

Nawet nie kazał mi parkować równolegle – oświadczył Owen. Był bardzo zawiedziony, że nie mógł się popisać swoimi umiejętnościami. Owen Meany potrafił wcisnąć ciężarówkę ojca w miejsce, które mogło się zdawać za małe nawet dla volkswagena-garbusa. Kiedy teraz o tym myślę, zastanawiam się, dlaczego szef Pike nie przeszukał ciężarówki w nadziei, że znajdzie „narzędzie śmierci", którego nigdy nie przestał szukać.

Mnie prowadzić samochód nauczył Dan. Było to tego lata, kiedy reżyserował „Juliusza Cezara" na Akademii Gravesend; udzielał mi lekcji co rano przed rozpoczęciem prób. Dan jechał ze mną przez Swasey Parkway w kierunku Maiden Hill. Uczyłem się na bocznych drogach wokół kamieniołomów. Ulice, na których ćwiczył Owen, powinny i mnie wystarczyć. Dan uważał też, że jest na nich znacznie bezpieczniej niż na szosach publicznych, chociaż ciężarówki Kamieniołomów Granitu Meanych pędziły tam jak szalone.

Kierowcy nie baczyli na nic – przewozili granit i sprzęt pełnym gazem. Jednakże w lecie ciężarówki wzbijały tyle kurzu, że już z daleka widzieliśmy, kiedy nadjeżdżają. Zawsze miałem dosyć czasu, żeby zjechać na bok, gdy tymczasem Dan recytował swój ulubiony urywek „Juliusza Cezara".

Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią;
Mężny kosztuje jej tylko raz[7].

W tym czasie Dan chwytał za deskę rozdzielczą, bo samochód cały dygotał, kiedy obok przetaczała się ciężarówka z granitem.

Ze wszystkich dziwów, o których słyszałem,
To mi się zdaje być najosobliwszym,
Że ludzie boją się śmierci i szemrzą
Na to, że ona, będąc nieuchronna,
Musi przyjść kiedyś.

Owen też bardzo lubił ten ustęp. Zobaczyliśmy „Juliusza Cezara" w reżyserii Dana późnym latem, kiedy miałem już prawo jazdy w kieszeni. Jednakże gdy wieczorem jechaliśmy z Owenem na deptak czy do kasyna w Hampton Beach, braliśmy czerwoną ciężarówkę, a prowadził zawsze Owen. Ja płaciłem za benzynę. To właśnie w owe letnie wieczory roku 1958 po raz pierwszy poczuliśmy się dorośli. Jechaliśmy prawie pół godziny tylko po to, by zafundować sobie wątpliwą przyjemność przesuwania się cal po calu wzdłuż zatłoczonego, barwnego tłumu na plaży i patrzyliśmy na dziewczyny, które z kolei rzadko kiedy odpowiadały na nasze spojrzenia. Czasem zwracały uwagę na ciężarówkę. Udało nam się tak przejechać najwyżej dwa czy trzy razy, zanim jakiś gliniarz kazał nam zjechać na bok, w pełnym osłupieniu sprawdził prawo jazdy Owena, a potem zasugerował, że lepiej będzie, jeśli gdzieś zaparkujemy ciężarówkę i oglądać dziewczyny będziemy spieszeni, spacerując albo wzdłuż deptaku, albo po chodniku, który wił się pod arkadami.

Jednakże chodzenie z Owenem Meanym po Hampton Beach to nie najlepszy pomysł. Był tak zaskakująco mały, że różne młodociane typki z półświatka szalejące przy automatach do gry chętnie go zaczepiały, chcąc się tej upalnej nocy popisać przed dziewczynami w kolorowych kretonowych sukienkach. Za to dziewczyny, które rzadko podnosiły na nas wzrok, gdy siedzieliśmy bezpieczni we wnętrzu ciężarówki Przedsiębiorstwa Meanych, teraz kiedy Owen

przechadzał się na własnych nogach, rzucały nam powłóczyste spojrzenia (jednocześnie chichocząc). Idąc na piechotę, nawet nie śmiał na nie spojrzeć.

Dlatego też kiedy prędzej czy później jakiś gliniarz wypatrzył naszą ciężarówkę i jak zwykle radził nam najpierw gdzieś zaparkować, a dopiero później zająć się naszymi „sprawami" na piechotę, po prostu wracaliśmy do Gravesend. Albo też jechaliśmy na piękną plażę zwaną Głową Dzika, popularną jednak tylko za dnia: wieczorem było tam cudownie pusto. Siadywaliśmy na samym brzegu, rozkoszując się chłodnym powietrzem oceanu i przyglądając fosforyzującym iskierkom błyskającym na powierzchni wody. Albo jechaliśmy do Rye Harbor, gdzie z falochronu obserwowaliśmy małe łódki, które unosiły się na wzburzonej powierzchni wody jak w sadzawce. Falochron wzniesiono z żużlu – rozbitych płyt z Kopalni Granitu Meanych.

– A zatem mam prawo tu siedzieć – powtarzał zawsze Owen, tak jakby ktokolwiek chciał mu tego zabronić.

I chociaż owego lata dziewczęta nie zwracały na nas uwagi, właśnie wtedy zorientowałem się, że kobiety – i to nie tylko moja mama – uważają, że Owen jest atrakcyjny.

Trudno określić, w jaki sposób albo dlaczego. Ale nawet mimo młodego wieku, mimo że był wyjątkowo nieśmiały czy niezgrabny, wyglądał na faceta, który sam doszedł do tej wiedzy o świecie, jaką ma. (A może mnie to szczególnie imponowało, ponieważ osiągnął znacznie więcej niż ja?). To nie tylko kwestia tego, że się lepiej uczył, lepiej prowadził samochód czy miał własną filozofię życiową. Był to chłopak, z którym się wychowałem, którego nieustannie drażniliśmy – tak jak inni podnosiłem go do góry, przekazywałem dalej nad głowami, tak jak inni nabijałem się, że jest malutki – ale, o dziwo, nagle, kiedy skończył szesnaście lat, okazało się, że to on wszystkim dyryguje. Dyrygował sobą w znacznie większym stopniu, niż my to robiliśmy w stosunku do siebie, przewodził nam bardziej niż ktokolwiek inny, a jeśli chodzi o kobiety – nawet tym dziewczynom, które patrząc na niego chichotały, najwyraźniej jakaś przemożna siła kazała go dotknąć.

A pod koniec owego lata 1958 roku miał w sobie coś zupełnie zaskakującego jak na szesnastolatka; na długo zanim popularne

stało się podnoszenie ciężarów dla poprawienia sylwetki, Owen wyrobił sobie muskuły! Naturalnie był malutki, ale niezwykle silny – muskularny i wytrzymały niczym wyścigowy chart. Choć niesamowicie szczupły, miał doskonale rozwinięte mięśnie, jak dorosły mężczyzna. I cóż w tym dziwnego? Przecież pracował całe lato w kamieniołomach granitu. A ja, na przykład, w ogóle nie pracowałem.

W czerwcu zaczął jako kamieniarz. Większość dnia spędzał w warsztacie kamieniarskim, klinami rozbijając granit wzdłuż granicy ziarna, wzdłuż pęknięć – jak to nazywał. W połowie miesiąca ojciec nauczył go piłować kamień. Na tym stanowisku przycinano większe bryły i wykańczano nagrobki, posługując się tak zwanym kołem diamentowym – okrągłym ostrzem zakończonym diamentami. W lipcu pracował już w kamieniołomach – często był sygnalizatorem, jednakże ojciec przyuczał go też i do innych fachów – wiertacza obsługującego ceownik, ładowniczego czy górnika strzałowego. Mnie się wydawało, że większą część sierpnia spędził w jakimś odległym szybie, mającym sto siedemdziesiąt pięć stóp głębokości i średnicę boiska. Owen z kilkoma mężczyznami zjeżdżał do szybu „korytem", którym przez cały dzień wywozi się na powierzchnię odpady. Pod koniec dnia takim „korytem" wszyscy robotnicy wyciągani są na górę.

Granit to zwarta, ciężka skała. Jego metr sześcienny waży ponad trzy tony. I co dziwne, szlifierze granitu, mimo że pracowali z diamentowym kołem, mieli wszystkie palce – odwrotnie niż robotnicy szybowi, z wyjątkiem pana Meany'ego.

– I ja też nie stracę żadnego – zapewniał mnie Owen. – Trzeba działać błyskawicznie. Człowiek musi wyczuć, kiedy skała chce się ruszyć. Trzeba ją ubiec.

Nad górną wargą pokazał mu się delikatny puszek. Poza tym nie miał śladu zarostu. Jednakże ta namiastka owłosienia była tak puszysta i tak jasna, że z początku wziąłem ją za pył granitowy, który zawsze go obsypywał. Tymczasem jego nos, oczodoły, kości policzkowe oraz zarys szczęki wyglądały tak posępnie, jak w twarzy zabiedzonego szesnastolatka.

We wrześniu palił już paczkę cameli dziennie. W żółtawym blasku światełek tablicy rozdzielczej, kiedy wyjeżdżaliśmy na wieczorną przejażdżkę, mogłem zobaczyć jego profil z nieodłącznym papierosem w kąciku ust. Twarz wyglądała niezwykle dorośle.

Te wszystkie piersi mam, jakie niegdyś nie umywały się do biustu mojej matki, teraz nie interesowały go już ani trochę, choć biust Barb Wiggin nadal był za duży, pani Webster zbyt obwisły, a pani Merrill zabawny. Kiedyś atrakcyjny wydawał nam się biust młodej matki – Ginger Brinker-Smith. Teraz przeważnie na chłodno szacowaliśmy piersi naszych rówieśniczek. Dwie Karoliny – Caroline Perkins i Caroline O'Day – wydawały nam się pociągające, choć – zdaniem Owena – piersi Caroline O'Day traciły wiele na wartości z powodu jej katolicyzmu. Biust Maureen Early został oceniony jako zadzierzysty. Piersi Hanny Abbot były małe, lecz kształtne. Irene Babson, która przyprawiała Owena o dreszcze, kiedy to jeszcze zajmowaliśmy się biustem mojej mamy, teraz wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że napawała go przerażeniem. Przy obgadywaniu biustów takich dziewczyn jak Deborah Perry, Lucy Dearborn, Betsy Biskford, Sarah Tilton, Polly Farnum, Owen Meany po prostu głębiej zaciągał się camelem. Letni wiaterek wpadał przez odkręconą szybę. Kiedy Owen powoli puszczał dym nosem, wywiewał mu kłęby nikotyny sprzed twarzy, w sposób dramatyczny ukazując go tak, jakby był człowiekiem, który dzięki jakiejś cudownej mocy wyłania się z ognia.

– W wypadku większości szesnastolatek jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć – stwierdził Owen, a słowa te brzmiały zbyt światowo jak na poziom rozmów prowadzonych w Akademii Gravesend. Chociaż obydwaj dobrze widzieliśmy, że problem leży gdzie indziej – szesnastolatki, które nas interesowały, umawiały się przeważnie z chłopakami osiemnastoletnimi. – Wrócą do nas, jak będziemy mieli osiemnastkę, a wtedy też możemy mieć wszystkie szesnastki, na jakie tylko przyjdzie nam ochota – dodał, zaciągając się ponownie i mrużąc oczy w świetle reflektorów nadjeżdżającego samochodu.

Kiedy na jesieni 1958 roku zaczęliśmy naukę na Akademii Gravesend, Owen wydawał mi się chłopakiem niezwykle

„światowym”. Garderoba, jaką mu zakupiła babcia, miała klasę i o niebo przewyższała to, co można było wtedy dostać w New Hampshire. Moje rzeczy pochodziły z Gravesend, ale Owena zabrała na zakupy do Bostonu. Wtedy po raz pierwszy jechał pociągiem, a ponieważ obydwoje palili, wzięli przedział dla palących i nieomal bez przerwy wymieniali (przeważnie krytyczne) uwagi na temat wyglądu współpasażerów linii Boston & Maine oraz dobrych manier (lub ich braku) u konduktorów. Babcia wystroiła Owena prawie całkowicie w sklepie Filene’a oraz Jordana Marsha. W pierwszym mieli dział dla niewysokich dżentelmenów, a w drugim ten sam reklamowali: „Tu się zaspokaja szczególne potrzeby niewysokiego mężczyzny”. Według naszych standardów w New Hampshire zarówno metki sklepu Jordana Marsha, jak i Filene’a były dość kolorowe.

– To nie jest żadna tandeta z wyprzedaży – oświadczył Owen z dumą. Pierwszego dnia szkoły zjawił się wystrojony jak miniatura prawnika z Harvardu.

Nie onieśmielali go więksi chłopcy, bo zawsze należał do najniższych. Nie onieśmielali go też starsi, gdyż był od nich mądrzejszy. Natychmiast zorientował się, na czym polega zasadnicza różnica między Gravesend – miastem i Gravesend – Akademią. Gazeta z miasteczka – zwana „Gravesend News-Letter” – donosiła o wszystkim, co uchodziło za przyzwoite. I według niej ważne było to, co przyzwoite. Gazeta szkolna, zwana „The Grave” donosiła o wszelkich przejawach nieprzyzwoitości, jakie tylko mogły umknąć cenzorskiemu oku doradcy wydziału, będąc zdania, że wszelka przyzwoitość jest nudna.

Akademia Gravesend przemawiała tonem cynicznym. Lubiła krytykować wszystko, co ludzie brali poważnie. Uczniowie atakowali przede wszystkim tych, którzy uważali, że urodzili się po to, by łamać wszelkie zasady, by zmieniać prawa. Dla studentów Gravesend zatem, którzy w ten sposób krytykowali krępujące ich więzy, jedynym do przyjęcia tonem była zjadliwość – zgryźliwy, szyderczy, gorzki, jadowity sarkazm, a jego barwnego słownictwa Owen zdążył nauczyć się od mojej babci. Opanował je równie doskonale, jak nałóg palenia, po niecałym bowiem miesiącu doszedł do paczki

papierosów dziennie. Już w trakcie pierwszego jesiennego semestru został ochrzczony przez uczniów „Mistrzem Sarkazmu". W żargonie tamtych czasów każdy był jakimś tam „mistrzem". Dan Needham twierdzi, iż to jeden z dowodów na żywotność gwary uczniowskiej – zdaje się, że na Akademii Gravesend nadal tak mówią. Nigdy nie słyszałem podobnego określenia w szkole Biskupa Strachana.

Jednakże Owen Meany był Mistrzem Sarkazmu w taki sam sposób, jak wielki Buster York był mistrzem rzygania, Morris West – Mistrzem Kinola, Duffy Swain (który przedwcześnie ołysiał) – Mistrzem Owłosienia, mistrz hokejowy George Fogg – Mistrzem Lodowiska, a Horace Brigham (niezły podrywacz) – Mistrzem Krótkich Romansów. Nikt jednak nigdy nie znalazł żadnego przezwiska dla mnie.

Wydawcy „The Grave", w którym Owen opublikował swój pierwszy esej, jaki napisał dla profesora od angielskiego, nazywali Owena „Głosem". Jego esej był satyrą na jedzenie, serwowane w stołówce szkolnej. Zatytułowany TAJEMNICZE MIĘSO mówił o niemożliwym do zidentyfikowania zszarzałym kotlecie, jakim nas co tydzień raczono. Esej został opublikowany jako artykuł redakcyjny i opisywał ubój oraz proces zamrażania nie zidentyfikowanego, być może prehistorycznego, zwierzęcia, które „pod osłoną nocy", uwiązane, zaciągano do podziemnej kuchni szkolnej.

Kolejne artykuły redakcyjne, które Owen publikował w „The Grave" co tydzień, ukazywały się nie pod jego nazwiskiem, lecz pod pseudonimem „Głos", cały zaś tekst był drukowany dużymi literami.

– Chcę, żeby mnie zawsze drukowano dużymi literami, ponieważ taka czcionka natychmiast przyciąga uwagę czytelnika – wyjaśniał Owen Danowi i mnie. – Zwłaszcza kiedy już Głos się zinstytucjonalizuje.

Do Bożego Narodzenia 1958 roku Głos stał się właśnie czymś takim – czymś w rodzaju instytucji. Nawet Komisja ds. Zatrudnienia, która miała za zadanie znalezienie kogoś na stanowisko dyrektora szkoły, liczyła się z tym, co Głos ma do powiedzenia. Kandydaci otrzymywali subskrypcję na „The Grave". Czytając gazetę, mogli się z łatwością zorientować, że uczniowie Akademii są fałszywi i szyderczy w swej przedwczesnej dojrzałości. Zwłaszcza dobitnie ilustrował to tekst

wydrukowany dużymi literami, który zwracał uwagę na Owena Meany'ego. Oczywiście, na wydziale było kilku starych zrzędów, a także paru młodych krytykantów, którym nie podobał się styl Owena. Mieli mu za złe nie tylko skandaliczny krój czcionki. Dan powiedział mi, że na spotkaniu pracowników wydziału odbyła się niejedna gorąca dyskusja na temat „odosobnionego gustu", jaki Owen przejawiał w zakamuflowanych krytykach wobec szkoły. Co prawda, do długotrwałej tradycji szkoły należało to, że studenci narzekają na Akademię, jednakże sarkazm Owena mógł sugerować totalne, groźne w skutkach lekceważenie wszystkiego. Dan bronił Owena. Jednakże Głos niewątpliwie drażnił wielu niepewnych siebie członków społeczności Gravesend, włącznie z mieszkającymi dość daleko, lecz ważnymi czytelnikami „The Grave". Mam na myśli „niespokojnych" rodziców i wychowanków.

Temat „niespokojnych" rodziców i byłych uczniów ujęty został w niezwykle żywym i kontrowersyjnym artykule Głosu.

CZYM SIĘ „NIEPOKOJĄ"? – zastanawiał się Owen. – CZY „NIEPOKOI" ICH POZIOM NASZEGO WYKSZTAŁCENIA? BO POWINNO BYĆ ONO JEDNOCZEŚNIE „KLASYCZNE" I „NA CZASIE" – CZY TEŻ „NIEPOKOI" ICH TO, ŻE MOŻEMY SIĘ NAUCZYĆ WIĘCEJ NIŻ ONI? ŻE MOŻEMY DOWIEDZIEĆ SIĘ RÓŻNYCH RZECZY, KTÓRE POZWOLĄ NAM PODWAŻYĆ NIEKTÓRE Z ICH SKOSTNIAŁYCH IDIOTYCZNYCH POGLĄDÓW? CZY „NIEPOKOJĄ SIĘ" O JAKOŚĆ I PODSTAWY NASZEGO WYKSZTAŁCENIA? CZY MOŻE TEŻ CZYSTO POWIERZCHOWNIE „NIEPOKOI ICH" TO, ŻE SIĘ NIE DOSTANIEMY NA UNIWERSYTET CZY DO COLLEGE'U, KTÓRY ONI DLA NAS WYBRALI?

W następnym artykule atakował noszenie przez uczniów garniturów i krawatów, dowodząc, że UBIERANIE NAS JAK DOROSŁYCH, A TRAKTOWANIE JAK DZIECI TO WIELKA NIEKONSEKWENCJA. Potem pisał na temat obowiązkowego uczęszczania do kościoła, twierdząc, że KOŚCIÓŁ PEŁEN NASTOLATKÓW, KTÓRZY WOLELIBY RACZEJ TROCHĘ DŁUŻEJ SOBIE POSPAĆ, ODDAWAĆ SIĘ RÓŻNYM EROTYCZNYM FANTAZJOM CZY POGRAĆ W SQUASHA, NIE SPRZYJA ATMOSFERZE MODLITWY I RELIGIJNOŚCI. PONADTO OBOWIĄZKOWA OBECNOŚĆ W KOŚCIELE, ZMUSZANIE MŁODZIEŻY,

BY UCZESTNICZYŁA W RYTUAŁACH RELIGII, KTÓREJ NIE WYZNAJE, WYRABIA W NIEJ TYLKO NIECHĘĆ DO WSZYSTKICH RELIGII I WSZYSTKICH LUDZI NAPRAWDĘ WIERZĄCYCH. JESTEM PRZEKONANY, ŻE CELEM NASZEJ LIBERALNEJ EDUKACJI NIE JEST POGŁĘBIANIE ORAZ KULTYWOWANIE UPRZEDZEŃ I NIECHĘCI.

I tak dalej, i tak dalej. Trzeba było przeczytać to, co pisał o obowiązkowym wychowaniu fizycznym. TO MENTALNOŚĆ BRĄZOWYCH KOSZUL CHARAKTERYSTYCZNA DLA HITLERJUGEND! Albo na temat zarządzenia, w myśl którego mieszkańcom akademika nie wolno w semestrze spędzić poza campusem więcej niż trzy dni. CZY Z ADMINISTRACYJNEGO PUNKTU WIDZENIA JESTEŚMY ISTOTAMI TAK NIESKOMPLIKOWANYMI, ŻE MUSI NAS SATYSFAKCJONOWAĆ SPĘDZANIE WEEKENDÓW W ROLI BOHATERÓW WYDARZEŃ SPORTOWYCH, KIBICÓW BĄDŹ PUBLICZNOŚCI? CZY TO NIEMOŻLIWE, ŻEBY NIEKTÓRZY Z NAS ZNAJDOWALI WIĘCEJ NATCHNIENIA W DOMU RODZINNYM BĄDŹ W DOMU PRZYJACIELA, BĄDŹ NAWET W SZKOLE DLA DZIEWCZĄT? I NIE CHODZI MI TYLKO O TE ZBYT SFORMALIZOWANE POTAŃCÓWKI, KTÓRE NATŁOK PRZYZWOITEK POZBAWIA CAŁKOWICIE UROKU!

Głos mówił naszym głosem. Bronił naszej sprawy. Wyzwalał w nas uczucie dumy mimo atmosfery, która nas przytłaczała i onieśmielała. Głos miał również prawo nas krytykować. Kiedy ze szkoły wyrzucono jednego z uczniów za to, że mordował koty – rytualnie wieszał koty należące do członków wydziału – automatycznie stwierdziliśmy, że musiał to być „chory” facet. Dopiero Owen przypomniał nam, że wszyscy chłopcy (włącznie z nim) są dotknięci tą samą chorobą.

CZY MY JESTEŚMY BEZ WINY? – pytał. – JA SAM ZABIJAŁEM KIJANKI I ROPUCHY. MASOWO MORDOWAŁEM NIEWINNE STWORZENIA! Opisywał swoją słabość potępiającym i jednocześnie skruszonym tonem. Mimo że przyznał się do drobnego aktu wandalizmu wobec świętej Marii Magdaleny, z rozbawieniem stwierdziłem, że wcale nie prosi o przebaczenie zakonnic z klasztoru Świętego Michała – przykro mu było tylko z powodu kijanek i ropuch. CZY SĄ TACY CHŁOPCY, KTÓRZY NIE ZABIJALI ŻYWYCH STWORZEŃ? NATURALNIE, TYLKO KTOŚ „CHORY” MOŻE WIESZAĆ

TE BIEDNE KOCISKA. CZY JEDNAK WIĘKSZOŚĆ Z NAS NIE DOPUSZCZAŁA SIĘ W ŻYCIU CZEGOŚ RÓWNIE OKRUTNEGO? MAM NADZIEJĘ, ŻE JUŻ Z TEGO WYROŚLIŚMY, ALE CZY TO Z KOLEI ZNACZY, ŻE ZAPOMNIMY, IŻ TACY BYLIŚMY? CZY PRACOWNICY WYDZIAŁU PAMIĘTAJĄ, ŻE KIEDYŚ TEŻ BYLI CHŁOPCAMI? JAK MOGĄ UZURPOWAĆ SOBIE PRAWO UCZENIA NAS CZEGOKOLWIEK O NAS, SKORO NIE PAMIĘTAJĄ, ŻE KIEDYŚ BYLI TACY SAMI? JEŚLI EDUKACJA JEST TUTAJ TAK WSPANIAŁA, DLACZEGO NIE NAUCZYMY TEGO CHŁOPAKA, ŻE ZABIJANIE KOTÓW JEST CZYMŚ „CHORYM", DLACZEGO GO ZA TO WYRZUCAMY?

Retoryczne pytanie – „Dlaczego za to wyrzucamy?" – przewijało się później u Owena często. Kiedy zgadzał się z tym, że kogoś faktycznie należy wyrzucić, to mówił to otwarcie. Za picie alkoholu, na przykład, groziło wyrzucenie ze szkoły, lecz Owen usiłował wszystkich przekonać, że namawianie innych do picia stanowi znacznie gorsze przewinienie niż picie w samotności. A ponadto, że większość form picia nie jest aż tak SZKODLIWA JAK NIEMAL CODZIENNE RUTYNOWE DRĘCZENIE UCZNIÓW, KTÓRZY NIE SĄ DOSTATECZNIE „NA LUZIE", PRZEZ TAKICH, CO UWAŻAJĄ, ŻE „LUZ" TO OPRYSKLIWE ZNIEWAŻANIE I ZASTRASZANIE INNYCH. ZARÓWNO SŁOWNE, JAK I FIZYCZNE. OKRUTNE I ROZMYŚLNE WYŚMIEWANIE SIĘ Z DRUGIEGO CZŁOWIEKA JEST CZYMŚ GORSZYM NIŻ PICIE. TEN, KTÓRY DRĘCZY I BEZLITOŚNIE WYŚMIEWA SIĘ Z KOLEGÓW, POPEŁNIA WIĘKSZE PRZEWINIENIE NIŻ UPICIE SIĘ; ZA TO POWINNA GO SPOTKAĆ „WIĘKSZA" KARA – ZWŁASZCZA ŻE PIJAŃSTWO NIE WYRZĄDZA KRZYWDY NIKOMU POZA SAMYM PIJĄCYM.

Wszyscy wiedzieli, że Głos nie pije. Był „Meanym od czarnej kawy", „Meanym, który wypala paczkę dziennie". Uważał, że musi zawsze być czujny – był szybki i taki chciał pozostać. Artykuł Owena NIEBEZPIECZEŃSTWA ALKOHOLU I NARKOTYKÓW spodobał się nawet jego najsurowszym krytykom. Skoro nie bał się pracowników wydziału, tym mniej obawiał się swoich rówieśników. Byliśmy w dziewiątej klasie, kiedy Owen zaprosił Hester na Bal Najstarszych Klas – w roku, w którym Noah i Simon kończyli szkołę. Owen ośmielił się zaprosić siostrę, przed którą drżeli, na ich bal!

– Wykorzysta cię tylko po to, by poznać innych chłopaków – ostrzegał go Noah.

– Wypieprzy każdego po kolei i zostawi cię na lodzie – dodał Simon.

Byłem na niego wściekły. Żałowałem, że nie starczyło mi odwagi i sam nie zaprosiłem Hester, ale czy wypada się „umawiać" z własną siostrą cioteczną?

Noah, Simon i ja współczuliśmy Owenowi. Co prawda, wzbudził nasz podziw, ale jednocześnie ryzykował wystawienie się na pośmiewisko, a służąc Hester za narzędzie, dzięki któremu dziewczyna zadebiutuje na Akademii – również ośmieszenie nas wszystkich.

– Hester Okrutnica – powtarzał wielokrotnie Simon.

– To dziewczyna, która nadaje się tylko do Sawyer Depot – mówił pogardliwie Noah.

Ale Hester wiedziała o Akademii Gravesend znacznie więcej, niż przypuszczaliśmy. Kiedy zjawiła się w ten ciepły weekend wiosną 1958 roku, była przygotowana. W końcu przecież Owen wysyłał jej każdy kolejny numer „The Grave". Mimo iż kiedyś odnosiła się do Owena z niechęcią – mówiła, że jest dziwaczny i szalony oraz lizus – nie była głupia. Umiała się zorientować, że na firmamencie pojawiła się nowa gwiazda. A Hester miała po prostu we krwi brak szacunku dla czegokolwiek. Właściwie nikogo z nas – Noaha, Simona czy mnie – nie powinno dziwić, że Głos zdobył jej serce.

Nie wiem, na jakim dokładnie etapie był romans z czarnym marynarzem z Tortoli. W każdym razie spotkanie z nim nieco przyhamowało zuchwale rozbudzającą się kobiecość Hester, nadając jej posmak doświadczenia, jakie kobieta zdobywa jedynie w wyniku najtragiczniejszych przeżyć miłosnych. Do jej ciemnej, prymitywnej urody doszedł teraz dość istotny spadek wagi, który uwypuklił pełne, imponujące piersi oraz twarde kości w przygnębionej twarzy. Hester panowała bardziej nad sobą, przez co niebezpieczeństwo, jakie groziło z jej strony, stało się realniejsze, ale i zarazem bardziej wyrafinowane. Ostrożność uczyniła z niej osobę dojrzałą. Zawsze potrafiła się dobrze ubrać – to już chyba było rodzinne. Nosiła proste, za to drogie ciuchy, a ponadto zdecydowanie bardziej

niedbale, niżby sobie tego życzyli projektanci. Nigdy też nie były odpowiedniego rozmiaru. Ciało Hester tak naprawdę dobrze czułoby się w dżungli, gdzie mogłaby je zasłaniać skórą czy trawą, i to tylko w miejscach niezbędnych. Na balu maturzystów miała na sobie krótką czarną sukienkę z cieniusieńkimi ramiączkami. Spódnica była rozkloszowana, dopasowana w talii, śmiały dekolt zaś odsłaniał szyję i sporą część piersi, co tworzyło ponętne tło dla naszyjnika z szaroróżowych pereł, jaki ciotka Marta podarowała jej na siedemnaste urodziny. Była bez pończoch i tańczyła na bosaka. Nad kostką miała zawiązany czarny rzemyk z surowej skóry; na jego końcu dyndało malutkie turkusowe bawidełko, sięgające podbicia. Drobiazg ten mógł mieć co najwyżej wartość sentymentalną. Noah sugerował, że Hester dostała go od swego marynarza. Wydziałowe przyzwoitki oraz ich żony nie spuszczały oka z Hester przez cały bal. Wszyscy byliśmy oczarowani. Kiedy Owen Meany z nią tańczył, jego ostry nos wpasowywał się dokładnie w dekolt dziewczyny. Ale nikt nawet słowem na to nie zareagował.

Pozostali chłopcy, którzy bali się pryszczy bardziej niż wojny, stali z boku w wypożyczonych smokingach. Tymczasem smoking Owena nie był z wypożyczalni – kupiła mu go babcia. Jego krój, doskonały materiał, delikatna satyna na wąskich klapach – wszystko to mówiło aż za wyraźnie o tym, co dla nas było oczywiste – że Głos wyraża to, czego my sami nie potrafimy wyrazić.

Jak wszystkie bale na Akademii, tak i ten przebiegał według ściśle określonych reguł. Nikt nie mógł wyjść z sali wcześniej. A kiedy chłopak wyszedł, by odprowadzić swoją partnerkę do pokojów gościnnych, musiał wrócić do akademika i „zameldować się" dokładnie w kwadrans po „odmeldowaniu" z sali balowej. Tyle że Hester spała w domu babci.

Byłem zbyt upokorzony tym, że to Owen zaprosił Hester na bal, by nocować u babci, wróciłem więc do mieszkania Dana wraz z innymi uczniami Akademii, którzy musieli ściśle przestrzegać regulaminu szkoły. Owen, który miał pozwolenie, by samemu przyjeżdżać do Akademii i wracać do domu, odwiózł Hester na Front Street. W szoferce pomidorowoczerwonej ciężarówki nie obowiązywał ich regulamin Komitetu Organizacyjnego Balu. Zapalili – dym papierosów

przysłonił wyraz samozadowolenia, jaki musiał malować się na ich twarzach. Obydwoje oparli łokcie na odkręconych szybach, Owen włączył radio na cały regulator i ruszył z wielką nonszalancją. Z papierosem w ustach, z Hester siedzącą obok, w swym smokingu i na wysokim siedzeniu czerwonej ciężarówki, Owen wydawał się nawet wysoki.

Inni chłopcy twierdzilil, że „zrobili to" w krzakach – między wyjściem z balu i powrotem do sypialni. Inni popisywali się różnymi technikami całowania się w hallu, ryzykowali „wpadką" w szatni, odpierali zarzuty przyzwoitek, że robili coś równie wulgarnego jak wsadzanie dziewczynom języka do ucha. Jednakże, poza niezaprzeczalnym faktem, że jego nos spoczywał między jej piersiami, Owen i Hester nie uciekali się do innych powszechnych czy pospolitych sposobów okazywania sobie uczuć publicznie. A w jaki sposób później zganił Owen nasze dziecinne podejście do tych spraw! Po prostu odmawiał jakichkolwiek komentarzy. Jeśli Głos „zrobił to z nią", to nie zamierzał się tym chełpić. Odwiózł Hester do domu babci i razem obejrzeli Kino Nocne. Potem wrócił ciężarówką do kamieniołomów i przyznał, że było późno.

– A jaki był film? – spytałem.

– Jak to film?

– No, w Kinie Nocnym.

– Och, nie pamiętam.

– Hester musiała go tak wypieprzyć, że mu mózg wyprało – stwierdził ponuro Simon. Na co Noah zdzielił brata.

– Od kiedy to Owen „nie pamięta" filmu? – wrzasnął Simon. I w tym momencie Noah rąbnął go ponownie.

– Owen pamięta nawet „Szatę" – zauważył Simon. Noah uderzył go prosto w usta i Simon zachwiał się. – To i tak nie ma znaczenia! – krzyknął Simon. – Hester pieprzy się ze wszystkimi!

Noah chwycił brata za gardło.

– Nie wiemy tego na pewno.

– Ale tak przypuszczamy! – wrzasnął Simon.

– Przypuszczać można – oświadczył Noah. Zaczął jeździć przedramieniem w górę i w dół po twarzy Simona, któremu zaczęła lecieć krew z nosa. – Ale jeśli czegoś nie wiemy, to nie mówimy!

– Hester wypieprzyła Owena jak się patrzy! – krzyknął Simon. W tym momencie łokieć Noaha znalazł się dokładnie między oczodołami brata.

– Nie wiemy na pewno, że tak było – powtórzył. Ale ja zdążyłem się przyzwyczaić do ich dzikich bójek. Już mnie tak nie przerażały. Ich brutalność wydawała mi się czymś nieistotnym i spokojnym w porównaniu z moimi sprzecznymi uczuciami wobec Hester i przemożnej zazdrości wobec Owena.

Raz jeszcze Głos przywołał nas do porządku. TRUDNO TERAZ OCENIĆ PO PEŁNYM ZAMIESZANIA WEEKENDZIE BALOWYM, KTO TAK NAPRAWDĘ POWINIEN SIĘ WSTYDZIĆ: NASI SZANOWNI RÓWIEŚNICY CZY TEŻ NASI SZACOWNI OPIEKUNOWIE? TO DZIECINADA, KIEDY MŁODZI CHŁOPCY OPOWIADAJĄ SOBIE, DO JAKIEGO STOPNIA UDAŁO IM SIĘ WYKORZYSTAĆ PARTNERKI, KTÓRE ZAPROSILI NA BAL. TEGO TYPU TANIE PRZECHWAŁKI OZNACZAJĄ BRAK SZACUNKU DLA KOBIET, MĘŻCZYŹNIE ZAŚ PRZYNOSZĄ ZŁĄ REPUTACJĘ. DLACZEGO KOBIETY MIAŁYBY NAM UFAĆ? TRUDNO JEDNAK OCENIĆ, CZY TAKIE PROSTACKIE ZACHOWANIE RÓŻNI SIĘ CZYMŚ OD GESTAPOWSKIEJ TAKTYKI PURYTAŃSKICH PRZYZWOITEK. DOWIADUJĘ SIĘ Z BIURA DZIEKANA, ŻE DWAJ UCZNIOWIE KLAS MATURALNYCH ZOSTALI DYSCYPLINARNIE ODDANI POD NADZÓR WYCHOWAWCY DO KOŃCA SEMESTRU ZA SWE „JAWNIE NIEROZWAŻNE CZYNY". PRZYPUSZCZAM, ŻE OBA WYSTĘPKI KWALIFIKUJĄ SIĘ JAKO ZASŁUGUJĄCE NA KARĘ PRZEWINIENIE „NAGANNEGO ZACHOWANIA WOBEC DZIEWCZĄT".

NARAŻAJĄC SIĘ NA TO, ŻE MOGĘ ZOSTAĆ POSĄDZONY O LUBIEŻNOŚĆ, WYJAWIĘ SZOKUJĄCY CHARAKTER TYCH DWÓCH WYSTĘPKÓW PRZECIWKO SZKOLE I KOBIETOM. PIERWSZY: OWEGO CHŁOPCA PRZYŁAPANO NA TYM, JAK „PIEŚCIŁ" SWOJĄ PARTNERKĘ W SALI Z TROFEAMI SPORTOWYMI. PONIEWAŻ OBYDWOJE BYLI W TYM CZASIE CAŁKOWICIE UBRANI I W POZYCJI STOJĄCEJ, MAŁO PRAWDOPODOBNE, BY Z TAKIEGO ZBLIŻENIA MOGŁA WYNIKNĄĆ CIĄŻA. I CHOCIAŻ NA SALI GIMNASTYCZNEJ AKURAT JEST TO ZUPEŁNIE NORMALNE, PRZYPUSZCZAM, ŻE NIE OBNAŻYLI SIĘ NA TYLE, BY SIĘ NARAZIĆ NA GRZYBICĘ STÓP.

PRZYPADEK DRUGI: TEGO CHŁOPCA WIDZIANO, JAK WYCHODZI Z PECIARNI W BANCROFT HALL Z JĘZYKIEM W UCHU SWEJ PARTNERKI. PRZYZNAM, ŻE TO DOŚĆ DZIWACZNY I EKSTRAWAGANCKI SPOSÓB WYCHODZENIA Z PALARNI. JEDNAKŻE, O ILE MI WIADOMO, TAKA FORMA KONTAKTU FIZYCZNEGO RÓWNIEŻ NIE PROWADZI DO CIĄŻY. ZDAJE SIĘ, ŻE TĄ DROGĄ TRUDNO NAWET ZŁAPAĆ ZWYKŁE PRZEZIĘBIENIE.

Po tym artykule kandydat na stanowisko dyrektora zwykł zgłaszać się do Owena, żeby ten przeprowadził z nim wywiad. W skład Komisji ds. Zatrudnienia wchodziła podkomisja uczniowska, która miała prawo zaprosić na rozmowę każdego kandydata, jednakże kiedy życzył on sobie rozmawiać z Głosem, Owen obstawał przy tym, by była to audiencja prywatna. Sprawa przyznania Owenowi tego szczególnego przywileju została postawiona na specjalnym spotkaniu pracowników wydziału, na którym doszło do niezłej awantury. Dan opowiadał później, że podniesiono nawet kwestię zmiany doradcy „The Grave" z ramienia wydziału. Niektórzy twierdzili, że „ciążowe" dowcipy Owena na temat balu nie powinny były umknąć uwagi jego cenzorskiego oka. Jednakże to właśnie doradca gazety z ramienia wydziału popierał Owena Meany'ego. Pan Early – wielki aktor dramatyczny z niezwykle głęboko zakorzenionym pragnieniem, by każdej roli, jaka mu przypadła w Trupie Gravesend, nadać zamroczone nieszczęściem i przemijaniem poczucie Lirowskiego fatum – wołał, że będzie bronił „nie splamionego niczym geniuszu" Głosu „do samej śmierci", jeśli zaistnieje potrzeba. Dan uważał, że na szczęście takiej potrzeby nie będzie. Niestety, poparcie cymbała pokroju pana Early było dla Owena nawet czymś gorszym niż brak jakiegokolwiek poparcia.

Kilku kandydatów na stanowisko dyrektora doszło do wniosku, że wywiad z Głosem podziałał na nich „zniechęcająco". Z pewnością nie zdawali sobie wcześniej sprawy, że jest taki malutki, kiedy zaś przemówił, musiały im przechodzić ciarki po plecach i czuli się nieswojo ze względu na absurdalność tego głosu, który rozmawiał z nimi tylko i wyłącznie dużymi drukowanymi literami. Jeden z faworyzowanych kandydatów wycofał się. I chociaż nie było żadnego dowodu, że to Owen bezpośrednio przyczynił się do

podjęcia decyzji, niemniej przyznał on, iż wyczuwa panującą wśród uczniów „powszechnie akceptowaną formę cynizmu”, co wpłynęło na niego „przygnębiająco”. Dodał także, że uczniowie zademonstrowali „poczucie wyższości”, a także „taki stopień wolności słowa, jakby ich liberalna edukacja była aż nazbyt liberalna”.

– Bzdura! – krzyknął wtedy Dan Needham na spotkaniu Rady Wydziału. – Owen Meany nie jest cyniczny! Jeśli ten facet miał na myśli Owena, to ocenił go niewłaściwie! Może to i lepiej! Baba z wozu, koniom lżej!

Ale nie wszyscy członkowie Rady mieli dokładnie takie samo podejście. Komisja ds. Zatrudnienia będzie potrzebowała kolejnego roku, by znaleźć właściwą osobę. Obecny dyrektor z radością zgodził się – dla dobra szkoły! – opóźnić swoje przejście na emeryturę. Stary dyrektor był gotów zrobić wszystko „dla dobra szkoły”. To właśnie jego poparcie, przynajmniej chwilowo, chroniło Owena przed wrogami, którzy gotowi byli skoczyć mu do gardła.

– Cóż to za rozkoszny człowieczek! – orzekł. – Za nic w świecie nie przeoczyłbym felietonu Głosu!

Nazywał się Archibald Thorndike i był dyrektorem szkoły od zawsze. Ożenił się z córką dyrektora, który piastował to stanowisko przed nim, i teraz osiągnął już wiek emerytalny. I chociaż młodsi, bardziej postępowi nauczyciele narzekali, że Archie Thorndike nie przejawia ochoty zmienić choćby jednego szczegółu w jakimkolwiek kursie, nie mówiąc już o „całościowej koncepcji chłopca”, nie miał wrogów. Stary „Thorny”, jak go nazywano, który sam zachęcał chłopców, by się tak do niego zwracali – był dyrektorem w każdym calu, ale w tak przyjemny, nie drażniący i nie narzucający się sposób, że nie dawał nikomu powodów do nieprzyjaznych uczuć. Był wysokim, siwym mężczyzną o szerokich ramionach i twarzy jak pióro wiosła. Nawet faktycznie był wioślarzem i lubił przebywać na świeżym powietrzu. Zdecydowanie najlepiej czuł się w miękkich, nie zaprasowanych na kant spodniach khaki bądź sztruksowych. Do tego nosił tweedową marynarkę z łatami na łokciach; łaty przydałoby się gdzieniegdzie podszyć. W czasie ostrych zim, jakie zdarzają się w New Hampshire, chodził z gołą głową, a ponadto był tak zażartym kibicem naszych drużyn, że nawet

w największy ziąb uczestniczył w rozgrywkach. Bliznę po krążku hokejowym, który go uderzył tuż nad okiem, kiedy stał na bramce podczas dorocznego meczu między absolwentami i obecną drużyną, obnosił z dumą niby jakieś odznaczenie. Thorny był honorowym członkiem kilku klas maturalnych. W każdym meczu grał na bramce.

– Hokej na lodzie to nie sport dla bab – lubił mawiać. W obronie zaś Owena Meany'ego zaczynał z zupełnie innej beczki.

– Społeczeństwo mogą naprawić tylko ludzie dobrze wykształceni. Proces naprawy zaczynają od krytyki, my natomiast dostarczamy im do tego niezbędnych narzędzi. Naturalnie, skoro są studentami, co inteligentniejsi zaczną naprawę społeczeństwa od krytykowania nas. – Jednakże w rozmowie z Owenem staruszek Archie Thorndike grał na zupełnie inną nutę. – Twoim obowiązkiem jest znaleźć we mnie wady, moim – wysłuchać cię. Ale nie licz na to, że się zmienię. Bo nie zamierzam tego zrobić. Ja przechodzę na emeryturę. Niech nowy dyrektor przeprowadzi zmiany! Ja też, kiedy zaczynałem pracę, zmieniałem różne rzeczy.

– Jakie zmiany pan wprowadził? – spytał Owen.

– To kolejny powód, dla którego przechodzę na emeryturę – odrzekł Thorny przyjaźnie. – Mam krótką pamięć.

Owen był zdania, że Archibald Thorndike jest skończonym głupkiem, i to na dodatek łatwowiernym. Ale wszyscy, bez wyjątku, łącznie z Głosem, uważali staruszka za fajnego faceta.

FAJNYCH FACETÓW NAJTRUDNIEJ SIĘ POZBYĆ – napisał Owen w „The Grave". Ale nawet pan Early wykazał na tyle rozsądku, żeby to zdanie wykreślić cenzorskim ołówkiem.

Potem nadeszło lato. Głos wrócił do pracy w kamieniołomach, a skierowany do roboty w szybie nie miał chyba zbyt wiele do powiedzenia. Ja zaś znalazłem pierwsze zatrudnienie. Wynająłem się jako przewodnik w biurze rekrutacyjnym Akademii. Oprowadzałem przyszłych uczniów oraz ich rodziców po szkole. Zajęcie było nudne, ale z pewnością niezbyt skomplikowane. Miałem cały komplet kluczy, nigdy nie powierzono mi czegoś równie cennego. Mogłem dowolnie wybierać, jaką typową salę szkolną im pokazać albo jaką typową „sypialnię". Otwierałem pokoje w Waterhouse Hall na chybił trafił, mając nikłą nadzieję, że uda mi się zaskoczyć Brinker-Smithów na

ich zabawie wypróbowywania łóżek. Ale bliźniaki były już teraz starsze, a może Brinker-Smithowie nie robili już „tego” z takim jak dotychczas upodobaniem.

Kiedy wieczorami spotykaliśmy się z Owenem w Hampton Beach, wydawał mi się zmęczony. Ja zgłaszałem się do biura rekrutacji na pierwsze oprowadzanie po szkole o dziesiątej, Owen zaś wsiadał do „korytka” co dzień o siódmej. Miał połamane paznokcie, pocięte i spuchnięte dłonie, a szczupłe i silne ramiona – opalone. Nie wspominał o Hester. Latem 1959 roku nasze podchody wobec dziewczyn uwieńczone zostały pierwszym sukcesem. A właściwie to Owenowi udało się odnieść sukces i poznał mnie z dziewczętami, które poderwał. Nie „zrobiliśmy tego” owego lata. Przynajmniej ja nie. A, o ile wiem, Owen nie umówił się na żadną randkę sam na sam.

– W grę wchodzi tylko wspólna randka – mówił kolejno wszystkim poznawanym dziewczynom. – Albo przyjdziesz z koleżanką, albo się pożegnamy!

Nie baliśmy się już spacerować pod arkadami wokół kasyna. Co prawda, niektóre typki z półświatka jeszcze co jakiś czas zaczepiały Owena, jednakże szybko wyrobił sobie reputację człowieka nietykalnego.

– Chcesz mnie zbić? – powiedział kiedyś do jakiegoś punka. – Spieszy ci się do więzienia, co? Jesteś taki brzydki. Nie będę miał kłopotów z zapamiętaniem twojej twarzy. – A potem wskazał na mnie. – A tego widzisz? Taki kretyn z ciebie, że nie wiesz, kto to jest świadek? No, dalej! Zlej mnie!

Tylko jeden facet dał się podpuścić i spróbował. Wyglądało to jak walka psa z szopem. Pies się napracuje, ale cały splendor spływa na szopa. Owen się tylko osłaniał, łapał za ręce i stopy, ale przede wszystkim za palce, choć nie pogardził także ściągnięciem buta przeciwnikowi i łapaniem go za palce u nóg. Przyjmował ciosy na ciało, zwinąwszy się w kulkę, żeby nie odsłonić żadnego czułego miejsca. Złamał facetowi serdeczny palec – zgiął go tak gwałtownie, że po krótkiej walce palec sterczał do tyłu. Zdarł tamtemu but i zaczął go gryźć w palce u nóg. Polało się dużo krwi, ale napastnik miał skarpetki, nie mogłem więc dostrzec, jaką Owen mu wyrządził

krzywdę, widziałem tylko tyle, że facet z trudem kuśtykał. Ściągnął go z Owena sprzedawca waty na patyku. Punk został wkrótce aresztowany za obrazę moralności w miejscu publicznym. Wysłano go do poprawczaka, bo jak się okazało, jechał kradzionym samochodem. Nigdy go już potem nie widzieliśmy na deptaku, a o Owenie rozeszła się fama, że lepiej z nim nie zadzierać. Krążyły nawet pogłoski, że komuś tam odgryzł ucho. Rok później słyszałem, że oślepił faceta patykiem od lodów. W Hampton Beach nikt tak naprawdę nie przejmował się, że to wiadomości nie całkiem prawdziwe. Owena nazywano „ten malutki goguś w czerwonej ciężarówce"; mawiano też, że ten „robotnik z kamieniołomów może mieć przy sobie jakieś narzędzia". Był „małym skurwysynem, od którego lepiej się trzymać z daleka".

Mieliśmy po siedemnaście lat. Lato spędziliśmy dość nieciekawie. Jesienią Noah i Simon wstąpili do college'u gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. Poszli na jeden z tych kalifornijskich uniwersytetów, których nazwy prawie nikt na Wschodnim Wybrzeżu nie pamięta. A Eastmanowie z uporem maniaków uważali, że Hester to gorsza inwestycja. Wysłali ją więc na uniwersytet New Hampshire, gdzie – jako stałej mieszkance stanu – władze pokrywały czesne.

– Chcą mnie mieć pod ręką – tak to ujęła.

– Chcieli, żebyśmy my ją mieli pod ręką – stwierdził z kolei Owen. Uniwersytet stanowy znajdował się zaledwie dwadzieścia minut drogi od Gravesend. Dla Hester żadnym argumentem nie było to, że jej uniwersytet jest lepszy niż towarzystwo wzajemnej adoracji, w jakim znaleźli się Noah i Simon. Chłopcy muszą podróżować, chłopcy muszą mieć łagodniejszy klimat – a ona ma zostać w domu. Mieszkańcom New Hampshire uniwersytet stanowy, mimo że gwarantował solidne wykształcenie, nie wydawał się bynajmniej atrakcyjny. W opinii absolwentów Akademii Gravesend, z ich niezwykle elitarnym spojrzeniem na szkoły, Ivy League[8] uchodził za „uniwersytet dla krów", całkowicie nie do przyjęcia. Ale jesienią 1959 roku, kiedy wraz z Owenem rozpoczęliśmy dziesiątą klasę na Akademii, Owen uchodził w oczach naszych rówieśników za kogoś niezwykle utalentowanego, ponieważ poderwał dziewczynę

z college'u. To, że Hester była dziewczyną z college'u dla krów, nie umniejszało jego sukcesu. Mówili o nim „ten, którego lubią kobiety", albo nazywali Mistrzem Starszych Pań, a poza tym nadal był, i pewnie na zawsze pozostanie, Głosem. Domagał się posłuchu, który otrzymywał.

Toronto, 9 maja 1987. Gary Hart, były senator USA z Colorado, wycofał się z kampanii prezydenckiej, kiedy jacyś dziennikarze z Waszyngtonu podpatrzyli, że potajemnie spędza weekend w towarzystwie pewnej modelki z Miami. I chociaż zarówno modelka, jak i kandydat utrzymywali, że nic „niemoralnego" między nimi nie zaszło, pani Hart zaś twierdziła, że popiera męża albo raczej, że go „rozumie", pan Hart doszedł do wniosku, iż podobna inwigilacja jego osobistego życia jest „nie do zniesienia" dla niego i dla rodziny. Na pewno wróci do życia politycznego. Mogę się założyć! W Stanach nikt taki jak on nie znika na długo. Pamiętacie Nixona?

Co Amerykanie wiedzą o moralności? Nie podoba im się, że ich prezydent ma penis, ale jednocześnie nie przeszkadza, jeśli otwarcie popiera nikaraguańskich rebeliantów, mimo iż Kongres ograniczył taką pomoc. Nie chcą, żeby ich prezydent oszukiwał żonę, ale nie przeszkadza im, jeśli prezydent oszukuje Kongres, kłamie ludziom w oczy i narusza konstytucję! Pan Hart powinien był powiedzieć, że nie zdarzyło się nic szczególnie niemoralnego, bądź też, że to, co się zdarzyło, było jedynie typowo niemoralne. Albo że wypróbowywał swoje umiejętności oszukiwania Ameryki najpierw na żonie. Poza tym, ma nadzieję, iż dzięki temu przykładowi ludzie dojdą do wniosku, że jest dostatecznie niemoralny, by stanowić dobry materiał na prezydenta. Wyobrażam sobie, co Głos miałby do powiedzenia w tej kwestii.

Jest słonecznie. Moi kanadyjscy ziomkowie z parku Winstona Churchilla odwrócili się brzuchami do słońca. Wszystkie dziewczęta ze szkoły Biskupa Strachana podwijają bluzy, podciągają plisowane spódniczki i rolują podkolanówki nad kostki. Wszyscy na gwałt chcą się opalić. Owen nienawidził wiosny. Kiedy robiło się ciepło, miał

wrażenie, że koniec szkoły tuż, tuż, a Owen uwielbiał szkołę. Po zakończeniu roku szkolnego mój przyjaciel wracał do kamieniołomów.

Gdy szkoła znowu się zaczęła – to znaczy, kiedy rozpoczęliśmy jesienny semestr roku 1959, zorientowałem się, że Głos nie był bezczynny w czasie lata. Owen wrócił po wakacjach ze stertą gotowych artykułów. Zalecił Komisji ds. Zatrudnienia poszukiwanie nowego dyrektora, gotowego służyć wydziałowi i uczniom, a nie wychowankom i zarządowi. I choć nabijał się z Thorny'ego, zwłaszcza z powodu „całościowej osobowości chłopca", chwalił odchodzącego dyrektora za to, że był PRZEDE WSZYSTKIM PEDAGOGIEM, A O ZBIERANIE FUNDUSZY TROSZCZYŁ SIĘ DOPIERO POTEM. Owen ostrzegał także Komisję, by MIAŁA SIĘ NA BACZNOŚCI PRZED CZŁONKAMI ZARZĄDU. ONI WYBIORĄ DYREKTORA, KTÓRY PRZEDE WSZYSTKIM TROSZCZY SIĘ O PIENIĄDZE, A DOPIERO W DALSZEJ KOLEJNOŚCI O PROGRAM NAUCZANIA CZY WYKŁADOWCÓW, MAJĄCYCH GO REALIZOWAĆ. NIE SŁUCHAJCIE TEŻ BYŁYCH UCZNIÓW! – ostrzegał Głos. Owen niezbyt sobie cenił wychowanków szkoły. TRUDNO ICH NAWET POSĄDZAĆ, ŻE PAMIĘTAJĄ, JAK BYŁO, KIEDY SIĘ TUTAJ UCZYLI, BEZ PRZERWY GADAJĄ O TYM, CZEGO TEŻ TO SZKOŁA DLA NICH NIE ZROBIŁA, ALBO ŻE SZKOŁA ZROBIŁA Z NICH TO, CZYM SĄ. TAK JAKBY PRZYCHODZĄC TUTAJ, BYLI NIE UFORMOWANĄ GLINĄ. NATOMIAST ŻE SZKOŁA MOŻE BYĆ PRZYKRA, ŻE BYLI TACY NIESZCZĘŚLIWI, KIEDY SIĘ TUTAJ UCZYLI, O TYM JUŻ DLA WŁASNEJ WYGODY ZAPOMNIELI.

Ktoś na spotkaniu pracowników wydziału nazwał Owena „małym łajnem". Dan Needham usiłował wszystkich przekonać, że Owen tak naprawdę uwielbia szkołę, ale że wykształcenie, jakie daje Gravesend, nie uczy ani nie powinno uczyć bezkrytycznej miłości, ślepego oddania. Trudniej było bronić Owena, kiedy przygotował petycję w sprawie piątkowej ryby.

MAMY KOŚCIÓŁ PONADWYZNANIOWY – pisał. – DLACZEGO W NASZEJ STOŁÓWCE PANUJĄ ZWYCZAJE KATOLICKIE? JEŚLI

KATOLICY CHCĄ JEŚĆ W PIĄTEK RYBĘ, TO DLACZEGO WSZYSCY INNI TEŻ SĄ DO TEGO ZMUSZENI? WIĘKSZOŚĆ DZIECIAKÓW NIE ZNOSI RYBY. SKORO JUŻ MA BYĆ RYBA, TO JEDNOCZEŚNIE I COŚ INNEGO – WĘDLINY CZY NAWET KANAPKI Z MASŁEM ARACHIDOWYM. WOLNO NAM SWOBODNIE SŁUCHAĆ KAZAŃ RÓŻNYCH ZAPRASZANYCH DO KAPLICY KAZNODZIEJÓW ALBO CHODZIĆ DO DOWOLNEGO KOŚCIOŁA W MIEŚCIE. ŻYDÓW NIE ZMUSZA SIĘ DO TEGO, BY PRZYSTĘPOWALI DO KOMUNII, UNITARYSTÓW NIKT ZA USZY NIE CIĄGNIE NA MSZĘ CZY DO SPOWIEDZI, NIKT NIE ZBIERA BAPTYSTÓW W SOBOTĘ I NIE PĘDZI DO SYNAGOGI ANI NIE PRZYMUSZA DO OBRZEZANIA. A JEDNAK LUDZI, KTÓRZY NIE SĄ KATOLIKAMI, ZMUSZA SIĘ DO JEDZENIA RYBY. W PIĄTEK WYBÓR JEST JEDNOZNACZNY – RYBA ALBO GŁÓD. A JA MYŚLAŁEM, ŻE ŻYJEMY W DEMOKRACJI. CZY ZATEM WSZYSCY OBOWIĄZKOWO MAMY SIĘ RÓWNIEŻ PODPISAĆ POD KATOLICKĄ KONCEPCJĄ KONTROLI URODZEŃ? DLACZEGO ZMUSZA SIĘ NAS DO PRZESTRZEGANIA PRZY STOLE KATOLICKICH ZWYCZAJÓW?

Ustawił sobie fotel i biurko w pomieszczeniu szkolnej poczty, aby zbierać podpisy pod swoją petycją. Naturalnie podpisali się wszyscy. Nawet katolicy – oświadczył Głos. Dan opowiadał nam później, że na spotkaniu Rady Wydziału kierownik stołówki zrobił niezłe przedstawienie.

Lada chwila to łajno będzie się domagać, żeby był szwedzki stół z sałatkami. Będzie chciał mieć możliwość wyboru drugiego dania codziennie, nie tylko w piątek zamiast ryby!

W swym artykule redakcyjnym Głos zdążył już zaatakować TAJEMNICZE MIĘSO, a teraz przyszła kolej na rybę. TO NIEUZASADNIONE NARZUCANIE NAM MENU PROWADZI TYLKO DO PRZEŚLADOWAŃ RELIGIJNYCH – twierdził Głos. Owen był aż nazbyt wyczulony na antykatolickie nastroje. SŁYCHAĆ WOKÓŁ ROZEŹLONE GŁOSY. W SZKOLE ZACZYNA PANOWAĆ ATMOSFERA SPRZYJAJĄCA DYSKRYMINACJI. PADAJĄ OBRAŹLIWE OKREŚLENIA, JAK „MAKRELARZ”, KTÓRE DOTYCHCZAS BYŁY TUTAJ NIEZNANE. Szczerze mówiąc, ani razu nie słyszałem, żeby ktoś poza Owenem mówił „makrelarz”.

Nie potrafiliśmy przejść koło klasztoru Świętego Michała, nie mówiąc już o świętym posągu Marii Magdaleny, żeby Owen nie zapytał: „Ciekaw jestem, co też te pingwiny kombinują? Jak myślisz, czy one wszystkie są lesbijkami?”.

Po raz pierwszy wędliny oraz kanapki z masłem arachidowym zostały podane obok zwyczajowej ryby w piątek zaraz po dniu wolnym z okazji Święta Dziękczynienia. Można też było dostać talerz zupy pomidorowej i sałatkę ziemniaczaną. Wygrał. W jadalni urządziliśmy mu prawdziwą owację. Jako pobierający stypendium musiał mieć pracę. Obsługiwał stół pracowników wydziału. Taca, na której podawał, była prawie tak duża jak on. Stał na baczność, trzymając ją jak tarczę, gdy w tym czasie studenci bili brawo, a na ustach pedagogów pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

Staruszek Thorny wezwał go do siebie.

– Lubię cię, chłopcze – oświadczył. – Udaje ci się osiągnąć to, co sobie założysz. Ale posłuchaj mojej dobrej rady. Przyjaciele nie obserwują cię równie bacznie jak wrogowie, a takowych masz. W niecałe dwa lata udało ci się narobić sobie więcej nieprzyjaciół niż mnie w ciągu dwudziestu. Uważaj, żebyś im nie dał pretekstu, by cię mogli dopaść.

Thorny widział w Owenie sternika reprezentacji uniwersytetu. Owen miał do tego idealny wzrost, a poza tym wychował się przecież nad Squamscott. Ale chłopak oświadczył, że regaty zawsze irytowały ojca. „To dlatego, że moje uczucia rodzinne są silniejsze od więzi ze szkołą” – powiedział dyrektorowi. Co więcej, rzeka została zanieczyszczona. W tamtych czasach w miasteczku nie było odpowiedniej kanalizacji. Zakład tekstylny, fabryka obuwia mego zmarłego dziadka, a także wiele domostw odprowadzało ścieki po prostu do Squamscott. Owen twierdził, że nieraz widział unoszące się na powierzchni wody „żucze skórki”. Nadal na ich widok przechodziły go ciarki.

Poza tym na jesieni lubił grać w nogę. Naturalnie, nie był w drużynie szkoły ani w reprezentacji młodzików, ale gra w piłkę wyraźnie mu się podobała, nawet w najsłabszym klubie. Był bardzo szybki i nieobliczalny w ruchach, choć z powodu tego, że tyle palił, łatwo się męczył. A na wiosnę – to także pora na uprawianie

wioślarstwa – Owen lubił grać w tenisa. Nie grał najlepiej, był właściwie początkujący, ale babcia kupiła mu dobrą rakietę. W tenisie bardzo mu się podobało, że to taki „uporządkowany" sport. Podobały mu się prościuteńkie białe linie, mocno napięta siatka na dokładnie wymierzonej wysokości, bardzo precyzyjna punktacja. A wiecie, co lubił w zimie? Grać w kosza, choć Bóg raczy wiedzieć, skąd mu się to wzięło. Może z przekory, bo przecież koszykówka to sport dla wysokich. Naturalnie grał tylko w meczach towarzyskich, nie mógł przecież trafić do żadnej reprezentacji, ale wszystkim sportom oddawał się z wielkim entuzjazmem. Potrafił zupełnie nieźle skakać – dosięgał prawie do poziomu oczu innych graczy. Dostał hopla na punkcie nieprawdopodobnej, wręcz niemożliwej w jego wykonaniu sztuczki, a mianowicie „wsadu". Wtedy nie nazywaliśmy tego „wsad". Mówiliśmy „włożenie piłki", ale niewielu chłopaków umiało to zrobić – przeważnie byli za niscy. Jasne, że Owenowi nigdy by się nie udało wyskoczyć na tyle wysoko, by znaleźć się ponad koszem. Cóż za absurdalny pomysł, że mógłby wrzucić piłkę do kosza z góry, ale taki właśnie idiotyczny cel sobie wyznaczył.

Wymyślił nawet na to pewien sposób. Dryblował z dość dużą prędkością do kosza i starał się wyskoczyć dokładnie w momencie, gdy jakiś inny kolega z drużyny gotów był go podnieść. Wskakiwał mu wtedy prosto w ręce i (czasami) drugi gracz unosił go ponad krawędź kosza. Tylko ja byłem gotów ćwiczyć z nim zgranie w czasie tego „zagrania". Skąd mu się wziął taki kretyński pomysł? Jak ktoś tego wzrostu może pragnąć wznieść się tak wysoko i tak wysoko sięgnąć? To czysty idiotyzm, a mnie bardzo szybko zmęczyła bezmyślnie powtarzana choreografia.

– Po co to robimy? – pytałem. – W meczu i tak na nic się nie przyda. Pewnie to nawet niezgodne z przepisami. Nie mogę cię przecież podnosić do kosza. Jestem pewien, że to nieprzepisowe zagranie.

Ale Owen przypomniał mi, że kiedyś w szkółce niedzielnej lubiłem go podnosić. A teraz, gdy odpowiednie zgranie w czasie wyskoku z uniesieniem go do góry jest dla niego takie ważne, dlaczego nie mogę po prostu przymknąć oczu i spojrzeć na to mniej krytycznie?

– Przez te wszystkie lata tolerowałem, że mnie podnosicie, mimo moich próśb, byście tego nie robili – przypomniał.

– Też coś! – prychnąłem. – Mieliśmy tylko kilka niedzielnych zajęć, i to zaledwie przez dwa lata, a poza tym nie podnosiliśmy cię za każdym razem.

Ale teraz takie idiotyczne unoszenie w górę stało się dla niego czymś ważnym. Cóż było robić – ćwiczyliśmy. Wkrótce doszliśmy do niezłej wprawy. Niektórzy chłopcy zaczęli go nazywać „Meanym Wsadzaczem", a inni – kiedy już doszedł w tym do perfekcji – Mistrzem Kosza. Nawet trener był pełen podziwu.

– Może skorzystam z twoich usług w czasie jakiegoś meczu – oznajmił kiedyś żartem.

– Nie robię tego, żeby grać w drużynie – odrzekł Owen, którego każde działanie miało jakiś cel.

W czasie ferii Bożego Narodzenia w 1959 roku godzinami przesiadywaliśmy na sali gimnastycznej. Byliśmy sami, nikt nam nie przeszkadzał – wszyscy chłopcy wyjechali do domu – i przepełniała nas wzgarda wobec Eastmanów, którzy najwyraźniej ostentacyjnie nie zapraszali nas do Sawyer Depot. Noah i Simon przywieźli ze sobą jakiegoś kolegę z Kalifornii. Hester „latała to tu, to tam", a ponadto „miała" wpaść do nich stara przyjaciółka cioci Marty jeszcze z lat studenckich. Byliśmy z Owenem pewni, że prawdziwa przyczyna, dla której nie zostaliśmy zaproszeni, to próba przerwania głębszej znajomości, jaka mogłaby się nawiązać między Owenem i Hester. Dziewczyna powtórzyła Owenowi, że matka mówi o nim per „chłopiec, który uderzył tę piłkę", a także „ten dziwny malutki przyjaciel Johna", albo „ten chłopiec, którego moja matka ubiera jak laleczkę". Ale Hester miała o matce tak złe mniemanie, a poza tym lubiła mącić, że może sobie to wszystko sama wymyśliła i powiedziała Owenowi, przede wszystkim po to, by i on stracił sympatię do cioci Marty, ale Owen najwyraźniej nie przywiązywał do tego większej wagi.

Pozwolono mi w czasie wakacji skończyć dwa zaległe referaty semestralne, więc tak naprawdę nie były to wakacje. Owen pomógł mi z pracą z historii i napisał za mnie tekst z angielskiego.

– Specjalnie zrobiłem kilka błędów ortograficznych. Zrobiłem też kilka błędów gramatycznych, jakie zwykle popełniasz – poinformował mnie. – Kilka razy zostawiłem powtórzenia, a poza tym nie wspominan nic o środkowej części książki. Tak jakbyś jej w ogóle nie czytał. I nie czytałeś, zgadza się?

Na tym właśnie polegał problem – dlaczego moje testy, moje kwizy i egzaminy nie wypadały równie dobrze jak prace, przy których pomagał mi Owen. Do wszystkich zapowiedzianych klasówek uczyliśmy się wspólnie, a ja stopniowo stawałem się coraz lepszym uczniem. Z powodu kłopotów z ortografią musiałem chodzić na specjalne kursy wyrównawcze, co było w pewnym sensie poniżające. Ponadto, ze względu na błędy ortograficzne i dość nierówne odpowiedzi w klasie, jeśli przypadkowo wyrwano mnie do tablicy, raz w tygodniu składałem wizytę szkolnemu psychiatrze. Na Akademii Gravesend wszyscy byli przyzwyczajeni tylko do dobrych uczniów. Kiedy ktoś miał choćby drobne kłopoty z nauką, na przykład z ortografią, uważano, że to przypadek dla psychiatry.

Głos i w tej sprawie miał coś do powiedzenia: WYDAJE MI SIĘ, ŻE CI, KTÓRYM NAUKA NIE PRZYCHODZI RÓWNIE ŁATWO JAK INNYM, CIERPIĄ NA PEWNĄ NIEMOŻNOŚĆ UCZENIA SIĘ. COŚ UTRUDNIA IM PERCEPCJĘ LICZB I LITER. TROSZKĘ INACZEJ PRZYSWAJAJĄ SOBIE NIEZNANY MATERIAŁ, ALE NIE ROZUMIEM, DLACZEGO TAKA NIEMOŻNOŚĆ MIAŁABY USTĄPIĆ NA SKUTEK KONSULTACJI Z PSYCHIATRĄ. BRAKUJE IM PO PROSTU PEWNEJ TECHNICZNEJ UMIEJĘTNOŚCI, KTÓRĄ „DOBRZY” UCZNIOWIE MAJĄ OD URODZENIA. TAKIMI UMIEJĘTNOŚCIAMI WINIEN ZAJĄĆ SIĘ FACHOWIEC, ALE W ŻADNYM RAZIE NIE PSYCHIATRA.

Było to jeszcze, zanim w ogóle pojawił się problem dysleksji czy „niemożności uczenia się”. O uczniach takich jak ja mówiło się po prostu, że są tępi albo trochę opóźnieni w nauce. Jedynie Owenowi udało się dokładnie określić, skąd biorą się moje kłopoty.

– Jesteś po prostu dość powolny. Jesteś równie bystry jak ja, ale potrzebujesz na wszystko dwukrotnie więcej czasu.

Szkolny psychiatra, emerytowany dżentelmen ze Szwajcarii, który każdego lata wracał na wakacje do Zurychu, był przekonany, że moje kłopoty ze szkołą wynikają przede wszystkim z faktu, iż mój

najlepszy przyjaciel „zamordował” moją matkę, a także są rezultatem „napięcia i konfliktów”, jakie – jego zdaniem – stanowiły „nieunikniony skutek” mojego rozdarcia między babcię i ojczyma.

– Musisz go chyba momentami nienawidzić – sugerował doktor Dolder.

– Kogo? – pytałem. – Ojczyma? Ależ nie, ja go kocham!

– Twego przyjaciela – to jego czasami nienawidzisz. Prawda? – drążył psychiatra.

– Nie – mówiłem. – Ja kocham Owena, a tamto to był wypadek.

– Tak, wiem – odpowiadał doktor Dolder. – Niemniej jednak... a twoja babcia... to może ona budzi w tobie najboleśniejsze wspomnienia?

– Jakie znowu wspomnienia? Ja kocham babcię.

– Owszem, wiem, ale ta cała sprawa baseballu... Wyobrażam sobie, że to dla ciebie najtrudniejsze.

– Zgadza się, nienawidzę baseballu.

– To zrozumiałe – zgodził się doktor. – Nigdy nie widziałem, jak w to się gra, więc trudno mi zabrać głos... A może zagralibyśmy kiedyś razem?

– Nie – odparłem zdecydowanie. – Nie gram w baseball ani nie oglądam meczów.

– Tak, rozumiem, że tego sportu aż tak nienawidzisz. Rozumiem!

– Mam kłopoty z ortografią – mówiłem. – Czytam bardzo powoli i szybko się męczę. Muszę palcem wskazywać miejsce w zdaniu, bo inaczej się gubię.

– Baseball jest chyba bardzo trudny – zaczynał wtedy Dolder.

– Tak, trudny – odpowiadałem wzdychając.

– Rozumiem. A czy teraz jesteś zmęczony? Czy czujesz się zmęczony?

– Nie, zmęczony jestem przy pisaniu. Pisaniu i czytaniu – odpowiadałem.

Na ścianach jego gabinetu w infirmerii Hubbarda wisiały zdjęcia – stare czarno-białe fotografie zegarów na wieżach kościelnych Zurychu. Były też zdjęcia ptaków wodnych pluskających się w nurtach Limmatu oraz ludzi stojących na tych zabawnych wygiętych w łuk mostkach i karmiących ptaki. Wielu z nich miało na

głowie kapelusze. Gdyby dobrze się wsłuchać, dałoby się usłyszeć, jak zegary wybijają godziny.

Doktor Dolder miał na pociągłej koziej twarzy żartobliwą minę. Jego srebrzystoszara broda à la van Dyck była równiutko przystrzyżona. Doktor często skubał jej szpic.

– Tak – mówił zamyślony. – Następnym razem przynieś tutaj piłeczkę do baseballa i przyprowadź tego małego pałkarza, jak on się nazywa, Głos? Bardzo chciałbym z nim porozmawiać.

– Spytam Owena, czy ma czas.

– Ani mi w głowie tam iść! – odrzekł Owen, kiedy go poprosiłem. – Ja nie mam kłopotów z ortografią!

Toronto, 11 maja 1987. Żałuję, że znalazłem drobne na to, by w narożnym kiosku kupić „Globe and Mail". Miałem w kieszeni akurat trzy dziesiątki, a zdanie na pierwszej stronie kusiło nieodparcie: *Pozostaje kwestią otwartą, jak Ronald Reagan zamierza utrzymać poparcie swej administracji dla contras, nie wchodząc w kolizję z prawem.*

Od kiedy to Reagan martwi się, by działać zgodnie „z prawem"? Osobiście wolałbym, żeby pan prezydent spędził weekend z jakąś modelką z Miami. Wtedy straty byłyby może mniejsze. Pomyślcie sobie tylko, z jaką ulgą przyjęliby to Nikaraguańczycy – choćby na weekend! Powinniśmy zatroszczyć się o modelki dla pana prezydenta – co tydzień inna! Gdyby udało nam się zmęczyć starego pryka, nie mógłby już wyrządzać tylu szkód. Amerykanie to tacy moraliści! Ile rozkoszy sprawia im wyciąganie na światło dzienne niewłaściwego zachowania w sferze seksu! Co za szkoda, że z równym zacięciem nie podchodzą do arogancji, z jaką ich prezydent traktuje prawo! Ani do administracji, która zajmuje się wysyłaniem broni dla terrorystów. Naturalnie, buduarowa moralność nie wymaga ani większej wyobraźni, ani też śledzenia na bieżąco rozwoju sytuacji na świecie. Mając do czynienia z przygodą seksualną, nie musimy poznawać „kulis sprawy".

Dzisiaj w Toronto znowu słońce. Kwitną drzewa owocowe, zwłaszcza grusze, jabłonie i rajskie jabłuszka. Może będą przelotne

opady. Owen lubił deszcz. W lecie na dnie kamieniołomów jest zawsze cholernie gorąco i zawsze unosi się w powietrzu pył. Deszcz ochładza granitowe bloki i likwiduje pył.

– W kamieniołomach wszyscy lubią deszcz – mawiał Owen.

Powiedziałem uczennicom dwunastej klasy, że powinny jeszcze raz przeczytać to, co Hardy nazywa pierwszym „okresem" „Tessy d'Urberville", tę część, która jest zatytułowana „Dziewczyna". I chociaż zwróciłem im uwagę, z jakim zamiłowaniem Hardy lubi przepowiadać różne rzeczy, tego dnia były wyjątkowo ospałe i nie potrafiły dostrzec tych zabiegów pisarza. Jak mogły tak nieuważnie przeczytać opis śmierci konia? *Nikt nie potępiał Tessy tak, jak sama siebie potępiała* – pisze Hardy. – *Oczy miała suche, a twarz bladą, jak gdyby uważała się za morderczynię*[9]. A co takiego dziewczyny sądziły o wyglądzie Tessy? *Skutkiem bujnego rozkwitu swej urody wyglądała na dojrzalszą kobietę, niż nią była istotnie.* Te słowa nie miały dla nich żadnego znaczenia.

– A może któraś z was tak wygląda? – zapytałem. – Co sobie myślicie, widząc, że jesteście właśnie takie?

Odpowiedziało mi milczenie.

– A co, ich zdaniem, zdarzyło się na końcu pierwszego „okresu" – czy Tessa została uwiedziona czy zgwałcona? *Spała głębokim snem* – pisze Hardy. Czy chce przez to powiedzieć, że d'Urberville „zrobił jej to", kiedy spała?

Milczenie.

Zanim zadają sobie trud przeczytania „okresu" drugiego Tessy, zatytułowanego „Już nie dziewczyna", moim zdaniem, powinny przeczytać ponownie „Dziewczynę" albo może nawet – przynajmniej co poniektóre – przeczytać ją po raz pierwszy!

– Zwróćcie uwagę na miejsce, w którym Tessa mówi: *Czyż panu nigdy nie przyszło do głowy, że to, co wszystkie kobiety mówią, niektóre naprawdę czują?* – próbowałem je wyczulić. Zwróćcie też uwagę na to, w jakim miejscu pochowane zostało dziecko Tessy – *w nędznym zakątku Pańskiej ziemi, tam gdzie rosną pokrzywy i gdzie grzebią nie ochrzczone dzieci, niepoprawnych pijaków, samobójców i wszystkich tych, którzy przypuszczalnie skazani są na wieczne*

potępienie. Spróbujcie sobie odpowiedzieć, co Hardy myśli o „zakątku Pańskiej ziemi", co myśli o pechu, o zbiegu okoliczności, o sytuacji, na którą nie mamy żadnego wpływu? I jak, jego zdaniem, można być cnotliwym w czasie wędrówki po świecie, która naraża na większe lub mniejsze niebezpieczeństwa?

– Sir! – odezwała się Leslie Ann Grew. Co za staroświecki zwrot! Nie pamiętam, żeby w szkole Biskupa Strachana ktokolwiek zwracał się do mnie w ten sposób – poza nowymi uczennicami. Leslie Ann Grew zaś jest tu już od dawna. – Jeśli jutro też będzie ładny dzień, czy możemy mieć lekcje na dworze?

– Nie – odparłem, ale moje reakcje są powolne. Jestem taki tępy. Wiem, co by jej na to powiedział Głos.

– Tylko jeśli będzie padało – odpowiedziałby Owen. – Możemy mieć lekcje na dworze pod warunkiem, że będzie lać.

Na początku zimowego semestru, kiedy byliśmy w dziesiątej klasie Akademii Gravesend, podagryczny kapelan szkoły, wielebny Scammon, duchowny bliżej nie zdefiniowanego wyznania i jednocześnie nasz tępawy nauczyciel religii oraz Pisma Świętego, rozbił sobie głowę na oblodzonych schodkach kościoła Hurda i już nie odzyskał przytomności. Owen utrzymywał, że wielebny Scammon i tak nigdy nie był w pełni świadomy. Przez wiele tygodni po wypadku jego strój oraz laska wisiały jeszcze na wieszaku w zakrystii, tak jakby staruszek Scammon wybrał się w podróż z tego świata co najwyżej do pobliskiej toalety. Czasowo jako naszego nauczyciela religii zatrudniono wielebnego Lewisa Merrilla. Jednocześnie powstała specjalna komisja, która miała się zająć poszukiwaniem duchownego.

Wspólnie przecierpieliśmy z Owenem pierwszy kurs z religii w dziewiątej klasie, podczas którego wielebny Scammon dosyć pobieżnie potraktował najważniejsze religie świata od czasów Juliusza Cezara do Eisenhowera. Z trudem przedzieraliśmy się przez wykłady Scammona z Pisma Świętego oraz drugi kurs religii, kiedy to na drodze wielebnego wyrosły oblodzone schodki. Wielebny Merrill wypełnił godziny obu zajęć dobrze nam znanym lekkim zacinaniem

się i niemal równie dobrze znanymi wątpliwościami. W czasie lekcji z Pisma Świętego pracowaliśmy nad Biblią, starając się wyszukać jak najwięcej przykładów wersu 20 rozdziału 5 z Księgi Izajasza: „Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem". A na drugim kursie religii – kursie, który wymagał poznania opasłych lektur z „religii i literatury" – mieliśmy rozważyć znaczenie Tołstojowskiego „Nie ma odpowiedzi". W „Annie Kareninie" Tołstoj pisze: *Nie było na to odpowiedzi, poza tą jedną ogólną, jaką życie daje na wszystkie najbardziej skomplikowane i nierozwiązalne pytania: trzeba żyć tym, co dzień przynosi, czyli szukać zapomnienia*[10].

Na obu zajęciach pastor Merrill nauczał, że wątpliwości to istota wiary, a nie jej przeciwieństwo. Takie podejście interesowało Owena znacznie bardziej niż kiedyś. Podobno cała sztuka polega na „wierze bez cudów". Wiara, która do swego istnienia potrzebuje cudów, nie jest wiarą. Nie szukajcie dowodów – oto czego przede wszystkim chciał nas nauczyć Merrill.

– Ale każdy potrzebuje choć maleńkiego dowodu – rzucił Owen.

– Wiara sama w sobie jest cudem – odparł pastor Merrill. – Pierwszy cud, w jaki wierzę, to moja własna wiara.

Owen miał najwyraźniej wątpliwości, ale nic nie powiedział. Grupa, która uczestniczyła z nami w zajęciach z religii oraz Pisma Świętego, składała się właściwie z samych ateistów. Z wyjątkiem Owena Meany'ego stanowiliśmy niezwykle negatywnie nastawioną bandę kretynów, którzy uważali, że Jack Kerouac i Allen Ginsberg to znacznie ciekawsi pisarze niż Tołstoj. Dlatego też lekko jąkający się wielebny Lewis Merrill, przytłoczony ciężarem mocno już oklepanych wątpliwości, miał z nami pełne ręce roboty. Kazał nam przeczytać „Moc i chwałę" Greene'a. Swoją pracę semestralną Owen napisał na temat: „Ksiądz od whisky – święty, który sieje ziarno". Czytaliśmy również „Portret artysty z czasów młodości" Joyce'a, a także „Barabasza" Lagerkvista oraz „Braci Karamazow" Dostojewskiego. Owen napisał za mnie pracę semestralną pod tytułem: „Grzech a Smierdiakow – śmiertelna kombinacja". Biedny pastor Merrill! Mój dawny duszpasterz z kościoła kongregacjonalistów nagle znalazł się w roli obrońcy chrześcijaństwa, i nawet Owen używał argumentów,

jakimi posługiwał się Merrill. Cała klasa uwielbiała Sartre'a i Camusa. Koncepcja „bezwzględnej oczywistości życia bez nadziei" bardzo nas – nastolatków – ekscytowała. Merrill z wielką pokorą odrzucał Kierkegaarda:

– Nikt nie ma prawa zwodzić innych, że wiara jest czymś bez znaczenia bądź czymś bardzo prostym, gdy tymczasem to jedna z najważniejszych i najtrudniejszych spraw.

Owen, który żywił wiele wątpliwości pod adresem pastora Merrilla, nagle znalazł się w roli obrońcy duchownego.

– Grupka ateistów, która przypadkiem pisze lepiej niż autorzy Biblii, wcale nie musi mieć racji – mówił ze złością. – Popatrz tylko na tych niesamowitych magików z telewizji – chcą, żeby ludzie uwierzyli w magię, ale prawdziwy cud to nie jest coś, co można zobaczyć! W cuda należy wierzyć, nawet ich nie widząc. Jeśli jakiś kaznodzieja jest dupkiem, to wcale nie dowód, że Bóg nie istnieje.

– Dobrze, ale może nie używajmy w klasie takich określeń jak „dupek" – zaproponował pastor Merrill.

Owen wypowiedział się również na zajęciach z Biblii.

– To prawda, że uczniowie są głupi, nigdy nie rozumieją, co Jezus do nich mówi. To banda nieudaczników. Nie wierzą w Boga tak bardzo, jak by tego chcieli, nawet zdradzają Jezusa. A chodzi o to, że Bóg kocha nas nie tylko dlatego, że jesteśmy mądrzy czy dobrzy; jesteśmy głupi i źli, a Bóg nas mimo wszystko kocha. Przecież Jezus powiedział tym zakutym łbom, swym uczniom, co się stanie: że „syn człowieczy będzie wydany w ręce ludzi i ci go zabiją…". Pamięta pan? To chyba było u św. Marka, zgadza się?

– Tak, Owen, ale może na lekcji nie nazywajmy uczniów Jezusa „zakutymi łbami", co? – odrzekł Merrill. Mimo to, chociaż Lewis Merrill musiał się nieco wysilić, by bronić wiary w Boga i Słowo, po raz pierwszy, odkąd pamiętam, widać było na jego twarzy zadowolenie. Animuszu dodawał mu fakt, że ktoś atakuje jego wiarę. Wyraźnie się ożywił i przestał być taki potulny.

– Najwyraźniej kongregacjonaliści nigdy z nim nie rozmawiają – sugerował Owen. – Chyba potrzebuje kogoś, z kim mógłby od czasu do czasu pogadać. Nawet jeśli miałaby to być tylko sprzeczka. My przynajmniej z nim rozmawiamy.

Nie mamy żadnych dowodów na to, że żona się do niego odzywa – zauważył Dan. A monosylaby, jakie wyrzucały z siebie ich gburowate dzieci, nie zachęcały do dłuższej wymiany zdań.

DLACZEGO SZKOŁA TRACI CZAS NA DZIAŁANIE DWÓCH KOMISJI DS. ZATRUDNIENIA? – pytał Głos w „The Grave". – NIECH ZNAJDĄ DYREKTORA – ZGODA, DYREKTORA POTRZEBUJEMY, ALE NIE JEST NAM POTRZEBNY NOWY DUCHOWNY. NIE UJMUJĄC W NICZYM ZMARŁEMU, UWAŻAMY, ŻE WIELEBNY LEWIS MERRILL O NIEBO LEPIEJ SPEŁNIA SWOJE OBOWIĄZKI NIŻ ŚWIĘTEJ PAMIĘCI PAN SCAMMON. A SZCZERZE MÓWIĄC, NAWET SENSOWNIEJ PROWADZI ZAJĘCIA. SZKOŁA ZE SWEJ STRONY MUSI MIEĆ DOSTATECZNE UZNANIE DLA JEGO TALENTÓW KAZNODZIEJSKICH, SKORO JUŻ KILKAKROTNIE GO ZAPRASZAŁA NA GOŚCINNE NAUKI W KOŚCIELE HURDA. WIELEBNY MERRILL Z PEWNOŚCIĄ BĘDZIE U NAS DOBRYM DUCHOWNYM. POWINNIŚMY ZORIENTOWAĆ SIĘ, ILE MU PŁACĄ KONGREGACJONALIŚCI, I ZAPROPONOWAĆ WIĘCEJ.

W rezultacie Merrill został podkupiony. Kolejny raz Głos znalazł posłuch.

Toronto, 12 maja 1987, słoneczny chłodny dzień, doskonała pogoda na koszenie trawnika. Zapach świeżo ściętej trawy, który unosi się nad całą Russell Hill Road, to najlepszy dowód, że moim sąsiadom zieleń przed domem bardzo leży na sercu. Zupełnie inne podejście zaprezentowała tu pani Brocklebank, której córka Heather jest w dwunastej klasie, gdzie mam zajęcia z angielskiego. Widziałem, jak wyrywa mlecze z korzeniami.

– Radzę panu zrobić to samo – powiedziała. – Trzeba je wyrywać, a nie kosić. Jak się je potnie kosiarką, to się tylko bardziej rozplenią.

– Dokładnie jak rozgwiazda – zauważyłem. Ale dlaczego popełniłem taki błąd? Nie wolno poddawać pani Brocklebank nowego tematu do rozmowy, chyba że się ma za dużo wolnego czasu. Gdybym to pani Brocklebank kazał czytać „Dziewczynę", już za pierwszym razem wszystko by dokładnie pojęła.

– A co pan wie o rozgwiazdach? – spytała.

– Wychowałem się na Wybrzeżu – przypomniałem jej. Czasami muszę przypominać mieszkańcom Toronto o istnieniu Oceanu Atlantyckiego i Spokojnego. Uważają, że woda to wielkie jeziora, i na tym koniec.

– No więc co z tymi rozgwiazdami? – dopytywała się pani Brocklebank.

– Z pociętych wyrastają następne.

– Czy gdzieś o tym piszą?

Zapewniłem ją, że to wszystko znajdzie w książkach i że nawet mam jedną, która opisuje rozgwiazdy, chociaż my z Owenem wiedzieliśmy, że nie wolno ich rozcinać, na długo zanim o tym przeczytaliśmy. Każdy dzieciak z Gravesend zdobywał całą wiedzę o rozgwiazdach na plaży przy Małej Głowie Dzika. Pamiętam doskonale, jak to mama mówiła nam, żebyśmy ich nie rozcinali, bo są bardzo szkodliwe i w New Hampshire nikt nie chciałby, żeby się za szybko rozmnażały.

Panią Brocklebank cechuje niezwykła wprost konsekwencja w zdobywaniu nowych informacji. Do wszystkiego podchodzi z równą agresywnością jak do mleczy.

– Chciałabym zobaczyć tę książkę – oświadczyła.

Zacząłem odwodzić panią Brocklebank od czytania kolejnej książki, co stało się już dla mnie wręcz rutynowym zajęciem. Tyle że moje wysiłki przynoszą równie niewielki skutek, jak w wypadku dziewczyn ze starszych klas, które namawiam do czytania lektur.

– To nie jest najlepsza książka. Napisał ją amator, a opublikowało jakieś podrzędne wydawnictwo.

– A niby dlaczego amatorskie pisanie ma być czymś gorszym, co? – chciała się koniecznie dowiedzieć pani Brocklebank. Teraz, kiedy sobie o tym przypomnę, dochodzę do wniosku, że pewnie sama pisze jakąś książkę. – Albo „podrzędne wydawnictwo”?

Książka, która ukazuje pełnię zjawiska, jakim jest rozgwiazda, nosi tytuł „Życie w akwenie morskim w czasie pływów” i napisał ją Archibald Thorndike. Staruszek Thorny był przyrodoznawcą-amatorem, a także pisarzem-amatorem, a po przejściu na emeryturę w Akademii Gravesend poświęcił dwa lata na szczegółową obserwację wód przypływowych w porcie Rye. Wydał książkę na

własny koszt i co roku, w Dniu Wychowanków Akademii, sprzedawał jej egzemplarze z autografem. Parkował swoją półciężarówkę przy korcie tenisowym i sprzedawał książki z samochodu, ucinając sobie pogawędkę ze wszystkimi uczniami, którzy mieli na to ochotę. A ponieważ był bardzo lubianym dyrektorem, na którego miejsce przyszedł dyrektor wyjątkowo nielubiany, prawie wszyscy chcieli zamienić kilka słów ze staruszkiem. Przypuszczam, że udało mu się sprzedać sporo egzemplarzy. Niewykluczone, że nawet coś na tym zarabiał. A może wcale nie był aż takim amatorem? Wiedział przecież, jak poradzić sobie z Głosem – po prostu w ogóle się nim nie zajmował. Głos zaś w rezultacie okazał się zgubny dla nowego dyrektora.

W końcu uległem przemożnej pasji pani Brocklebank do samokształcenia. Zgodziłem się pożyczyć jej tę książkę.

– Proszę przypomnieć Heather, że ma przeczytać „okres pierwszy Tessy" – powiedziałem.

– Czy Heather nie czyta lektur? – spytała zaniepokojona.

– Jest wiosna – zauważyłem. – Żadna dziewczyna nie czyta teraz lektur. Chociaż na Heather nie mogę narzekać. – Faktycznie Heather należy do lepszych uczennic. Po matce odziedziczyła zapał do nauki, a jednocześnie jej wyobraźnia wykracza daleko poza mlecze.

Nagle przychodzi mi do głowy pomysł, żeby przeprowadzić w tej dwunastej klasie nie zapowiedziany test. Jeśli „pierwszy okres Tessy" przeczytały po łebkach, założę się, że „Wstęp" w ogóle opuściły. A przecież kazałem im go też przeczytać. Zwykle czegoś takiego nie robię, ale „Wstęp" do tej książki napisał Robert B. Heilman; tekst ten jest niezwykle przydatny dla tych wszystkich, którzy po raz pierwszy zabierają się do Hardy'ego. Kiedy patrzę na panią Brocklebank ściskającą w ręku zduszone mlecze, przychodzi mi do głowy naprawdę złośliwe pytanie.

– Jaki pierwotny tytuł dla „Tessy" miał Thomas Hardy?

Ha, chyba nigdy by nie zgadły. Jeśliby przeczytały „Wstęp", to wiedziałyby, że brzmiał on „Za późno, kochanie", a przynajmniej pamiętałyby tę część „za późno". Wtedy przypomniałem sobie, że Hardy przed „Tessą" napisał opowiadanie zatytułowane „Romantyczne przygody małej mleczarki". Może dla zmyłki mógłbym

im podrzucić ten tytuł. A wtedy przypomniałem sobie, że pani Brocklebank stoi na chodniku z garścią mleczy i czeka, żebym jej przyniósł „Życie w akwenie morskim w czasie pływów". I wreszcie przypomniałem sobie, że Owen Meany i ja przeczytaliśmy „Tessę d'Urberville" w dziesiątej klasie Akademii Gravesend. Angielski miał z nami pan Early. Była wtedy zima 1960 roku i Hardy przyprawiał mnie o łzy rozpaczy. To szaleństwo z jego strony, że zabrał się do „Tessy" z dziesięcioklasistami. W szkole Biskupa Strachana już od dłuższego czasu usiłuję przekonać moich kolegów, że Hardy'ego należałoby czytać w klasie trzynastej – dwunasta to za wcześnie! Nawet „Bracia Karamazow" są łatwiejsi niż „Tessa"!

– Nie mogę sobie z tym poradzić! – powiedziałem Owenowi. Próbował mi pomóc. Próbował mi pomóc we wszystkim, ale „Tessa" była po prostu za trudna.

– Nie potrafię czytać o dojeniu krów! – krzyknąłem.

– To wcale nie jest o dojeniu krów – odrzekł Owen rozgniewany.

– Nie obchodzi mnie, o czym jest – i tak mi się nie podoba!

– Cóż za niezwykle inteligentne podejście – rzekł Owen. – Jeśli sam nie możesz tego przeczytać, może chcesz, żebym ci czytał na głos?

Przypominam to sobie ze wstydem – ze wstydem, że nawet coś takiego był gotów dla mnie zrobić – przeczytać mi na głos „Tessę d'Urberville". W owym czasie na samą myśl, że mógłbym wysłuchać całej powieści czytanej jego głosem, robiło mi się niedobrze.

– Nie mogę tego przeczytać, ale też nie dałbym rady tego słuchać!

– No dobrze, w takim razie, czego oczekujesz ode mnie? Mogę ci opowiedzieć całą historię. Mogę za ciebie napisać pracę semestralną. Ale jeśli będzie egzamin, sam będziesz robił w portki. Może coś zapamiętasz, jeśli ci wszystko opowiem. Mogę nawet za ciebie odrobić pracę domową – to dla mnie żaden kłopot i chętnie ci w tym pomogę. Mogę też nauczyć cię, jak masz sam to zrobić. Dla nas obu byłoby to nieco trudniejsze, ale może dzięki temu sam mógłbyś coś zrobić, co z kolei dla ciebie byłoby z większą korzyścią? No bo co będzie, kiedy mnie zabraknie?

– Jak to kiedy cię zabraknie? – spytałem.

– Spójrzmy na to od innej strony – tłumaczył mi cierpliwie. – Czy zamierzasz pójść do pracy, jak skończysz szkołę? A może idziesz na

uniwersytet? Czy razem pójdziemy na ten sam uniwersytet? Czy i tam mam odrabiać za ciebie lekcje? Jaki przedmiot masz zamiar studiować?

– A ty co zamierzasz studiować? – spytałem. Czułem się urażony, ale wiedziałem, do czego zmierza, i miał rację.

– Geologię. Przecież moja rodzina zajmuje się granitem.

– Ależ to szaleństwo! Kamieniołomy to interes nie dla ciebie. Przecież możesz studiować, co tylko chcesz, niekoniecznie skały.

– Skały są bardzo interesujące – odparł Owen z uporem. – Geologia mówi o historii Ziemi.

– Nie mogę przeczytać „Tessy d'Urberville"! – wykrzyknąłem. – Ta książka jest dla mnie za ciężka.

– Chcesz pewnie powiedzieć, że za ciężko ci się do niej zabrać, że trudno ci się skupić. Ale sama książka nie jest za ciężka. Thomas Hardy może być nudny, ale na pewno nie trudny do zrozumienia – mówi o sprawach oczywistych, o tym wszystkim, co powinieneś wiedzieć.

– Więcej, niż chciałbym wiedzieć! – krzyknąłem.

– To, że się nudzisz, to twoja sprawa – zauważył Owen Meany. – Ciebie nudzi własny brak wyobraźni. Świat Hardy'ego jest uporządkowany. Tessa została potępiona. Taki ma być jej los. Jest ofiarą. A świat wykorzystuje ofiary. Dlaczego ktoś z tak utrwalonym sposobem widzenia świata cię nudzi? Dlaczego nie interesuje cię ktoś, kto wyrobił sobie sposób widzenia świata? Właśnie dlatego pisarze są interesujący. Może powinieneś specjalizować się w angielskim. Przynajmniej miałbyś wtedy okazję czytać to, co napisali ludzie, którzy potrafią pisać. Żeby specjalizować się w literaturze, nie trzeba nic szczególnego robić, nie jest potrzebny żaden nadzwyczajny talent. Trzeba tylko zwracać uwagę na to, co inni chcą nam uprzytomnić – zwracać uwagę na to, co jednych złości, a innych ekscytuje. To takie proste. Wydaje mi się, że właśnie dlatego mamy tylu specjalistów od literatury.

– Dla mnie nie jest to proste. Nienawidzę tej książki!

– A może w ogóle większości książek?

– Tak!

– Więc to jasne – problem nie dotyczy tylko „Tessy".

– Zgadza się.

– Zatem dochodzimy do konkretnych wniosków – stwierdził Owen Meany, mój przyjaciel i nauczyciel.

Stałem na chodniku wraz z panią Brocklebank i nagle poczułem, że łzy napływają mi do oczu.

– Czy cierpi pan na alergię? – spytała. Pokręciłem głową. Po prostu tak się zawstydziłem, że choćby przez ułamek sekundy rozważałem możliwość zaskoczenia moich uczennic podchwytliwym testem z „Tessy". Jeśli mam w pamięci swoje własne uczniowskie cierpienia, skoro pamiętam, jak bardzo potrzebna była mi pomoc Owena, to jak mogłem choćby na ułamek sekundy stać się złośliwym belfrem.

– Moim zdaniem, ma pan najzwyczajniej w świecie alergię – wywnioskowała pani Brocklebank na widok moich łez. – Wiele osób cierpi na uczulenie, nawet tego nie wiedząc. Czytałam o tym.

– To pewnie przez te mlecze – powiedziałem, a pani Brocklebank popatrzyła na nieznośne chwasty ze zdwojoną nienawiścią.

Mlecze kwitną co wiosna. I zawsze przypominają mi wiosenny semestr z roku 1960 – początek tej starej dekady, która kiedyś mnie i Owenowi Meany'emu wydawała się taka nowa. Tej właśnie wiosny komisja znalazła innego dyrektora. I była to ta sama dekada, która miała przynieść nam klęskę.

Randolph White był dyrektorem niewielkiej prywatnej szkoły dziennej w Lake Forest w stanie Illinois. Podobno to niezwykle zamożne i bardzo snobujące się na protestanckich Anglików miasteczko, które broń Boże nie chce uchodzić za przedmieście Chicago. Ale może to nieprawda. Nigdy tam nie byłem. Kilku uczniów z Gravesend pochodziło właśnie stamtąd i jednogłośnie jęknęli na wieść o nominacji Randolpha White'a na dyrektora Akademii. Bogiem a prawdą, wcale nie cieszyli się z tego, że jakiś ich krajan z Lake Forest przybył za nimi aż do New Hampshire.

Znaliśmy wtedy z Owenem chłopaka z Bloomfield Hills w stanie Michigan, i on powiedział nam, że Bloomfield Hills to dla Detroit to samo, co Lake Forest dla Chicago, i że jego zdaniem, Bloomfield Hills „zadziera nosa". Dla zilustrowania tego przytoczył nam historię

o pewnej czarnej rodzinie, która się tam sprowadziła i która musiała się wyprowadzić, ponieważ sąsiedzi nieustannie palili krzyże na ich trawniku. Był to szok dla mnie i dla Owena. Nam, mieszkańcom New Hampshire, wydawało się, że takie rzeczy zdarzają się tylko na Południu, ale czarny chłopak z Atlanty oświadczył, że gówno o tym wszystkim wiemy. Podobno krzyże palą w całym kraju. Tak naprawdę, to i my nie byliśmy „zbyt przychylni zalewowi czarnych twarzy" na Akademii Gravesend, musieliśmy więc przyznać mu rację.

Potem inny chłopak z Michigan oświadczył, że Grosse Pointe jest dla Detroit tym, czym Lake Forest dla Chicago, że Bloomfield Hill to nie najlepsze porównanie. Ktoś inny z kolei uważał, że dla Cleveland Shaker Heights jest tym, czym Lake Forest dla Chicago... i tak dalej. Nie znaliśmy się zbyt dobrze na geografii bogatych i ekskluzywnych dzielnic. I kiedy pewien żydowski chłopak z Highland Park w Illinois powiedział, że „Żydzi nie mają wstępu" do Lake Forest, zaczęliśmy z Owenem zachodzić w głowę, w jakiejż to okropnej szkółce prywatnej musiał pracować nasz nowy dyrektor.

Owen miał też i inne powody, żeby podejrzliwie podchodzić do Randolpha White'a. Ze wszystkich kandydatów, którzy w wyniku działań Komisji ds. Zatrudnienia przewinęli się przez szkołę, kiedy byliśmy w dziesiątej klasie, jedynie Randolph White nie przyjął zaproszenia na prywatną audiencję z Głosem. Owen spotkał pana White'a przed drzwiami gabinetu Archie Thorndike'a. Thorny przedstawił Głosowi kandydata i tradycyjnie oświadczył, że zostawi im swój pokój, by mogli porozmawiać na osobności.

– A to co znowu? – spytał Randolph White. – Wydawało mi się, że już odpowiadałem na pytania przedstawicieli uczniów.

– Owszem. Ale Owen to Głos – wyjaśnił dyrektor. – Pan chyba zna taką naszą szkolną gazetę, „The Grave"?

– Wiem, kim on jest – odrzekł pan White. Jak dotąd, nie uścisnął wyciągniętej rączki Owena. – Dlaczego nie przyszedł, kiedy rozmawiałem z innymi uczniami?

– Tamto to była uczniowska podkomisja – ciągnął wyjaśnienia Archie Thorndike. – Owen wystąpił z prośbą o „prywatną audiencję".

– Prośba została odrzucona – odparł Randolph White, potrząsając wreszcie drobniutką dłonią Owena. – Chciałbym mieć jak najwięcej

czasu na rozmowę z szefami wydziałów – oświadczył. Owen roztarł palce, które mu jeszcze drżały od pełnego wigoru uścisku kandydata.

Staruszek Thorny starał się, jak mógł, rozładować sytuację.

– Owen to prawie tak jak szef wydziału – zdobył się na dowcip.

– Opinia ucznia chyba nie ma takiej samej wagi, jak zdanie pracowników, a może się mylę? – spytał White Owena, który nie zdołał wykrztusić ani słowa. White był krępym, elegancko ubranym mężczyzną o przyjemnym wyglądzie. Codziennie ostro i agresywnie grywał w squasha. Żona mówiła na niego „Randy", a on zwracał się do niej „Sam" – skrót od Samantha. Pochodziła z okolic Chicago, z rodziny, która wzbogaciła się na mięsie. On też pochodził z takiej rodziny, choć podobno mięso jej rodziny było bardziej dochodowe. Jeden z chicagowskich brukowców opisał ich ślub jako „ślub magnatów mięsnych". Owen pamiętał z dossier kandydata, że White'owi przypisuje się „zrewolucjonizowanie opakowań i dystrybucji produktów mięsnych". Dopiero niedawno porzucił mięso na rzecz edukacji, kiedy doszedł do wniosku, że jego własnym dzieciom przydałoby się lepsze wykształcenie. Założył zatem szkołę, właściwie od podstaw, która zyskała bardzo dobrą opinię w Lake Forest. Teraz jego dzieci przeszły do college'u i White szukał „większego pola do popisu w edukacji". W Lake Forest zaczynał bez żadnej „tradycji". Ostatnio zaś wymyślił, że miałby ochotę „pozmieniać coś w wielkiej tradycji".

Randy White ubierał się jak biznesmen. Wyglądał niezwykle elegancko obok nieco rozczochranego i wymiętoszonego Archie Thorndike'a. Miał na sobie stalowoszary garnitur w prążki i śnieżnobiałą koszulę. Bardzo lubił cienką złotą szpilkę, która trochę za bardzo ściągała niezwykle wąski kołnierzyk, a tym samym wysuwała doskonale zawiązany węzeł krawata przesadnie do przodu. Położył Owenowi rękę na głowie i zmierzwił mu włosy. Kiedyś, przed sławetnym Bożym Narodzeniem 1953 roku, robiła tak Barb Wiggin.

– Z Owenem porozmawiam, gdy już dostanę tę posadę – oświadczył White staruszkowi Thorny. Uśmiechem skwitował swój dowcip. – Poza tym wiem, jakie są jego wymagania. Chce „przede wszystkim pedagoga, a dopiero potem człowieka, który będzie się zajmował zbieraniem pieniędzy". Zgadza się? – Owen skinął głową,

ale nadal nie zdołał wykrztusić ani słowa. – No więc, powiem ci, Owenie, kim jest dyrektor szkoły. To człowiek odpowiedzialny za podejmowanie decyzji. Ponosi jednocześnie odpowiedzialność za edukację i za zbieranie funduszy, ale przede wszystkim ma podejmować decyzje. – W tym momencie Randy White popatrzył na zegarek. Wprowadził staruszka Thorny'ego z powrotem do dyrektorskiego gabinetu. – Proszę nie zapominać, że muszę zdążyć na samolot. Zwołajmy szefów wydziałów. – I jeszcze zanim Archie Thorndike zamknął za sobą drzwi do gabinetu, Owen usłyszał, co White powiedział. Mój przyjaciel uważa, że Randy chciał, by to usłyszał. – Mam nadzieję, że ten chłopak jeszcze urośnie – i w tym momencie drzwi do gabinetu dyrektora się zamknęły. Przez cały ten czas Głos nie przemówił. Kandydat nie usłyszał ani jednego słowa z ust Owena Meany'ego.

Naturalnie, Duch Przyszłych Wigilii widział już w tym momencie, co się święci. Czasami mam wrażenie, że Owen potrafił zobaczyć całą przyszłość. Pamiętam doskonale, że przepowiedział następstwa wyboru Randolpha White'a. Głos zatytułował swój artykuł w „The Grave" WIELKA WYGRANA. Zaczął od stwierdzenia: CZŁONKOWIE ZARZĄDU LUBIĄ BIZNESMENÓW – CZŁONKOWIE ZARZĄDU SAMI SĄ BIZNESMENAMI! CIAŁO PEDAGOGICZNE TO GRUPA NIEZDECYDOWANYCH, CKLIWYCH PRZECIĘTNIAKÓW, KTÓRYCH DEWIZĄ JEST: „ALE Z DRUGIEJ STRONY...". A TU OTO ZJAWIA SIĘ FACET I MÓWI, ŻE SPECJALIZUJE SIĘ W PODEJMOWANIU DECYZJI. CIEKAWE, KTO TO PRZEŻYJE, KIEDY JUŻ FAKTYCZNIE ZACZNIE JE WPROWADZAĆ W CZYN. NIEDŁUGO ZOBACZYMY, JAKIE WSPANIAŁE DECYZJE CHOWA DLA NAS W ZANADRZU! TERAZ JEDNAK WSZYSTKIM SIĘ WYDAJE, ŻE WŁAŚNIE POTRZEBNY NAM JEST KTOŚ OD DECYZJI – pisał Owen. – GRAVESEND TAK NAPRAWDĘ POTRZEBUJE DYREKTORA O SOLIDNYM WYKSZTAŁCENIU. PRZYGOTOWANIE PANA WHITE'A SPROWADZA SIĘ DO GŁĘBOKIEJ ZNAJOMOŚCI PROBLEMÓW MIĘSNYCH. Dalej następowały inne rzeczy, i to na dodatek znacznie gorsze. Owen sugerował, że ktoś powinien sprawdzić, jakie zasady obowiązują w małych prywatnych szkołach. Czy w szkole pana White'a byli jacyś Żydzi bądź czarni? Pan Early, korzystając z uprawnień doradcy

gazety, zatrzymał tekst. Postanowił wykorzystać swą władzę głównie ze względu na fragment: CIAŁO PEDAGOGICZNE TO GRUPA NIEZDECYDOWANYCH, CKLIWYCH PRZECIĘTNIAKÓW. Dan Needham przyznał panu Early w tym wypadku rację.

– Nie można z góry zakładać, że ktoś jest rasistą czy antysemitą – powiedział Owenowi. – Na to potrzeba dowodów.

Owen miał za złe, że „The Grave" tym razem zajął wobec niego tak zdecydowanie negatywne stanowisko, jednakże wziął sobie mocno do serca radę Dana. Porozmawiał z uczniami, którzy przybyli do Gravesend z Lake Forest. Poprosił, by napisali do rodziców, którzy mogliby zasięgnąć języka, jak wyglądają kryteria rekrutacyjne w szkole pana White'a. Na przykład udając, że zastanawiają się nad wyborem szkoły dla swego dziecka. Mogli nawet spytać prosto z mostu, czy ich dzieci musiałyby się zadawać z czarnymi lub Żydami. Na podstawie dość chaotycznych informacji z drugiej i trzeciej ręki właściwie nie można było wyciągnąć żadnych konkretnych wniosków – rodzice z jednej strony dowiedzieli się, że szkoła w zasadzie nie kieruje się „żadnymi określonymi kryteriami rekrutacyjnymi", ale jednocześnie powiedziano im, iż nie ma w niej ani czarnych, ani Żydów.

Również Danowi Randy White zaprezentował się od dość szczególnej strony. I to kiedy już White'owi zaproponowano posadę. Był cudowny wiosenny dzień – forsycje i bzy rozwinęły się w całej krasie. Dan szedł właśnie przez główny dziedziniec z Randym i jego żoną Sam. Tego dnia była po raz pierwszy w szkole i chciała zobaczyć teatr. Tuż po przyjeździe Randy oświadczył, że decyduje się przyjąć posadę dyrektora. Dan zauważył, że szkoła nigdy nie wyglądała wspanialej. Świeża zieleń trawnika prezentowała się doskonale, choć trawa ścięta dość dawno była lekko przyklapnięta. Bluszcz błyszczał na tle ceglastych budynków, żywopłot zaś z tui i ligustrów, wyznaczający ścieżki na dziedzińcu, ostro kontrastował z nielicznymi jaskrawożółtymi mleczami. Dana nadal bolały palce od uścisku dłoni dyrektora. Popatrzył w łagodny, troszkę nieobecny, roztargniony uśmiech Sam, dość ładnej blondynki.

– Spójrz, kochanie, na te mlecze – odezwał się Randolph White.

– Powinno się je wyrwać z korzeniami – zdecydowanym głosem oświadczyła pani White.

– Owszem, powinno się i zostaną wyrwane!

Dan przyznał się nam później, że w trakcie tej króciutkiej wymiany zdań między państwem White ciarki przeszły mu po plecach.

– Mówisz, że teraz chodzą ci ciarki po grzbiecie. Zaczekaj no tylko, aż on zacznie podejmować decyzje!

Toronto, 13 maja 1987; kolejny prześliczny dzień, słoneczny i chłodny. Pani Brocklebank oraz inni sąsiedzi, którzy wczoraj atakowali mlecze na swoich trawnikach, postanowili również dzisiaj kontynuować walkę. Zapach, jaki unosi się nad Rusell Hill Road oraz Lonsdale Road, przypomina zupełnie swą świeżością wieś. Znowu czytałem „The Globe and Mail", ale tym razem byłem grzeczny i nie przyniosłem gazety do szkoły. Postanowiłem również, że nie będę dyskutować na temat sprzedaży broni dla Iranu oraz przeznaczenia zysku z tego handlu na utrzymywanie nikaraguańskich contras. Albo też podarunku od sułtana Brunei, który miał podobno wspierać partyzantów, jednakże przeznaczona dla nich suma trafiła na niewłaściwe konto w szwajcarskim banku. No cóż, taka drobna „pomyłka" na dziesięć milionów dolarów! „The Globe and Mail" pisze: *Brunei było jedynym krajem, do którego zwrócono się za czasów administracji Reagana o finansowe wsparcie dla contras, kiedy Kongres zabronił wydatkowania na ich rzecz jakichkolwiek funduszy z ramienia rządu USA*. Jednakże w czasie zajęć z angielskiego z klasą trzynastą jak zawsze najmądrzejsza Claire Clooney odczytała tę informację na głos, pytając jednocześnie, czy nie uważam tego zdania za „najbardziej niezręczne pod słońcem"?

Sam zachęcałem dziewczęta do wyszukiwania różnych niezręcznych sformułowań w prasie i odczytywania ich na zajęciach, abyśmy się mogli wszyscy pośmiać. Tyle że ten fragment o „wydatkowaniu jakichkolwiek funduszy" wystarczył, aby gałki oczne ich nauczyciela od angielskiego nabrały pustego odcienia szarości. Wiedziałem jednak, że Claire Clooney tylko próbuje mnie sprowokować. Nie dałem się zwabić w pułapkę.

Jest taki okres w semestrze wiosennym, kiedy umysły uczennic klasy trzynastej skupiają się na czymś zupełnie innym niż lekcje; przypomniałem dziewczętom wczoraj, że nie posunęliśmy się jeszcze dostatecznie daleko w naszej analizie trzeciego rozdziału „Wielkiego Gatsby'ego" oraz że ugrzęźliśmy w bagnie interpretacji „uśmiechu Gatsby'ego dającego pewność i otuchę na zawsze"[11]. Ponadto straciliśmy więcej cennego czasu, starając się pojąć, w jaki sposób Jordan Baker „dzieliła powszechny sceptycyzm". Mógłbym tutaj dodać, że Claire Clooney odczuwa taki powszechny „sceptycyzm", że pomyliła się jej Daisy Buchanan z Myrtle Wilson. Zdobyłem się tutaj na uwagę, że pomylenie żony z kochanką to coś znacznie gorszego niż zwykłe przejęzyczenie. Podejrzewam, iż Claire Clooney jest zbyt mądra na popełnianie błędów tego kalibru i że wczoraj po prostu nie wyszła poza drugi rozdział. Skoro dzisiaj wyczynia takie akrobacje, by zająć mnie czymś innym, zacząłem podejrzewać, że nie skończyła czwartego rozdziału.

– I jeszcze jedno, proszę pana – ciągnęła Claire Clooney swój bezlitosny atak na „The Globe and Mail". – Chciałabym przeczytać drugie najbardziej niezręczne zdanie pod słońcem. Proszę posłuchać: *Prezydent Reagan zaprzeczył wczoraj, jakoby zabiegał o pomoc dla contras wśród krajów trzeciego świata, jak oświadczył w poniedziałek pan McFarlane*. Niezły bełkot, co? Bardzo mi się podoba to „jak oświadczył w poniedziałek pan McFerlane". Tak jakby pluskiewką przypięli do zdania dodatek! – wykrzyknęła.

– To w końcu „jakby przypięli" czy przypięli? – spytałem. Uśmiechnęła się. Pozostałe dziewczęta zachichotały. Nie uda im się sprowokować mnie do tego, by poświęcić czterdziestominutową lekcję na rozmowy o Ronaldzie Reaganie. Ale musiałem trzymać ręce pod biurkiem, a dokładnie pięści. Biały Dom, cała ta banda kryminalistów, ci aroganccy cwaniacy, którzy uważają, że mają prawo działać poza prawem, przynoszą hańbę demokracji, jednocześnie twierdząc, że to, co robią, robią dla demokracji! Powinni się znaleźć za kratkami. Albo w Hollywood!

Wiem, że niektóre z dziewcząt opowiadają swoim rodzicom, jakie to „tyrady" wygłaszam na temat Stanów. Kilkoro rodziców poskarżyło

się z tego powodu dyrektorce i Katherine ostrzegła mnie, bym nie bawił się w politykę w czasie zajęć albo żebym „przynajmniej mówił coś na temat Kanady. Dziewczęta z najstarszej klasy są przeważnie Kanadyjkami".

– Ale ja nic nie wiem o Kanadzie! – odpowiadam jej na to.

– Właśnie – uśmiecha się wielebna Keeling. Nawet śmiejąc się ze mnie, jest bardzo sympatyczna, ale jej uwaga sprawia mi ból. Chociażby dlatego, że z podobnym zarzutem stykam się bez przerwy ze strony kanonika Mackie'ego. „Żyjesz w naszym kraju już od dwudziestu lat. Kiedy w końcu zaczniesz się nami interesować?".

– Mnie się wydaje, że on kłamie – oświadczyła Frances Noyes, uczennica trzynastej klasy. Miała naturalnie na myśli prezydenta Reagana.

– Powinni pociągnąć go do odpowiedzialności! Dlaczego tego nie zrobią? – spytała Debby LaRocca. – Jeśli kłamie, to należy go postawić w stan oskarżenia, jeśli nie – jeśli te wszystkie błazny kierują za niego państwem, to jest za głupi, żeby być prezydentem. W Kanadzie w takiej sytuacji zgłoszono by wotum nieufności i byłoby po nim.

– Aha – przytaknęła jej Sandra Darcy.

– Co pan o tym wszystkim sądzi? – spytała mnie słodkim głosem Adrienne Hewlett.

– Myślę, że niektóre z was nie doszły do końca czwartego rozdziału – odrzekłem. – Co to znaczy, że „nagle spoza zasłony absurdalnego przepychu, którym się otaczał, ukazał się zupełnie inny człowiek"? Kto mi powie, co to znaczy? – spytałem.

Przynajmniej Ruby Newell odrobiła lekcje.

– To znaczy, że Gatsby kupił dom, żeby mieć Daisy po drugiej stronie zatoki; że te wszystkie przyjęcia, jakie urządza, wydaje dla niej. To znaczy, że nie jest wariatem – że zarobił te wszystkie pieniądze i przynajmniej je wydaje dla niej! Żeby zwróciła na niego uwagę! – oświadczyła Ruby.

– Bardzo mi się podoba ten kawałek o facecie, „który zrobił tę machlojkę na Jesiennych Rozgrywkach Baseballowych" – wykrzyknęła Debby LaRocca.

– Meyer Wolfshears – podpowiedziała Claire Clooney.

– ’shiem – poprawiłem ją cicho. – Meyer Wolfshiem.

– Aha – przytaknęła głośno Darcy.

– A mnie się okropnie podoba to, że wymawia „Oggsford” zamiast „Oksford” – dopowiedziała Debby LaRocca.

– Tak, mówi, że Gatsby to taki „facecik z Oggsfordu” – oświadczyła Frances Noyes.

– A ja uważam, że narrator to snob – wypowiedziała swoje zdanie Adrienne Hewlett.

– Nick – odezwałem się cicho. – Nick Carraway.

– Aha – przytaknęła Sandra Darcy. – Ale on jest snobem z założenia, na tym to wszystko polega.

– I kiedy mówi, że jest taki uczciwy, że „należy do niewielu uczciwych ludzi, jakich kiedykolwiek znał”, to chyba nie możemy mu ufać, w każdym razie nie do końca – wtrąciła się Claire Clooney. – Wiem, że to on opowiada tę historię, ale przecież jest jednym z nich – ocenia ich, a jednocześnie jest jednym z nich.

– Ci wszyscy ludzie nie są warci funta kłaków – doszła do wniosku Sandra Darcy.

– Nic niewarci? – spytałem.

– Są bardzo beztroscy – próbowała uściślić Ruby Newell.

– Tak, niewątpliwie.

Te dziewczyny z najstarszej klasy są bardzo bystre. Wiedzą, o co chodzi w „Wielkim Gatsbym”. I wiedzą, co należałoby zrobić ze skorumpowaną administracją Ronalda Reagana. Ale dzisiaj udało mi się na zajęciach doskonale nad sobą zapanować. Swoje wypowiedzi ograniczałem tylko do Gatsby’ego. Poleciłem dziewczętom, aby w kolejnych rozdziałach zwróciły szczególną uwagę na stosunek Gatsby’ego do przeszłości, którą, jego zdaniem, „można przeżyć jeszcze raz”, na to, jak Gatsby opisuje Daisy – i to, że „w jej głosie czuje się pieniądze” – a także jak często Gatsby pojawia się w świetle księżyca (raz, pod koniec rozdziału siódmego „czuwając nad niczym”). Poprosiłem, żeby zastanowiły się nad zbiegiem okoliczności towarzyszącym trzydziestym urodzinom Nicka. Znaczenie zaś zdania: „Przede mną leżała niebezpieczna, nie wróżąca nic dobrego droga następnego dziesięciolecia” może się

okazać dla nich równie zawiłe, jak znaczenie zwrotu „dzieliła powszechny sceptycyzm".

– I nie zapomnijcie o tym, co mówiła Ruby. To bardzo „beztroscy" ludzie. – Dziewczyna uśmiechnęła się. Takiego określenia użył sam Fitzgerald, mówiąc o swoich bohaterach. Ruby wiedziała, że ja wiem, że przeczytała już książkę do końca.

– *Nie przejmowali się niczym...* – pisze autor –*...niszczyli rzeczy i ludzi, a potem wracali do stanu absolutnej beztroski, do swoich pieniędzy, do tego wszystkiego, co trzymało ich razem, i piwo, którego nawarzyli, kazali pić innym...*

W administracji Reagana pełno takich „beztroskich" ludzi – ich beztroska jest niemoralna. A tymczasem prezydent Reagan uważa się za chrześcijanina! Jak śmie! Ci ludzie, którzy dzisiaj ośmielają się twierdzić, że są w komunii z Bogiem... w istocie mogą tylko prawdziwych chrześcijan przyprawić o mdłości. A co sądzicie o tych, którzy głoszą Ewangelię, wykonując cuda za pieniądze? Interpretowanie Ewangelii dla idiotów to grubszy szmal. Równie kosztowni są idioci, którzy ją dla ciebie interpretują. Niektórym hipokryzja pozwala nawet bawić się w damsko-męskie sprawy, które przyprawiłyby o rumieniec wstydu byłego senatora Harta. Może biedny Gary Hart minął się ze swym prawdziwym powołaniem, a może oni wszyscy, to znaczy kandydaci na prezydenta oraz kaznodzieje, są tacy sami? Jednych i drugich można przyłapać ze spuszczonymi gaciami. Prezydenta Reagana też już udało się przyłapać w takiej sytuacji, ale Amerykanie moralnie potępiają jedynie cudzołóstwo. Pamiętacie, że kiedy ojczyzna wykrwawiała się w Wietnamie, ci tutaj w kraju byli oburzeni, że demonstranci mają długie i brudne włosy?

W pokoju nauczycielskim Evelyn Barber, również nauczycielka angielskiego, spytała, co sądzę o artykule na temat pomocy dla contras z „The Globe and Mail". Odparłem, że administracja Reagana wykazała się „powszechnym sceptycyzmem". Kilku kolegów, którzy liczyli, że palnę stosowną mówkę, skwitowało uwagę śmiechem. Z jednej strony narzekają na moje „wieszcze" poglądy polityczne, ale jednocześnie zachowują się jak uczniowie – uwielbiają mnie podpuszczać. Już od dwudziestu lat uczę w szkole. Nie wiem, czy

pomagam młodzieży w osiągnięciu dojrzałości, za to wiem, że to ona przemienia mnie oraz moich kolegów po fachu w nastolatków. My, młodzi, jesteśmy zdecydowanie bardziej złośliwi. My nie zgodzilibyśmy się, żeby Reagan nadal piastował swój urząd.

W pokoju nauczycielskim tematem numer jeden były wybory w szkole. Wybory odbyły się wczoraj i właśnie wczoraj zauważyłem lekkie oznaki niecierpliwego podniecenia w czasie porannego nabożeństwa przed głosowaniem na przewodniczącą. Dziewczęta śpiewały „Synów Boga" z jeszcze większym niż zazwyczaj animuszem. Uwielbiam, kiedy śpiewają tę pieśń! Są tam słowa, które brzmią przekonywająco jedynie w ustach młodych dziewcząt:

Bracia, siostry – jednością jesteśmy!
W nowe życie się wznieśmy;
Duch młodości będzie w nas.
Na wieki po wszy czas!

To Owen Meany nauczył mnie, że w dobrej książce można dostrzec nieustanny ruch – od ogółu do szczegółu, od drobiazgu do całości, i znowu od całości do szczegółu. Dobre czytanie, a także dobre pisanie o lekturze porusza się w tym samym kierunku. To właśnie Owen na przykładzie „Tessy" nauczył mnie, jak pisać prace semestralne, opisując wydarzenia, które określają los bohaterki przez odniesienie go do tego wspaniałego zdania z zakończenia rozdziału XXXVI: „na pustym miejscu zaczynają kiełkować nowe pączki, nieprzewidziane zdarzenia stają w poprzek intencjom, a dawne plany zostają zapomniane". Próba ta zakończyła się dla mnie sukcesem. Dzięki temu, że napisałem pierwszą udaną pracę semestralną o książce, którą przeczytałem, nauczyłem się jednocześnie czytać. Pomoc Owena sprowadziła się do techniki czytania. Doszedł do wniosku, że moje oczy są rozbiegane i uciekają od miejsca, w którym jestem w zdaniu, że zamiast pokazywać sobie to wymykające się następne słowo palcem, powinienem wyodrębniać je na stronie, czytając przez otwór wycięty w kawałku papieru. Było to małe prostokątne okienko – przesuwałem je po stronie. Przez tę

karteczkę widziałem zaledwie dwie, trzy linijki. W ten sposób czytało mi się znacznie szybciej i wygodniej niż dotychczas za pomocą palca. Jeszcze do dzisiaj posługuję się takim właśnie okienkiem.

Owen również o wiele bardziej pomógł mi w ortografii niż doktor Dolder. To za jego namową zacząłem pisać na maszynie. Naturalnie, sama maszyna nie rozwiązuje problemu, widząc jednak słowo wydrukowane, często potrafię stwierdzić, że coś jest nie tak. Kiedy przychodziło do odręcznego pisania, szło mi okropnie, zresztą teraz też. To właśnie Owen namówił mnie, bym czytał mu na głos wiersze Roberta Frosta („czytane moim głosem nie zabrzmią tak dobrze"). I dlatego nauczyłem się na pamięć: „Nic złotem nie pozostaje", „Ogień i lód", a także „Przystając w lesie w śnieżny wieczór". Owen znał na pamięć „Brzozy", ale dla mnie ten wiersz był jednak za długi.

Owego lata 1960 roku, kiedy kąpaliśmy się w opuszczonym jeziorze w kamieniołomach, już nie obwiązywaliśmy się liną ani nie pływaliśmy pojedynczo. Pan Meany albo przestał się przejmować zasadami bezpieczeństwa, albo nie obstawał przy nich aż tak bardzo. Może też doszedł do przekonania, że nie jesteśmy już dziećmi. Mieliśmy z Owenem po osiemnaście lat. Kąpiel w kamieniołomach nie wydawała nam się czymś niebezpiecznym – w niczym zresztą nie dostrzegaliśmy niebezpieczeństwa. Również owego lata zarejestrowaliśmy się jako poborowi – nie było to żadne większe przeżycie, normalka. W wieku szesnastu lat zrobiliśmy prawo jazdy, w wieku osiemnastu – zarejestrowaliśmy się. Wtedy wydawało nam się to równie niegroźne jak jedzenie lodów na Hampton Beach.

W niedzielę, jeśli pogoda nie sprzyjała plażowaniu, graliśmy z Owenem w koszykówkę na sali gimnastycznej Akademii. Dzieciaki ze szkoły letniej realizowały program zajęć sportowych na świeżym powietrzu, a poza tym miały takiego fioła na punkcie ruchu, że nawet jeśli padało, szły na plażę. Tym sposobem mieliśmy boisko do koszykówki tylko dla siebie, a na sali było chłodno. Staruszek portier, który pracował tam w czasie weekendów, znał nas ze szkoły. Wyciągał nam z magazynu piłki do kosza, czyste ręczniki, a czasem nawet pozwalał popływać na krytym basenie. Mam wrażenie, że był troszkę walnięty. Chyba jednak musiał być, bo z zainteresowaniem

przyglądał się, jak ćwiczymy z Owenem ten idiotyczny manewr – wyskok, podniesienie i wrzucenie od góry piłki do kosza.

– Poćwiczmy teraz strzelanie – mówił Owen. Tak to właśnie nazywaliśmy – „strzelanie". Powtarzaliśmy rozegranie setki razy. Łapał piłkę obiema rękami i wskakiwał mi prosto w ramiona (ani na chwilę nie odrywając wzroku od krawędzi kosza). Czasami obracał się w powietrzu i wrzucał piłkę do kosza tyłem. Kiedy indziej wrzucał ją jedną ręką. Ja odwracałem się, by zdążyć jeszcze zobaczyć piłkę w siatce oraz spadającego Owena – ręce miał nadal wzniesione ponad kosz, choć głowę poniżej siatki, i przebierał stopami w powietrzu. Zawsze lądował na ziemi bez kłopotu.

Czasami udawało się namówić staruszka odźwiernego, by nastawił nam stoper. „Proszę ustawić na osiem sekund" – instruował go Owen. W ciągu lata dwukrotnie udało nam się „strzelić" kosza w niecałe pięć sekund. „Proszę ustawić na cztery", mówił Owen, i ćwiczyliśmy. Trudno nam się jednak było zmieścić w czterech sekundach. Kiedy zaczynałem się nudzić, Owen cytował mi urywek z Roberta Frosta: „Nie największe to z przestępstw być brzóz akrobatą"[12].

Karty poborowe znajdujące się w naszych portfelach i kieszeniach były leciutkie jak piórko. Nigdy ich zresztą nie oglądaliśmy. Dopiero w jesiennym semestrze 1960 roku, już za dyrektury White'a, uczniowie Akademii Gravesend znaleźli dla nich właściwe zastosowanie. Naturalnie, odkrycia dokonał Owen Meany. Był w redakcji „The Grave" i eksperymentując z nowiutką fotokopiarką, odkrył, że może zrobić kopię swej karty poborowej, a także czystą kartę, bez nazwiska i daty urodzenia. W New Hampshire picie alkoholu dozwolone jest dopiero od dwudziestego pierwszego roku życia. I chociaż Owen Meany sam nie pił, wiedział, że wielu uczniów Akademii Gravesend lubi zapijać się na umór, mimo że żaden z nich nie ukończył dwudziestego pierwszego roku życia.

Życzył sobie dwadzieścia jeden dolarów za taką kartę. „To magiczna liczba – mówił. – Sam sobie wymyśl, kiedy chcesz mieć urodziny. I nikomu nie mów, skąd to masz. Jak cię złapią, pamiętaj, że się nie znamy".

Wtedy po raz pierwszy złamał prawo, jeśli oczywiście nie liczyć kijanek, ropuch i Marii Magdaleny stojącej na bramce.

Toronto, 14 maja 1987; kolejny słoneczny poranek, ale zapowiada się deszcz.

Prezydent Reagan twierdzi teraz, że jest niezwykle dumny ze wszystkiego, co zrobił na rzecz contras, których nazywa „moralnym odpowiednikiem naszych »ojców-założycieli«". Prezydent przyznał także, że „omawiał" sprawę pomocy dla contras z królem Fahdem z Arabii Saudyjskiej. Zmienił wersję swej wypowiedzi w stosunku do tego, co twierdził dosłownie dwa dni wcześniej. „The Globe and Mail" podkreśla, że to „król poruszył ten temat". Co za różnica, kto poruszył temat? „Z mojego dziennika wynika, że ja go nie poruszałem – oświadczył prezydent. – Wyraziłem tylko zadowolenie, że on to robi". Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym mieć coś wspólnego z Reaganem. Ale oto okazuje się, że i prezydent prowadzi dziennik!

Owen też pisał dziennik.

Oto jak brzmiał pierwszy zapis: OTRZYMAŁEM TEN DZIENNIK NA BOŻE NARODZENIE 1960 ROKU OD MOJEJ DOBRODZIEJKI HARRIET WHEELWRIGHT. UCZYNIĘ WSZYSTKO, ABY PANI WHEELWRIGHT MOGŁA BYĆ ZE MNIE DUMNA.

Chyba ani Dan, ani ja nie myśleliśmy o babci w kategoriach dobrodziejki Owena, choć właściwie kimś takim właśnie była. Owego Bożego Narodzenia 1960 roku Dan, ja, a także babcia, mieliśmy wiele powodów po temu, by odczuwać dumę z powodu Owena. Całą jesień intensywnie pracował.

Nasz nowy dyrektor Randy White też był bardzo zajęty. Absorbowały go decyzje, jakie podejmował na prawo i lewo, Głos zaś nie pozwalał, aby jakikolwiek dyrektorski ruch pozostał bez echa. Pierwszą decyzję podjęła właściwie pani White. Nie podobał się jej dom Thorndike'ów – tradycyjna rezydencja dyrektorów, w której zdążyło już mieszkać ich trzech (dwóch z nich zmarło tam, a staruszek Thorny po przejściu na emeryturę wyprowadził się do swej letniej posiadłości w Rye, gdzie zamierzał przebywać teraz

przez okrągły rok). Jednakże ta tradycyjna siedziba nie dorównywała standardem domowi z Lake Forest, do którego White'owie przywykli. Był to dobrze utrzymany dom w stylu kolonialnym przy Pine Street, niemniej dla White'ów okazał się „za stary", jej zdaniem – „za ciemny", a jego – „znajdował się za daleko od głównego campusu". Poza tym obydwoje uważali, że nie nadaje się do „przyjmowania gości". Popatrz, popatrz, Sam White „lubiła gości".

KOGO TO ZAMIERZAJĄ DO SIEBIE ZAPRASZAĆ? – zapytywał Głos, który bardzo krytycznie odnosił się do tego, co nazywał „społecznymi priorytetami White'ów". I miał rację – decyzja była dość kosztowna. Dla dyrektora wzniesiono nowy dom – i to na samym środku miasteczka uniwersyteckiego. Poza tym, przez całą jedenastą klasę jego budowa szpeciła campus. Doszło do jakichś nieporozumień z architektem albo też pani White zmieniła zdanie w kwestii kilku szczegółów rozplanowania wnętrza już po rozpoczęciu prac. Dlatego budowa ciągnęła się dość długo. Był to raczej prosty, dwupiętrowy budynek NIE HARMONIZUJĄCY Z INNYMI STARYMI GMACHAMI AKADEMII – pisał Owen. Jego lokalizacja też nie była fortunna – rozcinał długi piękny trawnik ciągnący się od starej biblioteki do Gmachu Głównego Akademii.

I tak wkrótce powstanie nowa biblioteka – oświadczył dyrektor. Pracował nad planem rozbudowy obiektów, a wśród projektowanych budynków miałaby się znaleźć nowa biblioteka, dwie nowe bursy, ponadto nowa jadalnia, „a na końcu" nowa sala gimnastyczna, przystosowana do systemu koedukacyjnego. Zdaniem dyrektora, „koedukacja to przyszłość każdej postępowej szkoły".

CZYŻ TO NIE IRONIA – pytał Owen – ŻE TAK ZWANY PLAN ROZBUDOWY ZACZYNA SIĘ OD NOWEGO DOMU DLA DYREKTORA? CZY ZAMIERZA W NIM „GOŚCIĆ" AŻ TYLU WYCHOWANKÓW O WYSOKICH DOCHODACH, BY RUSZYĆ Z POSAD „FUNDUSZ KAPITAŁOWY"? CZY TO WŁAŚNIE TEN DOM MA ZAROBIĆ NA WSZYSTKIE POZOSTAŁE, POCZĄWSZY OD SALI GIMNASTYCZNEJ?

Kiedy w końcu dyrektorska siedziba nadawała się do zamieszkania, wielebnego Merrilla wraz z rodziną przeniesiono z dość ciasnego mieszkanka w bursie do domu byłego dyrektora przy Pine Street. Nie było to najbardziej praktyczne rozwiązanie, skoro budynek znajdował

się dość daleko od kościoła Hurda. Ale ponieważ wielebny Lewis Merrill pracował w szkole od niedawna, musiał z wdzięcznością przyjąć taki ładny stary dom. Tuż po oddaniu tej przysługi panu Merrillowi Randy White podjął następną decyzję. Poranna modlitwa odbywała się co rano w kościele Hurda. Nie było to właściwie nabożeństwo – religijny charakter miały tylko pieśni, które śpiewało się na rozpoczęcie i na zakończenie spotkania, nie mówiąc oczywiście o modlitwie na zakończenie porannych uwag i ogłoszeń. Porannej modlitwy nie prowadził szkolny kaznodzieja; najczęściej roli tej podejmował się sam dyrektor. Czasami któryś z przedstawicieli ciała pedagogicznego wygłaszał jakiś miniwykład ze swojej dziedziny albo jeden z uczniów odczytywał pełen entuzjazmu apel o założenie nowego klubu. Z rzadka zdarzało się coś naprawdę interesującego – przypominam sobie, że raz odbył się pokaz szermierki. Kiedy indziej jakiś były uczeń, który był magikiem, zorganizował specjalnie dla nas występ. Wówczas też w kościele Hurda uciekł jeden z królików i nigdy go nie znaleziono.

Pan White uznał następnie, że kościół Hurda jest zbyt ponurym miejscem na rozpoczynanie dnia. Przeniósł więc nasze poranne apele do teatru w Gmachu Głównym Akademii – do tak zwanej Sali Głównej. Chociaż tam światło poranka bardziej rozświetlało wnętrze, a sama sala była wysoka, miała w sobie jednocześnie coś surowego. Niebotyczne portrety dawnych dyrektorów i nauczycieli o nachmurzonych twarzach i w czarnych akademickich togach spoglądały na nas ponuro. Członkowie ciała pedagogicznego, którzy mieli ochotę uczestniczyć w porannym apelu (co w ich wypadku nie było obowiązkowe jak w naszym), teraz siedzieli na podwyższonym podium i również patrzyli na nas z góry. Przed występami szkolnego teatru scenę przygotowano do sztuki, co powodowało, że przed zaciągniętą kurtyną nauczyciele mieli do dyspozycji jedynie wąziutką przestrzeń. Owen przede wszystkim właśnie to ocenił krytycznie. W kościele Hurda nauczyciele siedzieli w ławkach razem z uczniami, dlatego też chętniej przychodzili. W Wielkiej Sali, kiedy scenę zaaranżowano do jednego z przedstawień Dana, dla nauczycieli można było wystawić zaledwie kilka krzeseł, i to bardzo ich zniechęcało. PODWYŻSZONA SCENA, JASNO OŚWIETLONA

PORANNYM SŁOŃCEM, STANOWI ZBYT „EKSPONOWANĄ” MÓWNICĘ. CZĘSTO TEŻ PROMIENIE PADAJĄ WŁAŚNIE NA OWO MIEJSCE I ODNOSIMY WRAŻENIE, JAKBYŚMY ZNALEŹLI SIĘ W OBECNOŚCI JAKIEJŚ ARCYWYBITNEJ OSOBISTOŚCI. CIEKAWE, CZY TEN EFEKT BYŁ ZAMIERZONY? – zapytywał Głos.

Przyznam się szczerze, że mnie owa zmiana odpowiadała, tak jak zresztą i większości uczniów. Wielka Sala znajdowała się na drugim piętrze Gmachu Głównego Akademii. Można było do niej wejść z dwu stron – z obu prowadziły wielkim łukiem szerokie marmurowe schody oraz potężne podwójne drzwi. Znaczyło to, że nie trzeba było czekać ani przed wejściem, ani przed wyjściem, a wielu z nas i tak już miało wcześniej w tym budynku pierwszą lekcję. W zimie do kościoła Hurda często docierało się z trudem, bo kaplica znajdowała się w pewnej odległości od gmachów z salami lekcyjnymi. Ale Owen obstawał przy tym, że dyrektor się wywyższa i że tak zręcznie wymanewrował wielebnego Merrilla, iż duchowny czułby się niewdzięcznikiem, gdyby się uskarżał. W końcu przecież ma wygodny dom. Nawet jeśli przeniesienie porannej modlitwy z kościoła Hurda oznaczało opuszczenie terytorium wielebnego Merrilla i nawet jeśli Merrill nie był z tego zadowolony, z ust cichego kongregacjonalisty nie usłyszeliśmy ani jednego słowa skargi. Tylko Głos wyrażał się krytycznie.

Okazuje się, że Randy White dopiero się rozgrzewał. W następnej kolejności postanowił znieść obowiązkową łacinę, o co wszyscy (z wyjątkiem nauczycieli łaciny) już od lat błagali. Stare przekonanie, że łacina pomaga w zrozumieniu wszystkich języków, nie znajdowało poklasku poza Wydziałem Łaciny. Nauczycieli tego języka było sześciu – trzech z nich miało jeszcze jakiś rok czy dwa do emerytury. White obliczył, że liczba uczniów na ich zajęciach spadnie o połowę (dla otrzymania zaliczenia należało uczęszczać na lektorat przez trzy lata). Za rok czy dwa zatem pozostanie już tylko tylu nauczycieli łaciny, ilu potrzeba, i wówczas można by zatrudnić nowych pedagogów od bardziej popularnych języków romańskich – francuskiego i hiszpańskiego. W czasie porannej modlitwy, kiedy White obwieścił tę nowinę, rozległy się okrzyki radości. Wkrótce

zaczęliśmy nazywać poranny apel zupełnie inaczej. White mówił na to „poranne spotkanie” i taka nazwa się przyjęła.

Owen wskazywał na niewłaściwy sposób, w jaki White wyrzucił łacinę.

TO NIEZWYKLE SPRYTNY ZABIEG ZE STRONY NOWEGO DYREKTORA, BY PODEJMOWAĆ DECYZJE, DZIĘKI KTÓRYM ZYSKUJE NA POPULARNOŚCI. A CÓŻ MOŻE LEPIEJ SŁUŻYĆ TEMU CELOWI NIŻ ZNIESIENIE JEDNEGO OBOWIĄZKOWEGO PRZEDMIOTU? W TYM WYPADKU ŁACINY. JEDNAKŻE TAKA DECYZJA WINNA BYĆ PODJĘTA DROGĄ GŁOSOWANIA NA ZEBRANIU CAŁEGO CIAŁA PEDAGOGICZNEGO. JESTEM PEWIEN, ŻE GDYBY DYREKTOR ZAPROPONOWAŁ ZMIANĘ, NAUCZYCIELE POPARLIBY TĘ DECYZJĘ. DYREKTOR MA WŁADZĘ, ALE CZY MUSIAŁ TĘ WŁADZĘ DEMONSTROWAĆ W TAKI DZIWACZNY SPOSÓB? MÓGŁ ZREALIZOWAĆ SWOJE ZAMIERZENIE ZA POMOCĄ ZNACZNIE BARDZIEJ DEMOKRATYCZNYCH METOD. CZY MUSIAŁ UDOWADNIAĆ CIAŁU PEDAGOGICZNEMU, ŻE NIE POTRZEBUJE JEGO APROBATY? POZA TYM CZY TO, CO ZROBIŁ, JEST TAK NAPRAWDĘ LEGALNE, TO ZNACZY ZGODNE Z NASZYM STATUTEM BĄDŹ KONSTYTUCJĄ? CZY DYREKTOR MOŻE SAM DOWOLNIE SKREŚLAĆ OBOWIĄZKOWY PRZEDMIOT?

Wtedy po raz pierwszy dyrektor wykorzystał poranne spotkanie, aby publicznie odpowiedzieć Głosowi. Byliśmy mimo wszystko wdzięcznymi słuchaczami.

– Panowie – zaczął White. – Nie znajduję się w takiej uprzywilejowanej sytuacji, żeby co tydzień pisywać w „The Grave”, ale chciałbym wykorzystać tę chwilkę czasu – między hymnami i przed modlitwą – aby wyjaśnić sprawę statutu naszej szacownej szkoły oraz jej konstytucji. W żadnym z tych dokumentów ciało pedagogiczne nie ma żadnej władzy nad wybranym dyrektorem szkoły, który jest przełożonym, to znaczy, głównym członkiem ciała pedagogicznego. Ani statut, ani konstytucja w żaden sposób nie ograniczają swobody podejmowania decyzji przez dyrektora, czyli najważniejszego członka Rady Pedagogicznej. Módlmy się...

Na mocy kolejnej decyzji pana White’a nasz szkolny adwokat, lokalny prawnik, został zastąpiony przez zaprzyjaźnionego adwokata

pana White'a z Lake Forest, niegdyś szefa firmy prawniczej, który wygrał sprawę o zatrucie przeciwko jednemu z większych przetwórców mięsnych w Chicago. Z powodu zatrutego mięsa było wiele przypadków zachorowań, ale adwokatowi z Lake Forest udało się oczyścić z zarzutów firmę mięsną, a także producenta opakowań, i zwalić winę na przedsiębiorstwo transportowe i jego ciężarówki-chłodnie. Za radą owego adwokata Randy White zmienił zasady usuwania uczniów z Akademii Gravesend.

Poprzednio tak zwana Komisja Wykonawcza zapoznawała się ze szczegółami sprawy każdego chłopca, któremu groziło zwolnienie. Komisja formułowała swoją opinię i następnie całe grono pedagogiczne głosowało, czy chłopiec ma odejść, czy zostać. Adwokat z Lake Forest podszepnął dyrektorowi, że szkołę można by zaskarżyć do sądu w wypadku zwolnienia ucznia. Że całe grono pedagogiczne „działało w takim wypadku jak sąd przysięgłych bez dogłębnej znajomości sprawy, jaką miała Komisja Wykonawcza". Zasugerował, że to właśnie Komisja Wykonawcza winna podejmować decyzję o ewentualnym zwolnieniu chłopca i że należy wyłączyć z tego całe grono pedagogiczne. Dyrektor White zaaprobował pomysł i zmiana została nam obwieszczona, podobnie jak wiadomość o zniesieniu obowiązkowej łaciny, na porannym spotkaniu.

CELEM UNIKNIĘCIA EWENTUALNYCH PROCESÓW SĄDOWYCH – pisał Owen Meany – DYREKTOR ZASTĄPIŁ DEMOKRACJĘ OLIGARCHIĄ – LOS CHŁOPCA, KTÓRY ZNALAZŁ SIĘ W TARAPATACH, NIE BĘDZIE JUŻ SPOCZYWAĆ W RĘKACH WIELU, LECZ NIEWIELU. A TERAZ ZASTANÓWMY SIĘ, KIM JEST TA NIELICZNA GRUPA. KOMISJA WYKONAWCZA SKŁADA SIĘ Z DYREKTORA, DZIEKANA DS. STUDENCKICH, DYREKTORA DS. STYPENDIÓW ORAZ CZTERECH CZŁONKÓW GRONA PEDAGOGICZNEGO, A SPOŚRÓD NICH TYLKO DWÓCH ZOSTAŁO WYBRANYCH PRZEZ CAŁE CIAŁO PEDAGOGICZNE. DWÓCH POZOSTAŁYCH MIANUJE DYREKTOR, TO TAK, JAKBY GRAĆ ZNACZONĄ TALIĄ KART. KTO NAJLEPIEJ ZNA CHŁOPCA? JEGO OPIEKUN Z BURSY, JEGO OBECNI NAUCZYCIELE CZY TRENERZY. DOTYCHCZAS CI WŁAŚNIE LUDZIE WYPOWIADALI SIĘ W OBRONIE

CHŁOPCA W CZASIE RADY PEDAGOGICZNEJ BĄDŹ TEŻ CI WŁAŚNIE LUDZIE NAJLEPIEJ WIEDZIELI, ŻE CHŁOPAKA NIE WARTO BRONIĆ. WYDAJE MI SIĘ, ŻE KAŻDY, KTO ZOSTANIE ZWOLNIONY PRZEZ TAKĄ KOMISJĘ, POWINIEN ZASKARŻYĆ DECYZJĘ SZKOŁY DO SĄDU. TOŻ TO NAJLEPSZE PODSTAWY DO WYSTĄPIENIA NA DROGĘ SĄDOWĄ, BO PRZECIEŻ UCZEŃ ZOSTAJE ZWOLNIONY, GDY LUDZIE, KTÓRZY NAJLEPIEJ WIEDZĄ, JAKIE POŁOŻYŁ ZASŁUGI DLA SZKOŁY, NAWET NIE MOGĄ PRZEMÓWIĆ W JEGO OBRONIE. NIE MÓWIĄC JUŻ O GŁOSOWANIU!

OSTRZEGAM WSZYSTKICH – TEN, KTO TRAFI PRZED TĘ KOMISJĘ WYKONAWCZĄ, JEST JUŻ STRACONY. DYREKTOR ORAZ DWAJ WYZNACZENI PRZEZ NIEGO CZŁONKOWIE BĘDĄ GŁOSOWAĆ PRZECIWKO NIEMU. DWAJ CZŁONKOWIE KOMISJI Z WYBORU GŁOSUJĄ ZA NIM, A WIĘC ROZKŁAD GŁOSÓW JEST 3:2. CO W TAKIEJ SYTUACJI ROBIĄ DZIEKAN DS. STUDENCKICH ORAZ DYREKTOR DS. STYPENDIÓW? NIE ZNAJĄ UCZNIA ANI Z SALI LEKCYJNEJ, ANI Z SALI GIMNASTYCZNEJ, ANI Z AKADEMIKA. TAK JAK DYREKTOR, SĄ PRACOWNIKAMI ADMINISTRACYJNYMI. BYĆ MOŻE PRZYCHYLNYM OKIEM SPOJRZY NA NIEGO DYREKTOR DS. STYPENDIÓW, JEŚLI CHŁOPAK OTRZYMUJE STYPENDIUM. WTEDY PRZEGRYWA WYNIKIEM 4:3, A NIE 5:2. TAK CZY SIAK, JEST PRZEGRANY.

SPRAWDŹCIE W ENCYKLOPEDII ZNACZENIE SŁOWA: „OLIGARCHIA”, JEŚLI NIE WIECIE, ŻE TO „FORMA RZĄDU, KTÓRA OZNACZA, ŻE WŁADZA SPOCZYWA W RĘKACH NIEWIELU OSÓB LUB TEŻ UPRZYWILEJOWANEJ KLASY LUB KLIKI; OLIGARCHIA TO RZĄDY MNIEJSZOŚCI”.

Ale w owym okresie uwagę wszystkich absorbowały inne „rządy”. Nawet Owen nie przez cały czas skupiał się na talencie podejmowania decyzji przez nowego dyrektora. Bez przerwy mówiono o Kennedym albo Nixonie. To Owen zaproponował przeprowadzenie na Akademii wyborów na niby. Zorganizował wszystko jak należy, punkt wyborczy umieścił w pomieszczeniu szkolnej poczty. Sam zasiadł za dużym stołem i sprawdzał nazwiska kolejnych uczniów na liście wyborców. Kilku przyłapał na tym, że próbowali głosować dwa razy. Po tych, którzy się ociągali, wysyłał

„umyślnych”. Przez dwa dni cały swój wolny czas między lekcjami spędził przy dużym stole. Nie pozwolił nikomu innemu sprawdzać listy. Głosy były zabezpieczone w zamkniętym pudle, które – jeśli Owen sam nie mógł go pilnować – trzymał w gabinecie dyrektora ds. stypendiów. Siedział za stołem z olbrzymim znaczkiem w klapie sportowej marynarki – prawie tak dużym jak piłka baseballowa:

Tylko J F K
Przyszłość ci da!

Chciał, żeby wybrano katolika!

– To nie są żadne jaja – mówił głosującym. – Jeśli jesteście takie dupki, że chcecie głosować na Nixona, to pamiętajcie, że i wasz głos zostanie policzony, tak jak każdy inny.

Kennedy wygrał, ale minimalnie. Głos zaś przepowiadał, że prawdziwe głosowanie, to w listopadzie, będzie dla niego jeszcze trudniejsze. Jednakże Owen był przekonany, że Kennedy wygra, i że powinien wygrać.

W TYCH WYBORACH MŁODZI MOGĄ CZUĆ SIĘ UCZESTNIKAMI – oświadczył Głos. I faktycznie, mimo że obaj z Owenem byliśmy zbyt młodzi, by głosować, czuliśmy, że spływa na nas cząstka tego młodzieńczego „wigoru”, jaki reprezentował Kennedy. JAK BY TO BYŁO MIŁO MIEĆ PREZYDENTA, Z KTÓREGO LUDZIE PONIŻEJ TRZYDZIESTKI BY SIĘ NIE ŚMIALI! PO CO GŁOSOWAĆ NA MARNĄ NAMIASTKĘ EISENHOWERA, SKORO MOŻEMY MIEĆ KENNEDY’EGO?

Dyrektor ponownie czuł się zobowiązany odpowiedzieć na dziennikarskie zapędy Głosu na porannym spotkaniu.

– Ja jestem republikaninem – poinformował nas Randy White. – Pozwalam sobie zabrać państwu odrobinę czasu po to tylko, byście nie myśleli, że „The Grave” przedstawia republikanów choćby z odrobiną obiektywizmu w kontekście euforii z powodu minimalnego zwycięstwa Johna Kennedy’ego, chociaż mam nadzieję, że nastrój uniesienia już powoli opada. Nie dziwię się, że taki tryskający młodością kandydat wielu z was oczarował swoim „wigorem”, ale na szczęście los kraju nie spoczywa w rękach młodzieży, która jest

jeszcze za młoda, by móc głosować. Być może Richard Nixon nie proponuje nic równie atrakcyjnego z waszego punktu widzenia, jednakże wybory prezydenckie to nie regaty ani konkurs piękności, rozgrywany przez żony kandydatów.

– Jestem republikaninem z Illinois – oświadczył dyrektor. – A Illinois, jak sami wiecie, to ojczyzna Lincolna.

– ILLINOIS TO OJCZYZNA ADLAIA STEVENSONA – pisał potem Owen. – O ILE WIEM, ADLAI STEVENSON MIESZKAŁ W ILLINOIS NIEDAWNO, W PRZECIWIEŃSTWIE DO ABRAHAMA LINCOLNA. I O ILE WIEM, ADLAI STEVENSON JEST DEMOKRATĄ I NADAL ŻYJE.

A o ile ja się orientuję, ta drobna różnica poglądów podsunęła Randy'emu White'owi pomysł na kolejną decyzję. Nastąpiła zmiana na stanowisku doradcy „The Grave" z ramienia Akademii – na miejsce pana Early przyszedł sam White, Głosowi groził więc teraz znacznie bardziej niechętny cenzor niż dotychczas.

– Powinieneś być ostrożny – radził mu Dan.

– Pilnuj swego tyłka, stary – brzmiała moja rada.

Był bardzo chłodny wieczór po Bożym Narodzeniu, kiedy Owen wjechał pomidorowoczerwoną ciężarówką na parking na tyłach parafialnej szkoły Świętego Michała. Oświetlił reflektorami boisko, które kilka dni wcześniej zalały potoki zupełnie nietypowego jak na tę porę roku deszczu; teraz, zamarznięte, przypominało czarny błyszczący staw.

– Jaka szkoda, że nie mamy łyżew – westchnął Owen. Na krańcu gładkiej połaci lodu figura Marii Magdaleny niczym na bramce błyszczała w świetle reflektorów. – Jaka szkoda, że nie mamy kijów do hokeja i krążka! – odezwał się znowu po chwili. W budynku, w którym mieszkały zakonnice, rozbłysło jedno światło, potem drugie. Potem zapaliło się również światło na ganku, skąd wyszły dwie zakonnice i spojrzały w stronę naszych reflektorów.

– Widziałeś kiedyś pingwina na lodzie? – spytał Owen.

Może dzisiaj lepiej dać sobie spokój – poradziłem mu. Zawrócił więc i ruszyliśmy w kierunku domu babci. W Kinie Nocnym leciała

kreskówka. Na tym etapie naszego życia byliśmy z Owenem zdania, że dobre filmy to jedynie te naprawdę kiepskie.

Nigdy nie pokazywał mi, co pisze w dzienniku – przynajmniej nie wtedy. Ale począwszy od Bożego Narodzenia często go ze sobą nosił. Wiem, ile dla niego znaczył, ponieważ w nocy trzymał dziennik na szafce przy łóżku, tuż obok egzemplarza poezji Roberta Frosta i pod strażą manekina krawieckiego mojej mamy. Jeśli nocował ze mną u babci albo u Dana, zawsze przed zgaszeniem światła spisywał tam swoje uwagi.

Pamiętam, z jak ogromnym ożywieniem skrobał coś wieczorem po zaprzysiężeniu prezydenta Kennedy'ego. Było to w styczniu 1961 roku. Błagałem go, żeby wreszcie zgasił lampkę, ale on pisał i pisał, i w końcu zasnąłem przy zapalonym świetle – nawet nie wiem, kiedy skończył. Telewizyjne sprawozdanie z zaprzysiężenia oglądaliśmy na Front Street. Byli razem z nami Dan i babcia i chociaż babcia marudziła, że prezydent jest „zbyt młody i zbyt przystojny", że wygląda „jak gwiazdor filmowy", że „powinien nosić kapelusz", to Kennedy był pierwszym demokratą, na jakiego głosowała Harriet Wheelwright, i podobał się jej. My z Danem i Owenem po prostu za nim szaleliśmy.

W Waszyngtonie i w Gravesend był jasny, zimny i wietrzny dzień.

– Szkoda, że pogoda nie jest najlepsza – zauważył Owen.

Powinien nauczyć się chodzić w kapeluszu, przecież by od tego nie umarł – skrytykowała Kennedy'ego babcia. – Przy takiej pogodzie gotów wyjść śmierci naprzeciw.

Owen jeszcze bardziej zaczął to wszystko przeżywać, gdy nasz stary przyjaciel Robert Frost zabrał się do czytania swojego wiersza z okazji zaprzysiężenia. Może to z powodu wiatru, może Frostowi łzawiły oczy na zimnie albo też raziło go słońce, a może całkiem po prostu miał kiepski wzrok – w każdym razie wyglądał na bardzo słabowitego człowieczka i nie mógł sobie poradzić z odczytaniem własnej poezji.

Ten kraj był nasz, nim my staliśmy się jego – zaczął Frost. Był to „Dar całkowity" i Owen znał go na pamięć.

– Niech mu ktoś pomoże! – krzyknął Owen, kiedy Frost zaczął zmagać się z oporem materii. Ktoś mu nawet faktycznie próbował

pomóc – albo sam prezydent, albo pani Kennedy, już nie pamiętam.

Jednakże pomoc nie na wiele się zdała i Frost dalej walczył z wierszem. Owen próbował mu podpowiadać, ale poeta nie mógł dosłyszeć Głosu – z Gravesend było trochę za daleko. Owen deklamował z pamięci. Lepiej pamiętał wiersz niż jego autor.

I słabi tym, czego odmawialiśmy,
Aż zrozumieliśmy, że to nas samych
Wzbraniamy ziemi, w której żyć nam dano,
I stąd zbawienie znaleźliśmy
W poddaniu[13].

To był ten sam głos, który podpowiadał rolę Aniołowi osiem lat temu. Dzieciątko Jezus znowu przemówiło ze żłóbka.

– Na Boga! Dlaczego nikt mu nie pomoże? – wykrzyknął zrozpaczony Owen.

Ogromne wrażenie za to wywarło na nas przemówienie prezydenta. Owen przysłuchiwał mu się z zapartym tchem, a później coś tam pisał w dzienniku do wczesnych godzin rannych. Kilka lat później, już po wszystkim, miałem przeczytać to, co wówczas zanotował. Wtedy wiedziałem tylko, że jest niezwykle ożywiony, że czuje, iż Kennedy zmienił dla niego cały świat.

KONIEC Z MISTRZAMI SARKAZMU – napisał w dzienniku. – KONIEC Z CYNICZNYM, NEGATYWNYM, SPRYCIARSKIM GÓWNIARSTWEM DOROSŁYCH! MOŻNA SŁUŻYĆ KRAJOWI, NIE BĘDĄC GŁUPKIEM. MOŻNA BYĆ POŻYTECZNYM, NIE DAJĄC SIĘ JEDNOCZEŚNIE WYKORZYSTYWAĆ – ODCINAJĄC SIĘ OD STARUCHÓW I ICH PRZESTARZAŁYCH POGLĄDÓW. – Zanotował jeszcze całe mnóstwo innych rzeczy. Jego zdaniem, Kennedy był człowiekiem religijnym i – co zadziwiające – nie przeszkadzało mu, że to katolik. – WIERZĘ, ŻE JEST ZBAWCĄ. NIEWAŻNE, ŻE TO MAKRELARZ – MA W SOBIE COŚ, CZEGO NARÓD POTRZEBUJE.

W czasie zajęć z Pisma Świętego Owen spytał wielebnego Merrilla, czy nie uważa, że Kennedy jest dokładnie tym, co Izajasz ma na

myśli, mówiąc *naród kroczący w ciemności ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło.*

– Pamięta pan to?

– No cóż, Owen – odrzekł pan Merrill ostrożnie. – Przypuszczam, że Izajaszowi podobałby się John Kennedy. Nie do końca jednak jestem przekonany, czy Kennedy to „właśnie to, co Izajasz miał na myśli", jak mówisz.

– *Albowiem dziecię nam się narodziło* – cytował dalej Owen. – *Na jego barkach spoczęła władza*. Pamięta pan?

Ja pamiętam. Pamiętam też, że jeszcze długo po zaprzysiężeniu Kennedy'ego Owen cytował mi fragment przemówienia prezydenta: „Nie pytaj, co twój kraj może zrobić dla ciebie. Spytaj, co ty możesz zrobić dla swego kraju".

Pamiętacie to?

7 Przekład Józefa Paszkowskiego.

8 Ivy League – grupa college'ów w płn.-wsch. części USA tworzących ligę sportową (przyp. tłum.).

9 Wszystkie fragmenty w przekładzie Róży Czekańskiej-Heymanowej (przyp. tłum.).

10 Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny.

11 Wszystkie fragmenty w przekładzie Ariadny Demkowskiej-Bohdziewicz.

12 Przekład Leszka Elektorowicza.

13 Przekład Ludmiły Marjańskiej.

SEN

W ostatniej klasie Akademii mieliśmy z Owenem po dziewiętnaście lat, co najmniej o rok więcej niż nasi koledzy. I wtedy mój przyjaciel wyraził jasno to, co symbolicznie chciał mi przekazać, kiedy jako jedenastolatek okaleczył pancernika.

– Bóg zabrał twoją matkę – zaczął, gdy miałem dosyć ćwiczenia strzałów do kosza. Byłem przekonany, że nigdy nie uda mu się wsadzić piłki w mniej niż cztery sekundy, i całe te próby nudziły mnie śmiertelnie. – Narzędziem były moje ręce – dodał. – Bóg zabrał moje ręce. Jestem jego narzędziem.

Mogłem jeszcze zrozumieć, że coś takiego myślał w wieku jedenastu lat – kiedy niespodziewany skutek tej fatalnej piłki zaszokował nas obu i kiedy niewypowiedziana zniewaga, która spotkała jego rodziców, wprowadziła w religijny światopogląd Owena zamęt i bunt. Ale nie gdy miał lat dziewiętnaście! Beznamiętny ton, jakim oznajmił, że Bóg zabrał jego ręce (co za szalone przekonanie!), wprawił mnie w takie zdumienie, że kiedy skoczył mi w ramiona, po prostu go upuściłem. Piłka potoczyła się dalej. Owen zaś, jak upadły anioł, trzymając się za kolano, skręcone na skutek upadku, i wijąc po podłodze sali gimnastycznej tuż pod koszem, nie zanadto przypominał narzędzie Boga.

– Jeśli jesteś narzędziem Boga, to po co ci moja pomoc w tym wsadzaniu piłki do kosza?

Tego dnia, podczas ferii Bożego Narodzenia 1961 roku, byliśmy sami na sali gimnastycznej, z wyjątkiem naszego starego przyjaciela (a zarazem i jedynego widza) – trochę niedorozwiniętego woźnego; gdy Owen poważnie ćwiczył strzał do kosza, obsługiwał on zegar sędziowski. Szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywał. Częstokroć był to jedyny woźny na dyżurze w trakcie szkolnych wakacji oraz

letnich weekendów i panowało powszechne mniemanie, iż jest opóźniony w rozwoju albo ma „uszkodzony mózg”. Owen słyszał kiedyś, że w czasie wojny woźny doznał „szoku na skutek ostrzału artyleryjskiego”. Tak naprawdę, to nie wiedzieliśmy nawet, której wojny, nie mieliśmy też pojęcia, co to takiego „szok na skutek ostrzału artyleryjskiego”.

Owen siadł na boisku, rozcierając kolano.

– Słyszałeś chyba, że wiara może góry poruszać. Tyle że ty nie masz żadnej wiary.

– A ty masz fioła – odparłem, łapiąc piłkę. – Przecież to szaleństwo, żeby ktoś w twoim wieku i z twoim wykształceniem uważał się za narzędzie Boga!

– Ach, zapomniałem, że rozmawiam z człowiekiem odpowiedzialnym.

Zaczął nazywać mnie Człowiekiem Odpowiedzialnym jesienią 1961, kiedy zaangażowaliśmy się w udrękę ostatniego roku, zwaną w skrócie: podania – wstępne rozmowy przed przyjęciem do college’u. Ponieważ podanie złożyłem do jednego tylko uniwersytetu stanowego, Owen uznał, że całkowicie nieodpowiedzialnie podchodzę do sprawy własnego doskonalenia. Naturalnie, on złożył podania na Harvard i Yale. Jeśli zaś chodzi o uniwersytety stanowe, to Uniwersytet New Hampshire zaofiarował mu tak zwane stypendium Towarzystwa Honorowego, tyle że Owen nawet nie raczył się tam ubiegać o przyjęcie. Każdego roku Towarzystwo przyznawało specjalne stypendium najlepszemu uczniowi średniej bądź przygotowawczej szkoły w całym stanie. Oczywiście trzeba było być mieszkańcem stanu od urodzenia; i stypendium zazwyczaj otrzymywał dzieciak ze średniej szkoły państwowej – najlepszy w klasie maturalnej. Owen był prymusem w najstarszej klasie Akademii Gravesend i po raz pierwszy takie wyróżnienie spotkało mieszkańca New Hampshire: „We współzawodnictwie z najlepszymi w kraju zwycięża nasz krajan z Gravesend!” – głosił nagłówek w „The Gravesend News-Letter”. Całą tę historię przedrukowało wiele gazet stanowych. Na Uniwersytecie New Hampshire nigdy nie wyobrażano sobie, że Owen przyjmie stypendium. W istocie Towarzystwo Honorowe co roku przyznawało stypendium „najlepszemu” w New

Hampshire, mając przykrą świadomość, że stypendysta prawdopodobnie pójdzie do Harvardu czy Yale bądź do jakiejś innej „lepszej” szkoły. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że Owen zostanie przyjęty na Harvard czy Yale i otrzyma tam pełne stypendium. Jedynym powodem, dla którego mógłby przyjąć stypendium Uniwersytetu New Hampshire, była Hester, tylko po co? Owen zacząłby swą uniwersytecką karierę jesienią 1962, Hester zaś rok później kończyła studia.

– Mógłbyś przynajmniej spróbować dostać się na lepszy uniwersytet.

Nie prosiłem go, by zarzucił myśl o pójściu na Harvard czy Yale tylko po to, żeby mi dotrzymać towarzystwa na Uniwersytecie New Hampshire. Uważałem, że to nie fair z jego strony, by oczekiwał ode mnie całej tej krzątaniny i zamieszania ze składaniem podań do Harvardu czy Yale tylko po to, żebym otrzymał odmowę. Chociaż Owenowi udało się stopniowo poszerzyć moje uczniowskie umiejętności, to jednak w bardzo niewielkim stopniu podciągnął przeciętne wyniki w nauce, jakie osiągałem. Po prostu nie nadawałem się na Harvard czy Yale. Z historii i angielskiego szło mi dobrze – czytałem wolno, choć dokładnie, i potrafiłem napisać nieźle skonstruowany esej, który dawało się jakoś przeczytać. Natomiast w matematyce i naukach przyrodniczych pomoc Owena była nadal nieodzowna, z trudem też przedzierałem się przez języki obce. Jako student nigdy nie będę tym, kim Owen – prymusem. Niemniej złościł się na mnie, że pogodziłem się z faktem, iż nie stać mnie na nic lepszego niż Uniwersytet New Hampshire. Prawdę powiedziawszy, Uniwersytet New Hampshire bardzo mi się podobał. Durham nie kryło w sobie więcej zagrożeń niż Gravesend, a poza tym leżało na tyle blisko mego rodzinnego miasta, że mógłbym często widywać się z Danem i babcią, a nawet nadal z nimi mieszkać.

– Jestem pewien, że także wyląduję w Durham – oznajmił Owen z ledwo wyczuwalną nutką litości nad sobą, ale i to wystarczyło, by mnie doprowadzić do szału. – No bo przecież sam sobie nie dasz rady.

– Doskonale sobie poradzę. I będę cię odwiedzał na Harvardzie lub Yale.

– Nic z tego nie wyjdzie. Poznamy nowych ludzi i nasze drogi się rozejdą. Tak już w życiu jest – dodał filozoficznie. – A ty nie pisujesz listów, nawet nie prowadzisz dziennika.

– Jeśli obniżysz loty i pójdziesz na Uniwersytet New Hampshire ze względu na mnie, to cię zabiję.

– Nie można tu pominąć również moich rodziców. Gdybym studiował w Durham, to mógłbym mieszkać w domu i się nimi opiekować.

– A po co? – Wydawało mi się, że z rodzicami spędza akurat najmniej czasu.

– Jest jeszcze Hester.

– Chciałbym ustalić jedno. Ty i Hester to chodzicie ze sobą, to znów przestajecie. Czy z nią sypiasz? Czy kiedykolwiek się z nią przespałeś?

– Jak na kogoś w twoim wieku i z twoim wykształceniem, zachowujesz się bardzo niedelikatnie.

Schodząc z boiska utykał. Podałem mu piłkę – odrzucił ją z powrotem. Nasz głupawy woźny ustawił na nowo stoper; olbrzymie cyfry świeciły jaskrawo.

00:04

Tyle mówił zegar. Miałem już tego wszystkiego dość!

Trzymałem piłkę. Owen wyciągnął ręce.

– Gotów? – Na dźwięk tego słowa woźny wcisnął stoper. Podałem piłkę Owenowi, który wskoczył mi na ręce. Unosiłem go coraz wyżej, aż obracając się w powietrzu wepchnął tę kretyńską piłkę do kosza. Ruchy miał cholernie precyzyjne – ani razu nie dotknął obręczy.

Woźny zatrzymywał stoper, kiedy Owen, nadal w powietrzu, z rękoma wyciągniętymi nad głową, choć już bez piłki i ze wzrokiem utkwionym w zegar na środku boiska, krzyczał: „czas”.

Wtedy odwracałem się, by spojrzeć na zegar. Zwykle nie zdążaliśmy.

00:00

Ale tym razem została nam jedna sekunda.

00:01

Wsadził piłkę do kosza w czasie poniżej czterech sekund!

– A widzisz, że odrobina wiary może wiele zdziałać! – zauważył Owen Meany. Ten idiota woźny nie posiadał się z radości. – Ustaw stoper na trzy sekundy – polecił mój przyjaciel.

– O Boże! – wyrwało mi się.

– Jeśli udało nam się w niecałe cztery sekundy, to uda się i w trzy. Trzeba tylko trochę więcej wiary.

– I trochę więcej wprawy – zauważyłem poirytowany.

– Wiara wystarczy.

W 1961 roku naszą przyjaźń po raz pierwszy zmąciły kłótnie i niesnaski. Na serio posprzeczaliśmy się jesienią, kiedy wróciliśmy na ostatni rok zajęć do Akademii. Można powiedzieć, że to właśnie jeden z przywilejów, jakimi cieszyli się uczniowie najstarszej klasy w Gravesend, był przyczyną sporu, który ochłodził nasze stosunki. W środowe bądź sobotnie popołudnia – nie było wtedy zajęć – mieliśmy prawo jeździć pociągiem do Bostonu. Uprzedziwszy dziekanat o celu naszej wyprawy, mogliśmy wrócić do Gravesend pociągiem linii Boston & Maine dopiero o dziesiątej wieczorem tego samego dnia. Ponieważ Owen i ja mieszkaliśmy poza Akademią, tak naprawdę nie musieliśmy stawić się w szkole przed czwartkiem rano bądź niedzielnym nabożeństwem w kościele Hurda, gdybyśmy udali się do Bostonu w sobotę.

Nawet w sobotę jednak Dan i babcia krzywili się na myśl o tym, że przyszłoby nam spędzić większą część nocy w tym „przerażającym" mieście. O drugiej nad ranem z Bostonu odchodził tak zwany „mleczarz", który po drodze do Gravesend zatrzymywał się w każdym dosłownie mieście i do domu dowoził nas dopiero o wpół do siódmej (mniej więcej o tej porze otwierała swoje podwoje szkolna jadalnia). Zarówno jednak babcia, jak i Dan uważali, że takie „szaleństwa" powinny ograniczać się jedynie do wyjątkowych sytuacji. Ponieważ państwo Meany sami nie stawiali Owenowi żadnych wymagań, mój przyjaciel z zadowoleniem stosował się do ograniczeń, jakie narzucali mi Dan i babcia.

Wcale natomiast nie odpowiadał mu sposób, w jaki większość uczniów ostatniej klasy Gravesend spędzała czas w tym

„przerażającym” mieście. Wielu absolwentów Akademii szło na Harvard. Uczniowie zaczynali więc typowy wypad od przejażdżki metrem do Harvard Square, gdzie posługując się fałszywą kartą poborową czy korzystając z pomocy starszego absolwenta Gravesend, który już studiował na Harvardzie, zakupywali duże ilości alkoholu i równie duże ilości konsumowali. Czasami – chociaż rzadko – zdarzało się, że spotykali się z dziewczynami. Pokrzepieni dzięki absolwentom (ale nigdy w towarzystwie dziewcząt), uczniowie starszych klas wracali metrem do Bostonu, gdzie po raz kolejny oszukując, że są starsi, udawali się do lokalu „U Starego Freda”, by obejrzeć striptiz, stanowiący jedną z ulubionych rozrywek naszego rocznika.

W tym rytuale inicjacji nie widziałem nic zdrożnego. Mając dziewiętnaście lat nadal byłem prawiczkiem. Caroline O’Day nie przyzwalała na zakusy mojej dłoni – w każdym razie nie wyżej niż cal od obrąbka plisowanej spódniczki czy gumki dobranych do stroju podkolanówek w kolorze burgunda. I chociaż Owen mój brak sukcesów na tym polu tłumaczył jedynie katolicyzmem Caroline – zwłaszcza ten jej mundurek od Świętego Michała – wcale nie poszło mi lepiej z Lorną – córką szefa policji Bena Pike’a – która nie była katoliczką i nie miała na sobie żadnego mundurka, kiedy zaplątałem się wargami w jej podwiązki. Niewykluczone, że podziałała na nią odpychająco krew bądź ból, jaki poczułem – a może jedno i drugie. Dla dziewiętnastolatka pożądanie – nawet w jego najbardziej wulgarnych formach, jakich można doświadczyć „U Starego Freda” – oznaczało przynajmniej jakieś przeżycie, i jeśli wraz z Owenem zdobywaliśmy pierwsze wyobrażenie o miłości w kinie „Idaho”, to nie widziałem nic zdrożnego w pożądaniu, jakie rozbudzały w nas występy panienek. Owen chyba nie był prawiczkiem, no bo jakim cudem mógłby się uchować w towarzystwie Hester? Uważałem więc, że to czysta hipokryzja z jego strony, kiedy to, co się dzieje w lokalu „U Starego Freda”, nazywał obrzydliwym i poniżającym.

Mając dziewiętnaście lat, popijałem rzadko i wyłącznie po to, by zakosztować „dorosłej” przyjemności bycia pijanym. Owen Meany w ogóle nie pił – uważał, że nie należy tracić nad sobą kontroli. Co więcej, przesłanie inauguracyjnego przemówienia Kennedy’ego –

zrobić coś dla swego kraju – interpretował w typowo jednostronny i dosłowny sposób. Przestał fałszować karty powołania do wojska, tak jak i podrabiać dowody tożsamości, które pomagały naszym rówieśnikom uczestniczyć w niedozwolonym w tym wieku piciu i występach striptizerek. Sprawę swojej decyzji stawiał jasno.

– Fałszywe karty powołania są czymś złym – zawyrokował.

Nic więc dziwnego, że trzeźwi spacerowaliśmy sobie po placu Harvarda – tej części Cambridge, która niekoniecznie słynie z abstynencji. Na trzeźwo szukaliśmy naszych dawnych kolegów z Akademii Gravesend i – na trzeźwo – wyobrażałem sobie środowisko harvardzkie (oraz przemiany moralne, jakim mogłoby ulec), gdyby Owen Meany zamieszkał tam na stałe. Jeden z naszych dawnych kolegów powiedział nam nawet, że Harvard oglądany na trzeźwo działa przygnębiająco. Owen upierał się jednak, by nasze wycieczki do tego okropnego miasta miały charakter beznamiętnie przeprowadzanych, obiektywnych badań – no i tak właśnie było.

Oglądanie na trzeźwo występów striptizerek w lokalu „U Starego Freda" stanowiło niezgorszą torturę. Na te kobiety mógłby chyba spokojnie patrzeć jedynie ślepy pijaczyna. Owen podrobił nasze karty poborowe jeszcze przed swym szlachetnym, inspirowanym przez Kennedy'ego postanowieniem, by nie łamać prawa, za ich pomocą mogliśmy więc się dostać do „Starego Freda".

– To obrzydliwe – skomentował Owen.

Przyglądaliśmy się, jak cycata czterdziestolatka ściąga zębami majtki i wypluwa je na napaloną publiczność.

– Poniżające – dodał.

Następnie oglądaliśmy kolejną nieszczęśnicę próbującą podnieść z brudnej podłogi mandarynkę. Chwytając owoc wargami sromowymi, uniosła go prawie na wysokość kolan, ale dalej ani rusz. Po chwili mandarynka wypadła i stoczyła się ze sceny, wpadając w tłum widzów, gdzie kilku naszych szkolnych kolegów się o nią pobiło. Oczywiście mogło się to wydawać obrzydliwe i poniżające – bo byliśmy trzeźwi!

– Chodźmy gdzieś, gdzie będzie przyjemniej – zaproponował Owen.

– Po co?

– Żeby sobie popatrzeć.

Wydaje mi się teraz, że większość uczniów najstarszych klas w Akademii Gravesend dorosła właśnie w przyjemnych dzielnicach miasta. Niezależnie jednak od innych ważnych powodów, jakie nim kierowały, Owen Meany naprawdę chciał zobaczyć, jak one wyglądają.

Tak więc pewnego środowego popołudnia jesienią 1961 roku wylądowaliśmy na Newbury Street. Teraz już wiem, że znaleźliśmy się tam nieprzypadkowo.

Na Newbury Street jest parę galerii, a także kilka bardzo eleganckich sklepów z kosztownymi antykami oraz magazynów z wyszukaną odzieżą. Za rogiem, przy Exeter Street, znajduje się kino, gdzie szedł zagraniczny film, zupełnie różny od tych, jakie zazwyczaj wyświetlano w pobliżu „Starego Freda". W kinie przy Exeter Street leciały filmy, które trzeba czytać – z napisami.

– O, Boże! – jęknąłem. – Co my tutaj będziemy robili?

– Jesteś taki niespostrzegawczy – skomentował moje pytanie Owen.

Przyglądał się manekinowi na wystawie sklepowej, który, co dziwne, nie miał twarzy i był łysy, przez co wyglądał niezwykle awangardowo. Manekin miał na sobie jedwabną bluzkę do bioder w kolorze ognistej czerwieni. I nic więcej. Owen nie mógł oderwać od niego wzroku.

– Cudownie! – zauważyłem z ironią. – Dwie godziny jazdy pociągiem tutaj i drugie tyle, by wrócić do domu – a ty stoisz i gapisz się na kolejny manekin krawiecki! Jeśli ci tylko o to chodzi, to nie musisz się ruszać ze swojej sypialni!

– Czy nic ci to nie przypomina?

„Jerrold's" – głosił jaskrawoczerwony odręczny napis na szybie.

– Jerrold's? – zapytałem. – I co miałoby mi to przypominać?

Wsunął drobną dłoń do kieszeni i wyciągnął metkę, którą oderwał od starej czerwonej sukienki mojej mamy. Tak naprawdę była to czerwona sukienka manekina, ponieważ mama jej nie cierpiała. Napis na metce rzeczywiście był taki sam jak na witrynie.

Wnętrze magazynu pełne było ognistej czerwieni w odcieniu poinsecji.

– Mama mówiła przecież, że ten sklep się spalił, prawda? – zapytałem Owena.

– Mówiła także, że nie pamięta jego nazwy, że musiała pytać ludzi w sąsiedztwie. Ale nazwa widnieje przecież na metce, która była przyszyta do sukienki.

Poruszony, przypomniałem sobie opinię ciotki Marty, że moja mama była osobą nieskomplikowaną. Za to nikt nigdy nie zarzucał jej kłamstwa.

– Podobno spotkała tam jakiegoś prawnika, który jej powiedział, że może zatrzymać sukienkę. Mówiła, że wszystko się spaliło, prawda?

– Mówiła, że spaliły się rachunki, spis towarów i że towary też spłonęły.

– Że telefon się stopił, pamiętasz?

– I kasa.

– Pewnie po pożarze wszystko odbudowano – zauważyłem. – Albo chodziło o inny sklep, może była ich cała sieć.

Nie odezwał się ani słowem. Obydwaj uważaliśmy, że zainteresowanie klienteli czerwonym kolorem chyba nie było dostatecznie głębokie, by tworzyć całą sieć magazynów tej firmy.

– Skąd wiedziałeś, że to ten sklep?

– Natrafiłem na ogłoszenie w niedzielnym wydaniu „Boston Herald". Szukałem różnych śmiesznostek i rozpoznałem charakter pisma – taki sam jak na metce.

Och, jakie to typowe dla Owena! Prawdopodobnie przyglądał się metce na czerwonej sukience mamy przez tyle lat, że sam mógł w identyczny sposób napisać „Jerrold's".

– Na co czekamy? – spytał Owen. – Dlaczego nie wejdziemy do środka i nie zapytamy, czy wybuchł tu kiedyś pożar?

Wewnątrz magazynu uderzyła nas ciasnota, równie ekscentryczna jak jaskrawe kolory wszystkich ubrań w zasięgu wzroku. Jeśli o sklepie Jerrolda można powiedzieć, że wypracował sobie jakiś styl, a na to wyglądało – dosłownie i aż do przesady – to polegał on na tym, że wszystkiego było tu po jednej sztuce: jeden stanik, jeden szlafrok, jedna halka, jedna krótka sukienka koktajlowa, jedna długa

suknia wieczorowa, jedna długa i jedna krótka spódniczka, jedna bluzka na jedynym manekinie, tym na wystawie, i wreszcie jedna przeszklona ze wszystkich stron lada, w której leżała para rękawiczek z czerwonej skóry, para czerwonych pantofli na szpilkach, naszyjnik z granatów (z parą kolczyków do kompletu) oraz wąziutki paseczek (również czerwony, prawdopodobnie ze skóry aligatora bądź jaszczurki). Ściany były białe, abażury stwarzające nastrojowe oświetlenie – czarne, jedyny zaś mężczyzna za ladą miał mniej więcej tyle samo lat, ile mogłaby mieć mama, gdyby żyła.

Mężczyzna spojrzał na Owena lekceważąco; zobaczył w nas dwóch nastolatków, ubranych w sposób zupełnie nieodpowiedni jak na Newbury Street i prawdopodobnie szukających prezentu dla matki bądź dziewczyny (biedacy!). Wątpię, czyby nas było stać nawet na najtańszą wersję czerwieni u Jerrolda.

– Czy kiedykolwiek mieliście tu państwo pożar? – spytał Owen.

Tym razem sprzedawca popatrzył na nas nieco skonsternowany. Pomyślał pewnie, że jesteśmy za młodzi jak na agentów ubezpieczeniowych, ale rozbroiło go pytanie Owena, nie mówiąc już o jego głosie.

– Mógł to być pożar w latach czterdziestych – podsunąłem.

– Bądź na początku pięćdziesiątych.

– A może sklep mieścił się gdzie indziej? – pytałem dalej.

– Czy pan Jerrold? – indagował mój przyjaciel. Jak miniaturka policjanta, Owen Meany pchnął wygniecioną metkę z sukienki mamy przez szklaną ladę.

– To nasza metka – odparł sprzedawca, ostrożnie dotykając dowodu rzeczowego. – Prowadzimy tu firmę jeszcze od przedwojny, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek był pożar. O jaki pożar panu chodzi? – zwrócił się do Owena, ponieważ Owen – naturalnie – wyglądał na szefa.

– Czy pan Jerrold? – powtórzył Owen.

– To mój ojciec – Giordano – odparł mężczyzna. – Nazywał się Giovanni Giordano, ale popieprzyło im się jego nazwisko, kiedy zsiadał ze statku.

Była to historia imigrantów, ale nie historia, która nas interesowała.

– Czy pana ojciec żyje? – zapytałem wobec tego grzecznie.

– Hej, tatku! – krzyknął mężczyzna. – Żyjesz jeszcze?

Otwarły się białe drzwi, tak dokładnie wpasowane w białą ścianę, że ani ja, ani Owen nie zauważyliśmy ich przedtem. Do sklepu wszedł starszy mężczyzna z krawieckim centymetrem na szyi i całym mnóstwem szpilek zdobiących przód kamizelki.

– Oczywiście, że żyję! Czekasz na jakiś cud? Śpieszno ci do spadku? – spytał z bostońska z lekkim włoskim akcentem.

– Tatku, ci młodzi ludzie chcą rozmawiać z „Jerroldem" o jakimś pożarze – wyjaśnił syn. Mówił lakonicznie, z wyraźniejszym bostońskim akcentem niż ojciec.

– O jakim pożarze? – zwrócił się do nas pan Giordano.

– Powiedziano nam, że pański magazyn spłonął gdzieś w latach czterdziestych bądź pięćdziesiątych – wyjaśniłem.

– To dla mnie coś nowego! – odparł pan Giordano.

– Moja matka musiała się pomylić. – Pokazałem panu Giordano starą metkę. – Właśnie wtedy zakupiła sukienkę w pańskim sklepie. – Nie miałem pojęcia, co jeszcze powiedzieć. – To była czerwona sukienka – dodałem.

– Nie bujasz? – wtrącił się syn.

– Szkoda, że nie mam przy sobie zdjęcia. Może wrócę tutaj z fotografią. Gdybym ją panu pokazał, pewnie by pan sobie coś przypomniał.

– Czy chodzi o jakieś poprawki? Z tym nie ma problemu, ale ta pani musi przyjść osobiście. Nie robię poprawek na podstawie zdjęcia!

– Ona nie żyje – wyjaśnił Owen Meany. Jego malutka dłoń ponownie sięgnęła do kieszeni, skąd wyciągnął starannie złożoną kopertę. W kopercie przechowywał zdjęcie, które dała mu mama. Było to zdjęcie ślubne – wyglądała na nim bardzo ładnie, Dan zresztą też nie najgorzej. Mama dołączyła fotografię do podziękowań, jakie złożyła Owenowi i jego ojcu za niezwykły prezent ślubny. – Przypadkiem mam przy sobie zdjęcie – oznajmił Owen, wręczając relikwię panu Giordano.

– Frank Sinatra! – wykrzyknął staruszek, podając zdjęcie synowi.

– Nie wygląda mi na Sinatrę – zauważył syn.

– Nie o to chodzi! – Pan Giordano odebrał mu fotografię. – Uwielbiała piosenki Sinatry i śpiewała je naprawdę pięknie.

Rozmawialiśmy sobie o Franku. Twoja matka uważała, że powinien być kobietą – ma taki piękny głos.

– Czy wie pan, dlaczego kupiła tę sukienkę?

– Jasne – odparł staruszek. – W niej właśnie śpiewała. „Potrzebuję czegoś, w czym mogłabym śpiewać – powiedziała, wchodząc do sklepu. – Czegoś, co do mnie zupełnie nie pasuje" – to jej słowa. Nigdy tej kobiety nie zapomnę. Nie wiedziałem jednak, kim jest – w każdym razie nie wtedy, kiedy się u mnie zjawiła!

– To kim była, do cholery? – zapytał syn. Na dźwięk tych słów przeszły mnie ciarki. Właśnie zorientowałem się, że i ja nie wiem, kim była.

– To Dama w Czerwieni. Nie pamiętasz jej? – pan Giordano zwrócił się do syna. – Śpiewała w tym lokalu, gdy wróciłeś z wojny. Tylko jak on się nazywał?

Syn ponownie wyrwał mu fotografię.

– To ona!

– Dama w Czerwieni! – krzyknęli jednocześnie ojciec i syn.

Czułem, że drżę. Moja matka występowała jako piosenkarka – i to w jakiejś spelunie! Była kimś, kogo nazywano Damą w Czerwieni! Zrobiła karierę w nocnych lokalach! Spojrzałem na Owena. Ku mojemu zaskoczeniu był niezwykle spokojny – panował nad sobą.

– Czy to nie ciekawsze od „Starego Freda"? – zwrócił się do mnie z uśmiechem.

Giordanowie powiedzieli nam, że mama śpiewała w klubie przy Beacon Street; „to naprawdę porządny lokal" – zapewnił nas staruszek. Był tam czarny pianista, który grał na pianinie, jak się dawniej grywało, co znaczy, wyjaśnili Giordanowie, że grywał stare kawałki, i to cicho, „tak że nie zagłuszał piosenkarki".

Nie przychodzili tam samotni mężczyźni czy kobiety. Nie był to bar, lecz restauracja, a taki klub, jak nas przekonywali Giordanowie, to miejsce, gdzie serwują „rozrywkę na żywo – coś, przy czym dobrze się trawi"! Około dziesiątej piosenkarka i pianista zaczynali raczyć gości muzyką bardziej stosowną do tańca niż konwersacji przy stole – rozpoczynały się więc tańce, które trwały do północy – mężczyźni przychodzili z żonami lub co najmniej z „poważnymi" sympatiami. Nie był to „lokal, do którego się szło z panienką lub w którym można by

sobie kogoś poderwać”. Najczęściej występowały dość znane piosenkarki, w każdym razie takie, „o których się słyszało”, chociaż ani Owen, ani ja nigdy nie słyszeliśmy o tych, o których wspominali Giordanowie. Dama w Czerwieni śpiewała tylko raz w tygodniu. Nie pamiętali już, jaki to był dzień, ale ja z Owenem mogliśmy im przypomnieć. Była to środa, zawsze środa. Przypuszczalnie nauczyciel śpiewu, który mamę uczył, cieszył się taką sławą, że miał dla niej czas tylko w czwartki rano, i to tak wcześnie, że poprzednią noc musiała spędzić w tym „okropnym mieście”.

Dlaczego nigdy nie śpiewała pod swoim nazwiskiem, dlaczego na zawsze pozostała Damą w Czerwieni – tego Giordanowie nie wiedzieli. Nie mogli też sobie przypomnieć nazwy klubu. Wiedzieli jedynie, że już nie istnieje. Zawsze przypominał prywatny dom i teraz stał się domem mieszkalnym – „gdzieś przy Beacon Street”. Nic więcej nie pamiętali. Był to prywatny dom, a może gabinet lekarski. Klub należał do jakiegoś Żyda z Miami. Giordanowie słyszeli, że wrócił na Florydę. „Pewnie w Miami nadal mają takie kluby” – zauważył stary Giordano. Wiadomość o śmierci mamy zrobiła na nim silne wrażenie – wyraźnie posmutniał. Dama w Czerwieni cieszyła się dużą popularnością wśród bywalców klubu – „nie to, żeby była jakąś tam sławą, ale stanowiła prawdziwą ozdobę lokalu”.

Ojciec i syn pamiętali, jak zaczęła występować w klubie, jak potem zniknęła – na pewien czas – i znowu wróciła. Potem odeszła na dobre. Nikt jednak nie chciał w to uwierzyć i jeszcze przez parę dobrych lat ludzie mówili, że wróci znowu. Zniknęła „na pewien czas” oczywiście po to, żeby mnie urodzić.

Giordanowie prawie przypomnieli sobie, jak się nazywał czarny pianista – „grał tam od samego początku istnienia lokalu”. Ale nie mogli przypomnieć sobie nic poza Buch.

– Czarny Buch Wolniacha! – podpowiedział ojciec.

– On chyba nie był z Miami – zauważył syn.

– To jasne – powiedział Owen Meany, gdy wyszliśmy z powrotem na Newbury Street – że „Czarny Buch Wolniacha” nie jest twoim ojcem.

Chciałem zapytać Owena, czy nadal ma nazwisko i adres, a może nawet i numer telefonu nauczyciela śpiewu mamy. Wiedziałem, że

mu to wszystko podała, a nie mogłem sobie wyobrazić, żeby mój przyjaciel mógł wyrzucić coś, co od niej dostał.

Ale nie musiałem pytać. Po raz kolejny jego malutka dłoń powędrowała do kieszeni.

– On mieszka w pobliżu. Umówiłem się na wizytę, żeby „przebadać" swój głos; kiedy mnie facet usłyszał przez telefon, powiedział, że mogę przyjść, gdy tylko zechcę.

Tak więc, kiedy Owen Meany przyjechał już do Bostonu, do tego „okropnego miasta", to przyjechał przygotowany.

Wzdłuż obsadzonej najgęściej drzewami części Commonwealth Avenue, gdzie mieszkał nauczyciel śpiewu Graham McSwiney, stało sporo eleganckich domów. Pan McSwiney mieszkał jednak w małym zagraconym mieszkanku w jednej z bardziej zaniedbanych starych kamienic bez windy; mieszkania wynajmowano tu wciąż nowym lokatorom, gdy starzy odmawiali bądź zwlekali z płaceniem czynszu. Ponieważ przyszliśmy za wcześnie, usiedliśmy sobie w korytarzu naprzeciw drzwi pana McSwineya, na których przypięto pluskiewką odręcznie wypisaną kartkę:

Jeśli usłyszysz śpiew –
Nie pukaj!!! Ani nie dzwoń!!!!

Dźwięki, które dobiegały z mieszkania, trudno nazwać „śpiewem", niemniej za zamkniętymi drzwiami pana McSwineya na pewno odbywała się jakaś lekcja. Dlatego też nie zastukaliśmy ani nie zadzwoniliśmy. Zasiedliśmy na dość dziwacznym, lecz wygodnym meblu – właściwie nie była to kanapa, lecz coś, co bardziej przypominało siedzenie miejskiego autobusu – i słuchaliśmy lekcji śpiewu czy solfeżu, w której nie wolno było przeszkadzać.

– Me-me-me-me-me – rozlegał się donośny męski głos.
– Me-me-me-me-me – powtarzał zachwycający głosik kobiecy.
– No-no-no-no-no-no – intonował mężczyzna.
– No-no-no-no-no-no – odpowiadała kobieta.

Wtedy mężczyzna zaśpiewał fragmencik piosenki – był to kawałek z „My Fair Lady”: „Malutki pokoik marzeniem mym jest...”.

– „W nim fotel, kominek i pies...” – zaśpiewała kobieta.

– „Chłód nocy za drzwiami zostanie...” – zawtórował jej mężczyzna.

–„Ach, będzie wspaniale...” – rozległ się kobiecy głos.

– Me-me-me-me-me – odezwał się ponownie męski głos. Tym razem towarzyszył mu fortepian – tylko jedna nuta.

To, co do nas dochodziło zza drzwi, nawet w tym idiotycznym ćwiczeniu, brzmiało cudowniej niż jakakolwiek próba śpiewu, jaką w życiu słyszeliśmy. Nawet przy tych: „No-no-no-no-no-no” kobiecy głos wydawał się dużo piękniejszy niż głos mamy.

Byłem zadowolony, że przyszło nam poczekać, ponieważ miałem czas odczuć wdzięczność za to, co dotychczas zdołaliśmy odkryć – że pan McSwiney naprawdę jest nauczycielem śpiewu, a z odgłosów, które nas dobiegały, wynikało, iż ma wspaniały głos, a także, że przychodziły do niego uczennice o głosie lepszym niż mamy – dzięki temu mogłem uznać, że przynajmniej kilka szczegółów, jakie znałem z jej życia, jest prawdziwych. Potrzebowałem trochę czasu, żeby przezwyciężyć szok spowodowany odkryciem w sklepie Jerrolda.

Wcale nie uważałem, że kłamstwo mamy na temat czerwonej sukni to jakaś niszczycielska nieprawda. Nawet fakt, że była piosenkarką – że występowała na scenie! – nie wydawał się czymś na tyle okropnym, by musiała go ukrywać przede mną czy nawet przed Danem (jeśli i przed nim zachowała tę część swego życia w tajemnicy). Zaszokowało mnie jednak to, z jaką łatwością i wdziękiem opowiadała nieprawdziwą historyjkę o spalonym sklepie i z jakim przekonaniem martwiła się sprawą czerwonej sukni. Nagle sobie uświadomiłem, że może lepiej kłamała, niż śpiewała. Skoro więc wymyśliła całą tę opowieść o sukni i nikomu w Gravesend nie mówiła na temat Damy w Czerwieni, ciekawe, jakich innych kłamstw się jeszcze dopuściła?

Jakie fakty, poza tożsamością mego ojca, pozostawały dla mnie tajemnicą?

Owen Meany, który myślał znacznie szybciej niż ja, ujął to bardzo prosto.

– Teraz i ty nie wiesz, kim była twoja mama – szepnął, by nie przeszkadzać w lekcji.

Po wyjściu niewysokiej, krzykliwie ubranej kobiety zostaliśmy wpuszczeni do zagraconej dziupli nauczyciela śpiewu. Głęboko rozczarowały nas skromne rozmiary piersi wychodzącej śpiewaczki – wyraźnie kontrastowały z mocą, która emanowała z jej głosu. Zachwycił nas za to prawdziwie artystyczny nieład, jaki zastaliśmy w studiu Grahama McSwineya. Do łazienki w niszy nie było drzwi, a wannę umieszczono jakby w pośpiechu i... dla żartu. Nie miała żadnego podłączenia, w środku zaś walało się pełno kolanek i jakichś elementów armatury – najwyraźniej hydraulik coś tam robił i prace nie posuwały się zbyt szybko.

Między malusieńką kuchnią i pokojem brakowało ściany (może została wyburzona), a w szafkach kuchennych – drzwiczek. Dzięki temu widać było wyraźnie, że wewnątrz szafek niewiele jest poza filiżankami do kawy i kubkami, co mogło sugerować, iż McSwiney żyje wyłącznie produktami kofeinowymi albo jada gdzieś na mieście. W salonie, który niewątpliwie stanowił jedyne porządne pomieszczenie w tym malutkim zagraconym mieszkanku, brakowało miejsca do spania, co pozwalało mniemać, że zasłana nutami kanapa musi się rozkładać. Jednakże nuty były bardzo pieczołowicie ułożone, a sama ich ilość sugerowała, że na kanapie nigdy się nie siada, nie mówiąc już o rozkładaniu jej do spania; stanowiło to przekonujący dowód, że McSwiney również sypia gdzieś poza studiem.

Całe mieszkanie pełne było pamiątek – afiszy operowych i koncertowych, wycinków z gazet o śpiewakach, oprawionych w ramki pochwał, a także umieszczonych na szarfach nieomal w sportowym porządku złotych medali konkursowych.

Na ścianach wisiały oprawione rysunki klatki piersiowej i gardła wielkości plakatu, równie szczegółowe jak ilustracje w Anatomii Graya i tak schematycznie uproszczone, że przypominały tablice z poczekalni niektórych gabinetów lekarskich. Pod tymi anatomicznymi obrazkami można było przeczytać różne napomnienia i wskazówki – podobne rozwieszają zapaleni trenerzy w salach gimnastycznych.

Zaczynaj od mostka!
Nigdy nie wypuszczaj powietrza z górnej części klatki piersiowej!
Przepona to mięsień, który działa wyłącznie w jednym kierunku – potrafi tylko wdychać!
Ćwicz oddechy niezależnie od śpiewania!
Nigdy nie unoś ramion!
Nigdy nie wstrzymuj oddechu!

Cała jedna ściana poświęcona była pouczeniom na temat samogłosek. Nad drzwiami do łazienki widniało ostrzeżenie z wykrzyknikiem: Cisza! Honorowe miejsce w mieszkaniu, czyli środek salonu, zajmował duży, lśniący czarną politurą fortepian, z pewnością wart dwa razy tyle co roczny czynsz, jaki pan McSwiney płacił za swoje studio.

McSwiney był całkowicie łysy. Niesforne kępki siwych włosków sterczały mu z uszu, po to chyba, by łagodzić efekt donośnego głosu właściciela. Wyglądał na człowieka otwartego, miał może sześćdziesiątkę (albo nawet siedemdziesiątkę) – był niewysokim, muskularnym mężczyzną, któremu klatka piersiowa kończyła się na pasku u spodni, albo inaczej – twarde brzuszysko zajmowało miejsce klatki piersiowej i dochodziło aż do brody, jak u piwosza.

– No dobra, chłopcy, który z was ma głos? – spytał nas McSwiney.

– Ja – odrzekł Owen.

– Faktycznie! – wykrzyknął McSwiney, który właściwie nie zwracał na mnie uwagi, mimo że Owen wręcz ostentacyjnie zaakcentował moje nazwisko – liczył, że wyda się ono nauczycielowi śpiewu znajome.

– A to jest mój przyjaciel, John Wheelwright – dokonał prezentacji, ale McSwiney już nie mógł się doczekać, żeby przyjrzeć się jego jabłku Adama. Nazwisko „Wheelwright” najwyraźniej nie wywołało u niego żadnych skojarzeń.

– Jabłko Adama, krtań, wiązadła głosowe – to jedno i to samo, bez względu na to, jakiej nazwy użyjemy – wyjaśniał. – W każdym razie stanowi najważniejszą część aparatu mowy. – Wygłaszając te uwagi, posadził Owena na „miejscu dla śpiewaka”, to znaczy na zwykłym

krześle z oparciem stojącym tuż przy fortepianie. Ujął grdykę Owena między kciuk i palec wskazujący.

– Przełknij ślinę!

Owen wykonał polecenie. Kiedy sam ująłem w palce swoje jabłko Adama i przełknąłem ślinę, poczułem, że jabłko podskoczyło. Owenowi ani drgnęło.

– Ziewnij! – polecił mu McSwiney. Gdy ja ziewnąłem, moje jabłko Adama przesunęło się w dół, ale u Owena pozostało prawie dokładnie w tym samym miejscu.

– Krzyknij! – brzmiało kolejne polecenie.

– Aaaaaaahhhhhhh! – wydobyło się z ust Owena, ale jego jabłko Adama właściwie nie zmieniło pozycji.

– To zadziwiające! – zauważył McSwiney. – Masz nieruchomą krtań. Chyba jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. Twoje wiązadła głosowe nigdy nie odpoczywają, a jabłko Adama znajduje się nieustannie w takiej pozycji, jakbyś krzyczał. Mógłbym zaproponować ci różne ćwiczenia, ale może warto, żebyś udał się do laryngologa. Kto wie, czy obejdzie się tu bez zabiegu chirurgicznego.

– Nie chcę żadnej operacji ani ćwiczeń – oświadczył Owen. – Skoro Bóg obdarzył mnie takim głosem, to znaczy, że miał w tym jakiś cel.

– Jak to możliwe, żeby jego głos się nie zmieniał? – spytałem pana McSwineya, który już miał na końcu języka jakąś dowcipną uwagę na temat roli Boga w ukształtowaniu więzadeł głosowych Owena. – Wydaje mi się, że w wieku dojrzewania każdemu chłopakowi zmienia się głos.

– Jeżeli nie przeszedł mutacji, to pewnie już nie przejdzie – doszedł do wniosku McSwiney. – Struny głosowe jedynie wibrują. A poza tym tak naprawdę nie są strunami – to raczej wargi. Rozstęp między tymi wargami nazywa się głośnią. Oddech na zamkniętych wargach wytwarza dźwięk. Męski głos zmienia się w procesie dojrzewania, co nazywamy wtórnym dojrzewaniem płciowym. Ale twój głos chyba się nie zmieni. Gdyby miał się zmienić, już by to nastąpiło.

– Wcale pan nie wyjaśnia, dlaczego tak się nie stało – zauważył Owen.

– Tego nie potrafię powiedzieć – przyznał McSwiney. – Mogę ci jedynie zalecić pewne ćwiczenia albo odpowiedniego lekarza.

– Nie przypuszczam, żeby mój głos mógł się zmienić.

McSwiney naocznie miał okazję się przekonać, jak irytująca jest wiara Owena w zamierzenia Boże.

– Po co do mnie przyszedłeś? – spytał go wreszcie.

– Bo znał pan jego matkę. – Przy tych słowach Owen wskazał na mnie. McSwiney otaksował mnie wzrokiem, jakby się obawiał, że mogę wystąpić z jakimś zadawnionym powództwem o ustalenie ojcostwa.

– Tabita Wheelwright – powiedziałem. – Mówiło się na nią Tabby. Była z New Hampshire i uczęszczała do pana na lekcje w latach czterdziestych i pięćdziesiątych – zaczęła jeszcze przed moim urodzeniem, a później kontynuowała naukę – przerwała ją dopiero, kiedy miałem jakieś osiem, dziewięć lat.

– Albo dziesięć – poprawił mnie Owen Meany. Włożył rękę do kieszeni, wyjął fotografię i pokazał ją McSwineyowi.

– Dama w Czerwieni! – wykrzyknął McSwiney. – Bardzo mi przykro, ale zapomniałem jej nazwiska – zwrócił się do mnie.

– Pamięta ją pan?

– Oczywiście! Była ładna, bardzo miła. Załatwiłem jej tę idiotyczną robotę. Nic specjalnego, ale bardzo to lubiła. Miała nadzieję, że może ktoś ją „odkryje", jeśli będzie tam śpiewać. Mówiłem jej, że w Bostonie jeszcze nikt nie został „odkryty". A już na pewno nie w takim lokalu!

McSwiney wyjaśnił, że właściciel klubu często się do niego zwracał w poszukiwaniu nowych miejscowych talentów. Zgodnie z tym, co nam powiedzieli wcześniej Giordanowie, klub angażował piosenkarki o bardziej ustalonej renomie na jakiś miesiąc, może trochę dłużej. Ale we środę występowała gwiazda – właśnie na taką okazję potrzebny był im „miejscowy talent". Matka zyskała popularność w niewielkim kręgu stałych bywalców, zdobywając sobie dość trwałą pozycję. Nie występowała pod własnym nazwiskiem – może była nieśmiała, a może to taki prowincjonalny szyk, zdaniem McSwineya, równie idiotyczny jak nadzieja, że może ktoś matkę kiedyś „odkryje".

– Ale była czarująca – dodał. – Jako piosenkarka miała tylko „głowę", za to zero „klatki". A poza tym się leniła. Lubiła śpiewać

proste, popularne piosenki. Nie zżerała jej ambicja i nie chciała ćwiczyć.

Wyjaśnił nam, jakie to dwa zespoły mięśni wpływają na „głos z głowy" i na „głos z piersi". I chociaż ani Owena, ani mnie te szczegóły związane z mamą wcale nie interesowały, uprzejmie pozwoliliśmy mu do końca wyłożyć opinię pedagoga na temat jej śpiewu. Większość kobiet śpiewa przy krtani ustawionej w górnej pozycji, co McSwiney po swojemu nazywał „głosem z głowy". Ich głosowi brakuje siły i kiedy chcą wysokie nuty zaśpiewać głośno, zaczynają piszczeć. U kobiet niezwykle ważne jest ćwiczenie „głosu z klatki piersiowej". Mężczyźni muszą się z kolei uczyć „głosu z głowy". I jedno, i drugie wymaga wielu godzin pracy.

Matkę, która śpiewała zaledwie raz w tygodniu, określał McSwiney mianem „niedzielnego kierowcy". Miała – jego zdaniem – przyjemny głos, z czym się zgadzaliśmy; byliśmy również zgodni co do tego, że nie miała silnego głosu. Nigdy nie śpiewała tak donośnie jak uczennica McSwineya, którą słyszeliśmy z Owenem przez zamknięte drzwi.

– A kto ją nazwał Damą w Czerwieni? – spytałem starszego pana, próbując nakierować rozmowę z powrotem na temat, który nas naprawdę interesował.

– Znalazła w jakimś sklepie czerwoną suknię – tłumaczył McSwiney. – Powiedziała mi, że chce „zupełnie nie być sobą – ale tylko raz w tygodniu!" – zaśmiał się. – Nigdy nie słyszałem jej występu. To był klub, gdzie goście po prostu przychodzą na kolację. Naprawdę, nikt dobry tam nie śpiewał. Co lepsi artyści pracowali ze mną, więc miałem okazję ich słyszeć, ale w tym lokalu moja noga nie postała. Meyersona znałem tylko z rozmów telefonicznych. Chyba nigdy nie spotkaliśmy się osobiście. Mam wrażenie, że to on nazwał ją Damą w Czerwieni.

– Meyerson? – powtórzyłem.

– Był właścicielem klubu – taki sympatyczny starszy jegomość, chyba z Miami, uczciwy i skromny. Wszystkim piosenkarzom, których do niego skierowałem, bardzo się podobał. Podobno traktował ich przyzwoicie – wyjaśniał McSwiney.

– Czy może pamięta pan nazwę tego klubu?

– Nazywał się „Pomarańczowy Gaj”. Matka żartem opowiadała McSwineyowi o wejściu, przed którym stały niezliczone donice z drzewkami pomarańczowymi oraz akwaria z tropikalnymi rybami – do lokalu na ogół przychodziły pary małżeńskie uczcić rocznicę ślubu. A jednak liczyła na to, że ktoś ją tam „odkryje”!

– Czy była z kimś związana?

Na to pytanie Owena McSwiney wzruszył ramionami.

– Mną na pewno się nie interesowała, tyle wiem! – uśmiechnął się do mnie serdecznie. – Wiem, bo usiłowałem się do niej zalecać. Załatwiła całą sprawę bardzo taktownie i już drugi raz nie próbowałem.

– W „Pomarańczowym Gaju” był czarny pianista – podpowiedziałem.

– Zgadza się, występował we wszystkich innych klubach, zanim tam trafił. A kiedy skończył pracować u Meyersona, znowu grał po całym mieście. Nazywał się Wielki Buch Wolniacha – zaśmiał się McSwiney.

– Wolniacha – powtórzyłem.

– Naturalnie, to przydomek, tak jak i Dama w Czerwieni – dodał nauczyciel. – On też nie mógł być chłopcem twojej matki. To pedzio w każdym calu.

Meyerson, zdaniem McSwineya, wrócił na Miami. Ale jednocześnie nauczyciel dodał, że Meyerson był stary – już wtedy miał ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat. Był tak stary, że teraz z pewnością już nie żyje albo „dogorywa”. McSwiney nie pamiętał też, gdzie Czarny Wolniacha grał potem. Dni „Pomarańczowego Gaju” dobiegły końca.

– Dawniej wpadałem do niego to tu, to tam. Przyzwyczaiłem się już do Wolniachy, jak do powietrza. – Grał, jak to McSwiney określił, „cicho”. Piosenkarze bardzo go lubili, ponieważ ich nie zagłuszał.

– Twoja mama miała jakieś poważne kłopoty – przypomniał sobie starszy pan. – Na chwilę zniknęła, potem wróciła, a po pewnym czasie zniknęła już na dobre.

– To on był tym kłopotem – rzekł Owen, wskazując na mnie.

– Czy szukasz swego ojca? To o to chodzi? – spytał McSwiney.

– Tak.

– Daj sobie spokój – poradził. – Jeśli ojciec chciałby cię szukać, już dawno by cię znalazł.

– Bóg mu wskaże, kto jest jego ojcem.

Na te słowa McSwiney wzruszył ramionami.

– Ja nie jestem Bogiem – zauważył. – A ten Bóg, którego ty znasz, ma pewnie dużo zajęć.

Zostawiłem mu swój numer telefonu w Gravesend – na wypadek gdyby sobie przypomniał, gdzie ostatni raz słyszał Czarnego Bucha Wolniachę. Ale Wolniacha też był na tyle stary, że „może już teraz dogorywał". McSwiney wziął również numer telefonu Owena; może kiedyś przypadkiem trafi na teorię wyjaśniającą, dlaczego chłopiec nie przeszedł mutacji.

– To nieważne – rzekł Owen, ale zostawił mu swój telefon.

– Twoja matka była miłą kobietą i dobrym człowiekiem – kobietą godną szacunku – oświadczył McSwiney.

– Dziękuję.

– „Pomarańczowy Gaj" to może nie najrozsądniejszy pomysł, ale lokal na pewno nie był speluną – nie mogła jej tam spotkać żadna tania przygoda.

– Dziękuję panu – powtórzyłem.

– Śpiewała tylko kawałki Sinatry – nudne jak flaki z olejem – dodał nauczyciel.

– Chyba byli jednak tacy, którym to się podobało – powiedział Owen.

Toronto, 30 maja 1987. Powinienem być mądrzejszy i nie czytać nawet nagłówka „New York Timesa". Chociaż, jak wielokrotnie powtarzałem moim uczennicom ze szkoły Biskupa Strachana, gazeta ta jak żadna inna potrafi używać średnika:

Reagan deklaruje
zdecydowane stanowisko w sprawie Zatoki Perskiej;
plany są bliżej nie sprecyzowane.

Toż to typowe! Nie chodzi mi o średnik. Bo czy światu nie potrzeba właśnie czegoś takiego? Bliżej nie sprecyzowana stanowczość! Trzeba reprezentować stanowisko niejasne, lecz stanowcze!

W listopadzie 1961 roku – kiedy już dowiedzieliśmy się z Owenem, że jego wiązadła głosowe nigdy nie odpoczywają i że moja matka z radością (bądź wyrzeczeniem) prowadziła znacznie bardziej tajemnicze życie, niż nam się kiedykolwiek wydawało – doszło do nas, że generał Maxwell Taylor oświadczył prezydentowi Kennedy'emu, iż wojskowe, gospodarcze, a także polityczne wsparcie mogłoby zapewnić zwycięstwo Wietnamu Południowego bez bezpośredniego udziału Stanów Zjednoczonych w wojnie. (Prywatna zaś rada generała brzmiała, aby do Wietnamu wysłać osiem tysięcy żołnierzy).

Owego sylwestra, którego wraz z Hester i Owenem obchodziliśmy w domu babci – w sposób raczej spontaniczny, typowy dla prywatek nastolatków (Hester miała wtedy dwudziestkę), a jednocześnie dość spokojnie, ponieważ babcia już się położyła – a zatem owego sylwestra w Wietnamie było 3205 osób wojskowego personelu USA.

Hester rozpoczęła Nowy Rok w sposób znacznie bardziej wyszukany niż my, przywitała go bowiem na kolanach w pokrytym śniegiem rozarium, gdzie babcia nie mogła usłyszeć, jak zwraca rum z colą (taką to kombinację polubiła za czasów swej znajomości z czarnym marynarzem na Tortoli). Co do mnie, dużo mniej entuzjastycznie witałem ociekający deszczem Nowy Rok. Zasnąłem podczas oglądania męczarni Charltona Hestona w „Ben-Hurze" – głowa opadła mi gdzieś między wyścigiem rydwanów a sekwencją w kolonii trędowatych. Owen obejrzał film do końca. W czasie przerw na reklamy kierował swą uwagę na okno wychodzące na rozarium, gdzie na tle śniegu, w upiornej poświacie księżyca, dostrzec można było majaczącą postać Hester. To zadziwiające, że początek kolejnego roku nie robił większego wrażenia na Owenie – zwłaszcza że twierdził, iż „wie" dokładnie, ile lat życia mu jeszcze zostało. Mimo to był najwyraźniej zadowolony, oglądając na przemian „Ben-Hura" i rzygającą Hester. A może właśnie na takim stanie szczęśliwości, nawet w obliczu przyszłych zdarzeń, polega wiara?

W czasie naszego następnego wspólnego sylwestra, w 1962 roku, w Wietnamie przebywało już 11 300 osób personelu wojskowego USA. Również i wtedy rankiem w Nowy Rok babcia odkryła na śniegu zamarznięte ślady rzygowin Hester, szpecące dziewiczą na ogół przestrzeń wokół zbiorniczka z wodą dla ptaków w samym środku ogrodu.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęła babcia. – A to co?

– Nie słyszała pani w nocy ptaków? – zapytał Owen, dokładnie tak jak rok wcześniej. – Radziłbym pani sprawdzić, co Ethel sypie do karmników.

Owen na pewno oceniłby pozytywnie książkę, którą przeczytałem dopiero dwa lata temu: „Almanach wojny w Wietnamie" pióra płk. Harry'ego G. Summersa, Jr. Pułkownik Summers jest weteranem wojny w Korei i Wietnamie, gdzie walczył w oddziałach piechoty. Nie owija niczego w bawełnę, jak to mówiliśmy w Gravesend. Oto pierwsze zdanie jego wspaniałej książki: *Wojna w Wietnamie uchodzi za jedną z największych tragedii dlatego, że chociaż siły zbrojne USA pokonywały Wietnamczyków z Północy i Wietkong we wszystkich ważniejszych bitwach, Stany Zjednoczone i tak poniosły największą w swej historii klęskę.* Nieprawdopodobne! Na pierwszej stronie książki pułkownik Summers opowiada o prezydencie Roosevelcie i konferencji w Jałcie w 1945 roku, kiedy to alianci usiłowali podjąć decyzję w sprawie układu powojennego świata. Prezydent Roosevelt chciał oddać Indochiny przywódcy Chin generałowi Czang Kaj-szekowi, lecz generał nie znał zbyt dobrze historii Wietnamu ani jego tradycji. Czang Kaj-szek rozumiał za to doskonale, że Wietnamczyk to nie Chińczyk i że naród wietnamski nie pozwoli się dobrowolnie wchłonąć przez Chiny. Na wspaniałomyślny gest Roosevelta, oddającego mu Indochiny, generał odpowiedział zatem: „Nie chcemy". Pułkownik Summers wykazuje, że Stanom Zjednoczonym potrzeba było trzydziestu lat, a także wojny, która kosztowała je prawie pięćdziesiąt tysięcy istnień ludzkich, aby zrozumieć to, co Czang Kaj-szek chciał wyjaśnić prezydentowi Rooseveltowi w roku 1945. Nieprawdopodobne!

A więc to nic nowego, że prezydent Reagan obiecuje „zdecydowane stanowisko" w sprawie Zatoki Perskiej, a także, że

jego plany są „bliżej nie sprecyzowane”.

Już wkrótce rok szkolny się skończy. Ze szkoły odejdą uczennice najstarszej klasy. W lecie w Toronto jest chłodno i wilgotno, ale lubię przyglądać się, jak spryskiwacze zraszają trawę na brzegu Zbiornika Świętej Klary. Dzięki nim park Winstona Churchilla zieleni się przez całe lato niczym najprawdziwsza dżungla. Rodzina wielebnej Katherine Keeling ma wyspę w zatoce Georgia. Katherine niezmiennie zaprasza mnie, żebym ich odwiedził. Zwykle jeżdżę tam, przynajmniej raz w roku latem, i tym sposobem zapewniam sobie doroczną porcję pływania w czystej wodzie oraz szaleństw z cudzymi dzieciakami. Całe mnóstwo przemoczonych kamizelek ratunkowych, wiele przeciekających kajaków, a także zapach igieł sosnowych oraz impregnatu do drewna – wszystko to, choćby w małej ilości, mnie, pedantycznemu staremu kawalerowi, starcza na długo.

Latem jeżdżę także do Gravesend, żeby odwiedzić Dana. Czułby się dotknięty, gdybym nie zobaczył sztuki wystawionej przez jego podopiecznych z letniej szkoły. Rozumie, dlaczego nie mam ochoty oglądać przedstawień Trupy Gravesend. Pan Fish jest już całkiem stary, ale nadal gra. Wielu amatorów, wprawdzie staruszków, ciągle gra w zespole Dana, ale tak naprawdę nie sprawia mi przyjemności przyglądanie się ich występom. I już mnie nie obchodzi widownia, która fascynowała nas ponad dwadzieścia lat temu.

– Czy jest tam dzisiaj? Widzisz go? – szeptał wtedy do mnie Owen.

W roku 1961 lustrowaliśmy widzów, aby dostrzec tę jedną konkretną twarz z loży honorowej. Była to może twarz znajoma, choć niekoniecznie. Szukaliśmy mężczyzny, który odpowiedział, a może i nie, na pozdrowienie mamy. Byliśmy pewni, że musiała to być twarz, która zarejestrowawszy rezultat odbicia piłki przez Owena, musiała zachować jakiś szczególny wyraz. Przypuszczaliśmy, że była to twarz, którą mama widziała wśród widowni już wcześniej – nie tylko między kibicami Małej Ligi, ale także przyglądającą się jej spośród donic z drzewkami pomarańczowymi i zbiorników z egzotycznymi rybkami w „Pomarańczowym Gaju”. Szukaliśmy twarzy, dla której Dama w Czerwieni śpiewała... co najmniej raz.

– Widzisz go? – pytałem i ja Owena Meany’ego.

– Nie, dzisiaj nie – odpowiadał. – Albo go tutaj nie ma, albo teraz nie myśli o twojej mamie – zaskoczył mnie pewnego razu.

– Nie rozumiem?

– Wyobraźmy sobie, że Dan wyreżyserował sztukę na temat Miami. Załóżmy, że Trupa Gravesend wystawia spektakl o klubie z Miami, który nazywa się „Pomarańczowy Gaj". I że występuje tam piosenkarka zwana Damą w Czerwieni – śpiewa stare piosenki Sinatry.

– Ale przecież taka sztuka nie istnieje! – odpowiedziałem.

– Tylko tak sobie na głos myślę. Wysil swoją mózgownicę! Bóg może ci wskaże, kto jest twoim ojcem, ale ty musisz w to uwierzyć, musisz Bogu choć odrobinę pomóc! Wyobraź więc sobie taką sztukę.

– No dobra, już sobie wyobrażam.

– I zatytułowalibyśmy ją „Pomarańczowy Gaj" albo „Dama w Czerwieni". Myślisz, że twój ojciec nie przyszedłby czegoś takiego zobaczyć? I myślisz, że wtedy byśmy go nie rozpoznali? – spytał Owen.

– Pewnie tak – odrzekłem.

Chodzi o to, że ani Owen, ani ja nie mieliśmy odwagi powiedzieć Danowi o „Pomarańczowym Gaju" oraz o Damie w Czerwieni. Nie byliśmy pewni, że Dan o tym wie. Bałem się go zranić, bo jeszcze by pomyślał, że nie jest dla mnie dostatecznie dobrym ojcem, skoro z takim zapałem usiłuję dociec, kto jest moim biologicznym rodzicielem. Po co miałbym to robić, jeśli nie dlatego, że niewłaściwie wypełnia swoje zadanie?

A jeśli Dan nie wiedział o „Pomarańczowym Gaju" i Damie w Czerwieni, to i tak by się czuł dotknięty. Dzięki temu epizodowi przeszłość mamy – ta sprzed Dana – jawiła mi się znacznie romantyczniej niż dotychczas. Czy Dan Needham chciałby rozpamiętywać romantyczną przeszłość mamy?

Owen doszedł do wniosku, że jest sposób na to, by Trupa Gravesend wystawiła sztukę o piosenkarce z klubu w Miami, nie wprowadzając w to wszystko Dana.

– Sam mógłbym napisać tekst. Przedstawiłbym go Danowi jako pierwszy oryginalny spektakl Trupy Gravesend. W mgnieniu oka zorientuję się, czy zna tę historię, czy nie.

– Ale ty też jej nie znasz – uświadomiłem Owenowi. – Nie masz fabuły, tylko tło i bardzo ogólny zamysł obsady.

– Chyba nietrudno ułożyć dobrą historyjkę. Twoja mama miała do tego duży dryg, a na pewno nie była pisarką.

– Może jednak jesteś pisarzem? – zagadnąłem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby to było takie trudne – powtórzył, wzruszając ramionami.

Doszedłem jednak do wniosku, że chyba lepiej nie ryzykować, bo bałem się zranić Dana. Jeśli Dan wiedział już o tym wszystkim, jeśli znał chociażby tło owych zdarzeń, byłoby mu przykro.

– Chyba nie chodzi ci tylko o Dana.

– Nie rozumiem. – Na moją wątpliwość wzruszył ramionami. Czasami wydaje mi się, że robi to specjalnie.

– Odnoszę wrażenie, że boisz się znaleźć ojca.

– Odpierdol się!

Znowu wzruszył ramionami.

– Spójrz na to w ten sposób. Masz jakiś ślad. Nie musiałeś się zbytnio wysilać, by nań trafić. To Bóg skierował cię na ten trop. I teraz sam możesz wybrać – albo ten Boży dar wykorzystasz, albo go odrzucisz. Moim zdaniem, powinieneś się do tego odrobinę przyłożyć.

– Czy ty przypadkiem bardziej się nie przejmujesz poszukiwaniami mego ojca niż ja sam?

Skinął głową. Był sylwester, druga po południu. Siedzieliśmy w niechlujnym „saloniku" u Hester w Durham w stanie New Hampshire. W pokoju tym regularnie urzędowały również dwie dziewczyny mieszkające z Hester – studentki z uniwersytetu, które prawie dorównywały jej w niechlujstwie, ale jeśli chodzi o seksapil – nie dorastały do pięt. Tym razem dziewczęta wyjechały do domu na Boże Narodzenie. Hester też nie było. Pod żadnym pozorem nie rozmawialibyśmy na temat sekretów z życia mamy w jej obecności. Chociaż była dopiero druga po południu, Hester zdążyła już wypić kilka rumów z colą i spała jak zabita w swojej sypialni – równie obojętna na naszą rozmowę jak mama.

– Chodź, pojedziemy na salę poćwiczyć strzelanie – zaproponował.

– Nie mam ochoty.

– Jutro Nowy Rok – przypomniał. – Jutro sala będzie zamknięta.

Z sypialni Hester – nawet przez zamknięte drzwi – dobiegał jej oddech. Kiedy sobie wypiła, pochrapywała, pojękując przez sen.

– Dlaczego tak dużo ciągnie? – spytałem Owena.

– Hester wyprzedza swoją epokę – oznajmił.

– Co to znaczy? Czyżby następne pokolenie miało być pokoleniem pijaków?

– Przed nami pokolenie ludzi zbuntowanych, a także ze dwie generacje ludzi, którzy wszystko mają gdzieś.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, skąd wiem. Wiem tylko tyle, że wiem i już!

Toronto, 9 czerwca 1987. Po wspaniałym weekendzie – było słońce, czyste niebo i chłodno jak na jesieni – złamałem się i kupiłem „New York Timesa". Bogu dzięki, nikt znajomy mnie nie widział! Jedna z córek pani Brocklebank wzięła ślub w czasie weekendu – odbył się w kaplicy szkoły Biskupa Strachana. Dziewczyny często tak robią – wracają do starej budy, żeby tam właśnie związać się węzłem małżeńskim, nawet te, które czuły się w szkole okropnie nieszczęśliwe. Czasami zapraszają mnie na tę uroczystość. Pani Brocklebank także mnie zaprosiła, ale tak się jakoś złożyło, że ta właśnie jej córka nigdy nie była moją uczennicą, i odnoszę wrażenie, że pani Brocklebank zrobiła to tylko dlatego, że wpadłem na nią, kiedy z pasją przystrzygała żywopłot. Nie przysłano mi oficjalnego zaproszenia. Lubię się trochę poceregielić. I dlatego czułem, że nie powinienem przychodzić. A poza tym córka pani Brocklebank wychodziła za Amerykanina! To na pewno wszystko dlatego, że na Russell Hill Road wpadłem na samochód pełen Amerykanów, złamałem się i kupiłem „New York Timesa".

Biedacy zabłądzili. Nie mogli znaleźć ani kaplicy, ani szkoły Biskupa Strachana. Samochód był z Nowego Jorku. Nie mieli zielonego pojęcia, jak wymawiać „Strachan".

– Którędy do Straychena? – spytała kobieta.

– Biskupa Strawna – poprawiłem ją.

– Co? Nie rozumiem, co on mówi – zwróciła się do męża, który siedział za kierownicą. – Chyba powiedział coś po francusku.

– To było po angielsku – poinformowałem biedną idiotkę. – Po francusku mówią w Montrealu. A pani jest w Toronto. W Toronto mówi się po angielsku.

– Czy wie pan, jak dojechać do Biskupa Straychena? – krzyknął mąż.

– To jest Biskup Strawn – odpowiedziałem równie głośno.

– Nie, Straychen – krzyknęła z kolei żona.

– Chyba chce wam powiedzieć, jak to się wymawia – odezwał się z tylnego siedzenia dzieciak.

– Nie interesuje mnie, jak to się wymawia – oświadczył ojciec. – Chciałbym się tylko dowiedzieć, jak tam dojechać.

– Czy pan wie, gdzie to jest? – spytała kobieta.

– Nie, pierwszy raz słyszę tę nazwę.

– Nigdy o tym nie słyszał – powtórzyła żona. Wyciągnęła z torebki list i otworzyła kopertę. – A może wie pan, gdzie jest Lonsdale Road?

– Gdzieś tutaj – odparłem. – Coś mi się obiło o uszy.

Odjechali... w stronę Świętej Klary i zbiornika. Naturalnie, ruszyli w niewłaściwym kierunku. Mieli bliżej nie sprecyzowane plany, lecz zachowywali się z iście amerykańską stanowczością.

Pewnie zatęskniłem trochę za krajem. Od czasu do czasu zdarza mi się coś takiego. Też sobie wybrałem dzień na kupno „New York Timesa”! Co prawda, nie wiem, czy na to w ogóle może być dobry dzień. Ale za to co przeczytałem!?

Nancy Reagan twierdzi, że
przesłuchanie nie poruszyło prezydenta.

O, Boże! Pani Reagan twierdzi, że przesłuchanie w Kongresie na temat afery Iran-contras nie poruszyło prezydenta! Pani Reagan była w Szwecji, gdzie w jednej ze szkół średnich na przedmieściach Sztokholmu zapoznała się z wdrażaniem programu dla narkotyzującej się młodzieży. Pewnie należy do Amerykanów starszego pokolenia, uważających, że korzenie wszelkiego zła tkwią

w młodych ludziach, którzy nadużywają przyjemności. Niechże ktoś powie pani Reagan, że młodzież – nawet narkomani – nie jest odpowiedzialna za najważniejsze problemy, jakie gnębią świat!

Żony amerykańskich prezydentów zawsze niezwykle aktywnie walczą z różnymi słabostkami narodu. Panią Reagan bardzo martwią narkomani w Ameryce. Pamiętam, że chyba pani Johnson chciała uwolnić społeczeństwo od złomu automobilowego, czyli samochodów, które już nie nadają się do jazdy i tak sobie po prostu rdzewiejąc, szpecą krajobraz... Miała na tym punkcie zupełnego hopla. Była też i inna żona prezydenta, a może wiceprezydenta, która uważała za skandal to, że naród w tak niewielkim stopniu interesuje się „sztuką". Nie pamiętam już, co w związku z tym chciała zrobić.

To dla mnie żadne zaskoczenie, że prezydent nie jest zanadto „poruszony" przesłuchaniem w Kongresie. Nie zrobiła na nim „większego wrażenia" decyzja Kongresu, co mu wolno, a czego nie. Przypuszczam, że i to przesłuchanie nie wstrząśnie nim za bardzo.

Kogo to obchodzi, czy wiedział – w jakim stopniu: dokładnie bądź w przybliżeniu – że pieniądze uzyskane z tajnej sprzedaży broni do Iranu szły na wspieranie nikaraguańskich contras? Mam wrażenie, że większości Amerykanów to w ogóle nie obchodzi.

Zdążyli się znudzić doniesieniami z Wietnamu, jeszcze zanim Stany Zjednoczone się stamtąd wycofały. Znudzili się aferą Watergate, wiadomościami na temat tego, co Nixon zrobił, a czego nie zrobił, na długo nim zebrano wszystkie dowody. Są już znudzeni Nikaraguą. Kiedy skończy się przesłuchanie w Kongresie w sprawie afery Iran-contras, Amerykanie nie będą wiedzieli, co myśleć na ten temat, albo będą to mieli w nosie. Wkrótce znuży ich i Zatoka Perska. Iranem też są już śmiertelnie znudzeni.

Ten syndrom jest mi równie dobrze znany, jak tradycyjne pawie, które puszcza Hester w sylwestra. Był sylwester 1963 roku. Hester wymiotowała w rozarium, a my z Owenem oglądaliśmy telewizję. W Wietnamie przebywało wtedy 16 300 osób personelu wojskowego USA. W sylwestra 1964 roku było już tam ich 23 000. Hester znowu rzygała na odległość. Może to właśnie wtedy styczniowa odwilż nastąpiła wcześniej niż zwykle i Hester puszczała pawia w deszczu,

a może wcześniejsza odwilż przyszła rok później – w 1965, kiedy w Wietnamie przebywało już 184 300 żołnierzy amerykańskich. Hester właśnie znowu się porzygała – robiła to non stop. Bardzo ostro występowała przeciw wojnie w Wietnamie. Była niezwykle radykalną pacyfistką. Tak gwałtownie protestowała przeciw wojnie, że Owen Meany mawiał, iż jedyny sposób, by wyciągnąć wszystkich Amerykanów z Wietnamu, to posłać tam Hester.

– Hester po pijaku przemierzyłaby cały Wietnam Północny. Powinniśmy ją wysłać do Hanoi – mówił do mnie. A potem zwracał się do Hester. – Słuchaj, mam świetny pomysł. Może byś poleciała porzygać trochę w Hanoi?

W sylwestra 1966 roku w Wietnamie było już 385 300 żołnierzy amerykańskich. 6644 zginęło w akcji. Tego roku nie spędzaliśmy sylwestra we trójkę. Sam oglądałem telewizję w domu babci. Hester gdzieś tam pewnie rzygała, ale nie wiem dokładnie gdzie. W roku 1967 w Wietnamie przebywało już 485 600 Amerykanów. 16 021 straciło życie w walce. I znowu sam oglądałem telewizję w domu przy Front Street. Troszkę za dużo wypiłem. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy babcia kupiła kolorowy telewizor, ale nie mogłem. Pochłonąłem dostatecznie dużo alkoholu, żeby puścić pawia w rozarium. Było bardzo zimno i – dobrze usposobiony wobec Hester – żywiłem w głębi duszy nadzieję, że rzyga w jakimś cieplejszym klimacie.

A Owen przebywał w cieplejszym klimacie.

Nie pamiętam już, gdzie byłem ani co robiłem w sylwestra 1968 roku. W Wietnamie znajdowało się wtedy 536 100 Amerykanów. Do rekordu brakowało jeszcze 10 000. Tylko 30 610 żołnierzy zginęło w akcji, o 16 000 mniej od ogólnej liczby poległych. Niezależnie od tego, gdzie spędziłem sylwestra roku 1968, co do jednego nie mam wątpliwości – że byłem pijany i że rzygałem. Niezależnie od tego, gdzie była Hester, jestem pewien, że i ona się upiła i też rzygała.

Jak wspominałem, Owen nie pokazywał mi, co pisze w dzienniku. Dopiero dużo później – już po wszystkim, prawie po wszystkim –

zobaczyłem jego zapiski. Żałuję, że jednej z notatek nie mogłem przeczytać zaraz po tym, jak ją napisał. To któryś z wcześniejszych wpisów, tuż po entuzjastycznych wspomnieniach z inauguracji prezydentury Kennedy'ego, i niedaleko notatki, w której dziękował babci za podarunek i oznajmiał, że zrobi wszystko, by była z niego dumna. Uważam, że ten zapis jest niezwykle ważny. Nosi datę 1 stycznia 1962 roku. Brzmi następująco:

WIEM TRZY RZECZY: WIEM, ŻE MÓJ GŁOS SIĘ NIE ZMIENI, I WIEM, KIEDY UMRĘ. CHCIAŁBYM WIEDZIEĆ, DLACZEGO NIE PRZECHODZĘ MUTACJI, I CHCIAŁBYM WIEDZIEĆ, JAK UMRĘ. JEDNAKŻE BÓG W SWEJ ŁASKAWOŚCI POZWOLIŁ MI WIEDZIEĆ WIĘCEJ, NIŻ WIEDZĄ NORMALNI LUDZIE, NIE CHCĘ SIĘ WIĘC SKARŻYĆ. PO TRZECIE WIEM, ŻE JESTEM NARZĘDZIEM W RĘKU BOGA. UFAM BOGU, ŻE POZWOLI MI POZNAĆ, CO TAKIEGO DANE JEST MI ZROBIĆ I KIEDY. SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU!

Tak pisał w styczniu, kiedy byliśmy w najstarszej klasie Akademii Gravesend. Gdybym wtedy pojął, że w ten fatalistyczny sposób akceptuje to, co „wie", lepiej potrafiłbym zrozumieć jego postępowanie, kiedy cały świat zwrócił się przeciw niemu, a on nawet nie podniósł ręki w swej obronie.

Któregoś dnia coś tam robiliśmy w biurze „The Grave" – to było tego samego roku, gdy Głos był jednocześnie redaktorem naczelnym pisma – kiedy Larry Lish, ten arcyniesympatyczny uczeń starszej klasy poinformował Owena i mnie, że prezydent Kennedy „zadaje się" z Marilyn Monroe.

Larry Lish – Herbert Lawrence Lish, Jr (jego ojciec Herb Lish był producentem filmowym) – to chyba najbardziej cyniczny i dekadencki uczeń Akademii. Już gdy był w młodszej klasie, jedna z dziewczyn z Gravesend zaszła z nim w ciążę, ale jego matka – która dopiero niedawno rozwiodła się z ojcem Larry'ego – tak szybko i sprawnie załatwiła dziewczynie zabieg, że nawet Owen i ja nie dowiedzieliśmy się, o którą chodziło. Larry Lish popsuł młodość wielu dziewcząt. Podobno jego matka mogła w każdej chwili wysłać taką dziewczynę do Szwecji. I podobno sama jechała z nią, upewnić się, że faktycznie wszystko do końca zostało załatwione. Po powrocie ze Szwecji dziewczyna nie miała już ochoty oglądać Larry'ego. Był

czarującym aspołecznym psychopatą, takim, co to z początku robi dobre wrażenie na biednych, przygnębionych ludziach – zachwyca ich jego staranna wymowa i koszule szyte na miarę.

Był bardzo dowcipny – nawet Owen pozostawał pod silnym wrażeniem jego artykułów w „The Grave" – i jednocześnie serdecznie znienawidzony zarówno przez uczniów, jak i ciało pedagogiczne. Używam określenia „serdecznie" w odniesieniu do studentów, ponieważ nikt nie odmówiłby zaproszenia na przyjęcie organizowane przez matkę albo ojca Lisha. Jeśli zaś chodzi o nauczycieli, „serdeczną" nienawiść łatwo wytłumaczyć – ojciec Lisha był na tyle sławny, że nauczyciele zwyczajnie się go bali. Z kolei rozwiedziona matka Lisha uchodziła za nie kwestionowaną piękność, która romansuje na prawo i lewo jak niezła dziwka. Niektórzy nauczyciele na pewno żyli nadzieją, że choć chwilkę będą mogli sobie na nią popatrzeć w czasie dnia otwartego. Podobnie o matce Lisha myślało również wielu uczniów.

Ani Owen, ani ja nigdy nie zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie u pani albo u pana Lisha. Nie sprzyjała temu choćby odległość z New Hampshire do Nowego Jorku, nie mówiąc już o Beverly Hills. Herb Lish mieszkał w Beverly Hills, gdzie odbywały się przyjęcia w hollywoodzkim stylu. Znajomi Larry'ego, którzy mieli szczęście pochodzić z okolic Los Angeles, twierdzili, że z okazji tych wystawnych libacyjek zjawiały się nawet prawdziwe „gwiazdki".

Nie mniej szokujące były przyjęcia organizowane przez matkę Larry'ego w jej apartamencie przy Piątej Alei. Uwodzenie i onieśmielanie młodych sprawiało przyjemność zarówno pani, jak i panu Lish. A dziewczęta z Nowego Jorku, mimo że nie zawsze chciały parać się aktorstwem, podobno „robiły to" z jeszcze mniejszymi oporami niż ich odmiana kalifornijska.

Po rozwodzie państwo Lish prześcigali się nawzajem w rywalizacji o wątpliwe uczucie Larry'ego. Wybrali drogę prowadzącą do jego serca przez zbyt częste przyjęcia i kosztowny seks. Larry spędzał pierwszą połowę wakacji w Nowym Jorku, a drugą w Beverly Hills. I na tym wybrzeżu, i na tamtym towarzystwo, w jakim „obracali się" państwo Lish, jawiło się starszym uczniom z Gravesend jako najbardziej fascynujący ludzie pod słońcem. O większości z nich ani

Owen, ani ja nigdy nie słyszeliśmy. Ale niewątpliwie słyszeliśmy o prezydencie Kennedym i na pewno widzieliśmy wszystkie filmy z Marilyn Monroe.

– Wiecie, co mi mama powiedziała, kiedy byłem u niej w czasie wakacji? – spytał nas Larry Lish.

– Zaczekaj, niech no zgadnę! Pewnie, że ci kupi samolot! – strzeliłem.

– A kiedy ojciec się o tym dowiedział, postanowił sprawić ci willę na Riwierze Francuskiej – dodał Owen.

– Jeszcze nie w tym roku – odparł z szelmowskim uśmiechem Larry. – Matka powiedziała mi, że JFK pieprzy się z Marilyn Monroe i całym tabunem innych!

– Cóż za niesmaczne kłamstwo! – oburzył się Owen.

– To najprawdziwsza prawda! – wyszczerzył zęby w głupkowatym uśmiechu Larry.

– Tego, kto rozsiewa podobne plotki, powinno się wsadzić do więzienia!

– Możesz sobie wyobrazić moją matkę w więzieniu? – spytał Larry. – Nie, to nie plotki. Prawda jest taka, że Meany Ulubieniec Dam to przy nim niewiniątko! Prezydencik ma każdą kobietę, na jaką mu tylko przyjdzie ochota!

– A niby skąd twoja mama to wszystko wie? – spytał Owen.

– Zna wszystkich Kennedych – odrzekł Larry po chwili odpowiednio długiej, by wzmóc efekt. – A mój tata zna Marilyn Monroe.

– Przypuszczam zatem, że „robią to” w Białym Domu?

– Na pewno w Nowym Jorku – odrzekł Lish. – Nie wiem, gdzie jeszcze. Wiem tylko tyle, że robią to już od lat! A kiedy prezydencik przestanie się nią interesować, podobno ma ją przejąć Bobby!

– To, co mówisz, jest obrzydliwe! – oświadczył Owen.

– To świat jest obrzydliwy – odparł Larry radośnie. – Myślisz, że kłamię?

– Owszem.

– W następny weekend mama przyjeżdża zabrać mnie na narty. Sam możesz ją spytać – zaproponował Lish.

Owen wzruszył ramionami.

– Myślisz, że i ona kłamie?

Owen ponownie wzruszył ramionami. Nie znosił Larry'ego, jak również jego matki. A przynajmniej nie znosił typu kobiety, jaki – jego zdaniem – matka Larry'ego reprezentowała. Tyle że Owen niczyjej matce nie zarzuciłby kłamstwa.

– Jedno ci tylko powiem, nasz Mistrzu Sarkazmu – ciągnął Larry. – Zgoda, moja matka jest plotkarą, jest dziwką, ale nie kłamie. Ma za mało oleju w głowie, by samej coś wymyślać.

To jedna z przykrzejszych cech naszych rówieśników z Akademii. Owen i ja z ogromnym bólem słuchaliśmy, jak wielu naszych kolegów na co dzień pomiata swoimi rodzicami. Korzystali z ich pieniędzy, a także w mniej zacnych celach z ich letnich domków, gdy tymczasem biedni staruszkowie nie mieli nawet pojęcia, że ich pociechy dysponują zapasowymi kluczami! Często też synowie mówili o nich jak o jakichś wapniakach, jakby nie warci byli lepszego słowa.

– Czy Jackie wie o Marilyn Monroe? – dopytywał się Owen.

– Możesz o to spytać mamę – zaproponował Larry.

Perspektywa rozmowy z matką Lisha wcale nie podziałała na Owena kojąco. Przez cały tydzień chodził zamyślony. Unikał biura „The Grave", gdzie zwykle brylował. Bądź co bądź, JFK stanowił dla niego źródło inspiracji. I chociaż kwestia prywatnej (lub seksualnej) moralności prezydenta nie u każdego przyćmiłaby entuzjazm wobec jego politycznych ideałów i celów, Owen Meany po prostu nie był taki „jak wszyscy". Ani na tyle wyrafinowany, by oddzielać moralność publiczną od prywatnej. Wątpię, czy Owen w ogóle kiedykolwiek doszedłby do tego „stopnia wyrafinowania", żeby rozdzielać te dwie sprawy – nie robiłby pewnie tego nawet dzisiaj, kiedy przy nierozłączności moralności prywatnej i publicznej nieugięcie obstają jedynie kryptoewangeliści, którzy głoszą, że „wiedzą", iż Bóg woli kapitalizm od komunizmu, a także potęgę nuklearną od długich włosów.

Gdzie w tym wszystkim miałby znaleźć swe miejsce Owen? Przeżył szok na wieść, że JFK – człowiek żonaty – może „pieprzyć się" z Marilyn Monroe, nie mówiąc już o „całym tabunie innych". Jednakże Owen za żadne skarby nie powiedziałby, że „wie", czego Bóg chce. Nigdy nie znosił kazań w czasie nabożeństwa, niezależnie

od tego, jakie to było nabożeństwo. Nie znosił tych, którzy utrzymują, że „znają” zdanie Boga o dzisiejszej rzeczywistości.

Obecnie fakt, że prezydent Kennedy miał okazję cieleśnie poznać Marilyn Monroe oraz „cały tabun innych” – nawet już za czasów piastowania urzędu – mógłby świadczyć o odrobinę zaledwie niestosownym zachowaniu. Choć przecież najzupełniej eleganckim w porównaniu ze świadomie skrytym, kłamliwym oraz niezgodnym z prawem postępowaniem, tak rozpowszechnionym wśród administracji Reagana. Sama wizja tego, że prezydent Reagan „pieprzy się z kimś” – z kimkolwiek – wobec całej gamy zła, jakiego się dopuszcza, zostałaby przyjęta z uśmiechem ulgi!

Ale w roku 1962 było zupełnie inaczej niż dzisiaj. A oczekiwania, jakie Owen Meany wiązał z ekipą Kennedy’ego, pełne były nadziei i optymizmu dziewiętnastolatka, który pragnie służyć ojczyźnie, który pragnie być użyteczny. Poprzedniej wiosny entuzjazm Owena zmąciła inwazja w Zatoce Świń. Lecz chociaż ten błąd prezydenta wyraźnie go poruszył, nie mógł się równać z cudzołóstwem.

– Jeżeli Kennedy potrafi racjonalnie uzasadnić cudzołóstwo, to ciekawe, co jeszcze potrafi uzasadnić? – spytał mnie Owen. – Zapomniałem, że to makrelarz! – dodał wściekły. – Katolicy mogą się ze wszystkiego wyspowiadać, toteż i wszystko mogą sobie wybaczyć. Katolikom nie wolno się rozwodzić! A może właśnie tu tkwi sedno sprawy? Co za kretynizm, żeby ludziom odmawiać rozwodu!

– Spójrz na to w ten sposób – odrzekłem. – Jesteś prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jesteś cholernie przystojny. Cały tabun kobiet marzy o tym, żeby się z tobą przespać – niezliczone rzesze pięknych kobiet zrobią wszystko, co zechcesz. Nawet o północy gotowe są stawić się przy kuchennym wejściu do Białego Domu!

– Kuchennym wejściu? – powtórzył Owen.

– Kapujesz, o co mi chodzi. Wyobraź sobie, że mógłbyś się pieprzyć dosłownie z każdą kobietą, która ci się podoba. To byś się pieprzył, może nie?

– Aż nie mogę uwierzyć, że wszystkie te lata nauki i wychowania, jakie ci zapewniono, poszły na marne. Po co uczyłeś się historii czy literatury, nie mówiąc już o religii, Piśmie Świętym i etyce? Po co te wszystkie wysiłki, jeśli jedyny cel to nie dać się złapać na gorącym

uczynku? I ty to nazywasz moralnością? I ty to nazywasz odpowiedzialnością? Prezydent został wybrany po to, by bronić Konstytucji. Inaczej mówiąc, wybrano go, by przestrzegał prawa. Nikt go nie upoważnił do tego, by działał ponad prawem. Ma nam służyć za przykład!

Pamiętacie to wszystko? Pamiętacie tamte czasy?

Nie zapomnę też, co Owen sądził o „Programie 100 000" – przypominacie sobie? Był to projekt poboru przedstawiony przez sekretarza obrony Roberta McNamarę w roku 1966. Spośród pierwszych 240 000 powołanych do służby wojskowej w latach 1966–1968 40% nie ukończyło szóstej klasy, 41% stanowili Czarni, 75% pochodziło z rodzin o niskich dochodach, 80% nie ukończyło szkoły średniej. „Uboga Ameryka nie miała okazji sprawiedliwie korzystać z bogactwa, jakie wypracował nasz naród – oświadczył sekretarz obrony. – Ma za to szansę służyć swemu krajowi, broniąc go".

Coś takiego przyprawiało Owena Meany'ego o drgawki.

– Czy on myśli, że oddaje przysługę „ubogim Amerykanom"? – podniósł głos. – Co on tak naprawdę chce przez to powiedzieć? Że nie musisz być biały albo umieć czytać, żeby umrzeć! Co za wspaniała szansa! Założę się, że „ubodzy Amerykanie" zasypią go dowodami wdzięczności!

Toronto, 11 lipca 1987; cholerny upał! Z ogromną radością przyjąłbym zaproszenie Katherine na jej wyspę w zatoce Georgia. Ale ona ma taką dużą rodzinę, że na pewno nieźle już się napracowała, przyjmując wszystkich obowiązkowych gości. A ja wpadłem w okropny nałóg – kupuję „New York Timesa" omal codziennie. Nawet dokładnie nie wiem, dlaczego chcę czy muszę się jeszcze czegokolwiek dowiedzieć.

Jak podaje „New York Times", według ostatnich sondaży większość Amerykanów uważa, że prezydent Reagan kłamie. Należałoby im jednak zadać pytanie, czy to ich w jakikolwiek sposób obchodzi?

Napisałem do Katherine z pytaniem, kiedy zamierza mnie zaprosić nad Zatokę. „Kiedy uwolnisz mnie od moich nałogów?" – spytałem.

Ciekaw jestem, czy „Timesa” można kupić na stacji w Pointe au Baril. Mam nadzieję, że nie.

Matka Larry’ego miała włosy koloru miodu, zdawały się lepkie i były mocno natapirowane, a nie najlepszą cerę tuszowała opalenizną. W zimie, jeśli nie była tuż po dorocznej pielgrzymce na Round Hill na Jamajce, jej skóra nabierała ziemistego odcienia. Ponieważ przy niskiej temperaturze dostawała krost, które ją jeszcze bardziej szpeciły, a nadmierne palenie wpływało fatalnie na układ krążenia, weekend spędzony na nartach w Nowej Anglii – nawet jeśli miał zapewnić przewagę w rywalizacji o uczucie syna – nie wpływał korzystnie ani na wygląd pani Lish, ani na jej usposobienie. Niemniej o matce Larry’ego nie można było powiedzieć inaczej niż „atrakcyjna pani w średnim wieku”. Może nie odpowiadała dokładnie wymaganiom prezydenta, ale według moich oraz Owena kryteriów Mitzy Lish uchodziła za piękność.

Na przykład rozkwitający erotyzm Hester wcale nie zyskiwał na jej niechlujstwie i upodobaniu do alkoholu. Pani Lish, mimo że paliła jak smok i farbowała bursztynowe włosy (przy skórze wyraźnie siwiała), wyglądała bardziej seksownie niż Hester.

Jak na upodobania mieszkańców New Hampshire, miała na sobie zbyt wiele złota i srebra. Niewątpliwie, nosiła się bardzo modnie, ale jej kreacje oraz biżuteria czy natapirowane włosy pasowałyby bardziej do hoteli i miast, gdzie stroje wieczorowe są na porządku dziennym. Na tle Gravesend wyraźnie się wyróżniała. Trudno sobie wyobrazić schronisko w New Hampshire czy Vermont, które mogłoby ją zadowolić. Jej wymagania wykraczały daleko poza luksus prywatnej łazienki. Była kobietą, która nie mogła się obyć bez służby hotelowej – lubiła wypalić pierwszego papierosa, wypić kawę i przeczytać „New York Timesa” jeszcze w łóżku. Potem potrzebowała odpowiedniego lustra i oświetlenia do makijażu, a czynność ta wymagała sporo czasu. Potrafiła się stać nieprzyjemna, gdy ktokolwiek ją popędzał.

W Nowym Jorku jej ranki przedstawiały się następująco: przede wszystkim papierosy, kawa i lektura „New York Timesa” – a także

wiele godzin spędzonych bez pośpiechu na makijażu, czemu oddawała się z samouwielbieniem. Była kobietą niecierpliwą, ale nigdy, gdy się malowała. Lunch z kimś, z kim można poplotkować – to kiedyś, a teraz, po rozwodzie – z adwokatem bądź potencjalnym kochankiem. Po południu wizyta u fryzjera albo drobne zakupy. Kupowała chociażby kilka nowych magazynów, niekiedy szła do kina. Potem czasami umawiała się z kimś na drinka. Gromadziła w głowie wszystkie najświeższe informacje, które nieraz uchodzą za oznakę inteligencji wśród takich, co to czytują „New York Timesa" regularnie i od deski do deski – i skrzętnie zbierają niegroźne ploteczki. Miała przy tym kupę czasu na przyswojenie sobie wszystkich aktualności. Nigdy nie pracowała.

Długo trwała również jej wieczorna kąpiel, a potem przed wyjściem – nowy makijaż. Wściekała się, jeśli plany kolacyjne wymagały, by się gdzieś stawiła przed godziną ósmą. Z drugiej strony, była jeszcze bardziej wściekła, jeśli nie miała żadnych planów na wieczór. Nigdy nie gotowała – nawet jajek. Była na tyle leniwa, że nie chciało jej się zaparzyć prawdziwej kawy. Do papierosów i gazety wystarczało jej to rozpuszczalne świństwo. Na pewno zaliczałaby się do zagorzałych zwolenniczek niskokalorycznych napojów bez cukru, bo miała fisia na punkcie odchudzania (choć jednocześnie nie lubiła się gimnastykować).

Za kłopoty z cerą winiła eksmałżonka, z którym życie nie było najłatwiejsze. Po rozwodzie musiała się wyprowadzić z Kalifornii, gdzie ze względu na korzystniejszy dla cery klimat wolała spędzać zimę. Zaklinała się, że pory na twarzy rozszerzyły jej się w Nowym Jorku. Ale z małpią złośliwością zatrzymała sobie apartament przy Piątej Alei. Alimenty zaś miały również pokrywać koszty jej dorocznej wyprawy na Jamajkę – dokąd wyjeżdżała, kiedy już nie mogła sobie poradzić ze skórą – a także wynajęcie letniska nad kanałem Hampton Roads, bo nawet w mieszkaniu przy Piątej Alei lipiec i sierpień nie jest zabawny. Kobieta jej klasy, przyzwyczajona do warunków życia u boku Herba Lisha jako jego żona oraz matka jedynego dziecka, najzwyczajniej potrzebowała słońca i słonego powietrza.

Przez kilka dobrych lat cieszyła się statusem rozwódki. Najwyraźniej nie spieszyło jej się do powtórnego zamążpójścia, a nawet odrzuciła kilka propozycji. Ale któregoś roku albo zaczęła przeczuwać, że traci urodę, albo zauważyła, że już ją straciła i że coraz więcej czasu musi poświęcać na makijaż przed lustrem tylko po to, by ratować to, co kiedyś miała. I wtedy się zmieniła – zaczęła nawet przejawiać pewną agresję w kwestii kolejnego małżeństwa. Doszła do wniosku, że najwyższa pora. Można tylko współczuć facetowi, który właśnie miał szczęście być u jej boku. Zaczynała go obarczać winą za to, że ją bałamucił, a co gorsza – nie pozwolił nigdy zrobić odpowiedniej kariery zawodowej. Żeby z tego wyjść z honorem, biedakowi nie pozostawało nic innego, tylko ożenić się z kobietą, którą tak bardzo od siebie uzależnił – nieważne, na kogo trafiło. Mówiła, że właśnie z jego powodu nie rzuciła palenia. Ponieważ nie żenił się z nią, nerwy nie pozwoliły jej zerwać z nałogiem. I tłusta cera, za którą przedtem winiła eksmęża, to również sprawka obecnego narzeczonego. Była ziemista wyłącznie z jego winy.

On także stanowił przyczynę jej szeroko reklamowanej depresji. Jeśli chciał ją zostawić, jeśli zamierzał ją porzucić, to mógłby chociaż podjąć finansowe zobowiązanie pokrycia kosztów leczenia psychiatrycznego. Bo przecież gdyby nie on, nie potrzebowałaby korzystać z usług psychiatry.

Pewnie interesuje was, skąd wiem aż tyle o Mitzy Lish, nieszczęsnej matce mego kolegi z klasy? Mówiłem już przecież, że uczniowie Akademii Gravesend byli często bardzo wyrafinowani. A rzadko który z nich „wyrafinowaniem” dorównywał młodemu Lishowi. Larry na prawo i lewo opowiadał wszystko, co wiedział o swojej matce. Uważał, że można się z niej świetnie nabijać.

Jednakże w styczniu 1962 roku pani Lish napełniała przerażeniem zarówno Owena, jak i mnie. Nosiła futro, za którym kryła się śmierć bardzo wielu ssaków, i miała na sobie okulary słoneczne, całkowicie skrywające jej opinię o nas. Mimo to nie mogliśmy się oprzeć wrażeniu, że zdaniem matki Larry’ego, tacy wieśniacy jak my nigdy nie nabiorą ogłady. Dałbym głowę, że pani Lish wolałaby już przejść

przez męczarnie odzwyczajenia się od palenia, niż zdecydować się na nudę wieczoru spędzonego w naszym towarzystwie.

– Dzień dobry, pani Lish – powiedział Owen. – Miło panią znowu widzieć.

– Dzień dobry, co u pani słychać? – dorzuciłem.

Taka kobieta jak ona pija tylko wódkę z tonikiem, żeby zachować świeży oddech. Ogromnie o to dbała, zwłaszcza dlatego, że tyle paliła. Dzisiaj pewnie nosiłaby w torebce odświeżacz do ust w aerozolu – psikałaby się przez cały boży dzień, tak na wszelki wypadek, gdyby komuś nagle przyszła ochota ją pocałować.

– No, powiedz im – zachęcił matkę Larry.

– Podobno nie wierzycie, że prezydent ma różne romanse – powiedziała pani Lish do Owena. Przy słowach „romanse" rozchyliła futro. Owionęły nas jej perfumy. – No więc chciałabym wam powiedzieć, że romansuje, i to dużo.

– Z Marilyn Monroe? – spytał Owen.

– Z nią i z wieloma innymi – rzekła pani Lish. Miała na wargach trochę za dużo szminki – nawet jak na rok 1962 – i kiedy uśmiechnęła się do Owena, dostrzegliśmy smugę pomadki na dużym górnym zębie z przodu.

– Czy Jackie wie? – spytał Owen.

– Pewnie się już do tego przyzwyczaiła. – Mama Larry'ego najwyraźniej rozkoszowała się rozpaczą Owena. – No i co ty na to? – spytała. Mitzy Lish lubiła onieśmielać młodych ludzi.

– Myślę, że postępuje niewłaściwie.

– Czy on tak naprawdę? – zwróciła się pani Lish do syna.

Pamiętacie? Pamiętacie, jak to się kiedyś mówiło: „Czy on tak naprawdę?".

– Czyż nie jest wyjątkowy? – odrzekł Larry.

– I to ma być redaktor naczelny waszej szkolnej gazety? – spytała Mitzy Lish.

– Zgadza się – odrzekł Larry. Matka naprawdę go rozśmieszyła.

– I to jest student, który ma wygłosić mowę po promocji? – indagowała pani Lish.

– Zgadza się! – odrzekł Larry, śmiejąc się bez przerwy.

Owen z takim przejęciem podchodził do sprawy swego wystąpienia, że już napisał mowę na uroczyste wręczanie dyplomów, a przecież był dopiero styczeń! W wielu szkołach ucznia, który ma wygłosić mowę, wybierano dopiero w semestrze wiosennym! Jednakże Owen miał doskonałą średnią, za nim długo nie było nikogo.

– Chciałabym cię o coś spytać – zwróciła się pani Lish do mego przyjaciela. – Gdyby Marilyn Monroe miała ochotę się z tobą przespać, tobyś się zgodził?

Bałem się, że Larry za chwilę skona ze śmiechu. Na twarzy Owena malował się spokój. Poczęstował panią Lish papierosem, ale ona wolała swojego. Podał jej ogień, potem przypalił sobie. Najwyraźniej zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– No? – prowokowała go uwodzicielsko pani Lish. – Mówimy o Marilyn Monroe – mówimy o najdoskonalszym tyłku pod słońcem! A może ona ci się nie podoba? – Zdjęła okulary. Miała bardzo ładne oczy, z czego sobie doskonale zdawała sprawę. – No i co, zgodziłbyś się czy nie? – indagowała. Puściła do niego oko, a potem czubkiem pomalowanego paznokcia skrobnęła po nosie.

– Gdybym był prezydentem, to nie – odrzekł Owen. – A już na pewno nie, gdybym był żonaty!

Pani Lish się zaśmiała. Było to coś pośredniego między szkaradnym szczekaniem hieny a dźwiękami, jakie wydawała Hester, kiedy sobie wypiła.

– Tak ma wyglądać przyszłość? – spytała Mitzy Lish. – I to ma być najlepszy uczeń w klasie najbardziej prestiżowej w tym kraju szkoły? O kurwa! I tego właśnie możemy oczekiwać po naszych przyszłych przywódcach?

Nie, pani Lish – mogę jej odpowiedzieć dzisiaj. Tego nie mogliśmy oczekiwać po naszych przywódcach. Nie tak miała wyglądać nasza przyszłość. Nasza przyszłość miała nas zawieść zupełnie gdzie indziej, a także zapewnić przywódców, którzy w niczym nie przypominają Owena Meany'ego.

Wtedy jednak brakło mi śmiałości, by odpowiednio zareagować. Ale Owen nie był facetem, który daje sobie w kaszę dmuchać – zaakceptował to, co uważał za swoje przeznaczenie, i nie pozwalał, by ktokolwiek go sobie lekceważył.

– Naturalnie, nie jestem prezydentem – odezwał się skromnie. – Nie jestem również żonaty. No i nawet nie znam Marilyn Monroe. Poza tym, na pewno nie miałaby ochoty się ze mną przespać. Ale wie pani co? – spytał panią Lish, która wraz z synem zanosiła się od śmiechu. – Gdyby pani chciała się ze mną przespać – oczywiście teraz, kiedy nie jestem prezydentem ani nie mam żony, to niech mnie diabli – chybabym się zgodził!

– Czy widzieliście kiedykolwiek psa, który krztusi się jedzeniem? Psy wciągają powietrze jedząc i potrafią się bardzo gwałtownie zadławić. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby ktoś równie nagle przestał się śmiać – śmiech pani Lish i rechot jej syna ustały jak nożem uciął.

– Coś ty powiedział? – spytała.

– No i co… zgodziłaby się pani czy nie? – Wzruszył ramionami, nie czekając na odpowiedź.

Staliśmy w zakurzonej i zadymionej redakcji „The Grave". To tutaj rzecz normalna. Owen najzwyczajniej w świecie podszedł do wieszaka, z którego zdjął czapkę myśliwską w czerwono-czarną kratkę oraz kurtkę z tego samego znoszonego materiału i wyszedł na zimno, które tyle szkody potrafiło wyrządzić cerze pani Lish. Larry był takim tchórzem, że nigdy Owenowi nie nawymyślał ani też nie skoczył mu na plecy i nie pchnął go w najbliższą zaspę. Albo był tchórzem, albo wiedział, że „honor" matki nie jest wart równie zaciętej obrony. Moim zdaniem, Mitzy Lish w ogóle nie warto w żaden sposób bronić.

Za to Randy White, nasz dyrektor, był człowiekiem niezwykle szarmanckim, dżentelmenem starej daty, zwłaszcza jeśli chodzi o płeć słabszą. Z oburzeniem wysłuchał, jakiej to obrazy dopuścił się Owen. Oczywiście, żywił dla Lishów wdzięczność za ich wsparcie Funduszu Kapitałowego i czym prędzej zapewnił panią Lish, że „zrobi coś" w sprawie zniewagi, jaka ją spotkała.

Kiedy zostaliśmy z Owenem wezwani do dyrektorskiego gabinetu, nie znaliśmy szczegółów, którymi uraczyła go Mitzy Lish, opisując ów „incydent", by posłużyć się słowami Randy'ego White'a.

– Zamierzam dowiedzieć się wszystkiego o tym pożałowania godnym incydencie – zwrócił się do nas dyrektor. – Czy składałeś

pani Lish niedwuznaczne propozycje w biurze „The Grave”, czy nie? – indagował White.

– To był żart – odparł Owen. – Cały czas się ze mnie naśmiewała, jak gdybym mógł stanowić obiekt żartów, więc postanowiłem odpowiednio zareagować.

– Jak niedwuznaczna propozycja złożona matce szkolnego kolegi może ci się wydawać czymś „odpowiednim”? I to na terenie obiektu należącego do szkoły?

Później dowiedzieliśmy się, że fakt, iż do zdarzenia doszło „na terenie obiektu szkolnego”, szczególnie rozdrażnił panią Lish. Oświadczyła, że to wystarczający powód do „zwolnienia ze szkoły”. O tym wszystkim poinformował nas Larry. Nie przepadał za nami, ale trochę mu było wstyd, że matce tak bardzo zależy na wywaleniu Owena z Akademii.

– Jak niedwuznaczna propozycja wobec matki kolegi może ci się wydawać czymś odpowiednim? – powtórzył White.

– Moje uwagi były odpowiednie do jej zachowania.

– Zachowała się wobec niego niegrzecznie – dorzuciłem swoje trzy grosze.

– Robiła sobie żarty z tego, że to ja mam wygłaszać mowę promocyjną.

– Śmiała się z niego w głos. Śmiała mu się prosto w twarz – dodałem. – Chciała go onieśmielić!

– Próbowała mnie uwieść.

Wtedy ani Owen, ani ja nie potrafiliśmy ubrać w odpowiednie słowa seksualnej zaborczości pani Lish. Może Randy White nawet zrozumiałby naszą niechęć wobec kobiety, która w tak okrutny sposób narzucała nam, a zwłaszcza Owenowi, swój seksapil. Flirtowała z nim, kusiła go, a potem upokorzyła, przynajmniej takie były jej intencje. Czy miała prawo poczuć się aż tak dotknięta jego bezczelnością, którą sama sprowokowała?

Mając zaledwie dziewiętnaście lat, nie potrafiłem jednak tego wszystkiego wysłowić, zwłaszcza gdy tak niespokojnie przestępowałem z nogi na nogę na dywaniku u dyrektora.

– Pytałeś kiedyś matkę innego ucznia, i to w obecności jej własnego syna, czyby się z tobą nie przespała?

– Nie rozumie pan kontekstu! – bronił się Owen.

– No to mi wyjaśnij ten „kontekst” – polecił White.

Owen czuł się dotknięty.

– Pani Lish wyjawiła nam pewne przykre, a zarazem niezwykle obciążające plotki. Najwyraźniej sprawiało jej przyjemność, że plotki te wytrąciły mnie z równowagi.

– To wszystko prawda, proszę pana – potwierdziłem.

– Co to były za plotki? – spytał White. Mój przyjaciel milczał.

– O, Boże! Owen, przecież musisz się jakoś bronić! – usiłowałem go przekonać.

– Zamknij się!

– Mów, co ci powiedziała – powtórzył dyrektor.

– Było to coś bardzo brzydkiego! – odrzekł Owen Meany, któremu wydawało się, że broni prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki! Owen czuł się, jakby występował w obronie honoru głównodowodzącego narodowych sił zbrojnych!

– Owen, powiedz – nalegałem.

– To poufna informacja. Musi mi pan uwierzyć na słowo, że zachowała się bardzo brzydko. Dostała, co jej się należało. Sama się o to prosiła.

– Pani Lish twierdzi, że obcesowo złożyłeś jej niedwuznaczną propozycję w obecności syna. Powtarzam: „obcesowo” – upierał się Randy White. – Mówi, że zachowałeś się w sposób niegrzeczny, sprośny i wulgarny. A także antysemicki.

– Czy pani Lish jest Żydówką? – spytał mnie Owen. – Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Mówi, że zachowałeś się jak antysemita.

– Dlatego, że złożyłem jej „łóżkową” propozycję?

– Przyznajesz zatem, że jej złożyłeś „propozycję”? – podchwycił Randy. – A gdyby się zgodziła?

Owen wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł zamyślony. – Pewnie bym to zrobił. A ty byś się zgodził? – zwrócił się do mnie. – Wiem, że pan na pewno nie, ponieważ jest pan żonaty. – I szybko dodał: – Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy zaczęła sobie ze mnie żartować – wyjaśniał dyrektorowi. – Spytała, „czy zrobiłbym to” z Marilyn Monroe. A ja

odpowiedziałem, że nie, gdybym był żonaty. Wtedy zaczęła się ze mnie śmiać.

– Dlaczego właśnie Marilyn Monroe?

Ale Owen nie odezwał się już ani słowem.

– Pomyśl sobie tylko, co by to był za skandal, gdyby taka wiadomość przedostała się do gazet!

Czyżby dyrektor przypuszczał, że upadek prezydenta mógłby nastąpić w efekcie artykułu redakcyjnego „The Grave”?

– Czy chcesz, żeby cię wywalili ze szkoły, bo musisz bronić honoru prezydenta? – zapytałem Owena.

– On jest ważniejszy ode mnie – oświadczył.

Dzisiaj wcale nie uważam, że miał rację. Przeważnie się nie mylił, ale teraz łapię się na tym, że Owen Meany zasługiwał na ochronę prawie w takim samym stopniu jak JFK.

Popatrzcie tylko, jakie to dupki usiłują osłaniać prezydenta w naszych czasach!

Owena nie sposób było przekonać, że powinien się bronić. Danowi powiedział tylko tyle, że insynuacje pani Lish mogą stanowić „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”. Nawet mimo gromów padających na jego głowę z ust wściekłego dyrektora nie chciał powtórzyć, jakie oszczerstwa słyszał.

Na obradach Rady Pedagogicznej dyrektor usiłował przekonać wszystkich, że takiego braku szacunku wobec dorosłych – zwłaszcza rodziców któregoś z uczniów! – nie można tolerować. Pan Early z kolei twierdził, że nie ma żadnych szkolnych przepisów zakazujących składania niedwuznacznych propozycji matkom uczniów. Zdaniem pana Early’ego, Owen nie złamał regulaminu.

Dyrektorowi zależało na tym, aby całą tę sprawę przekazać Komisji Wykonawczej, ale Dan był w pełni świadom, że gdyby Owen trafił w ręce tej bandy ludzi dyrektora, miałby niewielkie szanse, gdyż – jak słusznie pisał Głos – ludzie dyrektora, niezależnie od układów, zawsze mieli większość. Dan starał się udowodnić, że sprawa nie podlega kompetencji Komisji Wykonawczej. Owen nie dopuścił się żadnego wykroczenia, które – zgodnie z regulaminem – kwalifikowałoby się jako „przyczyna do usunięcia ze szkoły”.

– Jak to nie – zaprotestował dyrektor. A co z „niewłaściwym zachowaniem wobec dziewcząt”? – Któryś z członków Rady Pedagogicznej natychmiast zauważył, że pani Lish „nie jest dziewczyną”. Na co dyrektor odczytał telegram nadesłany przez byłego męża pani Lish, Herba. Producent z Hollywoodu wyrażał nadzieję, że obraza, jaka spotkała jego eksmałżonkę, oraz postawienie ich w niezręcznej sytuacji zostaną ukarane.

– Zawieśmy zatem Owena dyscyplinarnie w prawach uczniowskich – zaproponował Dan. – Taka kara jest aż nadto wystarczająca.

Jednakże Randy White utrzymywał, że wobec Owena wysunięto jeszcze poważniejsze zarzuty. Czy szacowne grono nie uważa antysemickiej postawy za dostatecznie „poważny” zarzut? Czy w szkole o tak zróżnicowanym przekroju etnicznym uczniów można tolerować przejawy podobnej „dyskryminacji”?

Niemniej pani Lish nie skonkretyzowała zarzutu, że Owen zachował się jak antysemita. Nawet Larry, indagowany na tę okoliczność, nie mógł sobie przypomnieć w uwagach Owena niczego, co można by tak ocenić. Z kolei przyznał, że mama ma zwyczaj każdego, kto nie uwielbia jej bałwochwalczo, nazywać antysemitą. Tak jakby uważała, iż jedyny dopuszczalny powód, dla którego można by jej nie lubić, stanowi fakt, że jest Żydówką. A jak zauważył Dan, Owen nawet nie wiedział, że Lishowie są Żydami.

– Jak mógł nie wiedzieć? – podniósł głos dyrektor.

Dan natychmiast stwierdził, że ta uwaga kryje w sobie znacznie większy ładunek antysemityzmu niż wszystkie słowa, jakie podobno miał wypowiedzieć Owen.

I tak ocalono mojego przyjaciela. Do końca semestru zimowego został dyscyplinarnie zawieszony w prawach ucznia – naturalnie z ostrzeżeniem (co było oczywiste dla wszystkich), że jakiekolwiek wykroczenie z jego strony może stanowić „podstawę do usunięcia ze szkoły”. Wtedy stanąłby przed Komisją Wykonawczą i żaden z przyjaciół nie zdołałby go uratować.

Dyrektor sugerował także, że oprócz czasowego zawieszenia Owen powinien zostać usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego „The Grave” albo że Głos musi zamilknąć do końca semestru zimowego.

Albo też należałoby zrobić jedno i drugie. Ale grono pedagogiczne nie podjęło takiej decyzji.

Szczerze mówiąc, zarzut pani Lish, że Owen jest antysemitą, wywołał duży oddźwięk wśród tych nauczycieli, którzy sami byli dość zagorzałymi antysemitami. Razem z Danem i Owenem przypuszczaliśmy, że również Randy White się do nich zalicza.

Zatem incydent zakończył się karą dyscyplinarnego zawieszenia do końca zimowego semestru. Właściwie – oprócz potencjalnego zagrożenia, czyli ewentualnych konsekwencji, gdyby wpadł w kolejne tarapaty – dla Owena, który nie mieszkał w bursie, kara nie była taka straszna. Sprowadzała się głównie do zakazu wyjazdu w środy i soboty do Bostonu, co uchodziło za przywilej wszystkich uczniów starszych klas. Gdyby mieszkał w akademiku, nie wolno by mu było spędzać weekendów poza campusem, ale ponieważ nie mieszkał, soboty i niedziele i tak spędzał u siebie albo ze mną.

Okazuje się jednak, że Owen wcale nie poczuwał się do wdzięczności za wyrozumiałość, jaką mu szkoła okazała. Był oburzony, że go w ogóle ukarano. Ta jego złość nie przysporzyła mu sympatii wśród nauczycieli. Chcieli, by im dziękował, że tak dzielnie go bronili i przeciwstawili się dyrektorowi. A tymczasem Owen odciął się od wszystkich – na dziedzińcu nikomu się nie kłaniał. Na nikogo nie patrzył! Nie odzywał się – nawet w klasie! – chyba że ktoś się pierwszy do niego zwrócił. A kiedy już był zmuszony przemówić, odpowiadał jak najbardziej zdawkowo, co było do niego absolutnie niepodobne. Jeśli zaś chodzi o obowiązki redaktora naczelnego „The Grave”, po prostu przestał pisywać komentarze, dzięki którym Głos zdobył imię i sławę.

– Co się dzieje z Głosem? – spytał go pan Early.

– Nauczył się trzymać język za zębami.

– Owen, nie możesz olewać przyjaciół – próbował przywołać go do porządku Dan.

– Głos padł ofiarą cenzury – odrzekł Owen. – Po prostu powiedzcie gronu nauczycielskiemu oraz dyrektorowi, że Głos jest zajęty – przegląda swoje przemówienie promocyjne. Chyba za to, co wtedy powiem, nikt nie będzie mnie mógł wyrzucić ze szkoły!

Taka była reakcja Owena Meany'ego na karę. Głos tylko na chwilę zamilkł, a już groził dyrektorowi i nauczycielom. Nie mieliśmy najmniejszej wątpliwości, że nie posiada się z gniewu.

To ten australopitek z Zurychu, doktor Dodler, zasugerował ciału pedagogicznemu, że należy wymóc na Owenie, by z nim porozmawiał.

– Jest w tym chłopcu tyle złości! – oświadczył. – A przecież ma dar wymowy. Skrywając teraz ów talent przed nami, odmawia sobie przyjemności mówienia tego, co myśli. Dlaczego? Jeśli jego złość nie znajdzie ujścia, będzie narastać. Czyż nie tak? A więc może stworzyć mu odpowiedni wentyl – już lepiej niech to uczucie złości przeleje na mnie! W końcu nie chcielibyśmy, żeby podobny incydent powtórzył się z jakąś inną kobietą, na przykład żoną któregoś z nauczycieli?

Polecono zatem Owenowi udać się do szkolnego psychiatry.

– Ojcze, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią! – powiedział tylko.

Toronto, 14 lipca 1987. Nadal bezskutecznie czekam na zaproszenie nad zatokę Georgia. „New York Times" jakby ograniczył aferę Iran-contras do kwestii, czy prezydent Reagan „wiedział", że zyski z tajnej sprzedaży broni do Iranu były przeznaczone na wsparcie nikaraguańskich contras. O Boże! Nie wystarczy, że „wiedzą", iż prezydent zamierzał i chciał utrzymać poparcie dla contras, mimo że Kongres powiedział „basta"?

Rzygać mi się chce, kiedy słyszę te wszystkie kazania skierowane do podpułkownika Olivera Northa. Po co ta cała gadanina? Pułkownik chce wspierać contras „w imię Boga i dla dobra ojczyzny" i dał już najlepsze dowody na to, że wykona każde polecenie przełożonego. A teraz posłuchajmy, jak to senatorowie i członkowie Izby Reprezentantów, którzy chcą ponownie kandydować, wyjaśniają pułkownikowi całe ustępy Konstytucji, których nie zna. Chcą go przekonać, że patriotyzm wcale nie polega na tym, by ślepo wykonywać rozkazy prezydenta, i że kwestionowanie polityki prezydenckiej nie oznacza braku miłości do ojczyzny! Może przy okazji dodadzą, że nikt nie udowodnił, iż Bóg ma poglądy prawicowe? Czemu mówią pułkownikowi rzeczy oczywiste? Dlaczego

nie zdobędą się na odwagę, żeby to samo powiedzieć temu pieprzonemu „głównodowodzącemu sił zbrojnych”?

Założę się, że jeśli Hester śledzi całą tę aferę, to pewnie puszcza pawie. Idę o zakład, że rzyga dalej, niż widzi. Głowę dam, że doskonale pamięta te niezbyt piękne, ale sprytnie pomyślane nalepki na samochody z okresu wojny wietnamskiej – flagi amerykańskie z nazwą naszej ukochanej ojczyzny wypisaną czerwono-biało-niebieskimi literami. Założę się, że i pułkownik North je sobie przypomina.

Ameryka!
brzmiał napis na naklejce.
Możesz ją albo kochać,
albo opuścić!

Czy zgodzicie się ze mną, że to był niegłupi slogan? Przypominacie sobie?

A teraz przyszło nam wysłuchiwać przemówień na temat praw i obowiązków obywatela – urzędnicy wybrani przez naród pouczają podpułkownika piechoty morskiej, że miłość ojczyzny i Boga (a także nienawiść do komunizmu) można w demokracji pojmować różnorako, w zależności od punktu widzenia. Pułkownik nie ma najmniejszej ochoty zostać nawrócony. Dlaczego zatem te filary praworządności tracą na niego czas? Wątpię bardzo, czy prezydenta Reagana dałoby się nawrócić na demokrację.

Pamiętam, co babcia mówiła, gdy zobaczyła albo usłyszała coś wyjątkowo głupiego. Powiedzonko to podchwycił Owen, dość obcesowo stosując je w roku naszej nauki w najstarszej klasie Akademii. Kiedy ktoś wygadywał jakieś bzdury, Owen Meany odpowiadał niezmiennie: „Wiesz co? To dobre do telewizji”. Na pewno tak właśnie zareagowałby, słysząc o przesłuchaniach Reagana – co prezydent wiedział, a czego nie – w sprawie Iran-contras.

– To dobre do telewizji – brzmiałby komentarz Owena.

I tak właśnie określał swoje spotkania z doktorem Dolderem. Szkoła zobowiązała go do składania wizyt Dolderowi dwa razy w tygodniu, a kiedy prosiłem, by mi opowiedział, o czym rozmawiał z tym szwajcarskim idiotą, odpowiadał lakonicznie: „To dobre do telewizji". Nie mówił nic więcej, ale lubił pośmiać się z niektórych pytań psychiatry, które powtarzał, nabijając się z jego akcentu.

– No tak, podziągają cię zdarsze kobiety. Zkąd zię to bierze?

Czasami zastanawiałem się, czy Owen w odpowiedzi wspomniał choć raz, że zawsze lubił moją mamę, że był w niej nawet zakochany. Na pewno doktor Dolder bardzo by się wtedy ożywił.

– Ach, to ta kobieda, co ją zabiłeś piłką do bazeballu? I przez nią lubisz madki innych udżniów?

– Daj spokój, taki głupi to on nie jest – zaprotestowałem.

– Ach tak, to deraz patrzysz na żony naudżycieli?

– Daj spokój, o co on cię tak naprawdę pyta?

– Ach, wierzysz w Boga, do bardzo interezujądze.

Owen nigdy mi nie wyjawił, o czym tak naprawdę rozmawiali. Wiedziałem, że Dolder to kretyn. Ale nie mam wątpliwości, że nawet człowieka niedorozwiniętego umysłowo niektóre aspekty osobowości Owena mogły zaniepokoić. Na przykład doktor Dolder, mimo że lekko stuknięty, musiał niewątpliwie usłyszeć coś na temat „narzędzia w ręku Boga". I nawet doktor Dolder wyczułby niepokojąco antykatolickie nastawienie Owena. Dobremu psychiatrze szczególny fatalizm Owena musiałby się wydać czymś niezwykle fascynującym. Założę się, że doktor Dolder z tego powodu robił w majtki ze strachu. Czy Owen mógł posunąć się na tyle daleko, by powiedzieć Dolderowi o nagrobku Scrooge'a? Czy zdobył się na to, by mu wyjawić, że wie, ile mu jeszcze czasu pozostało na tym ziemskim padole?

– Co ty mu nawijasz?

– Prawdę. Odpowiadam na każde pytanie, które zada, szczerze i bez ironii – wyjaśnił Owen.

– O Boże, przecież możesz sobie napytać biedy!

– Coś podobnego!

– Rozumiem, że mówisz mu o wszystkim, o czym myślisz, ale chyba nie o wszystkim, w co wierzysz? No, chyba nie o wszystkim?

– O wszystkim. Odpowiadam na wszystkie pytania.

– O Boże! – powtórzyłem. – I co on na to?

– Poradził mi, żebym pogadał z pastorem Merrillem, więc i do niego muszę chodzić dwa razy w tygodniu. I z obydwoma rozmawiam dokładnie o tym samym. Przypuszczam, że w ten sposób dowiadują się wielu ciekawych szczegółów o sobie nawzajem.

– Rozumiem – odparłem, ale tak naprawdę wcale nie rozumiałem.

Owen uczęszczał na wszystkie zajęcia wielebnego Lewisa Merrilla na Akademii. Z takim zapałem podchodził do lekcji religii i Pisma Świętego, że w najstarszej klasie miał już wszystko przerobione i Merrill zgodził się, by niektóre tematy studiował indywidualnie. Owena interesował przede wszystkim cud zmartwychwstania. W ogóle fascynowały go cuda, a zwłaszcza życie po śmierci, i pisał nie kończącą się pracę semestralną właśnie na temat tych wszystkich zagadnień; nawiązywała ona także do jego ulubionego motywu z Księgi Izajasza (rozdział 5, wiersz 20): „Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem". Pastor Merrill bardzo teraz zyskał w oczach mojego przyjaciela, niegdyś bowiem wątpliwości duchownego przeszkadzały dogmatycznemu podejściu Owena. Tak się niezręcznie składało, że pan Merrill musiał pamiętać o roli, jaką odegrał Głos w powołaniu go na stanowisko szkolnego kapelana. Mogę sobie doskonale wyobrazić, że kiedy razem siedzieli w gabinecie pastora, żaden z nich nie zachowywał się zupełnie swobodnie. Chociaż niewątpliwie bardzo się nawzajem szanowali.

W towarzystwie Owena tak naprawdę nikt nie czuł się całkiem swobodnie, a nie znałem nikogo, kto by się czuł bardziej nieswojo niż wielebny Lewis Merrill. Mogłem więc sobie łatwo wyobrazić, że podczas tych rozmów – czy jak to nazywali – kościół Hurda trzeszczy w posadach. Obaj wiercili się niespokojnie w gabinecie Merrilla – pastor na pewno otwierał i zamykał szuflady starego biurka albo jeździł w równie wiekowym fotelu od jednego końca tegoż biurka do drugiego. Owen z kolei wyłamywał z zakłopotania palce, co chwila zakładał nogę na nogę, wzdychał i bez przerwy sięgał w kierunku biurka Merrilla po to tylko, żeby podnieść przycisk do papieru czy modlitewnik, które po chwili odkładał.

– O czym rozmawiasz z panem Merrillem? – spytałem.

– Z pastorem Merrillem mówię o doktorze Dolderze, a z doktorem Dolderem rozmawiamy o pastorze Merrillu.

– No tak, ale ty chyba troszkę lubisz Merrilla, zgadza się?

– Rozmawiamy o życiu po śmierci.

– Aha – odrzekłem, nadal jednak nic nie rozumiałem. Nie potrafiłem pojąć, że Owen Meany nigdy nie ma dosyć rozmów na ten temat.

Toronto, 12 lipca 1987. Dzisiaj w mieście skwar! Strzygłem się tam, gdzie zwykle – niedaleko rogu Bathurst i St Clair – i fryzjerka (nigdy się chyba nie przyzwyczaję do kobiet w tym zawodzie) spytała, jak krótko mnie ostrzyc.

– Chcę wyglądać jak Oliver North – odrzekłem.

– Kto? – zapytała.

Ach, ta Kanada! Ale założę się, że w Ameryce też są młode fryzjerki, które nie mają pojęcia, kim jest pułkownik North. Za kilka lat pójdzie już chyba całkowicie w niepamięć. Kto jeszcze dziś pamięta Melvina Lairda? Albo generała Creightona Abramsa bądź generała Williama Westmorelanda – nie mówiąc już o tym, który przyszedł na miejsce którego? A kto zajął stanowisko generała Maxwella Taylora? Albo generała Curtisa LeMaya? Na czyje z kolei miejsce przyszedł Ellsworth Bunker? Pamiętacie? Założę się, że nie!

Z budowy na rogu Bathurst i St Clair dobiegał straszny huk, ale fryzjerka na pewno słyszała, co powiedziałem.

– Jak Oliver North – powtórzyłem. – Pułkownik Oliver North z piechoty morskiej USA.

– Domyślam się, że mają być rzeczywiście krótkie.

– Owszem!

Chyba po prostu muszę przestać czytywać „New York Timesa". Takimi wiadomościami nie warto nawet zaśmiecać sobie pamięci. Tylko dlaczego wyrzucenie tego wszystkiego z głowy przychodzi mi z takim trudem?

Nikt nie miał równie doskonałej pamięci jak Owen. Gotów jestem przyjąć, że do końca zimowego semestru owego 1962 roku ani razu mu się nie pomyliło, co powiedział wielebnemu Lewisowi Merrillowi,

a co Dodlerowi, choć im się na pewno różne rzeczy w głowie poprzestawiały. Przez te kilka miesięcy nabrali przekonania, że Owen albo powinien był zostać wyrzucony ze szkoły, albo mianowany nowym dyrektorem. Typowa dla New Hampshire pogoda o tej porze roku mogła prawie każdego doprowadzić do szału.

Pokażcie mi takiego, co lubi wstawać, kiedy jeszcze jest ciemno! Owen musiał na dodatek wstawać wcześniej niż inni. Ponieważ otrzymywał stypendium, był zobowiązany wykonywać jakąś pracę – obsługiwał stół nauczycielski. W dniu dyżuru musiał się zjawiać w jadalni co najmniej godzinę przed śniadaniem. Kelnerzy mieli obowiązek nakryć do stołu i zjeść śniadanie w kuchni, zanim pojawią się uczniowie i nauczyciele. Potem w przerwie między oficjalnym zakończeniem śniadania i początkiem porannego spotkania – nazwa ta wprowadzona przez nowego dyrektora, jak widać, przyjęła się – musieli posprzątać ze stołu.

Owego sobotniego ranka – było to w lutym – z powodu bardzo niskiej temperatury czerwona półciężarówka nie chciała zapalić i Owenowi nie pozostawało nic innego niż ruszyć ciężarówkę Kamieniołomów Granitu Meanych na pych, rozpędzając ją w dół Maiden Hill. Nie znosił „służby na stołówce", jak to nazywał, w czasie weekendu. Nocował przecież poza campusem, więc tego dnia specjalnie dojeżdżał kawał drogi do szkoły. Jestem pewien, że kiedy dotarł do Akademii, był bardzo zły. Na kolistym podjeździe do Gmachu Głównego, w miejscu, w którym się zawsze zatrzymywał, stało zaparkowane inne auto. Ciężarówka Meanych była tak ogromna, że jeśli na podjeździe znajdował się choćby jeszcze jeden samochód, Owen musiał zostawiać swój pojazd na Front Street, gdzie zimą z kolei obowiązywały wprowadzone przez miasto i związane z odśnieżaniem zakazy parkowania. Teraz Owen zrobił się już naprawdę wściekły. Samochodem, przez który nie mógł stanąć na podjeździe, był garbus doktora Doldera.

Nie pozostając w tyle za swymi cierpliwymi i aż do znudzenia porządnymi rodakami, pedantyczny doktor Dolder zawsze tak samo, w sposób nietrudny do przewidzenia, obchodził się z volkswagenem. Jego kawalerka znajdowała się w Quincy Hall, czyli na samym końcu campusu. Stamtąd wszędzie wydawało się daleko, ale chyba trudno

byłoby na terenie kampusu znaleźć miejsce bardziej oddalone w linii prostej od Gmachu Głównego niż Quincy Hall. Dolder zostawiał swoje auto na podjeździe tylko wtedy, kiedy troszkę wypił.

Randy i Sam White często zapraszali go na kolację. Gdy wybierał się do nich wieczorem, stawiał samochód pod Gmachem Głównym, a jeśli w czasie kolacji za dużo wypił, zostawiał garbusa i wracał do domu pieszo. Co prawda, kampus nie był aż tak rozległy, żeby Dolder nie mógł się przespacerować w obie strony – na kolację i z powrotem (nie istniały żadne przeciwwskazania) – ale doktor należał do tych Europejczyków, którzy zakochali się w szczególnym nawyku Amerykanów, żeby nie chodzić na piechotę tam, dokąd mogą dojechać samochodem. Założę się, że w Zurychu wszędzie przemieszczał się na własnych nogach. Za to po kampusie jeździł garbusem, jakby się wybierał na wycieczkę po stanach całej Nowej Anglii.

Widząc wóz Doldera zaparkowany na podjeździe, wszyscy doskonale wiedzieli, że to symptom iście szwajcarskiej przezorności. Doktor nie pijał przesadnie, a kilka maleńkich drożynek, jakie musiałby przejechać po kolacji, by od White'ów wrócić do Quincy Hall, nie stworzyłoby zbyt wielu sytuacji, w których mógłby okaleczyć trzeźwych i Bogu ducha winnych mieszkańców Gravesend. Bardzo prawdopodobne, że w ogóle nikogo by nie spotkał. Doktor Dolder jednak uwielbiał swego garbusa i był człowiekiem ostrożnym.

Któregoś dnia na świeżej warstwie śnieżku, co przysypał przednią szybę volkswagena, jakiś uczeń, który niedawno zaczął naukę niemieckiego, napisał palcem: *Herr Dolder hat zu viel betrunken!* Zwykle widząc się z Owenem w jadalni albo na spotkaniu porannym, mogłem się natychmiast zorientować, czy Dolder wypił za dużo poprzedniego wieczoru. W zimie, gdy widziałem Owena z kwaśną miną, od razu wyczuwałem, że rano miał kłopoty z parkowaniem. Jeszcze zanim zdążyliśmy zamienić choć jedno słowo, wiedziałem, że pikap nie zapalił i że Owen nie miał gdzie zostawić ciężarówki.

– Co się stało? – pytałem.

– Pieprzony szwajcarski pijaczyna! – odpowiadał Owen.

– Ach tak – kwitowałem.

Bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak w ów lutowy ranek podziałał na niego garbus psychiatry.

Owen siedział w lodowatej szoferce – w tym olbrzymim cholerstwie czuło się, że ogrzewanie działa najwcześniej po godzinie – założę się też, że palił i pewnie mruczał coś sam do siebie, kiedy nagle zobaczył w świetle reflektorów prawie całą reprezentację koszykówki – gracze szli w jego kierunku. Ponieważ było zimno, parujące oddechy mogły sugerować, że i oni kopcą, chociaż Owen znał ich wszystkich i doskonale wiedział, że są niepalący. Regularnie dwa albo trzy razy w tygodniu dostarczał im rozrywki, ćwicząc się w „strzelaniu".

Później dowiedziałem się, że chłopaków było ośmiu albo dziesięciu – więc nie cała drużyna. Wszyscy mieszkali w tej samej bursie, czyli tam, gdzie większość sportowców Akademii. A ponieważ koszykarze jechali tego dnia dość daleko na jakieś szkolne rozgrywki, właśnie szli do stołówki, żeby wcześniej zjeść śniadanie z chłopcami, którzy w tym czasie mieli służbę w jadalni. Byli to potężni, weseli faceci, skorzy do różnych figli, którym nie robiło różnicy, że muszą wstać przed świtem. Czekało ich zwolnienie z sobotnich przedpołudniowych zajęć oraz dzień, który zapowiadał się jak wspaniała przygoda. Owen Meany nie podzielał równie szampańskiego nastroju. Odkręcił zamarzniętą szybkę i przywołał chłopaków.

Serdeczni, jak zawsze, powitali go niezmiernie radośnie. Wskoczyli od razu na ciężarówkę i w zamieszaniu, jakie się zrobiło, zaczęli się z niej nawzajem spychać – słowem, bawili się świetnie.

– Odnoszę wrażenie, że jesteście wyjątkowo silni – zauważył Owen. W odpowiedzi zaryczeli chórem. Reflektory ciężarówki oświetlały garbusa doktora Doldera, który stał w okowach lodu, przyprószony nieco śnieżkiem, jaki spadł w nocy.

– A jednak założę się, że nie dacie rady podnieść tego volkswagena – rzucił. Było rzeczą oczywistą, że mają dosyć siły nie tylko, by go unieść, ale i wynieść z miasta.

Kapitanem koszykarzy był sympatyczny olbrzym. Kiedy ćwiczył z Owenem strzelanie, mógł go podnieść jedną ręką.

– Nie ma sprawy – rzekł do mego przyjaciela. – Dokąd go mamy zanieść?

Owen zaklina się, że dopiero wtedy przyszedł mu do głowy ten pomysł.

Najprawdopodobniej nigdy nie wybaczył White'owi tego, że przeniósł poranną modlitwę z kościoła Hurda do Gmachu Głównego i nazwał ją porannym spotkaniem. Nadal najwyraźniej uważał, że dyrektor się wywyższa. Dekoracje do sztuki Dana wystawianej w semestrze zimowym zostały już usunięte. Scena w tak zwanej Wielkiej Auli była pusta. Owen nie miał też cienia wątpliwości, że schody prowadzące do wspaniałych podwójnych drzwi są dostatecznie szerokie, aby swobodnie zmieścić garbusa doktora Doldera. To by dopiero było, gdyby tak postawić mały dziarski samochodzik na głównej scenie niczym symbol wesołego, niewinnego powitania – na cześć dyrektora i uczniów. Taki drobiazg, który wszystkich z utęsknieniem wypatrujących marca i nie mogących się doczekać wiosennej przerwy odrobinę rozchmurzy.

– Wnieście wóz do gmachu głównego – polecił Owen kapitanowi koszykarzy. – Zanieście go na górę i postawcie na scenie. Dokładnie na środku, przodem do widowni, tuż obok podium dyrektora. Ale ostrożnie, żeby go nie zadrapać. I na Boga – nie upuścić! I żeby nigdzie po drodze nie było najmniejszego śladu, nawet najmniejszego zadraśnięcia, ani na samochodzie, ani na schodach, ani na wejściu, ani na scenie auli. Musi to tak wyglądać, jakby samochód tam przefrunął – pouczał koszykarzy. – Niech to wygląda tak, jakby anioł wjechał nim na scenę!

Chłopcy wynieśli samochód i Owen w pierwszej chwili chciał zaparkować na wolnym miejscu, ale postanowił, że rozsądniej będzie, jeśli podjedzie do Waterhouse Hall i zostawi ciężarówkę obok samochodu Dana. Dan wtedy Owena nie widział, a nawet jeśli ktokolwiek by go zauważył, jak o świcie biegnie przez campus, nikogo by to specjalnie nie zdziwiło – był po prostu kelnerem, który pędzi na służbę w stołówce, żeby się nie spóźnić.

Zjadł śniadanie w kuchni wraz z innymi kelnerami oraz grupką nadzwyczaj wygłodniałych i rozradowanych koszykarzy. Owen nakrywał właśnie do nauczycielskiego stołu, kiedy kapitan drużyny zajrzał, żeby się pożegnać.

– Nigdzie ani śladu – zapewnił Owena.

– Udanego meczu! – życzył mu Owen.

Zaparkowanego na scenie garbusa odkrył jeden z portierów Gmachu Głównego, kiedy odsłaniał żaluzje w wysokich oknach sali, przez które wpadało obficie poranne światło. Naturalnie portier powiadomił dyrektora. Randy White z kuchennego okna swego domu, który niczym jakiś natręt usadowił się dokładnie naprzeciw Gmachu Głównego, bez trudu dostrzegł malutki prostokąt nie przykrytej śniegiem ziemi w miejscu, w którym volkswagen stał przez noc.

Dyrektor zadzwonił do Dana – jak nam Dan później opowiadał – w momencie, gdy ten wychodził spod prysznica. Większość nauczycieli raczej jadła śniadanie w domu albo wolała w ogóle z niego zrezygnować niż lecieć rano do stołówki. Dyrektor powiedział Danowi, że zwołuje wszystkich sprawnych fizycznie członków ciała pedagogicznego, żeby przed rozpoczęciem porannego spotkania usunąć ze sceny auli samochód doktora Doldera. White twierdził, że to nie uczniowie „będą się śmiali ostatni". Dan odrzekł, iż nie uważa się za „szczególnie sprawnego", ale naturalnie spróbuje pomóc. Odłożywszy słuchawkę śmiał się sam do siebie – do chwili, kiedy wyjrzał przez okno i zobaczył ciężarówkę Przedsiębiorstwa Granitowego Meanych zaparkowaną tuż obok swego samochodu. Danowi przyszło nagle do głowy, że na pomysł postawienia samochodu doktora Doldera na scenie Wielkiej Auli mógł wpaść jedynie Owen.

Dokładnie tak samo uważał dyrektor, który wraz z kilkunastoma „niezbyt sprawnymi" nauczycielami oraz kilkoma silnymi żonami nauczycieli zmagał się z garbusem.

– To mi pachnie Owenem Meanym! – zauważył.

– Nie przypuszczam, żeby Owen mógł podnieść volkswagena – zaryzykował Dan.

– Mam na myśli sam pomysł! – wyjaśnił dyrektor.

Dan opowiadał później, że nauczyciele niezbyt się nadają do podnoszenia czegokolwiek. Nawet ci wysportowani nie są tak silni i sprawni jak młodzi koszykarze, i chyba też wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że dużo łatwiej wnieść po schodach tak wielki i nieporęczny ciężar, niż ciągnąć go w dół.

Pan Tubulari, trener lekkiej atletyki, z takim zapałem schodził ze schodków sceny, że wylądował na twardej drewnianej ławeczce w pierwszym rzędzie – na szczęście śpiewnik z hymnami zamortyzował nieco uderzenie, bo inaczej trener pewnie by stracił przytomność. Zdaniem Dana, Tubulari i tak był „cały nieprzytomny, jeszcze przed upadkiem", ale facet na dodatek nieszczęśliwie skręcił nogę w kostce i trzeba go było zanieść do Infirmerii Hubbarda. Tak więc, żeby sobie poradzić z nieszczęsnym wrakiem samochodu Doldera, pozostało w auli jeszcze mniej sprawnych nauczycieli oraz kilka krzepkich żon. Wrak opierał się teraz na tyle, a tył w tym samochodzie to cięższa część, bo tam ma właśnie silnik. Samochodzik stał sobie dziwacznie na baczność, jakby oddawał honory bądź bił brawo wycieńczonym członkom ciała pedagogicznego, którzy zwalili go ze sceny w tak mało efektowny sposób.

– Jakie to szczęście, że nie ma doktora Doldera – zauważył Dan.

Ponieważ dyrektor był wściekły, nikt nie odważył się zwrócić uwagi na to, co się wręcz samo narzucało – że dużo lepiej byłoby dać uczniom satysfakcję i pozwolić, by mogli się śmiać „ostatni" – wtedy można by polecić grupie silnej zdrowej młodzieży, by bezpiecznie zniosła garbusa ze sceny. Gdyby studenci rozwalili samochód, byłaby to ich wina. Tak natomiast sytuacja ze złej stała się jeszcze gorsza, co jest normalne, jeśli do roboty biorą się amatorzy i na dodatek działają w pośpiechu.

Już za jakieś dziesięć, piętnaście minut mieli zacząć napływać do auli uczniowie na poranne spotkanie. Rozbity volkswagen, zabawnie przycupnięty na siedzeniu, mógłby sprowokować o wiele głośniejsze i bardziej niepohamowane wybuchy śmiechu niż schludny, zadbany i nie uszkodzony samochodzik, stojący sobie na scenie. Na ten temat odbyła się jednak tylko króciutka wymiana zdań – jeśli można ją tak nazwać. Dyrektor, czerwony na twarzy z wysiłku, jakim było uniesienie solidnego niemieckiego cudu motoryzacji, polecił jedynie nauczycielom, aby napięli mięśnie i oszczędzili mu swoich uwag.

Volkswagena pokrywała jednak warstewka lodu i śniegu, która już się zdążyła roztopić. Samochód był mokry i śliski. Pod nogami pedagogów utworzyły się kałuże wody. Jedna z żon, i to z tych

obdarzonych szczególnie licznym potomstwem, której natura nie poskąpiła atrybutów kobiecości, tyle że umiejscowionych może nie najwłaściwiej, poślizgnęła się i wpadła pod samochód, kiedy ekipa próbowała go postawić na cztery koła. I chociaż nic jej się nie stało, została na dobre uwięziona pod upartym autem. W volkswagenie jako w jednym z pierwszych samochodów wprowadzono jednolite podwozie, więc biedaczka szybko zorientowała się, że nie ma sposobu się wydostać.

Do porannego spotkania pozostało już niecałe dziesięć minut – i oto nowe upokorzenie dla dyrektora. Zniszczony samochód doktora Doldera – pod nim uwięzione ciało żony pracownika, na którą wycieka olej z silnika i skrzyni biegów. Przy czym nie była to zbyt lubiana żona pracownika.

– O kurwa! – zaklął Randy. – O Boże! – poprawił się po chwili.

W auli zaczęły się już pojawiać pierwsze „ranne fiuty". To tacy, którzy nie mogąc się doczekać szkoły, zjawiają się na porannym spotkaniu grubo przed czasem. Nie wiem, jak się dzisiaj takich nazywa, ale na pewno niezbyt pięknie.

Niektórych uczniów wyraźnie zaskoczyło, że dyrektor na nich nakrzyczał i kazał im „przyjść o właściwej porze". Tymczasem niedoświadczeni samochodziarze, unosząc z wysiłkiem volkswagena na bok, by pani o obfitych kształtach mogła się spodeń bezpiecznie wyślizgnąć, przesunęli garbusa trochę za daleko – a on przewrócił się na bok od strony kierowcy (właśnie wtedy stłukła się szyba i boczne lusterko). Okruchy szkła wraz ze szczątkami tylnych reflektorów, strzaskanych przy niefortunnym upadku garbusa ze sceny, pośpiesznie wmieciono pod pierwszą z brzegu drewnianą ławkę, tę samą, na którą spadł biedaczysko Tubulari.

Ktoś proponował, że może dobrze byłoby jednak wezwać doktora Doldera. Gdyby doktor otworzył samochód, dzielny pojazd przetoczyłoby się albo by się nim przejechało do szczytu szerokich marmurowych schodów. Może łatwiej byłoby sprowadzić samochód w dół, gdyby ktoś siedział za kierownicą?

– Nie ma mowy! – wrzasnął dyrektor. Ktoś zasugerował, że skoro szyba się stłukła, i tak jest to niepotrzebne. Ktoś inny dodał, że samochodu nie można pchać czy w ogóle ruszyć, kiedy leży na boku.

Chyba od tego trzeba zacząć. Jednakże według słów Dana, dyletanckie grono pedagogiczne nie zdawało sobie sprawy ze swojej siły. Usiłując postawić garbusa prosto, musieli go za mocno pchnąć i w efekcie przewrócili wóz na drugi bok, demolując przy tym pierwszy rząd drewnianych ławek (wtedy właśnie stłukła się szyba od strony pasażera, a także drugie boczne lusterko).

– Może powinniśmy odwołać poranne spotkanie? – ostrożnie zaproponował Dan. Jednak w tym momencie dyrektor, ku ogólnemu zaskoczeniu, sam ustawił auto na czterech kołach! Wyobrażam sobie, jak podskoczył mu poziom adrenaliny! W tejże chwili Randy White chwycił się za krzyż i z przekleństwem na ustach runął na kolana.

– Proszę mnie nie dotykać! – wrzasnął. – Nic mi nie jest! – Skrzywił się z bólu, z trudem stając na nogi. Ze złości kopnął tylny zderzak samochodu Doldera. Potem wsadził rękę przez dziurę, gdzie niegdyś znajdowała się szyba, i otworzył drzwiczki. Usiadł za kierownicą – wyraźnie wijąc się z bólu promieniującego gdzieś z okolic krzyża – po czym kazał się popchnąć.

– Dokąd? – spytał Dan.

– O Boże, w dół tych kurewskich schodów! – ryknął Randy White.

Więc go popchnęli; „ jakiekolwiek dyskusje nie zdałyby się na nic”, opowiadał nam później Dan.

Dzwon wzywający na poranne spotkanie już się odezwał i w tej samej chwili Randy White rozpoczął swój karkołomny zjazd w dół szerokich marmurowych schodów. Oprócz „porannych fiutów” w foyer Gmachu Głównego Akademii kręciło się też i kilku normalnych uczniów.

Czy ktokolwiek potrafiłby odtworzyć wszystkie szczegóły takiego zdarzenia? Czy ktoś dojdzie kiedykolwiek do tego, jak to się dokładnie stało? Dyrektor musiał być silnie wzburzony, nie możemy też lekceważyć jego bólu krzyża – nikt nie zaprzeczy, że sam uniósł samochód – nie wiadomo więc, czy miał atak w czasie zjazdu garbusem w dół schodów, czy też nastąpił on po niezwykle efektownym wypadku... Cóż, sprawa faktycznie nadaje się do głębszych badań naukowych.

Dodajmy tylko, że studenci zgromadzeni w foyer rozpierzchli się przed zjeżdżającym po schodach w dzikim pędzie garbusem. Resztki topniejącego śniegu i lodu musiały się jeszcze znajdować na kołach pojazdu, a jak wszyscy wiedzą, marmur jest bardzo śliski. Kolebiący się od krawędzi do krawędzi schodów samochodzik podskakiwał w pędzie. Przez to, że garbus odbijał się to na lewo, to na prawo, olbrzymie odłamki marmuru odpadały z wypolerowanych poręczy.

W New Hampshire istnieje stare powiedzonko na określenie czegoś niezwykle delikatnego, co ulega zniszczeniu: „Jak jajko wróbelka, które wylatuje rynną".

W taki właśnie sposób nasz dyrektor zjeżdżał volkswagenem w dół marmurowych schodów w Gmachu Głównym Akademii – z tym tylko, że niezupełnie dotarł do celu podróży. Samochód wpadł w poślizg i wylądował na dachu, utykając dokładnie w połowie schodów. Nie sposób było otworzyć drzwi ani wyciągnąć dyrektora. Na dodatek złapał go tak straszny ból krzyża, że facet nie mógł się odpowiednio zgiąć, by wysunąć się z pojazdu przez otwór, w którym kiedyś znajdowała się przednia szyba. Randy White, siedząc do góry nogami i trzymając się kurczowo kierownicy, wrzeszczał, że uczniowie i nauczyciele zawiązali jakiś spisek, bo najwyraźniej wszyscy sprzysięgli się przeciw niemu. Rzucił jeszcze wiele niecenzuralnych słów na temat „pieprzonego pijaństwa" Doldera, wszystkich niemieckich samochodów i tych „cip i pedałów" wśród nauczycieli, co to mają się niby zajmować sportem na Akademii, nie mówiąc już o ich żonach! Wył i wrzeszczał przy tym bez przerwy, że ma ból krzyża nie do zniesienia, aż przyszła jego żona Sam, która przyklęknąwszy na poobtłukiwanych schodach, próbowała w tych warunkach jakoś go ukoić. Wezwano specjalistów, by uwolnili dyrektora ze zniszczonego samochodu. Udało im się go w końcu wyciągnąć w długi czas po zakończeniu porannego spotkania dopiero wtedy, gdy palnikiem wycięli drzwiczki.

Do końca dnia dyrektor pozostał w Infirmerii Hubbarda. Pielęgniarki oraz szkolny lekarz chcieli go jeszcze przez noc zatrzymać na obserwacji, ale White zagroził, że ich wszystkich wywali z pracy, jeśli go nie puszczą do domu.

Przez cały ten czas Randy White wielokrotnie krzyczał, piszczał bądź mruczał do żony: „To sprawka Owena!”.

Tego ranka poranne spotkanie miało bardzo ciekawy przebieg. Samo zajmowanie miejsc trwało dwukrotnie dłużej niż zwykle, ponieważ tylko jedna klatka schodowa wiodąca do auli była dla nas dostępna, a poza tym zniszczeniu uległa przecież przednia ławka. Chłopcy, którzy ją zwykle zajmowali, musieli zasiąść albo na podłodze, albo na scenie. Wszędzie dokoła walały się okruchy szkła i odpryski lakieru, a na podłodze pozostały plamy oleju silnikowego i napędowego. Z wyjątkiem chwil, w których śpiewaliśmy otwierający i zamykający spotkanie hymn, przez cały czas musieliśmy wysłuchiwać wrzasków uwięzionego dyrektora, nolens volens uczestnicząc w dramacie, jaki rozgrywał się na schodach. Wszystko to bardzo nas rozpraszało i nie mogliśmy się skupić na prowadzonej przez wielebnego Merrilla modlitwie, a także na dorocznym przemówieniu pana Early do uczniów najstarszych klas; radził on, by niepokój związany z przyjęciem do college’u nie zmącił nam wiosennych ferii.

– O Jezu! Trzymajcie ten pieprzony palnik z daleka od mojej twarzy! – dobiegł nas wrzask dyrektora.

Pod koniec porannego spotkania Sam musiała nakrzyczeć na tych uczniów, którzy próbowali pokonać przeszkodę na schodach, wspinając się na przewrócone auto, w którym nadal tkwił uwięziony dyrektor.

– Co za wychowanie! – wydzierała się pani White.

Z Owenem miałem okazję zamienić kilka słów dopiero po porannym spotkaniu.

– Przypuszczam, że nie miałeś z tym wszystkim nic wspólnego, prawda? – spytałem.

– Wiara i modlitwa. Wiara i modlitwa mogą naprawdę wiele. Naprawdę!

Toronto, 23 lipca 1987. Katherine zaprosiła mnie na wyspę. Koniec z tymi idiotycznymi gazetami. Jadę nad zatokę Georgia! Kolejna fala cholernego upału!

Tymczasem na pierwszej stronie „The Globe and Mail” – widać to taki dzień, kiedy nic się nie dzieje – można przeczytać o Sądzie Najwyższym Szwecji, który stwarza precedens w historii prawa. W Sądzie Najwyższym trwa przesłuchanie w sprawie dotyczącej zdechłego kota. Co za świat! To dobre do telewizji!

Nie byłem już w kościele od ponad miesiąca. Gazety prowadzą do bardzo złego nałogu; czytanie to mniej więcej to samo co jedzenie byle czego. Ze mną sprawa przedstawia się następująco: wychwytuję jakiś temat w gazecie – problem ten stanowi moralno-filozoficzny bądź polityczno-intelektualny odpowiednik cheeseburgera ze wszystkimi możliwymi dodatkami. Dopóki trwa moje nim zainteresowanie, wszystkie inne problemy muszą się mu podporządkować. I wszystkie dotychczasowe apetyty, jakie miałem, oraz umiejętność nabrania dystansu i snucia refleksji nagle stały się posłuszne temu cheeseburgerowi w moim życiu! Na tyle jestem samokrytyczny. Ale niebezpieczeństwo dla człowieka jako istoty politycznej tkwi w tym, że z radością wpada w obsesje na tle cheeseburgerów – i to z uszczerbkiem dla innych swoich życiowych spraw.

Przypominam sobie indywidualne studia, jakie Owen odbywał pod okiem wielebnego Lewisa Merrilla w czasie zimowego semestru w 1962 roku. Ciekawe, czy te cheeseburgery z administracji Reagana znają ów cytat z Księgi Izajasza (5, 20). Głos go często powtarzał: „Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem”.

Drugą osobą – po mnie – która spytała Owena, czy miał cokolwiek wspólnego z „wypadkiem”, jaki spotkał samochód doktora Doldera, był pastor Merrill. Biednemu garbuskowi przyszło spędzić cały wiosenny semestr u blacharza.

– Czy słusznie uważam, że rozmawiamy poufnie? To znaczy, jak ksiądz z kimś, kto chce się wyspowiadać? I nawet pod groźbą śmierci nie powtórzy pan, co panu powiem? – spytał Merrilla Owen.

– Jest dokładnie tak, jak mówisz – przytaknął pastor.

– Pomysł był mój, ale sam nawet nie kiwnąłem palcem. A także nie przekroczyłem progu budynku, choćby po to, żeby zobaczyć, jak

sobie z tym poradzili.

– A kto to zrobił? – spytał Merrill.

– Prawie cała drużyna koszykarzy. Przypadkiem znaleźli się w pobliżu.

– I zrobiłeś to całkowicie pod natchnieniem chwili?

– Dokładnie – wszystko stało się w mgnieniu oka – tak jak krzak ognisty.

– Chyba jednak nie całkiem tak samo – odparł wielebny Merrill, który zapewnił Owena, że chciał poznać szczegóły tylko po to, by jakoś odciągnąć uwagę dyrektora od osoby mojego przyjaciela, którego Randy White podejrzewał przede wszystkim. – To ważne, że mogę powiedzieć dyrektorowi, iż wiem na sto procent, że nie dotknąłeś samochodu doktora Doldera ani też nie przekroczyłeś progu tego budynku, jak sam mówisz.

– Proszę tylko nie wydać koszykarzy.

– Naturalnie! – Merrill dodał także, że jego zdaniem, Owen nie musi być równie szczery na temat tego „wypadku" z doktorem Dolderem, gdyby ten go pytał, czy cokolwiek wie o całej sprawie. Mimo że rozmowy z psychiatrą były także „poufne", Owen nie powinien zapominać, iż pedantyczny Szwajcar miał fioła na punkcie swego samochodu.

– Rozumiem – odrzekł Owen.

Dan, który powiedział Owenowi, że nie chce słyszeć ani słowa na temat tego, co Owen wie, a czego nie wie o samochodzie doktora Doldera, opowiadał, jak dyrektor wykrzykiwał na posiedzeniu Rady Pedagogicznej o „wandalizmie" i o tym, że „nie szanuje się prywatnej własności". Oraz że obie kategorie przewinień „mogą zostać ukarane usunięciem ze szkoły".

– Ale to przecież dyrektor i nauczyciele zniszczyli samochód – udowadniał Owen. – Samochód był w doskonałym stanie, dopóki dyrektor i ci idioci nie położyli na nim swoich łap!

– Ponieważ byłem „jednym z tych idiotów", nie interesuje mnie, skąd tak dobrze o tym wiesz – oświadczył Dan. – Radziłbym ci jednak bardzo uważać na wszystko, co mówisz i do kogo.

Zaledwie parę dni pozostało do końca semestru zimowego, który oznaczał również kres „dyscyplinarnego zawieszenia" Owena. Wraz

z początkiem semestru wiosennego będzie mógł sobie pozwolić na kilka drobnych wykroczeń, chociaż i tak rzadko kiedy był na bakier z regulaminem szkolnym.

Doktor Dolder uznał wypadek z samochodem za koronny dowód „wrogości", którą zawsze wyczuwał wśród uczniów. Psychiatra był niezwykle wyczulony zarówno na rzeczywistą, jak i wyimaginowaną „niechęć", ponieważ żaden ze studentów Akademii nie przychodził na konsultacje z nim z własnej i nieprzymuszonej woli. Jedynymi pacjentami doktora byli ci, których do tych wizyt zmuszała szkoła albo rodzice.

Na pierwszym spotkaniu z Owenem po zniszczeniu volkswagena Dolder z miejsca zadał chłopcu następujące pytanie: „Zdaję sobie sprawę, że mnie nienawidzisz. Ale dlaczego?".

– Nie znoszę wizyt u pana, ale nie pana! – wyznał Owen. – Nie ma ludzi, którzy by pana nienawidzili, doktorze Dolder!

– A co on na to? – spytałem.

– Przez dłuższą chwilę milczał; chyba nawet płakał.

– O Boże!

– Mam wrażenie, że na Akademię przyszły ciężkie czasy – zauważył Owen. Jakie to dla niego typowe, że nawet w najbardziej niepewnej sytuacji krytykę starał się odsunąć od swojej osoby.

Przeciwko niemu nie było jednak żadnych dowodów, mimo całej zaciętości, z jaką dyrektor próbował mu przypisać winę za zniszczenie garbusa. Gdy tylko odetchnęliśmy z ulgą i przestaliśmy się denerwować o volkswagena, pojawił się gorszy problem. Larry'ego Lisha „przyłapano", gdy próbował w sklepie spożywczym kupić piwo. Kierownik sklepu zatrzymał fałszywe dokumenty Lisha – kartę poborową z podrobioną datą urodzenia – i wezwał policję. Lish przyznał się, że dokument został wyprodukowany w redakcji „The Grave" na fotokopiarce. Oświadczył też, że posiadaczami podobnych dokumentów jest „mnóstwo" uczniów Akademii Gravesend.

– I czyj to był pomysł? – spytał dyrektor.

– Na pewno nie mój – odrzekł Larry. – Ja swoją kartę, tak jak i inni, kupiłem.

Mogę sobie tylko wyobrazić, że dyrektor aż dygotał z niecierpliwości. Przesłuchanie odbyło się w komisariacie, w biurze

samego szefa policji Gravesend Bena Pike'a – osoby, która nieodłącznie kojarzy się z „narzędziem śmierci" i „morderczą bronią". Pike zdążył już poinformować Larry'ego Lisha, że za fałszowanie kart poborowych grozi sprawa karna.

– Kto je robił i sprzedawał? – spytał Randy White.

Matka Larry'ego, gdyby go widziała w tej chwili, mogłaby być dumna z syna.

– Owen Meany – odrzekł Lish.

A więc wiosenne ferie roku 1962 nie nadeszły dostatecznie szybko. Dyrektor zawarł umowę z szefem policji, że żadnemu właścicielowi fałszywych kart poborowych nie będzie grozić „sprawa karna", o ile on zwróci Pike'owi wszystkie takie dokumenty. Nie było to trudne. W czasie porannego spotkania Randy White kazał chłopcom przed wyjściem z auli zostawić na scenie swoje portfele. Ci, którzy ich nie mieli, musieli natychmiast wrócić do bursy i wręczyć je dyżurnemu nauczycielowi. Zwrócone portfele miały znaleźć się w skrzynkach pocztowych.

Tego dnia nie odbyły się poranne zajęcia. Nauczyciele byli zbyt zajęci poszukiwaniem fałszywych kart poborowych w portfelach.

Na zebraniu Rady Pedagogicznej zwołanym w trybie natychmiastowym przez Randy'ego White'a Dan Needham oświadczył, że takie przeszukiwanie portfeli nie jest „zgodne z prawem".

– Rodzice mogliby pana podać do sądu!

Głównym argumentem dyrektora było to, że ratuje Akademię od „spraw karnych", jakie wytoczono by jej uczniom. Dobre imię szkoły nie ucierpi aż tak z powodu konfiskaty portfeli, jak ucierpiałoby od „oskarżeń kryminalnych". Jeśli zaś chodzi o przestępcę, który wyprodukował i sprzedawał fałszywe karty „dla zysku", to o jego przyszłości zadecyduje, zdaniem dyrektora, Komisja Wykonawcza.

I w ten sposób ukrzyżowali Owena. Wszystko rozegrało się bardzo szybko. Nikt nie słuchał jego zapewnień, że zerwał z nielegalnym procederem. Nie obchodziło ich nic a nic, że postanowił się poprawić, zainspirowany inauguracyjnym przemówieniem JFK, a także, że wiedział, iż nielegalne karty poborowe wykorzystywano do

niezgodnego z prawem zakupu alkoholu, mimo iż on sam jest przeciwny piciu. Pozostawali głusi na to, że sam nie bierze do ust ani kropli! Larry Lish oraz wszyscy inni właściciele fałszywych kart poborowych zostali dyscyplinarnie zawieszeni – na cały semestr wiosenny, Komisja Wykonawcza zaś ukrzyżowała Owena Meany'ego. Skreślili go z listy, wylali, wykopali.

Dan starał się odwlec decyzję, próbując zorganizować specjalne głosowanie wśród nauczycieli, ale White sprawę postawił jasno – od decyzji Komisji Wykonawczej nie ma odwołania, niezależnie od wszelkich innych głosowań. Pan Early wydzwaniał do wszystkich po kolei członków zarządu, ale do zakończenia semestru zimowego pozostały jedynie dwa dni. Nie sposób więc było ich zebrać przed feriami, a nie zdecydowaliby się unieważnić decyzji Komisji Wykonawczej bez uprzedniego omówienia całej sprawy.

Decyzja o usunięciu Owena ze szkoły spotkała się z taką dezaprobatą, że nawet staruszek Archibald Thorndike wyłonił się z zapomnienia, w jakim się znalazł po przejściu na emeryturę, aby powiedzieć jednemu z uczniów, który pisywał do „The Grave", a także reporterowi miejscowej gazety „Gravesend News-Letter", że „Owen Meany to jeden z najlepszych obywateli, jakich kiedykolwiek wydała Akademia. Po tym człowieczku spodziewam się wielkich rzeczy". Thorndike potępił także „gestapowskie metody przeszukiwania portfeli uczniów" oraz zarzucił White'owi, że szkoła nie robi wiele, by uczyć „poszanowania dla prywatnej własności".

– Ten stary pryk ma chyba dobre intencje – zauważył Dan. – Tyle że nikt go nie słuchał, kiedy był dyrektorem, to i teraz nie posłucha.

Zdaniem Dana, Thorndike może zbyt dużo zasług przypisuje Akademii, twierdząc, że to ona „produkuje" uczniów. Akademia nie mogła sobie chyba przypisać „ukształtowania" kogoś takiego jak Owen Meany. A jeśli chodzi o naukę „poszanowania dla własności prywatnej", to taki pogląd trąci myszką, podobnie jak słowo „portfel", chociaż Dan zgadzał się absolutnie z Archibaldem Thorndike, że metody White'a są czysto „gestapowskie".

Z całej tej gadaniny Owen nie miał jednak żadnego pożytku. Wielebny Lewis Merrill wezwał Dana i mnie, aby spytać, czy nie wiemy, gdzie on jest, bo nie mógł go w żaden sposób złapać

u Meanych; albo było zajęte – prawdopodobnie ktoś odłożył słuchawkę – albo odbierał pan Meany, twierdząc, że Owen jest „w Durham", to znaczy u Hester. Kiedy jednak do niej dzwoniłem, niezmiennie odpowiadała, że go tam nie ma.

– Masz jakieś dobre wiadomości? – pytała. – Czy ta pieprzona szkoła zamierza go przyjąć z powrotem i łaskawie dać mu dyplom?

– Nie, nie mam żadnych dobrych wiadomości – odpowiadałem.

– No to dajcie mu święty spokój.

Później słyszałem, jak Dan rozmawia przez telefon z dyrektorem.

– Jest pan największą hańbą tej szkoły – oświadczył Dan White'owi. – Jeśli przetrwa pan ten kataklizm, to ja w szkole na pewno nie zostanę! I na pewno nie odejdę sam. Pozwolił pan sobie na okropną dziecinadę. Zrobił pan coś, na co ostatecznie mógłby się zdobyć jakiś uczeń – zaangażował się w walkę z uczniem – rywalizował pan z chłopakiem. Sam pan jest dzieciuch, pozwolił pan Owenowi odegrać się na panu. A ponieważ nie darzył pana sympatią, postanowił mu pan odpłacić pięknym za nadobne – tak może rozumować tylko dzieciak. Nie wydoroślał pan jeszcze na tyle, żeby zostać dyrektorem szkoły! I to chłopak, który ma stypendium! – wrzeszczał Dan do słuchawki. – Który miał też dostać stypendium w college'u! A teraz nie pójdzie na studia! Jeżeli najlepszy college w okolicy nie przyjmie go, to też będzie pana wina!

Potem chyba dyrektor przerwał rozmowę w pół zdania, ponieważ Dan miał mu najwyraźniej jeszcze wiele do powiedzenia, a tu nagle zamilkł i wolno odwiesił słuchawkę.

– Niech to cholera!

Jeszcze tego samego wieczoru babcia zadzwoniła do Dana, by mu powiedzieć, że Owen się do niej odezwał.

– Pani Wheelwright? – dobiegł ze słuchawki głos mojego przyjaciela.

– Owen, gdzie jesteś?

– Nieważne. Chciałem tylko powiedzieć, że jest mi przykro, że panią zawiodłem. Proszę nie myśleć, że nie jestem wdzięczny za możliwości, jakie mi pani stworzyła i dzięki którym mogłem pójść do dobrej szkoły.

– To chyba nie jest taka dobra szkoła; w każdym razie już nie teraz – odparła babcia. – No i wcale mnie nie zawiodłeś.

– Obiecuję, że jeszcze będzie pani ze mnie dumna!

– Ależ ja jestem z ciebie dumna! – zaoponowała babcia.

– Zrobię wszystko, żeby była pani jeszcze bardziej – rzekł Owen, a potem, jakby dopiero co sobie o tym przypomniał, dodał: – Proszę powtórzyć Danowi i Johnowi, żeby jutro koniecznie zjawili się na porannej modlitwie.

To dokładnie w jego stylu – nadal mówił „modlitwa", mimo że przyjęła się już nowa nazwa.

– Nie wiem, co mu chodzi po głowie, ale należy go jakoś powstrzymać! – oświadczył mi Dan. – Nie powinien zrobić nic, co mogłoby jeszcze pogorszyć sytuację – za wszelką cenę musi się dostać do college'u i otrzymać stypendium. Nie mam wątpliwości, że szkoła średnia w Gravesend da mu dyplom, ale on nie może popełnić żadnego głupstwa.

Nadal nie mogliśmy go znaleźć. Pan Meany twierdził, że Owen pojechał „do Durham". Hester utrzymywała, iż nie wie, gdzie on jest; wydawało się jej, że pomaga ojcu, bo jeździł ciężarówką, a nie pikapem, i miał z tyłu mnóstwo gratów.

– Jakich znowu gratów? – spytałem.

– A skąd ja mam wiedzieć? Jakiś ciężki sprzęt.

– O Boże! Pewnie chce wysadzić w powietrze dom dyrektora!

Jeździliśmy po całym Gravesend i campusie, ale nigdzie nie natrafiliśmy na ślad ani Owena, ani ciężarówki. Kilkakrotnie przekraczaliśmy granice miasta i wracaliśmy – w górę Maiden Hill i do kamieniołomów – po to tylko, żeby sprawdzić, czy przypadkiem ciężarówka nie stoi już z powrotem na swoim miejscu. Ale jej nie było. Kręciliśmy się tak po okolicy przez całą noc.

– Pomyśl intensywnie! – polecił mi Dan. – Co on chce zrobić?

– Nie mam pojęcia – odrzekłem. Właśnie wracaliśmy do miasta i przejeżdżaliśmy obok stacji tuż przy szkole Świętego Michała. Promienie brzasku skutecznie tuszowały obskurny wygląd parafialnego boiska, zakrywały koleiny nierównej nawierzchni, tak że cały teren jawił się niczym niezmącone jezioro w bezwietrzny dzień. Dom zakonnic był całkowicie pogrążony w ciemności, wstawał świt –

różowawa poświata z boiska odbijała się na świeżo pobielonej kamiennej arkadzie, która osłaniała figurę Marii Magdaleny. I nagle okazało się, że święta bramkarka nie stoi na swej bramce.

– Zatrzymaj się! – poleciłem Danowi. Przyhamował i zawrócił. Wjechaliśmy na parking z tyłu szkoły i Dan cal po calu ruszył przez pokryte koleinami boisko, podjeżdżając prosto do pustej kamiennej arkady.

Owen bardzo zręcznie sobie z tym poradził. Nie potrafiłem od razu ocenić, czym się posłużył – może tymi zabawnymi dłutami i rozpórkami, które nazywał zestawem klinopilników. Ale stukanie metalu o kamień niewątpliwie zbudziłoby czujne zakonnice. Może wykorzystał jedną z tych granitowych pił z diamentowym ostrzem. Wówczas spokojnie dałby radę zdjąć Marię Magdalenę z cokołu bez żadnych odprysków. I rzeczywiście, zdjął ją nawet ze stopami. Może posłużył się umieszczoną w odpowiednim miejscu odrobiną dynamitu. To całkiem do niego podobne, że wymyślił sposób, jak odstrzelić świętą z piedestału; z pewnością wykombinował jakąś metodę na stłumienie wybuchu, żeby nie zbudzić zakonnic. Kiedy go później pytałem, jak to zrobił, odpowiadał z charakterystycznym dla siebie przekonaniem: wiara i modlitwa mogą zdziałać cuda. Naprawdę!

– Taki posąg waży sto pięćdziesiąt do dwustu kilogramów! – zauważył Dan.

Na pewno wśród ciężkiego sprzętu, o jakim mówiła Hester, był też dźwig hydrauliczny albo wyciąg, chociaż coś takiego nie na wiele by się przydało, gdyby chciał wtaszczyć Marię Magdalenę po długich schodach w Gmachu Głównym czy też na scenę auli. Do tego musiałby się posłużyć ręczną windą, a i tak nie byłoby to takie łatwe.

– Przesuwałem już cięższe nagrobki – wyjaśnił mi później. Ale chyba nigdy nie wnosił nagrobków po schodach.

Kiedy dotarliśmy z Danem do auli, odźwierny siedział już na ławce z przodu sali i wpatrywał się w świętą figurę. Tak, jakby czekał, że do niego przemówi, jeśli tylko okaże dość cierpliwości, mimo iż Dan i ja natychmiast zauważyliśmy, że Maria Magdalena jest jakaś inna.

– To na pewno on, ten łebek, co go wywalili, jak pan myśli? – spytał Dana, który nie mógł wykrztusić słowa.

Usiedliśmy z pierwszym brzaskiem w ławce obok odźwiernego. Sytuacja kryła w sobie odpowiednią symbolikę, co było typowe dla Owena. Odciął Marii Magdalenie ręce powyżej łokci, tak aby jej błagalny gest skierowany do zgromadzonej widowni był tym wymowniejszy – i tym silniej wyrażał bezradność. Zarówno Dan, jak i ja wiedzieliśmy, że Owen ma obsesję na punkcie odciętych rąk – wiązało się to z totemem Watahantoweta. Wystarczy sobie przypomnieć, co Owen zrobił memu pancernikowi. A i manekin mamy też nie miał ramion.

Jednakże ani Dan, ani ja nie byliśmy przygotowani na widok Marii Magdaleny bez głowy; głowę też jej bardzo zręcznie odpiłował, odłupał albo odstrzelił. Ponieważ manekin mamy również był bez głowy, pomyślałem sobie, że Maria Magdalena ma stanowić taki stupięćdziesięcio-, dwustukilowy odpowiednik manekina. Mama miała lepszą figurę, ale Maria Magdalena była wyższa. Była także wyższa od dyrektora, nawet bez głowy. Pozbawiona głowy Maria Magdalena była nieco ponadnaturalnej wielkości – jej ramiona oraz kikut szyi znajdowały się na scenie ponad miejscem, w którym grzmiący z mównicy dyrektor miałby głowę. Święta bramkarka nie stała na żadnym cokole. Owen przytwierdził ją do sceny za pomocą tych samych stalowych taśm, jakimi pracownicy kamieniołomów przymocowywali granitowe bloki do podłogi ciężarówki. Uwiązał figurę do podium i przymocował do podłogi, głównie po to, żeby mieć pewność, iż nie zostanie tak łatwo usunięta ze sceny jak volkswagen doktora Doldera.

– Przypuszczam, że te metalowe taśmy są wystarczająco mocne – zwrócił się Dan do odźwiernego.

– Aha! – przytaknął tamten.

– Mam wrażenie, że przechodzą dokładnie przez podium oraz przez scenę – ciągnął Dan. – I założę się, że śruby są dość mocno dociśnięte.

– Nie. Są zespawane.

– No to posąg trzyma się dobrze – zauważył Dan.

– Aha!

Zapomniałem, że Owen uczył się też spawania – pan Meany chciał, aby przynajmniej jeden z jego pracowników był także spawaczem,

a ponieważ Owen miał smykałkę do nauki, to wybór właśnie padł na niego.

– Czy mówił pan już dyrektorowi? – spytał Dan.

– Nie! Tym razem nie zamierzam mu nic powiedzieć!

– Racja. Pewnie i tak nic by nie dało, gdyby się wcześniej dowiedział – przytaknął Dan.

– Tak sobie właśnie pomyślałem! – podchwycił odźwierny.

Poszliśmy z Danem do stołówki, gdzie w porze śniadania nie zjawialiśmy się nigdy, ale byliśmy okropnie głodni po nocnych poszukiwaniach w mieście. Poza tym chciałem wszystkich powiadomić, że powinni zjawić się na porannym spotkaniu troszkę wcześniej. To samo szepnął Dan niektórym kolegom z ciała pedagogicznego: „Jeśli w swym życiu mielibyście przyjść już tylko na jedno spotkanie poranne, to radzę wybrać się właśnie na to dzisiejsze!".

Wyszliśmy z Danem ze stołówki. Nie mieliśmy czasu, żeby przed porannym spotkaniem wrócić do Waterhouse Hall i wziąć prysznic, chociaż dobrze by nam zrobił. Bardzo się niepokoiliśmy o Owena, a jednocześnie baliśmy się, czy happening z okaleczoną Marią Magdaleną nie pogorszy jeszcze jego sytuacji. Obawialiśmy się, że profanacja świętej figury może spowodować, iż te college'e oraz uniwersytety, które miały go przyjąć z otwartymi ramionami, mogą się nagle okazać niechętne.

– Nie mówiąc już o tym, co mu grozi ze strony Kościoła katolickiego, to znaczy kościoła Świętego Michała – zauważył Dan. – Może powinienem porozmawiać z przełożonym; z tym, jak on się nazywa?...

– Znasz go? – spytałem.

– Nie, właściwie nie – odrzekł Dan. – Ale chyba jest dość sympatyczny. Zaczyna się na O'... – jak mu tam – ojciec O'Malley, O'Leary, O'Rourke, O'Jakiś tam.

– Założę się, że pastor Merrill go zna – zauważyłem. Dlatego właśnie przed porannym spotkaniem ruszyliśmy w kierunku kościoła Hurda. Czasami pastor Merrill przed udaniem się do Gmachu Głównego wstępował do kościoła na poranną modlitwę. Niekiedy wstawał dość wcześnie i starał się jakoś zabić czas w kancelarii.

Z tyłu budynku dostrzegliśmy ciężarówkę Przedsiębiorstwa Granitowego Meanych. W fotelu Merrilla za biurkiem pastora siedział Owen – siedział rozparty na trzeszczącym fotelu i jeździł po pokoju na skrzypiących rolkach. Wielebnego Merrilla nie było w zasięgu wzroku.

– Umówiliśmy się bardzo wcześnie – wyjaśnił Owen. – Pastor się nieco spóźnia.

Wyglądał normalnie – troszkę zmęczony, troszkę zdenerwowany albo po prostu podniecony. Nie mógł spokojnie usiedzieć, więc bawił się szufladami biurka – wsuwał je i wysuwał, nie zwracając najmniejszej uwagi na zawartość. Otwierał i zamykał je tylko dlatego, że były pod ręką.

– Dość pracowicie spędziłeś noc – zaczął Dan.

– Owszem.

– I co o tym wszystkim sądzisz?

– Złamałem prawo, przyłapali mnie, to muszę zapłacić – tak już jest.

– Wrobili cię! – zauważyłem.

– Troszeczkę – skinął głową, ale po chwili wzruszył ramionami. – Ale nie jestem tak całkiem bez winy – dodał.

– Teraz najważniejsze, abyś się dostał do college'u – powiedział Dan. – Żebyś się dostał i żeby ci przyznali stypendium.

– Są ważniejsze rzeczy – odparł Owen Meany. Szybkim ruchem wysunął po kolei trzy szuflady z prawej strony biurka. A później równie szybko wsunął je na miejsce. W tym właśnie momencie do kancelarii wkroczył zdecydowanym krokiem Merrill.

– Co tu robisz? – spytał Owena.

– Nic – odparł chłopak. – Czekam na pana.

– To znaczy, co robisz przy moim biurku? – Na te słowa pastora Owen zrobił zdziwioną minę.

– Nic nie robię. Przyszedłem wcześniej. Nic nie robię, po prostu siedzę w pańskim fotelu. – Wstał, wyszedł przed biurko i usiadł tam, gdzie zawsze – tak mi się przynajmniej wydawało, że to „jego" krzesło. Przypomniało mi to „siedzenie dla śpiewającego" w zabawnym studiu Grahama McSwineya. Czułem się rozżalony, że

McSwiney już się nie odezwał. Pewnie nie miał żadnych wiadomości na temat Wielkiego Czarnego Bucha Wolniachy.

– Bardzo przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem. Zdaję sobie sprawę, że wiele przeszedłeś.

– Wszystko w porządku.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś – ciągnął Merrill.

Owen wzruszył ramionami. Dotychczas nie widziałem, żeby z kogokolwiek się naigrawał, ale teraz miałem nieodparte wrażenie, że szydzi sobie z pastora Merrilla.

– Ach, rozumiem – zaczął pastor, zasiadając w swoim skrzypiącym fotelu. – Owen, bardzo mi przykro z powodu tego, co cię spotkało. – Merrill zawsze wkraczał do każdego pomieszczenia, czy to sali lekcyjnej, auli, kościoła Hurda czy własnego gabinetu, jakby wszystkich przepraszał, że żyje. Przy tym tak się starał, że człowiekowi byłoby głupio mu przerwać lub przeszkodzić. Ludzie właściwie go lubili i każdy mu w duchu życzył, żeby się najzwyczajniej rozluźnił. Jednocześnie swoim zachowaniem doprowadzał do tego, że czułeś się winny, bo cię złościł, kiedy tak gorąco i bezskutecznie usiłował przełamać lody.

– Przyszedłem zapytać – zaczął Dan – czy zna pan dyrektora ze Świętego Michała, bo zdaje się, że ten sam facet jest dyrektorem szkoły i zwierzchnikiem kościoła, prawda?

– Owszem – odrzekł Merrill. – To ojciec Findley.

– Chyba go nie znam – oświadczył Dan. – Myślałem, że to O'Jakiś tam.

– Nie, to nie żaden O'Jakiś tam. Nazywa się ojciec Findley.

Wielebny Merrill naturalnie nie miał pojęcia, dlaczego Dan chce się dowiedzieć, jak się nazywa ów katolicki „dyrektor". Owen oczywiście wiedział, o co Danowi chodzi.

– Nie musisz nic dla mnie robić – powiedział.

– Mogę się starać, by cię nie wsadzili za kratki – odrzekł mu na to Dan. – I chcę, żebyś się dostał do college'u i żeby ci przyznali stypendium. A przynajmniej mogę się starać o to, byś nie stanął przed sądem pod zarzutem kradzieży i wandalizmu.

– Co ty takiego zrobiłeś? – spytał wielebny Merrill Owena.

Owen schylił głowę. Przez chwilę myślałem nawet, że się rozpłacze. Wzruszył jednak tylko ramionami. Spojrzał Merrillowi prosto w oczy.

– Chcę, żeby pan się za mnie pomodlił – poprosił pastora.

– Pppp-ppo-modlił? – zająknął się Merrill.

– Proszę przecież o drobiazg, o nic wielkiego. W końcu to pański zawód.

– Owszem. – Pastor przez dobrą chwilę się zastanawiał. – Czy na porannym spotkaniu? – spytał ostrożnie.

– Tak, dzisiaj, kiedy będą wszyscy.

– Dobrze – odrzekł Merrill, ale wyglądał tak, jakby lada chwila miał stchórzyć.

Dan wziął mnie pod rękę i wyprowadził z zakrystii.

– Zostawimy was samych, jeśli chcecie porozmawiać – rzekł do Merrilla i Owena.

– Czy chciał się pan jeszcze czegoś dowiedzieć? – zapytał Merrill.

– Nie, chodziło mi tylko o nazwisko tego księdza – odparł Dan.

– A ty chciałeś jedynie prosić o modlitwę? – spytał Merrill Owena, który najwyraźniej zaczął się głęboko nad tym pytaniem zastanawiać. A może po prostu czekał, aż wyjdziemy.

Znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu, gdzie na całej długości obu ścian umieszczono dwa rzędy drewnianych wieszaków na ubrania. W ciemności mogliśmy dostrzec kilka zapomnianych płaszczy – wyglądały jak regularnie uczęszczający do kościoła staruszkowie, którzy zabawili tam zbyt długo, tak że oparłszy się o ścianę, zapadli w sen. Na korytarzu stało też kilka par kaloszy, ale nie bezpośrednio pod okryciami, w ciemności zatem wierni zdawali się oddzieleni od swoich nóg. Na drewnianym kołku najbliższym drzwi kancelarii wisiała szokująca młodzieżowym stylem wojskowa kurtka Merrilla, a na kołku obok – jego żeglarska czapka. Przechodząc tamtędy, usłyszeliśmy głos pastora: „Owen, czy znowu miałeś sen? Znowu ci się to śniło?”.

– Tak – odparł Owen i zaczął płakać. Szlochał jak dziecko. Nie słyszałem, żeby tak płakał od owego Święta Dziękczynienia, kiedy to zlał się w majtki i nasiusiał na Hester.

– Owen, posłuchaj – rzekł pastor. – To tylko sen! Słyszysz? Tylko sen!

– Nie!

Siedzieliśmy z Danem na zewnątrz; był zimny i szary lutowy poranek. Stare ślady w porytym koleinami błocie zamarzły – jak skamieliny wielu dusz, które odbyły wędrówkę do kościoła Hurda i z powrotem. Wciąż jeszcze było wcześnie. Widzieliśmy z Danem wschód słońca, ale teraz słońce rozpłynęło się gdzieś w szarym niebie.

– Co to za sen? – spytał mnie Dan.

– Nie wiem.

Owen mi o nim jeszcze nie opowiadał. Miał mi opowiedzieć dopiero później i wtedy powiedziałem mu dokładnie to, co pastor Merrill: „To tylko sen!".

Nauczyłem się już, że konsekwencje naszych minionych czynów są niezwykle ciekawe. Nauczyłem się widzieć chwilę obecną, wybiegając jednocześnie spojrzeniem w przód. Ale wtedy jeszcze tego nie umiałem. Wtedy Dan i ja nie wybiegaliśmy wyobraźnią poza reakcję Randy'ego White'a na pozbawioną ramion i głowy Marię Magdalenę, której stalowy uścisk na podium sceny Wielkiej Auli zmusi dyrektora do tego, by wygłosić przemówienie do całej szkoły z pozycji znacznie bardziej uniżonej.

Dokładnie naprzeciw Gmachu Głównego Randy White wkładał właśnie płaszcz z wielbłądziej wełny. Jego żona Sam strzepywała kołnierz tego eleganckiego okrycia i wraz z pocałunkiem życzyła mężowi dobrego dnia. Dla dyrektora ów dzień miał się jednak okazać zły – fatalny, jak by określił to Owen Meany. Jednakże tego ranka Randy White na pewno nie myślał o przyszłości. Uważał sprawę Owena Meany'ego za zamkniętą. Nie przypuszczał, że w ostatecznym rozrachunku to Owen będzie górą. Nie wiedział, że ciało pedagogiczne wystąpi wobec niego z wotum nieufności. Nie miał pojęcia, że zarząd nie przedłuży z nim kontraktu i że straci posadę dyrektora. Nie miał pojęcia, że nieobecność Owena na promocji przemieni całą uroczystość w parodię i że nieśmiały, całkiem przeciętny student, na którego dotychczas nikt nie zwracał uwagi, znajdzie odwagę, by powiedzieć w przemówieniu, do którego został wyznaczony zamiast Owena, tylko tyle: „Nie jestem przewodniczącym tej klasy. Przewodniczący to Owen Meany. To on

jest Głosem naszej klasy i tylko jego głosu chcemy słuchać". I że ten zastraszony chłopak zaraz po tych słowach usiądzie, wywołując istną burzę – uczniowie naszej klasy będą się wydzierali w obronie Głosu – a na prześcieradłach i bardziej wymyślnych transparentach widnieć będzie imię i nazwisko Owena (naturalnie drukowanymi literami), i że mimo usilnych starań dyrektora nie umilknie skandowane przez uczniów nazwisko „Meany".

– Owen Meany! Owen Meany! Owen Meany! – darł się rocznik 1962.

Jednakże owego lutowego poranka, kiedy dyrektor wkładał płaszcz z wielbłądziej wełny, nie mógł wiedzieć, że Owen oznacza jego zgubę. Jakże zaszczuty i bezsilny wydawał się Randy White na promocji, kiedy groził, że nie wyda nam dyplomów, jeśli nie przestaniemy wrzeszczeć! Wtedy już musiał wiedzieć, że przegrał. Bo Dan Needham, pan Early i przynajmniej jedna trzecia, jeśli nie połowa ciała pedagogicznego wstała, żeby oklaskami wyrazić aprobatę dla naszego buńczucznego poparcia dla Owena. Dołączyło do nas kilku poinformowanych o sprawie członków zarządu, by nie wspomnieć o rozlicznych listach rozwścieczonych rodziców, którym nie podobał się grubiański sposób zarekwirowania przez dyrektora naszych portfeli. Jaka szkoda, że Owen nie mógł wtedy zobaczyć Randy'ego White'a – ale naturalnie go nie było, bo nie otrzymywał promocji.

Nie był też obecny na porannym spotkaniu owego lutowego ranka, tuż przed wiosennymi feriami. Ale jak na ironię, naszą uwagę przyciągał jego zastępca, którego zostawił na scenie. Zapełniliśmy salę po brzegi; tego dnia zjawiło się wyjątkowo wielu nauczycieli. Powitała nas Maria Magdalena – bez rąk, lecz z wyciągniętymi w naszą stronę ramionami, pozbawiona głowy, za to niezwykle wymowna, z kikutem szyi równiusieńko uciętym na wysokości jabłka Adama, co tym wyraziściej sugerowało, że ma nam wiele do powiedzenia. Siedzieliśmy cichutko w ogromnej auli, czekając na dyrektora.

Randy White to potworny typ! Wśród „dobrych" szkół utrzymuje się tradycja, że jeśli wyrzuca się ucznia najstarszej klasy dosłownie kilka miesięcy przed zakończeniem szkoły, nie utrudnia mu się życia przy

przyjęciu do college'u. Naturalnie, należy poinformować college o wszystkim, o czym chce wiedzieć, ale chłopak już swoje odcierpiał – został wywalony, więc mu się nie bruździ dalej.

Ale z Randym White'em taki numer by nie przeszedł. White był gotów zrobić absolutnie wszystko, by położyć kres uniwersyteckiej karierze Owena, jeszcze zanim się rozpoczęła.

Owen został przyjęty do Harvardu. A także do Yale. I tu, i tam przyznano mu pełne stypendium. Ale niezależnie od tego, co było w aktach Owena: że usunięto go z Akademii Gravesend za drukowanie fałszywych kart poborowych i odstępowanie ich innym studentom celem osiągnięcia korzyści materialnych – a więc niezależnie od tego wszystkiego, dyrektor powiadomił władze Harvardu i Yale (a także Uniwersytetu New Hampshire) o jeszcze wielu innych rzeczach. Oświadczył, że Owen jest „agresywnie antyreligijny!", że „sprofanował figurę świętej w katolickiej szkole" oraz że rozpętał „zmasowaną kampanię antykatolicką" na campusie Gravesend pod pozorem walki z piątkową rybą, którą tradycyjnie podawano w szkolnej stołówce. A także, że zarzuca mu się „antysemityzm".

Towarzystwo Przyjaciół Uniwersytetu New Hampshire wycofało swoją zgodę na stypendium. Student, który osiąga takie wyniki w nauce, jak Owen Meany, jest naturalnie mile widziany na Uniwersytecie New Hampshire, Towarzystwo jednakże „w świetle tych smutnych i przykrych informacji" nie może mu przyznać specjalnego przywileju, jakim jest stypendium. Jeśli zamierza uczęszczać na Uniwersytet New Hampshire, sam musi pokrywać koszty nauki.

Harvard i Yale reprezentowały bardziej liberalne stanowisko. Jednakże i tam załatwienie sprawy okazało się nie takie proste. W Yale chcieli z Owenem ponownie porozmawiać. Szybko się zorientowali, że zarzut „antysemityzmu" jest wyssany z palca, ale Owen najwyraźniej nie ukrywał swoich uczuć wobec Kościoła katolickiego (może raczej należałoby powiedzieć – przeciw Kościołowi). Yale powiadomiło, że go przyjmie za jakiś czas. Tymczasem, zgodnie z sugestią dyrektora do spraw rekrutacji, „Owen winien znaleźć sobie jakieś rozsądne zajęcie, a jego

pracodawca – regularnie przesyłać informacje do uniwersytetu na temat postawy i charakteru kandydata". Dan Needham powiedział Owenowi, że to rozumne, uczciwe i zupełnie normalne podejście do sprawy, zwłaszcza w wypadku tak dobrego uniwersytetu jak Yale. Nie chodziło o to, że Owen nie zgadzał się z Danem – on po prostu nie chciał czegoś takiego zrobić.

– To tak jak zwolnienie warunkowe – oświadczył.

Na Harvardzie do jego sprawy podeszli również „uczciwie i rozumnie", chociaż okazali się nieco bardziej wymagający i twórczy w swych pomysłach niż w Yale. Także chcieli przyjąć go później, ale dodatkowo określili charakter „rozsądnego zajęcia", jakie miałby podjąć. Chcieli, żeby pracował na rzecz Kościoła katolickiego – naturalnie do pewnego stopnia. Musiałby zgłosić się na ochotnika do Katolickiej Pomocy Społecznej, mógłby społecznie pracować w jakiejś katolickiej organizacji charytatywnej, a nawet na rzecz tej szkoły parafialnej, w której zniszczył świętą figurę. Dyrektor Świętego Michała, ksiądz Findley, okazał się człowiekiem sympatycznym. Po rozmowie z Danem nie tylko nie wysunął żadnego oskarżenia wobec Owena, ale zgodził się pomóc mu w miarę możliwości (jeśli chodzi o przyjęcie do college'u).

Również niektórzy uczniowie ze szkoły katolickiej wystąpili w obronie Owena. Buzzy Thurston – który uderzył tę „łatwą piłkę" i który powinien być ostatni wyautowany, a wtedy Owen Meany nie wyszedłby odbijać – nawet Buzzy Thurston przemówił w obronie mojego przyjaciela, twierdząc, że Owen „przeżył trudny okres" i miał „słuszne powody czuć się przygnębiony". Zarówno dyrektor White, jak i szef policji Ben Pike aż się palili do tego, by „oskarżyć" Owena o kradzież i sprofanowanie posągu Marii Magdaleny. Tymczasem szkoła Świętego Michała i ksiądz Findley postanowili Owenowi wybaczyć.

Dan powiedział, że ojciec Findley „zna rodzinę" i że okazał niezwykłe współczucie, dowiedziawszy się, kim są rodzice Owena – musiał mieć już kiedyś do czynienia z państwem Meany. I chociaż nie zamierzał ujawnić, jakiego typu były to kontakty, oświadczył, że dołoży wszelkich starań, by pomóc Owenowi. „Na pewno nie zrobię nic, co by mu mogło zaszkodzić!" – brzmiały jego słowa.

Dan sugerował Owenowi, że pomysł tych z Harvardu jest nie najgorszy.

– Wśród katolików zdarzają się naprawdę dobrzy ludzie – rzekł. – Może miałbyś okazję ich bliżej poznać.

Przez krótką chwilę myślałem, że Owen zamierza zaakceptować propozycję Harvardu – „katolicki układ", jak to nazywał. Nawet wybrał się na spotkanie z ojcem Findleyem. Ale ze spotkania wrócił zażenowany faktem, że ksiądz naprawdę szczerze przejął się jego losem. Może Owenowi nawet spodobał się Findley. I to go jeszcze bardziej odstręczało.

Mimo wszystko „układ" ten odrzucił.

– Rodzice nigdy by tego nie zrozumieli. Ponadto, wolę iść na uniwersytet New Hampshire – chcę być razem z tobą i pójść tam, gdzie ty.

– Ale tam nie dostaniesz przecież stypendium! – przypomniałem mu.

– Nic się nie martw. – Widać nie chciał mi jeszcze wtedy powiedzieć, w jaki sposób zdobył dla siebie „stypendium".

Udał się do wojskowej komendy uzupełnień w Gravesend i wszystko zostało załatwione, jak my to mówimy w New Hampshire, „w rodzinie". Doskonale tam wiedzieli, kim jest – był najlepszym uczniem Akademii w swoim roczniku, mimo że dostał zaledwie dyplom ukończenia szkoły średniej w Gravesend. Został przyjęty na Uniwersytet New Hampshire – i o tym także wiedzieli, bo przeczytali tę wiadomość w „The Gravesend News-Letter". Poza tym był jakby miejscowym bohaterem. Przez samą swoją nieobecność rozłożył całą uroczystość promocyjną. A jeśli chodzi o podrabianie i sprzedawanie kart poborowych, to pracownicy biura uzupełnień zdawali sobie sprawę, o co w tym wszystkim chodzi – o alkohol, a nie o brak szacunku dla karty – co do tego nie mieli najmniejszych wątpliwości. A któryż młody, w gorącej wodzie kąpany Amerykanin nie popełnia od czasu do czasu jakichś aktów wandalizmu?

I w ten oto sposób Owen Meany zdobył sobie „stypendium" na Uniwersytet New Hampshire. Zgłosił się do Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy. Pamiętacie KSOR-y? Armia pokrywała koszty twej edukacji w college'u, za to ty w czasie studiów musiałeś zaliczyć kilka

kursów – historię wojskowości oraz taktykę małych jednostek bojowych i inne niezbyt skomplikowane rzeczy tego typu. Po pierwszym roku miałeś wziąć udział w szkoleniu podstawowym; trwało przepisowe sześć tygodni. A wraz z uzyskaniem dyplomu na uczelni, otrzymywałeś stopień podporucznika Armii Stanów Zjednoczonych – w tym momencie byłeś jej winien cztery lata służby czynnej plus dwa lata w rezerwie.

– Czy to coś złego? – spytał Owen. Poinformował nas o swoich planach w roku 1962. W Wietnamie przebywało wtedy 11 300 żołnierzy amerykańskich, ale żaden z nich jeszcze nie walczył.

– Zdecydowanie bardziej podobała mi się propozycja Harvardu. – Dan nie był zadowolony z decyzji Owena.

– Ale w ten sposób nie muszę tracić roku. I zostanę z tobą. Przecież to wspaniale!

– Tak, zgadza się. Jestem tylko trochę zaskoczony – odrzekłem.

„Trochę zaskoczony" to za mało powiedziane – byłem do głębi zdumiony, że Armia USA go przyjęła!

– Czy nie obowiązuje tam minimum wzrostu? – spytał mnie szeptem Dan.

– Wydawało mi się, że przestrzegają również limitów wagowych.

– Jeśli chodzi o wymagany wzrost i wagę, to trzeba mieć pięć stóp i ważyć pięćdziesiąt kilogramów.

– A ty masz pięć stóp wzrostu? – spytał Owena Dan.

– Ciekawe, od kiedy ważysz pięćdziesiąt kilo? – brzmiała moja uwaga.

– Jadłem ostatnio dużo bananów i lodów – odrzekł Owen Meany. – A kiedy mnie mierzyli, wziąłem głęboki oddech i stanąłem na palcach.

No cóż, wypadało nam tylko mu pogratulować. Był naprawdę zadowolony, że udało mu się załatwić stypendium „na swój sposób". Poza tym wtedy właśnie okazało się, że całkowicie pokonał Randy'ego White'a. Ani Dan, ani ja nie znaliśmy „snu" Owena. Pewnie zaczęlibyśmy się trochę martwić, że związał się z wojskiem, gdybyśmy go wówczas znali.

Owego lutowego poranka, kiedy wielebny Lewis Merrill wszedł do auli i zobaczył Marię Magdalenę pozbawioną głowy i rąk, ani Dan,

ani ja nie wybiegaliśmy myślami daleko w przód. Baliśmy się tylko, że pastor za bardzo się speszy, ażeby odmówić modlitwę. Że stan, w jakim znalazła się Maria Magdalena, może wydatnie pogorszyć jego lekkie zacinanie się i spowodować, że nie wykrztusi ani słowa. Bardzo długo stał pod sceną, przyglądając się posągowi – zapomniał nawet zdjąć wojskowej kurtki i żeglarskiej czapki. A ponieważ kongregacjonaliści nie zawsze noszą koloratkę, wyglądał nie na szkolnego duchownego, lecz raczej na pijanego marynarza, który wreszcie odczuł potrzebę, by się nawrócić.

Pastor Merrill stał jak wmurowany w tym samym miejscu, kiedy do auli wkroczył dyrektor. Nawet jeśli Randy White odczuł pewne zaskoczenie, spostrzegłszy tak wiele nauczycielskich twarzy na porannym spotkaniu, nie miało to wpływu na jego agresywny jak zwykle chód. W typowy dla niego sposób wbiegł, przeskakując po dwa schodki, na scenę. Nie drgnął ani nie okazał najmniejszego zdziwienia, widząc, że na podium już ktoś stoi. Wielebny Lewis Merrill nieraz intonował inaugurujący spotkanie hymn. I nieraz po pierwszej pieśni wygłaszał modlitwę. Wtedy dopiero następowały uwagi dyrektora – mówił nam także, jaki hymn będziemy śpiewać na zakończenie, i to było wszystko.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim dyrektor rozpoznał Merrilla stojącego u stóp sceny w wojskowej kurtce i czapeczce, wpatrzonego w postać, która z podium wyciągała do nas kikuty w błagalnym geście. Nasz kochany dyrektor był przyzwyczajony do przejmowania przywództwa oraz podejmowania decyzji. Kiedy dostrzegł monstrum na podium, zrobił pierwszą rzecz, jaka każdemu porządnemu dyrektorowi przyszłaby w tej sytuacji do głowy – energicznym krokiem podszedł do świętej figury, objął ją za skromne szaty i spróbował podnieść. Chyba nie zwrócił większej uwagi na stalowe taśmy skrzyżowane na biodrach rzeźby oraz czterocalowe sworznie, które przebijały jej stopy, a zostały przyspawane przez scenę do nakrętek. Podejrzewam, że krzyż mu jeszcze nie wydobrzał po kontuzji, jakiej doznał po efektownym dźwignięciu volkswagena. Jednakże dyrektor nie zważał na swój krzyż. Po prostu chwycił Marię Magdalenę wpół, wydał lekki pomruk i... nic! Maria Magdalena oraz

to wszystko, co reprezentowała, nie pozwolili sobą tak pomiatać jak garbus.

– Sądzicie pewno, że to zabawne! – zwrócił się dyrektor do wszystkich zebranych. Nikt się nie zaśmiał. – Wiecie, co to jest? To jest przestępstwo! Wandalizm! Kradzież i świętokradztwo! To rozmyślne naruszenie prywatnej własności – nawet świętej własności!

– Jaki hymn? – wrzasnął jeden z uczniów.

– Co takiego? – spytał Randy White.

– Który hymn mamy śpiewać? – powtórzył ktoś inny.

– Jaki hymn? – spytało chórem kilku następnych uczniów.

Nie zauważyłem, w którym momencie wielebny Merrill wdrapał się, najprawdopodobniej bardzo niepewnie, na scenę. Kiedy go dostrzegłem, stał obok okaleczonej Marii Magdaleny.

– Hymn ze strony trzysta osiemdziesiątej ósmej – odrzekł pastor głośno. W tej samej chwili dyrektor odezwał się do niego ostro, ale nie słyszeliśmy, co powiedział – za bardzo skrzypiały ławki i za głośno szeleściły śpiewniki, gdy wstaliśmy, żeby zaśpiewać. Nie wiem, dlaczego pastor wybrał tę właśnie pieśń. Gdybym znał sen Owena, pewnie uznałbym ją za szczególnie złowieszczą. Ale wówczas wydała mi się po prostu znana – śpiewaliśmy ją często, może dlatego, że brzmiała tak triumfalnie i zdawała się właściwie godzić kategorię „pielgrzymki i konfliktu", które często wydają się młodym ludziom inspirujące.

Syn Boży rusza w walkę swą,
By skroń ozdobić koroną,
Krwią zbrukany sztandar powiewa w oddali,
By inni za Nim ruszali.
Kto weźmie kielich goryczy
Triumfującego w bólu zwycięzcy?
Cierpliwy dźwiga krzyż niedoli,
By inni za Nim ruszali!

Owen bardzo lubił ten hymn i dlatego darliśmy się, ile wlazło. Ze zdecydowanie większym zaangażowaniem i znacznie głośniej niż zwykle. Dyrektor nie miał gdzie się podziać. Znajdował się, co prawda, na środku sceny, ale nie miał za czym się schować – robił wrażenie obnażonego i niepewnego siebie. W miarę jak wyrykiwaliśmy słowa hymnu, pewności siebie nabierał pastor Merrill; dało się to nawet zauważyć w jego wyglądzie. Stojąc tuż obok pozbawionej głowy Marii Magdaleny, nie wyglądał jednak również na człowieka w pełni odprężonego. Znajdował się tak blisko posągu, że i na niego padało światło zwykle oświetlające podium.

– Módlmy się. Pomódlmy się za Owena Meany'ego – rzekł pastor Merrill, kiedy skończyliśmy hymn.

W Wielkiej Auli zapadła głęboka cisza i chociaż pochyliliśmy głowy, nie spuszczaliśmy oczu z dyrektora. Czekaliśmy na początek modlitwy. Pomyślałem sobie, że Merrill ma kłopoty z jej rozpoczęciem. Ale po chwili zorientowałem się, że w ten niezręczny – jak zawsze – sposób chce nam dać do zrozumienia, że to my mamy się modlić za Owena. Chciał powiedzieć, że powinniśmy się teraz w ciszy pomodlić za mojego przyjaciela. A ponieważ cisza się przedłużała, zorientowaliśmy się, że pastor nie zamierza nas poganiać. Pomyślałem sobie, że brak mu odwagi. Ale on właśnie usiłował się zdobyć na odwagę. Modlitwa się więc przedłużała. Gdybym wiedział, co takiego się Owenowi śniło, modliłbym się jeszcze żarliwiej.

– Wystarczy – odezwał się nagle dyrektor.

– Bardzo przepraszam, ale to ja powiem, kiedy wystarczy – wyjąkał Merrill.

Mam wrażenie, że właśnie w tym momencie dyrektor zdał sobie sprawę, iż przegrał. Zorientował się, że jest skończony. No bo co mógł zrobić? Powiedzieć nam, że mamy przerwać modlitwę? Nadal staliśmy wszyscy z pochylonymi głowami. I nadal się modliliśmy. Wprawdzie niezbyt zręcznie, ale za to bardzo wyraźnie wielebny Merrill uświadomił nam, że nie można się przestać modlić za Owena.

Po krótkiej chwili Randy White zszedł ze sceny. Miał przynajmniej tyle rozsądku, jeśli już nie przyzwoitości, by wyjść w ciszy – słyszeliśmy, jak ostrożnie stąpa po marmurowych schodach; poranna

warstewka lodu była tak krucha, że jeszcze dość długo dobiegał do nas jej trzask pod ciężarem butów dyrektora, który oddalał się ścieżką wiodącą z Gmachu Głównego. Dopiero kiedy jego kroki ucichły, pastor Merrill wyrzekł: „Amen".

O mój Boże, jakże często pragnę jeszcze raz przeżyć tę chwilę! Wtedy nie umiałem się dobrze modlić i nawet nie wierzyłem w modlitwę. Gdybym miał możliwość modlić się za Owena dzisiaj, wiedząc już to wszystko, co wiem, może potrafiłbym się modlić goręcej.

Niewątpliwie byłoby mi łatwiej, gdybym mógł zobaczyć jego dziennik. Ale wtedy mi tego nie zaproponował – dziennik trzymał dla siebie. Ileż to razy pisał na jego kartach swoje imię i nazwisko – pełne imię i nazwisko – dużymi drukowanymi literami, czyli, jak to nazywał – liternictwem nagrobkowym lub liternictwem Gravesend. Jakże często w dzienniku powtarzal swoje imię – tę formę, jaką widział na nagrobku Scrooge'a. Było to na długo przed całą tą sprawą z KSOR-ami, a nawet jeszcze zanim wyrzucono go ze szkoły i zanim się zorientował, że Armia Stanów Zjednoczonych to jego karta wstępu do college'u – nawet wtedy pisał swoje nazwisko tak, jak się je pisuje na nagrobkach.

POR. PAUL O. MEANY, JR

Właśnie tak. Bo taki napis zobaczył Duch Przyszłych Wigilii na nagrobku Scrooge'a. Te słowa i datę, która również została zapisana w dzienniku – i to nieraz – ale mnie Owen nigdy jej nie wyjawił. Może mógłbym mu pomóc, gdybym ją znał. Owen był przekonany, że wie, kiedy umrze. Był również przekonany, że wie, jaki stopień wojskowy będzie miał w chwili śmierci – stopień porucznika.

A po tym śnie uważał, że wie jeszcze więcej. To ta jego pewność siebie i siła przekonania zawsze przejmowały mnie leciutkim dreszczem; w dzienniku niejednokrotnie można odnaleźć wzmianki o śnie.

WCZORAJ WYRZUCONO MNIE ZE SZKOŁY. I WCZORAJ MIAŁEM SEN. TERAZ WIEM JUŻ CZTERY RZECZY. WIEM, ŻE MÓJ GŁOS SIĘ

NIE ZMIENIA – CHOĆ NADAL NIE WIEM, DLACZEGO. WIEM, ŻE JESTEM NARZĘDZIEM W RĘKU BOGA, I WIEM, KIEDY UMRĘ – A WCZORAJ ZOBACZYŁEM WE ŚNIE, W JAKI SPOSÓB UMRĘ. BĘDĘ BOHATEREM. UFAM, ŻE BÓG NIE ODMÓWI MI SWEJ POMOCY, BO MOJE ZADANIE JEST BARDZO TRUDNE.

PALEC

Nim nadeszło lato 1962 roku, nie mogłem się już doczekać, kiedy dorosnę i kiedy inni zaczną mi okazywać szacunek, z jakim – wyobrażałem sobie – zwykle traktuje się dorosłych i jakiego uparcie się domagają. Nie mogłem się doczekać, żeby pławić się w należnej im – takie przynajmniej odnosiłem wrażenie – wolności i przywilejach. Aż do owego lata długie terminowanie w dorosłości wydawało mi się żmudne i pełne poniżeń. Randy White skonfiskował moją podrobioną kartę rezerwisty i nawet nie mogłem sobie kupić piwa. Nie osiągnąłem dostatecznej niezależności, by mnie było stać na samodzielne mieszkanie. Nie zarabiałem dosyć, żeby kupić samochód, nie byłem też jeszcze na tyle kimś, aby przekonać jakąkolwiek kobietę, by obdarzyła mnie swymi względami. Nie udało mi się to z żadną! Aż do owego lata 1962 roku uważałem, że dzieciństwo i wiek młodzieńczy stanowią jakby czyściec bez końca. Wydawało mi się, że młodość to gra. Jednakże Owen Meany, który był przekonany, że wie, kiedy i w jaki sposób umrze, wcale się nie spieszył, by wydorośleć. A gdy wobec Owena użyłem tego określenia „czyściec", z wielką prostotą mi oświadczył:

– Czyśćca nie ma. Wymyślili go katolicy. Jest życie na ziemi i w niebie. I jest jeszcze piekło.

– No to w takim razie życie na ziemi jest piekłem – rzekłem.

– Życzę ci miłych wakacji – powiedział.

Owo lato po raz pierwszy mieliśmy spędzić oddzielnie. Właściwie powinienem być za nie wdzięczny, ponieważ dało mi przedsmak tego, jak może wyglądać moje życie bez Owena – było to jakby przygotowanie! Pod koniec lata 1962 roku Owen Meany doprowadził do tego, że bałem się następnego etapu. Nie chciałem już dorosleć. Wtedy pragnąłem tylko, żebyśmy razem z Owenem pozostali na

zawsze dziećmi – czasami kanonik Mackie twierdzi dość obcesowo, że właśnie to mi się udało. Kanonik Campbell, świeć, Panie, nad jego duszą, mawiał, iż pozostanie do końca życia dzieciakiem to zupełnie godna szacunku ambicja.

Lato 1962 roku spędziłem w Sawyer Depot, pracując u wujka Alfreda. Po całej tej historii z Owenem nie chciałem już zatrudnić się w biurze rekrutacji Akademii Gravesend i oprowadzać chętnych po szkole – nie miałem na to najmniejszej ochoty. W tartaku Eastmanów dostałem dobrą robotę. Była męcząca, na świeżym powietrzu, ale spędzałem dużo czasu z Noahem i Simonem. Nad jeziorem Loveless odbywały się prawie każdego wieczoru zabawy, a co dzień po pracy, no i w weekendy, można się było kąpać i jeździć na nartach wodnych. Wujek Alfred i ciotka Marta bardzo serdecznie mnie przyjęli. Dali mi na lato pokój Hester, bo Hester nawet w wakacje mieszkała u siebie w Durham, gdyż pracowała jako kelnerka w jednej z tych nadmorskich restauracji, gdzie serwuje się homary, w Kittery albo w Portsmouth. Po pracy razem z Owenem rozbijali się po „paseczku" plaży pomidorowoczerwonym pikapem. Koleżanki Hester, które mieszkały razem z nią w ciągu roku szkolnego, już się rozjechały. Hester i Owen spędzali zatem noc po nocy sami w mieszkaniu Hester. „Mieszkali jak mąż i żona" – chłodno i krytycznie ujmowała rzecz ciotka Marta, jeśli w ogóle się na ten temat wypowiadała, co nie zdarzało się często.

Mimo że Owen i Hester mieszkali ze sobą jak mąż i żona, ani Noah, ani Simon, ani ja nie mieliśmy stuprocentowej pewności, że „to robią". Simon ani przez chwilę nie wątpił, iż Hester nie może żyć bez „tego", Noah był przekonany, że Owen i Hester przespali się ze sobą, ale – z jakiegoś powodu – już tego więcej nie robią. Ja zaś nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że między nimi wszystko jest możliwe – że robią to, i zresztą zawsze robili, aż do szaleństwa bądź że nigdy ze sobą nie spali lub też że robią coś znacznie gorszego czy lepszego – i że prawdziwa więź między nimi (niezależnie od tego, czy „to robili", czy nie) kryje w sobie znacznie więcej namiętności i smutku niż seks. Czułem się odcięty od Owena – pracowałem przy drewnie, wdychałem chłodne północne powietrze przesiąknięte zapachem drzew. On pracował przy granicie, czując, jak żar słoneczny spływa

do nie ocienionego kamieniołomu, wdychając pył skalny i zapach dynamitu.

Piły łańcuchowe wprowadzono stosunkowo niedawno. U Eastmanów używano ich do cięcia drewna, ale nie stale – były ciężkie i nieporęczne, nie tak lekkie i mocne jak dzisiaj. W owych czasach drewno wywoziło się z lasu albo wozem zaprzężonym w konie, albo traktorem, cięło zaś często za pomocą piły poprzecznej i siekiery. Ręcznie ładowaliśmy pnie na pojazdy, posługując się obracakami i specjalnymi bosakami. Dzisiaj – Noah i Simon mi pokazywali – mają samoładujące się ciężarówki, chwytaki widłowe i rębaki. Zmienił się nawet tartak – nie ma już trocin! Jednakże wtedy, w 1962 roku, wyładowywaliśmy pnie w tartaku i piłowaliśmy je na deski o różnej grubości i rozmiarach, przy czym cała kora i wióry szły na odpady. Dzisiaj Noah i Simon nazywają to „odpadami na ogień" albo dosłownie „energią" – dzięki temu mają własny prąd!

– No i co, idziemy do przodu? – pyta mnie zawsze Simon.

Teraz jesteśmy już dorośli, mamy to, do czego nam się tak spieszyło. Możemy pić tyle piwa, ile dusza zapragnie, i nikt nie spyta nas o wiek. Noah i Simon mają swoje domy, własne żony i dzieci, i naprawdę wspaniale opiekują się wujem Alfredem i ciocią Martą, która nadal jest czarującą kobietą, chociaż kompletnie osiwiała i przypomina mi bardzo babcię z owego lata 1962 roku.

Wujek Alfred przeszedł dwie operacje serca, ale już czuje się świetnie. Przedsiębiorstwo Eastmanów zabezpieczyło jemu i cioci Marcie długie i dostatnie życie. Ciotka wykazuje jedynie nikłe ślady swego niegdysiejszego zainteresowania osobą mego prawdziwego ojca. W czasie ostatniego Bożego Narodzenia w Sawyer Depot podeszła do mnie na osobności i spytała: „Nadal nie wiesz? Przecież mnie możesz powiedzieć! Założę się, że już wiesz! Czy to możliwe, że przez te wszystkie lata niczego się nie dowiedziałeś?".

Przyłożyłem palec do ust, tak jakbym chciał powiedzieć coś, czego wolałem, żeby wuj Alfred, Dan, Noah czy Simon nie usłyszeli. Ciocia Marta nastawiła uszu – jej oczy rozbłysły, uśmiechnęła się szelmowsko jak spiskowiec.

– Dan Needham jest najlepszym ojcem i takiego życzę każdemu chłopakowi – szepnąłem ciotce do ucha.

– Tak, wiem, Dan jest wspaniały – odrzekła zniecierpliwiona. Nie to chciała usłyszeć.

O czym nadal rozmawiamy z Noahem i Simonem? Po tych wszystkich latach? Rozmawiamy o tym, co Owen „wiedział" albo „wydawało" mu się, że wie. Rozmawiamy także o Hester. O niej będziemy chyba mówili jeszcze w grobie!

– Hester Okrutnica! – rzuca Simon.

– Któż by przypuszczał? – pyta Noah.

Co roku na Boże Narodzenie wujek Alfred i ciocia Marta mówią: „Hester powinna wrócić w przyszłym roku na Boże Narodzenie – tak przynajmniej utrzymuje".

– Zawsze to powtarza – twierdzą wtedy Simon i Noah.

Hester jest chyba jedynym zmartwieniem cioci i wujka. Nawet wtedy, latem 1962 roku, odnosiłem takie wrażenie. Traktowali ją inaczej niż chłopców, i Hester dołożyła wszelkich starań, żeby im odpłacić pięknym za nadobne. Naprawdę była na nich zła! Zabrała swoją złość z Sawyer Depot i wszędzie, gdziekolwiek przebywała, znajdowała kolejne sprawy i ludzi, którzy podsycali jej straszliwy gniew.

Owena taki gniew chyba nie przepełniał. Jednakże wspólne im było pewne poczucie niesprawiedliwości, które otaczało ich niby jakiś nimb. Owen żył w przeświadczeniu, że Bóg wyznaczył mu rolę do spełnienia, i nie w jego mocy jest ten los zmienić. Poczucie przeznaczenia, wiara, że ma do spełnienia jakąś misję, pozbawiła go całkowicie „wesołości". W roku 1962 liczył zaledwie dwadzieścia lat, jednakże od chwili, kiedy dowiedział się, że John Kennedy „pieprzy" Marilyn Monroe, przestał cokolwiek robić dla przyjemności. Hester była po prostu wkurzona na świat i miała wszystko w dupie. Stanowili przygnębiającą parę!

– Owego lata uważałem, że wuj Alfred i ciocia Marta są doskonałym małżeństwem. A jednak działali na mnie przygnębiająco, właśnie z tego powodu, że byli tacy szczęśliwi. Ich szczęście przypominało mi te krótkie, pełne radości chwile, które mama spędziła z Danem.

Owego lata nie udało mi się jednak umówić z żadną fajną dziewczyną. Noah i Simon starali się, jak mogli. Poznali mnie

ze wszystkimi dziewczynami znad jeziora Loveless. Było to lato, kiedy suszyliśmy mokre kostiumy kąpielowe na antenie samochodu Noaha. Moje doświadczenia seksualne ograniczały się do widoku furkoczących na wietrze majtek dziewczęcych kostiumów. Jeździliśmy czarno-białym kabrioletem chevy rocznik 1957, takim, co to z tyłu ma coś w rodzaju statecznika pionowego. Noah pozwalał mi się nim wybrać do kina samochodowego, jeśli zdołałem się umówić na randkę.

– Jak tam film? – pytał, kiedy nieodmiennie wracałem do domu o wiele za wcześnie.

– Wygląda, jakby nie stracił ani sekundy akcji – zauważył wtedy Simon. I to była prawda. Nie odrywałem nigdy wzroku od filmu, na który zabierałem dziewczyny. A co gorsza, Noah i Simon wielokrotnie organizowali mi randki sam na sam w hangarze Eastmanów. Nocą hangar ten cieszył się reputacją taniego motelu. Ale ja potrafiłem się co najwyżej zdobyć na długą grę w strzałki albo też czasami siadywałem z dziewczyną na suchym doku, starając się powstrzymać od jakichkolwiek uwag na temat widoku zimnych i odległych gwiazd, aż (wreszcie!) Noah i Simon przybywali, by wyzwolić nas od udręki, jaką może stanowić tak niezręczna sytuacja.

Zacząłem odczuwać strach – i na dodatek nie wiem z jakiego powodu.

Zatoka Georgia, 25 lipca 1987. To okropne, ale na stacji w Pointe au Baril można kupić i „The Globe and Mail", i „The Toronto Star". Bogu dzięki, przynajmniej nie mają „New York Timesa". Wyspa w zatoce, własność rodziny Katherine od roku 1933 – kiedy to jej dziadek wygrał ją w pokera, o czym swego czasu było głośno – znajduje się mniej więcej o piętnaście minut drogi od stacji Pointe au Baril. Leży w pobliżu Spalonej Wyspy i Wyspy Zadowolonych Serc oraz cypla Peesay. Chyba nazywa się Wyspą Gibsona albo Ormsby'ego. W rodzinie Katherine są zarówno Gibsonowie, jak i Ormsby'owie. A Gibson to chyba nazwisko panieńskie Katherine, choć nie jestem pewien.

W każdym razie stoi tam kolonia domków z drewna cedrowego – nie ma elektryczności, ale wszelkie wygody zapewnia gaz. Wszystko jest na propan – lodówki, bojlery, piecyki i lampy. Pojemniki z gazem dowozi się morzem. Wyspa ma swój własny system kanalizacji, co stanowi często temat dyskusji między zgrają Keelingów, Gibsonów i Ormsbych, którzy się do niego wypróżniają i są pełni obaw, czy nie odmówi posłuszeństwa.

Nie miałem ochoty odwiedzać Keelingów bądź też Gibsonów albo Ormsbych, zanim zainstalowano szambo. Kolejnym ulubionym tematem rozmów rodzin, które latem zamieszkują wyspę, są spotkania z pająkami w nie oświetlonych wychodkach oraz inne przeraźliwe rzeczy, jakie późną nocą mogą się przytrafić w świecie ustępów. Wielokrotnie już słyszałem opowieść o wujku Bulwerze Ormsbym, którego w ustępie zaatakowała sowa, bo nie było tam drzwi: „Tak się lepiej wietrzy!" – twierdzili zarówno Keelingowie, jak Gibsonowie i Ormsby'owie. Wuj Bulwer został dziobnięty w czubek głowy, szczęśliwie w przerwie czynności, która powinna być najbardziej intymnym momentem życia każdego człowieka, i tak okropnie przeraził się atakującej sowy, że wyskoczył z wychodka ze spodniami pętającymi mu nogi wokół kostek i zrobił sobie nawet większą krzywdę niż sowa, bo wyrżnął głową prosto w sosnę.

Co roku w czasie moich wizyt na wyspie trwają rodzinne dyskusje, jaka to była sowa albo czy w ogóle mogła to być sowa. Charlie Keeling, mąż Katherine, uważa, że prawdopodobnie chodziło o ćmę albo gza. Jeszcze inni są zdania, że to pewnie sówka, bo one potrafią być groźne, walczyć w obronie swego gniazda i nawet atakować człowieka. Inni sądzą, że terytorium sówek kończy się grubo przed zatoką i że to niewątpliwie sprawka kobuza – małego sokoła amerykańskiego. Ptaki te potrafią zachowywać się naprawdę agresywnie i w nocy można je wziąć za niewielką sowę.

Bardzo dobrze mi robi towarzystwo licznej i przyjaźnie usposobionej rodziny Katherine. Rozmowa często nawiązuje do legendarnych wydarzeń na wyspie – wiele z nich dotyczy aktów odwagi bądź tchórzostwa datujących się z okresu, kiedy na wyspie istniały jeszcze wychodki i ustępy. Częstym tematem są także różne przygody z naturą. Spędzam tutaj cudownie czas, starając się

rozróżnić gatunki ptaków, ssaków, ryb oraz gadów i owadów, których – niestety – właściwie nie znam.

Czy to była wydra, norka czy piżmoszczur? Nur, kaczka pospolita czy czarna? A czy to z kolei kąsa, gryzie i czy jest jadowite? Przypomina to trochę pytania, jakie się tu w kółko zadaje dzieciom. Spuściłeś po sobie wodę? Zakręciłeś gaz? Zamknąłeś drzwi na werandę? Czy zostawiłeś odkręconą wodę? (Pompa działa na benzynę.) I czy rozwiesiłeś kostium i ręcznik, żeby wyschły? Przywodzi mi to na myśl moje dni nad jeziorem Loveless – bez tej udręki, jaką były randki z dziewczynami. Jezioro Loveless było rozkosznym stawkiem w porównaniu z zatoką. Już w lecie 1962 roku na jeziorze aż roiło się od motorówek i wiele domków letniskowych spuszczało nieczystości prosto do wody. Tak zwane wspaniałe piknikowanie jest dużo wspanialsze w Kanadzie niż za moich czasów w New Hampshire. Ale smoła do drewna na palcach wygląda wszędzie tak samo. Takie same są dzieciaki z mokrymi przez cały dzień włosami i w mokrych kostiumach – zawsze ktoś tam ma obtarte czy rozwalone kolano, słychać klapanie bosych stóp po molo... wybuchają coraz to kłótnie. Uwielbiam tę atmosferę. Na krótką chwilę to wspaniały relaks. Niemal zaczynam sobie wyobrażać, że moje życie było zupełnie inne niż w rzeczywistości.

Przez cienkie ścianki letniskowego domku można się wiele dowiedzieć. Na przykład raz usłyszałem, jak Charlie Keeling mówi do Katherine, że jestem „nie praktykującym homoseksualistą”.

– A co to takiego? – spytała Katherine.

Wstrzymałem oddech, wytężyłem słuch, żeby usłyszeć odpowiedź. Od tylu lat chciałem się dowiedzieć, co to znaczy „być nie praktykującym homoseksualistą”.

– No, chyba rozumiesz – rzekł Charlie.

– To znaczy, że nie robi tego.

– Przypuszczam, że nie – odparł Charlie.

– Ale jeśli już o tym myśli, to chciałby to robić z mężczyznami?

– Mam wrażenie, że w ogóle o tym nie myśli – odparł.

– No to w jakim sensie jest „homoseksualistą”? – spytała Katherine.

Charlie westchnął. W letnich domkach przez ścianę słychać nawet westchnienie.

– Nie jest nieatrakcyjny – zaczął wyjaśniać Charlie. – Nie ma żadnej dziewczyny. A czy kiedykolwiek miał?

– I tylko dlatego ma być pedałem? Według mnie nie wygląda na pedała.

– Nie powiedziałem, że jest. Ale nie praktykujący homoseksualista nie zawsze wie, czym jest.

A więc „nie praktykujący homoseksualista" to właśnie to, pomyślałem. Nie wiem, jaki jestem.

Co dzień odbywa się dyskusja, co będziemy jeść i kto weźmie z przystani łódki albo jedną z łódek, żeby zakupić żywność i inne potrzebne rzeczy. Lista sprawunków jest bardzo ogólna:

benzyna
baterie
plaster
kukurydza (ewentualnie)
płyn przeciw owadom
hamburgery i bułki (mnóstwo)
jajka
mleko
mąka
masło
piwo (mnóstwo)
owoce (ewentualnie)
boczek
pomidory
agrafki (dla Prue)
cytryny
robaki

Młodszym dzieciom pozwalałem popisywać się prowadzeniem motorówki. Charlie'emu dawałem się zabierać na ryby. Naprawdę

lubię łowić okonki – raz w roku. Staram się pomóc w pracach, które są na wyspie najpilniejsze. Ormsby'owie muszą naprawić pomost, Gibsonowie mają zmienić gonty na hangarze.

Co dzień zgłaszam się na ochotnika, żeby popłynąć do stacji. Zakupy dla tak licznej rodziny to dla mnie wielka frajda – zwłaszcza przez ten króciutki czas. Zabieram ze sobą któreś z dzieci albo dwójkę, żeby na moją skromną osobę nie marnować przyjemności pływania łódką. I zawsze śpię z jednym z młodych Keelingów – czy też raczej od jednego z dzieci żąda się, by dzieliło ze mną pokój. Zasypiam, wsłuchując się w niezwykle skomplikowane dźwięki oddechu śpiącego dziecka, nura kwilącego gdzieś w ciemności, fal rozbijających się o kamieniste wybrzeże. A rano, na długo zanim dziecko otworzy oczy, słyszę mewy i wspominam pomidorowoczerwonego pikapa krążącego nabrzeżem między Hampton Beach i Rye Harbor. Słyszę ochrypłe dźwięki gotowych do boju kruków, których sprzeczki i oracje przypominają mi, że zbudziłem się w prawdziwym świecie – w świecie, jaki w końcu znam.

Przez moment – zanim kruki rozpoczną swoje przykre dla ucha swary – wyobrażam sobie, że tutaj, nad zatoką, odnalazłem to, co kiedyś nazywało się Nowym Światem – raz jeszcze wysiadam na brzeg dziewiczego lądu, który Watahantowet sprzedał moim przodkom. Bo właśnie tutaj można sobie wyobrazić, jak wyglądała niegdyś Ameryka Północna, zanim Stany Zjednoczone weszły w okres wierutnych kłamstw i nieprawdopodobnej beztroski, rujnującej ten kraj.

I wtedy słyszę kruki. Ich skrzekliwe głosy sprowadzają mnie z powrotem na ziemię. Staram się nie myśleć o Owenie. Staram się rozmawiać z Charlie'em Keelingiem o wydrach.

– Mają długie, spłaszczone ogony. Ogon leży poziomo na wodzie – wyjaśnia Charlie.

– Aha. – Siedzieliśmy na skałach, w tej części wybrzeża, gdzie podobno jedno z dzieci widziało piżmoszczura.

– To była wydra – powiedział Charlie dzieciom.

– Ty go, tato, nie widziałeś – rzekło drugie z dzieci.

Postanowiliśmy więc z Charlie'em podpatrzyć zwierzaka. U wejścia do jego nory w nadbrzeżnej skale leżało całe mnóstwo muszelek słodkowodnych mięczaków.

– Wydra jest w wodzie znacznie szybsza niż piżmoszczur – zauważył Charlie.

– Aha.

Siedzieliśmy przez godzinę czy dwie i Charlie opowiadał mi, jak się zmienia poziom wody w zatoce Georgia – i zresztą w całym jeziorze Huron. Zmienia się z roku na rok. Martwił się, że kwaśne deszcze znad Stanów Zjednoczonych zaczynają zabijać życie w jeziorze, poczynając (tak jak zawsze) od dolnych ogniw łańcucha pożywienia.

– Rozumiem – odrzekłem.

– Zmieniły się wodorosty, zmieniły się glony – teraz już nie złapiesz takiego szczupaka, jak kiedyś – a jedna wydra nie zabiła przecież tych wszystkich mięczaków! – wyjaśnił, wskazując na muszelki.

– Rozumiem.

I kiedy Charlie siusiał w „krzewach" (jak mówią w Kanadzie), zwierzątko rozmiarów małego psa gończego, ze spłaszczoną głową i ciemnobrązowym futerkiem, wypłynęło na jezioro.

– Charlie! – krzyknąłem. Zwierzę zanurkowało. Już się więcej nie wyłoniło. Jeden z dzieciaków natychmiast znalazł się u mego boku.

– Co to było? – spytał.

– Nie wiem – odparłem.

– Czy miało spłaszczony ogon? – zawołał z krzaków Charlie.

– Miało jakby spłaszczoną głowę – odrzekłem.

– To piżmoszczur – zauważyło jedno z dzieci.

– Ty go przecież nie widziałeś – odezwała się siostra.

– Jaki miał ogon? – zawołał Charlie.

– Nie widziałem.

– To aż tak szybko przeleciało? – spytał Charlie, wyłaniając się z krzaków i zapinając rozporek.

– No tak, dość szybko.

– To była wydra – oświadczył Charlie.

(Miałem ochotę powiedzieć, że to raczej „nie praktykujący homoseksualista", ale ugryzłem się w język).

– Widziałeś kaczkę? – spytała mnie dziewczynka.

– Jaką tam kaczkę, idiotko! – ofuknął ją brat.
– Ty jej nie widziałeś, bo zanurkowała – odrzekła dziewczynka.
– Była to samica czegoś tam – stwierdziło następne dziecko.
– A ty? Jak myślisz? – pytanie było skierowane do mnie.
– Ja nic nie widziałem.
– Patrz tam, tylko nie odwracaj wzroku – poradził mi Charlie. – Będzie się musiał wychylić, żeby nabrać powietrza. To najprawdopodobniej rożeniec, dzika kaczka albo cyraneczka niebieskoskrzydła – jeśli to samica.

Sosny pachną cudownie, cudownie pachną też porosty na skałach, nawet świeża woda – a może tak naprawdę to smród jakiejś organicznej zgnilizny, która toczy wszystko pod powierzchnią wody? Nie wiem, co składa się na taki właśnie zapach jeziora, ale jest niebiański. Mógłbym spytać Keelingów, dlaczego jezioro tak pachnie, ale wolę ciszę – tylko lekki wiaterek, który niemal bezustannie wieje wśród sosen, pluskanie fal oraz krzyk mew i skrzek rybołówek.

– To rybołówka kaspijska – orzekł jeden z chłopców. – Widzisz ten długi czerwony dziób? Widzisz czarne nóżki?

– Aha – przytaknąłem. Ale nie zwracałem uwagi na ptaka. Przypominałem sobie akurat list, jaki napisałem do Owena Meany'ego latem 1962 roku. Dan powiedział mi, że widział go którejś niedzieli w sali gimnastycznej Akademii. Dan twierdził, że Owen trzymał piłkę, ale nie strzelał. Stał na linii spalonego, po prostu wpatrując się w kosz – nawet nie dryblował ani nie próbował rzucać. Wyglądał podobno niesamowicie.

– Po prostu stał – opowiadał mi Dan. – Przyglądałem mu się chyba z pięć minut. Stał tak i ani jeden mięsień mu nie drgnął – trzymał piłkę i wpatrywał się w kosz. Jest taki malutki, że kosz wyglądał, jakby był całą milę od niego.

– Myślał pewnie o strzelaniu – wyjaśniłem Danowi.

– Nie przeszkadzałem mu – rzekł Dan. – Nie wiem, o czym myślał, ale był tak mocno skoncentrowany, że mnie nie zauważył. Nawet się z nim nie przywitałem. Chybaby mnie nie usłyszał.

Kiedy się o tym dowiedziałem, zaczęło mi brakować tego idiotycznego „strzelania". Więc napisałem do niego, ot tak,

zdawkowo – no bo przecież jak dwudziestojednoletni chłopak mógłby napisać do swego najlepszego przyjaciela, że za nim tęskni?

Drogi Owenie – zacząłem. – *Co porabiasz? Tutaj jest nudnawo. Najbardziej mi się podoba praca w lesie – najlepsza jest ścinka. Tyle że są okropne muchy. Dużo większy upał panuje w tartaku i składzie drewna. Ale tam nie ma much. Wuj Alfred twierdzi, że woda w jeziorze Loveless nadaje się do picia – wypiliśmy jej już tyle, że gdyby się nie nadawała, dawno leżelibyśmy martwi. Noah uważa, że w jeziorze jest dużo więcej szczyn i gówna niż w oceanie. Bardzo mi brak plaży – jak wygląda w tym roku? A może w przyszłym roku Twój ojciec będzie mógł mnie zatrudnić w kamieniołomach?*

Odpisał mi. Nie zawracał sobie głowy zwyczajowym „Drogi Johnie!" Głos miał swój własny styl – żadnych ozdobników, tylko drukowane litery.

CHYBA OSZALAŁEŚ! CHCESZ PRACOWAĆ W KAMIENIOŁOMACH? TOBIE SIĘ WYDAJE, ŻE W SKŁADZIE DREWNA JEST GORĄCO! MÓJ OJCIEC NIE ZATRUDNIA ZBYT WIELU ROBOTNIKÓW SEZONOWYCH. A POZA TYM UWAŻAM, ŻE NIE ZAPŁACI CI TYLE, CO WUJ ALFRED. MNIE SIĘ PO PROSTU WYDAJE, ŻE TAM, GDZIE JESTEŚ, NIE POZNAŁEŚ ODPOWIEDNIEJ DZIEWCZYNY.

Jak się ma Hester? – spytałem, odpowiadając mu na list. – *Nie zapomnij jej powiedzieć, że jej pokój niezmiernie mi się podoba. To ją na pewno wkurwi. Przypuszczam, że nie pomaga Ci ćwiczyć strzelania. Byłaby to ogromna strata, gdybyś wyszedł z wprawy. Przecież niewiele brakowało, żebyś zszedł poniżej trzech sekund!*

Odpisał mi natychmiast. NA PEWNO MOŻNA ZEJŚĆ PONIŻEJ TRZECH SEKUND. NIE ĆWICZĘ, ALE MYŚLENIE O STRZELANIU DAJE PRAWIE TAKIE SAME EFEKTY. OJCIEC CIĘ ZATRUDNI W PRZYSZŁYM ROKU. MOŻE NIE BĘDZIE TO TAKIE STRASZNE, JEŚLI PODEJDZIESZ DO TEGO SPOKOJNIE. NA PRZYKŁAD W WARSZTACIE Z NAGROBKAMI. A TAK À PROPOS – PLAŻA WSPANIAŁA – MOŻNA TU SPOTKAĆ SPORO ŁADNYCH DZIEWCZYN. CAROLINE O'DAY PYTAŁA O CIEBIE. POWINIENEŚ ZOBACZYĆ, JAK WYGLĄDA BEZ MUNDURKA SZKOŁY ŚWIĘTEGO MICHAŁA. WIDZIAŁEM DANA NA ROWERZE – POWINIEN TROCHĘ SCHUDNĄĆ. BYLIŚMY KTÓREGOŚ WIECZORU RAZEM Z HESTER U BABCI. NATURALNIE GAPILIŚMY

SIĘ W TO IDIOTYCZNE SZKLANE PUDŁO. ŻAŁUJ, ŻE NIE SŁYSZAŁEŚ, CO BABCIA OPOWIADAŁA NA TEMAT KONFERENCJI W GENEWIE! POWIEDZIAŁA, ŻE UWIERZY W „NEUTRALNOŚĆ" LAOSU, JEŚLI SOWIECI ZDECYDUJĄ SIĘ WYCOFAĆ... NA KSIĘŻYC! OŚWIADCZYŁA TEŻ, ŻE UWIERZY W DEKLARACJĘ GENEWSKĄ, JEŚLI SZLAKIEM HO SZI MINA BĘDĄ SZŁY TYLKO PAPUGI I MAŁPY! JUŻ CI NIE POWTÓRZĘ, JAK HESTER SKOMENTOWAŁA FAKT, ŻE KORZYSTASZ Z JEJ POKOJU – DOKŁADNIE TO SAMO MÓWI NA TEMAT MAMY, TATY, NOAHA, SIMONA I WSZYSTKICH DZIEWCZYN ZNAD JEZIORA LOVELESS, WIĘC MOŻE ZNASZ TO WYRAŻENIE.

Napisałem list do Caroline O'Day, ale mi nigdy nie odpisała. Był sierpień 1962 roku. Doskonale pamiętam pewien gorący dzień – w powietrzu wisiała wilgoć, a niebo było zamglone. Zbierało się na burzę, która się jednak nie rozpętała. Pogoda bardzo przypominała pogodę w dniu ślubu mamy – nazywaliśmy to z Owenem pogodą typową dla Gravesend.

Razem z Noahem i Simonem byliśmy na wyrębie. Muchy doprowadzały nas do szaleństwa, ale atakowały też i komary. Najprędzej w szał wpadał Simon. Z całej naszej trójki muchy i komary najbardziej lubiły właśnie jego. Dla ludzi niecierpliwych ścinka drzewa może być niebezpieczna. Piły, siekiery, obracaki, bosaki – wszystkie tego typu narzędzia – lubią ręce cierpliwe. Simon zbytnio wyluzował i poczynał sobie nieco brawurowo ze swoim bosakiem – końcem haka zaczął atakować jakąś muchę i rozciął sobie łydkę. Rana była dość głęboka, miała jakieś trzy czy cztery cale – nic poważnego, ale wymagała założenia kilku szwów. Powinien także dostać zastrzyk przeciwtężcowy.

Dla Noaha i dla mnie była to prawdziwa gratka. Nawet Simon, który zawsze dość dobrze znosił ból, też się cieszył – rana znaczyła, że możemy wyjść z lasu. Wzdłuż przecinki podjechaliśmy jeepem do chevroleta Noaha. Wzięliśmy chevroleta i ruszyliśmy autostradą. Minęliśmy Sawyer Depot, Conway i dotarliśmy pod izbę przyjęć Szpitala Północnego w Conway.

Niedaleko granicy stanu Maine zdarzył się wypadek samochodowy, więc w poczekalni izby przyjęć na Simona nikt specjalnie nie zwracał uwagi. Nam to nie przeszkadzało, bo im dłużej miało trwać zrobienie

zastrzyku przeciw tężcowi i założenie szwów, tym dłużej mogliśmy być z dala od much i komarów, a także upału. Simon udawał nawet, że nie pamięta, czy jest na coś uczulony. Trzeba było zadzwonić do cioci Marty i wujka Alfreda, co troszkę potrwało. Noah zaczął flirtować z jedną z pielęgniarek. Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy przebąblować resztę dnia i nie wrócić do pracy.

Jeden z mniej poszkodowanych w wypadku siedział z nami w poczekalni. Noah i Simon znali go z widzenia – facet reprezentował typ charakterystyczny dla Północy – to jeden z tych narciarzy-próżniaków, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić, kiedy nie ma śniegu. Facio pił piwo, gdy jeden samochód wpadł na drugi, a on był kierowcą jednego z nich – tak nam powiedział. W wyniku zderzenia szyjka butelki pękła mu w ustach. Miał rozdarte kąciki warg i poszarpane dziąsła, a rozbite szkło rozcięło mu policzek. Z dumą pokazał nam ranę wewnątrz ust oraz dziurę w policzku. Co chwila ocierał usta i twarz wilgotną gazą nasiąkniętą krwią, którą od czasu do czasu wyżymał w nasączony krwią ręcznik. Był to dokładnie taki typ mieszkańca Północy, który budził w Hester pogardę dla Sawyer Depot, doprowadzając do tego, że przez okrągły rok mieszkała wraz z innymi uczniami college'u w Durham.

– Słyszeliście o Marilyn Monroe? – spytał nas narciarski bufon.

Spodziewaliśmy się jakiegoś świńskiego kawału – jakiegoś koszmarnego obrzydlistwa. Uśmiech palanta stanowił krwawą ranę; był równie odpychający jak rana ziejąca na jego policzku i jakiś lubieżny, zdeprawowany. Wolna chwila, która wydawała nam się zbawieniem, przestawała być przyjemnością. Próbowaliśmy nie zwracać na niego uwagi.

– Czy słyszeliście o Marilyn Monroe? – powtórzył pytanie. Nagle zabrzmiało to tak, jakby wcale nie zamierzał nam opowiedzieć kawału. Pomyślałem sobie, że chodzi mu o Kennedych.

– Nie. A co takiego? – spytałem.

– Nie żyje – odrzekł palant, obwieszczając nowinę z sadystyczną wręcz rozkoszą. Uśmiech jakby wypompowywał mu krew z ust oraz z dziury w policzku. Miałem wrażenie, że z szokującej wiadomości, jaką nam przekazał, jest zadowolony przynajmniej w takim samym stopniu, jak z przedstawienia, jakim było wyżymanie własnej krwi

z nasączonej gazy na mokry ręcznik. Na zawsze pozostanie mi już w pamięci ta krwawiąca twarz, kiedy wyobrażam sobie reakcję Larry'ego Lisha i jego matki na tę nowinę – z jaką radością i zapałem musieli rozpowszechniać wiadomość: „Słyszeliście? Jak to? Nie słyszeliście?". Upojenie przypuszczeniami i domysłami rozogniałoby im twarze niczym krew!

– Jak to się stało? – spytałem palanta.

– Przedawkowała – odrzekł zawiedzionym tonem, bo pewnie liczył na jakąś krwawszą historyjkę. – Może to wypadek, a może samobójstwo.

A jeśli to rodzina Kennedych miała z tym coś wspólnego, pomyślałem. Poczułem strach. Tego lata po raz pierwszy coś spowodowało, że poczułem strach zupełnie nieokreślony. Teraz nagle przestraszyłem się czegoś konkretnego, chociaż moje przerażenie nadal było niejasne. Co wspólnego mogła mieć ze mną śmierć Marilyn Monroe?

– To dotyczy nas wszystkich – rzekł Owen Meany, kiedy do niego zadzwoniłem tego samego wieczoru. – Monroe była dokładnie taka, jak cały nasz kraj – już nie taka młoda, ale jednocześnie nie za stara, czasami dostawała zadyszki, bardzo piękna, może troszkę głupawa, znacznie jednak mądrzejsza, niż na to wyglądała. I czegoś szukała – wydaje mi się, że chciała być dobra, popatrzmy, jakich mężczyzn spotkała w życiu – Joe Dimaggio, Arthur Miller, może też i bracia Kennedy. Jacyż oni nam się wydają dobrzy! A ona jaka godna pożądania! I właśnie taka była – godna pożądania. Wesoła, pełna seksu i delikatna – nigdy do końca szczęśliwa. Zawsze miała odrobinę nadwagi. Była dokładnie taka, jak cały nasz kraj – powtórzył. Gadał jak nakręcony. Słyszałem w tle dźwięki gitary Hester. Próbowała z jego słów improwizować piosenkę w stylu country. – A ci mężczyźni, ci sławni wpływowi mężczyźni – czy oni tak naprawdę ją kochali? Czy się o nią troszczyli? Jeśli była kiedyś z którymś z Kennedych, to czy oni potrafili ją kochać? Co najwyżej wykorzystywali. Postępowali beztrosko i fundowali sobie drobną rozrywkę. Właśnie coś takiego robią wpływowi mężczyźni z naszym krajem. To piękny kraj, czasami tylko dostaje zadyszki, a wpływowi mężczyźni wykorzystują go, żeby zafundować sobie drobną

rozrywkę. Mówią, że go kochają, ale nie mówią tego szczerze. Mówią różne rzeczy, żeby się lepiej zaprezentować – próbują pokazać, jacy to oni są moralni. Myślałem, że Kennedy jest moralistą. Ale on nas tylko mamił. Chciał nas zwieść. Wydawało mi się, że jest zbawcą. Uważałem, że chce wykorzystać władzę, by uczynić dobro. Okazuje się jednak, że ludzie są gotowi powiedzieć i zrobić wszystko, byleby tylko zdobyć władzę. A kiedy już ją zdobędą, to wykorzystują tylko po to, by się dobrze zabawić. Marilyn Monroe zawsze szukała najlepszego mężczyzny – może najbardziej prawego. Może chciała znaleźć człowieka, który ma najwięcej możliwości czynienia dobrze. Zwodzono ją raz po raz, oszukiwano, aż została wykorzystana do samego końca. Dokładnie tak, jak nasz kraj. Ojczyzna chce zbawcy. Kraj nabiera się na silnych facetów, którzy sprawiają dobre wrażenie. Wydaje nam się, że to moraliści, a oni nas po prostu wykorzystują. I dokładnie to samo stanie się z tobą i ze mną – mówił Owen Meany. – Zostaniemy wykorzystani.

Zatoka Georgia, 26 lipca 1987. „The Toronto Star" pisze, że prezydent Reagan osobiście podjął wysiłki, by zatuszować istotne szczegóły swego programu wymiany broni na zakładników, i kontynuował go, kiedy ten był już znany opinii publicznej. Gazeta dodaje jednocześnie, że „prezydent wygłaszał następnie mylące oświadczenia na temat sprzedaży broni" – i to w czterech zupełnie nie związanych ze sobą sytuacjach!

W ruchu protestu przeciwko wojnie w Wietnamie Owena najbardziej bolało podejrzenie, że wielu demonstrantów kierowało się własnym interesem. Przypuszczał, że gdyby nie sprawa powołania do wojska, liczba uczestników bardzo by zmalała.

Spójrzmy na Stany Zjednoczone dzisiaj. Czy do walki w Nikaragui powołuje się młodych Amerykanów? Nie, jeszcze nie. Czy organizowane są zatem masowe protesty przeciwko kłamliwej i oszukańczej polityce administracji Reagana? No cóż, kogo to teraz obchodzi?

Wiem, co by o tym powiedział Owen Meany – wiem, co kiedyś faktycznie powiedział, i słowa te nie straciły aktualności.

– Na Amerykanów trzeba albo nałożyć podatki, albo zaciągnąć ich do wojska, albo zabić, żeby cokolwiek zwróciło ich uwagę! – Gdy Hester zaproponowała zniesienie obowiązkowej służby wojskowej, rzekł: – Jeślibyśmy znieśli obowiązkową służbę wojskową, większość Amerykanów najzwyczajniej przestałaby się w ogóle przejmować tym, co robimy w innych częściach świata.

Dzisiaj rano widziałem norkę biegnącą koło hangaru. Była taka smukła, tylko odrobinę większa od łasiczki i poruszała się płynnie jak łasica. Miała gęste błyszczące futerko. Przypomniała mi natychmiast o matce Larry'ego Lisha. Gdzie się podziewa teraz?

Wiem, co robi Larry Lish – jest sławnym dziennikarzem w Nowym Jorku, należy do tak zwanych „reporterów-tropicieli". Czytałem kilka jego tekstów – nie najgorsze, zawsze był przecież dość bystry, i zauważyłem, że nabrał owego szczególnego, niezbędnego w tej profesji tonu („niezbędnego", jeśli dziennikarz chce sobie wyrobić markę, zdobyć czytelników i tak dalej). Larry Lish stał się człowiekiem niezwykle prawym, a „niezbędny" w jego głosie ton to ton moralnego oburzenia. Wyobraźcie sobie – Larry Lish moralistą!

Ciekaw jestem, kim stała się jego mama. Jeśli udało jej się znaleźć odpowiedniego faceta, żeby za niego wyjść, zanim było za późno, może i Mitzy Lish też została moralistką?

Jesienią 1962 roku, kiedy zaczęliśmy życie studentów pierwszego roku Uniwersytetu New Hampshire, cieszyliśmy się pewną przewagą nad naszymi skromnymi, uboższymi w doświadczenia rówieśnikami. Nie obowiązywał nas regulamin akademika, bo nocowaliśmy poza miasteczkiem uniwersyteckim. Codziennie dojeżdżaliśmy z Gravesend i mieliśmy pozwolenie na parkowanie naszych środków transportu na terenie, czego nie wolno było robić innym studentom pierwszego roku. Pobyt poza szkołą dzieliłem między babcię i Dana, co miało swoje dodatkowe dobre strony w sytuacji, gdy w Durham organizowano jakieś dłuższe przyjęcie, bo Danowi mogłem powiedzieć, że nocuję u babci, a babci – że u Dana i... nie musiałem w ogóle wracać do domu! Owenowi nikt nie kazał stawiać się z powrotem o żadnej konkretnej godzinie. Biorąc pod uwagę fakt, że

przez całe lato nocował u Hester, dziwiłem się, że w ogóle zawraca sobie głowę „mieszkaniem w domu". W każdym razie współlokatorki Hester już wróciły, więc nie ulegało wątpliwości, w jakim łóżku spędza noc – niezależnie od tego, czy „robili to" z Hester, czy nie, musieli być na takiej stopie zażyłości, jaką narzucał im podwójny materac mojej kuzynki. Kiedy jednak zaczęliśmy zajęcia, Owen nocował u Hester nie częściej niż raz czy dwa razy w tygodniu.

Mieliśmy też kilka innych punktów przewagi nad rówieśnikami. Przebrnęliśmy przez rygor Akademii Gravesend. W porównaniu z nim zajęcia na Uniwersytecie New Hampshire były kaszką z mleczkiem. Dla mnie stanowiło to duży plus, ponieważ – jak już kiedyś powiedział Owen – mój problem polegał głównie na tym, że musiałem włożyć więcej pracy w wykonanie danego zadania. Tutaj zadawano o tyle mniej w stosunku do Akademii, że teraz przynajmniej miałem aż nadto czasu. Bez trudu dostawałem dobre stopnie. I po raz pierwszy – chociaż potrzebowałem na to dwóch albo trzech lat – zacząłem uważać się za „inteligentnego". Jednakże na Owena dość niski poziom nauki uniwersyteckiej wywarł wpływ wręcz odwrotny.

Przygotowanie do zajęć nie wymagało od niego ani trochę wysiłku, a to go rozleniwiało. Bardzo szybko nauczył się zadowalać takimi stopniami, które gwarantowały mu otrzymywanie „stypendium" KSOR-u. Ku memu zdziwieniu, najlepsze stopnie uzyskiwał z przedmiotów ksorowych, czyli z tak zwanych podstaw wiedzy wojskowej. Na wiele zajęć chodziliśmy wspólnie. Nieraz nawet zdarzało mi się otrzymywać lepsze stopnie z angielskiego i historii niż Owen – Głosowi zobojętniało jego własne pisanie!

– Pracuję nad rozwijaniem stylu minimalisty – oświadczył wykładowcy angielskiego, który utyskiwał, że Owen w swoich pracach ani razu nie rozwinął przedstawianej myśli. Nigdy nie posługiwał się więcej niż jednym przykładem, by ową myśl zilustrować. – Najpierw mówi mi się, że nie mogę pisać drukowanymi literami, teraz chcecie, żebym „rozwinął" główną myśl, żebym pisał „obszerniej"? I gdzie tu konsekwencja? – spytał wykładowcę. – A może powinienem też zmienić osobowość?

W Akademii Głosowi udało się przekonać większą część ciała pedagogicznego, że ma osobiste prawo do ekstrawagancji i dziwactw, które na dodatek są nieodłącznym elementem jego powszechnie uznawanej inteligencji. Jednakże bardziej zróżnicowana i wyspecjalizowana zarazem kadra Uniwersytetu New Hampshire nie była, i to wcale, zainteresowana „całościową osobowością chłopca". Grono wykładowców nie tworzyło nawet zżytej społeczności i absolutnie nie wszyscy uważali, że Owen jest błyskotliwy, nie wszyscy troszczyli się, by miał zagwarantowane indywidualne prawa, i nie tolerowali jego ekstrawagancji oraz dziwactw. Zajęcia nie miały na celu rozwijania szczególnych zainteresowań studentów. Wykładowcy zajmowali się głównie własnym tematem i z pasją śledzili politykę uniwersytetu, a w jej ramach – politykę własnego wydziału; jednocześnie uważali, że to my – uczniowie – winniśmy dostosować się do ich metod oraz do ich dyscyplin naukowych.

Owen Meany, który wszędzie rzucał się w oczy, nie został dostrzeżony na Uniwersytecie New Hampshire. Na żadnych zajęciach nie wyróżniał się tak jak jego pomidorowoczerwony pikap pośród mnóstwa innych ekonomicznych modeli samochodów, jakie rodzice przeważnie kupują studentom. Babcia sprezentowała mi garbusa. Na parkingu miasteczka uniwersyteckiego było tyle volkswagenów z tego samego rocznika i w tym samym granatowym kolorze, że mojego mogłem rozpoznać jedynie po numerze rejestracyjnym lub po paczkach, jeśli zostawiłem jakieś na tylnym siedzeniu.

I chociaż z początku uważaliśmy, że przyjaźń z Hester może być dla nas korzystna, okazała się kolejną przyczyną, dla której rozpłynęliśmy się w tłumie w Durham. Hester miała wielu znajomych wśród starszych roczników, wtedy gdy my rozpoczynaliśmy studia. Właśnie z nimi głównie się zadawaliśmy – nie potrzebowaliśmy zawierać znajomości ze studentami pierwszego roku. A kiedy Hester zrobiła dyplom, okazało się, że ja i Owen nie mamy żadnych przyjaciół.

Jeśli zaś chodzi o poczucie strachu, które zrodziło się we mnie tamtego lata – nie wiem, co było przyczyną – to wkrótce jego miejsce zajęło poczucie wyobcowania, wrażenie, że stoję gdzieś na uboczu, ale jeszcze nie poczucie samotności – samotność miała się

pojawić później. Przyczyny owego strachu można by chyba upatrywać w kryzysie kubańskim, do którego doszło w październiku 1962 roku. Zrozumiałe, że przeraził nas do głębi, jak twierdzą – zresztą niezgodnie z prawdą – mieszkańcy New Hampshire. Ale Owen powiedział Hester i mnie oraz grupce bywalców mieszkania Hester:

– Nie bójcie się – to nic wielkiego, taka tam próba nuklearnego bluffu. Mogę was zapewnić, że do niczego nie dojdzie.

Najwyraźniej chciał nas przekonać, iż „wie", co się z nim stanie. Że nie trafią go pociski ani sowieckie, ani nasze, oraz że to, co miało się zdarzyć, nie nastąpi w październiku 1962 roku.

– Skąd możesz wiedzieć, że nic z tego nie wyniknie? – spytał jeden z facetów, który bywał u Hester, jakby czekając, kiedy Owen Meany się wycofa. Zachęcał Hester do przeczytania „Kwartetu aleksandryjskiego" – zwłaszcza „Justyny" i „Clei" – twierdził, że sam to czytał już cztery czy pięć razy. Hester nie czytała za wiele, a ja miałem za sobą tylko „Justynę". Owen Meany przeczytał całość i poradził Hester i mnie, żebyśmy sobie nie zawracali głowy ostatnimi tomami.

– Dalej jest dokładnie to samo, i na dodatek nie najlepiej napisane. Jedna książka o tym, jak ludzie kochają się w obcym sobie otoczeniu, wystarczy.

– Co ty możesz wiedzieć o seksie „w obcym otoczeniu"? – spytał wielbiciel „Kwartetu", ale Owen mu nie odpowiedział. Musiał wiedzieć, że to konkurent do uczuć Hester. I doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rywala najlepiej zniechęcić, zwyczajnie go ignorując.

– Hej, ty, do ciebie mówię – krzyknął tamten na Owena. – Do ciebie! Skąd wiesz, że nie będzie wojny?

– Wojna, owszem, będzie, ale nie teraz i nie z powodu Kuby. Albo Chruszczow wycofa pociski, albo Kennedy zostawi mu jakąś furtkę, żeby mógł wyjść z tego z twarzą.

– Ten mały facet wie wszystko! – rzekł adorator Hester.

– Żebyś mi się nie ważył mówić o nim „mały"! – ostrzegła moja kuzynka. – On ma największy penis pod słońcem! A jeśli ktoś ma większy, to nie chcę o tym słyszeć!

– Nie musisz od razu być wulgarna! – zauważył Owen.

Wtedy po raz ostatni widzieliśmy faceta, który chciał namówić Hester do przeczytania „Kwartetu aleksandryjskiego". Wyznam szczerze, że pod prysznicem w sali gimnastycznej Akademii – kiedy ćwiczyliśmy tam strzał do kosza – zauważyłem, że instrument Owena jest faktycznie wyjątkowo duży, przynajmniej nieproporcjonalnie duży. W porównaniu z całą jego posturą był ogromny!

Mój kuzyn Simon, który miał fiutka raczej niewielkich rozmiarów – może z powodu brutalności, z jaką traktowała go Hester w dzieciństwie – uważał kiedyś, że mały potrafi się zrobić naprawdę duży w erekcji, a duży – tak przynajmniej twierdził – już się nie powiększa, kiedy twardnieje. Przyznam się szczerze, że nie wiem – nie mam na ten temat teorii równie pewnej i pełnej nadziei jak Simon. Tylko jeden raz widziałem u Owena erekcję – gdy leżał w powijakach jako jedenastoletnie Dzieciątko Jezus. I chociaż ta jego erekcja była dosyć niestosowna, nie wydała mi się szczególnie imponująca.

Poza tym mieliśmy z Owenem ogromne poczucie winy, bo z powodu braku treningu pod koniec pierwszego roku, to znaczy latem 1963, kiedy mieliśmy po dwadzieścia jeden lat – a zatem, gdy wreszcie osiągnęliśmy wiek upoważniający do picia alkoholu – nie potrafiliśmy zejść poniżej pięciu sekund. Musieliśmy pracować nad techniką strzału przez całe wakacje, żeby znowu wrócić do formy i dojść do czterech sekund. Tego lata buddyści demonstrowali w Wietnamie – organizowali akty samospalenia. Właśnie owego lata Owen rzucił komentarz: „Co robi katolik na fotelu prezydenckim w kraju buddystów?". Owego lata prezydentowi Diemowi nie pozostało już wiele życia na tej ziemi. Prezydentowi Kennedy'emu zresztą też nie. I właśnie owego lata po raz pierwszy pracowałem w kamieniołomach pana Meany'ego.

To tylko moje złudzenie, że pracowałem dla pana Meany'ego. On zresztą też uległ podobnej iluzji. Miałem już wcześniej okazję naocznie się przekonać, kto kim w tej rodzinie rządzi. Właściwie powinienem był wiedzieć od początku, że wszystkim kręci Owen.

– Ojciec chce cię najpierw wypróbować w warsztacie – powiedział. – Zaczniesz od zapoznawania się z produktem finalnym. Dużo

prościej zaczynać od skończonego dzieła. Najwięcej problemów wiąże się z wydobywaniem granitu. Nie myśl sobie, że cię traktuję protekcjonalnie, tyle że z granitem jest tak jak z pisaniem pracy semestralnej – już pierwszy szkic może cię wykończyć. Ale jak dostarczysz do warsztatu dobry materiał, precyzyjna robota jest dość prosta – cięcie w kamieniu, żłobienie liter – wymaga tylko dokładności. Trzeba materiał wygładzać i polerować. I trzeba to robić powoli. Nie śpiesz się tak bardzo do pracy w kamieniołomach. W warsztacie rozmiary i ciężar bloków są przynajmniej dostosowane do człowieka. Pracujesz mniejszymi narzędziami i z mniejszym przedmiotem. Poza tym co dzień robi się co innego. Nigdy nie wiadomo, czy będzie dużo roboty, czy nie. Większość ludzi nie planuje swojej śmierci i nikt przeważnie nie zamawia nagrobków z góry.

Nie mam wątpliwości, że chodziło mu głównie o moje bezpieczeństwo, i wiem, że na granicie znał się doskonale. Takie podejście było bardzo rozsądne. Żeby najpierw rozwinąć w sobie wyczucie kamienia – na mniejszą skalę, w sposób bardziej subtelny – zanim człowiek się znajdzie wobec przytłaczających rozmiarami i ciężarem bloków w kamieniołomach. Wszyscy pracownicy kamieniołomów – wszyscy sygnalizatorzy, ładowacze, wiertacze i strzałowi, a nawet ci, którzy piłowali blok skalny na kawałki gotowe już na nagrobki – wszyscy robotnicy zatrudnieni w kamieniołomach mogli sobie pozwolić na znacznie mniejszy margines błędu niż pracownicy warsztatu. Mimo to uważałem, że to nie tylko ostrożność powodowała Owenem, kiedy za wszelką cenę starał się mnie zatrzymać w warsztacie przez całe lato 1963 roku. Po pierwsze, zależało mi na mięśniach. A praca fizyczna w warsztacie wymagała znacznie mniej wysiłku niż na wyrębie u wuja Alfreda. Po drugie, zazdrościłem Owenowi opalenizny – pracował na świeżym powietrzu, chyba że padało. W czasie deszczu krzątał się razem ze mną w warsztacie. Poza tym zawsze go wzywaliśmy, gdy zjawiał się klient, żeby zamówić nagrobek. Owen bardzo obstawał przy tym, żeby samemu przyjmować zamówienie. A kiedy zamówienie nie trafiało do nas przez zakład pogrzebowy, gdy klient należał do

rodziny czy był bliskim przyjacielem zmarłego, byliśmy tylko wdzięczni, że Owen chce się tym zająć.

Doskonale mu to szło – potrafił wyrazić głębokie współczucie, zachowywał się niezwykle taktownie (choć jednocześnie umiał być bardzo rzeczowy). Nie chcę przez to powiedzieć, że owa rzeczowość ograniczała się wyłączenie do prawidłowego zapisania nazwiska lub sprawdzenia dokładnej daty urodzin i śmierci. Owen próbował poznać osobowość zmarłego, i to dogłębnie – chodziło mu o to, by znaleźć właściwy nagrobek, odpowiadający duchem zmarłemu. Omawiał między innymi upodobania estetyczne zmarłego. Rozmiar, kształt i kolor kamienia to były jedynie bardzo ogólnikowe informacje. Owen chciał poznać gust tych żałobników, którzy będą odwiedzać grób częściej. Nigdy nie widziałem, żeby jakikolwiek klient był niezadowolony z efektu końcowego, choć niestety w warsztacie Meanych bywało w ogóle niewielu klientów.

– Nie bądź taki próżny – powiedział mi Owen, kiedy się poskarżyłem, że już za długo uczę się w warsztacie. – Gdybyś stał w kamieniołomach, zastanawiając się, co tam z twoją opalenizną albo czy wyrabiasz swoje mięśnie, mógłbyś skończyć pod dziesięcioma tonami granitu. Poza tym mój tata uważa, że ci tutaj świetnie idzie.

Ja jednak mam poważne wątpliwości, czy pan Meany kiedykolwiek dostrzegł moją pracę. Pierwszy raz zobaczyłem go w warsztacie dopiero w sierpniu. Na mój widok zrobił zdziwioną minę i zareagował dokładnie tak jak zawsze:

– O, otóż i Johnny Wheelwright!

Jeśli nie padało albo jeśli Owen nie rozmawiał z klientem, zjawiał się w warsztacie tylko wtedy, gdy zdarzała się naprawdę trudna robota kamieniarska – jakiś skomplikowany nagrobek, trudny kształt do wycięcia pod nietypowym kątem i tak dalej. W obliczu śmierci przeciętne rodziny z Gravesend ukazywały swą nijakość i brak ciepła. Bardzo rzadko zamawiano wymyślne zwieńczenia. Jeszcze rzadziej arkady z impostem, a już nigdy aniołków zsuwających się po tarczy z atrybutem zawodu zmarłego. Szkoda, bo Owen pracujący za pomocą koła diamentowego sprawiał wrażenie najprawdziwszego

artysty w procesie tworzenia. Nikt nie potrafił obchodzić się ze ściernicą diamentową równie precyzyjnie jak Owen Meany.

Owa ściernica przypomina piłę tarczową, używaną do cięcia drewna i znaną mi z pracy u wujka. Jest piłą stołową, lecz ostrze nie stanowi stałego elementu stołu. Ostrze – koło utwardzone diamentami – opuszcza się nad stół na specjalnej suwnicy. Koło ma w przybliżeniu dwie stopy średnicy i jest wybite (czy „zakończone") segmentami diamentów, liczącymi pół cala długości i zaledwie ćwierć cala szerokości. Kiedy ostrze zniża się na granit, przecina kamień pod danym kątem, zatrzymując się na drewnianym bloku. Jest niezwykle ostre. Tnie bardzo precyzyjnie i gładko. Doskonale się nadaje do uzyskiwania dokładnych, wypolerowanych krawędzi na górze nagrobka i po bokach. Tak jak skalpel, samo nie popełnia błędów, błąd może popełnić tylko człowiek. W porównaniu z innymi piłami w warsztacie granitowym, ta jest tak czysta i dokładna, że nawet nie mówi się na nią „piła", tylko zawsze „koło diamentowe". Wchodzi w granit jak w masło, więc warczy nieporównanie mniej niż wiele elektrycznych pił do drewna. Koło diamentowe wydaje z siebie tylko wysoki pisk – bardzo żałosny.

– Przez to wydaje się, jakby jęczący nagrobek sam był żałobnikiem – mawiał Owen.

Zważywszy, że tyle czasu spędził w ponurym warsztacie kamieniarskim przy Water Street, gdzie otaczały go nie dokończone napisy na grobach, czy to dziwne, że w końcu ujrzał własne nazwisko i datę śmierci na nagrobku Scrooge'a? Nie, dziwne raczej, dlaczego takich okropności nie widywał co noc! A kiedy wkładał te idiotyczne okulary ochronne i opuszczał gotowe do cięcia koło diamentowe, jednostajny pisk ostrza musiał mu przypominać „nieustanny krzyk", jaki się wydobywa z jego gardła, żeby posłużyć się określeniem McSwineya. Po lecie spędzonym w warsztacie mogłem zrozumieć, co tak pociąga Owena w ciszy kościołów, spokoju modlitwy, łagodnym rytmie hymnów i litanii, a nawet uproszczonym sportowym rytuale ćwiczeń strzału.

Co jeszcze można powiedzieć o lecie roku 1963, kiedy to buddyści w Wietnamie organizowali samospalenia, czas nieuchronnie gonił

braci Kennedych, a Hester ponownie pracowała jako kelnerka w restauracji z homarami?

– Ale przynajmniej skończyłam średnią muzyczną – mówiła.

W końcu dotarło do mnie, co Owen powiedział kiedyś na temat Randy'ego White'a: „Chciałbym go dostać pod koło diamentowe. Wystarczyłoby zaledwie kilka sekund. Miałbym ogromną ochotę wsadzić mu tam fiuta!".

Skoro już mowa o tych sprawach – zwłaszcza w kontekście mojej osoby – kolejne lato minęło spokojnie. Kościół katolicki nie bez racji mógł być dumny z niepodważalnej cnoty Caroline O'Day – i to bez względu na to, czy nosiła akurat mundurek szkoły Świętego Michała, czy nie – a z cnoty wielu innych dziewczyn dumne winny być inne Kościoły. Ze mną wszystkie były cnotliwe. Tylko raz, i to zupełnie przypadkiem, dotknąłem czyichś gołych piersi – pewnej ciepłej nocy, kiedy poszliśmy popływać na plaży przy Głowie Dzika i kiedy to, jak mi się wydawało, fosforescencja miała uwodzicielski smak. Dziewczyna była koleżanką Hester z zajęć muzycznych i Hester zaofiarowała się, że usiądzie mi na kolanach w czasie powrotu pikapem do Durham, ponieważ dziewczyna, z którą umówiłem się na randkę, nie ukrywała swego rozczarowania moimi nieudanymi amatorskimi zalotami.

– Ty siadaj w środku, a ja usiądę na nim – zwróciła się moja kuzynka do koleżanki. – Już wcześniej miałam okazję poczuć, jak mu staje, i to mi nie przeszkadza.

– Nie musisz być wulgarna – zauważył Owen Meany.

I tak odbyłem podróż od Głowy Dzika do Durham z Hester na kolanach – po raz kolejny upokorzony własną erekcją. Pomyślałem sobie, że mnie wystarczyłoby zaledwie kilka sekund pod kołem diamentowym. I doszedłem do wniosku, że jeśli komuś przyszłoby do głowy wsadzić mojego fiutka pod tę maszynę, to żadna strata.

Miałem dwadzieścia jeden lat i nadal byłem Józefem. Wtedy byłem Józefem i ciągle jeszcze jestem.

Zatoka Georgia, 27 lipca 1987. Dlaczego nie wystarcza mi radość obcowania z przyrodą? Nakłoniłem jednego z małych Keelingów, by

mnie zabrał łódką do stacji Pointe au Baril. Najwyraźniej zdarzył się jakiś cud, bo nikt na wyspie niczego stamtąd nie potrzebował – ani jednego jajka, skrawka mięsa czy kawałka mydła. Nawet żywych robaków. Tylko ja czegoś potrzebowałem – potrzebowałem gazety i wstyd mi się do tego przyznać. Taka potrzeba zdobycia wiadomości to słabość, gorsza niż jakiekolwiek inne nałogi. To wyjątkowo osłabiająca choroba.

„The Toronto Star" pisała, że Biały Dom jest niezwykle zawiedziony decyzją zarówno Kongresu, jak i Pentagonu w sprawie powołania niewielkiej grupy sił specjalnych. Kongres i Pentagon (również) absolutnie nie wiedziały, że amerykańscy żołnierze w służbie czynnej strzelają do żołnierzy nikaraguańskich z broni rakietowej i maszynowej. Dlaczego jednak Amerykanie nie mają siebie dosyć, nie są sobą równie zdegustowani, jak wszystkie inne nacje? Takich pięknych słówek używają do mówienia o demokracji, a tak ewidentnie zaprzeczają tym słowom swoim postępowaniem. Powinienem przestać czytać o tych wszystkich idiotyzmach! Nagłówki robią tylko człowiekowi wodę z mózgu. I pewnie za rok będą nam się wydawały nic nie znaczące! A jeśli już miałyby coś znaczyć, to najwyżej coś niezwykle dziwacznego. Mieszkam w Kanadzie, mam kanadyjski paszport. Dlaczego tracę czas, przejmując się tym, co robią Amerykanie, zwłaszcza jeśli oni sami się tym nie przejmują?

Zamierzam skierować swoje zainteresowanie na sprawy o wymiarze kosmicznym, bardziej uniwersalne, chociaż całkowity brak integracji w rządzie to – jak przypuszczam – sprawa dostatecznie „uniwersalna".

W gazecie był jeszcze inny artykuł, który dużo lepiej pasował do rajskiej wizji wszechświata, jaką może mieć człowiek przebywający nad zatoką. O czarnych dziurach. Naukowcy twierdzą, że czarna dziura potrafi wessać całe dwie galaktyki. W artykule mowa była o ewentualnym „rozpadzie systemu gwiezdnego" – czy jest coś ważniejszego niż właśnie to?

Sami zresztą zobaczcie: *Czarne dziury to tak gęste skupiska materii, że pochłaniają same siebie. Nawet światło nie może przezwyciężyć ich olbrzymiej grawitacji*. Wyobrażacie sobie coś takiego? Nawet światło! O Boże! Ogłosiłem tę nowinę rodzinie

Keelingów, ale jedno ze średnich dzieci – akurat jest dobre w naukach ścisłych – odpowiedziało mi dość niegrzecznie:

– Aha. Tyle że wszystkie czarne dziury znajdują sią mniej więcej w odległości dwóch milionów lat świetlnych od Ziemi.

A ja sobie wtedy pomyślałem: mniej więcej tak daleko jest Owen Meany. I mniej więcej w takiej odległości od Ziemi sam chciałbym się znaleźć.

A gdzie jest dzisiaj JFK? Czy daleko?

22 listopada 1963 roku siedzieliśmy z Owenem w moim pokoju w domu babci, ucząc się do egzaminu z geologii. Byłem zły na Owena, że wrobił mnie w geologię. Prawdziwy charakter tego przedmiotu został zatuszowany na liście zajęć Uniwersytetu New Hampshire dzięki nazwie „nauka o Ziemi" – chyba ktoś się zainspirował ideologią hipisów. Owen zwiódł mnie przekonując, że wykłady doskonale uzupełnią nasz kurs nauk ścisłych. Sam wiedział dokładnie wszystko o skałach – tak mnie przynajmniej zapewniał – a reszta pojęć na pewno będzie poświęcona skamielinom. „To może być zabawne, dowiemy się wszystkiego o dinozaurach" – powiedział i na to się dałem nabrać. Dinozaury omawialiśmy niecały tydzień, skamieliny zajęły nam dużo mniej czasu niż nauka wrednych nazw epok geologicznych z historii Ziemi. A później okazało się, że Owen nie potrafi odróżnić łupków metamorficznych od wulkanicznych intruzji – chyba że chodzi o granit.

Właśnie przed chwilą (a było to owego 22 listopada 1963 roku) pomyliłem paleocen z plejstocenem, a poza tym nie bardzo potrafiłem odróżnić epokę od ery.

– Kenozoik to era, zgadza się? – spytałem.

– Nieważne – odrzekł. – To możesz sobie darować. Spokojnie zapomnij o tak długotrwałej erze jak trzeciorzęd czy czwartorzęd – to zbyt obszerne. Za to musisz znać więcej szczegółów. Na przykład, co charakteryzowało daną epokę – czyli kiedy zaznaczyła się dominacja ptaków, a kiedy ssaków łożyskowych.

– O Boże, dlaczego dałem się na to namówić!

– Posłuchaj. Wszystko można jakoś zapamiętać. Na przykład plejstocen łatwo ci wejdzie do głowy, bo wtedy pojawił się człowiek i nastąpiło zlodowacenie, zapamiętaj sobie: zlodowacenie – i masz rym – nastąpiło w plejstocenie.

– O Boże!

– Próbuję ci tylko pomóc! Jeśli pomyli ci się szczyt rozwoju ptaków i ssaków łożyskowych z pierwszymi śladami człowieka, to będzie całkiem spory błąd – o sześćdziesiąt milionów lat!

– Największy błąd, jaki popełniłem, to to, że się zdecydowałem na geologię! – Nagle w moim pokoju zjawiła się Ethel. Nie słyszeliśmy, żeby stukała czy otwierała drzwi. Ethel chyba nigdy przedtem (ani nigdy potem) nie była w moim pokoju.

– Babcia życzy sobie, żebyś przyszedł do pokoju telewizyjnego – powiedziała.

– Czy coś jest nie w porządku z telewizorem? – spytał Owen.

– Coś jest nie w porządku z prezydentem – odparła Ethel.

Kiedy zorientowaliśmy się, co jest z prezydentem – kiedy zobaczyliśmy, jak do niego strzelają, i później, kiedy dowiedzieliśmy się, że nie żyje, Owen Meany zdecydował:

– Skoro pojawiliśmy się w plejstocenie, to chyba najwyższa pora, byśmy teraz już zniknęli! Milion lat na człowieka wystarczy.

W związku ze śmiercią Kennedy'ego byliśmy świadkami triumfu telewizji. Wraz z zabójstwem i pogrzebem prezydenta rozpoczęła się dominacja telewizji w naszej kulturze, ponieważ telewizja realizuje swą podniosłą, służebną rolę wobec samej siebie, a najbardziej hipnotyzuje widzów, pokazując przedwczesną śmierć najlepszych spośród najlepszych. Jest świadkiem rzezi bohaterów u szczytu sławy – i niewiniątek – i dzięki temu zdobywa swą budzącą politowanie wielkość. Krew na ubraniu pani Kennedy i jej zrozpaczona twarz pod welonem, dzieci, które nagle nie mają ojca. LBJ zostaje zaprzysiężony na urząd prezydenta. A braciszek Bobby już czeka następny w kolejce.

– Bobby miał być podobno następny do Marilyn Monroe. Ciekawe, do czego jeszcze jest następny w kolejce?

Nie minęło pięć lat, kiedy Bobby Kennedy został zamordowany. Na co Hester oświadczyła: „Telewizja pokazuje niezgorsze dramaty".

Przypuszczam, że była to jedynie bardziej potoczna wersja uwagi babci na temat wpływu telewizji na ludzi starszych, a mianowicie, że oglądanie telewizji może przyspieszyć ich śmierć. Jeśli nawet oglądanie telewizji nie przyspiesza śmierci, to z pewnością powoduje, że śmierć wygląda niezwykle zachęcająco. Telewizja bowiem w taki sposób ją sentymentalizuje i uromantycznia, iż żywi, tylko dlatego, że jeszcze nie umarli, mają uczucie, jakby coś stracili.

Owego listopadowego dnia 1963 roku babcia, Owen i ja przez wiele, wiele godzin oglądaliśmy w domu przy Front Street zabójstwo prezydenta. Przez wiele dni oglądaliśmy jego zabójstwo, raz po raz, i jeszcze raz od początku to samo. I tak w kółko.

– Rozumiem, o co chodzi – rzekł Owen. – Gdy jakiś maniak cię zamorduje, natychmiast stajesz się bohaterem, nawet jeśli wszystko, co dotychczas zrobiłeś, sprowadza się do jazdy w kawalkadzie samochodów!

– Jak ja bym chciała, żeby jakiś maniak mnie zamordował! – odezwała się babcia.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Dlaczego taki maniak nie może zamordować kogoś równie starego jak ja? Wolałabym zostać zamordowana przez maniaka niż zmuszona do tego, by opuścić dom! Bo taka na pewno mnie czeka przyszłość! – mówiła. – Może Dan, może Marta, a może ty – zwróciła się do mnie oskarżycielskim tonem – jedno z was albo wszyscy razem zmusicie mnie któregoś dnia do tego, żebym opuściła swój dom, i zamkniecie mnie razem z kupą zwariowanych staruszków. Wolałabym już, żeby mnie zamordował jakiś maniak – o nic więcej mi nie chodzi. Któregoś dnia Ethel sobie z tym wszystkim nie poradzi. Któregoś dnia i sto takich jak Ethel będzie musiało po mnie sprzątać! Któregoś dnia nawet i ty nie będziesz już chciał oglądać ze mną telewizji – zwróciła się do Owena. – Któregoś dnia przyjdziesz mnie odwiedzić – rzekła do mnie – a ja cię nie poznam. Może ktoś pouczyłby takich maniaków, żeby zabijali starych ludzi, a młodych zostawili w spokoju? Co za marnotrawstwo! – wykrzyknęła. Wiele osób mówiło dokładnie to samo o śmierci prezydenta, naturalnie mając na myśli coś odrobinę innego. – Zachowam się może jak jakaś niepoczytalna idiotka, zadając to

pytanie – dodała babcia, patrząc na Owena. – Czy ty nie wolałbyś zostać zamordowany przez maniaka?

– Jeśliby to miało się na coś przydać, to tak – odrzekł Owen.

– Odnoszę wrażenie, że za dużo oglądaliśmy telewizji – wtrąciłem się.

– Na to nie ma żadnego lekarstwa – oświadczyła babcia.

Po zabójstwie prezydenta Kennedy'ego i dla Owena Meany'ego nie było najwidoczniej „lekarstwa". Popadł w taki stan ducha, którego nie chciał ze mną omawiać – wyraźnie przestał się komunikować z otoczeniem. Często widziałem czerwonego pikapa zaparkowanego obok zakrystii kościoła Hurda. Owen utrzymywał kontakt z wielebnym Lewisem Merrillem, który dzięki długiej i cichej modlitwie za mego przyjaciela zyskał sobie dużo szacunku, zarówno wśród kadry, jak i uczniów Akademii. Co prawda, był zawsze lubiany, ale dotychczas nie cieszył się respektem. Nie mam wątpliwości, że Owen też był mu wdzięczny za ów gest – mimo że zrodził się on raczej z zaciętej walki niż z woli pastora. Po śmierci JFK Owen jakby częściej spotykał się z Merrillem. Nigdy jednak mi nie mówił, o czym rozmawiali. Może o Marilyn Monroe i braciach Kennedych. Pewnie też mówili o „śnie". Mnie jeszcze nie udało się wydusić z Owena, co to był za sen.

– Co to za sen, który ci się podobno często śni? – spytałem kiedyś.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Kiedyś, tuż przed sylwestrem, spytałem Hester, czy wie cośkolwiek o jakimś śnie Owena. Zdążyła trochę wypić i właśnie już miała zacząć wymiotować, ale rzadko kiedy można ją było przyłapać na tym, żeby się nie pilnowała. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– A ty co na ten temat wiesz?

– Tylko tyle, że ma jakiś tam sen i że go to niepokoi – wyjaśniłem.

– Mnie też – rzekła. – Bo i mnie budzi, gdy mu się to przyśni. Nie lubię na niego patrzeć, ani kiedy ma ten sen, ani kiedy już jest po wszystkim. Nie pytaj mnie, co to za sen. Ale jedno ci mogę powiedzieć – nie chciałbyś tego wiedzieć.

– Niekiedy widziałem pikapa zaparkowanego przy Świętym Michale – nie przy szkole, ale przy wejściu na probostwo katolickiego kościoła! Domyśliłem się, że rozmawia z ojcem Findleyem. Może

dlatego, że Kennedy był katolikiem, a może dlatego, że za zniszczenie figury Marii Magdaleny Owen zobowiązany był regularnie się kontaktować z ojcem Findleyem.

– Jak ci się układają stosunki z ojcem Findleyem? – spytałem go któregoś dnia.

– Przypuszczam, że ma dobre chęci – odrzekł Owen ostrożnie. – Ale jest między nami kolosalna różnica, której jego wiara – całe jego katolickie przygotowanie – nie pozwala mu przezwyciężyć. Przypuszczam, że nigdy nie zrozumie rozmiarów… niewypowiedzianej zniewagi... – urwał.

– Tak? – ciągnąłem. – Mówiłeś o „niewypowiedzianej zniewadze”... Chodziło ci o twoich rodziców, prawda?

– Ojciec Findley nie może pojąć, ile musieli przecierpieć!

– Ach, tak. Rozumiem! – Naturalnie, żartowałem. Jednak albo moje poczucie humoru nie bardzo do niego przemawiało, albo Owen Meany nie zamierzał jeszcze w tej chwili niczego wyjaśniać.

– Ale lubisz ojca Findleya... no bo mówisz, że „ma dobre chęci” – ciągnąłem. – Lubisz chyba z nim rozmawiać?

– Okazuje się, że nie da się odrestaurować Marii Magdaleny, żeby wyglądała dokładnie tak jak przedtem – chodzi mi o posąg. Ojciec zna firmę, w której robią świętych i inne święte figurki – oczywiście z granitu. Ale żądają bajońskich sum. Ojciec Findley okazał mi dużo cierpliwości. Postaram się zdobyć odpowiedni blok granitu. A ktoś, kto zajmuje się rzeźbieniem świętych, zrobi to dla niego taniej, i na dodatek zrobi to bardziej „od siebie”, no wiesz, może niezupełnie taki sam błagalny gest, żeby posągi nie przypominały żebraków. Powiedziałem też ojcu Findleyowi, że mogę mu zrobić znacznie lepszy cokół, niż mają. I próbuję go przekonać, żeby się pozbył tej idiotycznej arkady, bo tak to Magdalena wygląda jak bramkarz na bramce – może wtedy dzieciaki nie będą do niej strzelać. Kapujesz?

– Minęły już prawie dwa lata – zauważyłem. – Nie miałem pojęcia, że nadal zajmujesz się posągiem Marii Magdaleny – właściwie to nigdy nie wiedziałem, że jesteś w to aż tak zaangażowany.

– No cóż, ktoś się powinien tym zająć. Ojciec Findley wyświadczył mi dużą grzeczność; nie chciałem, żeby ci faceci z firmy granitowej go wykorzystali. Jeśli potrzebuje świętej figury i śpieszy mu się, to

tamci po prostu każą mu za to ekstra płacić. Albo czekać w nieskończoność – wydaje im się, że mają cię w ręku, a kogo stać na marmur? Ja najzwyczajniej w świecie staram mu się odwdzięczyć za to, co dla mnie zrobił.

Ciekawe, czy pytał ojca Findleya o sen. Trochę mnie dziwiło, że widuje się z kimś, kogo nawet nie znam – i może z tym kimś rozmawia o rzeczach, o których ze mną nigdy nie rozmawia. Takie same zastrzeżenia miałem chyba wobec Hester, a nawet wielebny Lewis Merrill zaczął mnie irytować. Nieczęsto go spotykałem, mimo że dość regularnie bywał na próbach i przedstawieniach Trupy Gravesend, ilekroć jednak się na niego natknąłem, przyglądał mi się, jakby wiedział o mnie coś szczególnego (tak jakby Owen rozmawiał z nim o mnie, tak jakbym to ja był w tym cholernym śnie Owena; zresztą może mi się tylko wydawało).

Moim zdaniem, rok 1964 nie odznaczył się niczym szczególnym. Generał Greene zajął miejsce generała Shoupa. Bardzo wiele informacji na temat wojska uzyskałem od Owena – był dobrym uczniem KSOR-u i za punkt honoru uważał znajomość takich szczegółów. Prezydent Johnson polecił wycofać rodziny członków amerykańskiego personelu z Wietnamu Południowego.

– To nie wróży nic dobrego – rzekł Owen Meany.

Jeśli nawet większość profesorów z Uniwersytetu New Hampshire uważała, że Owen nie jest zbyt błyskotliwy, wojskowi wykładowcy byli nim wprost urzeczeni. Tego właśnie roku generał Westmoreland zastąpił na stanowisku generała Harkinsa, a generał Wheeler – generała Taylora, generał Johnson zaś zajął miejsce generała Wheelera. A także generał Taylor objął po Henrym Cabocie Lodge'u urząd ambasadora amerykańskiego w Wietnamie.

– Dzieje się wiele ciekawych rzeczy – zauważył Owen Meany. W tym właśnie roku przyjęto rezolucję w sprawie Zatoki Tonkińskiej, co Owen skomentował pytaniem: – Czy to znaczy, że prezydent może wypowiedzieć wojnę, właściwie jej nie wypowiadając?

Tego właśnie roku średnia ocen Owena spadła poniżej mojej. Miał za to doskonałe stopnie z przedmiotów wojskowych.

Nawet lato roku 1964 nie było zbyt ciekawe – z wyjątkiem tego, że wreszcie, w drugą rocznicę zamachu Owena na figurę Marii

Magdaleny, jej następczyni została solidnie osadzona na wspaniałym cokole dostarczonym przez mego przyjaciela i ustawiona na boisku Świętego Michała.

– Jesteś za mało spostrzegawczy – rzekł Owen. – Bramkarka zniknęła prawie na dwa lata, a ty nawet tego nie zauważyłeś.

Zauważyłem za to, i to natychmiast, że udało mu się namówić ojca Findleya, by usunął bramkę. Pobielona arkada zniknęła. Bo w ogóle zmienił się koloryt. Nowa Maria Magdalena miała odcień szarego granitu, granitu nagrobkowego, a zatem była w kolorze naturalnym, jak mówił Owen. Jej twarz, w tym nowym odcieniu, podobnie jak cała postać, wyglądała troszkę przygnębiająco, prawie pokornie. Maria Magdalena nie miała już rąk wyciągniętych w błagalnym geście, za to na drobnej piersi trzymała złączone dłonie, wyłaniające się z rękawów szaty, spływającej bezkształtną falą do drobnych, bosych, szarych stóp. Wyglądała nawet przesadnie skromnie jak na byłą prostytutkę, a jak na świętą – trochę za bardzo nieśmiało. Z jej postaci emanowała pewna uległość. Wyglądała na osobę, z którą łatwo się można dogadać, tak jak moja mama.

Cokół, na którym Owen umieścił świętą, kontrastujący z lekko chropawą powierzchnią figury (granit nigdy nie jest tak gładki jak marmur) – był idealnie wypolerowany, z doskonale wyprofilowanymi krawędziami. Owen ściął rogi bardzo precyzyjnie za pomocą koła diamentowego, przez co Maria Magdalena stała jakby na własnym grobie albo z niego powstawała.

– Co o niej sądzicie? – zwrócił się Owen do mnie i do Hester. – Ojciec Findley był bardzo zadowolony.

– Rzygać mi się chce; ty możesz gadać tylko o śmierci, o niczym innym – oświadczyła Hester.

– Od kiedy to Hester jest taka wrażliwa?

– Mnie się podoba bardziej niż tamta – zaryzykowałem.

– Nie ma żadnego porównania – zauważył Owen Meany.

– Podoba mi się cokół – dodałem. – Wygląda prawie tak jakby... wychodziła z grobu!

Owen z ożywieniem pokiwał głową.

– Dobrze zauważyłeś, właśnie takie wrażenie chciałem osiągnąć. Być świętym to właśnie to, no nie? Święty powinien symbolizować

nieśmiertelność.

– Gówno! – oświadczyła Hester. Dla niej ten rok też był dość bezbarwny. No bo oto została już absolwentką college'u, ale nadal zajmowała swoje nędzne mieszkanko w miasteczku uniwersyteckim i nadal pracowała w restauracji serwującej homary gdzieś w Kittery albo Portsmouth. Nigdy tam nie jadłem, ale zdaniem Owena, był to dość przyjemny lokal: położony w porcie, może tylko trochę za bardzo „morski" (we wnętrzu roiło się od kociołków do przyrządzania homarów, kotwic, boi i cum). Problem w tym, że Hester nie znosiła homarów. Mówiła, że to „insekty morza", i co wieczór myła głowę sokiem z cytryny, bo bała się, że włosy jej śmierdzą rybą.

Mam wrażenie, że to właśnie późne godziny pracy Hester (pracowała tylko w nocy) doprowadziły do tego, iż Owen opuścił się w nauce. Zawsze poczuwał się do obowiązku odwiezienia jej z restauracji, a pracowała chyba co wieczór. Hester, co prawda, miała prawo jazdy i własny samochód (konkretnie starego chevroleta Noaha rocznik 1957), ale nie znosiła prowadzić. Może również dlatego, że dostał jej się używany grat po rodzinie. Zdaniem Owena, stary chevrolet był w lepszym stanie niż jego pikap. Jednakże Hester doskonale wiedziała, że Eastmanowie kupili samochód używany, Noah z kolei przekazał go Simonowi, a ten miał drobny wypadek, zanim scedował w końcu wóz na siostrę.

Kiedy Owen odbierał Hester, wracał z nią do jej mieszkania nie wcześniej niż o pierwszej w nocy. Moja kuzynka zwykle była dość podekscytowana pracą i o drugiej wcale nie miała jeszcze ochoty iść spać. Przede wszystkim musiała umyć głowę, co ją jeszcze bardziej rozbudzało. Potem czuła potrzebę, żeby się komuś wyżalić. Przeważnie ktoś ją w pracy obraził. Najczęściej jakiś klient się do niej dostawiał, a kiedy mu się nie powiodło, zostawiał kiepski napiwek. Inne kelnerki, zdaniem Hester, były „w sposób katastrofalny nieświadome", chociaż nigdy nie chciała wyjawić: nieświadome czego. One również potrafiły dokuczyć mojej kuzynce. A jeśli Owen nie nocował u niej i wracał do Gravesend, docierał do łóżka dopiero o trzeciej.

Hester mogła spać do późna, Owen zaś miał rano zajęcia. A latem musiał wstawać bardzo wcześnie do pracy w kamieniołomach.

Czasami wyglądał jak znużony stary człowiek – zmęczony, stary żonkoś. Próbowałem go namówić, żeby zainteresował się bardziej nauką, ale on coraz częściej mówił o szkole jak o czymś, z czym należałoby czym prędzej dać sobie spokój.

– Kiedy stąd wyjdę, muszę odbyć służbę. I nie mam ochoty spędzić tego czasu za biurkiem. Chyba nikt nie chce iść do wojska po to, by wykonywać papierkową robotę!

– A kto w ogóle tak naprawdę z własnej woli chce iść do wojska? – odpowiadałem mu wtedy pytaniem. – Teraz powinieneś posiedzieć za biurkiem trochę częściej, niż to robisz. Jeśli w taki sposób zamierzasz kończyć college, to równie dobrze możesz iść od razu do wojska. Zupełnie cię nie rozumiem – przy twoich zdolnościach powinieneś zdobywać tylko najlepsze stopnie.

– Chyba nie na wiele mi się przydały doskonałe stopnie, jakie dostawałem w Akademii, co?

– Może gdybyś się nie specjalizował w tej idiotycznej geologii, mógłbyś z większym entuzjazmem odnosić się do swojej nauki.

– Geologia to dla mnie łatwizna. Poza tym mam pewne pojęcie o skałach.

– Kiedyś rzeczy nie kusiły cię tylko dlatego, że były łatwe.

Wzruszył ramionami. Pamiętacie, jak to kiedyś ludzie robili się „tacy na luzie”? Owen Meany to pierwszy znany mi „luzak”. Hester naturalnie miała ten „luz” wrodzony. A może Owen właśnie ją naśladował? Choć właściwie był na to zbyt twórczy. Był oryginalny i uparty.

Ja też byłem uparty. Każdy, kto ma dwadzieścia dwa lata, jest uparty. Owen próbował mnie zatrzymać w warsztacie przez całe lato. Opowiedziałem mu, że wystarczy mi już jedno lato tam spędzone. Że albo mi pozwoli zacząć pracować w kamieniołomach, albo rezygnuję z roboty.

– Robię to dla ciebie. Praca w warsztacie jest naprawdę najlepsza i najłatwiejsza.

– A może ja nie mam ochoty na to, co „najłatwiejsze”? Może powinieneś dać mi wolną rękę, żebym sam zadecydował, co jest „najlepsze”?

– No dobra, to składaj wymówienie.

– W porządku. Wydaje mi się, że powinienem porozmawiać z twoim ojcem.

– To nie ojciec cię zatrudniał – odrzekł Owen.

Naturalnie, nie złożyłem wymówienia, ale byłem równie uparty jak on. Dałem mu do zrozumienia, że nie interesuje mnie już ćwiczenie strzału. Latem 1964 roku Owen zachowywał się tak, jakby mu na niczym nie zależało. Osiągnęliśmy więc kompromis: ja miałem się do sierpnia szkolić w obsługiwaniu koła diamentowego, w sierpniu zaś – kiedy „Maddox" oraz „Turner Joy" zostały zaatakowane w Zatoce Tonkińskiej – Owen wyznaczył mnie do obsługi sygnalizatora w kamieniołomach. Podczas deszczu mogłem pracować przy cięciu granitu, a pod koniec lata zacząłem się uczyć wiercenia.

– Przyszłego lata pokażę ci, jak obsługiwać żuraw. W sierpniu następnego roku, gdy wrócę ze szkolenia wojskowego, nauczę cię posługiwać się dynamitem.

Tuż przed rozpoczęciem naszego pierwszego roku na Uniwersytecie New Hampshire, tuż przed powrotem uczniów na Akademię Gravesend, tuż przed początkiem nauki we wszystkich szkołach w całym kraju – Owen Meany zdołał wsadzić piłkę w niecałe trzy sekundy.

Próbowałem mu zasugerować, że może niedorozwinięty woźny włączył stoper o ułamek sekundy później, ale Owen uparcie twierdził, że osiągnęliśmy znakomity wynik – uważał, że zegar pokazuje właściwy czas i że nasz rekord można oficjalnie uznać.

– Czułem, że tym razem było inaczej – rzucił podniecony. – Zrobiliśmy to po prostu troszkę szybciej i bardziej spontanicznie.

– Teraz pewnie powiesz, że można zdążyć w niecałe dwie sekundy – powiedziałem.

Dryblował jak szalony, niczym w przyspieszonym filmie z jednym z globtroterów z Harlemu. Nie mógł mnie usłyszeć.

– Pewnie myślisz, że można to zrobić w niecałe dwie sekundy?

– Chyba oszalałeś – przerwał zabawę z piłką. – Trzy sekundy zupełnie wystarczy.

Tu mnie zaskoczył.

– Wydawało mi się, że chodzi o to, by zrobić to jak najszybciej. Zawsze możemy być szybsi.

– Chodzi o to, by być dostatecznie szybkim. Najważniejsze, żeby udawało nam się to zrobić w mniej niż trzy sekundy za każdym razem. Tutaj jest pies pogrzebany.

I dlatego ćwiczyliśmy. Kiedy sala gimnastyczna Akademii była zajęta, chodziliśmy na boisko Świętego Michała. Tyle że tam nie miał kto nam mierzyć czasu ani nie było czym, Hester zaś nie przejawiała większej ochoty, by uczestniczyć w naszym treningu. Rola głupawego woźnego niezbyt jej przypadła do gustu. Zardzewiała obręcz była trochę pogięta, siatka zniknęła już dawno temu, nawierzchnia boiska zaś miała tyle dziur, że nawet nie mogliśmy dryblować. Ale mogliśmy ćwiczyć. Owen twierdził, że czuje, kiedy udało nam się wsadzić piłkę w niecałe trzy sekundy. Wprawdzie brakowało opóźnionego w rozwoju woźnego, by nam kibicował, często jednak obserwowały nas zakonnice ze swojego domku na końcu boiska. Czasami nawet do nas machały, a Owen Meany im odmachiwał – chociaż nadal twierdził, że na widok zakonnic przechodzą go ciarki. Niezmiennie przyglądała nam się Maria Magdalena. Czuliśmy jej milczącą zachętę. Kiedy padał śnieg, Owen obmiatał go z figury. Tamtej jesieni opady zaczęły się wcześnie – na długo przed Świętem Dziękczynienia. Pamiętam, że któregoś razu podczas treningu miałem na sobie narciarską czapkę i rękawiczki. Owen natomiast zawsze ćwiczył z gołymi rękami. A po południu, gdy zmrok zapadał wcześnie, jeszcze zanim skończyliśmy, zapalały się światła w domku zakonnic. Wtedy Maria Magdalena przybierała ciemniejszy odcień szarości i prawie rozpływała się w mroku.

Pewnego razu, kiedy było już na tyle ciemno, że nie widzieliśmy kosza, dostrzegłem ją ledwo wyłaniającą się z ciemności i doszedłem do wniosku, że przypomina anioła, którego Owen, jak mu się wydawało, widział przy łóżku mamy. Kiedy o tym powiedziałem, spojrzał na figurę świętej. Chuchając w zmarznięte dłonie, przyjrzał jej się bardzo uważnie.

– Nie, nie widzę żadnego podobieństwa – oświadczył. – Tamten anioł był bardzo ruchliwy – machał zwłaszcza rękami, i to bez przerwy – bez przerwy wyciągał ręce.

Po raz pierwszy usłyszałem wtedy, że anioł się ruszał. Owen odniósł wrażenie, że zobaczył anioła, który ma pełne ręce roboty.

– Nigdy przedtem nie mówiłeś, że anioł się ruszał.

– Jasne, że się ruszał. Dlatego nawet na chwilę nie przyszło mi do głowy, że to manekin. A przez te wszystkie lata, odkąd mam manekin, nigdy się nie poruszył.

Nigdy dotąd nie myślałem, że Owen Meany może mieć kiedykolwiek jakieś wątpliwości. Ciekawe, jak często wpatrywał się w manekin mamy? Pewnie czekał, kiedy się poruszy.

Gdy na boisku szkolnym robiło się na tyle ciemno, że nie widzieliśmy już kosza, naturalnie nie mogliśmy też dostrzec Marii Magdaleny. Owen najbardziej lubił ćwiczyć strzelanie do chwili, kiedy święta rozpływała się zupełnie w ciemności. Wtedy mógł stanąć razem ze mną pod koszem i spytać: „Widzisz ją?”.

– Teraz już nie – odpowiadałem.

– Nie widzisz jej, lecz wiesz, że tam jest, prawda?

– Jasne, że jest!

– Na pewno?

– Oczywiście!

– Ale przecież jej nie widzisz – mówił, najwyraźniej drażniąc się ze mną. – Skąd wiesz, że tam jest, jeśli jej nie widzisz?

– Bo wiem, że tam jest, bo wiem, że nie mogła sobie nigdzie pójść – po prostu wiem!

I pewnego zimnego dnia – była późna jesień – koniec listopada czy nawet początek grudnia – Johnson pokonał Goldwatera w wyścigu do Białego Domu, Chruszczowa zastąpili Breżniew i Kosygin, pięciu Amerykanów zginęło w bazie lotniczej Bien Hoa w wyniku ataku Wietkongu – a ja miałem już naprawdę dosyć tej zabawy z widzeniem i niewidzeniem Marii Magdaleny.

– Nie masz wątpliwości, że tam jest? – wiercił mi Owen dziurę w brzuchu.

– Jasne, że nie mam.

– Ale przecież jej nie widzisz. Możesz się mylić.

– Nie, nie mylę się. Jest tam, przecież wiem, że jest! – wrzasnąłem.

– Jesteś pewien, mimo że jej nie widzisz?

– Tak! – odpowiedziałem krzykiem.

– No dobrze, to teraz możesz zrozumieć, jak ja czuję Boga. Nie widzę go, ale mam całkowitą pewność, że jest.

Zatoka Georgia, 29 lipca 1987. Katherine powiedziała mi dzisiaj, że powinienem się uprzeć i nie czytać żadnych gazet. Zorientowała się, że „The Globe and Mail" całkowicie zepsuł mi dzień. A na wyspie i wodach wokół jest tak pięknie, tak spokojnie! Co za szkoda, że nie mogę się tu odprężyć, że nie korzystam z okazji, żeby w nastroju refleksji i braku napięcia pozastanawiać się trochę nad światem. Katherine chce dla mnie jak najlepiej. Wiem, że ma rację. Powinienem zrezygnować z wiadomości – po prostu zrezygnować. Bo przecież i tak trudno cokolwiek zrozumieć, czytając gazety.

Nie mam wątpliwości, że byłbym oburzony, gdyby moim uczennicom ze szkoły Biskupa Strachana wiadomości na temat Charlesa Dickensa, Thomasa Hardy'ego, Robertsona Daviesa przekazywał ktoś mający tak samo płytką i powierzchowną wiedzę na ich temat, jak ja mam na temat wydarzeń międzynarodowych lub nawet przestępstw, jakich dopuszcza się Ameryka. Jestem na tyle dobrym nauczycielem angielskiego, żeby wiedzieć, iż moje rozumienie amerykańskich niepowodzeń – nawet w Wietnamie, nie mówiąc już o Nikaragui – jest płytkie i powierzchowne. Czy ktoś kiedykolwiek zyskał prawdziwe rozeznanie, czytając gazety? Na pewno nie potrafię zgłębić do końca amerykańskiej nikczemności. A jednak nie mogę żyć bez prasy! Można by przypuszczać, że powinienem skorzystać z własnego doświadczenia z lodami. Jeśli w zamrażalniku mam lody, to je jem – jem wszystkie, i to od razu. Dlatego też nauczyłem się nie kupować lodów. Gazety są dla mnie nawet czymś gorszym. Nagłówki oraz najważniejsze wydarzenia w nich wyeksponowane to właśnie podobne tuczące świństwo, pożywka dla ludzkiej głupoty.

Biblioteczka na wyspie jest pełna przewodników po świecie przyrody – przewodników informujących o tym, o czym nigdy dostatecznie dużo nie wiedziałem, a mianowicie o świecie prawdziwym, a nie świecie „spraw". Mógłbym badać igły sosen czy uczyć się rozpoznawać ptaki – istnieją specjalne kategorie, które umożliwiają klasyfikację ptaków według lotu, sylwetki w spoczynku, sposobu odżywiania i odgłosów godowych. To z pewnością fascynujące. Poza tym wokoło jest tyle wody, że na rybach z Charlie'em mógłbym spędzić niejeden dzień. Jest bardzo

zawiedziony, że tak mało interesuje mnie łowienie ryb. A Katherine zwróciła mi uwagę, że już od dłuższego czasu nie dyskutowaliśmy na temat naszych przekonań – wspólnych nam prawd wiary oraz punktów, co do których się nie zgadzamy. Kiedyś potrafiłem dyskutować z Katherine całymi godzinami. A także z kanonikiem Campbellem, jeszcze nim ją poznałem. Teraz wstyd mi się przyznać przed Katherine, ile niedzielnych nabożeństw opuściłem.

Katherine ma rację. Spróbuję uwolnić się od nałogu śledzenia wydarzeń. W dzisiejszym „The Globe and Mail" pisali, że nikaraguańscy contras dokonali egzekucji więźniów. Contras stawia się zarzuty „złamania praw człowieka w 22 wypadkach" – i ci sami obrzydliwi contras mają być „moralnymi odpowiednikami naszych ojców-założycieli", jak twierdzi prezydent Reagan! Tymczasem duchowy przywódca Iranu, ajatollah, wzywa wszystkich muzułmanów, „aby dołożyli Ameryce". Warto, żeby Ameryka posyłała takiemu facetowi broń, no nie? Stany Zjednoczone w swoim postępowaniu nie wykazują się większą mądrością.

Zgadzam się z Katherine. Pora wziąć się do łowienia ryb. Pora zbadać, czy ogon tego małego wodnego ssaka jest płaski, czy nie – czy to wydra, czy piżmoszczur? Pora się dowiedzieć. A tam daleko, tam, gdzie woda zatoki robi się zielononiebieska, by przybrać potem taki dziwny kolor jak siniak – czy tam nurkuje nur, czy łyska? Najwyższa pora to sprawdzić. Pora zapomnieć o wszystkim innym. I już „najwyższa pora", jak nieodmiennie powtarza kanonik Mackie, abym spróbował być Kanadyjczykiem!

Kiedy przyjechałem do Kanady, myślałem, że mi bardzo łatwo przyjdzie nim zostać. Tak jak większość ograniczonych Amerykanów, wyobrażałem sobie, że Kanada jest po prostu północną, chłodną, może trochę prowincjonalną częścią Stanów Zjednoczonych. Wydawało mi się, że to tak, jakbym się przeprowadził do Maine bądź Minnesoty. Ku swojemu zaskoczeniu stwierdziłem, że w Toronto ani nie pada tyle śniegu, ani nie jest tak zimno jak w New Hampshire – a poza tym to wcale nie taka prowincja! Odkrycie, że Kanadyjczycy są na tyle inni, stanowiło dla mnie niespodziankę – są tacy uprzejmi! Naturalnie, zacząłem od tłumaczenia się: „Ja tak naprawdę nie uciekam przed wojskiem!" – informowałem wszystkich na prawo

i lewo. Ale Kanadyjczyków raczej nie interesowało, kim jestem. „Nie przyjechałem tutaj, żeby się wywinąć przed wojskiem” – objaśniałem. – Na pewno mogę zaliczyć się do „przeciwników wojny” – mówiłem wtedy. – Wystarczy mi określenie „pacyfista”, ale nie muszę kryć się przed wojskiem – nie dlatego tutaj przyjechałem.

Większości Kanadyjczyków nie obchodziło jednak, dlaczego znalazłem się w ich ojczyźnie. Nie zadawali żadnych pytań. Był rok 1968 – prawdopodobnie fala „przeciwników” wojny w Wietnamie przybywających do Kanady osiągnęła półmetek. Większość obywateli tego kraju wykazywała zrozumienie – uważali, że wojna w Wietnamie jest głupia i niesprawiedliwa. W tamtym czasie potrzebowałeś pięćdziesięciu punktów, aby otrzymać prawo stałego pobytu. Wtedy mogłeś ubiegać się o obywatelstwo i dostać je w ciągu pięciu lat. Mnie bez trudu przyszło zdobycie owych pięćdziesięciu punktów. Miałem dyplom *cum laude*, tytuł magistra anglistyki – dzięki pomocy Owena Meany’ego napisałem pracę magisterską o Thomasie Hardym. Miałem też za sobą doświadczenia pedagogiczne zdobyte w czasie dwóch lat pracy. Kiedy robiłem dyplom na Uniwersytecie New Hampshire, na pół etatu uczyłem w dziewiątej klasie Akademii Gravesend pisania esejów. Polecili mnie Dan Needham i pan Early.

W 1968 roku co dziewiąty Kanadyjczyk był emigrantem: „przeciwnicy” wojny w Wietnamie mieli zdecydowanie wyższe wykształcenie i więcej możliwości zdobycia pracy niż większość przybyszów innych narodowości. Owego roku zorganizowano tak zwany Związek Amerykańskich Uchodźców. W porównaniu z Hester i jej przyjaciółmi z SDS (Studenci za Demokratycznym Społeczeństwem) tych kilku facetów, jakich znałem ze Związku Amerykańskich Uchodźców, było zupełnie na poziomie. Zdążyłem się już przyzwyczaić do demonstrantów. Właśnie wtedy Hester aktywnie uczestniczyła w różnych protestach. I właśnie owego roku została aresztowana w Chicago.

Hester dorobiła się złamanego nosa podczas wiecu w miejscu, w którym Partia Demokratyczna organizowała swą narodową konwencję. Opowiadała, że policjant rozkwasił jej twarz o boczne rozsuwane drzwiczki policyjnej ciężarówki. Jednakże Hester byłaby

niezadowolona, gdyby wróciła z Chicago cała i zdrowa. Amerykanie, z którymi los mnie stykał w Toronto – nawet organizatorzy AMEX-u, nawet dezerterzy, byli o niebo rozsądniejsi od mojej kuzynki i wielu innych rodaków, jakich znam z „ojczyzny".

W sprawie tak zwanych dezerterów istniało wiele nieporozumień. Ci, których ja znałem, głosili umiarkowane poglądy polityczne. Nie spotkałem nigdy takiego, który był w Wietnamie. Ani razu nie spotkałem też takiego, który miał tam zostać wysłany. Ci faceci znaleźli się na liście poborowych, a nie podobała im się służba. Niektórzy się nawet zgłosili na ochotnika. Zaledwie kilku z nich powiedziało mi, że zdezerterowali, gdyż wstyd im było, że mają jakikolwiek związek z tą obrzydliwą wojną. Miałem wrażenie, że niektórym nie należy ufać, gdyż mówią, jaka to wojna jest „okropna", tylko dlatego, że „tak wypada".

W tym czasie rozpowszechnił się jeszcze jeden błędny pogląd. W przeciwieństwie do panującej opinii, wyjazd do Kanady nie był wcale takim sprytnym posunięciem na wykręcenie się od woja. Znano bowiem i lepsze metody. O jednej z nich opowiem później. Tak czy inaczej, wyjazd do Kanady – czy to, żeby uciec przed wojem, zdezerterować czy nawet z innych bardziej złożonych powodów – stanowił wtedy bardzo wymowny gest polityczny. Pamiętacie to? Pamiętacie czasy, kiedy taki czyn stanowił swoistą „deklarację"? Przypominam sobie, jak to kiedyś jeden z facetów z AMEX-u mówił mi, że „opór na uchodźstwie to jakby ostateczna decyzja". Zgadzałem się z nim w stu procentach. Człowiek sam sobie wydawał się taki ważny – ba, podejmował „ostateczną decyzję"!

Prawda zaś jest taka, że nie miałem okazji zbyt wiele wycierpieć. Kiedy przybyłem do Toronto w 1968 roku, spotkałem tam kilku zagubionych i skłopotanych młodych Amerykanów. Byłem nieznacznie starszy niż większość z nich – a ci tutaj wcale nie wydawali mi się bardziej zagubieni czy skłopotani niż rodacy w ojczyźnie. Żaden z nich, jak Buzzy Thurston, nie wpakował się samochodem prosto w podporę mostu, by uniknąć wojska. Żaden z nich nie został śmiertelnie ukąszony przez żmiję łańcuszkową, gdy oczekiwał na swoją kolejkę u wietnamskiej dziwki.

Ku mojemu zaskoczeniu, Kanadyjczycy, których poznawałem, nawet mnie lubili. Dzięki dyplomowi, a także doświadczeniu pedagogicznemu, chociaż zdobytemu w młodszych klasach, za to w tak prestiżowej szkole jak Akademia Gravesend, natychmiast stałem się szacownym obywatelem i znalazłem pracę. Owe wyjaśnienia, które tak pospiesznie usiłowałem złożyć wszystkim Kanadyjczykom, z jakimi się spotykałem, były najprawdopodobniej stratą czasu. Dla tamtych tak naprawdę nie miało większego znaczenia, czy znalazłem się w ich kraju, uciekając przed wojem, czy dezerterując. Miało je za to dla Amerykanów, z którymi się zadawałem, i nie podobała mi się ich reakcja. To, że znalazłem się w Kanadzie z wyboru, że nie byłem uciekinierem i że nie musiałem być w Toronto – moim zdaniem, podkreślało niezwykłą wagę mojej decyzji. Oni jednak uważali, że mnie się mniej palił grunt pod nogami, i dlatego też reprezentuję mniej ważny przypadek. To prawda, Wheelwrightowie rzadko kiedy cierpieli. A w przeciwieństwie do większości tych innych Amerykanów, ja miałem jeszcze Kościół. Nie należy zapominać o mocy uzdrawiającej Kościoła oraz o jego pocieszycielskiej roli, która może cię uczynić kimś zupełnie wyjątkowym.

W czasie pierwszego tygodnia mojego pobytu w Toronto, starając się o pracę, odbyłem rozmowę w Wyższym College'u Kanadyjskim. W szkole poczułem się tak, jakbym nigdy nie opuścił Akademii Gravesend! Nie mieli żadnych wakatów na Wydziale Anglistyki, ale zapewnili mnie, że moje osiągnięcia są „godne pochwały" i nie powinienem mieć problemu ze znalezieniem pracy. Byli tacy serdeczni. Wysłali mnie do położonego niedaleko, przy Londsdale Road, kościoła Łaski na Wzgórzu. Powiedzieli mi, że kanonik Campbell szczególnie chętnie pomaga Amerykanom.

I to prawda. Kiedy kanonik spytał mnie, jakiego jestem wyznania, odrzekłem: „Jestem chyba episkopalistą".

– Jak to chyba?

Wyjaśniłem, że nie uczestniczyłem w nabożeństwie w kościele episkopalnym od Bożego Narodzenia 1953 roku.

– Pewnie mógłbym powiedzieć, że jestem nieokreślonego wyznania – odrzekłem, myśląc o kościele Hurda i dość nieortodoksyjnym

kongregacjonalizmie pastora Merrilla.

– Tak, to możemy załatwić – rzekł kanonik Campbell, wręczając mi mój pierwszy anglikański modlitewnik, mój pierwszy kanadyjski modlitewnik, czyli „Modlitewnik powszechny", z którego nadal korzystam. Wszystko odbyło się tak po prostu. Wszystko, to znaczy moje wstąpienie do Kościoła i zostanie anglikaninem. To mi nie przysporzyło żadnych cierpień.

Zatem pierwsi poznani przeze mnie Kanadyjczycy byli członkami Kościoła, prawie wszyscy bez wyjątku niezwykle uczynni i zdecydowanie mniej zagubieni niż grupka udręczonych Amerykanów, jakich poznałem w Toronto (a także większość Amerykanów, jakich znałem w kraju). Anglikanie z kościoła Łaski na Wzgórzu byli „konserwatywni", zwłaszcza w pewnych kwestiach własności, co nam, Wheelwrightom, bardzo odpowiadało. W tych sprawach jako mieszkańcy Nowej Anglii mamy więcej wspólnego z Kanadyjczykami niż z nowojorczykami! Na przykład bardzo szybko doszedłem do wniosku, że wolę stanowisko zadeklarowane w przeciwstawiającym się poborowi programie toronckiej organizacji (TADP) niż ostrzejsze poglądy Związku Amerykańskich Uchodźców. Ci pierwsi byli za „asymilacją w głównym nurcie życia w Kanadzie", uważali Związek Amerykańskich Uchodźców za zbyt „polityczny", co znaczyło między innymi: zbyt zaangażowany, zbyt wojowniczo antyamerykański. Możliwe, że wpływ na stanowisko Związku miało otwarte postępowanie tamtych z dezerterami. Celem toronckiego programu antypoborowego była szybka asymilacja. Organizacja uznawała, że my, Amerykanie, winniśmy rozpocząć proces asymilacji, odrzucając zainteresowanie problemami Stanów Zjednoczonych.

Z początku wydawało mi się to bardzo rozsądne – i bardzo proste.

W rok po moim przybyciu do Kanady nawet Związek Amerykańskich Uchodźców zaczął wykazywać pewne oznaki „asymilacji". Skrót nazwy rozwiązywał się już nie jako „Związek Amerykańskich Uchodźców", lecz „Emigrantów". To przecież chyba bardziej pasowało do celu, jakim była „asymilacja w głównym nurcie kanadyjskiego życia". Tak mi się wydawało.

Gdy niektórzy anglikanie z kościoła Łaski na Wzgórzu pytali mnie, co myślę o „znanym już skądinąd poglądzie premiera Pearsona, że

dezerterów, w odróżnieniu od przeciwników wojny, należałoby zniechęcać do przyjazdu do Kanady", oświadczałem, że się z nim zgadzam! Chociaż – czego nie ukrywałem – nigdy w życiu nie spotkałem agresywnego dezertera; ani jednego. Ci, których poznałem, należeli do tej „grupy obywateli", jaka każdemu krajowi mogłaby się przysłużyć, i to nawet nie najgorzej! Kiedy w czasie dwudziestej ósmej sesji Parlamentu wyszło na jaw, że amerykańskich dezerterów zawraca się na granicy, bo to „osoby, które mogą stać się ciężarem dla publicznych finansów", nigdy właściwie nie powiedziałem żadnemu z moich kanadyjskich znajomych, że prawdopodobieństwo tego, iż ci dezerterzy „staną się dla nich publicznym ciężarem", jest takie samo jak to, że ja się nim stanę. Ale wtedy już dzięki kanonikowi Campbellowi poznałem Misia Kilgore'a, który zatrudnił mnie jako nauczyciela w szkole Biskupa Strachana. My, Wheelwrightowie, zawsze potrafiliśmy wykorzystać nasze znajomości.

Owen Meany nie miał żadnych znajomości. Jemu nigdy nie przychodziło łatwo wejść w układy. Domyślam się, co by powiedział na bzdury, jakie publikowano w „The Toronto Star". Swego czasu bzdury te wydawały mi się tak słuszne, że aż wyciąłem je z gazety i umieściłem na drzwiczkach lodówki. 17 grudnia 1970. Artykuł napisano w odpowiedzi na „oświadczenie" AMEX-u o „pięciu priorytetach" dla amerykańskich emigrantów (piątym było „dostosowanie się do kanadyjskiego stylu życia"). Chciałbym zacytować ten fragment z „The Toronto Daily Star": *Jeśli młodzi Amerykanie, w których imieniu przemawia AMEX, nie zrewidują swoich priorytetów i nie postawią na pierwszym miejscu punktu piątego, mogą spotkać się ze wzrostem wrogości i podejrzliwości ze strony Kanadyjczyków*. Nigdy nie miałem wątpliwości, że to prawda. Ale wiem także, jak by na to zareagował Owen Meany:

– Coś takiego mógłby powiedzieć Amerykanin! „Podstawowym priorytetem" każdego młodego Amerykanina jest dopasować się do amerykańskiego stylu życia. Czy ta głupia gazeta nie wie, jacy są ci młodzi Amerykanie, którzy znaleźli się w Kanadzie? To Amerykanie, którzy opuścili swój kraj właśnie dlatego, że nie mogli albo nie chcieli się „dopasować". A teraz niby mają się martwić przede wszystkim

o to, jak się tutaj dopasować? Wiecie co, to naprawdę genialny pomysł, wart jednej z tych idiotycznych dziennikarskich nagród!

Ale ja nie narzekałem, nie złościłem się – w każdym razie nie wówczas. Wydawało mi się, że mam już do końca życia dość „wybuchów złości" w wykonaniu Hester. Pamiętacie Akt o Środkach Wojennych? Nie powiedziałem ani słowa. Zgadzałem się ze wszystkim. No i co z tego, że ma się zawieszone prawa obywatelskie na sześć miesięcy? No i co z tego, że można przeprowadzić rewizję bez nakazu? No i co z tego, że można zamknąć człowieka na dziewięćdziesiąt dni bez prawa kontaktowania się z adwokatem? Wszystko to się działo w Montrealu. Gdyby Hester była wtedy w Toronto, nawet by jej nie aresztowali. Trzymałem język za zębami i kultywowałem swoje kanadyjskie przyjaźnie, a większość moich znajomych uważała, że Trudeau nie może zrobić nic złego, że jest księciem. Nawet mój drogi przyjaciel kanonik Campbell rzucił pozbawioną większego sensu uwagę: „Trudeau to taki nasz Kennedy". Nigdy jednak nie zdobyłbym się na to, by mu zaprzeczyć. Byłem tylko szczęśliwy, że kanonik Campbell nie wyjawił swojej opinii Owenowi. Wiem, co ten by mu odpowiedział: „Chce pan przez to powiedzieć, że Trudeau wypieprzył Marilyn Monroe?".

Jednakże nie przybyłem do Kanady, żeby zachowywać się jak amerykański spryciarz. Za to kanonik Campbell powiedział mi, że co sprytniejsze kanadyjskie dupki chętnie wyprowadzają się do Stanów. Nie chciałem być jednym z tych, co to do wszystkiego odnoszą się krytycznie. W latach siedemdziesiątych w Toronto aż roiło się od utyskujących Amerykanów. Niektórzy narzekali także na Kanadę, twierdząc, że sprzedała Stanom amunicję oraz inne elementy uzbrojenia wartości ponad 500 milionów dolarów.

– Dolarów kanadyjskich czy amerykańskich? – pytałem wtedy. Do wszystkiego podchodziłem z ogromnym dystansem. Nie zamierzałem dać się w cokolwiek wciągnąć – krótko mówiąc, starałem się, jak mogłem, być Kanadyjczykiem. Nie gadałem na prawo i lewo, że te cholerne Stany to albo że te pieprzone Stany tamto! I gdy w roku 1970 dowiedziałem się, że Kanada ma największy na świecie dochód na głowę ludności ze sprzedaży broni, spytałem:

– Naprawdę? To niezwykle interesujące!

– Ktoś mi kiedyś mówił, że większość pacyfistów, którzy wrócili do Stanów, nie mogła znieść kanadyjskiego klimatu. Pytano mnie o zdanie – czy „tych ludzi" sprzeciwiających się wojnie należy traktować serio, skoro zniechęciła ich do popierania sprawy trochę chłodniejsza pogoda?

Odpowiadałem na to, że w New Hampshire jest zimniej.

Pytano też, czy nie wiem, dlaczego tak niewielu czarnych Amerykanów przybywa do Kanady? A jeśli już któryś przyjedzie, to nie zagrzeje miejsca na długo, dodał kto inny. To dlatego, że jest im lepiej w getcie, w którym mieszkają, dorzuciła kolejna osoba. Nie odezwałem się ani słowem.

Anglikaninem byłem w znacznie większym stopniu niż kiedykolwiek kongregacjonalistą czy episkopalistą, czy też nawet członkiem kościoła Hurda. Uczestniczyłem w życiu wspólnoty Kościoła Łaski na Wzgórzu tak jak nigdy w życiu żadnej innej wspólnoty. Stawałem się też dobrym nauczycielem. Wtedy jeszcze byłem dość młody. Miałem zaledwie dwadzieścia sześć lat. Kiedy zacząłem uczyć te wszystkie starsze dziewczyny, nie miałem narzeczonej, ale nigdy też nie spojrzałem na żadną z moich uczennic pod tym kątem. Ani razu – nawet na te, które obdarzały mnie swoim dziewczęcym uczuciem. Przez wiele lat dziewczyny się we mnie kochały. Teraz już nie, oczywiście. Nadal jednak pamiętam, jakie były śliczne. Niektóre nawet zapraszały mnie na ślub!

Jeszcze wtedy, na początku – kiedy kanonik Campbell był dla mnie takim dobrym przyjacielem i działał na mnie inspirująco, kiedy wszędzie nosiłem ze sobą „Modlitewnik powszechny" oraz „Podręcznik dla imigrantów w wieku poborowym" – byłem prawdziwym Kanadyjczykiem.

Jeśli kiedykolwiek wpadałem na tych typków z AMEX-u – a nie zdarzało się to często, zwłaszcza na Forest Hill – nawet nie miałem ochoty rozmawiać o Stanach czy o Wietnamie. Musiałem widać być przekonany, że jeśli o nich zapomnę, to mój gniew oraz samotność najzwyczajniej się rozpłyną – wyparują.

Naturalnie, organizowano wiece – organizowano protesty. Ale w nich nie uczestniczyłem. Trzymałem się nawet z dala od Yorkville – to chyba najlepszy dowód, że starałem się nie mieć z tym nic

wspólnego. Kiedy zabrakło już „Riverboat”, nie płakałem ani też nie śpiewałem starych piosenek country. Nasłuchałem się ich dosyć w wykonaniu Hester. Wtedy miałem krótko obcięte włosy – teraz też mam. Nigdy nie zapuściłem brody. Pamiętacie hipisów, te wszystkie protest-songi i „wolną miłość”? Owen Meany poświęcił znacznie więcej, wycierpiał o wiele więcej; ja nigdy nie interesowałem się, jakie ofiary składali inni ani co, ich zdaniem, jest heroicznym cierpieniem.

Podobno nikt nie odznacza się taką gorliwością jak konwertyta, a ja byłem świeżo nawróconym anglikaninem. Podobno trudno o bardziej patriotycznie nastawionych obywateli niż świeży imigranci, a chyba nikt bardziej nie pragnął się „zasymilować” niż ja. Podobno nikt nie uczy z równym zapałem co świeżo upieczony nauczyciel, a ja uczyłem te dziewczęta czytać i pisać do upadłego.

W 1967 roku z armii amerykańskiej zdezerterowało 40 227 żołnierzy. Trzy lata później – 89 088. Tego roku zaledwie 3712 Amerykanów stanęło przed sądem za pogwałcenie ustawy o przymusowej służbie wojskowej. Ciekaw jestem, ilu w tym czasie paliło bądź zdążyło już spalić swoje karty poborowe. Co mi do tego! Spalenie karty poborowej, wyjazd do Kanady, nos rozkwaszony przez policjanta w Chicago – nigdy te gesty nie wydawały mi się heroiczne ani w jakikolwiek sposób porównywalne z poświęceniem Owena Meany’ego. Do 1970 roku w Wietnamie zginęło ponad czterdzieści tysięcy Amerykanów. Nie przypuszczam, żeby któryś z zabitych uważał za szczególny „heroizm” spalenie karty poborowej bądź przyjazd do Kanady. Na pewno też nie uważaliby, że należy robić wielkie halo z tego powodu, iż ktoś został aresztowany w Chicago za udział w manifestacji.

Jeśli zaś chodzi o Gordona Lightfoota, Neila Younga czy też Joni, Mitchella, Iana i Sylwię – to i tak słyszałem już wcześniej Boba Dylana, Joan Baez i Hester. Nawet słyszałem, jak moja kuzynka śpiewa „Cztery silne wiatry”. Zawsze dość dobrze śpiewała, akompaniując sobie na gitarze. Miała całkiem ładny głos – po matce, mimo że głos cioci Marty nie brzmiał tak ładnie jak mamy. Z kolei głos mamy był jedynie ładny, bo ani silny, ani nie ćwiczony. Hester przydałoby się pewnie z pięć lat lekcji u Grahama McSwineya,

jednakże nigdy nie miała do takiej nauki zaufania. Uważała, że śpiew to coś, co ma „w środku”.

– Można by pomyśleć, że to choraba – powiedział Owen, ale mimo to uchodził za jej głównego wielbiciela. Wiem, że podszeptywał mojej kuzynce różne pomysły, kiedy męczyła się nad własnymi piosenkami. Później mi wspomniał, że nawet sam napisał kilka tekstów. Wtedy wyglądała jak piosenkarka *country,* to znaczy zupełnie inaczej niż wszyscy albo dokładnie tak jak wszyscy: trochę prowincjonalnie, trochę światowo, i jak człowiek, którym los mocno poniewiera. Robiła wrażenie kogoś, kto zjechał pół świata, sypia na macie (z wieloma facetami), i wyglądała tak, jakby jej włosy śmierdziały homarami.

Bardzo wyraźnie mam ją przed oczyma, jak śpiewa „Cztery silne wiatry”:

Chyba pojadę do Alberty.
Jesienią jest tam ciepło.
Mam tam przyjaciół, którzy dadzą mi pracę...

– Gdzie jest Alberta? – spytał ją Owen Meany.

– W Kanadzie, ty dupku – odrzekła Hester.

– Nie musisz był wulgarna. Bardzo ładna piosenka. To chyba smutne tak wyjechać do Kanady.

Był wtedy rok 1966. Owen miał właśnie zostać podporucznikiem Armii Stanów Zjednoczonych.

– Mówisz, że to smutne jechać do Kanady? – wrzasnęła na niego Hester. – Tam, dokąd ciebie zamierzają wysłać, jest o wiele smutniej.

– Nie chcę umierać w zimnym kraju – odparł Owen.

– Chciał przez to powiedzieć, że wierzy, iż umrze tam, gdzie jest ciepło, bardzo ciepło.

W Wigilię 1964 roku w wyniku terrorystycznego aktu bombowego Wietkongu na kwaterę Armii Stanów Zjednoczonych w Sajgonie zginęło dwóch żołnierzy. Tydzień później, w sylwestra, Hester

rzygała. Może robiła to ze specjalnym zapałem, gdyż Owen według siły jej rzygania prorokował, co nas czeka.

– Chyba będzie to kiepski rok – zawyrokował, obserwując torsje Hester w rozarium.

I faktycznie. Tego właśnie roku wojna w Wietnamie rozpoczęła się na serio. A przynajmniej właśnie wtedy przeciętny, mało spostrzegawczy Amerykanin zaczął dostrzegać, że mamy tam jakieś kłopoty. W lutym lotnictwo Stanów Zjednoczonych przeprowadziło operację „Płonąca Strzała" – „taktyczną powietrzną akcję odwetową".

– Co to znaczy? – spytałem Owena, który tak dobrze sobie radził z zajęciami z wojska.

– To znaczy, że napieprzamy z powietrza cele w północnym Wietnamie.

W marcu lotnictwo USA rozpoczęło operację „Grzmiący Piorun" – „by przerwać strumień zaopatrzenia płynący na południe".

– Co to znaczy? – spytałem Owena.

– To znaczy, że napieprzamy z powietrza cele w północnym Wietnamie – wyjaśnił Owen.

W tym właśnie miesiącu pierwsze regularne oddziały przybyły do Wietnamu. W kwietniu prezydent Johnson dał amerykańskim wojskom lądowym prawo przeprowadzania „operacji ofensywnych w Wietnamie Południowym".

– To znaczy: szukaj i niszcz, szukaj i niszcz – wyjaśnił Owen.

W maju marynarka USA rozpoczęła operację „Dzień Targowy", mającą na celu wykrycie i powstrzymanie ruchu nawodnego na przybrzeżnych wodach południowego Wietnamu. Był tam Harry Hoyt. Jego matka twierdziła, że Harry jest bardzo szczęśliwy w... marynarce.

– Ale co oni tak właściwie robią? – indagowałem Owena.

– Przechwytują i niszczą statki wroga – odrzekł Owen. A w wyniku rozmowy z jednym ze swoich profesorów z wojska zauważył: – Końca tego nie widać. Prowadzimy wojnę partyzancką. Czy jesteśmy przygotowani na to, by zniszczyć cały kraj? Można mówić „szukanie i niszczenie" czy też „przechwytywanie i niszczenie", to bez znaczenia, bo i tak jest tylko „niszczyć, niszczyć!" Nie ma sposobu z tego wyjść.

Nie mogłem nadziwić się, że Harry Hoyt „przechwytuje i niszczy" statki wroga. Był takim idiotą! Nie umiał przecież nawet grać w baseball na poziomie Małej Ligi! Najzwyczajniej nie potrafię mu wybaczyć tego, że otrzymał bazę darmo, co doprowadziło do łatwej piłki Buzzy Thurstona... co z kolei spowodowało, że Owen odbijał. Gdyby Harry choć leciutko uderzył piłkę, wszystko być może potoczyłoby się inaczej. Ale Harry Hoyt otrzymał bazę darmo.

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Harry Hoyt faktycznie mógł „przechwytywać i niszczyć" w ogóle cokolwiek – powiedziałem Owenowi. – Przecież on jest za głupi na to, by rozpoznać „statek wroga", nawet gdyby przepłynął mu po głowie.

– Czy nie przyszło ci na myśl, że w Wietnamie aż roi się od takich Harrych Hoytów?

Profesor od nauk wojskowych, który imponował Owenowi i uważał, że z punktu widzenia taktyki i strategii wojna prowadzona jest fatalnie, był jakimś spierniczałym pułkownikiem piechoty i wiecznym krytykantem oraz miał bzika na punkcie sprawności fizycznej; uważał, że Owen jest za niski jak na oddziały bojowe armii. Mam wrażenie, że Owen osiągał wspaniałe wyniki w nauce, by udowodnić temu stetryczałemu łobuzowi, że doskonale potrafi nadrobić braki w swej posturze. Przez większość czasu po zajęciach Owen gadał ze starym myszołowem. Postawił sobie za punkt honoru zostać wyróżniającym się uczniem KSOR-u – prymusem. Z najlepszymi ocenami. Owen nie miał wątpliwości, że zostanie przydzielony do jednostek bojowych – do piechoty, wojsk pancernych bądź artylerii.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz właśnie tam się znaleźć? – zapytałem kiedyś.

– Jeśli jest wojna, a ja mam być w wojsku, to chcę uczestniczyć w wojnie. Nie chciałbym spędzić wojny za biurkiem. Zastanów się: obaj wiemy, że Harry Hoyt to idiota. Ktoś musi przypilnować, żeby tacy idioci sami nie wylecieli w powietrze.

– Ach, tak, więc chcesz być bohaterem – odparłem. – Gdybyś miał trochę więcej rozumu niż Harry, to starałbyś się przeżyć wojnę właśnie za biurkiem.

Zacząłem z podziwem myśleć o pułkowniku, który uważał, że Owen jest za mały do oddziałów bojowych. Nazywał się Eiger, i nawet raz

próbowałem z nim porozmawiać. Wydawało mi się, że oddaję przyjacielowi przysługę.

– Pułkowniku Eiger… – zacząłem. Mimo plam wątrobowych na dłoni i fałdu spalonej słońcem skóry, który tylko nieznacznie zarysowywał się nad obcisłym brązowym kołnierzem, nadal mi wyglądał na takiego, który potrafi zrobić siedemdziesiąt pięć pompek naraz. – Wiem, że zna pan Owena Meany'ego, panie pułkowniku.

Nie odzywał się, czekał, co powiem dalej, żując gumę w tak dyskretny sposób, że nie mogłeś mieć pewności, czy rzeczywiście ma ją w ustach. Może robił jakieś wymyślne ćwiczenia języka.

– Chciałem panu powiedzieć, że zgadzam się z panem, i moim zdaniem Owen Meany nie nadaje się do oddziałów bojowych. – Pułkownik, choć trudno to było zauważyć ze stuprocentową pewnością, przerwał żucie. – Jest najzwyczajniej za mały – zaryzykowałem. – To mój najlepszy przyjaciel, i nawet ja mam wątpliwości co do jego równowagi; chodzi mi o równowagę emocjonalną.

– Dziękuję, możesz odejść.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Był maj 1965. Obserwowałem bacznie Owena, żeby się zorientować, czy pułkownik Eiger w jakiś inny sposób zaczął go zniechęcać. Coś się najwyraźniej zdarzyło – pułkownik musiał mu coś powiedzieć – ponieważ tej właśnie wiosny Owen rzucił palenie. Przestał tak po prostu, jak nożem uciął. Zaczął trenować biegi. Po dwóch tygodniach biegał już pięć mil dziennie. Założył sobie, że pod koniec miesiąca będzie przebiegał milę w sześć minut. I zaczął pić piwo.

– Dlaczego piwo? – spytałem.

– Czy słyszałeś kiedyś, żeby jakiś żołnierz nie pił piwa? – To mi wyglądało na uwagę pułkownika Eigera. Pewnie sądził, że Owen jest mięczakiem, skoro nie pije.

A więc przed wyjazdem na szkolenie podstawowe był w niezłej kondycji – biegi, nawet w połączeniu z piwem, mogły nie najgorzej zastąpić paczkę papierosów dziennie. Przyznawał, że nie lubi biegania, za to zasmakował w piwie. Nigdy nie pił za dużo, ani razu

nie widziałem, żeby się upił, zwłaszcza przed obozem, ale Hester zauważyła, że piwo wyraźnie poprawia mu nastrój.

– Nic tak naprawdę nie może rozluźnić Owena – twierdziła. – Ale piwo trochę pomaga.

Dziwacznie się czułem, pracując w Przedsiębiorstwie Granitowym Meanych pod nieobecność Owena.

– Wyjeżdżam tylko na sześć tygodni. A poza tym, bardzo się cieszę, że zostawiam warsztat pod twoją opieką, bo w razie czego masz dosyć taktu, żeby właściwie przyjąć zamówienie na nagrobek. Potrafisz się tym odpowiednio zająć.

– Powodzenia! – życzyłem mu.

– Nie licz na to, że będę miał czas pisać. Podejrzewam, że będziemy pracować dość intensywnie. Zasadniczo muszę zdobyć wyróżnienie w trzech dziedzinach – teorii, dowodzeniu oddziałem i sprawności fizycznej. Szczerze mówiąc, najbardziej się martwię o sprawność, bo podobno jest tam tor przeszkód z murem, co ma blisko dwanaście stóp. Obawiam się, że dla mnie to za wysoko.

Hester śpiewała. Nie chciała brać udziału w żadnej rozmowie na temat szkolenia podstawowego. Powiedziała, że jak jeszcze raz usłyszy Owena wymieniającego ulubione formacje wojskowe, zwymiotuje. Nigdy nie zapomnę, co Hester śpiewała. Śpiewała piosenkę kanadyjską i przez te wszystkie lata słyszałem ją chyba ze sto razy. Pewnie zawsze na jej dźwięk będą mnie przechodzić dreszcze.

Nawet jeśli byliście małymi dziećmi w latach sześćdziesiątych, założę się, że słyszeliście piosenkę, którą wtedy śpiewała Hester i którą tak żywo pamiętam.

Samotne cztery wichry dmą,
Siedem się burzy mórz.
Wszystko jest tak jak dawniej,
Lecz nasze szczęście skończyło się już.
I muszę iść przed siebie.
Jeśli zaś kiedyś wrócę tu, odnajdę ciebie.

Wysłali go do Fort Knox czy może Fort Bragg. Zapomniałem. Spytałem kiedyś Hester, czy pamięta, dokąd pojechał Owen na szkolenie podstawowe.

– Wiem tylko tyle, że nie powinien był jechać. Powinien był pojechać do Kanady – odparła.

Ileż razy myślałem to samo! Czasami łapię się na tym, że szukam Owena, myślę, że lada chwila go zobaczę. Któregoś dnia w parku Winstona Churchilla wśród grupki wrzeszczących i szalejących dzieci – w każdym razie ruszały się dość żwawo – zobaczyłem kogoś mniej więcej wzrostu i postury Owena, jak stoi troszkę z boku, nie uczestnicząc w zabawie, która najwyraźniej pochłaniała pozostałe dzieciaki. Wyglądał, jakby go to kusiło, miał się jednak mocno na baczności; chciał spróbować, co robią inni, ale wstrzymywał się albo może czekał na właściwy moment, by przejąć dowództwo.

Jednakże Owen nie wyjechał do Kanady. Pojechał do Fort Knox czy też Fort Bragg, gdzie nie udało mu się pokonać toru przeszkód. Był najlepszy z teorii. Miał najwyższe stopnie z dowodzenia – choć nie mam pojęcia, co to jest ani w jaki sposób Armia Stanów Zjednoczonych coś takiego definiuje. Ale co do muru się nie mylił. Mur był troszkę za wysoki; Owen nie mógł przez niego przeleźć. „Nie udało mu się pokonać muru" – tak to ujęli w wojsku. Ponieważ stopień z zajęć składał się z wyników teorii, dowodzenia i sprawności fizycznej, Owen Meany nie miał najlepszej oceny. Nie było więc pewne, czy dostanie przydział do oddziałów bojowych.

– Przecież ty tak dobrze skaczesz! – rozmawiałem z nim później. – Nie mogłeś najzwyczajniej w świecie wskoczyć? Złapać się za szczyt muru i po prostu się wciągnąć?

– Nie mogłem dosięgnąć szczytu muru. Owszem, skaczę dobrze, ale mam tylko pieprzone pięć stóp wzrostu! To nie jest tak jak ze strzałem. Tam nikt mnie nie może podsadzić!

– Bardzo mi przykro. Został ci jednak jeszcze cały ostatni rok nauki. Może popracujesz nad pułkownikiem Eigerem. Jestem pewien, że przekonasz go i da ci to, co chcesz.

– Mam gorsze oceny. Czy ty tego nie rozumiesz? Wszystko musi odbywać się zgodnie z regulaminem. Pułkownik Eiger mnie co prawda lubi, ale jego zdaniem po prostu fizycznie się nie nadaję! –

Tak głęboko przeżywał swoje niepowodzenie, że nie przypomniałem mu już o nauce zakładania dynamitu. Widząc, jak bardzo jest przygnębiony, czułem wyrzuty sumienia, że odbyłem rozmowę z pułkownikiem. A jednocześnie wiem, że nie chciałem, by skierowano Owena do oddziałów bojowych.

Jesienią 1965 roku, kiedy wróciliśmy do Durham na ostatni rok nauki, trwały już protesty przeciwko zaangażowaniu Ameryki w Wietnamie. W październiku zorganizowano demonstracje w trzydziestu czy czterdziestu amerykańskich miastach. Chyba w połowie z nich uczestniczyła Hester. Ja, w typowy dla siebie sposób, nie byłem do końca pewien, co o tym sądzić. Wydawało mi się, że protestujący wykazywali więcej rozsądku niż wszyscy ci, którzy choćby „na odległość" popierali politykę USA. Uważałem także, że Hester i większość jej przyjaciół stoi na straconych pozycjach i że to głupcy. Hester zaczęła już o sobie mówić „socjalistka".

– O, przepraszam! Myślałem, że jesteś kelnerką – odpowiadał jej wtedy Owen. – Czy to znaczy, że dzielisz się napiwkami z innymi?

– Odpierdol się, stary! Mogłabym uważać się za zwolenniczkę republikanów, a i tak miałoby to większy sens niż to, co ty robisz!

Musiałem jej przyznać rację. Właściwie to Owen Meany zachowywał się strasznie niekonsekwentnie, chcąc dostać przydział do oddziałów bojowych. Zawsze miał tak wyczulone oko na wszelkie świństwa, a teraz chce jechać do Wietnamu? Wojna i protesty dopiero co się zaczęły – każdy mógł to zauważyć.

W Boże Narodzenie prezydent Johnson zawiesił operację „Grzmiący Piorun" – przerwał bombardowania Wietnamu Północnego, „by rozpocząć negocjacje pokojowe". Ciekawe, czy ktoś dał się na to nabrać?

– To dobre do telewizji! – oświadczył Owen. Dlaczego więc chciał tam jechać? Czy tak bardzo i za wszelką cenę pragnął zostać bohaterem, że pojechałby dokądkolwiek?

Owej jesieni powiedziano mu, że nadaje się do Korpusu Adiutanckiego. Ale nie to chciał usłyszeć. Korpus Adiutancki to nie oddział bojowy. Owen odwoływał się od tej decyzji. Twierdził, że tego typu pomyłki (jeśli chodzi o rozkazy) zdarzają się często.

– Mam wrażenie, że udało mi się zapędzić pułkownika Eigera w kozi róg. Mnie nadal zależy na tym, by dostać przydział do oddziałów bojowych.

W sylwestra 1965 roku, kiedy Hester składała swą doroczną daninę w rozarium domu przy Front Street, tylko 636 żołnierzy amerykańskich zginęło w akcji. Był to dopiero początek. Przypuszczam, że wśród tej liczby zabitych nie znajdował się Harry Hoyt; bo biedny Harry zginął, choć niezupełnie „w akcji". Dla Harry'ego było to znowu jak „otrzymanie bazy darmo" – zginął ukąszony przez żmiję w kolejce do burdelu, ukąszony, kiedy siusiał pod drzewem.

– Dokładnie tak jak w tym meczu! – rzekł Owen Meany. – Biedny Harry!

– Biedna ta jego matka – odezwała się babcia. Miała ochotę rozwinąć swoją teorię na temat umierania. – Wolałabym raczej, żeby mnie zabił jakiś maniak, niż ukąsiła żmija.

Zatem w Gravesend nasz pierwszy obraz śmierci w Wietnamie niewiele miał wspólnego ze standardem: żołnierz Wietkongu w sandałach i czarnej piżamie, w czymś, co przypomina abażur, na głowie, uzbrojony w radziecki karabin AK-47 (kaliber 7,62) strzelający pojedynczym ogniem lub całą serią. Za to sięgnęliśmy do „Encyklopedii jadowitych żmij" Whartona – książka ta już w dzieciństwie zdążyła być przyczyną wielu naszych nocnych koszmarów – i tam właśnie znaleźliśmy obraz naszego wroga z południowo-wschodniej Azji: żmii łańcuszkowej. Jaka silna była pokusa, by zredukować niepowodzenia USA w Wietnamie do jednego wroga, którego można zobaczyć!

Matka Harry'ego Hoyta ukuła teorię, że sami jesteśmy swoimi wrogami. W niecały miesiąc po Nowym Roku, kiedy to na powrót rozpoczęliśmy bombardowanie Wietnamu Północnego i na nowo podjęliśmy operację „Grzmiący Piorun" – pani Hoyt wywołała zamieszanie w miejscowej komisji uzupełnień, ponieważ właśnie w wydawanym przez nią biuletynie postanowiła zamieścić ogłoszenie o swoich darmowych poradach dotyczących sposobów wykręcenia się od poboru – zajęcia odbywały się u niej w domu. Udało jej się rozreklamować swoje kursy na całym uniwersytecie w Durham –

Hester opowiedziała mi później, że z Durham zjawił się znacznie większy tłum niż z Gravesend. Groźba poboru wisiała bardziej nad studentami uniwersytetu niż nad uczniami szkoły średniej w Gravesend, którzy mogli się jeszcze dostać nawet na najgorszy uniwersytet czy do najgorszego college'u.

W roku 1966 prawie dwa miliony Amerykanów miało tak zwane odroczenia studenckie, które chroniły ich przed poborem. Rok później zasadę tę miano zmodyfikować, tak by zwolnienia nie objęły absolwentów. Jednakże odroczenia mogły dotyczyć absolwentów po upływie roku lub więcej. Ja bym tu doskonale pasował. Kiedy zrezygnowano z odroczeń poborowych dla absolwentów, byłby to właśnie ten mój pierwszy rok. Moje odroczenie też by pewnie cofnięto. Wezwano by mnie na wstępne badania do biura poborowego, a tam najprawdopodobniej uznano by, że doskonale nadaję się do badań przedpoborowych; dostałbym kategorię A-1 – zdolny do służby, i to na pierwszej linii.

Właśnie na taką sytuację przygotowywała nas pani Hoyt. Już w lutym 1966 roku ostrzegała tych młodych, którzy chcieli jej słuchać. Skontaktowała się ze wszystkimi rówieśnikami Harry'ego w Gravesend.

– Posłuchaj mnie, Johnny Wheelwright! – zadzwoniła do mnie, kiedy byłem u babci. Bałem się jej. Nawet babcia uważała, że pani Hoyt powinna się zachowywać w sposób bardziej odpowiedni do żałoby, którą nosiła. Ale pani Hoyt dostała kręćka. Wybierając nagrobek dla Harry'ego, palnęła kazanie Owenowi!

– Nie chcę krzyża! Bóg nigdy nic dobrego dla niego nie zrobił! – powiedziała.

– Dobrze, proszę pani.

– I nie chcę nic takiego, co wygląda jak schodek – to takie typowo wojskowe: żeby grób był czymś takim, po czym można chodzić!

– Rozumiem.

A potem palnęła mu kazanie, w jaki sposób ma podejść do swoich zobowiązań wobec wojska i co powinien zrobić, żeby dostać pracę „za biurkiem", bo to przecież jest najlepsze.

– I nie chodzi mi o biurko w Sajgonie! – dodała. – Żebyś mi się nie ważył uczestniczyć w tym ludobójstwie! Czy chcesz podpalać małe

azjatyckie kobiety i dzieci?

– Nie, proszę pani.

– Nie pozwolą ci zrobić dyplomu z angielskiego – zwróciła się do mnie. – Co ich obchodzi angielski? Sami nim dobrze nie władają!

– Tak, proszę pani.

– Nie ukryjesz się na studiach podyplomowych, wierz mi, to na nic – mówiła do mnie pani Hoyt. – Chyba że jest coś z tobą nie tak w sensie fizycznym, bo inaczej umrzesz na polu ryżowym. Coś z tobą nie tak? – spytała.

– O ile wiem, to nie, proszę pani – odrzekłem.

– No to powinieneś o czymś myśleć. Znam faceta, który udziela porad psychiatrycznych. Mógłby cię tak wyszkolić, że wyszedłbyś na wariata. Chociaż to ryzykowne i powinieneś zacząć już teraz. Potrzebujesz czasu, aby mieć odpowiednią historię choroby, jeśli chcesz przekonać otoczenie, że jesteś nienormalny. Nie wystarczy tylko się upić i wysmarować sobie głowę psim gównem dzień przed badaniami, jeśli nie rozwiniesz całej historii. Samo udawanie na nic się nie zda.

Właśnie coś takiego spróbował zrobić Buzzy Thurston – i udało mu się. Udało się aż za dobrze. Nie rozwinął przesadnie choroby – liczyła ona zaledwie dwa tygodnie. Ale nawet w tym krótkim czasie udało mu się wprowadzić w siebie tyle alkoholu i narkotyków, aby jego ciało doszło do wniosku, że podoba mu się taka forma użycia. W oczach pani Hoyt Buzzy był taką samą ofiarą wojny jak jej Harry. Buzzy zabił się, usiłując wykręcić się od służby w Wietnamie.

– Czy myślałeś może o Korpusie Pokoju? – spytała mnie pani Hoyt. Powiedziała, że pewnemu młodemu studentowi specjalizującemu się w angielskim poradziła zgłosić się właśnie tam. Został przyjęty jako nauczyciel angielskiego w Tanzanii. Przyznała, co prawda, że to szkoda, iż latem 1965 roku czerwoni Chińczycy wysłali blisko czterystu „doradców" do Tanzanii. Naturalnie, Korpus Pokoju wycofał się wtedy w pośpiechu. – Zastanów się nad tym. Nawet Tanzania to lepsze rozwiązanie niż Wietnam.

Odparłem, że się zastanowię. Ale wydawało mi się, że mam jeszcze tyle czasu! Tylko sobie wyobraźcie: student ostatniego roku, prawiczek – i czy taki młodzieniec może dać wiarę komuś, kto

twierdzi, że może on wybierać jedynie między Wietnamem a Tanzanią?

– Lepiej, żebyś w to uwierzył! – orzekła Hester.

Owego roku (luty 1966) Komisja Spraw Zagranicznych Senatu rozpoczęła transmitowane przez telewizję przesłuchania w sprawie wojny.

– Powinieneś porozmawiać z panią Hoyt – powiedziała babcia. – Nie chcę, żeby mój wnuczek miał cokolwiek wspólnego z tym bałaganem.

– Posłuchaj, John – zwrócił się do mnie Dan. – Tym razem nie powinieneś postępować tak samo jak Owen. Tym razem Owen popełnia błąd.

Wyjawiłem Danowi, jak przyczyniłem się do storpedowania planów Owena. Wspomniałem o swojej rozmowie z pułkownikiem Eigerem – o tym, że „równowaga emocjonalna" mego przyjaciela budzi wątpliwości i że zgadzam się z pułkownikiem, iż Owen nie nadaje się do oddziałów bojowych. Było mi okropnie wstyd, że to wszystko zrobiłem „za plecami Owena".

– Przecież nie możesz czuć się winny, że chciałeś mu uratować życie! – zauważył Dan.

Tak samo zareagowała Hester na wiadomość, że zdradziłem Owena wobec pułkownika Eigera.

– Jak możesz mówić o zdradzie? Jeśli go kochasz, to przecież nie możesz chcieć tego samego co on? Owen ma zupełnego bzika! – wykrzyknęła. – Jeśli wojskowi uznają, że „nie nadaje się do walki", może nawet nauczy się kochać tę pieprzoną armię!

Wtedy wszyscy zaczęli mi się wydawać „szaleni". Babcia całymi dniami i nocami mruczała tylko coś do telewizora. Zaczynała zapominać rzeczy i ludzi, których nie widziała w telewizji, a co gorsza, wszystkie rzeczy widziane w telewizji zapamiętywała precyzyjnie i bezmyślnie. Nawet Dan wydawał mi się lekko stuknięty. Jak długo można żywić entuzjazm do teatru amatorskiego, a zwłaszcza do kwestii, jaka rola z „Opowieści wigilijnej" najbardziej pasuje panu Fishowi? I chociaż gazownia nie zaskarbiła sobie mojej sympatii, wywalając z pracy panią Hoyt, wydawało mi się, że i ona ma nie po kolei w głowie. A ci „patrioci" z naszego miasta, którzy

uczestniczyli w akcie wandalizmu, niszcząc samochód pani Hoyt i garaż, byli jeszcze bardziej zwariowani niż ona. To samo rektor Wiggin i jego żona Barbara – ci zawsze mieli fioła. Teraz twierdzili, że Bóg „udziela poparcia" wojskom amerykańskim przebywającym w Wietnamie. Co z kolei znaczyło, że niepopieranie obecności tych wojsk jest zarówno antyamerykańskie, jak i skierowane przeciw Bogu. I chociaż wielebny Lewis Merrill był – razem z Danem – głównym rzecznikiem ruchu przeciw wojnie na Akademii Gravesend, nawet on mi się wydawał szalony. Tyle mówił o pokoju, a nie udało mu się nic wskórać z Owenem Meanym.

Naturalnie, najbardziej szalony w całym tym towarzystwie był Owen. O ile się zorientowałem, między Owenem i Hester wszystko układało się raz tak, raz tak (to znaczy nie wiadomo było, kto jest bardziej szalony – on czy ona), jednakże biorąc pod uwagę fakt, że Owen chciał dostać się do oddziałów bojowych, to chyba w tej rywalizacji szaleństwa zwyciężał on.

– Dlaczego chcesz zostać bohaterem? – pytałem go.

– Ty tego nie rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem.

Zaczęła się wiosna 1966, byliśmy na ostatnim roku uniwersytetu. Zostałem już przyjęty na studia podyplomowe na Uniwersytecie New Hampshire. Co najmniej przez najbliższy rok nie chciałem się nigdzie ruszać. Miałem w garści swoje odroczenie i nie zamierzałem z niego zrezygnować. Owen wypełnił już kartę preferencji służby wojskowej – nazywał to kartą marzeń. W swoim kwestionariuszu personalnym zaznaczył, że „zgłasza się na ochotnika, by służyć za granicą". W obu formularzach podkreślił, że chce jechać do Wietnamu; piechota, wojska pancerne albo artyleria – wymieniał preferowane formacje w takiej kolejności. Nie miał większej nadziei. Skończył KSOR z drugorzędną lokatą i wojsko nie było zobowiązane uwzględnić jego upodobań. Przyznał, że nikt, nawet pułkownik Eiger, specjalnie go nie zachęcał do odwołania się od decyzji przydziału do Korpusu Adiutanckiego na oddziały bojowe.

– Wojsko daje ci złudzenie, że masz wolność wyboru. To taki sam wybór, jak każdy inny. – Czekając na zmianę przydziału, powtarzał w kółko te wszystkie idiotyczne określenia, w jakich lubowano się

w Departamencie Armii: szkolenie komandosów, szkolenie lotnicze, szkolenie sił specjalnych. Kiedy któregoś dnia powiedział coś o szkole skakania czy szkole dżungli, Hester zwymiotowała.

– Dlaczego w ogóle chcesz tam jechać? – wrzasnąłem na niego.

– Wiem, że tam jadę. To nie jest kwestia moich zachcianek.

– Chciałbym to dobrze zrozumieć. Wiesz, że jedziesz dokąd?

– Do Wietnamu.

Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz – rzekła Hester. – Spytaj go, skąd wie, że jedzie do Wietnamu.

– Skąd wiesz, że jedziesz do Wietnamu? – spytałem. Wydawało mi się, że znam odpowiedź – to na pewno sen, i dlatego przeszły mnie ciarki.

Siedzieliśmy z Owenem na drewnianych krzesłach w kuchni Hester, gdzie łaziły karaluchy. Hester przyrządzała sos pomidorowy. Nie gotowała rewelacyjnie. W kuchni nadal unosił się cebulowo-kwaśny zapach poprzednich sosów pomidorowych w jej wykonaniu. Podsmażała cebulę na taniej oliwie w żelaznej rynience. Potem dorzucała do tego puszkę pomidorów. Dodawała wody, bazylii, oregano, soli, czerwonej papryki, a czasami wrzucała też jakąś kość, która została od kotletów wieprzowych, baranich bądź wołowych. Później to wszystko redukowała do objętości puszki pomidorów. Następnie dość gęstą papkę wyrzucała na makaron, który był przeważnie rozgotowany. Niekiedy zaskakiwała nas, robiąc jakąś sałatkę; przyprawiała ją zbyt dużą ilością octu i tą samą oliwą, na której smażyła cebulę.

Czasami po kolacji słuchaliśmy muzyki, leżąc na kanapie, albo Hester nam śpiewała. Jednakże kanapa była w tej chwili mało zachęcająca. A to z tego względu, że Hester zlitowała się nad jednym z bezdomnych psów w Durham. Kundel odwdzięczył się jej za to, zostawiając na kanapie armię pcheł. Hester i ja uważaliśmy, że Owen takiego życia nie docenia.

– Nie chcę być bohaterem – rzekł. – To znaczy ja nie chcę być bohaterem – ja jestem bohaterem. Wiem, że jestem. Że mam nim właśnie zostać.

– Skąd wiesz? – spytałem.

– Wcale nie chcę jechać do Wietnamu – ja tam muszę pojechać. I tam mam zostać bohaterem. I tam muszę być.

– Powiedz mi, dupku, skąd to „wiesz”! – wrzasnęła Hester.

– Wiem tak, jak inni wiedzą niektóre rzeczy – jakie są, na przykład, ich obowiązki, przeznaczenie czy los. W ten sam sposób, w jaki się wie, czego Bóg chce od człowieka.

– To Bóg chce, żebyś jechał do Wietnamu? – spytałem.

Hester wybiegła z kuchni i zamknęła się w łazience. Zaczęła napuszczać wody do wanny.

– Nie będę słuchać tych idiotyzmów; już nigdy więcej! Powiedziałam ci! – krzyknęła.

Kiedy Owen wstał od kuchennego stołu, żeby zmniejszyć płomień pod sosem pomidorowym, z odgłosów dobiegających z łazienki mogliśmy się zorientować, że Hester rzyga.

– Chodzi o ten sen, prawda? – spytałem. Zamieszał sos, tak jakby się na tym znał. – Czy pastor Merrill ci mówi, że Bóg chce, żebyś jechał do Wietnamu? Czy coś takiego mówi ci ojciec Findley?

– Oni twierdzą, że to tylko sen!

– Ja też tak uważam; nawet nie wiem, o czym śnisz, ale to tylko sen.

– Tyle że ty nie masz wiary. I na tym polega twój problem.

Z łazienki dochodziły odgłosy iście sylwestrowe. Sos pomidorowy perkotał na wolnym ogniu.

Owen potrafił czasami okazać spokój, który mnie nigdy się nie podobał. Jeśli mu się coś takiego zdarzało, gdy ćwiczyliśmy strzał, nie miałem ochoty go dotykać; czułem się bardzo dziwnie, podając mu piłkę. A jeśli już musiałem go dotknąć, kiedy go podnosiłem, czułem się tak, jakbym trzymał istotę nie do końca ludzką ani nie do końca rzeczywistą. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby obrócił się w powietrzu – w moich rękach – i mnie ugryzł. Albo że kiedy bym go puścił, po prostu dalej by leciał.

– To tylko sen – powtórzyłem.

– Ale to nie jest twój sen.

– Nie bądź taki nieśmiały i przestań się bawić ze mną w kotka i myszkę.

– Wcale się nie bawię. Czy zgłaszałbym się do służby czynnej, gdybym się chciał bawić?

– Czy w tym twoim śnie jesteś bohaterem? – próbowałem drążyć dalej.

– Ratuję dzieci. Całe mnóstwo dzieci.

– Dzieci?

– We śnie to nie są żołnierze, ale dzieci.

– Wietnamskie dzieci?

– Dlatego wiem, gdzie jestem – to na pewno wietnamskie dzieci. A ja je ratuję. Nie zadawałbym sobie tyle trudu, gdybym miał ratować żołnierzy!

– Owen, to dziecinada! – orzekłem. – Nie powinno się wierzyć we wszystko, co nam przyjdzie do głowy. Nie możesz na podstawie snu twierdzić, że wiesz, co masz zrobić!

– To nie na tym dokładnie polega wiara – odrzekł, kierując uwagę na sos pomidorowy. – Nie we wszystko wierzę, co mi przychodzi do głowy. Wiara jest trochę bardziej wybiórcza.

Przypuszczam, że niektóre sny również są bardziej wybiórcze. Owen zapalił gaz pod dużym garnkiem wody na makaron, tak jakby odgłosy dobiegające z łazienki oznaczały, że Hester niedługo wróci apetyt. Potem wszedł do jej sypialni i wyciągnął swój dziennik. Nie dał mi go do ręki. Po prostu odnalazł fragment, którego szukał, i zaczął go odczytywać na głos. Nie wiedziałem, że ta część jest już przeredagowana. W tekście ani razu nie pojawia się słowo „sen”, tak jakby nie opisywał snu, ale coś, co widział z dużo większą wyrazistością, coś konkretnego – tak jakby opisywał przebieg wydarzeń, których był świadkiem. Jednocześnie zachowywał dystans do tego, co widział, jak ktoś, kto patrzy przez okno. Stylem nie przypominał zjadliwości Głosu. Za to pewność i powaga, z jaką pisał, przywodziły mi na myśl beznamiętny, co najmniej mało entuzjastyczny reportaż dokumentalny, nieco w stylu tych partii Biblii, w których autor nie ma wątpliwości.

NIGDY NIE SŁYSZĘ WYBUCHU, TYLKO JEGO NASTĘPSTWA. DZWONI MI W USZACH. I SŁYSZĘ TE WYSOKIE PRZERYWANE DŹWIĘKI GORĄCEGO SILNIKA PO WYŁĄCZENIU. SPADAJĄ FRAGMENTY NIEBA I KAWAŁKI CZEGOŚ BIAŁEGO SPŁYWAJĄ JAK

ŚNIEG – MOŻE TO PAPIER, A MOŻE GIPS. W POWIETRZU MIGAJĄ TEŻ SREBRNE ISKIERKI – CHYBA ROZBITE SZKŁO. JEST RÓWNIEŻ I DYM, I SWĄD SPALENIZNY. NIE MA PŁOMIENI, ALE WSZYSTKO SIĘ TLI.

LEŻYMY NA PODŁODZE. WIEM, ŻE DZIECIOM NIC SIĘ NIE STAŁO, PONIEWAŻ JEDNO PO DRUGIM PODNOSZĄ SIĘ. WYBUCH MUSIAŁ BYĆ GŁOŚNY, BO NIEKTÓRE NADAL TRZYMAJĄ DŁONIE PRZY USZACH – USZY IM KRWAWIĄ. NIE MÓWIĄ PO ANGIELSKU, ALE ICH GŁOSY TO PIERWSZY LUDZKI ODGŁOS, JAKI ROZLEGA SIĘ PO WYBUCHU. MŁODSZE DZIECI PŁACZĄ. ALE STARSZE ROBIĄ WSZYSTKO, ŻEBY IM POMÓC – GADAJĄ JAK NAJĘTE, TRAJKOCZĄ. TO USPOKAJA.

Z TEGO, JAK NA MNIE PATRZĄ, DOMYŚLAM SIĘ DWÓCH RZECZY: PO PIERWSZE, TEGO, ŻE JE OCALIŁEM – CHOĆ NIE WIEM JAK – I PO DRUGIE, ŻE SIĘ BOJĄ O MNIE. ALE JA SIEBIE NIE WIDZĘ. NIE WIEM, CO SIĘ ZE MNĄ DZIEJE. Z TWARZY DZIECI WYCZYTUJĘ, ŻE COŚ JEST NIE TAK.

NAGLE ZJAWIAJĄ SIĘ ZAKONNICE. PINGWINY GAPIĄ SIĘ W DÓŁ NA MNIE – JEDNA SIĘ NADE MNĄ NACHYLA. NIE SŁYSZĘ, CO DO NIEJ MÓWIĘ, ALE WYGLĄDA NA TO, ŻE MNIE ROZUMIE. BYĆ MOŻE MÓWI PO ANGIELSKU. JEDNAKŻE DOPIERO KIEDY MNIE BIERZE W RAMIONA, WIDZĘ CAŁĄ TĘ KREW NA JEJ HABICIE. PATRZĘ NA ZAKONNICĘ, A W TYM CZASIE HABIT NIE PRZESTAJE SIĘ CZERWIENIĆ. KREW PRYSKA JEJ NA TWARZ, ALE ONA SIĘ NIE BOI. TWARZE DZIECI WPATRZONYCH WE MNIE PRZEPEŁNIA STRACH, JEDNAK ZAKONNICY, KTÓRA MNIE TRZYMA W RAMIONACH, NIE OPUSZCZA SPOKÓJ.

NATURALNIE, TO MOJA KREW – ZALEWA JĄ MOJA KREW – ALE ONA JEST BARDZO SPOKOJNA. KIEDY WIDZĘ, ŻE MA ZAMIAR WYKONAĆ NADE MNĄ ZNAK KRZYŻA, PRÓBUJĘ WYCIĄGNĄĆ RĘKĘ, BY JĄ POWSTRZYMAĆ. ALE NIE MOGĘ. TAK, JAKBYM NIE MIAŁ RĄK. ZAKONNICA SIĘ DO MNIE UŚMIECHA. GDY JUŻ MNIE PRZEŻEGNAŁA, PO PROSTU ICH OPUSZCZAM – OPUSZCZAM. SĄ DOKŁADNIE W TYM SAMYM MIEJSCU, CO PRZEDTEM, NADAL PATRZĄ NA MNIE W DÓŁ. JEDNAK MNIE TAM JUŻ NIE MA. JA SAM TEŻ PATRZĘ W DÓŁ NA SIEBIE. WYGLĄDAM TAK JAK WTEDY, KIEDY

BYŁEM DZIECIĄTKIEM JEZUS – PAMIĘTASZ TE IDIOTYCZNE POWIJAKI? WŁAŚNIE TAK WYGLĄDAM, KIEDY ICH OPUSZCZAM.

TERAZ WSZYSCY LUDZIE ROBIĄ SIĘ MALUTCY – NIE TYLKO JA, RÓWNIEŻ ZAKONNICE I DZIECI. JESTEM WYSOKO, ONI JEDNAK NIE PATRZĄ DO GÓRY. NADAL PATRZĄ W DÓŁ, NA TO, CO KIEDYŚ BYŁO MNĄ. I WKRÓTCE JESTEM PONAD WSZYSTKIM. PALMY SĄ PROSTE I WYSOKIE, ALE SZYBKO ZNAJDUJĘ SIĘ PONAD PALMAMI. NIEBO I PALMY SĄ TAKIE PIĘKNE, LECZ JEST BARDZO GORĄCO – POWIETRZE JEST GORĘTSZE NIŻ W JAKIMKOLWIEK INNYM MIEJSCU, W JAKIM BYŁEM. WIEM, ŻE NIE JESTEM W NEW HAMPSHIRE.

Nie powiedziałem ani słowa. Zaniósł dziennik do sypialni Hester, zamieszał sos pomidorowy, zajrzał pod pokrywkę garnka z wodą, żeby sprawdzić, czy już się gotuje. Potem podszedł do drzwi łazienki i zastukał. W środku panowała cisza.

– Za chwilę wychodzę – rzuciła Hester.

Owen wrócił do kuchni i zasiadł ze mną przy stole.

– To tylko sen – rzekłem. Złożył dłonie i patrzył na mnie cierpliwie. Przypomniał mi się ten moment, kiedy odwiązał linę ubezpieczającą, gdy pływaliśmy w starych kamieniołomach. Przypomniało mi się, jaki był zły, że nie wskoczyliśmy natychmiast do wody, by go ratować.

– Pozwoliliście mi utonąć! Nie kiwnęliście nawet palcem! Patrzyliście, jak idę na dno! Ja już nie żyję! Zapamiętajcie sobie: to wy mi pozwoliliście umrzeć! – powiedział wtedy.

– Owen, jesteś niezwykle czuły na punkcie katolików. Dlaczego ci się nie śniło, że zakonnica to twój własny Anioł Śmierci?

Popatrzył na dłonie złożone na stole. Słyszeliśmy, jak Hester wypuszcza wodę z wanny.

– To tylko sen – powtórzyłem. Wzruszył ramionami. W stosunku Owena do mnie wyczuwałem tę samą mieszaninę współczucia i pogardy, jaką zobaczyłem na jego twarzy, gdy Latający Jankes przejeżdżał mostem Maiden Hill dokładnie wtedy, gdy pod nim przechodziliśmy, a ja uznałem, że to „zbieg okoliczności”.

Hester wyszła z łazienki zawinięta w jasnożółty ręcznik, niosąc w ręku ubranie. Przeszła do sypialni, nawet na nas nie spojrzawszy.

Zamknęła drzwi i słyszeliśmy, jak przetrząsa kolejne szuflady i jak wieszaki w szafie protestują, że tak obcesowo się z nimi obchodzi.

– Masz bardzo twórczą wyobraźnię – zacząłem. – Ale ten sen to stereotyp. Sen jest głupi. Idziesz do wojska, w Wietnamie trwa wojna. Czy myślisz, że śniłoby ci się, że ratujesz amerykańskie dzieci? To zrozumiałe, że będą tam palmy. A czego oczekiwałeś – igloo?

Hester wyszła z sypialni w świeżym ubraniu. Wycierała ręcznikiem włosy. Przebrała się właściwie w identyczne rzeczy; to samo miała na sobie przedtem – włożyła inną parę dżinsów i inny rozciągnięty sweter. Moja kuzynka przebierała się co najwyżej z czarnych ciuchów w granatowe i na odwrót.

– Nie możesz wierzyć, że Bóg chce, abyś wyjechał do Wietnamu ratować te dzieci, które widzisz we śnie!

Ani mi nie przytaknął, ani nie wzruszył ramionami. Siedział tak bez ruchu, wpatrując się w złożone na stole dłonie.

– Właśnie tak myśli, trafiłeś w samo sedno – oświadczyła Hester. Chwyciła wilgotny żółty ręcznik, zwinęła go ściśle w coś, co kiedyś nazywaliśmy „szczurzym ogonem", i machnęła nim tuż przed twarzą Owena. Ale on ani drgnął. – Prawda, zgadza się, ty dupku? – krzyknęła i machnęła mu ręcznikiem przed nosem. A potem rozwinęła ręcznik i zaatakowała Owena, zarzucając mu ręcznik na głowę. – Myślisz, że Bóg chce, żebyś jechał do Wietnamu, prawda? – wrzeszczała.

Zepchnęła go z krzesła, nadal trzymając mu głowę zawiniętą w ręcznik, położyła się ukosem na jego piersi, przygniatając go do kuchennej podłogi i okładając jednocześnie po twarzy pięścią wolnej ręki. Wierzgał nogami, usiłował chwycić ją za włosy. Ale Hester musiała ważyć co najmniej piętnaście kilo więcej niż on i waliła go z całej siły. Kiedy zobaczyłem krew nasączającą żółty ręcznik, chwyciłem ją w pasie i próbowałem odciągnąć.

Nie było to takie proste. Musiałem ścisnąć Hester za gardło grożąc, że ją uduszę, zanim przestała walić jego i próbowała uderzyć mnie. Była bardzo silna i wpadła w histerię. Usiłowała powtórzyć numer z zarzuceniem ręcznika na mojej głowie, ale Owenowi udało się wyswobodzić i chwycił Hester za kostki. Później przyszła jego kolej

i on próbował zrzucić Hester ze mnie. Leciała mu krew z nosa. Krwawiła też dolna rozcięta warga, która mu opuchła. Wspólnymi siłami udało nam się jednak zapanować nad dziewczyną. Owen usiadł jej z tyłu na nogach, a ja ukląkłem pomiędzy łopatkami i trzymałem ramiona Hester wyprostowane wzdłuż boków. Nawet w takiej pozycji mogła jeszcze rzucać głową – próbowała mnie ugryźć, a kiedy się to nie udało, zaczęła nią walić o posadzkę w kuchni, aż i jej zaczął krwawić nos.

– Ty mnie nie kochasz, Owen! – krzyczała. – Gdybyś mnie kochał, nie jechałbyś tam – nawet za cenę wszystkich pieprzonych dzieci tego świata! Nie jechałbyś, gdybyś mnie kochał!

Nie puściliśmy jej, dopóki nie zaczęła płakać i nie przestała walić głową o podłogę.

– Lepiej sobie idź! – poradził mi Owen.

– Nie, to ty lepiej stąd idź – rzuciła Hester do Owena. – Spieprzaj, i to czym prędzej!

Wziął więc dziennik z sypialni Hester i wyszliśmy razem. Był ciepły wiosenny wieczór. Ruszyłem za pomidorowoczerwonym pikapem nad morze. Wiedziałem, dokąd jedzie. Zorientowałem się, że chce przysiąść na falochronie w Rye Harbor. Falochron powstał z odpadów granitowych z Kamieniołomów Meanych. Owen uważał, że dlatego ma tam prawo siadać. Z falochronu dobrze widać malusieńki port. Była wczesna wiosna i na wodę nie spuszczono jeszcze dużo łódek. Wszystko wyglądało trochę inaczej niż latem, kiedy tu zwykle przychodziliśmy.

Tego lata i tak miało być inaczej. Ponieważ jesienią zaczynałem zajęcia z eseistyki na Akademii, postanowiłem nie pracować latem. Nawet pół etatu na Akademii spokojnie pokryje moje wydatki związane z dalszą nauką. Posada na pół etatu – i to przez okrągły rok szkolny – była ciekawszą propozycją niż robota w kamieniołomach.

Poza tym babcia dała mi trochę pieniędzy, a Owen miał być w wojsku. Zdecydował się na miesięczny urlop między otrzymaniem dyplomu a rozpoczęciem służby w stopniu podporucznika. Zastanawialiśmy się, czyby może razem gdzieś nie pojechać. Poza

wyjazdem na obóz szkoleniowy do Fort Knox czy Bragg Owen nigdy nie wyściubił nosa poza Nową Anglię. Ja zresztą też nie.

– Powinniście obaj pojechać do Kanady! – sugerowała Hester. – I tam zostać!

Fale uderzały o falochron. Kałuże wody stały uwięzione między skałami poniżej miejsca, do którego dochodził przypływ. Owen wsadził nos do wody. Nos mu przestał krwawić, ale wargę miał rozciętą porządnie – nadal leciała z niej krew. Także nad jedną z brwi dostrzegłem sporą śliwę. Oczy miał podbite, jedno bardziej – tak zapuchło, że stanowiło tylko wąską szparkę.

– Uważasz, że Wietnam jest niebezpieczny! Pomieszkałbyś trochę z Hester!!

Nieprawdopodobne! Czy ktokolwiek mógłby żyć z Owenem Meanym, wiedząc to, co jemu się wydawało, że wie, i nie mieć ochoty sprać go na kwaśne jabłko?

Siedzieliśmy na falochronie, aż zapadł zmrok i komary zaczęły nam się dawać we znaki.

– Jesteś głodny? – spytałem.

Wskazał na dolną wargę, która nie przestawała krwawić.

– I tak chyba nie mógłym jeść, ale pójdę z tobą.

Poszliśmy do jednej z tych restauracyjek z mięczakami przy „plaży". Zjadłem całe mnóstwo smażonych mięczaków, a Owen w tym czasie sączył przez słomkę piwo. Kelnerka nas znała – była studentką z Uniwersytetu New Hampshire.

– Może powinieneś zeszyć sobie tę wargę, zanim ci odpadnie? – poradziła Owenowi.

Pojechaliśmy do izby przyjęć szpitala w Gravesend – Owen pikapem, a ja za nim swoim volkswagenem. Nie było większego ruchu – bo to ani lato, ani weekend – więc nie musieliśmy zbyt długo czekać. Doszło do dyskusji w kwestii uregulowania rachunku za udzieloną pomoc.

– A jeśli nie mam pieniędzy? Czy to znaczy, że mi nie pomożecie?

Zaskoczyło mnie, że nie ma ubezpieczenia. Okazało się, że rodzina nie wykupiła polisy, a on nie uiścił nawet tej niewielkiej sumy, jaką wpłacali inni studenci do kasy zapomogowej. Stanęło na tym, że poleciłem przesłać rachunek mojej babci. Wszyscy znali Harriet

Wheelwright, nawet sekretarka w izbie przyjęć, zatelefonowała więc do niej, i wreszcie zgodzono się na tę formę zapłaty.

– Co za kraj! – mówił Owen Meany, podczas gdy niezbyt pewny siebie młody lekarz (nie był Amerykaninem) zakładał mu pięć szwów na dolnej wardze. – W wojsku przynajmniej będę miał ubezpieczenie!

Owen oświadczył, że wstyd mu było znowu brać pieniądze od babci. „Już i tak dała mi więcej, niż na to zasługuję!".

Gdy przybyliśmy na Front Street, wyłonił się nowy problem.

– Wielkie nieba, Owen! – zakrzyknęła babcia. – Ty się z kimś biłeś!

– Po prostu spadłem ze schodów – wyjaśnił.

– Dlaczego kłamiesz, Owenie Meany?

– Zostałem zaatakowany przez gang młodocianych na Hampton Beach.

– Dlaczego kłamiesz? – powtórzyła babcia.

Widziałem, że Owen zastanawia się, jakie wrażenie zrobi na babci, mówiąc, iż to jej wnuczka sprała go na kwaśne jabłko. Hester, oprócz tego, że zdarzało jej się rzygać, w obecności babci zachowywała się dość potulnie.

– To on – wskazał na mnie Owen.

– Wielkie nieba! Powinieneś się wstydzić! – zwróciła się do mnie Harriet Wheelwright.

– Nie chciałem. Nie biliśmy się tak naprawdę, tylko dla zabawy.

– Było ciemno – dodał Owen. – Nie widział mnie zbyt dokładnie.

– Mimo wszystko powinieneś się wstydzić! – powtórzyła babcia.

– Rozumiem.

To drobne nieporozumienie najwyraźniej poprawiło Owenowi humor. Babcia zaczęła dosłownie koło niego skakać; wezwała Ethel, żeby ta sprokurowała coś pożywnego, co należało zmiksować – świeży ananas, banan, trochę lodów, odrobinę drożdży do piwa. „Coś, co ten biedak mógłby wypić przez słomkę!".

– Może bez drożdży – wtrącił się Owen.

Babcia poszła spać, a my zasiedliśmy przed telewizorem, żeby obejrzeć nocny film. Owen zaczął się naśmiewać z mojej nowej reputacji rozbójnika. Pokazywali obraz, który miał chyba ze dwadzieścia lat – „Księżyc nad Miami" z Betty Grable. Muzyka

i scenografia przywiodła mi na pamięć „Gaj Pomarańczowy” i matkę, która tam wcielała się w piosenkarkę znaną jako Dama w Czerwieni. Pewnie już nic nowego na ten temat się nie dowiem.

– Pamiętasz tę sztukę, którą kiedyś zamierzałeś napisać? – spytałem Owena. – O tym klubie i Damie w Czerwieni?

– Jasne. Nie chciałeś, żebym ją napisał.

– Myślałem, że i tak to zrobiłeś.

– Zaczynałem ją, i to kilka razy. Okazało się, że zmyślanie jest dużo trudniejsze, niż przypuszczałem.

„W Księżycu nad Miami” grali Carole Landis i Don Ameche. Pamiętacie? To film o polowaniu na męża na Florydzie.

– Jeśli ci na czymś zależy, to musisz się nauczyć nie spuszczać sprawy z oka – powiedział Owen, którego twarz podświetlał jedynie blask z ekranu telewizora. – Musisz tego pilnować przez cały czas. I starać się doprowadzić do końca. Założę się, że nawet nie zadałeś sobie trudu, żeby zajrzeć do książki telefonicznej i sprawdzić, czy nie ma tam Wolniachy.

– To przecież pseudonim.

– Ale jedyne nazwisko, jakie mamy.

– Nie, nie sprawdziłem.

– A widzisz? Okazuje się, że jest kilku Wolniachów – żaden z nich nie ma na imię Buch.

– Może Buch to tylko zdrobnienie – dodałem, już żywiej zainteresowany.

– Żaden z Wolniachów, z którymi rozmawiałem, nigdy nie słyszał o kimś, kto ma tak na imię. A domy starców nie chcą ujawniać listy nazwisk. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo przestępcy mogliby się w ten sposób dowiedzieć, kto już nie mieszka u siebie. Jeśli dane nazwisko figuruje w książce telefonicznej, a mieszkanie tego człowieka nie zostało zajęte przez kogoś innego, to wtedy złodziejowi trafia się gratka – właściciela nie ma w domu. Dlatego właśnie w domach starców nie ujawniają nazwisk pensjonariuszy. Ciekawe, prawda? O ile to oczywiście prawda.

– No tak, dużo zrobiłeś w tej sprawie – zauważyłem, na co wzruszył ramionami.

– Przejrzałem też książkę teleadresową, zwłaszcza tych lokali, gdzie dają „muzykę na żywo". Nigdzie, w całym Bostonie nie słyszeli o Wielkim Buchu Wolniasze. To było tak dawno temu, że pewnie już nie żyje!

– Wyobrażam sobie twój rachunek telefoniczny!

– Dzwoniłem od Hester.

– Ciekawe, że za coś takiego nie sprała cię na kwaśne jabłko.

– Sprała – Owen odwrócił twarz od błyszczącego ekranu. – Nie powiedziałem jej, w jakiej sprawie dzwonię, i doszła do wniosku, że mam inną dziewczynę.

– A dlaczego nie masz? – spytałem, a on ponownie wzruszył ramionami.

– Nie przez cały czas mnie bije.

I co mogłem powiedzieć? Sam nie miałem nawet dziewczyny.

– Powinniśmy zaplanować wyjazd – zacząłem. – Przed nami trzydzieści dni wolnego. Dokąd pojedziemy?

– Gdzieś, gdzie jest ciepło – odparł.

– W czerwcu wszędzie jest ciepło – zauważyłem.

– Chciałbym pojechać tam, gdzie rosną palmy.

Przez chwilę oglądaliśmy „Księżyc nad Miami" w milczeniu.

– Moglibyśmy pojechać samochodem na Florydę.

– Ale nie pikapem. Nie dojedzie.

– Można by wziąć mojego volkswagena. Garbusem dotelepalibyśmy się nawet do Kalifornii.

– A gdzie byśmy spali? Nie stać mnie na motele.

– Pewnie babcia mogłaby nam coś pożyczyć.

– Już dosyć od niej wziąłem.

– No to ja mógłbym ci pożyczyć.

– Na to samo wychodzi.

– Moglibyśmy wziąć namiot i śpiwory – zaproponowałem. – Spalibyśmy w namiocie.

– Zastanawiałem się nad tym. Jeśli mielibyśmy dużo sprzętu turystycznego, lepiej byłoby pojechać pikapem. Ale on padłby pod naszym ciężarem i na takim dystansie.

Czy było coś, o czym Owen Meany nie pomyślał, zanim mnie to przyszło do głowy?

– Nie musimy wcale jechać tam, gdzie są palmy. Tylko tak sobie powiedziałem – wycofywał się.

Nie mieliśmy odpowiedniego nastroju do oglądania „Księżyca nad Miami". Taką historię o polowaniu na męża można oglądać, tylko kiedy się ma odpowiedni nastrój... Owen poszedł do pikapa po latarkę. Potem ruszyliśmy Front Street do Linden Street – minęliśmy szkołę średnią i dotarliśmy do cmentarza. Noc nadal była ciepła, a grób mamy wyglądał całkiem ładnie. Babcia zasadziła rządek krokusów, żonkili i tulipanów, tak że nawet wiosną grób wyglądał kolorowo. Upodobanie babci do róż rzucało się w oczy; doskonale przycięty krzak sztywno trzymał kratkę, która stała jak wygodny podgłówek dokładnie za grobem. Owen przejechał światłem latarki po ostrych krawędziach nagrobka. Widziałem już lepszą kamieniarską robotę; Owen znacznie lepiej dawał sobie z tym radę. Przypuszczam jednak, że kiedy mama zmarła, był za młody, żeby oszlifować płytę.

– Ojciec nigdy nie nauczył się dobrze posługiwać kołem diamentowym – zauważył.

Dan Needham postawił niedawno bukiet świeżych kwiatów przed nagrobkiem, ale mimo to mogliśmy dostrzec napis i daty.

– Miałaby teraz czterdzieści trzy lata. Możesz to sobie wyobrazić?

– Byłaby nadal piękna.

Gdy szliśmy z powrotem Linden Street, pomyślałem, że moglibyśmy pojechać „na Wschód", jak mówią mieszkańcy New Hampshire, to znaczy wzdłuż wybrzeża Maine aż do Nowej Szkocji.

– Czy pikapem zajedziemy do Nowej Szkocji? – spytałem. – Moglibyśmy sobie wyruszyć spokojnie i pojechać wzdłuż Maine, bez pośpiechu, nie przejmując się tym, kiedy dotrzemy, nie martwiąc się, czy w ogóle tam dojedziemy – myślisz, że pikap by wytrzymał?

– Zastanawiałem się nad tym. Tak, coś takiego dałoby się chyba zrobić, jeśli tylko nie będziemy pokonywać zbyt długich odcinków. A pikapem na pewno moglibyśmy zabrać cały potrzebny sprzęt. Namiot można by nawet rozstawić z tyłu, gdybyśmy kiedyś nie znaleźli suchego lub równego miejsca na rozbicie obozowiska.

– Wspaniale! Nigdy nie byłem w Nowej Szkocji. Nie znam też dalej położonego brzegu Maine!

Zatrzymaliśmy się na Front Street, żeby pogłaskać czyjegoś kota.

– Myślałem też o Sawyer Depot – rzekł Owen.

– Jak to?

– Przecież wiesz, że nigdy tam nie byłem.

– W Sawyer Depot nie ma naprawdę nic interesującego – zauważyłem ostrożnie. Nie przypuszczałem, by ciocia Marta i wuj Alfred przyjęli Owena z otwartymi ramionami. A biorąc pod uwagę ostatnie zajście z Hester, byłem ciekaw, co go w tym Sawyer Depot ciągnie.

– Po prostu chciałbym to miejsce zobaczyć. Tyle o nim słyszałem. A nawet jeśli Eastmanowie nie mieliby ochoty się ze mną spotkać, mógłbyś mi pokazać jezioro Loveless i hangar. Może także górę, z której zjeżdżaliście na nartach. I Firewatera.

– Firewater zdechł już wiele lat temu – wyjaśniłem.

– Ach, tak!

Podjazd babci wyglądał jak parking. Stał tam jej wysłużony cadillac, mój garbus i zakurzony czerwony pikap. A na samym końcu – stary, odziedziczony po innych członkach rodziny chevrolet Hester.

Dziewczyna pewnie przyjechała w poszukiwaniu Owena. Musiała zobaczyć pikapa na podjeździe i zajrzała do domu, spodziewając się zastać Owena w środku. Spała na kanapie. Jedyne światło w pokoju rzucały trupioszare odblaski telewizji, którą przełączyła na inny kanał. Okazuje się, że i Hester nie miała nastroju do oglądania „Księżyca nad Miami". Zasnęła przy „Księżnej Idaho".

– Hester nie znosi Esther Williams, chyba że ta pływa pod wodą – powiedział. Podszedł i usiadł obok dziewczyny. Musnął jej włosy, potem policzek. Zmieniłem kanał. Kino Nocne nigdy nie było ostatnią pozycją programu. W każdym razie już nie teraz. „Księżyc nad Miami" się skończył, za to zaczął się program z cyklu Spotkania po północy. John Wayne przeprowadzał „Operację Pacyfik".

– Hester nie znosi Johna Wayne'a – oświadczył Owen i w tym momencie moja kuzynka się zbudziła.

John Wayne w czasie drugiej wojny walczył na łodzi podwodnej przeciw Japończykom.

– Nie zamierzam oglądać filmu o wojnie. – Hester włączyła lampkę na stoliku przy kanapie i przyjrzała się uważnie szwom na wardze. – Ile? – spytała.

– Cztery.

Pocałowała go bardzo delikatnie w górną wargę, czubek nosa i kącik ust, ostrożnie omijając szwy. – Tak mi przykro! Kocham cię!

– Nic mi nie jest – odpowiedział Owen.

Przeleciałem wszystkie kanały, aż znalazłem coś interesującego – „Sherlock Holmes i strach nocą" z Basilem Rathbonem.

– Nie pamiętam, czy to już widziałam – odezwała się Hester.

– Ja wiem, że widziałem, ale za to nic nie pamiętam – zauważyłem.

– To ten z klejnotem w pociągu, niezły film – wyjaśnił Owen. Zwinął się na kanapie obok Hester. Położył głowę na jej brzuchu, a ona utuliła go w swych ramionach. Po kilku minutach już spał.

– Przycisz trochę – szepnęła Hester. Kiedy spojrzałem na nią, by sprawdzić, czy przyciszyłem dostatecznie, zobaczyłem, że płacze.

– Chyba pójdę spać. – Starałem się nie mówić za głośno. – Widziałem Sherlocka Holmesa setki razy.

– My jeszcze chwilę zostaniemy – odparła. – Dobranoc.

– On chce pojechać do Sawyer Depot.

– Wiem – odpowiedziała.

Długo leżałem, nie mogąc zasnąć. Usłyszałem głosy na podjeździe. Wstałem i przeszedłem do pustej sypialni mamy. Widziałem ich z okna. W pokoju mamy nigdy nie zaciągano zasłon – dlatego, że tak bardzo nie lubiła ciemności.

Już prawie świtało. Hester i Owen dyskutowali na temat powrotu do Durham.

– Pojadę za tobą – powiedziała.

– Nie, to ja pojadę za tobą – odrzekł.

Potem uzyskałem dyplom z anglistyki *cum laudea* na Uniwersytecie New Hampshire. Owen otrzymał dyplom bez wyróżnienia – podporucznik Paul O. Meany, Jr. specjalizacja: geologia. Nie dostał przydziału do oddziałów bojowych. Polecono mu się zgłosić do Fortu Benjamina Harrisona w Indianie, gdzie czekał go ośmio- bądź dziesięciotygodniowy kurs podstaw administracji potrzebny przed rozpoczęciem służby w Korpusie Adiutanckim. Następnie miał się

zgłosić do dowództwa służb łączności w Arizonie. Co prawda, później Armia mogła go wysłać w najróżniejsze miejsca w kraju, czy nawet do Sajgonu, niemniej teraz wyznaczono mu służbę za biurkiem.

– Podporucznik ma być dowódcą plutonu – oświadczył Owen. Naturalnie, musieliśmy z Hester ukrywać nasze zadowolenie. Nawet w Wietnamie liczba zabitych w Korpusie Adiutanckim nie była zbyt wielka. Wiedzieliśmy, że Owen nie da za wygraną. Co kilka miesięcy wypełniał kwestionariusz, prosząc o przeniesienie. Ponadto twierdził, że pułkownik Eiger dał mu nazwisko i numer telefonu kogoś w Pentagonie, pewnego majora, któremu podobno podlegają sprawy personalne oraz przydziały młodszych oficerów. Oboje z Hester doskonale wiedzieliśmy, że nie możemy nie doceniać zdolności Owena do manipulacji innymi.

Wydawało nam się jednak, że choć przez chwilę jest bezpieczny. Liczyliśmy na to, że z Armią Stanów Zjednoczonych nie pójdzie mu równie łatwo jak z dziecięcą szopką.

– Co tak naprawdę robi się w Korpusie Adiutanckim? – próbowałem go wypytać, ale nie chciał ze mną o tym rozmawiać.

– To tylko czasowy przydział – odrzekł.

Nie mogliśmy się z Danem powstrzymać od śmiechu. Przecież to zabawne, że musi przecierpieć kurs z podstaw administracji, gdy tymczasem oczyma wyobraźni widzi siebie, jak skacze z helikoptera z M-16 w ręku i maczetą wycina sobie drogę w dżungli. Owen był zły, choć nie przygnębiony. Rozdrażniony, ale zdecydowany.

Pewnego wieczoru szedłem przez campus Akademii Gravesend i zobaczyłem czerwonego pikapa zaparkowanego na kolistym podjeździe, z którego niegdyś wyniesiony został do chwały garbus doktora Doldera. Reflektory oświetlały potężny trawnik przed Gmachem Głównym. Na nim stało mnóstwo krzeseł oraz ławek z auli. Oceniłem, że przygotowano miejsc na jakieś pięćset osób. O tej porze roku nikt w Akademii nie spodziewał się deszczu. Krzesła i ławki wystawiono na doroczną uroczystość wręczania dyplomów. Jeśli miałoby padać – o zgrozo! – Akademia nie dysponowała żadnym dostatecznie dużym pomieszczeniem, w którym wszyscy by się pomieścili, z wyjątkiem sali gimnastycznej. Nawet Wielka Aula była za mała.

Uroczystość wręczania dyplomów odbyła się na dworze również tego roku, gdy ja otrzymywałem dyplom – w roku, w którym powinien był go otrzymać Owen, i kiedy to miał wygłosić mowę z tej okazji.

W szoferce pikapa siedziała Hester – sama. Skinęła na mnie, żebym wsiadł.

– A on gdzie? – spytałem. Ruchem głowy wskazała na ścieżkę oświetloną reflektorami. Za nie kończącymi się rzędami krzeseł i ławek stała prowizoryczna scena przykryta flagą Akademii Gravesend, a na niej kilka krzeseł dla honorowych gości i mówców. Na środku sceny znajdowało się podium, a na nim zobaczyliśmy Owena Meany'ego. Spoglądał przed siebie ponad rzędami pustych krzeseł. Najwyraźniej oślepiały go reflektory pikapa, ale światło było mu potrzebne, żeby odczytać mowę promocyjną.

– Nie chce, żeby go słyszano. Po prostu musi ją wygłosić – wyjaśniła Hester.

– Z przyjemnością bym jej wysłuchał. Może nam ją przeczytasz? – zagadnąłem, kiedy dosiadł się do nas w ciężarówce.

– To już przeszłość. Historia zakończona – odrzekł.

Wyruszyliśmy zatem na Północ. Do Sawyer Depot i nad jezioro Loveless. Wzięliśmy samochód Owena, ale nie zabraliśmy Hester. Zresztą nie jestem pewien, czy miała ochotę jechać. Zdobyła się na to, by porozmawiać z rodzicami. Wuj Alfred i ciocia Marta przyjęli mnie, jak zawsze, serdecznie, a dla Owena byli zupełnie uprzejmi, żeby nie powiedzieć serdeczni. Pierwszą noc spędziliśmy w domu Eastmanów w Sawyer Depot. Ja spałem w łóżku Noaha, który właśnie odbywał służbę w Korpusie Pokoju. Chyba uczył leśnictwa, a może „zarządzania obszarami leśnymi" – w Nigerii. O zajęciu Noaha wujek Alfred mówił jako o „przepustce" – Afryka oraz Korpus Pokoju stanowił dla Noaha „przepustkę" z Wietnamu.

Tego lata Simon zarządzał tartakiem; tyle razy odnosił najróżniejsze kontuzje kolana (najczęściej na nartach), że dla Simona „przepustką" była właśnie ta część ciała. Simon miał odroczenie 4-F. Uznano, że jest fizycznie niezdolny do służby.

– Staruszek Sam zostawi mnie w spokoju, chyba że ojczyznę zaatakuje wróg – wyjaśniał Simon.

O swoim kursie podstaw administracji w Korpusie Adiutanckim Owen mówił jako o zajęciu czasowym. Arizona też miała być czasowym miejscem pobytu. Wuj Alfred z szacunkiem odnosił się do decyzji mego przyjaciela, który pragnął wyjechać do Wietnamu, jednakże ciotka Marta w czasie eleganckiej kolacji zaczęła podawać w wątpliwość moralną stronę tej wojny.

– Ja także mam co do tego wątpliwości – odrzekł Owen. – Ale moim zdaniem, najpierw sam muszę na własne oczy coś zobaczyć, żeby nabrać pewności. Niewątpliwie zgadzam się ze zdaniem Kennedy'ego w kwestii wietnamskiej, które wygłosił jeszcze w roku 1963. Może przypominacie sobie państwo, że prezydent oświadczył wtedy: „Możemy im pomóc – możemy dać sprzęt, możemy wysłać doradców, ale to oni muszą wygrać. Oni, to znaczy naród wietnamski". Wydaje mi się, że takie stanowisko jest nadal aktualne. I chyba nikt nie ma wątpliwości, że „naród wietnamski" nie wygrywa tej wojny. To my ją próbujemy za nich wygrać.

Załóżmy jednak na chwilę, że wierzymy w oficjalnie głoszone cele administracji Johnsona w sprawie Wietnamu i że je popieramy. Zgadzamy się, że należy przeciwstawić się agresji komunistycznej w południowym Wietnamie – niezależnie od tego, czy jej źródłem jest Wietnam Północny czy Wietkong. Popieramy stanowisko, że Wietnam Południowy powinien mieć możliwości samostanowienia. Pragniemy także pokoju w południowo-wschodniej Azji. Jeśli taki cel nam przyświeca, dlaczego dążymy do eskalacji wojny?

Wygląda na to, że w Sajgonie nie ma rządu, który mógłby sobie poradzić bez nas. Czy Wietnamczykom z południa podoba się wojskowa junta marszałka Ky? Naturalnie, Hanoi i Wietkong nie będą negocjować pokojowego rozwiązania konfliktu, jeśli wydaje im się, że mogą wygrać wojnę! Stany Zjednoczone mają rację, utrzymując w południowym Wietnamie swoje siły po to, by przekonać Hanoi oraz Wietkong, iż nigdy nie uda im się odnieść militarnego zwycięstwa. Ale co nam daje bombardowanie Północy?

Jeśli faktycznie chcemy działać zgodnie z tym, co mówimy, jeśli chcemy, żeby Wietnam Południowy miał możność samostanowienia, powinniśmy chronić Wietnam Południowy przed atakiem. Wydaje się jednak, że my atakujemy cały kraj – i to z powietrza! Jeśli chroniąc

ten kraj przed komunizmem, zrównamy go z ziemią, to co za ochrona?

Moim zdaniem, na tym polega problem – oświadczył Owen. – Ale chciałbym sam się o tym przekonać.

Wuj Alfred nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Rozumiem – rzekła ciocia Marta. Obydwoje pozostawali pod silnym wrażeniem przemowy Owena. Zdałem sobie sprawę, że jednym z powodów, dla których Owen chciał przyjechać do Sawyer Depot, była chęć oczarowania rodziców Hester. Ja już wcześniej miałem okazję słyszeć poglądy Owena na temat Wietnamu. Nie należały do zbyt oryginalnych – chyba zapożyczył je z jakiejś wypowiedzi Arthura Schlesingera, Jr. Jednakże ich prezentacja w wykonaniu mego przyjaciela była niewątpliwie wspaniała. Zacząłem wtedy tylko żałować, że Hester nigdy tak naprawdę nie starała się zrobić większego wrażenia na wujku Alfredzie i cioci Marcie, a także, że sama nie miała o nich lepszego mniemania.

Kiedy kładliśmy się spać, słyszałem, jak Owen gada z ciocią Martą, która umieściła go w pokoju Hester. Wypytywał się o poszczególne misie, lalki, maskotki.

– Ile miała lat, kiedy jej się ten podobał? A to pewnie jest jeszcze z okresu Firewathera?

– Owen wcale się nie zmienił. Prawda, że jest wspaniały? – odezwał się do mnie Simon z podziwem w głosie.

Zasnąłem, przypominając sobie, jak Owen po raz pierwszy pokazał się moim kuzynom – wtedy na strychu w domu babci, gdy walczyliśmy ze sobą nad maszyną do szycia, a on stanął w słońcu, które przeświecało mu przez uszy. Przypomniałem sobie, że wydał nam się jak zstępujący z niebios anioł – drobnej postury, lecz porywczy bóg, zesłany na ziemię, by naprostować nasze drogi.

Rano Owen rzucił myśl, aby się przenieść nad jezioro Loveless. Simon zaproponował, żebyśmy sobie urządzili obozowisko w hangarze. Po pracy w tartaku zamierzał tu przyjeżdżać i zabierać nas na narty wodne. Nocować mogliśmy w hangarze. Stało tam kilka bardzo wygodnych kanap, które się rozkładały, a w okna wstawiono nowe okiennice. Do dyspozycji mieliśmy również kilka lamp naftowych. Wychodek znajdował się dość blisko, ręczna pompa

wciągała wodę z jeziora do zlewu przy barze. Była też kuchenka gazowa i jakieś czajniki do gotowania wody do picia. Jeszcze wtedy wolno nam było się myć w jeziorze (i to korzystając z mydła!).

Zarówno Owen, jak i ja uznaliśmy spanie w hangarze za dużo przyjemniejsze niż nocowanie w namiocie. Dla mnie równie ważne było to, że się trochę uwolnię od wujka Alfreda i cioci Marty i że Owen przestanie się tak wysilać, by na nich zrobić wrażenie. Nad jeziorem mieliśmy spokój. Simon zjawiał się tylko pod koniec dnia, żeby nas zabrać na narty wodne. Miał już wtedy dziewczynę, więc rzadko kiedy widywaliśmy go wieczorami. Piekliśmy sobie hamburgery na grillu ustawionym na pochylni dla łodzi. Łowiliśmy z pomostu samogłowy i okonie, a z czółna – basy czarne. Wieczorami siedzieliśmy na pomoście do momentu, kiedy nam zaczynały dokuczać komary. Wtedy wchodziliśmy do hangaru, zapalaliśmy lampy naftowe, chwilę sobie gadaliśmy i czytaliśmy.

Ja próbowałem czytać „Koniec parady". Właściwie zaczynałem. Studenci ostatnich lat często mają ambitne plany czytelnicze, ale równie często nie kończą książek, które zaczęli. „Koniec parady" doczytałem dopiero, gdy mi stuknęła czterdziestka, wtedy kiedy zacząłem ją od nowa. Owen czytał wydany przez Departament Armii podręcznik postępowania na polu bitwy pod tytułem: „Jak przeżyć, zmylić wroga i uciec".

– Przeczytam ci trochę mojej, jeśli ty mi przeczytasz kawałek swojej – rzekł Owen.

– Dobra – zgodziłem się.

– *Kwestia przeżycia to w dużym stopniu sprawa podejścia psychicznego.*

– Brzmi to rozsądnie.

– Ale posłuchaj tego. Teraz mowa o tym, jak postępować z tubylcami. – Nie mogłem oprzeć się myśli, że jedynymi „tubylcami", z jakimi Owen może mieć do czynienia, są mieszkańcy Indiany i Arizony. – *Z poszanowaniem podchodź do ich własności, zwłaszcza kobiet* – odczytał Owen.

– Niemożliwe, żeby coś takiego tam napisali!

– Posłuchaj teraz: *Unikaj fizycznego kontaktu, choć nie dawaj tego po sobie poznać.*

Obydwaj uważaliśmy, że można sobie z takiej gadaniny boki zrywać, choć nie powiedziałem mu, że częściowo śmiałem się, bo myślałem o „tubylcach" z Indiany i Arizony.

– Chcesz usłyszeć, jak powinieneś dbać o stopy? – spytał mnie Owen.

– Właściwie to nie – odrzekłem.

– To może w takim razie „O ochronie przed komarami"? *Nasmaruj twarz błotem, zwłaszcza przed położeniem się spać* – odczytał. Przez chwilę śmialiśmy się do rozpuku.

– Jest tutaj o żywności i wodzie – powiedział. – *Nie pić moczu!*

– To brzmi jak podręcznik dla dzieci.

– Właśnie tacy są wojskowi – zauważył Owen.

– Co za świat! – rzekłem.

– Masz też kilka dobrych rad na temat ucieczki z jadącego pociągu – rzucił Owen. – *Zanim wyskoczysz, upewnij się, że wyskakujesz z odpowiedniej strony, bo może się okazać, że wypadniesz wprost pod nadjeżdżający pociąg.*

– Jaja sobie robisz!

– A posłuchaj tego! *Strychnina rośnie na dziko w całej strefie tropikalnej. Soczyście wyglądające białe i żółte owoce występują obficie w południowo-wschodniej Azji. Miąższ owocu jest bardzo gorzki, nasiona zaś zawierają niezwykle silną truciznę.*

Z trudem powstrzymałem się od uwagi, że strychnina raczej nie rośnie w Indianie czy Arizonie.

– Posłuchaj dalej – kolejna dziecinada. Mówią o technice „wprowadzania w błąd wroga", kiedy trudno rozróżnić przyjazne i wrogie terytorium. Posłuchaj no tylko: *Trudno odróżnić rebelianta od przyjaźnie nastawionej ludności.*

Nie mogłem się powstrzymać.

– Mam nadzieję, że w Indianie czy Arizonie nie będziesz musiał się borykać z takim problemem.

– Teraz kolej na twoją książkę – powiedział, zamykając podręcznik.

Próbowałem mu wyjaśnić sytuację córki pani Satterthwaite – że jest kobietą, która porzuciła męża i dziecko, żeby uciec z innym mężczyzną, a teraz chce, by mąż przyjął ją z powrotem, chociaż go nienawidzi i zamierza uczynić nieszczęśliwym. Przyjaciel rodziny –

ksiądz – wyjaśnia pani Satterthwaite, jak jej córka pewnego dnia zareaguje na zdradę męża, która zdaniem księdza, musi nastąpić naturalną koleją rzeczy. Ksiądz jest przekonany, że córka „rozniesie dom", że „świat jeszcze zabrzmi echem jej zła".

Oto scena, którą przeczytałem Owenowi Meany'emu:

Czy chce ojciec przez to powiedzieć – zaczęła pani Satterthwaite – że Sylwia potrafiłaby zrobić coś wulgarnego?

A czy tak nie postąpi każda kobieta, która miała przez całe lata okazję dręczyć mężczyznę i nagle go traci? – spytał ksiądz. – Uważa, że im więcej czasu poświęcała na to, by go dręczyć, tym bardziej nie powinna go tracić.

– Co za świat! – zauważył Owen Meany.

Na Loveless było więcej motorówek niż nurów. Nawet w nocy nad odgłosami natury przeważały hałasy silników. Postanowiliśmy pojechać na północ, przez przełęcz Dixville, do Jeziora Francisa, „prawdziwej dziczy" – tak uważał Simon. I rzeczywiście, biwak nad Jeziorem Francisa – jednym z najbardziej na północ wysuniętych jezior New Hampshire – dostarczał wielu emocji. Jednakże ani Owen Meany, ani ja nie zaliczaliśmy się do traperów. Nad jeziorem odgłosy nurów brzmiały tak żałośnie, że nas przerażały. Przerażeniem napawała też nieprzenikniona czerń i nocna pustka na brzegu. W nocy było tak głośno od różnych dźwięków wydawanych przez owady, ptaki i zwierzęta, że nie mogliśmy spać. Któregoś ranka zobaczyliśmy łosia.

– Wracajmy do domu, zanim wyjdzie na nas niedźwiedź – zasugerował Owen. – Poza tym powinienem spędzić trochę czasu z Hester.

Kiedy jednak ruszyliśmy znad jeziora, skierował samochód na północ – w stronę Quebecu.

– Jesteśmy bardzo blisko Kanady. Chciałbym ją zobaczyć.

Na tym konkretnym odcinku granicy niewiele widać – są tylko ciągnące się przez całe mile lasy i wąska droga tak strasznie zniszczona w ciągu zimy, że aż szara i ospowata od dziur, jakie wyżłobiły w niej mrozy. Punkt graniczny – kontrola celna – znajdował się w chacie. Szlaban na drodze wyglądał całkiem niewinnie, zupełnie jak szlaban kolejowy – poza tym był uniesiony. Celnicy

kanadyjscy nie zwrócili na nas uwagi, chociaż zaparkowaliśmy pikapa jakieś sto jardów od granicy, przodem w kierunku Stanów. Potem opuściliśmy tylną klapę i zasiedliśmy na niej, spoglądając w kierunku Kanady. Siedzieliśmy tak przez dobre pół godziny, zanim jakiś celnik kanadyjski zrobił parę kroków w naszym kierunku i stanął, przyglądając się nam.

Ani w tę, ani w tamtą stronę nic nie jechało, a ciemne jodły rosnące po obu stronach granicy nie respektowały linii podziału między obu krajami.

– Na pewno przyjemnie tutaj żyć – oświadczył Owen Meany, po czym ruszyliśmy w drogę do Gravesend.

Urządziliśmy mu w domu babci skromne przyjęcie pożegnalne. Babci i Hester zwilgotniały oczy jak na zamówienie, ale ogólny nastrój był pogodny. Dan, nasz historyk, rozwinął długą i nie prowadzącą do żadnej konkluzji spekulację na temat tego, czy Fort Benjamina Harrisona nazwano tak na cześć Williama Henry'ego Harrisona ojca czy wnuka. Następnie wygłosił podobnie nie uwieńczoną żadnym wnioskiem przemowę o tym, skąd się wzięło słowo „Hoosier". Wszyscy znaliśmy je jako zdrobnienie określające mieszkańca Indiany, ale nikt tak naprawdę nie wiedział, czy wyraz ten oznacza jeszcze coś innego, czy nie. Potem pozostawiliśmy Owena w ciemnym sekretnym przejściu, podczas gdy pan Fish recytował – zresztą zbyt głośno – ulubiony przez mojego przyjaciela fragment „Juliusza Cezara".

Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią, mężny kosztuje jej tylko raz jeden.

– Wiem! Wiem! Otwórzcie drzwi! – krzyczał Owen Meany.

Ze wszystkich dziwów, o których słyszałem – ciągnął pan Fish – *to mi się zdaje być najosobliwszym, że ludzie boją się śmierci i szemrzą na to, że ona, będąc nieuchronną, musi przyjść kiedyś.*

– No dobra, już dobra! Nie boję się! Ale tutaj są pajęczyny! Otwórzcie drzwi! – krzyczał Owen.

Może właśnie ciemność podszepnęła mu pomysł, żebyśmy we troje z Hester poszli na strych. Chciał, byśmy z nim chwilę postali w szafie z ubraniami dziadka. Tym razem nie była to zabawa z pancernikiem. Nie mieliśmy ze sobą latarki. I nie baliśmy się, że Hester nagle złapie

nas za jaja. Owen chciał, żebyśmy tak chwilę razem postali w ciemności.

– Po co? – spytała Hester.

– Szsz! Zróbmy kółko i chwyćmy się za ręce! – polecił.

Dłoń Hester była o wiele większa niż jego.

– A teraz co? – spytała Hester.

– Szsz! – Wdychaliśmy zapach naftaliny. Stare ubrania ocierały się o siebie. Pręty w sędziwych parasolkach były tak zardzewiałe, że najprawdopodobniej nie dałoby się ich otworzyć. A ronda zleżałych kapeluszy wyschły na tyle, że rozpadłyby się, gdyby ktoś próbował nagle nadać im jakiś kształt.

– Nie bójcie się! – To wszystko, co nam miał do powiedzenia przed wyjazdem do Indiany.

Hester i ja otrzymaliśmy od niego pierwsze wieści dopiero po kilku dobrych tygodniach. W Forcie Benjamina Harrisona musiał mieć czas wypełniony po brzegi. Niekiedy widywałem Hester na plaży w Hampton Beach. Zwykle był z nią jakiś facet – rzadko kiedy ten sam, a nigdy ktoś, kogo zadawała sobie trud mi przedstawić.

– Miałaś od niego jakieś wiadomości? – pytałem.

– Nie. A ty? – odpowiadała pytaniem.

Listy doszły do nas obojga jednocześnie. Pierwsze nie wyróżniały się niczym szczególnym. Owen był najwyraźniej bardziej znudzony niż zachwycony. Hester i ja zużyliśmy pewnie więcej energii, rozmawiając o tych listach, niż Owen poświęcił na ich napisanie.

Owen spodobał się zwłaszcza jednemu majorowi. Mój przyjaciel uznał, że pisanie i praca redakcyjna dla „The Grave” dawała mu znacznie lepsze przygotowanie do tego, czego po nim oczekiwano w wojsku, niż jakiekolwiek zajęcia teoretyczne albo szkolenie podstawowe. Sprawiał wrażenie przygnębionego – takie było odczucie moje i Hester.

CODZIENNIE ODCHODZI BARDZO DUŻO PISANINY – donosił.

Mniej więcej w czasie drugiego miesiąca służby listy zrobiły się znacznie bardziej pełne animuszu. Owen dużo pozytywniej oceniał swoje przeniesienie. Słyszał dobre opinie na temat Fortu Huachuca w Arizonie. Wszyscy w Forcie Harrisona uważali Huachuca za niezłą placówkę. Miałby tam pracować w biurze adiutanckim Dowództwa

Łączności Strategicznej. Dowiedział się również, że tamtejszy dowódca – generał major był „elastyczny”, jeśli chodzi o zmiany przydziałów. Podobno nieraz pomagał w przenoszeniu z jednej formacji do drugiej młodszych oficerów zgodnie z ich życzeniami.

Kiedy jesienią 1966 roku zacząłem studia dyplomowe, nadal szukałem mieszkania w Durham, a nawet w Newmarket – między Durham i Gravesend. Robiłem to bez większego przekonania, ale wiedziałem, że w wieku lat dwudziestu czterech muszę przyznać rację Owenowi, który uznał już dość dawno temu, iż jestem za stary na to, by mieszkać z ojczymem lub z babcią.

– Możesz się przeprowadzić do mnie – zaproponowała Hester. – Miałbyś oczywiście oddzielny pokój – dodała, choć nie było takiej potrzeby.

Kiedy dwie efektowne dziewczyny, które dotychczas mieszkały z Hester, skończyły szkołę, moja kuzynka przyjęła na ich miejsce tylko jedną współlokatorkę. Owen w końcu spędzał tam sporo czasu, a skoro Hester miała tylko jedną sublokatorkę, sytuacja była dla niego mniej krępująca. Gdy i ona się wyprowadziła, bo wyszła za mąż, Hester nie szukała nikogo na jej miejsce. W całym tym pomyśle niepokoiło mnie przede wszystkim to, że może się on nie spodobać Owenowi.

– Sam to zaproponował – wyjaśniła Hester. – Czy tobie o tym nie pisał?

List rzeczywiście nadszedł, gdy Owen przeniósł się do Fortu Huachuca.

JEŚLI HESTER NADAL NIE MA ŻADNEJ SUBLOKATORKI, TO MOŻE BYŚ SIĘ DO NIEJ PRZEPROWADZIŁ? WTEDY MÓGŁBYM DZWONIĆ DO WAS OBOJGA JEDNOCZEŚNIE – NATURALNIE NA „ERKĘ”.

SZKODA, ŻE NIE MOŻESZ ZOBACZYĆ FORTU HUACHUCA. MA 73 TYSIĄCE AKRÓW, PASTWISKA I PRERIE. LEŻY NA WYSOKOŚCI JAKICHŚ PIĘCIU TYSIĘCY STÓP – WSZYSTKO W TONACJI ŻÓŁTEJ I BRĄZOWEJ, TYLE ŻE GÓRY W ODDALI SĄ NIEBIESKIE I FIOLETOWE, A NAWET RÓŻOWAWE. NA TYŁACH KLUBU OFICERSKIEGO JEST JEZIORO, W KTÓRYM MOŻNA ŁOWIĆ RYBY. PRZEBYWA TU PRAWIE 20 TYSIĘCY LUDZI, ALE PONIEWAŻ FORT ZAJMUJE TAKĄ OGROMNĄ POWIERZCHNIĘ, TRUDNO SOBIE

WYOBRAZIĆ, ŻE PERSONEL LICZY AŻ TYLE OSÓB. OD ZACHODNIEJ BRAMY DO LOTNISKA JEST SZEŚĆ MIL. DALEJ MILA DO KWATERY GŁÓWNEJ DOWÓDZTWA, A STAMTĄD JESZCZE MOŻNA IŚĆ SZEŚĆ MIL. CHCĘ SIĘ UCZYĆ GRAĆ W TENISA. MOGĘ SIĘ ZAPISAĆ NA INTENSYWNY KURS LATANIA, JEŚLI MI SIĘ TYLKO ZACHCE. MEKSYK ZACZYNA SIĘ DOSŁOWNIE DWADZIEŚCIA MIL STĄD. PRERIA ABSOLUTNIE NIE PRZYPOMINA PUSTYNI, ALE ROSNĄ TU JUKI I OPUNCJE, ŻYJĄ DZIKIE ŚWINIE, ZWANE PEKARI, I KOJOTY. WIECIE, CO KOJOTY LUBIĄ NAJBARDZIEJ? DOMOWE KOTY!

W FORCIE HUACHUCA MAJĄ NAJWIĘCEJ KONI ZE WSZYSTKICH PLACÓWEK WOJSKOWYCH. KONIE I ARCHITEKTURA Z KOŃCA UBIEGŁEGO WIEKU ORAZ DREWNIANE BARAKI I PLACE PARAD NADAJĄ CAŁOŚCI POSMAK DAWNYCH CZASÓW I CHOCIAŻ WSZYSTKO JEST TUTAJ TAKIE OGROMNE, TO MA SIĘ JEDNOCZEŚNIE POCZUCIE ODOSOBNIENIA. I TO TEŻ JAKBY TRĄCI MYSZKĄ.

KIEDY PADA, W POWIETRZU UNOSI SIĘ ZAPACH KREOZOTU Z KRZAKÓW. PRZEWAŻNIE JEST JEDNAK SŁONECZNIE I CIEPŁO, CHOĆ NIE PRZERAŹLIWIE. POWIETRZE JEST SUCHSZE NIŻ GDZIEKOLWIEK INDZIEJ, ALE – NIE MARTWCIE SIĘ – NIE ROSNĄ TU PALMY!

Zatem wprowadziłem się do Hester. Szybko spostrzegłem, że byłem niesprawiedliwy, uważając, iż jest niechlujna. To tylko własnej osobie nie poświęcała zbyt wiele uwagi, za to wspólne pomieszczenia utrzymywała w zupełnie przyzwoitym porządku. Zbierała moje ubranie i książki, jeśli zdarzyło mi się je zostawić w kuchni czy w salonie. Trudno też winić ją za karaluchy. Chociaż znała wielu facetów, żaden ani razu u nas nie nocował. Często przychodziła do domu późno, ale zawsze wracała na noc. Nie pytałem jej, czy jest „wierna” Owenowi. Wolałem, żeby niepewność w tej kwestii działała na korzyść dziewczyny. No, a poza tym, kto mógł wiedzieć, co robi Owen?

Z listów domyślaliśmy się, że bardzo dużo pisze na maszynie. Grał w tenisa, co się nam z Hester wydawało mało prawdopodobne, i wziął kilka lekcji latania, w co już w ogóle nie mogliśmy uwierzyć. Narzekał, że w jego pokoju w kwaterach dla kawalerów (sypialnia

z oddzielną łazienką) można się udusić. Ale chwilowo nie skarżył się na nic innego.

Wyznał, że „podlizuje się dowódcy" – pewnemu generałowi majorowi LaHoadowi. MÓWIMY NA NIEGO ROPUCHA, ALE TO FAJNY FACET – pisał Owen. – MOGŁEM TRAFIĆ O WIELE GORZEJ, NIŻ BYĆ JEGO ADIUTANTEM – WŁAŚNIE NA NIEGO PRZYPUSZCZAM ATAK – WYBACZCIE TO WYRAŻENIE, ALE OD PEWNEGO CZASU ATAKUJĘ KULE BILARDOWE W ŚWIETLICY.

JEST ZUPEŁNIE JAK W WOJSKU: KIEDY PRZYJECHAŁEM I ZAMELDOWAŁEM SIĘ W DOWÓDZTWIE ŁĄCZNOŚCI STRATEGICZNEJ, POWIEDZIELI MI, ŻE NASTĄPIŁA POMYŁKA I ŻE CHCĄ MNIE PODOBNO W DZIALE PERSONALNYM. NAZYWA SIĘ TO „AKCJA PERSONALNA I KULTURALNA PLACÓWKI". PODPISAŁEM PAPIERY. JADAM W STOŁÓWCE DLA PODOFICERÓW I KADETÓW – ROBIĘ TAM ZA PISARZA. NAJBARDZIEJ JEŻY MI SIĘ WŁOS NA GŁOWIE PODCZAS NOCNEJ WARTY. MAM ZE SOBĄ LATARKĘ I RADIOTELEFON. SPRAWDZENIE WSZYSTKICH ZAMKÓW W CAŁYM FORCIE, KTÓRE UZNAJESZ, ZA MOŻLIWE DO PODWAŻENIA ŁOMEM, ZABIERA DWIE GODZINY: CHODZI O SKLEPY, KLUBY, SKŁADY, GARAŻE, MAGAZYNY ŻYWNOŚCI I AMUNICJI. JEDNOCZEŚNIE ZNAM NA PAMIĘĆ REGULAMIN POSTĘPOWANIA OFICERA NA SŁUŻBIE W RAZIE NIEPRZEWIDZIANYCH OKOLICZNOŚCI: „W WYPADKU OSTRZEŻENIA O ATAKU NUKLEARNYM, NALEŻY POWIADOMIĆ..." I TAK DALEJ.

NAJLEPIEJ BY BYŁO, GDYBY LAHOAD ZROBIŁ MNIE BARMANEM W CZASIE SWOICH PRZYJĘĆ – NA OSTATNIM PRZEZ CAŁY WIECZÓR PRZYNOSIŁEM DRINKI JEGO ROZLAZŁEJ ŻONIE. ALE NIE UDAŁO MI SIĘ JEJ NASYCIĆ. WYRAŹNIE MIAŁA PRZYJEMNOŚĆ, ŻE KTOŚ KOŁO NIEJ SKACZE. UWAŻA, ŻE JESTEM „ZABAWNY" – ZNASZ TEN TYP. ODNOSZĘ WRAŻENIE, ŻE GDYBYM ZOSTAŁ ADIUTANTEM LAHOADA – GDYBY MI SIĘ TO UDAŁO PRZEPROWADZIĆ – GENERAŁ MAJOR POZYTYWNIE USTOSUNKOWAŁBY SIĘ DO MOJEJ PROŚBY O PRZENIESIENIE. CÓŻ BY TO BYŁ ZA CIOS DLA DZIAŁU PERSONALNEGO! ZATĘSKNILIBY SIĘ ZA MNĄ NA ŚMIERĆ! DZISIAJ PODPISAŁEM PRZEPUSTKĘ KAPELANOWI I POMOGŁEM ROZHISTERYZOWANEJ MATCE ODNALEŹĆ SYNA W SŁUŻBIE

ŁĄCZNOŚCI. OKAZUJE SIĘ, ŻE NIEGRZECZNY SYNALEK NIE NAPISAŁ NAWET DO DOMU!

TAK À PROPOS. MAM DZIESIĘĆ DNI URLOPU NA BOŻE NARODZENIE.

Czekaliśmy więc na niego razem z Hester. W październiku tego roku prezydent Johnson przeprowadził inspekcję oddziałów amerykańskich w Wietnamie, ale nie mieliśmy już dalszych wiadomości od Owena dotyczących jego starań o przeniesienie. Owen pisał na ten temat tylko tyle: KLUCZEM DO TEGO JEST GENERAŁ MAJOR LAHOAD. STARAM SIĘ MU PODLIZYWAĆ, JAK MOGĘ... RESZTY SIĘ SAMI DOMYŚLCIE.

Dopiero w grudniu wspomniał, że wysłał do Waszyngtonu kolejny formularz personalny, w którym prosił o przeniesienie do Wietnamu. Wszystkie formularze, jakie wypełniał, przechodziły przez jego kolejnych dowódców, nie pomijając generała majora LaHoada. W grudniu LaHoad doprowadził do tego, że Owen pracował już jako oficer pomocniczy do spraw ofiar wojny w dziale personalnym. Okazało się, że Owen zrobił dobre wrażenie na pewnej pogrążonej w żałobie rodzinie z Arizony, która miała jakieś znajomości w Pentagonie. Przechodząc przez wszystkie szczeble hierarchii dowodzenia, specjalny list polecający dotarł do generała majora: sekcja ds. zabitych w czasie działań wojennych miała powody do dumy; podporucznik Paul O. Meany, Jr służył ogromnym wsparciem rodzicom podporucznika piechoty, który zginął w Wietnamie. Owen w sposób porywający odczytał krewnym tekst odznaczenia Srebrną Gwiazdą. Generał major LaHoad osobiście mu pogratulował.

W Forcie Huachuca sekcja ta składała się z podporucznika Paula O. Meany, Jr oraz sierżanta sztabowego, który dobiegał trzydziestki – zdaniem Owena, „utyskującego karierowicza". Jednakże żona sierżanta, Włoszka z pochodzenia, robiła domowe makarony „o tyle lepsze od makaronów Hester, że nawet dla nich warto było czasem posłuchać sierżanta". Złożona z podporucznika i sierżanta sztabowego sekcja miała do pomocy „dwudziestotrzyletniego specjalistę kategorii 5 i dwudziestodwuletniego specjalistę kategorii 4 ".

– Równie dobrze mógłby pisać o robakach – znam się na tym akurat tak samo! – orzekła Hester. – Co to za cholera ten „specjalista kategorii 4” i „specjalista kategorii 5”? Skąd, do diabła, mamy wiedzieć, o czym on pisze?

Odpisując Owenowi, spytałem, „czym się tak naprawdę zajmuje oficer sekcji ds. poległych w czasie działań wojennych”.

Owen pisał, że na ścianach sekcji w Forcie Huachuca wisi mapa Arizony i Wietnamu oraz wykaz mieszkańców Arizony, którzy byli albo jeńcami wojennymi, albo zaginęli w akcji, a obok nich lista krewnych. Kiedy z Wietnamu powracało ciało jakiegoś żołnierza rodem z Arizony, trzeba było po nie pojechać do Kalifornii. Jak nam wyjaśniał Owen, ciało powinien eskortować żołnierz tej samej bądź wyższej rangi. Zatem ciało szeregowca powinien przywieźć do domu sierżant, podporucznik zaś eskortował w takiej sytuacji innego podporucznika albo na przykład podoficera.

– Hester! On rozwozi ciała! To on przywozi ciała do domu!

– No to pracuje w zawodzie! Przynajmniej zna się na tym!

Moim ukierunkowaniem zawodowym było chyba czytanie. Nie miałem większych ambicji niż wybór lektur. Strasznie mi się podobały studia podyplomowe. I ogromną frajdę sprawiała mi moja pierwsza posada nauczycielska. Nie mogłem się jednak oprzeć wrażeniu, że jestem ogromnie nieśmiały. Na samą myśl o przywożeniu ciał krewnym dostawałem dreszczy.

W dzienniku Owen napisał: MOJE BIURO ZNAJDUJE SIĘ W TEJ CZĘŚCI PLACÓWKI, KTÓRA ZOSTAŁA ZBUDOWANA TUŻ PO WYPRAWIE CZARNEGO JACKA PERSHINGA PRZECIW PANCHO VILLI. NASZ BUDYNEK JEST STARY, OZDOBIONY SZTUKATERIĄ, A ZIELONA FARBA O ODCIENIU MIĘTY ODPADA Z SUFITU. NA ŚCIANIE WISI PLAKAT Z WIZERUNKAMI WSZYSTKICH MEDALI, JAKIE MOŻNA DOSTAĆ W ARMII. OŁÓWKIEM KOPIOWYM NA DWÓCH POKRYTYCH PLASTIKIEM KARTACH WYPISUJEMY NAZWISKA OSÓB, KTÓRE ZGINĘŁY W TYM TYGODNIU, A OBOK JEŃCÓW WOJENNYCH Z ARIZONY ARMIA MÓWI O MNIE „PODOFICER DS. ZABITYCH W CZASIE DZIAŁAŃ WOJENNYCH”. ESKORTUJĘ CIAŁA.

– O Boże! Opowiedz mi wszystko! – poprosiłem, kiedy wrócił do domu na Boże Narodzenie.

– Więc jak ci się podobają studia podyplomowe? – spytał mnie. – A tobie dobrze się z nim mieszka? – Z tym pytaniem zwrócił się do Hester. Był opalony i wyglądał czerstwo. Pewnie dzięki tenisowi. Na mundurze miał zaledwie jeden medal.

– Wszystkim go dają! – wyjaśnił. Naszywka na lewym rękawie oznaczała stanowisko, mosiężna belka na epoletach świadczyła o tym, że jest podporucznikiem. Na kołnierzyku z obu stron widniały mosiężne insygnia Armii Stanów Zjednoczonych, a także srebrna oznaka w czerwono-niebieskie paski jego oddziału – Korpusu Adiutanckiego. Jeszcze jednym elementem umundurowania wykonanym z twardego materiału była wywieszka z nazwiskiem Meany – Owen nie miał żadnych innych naszywek.

– Nie dali mi żadnej odznaki służby zagranicznej – nie wyglądam imponująco – rzekł skromnie. Nie mogliśmy oderwać od niego wzroku.

– Czy zwłoki są naprawdę w plastikowych workach? – spytała Hester.

– Musisz sprawdzać zawartość toreb? – zapytałem ja z kolei.

– Czy to prawda, że czasami są tam luzem różne części ciała, na przykład głowa lub palce? – indagowała Hester.

– Może dzięki temu odejdzie ci już ochota jechać do Wietnamu? – zasugerowałem.

– Czy rodzice dostają obłędu? – Moja kuzynka nie dawała Owenowi spokoju. – A żony, czy musisz też rozmawiać z żonami?

Był tak niesamowicie opanowany – wyglądaliśmy przy nim jak szczeniaki z podstawówki. No i faktycznie, nie wyszliśmy jeszcze poza wiek szkolny.

– W ten sposób mogę sobie przynajmniej jeździć do Kalifornii – powiedział spokojnie Owen. – Latam do Tucson i Oakland; to właśnie w tamtej bazie wydają mi instrukcje w sprawie ciał.

– O Boże, co to za „instrukcje w sprawie ciał”? – wtrąciła się Hester. Ale Owen ją zignorował.

– Czasami latam z San Francisco. W każdym jednak razie sprawdzam pojemnik w luku bagażowym jakieś dwie godziny przed

startem.

– Sprawdzasz plastikowy worek?

– To pojemnik ze sklejki – wyjaśnił. – Nie ma żadnej torby. Ciało jest zabalsamowane, w skrzynce. W Kalifornii sprawdzam tylko pojemnik.

– Po co? – spytałem.

– Żeby zobaczyć, czy gdzieś nie przecieka – odrzekł. Hester wyglądała, jakby miała za chwilę zwymiotować. – Do pojemnika przyczepiona jest informacja; kontroluję, czy wszystko się zgadza z formularzem Z.W.A.

– Z.W.A. – a to co takiego?

– Zabity w akcji.

– No tak – odparłem.

– Ciało sprawdzam w Arizonie, w domu pogrzebowym – wyjaśniał.

– Nie chcę już nic na ten temat słyszeć.

– Okay – wzruszył ramionami.

Kiedy byliśmy sami, bez Hester – naturalnie pojechaliśmy na Akademię, żeby na sali gimnastycznej ćwiczyć strzelanie – nie mogłem się powstrzymać od zadawania dalszych pytań na temat ciał.

– Najpierw zwykle omawiam szczegóły z właścicielem zakładu pogrzebowego: czy ciało nadaje się do wystawienia na widok publiczny, czy rodzina może je zobaczyć. Czasami rodzina chce być blisko ciebie – czują, że jesteś jakby jednym z nich. Kiedy indziej masz wrażenie, że powinieneś się trzymać na uboczu. Trzeba to rozegrać w zależności od sytuacji. Potem następuje złożenie flagi – zwykle daje się flagę matce albo żonie, jeśli jest żona. I wtedy muszę wygłosić króciutką mowę.

– A co mówisz?

Dryblował. Głowa prawie niezauważalnie kiwała mu się w rytm odbijającej się od podłogi piłki. Oczu nie odrywał od krawędzi kosza.

– Mam honor wręczyć pani flagę naszego kraju, aby w ten sposób okazać wdzięczność i szacunek za służbę, jaką pani syn złożył na ołtarzu ojczyzny – naturalnie, mówisz „mąż”, jeżeli flagę wręczasz żonie.

– No jasne.

– Jesteś gotów? – spytał, podając mi piłkę. Zmierzał w moim kierunku, już obliczając skok i oczyma wyobraźni widząc wpadającą do kosza piłkę – odrzuciłem ją w jego stronę.

Czas mijał nam bardzo szybko. Usiłowaliśmy sobie przypomnieć, kiedy to rzecznik rządu oświadczył, że w ramach operacji „Grzmiący Piorun" „okrążamy Hanoi". Chyba właśnie wtedy Owen uznał: „Hanoi sobie jakoś poradzi".

Według Departamentu Stanu – to znaczy, według Deana Ruska – wygrywaliśmy wojnę na wyczerpanie. Na te słowa Owen oświadczył: „Takiej wojny nie umiemy wygrywać".

Owen zrewidował niektóre swoje poglądy na temat polityki wietnamskiej Stanów Zjednoczonych. Weterani wojenni, jakich poznał w Forcie Huachuca, przekonali go, że marszałek Ky był niegdyś popularny, ale teraz sympatię południowowietnamskich chłopów zdobywa sobie Wietkong, gdyż nasze wojsko wycofało się z rejonów zaludnionych i traciło czas, uganiając się za Wietnamczykami z Północy po górach i dżungli. Owen chciał się koniecznie dowiedzieć, dlaczego Armia Stanów Zjednoczonych nie wejdzie z powrotem na tereny zaludnione i nie poczeka, aż północni Wietnamczycy i Wietkong sami do niej wyjdą. Skoro mieliśmy „chronić" Wietnam Południowy, dlaczego nie zostaliśmy wraz z mieszkańcami i nie chroniliśmy ich?

Z drugiej jednak strony, sprawa nie była wcale taka oczywista, ponieważ wielu weteranów wojny wietnamskiej, których spotkał Owen, uważało, iż powinniśmy walczyć bardziej zdecydowanie, że powinniśmy nawet jeszcze silniej bombardować Wietnam Północny – zaminować porty i zorganizować desant amfibii na północ od strefy zdemilitaryzowanej, aby odciąć dostawy dla Armii Północnowietnamskiej – to znaczy – walczyć, by wygrać. Owen uważał, że nie sposób tak naprawdę się dowiedzieć, co należy zrobić, jeśli się samemu tam nie pojedzie i nie zobaczy. Był jednak zdania, że to głupota porywać się na wojnę konwencjonalną przeciwko Wietnamowi Północnemu. Powinniśmy zostać w Wietnamie Południowym i bronić mieszkańców tego kraju przed agresją Wietnamczyków z Północy oraz Wietkongu – aż do chwili, kiedy

Wietnam Południowy utworzy swoją własną armię i – co ważniejsze – stabilny, popularny rząd, który będzie mógł kierować obroną kraju.

I wtedy Wietnam Południowy będzie na tyle silny, by samemu zaatakować Północ.

– Zależy ci na tym? – spytała go Hester. – Gadasz co najmniej równie idiotycznie jak LBJ. – Moja kuzynka nie mówiła o prezydencie „prezydent Johnson".

– Nigdy nie mieliśmy gorszego prezydenta – wyraził swą opinię na temat Johnsona Owen. – Chyba nie mogli już wybrać gorszego, z wyjątkiem McNamary.

Hester opowiadała o „Ruchu Pokojowym".

– O jakim „Ruchu Pokojowym" mówisz? Chyba że masz na myśli ruch przeciwpoborowy, bo ja tylko taki widzę.

Nasze rozmowy toczyły się tak, jak wojna – prowadziły donikąd. Usunąłem się z mieszkania, żeby mógł spędzić spokojnie kilka samotnych nocy z Hester. Nie wiem, czy któreś z nich faktycznie się z tego ucieszyło. Za to ja spędziłem parę przemiłych wieczorów z Danem i babcią.

Namówiłem babcię, żeby na Boże Narodzenie wybrała się ze mną koleją do Sawyer Depot. Babcia już wcześniej postanowiła, że nie będzie jeździć pociągami. Umówiliśmy się też, że Dan dojedzie tam o północy, po zakończeniu „Opowieści wigilijnej". Cioci Marcie i wujowi Alfredowi udało się przekonać Hester, by przywiozła do Sawyer Depot Owena – oto najlepszy dowód, że mój przyjaciel wywarł na nich ogromne wrażenie. Hester nieustannie groziła, że storpeduje te bogate rodzinne plany. Chyba tylko przez wzgląd na Owena zgodziła się wrócić do domu – i to na Boże Narodzenie.

Potem niestety wszystkie plany wzięły w łeb. Żadne z nas nie zwróciło uwagi, że koleje tak okropnie podupadły. Okazało się, iż nie sposób dojechać pociągiem z Gravesend do Sawyer Depot, a w Wigilię – zawiadowca stacji poinformował o tym Dana – w ogóle niegdzie nie można pojechać. Zatem raz jeszcze spędzaliśmy Boże Narodzenie każdy osobno. W Wigilię, kiedy ćwiczyliśmy strzelanie na sali gimnastycznej Akademii Gravesend, Owen powiedział, że zamierza spędzić święta spokojnie z rodzicami. Ja zamierzałem być z babcią i Danem. Według Owena, Hester – zupełnie

niespodziewanie – przyjęła czyjeś zaproszenie i pojechała tam, gdzie jest słońce.

– Powinieneś pomyśleć nad przyłączeniem się do „Ruchu Pokojowego", staruszku – powiedział. Ten staruszek to chyba naleciałość z Fortu Huachuca. – Z tego, co widzę, trudno o lepszy sposób, żeby się jakoś wywinąć. Musisz tylko sprawiać wrażenie osoby lekko roztargnionej – trochę złości również nie zawadzi. Poza tym powinieneś bez przerwy powtarzać, że „jesteś przeciwko wojnie". Naturalnie, nie znam nikogo, kto byłby „za" wojną, ale musisz uparcie twierdzić, że jesteś „przeciwko". I rób taką minę, jakby cię to osobiście bolało. I masz zwolnienie w kieszeni. Mucha nie siada!

Nie przerywaliśmy ćwiczenia.

Teraz, kiedy to sobie przypomnę, aż mi dech zapiera z podziwu, że byliśmy tacy dobrzy. Szusst – podawał mi piłkę. „Gotowy?" – pytał. Szusst – przekazywałem mu piłkę i przygotowywałem się, by go podnieść. Robiliśmy to już prawie automatycznie – jak tylko podałem mu piłkę, miałem go już na rękach i unosiłem w górę. Nie zawracał sobie teraz głowy okrzykiem: „czas" – nie zawracaliśmy sobie głowy mierzeniem czasu. Niemal za każdym razem trwało to niecałe trzy sekundy – co do tego nie miałem wątpliwości. Czasami nawet krócej.

– Ile masz trupów dziennie? – spytałem.

– W Arizonie? Średnio najwyżej dwa, trzy tygodniowo. Są takie tygodnie, że mam tylko jedno ciało, a czasami żadnego. Powiedziałbym też, że zaledwie połowa ofiar ma coś wspólnego z Wietnamem – jest wiele wypadków samochodowych, a także samobójstw.

– Ile ciał nie „nadaje się do oglądania", jak to nazywasz?

– Zapomnij o tych trupach. One nie powinny cię nic a nic obchodzić – za to skup się na sobie, bo zaczynasz mieć coraz mniej czasu. Co zamierzasz zrobić, jak ci się skończy studenckie odroczenie? Masz jakieś plany? Czy wiesz, co chcesz robić, zakładając, że będziesz miał możliwości, aby to realizować? Chyba nie byłbyś najszczęśliwszy w wojsku. Wiem, że nie chcesz jechać do Wietnamu. Ale też nie widzę cię w korpusie pokoju. Czy jesteś skłonny dać nogę do Kanady? Nie wydaje mi się, żebyś był na coś takiego przygotowany.

Nie wyglądasz też na demonstranta. Jesteś prawdopodobnie jedyną osobą, jaką znam, która mogłaby przyłączyć się do tego „Ruchu Pokojowego", o którym mówiła Hester, i jakoś uniknąć woja. Nie widzę cię jednak w otoczeniu tych dupków. Zresztą nie widzę cię w niczyim otoczeniu. Chciałbym ci tylko uświadomić, że jeśli zamierzasz coś zrobić sam z siebie, będziesz musiał podjąć decyzję i zdobyć się na odrobinę odwagi.

– Chcę nadal być studentem. Chcę zostać nauczycielem. Po prostu lubię czytać.

– Nie masz się czego wstydzić. Umiejętność czytania jest darem.

– Nauczyłem się tego od ciebie.

– Nieważne, jak ją zdobyłeś. Zależy ci na czymś, musisz więc to chronić. Jeśli będziesz miał wystarczająco dużo szczęścia, żeby znaleźć sposób życia, który ci odpowiada, musisz wykrzesać w sobie dosyć odwagi, by żyć tym życiem.

– Do czego mi potrzebna odwaga?

– Dopiero okaże się potrzebna. Kiedy zostaniesz poinformowany, że masz się stawić na badania przedpoborowe – wtedy musisz zebrać się na odwagę. Po tym badaniu, gdy uznają, że „jesteś zdolny, by stanąć przed komisją poborową" – będzie za późno. Kiedy już dadzą ci kategorię A-1, nie na wiele zda ci się odwaga. Powinieneś się nad tym zastanowić, staruszku – powiedział Owen.

Wyjechał z powrotem do Fortu Huachuca przed sylwestrem. Hester nie wróciła jeszcze do domu – nie wiem zresztą, gdzie była, spędziłem więc sylwestra samotnie. Babcia uznała, że jest za stara, by czekać na przyjście Nowego Roku. Nie wypiłem za dużo, ale zawsze trochę. Zarzygiwanie przez Hester rozarium stało się już tradycją. Jej nieobecność, a także nieobecność Owena, stanowiła złowróżbny znak.

W Wietnamie przebywało wtedy 385 000 Amerykanów i prawie 7000 straciło tam życie. To zupełnie zrozumiałe, że chciałem wypić na ich cześć.

Kiedy Hester powróciła skądś, gdzie miało być słońce, powstrzymałem się od uwagi, że nie jest opalona. Dochodziło do coraz silniejszej fali protestów i demonstracji. Nie prosiła mnie, bym jej towarzyszył, gdy się na nie wybierała. Niemniej nikt nie otrzymał

pozwolenia na spędzenie z nią nocy w jej mieszkaniu. Rozmawiając o Owenie, mówiliśmy o tym, jak bardzo go kochamy.

– Kiedy się zastanawiam nad tym, jak bardzo go kochasz i co myślisz o mnie, czasami zadaję sobie pytanie, czy zostaniesz powołany – oświadczyła mi kiedyś Hester.

– Zawsze mogę się przyłączyć do „Ruchu Pokojowego" – powiedziałem. – Mógłbym najzwyczajniej w świecie wydawać się troszkę roztargniony – i nieco rozeźlony – to pomaga. Mógłbym powtarzać, że „jestem przeciwko wojnie". Wewnętrzne cierpienie to klucz do sukcesu. Muszę grać głównie na tym, że wewnętrznie cierpię, i mam zwolnienie od ręki!

Hester nawet nie próbowała się uśmiechnąć.

– Już to gdzieś słyszałam.

Napisałem Owenowi, że wybrałem Thomasa Hardy'ego jako temat mojej pracy magisterskiej. Chyba go nie zaskoczyłem. Poza tym wspomniałem, że poważnie się zastanawiam nad radą, jakiej mi udzielił, iż powinienem zdobyć się na odwagę i podjąć decyzję, co mam zrobić, kiedy skończy się moje odroczenie. Próbowałem wymyślić, jaka to mogłaby być decyzja, choć żadne zadowalające rozwiązanie nie przychodziło mi do głowy. Intrygowało mnie również, jakiej to odwagi po mnie oczekiwał. Oprócz decyzji o wyjeździe do Wietnamu, żadna inna, jak mi się wydawało, jej nie wymagała.

Ciągle mi powtarzasz, że nie mam wiary – pisałem do niego. – *Czy Ty tego nie rozumiesz? Właśnie między innymi dlatego jestem taki niezdecydowany. Czekam, żeby zobaczyć, co się stanie później, ponieważ nie mam przekonania, że to, co zrobię, będzie miało jakiekolwiek znaczenie. Znasz wiersz Thomasa Hardy'ego „Traf". Ty na pewno rozumiesz, co to znaczy. Ty wierzysz w Boga, a ja w „beznadziejnie głupi przypadek" – w szczęście, w szansę. O to mi właśnie chodzi. Kapujesz? I co z tego, że podejmę decyzję, o której mówisz? Co z tego, że się wykażę odwagą, jeśli to, co ma się zdarzyć później, osiągnąć może najbardziej agresywna jednostka?*

NIE BĄDŹ TAKI CYNICZNY – odpisał mi Owen. – NIE WSZYSTKO JEST DLA TYCH „NAJBARDZIEJ AGRESYWNYCH". WYDAJE CI SIĘ, ŻE NIE MA WIĘKSZEGO ZNACZENIA, JAKĄ DECYZJĘ PODEJMIESZ? NO TO OPOWIEM CI O TRUPACH. ZAŁÓŻMY, ŻE BĘDZIESZ MIAŁ

SZCZĘŚCIE. ZAŁÓŻMY, ŻE NIE POJEDZIESZ DO WIETNAMU. ZAŁÓŻMY, ŻE NIGDY NIE MIAŁEŚ GORSZEJ ROBOTY NIŻ MOJA. MUSISZ IM MÓWIĆ, JAK ZAŁADOWAĆ ZWŁOKI NA SAMOLOT I JAK JE PÓŹNIEJ WYŁADOWAĆ. MUSISZ DOPILNOWAĆ, ŻEBY GŁOWĘ UŁOŻYLI WYŻEJ NIŻ STOPY. TO OBRZYDLIWE, KIEDY JAKIŚ PŁYN WYCIEKA PRZEZ OTWORY – JEŚLI SĄ OTWORY.

PÓŹNIEJ JEST WŁAŚCICIEL MIEJSCOWEGO DOMU POGRZEBOWEGO. NAJPRAWDOPODOBNIEJ NIE ZNAŁ ZMARŁEGO. I ZAKŁADAJĄC NAWET, ŻE CIAŁO JEST W JEDNYM KAWAŁKU, ŻE NIE ZOSTAŁO SPALONE, ŻE MA CAŁY NOS I TAK DALEJ – ANI TY, ANI ON NIE WIECIE, JAK ZMARŁY WYGLĄDAŁ ZA ŻYCIA. W KOSTNICACH W WIETNAMIE NIE STAJĄ NA GŁOWIE, BY ZACHOWAĆ PODOBIEŃSTWO. CZY RODZINA UWIERZY, ŻE TO NAPRAWDĘ ON? JEŚLI JEDNAK POWIESZ RODZINIE, ŻE CIAŁO ZNAJDUJE SIĘ W TAKIM STANIE, ŻE NIE POWINNI GO OGLĄDAĆ, PRZEŻYJĄ TO ZNACZNIE BOLEŚNIEJ. ZACZNĄ SOBIE WYOBRAŻAĆ, JAKIE TO OKROPNOŚCI KRYJE W SOBIE PLASTIKOWA SKRZYNKA. WIĘC JEŚLI IM OZNAJMISZ, ŻE NIE POWINNI OGLĄDAĆ CIAŁA, MASZ WRAŻENIE, ŻE TRZEBA JEDNOCZEŚNIE DODAĆ: SŁUCHAJCIE, NIE JEST ZNOWU TAK NAJGORZEJ. A JEŚLI IM POZWALASZ POPATRZEĆ, STARASZ SIĘ USUNĄĆ NA BOK. DECYZJA ZATEM DO ŁATWYCH NIE NALEŻY – TY TEŻ MUSISZ PODJĄĆ NIEŁATWĄ DECYZJĘ, CHOĆ TA NIE JEST ZNOWU AŻ TAK TRUDNA. I DOBRZE BY BYŁO, GDYBYŚ PODJĄŁ JĄ JAK NAJSZYBCIEJ!

Wiosną 1967 roku, kiedy otrzymałem zawiadomienie, że mam się stawić w miejscowym biurze poborowym na wstępne badania lekarskie, nadal nie wiedziałem, o co Owenowi chodzi.

– Może do niego zadzwoń – zasugerowała Hester. Odczytywaliśmy zawiadomienie w kółko. – Zorientuj się, co kombinuje.

– Nic się nie bój. Nie zgłaszaj się na badania. W ogóle nic nie rób. Masz trochę czasu. Biorę przepustkę. Przyjadę, jak tylko będę mógł. Tyle że musisz wiedzieć, czego chcesz. Czy chcesz jechać do Wietnamu?

– Nie.

– Czy chcesz spędzić resztę życia w Kanadzie? Rozmyślając nad tym, jaką krzywdę ten kraj ci wyrządził?

– Jeśli tak to ujmujesz, to nie – odparłem.

– Niedługo przyjeżdżam. Nic się nie martw. Na to potrzeba tylko odrobinę odwagi.

– Na co potrzeba odwagi? – spytała mnie Hester.

Kiedy zadzwonił do mnie z warsztatu, była majowa niedziela. Samoloty USA dopiero co zbombardowały elektrownię w Hanoi, Hester zaś dopiero co wróciła z antywojennego wiecu w Nowym Jorku.

– Co ty robisz w warsztacie? – spytałem. Powiedział, że pomagał ojcu, który spóźnił się nieco z kilkoma bardzo ważnymi zamówieniami. – Może byśmy się tam spotkali?

– Czy nie wolałbyś w jakimś przyjemniejszym miejscu? Możemy pójść chociażby na piwo.

– Piwa mam tutaj całe morze – odrzekł.

Dziwacznie wyglądało to nasze niedzielne spotkanie w warsztacie. Poza Owenem w tym okropnym miejscu nikogo nie było. Miał na sobie nadspodziewanie czysty fartuch – okulary ochronne zwisały mu swobodnie na szyi. W powietrzu unosił się nietypowy dla tego miejsca zapach – zdążył otworzyć już dla mnie piwo, a i sam nie próżnował. Może to właśnie piwo pachniało tak niecodziennie.

– Nie bój się! – rzekł Owen.

– Właściwie się nie boję, po prostu nie wiem, co zrobić.

– Rozumiem – położył mi dłoń na ramieniu.

Koło diamentowe wyglądało jakoś inaczej.

– Czy to nowa piła?

– Tylko ostrze, to znaczy koło diamentowe.

Nigdy nie widziałem, żeby koło tak błyszczało. Diamentowe segmenciki dosłownie się iskrzyły.

– Mało tego, że jest nowe, to jeszcze je wygotowałem – wyjaśnił. – A potem wyczyściłem alkoholem. – Stąd więc ten niecodzienny zapach – alkohol. Nowy wydawał się też drewniany klocek na stole do piłowania – nazywaliśmy to blokiem do cięcia. Był zupełnie gładziusieńki. – Nasączyłem drewno alkoholem i potem też wygotowałem.

Zawsze trochę wolno myślałem. Za to jestem doskonałym czytelnikiem! Dopiero kiedy w warsztacie kamieniarskim poczułem

zapach szpitala, zrozumiałem, o co mu chodziło, gdy mówił o odrobinie odwagi. Za kołem diamentowym znajdował się stół warsztatowy z różnymi ostrzami oraz narzędziami do liternictwa i krawędziowania płyt. Właśnie tam Owen ułożył sterylne bandaże i opaski zaciskające.

– Oczywiście, to ty podejmujesz decyzję.

– To się rozumie samo przez się.

– Regulamin wojskowy mówi, że fizycznie niezdolnym do służby wojskowej jest się wtedy, gdy się nie ma pierwszego stawu na którymkolwiek kciuku lub dwóch stawów na palcu wskazującym, środkowym lub serdecznym. Wiem, że dwa stawy to trudna sprawa, ale z kolei nie chcesz chyba zostać bez kciuka.

– Nie, nie chcę.

– Sam rozumiesz, że mnie trudniej poszłoby z palcem środkowym lub serdecznym. A właściwie powinienem powiedzieć, że przy środkowym czy serdecznym palcu jest mi trudniej posługiwać się kołem tak precyzyjnie, jak bym sobie tego życzył. Chciałbym ci móc obiecać, że nie będzie żadnej wpadki, a taką obietnicę mógłbym ci złożyć tylko przy palcu wskazującym.

– Rozumiem.

Regulamin wojskowy nie precyzuje, czy należy być praworęcznym czy mańkutem. Ale ty jesteś praworęczny, prawda?

– Tak.

– W takim razie powinien to być prawy palec wskazujący, na wszelki wypadek. No bo oficjalnie to palec do naciskania spustu.

Zastygłem. Podszedł do stołu pod kołem i pokazał, jak powinienem położyć dłoń na drewnianym bloku, ale nie dotknął drewna. Gdyby dotknął, nie miałby już pewności, że jest sterylne. Zwinął pięść, wsadzając pozostałe palce pod kciuk i wyciągnął palec wskazujący bokiem.

– Tak. Musisz pilnować, żeby mi nie włożyć pod rękę kostki palca środkowego. – Nie mogłem wykrztusić z siebie ani słowa, nie mogłem wykonać najmniejszego choćby ruchu.

– Lepiej napij się jeszcze piwa. Kartki będziesz przewracał innymi palcami. – Musiał widzieć, że mam cykora.

– Z tym jest dokładnie tak, jak ze wszystkim, jak – na przykład – z szukaniem ojca. Wymaga to odwagi. I wiary – dodał. – Wiara mogłaby tutaj pomóc, ale ty chyba powinieneś się skupić na odwadze. Wiesz co, ostatnio myślałem o twoim ojcu. Pamiętasz tę „nić pożądania”? Twego ojca na pewno gnębił ów problem – to coś, czego u siebie nie lubisz. W każdym razie, niezależnie od tego, kim był twój ojciec, najprawdopodobniej się bał. Tego właśnie w sobie nie lubisz. Za to o twojej matce na pewno tak nie można powiedzieć – ona nigdy się nie bała. – Teraz nie tylko że nie mogłem mówić czy się ruszyć. Nie mogłem też przełknąć śliny. – Jeśli nie masz zamiaru wziąć się do następnego piwa, to skończ chociaż to, które zacząłeś.

Wypiłem. Pokazał na zlew.

– Lepiej umyj rękę – tylko dobrze ją wyszoruj. A potem natrzyj alkoholem.

Posłusznie wykonałem polecenia.

– Wszystko będzie dobrze. Zawiozę cię do szpitala w pięć minut – góra dziesięć! Jaką masz grupę krwi? – spytał, ja zaś pokręciłem głową – nie wiedziałem. Owen się zaśmiał. – Za to ja wiem, bo ty niczego nie pamiętasz! Masz taką samą grupę krwi jak ja! W razie czego oddam ci trochę swojej. – Stałem przy zlewie jak przymurowany.

– Nie chciałem ci tego mówić, żeby cię nie martwić, ale ty też jesteś we śnie. Nie wiem, jakim cudem. Nie rozumiem, jak się w nim mogłeś znaleźć, ale jesteś. I to za każdym razem.

– W twoim śnie?

– Ty naturalnie uważasz, że to „tylko sen” – doskonale o tym wiem, ale bardzo się niepokoję, że cię w nim widzę. Wymyśliłem sobie, że jeśli nie pojedziesz do Wietnamu, to nie możesz się w tym śnie znaleźć.

– Zupełnie oszalałeś! – Na co on wzruszył ramionami, a potem się do mnie uśmiechnął.

– To ty masz podjąć decyzję.

Ruszyłem od zlewu w kierunku piły. Diamentowe koło błyszczało tak jaskrawo, że aż nie mogłem się na nie patrzeć. Położyłem palec na bloku. Owen włączył maszynę.

– Nie patrz na ostrze. Ani na palec. Patrz prosto na mnie. – Kiedy nałożył okulary ochronne, zamknąłem oczy. – Nie zamykaj oczu, bo ci się może zrobić słabo. Nie spuszczaj ze mnie wzroku. Nie wolno ci się tylko ruszyć. Pamiętaj! Zanim coś poczujesz, już będzie po wszystkim.

– Nie mogę!

– Nie bój się! – powiedział Owen. – Możesz zrobić wszystko, co chcesz, jeśli wydaje ci się, że potrafisz to zrobić.

Szkła okularów były bardzo czyste. A jego oczy – przejrzyste.

– Kocham cię – powiedział mi Owen. – Nic złego ci się nie stanie. Zaufaj mi! – Gdy zniżał diamentowe koło nad suwnicę, próbowałem nie słyszeć odgłosu maszyny. Zanim cokolwiek poczułem, zobaczyłem strugę krwi bryzgającą mu na szkła okularów – a oczy za nimi nawet nie mrugnęły. Faktycznie, doskonale sobie radził z całą tą maszynerią. – Traktuj to jako drobny upominek ode mnie!

STRZAŁ

Ilekroć słyszę, jak ktoś pieje z zachwytu na temat „lat sześćdziesiątych”, czuję się jak Hester. Mam ochotę rzygać. Przypominam sobie tych żarliwych prostaczków, którzy mówili – i to po masakrze 2800 cywilów w Hue w roku 1968 – że Wietkong i Wietnamczycy z Północy górują nad nami moralnie. Przypominam sobie, że jakiś mój rówieśnik pytał mnie, i to wcale nie żartem, czy nie uważam, że całe nasze pokolenie traktuje siebie zbyt serio. I czy przypadkiem nie dochodzę do wniosku, że tylko dzięki marihuanie mamy większą świadomość.

– Większą świadomość czego? – spytałby w takiej sytuacji Owen.

Pamiętam, że te tak zwane dzieci-kwiaty były niezwykle agresywne. Tak – prawość w sprawie pokoju, czy dla jakiegoś innego celu, jest agresywna. Mistyczny brud tej ich filozofii – to też sobie przypominam. I to, że rozmawiali z roślinami. Ponadto przypominam sobie, że z wyjątkiem Owena Meany’ego i Beatlesów nie mieli za grosz poczucia humoru.

Dlatego właśnie Hester, której kompletnie brakowało ironicznego spojrzenia na świat, nie udało się zrobić kariery ani piosenkarki, ani autorki tekstów. Może też właśnie i dlatego teraz odnosi takie sukcesy. Jej muzyka przeszła od stylu *country* do rocka, a dzięki wizualnej pomocy obrzydliwych rockowych wideoklipów, to znaczy dzięki tym rozleniwiającym umysł, kiepskawym asocjacjom „obrazów”, które we wszystkich kanałach telewizyjnych na świecie uchodzą na rockowych klipach za narrację, ironia nie jest już potrzebna. Jedynie pseudonim, jaki przybrała, może odzwierciedlać ironię, której była bliska u boku Owena Meany’ego. Jako piosenkarka country nazywała się Hester Eastman, czyli wielkie nic, kompletne zero. Jednakże jako podstarzała gwiazda rocka, więdnąca królowa

najprawdziwszej i najbardziej krzykliwej odmiany rock'n'rolla, nazywa się Hester Okrutnica!

– Kto by przypuszczał? – mawiał Simon. – „Hester Okrutnica"! Jej pieprzony pseudonim z dzieciństwa znają teraz wszyscy. Ta dziwka powinna mi płacić odsetki! To ja ją tak nazwałem!

Dzięki temu, że jestem bratem ciotecznym Hester Okrutnicy, wyróżniam się w oczach uczennic ze szkoły Biskupa Strachana, które w przeciwnym razie widziałyby we mnie tylko pedanta i zrzędę w sztruksach i tweedach, politycznego ekscentryka, odznaczającego się tym obrzydliwym nawykiem, że ubija tytoń w fajce kikutem amputowanego palca wskazującego. No bo czemu nie? Kikut akurat doskonale pasuje. My, ludzie niepełnosprawni, musimy się uczyć, w jaki sposób wykorzystywać własne okaleczenia i ułomności.

Kiedy Hester ma koncert w Toronto, moje uczennice, które uważają się za jej gorące wielbicielki, zawsze się do mnie zwracają po bilety. Wiedzą, że dla kilkunastu z nich coś się znajdzie. Dzięki temu, że zjawiam się na rzadkich koncertach Hester w towarzystwie takich atrakcyjnych dziewcząt, mogę niezauważenie wtopić się w tłum rozwrzeszczanych chuliganów. Przez to, że przychodzę na jej występy w eskorcie tych młodych dziewcząt, Hester uważa, że pewnie tylko udaję „oziębłość".

– Jeszcze może coś z ciebie będzie – powtarza mi nieodmiennie, gdy tymczasem moje uczennice tłoczą się w jej zagraconej garderobie, naturalnie zapominając języka w gębie z przerażenia na widok Hester w typowym dla niej lubieżnym rozchełstaniu.

– To są moje uczennice – przypominam Hester.

– Co to przeszkadza? – odpowiada.

– Jeśli zależy ci na „bezpiecznym seksie", to powinnaś spróbować z nim – oświadcza Hester którejś z nich, kładąc mi ciężką łapę na ramieniu. – Wiesz, że on jest prawiczkiem? Trudno chyba o kogoś bezpieczniejszego.

Wtedy zaczynają chichotać z jej dowcipu; uważają, że to dowcip. Jest właśnie tak bezczelny, jak można się spodziewać po Hester Okrutnicy. Widać to wyraźnie – nawet nie dopuszczają do siebie myśli, że oświadczenie Hester może być prawdą.

Hester wie, że to prawda. Nie rozumiem, dlaczego tak ją to drażni? Po tylu latach upokorzeń, kiedy próbowałem stracić dziewictwo, a kiedy to nikt najwyraźniej nie był nim zainteresowany – nikt tak naprawdę nie chciał mi go odebrać – doszedłem do wniosku, że moje dziewictwo ma w ogólnym rozrachunku wartość tylko wtedy, gdy je zachowam. Nie wydaje mi się, żebym był „nie praktykującym homoseksualistą", cokolwiek to znaczy. Moje przeżycia najzwyczajniej mnie zneutralizowały. Po prostu nie mam ochoty na „praktykowanie".

Na swój sposób Hester też pozostała dziewicą. Owen Meany był miłością jej życia. Po nim nie pozwoliła już sobie na podobne zaangażowanie.

– Od czasu do czasu lubię zarwać młodego chłopaka. Staram się być na czasie. Jestem za „bezpiecznym seksem" i dlatego wolę prawiczków... Te dzieciaki nie odważą się przede mną kłamać! Nietrudno też się z nimi rozstać. Są nawet wdzięczni. Czy można wyobrazić sobie coś lepszego? – Na to pytanie mojej kuzynki, zadane z szatańskim uśmiechem, odpowiadam uśmiechem.

Hester Okrutnica! Mam wszystkie albumy, jakie nagrała, ale nie mam adapteru. Mam wszystkie taśmy, ale nie mam magnetofonu – nawet samochodowego, nie mówiąc już o tym, że nie mam samochodu. Mogę spokojnie polegać na moich uczennicach, które donoszą mi o nowych wideoklipach Hester.

– Panie Wheelwright! Czy widział pan „Kierowcę bez rąk"? – Na samą myśl przechodzi mnie zimny dreszcz. Prędzej czy później i tak to zobaczę. Wideoklipy Hester są bardzo znane. Nawet wielebna Katherine Keeling za nimi szaleje! Podobno dlatego, że jej dzieci oglądają, a Katherine chce być na bieżąco ze wszystkimi okropnościami, jakie wkraczają w ich życie.

Klipy Hester emanują brzydotą. Ma silniejszy głos, a może nawet trochę lepszy niż kiedyś. Śpiewa do wtóru muzyki elektronicznej pełnej basów oraz innych wibracji, obniżających jego nosowe brzmienie do wokalnego ekwiwalentu kobiety molestowanej i wołającej o pomoc z dna żelaznej beczki. Wizualny akompaniament to pełna mistyfikacji mieszanka współczesnych cielesnych spotkań z bliżej nie określonymi młodymi chłopcami, przerywana czarno-białą relacją filmową z wojny wietnamskiej. Ofiary napalmu, matki tulące

swe pomordowane dzieci, helikoptery lądujące, startujące i roztrzaskujące się pośród niszczycielskich płomieni, operacje chirurgiczne, które należy przeprowadzić w warunkach bojowych, niezliczone rzesze żołnierzy z pourywanymi głowami. I w tym wszystkim Hester, która wchodzi do ciągle nowych, lecz podobnych pokoi hotelowych, a następnie z nich wychodzi. W środku zakłopotany młody chłopak właśnie się ubiera bądź rozbiera.

Rówieśnicy tego młodego chłopca – zwłaszcza młode dziewczęta! – uważają, że Hester ma głębokie ludzkie uczucia.

– Nie chodzi jedynie o muzykę czy głos, tylko o to, co chce nam przekazać – powiedziała mi kiedyś jedna z uczennic. Zrobiło mi się tak niedobrze, że nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

– Nie chodzi jedynie o słowa, ale o komentarz – wyjaśniła inna. I to są podobno mądre dziewczyny – wykształcone dziewczyny z wykształconych rodzin!

Nie chcę zaprzeczyć, że Hester zniszczyło to, co się stało z Owenem. Nie będę z nią dyskutował o tym, które z nas bardziej ucierpiało. Obydwoje nas to dotknęło – co można powiedzieć więcej? Jednakże czyż to nie ironia, że Hester Okrutnica przemieniła swoją ranę w miliony dolarów i sławę, że z cierpienia Owena i własnego stworzyła bezmyślną mieszankę seksu i protestu? Młode dziewczyny, które cierpienia nigdy nie zaznały, uważają ją za ideał.

Co by na to wszystko powiedział Owen? Mogę sobie tylko wyobrazić, jak skrytykowałby jeden z klipów Hester:

– Hester, na podstawie tego bezmyślnego miszmaszu nikt by się nie domyślił, że masz specjalizację muzyczną i że byłaś socjalistką. Widząc to i słysząc, można tylko przypuszczać, że po urodzeniu słoń ci na ucho nadepnął i że czerpiesz wyłącznie ze swoich kelnerskich doświadczeń.

A co by Owen powiedział na te krzyże? Hester Okrutnica lubi krzyże, a właściwie należałoby raczej powiedzieć, że lubi się z nich naigrawać – nosi wszystkie rodzaje, różnych rozmiarów, na szyi albo w uszach. Czasami wkłada też krzyżyk do nosa – ma przekłutą prawą dziurkę.

– Czy pani jest katoliczką? – spytał ją kiedyś w czasie wywiadu dziennikarz.

– Chyba pan sobie żartuje!

Anglista we mnie podkreślił, że Hester ma ucho do tytułów, jeśli już nie do muzyki.

„Kierowca bez rąk”, „Wyjechał do Arizony”, „Nie ma już Kościoła, nie ma już kraju”, „Jeszcze jeden martwy bohater”, „Nie wierzę, że nie ma duszy”, „Na jego pogrzebie mnie nie zobaczysz”, „Życie bez ciebie”, „Dlaczego chłopcy mnie pragną”, „Twój głos mnie przekonał”, „Nie zapomnimy 68”.

Muszę przyznać, że tytuły piosenek Hester są chwytliwe. Ma takie samo prawo interpretować ciszę, którą zostawił po sobie Owen, jak ja. Ja jednak muszę uważać, żeby nie generalizować owego „milczenia”. Mnie Owen nie zostawił pełnego spokoju. Nawet dwukrotnie miałem okazję mieć z nim kontakt, już po tym, jak odszedł.

Ostatnio – w sierpniu – odezwał się do mnie w sposób najbardziej dla siebie typowy. To znaczy otwarty na interpretacje i dyskusje.

Któregoś wieczoru jakoś długo zwlekałem z pójściem spać i przyznam się, że moje zmysły były troszkę przytłumione. Spędzaliśmy z Danem wakacje w ulubiony przez nas sposób, po prostu za dużo piliśmy. Przypominaliśmy sobie, jak to wiele lat temu próbowaliśmy zrobić wszystko, by babcia mogła mieszkać u siebie – najdłużej jak to możliwe. Wspominaliśmy zdarzenia, które ostatecznie zadecydowały o tym, że oddaliśmy ją do Domu Spokojnej Starości. Nie chcieliśmy tego zrobić, ale nie mieliśmy wyboru. Doprowadzała Ethel do szału; nie mogliśmy znaleźć służącej czy pielęgniarki, która mogłaby sobie z babcią poradzić. Kiedy zabrakło Owena, Harriet Wheelwright zabrakło także towarzystwa kogoś równie bystrego.

Przez wiele lat produkty spożywcze dostarczali do domu przy Front Street bracia Poggio. Jeden nazywał się Dominik; był jeszcze drugi, który nie żyje, ale nie pamiętam już, jak miał na imię. Potem bracia Poggio przerwali dostawy. Tylko ze względu na sympatię dla babci – gdyż była ich najstarszą klientką i jedyną, która regulowała rachunki na czas – Dominik Poggio w drodze wyjątku zgodził się dostarczać zakupy na Front Street.

Czy myślicie, że babcia coś takiego doceniała? Mało, że nie doceniała, to jeszcze zapominała, że bracia Poggio nie rozwożą towarów do żadnych innych klientów, że robią wyjątek specjalnie dla niej. Ludzie zawsze robili coś specjalnie dla Harriet Wheelwright. Babcia uważała, iż tak być powinno. Nie dość, że nie była wdzięczna, to jeszcze narzekała. Prawie co dzień telefonowała do Dominika, strofując go i wymyślając, że jego dostawy do domu schodzą na psy. Przede wszystkim miała pretensje, że nie zna dostawców. Nieprawda – byli to wnuczkowie Dominika Poggio. Babcia po prostu nie pamiętała, kim są i że już od wielu lat dowożą produkty spożywcze do jej domu. Ponadto skarżyła się, że ci „obcy" ludzie chcą ją przestraszyć, a ona, jak przypominała biednemu Dominikowi, nie lubi niespodzianek.

Może mogliby do niej dzwonić ze sklepu, zanim się zjawią na Front Street, sugerowała. Przynajmniej w ten sposób wiedziałaby, że ma u niej być ktoś obcy.

Dominik nie oponował. Był kochany i bardzo lubił Harriet Wheelwright. Poza tym pewnie przypuszczał, że babcia umrze lada chwila – co do tego zresztą bardzo się przeliczył – i że niedługo skończą się jej narzekania.

Ale babcia żyła i żyła, i wcale nie miała zamiaru umierać. Kiedy ze sklepu braci Poggio dzwonili, by powiedzieć, że chłopcy właśnie do niej jadą z zakupami, babcia uprzejmie dziękowała, odwieszała słuchawkę i natychmiast zapominała, że ktoś ma przyjechać albo że ktoś ją o czymś uprzedzał. A gdy chłopcy ją „zaskakiwali", telefonowała wściekła do Dominika, że mógłby przynajmniej mieć na tyle kurtuazji, by dać znać, że mają u niej zjawić się obcy ludzie!

– Dobrze, proszę pani! – odpowiadał niezmiennie Dominik. A potem dzwonił do Dana, żeby mu się poskarżyć. Nawet do mnie – do Toronto – telefonował kilka razy!

– Zaczynam się niepokoić o twoją babcię! – mówił Dominik.

Do tej pory babcia całkowicie wyłysiała. Miała pełną szufladę peruk i wymyślała Ethel – oraz kilku innym dziewczynom, które się zjawiały na jej miejsce – że nie dbają odpowiednio o peruki w szufladzie, nie mówiąc już o tym, że je nieumiejętnie układają na jej łysej głowie. Babcia miała tyle pogardy dla Ethel – oraz dla wszystkich jej niezbyt

utalentowanych następczyń – że z niezwykłym sprytem planowała podstęp, w jaki mogła unaocznić katastrofalny brak kompetencji swoich służących. Nie były dla niej odpowiednie. Babcia chowała peruki tak, że te biedne kobieciny nie mogły ich znaleźć. Potem wymyślała im od kretynek, które nie potrafią odłożyć tego niezbędnego akcesorium na swoje miejsce.

– Czy chcesz, abym się pokazywała ludziom jak jakaś łysa idiotka, która uciekła z cyrku? – pytała.

– Pani Wheelwright, gdzie pani schowała perukę? – dopytywały się biedaczki.

– Czyżbyś insynuowała, że z własnej woli chcę wyglądać jak wypuszczona z domu wariatów ofiara bomby nuklearnej? – odpowiadała wtedy babcia. – Wolałabym raczej zginąć z rąk jakiegoś maniaka niż być łysa!

Kupowano więc nowe peruki. Większość starych – choć nie wszystkie – się odnajdywała. Jeśli babcia szczególnie nie lubiła jakiejś peruki, wyrzucała ją do rozarium, topiąc w basenie dla ptaków.

I skoro bracia Poggio nadal przysyłali do niej do domu obcych ludzi, którzy na dodatek zmówili się, by ją nastraszyć, Harriet Wheelwright postanowiła odpłacić im pięknym za nadobne. Pędziła, żeby otworzyć drzwi, tak aby zdążyć przed Ethel albo przed osobą, która przyszła na jej miejsce, i przerażonego biedaka witała z wielkim wrzaskiem, jednocześnie zdzierając sobie z głowy perukę.

Biedni wnukowie Dominika Poggio! Jakie toczyli między sobą boje o to, by nie być tym, któremu przypadnie w udziale dostarczenie zakupów na Front Street.

Wkrótce, po czwartym czy piątym podobnym incydencie, Dan zatelefonował do mnie do Toronto.

– Chodzi o babcię – oświadczył. – Wiesz, że ją bardzo kocham, ale obawiam się, że nadszedł czas.

Nawet w sierpniu tego roku na wspomnienie o tamtych dniach śmialiśmy się z Danem do rozpuku. Była późna noc i jak zwykle piliśmy.

– Wiesz, że w sekretnym przejściu ciągle jeszcze są te cholerne dżemy i galaretki, które zrobiła. Nadal stoją na półce! – powiedział

Dan.

– Niemożliwe!

– Naprawdę! Pójdź sam zobaczyć! – Próbował się unieść z fotela, aby wraz ze mną zbadać tajniki sekretnego przejścia, ale stracił równowagę i z powrotem zapadł się w fotel. – Pójdź sam zobaczyć! – powtórzył skruszony, czkając.

Musiałem się zdrowo namęczyć z ukrytymi drzwiami. Nikt ich chyba nie otwierał przez wiele lat. Kiedy walczyłem z zamkiem i kluczem, kilka książek spadło z półek. Przypomniałem sobie, że kiedyś równie niezręcznie otwierała te drzwi Germaine – owego wieczoru, gdy Lydia umarła, a ona zdecydowała się schować przed Śmiercią właśnie w sekretnym przejściu.

Po chwili drzwi stały otworem. W sekretnym przejściu panowała ciemność. Mogłem jednak dostrzec pierzchające pająki. Było aż gęsto od pajęczyn. Wspominałem, jak to zamknąłem tutaj Owena, a on zaczął wrzeszczeć, że coś go liże – uważał, że to nie pajęczyna, ale coś, co ma język.

Przypomniałem sobie też, kiedy zamknąłem go tu w czasie pożegnalnego przyjęcia, gdy pan Fish recytował fragmenty „Juliusza Cezara". „Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią; mężny kosztuje jej tylko raz jeden" – i tak dalej. Przypomniałem sobie również, jak wraz z Owenem straszyliśmy tutaj Germaine, a przed Germaine – biedną Lydię.

W pajęczynach sekretnego przejścia czaiło się wiele wspomnień. Zacząłem szukać kontaktu, ale nie mogłem go znaleźć. Nie miałem ochoty dotykać ciemnych przedmiotów na półkach, nie wiedząc, czego dotykam.

Wtedy Dan zamknął drzwi.

– Daj spokój, Dan! – wrzasnąłem. Słyszałem jego śmiech. Wyciągnąłem ręce w ciemności. Natrafiłem na jedną z półek. Po półce przejechałem wśród pajęczyn w kierunku drzwi. Wydawało mi się, że kontakt znajduje się bliżej wejścia. Wtedy właśnie dotknąłem ręką czegoś okropnego! To coś było elastyczne, żywe – pewnie gniazdo pełne dopiero co narodzonych szczurów. Cofnąłem się, wrzeszcząc.

Moja ręka natknęła się na jedną z ukrytych peruk babci. Ale tego nie wiedziałem. Cofnąłem się za daleko, aż na krawędź długich schodów. Poczułem, że tracę równowagę i zaczynam spadać. W ciągu ułamka sekundy oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak Dan odnajduje moje ciało na pokrytej plugastwem podłodze u stóp schodów, kiedy mała silna ręka (albo coś podobnego do małej silnej ręki), poprowadziła moją rękę do kontaktu. Mała silna dłoń, albo coś podobnego do małej silnej dłoni, pociągnęła mnie do przodu z miejsca, w którym zaczynałem tracić równowagę nad stromymi schodami. I głos – bez wątpienia głos Owena – rzekł: „Nie bój się. Nic złego ci się nie stanie!”

Wrzasnąłem ponownie.

Kiedy Dan otworzył drzwi, to on wrzasnął.

– Co się stało z twoimi włosami? – Gdy spojrzałem do lustra, pomyślałem z początku, że mam na głowie pajęczyny – włosy wydawały się posypane mąką. Ale wyszczotkowawszy je, zorientowałem się, że zbielały u nasady. Było to w tym roku w sierpniu – osiwiałem. W moim wieku i tak już zaczynałem siwieć. Nawet uczennice uważają, że moje białe włosy wyglądają dystyngowanie i znacznie lepiej.

– Naturalnie, byliśmy obaj pijani – powiedział Dan w dzień po tym, jak Owen do mnie „przemówił”. – A zwłaszcza ty!

– Owszem, zwłaszcza ja! – odrzekłem.

– Zgadza się – przytaknął Dan. – Słuchaj, nigdy nie naigrawałem się z twoich przekonań religijnych, prawda? Dobrze wiesz, że nie zamierzam żartować z twojej wiary. Ale nie możesz chyba liczyć na to, że uwierzę, iż ręka Owena Meany’ego powstrzymała cię przed upadkiem ze schodów. Nie sądź, że mnie przekonasz, iż to autentyczny głos Owena „przemówił” do ciebie w przejściu.

– W porządku, Dan. Ja nie usiłuję cię nawrócić. Nie jestem ewangelistą. Czy kiedykolwiek próbowałem cię nawracać? Gdybym chciał głosić słowo Boże, to zostałbym kaznodzieją, miałbym swój kościół. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem – odrzekł Dan, nie mogąc jednak oderwać wzroku od moich białych u nasady włosów.

– Czy rzeczywiście poczułeś, że coś cię pociągnęło? – spytał po chwili. – Poczułeś, że coś, jakby prawdziwa ręka, cię pociągnęło?

– Nie ukrywam, że dużo wypiłem.

– I to był jego głos? – indagował dalej Dan. – Jesteś pewien, że nie usłyszałeś czegoś, co ja powiedziałem? To był jego głos?

– Czy jego głos można z czymś pomylić? – spytałem raczej zniecierpliwiony.

No cóż, obaj byliśmy pijani, prawda? O to mi przede wszystkim chodzi.

Pamiętam, że lato 1967 roku, kiedy goił mi się palec, minęło bardzo szybko. Owego lata Owen awansował. Gdy zobaczyliśmy go z Hester ponownie, jego mundur wyglądał zupełnie inaczej. Owen był porucznikiem. Belki na epoletach miał już nie mosiężne, ale srebrne. Po przyjeździe pomógł mi także rozpocząć pracę magisterską o Thomasie Hardym. Zawsze miałem kłopoty z początkiem – a według Owena, jeszcze większe z realizacją każdego projektu.

MUSISZ SIĘ RZUCIĆ PRZED SIEBIE – napisał do mnie. – MYŚL O HARDYM JAKO O CZŁOWIEKU PRAWIE ŻE RELIGIJNYM, CZŁOWIEKU, KTÓRY DOSZEDŁ TAK BLISKO WIARY W BOGA, ŻE KIEDY BOGA ODRZUCIŁ, UCZYNIŁO TO Z NIEGO ISTOTĘ PEŁNĄ GORYCZY. PRZEZNACZENIE, W JAKIE WIERZY HARDY, TO TAK JAK WIARA W BOGA, PRZYNAJMNIEJ W TYM OKROPNYM STAROTESTAMENTOWYM UJĘCIU BOGA–SĘDZIEGO. HARDY NIENAWIDZI WSZELKICH INSTYTUCJI – KOŚCIOŁA BARDZIEJ NIŻ WIARY CZY PRZEKONANIA, I NIEWĄTPLIWIE MAŁŻEŃSTWA (JAKO INSTYTUCJI), A TAKŻE INSTYTUCJI EDUKACJI. LUDZIE SĄ BEZRADNI WOBEC LOSU, SĄ OFIARAMI CZASU. I WŁASNYCH UCZUĆ. INSTYTUCJE SPOŁECZNE WSZELAKIEGO RODZAJU ZAWODZĄ.

CZY NIE WIDZISZ, ŻE WIARA W TAKI WSZECHŚWIAT PEŁEN GORYCZY PRZYPOMINA W DUŻYM STOPNIU WIARĘ RELIGIJNĄ? CZYŻ PRAWDA, W KTÓRĄ WIERZYŁ HARDY, NIE PRZYPOMINA WIARY W BOGA? BYŁA NAGA, PROSTA, PODATNA NA CIOSY. WIARA

W BOGA CZY PRZEKONANIE, ŻE W EFEKCIE WSZYSTKO MA TRAGICZNE KONSEKWENCJE... ANI TU, ANI TU, NIE ZOSTAWIASZ SOBIE MIEJSCA NA OBIEKTYWIZM FILOZOFICZNY. ANI TU, ANI TU NIE JESTEŚ ZBYT MĄDRY. NIGDY NIE MYŚL O HARDYM JAK O KIMŚ MĄDRYM. NIGDY NIE MIESZAJ WIARY CZY PRZEKONAŃ, DOWOLNEGO RODZAJU, Z CZYMŚ, CO JEST CHOĆBY W NAJMNIEJSZYM STOPNIU INTELEKTUALNE.

RZUĆ SIĘ W ROBOTĘ I PO PROSTU ROZPOCZNIJ. ZACZNIJ OD JEGO NOTATEK, OD JEGO DZIENNIKÓW. NIGDY NIE MÓWIŁ W SPOSÓB AFEKTOWANY. JUŻ NA POCZĄTKU, GDY W 1822 PODRÓŻOWAŁ PO FRANCJI, NAPISAŁ: „OD KIEDY KILKA LAT TEMU ODKRYŁEM, ŻE ŻYJĘ W ŚWIECIE, W KTÓRYM ŻADNA Z RZECZY NIE REALIZUJE TEGO, CO POCZĄTKOWO OBIECUJE, NIEWIELE ZAJMUJĘ SIĘ TEORIAMI. ZADOWALAM SIĘ TYMCZASOWOŚCIĄ Z DNIA NA DZIEŃ". UWAGĘ TĘ MOŻNA BY ODNIEŚĆ DO WSZYSTKICH JEGO POWIEŚCI. DLATEGO WŁAŚNIE NAPISAŁEM, ŻE MIAŁ W SOBIE NIEMAL WIARĘ RELIGIJNĄ, PONIEWAŻ NIE BYŁ WIELKIM MYŚLICIELEM, BYŁ CZŁOWIEKIEM, KTÓRY PRZEDE WSZYSTKIM CZUJE!

ZACZNIJ OD JAKIEJŚ JEGO NIE OBROBIONEJ UWAGI I ZESTAW JĄ Z JEDNĄ Z BARDZIEJ LITERACKICH – WIESZ, CHODZI O RZEMIOSŁO PISARSKIE. MNIE SIĘ PODOBA TA: „OPOWIADANIE MUSI BYĆ ZUPEŁNIE WYJĄTKOWE, ABY UZASADNIĆ FAKT, ŻE SIĘ JE OPOWIADA. MY, AUTORZY, JESTEŚMY WSZYSCY SĘDZIWYMI MARYNARZAMI. I ŻADEN Z NAS NIE MA PRAWA POWSTRZYMYWAĆ GOŚCI WESELNYCH, CHYBA ŻE MA DO OPOWIEDZENIA COŚ BARDZIEJ WYJĄTKOWEGO NIŻ ZWYKŁE DOŚWIADCZENIA PRZECIĘTNEGO MĘŻCZYZNY I KOBIETY".

WIDZISZ? TO BARDZO PROSTE. BIERZESZ TE WYSOKIE WYMAGANIA, JAKIE STAWIA KAŻDEMU OPOWIADANIU, KTÓRE MA BYĆ „WYJĄTKOWE", I ZESTAWIASZ Z JEGO PRZEKONANIEM, ŻE „ŻADNA Z RZECZY NIE REALIZUJE TEGO, CO POCZĄTKOWO OBIECUJE!". I MASZ JUŻ SWOJĄ TEZĘ! A WŁAŚCIWIE TO JEGO TEZA – TY MASZ TYLKO WYPEŁNIĆ JĄ PRZYKŁADAMI. JA SAM ROZPOCZĄŁBYM OD PRZYKŁADU NAJBARDZIEJ GORZKIEGO – WYSTARCZY WZIĄĆ COKOLWIEK Z JUDY NIEZNANEGO. MOŻE TĘ

STRASZNĄ KRÓTKĄ MODLITWĘ, PRZY KTÓREJ JUDA ZASYPIA W DZIECIŃSTWIE:

WSKAŻ MI, JAK ŻYĆ MAM, ABYM NIE CZUŁ
LĘKU
PRZED GROBEM, TAK JAK NIE LĘKAM SIĘ
ŁOŻA.
NAUCZ MNIE, JAK UMIERAĆ...[14]

CÓŻ MOŻE BYĆ PROSTSZEGO? – pisał Owen Meany.

Tak więc, oprócz tego, że odciął mi palec i pozwolił dokończyć studia dyplomowe, rozpoczął też za mnie pracę magisterską.

Tego sierpnia w Gravesend, dokąd starałem się przyjeżdżać co roku na wakacje, studenci Dana borykali się z Eurypidesem. Oświadczyłem Danowi, że dokonał dziwacznego i bezlitosnego wyboru. Dla młodzieży w wieku moich uczennic w szkole Biskupa Strachana poświęcenie ośmiu tygodni lata na uczenie się „Medei" i „Trojanek" musiało być walką z nudą, która mogłaby im odebrać złudzenia co do uroków sceny.

– A co innego mi pozostało? – odpowiedział Dan. – Miałem dwudziestopięcioosobową klasę, w tym tylko sześciu chłopaków!

I faktycznie – wyglądali na mocno wyeksploatowanych. Zwłaszcza wypłosz, który miał być w jednej sztuce Kreonem, a w drugiej Posejdonem. Dziewczęta na zmianę to spędzano, to wypychano ze sceny, bo albo występował chór kobiet trojańskich, albo korynckich, tak jakby jedne piszczały inaczej niż drugie. Zwłaszcza żal mi było dziewczyny, którą Dan wybrał, żeby zagrała Hekabe. Nie dość, że miała smutną rolę, to jeszcze musiała być fizycznie obecna na scenie przez całe przedstawienie. Dlatego też Dan dał jej odpocząć w „Medei". Przydzielił dziewczynie niezwykle ponurą, lecz w dużej mierze milczącą rolę w chórze kobiet korynckich, chociaż pozwolił jej błysnąć pod koniec sztuki. Była niewątpliwie jedną z jego lepszych aktorek i Dan bardzo mądrze podkreślił końcowe kwestie chóru, kiedy jego protegowana wypowiedziała je solo.

„Spraw wielu szafarzem jest Dzeus na Olimpie. Wiele wbrew nadziejom spełniają bogowie” – zadeklamowała smętna dziewczyna. – „Co spodziewane, to się nie stało, z niespodziewanego znalazł bój wyjście. I tak się skończyła ta sprawa”[15].

Jakaż to wielka prawda. Nawet Owen Meany by się z nią zgodził.

Czasem zazdroszczę Danowi, że umie uczyć na scenie, ponieważ teatr potrafi doskonale uwypuklić rzeczy – zwłaszcza ku pożytkowi młodych, nie mających jeszcze wielkiego doświadczenia życiowego, dzięki któremu mogliby ocenić przeżycia z literatury, ani wielkiego zaufania do języka, tak mówionego, jak i słyszanego. Dan ma całkowitą rację uważając, że teatr dramatyzuje zarówno doświadczenie, jak i zaufanie do języka, jakiego brak młodym ludziom w wieku studenckim. Studenci moi i Dana nie czują na przykład dowcipu. Nie chcą mieć z nim nic wspólnego albo uważają dowcip za typową dla starszych formę snobizmu, zwykłe popisywanie się językiem, którego – w najlepszym wypadku – używają tytułem próby. Dowcip nie jest czymś na próbę, a zatem nie jest młody. Stanowi jeden z aspektów życia i literatury, które dużo łatwiej rozpoznać na scenie niż w książce. Moi uczniowie nigdy nie dostrzegają dowcipu w swoich lekturach albo może mu nie ufają... Na scenie nawet artysta amator potrafi każdemu unaocznić, czym jest dowcip.

Właśnie w sierpniu rozmawiam zwykle z Danem o nauczaniu. Jeśli spotykam się z nim w czasie Bożego Narodzenia i jedziemy do Sawyer Depot, jest wtedy dużo rzeczy do zrobienia i poza tym sporo ludzi dokoła. W sierpniu przeważnie jesteśmy sami. Tuż po zakończeniu przedstawień szkoły letniej jedziemy razem z Danem na wakacje, chociaż znaczy to przeważnie, że zostajemy w Gravesend i nie puszczamy się na głębsze wody, pozwalając sobie zaledwie na dzienne wypady na plażę przy Głowie Dzika. Wieczory spędzamy w domu przy Front Street, najzwyczajniej w świecie sobie rozmawiając. Od kiedy Dan się tutaj sprowadził, nie ma telewizora. Babcia zabrała odbiornik ze sobą do Domu Spokojnej Starości. Po śmierci babci dom przypadł mnie i Danowi.

Jest ogromny, wręcz przepastny, za duży jak na mężczyznę, który nigdy nie brał pod uwagę możliwości ponownego ożenku. Ale dla Dana, tak jak i dla mnie, miejsce to jest pełne pamiątek z przeszłości. Chociaż z przyjemnością tu przyjeżdżam, nawet tęsknota za domem babci nie może mnie skusić do powrotu do Stanów. Mój powrót to temat, który Dan zawsze porusza w czasie letnich wakacji, kiedy wyczuwa, że jest mi miło przebywać w jego towarzystwie.

– Pokoi jest tutaj aż nadto dla takich starych kawalerów jak my – zaczyna. – Masz poza tym wieloletnie doświadczenie w szkole Biskupa Strachana, nie mówiąc już o referencjach, jakie otrzymałbyś od dyrektorki, i nie wspominając nawet o tym, że ukończyłeś tę szkołę z wyróżnieniem. Na wydziale anglistyki przyjęliby cię z otwartymi ramionami. Wystarczy tylko, żebyś szepnął słowo.

Nie z uprzejmości, ale dlatego, że tak bardzo lubię Dana, nie podejmuję tematu.

W tym roku w sierpniu, kiedy znowu zaczął swoje, najzwyczajniej przerwałem w pół zdania.

– Jakże trudno uczyć młodzież dowcipu, zwłaszcza jeśli nie można pokazać sztuki na scenie. Jestem zrozpaczony, że kolejna jesień już za pasem. I ponownie będę się starał, by moje uczennice z dziesiątej klasy dostrzegły w „Wichrowych Wzgórzach" coś poza szczegółikami dotyczącymi Catherine i Heathcliffa. Te dziewczyny interesuje wyłącznie fabuła!

– John, mój drogi – ciągnął Dan. – On nie żyje już od dwudziestu lat! Zapomnij o tym. Zapomnij i wybacz! I wracaj do domu.

– Na samym początku jest taki ustęp – co roku go omijają. Chodzi mi o opis Józefa widzianego przez Lockwooda. Tyle razy im go podkreślałem, że znam ten fragment na pamięć: „Spojrzał na mnie tak kwaśno, że zdjęty litością pomyślałem, iż pomoc boska potrzebna jest mu raczej do strawienia obiadu..."[16]. Nawet czytałem to dziewczynom na głos, tyle że im jednym uchem wpada, drugim wypada. Nawet się nie uśmiechną! Są głuche nie tylko na dowcip Emily Brontë! Nie dociera do nich nawet humor współczesny! Czy na przykład Mordecai Richler jest zbyt mądry jak na uczennice

jedenastej klasy? Na to wygląda. Owszem, uważają, że „Terminatorstwo Duddy Kravitza" to „zabawna" książka, ale jej komizm do nich nie dociera! Wiesz, te opisy żydowskiego uzdrowiska klasy średniej. Zawsze opuszczają opisy. Przysięgam! Pewnie uważają, że są nieważne. Chcą za to dialogu i akcji. A w opisach jest tyle pisaniny! „To prawda, że istniało jeszcze kilka bastionów oporu gojów. Żaden z dwóch hoteli, jakie nadal znajdowały się w ich rękach, nie przyjmował Żydów, ale to, podobnie jak brytyjskie panowanie, które ciągle jeszcze utrzymywało się na Malabarskim Wybrzeżu, było nie tyle żenujące, ile sympatycznie wyzywające". Co roku patrzę na nie, kiedy to czytam na głos. Słuchają z kamiennymi twarzami!

– John! – powiedział Dan. – To, co się stało, już się nie odstanie. Nawet Owen Meany nie podsycałby w sobie złości aż tak długo! Czy myślisz, że miałby za złe całemu krajowi? Przecież byłoby to szaleństwo! To, co ty robisz, zakrawa na szaleństwo!

– Jak można nauczyć szaleństwa na scenie? – spytałem. – Pewnie trzeba by zacząć od „Hamleta". W klasie trzynastej każę im czytać „Hamleta". Ale musi im wystarczyć czytanie, bo nie mogą go zobaczyć. Albo, na przykład, „Zbrodnię i karę"! Nawet w najstarszej klasie uczennice mają kłopoty z tak zwaną powieścią psychologiczną. Doskonale pojmują „skondensowaną nikczemność" Raskolnikowa, ale nie dostrzegają, jak psychologia powieści funkcjonuje w najprostszym nawet opisie Dostojewskiego. I tutaj także nie docierają do nich opisy. Weźmy na przykład gospodarza Raskolnikowa. Chyba nie można by wymyślić lepszego opisu twarzy gospodarza! „Czy to nie wspaniałe?" – pytam dziewczęta. Patrzą na mnie, jakby myślały, że jestem jeszcze bardziej szalony niż bohater Dostojewskiego.

Czasami i Dan mi się w ten sposób przygląda. Jak może przypuszczać, że „potrafiłbym zapomnieć i wybaczyć"? Za dużo rzeczy puszczamy w niepamięć. Kiedy my, nauczyciele szkolni, martwimy się, że nasi uczniowie nie rozumieją historii, czyż nie przejmujemy się tym dlatego, że po prostu zapominają? Przez tyle lat usiłuję zapomnieć o tym, kim mógłby być mój ojciec. Owen mi to udowodnił – wcale nie chciałem wiedzieć, kim był. Czy na przykład

odzywałem się do Grahama McSwineya, nauczyciela śpiewu mamy? Ile razy do niego dzwoniłem, żeby się dowiedzieć, gdzie mógłbym znaleźć Bucha Wolniachę, żeby ewentualnie usłyszeć coś, czego jeszcze o mamie nie wiedzieliśmy? Tylko raz. Zadzwoniłem do niego tylko raz. Graham McSwiney kazał mi zapomnieć o ojcu. Próbowałem to zrobić.

– Buch Wolniacha, nawet jeśli jeszcze żyje i uda ci się go odnaleźć, najprawdopodobniej jest tak stary, że nie pamięta twojej matki, nie mówiąc już o jej narzeczonym! – McSwineya znacznie bardziej intrygował Owen Meany i fakt, że nie przeszedł mutacji. – Powinien pójść do lekarza. Naprawdę, nie rozumiem, dlaczego ma taki głos.

Naturalnie, istniała po temu przyczyna. Kiedy się zorientowałem, o co chodzi, nie zadzwoniłem do McSwineya, żeby mu to wyjawić. Miałem wątpliwości, czy wyjaśnienie byłoby dosyć naukowe jak na jego gust. Próbowałem powiedzieć o tym Hester, ale ona nie chciała słuchać.

– Uwierzyłabym we wszystko, co mówisz, więc proszę, oszczędź mi tych szczegółów – rzekła.

Powód, dla którego Owen nie przechodził mutacji, oraz przyczynę tych wszystkich zdarzeń, jakie go spotykały, wyjawiłem tylko Danowi oraz wielebnemu Merrillowi.

– Wiesz, to chyba możliwe. Zdarzały się na świecie i dziwniejsze rzeczy, chociaż żaden przykład nie przychodzi mi w tej chwili do głowy. Najważniejsze, że ty w to wierzysz, a ja nigdy nie podważyłbym twego prawa do wiary w to, w co chcesz wierzyć.

– Ale czy ty w to wierzysz? – spytałem Dana.

– No cóż, ja wierzę tobie – odparł.

– Jak to możliwe, że pan w to nie wierzy? – zwróciłem się do Lewisa Merrilla. – Właśnie pan? Człowiek wiary? Jak pan może w to nie wierzyć?

– Aby w to wszystko uwierzyć – odparł wielebny – uwierzyć we wszystko... Musiałbym mieć więcej wiary.

– I to właśnie pan mówi! Proszę spojrzeć na mnie! Nie byłem człowiekiem wierzącym, zanim to się stało. Jeśli ja mogę uwierzyć, dlaczego nie może pan? – spytałem Merrilla. Zaczął się jąkać.

– Tobie jest łatwiej to zzzaaakceptować. Wiara to nie jest coś takiego, co raz się czuje, a potem się już tego nie czuje. Ty nie żyłeś z wiarą, a potem z bbbrrrakiem wiary. Tttobie jest łatwiej – powtórzył wielebny. – Nigdy nie byłeś pppeeełen wiary i zarazem wwwątpliwości. Nagle wydaje ci się, że coś jest cudem, i wierzysz w to. Dla mnie to nie jest takie ppprrroste – powiedział pastor.

– Ale przecież to jest cud! – zawołałem. – Przecież opowiadał panu ten sen! Wiem o tym! Był pan przy tym, jak zobaczył swoje nazwisko i datę śmierci na grobie Scrooge'a. Był pan tam! Jak może pan wątpić w to, że wiedział, co się stanie? Wiedział, wiedział wszystko! Czy to nie cud?

– Byłeś świadkiem tego, cco ty nazywasz cudem, i teraz wierzysz – wierzysz wwwwe wszystko! – rzekł pastor. – Ale cuda nie prowadzą do wwwiary – prawdziwe cuda nie mogą zzzrodzić wiary z powietrza. Żżżeby uwierzyć w prawdziwy cud, musisz mieć już wiarę w sobie. Wierzę, że Owen był niezwykle utalentowany, równie utalentowany, jak ogromnie pewny siebie. Na pewno miał w swoim życiu bardzo wiele niepokojących widzeń i niezwykle łatwo ulegał uczuciom, tttak – bardzo łatwo. Ale jeśli chodzi o to, co „wiedział" – są i inne przykłady tego, co człowiek z góry wwwie. Nie wszystko należy przypisywać Bogu. Popatrz na siebie – nigdy nie wierzyłeś w Bbbboga, sam tak mówiłeś. I oto teraz Bogu przypisujesz to wszystko, co stało się z Owenem Meanym!

Owego lata, kiedy spałem w domu przy Front Street, zbudził mnie pies. Usłyszałem go w bardzo głębokim śnie i pomyślałem sobie, że to Sagamore. Potem przyszło mi na myśl, że to mój pies – miałem kiedyś psa w Toronto – i dopiero gdy się rozbudziłem, otrzeźwiałem na tyle, by przypomnieć sobie, że zarówno Sagamore, jak i mój pies nie żyją. Bardzo lubiłem chodzić z psem na spacer po parku Winstona Churchilla. Może powinienem sobie kupić drugiego psa.

Ten dziwny pies na Front Street nie przestawał szczekać. Wstałem z łóżka. Ruszyłem znajomą drogą – ciemnym korytarzem do pokoju mamy, gdzie zawsze było trochę widniej, bo tam nigdy nie

zaciągaliśmy zasłon. Dan sypia w pokoju babci, który kiedyś chyba służył jako sypialnia pana domu.

Wyjrzałem przez okno w pokoju mamy, ale nie mogłem dostrzec psa. Potem poszedłem na stryszek – tak przynajmniej nazywaliśmy owo pomieszczenie za życia dziadka. Później był to pokój dziecinny. Tam właśnie mama słuchała starej victroli i przy akompaniamencie orkiestry Tommy'ego Dorseya śpiewała do wtóru Frankowi Sinatrze. Było to na kanapie, na której kiedyś rozłożyła się Hester, czekając, aż Noah i Simon zakończą bezskuteczne poszukiwania Owena po całym domu. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, gdzie go ukryła czy też gdzie się sam schował. Położyłem się na starej kanapie i zacząłem sobie to wszystko przypominać. Musiałem zasnąć. Z kanapą wiązało się wiele wspomnień. Właśnie na niej mama po raz pierwszy szepnęła mi do ucha: „Mój ty skoku!".

Kiedy się zbudziłem, moja prawa ręka powędrowała pod poduszkę. Nadgarstkiem poczułem coś jakby kartę do gry, ale gdy wyciągnąłem to coś spod poduszki, zorientowałem się, że to relikt dawnej kolekcji Owena – bardzo stara i pogięta karta baseballowa. Hank Bauer! Pamiętacie go? Została wydana w roku 1950, kiedy Bauer miał dwadzieścia osiem lat – tylko wtedy grał przez pełny sezon jako zewnątrzpolowy w drużynie Yankesów. Ale wyglądał starzej. Może to z powodu wojny – zrezygnował z baseballu w czasie drugiej wojny światowej i dopiero potem wrócił do sportu. Mimo że sam nie uwielbiałem baseballu, pamiętałem Hanka Bauera jako niezawodnego, solidnego zawodnika. I faktycznie – jego odrobinę zmęczona, opalona twarz odzwierciedlała rzetelne podejście do pracy. Miał cierpliwy uśmiech bez śladu rozgorączkowania, nie krył oczu pod daszkiem czapki zsuniętej daleko na tył głowy i odsłaniającej zamyślone, zmarszczone czoło. To jedna z tych starych, mocno podretuszowanych fotografii – najwyraźniej opalenizna była zbyt mocna, niebo zbyt niebieskie, chmury zbyt jednolicie białe. Wysoko na niebie pierzaste obłoczki i jaskrawy błękit tworzyły tak nierealistyczne tło pasiastego stroju, że Bauer wyglądał jak zmarły, który znalazł się w niebie.

Wtedy już wiedziałem, gdzie Hester schowała Owena. Ukrył się pod poduszkami kanapy – i pod nią, a w tym czasie wszyscy go

szukaliśmy. Dlatego właśnie wyszedł potem taki wygnieciony, z przyklepanymi włosami. Karta z Hankiem Bauerem musiała mu wypaść z kieszeni. Tego typu odkrycia, nie mówiąc już o głosie Owena, który do mnie „przemówił" w sekretnym przejściu, i o jego dłoni (lub czymś podobnym), co mnie chwyciła, czasami napędzają mi stracha na Front Street.

Wiem, że pod koniec babcia bała się starego domu. „Za dużo tu duchów", mruczała. Wydaje mi się, że w rezultacie była zadowolona, że „nie została zamordowana przez maniaka" – kiedyś takie rozwiązanie podobało jej się bardziej niż konieczność wyprowadzenia się z domu przy Front Street. Gdy się już wyprowadzała, nie rozpaczała z tego powodu. Podeszła do przeprowadzki z iście stoickim spokojem. „Pora już się stąd ruszyć. Za dużo tu duchów!", rzekła do Dana i do mnie.

W Domu Spokojnej Starości posunęła się szybko i bezboleśnie. Najpierw zapomniała dokładnie o wszystkim, co wiązało się z Owenem Meanym. Następnie zapomniała mnie. Nie sposób było jej nawet przypomnieć mamy, co kiedyś osiągałem, doskonale naśladując głos Owena. Ten głos przeważnie rozbudzał jej pamięć – wspomnienia wydostawały się wtedy na powierzchnię. Zmarła we śnie, dosłownie na dwa tygodnie przed swoimi setnymi urodzinami. Babcia nie przepadała za rzeczami, które się rzucają w oczy. „Te włosy sterczą jak pióra koguta", mawiała.

Wyobrażam sobie, jak to rozważała w duchu sprawę tych swoich setnych urodzin. Rodzinne obchody, które zaplanowano, żeby uhonorować tę okazję, najprawdopodobniej by babcię zabiły, o czym może wiedziała. Ciocia Marta zdążyła zawiadomić redakcję programu „Dzisiaj". Pewnie wiecie, że w programie tym zwyczajowo składa się życzenia wszystkim stulatkom w Stanach, o ile telewizja zostanie zawczasu poinformowana. Ciocia Marta dopilnowała już, żeby wiedzieli. Harriet Wheelwright miała skończyć sto lat w wigilię Wszystkich Świętych! Babcia nie znosiła tego święta. To jedna z rzeczy, jakie wyrzucała Bogu: że pozwolił jej się urodzić tego właśnie dnia. Dzień ten wymyślono, aby ludzie niższych klas mogli się nawzajem poniewierać oraz niszczyć własność zamożniejszych od siebie. Dom przy Front Street regularnie dekorowano papierem

toaletowym, okna garażu smarowano mydłem, latarnie na podjeździe malowano pomarańczowym sprayem, a kiedyś nawet ktoś wrzucił pół węgorza do skrzynki na listy. Owen zawsze podejrzewał o to pana Morrisona, tchórzliwego listonosza.

Tuż po przybyciu do Domu Spokojnej Starości Harriet Wheelwright przekonała się, że pilot do przełączania kanałów telewizyjnych jest naprawdę wymysłem szatana. Uznała to za ostateczny sukces telewizji, której udało się zabić mózg człowieka – nie zmuszano go nawet do wstania z krzesła. To właśnie Dan znalazł babcię martwą, kiedy odwiedził ją pewnego wieczoru. Zaglądał do niej co wieczór; przynosił też niedzielną gazetę, którą czytał jej na głos w niedzielne poranki.

Tego wieczoru, kiedy zmarła, Dan znalazł ją wyprostowaną na łóżku. Sprawiała wrażenie śpiącej przy telewizji z pilotem w ręku, i to w takiej pozycji, że kanały się bez przerwy zmieniały. Była martwa, nie spała, a jej zimny kciuk po prostu przytrzymywał guzik, niezmordowanie zmieniając kanały, jakby bez przerwy szukała dobrego programu.

Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby Owen Meany mógł umrzeć równie spokojnie!

Toronto, 17 września 1987. Jest deszczowy i chłodny dzień. Pogoda taka jak w ciągu roku szkolnego i jak wtedy, kiedy się chodzi do kościoła. Największą pociechę w moim życiu stanowią te znane rytuały chodzenia do kościoła i do szkoły. Szkoła Biskupa Strachana zatrudniła nową nauczycielkę na wydziale anglistyki. W czasie rozmowy przed przyjęciem jej do pracy zorientowałem się, że to osoba, którą da się znieść, kobieta, która nadaje nowe znaczenie temu zaskakującemu pierwszemu zdaniu z „Dumy i uprzedzenia", rozpoczynającej zajęcia z dziewczętami dziewiątej klasy: *Jest prawdą powszechnie wiadomą, że samotnemu a bogatemu mężczyźnie potrzeba do szczęścia tylko żony*[17].

Nie wiem, czy kwalifikuję się według Jane Austen do „bogatych mężczyzn", ale babcia niewątpliwie zaopatrzyła mnie dość szczodrze.

Moja nowa koleżanka nazywa się Eleanor Pribst i miałbym ogromną ochotę przeczytać to, co Jane Austen mogłaby o niej napisać. Znacznie bardziej niż być zmuszonym poznać panią Pribst osobiście. Ale jakoś będę musiał ją znieść. I tak ją przetrzymam. Jest na zmianę głupia albo agresywna, ale za każdym razem równie nieznośna – niemiecki tyran!

Kiedy się śmieje, przypomina mi się to cudowne zdanie pod koniec „Wypływania na powierzchnię" Margaret Atwood: „Śmieję się, a wydobywa się ze mnie odgłos jakby mordowanego stworzenia – czy to mysz, czy ptak?". Gdy słyszę śmiech Eleanor Pribst, gotów jestem się założyć, że dochodzi mnie śmiertelne rzężenie szczura bądź sępa. Na Radzie Wydziału, kiedy ponownie podniosłem sprawę, by w trzynastej klasie przerabiać „Kota i mysz" Güntera Grassa, pani Pribst przypuściła atak.

– Po co chce pan przerabiać te okropności z dziewczętami? – zapytała. – To książka dla chłopaków. Już sama scena masturbacji jest obraźliwa dla kobiety!

Potem zaczęła opowiadać, że na zajęciach z literatury kanadyjskiej w trzynastej klasie „wykorzystuję" zarówno Margaret Atwood, jak i Alice Munro. Nic przecież nie stało na przeszkodzie, żeby pani Pribst mówiła bądź o Atwood, bądź o Munro na innych lekcjach, ale ona po prostu szukała zaczepki. Mężczyzna, który prowadzi ćwiczenia na temat twórczości obu tych pisarek, na pewno je „wykorzystuje", a zatem kobiety na wydziale nie mogły już o nich mówić. Rozgryzłem babę. To taka kobitka, która uważa, że jeśli uczysz o pisarzach kanadyjskich na wykładach z literatury kanadyjskiej, to na pewno znaczy, że traktujesz ich z wyższością, bo po prostu nie mówisz o nich na innych zajęciach. A jeśli ich „wykorzystujesz" na innych zajęciach, to spyta cię, co twoim zdaniem jest „złego" w literaturze kanadyjskiej. Powie, że traktujesz Kanadyjczyków z wyższością. Wszystko dlatego, że kiedyś byłem Amerykaninem, a ona nie lubi Amerykanów. To takie oczywiste – jak i to, że jestem kawalerem, mieszkam sam i nie stanąłem na głowie (jak mówią), żeby ją gdzieś „zaprosić". Należy do tych rozpychających się łokciami kobiet, które natychmiast cię zaczną poniżać, jeśli rzeczywiście je zaprosisz. A jeśli

nie zrobisz tego, dołożą wszelkich starań, aby tym bardziej cię zgnębić.

Przypomina mi to historię sprzed kilku lat oraz kobietę z Nowego Jorku, która była tak bardzo podobna do Mitzy Lish. Przyprowadziła swą córkę do szkoły Biskupa Strachana na rozmowę kwalifikacyjną. Matka chciała porozmawiać z kimś z wydziału anglistyki, żeby sprawdzić – jak powiedziała dyrektorce – czy przypadkiem nie reprezentujemy „prowincjonalnego" podejścia do literatury. W tej kobiecie aż wrzało od seksualnych sprzeczności. Przede wszystkim chciała, aby jej córka znalazła się w kanadyjskiej szkole, i to „szkole w starym stylu" – jak powtarzała wielokrotnie – ponieważ pragnęła uchronić ją przed niebezpieczeństwami dorastania w Nowym Jorku. Twierdziła, że w szkołach Nowej Anglii aż się roi od nowojorczyków. Toż to tragedia, że młoda dziewczyna nie ma gdzie chronić i kultywować wartości oraz cnót z czasów rozsądniejszych i bezpieczniejszych.

Jednocześnie należała do tej grupy mieszkańców swego miasta, którzy uważali, że „umrą", jeśli przyszłoby im spędzić choćby minutę poza Nowym Jorkiem, którzy byli pewni, że reszta świata to istne miejsce kaźni gdzieś na prowincji, gdzie ludzie tacy jak oni, o wyrafinowanym smaku i niezwykle wyrobionej, miejskiej aktywności, byliby zagrożeni staromodnymi wartościami i cnotami tak bardzo, aż umarliby z nudów.

– Niech mi pan powie szczerze – pochyliła się nade mną. – Co tutaj może robić dorosły człowiek? – Chyba chodziło jej o Toronto, o całą Kanadę... tak zwaną dzicz. Jednocześnie bardzo pragnęła zesłać swoją córkę na wygnanie, nie dopuścić do tego, żeby uzyskała ową wiedzę, która z matki uczyniła niewolnicę Nowego Jorku.

Była dość zdziwiona, że na listach naszych lektur znajduje się tak wielu autorów kanadyjskich, a ponieważ ich nie czytała, podejrzewała, że są niezwykle prowincjonalni. Córki nie miałem okazji poznać. Może była nawet i sympatyczna – choć pewnie pełna obaw, że tęskniłaby za domem, ale jestem pewien, że miła. Matka nigdy nie zapisała dziewczyny do naszej szkoły, mimo iż jej podanie rozpatrzono pozytywnie. Czyżby przyjazd do Kanady był dla matki tylko realizacją nagłej zachcianki? Sam przecież nie mógłbym podać

żadnego rozsądnego powodu, dla którego tutaj przybyłem. Może nie mogła zapisać córki do naszej szkoły, ponieważ nie potrafiłaby znieść tego wszystkiego, z czym musiałaby się stykać, odwiedzając córkę w tej dziczy.

Ja mam własną teorię na ten temat. Matka próbowała mnie poderwać! Już od dłuższego czasu nikt nie usiłował tego zrobić. Zaczynałem nawet myśleć, że to niebezpieczeństwo już mi nie grozi.

– Jak można tutaj miło spędzić czas? – spytała mnie nagle ta kobieta. – Może mógłby mi pan w tym pomóc?

Szkoła zachowała się zupełnie nietypowo, wręcz niezwykle, bo pozwoliła, by córka przenocowała w jednej ze szkolnych sypialni – w ten sposób miała podobno poznać inne uczennice, kilka Amerykanek, które uczęszczały do szkoły Biskupa Strachana. Matka zapytała mnie, czy „miałbym czas spędzić z nią wieczór na mieście".

– Jestem rozwódką – dodała pospiesznie. I w dodatku niepotrzebnie. Miałem nadzieję, że jest rozwódką. Ale jeśli nawet!...

No cóż, nie będę udawał, że umiem wykręcić się od tak śmiałego zaproszenia. Nie mam zbyt dużego doświadczenia. Z pewnością zachowałem się jak stuprocentowy ćwok. Niewątpliwie byłem dla niej tylko kolejnym „prowincjuszem", z jakim zawsze – była o tym święcie przekonana – ma się do czynienia poza granicami Nowego Jorku.

Tak czy siak, nasze spotkanie zakończyło się dość przykro. Kobieta – z jej punktu widzenia – miała dosyć śmiałości, żeby mi się ofiarować. To, że mnie nie starczyło odwagi, by zaakceptować ów wspaniałomyślny dar, wyraźnie naznaczało mnie piętnem maniakalnego wręcz tchórzostwa. Ponieważ kobieta zaszczyciła moją osobę, roztaczając swe uwodzicielskie czary, czuła się upoważniona, by przelać na mnie swoje głębokie niezadowolenie. Powiedziała Katherine Keeling, że nasza lista lektur jest jeszcze bardziej „prowincjonalna", niż przypuszczała. Ale mogę głowę dać, że to nie tyle lista lektur wydała jej się „prowincjonalna", ile ja sam.

I teraz na moim wydziale anglistyki muszę tolerować kobietę, która ma najwyraźniej podobny temperament, jest wręcz przewrażliwiona, pobudliwa i targana tysiącem seksualnych sprzeczności, ba, tonie w ich odmęcie. To właśnie Eleanor Pribst!

Protestuje nawet przeciwko temu, że wybrałem „Burzę”. Pewnie dlatego, że nie dotarło do mnie, iż „Piąta osoba dramatu” jest „lepsza”. Oczywiście, omawiałem obie powieści, a także wiele innych utworów Robertsona Daviesa, z ogromną – żeby nie powiedzieć największą – przyjemnością. Oświadczyłem, że jak dotąd, udawało mi się z dużym powodzeniem omawiać „Burzę”.

Uczennice same czują się w znacznym stopniu amatorkami. Mam wrażenie, że niesnaski w trupie aktorskiej wydadzą im się z jednej strony niezwykle zabawne, z drugiej – znajome.

Ale pani Pribst koniecznie chciała się dowiedzieć, czy znam Kingston. Oczywiście tyle wiedziałem, że fikcyjne miasteczko Salterton można łatwo utożsamić z Kingston. Słyszałem o tym, chociaż osobiście nigdy w Kingston nie byłem.

– Nie był pan! – krzyknęła. – No i jak można się spodziewać, żeby Amerykanin potrafił dobrze wykładać litkan!

– Cóż to za obrzydliwe określenie – „litkan”! My o literaturze amerykańskiej nie mówimy „litam” – zwróciłem się do pani Pribst. – Nie widzę potrzeby deprecjonowania najciekawszej literatury tego kraju skrótem. Ponadto – ciągnąłem – uważam, iż pan Davies jest autorem dzieł o tak bogatym uniwersalnym przesłaniu, że w jego książkach nie podkreślam tego, co „kanadyjskie”, lecz to, co najpiękniejsze.

Od tej chwili rozgorzała regularna wojna. Eleanor Pribst podała w wątpliwość moją decyzję wstawienia w jedenastej klasie „Dni w Birmie” Orwella na miejsce „Folwarku zwierzęcego”. Gdy mowa o „doniosłym znaczeniu”, to w grę wchodzi albo „Rok 1984”, albo „Folwark zwierzęcy”. „Dni w Birmie” to – jak twierdziła – „kiepska namiastka”.

– Orwell to Orwell – rzekłem. – A „Dni w Birmie” oceniam jako dobrą powieść.

Jednakże pani Pribst, absolwentka Queens (stąd jej znajomość Kingston) pisze doktorat na Uniwersytecie Toronto na temat czegoś, co ma związek z „polityką w literaturze”. A czy ja przypadkiem nie pisałem o Hardym?, spytała, w podtekście naturalnie mając na myśli: „zaledwie” o Hardym. I czy aby nie jestem tylko magistrem?

Spytałem zatem moją starą przyjaciółkę Katherine Keeling:

– Czy ci się nie wydaje, że Bóg stworzył Eleanor Pribst, by mnie wystawić na próbę?

– Jesteś bardzo niegrzeczny – odrzekła Katherine. – Przynajmniej ty nie bądź zły.

Kiedy chcę być „zły", pokazuję palec; nie, mała poprawka – pokazuję, czego w palcu brakuje. Nie pokazuję palca. Zachowuję ten efekt na następne spotkanie z panią Pribst. Jestem Owenowi wdzięczny za tyle rzeczy – nie tylko za to, że mnie ustrzegł przed Wietnamem. Poza tym stworzył mi doskonałą pomoc dydaktyczną – wspaniały czujnik, który reaguje, gdy tylko uczennice pozostają trochę w tyle. Po prostu podnoszę dłoń i pokazuję ją. To właśnie brak palca wskazującego czyni mój gest czymś interesującym i przykuwającym uwagę. Natychmiast wszystkie zaczynają na mnie patrzeć. Równie doskonale działa to na radach wydziału.

– Nie celuj tym we mnie! – powtarzała często Hester.

Ale ból sprawiało jej nie „to" ani nic innego, tylko to, czego brakowało. Amputacja została dokonana bardzo precyzyjnie – było to najdoskonalsze cięcie pod słońcem. Kikut nie wyglądał groteskowo. Nie był poszarpany ani nieprzyjemny dla oka. Jedyne, co było nie tak, to to, że czegoś brakowało. Owena Meany'ego też mi brakuje.

Po tym, jak Owen odciął mi palec – pod koniec lata 1967 roku, kiedy to znalazł się w domu w Gravesend na kilkudniowej przepustce – Hester powiedziała mu, że nie będzie na jego pogrzebie. Zdecydowanie odmawia.

– Wyjdę za ciebie, przeprowadzę się do Arizony, pojadę za tobą, dokąd tylko chcesz. Czy widzisz mnie jako pannę młodą w bazie wojskowej? Czy wyobrażasz sobie, jak zabawiamy inne młode małżeństwa, oczywiście, kiedy nie eskortujesz ciał? Możesz na mnie mówić po prostu Hester Huachuca! – zawołała. – Zajdę nawet w ciążę, jeśli tego pragniesz. Owenie, chcesz dzieci? Dam ci dzieci! Zrobię dla ciebie wszystko, ale nie licz na to, że przyjdę na twój pieprzony pogrzeb.

I dotrzymała słowa. Nie uczestniczyła w pogrzebie Owena Meany'ego. Kościół Hurda był wypełniony po brzegi, ale Hester nie znajdowała się w tłumie. Nie poprosił jej, żeby za niego wyszła, nie sprowadził do Arizony ani gdziekolwiek indziej.

– To nie byłoby w porządku, nie byłoby w porządku wobec niej – powiedział mi Owen.

Na jesieni 1967 roku Owen Meany dogadał się z generałem majorem LaHoadem. Nie został mianowany jego adiutantem – LaHoad był zbyt dumny z rekomendacji, jakie Owen otrzymał jako oficer eskortujący ciała. Generała miano przenieść w ciągu półtora roku. Jeśli Owen zostanie w Forcie Huachuca jako najlepsza „eskorta" w sekcji ds. ofiar, LaHoad obiecał mu dobrą robotę w Wietnamie. Osiemnaście miesięcy to długi czas, ale porucznik Meany uważał, że warto poczekać.

– Czy on wie, że w Wietnamie nie ma dobrej roboty? – spytała Hester. Był październik. Właśnie przyjechaliśmy do Waszyngtonu, by wraz z pięćdziesięcioma tysiącami innych demonstrantów protestować przeciwko wojnie. Zebraliśmy się naprzeciw pomnika Lincolna i ruszyliśmy w stronę Pentagonu. Tam już czekały na nas szeregi policji i żandarmerii wojskowej. Usadowili się nawet na dachu Pentagonu. Hester niosła transparent:

Wspierajmy naszych żołnierzy!
Przywieźcie naszych chłopców z powrotem do kraju!

Ja nie niosłem nic. Nadal musiałem się delikatnie obchodzić z moim świeżo obciętym palcem. Rana dopiero co się zabliźniła i przy byle podrażnieniu palec na nowo robił się zaogniony. Ale starałem się przynajmniej emocjonalnie brać udział w demonstracji. Niestety, czułem się, jakbym stał z boku. A tak naprawdę, to odnosiłem wrażenie, że nigdzie nie przynależę. Miałem swoje odroczenie kategorii 4-F. Nie musiałem jechać na wojnę ani do Kanady. Przez prosty akt usunięcia dwóch stawów mojego palca wskazującego Owen spowodował, że poczułem się całkowicie wyobcowany z mego pokolenia.

– Gdyby chociaż w połowie był tak mądry, jak mu się wydaje – powiedziała do mnie Hester, kiedy zbliżaliśmy się do Pentagonu – odciąłby swoje własne palce, gdy odcinał twój. Powinien był odciąć sobie tyle palców, żeby wystarczyło. Ale ocalił ciebie – udało ci się, szczęściarzu! Jak to możliwe, że nie ma dosyć rozumu, by ocalić samego siebie?

Wtedy, w październiku, zobaczyłem w Waszyngtonie wielu Amerykanów, którzy naprawdę byli oburzeni tym, co ich kraj wyczynia w Wietnamie. Widziałem też wielu Amerykanów, którzy obłudnie utożsamiali się z najbardziej dziecinną formą heroizmu, to znaczy – własną. Uważali, że doprowadzenie do konfrontacji z żołnierzami i policją nie tylko uczyni z nich bohaterów – łudzili się, że konfrontacja ta ujawni korupcję systemu politycznego i społecznego, przeciw któremu – jak im się wydawało – występowali. Byli to ci sami młodzi ludzie, którzy wiele lat później popieraliby na przykład „Ruch Pokojowy" celem ostatecznego wycofania sił zbrojnych USA z Wietnamu. Nie to jednak w tej demonstracji dostrzegłem. Widziałem za to, że słuszne poglądy wielu protestujących po prostu doprowadziły do usztywnienia stanowiska tych biednych głupców, którzy popierali wojnę. Dwa lata później, w roku 1969, Ronald Reagan oznajmił, że na tym właśnie polegał paradoks całej sytuacji – manifestacje przeciwko wojnie w Wietnamie „były wsparciem i pomocą dla wroga". Ja uważałem, że jest jeszcze gorzej – że te manifestacje służą pomocą i wsparciem idiotom, którzy popierają wojnę, powodując, że wojna trwa dłużej. Tak ja to widziałem. Zabrałem swój skrócony palec z powrotem do New Hampshire i pozwoliłem Hester już samej dać się aresztować w Waszyngtonie. Choć właściwie nie była sama. Tego października aresztowano całe tłumy protestujących.

Pod koniec 1967 roku zaczęły się kłopoty w Kalifornii. Były też zamieszki w Nowym Jorku. W Wietnamie przebywało pięćset tysięcy amerykańskich żołnierzy. Zginęło tam już ponad szesnaście tysięcy Amerykanów. Właśnie wtedy generał Westmoreland oświadczył: „Doszliśmy do ważnego punktu, kiedy zaczynamy widzieć początek końca".

Na tę uwagę Owen zapytał: „Jakiego końca?”. Koniec wojny nie nadszedł dostatecznie szybko, by oszczędzić Owena.

Naturalnie włożyli go do zamkniętej trumny, okrytej flagą amerykańską, a odznaczenie przypięli do flagi. Ponieważ był porucznikiem w służbie czynnej, przysługiwał mu wojskowy pogrzeb ze wszystkimi honorami, z oficerską eskortą, orkiestrą i tak dalej. Mógł zostać pochowany w Arlington, jednakże państwo Meany życzyli sobie, żeby spoczął w Gravesend. Właśnie ze względu na odznaczenie, ze względu na bohaterstwo Owena, o którym trąbiły wszystkie gazety w New Hampshire, ten idiota, wielebny Dudley Wiggin, chciał, żeby odprawiono nabożeństwo w kościele episkopalnym. Rektor Wiggin, który gorliwie popierał wojnę w Wietnamie, pragnął, by pogrzeb Owena odbył się w kościele Chrystusa.

Udało mi się namówić państwa Meany, żeby uroczystość zorganizować w kościele Hurda i żeby to wielebny Lewis Merrill odprawił nabożeństwo. Pan Meany nadal miał za złe Akademii, że usunęła Owena, jednakże przekonałem go, że Owen „byłby święcie oburzony”, gdyby Wigginowie położyli na nim swe łapy.

– Owen ich nienawidził – powiedziałem. – Za to łączyły go specjalne więzy z pastorem Merrillem.

Było lato 1968 roku. Miałem już dosyć ludzi, którzy opowiadali, jak to Soul on Ice zmienił ich życie. Założę się, że Eldridge Cleaver też miała tego dosyć. Hester oświadczyła, że jak jeszcze raz usłyszy „Panią Robinson”, to się wyrzyga. Tej samej wiosny, i dokładnie w tym samym miesiącu, zamordowano Martina Luthera Kinga, a na Broadwayu wystawiono „Hair”. Lato 1968 roku stanowiło powszednią już niemal mieszankę krwiożerczości z trywialnością.

W szczelnie zamkniętym domu Meanych panował przeraźliwy upał. Dom był szczelnie zamknięty, bo – jak zawsze mówił Owen – pani Meany miała uczulenie na pył skalny. Siedziała tak jak zawsze, nie wpatrując się w nic konkretnego, lecz patrząc w kierunku wygaszonego popiołu na kominku, nad którym sfatygowane figurki szopki otaczały pustą kołyskę. Pan Meany brudnym czubkiem buta dźgnął jeden ze stojaków na szczapy.

– Dali nam pięćdziesiąt tysięcy dolarów – rzekł Meany. Jego żona skinęła na te słowa głową, a może tak mi się tylko wydawało. – Skąd rząd bierze takie pieniądze? – spytał mnie. Pokręciłem głową. Wiedziałem, że ta forsa pochodziła od nas.

– Znam ulubione hymny Owena – oświadczyłem. – Wiem, że pastor Merrill odmówi odpowiednie modlitwy.

– Nie na wiele Owenowi zdały się w życiu modlitwy! – rzekł Meany, kopiąc stojak.

Potem poszedłem do pokoju Owena i usiadłem na jego łóżku. Odrąbane ramiona zbezczeszczonej figury Marii Magdaleny przymocował w dziwaczny sposób do krawieckiego manekina mamy, który przedtem nie miał ani ramion, ani głowy. Szare, pobielone ręce były zbyt długie jak na drobną postać mojej mamy, ale przypuszczalnie te przydługie ramiona tylko uwypuklały wspomnienia uczucia, jakim darzyła chłopca. Obok na łóżku leżała torba wojskowa Owena. Rodzice jej nie ruszyli.

– Czy chcielibyście państwo, żebym rozpakował jego torbę?

– Byłbym wdzięczny – odparł ojciec. Później zajrzał do pokoju i rzekł: – Gdyby było tu coś takiego, co chciałbyś mieć, to wiem, że cieszyłby się, gdybyś to sobie wziął...

W torbie znalazłem dziennik Owena i mocno zaczytane wydanie „Pism wybranych" świętego Tomasza z Akwinu w miękkiej okładce – wziąłem i to, i to. Była też Biblia. Nie przychodziło mi łatwo przeglądać jego rzeczy. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie rozpakował swoich kart baseballowych, które mi w symbolicznym geście ofiarował, a które mu następnie zwróciłem. Ze zdziwieniem odkryłem, jak bardzo zniszczone i groteskowe są odcięte łapy pancernika. Kiedyś wydawały mi się takim skarbem, a teraz – nie dość, że były brzydkie, to jeszcze wyglądały na znacznie mniejsze niż kiedyś. Najbardziej jednak zdziwiło mnie to, iż nie znalazłem piłeczki baseballowej.

– Nie ma jej tu – rzekł pan Meany. Przyglądał mi się w progu pokoju. – Choćbyś szukał nie wiem gdzie, nie znajdziesz jej. Nigdy jej tu nie było. Wiem, bo od wielu lat sam szukam.

– Wydawało mi się... – zacząłem.

– Mnie też – odparł pan Meany.

Piłeczka do baseballu, tak zwane „narzędzie śmierci”, nigdy nie znajdowała się w pokoju Owena!

Przeczytałem urywek, który Owen najgrubiej podkreślił w swoim egzemplarzu świętego Tomasza z Akwinu – „Dowód na istnienie Boga z ruchu”. Siedząc na łóżku Owena Meany’ego, czytałem tekst wielokrotnie:

Spostrzegamy bowiem, że wszystko, co się porusza, przez co innego jest poruszane: to niższe przez to, co wyższe (...) To zaś nie może iść w nieskończoność. Ponieważ zaś wszystko, co jest poruszane przez coś innego, stanowi jakby narzędzie pierwszego poruszającego – gdyby nie było pierwszego poruszającego, wszystko, co się porusza, byłoby narzędziem. Gdyby zatem ciąg poruszających i poruszanych szedł w nieskończoność, nie byłoby pierwszego poruszającego; (...) Musi zatem być pierwszy poruszający, który jest najwyższy ze wszystkich; a nazywamy Go Bogiem[18].

Nagle łóżko się ugięło. Obok mnie usiadł pan Meany. Nawet na mnie nie patrząc, przykrył moją dłoń swoją spracowaną ręką. Bez najmniejszych oporów dotykał kikuta mego palca.

– Wiesz... on nie był... całkiem normalny – rzekł.

– Był kimś wyjątkowym – odparłem, ale pan Meany pokręcił głową.

– To znaczy, chodzi mi o to, że nie był całkiem normalnym człowiekiem, bo urodził się... troszkę inaczej.

Poza tym jednym razem, kiedy pani Meany powiedziała mi, że przykro jej z powodu śmierci mojej biednej mamy, nigdy nie słyszałem, jak mówi. Nie znałem właściwie jej głosu, a na dodatek odezwała się ze swego miejsca przy kominku w salonie, więc tym większym było to dla mnie zaskoczeniem.

– Daj spokój – krzyknęła. Pan Meany mocniej ścisnął moją rękę.

– Chodzi mi o to, że urodził się w sposób nienaturalny – ciągnął. – Jak Dzieciątko Jezus – o to mi chodzi. Ja i jego matka nigdy tego nie robiliśmy.

– Daj spokój! – ponownie krzyknęła pani Meany.

– Po prostu dziecko się poczęło, jak Jezus – wyjaśniał Meany.

– Nikt ci w to nie uwierzy. Nikt w to nie uwierzy! – krzyczała pani Meany.

– Czy chce pan powiedzieć, że było to niepokalane poczęcie? – spytałem pana Meany'ego. Nie patrzył na mnie, ale zdecydowanie pokiwał głową.

– Tak, była dziewicą!

– Nikt ci w to nie uwierzy, nigdy! – krzyczała pani Meany.

– Cicho bądź! – zawołał.

– A może... zdarzył się jakiś wypadek? – próbowałem mu podpowiedzieć.

– Powiedziałem ci, nawet tego nie zrobiliśmy! – odparł szorstko.

– Daj spokój! – krzyknęła znowu pani Meany. Jednakże teraz jej głos nie brzmiał tak zdecydowanie. Naturalnie, była zupełnie stuknięta. Może wręcz opóźniona w rozwoju. Chyba nawet nie wiedziała, jak się to robi ani nawet czy albo kiedy to zrobiła. Może przez te wszystkie lata kłamała lub była po prostu zbyt głupkowata, by pamiętać, w jaki sposób zaszła w ciążę!

– I pan naprawdę wierzy... – zacząłem.

– To prawda! – Meany mocniej ścisnął moją dłoń, aż się wykrzywiłem z bólu. – Nie bądź jak ci cholerni księża! W tamtą historię wierzą, ale tej nie chcą wysłuchać, nawet z ambony prawią o tamtej, a nam chcą wmówić, że to coś gorszego od grzechu. Owen nie był grzechem! – rzekł Meany.

– Nie, nie był – odparłem cicho. Byłem gotów zabić pana Meany'ego za jego ignorancję! A tę wariatkę chciałem wrzucić do kominka.

– Chodziłem od jednego kościoła do drugiego – ach, ci katolicy! – podniósł głos. – Ja się znam tylko na granicie. – I naprawdę tylko o tym ma jakieś pojęcie, pomyślałem. – Pracowałem w kamieniołomach Concord w lecie, gdy byłem chłopcem – ciągnął dalej. – Kiedy ją poznałem, kiedy... ona poczęła Owena. W Concord nie znalazł się nawet jeden katolik, z którym moglibyśmy porozmawiać! A to, co jej powiedzieli... to była straszna zniewaga!

– Daj spokój! – zawołała ciszej pani Meany.

– Przenieśliśmy się do Barre – mieli tam niezły granit. Chciałbym mieć tutaj choć w połowie tak dobry. Ale kościół katolicki w Barre

wcale nie był lepszy. Przez nich czuliśmy się jak świętokradcy, tak jakbyśmy próbowali tworzyć własną religię.

Jasne, że sobie stworzyli własną religię. Byli uosobieniem przesądów. Byli naciągaczami, jak telewizyjni ewangeliści, którzy pokazują różne „cuda".

– Kiedy powiedzieliście o tym Owenowi? – Wiedziałem, że na tyle brakowało im rozumu, by mu wyjawić to, w co niedorzecznie wierzyli.

– Daj spokój! – zawołała po raz kolejny pani Meany. Do jej głosu już się zdążyłem przyzwyczaić – brzmiał jak odtwarzana w kółko, nagrana na taśmę kwestia.

– Gdy się nam wydawało, że jest już dostatecznie duży – odrzekł Meany, a ja zamknąłem oczy.

– Ile miał wtedy lat?

– Jakieś dziesięć albo jedenaście: mniej więcej wtedy, kiedy uderzył piłkę.

No tak, to wystarczyło, pomyślałem sobie. Zupełnie zrozumiałe, że wówczas opowieść o „niepokalanym poczęciu" mogła zrobić na moim przyjacielu spore wrażenie – taka historia o prawdziwym Synu Bożym! Wyobrażam sobie, że przyprawiła Owena o dreszcze. Odnosiłem wrażenie, że Owen Meany stał się ofiarą zarówno okrutnej ignorancji, jak i przeznaczenia. Miałem już okazję zobaczyć, do czego wykorzystał go Bóg. Teraz widziałem, co zrobiła z nim ignorancja.

Przypomniało mi się, że to właśnie Owen użył słowa „wykorzystany", kiedy Barb Wiggin mówiła o tym, jakie to „szczęście" miał Chrystus, i kiedy wielebny Dudley Wiggin oświadczył, że Chrystus mimo wszystko został „zbawiony". Możliwe, że Owen był wykorzystany przez Boga, ale z pewnością padł również ofiarą bezgranicznej ignorancji państwa Meanych!

Zdawało mi się, że znalazłem już wszystko, co chciałem mieć. Pan Meany był jednak zdziwiony, że nie mam zamiaru zabrać manekina.

– Wydaje mi się, że rzeczy, które trzymał, trzymał w jakimś określonym celu – zauważył pan Meany.

Nie mogłem sobie wyobrazić, do czego mogłaby służyć Owenowi smętna czerwona suknia mamy, jej manekin z przyprawionymi

ramionami, ukradzionymi Marii Magdalenie, i nie owijając sprawy w bawełnę, powiedziałem znacznie bardziej dosadnie, niż zamierzałem, co myślę. Nie miało to jednak znaczenia, bo państwo Meany nie byli wrażliwi na takie subtelności, jak na przykład ton głosu. Pożegnałem więc panią Meany, która mi nie odpowiedziała, ba, nawet na mnie nie spojrzała. Nadal wpatrywała się w kominek, w jakiś wyobrażony punkt poza wygasłym popiołem, gdzieś w głębi. Jakże jej nienawidziłem! Pomyślałem sobie, że stanowi ostateczny argument przemawiający za wprowadzeniem obowiązkowej sterylizacji!

Na porytym koleinami, zapylonym podjeździe pan Meany odezwał się ponownie:

– Chciałbym ci pokazać coś w warsztacie.

Poszedł wyprowadzić ciężarówkę, którą miał za mną jechać do warsztatu. Kiedy czekałem, dobiegł mnie z zamkniętego domu krzyk pani Meany: „Daj spokój!”.

Nie byłem w warsztacie od momentu, gdy Owen przeprowadził tam zabieg chirurgiczny, dzięki któremu zwolniono mnie ze służby wojskowej. Kiedy przyjechał do domu na Boże Narodzenie – jego ostatnie Boże Narodzenie w 1967 roku – spędził dużo czasu w warsztacie, starając się podgonić pracę, bo ojciec trochę się spóźniał z zamówieniami – jak zwykle – albo nawalił z innych powodów. Owen kilkakrotnie zapraszał mnie do warsztatu na piwo, ale za każdym razem odmawiałem. Nadal przystosowywałem się do życia bez palca wskazującego prawej ręki i obawiałem się, że na sam widok koła diamentowego ciarki mnie będą przechodzić.

Był to dla Owena bardzo spokojny urlop. Przez trzy czy cztery dni z rzędu ćwiczyliśmy strzelanie. Naturalnie, mój udział w tym ćwiczeniu był bardzo ograniczony, ale nadal musiałem łapać piłkę i podawać mu ją z powrotem. Palec mnie przy tym nie bolał, z czego Owen był niezwykle zadowolony. Uważałem też, że nie wypada narzekać, iż mam problemy z innymi czynnościami, jak na przykład pisanie i jedzenie, nie mówiąc już o pisaniu na maszynie.

W pewnym sensie było to dla niego smutne Boże Narodzenie. Nie widywał się zbyt często z Hester – jej uwaga sprzed kilku miesięcy, że nie zamierza zjawić się na jego pogrzebie, musiała Owena

głęboko zranić. A potem wszystko, co się zdarzyło po Bożym Narodzeniu, tylko przyspieszyło pogorszenie jego stosunków z Hester, która począwszy od stycznia, kiedy to McCarthy zapowiedział, że zamierza ubiegać się o nominację prezydencką z ramienia demokratów, stała się jeszcze bardziej radykalną przeciwniczką wojny.

– Z kogo on sobie robi jaja? – wściekała się. – Tak się nadaje na prezydenta jak ja na baletnicę! – A potem, w lutym, swoją kandydaturę zgłosił Nixon. – Wszystko schodzi na psy – zawyrokowała Hester. I w tym samym miesiącu ogłoszono rekordową liczbę zabitych w Wietnamie – w jednym tygodniu zginęło 543 Amerykanów! Hester wysłała Owenowi przykry list. *Pewnie jesteś zawalony trupami, nawet tam w Arizonie!* Następnie w marcu Bobby Kennedy ogłosił, że i on zamierza ubiegać się o nominację z ramienia demokratów. W tym samym miesiącu Johnson oświadczył, że nie będzie ponownie starał się o fotel prezydencki. Hester uważała, że rezygnacja Johnsona oznacza sukces „Ruchu Pokojowego". Miesiąc później, kiedy Humphrey powiedział, że i on chce kandydować, Owen Meany odpisał Hester: CO ZA SUKCES TAK ZWANEGO RUCHU! POCZEKAMY, ZOBACZYMY!

Chyba wiem, do czego zmierzał. Chciał, żeby go przestała kochać, zanim on umrze. Hester nie miała pojęcia, że już go nigdy nie zobaczy, za to on wiedział, że się więcej nie spotkają.

Wszystkie te wspomnienia przewijały mi się przez głowę, kiedy wchodziłem do warsztatu z tym kretynem Meanym.

Nagrobek był dość duży, lecz prosty.

POR. PAUL O. MEANY, JR

Pod nazwiskiem widniały daty – właściwe daty urodzin i śmierci, a pod datami prosty napis po łacinie, który oznacza „na zawsze".

IN AETERNUM

Obrzydliwe, że pan Meany chciał, bym to zobaczył. Nie mogłem jednak oderwać wzroku od kamienia. Liternictwo było dokładnie takie, jakie Owen lubił najbardziej. Wszystkie krawędzie zostały

wyrównane niezwykle precyzyjnie. Pamiętając, co mówił Owen, oraz widząc kiepskie wykonanie nagrobka mamy, nawet nie podejrzewałem pana Meany'ego o tak mistrzowskie posługiwanie się narzędziami. Nie miałem również pojęcia, że zna łacinę – Owen naturalnie był bardzo dobry z łaciny. Poczułem, jak coś mnie zakłuło w kikucie palca prawej ręki, kiedy zwróciłem się do pana Meany'ego.

– Naprawdę wspaniała robota, proszę pana.

– To nie ja zrobiłem – odrzekł – to on! Zrobił, jak był na urlopie. – Zakrył nagrobek i nie pozwolił mi go obejrzeć, dopóki żył.

Ponownie spojrzałem na nagrobek.

– Pan tylko dodał datę, datę śmierci? – spytałem, ale już przechodziły mnie ciarki. Znałem odpowiedź.

– Niczego nie dodawałem! On znał tę datę. Myślałem, że o tym wiesz!

Owszem, wiedziałem i zdążyłem zajrzeć do dziennika, żeby stwierdzić, iż zawsze znał dokładną datę. Jednakże kiedy widziałem ją tak głęboko wyrytą w kamieniu, nie miałem już żadnych wątpliwości – spędzał ostatni urlop w domu podczas Bożego Narodzenia w roku 1967. A zatem wykończył swój nagrobek ponad pół roku przed śmiercią!

– Oczywiście, o ile można wierzyć panu Meany'emu! – rzekł wielebny Lewis Merrill, gdy mu o tym wszystkim powiedziałem. – Tak, jak mówisz, ten człowiek jest „uosobieniem przesądów", a matka może być najzwyczajniej „opóźniona w rozwoju". Ich wiara w „niepokalane poczęcie Owena" to straszna rzecz! Ale to, że mu o tym powiedzieli, kiedy był taki młody i wrażliwy, to wręcz „niewypowiedziana zniewaga" – by użyć własnych słów Owena – jeszcze większa niż jakakolwiek inna, która spotkała jego rodziców ze strony Kościoła katolickiego. Porozmawiaj o tym z ojcem Findleyem!

– Czy Owen mówił panu o tym? – spytałem.

– Bez przerwy! – odrzekł pastor, ze zniecierpliwieniem machając ręką. – Rozmawiał o tym ze mną, rozmawiał z ojcem Findleyem. Jak myślisz, dlaczego ojciec Findley tak łatwo mu wybaczył zbezczeszczenie świętej figury? Doskonale wiedział, jakimi bzdurami przez wszystkie te lata szpikowali go rodzice!

– Ale co pan odpowiadał Owenowi?

– Na pewno nie to, że wierzę, iż jest drugim Chrystusem! – odrzekł Merrill.

– To zrozumiałe, ale co on na to?

Wielebny Merrill zmarszczył czoło.

– Ooowwwen Mmmeany nie wierzył tak naprawdę, że jest Jjjjezusem – zaczął się jąkać. – Ale spytał mnie, dlaczego jeśli można uwierzyć w jedno niepokalane poczęcie, nie można uwierzyć w drugie?

– Tak, coś takiego dokładnie do niego pasuje!

– Oooowen wierzył, że wszystko, co się z nim dzieje, służy jakiemuś celowi, że Bbbbóg chce, aby jego życie przekazało ppppewną treść. To Bbbóg wybrał Owena – mówił pastor.

– Czy pan w to wierzy?

– Moja wiara... – zaczął i urwał. – Wierzę... – zaczął ponownie... i ponownie urwał. – Nie ulega wątpliwości, że Ooowen miał dar ppprzewidywania przyszłości. Takie wizje się zdarzają.

Byłem zły na wielebnego Merrilla, że zrobił z Owena Meany'ego to, co często robił z Chrystusa czy Boga – przedmiot „metafizycznej spekulacji". Zrobił z Owena problem intelektualny, czego nie omieszkałem mu wytknąć.

– Ty chcesz uważać Owena i to wszystko, co się z nim stało, za cud? Pppprawda?

– No cóż, trochę to zakrawa na cud. Musi pan się ze mną zgodzić, że to coś raczej wyjątkowego.

– Mówisz jak ktoś nawrócony – rzekł Merrill z wyższością. – Podchodziłbym do tego problemu z większą ostrożnością – powinieneś uważać, żeby nie mieszać sssmutku po jego śmierci z wiarą rrrreligijną...

– Z pana słów wynika, że pan sam w to zbytnio nie wierzy! – Zaczynałem być zły.

– Chodzi ci o Owena?

– Nie, nie tylko o Owena. Wygląda mi na to, że pan nie bardzo wierzy w Boga ani we wszystkie tak zwane cuda. Zawsze pan powtarza, że „wątpliwości są istotą, a nie przeciwieństwem wiary",

ale ja odnoszę wrażenie, że nad panem zapanowały teraz pańskie wątpliwości! I pewnie dokładnie tak samo myślał Owen.

– Tak, to prawda, wwwłaśnie tak uuuważał.

Siedzieliśmy w jego biurze w zakrystii, nie rozmawiając, przez jakąś godzinę albo dwie. Kiedy tak siedzieliśmy, zapadł zmierzch, ale Merrill nawet się nie ruszył, by zapalić lampę na biurku.

– Co pan zamierza powiedzieć o nim na pogrzebie? – przerwałem wreszcie milczenie.

Nie widziałem w ciemności wyrazu jego twarzy. Ale Merrill siedział tak sztywno przy swoim starym biurku, że nienaturalność jego pozy przypominała człowieka, który nie wierzy, że uda mu się wykonać swoje zadanie. „Chcę, żeby pan się za mnie pomodlił" – powiedział do niego kiedyś Owen. Dlaczego modlitwa przychodziła Merrillowi z takim trudem? „To przecież pański zawód, prawda?". Dlaczego Merrill sprawiał wrażenie, że został do tego zmuszony siłą? Bo czyż obowiązkiem Merrilla nie było nie tylko się modlić za Owena – wtedy, teraz i zawsze – ale również na jego pogrzebie przekazać wiernym, w jaki sposób Owen przeżył swe życie – tak jakby wykonywał Boże polecenia i spełniał Boże rozkazy. I niezależnie od tego, czy wielebny Lewis Merrill wierzył we wszystko, w co wierzył Owen, jego obowiązkiem było dać świadectwo temu, jak wiernym sługą Bożym był Owen Meany.

Siedziałem w mroku, jaki zapadł w zakrystii, myśląc o tym, że dla pastora Merrilla to tylko sprawa kariery. Głosił te same stare historyjki, z tymi samymi co zawsze bohaterami. Upowszechniał te same stare cnoty i wartości. Snuł swoje rozważania teologiczne na podstawie wciąż tych samych starych „cudów", a jednocześnie sprawiał wrażenie, jakby w nie nie wierzył. Jego umysł zamknął się na najmniejszą możliwość zaistnienia jakiejś nowej historii. W sercu pastora nie było już miejsca dla żadnej nowej postaci czy nowego „cudu". Owen Meany wierzył, że jego śmierć jest potrzebna, aby uchronić innych od głupoty i nienawiści, która jego samego zniszczyła. Nie jest to przecież tak znów nietypowe przekonanie!

Nagle w ciemności gabinetu poczułem, że Owen Meany jest niezwykle blisko.

Wielebny Merrill zapalił lampkę; wyglądał tak, jakbym go nagle obudził, jakbym go właśnie zbudził z jakiegoś koszmaru. Próbował coś powiedzieć, ale zaczął się tak zacinać, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Musiał podnieść obie dłonie do ust – chyba usiłował wyciągnąć w ten sposób słowa z gardła. Bezskutecznie. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się udusić. Wtedy otworzył usta, ale nadal nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zaczął macać rękoma po blacie, a za chwilę jego dłonie powędrowały w stronę szuflad starego biurka.

Kiedy wielebny Merrill przemówił, nie był to głos pastora, lecz najprawdziwszy falset Owena, jego „nieustanny krzyk". Słowa wydobywały się z ust Merrilla, ale przemawiał Owen. „Zajrzyj do trzeciej szuflady po prawej". W tej samej chwili dłoń Merrilla przefrunęła do trzeciej szuflady po prawej stronie. Pociągnął ją tak gwałtownie, że aż wypadła, a po chłodnej kamiennej posadzce potoczyła się piłeczka baseballowa. Gdy spojrzałem na twarz pastora Merrilla, nie miałem wątpliwości, co to za piłeczka.

– Ojcze?... – spytałem.

– Wybacz mi, ssssynu! – rzekł pastor Merrill.

Wtedy właśnie, po raz pierwszy od swej śmierci, Owen pozwolił mi się usłyszeć. Drugi raz zdarzyło się to w sierpniu, kiedy to jakby chciał przypomnieć, że nigdy nie pozwoli, by mi się stało coś złego, i ustrzegł mnie przed upadkiem ze schodów w sekretnym przejściu. Wiem, że jeszcze od czasu do czasu będę miał od niego różne wiadomości. To typowe dla Owena, który zawsze lubił we wszystkim przedobrzyć. Powinien wreszcie zrozumieć, że nie musi mi dawać znaków, bym się zorientował, że jest w pobliżu. Jak surowa, szara postać Marii Magdaleny, która zajęła miejsce figury świętej – wiem, że tam jest, tak jak Owen wie, że Bóg istnieje, nawet po ciemku, nawet kiedy jest niewidoczny, wiem, że Owen jest.

Owen obiecywał, że Bóg wskaże mi ojca. Zawsze przypuszczałem, że Owen to zrobi; jego ta sprawa znacznie bardziej interesowała niż mnie. Nie zdziwiłem się ani trochę, że Bóg zdecydował się właśnie teraz wyjawić tajemnicę i że postanowił przemówić do mnie głosem Owena.

– Zajrzyj do trzeciej szuflady po prawej stronie! – rzekł Bóg.

Tam też była piłeczka, którą odbił Owen Meany. I oto mój nieszczęsny ojciec prosi mnie o przebaczenie.

Teraz powiem wam, jakie mam nieodparte wrażenie z tych ostatnich dwudziestu lat mego życia – jesteśmy cywilizacją zmierzającą ku rozczarowującym spełnieniom, w kierunku nieskończonej liczby nie satysfakcjonujących i nieprzyjemnych rozwiązań. Rozczarowująca, mało satysfakcjonująca i wręcz nieprzyjemna wiadomość, że wielebny Lewis Merrill jest moim ojcem – nie mówiąc już o śmierci Owena Meany – to jeden z przykładów powszechnego w dzisiejszym świecie poczucia zawodu.

W tej godnej pożałowania sprawie rozczarowanie bierze się również stąd, że Merrill nie chciał uznać, iż Owenowi udało się – zza grobu – zmusić go do wyjawienia mi owej tajemnicy. To kolejny cud, w który mój ojciec nie może uwierzyć, bo mu zabrakło wiary. Był to bardzo wzruszający moment. Coraz lepiej wychodziło mi naśladowanie głosu Owena. Merrill zawsze zresztą pragnął mi wyjawić, kim jest. Brakowało mu po prostu odwagi. Może zebrał się na odwagę, posługując się nie swoim głosem? Poza tym zawsze, jak twierdził, chciał mi pokazać piłeczkę, żeby mi wszystko „wyznać".

Wielebny Lewis Merrill tak daleko odsunął się intelektualnie od swej wiary, już tak dawno temu niezbędne w wierze uskrzydlenie stało mu się obce, że nie potrafił zaakceptować drobnego, lecz konkretnego cudu, który nie tylko zdarzył się w jego obecności, ale na dodatek został wypowiedziany jego własnymi wargami i zrealizowany jego własną ręką, która – na pewno nie jego własną siłą – wyszarpnęła trzecią po prawej szufladę z biurka. Oto miałem przed sobą wyświęconego kapłana Kościoła kongregacjonalistów, pastora i rzecznika wiernych, który utrzymywał, że cud (to znaczy fakt, że w biurze parafialnym usłyszałem głos Owena Meany'ego, nie mówiąc już o gwałtownym i skutecznym odkryciu „narzędzia zbrodni", broni, która zabiła moją mamę) jest nie tyle pokazem mocy Boga, ile manifestacją siły podświadomości. Znaczy to mniej więcej tyle, że zdaniem wielebnego Merrilla, obaj byliśmy „podświadomie umotywowani" – ja, by wykorzystać głos Owena albo zmusić pastora do tego, żeby on go wykorzystał, Merrill, aby mi wyznał, że jestem jego synem.

– Czy jest pan duchownym, czy psychiatrą? – spytałem wielebnego. Był taki zagubiony! Zachowywał się zupełnie jak doktor Dolder!

Wszystko stało się gorsze w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Także wiara. Merrill wyznał, że nie ma jej już za grosz. Powiedział mi, że stracił wiarę po śmierci mamy. Wtedy Bóg przestał do niego przemawiać, a Merrill przestał prosić, by Bóg z nim rozmawiał. Mój ojciec siedział w loży honorowej na owym meczu Małej Ligi i zobaczył mamę, która beztrosko szła po boisku, a gdy go dostrzegła, pomachała do niego, zwrócona plecami do bazy domowej. Właśnie w tym momencie modlił się do Boga, by matka padła trupem!

Jak na złość, zapewnił mnie, wcale nie o to mu naprawdę chodziło! To była tylko taka „ulotna myśl". Znacznie częściej pragnął, żeby zostali przyjaciółmi, żeby jej widok nie napełniał go pogardą dla własnej osoby za przewinienie, którego się dawno temu dopuścił. Kiedy na meczu zobaczył jej nagie ramiona, nienawidził sam siebie; było mu wstyd, że nadal nie może się wyzwolić spod jej uroku. Potem go dostrzegła i zupełnie bez żenady, bez cienia wstydu, pomachała do niego. Poczuł się tak winny, że zapragnął, by umarła. Pierwszy rzut Owena był dalekim autem. Owen go puścił. Matka nie uczęszczała do kościoła mego ojca, ale nigdy nie zachowywała się w stosunku do niego nieprzyjemnie, gdy się spotykali. Zawsze odnosiła się do pastora przyjaźnie, rozmawiała z nim, machała mu na powitanie. Z wielkim bólem przypominał sobie wszystkie szczegóły z nią związane – śliczne wgłębienie pod jej nagą pachą, którą mógł dostrzec tak wyraźnie, kiedy do niego machała. Drugi rzut omal nie trafił Owena w głowę – Owen padł na piasek, żeby uniknąć piłki. Niezależnie od wspomnień, jakie miała, mój ojciec odnosił wrażenie, że nie odczuwa żadnego bólu. Po prostu dalej machała! Och, żebyś tak padła trupem! – pomyślał.

Pomodlił się o to dokładnie w tym momencie. I wtedy Owen Meany uderzył kolejną piłkę. Oto skutki wiary koncentrującej się na nas samych – doprowadza to do tego, że wykorzystujemy ją do realizacji własnych celów. Jak mógł wielebny Lewis Merrill zgodzić się ze mną, że państwo Meany są „uosobieniem przesądów", skoro sam wierzył,

że Bóg wysłuchał jego modlitwy na tym meczu Małej Ligi i że od tamtej pory już nigdy nie chciał go wysłuchać. Bóg ukarał go za to – twierdził mój ojciec – że zapragnął śmierci mamy. Bóg nauczył pastora Merrilla, że modlitwą bawić się nie wolno. I przypuszczalnie właśnie dlatego z takim trudem przychodziło Merrillowi modlić się za Owena Meany'ego. Z tego powodu zaproponował nam cichą modlitwę w miejsce własnych słów! I to właśnie on mówi teraz o rodzicach Owena jak o „uosobieniu przesądów"! Rozejrzyjmy się po świecie, zobaczmy, jak wielu naszych niezrównanych przywódców utrzymuje, że wie, czego Bóg chce. To nie Bogu się popieprzyło, tylko tym krzykaczom – głoszą, że w Niego wierzą, i realizują swoje własne cele w Jego imieniu!

Wielebny Lewis Merrill dla własnej fanaberii modlił się, by moja mama padła trupem, ale to przecież taka stara, ograna historyjka. Jak się zresztą później – ku memu rozczarowaniu – dowiedziałem, romans mamy okazał się raczej żałosny niż romantyczny. Mama była w końcu zwykłą młodą kobietą z prowincji. Kiedy zaczęła śpiewać w „Gaju Pomarańczowym", uważała, że pastor z rodzinnego miasteczka powinien ją „pobłogosławić". Pragnęła mieć pewność, że to, co robi, jest przyzwoite, że nie ma w tym nic niestosownego. Poprosiła go, aby przyjechał zobaczyć i posłuchać, jak śpiewa. Naturalnie, wyglądała niesłychanie atrakcyjnie w tym zupełnie odmiennym otoczeniu – kobieta w szkarłatnej sukni, czyli Dama w Czerwieni, w niczym nie przypominała chórzystki, którą szkolił, gdy miała naście lat. Przypuszczam, że dość łatwo przyszło im uwieść się nawzajem, gdyż mama była naprawdę niewinna, a ja mogę przyznać Merrillowi bodaj tyle, że się szczerze zakochał. W końcu przecież nie miał większego doświadczenia w miłości. Fakt, że wcale nie zamierzał opuścić swej nieszczęśliwej żony i dzieci, musiał go później przyprawiać o głębokie poczucie wstydu.

Wiem, że mama znosiła to dość dobrze. O ile pamiętam, bez większej przykrości zwracała się do mnie „mój ty skoku". Krótko mówiąc, Tabita Wheelwright dosyć szybko pocieszyła się po Lewisie Merrillu. Ze stoickim spokojem podeszła do konieczności urodzenia dziecka z nieprawego łoża. Mama zawsze miała zdrowe intencje. Przypuszczam, że nie zawracała sobie głowy poczuciem winy,

w czym wielebny Merrill wręcz się lubował. Przecież jego wyrzuty sumienia to było wszystko, co mu pozostało. Zwłaszcza kiedy opuściły go resztki odwagi i musiał sam przed sobą przyznać, że nie zdobędzie się na to, by dla mojej mamy porzucić nieszczęsną żonę i dzieci. Miał naturalnie dalej się torturować nieustannym, rujnującym wewnętrznie przeświadczeniem, że ją kocha. Przypuszczam, iż jego „miłość" do mojej mamy była intelektualnie odległa od jakiegokolwiek uczucia i działania w takim samym stopniu, jak „wiara" pastora, podlegająca zbyt daleko idącym i nierealistycznym interpretacjom. Matka była znacznie zdrowszą istotą. Kiedy oświadczył, że nie porzuci dla niej rodziny, najzwyczajniej wybiła go sobie z głowy i dalej śpiewała.

Wielebny Merrill nie umiał się poddać płynącym z głębi serca reakcjom na zaistniałą sytuację, był bowiem wytrwałym myślicielem. Do upadłego zastanawiał się, rozważał, dumał i obmyślał strategię postępowania wobec mamy. Kiedy zaś poznała Dana Needhama i zaręczyła się z nim, poczuł się zagrożony: oto niedługo przyjdzie mu przestać rozmyślać. Kiedy następnie mama wyszła za Dana, Merrill obawiał się, że wkrótce wygaśnie ból, który sam sobie zadawał i który zdążył już polubić. To, że mimo całej jego goryczy ona nieustannie promieniała, że nawet odszukała go wzrokiem na trybunie i pomachała mu radośnie dosłownie na ułamek sekundy przed śmiercią, musiało się pastorowi wydawać tak mało istotne! Do Boga wielebny Lewis Merrill najbardziej zbliżył się w wyrzutach sumienia z powodu grzechu, którego dopuścił się z mamą.

I gdy doznał wyróżnienia, bo dane mu było uczestniczyć w cudzie Owena Meany'ego, mój pełen goryczy ojciec potrafił się zdobyć tylko na tyle, by zacząć jęczeć na temat utraconej wiary – owego idiotycznie subiektywnego, raczej niepewnego przekonania, które tak łatwo pozwalał w sobie wykrzesać małodusznym, narzuconym sobie wątpliwościom. Ależ z tego pastora Merrilla dupek! A jaką dumą napawała mnie mama, która miała dosyć rozsądku na to, by się od niego odczepić!

Nic dziwnego, że dla Merrilla było prawdziwą udręką, kiedy dowiedział się, iż ma mówić o Owenie na jego pogrzebie. Skąd taki człowiek jak on mógł wiedzieć, co powiedzieć na temat Owena

Meany'ego? Traktował rodziców Owena jak „uosobienie przesądów", jednocześnie bezczelnie zakładając, że Bóg „wysłuchał" jego żarliwej egoistycznej modlitwy, w której prosił, by mama padła trupem. Arogancja pastora szła jeszcze dalej – zakładał bowiem, że Bóg milczy i nie chce go słuchać, tak jakby wielebny Merrill zupełnie sam z siebie miał dosyć mocy, by Bóg zwrócił na niego uwagę i by znieczulił względem niego swe serce. Cóż za hipokryzja ze strony wielebnego, przyznać mi rację, że państwo Meany to „uosobienie przesądów"!

– Jak bardzo chciałbym ci przywrócić wiarę! – powiedziałem głosem pełnym sarkazmu do mego ojca w zakrystii, gdzie mieliśmy przygotowywać się do pogrzebu Owena. A potem go zostawiłem – pewnie zastanawiał się, czy odzyskanie wiary w ogóle jest możliwe. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek odczuwał większy gniew. Wtedy właśnie poczułem się skłonny „czynić nieprawość". Przypomniałem sobie jednocześnie, jak usilnie Owen próbował mnie przygotować na rozczarowanie, jakim miało być dla mnie spotkanie z ojcem.

Toronto, 27 kwietnia 1987. Pochmurno, pod wieczór na pewno będzie padać. Katherine uważa, że najmniej chrześcijańska jest we mnie zapalczywość. Wiem, że to prawda. Na dodatek idzie w parze z ciągle powracającym pragnieniem zemsty. Siedziałem sobie w kościele Łaski na Wzgórzu – siedziałem zupełnie sam, w przyćmionym świetle; było tu tak pochmurno, jak na dworze. Żeby sprawy jeszcze bardziej pogorszyć – Niebieskie Sójki z Toronto grały w rozgrywkach ligowych. Jeśli uda im się zakwalifikować do Pucharu Świata, to w tym mieście nie będzie się mówić o niczym innym, tylko o baseballu.

Czasami nachodzą mnie takie chwile, kiedy muszę kilkakrotnie odczytywać psalm 37:

Nie wpadaj w gniew z powodu złoczyńców,
nie zazdrość tym, co czynią nieprawość.

W szkole miałem ciężki tydzień. Każda jesień zaczyna się tak samo – oczekuję zbyt wiele od uczennic. A później spotyka mnie nieuzasadnione rozczarowanie – nimi i sobą. Podchodziłem do dziewczyn zbyt sarkastycznie. Moja nowa koleżanka, Eleanor Pribst, naprawdę ciągnie mnie w stronę nieprawości.

W tym tygodniu czytałem klasie dziesiątej opowiadanie Robertsona Daviesa o duchach – „Duch, który znikał stopniowo". I nagle w środku opowiadania, które uwielbiam, zacząłem się zastanawiać: co uczennice dziesiątej klasy mogą wiedzieć o robieniu dyplomu, pracach doktorskich i temu podobnych sprawach, z których Davies tak kapitalnie się naśmiewa? Dziewczyny jakoś ciężko tego dnia myślały. Nie potrafiły się porządnie skoncentrować na treści. Byłem na nie zły i dlatego czytałem kiepsko, przez co nie udawało mi się oddać uroku opowiadania. Wtedy zacząłem się złościć sam na siebie, że właśnie ten tekst wybrałem, nie wziąwszy pod uwagę wieku i braku doświadczenia moich uczennic. O Boże, co za sytuacja!

To chyba w tym opowiadaniu Davies pisze, że intelekt studenta robiącego dyplom jest jak szampan – szampan kanadyjski... To „absolutnie bezcenne" twierdzenie, tak kiedyś mawiała babcia. Myślę, że wypróbuję je na Eleanor Pribst, gdy będzie usiłowała się na mnie odegrać. Pewnie dotknę kikutem prawego palca wskazującego prawej dziurki w nosie – wtedy będzie miała wrażenie, że udało mi się wsadzić palec do nosa na tyle głęboko, by czubek wyszedł mi między oczyma. Na pewno w ten sposób zwrócę na siebie jej uwagę. I wówczas wygłoszę tę bezcenną sentencję na temat intelektu studentów.

Siedząc tak w kościele, spróbowałem pochylić głowę i oddalić od siebie swój gniew. Samotność najłatwiej znaleźć w świątyni po niedzielnym nabożeństwie.

W tym tygodniu dręczyłem uczennice, z którymi omawiam literaturę kanadyjską, problemem „śmiałych początków". Powiedziałem im, że gdyby książki, które każę im czytać, zaczynały się chociażby w połowie tak niezbornie, jak pisane przez nie prace na temat „Sławnych ostatnich słów" Timothy Findleya, nigdy nie przebrnęłyby nawet przez jedną z nich! Wykorzystałem właśnie powieść Findleya, aby zilustrować, o co mi chodzi – tę szokującą

scenę, kiedy to ojciec zabiera dwunastoletniego syna na dach hotelu Arlington, chcąc mu pokazać widok na Boston, Cambridge, Harvard i Charles, a następnie rzuca się piętnaście pięter w dół, by znaleźć śmierć na oczach swego dziecka. Możecie sobie coś takiego wyobrazić? To równie dobre jak pierwszy rozdział „Burmistrza Casterbridge", w którym Michael Henchard spija się tak strasznie, że przegrywa zakład o żonę i córkę... Wyobrażacie sobie? Hardy doskonale wiedział, co robi. Zawsze!

– Dlaczego – spytałem moje rozlazłe uczennice – wasze prace zwykle „zaczynają" się dopiero po czterech czy pięciu stronach bełkotu, w którym mieszają się różne pomysły? Jeśli potrzebujecie czterech czy pięciu stron na to, by znaleźć właściwy początek, to może warto byłoby przeredagować prace, tak aby zaczynały się po prostu od strony czwartej bądź piątej?

Ach, młodzi, młodzi! Gdzie wasze poczucie humoru? Z przykrością mówię najstarszym dziewczętom o Trollope'ie. Nie obchodzi mnie jednak, czy płaczą dlatego, że są zmuszone go czytać. Zwłaszcza wielką przyjemność sprawiają mi „Wieże Barchester". Ale mówić o Trollope'ie temu wychowanemu przez telewizję pokoleniu dziewcząt, to tak jak rzucać perły przed wieprze. Ich biodra, umysły, a nawet serca poruszają się w rytm totalnie bezmyślnych rockowych wideoklipów. Jednocześnie początek rozdziału czwartego nie wywołuje na ich ustach nawet cienia uśmiechu!

O przodkach wielebnego pana Slope'a niewiele mogę powiedzieć. Słyszałem, że podobno pochodzi w prostej linii od sławnego lekarza, który uczestniczył przy narodzinach pana T. Shandy'ego, i że na początku swej kariery dodał „e" na końcu swego nazwiska, żeby lepiej brzmiało – tak jak to zresztą niejednokrotnie robili przed nim inni wielcy ludzie.

Nawet cienia uśmiechu! Za to serca im łomoczą, biodra same podrygują, głowy się trzęsą i podskakują, oczy zaś zapadają w głąb nie wykształconych czaszek, kiedy tylko usłyszą Hester Okrutnicę. A co dopiero, gdy widzą całą tę wirówkę nonsensu bez ładu i składu, która towarzyszy ścieżce dźwiękowej jej klipów!

Chyba rozumiecie, dlaczego odczuwam potrzebę, by samotnie posiedzieć sobie w kościele Łaski.

W tym tygodniu moim uczennicom z klasy trzynastej na zajęciach z litkanu, jak by to nazwała lubująca się w skrótach pani Pribst, czytałem „Księżyce Jupitera”, cudowne opowiadanko Alice Munro. Wiązało się to dla mnie z głębokim przeżyciem, ponieważ jedna z uczennic – Yvonne Hewlett – znajdowała się w sytuacji bardzo podobnej do sytuacji narratorki utworu. Jej ojciec też był w szpitalu przed dość skomplikowaną operacją serca. Nie pamiętałem o tym, aż do chwili, kiedy zacząłem czytać. Było już za późno, żeby przerwać czy wybrać inny tekst, ciągnąłem więc dalej. Cóż, nie ma tu żadnych brutalnych scen, opowiadanie jest pełne ciepła i zdolne podtrzymać na duchu dzieci wszystkich pacjentów, którzy przechodzą operację serca. Co miałem robić? Yvonne opuściła niedawno tydzień zajęć, gdy jej ojciec miał zawał. Była bardzo spięta i poruszona, gdy zacząłem czytać opowiadanie. Już od pierwszego zdania: „Odnalazłam ojca na oddziale kardiologii...”.

Jak mogłem postąpić równie bezmyślnie? Chciałem przerwać i powiedzieć Yvonne, że wszystko będzie dobrze, chociaż nie miałem prawa składać jej żadnych tego typu obietnic, zwłaszcza dotyczących jej biednego taty. Boże, co za sytuacja! Nagle poczułem się jak mój własny ojciec – pomyślałem, że jestem dzieckiem mego nieszczęsnego ojca. I wtedy zacząłem żałować zła, które mu wyrządziłem. Właściwie wszystko się dobrze skończyło i w rezultacie oddałem mu przysługę, choć wcale nie takie były moje zamiary.

Kiedy go zostawiłem samego w zakrystii, pogrążonego w rozmyślaniach, co ma powiedzieć na pogrzebie Owena Meany’ego, zabrałem ze sobą piłeczkę baseballową. Idąc do Dana, zostawiłem piłeczkę w schowku w samochodzie. Byłem tak zły, że nie wiedziałem, co mam zrobić, ot, na przykład – powiedzieć Danowi czy nie?

Wtedy właśnie spytałem Dana, dlaczego zależało mu na tym, byśmy razem z mamą przenieśli się do Kościoła episkopalnego, skoro on sam nie jest człowiekiem wierzącym.

– Nie rozumiem – odrzekł Dan. – To był twój pomysł.

– Jak to?

– Mama powiedziała, że wszyscy twoi koledzy należą do Kościoła episkopalnego i że poprosiłeś ją, byście się przenieśli do innego

Kościoła, bo w ten sposób mógłbyś chodzić do szkoły niedzielnej wraz z przyjaciółmi. Podobno w Kościele kongregacjonalistów nie miałeś żadnych kolegów.

– Tak mówiła? – spytałem. – Mnie powiedziała, że obydwoje powinniśmy przejść do Kościoła episkopalnego, czyli tego samego Kościoła co ty.

– Należę do Kościoła prezbiteriańskiego, choć nie ma to większego znaczenia – rzekł Dan.

– A więc skłamała i tobie, i mnie – odparłem.

Po chwili Dan wzruszył ramionami.

– Ile miałeś wtedy lat? Osiem, dziewięć, dziesięć? Może nie wszystko dokładnie pamiętasz?

Zamyśliłem się na chwilę, nie patrząc na niego.

– Byliście długo zaręczeni, zanim się pobraliście. O ile dobrze pamiętam, jakieś cztery lata.

– Tak, zgadza się, blisko cztery lata – odrzekł Dan ostrożnie.

– Dlaczego tak długo zwlekaliście z małżeństwem? Przecież byliście pewni swoich uczuć?

Dan popatrzył na półki zasłaniające sekretne przejście.

– Twój ojciec... – zaczął i urwał. – Twój ojciec chciał, żeby zaczekała.

– Dlaczego?

– By nabrać pewności co do mnie.

– A cóż on miał do tego? – zawołałem.

– Właśnie dokładnie to samo i ja jej powiedziałem. Że to nie jego interes, skoro mama jest „pewna", że mnie kocha. Naturalnie, ona nie miała żadnych wątpliwości, ja zresztą też nie.

– Dlaczego zrobiła to, czego chciał?

– Ze względu na ciebie. Pragnęła, żeby jej obiecał, iż nigdy ci nie wyjawi, kim jest. Ale on nie zamierzał złożyć obietnicy, o ile ona się nie wstrzyma z małżeństwem. Oboje musieliśmy czekać, aż przysięgnie, że nigdy ci nie powie. Trwało to cztery lata.

– Zawsze myślałem, że mama sama by mi wyjawiła, kto jest moim ojcem, jeśliby żyła. Wyobrażałem sobie, że tylko czeka, aż dorosnę, i wtedy mi powie.

– Nie chciała ci tego zdradzić. Postawiła sprawę jasno – ani ty, ani ja nie mieliśmy się tego nigdy dowiedzieć. Ja na to przystałem. Ty pewnie też byś przystał, gdyby cię o to sama poprosiła. Jedynie twój ojciec nie chciał się z tym pogodzić – i to przez cztery lata.

– Mógł przecież ze mną porozmawiać po śmierci mamy. Nikt by nie wiedział, że złamał obietnicę, gdyby mi powiedział. Tylko ja bym znał prawdę. A ja bym się nigdy nie dowiedział, że kazała mu cokolwiek obiecywać! Nie miałem żadnych podstaw, by sądzić, że on chce mi się ujawnić!

– To pewnie ktoś, komu można zaufać, że dotrzyma słowa – rzekł Dan. – Kiedyś podejrzewałem, że jest po prostu o mnie zazdrosny, że chce, by czekała te cztery lata, w nadziei, iż albo ja się wycofam, albo ona się mną znudzi. Uważałem, że zależy mu jedynie na tym, żeby rozbić nasz związek, wydawało mi się, że tylko udaje, iż chce, by ona nabrała co do mnie pewności, albo pragnie jej przyzwolenia, by móc ci wyjawić prawdę. Teraz wydaje mi się, że szczerze zależało mu na tym, by nabrała co do mnie pewności, a jemu niewątpliwie z trudem przyszło obiecać, że się z tobą nigdy nie skontaktuje.

– Czy wiedziałeś o Damie w Czerwieni? – spytałem Dana. – Czy wiedziałeś o „Gaju Pomarańczowym" i w ogóle o wszystkim?

– Tylko tam mogła się z nim widywać i tylko tam mogli rozmawiać – rzekł Dan. – To wszystko, co na ten temat wiem. Nie zamierzam cię wypytywać, skąd ty o tym wiesz.

– Czy słyszałeś o Wielkim Buchu Wolniasze?

– To stary muzyk, Murzyn. Matka go bardzo lubiła. Przypominam sobie tę postać, bo ostatni raz, kiedy się razem z mamą gdzieś wybieraliśmy przed jej śmiercią, pojechaliśmy właśnie na jego pogrzeb.

Zatem Dan Needham uważał, że mój ojciec to człowiek, który potrafi dotrzymać słowa. Czy znamy wielu takich ludzi? Ciekawe. Bez sensu chyba byłoby zmieniać pogląd Dana na sprawę uczciwości mego ojca. Po co mi było wiedzieć, kto jest moim ojcem? Byłem prawie całkowicie pewien, że ta wiadomość nie przyniosłaby także Danowi większego pożytku. Co by mu przyszło z tego, gdyby wiedział, że wielebny Lewis Merrill siedział w loży honorowej, modląc się, by mama padła trupem? Pomijam już arogancję pastora, który

uważał, że jego modlitwa została wysłuchana. Nie miałem wątpliwości, że Dan nie musi tego wszystkiego wiedzieć. Z jakich innych powodów mogło mamie zależeć na tym, byśmy się przenieśli do Kościoła episkopalnego, jeśli nie po to, by odsunąć się od Merrilla? Mój ojciec nie był odważnym ani honorowym człowiekiem, choć raz usiłował takim być. Mimo strachu, zdobył się na swoistą odwagę i wygłosił modlitwę za Owena Meany'ego. Wypadło to nawet nie najgorzej.

Czego mógłby się obawiać, gdyby mi wyjawił, że jest moim ojcem? I co się stało z jego własnymi dziećmi, które, niestety, nigdy nie zaznały z jego strony ojcowskiej czułości? Odczuwał jedynie niemożliwą do zmierzenia i wyrażenia winę, a poczucia tej winy trzymał się kurczowo, jak człowiek, który nie umie się już modlić. Mógłbym go nauczyć się modlić. Po rozmowie z Danem zaświtała mi myśl, w jaki sposób przywrócić wiarę wielebnemu Merrillowi. Wiedziałem, co trzeba zrobić, żeby go na nowo zachęcić. Pomyślałem o tym nieokreślonym środkowym dziecku pastora, które z brutalnie obciętymi włosami właściwie nie przypominało dziewczynki. Pomyślałem o starszym chłopcu – wysokim, bezczelnym wandalu cmentarnym. Najmłodsze – mały złodziejaszek – zwykle czołgało się pod ławkami, tak że nawet nie pamiętam, jakiej było płci.

Jeśli Merrillowi zabrakło wiary, by uwierzyć w Owena Meany'ego, jeśli był święcie przekonany, że Bóg karze go milczeniem, wiedziałem, że mogę dać mu coś, w co uwierzy. Skoro ani Bóg, ani Owen Meany nie potrafili mu przywrócić wiary, to mnie przyszedł na myśl „cud", w który Merrill powinien uwierzyć.

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy zostawiłem pastora Merrilla siedzącego za biurkiem w zakrystii. Niecałe pół godziny później byłem już po rozmowie z Danem i przejeżdżałem obok kościoła Hurda na rogu Front Street i Tan Lane. Lewis Merrill nadal przebywał w zakrystii, bo wciąż paliło się tam światło. Teraz prześwitywało również przez kolorowe witraże prezbiterium, które zamykało „świętą" przestrzeń wokół ołtarza. Tam właśnie mój ojciec

(niewątpliwie) dobierał ostatnie słowa, które miał poświęcić Owenowi Meany'emu.

Przypuszczam, że wszystko, co trzymał, trzymał w jakimś określonym celu – powiedział mi wcześniej pan Meany, mając na myśli manekin mamy w czerwonej sukni. Na pewno ten biedny kretyn nie zdawał sobie sprawy, jak wiele racji kryje się w jego słowach.

Na Maiden Hill Road panował mrok. Nadal stały tam stożkowate słupki, sygnalizujące roboty drogowe, i nie oświetlone oznaczenia z boku drogi koło estakady mostu, na którego przyporze zabił się Buzzy Thurston. Na skutek wypadku nawierzchnię mostu częściowo diabli wzięli i w miejscu, w którym plymouth Buzzy'ego wyżłobił dziury, musiano położyć świeży asfalt.

W kuchni państwa Meanych jak zawsze paliło się światło. Zwykle zostawiali je dla Owena. Dużo czasu upłynęło, zanim pan Meany otworzył drzwi. Nigdy przedtem nie widziałem go w piżamie. Wyglądał dość dziecinnie, a może raczej jak duży klown w dziecięcym ubranku.

– Proszę, proszę, otóż i Johnny Wheelwright! – rzekł automatycznie.

– Chcę zabrać manekin – powiedziałem.

– No jasne, od razu mi się wydawało, że go będziesz chciał.

Manekin nie był ciężki, ale za to dość nieporęczny, bo nie zginał się i nie chciał wejść do garbusa. Przypomniałem sobie wtedy, jak owego wieczoru, kiedy rodzice zabierali Owena do domu z jasełek, trudno było go wsadzić zawiniętego w powijaki do szoferki ciężarówki. I jak Hester, Owen i ja jechaliśmy na platformie ciężarówki tej nocy, gdy pan Meany wiózł nas – no i manekin – na plażę przy Głowie Dzika.

– Możesz sobie pożyczyć pikapa, jeśli będzie ci łatwiej – zaproponował pan Meany. Nie było to jednak potrzebne, gdyż przy jego pomocy jakoś się udało wcisnąć manekin do garbusa. Musiałem tylko odczepić od drucianej siatki pod ramionami manekina nagie białe ręce, które kiedyś należały do Marii Magdaleny. Manekin nie miał nóg – wyrastał z żerdki na cienkiej płaskiej podstawce, którą wystawiłem przez otwarte okno od strony pasażera. Siedzenie

pochyliłem do przodu, tak by chłopięce biodra i smukła talia, a także obfite piersi i szczupłe ramiona mogły spocząć na tylnym fotelu. Manekin nie zmieściłby się, gdyby miał głowę.

Podziękowałem panu Meany'emu.

– Nie ma za co.

Zatrzymałem volkswagena na Tan Lane, z dala od kościoła Hurda i migających żółtych świateł na skrzyżowaniu z Front Street. Wcisnąłem piłeczkę baseballową do kieszeni, wziąłem manekin pod jedną pachę, a pod drugą – długie jasne ramiona Marii Magdaleny. Ponownie złożyłem do kupy figurę mamy na klombie, na który padało przyćmione światło, przenikające przez szybki witraży prezbiterium. W zakrystii nadal było widno, lecz pastor Merrill ćwiczył modlitwy za Owena w prezbiterium starego kamiennego kościoła. Od czasu do czasu dla zabawy uderzał w klawisze organów. Merrill potrafił trochę grać na organach, jeszcze z czasów, kiedy kierował chórem w Kościele kongregacjonalistów. Znałem wszystkie hymny, które wygrywał, usiłując wytworzyć nastrój sprzyjający modlitwie za Owena.

Grał „Panu życia koronę włóż na skroń". Potem spróbował „Syn Boży na wojnę rusza swą". Manekin najlepiej było ustawić na klombie portulaki; były to niezbyt wysokie krzaczki o mięsistych liściach i małych kwiatkach, w większości zamykających się na noc, a więc nie gryzące się z czerwienią stroju mamy. Suknia całkowicie zakrywała drucianą siatkę na biodrach, a cienki czarny trzonek, na którym trzymał się manekin, był w półmroku niewidoczny – wyglądało to tak, jakby mama nie stała na ziemi, lecz unosiła się nad powierzchnią klombu. Chodziłem od klombu do drzwi zakrystii i z powrotem, sprawdzając, jak manekin wygląda z odległości, i ustawiając go tak, by nie sposób było nie zauważyć wspaniałej figury mamy. Przyćmione światło z prezbiterium oświetlało ją idealnie; było go wystarczająco dużo, by podkreślić szkarłatny odcień sukni, lecz nie dosyć, by od razu dało się zauważyć, że manekin nie ma głowy. Brakowało mamie głowy i nóg, a może po prostu tonęły w mroku. Z miejsca przy drzwiach zakrystii postać mamy wyglądała jak żywa, a jednocześnie jak duch. Dama w Czerwieni sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zacząć śpiewać. Nastrojowość sceny

pogłębiało również migoczące żółte światło na rogu Tan Lane i Front Street. Nawet reflektory z rzadka przejeżdżających samochodów omijały postać na klombie portulaki na tyle daleko, by jej za bardzo nie podświetlać.

Ścisnąłem piłeczkę. Nie miałem w ręku piłeczki baseballowej od owego meczu Małej Ligi. Nie byłem pewien, czy mi się uda ją dobrze chwycić, ponieważ pierwsze dwa człony palca wskazującego przy rzucie są dość ważne. Ale nie potrzebowałem rzucać daleko. Czekałem, kiedy Merrill przestanie grać na organach. W momencie gdy przerwał grę, cisnąłem piłeczkę – tak mocno, jak potrafiłem – w jedno z wyższych witrażowych okien prezbiterium. Piłka wybiła niewielki otwór w szybie i strumień białego światła – zupełnie jak z latarki – skierował się w górę, na liście wyniosłych wiązów, za którymi się ukryłem, czekając na pastora Merrilla.

Minęła dłuższa chwila, zanim odkrył, co takiego wpadło przez jedno z uświęconych okien prezbiterium. Przypuszczam, że piłeczka musiała potoczyć się obok organów, a może nawet blisko ambony.

– Johnny! – usłyszałem donośny głos mego ojca. Drzwi między kościołem i zakrystią otworzyły się i zamknęły.

– Johnny! Wiem, że jesteś zły, ale to dziecinada! – zawołał. Doszły mnie jego kroki w korytarzu, tuż za zakrystią, gdzie znajdowały się wszystkie wieszaki. Otworzył na oścież drzwi zakrystii – piłeczkę trzymał w prawej ręce – i zamrugał oczami w kierunku migającego żółtego światła na rogu Tan Lane i Front Street.

– Johnny! – krzyknął ponownie. Wyszedł na zewnątrz. Popatrzył na lewo – w kierunku kampusu Akademii, potem w prawo – wzdłuż Front Street, a następnie na klomb rozjaśniony światłem przenikającym przez witraże prezbiterium. W tym momencie wielebny Lewis Merrill opadł na kolana i mocno przycisnął piłeczkę do serca.

– Tabby! – szepnął. Wypuścił piłkę, która potoczyła się na chodnik Front Street. – Boże! Wybacz mi! Tabby, to nie ja mu powiedziałem. Obiecałem ci, że mu nie powiem; to nie ja! – krzyknął mój ojciec. Zaczął się pochylać – nie mógł na nią spojrzeć – zakrył oczy dłońmi. Opadł na bok, głową dotykając trawy rosnącej wzdłuż ścieżki do zakrystii. Podciągnął kolana pod brodę, tak jakby zrobiło mu się

zimno albo jakby był dzieckiem układającym się do snu. – Tabby! Wybacz mi! – jęczał.

Potem zaczął wydawać z siebie jakieś nieartykułowane dźwięki. Mówił dosłownie szeptem i na dodatek dostał nerwowych drgawek, co mi wystarczyło, by nabrać pewności, że nie umarł. Przyznam, że poczułem rozczarowanie, iż szok wywołany widokiem mamy go nie zabił. Wziąłem manekin pod pachę. Martwe ramię Marii Magdaleny odpadło, wsadziłem je więc pod drugą pachę. Podniosłem z chodnika piłeczkę baseballową i wepchnąłem do kieszeni. Ciekaw byłem, czy mój ojciec słyszał, jak się kręcę, bo wydawało mi się, że jeszcze mocniej podciągnął nogi do pozycji embrionalnej i jeszcze szczelniej zamknął oczy, tak jakby się bał, że mama podejdzie bliżej. Może przestraszyły go zwłaszcza te śmiertelnie blade długie ramiona – jak gdyby Śmierć wydłużyła mamie ręce. Może Merrill obawiał się, że mama go dotknie.

Wsadziłem manekin i ramiona Marii Magdaleny do garbusa i pojechałem na falochron przy Rye Harbor. Była północ. Rzuciłem piłkę do wody, najdalej jak mogłem. Plusk był tak cichy, że nawet mewy go nie usłyszały. Do wody wrzuciłem też długie ciężkie ramiona Marii Magdaleny. Plusnęły głośniej, ale kołyszące się na cumie łódki i fale bijące o falochron w głębi morza robiły mniej więcej tyle samo hałasu, mewy więc się nawet nie spłoszyły.

Wtedy, ciągle jeszcze trzymając manekin przyodziany w czerwoną sukienkę, ruszyłem falochronem w głąb morza. Zbliżała się pora odpływu. Wszedłem do portowego kanału za falochronem. Natychmiast zanurzyłem się prawie po pachy i musiałem się cofnąć do ostatniego bloku granitu w falochronie, aby móc rzucić manekin jak najdalej w morze. Chciałem mieć pewność, że znajdzie się w kanale, który z tego, co wiedziałem, był bardzo głęboki. Na chwilę przytuliłem manekin do twarzy. Ale nawet jeśli kiedyś czerwona suknia pachniała jakimiś perfumami, to dawno już wywietrzały. Potem cisnąłem manekin do kanału.

Przez jedną okropną chwilę unosił się na wodzie. Pod torsem z drucianej siatki musiało się zebrać powietrze. Potem przekręcił się na plecy. Nad powierzchnią wody dostrzegłem wspaniały biust mamy. „Żadna matka nie ma takich piersi jak twoja” – powiedział

kiedyś Owen. A potem manekin obrócił się ponownie. Uleciały z niego bąbelki powietrza i Dama w Czerwieni zatonęła w wodach kanału Rye Harbor za falochronem; Owen był przekonany, że ma na nim prawo siadywać i przyglądać się stąd morzu.

Zobaczyłem słońce wstające jak jasna szklana kula nad granitowoszarą powierzchnią Atlantyku. Pojechałem do mieszkania, które zajmowałem z Hester, wziąłem prysznic i przebrałem się na pogrzeb Owena. Nie miałem pojęcia, gdzie jest moja kuzynka, ale właściwie mnie to nie obchodziło. Wiedziałem już, co myśli na temat pogrzebu. Po raz ostatni widziałem Hester w domu przy Front Street, kiedy razem z babcią oglądaliśmy zabójstwo Roberta Kennedy'ego w Los Angeles. Oglądaliśmy to w kółko. Wtedy właśnie Hester powiedziała: „Telewizja pokazuje niezgorsze dramaty".

Owen nie wspomniał ani słowem o zabójstwie Boba. Zdarzyło się to w czerwcu 1968 roku, kiedy Owenowi Meany'emu zostało już niewiele czasu. Z pewnością za bardzo pochłaniała go myśl o własnej śmierci, żeby miał cokolwiek do powiedzenia na temat Kennedy'ego.

Było wcześnie rano, a ja w mieszkaniu Hester trzymałem niewiele rzeczy, więc bez trudu spakowałem wszystko, co trzeba – przede wszystkim książki. Owen również trzymał u Hester książki. Jedną z nich – „Refleksje nad Psalmami" C.S. Lewisa też sobie zabrałem. Owen zakreślił swoje ulubione zdanie: „Piszę dla tych, co nie wiedzą o rzeczach, o których sam wiem niewiele". Kiedy już skończyłem się pakować, zostawiłem Hester czek za moją część opłat do końca lata. Zostało mi jeszcze trochę czasu, zabrałem się więc do czytania dziennika Owena. Skoncentrowałem się na zapiskach trochę bardziej chaotycznych, które wyglądały jak lista sprawunków i raczej przypominały luźne notatki. Dowiedziałem się, że *huachuca* – tak jak Fort Huachuca – znaczy „góra wiatrów". Było też kilka stron ze słówkami i zwrotami wietnamskimi. Owen zwracał szczególną uwagę na „tryb rozkazujący czasowników". Dwa polecenia powtórzył kilkakrotnie, zaznaczając wymowę. Były to zapisy fonetyczne.

NAM SUN – POŁÓŻCIE SIĘ NA ZIEMI, DUNG SA – NIE BÓJCIE SIĘ.

Czytałem ów fragment parę razy, aż poczułem, że dobrze to wymawiam. Znalazłem też nie najgorszy ołówkowy rysunek feniksa, mitycznego ptaka, który podobno spalał się na pogrzebowym stosie,

a następnie na nowo powstawał z własnych popiołów. CZĘSTO SYMBOL ODRODZONEGO IDEALIZMU BĄDŹ NADZIEI – ALBO EMBLEMAT NIEŚMIERTELNOŚCI – napisał pod rysunkiem Owen. Gdzie indziej z kolei nabazgrał pospiesznie na marginesie, tak jakby bez żadnego związku z tym, co zapisał na karcie: TRZECIA SZUFLADA PO PRAWEJ STRONIE. Tej uwagi nie podkreślił, a zatem nic nie wskazywało na to, że jest to wiadomość dla mnie. Ale naturalnie pomyślałem sobie, że pewnie pamiętał tę sytuację, kiedy siedział przy biurku Merrilla i rozmawiając z Danem oraz ze mną, wysuwał i zamykał szuflady, tak jakby nie zauważał ich zawartości.

Musiał już wcześniej widzieć piłeczkę. Wiedział, kto jest moim ojcem, ale wiara Owena Meany'ego była ogromna. Wierzył, że to Bóg mi powie, kto jest moim ojcem. Był przekonany, że on nie musi tego robić. Poza tym wiedział, że wtedy odczułbym tylko rozczarowanie.

Potem przeszedłem do tej części dziennika, w której pisał o mnie.

NAJGORSZE, CO MI PRZYSZŁO ZROBIĆ, TO ODCIĄĆ PALEC MOJEMU NAJLEPSZEMU PRZYJACIELOWI. KIEDY BĘDZIE JUŻ PO WSZYSTKIM, ŁATWO ZERWIE Z PRZESZŁOŚCIĄ. POWINIEN ZACZĄĆ PO PROSTU OD NOWA. JOHN MUSI POJECHAĆ DO KANADY. ŻYCIE TAM NA PEWNO TOCZY SIĘ PRZYJEMNIE. NASZ KRAJ JEST JUŻ MORALNIE WYCZERPANY.

Potem przerzuciłem wszystkie kartki do końca dziennika i ponownie przeczytałem ostatni wpis.

TO DZISIAJ!... TEN, KTO WE MNIE WIERZY, CHOĆBY I UMARŁ, ŻYĆ BĘDZIE NA WIEKI...

Zamknąłem dziennik i zapakowałem go razem z moimi rzeczami. Babcia wstawała wcześnie. Chciałem jeszcze zabrać z rodzinnego domu jakieś jej zdjęcia, a także zdjęcia mamy oraz trochę ubrań... Chciałem też zjeść śniadanie z babcią w rozarium. Do pogrzebu Owena zostało jeszcze sporo czasu – dosyć, żeby jej powiedzieć, dokąd wyjeżdżam.

Następnie pojechałem do Waterhouse Hall i wyjawiłem swoje plany Danowi. U Dana było także coś, co chciałem ze sobą zabrać, i wiedziałem, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Od tylu lat obijał sobie o to nogi. Zależało mi na granitowej podpórce do drzwi,

którą Owen zrobił dla Dana i mamy w prezencie ślubnym, z napisem wyrytym swymi sławnymi nagrobkowymi literami – LIPIEC 1952 – wygładzonej i doskonale ściętej na rogach. Wyglądała dość topornie, ale była to pierwsza próbka pracy Owena z kołem diamentowym i chciałem ją mieć. Dan powiedział, że wszystko rozumie i że mnie kocha.

– Jesteś najlepszym ojcem i takim, jakiego życzyłbym każdemu chłopakowi – jedynym ojcem, jakiego potrzebowałem – odwdzięczyłem mu się z kolei ja.

Teraz trzeba już było iść na pogrzeb Owena.

Szef policji Gravesend Ben Pike stał przy ciężkich podwójnych odrzwiach kościoła Hurda, tak jakby zamierzał wszystkich uczestników pogrzebu zrewidować w poszukiwaniu „morderczej broni", zaginionego „narzędzia zbrodni". Aż mnie kusiło, żeby skurwysynowi podpowiedzieć, gdzie ją może znaleźć. Był tam i Chickering – tłuścioch nadal rozpaczał z tego powodu, że pozwolił Owenowi odbijać zamiast mnie i że kazał mu „się zamachnąć". Przyszli też państwo Thurston, mimo że oboje byli katolikami i dopiero niedawno pochowali własnego syna. Zjawił się również proboszcz katolicki, ojciec Findley, i pani Hoyt, chociaż miasto tak źle potraktowało ją i jej „antyamerykańskie" poradnictwo, jak uniknąć woja. Nieobecni byli rektor Wiggin i Barb Wiggin. Tak bardzo im zależało, by pogrzeb odbył się u nich, że pewnie kiedy ich propozycja została odrzucona, poczuli się mocno dotknięci. Szalony eks-pilot twierdził, że nic nie mogłoby mu sprawić większej radości niż zorganizowany z wielką pompą pogrzeb bohatera wojennego.

Oddział Gwardii Narodowej z New Hampshire przyczynił się do uświetnienia uroczystości. Stanowili tak zwaną wartę honorową. Owen wyjaśnił mi kiedyś, że robią to dla pieniędzy – za coś takiego dostają dniówkę! Młodziutki porucznik o dość przerażonej minie, asystujący ciału Owena, salutował znacznie częściej niż trzeba. Była to jego pierwsza służbowa misja w sekcji ds. ofiar. Oficerem nadzorującym całą ceremonię okazał się nikt inny, jak ulubiony

profesor Owena z KSOR-u. Pułkownik Eiger uroczyście przywitał się ze mną przy ciężkich drzwiach kościoła.

– Chyba obaj się myliliśmy co do twojego małego przyjaciela – rzekł do mnie.

– Tak, proszę pana.

– Najwyraźniej dowiódł, że doskonale może sobie poradzić na polu bitwy.

– Tak, proszę pana.

Pułkownik położył dłoń pokrytą plamami wątrobowymi na moim ramieniu. Następnie stanął z boku drzwi i zasalutował na baczność, tak jakby chciał stworzyć przeciwwagę do pozycji, jaką sobie uzurpował Ben Pike.

Żołnierze warty honorowej w białych getrach i białych rękawiczkach przeszli wzdłuż nawy marszowym krokiem i zręcznie ustawili się po obu stronach trumny okrytej flagą, do której przypięto medal Owena, jasno odbijający promienie światła słonecznego, które wpadały przez otwór wybity w witrażu prezbiterium piłeczką baseballową. W ponurym zwykle kamiennym kościele to nietypowe światło tym silniej lgnęło do złota odznaczenia, tak jakby promień słońca sam wypalił dziurę w witrażu. Albo jakby światło szukało Owena Meany'ego.

Żołnierz o surowym wyrazie twarzy, pochłonięty własnymi myślami, do którego pułkownik Eiger zwracał się „starszy sierżancie", szepnął coś do jednego z żołnierzy warty honorowej. (Straż stała w paradnej pozycji na spocznij). Ten z kolei wyczekująco spojrzał na pułkownika Eigera i na porucznika eskortującego ciało. Pułkownik Eiger szepnął słówko do porucznika.

Zgromadzeni kasłali, wiercili się w zniszczonych skrzypiących ławkach. Organy wygrywały jedną melodię żałobną po drugiej, a maruderzy tymczasem docierali na swoje miejsca. Wprowadzał ich pan Early, a także Dan. Większość osób, które pomagały w rozlokowaniu wiernych, stanowili pracownicy kamieniołomów. Rozpoznawałem ładowaczy i strzałowych. Kiwałem na powitanie sygnalizatorom i traczom oraz robotnikom obsługującym świdry. Wyglądali sami jak bryły granitu, który potrafi wytrzymać nacisk półtorej tony na centymetr kwadratowy. Podobnie jak lawa, granit

był niegdyś płynną skałą. Ale nie wydobywał się na powierzchnię. Twardniał głęboko pod ziemią. A ponieważ twardniał powoli, tworzył całkiem spore kryształy.

Państwo Meany samotnie siedzieli w pierwszej ławce po prawej stronie. Siedzieli jak wznoszące się w górę granitowe bloki, nieporuszeni, ze wzrokiem przykutym do błyszczącego odznaczenia, które mieniło się w promieniu światła padającego na trumnę. Wbijali wzrok w trumnę. Przyglądali się jej z tym samym niemym przerażeniem, jakie płonęło w ich oczach, gdy Owen dostrzegł rodziców wśród widzów jasełek w roku 1953 w kościele Chrystusa i kiedy to sam spoczywał w „snopie światła". Czujność i niepokój w wyrazie twarzy państwa Meanych nie pozostawiały wątpliwości, że pamiętali, jak bardzo Owen miał im za złe, iż nie zaproszeni zjawili się, by obejrzeć szopkę.

– Co wy tu robicie? – wrzasnęło na nich gniewnym głosem Dzieciątko Jezus. – Nie powinniście tutaj przychodzić. To świętokradztwo!

Dokładnie to samo myślałem o pogrzebie Owena. To świętokradztwo, że przyszli. Nerwowo utkwili wzrok w medalu syna, przypiętym do amerykańskiej flagi, i doskonale było widać, że boją się, iż Owen nagle wstanie z trumny, tak jak wstał z siana, na którym leżał w żłóbku, i jeszcze raz na nich nakrzyczy... To przecież oni powiedzieli dziesięcio- czy jedenastoletniemu chłopcu, że „narodził się z dziewicy" i że jest jak „Dzieciątko Jezus"!

Na pogrzebie w kościele Hurda modliłem się o to, by Owen wstał z trumny i krzyknął na swych biednych rodziców: „Nie powinniście tutaj przychodzić!". Jednakże Owen ani się nie poruszył, ani nie przemówił.

Pan Fish wyglądał bardzo źle. Siedział obok babci w drugiej ławce z prawej strony i wpatrywał się w błyszczący medal na trumnie. On też miał nadzieję, że Owen pokaże nam jeszcze jedno przedstawienie, tak jakby nie mógł uwierzyć, że tutaj Owen gra rolę, w której nic nie mówi.

W ławce wraz z babcią siedzieli wuj Alfred i ciocia Marta. Żadne z nas nie wspomniało ani słowem o nieobecności Hester. Nawet Simon, który również zajął miejsce w ławce babci, powstrzymał się

od jakichkolwiek uwag na temat siostry. Eastmanom dużo łatwiej przychodziło mówić o tym, że niestety Noah nie mógł przyjechać – nadal był w Afryce, gdzie wykładał podstawy leśnictwa Nigeryjczykom. Nigdy nie zapomnę, co Simon mi powiedział, kiedy usłyszał, że wybieram się do Kanady.

– Ach, Kanada! To ona da łupnia naszym tartakom na północnym zachodzie. Już ja ci to mówię! – prorokował. – Kanadyjczycy będą eksportować drewno po jeszcze niższych cenach, niż my je będziemy produkować.

Kochany Simon, nie ma w sobie nic z polityka, choćby za grosz! Chyba nawet do głowy mu nie przyszło, że ja nie jadę do Kanady w poszukiwaniu drewna.

Rozpoznałem preludium z „Mesjasza" Haendla: „Wiem, że mój Zbawca żyje". Rozpoznałem także pulchnego młodego człowieka, który siedział po drugiej stronie nawy. Był mniej więcej w moim wieku. Przyglądał mi się od pewnego czasu. Ale dopiero kiedy zaczął wpatrywać się w wysokie sklepienie kościoła Hurda – może w poszukiwaniu aniołów, które się skryły za zacienionymi przyporami – rozpoznałem w nim tłuścioszka Harolda Crosby'ego, niegdyś Anioła zwiastującego dobrą nowinę, któremu ciągle się mylił tekst i trzeba mu było podpowiadać i którego porzucono na niebiesiech kościoła Chrystusa w czasie Bożego Narodzenia 1953 roku. Skinąłem mu głową, a on przesłał mi płaczliwy uśmiech. Podobno pani Hoyt udało się przekazać Haroldowi całą potrzebną wiedzę, by mógł zdobyć odroczenie 4-F z powodu kłopotów ze zdrowiem psychicznym.

W pierwszej chwili nie poznałem naszej dawnej nauczycielki ze szkółki niedzielnej, pani Walker. Wyglądała niezwykle surowo w czerni, a bez jej ciągłego karcenia Owena – siadaj na miejsce, schodź stamtąd! – nie od razu rozpoznałem w niej szkolnego tyrana, na tyle głupiego, by uważać, że Owen Meany sam wzleciał w górę!

Byli też obecni Dowlingowie, którzy jednak tej okazji nie wykorzystali do obnoszenia się z odwróceniem roli płci, o co tak zaciekle walczyli. Nie mieli dzieci, a może to i dobrze. Przyszedł również Larry O'Day, właściciel salonu chevroleta. Owego roku, gdy Owen był Duchem Przyszłych Wigilii, w „Opowieści wigilijnej" grał Boba Cratchita. Pojawił się ze swoją rasową córeczką, Caroline

O’Day, która z kolei siedziała obok długoletniej przyjaciółki Maureen Early – biedaczka dwukrotnie zlała się w majtki patrząc, jak Owen Meany ukazuje Scrooge’owi jego przyszłość. To właśnie Caroline tyle razy odrzucała moje zaloty, niezależnie od tego, czy miała na sobie mundurek Świętego Michała, czy nie. Przyszedł nawet pan Kenmore, rzeźnik, razem z żoną i synkiem Donnym – wiernymi kibicami, którzy nigdy nie opuścili żadnego meczu Małej Ligi. Przyszli wszyscy, nawet podszyty tchórzem listonosz pan Morrison. Nawet on przyszedł! I nowy dyrektor Akademii Gravesend, który nie znał Owena – on też był. Może dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż dzięki niemu został dyrektorem, bo Owen wprawdzie przegrał bitwę, za to wygrał wojnę z Randym White’em. Wiem, że gdyby Archie Thorndike żył, na pewno i jego by nie zabrakło.

Nie przyszli Brinker-Smithowie. Z pewnością by się zjawili, gdyby nie to, że wyprowadzili się do Anglii, bo tak zdecydowanie przeciwstawiali się wojnie w Wietnamie, że nie chcieli, by bliźniaki były Amerykanami. Gdziekolwiek byli wówczas Brinker-Smithowie, miałem nadzieję, że nadal kochają się równie namiętnie jak kiedyś – jak wtedy, gdy wypróbowywali kolejne łóżka na kolejnych piętrach w Waterhouse Hall.

Przyszedł oddać ostatnie honory małemu Mistrzowi Wsadu nawet nasz stary znajomy – opóźniony w rozwoju woźny z sali gimnastycznej Akademii Gravesend – człowiek, który tak wiernie odliczał nam czas strzału i który był świadkiem naszego triumfu, gdy osiągnęliśmy wreszcie trzy sekundy.

Potem chmura zasłoniła dziurę wybitą przez piłeczkę baseballową w witrażu prezbiterium. Złoty medal Owena przestał tak błyszczeć. Babcia lekko drżała. W chwili kiedy wstawaliśmy, by zaśpiewać pieśń na wejście, chwyciła mnie za rękę i niechcący ścisnęła kikut amputowanego palca. Gdy pułkownik Eiger i młody porucznik podeszli środkową nawą do trumny, warta honorowa stanęła sztywno na baczność. Śpiewaliśmy hymn – ten sam, który śpiewaliśmy owego ranka, gdy znaleźliśmy przyspawaną do podium na scenie Wielkiej Auli Marię Magdalenę pozbawioną ramion i głowy.

Syn Boży na wojnę rusza swą,
By koronę zdobyć na skroń.
W szkarłatny sztandar Jego wiatry dmą.
Czy inni są podobni doń?
Kto kielich goryczy wypije?
Odniesie zwycięstwo nad bólem?
Ten, kto cierpliwie krzyż swój ujmuje,
Jest podobny doń.

Do „Porządku pogrzebu" w „Modlitewniku powszechnym" widnieje przypis w duchu liturgii Kościoła episkopalnego. Jest to bardzo znamienna uwaga: *Liturgia nad ciałem zmarłego to liturgia Wielkanocna. Nabiera sensu poprzez zmartwychwstanie. Jako że Chrystus powstał z martwych, my też powstaniemy. Dlatego też liturgia jest radosna...* – brzmi dalsza część przypisu. *Nie oznacza to jednak, że ludzki smutek jest czymś niezgodnym z duchem chrześcijańskim.* Staraliśmy się całą duszę wyśpiewać w modlitwie za Owena, zdając sobie sprawę z tego, że chociaż liturgia ma być radosna, nasz tak zwany „ludzki smutek" nie pozbawia nas „chrześcijańskiego ducha". Kiedy przebrnęliśmy przez hymn, usiedliśmy i unieśliśmy głowy – na ambonie stał już wielebny Lewis Merrill.

– „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, mówi Pan..." – zaczął mój ojciec. W jego głosie brzmiała jakaś nowa moc i pewność – żałobnicy to dostrzegli. Zebrani słuchali pastora w skupieniu. Naturalnie, ja wiedziałem, co spowodowało w nim tę przemianę – odzyskał swoją utraconą wiarę. Mówił, wierząc głęboko w każde słowo, które wypowiadał. Dlatego wcale się nie jąkał.

Gdy podnosił głowę znad „Modlitewnika powszechnego", wykonywał rękoma gesty pływaka trenującego żabkę, a palce jego prawej ręki przecinały strumień światła wpadający przez otwór, który w witrażu wybiła piłeczka. Palce Merrilla to wpadały, to wypadały ze strumienia światła, i odznaczenie Owena całe się mieniło.

– „Duch Pana Boga nade mną, bo Pan mnie namaścił. Posłał mnie, by głosić dobrą nowinę ubogim, by opatrywać rany serc złamanych"

– mówił pastor Merrill. – „By zapowiadać wyzwolenie jeńcom” – wołał pastor, który sam nie miał wątpliwości – jego wątpliwości zniknęły – całkowicie i na zawsze! Prawie wcale nie przerywał, nawet żeby zaczerpnąć tchu...

Merrill nie był jeszcze do końca usatysfakcjonowany. Musiało mu się wydawać, że sam Izajasz nie wystarczy, by nas pocieszyć. Mój ojciec uważał, że powinniśmy również szukać pocieszenia w Lamentacjach: „Dobry jest Pan dla ufnych, dla duszy, która go szuka”. Jeśli jeszcze ten fragmencik nie mógł zaspokoić naszego głodu pocieszenia, pastor Merrill poprowadził nas głębiej w Lamentacje: „Bo nie jest zamiarem Pana odtrącić na wieki. Gdyż jeśli uniży, ma litość w dobroci swej niezmiernej: niechętnie przecież poniża i uciska synów ludzkich”.

Palce bladej dłoni mego ojca niby drobne rybki nieustannie przepływały przez strumień światła, odznaczenie Owena zaś błyskało rytmicznie niczym promienie latarni morskiej. Pastor upomniał nas na koniec słowami psalmu.

W ten sposób przeprowadził wiernych do nauki Nowego Testamentu, rozpoczynając od owego popisu odwagi z „Listu do Rzymian”: „Sądzę bowiem, że cierpień teraźniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić”. Na tym jednak nie poprzestał, gdyż brakowało nam Owena Meany’ego aż do bólu, pastor Merrill zaś nie zamierzał spocząć, nie upewniwszy nas, że Owen wyruszył do lepszego świata. Mój ojciec zanurzył się cały w „Pierwszym Liście do Koryntian”.

– „Tymczasem jednak Chrystus zmartwychwstał... – zapewniał nas Merrill. – Ponieważ przez człowieka przyszła śmierć, przez człowieka też dokona się zmartwychwstanie”.

Babcia nie puszczała mego skróconego palca i nawet twarz Simona była mokra od łez. Pastor jednak wcale nie zamierzał przestać. Szybko przeszliśmy do „Drugiego Listu do Koryntian”.

– „Dlatego to nie poddajemy się zwątpieniu, chociaż bowiem niszczeje nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Niewielkie bowiem utrapienia nasze obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co

niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie – przemawiał pastor. – Tak więc, mając tę ufność, wiemy, że jak długo pozostajemy w ciele, jesteśmy pielgrzymami, z daleka od Pana. Albowiem według wiary, a nie dzięki widzeniu postępujemy. Mamy jednak nadzieję... i chcielibyśmy raczej opuścić nasze ciało i stanąć w obliczu Pana. Dlatego też staramy się Jemu podobać, czy to gdy z Nim, czy gdy z daleka od Niego jesteśmy".

Następnie poprowadził nas przez inny psalm, a potem polecił wiernym wstać, a sam przeczytał Ewangelię według św. Jana: „Ja jestem dobrym pasterzem. Dobry pasterz daje życie swoje za owce". A gdy na powrót usiedliśmy, pastor Merrill westchnął: „O Boże! Jakże bardzo nam brak Owena Meany'ego!". Następnie przeczytał opis cudu w Ewangelii św. Marka:

– „Gdy przyszli do uczniów, ujrzeli wielki tłum wokół nich i uczonych w Piśmie, którzy rozprawiali z nimi. Skoro Go zobaczyli, zaraz podziw ogarnął cały tłum i przybiegając, witali Go. On ich zapytał: »O czym rozprawiacie z nimi?«. Odpowiedział Mu jeden z tłumu: »Nauczycielu, przyprowadziłem do Ciebie mojego syna, który ma ducha niemego. Ten, gdziekolwiek go chwyci, rzuca nim, a on wtedy się pieni, zgrzyta zębami i drętwieje. Powiedziałem Twoim uczniom, żeby go wyrzucili, ale nie mogli«. On zaś rzekł do nich: »O plemię niewierne, dopóki mam być z wami? Dopóki mam cierpieć? Przyprowadźcie go do Mnie!«. I przywiedli go do Niego. Na widok Jezusa duch zaraz począł szarpać chłopca, tak że upadł na ziemię i tarzał się z pianą na ustach. Jezus zapytał ojca: »Od jak dawna to mu się zdarza?«. Ten zaś odrzekł: »Od dzieciństwa. I często wrzucał go nawet w ogień i wodę, żeby go zgubić. Lecz jeśli możesz co, zlituj się nad nami i pomóż nam!«. Jezus mu odrzekł: »Jeśli możesz? Wszystko możliwe jest dla tego, kto wierzy«. Natychmiast ojciec chłopca zawołał: »Wierzę, zaradź memu niedowiarstwu!«. A Jezus, widząc, że tłum się zbiega, rozkazał surowo duchowi nieczystemu: »Duchu niemy i głuchy, rozkazuję ci, wyjdź z niego i nie wchodź więcej w niego!«. A on krzyknął i wyszedł wśród gwałtownych wstrząsów. Chłopiec zaś pozostawał jak martwy, tak że wielu mówiło: »On umarł«. Lecz Jezus ujął go za rękę

i podniósł, a on wstał. Gdy przyszedł do domu, uczniowie pytali Go na osobności: »Dlaczego my nie mogliśmy go wyrzucić?«. Rzekł im: »Ten rodzaj można wyrzucić tylko modlitwą«”.

Gdy Merrill skończył czytanie, podniósł do nas twarz i zawołał:

– „Wierzę! Zaradź memu niedowiarstwu!”. To Owen Meany zaradził memu „niedowiarstwu”. W porównaniu z Owenem jestem tylko amatorem w wierze – rzekł mój ojciec. – Owen był nie tylko bohaterem Stanów Zjednoczonych – był i moim bohaterem. Był naszym bohaterem, i to ciągle od nowa. Był cały czas naszym bohaterem. Będzie nam go zawsze brakowało – dodał wielebny Merrill.

– Równie często, jak odczuwam pewność, że Bóg istnieje, zadaję sobie pytanie, jakie ma znaczenie, czy istnieje, czy nie. Gdyż wiara w Boga, a ja w Boga wierzę, rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. I wtedy, gdy czuję, że moja wiara jest najsilniejsza, jednocześnie przepełniają mnie trudne pytania, jakie chciałbym zadać Bogu. To pytanie zasadnicze: Jak śmiesz? Jak możesz? Na przykład, chciałbym spytać Boga, dlaczego nie odda nam Owena? – Kiedy Merrill rozłożył szeroko ramiona, palce jego prawej dłoni ponownie zatańczyły w strumieniu światła.

– Boże! Daj nam go z powrotem! Oddaj go nam! – W kościele Hurda zapanowała głęboka cisza, kiedy czekaliśmy na to, co Bóg uczyni. Usłyszałem, jak spada łza; była to jedna z łez babci. Spadła na okładkę „Śpiewnika pielgrzyma”, który trzymała na kolanach.

– Prosimy Cię, oddaj nam Owena Meany’ego! – Gdy nic się nie wydarzyło, mój ojciec odezwał się ponownie:

– Boże, nie ustanę w błaganiach! – Potem wrócił do „Modlitewnika powszechnego”. Tak skrupulatne korzystanie z modlitewnika było nietypowe w Kościele kongregacjonalistów, ale Merrill pewnie miał na uwadze to, że Owen był episkopalistą.

Lewis Merrill zabrał ze sobą modlitewnik, schodząc z ambony. Podszedł do trumny przykrytej flagą, i to tak blisko medalu Owena, że promień światła, który wpadał przez otwór w witrażu, zamigotał na modlitewniku, uniesionym w górę przez Merrilla.

– Módlmy się! – rzekł pastor, zwrócony twarzą do ciała Owena.

– Tobie, nasz łaskawy Zbawco, powierzamy ciało sługi Twego Owena Meany'ego. Wejrzyj na nasze ukorzenie, na to, że jesteśmy owieczkami z Twej trzody, grzesznikami, których zbawiasz. Przyjmij go do Swej łaski, by spoczął na wieczne odpoczywanie w pokoju, i dopuść go do chwały, jaką radują się Twoi święci – modlił się, tymczasem światło wpadające przez otwór w witrażu pląsało na odznaczeniu i modlitewniku.

– Amen – odezwał się pastor.

Następnie skinął na pułkownika Eigera i młodego wystraszonego porucznika. Ci równym krokiem podeszli do trumny, zdjęli flagę i rozprostowali ją – medal podskoczył jak moneta, ale był mocno przypięty, nie mógł więc spaść. Następnie pułkownik i porucznik zaczęli się zbliżać do siebie, przystając co krok i składając flagę, w równiusieńki trójkąt, tak że odznaczenie znalazło się na wierzchu flagi, którą pułkownik Eiger wręczył zastraszonemu porucznikowi. Wówczas pułkownik oddał honory złożonej fladze i medalowi. Młody człowiek stanął na baczność tak gwałtownie, że aż przeraził babcię. Poczułem, jak drgnęła. Następnie niewyraźnie wymamrotał jakiś tekst do państwa Meanych, którzy najwyraźniej byli zaskoczeni tym, że porucznik się do nich zwraca. Mówił coś o medalu: „Za bohaterstwo, które wymagało dobrowolnego ryzykowania życiem...". Po chwili odchrząknął i zebrani mogli go usłyszeć nieco lepiej. Zwracając się bezpośrednio do pani Meany, podał jej flagę z medalem na wierzchu i oświadczył, zbyt głośno zresztą:

– Pani Meany, mam honor wręczyć pani flagę naszego narodu w dowód wdzięczności za to, że syn pani złożył swe życie na ołtarzu ojczyzny.

Z początku pani Meany nie chciała wziąć flagi. Wyglądało to tak, jakby nie rozumiała, co ma zrobić. Pan Meany musiał jej zabrać pakunek, bo inaczej pewnie by go upuściła. Przez cały ten czas oboje siedzieli jak głazy.

Kolejnym zaskoczeniem dla babci były organy – znowu drgnęła, a pastor Merrill poprowadził nas przez hymn na wyjście – ten sam, który wybrał na pogrzeb mojej mamy.

Dajcie Barankowi na tronie
Po wielekroć zasiąść w koronie!
Zagłusza niebiańskie pienie
To, co gdzie indziej zda się milczeniem.
Duszo moja, zbudź się i oddawaj cześć
Panu memu, co za mnie życie oddał swe.
Cześć należną składaj Mu!
Choćby i w wiecznościach stu!

Gdy śpiewaliśmy hymn, straż honorowa wyniosła główną nawą małą szarą trumienkę Owena. Zatem ciało znalazło się poza kościołem mniej więcej wtedy, kiedy śpiewaliśmy trzecią zwrotkę hymnu. Do niej to właśnie Owen zawsze przywiązywał najwięcej wagi.

Panu życia koronę włóż na skroń!
To On zwyciężył śmierci broń!
Z grobu powstawszy się pokazał
Zwycięski, wielki, który zbawia.
Śpiewajmu wieczną chwałę Mu!
On zmarł i powstał, wyszedł z grobu!
On zmarł, by wieczne życie dać!
I żyje, by naszą śmierć wymazać!

Niewiele więcej można powiedzieć na temat nabożeństwa żałobnego. Było gorąco i duszno. Na cmentarzu zaś, przy końcu Linden Street, raz jeszcze dobiegły nas z boiska szkoły odgłosy meczu baseballowego – słyszeliśmy śmiech, kłótnie i ten dobrze nam wszystkim znany trzask pałki, a my tymczasem staliśmy nad grobem Owena Meany'ego i słuchaliśmy pastora Merrilla, który wypowiadał zwyczajowe formułki.

– „W nadziei na zmartwychwstanie do życia wiecznego przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, w Twoje ręce, o Boże, oddajemy brata naszego Owena..." – mówił mój ojciec. Jeśli słuchałem go uważnie, to tylko dlatego, że wiedziałem, iż słucham go po raz ostatni. Co

nowego mógłby mi jeszcze powiedzieć? Teraz, gdy odnalazł swą wiarę, czy potrzebny był mu utracony syn? A mnie, czy mnie był potrzebny ojciec? Stałem nad grobem Owena, trzymając Dana za rękę, a babcia wspierała się na nas obu.

– „Prochem jesteś i w proch się obrócisz" – mówił pastor Merrill.

A ja się zastanawiałem, dlaczego jest taki nieautentyczny. Przecież stanął wobec cudu Owena Meany'ego i mimo to w niego nie uwierzył – a teraz wierzy we wszystko, nie ze względu na Owena, ale dlatego, że mu zrobiłem kawał. Zrobiłem go w konia za pomocą manekina krawieckiego. Cud Owena był prawdziwy, za to mój ojciec odzyskał wiarę dzięki manekinowi. Biedaczek uwierzył, że zobaczył mamę, która chce go dosięgnąć zza grobu!

– Bóg działa najróżniejszymi sposobami – powiedziałby w takiej sytuacji Owen Meany.

– „Niech Bóg skieruje na niego Swoje oblicze i napełni go pokojem" – mówił Lewis Merrill, gdy pierwsze grudki ziemi spadały na małą szarą trumnę. Następnie żołnierz o surowej, lecz jakby nieobecnej twarzy, do którego pułkownik Eiger zwracał się „sierżancie", odegrał Owenowi capstrzyk.

Wychodziłem z cmentarza, kiedy do mnie podeszła. Mogła być żoną farmera albo kobietą, która pracuje na świeżym powietrzu. Była w moim wieku, ale wyglądała na o wiele starszą, tak że nie poznałem, kto to. Towarzyszyła jej trójka dzieci; najmłodsze – nadąsanego chłopca, który najwyraźniej był zbyt ciężki, by można go było długo czy daleko nosić – trzymała na ręku. Miała też dwie córeczki. Jedna kurczowo trzymała się jej biodra i wciskała w nie nos, wycierając go w czarną wyblakłą sukienkę kobiety. Druga córka – najstarsze dziecko zarazem (liczące może siedem czy osiem lat) – szła z tyłu i przyglądała mi się z miną tak gamoniowatą i nieśmiałą, że aż przykro było patrzeć. Była to ładna dziewczyna, z włosami koloru słomy, ale nie mogła oderwać dłoni od malinowego znamienia wielkości zdjęcia paszportowego na czole – próbowała je zakryć włosami. Spojrzałem w zmęczoną, zaczerwienioną twarz kobiety. Z trudem powstrzymywała łzy.

– Pamiętasz, jak go kiedyś podnosiliśmy? – spytała. I wtedy ją rozpoznałem. To była Maria Beth Baird, nasza koleżanka ze szkółki

niedzielnej. Właśnie ją Owen wybrał do roli Matki Bożej. „Maria Beth Baird nigdy nie grała Marii. I w ten sposób Maria będzie Maryją”.

Słyszałem, że zaszła w ciążę i nie skończyła szkoły średniej. Wyszła za ojca dziecka; pochodził z licznej rodziny farmerskiej, zajmującej się mleczarstwem. Teraz mieszkała na farmie w Stratham. Nie widziałem jej od nieudanego wystąpienia w owych sławnych jasełkach w 1953 roku, kiedy prócz tego, że starała się bardzo jako Matka Boża, jeszcze udało jej się wykonać efektowne kostiumy dla krów o wiotkich rogach, przez co krowy przypominały raczej renifery. Przypuszczam, że wtedy nie znała się zbyt dobrze na mlecznych krowach ani w ogóle na jakichkolwiek.

– Pamiętasz, jak go podnosiliśmy? – rzekła do mnie Maria Beth Baird. – Był lekki jak piórko. Jak to możliwe, że prawie w ogóle nic nie ważył? – W tej chwili odkryłem, że nie mogę przemówić – straciłem głos. Teraz zdaję sobie sprawę, że to nie swój głos chciałem usłyszeć. Skoro nie mogłem usłyszeć Owena, to nie chciałem słyszeć nikogo. Chciałem słyszeć tylko jego głos. Kiedy Maria Beth Baird odezwała się do mnie, przekonałem się, że Owena Meany’ego już nie ma.

Niewiele mogę dodać na temat swojego przyjazdu do Kanady. Tak jak jeszcze razem z Owenem się zorientowaliśmy, na granicy New Hampshire i Quebecu niewiele jest do oglądania – tylko ciągnące się kilometrami lasy, a między nimi wąziutka droga o sinej nawierzchni pełnej wyrw spowodowanych mrozem. Posterunek graniczny – pamiętałem go jako jakąś chatę – wyglądał trochę inaczej niż w moich wspomnieniach. Odniosłem też wrażenie, że był tam wtedy uniesiony szlaban, coś jakby szlaban kolejowy, ale i to wyglądało zupełnie inaczej. Nie miałem wątpliwości co do tego, że siedzieliśmy na spuszczonej klapie pomidorowoczerwonego pikapa, przyglądając się jodłom po obu stronach granicy. Wtedy zacząłem się jednak zastanawiać, czy to wszystko, co robiliśmy z Owenem, nie mieszało mi się w pamięci z wyobraźnią? A może Owen pozmieniał także moje wspomnienia?

Przejechałem przez granicę bez żadnych przygód. Kanadyjski celnik spytał mnie tylko o granit z napisem LIPIEC 1952. Miał trochę zdziwioną minę, gdy mu powiedziałem, że to prezent ślubny. Celnik był także ciekaw, czy uciekam przed wojem. Co prawda, wydawało mu się, że już przekroczyłem wiek poborowy, ale prawie od roku brali do wojska ludzi powyżej dwudziestu sześciu lat. W odpowiedzi pokazałem mu brakujący palec.

– Nie przejmuję się wojną – odrzekłem, a on wpuścił mnie do Kanady bez dalszych pytań.

Może wylądowałbym w Montrealu, gdyby nie to, że zbyt wielu ludzi odnosiło się do mnie nieżyczliwie, bo nie mówiłem po francusku. Do Ottawy przybyłem w dzień deszczowy. Pojechałem zatem dalej, aż dotarłem do Toronto. Nigdy nie widziałem równie ogromnego jeziora jak jezioro Ontario. Wiedziałem, że będę tęsknił za widokiem fal oceanu, rozbijających się o falochron w Rye Harbor. Dlatego spodobało mi się jezioro, które jest tak duże, że wygląda jak morze.

Niewiele więcej mam do powiedzenia. Regularnie chodzę do kościoła i jestem nauczycielem z zamiłowania. Te dwie pasje niekoniecznie muszą zrodzić nieciekawe życie, moje jednak było stanowczo nieciekawe. Ot, po prostu lista lektur. Nie narzekam. Miałem już w życiu wiele atrakcji. Owen Meany dostarczył mi ich dosyć na całe życie.

Jakimże rozczarowaniem musiało być dla Owena odkrycie, że moim ojcem jest... taki ckliwy wymoczek. Lewis Merrill był zupełnie nijaki. Czy potrafiłbym go zapamiętać w ławkach na widowni? Mojej uwadze mógł umknąć jedynie on. Gdy lustrowałem widownię na przedstawieniach Trupy Gravesend (a Merrill zawsze na nie przychodził), nigdy go nie zauważałem. Nigdy go nie dostrzegałem, zawsze jakoś pastora przeoczyłem. To znaczy, że wielebny Merrill nie tylko nie rzucał się w oczy – w ogóle nie dawał się zauważyć.

Jakimże rozczarowaniem było dla mnie odkrycie, że moim ojcem jest... tylko kolejny Józef! Nigdy nie odważyłem się tego wyjawić Owenowi, ale kiedyś mi się śniło, że jest nim JFK! W końcu przecież mama była równie piękna jak Marilyn Monroe! Jak bardzo poczułem się rozczarowany, gdy odkryłem, że moim ojcem jest... po prostu taki sam człowiek jak ja!

Jeśli zaś chodzi o moją wiarę, to można uznać, że niedaleko padło jabłko od jabłoni. Jestem zatem człowiekiem wierzącym w taki sposób, w jaki kiedyś wierzył pastor. Moje wątpliwości i moja wiara zmieniają się niczym w kalejdoskopie – czasami na skutek jakiegoś natchnienia, kiedy indziej z rozpaczy. Kanonik Campbell nauczył mnie, bym sobie zadawał następujące pytanie, gdy popadam w rozpacz: kogo spośród żywych kocham? To dobre pytanie, takie, które cię może przywrócić do życia. Teraz kocham Dana i wielebną Katherine Keeling. Wiem, że ich kocham, bo się o nich niepokoję – Dan powinien trochę schudnąć, Katherine utyć. Moje uczucie do Hester trudno nazwać miłością. Podziwiam ją – na pewno zachowuje się w swej roli rozbitka znacznie bardziej heroicznie niż ja – dlatego ją podziwiam. Istnieją też jeszcze owe odległe więzy rodzinne, które powszechnie uznaje się za miłość – mówię tutaj o Noahu, Simonie i cioci Marcie oraz wuju Alfredzie. Zawsze się cieszę na nasze spotkanie w Boże Narodzenie.

Nie mogę powiedzieć, że nienawidzę mego ojca. Po prostu nie myślę o nim zbyt często. I nie widziałem go od owego dnia, kiedy złożył ciało Owena w grobie. Z tego, co opowiada Dan, wynika, że jest wspaniałym kaznodzieją; podobno też nie pozostało ani śladu z jąkania, które kiedyś tak szpeciło jego wystąpienia. Czasami zazdroszczę Lewisowi Merrillowi. Chciałbym, żeby mnie ktoś natchnął tak nieskończoną i niezachwianą wiarą, choćby za pomocą kawału, jaki mu zrobiłem. Mimo bowiem przekonania, że potrafię odróżnić prawdziwy cud, moja wiara znacznie bardziej mnie niepokoi i wyprowadza z równowagi, niż kiedykolwiek czynił to brak wiary. W tej chwili widzę, że dużo trudniej jest nie wierzyć, niż wierzyć, jednakże wiara stawia tak wiele pytań, na które trudno znaleźć odpowiedź.

Jak Owen Meany mógł wiedzieć to, co „wiedział”? Nie wystarczy zaakceptować wiarę w przypadek i zbieg okoliczności. Jednakże czy Bóg to lepsza odpowiedź? Jeśli bowiem Bóg maczał palce w tym, co Owen „wiedział”, czyż dopiero wtedy nie rodzi się jeszcze gorsze pytanie? Jak Bóg mógł się zgodzić na to, by coś takiego spotkało mego przyjaciela?

Miejcie się na baczności przed ludźmi, którzy uważają siebie za religijnych. Upewnijcie się, czy naprawdę wiecie, co mają na myśli, i czy oni sami to wiedzą!

W rok po moim wyjeździe do Kanady wszystkie bez wyjątku kościoły w Gravesend, także i kościół Hurda – na skutek nacisków Lewisa Merrilla – zorganizowały tak zwane Moratorium Wietnamskie. Pewnego październikowego dnia, o szóstej rano, rozdzwoniły się wszystkie dzwony kościelne, co musiało nieźle niektórych wkurzyć! Nabożeństwa odbyły się już o siódmej rano. Po nich procesja, która rozpoczęła się przy miejskiej estradzie, ruszyła Front Street i dotarła na trawnik przed Gmachem Głównym Akademii. Następnie odbyła się tak zwana demonstracja pokojowa, w czasie której wygłoszono kilka standardowych przemówień antywojennych. Co ciekawe, miejska gazeta „The Gravesend News-Letter" nie poświęciła temu wydarzeniu więcej miejsca, stwierdzając jedynie, że zapał społeczny dużo praktyczniej byłoby wykorzystać do protestów przeciwko fatalnemu stanowi dróg publicznych. „The Grave", gazeta Akademii, napisała, że już najwyższy czas, aby szkoła i miasto połączyły wysiłki i zaprotestowały przeciwko tej złej wojnie. „The Gravesend News-Letter" oszacowała liczbę demonstrantów na niecałe czterysta; „i drugie tyle psów". „The Grave" donosiła, że zebrało się prawie sześćset „pokojowo nastawionych" osób. Obie gazety odnotowały tylko jeden wypadek kontrdemonstracji. Kiedy tłum skręcił we Front Street i minął ratusz miejski, gdzie od wielu lat Trupa Gravesend zabawiała zarówno młodych, jak i starych, były dowódca Legii Amerykańskiej stanął na chodniku i zamachał flagą Wietnamu Północnego tuż przed nosem grającego na kontrabasie członka maszerującej orkiestry Akademii.

Od Dana dowiedziałem się, że owym byłym dowódcą Legii Amerykańskiej był nie kto inny jak Morrison, nasz podszyty tchórzem listonosz.

– Chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób flaga dostała się w ręce tego idioty! – rzekła babcia.

I tak, właściwie bez żadnych większych perturbacji, kolejne lata przetaczały się przez Front Street.

Owen Meany nauczył mnie pisać dziennik. Odzwierciedla on jednakże mało interesujące życie, jakie wiodłem, dziennik Owena zaś mówi właśnie o niezwykle ciekawych sprawach, które się jemu przydarzały. Oto jak wygląda mój typowy wpis:

Toronto, 17 listopada 1970. Dzisiaj spaliła się szklarnia w szkole Biskupa Strachana. Trzeba było ewakuować nauczycieli oraz uczniów.

No i co jeszcze? Odnotowuję także te dni, gdy dziewczęta śpiewają na porannej modlitwie hymn „Synowie Boży". Opisałem również, jak pewien młody dziennikarz z pisma rockowego próbował mnie zagadnąć i przeprowadzić ze mną „wywiad przez zaskoczenie" w momencie, gdy chciałem zająć miejsce na porannej modlitwie. Był to zupełny dzikus – zarośnięty młody człowiek w purpurowym kaftanie. Absolutnie nie zwracał uwagi na natarczywe spojrzenia dziewcząt i na fakt, że pętają go kable i przewody nieporęcznego sprzętu reporterskiego. Zjawił się nie zaproszony, nie umówiony, podstawiając mi mikrofon pod nos i pytając „drogiego kuzyna" Hester Okrutnicy, czy to prawda, że dla niej „wszystko się zaczęło" po spotkaniu kogoś, kto się nazywał „Janeta Planeta".

– Słucham pana? – Nie dowierzałem własnym uszom. Wokół zebrał się tłum wpatrzonych w nas i chichoczących dziewcząt.

Dziennikarz chciał mnie wypytać, pod jakimi „wpływami" kształtowała się Hester. Pisał artykuł o jej „wczesnych latach". Miał pewien określony pogląd na sprawę i oświadczył, że chce go ze mną „skonfrontować"! Odpowiedziałem, że nie mam zielonego pojęcia, co to za jakaś pieprzona „Janeta Planeta", ale jeśli interesuje go, pod czyimi wpływami rozwijała się Hester, to powinien zacząć od Owena Meany'ego. Nazwisko było mu zupełnie obce. Spytał, jak się to pisze. Zdziwił się ogromnie, bo myślał, że słyszał już o wszystkich!

– Czy to ktoś, kto mógł mieć wpływ na jej twórczość na początkowym etapie? – dopytywał się. Zapewniłem go, że wpływ Owena na Hester odnosi się do najwcześniejszych lat.

Co jeszcze? Wkrótce po Owenie zmarła pani Meany. To też odnotowałem. Którejś wiosny pojechałem do Gravesend na pogrzeb babci. Odbył się w kościele kongregacjonalistów, do którego babcia należała całe życie, jednakże nabożeństwa nie odprawiał pastor Merrill. Celebrował je ktoś, kto przyszedł na jego miejsce. Owej

wiosny na ziemi ciągle jeszcze leżało sporo brudnego śniegu. Właśnie otwierałem w kuchni domu przy Front Street następną puszkę piwa dla Dana i dla siebie, gdy wyjrzawszy przypadkiem przez okno na obumarłe rozarium, zobaczyłem pana Meany'ego! Był jeszcze bardziej szary niż zleżały śnieg, szedł wolno w kierunku domu po rozmarzniętych śladach, które ponownie chwycił mróz. Wydawało mi się, że to jakaś zjawa. Nie mogąc wykrztusić słowa, wskazałem go Danowi.

– To tylko biedaczek Meany – rzekł.

Przedsiębiorstwo Granitowe Meanych już nie istniało i nie działało. Od lat w kamieniołomach, wystawionych na sprzedaż, nic się nie działo. Meany pracował na pół etatu w elektrowni, odczytując liczniki. Dan wyjaśnił mi, że zjawiał się w rozarium raz na miesiąc, bo licznik znajdował się właśnie z tamtej strony domu.

Nie miałem ochoty z nim rozmawiać, tylko przyglądałem mu się przez okno. Napisałem do niego list z kondolencjami po śmierci pani Meany, kiedy dowiedziałem się, w jaki sposób umarła, ale mi nie odpisał. Zresztą właściwie się nie spodziewałem, że odpowie.

Pani Meany zajęła się ogniem. Siedziała zbyt blisko kominka i od iskry, a może od żaru zapaliła się flaga amerykańska, którą zwykle się owijała niczym szalem, jak wyjaśnił Danowi pan Meany. Mimo że oparzenia nie wydawały się szczególnie groźne, zmarła w szpitalu na skutek bliżej nie wyjaśnionych komplikacji.

Kiedy zobaczyłem pana Meany'ego odczytującego licznik przy domu babci, zorientowałem się, że medal Owena nie został wraz z flagą strawiony przez płomienie. Meany miał go na sobie. Podobno zawsze go nosił, jak mi wyjaśnił Dan. Wstążeczka (ze szpilką do przypinania medalu) w czerwone i białe paski na niebieskim szewronie bardzo już wyblakła, złoto odznaczenia zaś błyszczało mniej jaskrawo niż tego dnia, gdy odbijały się w nim promienie światła w kościele Hurda. Niemniej nadal doskonale widoczne były uniesione, rozwinięte skrzydła amerykańskiego orła.

Kiedy myślę o medalu Owena za bohaterstwo, natychmiast przychodzi mi do głowy wpis do dziennika Thomasa Hardy'ego w roku 1882. Pokazał mi go Owen – to ten fragment, w którym Hardy pisze, że „żadna z rzeczy nie realizuje tego, co początkowo

sobą obiecuje". Zawsze mi się to przypomina, gdy sobie pomyślę o panu Meanym odczytującym liczniki elektryczne, z przypiętym do piersi medalem Owena.

No i co jeszcze? Chyba to, że dopiero po wielu latach zdołałem przywołać w sobie wspomnienie śmierci Owena. Kiedy już raz się do tego zmusiłem i odtworzyłem wszystkie szczegóły, nigdy ich nie zapomnę. Moim przeznaczeniem jest je na zawsze pamiętać.

W Gravesend nigdy nie uczestniczyłem w uroczystych obchodach z okazji 4 Lipca. Nasze miasto pozostawało nieodmiennie wierne patriotycznym tradycjom – Święto Deklaracji Niepodległości zawsze obchodzono hucznie. Organizowano paradę, która rozpoczynała się w centrum Gravesend przy podium i maszerowała prawie przez całą Front Street, osiągając kulminację zgiełku w połączeniu z maksymalną liczbą szczekających psów i towarzyszących im na rowerkach dzieci dokładnie w środku trasy, czyli przy numerze 80... Babcia zwykle przyglądała się całemu zamieszaniu, stojąc na progu domu. Co roku 4 Lipca babcię ogarniały mieszane uczucia – miała w sobie na tyle patriotyzmu, że stała w progu, machając flagą amerykańską, nie większą niż dłoń, choć jednocześnie krzywiła się na ten cały harmider. Często zwracała uwagę dzieciom, które przejeżdżały po jej trawniku, lub krzyczała na psy, by przestały ujadać jak głupie.

Ja też niejednokrotnie przyglądałem się paradzie, choć po śmierci mamy nigdy z Owenem nie braliśmy w niej udziału na rowerach, jako że pochód zmierzał na cmentarz przy Linden Street. Z domu babci słyszeliśmy saluty na cześć zmarłych bohaterów. W Gravesend panował zwyczaj, że uroczystości dla uczczenia poległych na polu chwały, a także z okazji Dnia Weterana oraz Deklaracji Niepodległości, kończył niezwykle męski popis strzelaniny nad grobami, którym w pozostałe dni roku nikt nie zakłócał głębokiego spokoju.

4 Lipca 1968 roku sytuacja była identyczna, z wyjątkiem tego, że Owen Meany wyjechał do Arizony i być może uczestniczył w paradzie w Forcie Huachuca. Nie wiedziałem zresztą dokładnie, co robi. Ja

wraz z Danem i babcią zjedliśmy sobie spokojnie późne śniadanie i zabraliśmy kawę na schodki domu, żeby poczekać na paradę. Sądząc po odgłosach, znajdowała się w tej chwili na wysokości Gmachu Głównego Akademii, powiększając swe szeregi o rowerzystów i psy. Zasiedliśmy z Danem na kamiennym stopniu, babcia jednak postanowiła stać. Siedzenie na schodkach przed domem nie licowało ani z pozycją, ani z wiekiem Harriet Wheelwright.

Jeśli w ogóle jakiekolwiek myśli przechodziły mi wtedy przez głowę, to pewnie takie, że całe moje życie sprowadzało się do siedzenia na schodkach i obserwowania przechodzących parad. Tego lata nie pracowałem. Nie zamierzałem też pracować na jesieni. Miałem w ręku magisterium i zapisałem się na studia doktoranckie na uniwersytecie w Massachusetts. Tak naprawdę nie wiedziałem, co chcę studiować. Nie wiedziałem nawet, czy zdecyduję się wynająć pokój czy mieszkanie w Amherst, ale zamierzałem zrealizować pełen program studiów podyplomowych. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Aby zatem móc podołać jak największej liczbie zajęć, postanowiłem co najmniej przez rok nie uczyć – nawet na pół etatu – ani nie prowadzić żadnych zajęć. Naturalnie, babcia finansowała te studia, co tym bardziej pogłębiało moje przekonanie, że jestem człowiekiem „siedzącym na progu". Nic nie robiłem – nic nie musiałem robić.

W podobnej sytuacji znajdowała się Hester. Tego dnia wieczorem siedzieliśmy na trawniku ciągnącym się wzdłuż Swasey Parkway i oglądaliśmy fajerwerki nad Squamscott. W Gravesend istniał Miejski Zarząd Fajerwerków i co roku, z okazji 4 Lipca, jego członkowie, którzy znali się na sztucznych ogniach i racach, organizowali w doku przystani Akademii pokazy swoich umiejętności. Mieszkańcy miasta stali szeregiem wzdłuż Swasey Parkway, trawiastego nabrzeża rzeki, a race wybuchały w powietrzu, rakiety rozbłyskiwały i wpadały ze świstem do brudnej wody. Ostatnio przeciwko takim ekscesom zaprotestowali ekologowie. Ktoś tam mówił, że fajerwerki niepokoją ptaki zakładające gniazda w moczarach na brzegu naprzeciw Swasey Parkway. Jednakże w sporze między czaplami i patriotami na przegraną w zasadzie skazane są czaple. Kanonada zatem trwała

zgodnie z planem. Wstrząsane wybuchami nocne niebo rozpłomieniało się jaskrawymi kolorami, ku radości nas wszystkich.

Co jakiś czas białe światło niczym jakaś ciecz rozlewało się po ciemnej powierzchni Squamscott, jaskrawo odbijając czarne sklepy i biurowce, a także olbrzymie budynki, w których mieściły się cuchnące fabryki tekstylne – wszystko to nagle rozrastało się tak, jakby w wyniku wybuchów powstawało nowe miasto. Wiele pustych okien fabryk odbijało światło – budynki były ogromne i puste, przez co sprawiały wrażenie, jakby cała maszyneria działała samoczynnie, nie oglądając się na człowieka.

– Jeśli Owen się ze mną nie ożeni, to nigdy w życiu nie wyjdę za mąż – powiedziała mi Hester między jedną eksplozją a drugą. – Jeśli nie z nim, to z nikim innym nie będę miała dzieci.

Jednym ze specjalistów od zniszczeń w doku był stary znawca dynamitu pan Meany. Nad ciemną rzekę wytryskiwały strumienie błyszczących gwiazd.

– Wygląda to jak sperma – zauważyła Hester ponuro. Nie miałem na tyle bogatego doświadczenia w tej materii, by podważyć jej skojarzenia. Mnie, co prawda, fajerwerki czegoś takiego nie przypominały, ale co ja tam wiem?

Hester miała tak ponury nastrój, że wolałem nie nocować u niej w Durham. Noc była dość pogodna, ale wiał lekki wiaterek. Pojechałem do babci i razem z nią obejrzałem wiadomości o jedenastej. Ostatnio z ogromnym zainteresowaniem śledziła jakiś okropny program lokalny, który w serwisie informacyjnym koncentrował się głównie na ponurych statystykach wypadków drogowych, ale ani słowem nie wspominał o wojnie w Wietnamie. Pokazali też coś „dla ludzi” – okrutnego chłopczyka, który oślepił pieska petardą.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęła babcia.

Gdy poszła spać, przełączyłem na Kino Nocne. W jednym programie szło tak zwane Kino Fantazji: Stwór z głębin – niegdyś ulubiony program Owena. W drugim leciała „Mama na pierwszym roku”, w którym Loretta Young gra wdowę uczęszczającą razem z córką, nastolatką, do college’u. Na trzecim kanale dawali mój ulubiony film „Amerykanin w Paryżu”. Mogłem oglądać tańczącego

Gene'a Kelly'ego choćby i całą noc. W przerwie między piosenkami i tańcami przełączałem z powrotem na program, w którym prehistoryczny potwór rozwala Manhattan, albo wychodziłem do kuchni po kolejne piwo.

Telefon zadzwonił, gdy byłem w kuchni. Zrobiło się już dobrze po północy, a Owen zwykle respektował zwyczaje babci, nigdy więc nie telefonował w porze, kiedy mógłby ją obudzić. Z początku myślałem, że pomylił się ze względu na różnicę czasu między nami i Arizoną. Ale wiedziałem, że zanim zadzwoni tutaj, sprawdziłby najpierw u Hester w Durham i u Dana, gdzie jestem, a już na pewno albo Hester albo Dan, albo nawet obydwoje, uświadomiliby mu, że jest bardzo późno.

– Mam nadzieję, że nie obudziłem babci – rzekł.

– Telefon zadzwonił tylko raz, jestem właśnie w kuchni. Co się stało?

– Przeproś ją jutro rano w moim imieniu. Nie zapomnij jej gorąco przeprosić, ale mam dość ważną sprawę.

– Co się stało? – powtórzyłem.

– W Kalifornii zgubiło się ciało jednego faceta. Wydawało im się, że zaginęło w Wietnamie, ale właśnie się okazało, że jest w Oakland, to normalne, jak jest jakieś święto, ktoś gdzieś tam zaśnie przy jakimś guziku. W armii to normalka – dostaję dwie godziny na to, by spakować rzeczy, a po chwili jestem już w Kalifornii. Teraz podobno mam polecieć do Tucson samolotem, którym ludzie latają do pracy w Oakland – polecieć samolotem transportowym jutro wcześnie rano. Następnego dnia zarezerwowali mi lot z San Francisco do Phoenix. Ciało należy dostarczyć do Phoenix. Był sierżantem, pilotem helikoptera. To przeważnie znaczy tyle, że się rozbił i spłonął; jak słyszysz „helikopter", to wiesz na sto procent, że trumna ma być zamknięta. Czy możesz przyjechać do Phoenix spotkać się ze mną?

– Przyjechać do Phoenix? Dlaczego?

– Dlaczego by nie? A masz jakieś inne plany?

– Właściwie to nie.

– Stać cię chyba na samolot, co?

– No tak – przyznałem.

Następnie podał mi szczegóły na temat lotu. Dokładnie wiedział, o której samolot startuje z Bostonu i o której przylatuje do Phoenix. Ja miałem zjawić się tam nieznacznie wcześniej niż jego samolot z ciałem z San Francisco, ale niewiele. Poczekałbym trochę na jego przylot, a potem moglibyśmy spędzić chwilę czasu razem. Już zarezerwował dla nas motel.

– Z klimatyzacją, dobrą telewizją, wspaniałym basenem, i tak dalej. Zaszalejemy sobie! – Naturalnie, wszystko zdążył zaaranżować.

Plany pogrzebowe i tak diabli wzięli z powodu dwudniowego opóźnienia ciała. Krewni zmarłego sierżanta, rodzina z Modesto i Yumy, musieli czekać w Phoenix już dwa dni, które pewnie wydawały się im wiecznością. Termin umówiony z zakładem pogrzebowym został ustalony, a następnie odwołany. Potem umówiono następny. Owen znał właściciela zakładu pogrzebowego i duchownego.

– Cholerne bubki! Dla nich śmierć to tylko interes, nic więcej. A kiedy coś tam nie gra, nie jest zgodne z planem, marudzą i narzekają na wojsko, nie mówiąc o tym, że potrafią zaleźć za skórę umęczonej rodzinie.

Okazuje się, że rodzina zaplanowała coś w rodzaju „piknikowej stypy". Stypa trwała już trzeci dzień. Owen nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego obowiązki ograniczą się tylko do dowiezienia ciała do domu pogrzebowego. Oficer nadzorujący całą uroczystość – profesor KSOR-u z Uniwersytetu Stanowego w Arizonie, w stopniu majora, którego Owen również znał – ostrzegł mego przyjaciela, że rodzina jest już tak wkurzona na Armię, że pewnie nie będzie chciała na pogrzebie żadnej eskorty wojskowej.

– Chociaż nigdy nic nie wiadomo. Będziemy po prostu w pobliżu i rozegramy to w zależności od sytuacji. Tak czy inaczej, zdołam wykroić sobie kilka dni wolnego. Za każdym razem, gdy coś się tak popieprzy, bez trudu mogę pobyć kilka dni poza fortem. Po prostu informuję dowództwo, że muszę zostać trochę w Phoenix „na prośbę rodziny" – tak to ujmuję. Czasami to nawet zgodne z prawdą – bardzo często rodzina chce, żebyś był gdzieś pod ręką. W każdym razie będę miał sporo wolnego czasu i możemy go spędzić razem.

Tak jak ci powiedziałem, w motelu jest fantastyczny basen, a jeśli nie będzie za gorąco, możemy sobie pograć w tenisa.

– Ja nie umiem – przypomniałem mu.

– Nie musimy przecież grać w tenisa.

Wydawało mi się, że to dość długa podróż jak na kilkudniowy pobyt. Odnosiłem także wrażenie, że szczegóły dotyczące tego konkretnego trupa są nie do końca wyjaśnione, żeby nie powiedzieć – zupełnie ogólnikowe. Nie miałem jednak wątpliwości co do tego, że Owen ogromnie cieszy się na nasze spotkanie w Phoenix – w jego głosie słyszałem większe podniecenie niż zazwyczaj. Pomyślałem, że może potrzebuje towarzystwa. W końcu nie widzieliśmy się od Bożego Narodzenia. A poza tym, nigdy nie byłem w Arizonie i nie będę ukrywał, że wtedy bardzo kusiło mnie, by zobaczyć, jak eskortuje się ciała. Nie przyszło mi do głowy, że lipiec to nie najlepsza pora na urlop w Phoenix. Tylko że co ja wtedy o tym wiedziałem?

– No dobra, przekonałeś mnie.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem – rzekł Owen Meany i w tym momencie głos mu się nieznacznie załamał. Uznałem, że to trzaski w telefonie, że połączenie było marne.

Tego właśnie dnia ogłoszono, że bezczeszczenie flagi amerykańskiej jest przestępstwem karanym przez prawo federalne. Noc z 5 na 6 lipca 1968 roku Owen spędził w Oakland, w stanie Kalifornia, gdzie otrzymał przydział w kwaterze oficerów-kawalerów. Rano opuścił kwaterę, zapisując w swoim dzienniku: POBOROWI DO SŁUŻBY NA DALEKIM WSCHODZIE MAJĄ USTAWIĆ SIĘ W SZEREGU POD PONUMEROWANYMI DRZWIAMI. TAM WYDAJE IM SIĘ MUNDURY POLOWE DO WALKI W DŻUNGLI I INNE DUPERELE. PRZED WYLOTEM DO WIETNAMU REKRUCI DOSTAJĄ BEFSZTYK NA OBIAD. WIDYWAŁEM TO MIEJSCE AŻ NAZBYT CZĘSTO – KROKWIE, ŻURAWIE, BLASZANE DACHY MAGAZYNÓW, A TAKŻE MEWY SZYBUJĄCE NAD HANGARAMI – NOWI REKRUCI WYRUSZAJĄ W TAMTĄ STRONĘ, CIAŁA PRZYLATUJĄ Z POWROTEM. TYLE

ZIELONYCH TOREB PODRĘCZNYCH NA CHODNIKU! CZY REKRUCI WIEDZĄ, CO JEST W TYCH SKRZYNKACH ZE SKLEJKI?

Owen zapisał w dzienniku, że jak zwykle otrzymał trójkątny karton, w którym znajdowała się równiusieńko złożona flaga. „Kto to wszystko wymyśla? Czy osoba, która wykonuje kartony, wie, do czego one służą?". Otrzymał, jak zwykle, specjalne formularze pogrzebowe i zwyczajową czarną opaskę – skłamał urzędnikowi, że poprzednia wpadła mu do latryny, by dostać dodatkową. Chciał, żebym i ja miał czarną opaskę, bo wtedy wyglądałbym dostatecznie oficjalnie. W chwili gdy wylatywałem z Bostonu, Owen Meany identyfikował pojemnik ze sklejki w hali bagażowej lotniska San Francisco.

Z lotu ptaka w Phoenix uderza w pierwszym rzędzie pustka. Miasto wygląda jak brązowy czy czekoladowy księżyc, z kilkoma tylko plamami zieleni. To pola golfowe i inne zasobne tereny, gdzie zastosowano system nawadniający. Z zajęć geologii wiedziałem, że to wszystko, co mam pod sobą, było kiedyś płytkim oceanem. Kiedy o zmierzchu podchodziliśmy do lądowania w Phoenix, cienie na skałach miały odcień fioletu tropikalnego morza, lebiody zaś – przyjemny kolor akwamaryny, mogłem więc sobie bez trudu wyobrazić, jak wyglądał ocean, który tam kiedyś był. Tak naprawdę Phoenix nadal przypominało płytkie morze, zmącone gdzieniegdzie sztuczną zielenią i niebieskością basenów. Nieco dalej – w odległości jakichś dziesięciu czy dwudziestu mil, postrzępione krawędzie czerwonoherbacianych gór pokrywały gdzieniegdzie czapy woskowych pokładów wapnia – mieszkańcowi Nowej Anglii przypominały zabrudzony śnieg. Ale jak na śnieg, panował zdecydowanie zbyt duży upał.

Chociaż o zmierzchu słońce nie świeciło już tak ostro, nad rozgrzanym asfaltem unosiło się jeszcze gorące suche powietrze. Pomimo lekkiego wiaterku było po prostu jak w piecu. Pierwszym wrażeniem był upał, potem dopiero dostrzegłem palmy – piękne wyniosłe palmy.

Samolot Owena – a więc i ciało, które eskortował – spóźniał się.

Czekałem wraz z mężczyznami w meksykańskich koszulach i sandałach albo kowbojskich butach. Kobiety, i te drobne, i bardziej

masywne, bez większego skrępowania nosiły krótkie szorty i skąpe bluzeczki i stukały drewniakami o twarde posadzki lotniska, zwanego zachęcająco Niebiańskim Portem. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nie mogli się oprzeć urokowi tutejszej biżuterii ze srebra i turkusów.

Na lotnisku znajdowała się sala gier, w której młody opalony żołnierz z wyrazem zdecydowanej niechęci na twarzy nachylał się nad jednym z automatów. Pierwsza toaleta męska, na jaką natrafiłem, była zamknięta; wisiała na niej karteczka: „Chwilowo nieczynna". Napis zdążył jednak na tyle zżółknąć, że wyglądał na bardzo stary. Po długich poszukiwaniach, w których wyniku doświadczyłem różnych natężeń chłodu z urządzeń klimatyzacyjnych, znalazłem na chybcika urządzoną toaletę z tabliczką: „Tymczasowa toaleta męska".

Z początku nie miałem pewności, czy to aby na pewno toaleta. Zobaczyłem ciemną piwnicę z potężnym przemysłowym zlewem. Zastanawiałem się, czy to może pisuar dla olbrzyma. Właściwy pisuar krył się za rzędem szczotek i wiader, na środku pomieszczenia sklecono jedną kabinę, i to z tak świeżej sklejki, że zapach drewna skutecznie przebijał przez zatykający nozdrza odór środka dezynfekującego. Znajdowało się tam długie lustro, ale sprawiało wrażenie raczej opartego o ścianę niż zawieszonego. Bodaj nigdy w życiu nie widziałem bardziej „tymczasowej" toalety. Pomieszczenie to musiało chyba pierwotnie służyć jako magazyn. Dziwił tylko ów nieprawdopodobnie ogromny zlew; i to tak duży, że trudno sobie wyobrazić, co by w nim można myć czy moczyć. Z drugiej strony, jak na tak niewielką przestrzeń, piwnica okazała się niespodziewanie wysoka, długa i wąska, jakby na skutek trzęsienia ziemi czy wybuchu zmieniła przeznaczenie. Jedyne maleńkie okienko widniało tuż pod sufitem, jak gdyby pomieszczenie znajdowało się na tyle głęboko pod ziemią, że okno trzeba było umieścić tak wysoko, by mogło przepuszczać światło dzienne, mimo że bardzo niewiele go docierało do odległych kątów. Wyglądało jak świetlik nad drzwiami, tyle że bez drzwi pod spodem. Okienko miało kwatery i tak głęboki parapet, że człowiek mógłby na nim wygodnie usiąść, tylko że nie dałby rady się wyprostować – sufit był za niski. Krawędź parapetu znajdowała się wysoko nad podłogą – jakieś dziesięć stóp. Było to okno, którego nie

sposób otworzyć inaczej niż za pomocą haka na długim kiju – o ile oczywiście ktoś by się w ogóle zdecydował je otworzyć. Wyglądało tak, jakby go nikt nigdy nie mył.

Wysiusiałem się do małego, obstawionego różnymi rupieciami pisuaru. Kopnąłem szczotkę stojącą w wiadrze. Postukałem w lichą sklejkę „tymczasowej" ubikacji. Toaleta miała tak „tymczasowy" charakter, że zastanawiałem się, czy ktokolwiek zadał sobie trud podłączenia pisuaru i zlewu do kanalizacji. Ta onieśmielająca rozmiarami „umywalka" była na tyle brudna, że postanowiłem nie dotykać kurków, i dlatego nie umyłem rąk. Poza tym nie widziałem nigdzie ręcznika. Niezły „Niebiański Port", pomyślałem sobie, wychodząc i układając w myślach list z zażaleniem do dyrekcji. Nie przyszło mi do głowy, że w jakimś innym miejscu lotniska znajduje się pewnie doskonale funkcjonująca i czysta toaleta. Może i była. A nuż ubikacja, którą znalazłem, należała do tych ponurych pomieszczeń, których strzegą napisy: „Niezatrudnionym wstęp wzbroniony"?

Przechadzałem się w sztucznie utrzymywanym chłodzie lotniska. Od czasu do czasu wychodziłem na zewnątrz – po to tylko, by poczuć okropny upał, nie spotykany w New Hampshire. Nieprzerwany powiew powietrza musiał pochodzić z pustyni, ponieważ takiego wiatru nie czułem nigdy przedtem ani nigdy potem. Był to suchy, gorący wiatr, który powodował, że luźne koszule mężczyzn furkotały jak flagi.

Stałem na zewnątrz, w gorącym wietrze, kiedy zobaczyłem rodzinę zabitego sierżanta. Oni również czekali na samolot Owena. Ponieważ byłem Wheelwrightem, a zatem snobem z Nowej Anglii, zakładałem, że Phoenix w znacznej mierze składa się z mormonów, baptystów i republikanów. Tymczasem rodzina sierżanta wyglądała zupełnie inaczej, niż mogłem się tego spodziewać. Pierwsza rzecz, która mnie zaskoczyła, to to, że tworzyła zupełnie niespójną grupę ludzi, którzy właściwie nie mają ze sobą nic wspólnego. Kilka osób, owiewanych gorącym wiatrem znad pustyni, stało obok srebrzystoszarego karawanu. Wprawdzie wszyscy zebrali się blisko siebie, nie stanowili jednak familijnej grupy, lecz przypominali raczej pospiesznie

zebranych i niezbyt zdyscyplinowanych pracowników niewielkiego przedsiębiorstwa.

Razem z nimi stał oficer – to pewnie ten major, którego Owen znał już wcześniej, profesor KSOR-u z Uniwersytetu Stanowego w Arizonie. Był krępym mężczyzną o sportowej sylwetce, którego niepokój – jak u zawodnika przed startem – bardzo przypominał mi Randy'ego White'a. Nosił też okulary słoneczne, podobne do lotniczych gogli. To, że nie mogłem bliżej określić jego wieku – może miał trzydziestkę, ale równie dobrze mógł mieć powyżej czterdziestki – wynikało częściowo z silnej muskulatury ciała mężczyzny. Włosy miał tak krótko przystrzyżone, że trudno było powiedzieć, czy ta biaława szczecina to kolor blond czy siwy.

Próbowałem zgadnąć, kim są pozostałe osoby. Zdawało mi się, że rozpoznaję właściciela zakładu pogrzebowego – właściciela bądź pracownika. Był wysoki, chudy, ziemisty, w białej nakrochmalonej koszuli ze spiczastym kołnierzykiem. Jako jedyny z całego tego dziwacznego towarzystwa nosił czarny garnitur i krawat. Obok wypatrzyłem potężnego mężczyznę w liberii szofera. Stał trochę na uboczu i kopcił jak komin. Sama rodzina wyglądała dość tajemniczo, chociaż wściekłość – w różnym stopniu – malowała się na obliczach wszystkich zebranych tu osób. Najłagodniejszy wyraz twarzy miał spokojny facet o spadzistych ramionach, w koszuli z krótkimi rękawami i plecionym krawacie. Uznałem, że to ojciec. Jego żona – przypuszczalnie matka zmarłego – roztrzęsiona i rozdygotana kręciła się obok tego mężczyzny, który nie dość, że mnie wydał się nieporuszony, to jeszcze sprawiał wrażenie, jakby nic nie mogło go poruszyć. Kobieta z kolei nie mogła ani chwili ustać spokojnie. Szarpała na sobie sukienkę, a po chwili jej palce wędrowały do włosów, spiętrzonych wysoko i wyglądających na tak lepkie, że przypominały watę na patyku. W świetle zachodzącego nad pustynią słońca wydawały się także różowe jak wata. Możliwe, że trzydniowe „piknikowanie" pozostawiło ślady spustoszenia na twarzy kobiety i całkowicie pozbawiło ją kontroli nad gestami rąk. Od czasu do czasu zaciskała pięści i mamrotała jakieś przekleństwa rzucane na wiatr pustyni, ale ponieważ stałem dość daleko, nie słyszałem ich.

Jednakże chłopak i dziewczyna – jak się domyśliłem, pozostałe przy życiu rodzeństwo – reagowali na nie natychmiast.

Córka wzdrygała się na te gwałtowne wybuchy, tak jakby matka adresowała je bezpośrednio do niej – choć pewnie tak nie było – albo jakby jednocześnie z mamrotanymi przekleństwami smagała ją niewidoczną dla mnie rózgą. Przy każdym przekleństwie dziewczyna drżała i kuliła się. Raz czy dwa zakryła nawet uszy. Ponieważ miała na sobie bawełnianą pogniecioną i zbyt ciasną sukienkę, kiedy wiatr ją na niej opinał, widać było, że jest w ciąży, chociaż nie wyglądała na dostatecznie dorosłą ani nie stała w pobliżu żadnego mężczyzny, który mógłby być ojcem jej nie narodzonego dziecka. Chłopca obok wziąłem za brata dziewczyny – i to młodszego zarówno od niej, jak i od poległego sierżanta.

Był tak wysoki, że aż niezdarny, miał kościstą twarz i wyglądał nieco przerażająco, głównie ze względu na rozmiary, jakie ewentualnie mógłby osiągnąć. Wydawało mi się, że nie ma więcej niż czternaście, piętnaście lat. Był wprawdzie szczupły, jednakże jego niezgrabną sylwetkę tworzyły potężne, szerokie kości. Miał dłonie, które wyglądały na tak mocne, i tak nieproporcjonalnie dużą głowę, że spokojnie mógłby utyć jeszcze z pięćdziesiąt kilo, a nie byłby wcale gruby. Gdyby przytył drugie pięćdziesiąt, dopiero zrobiłby się potężny i groźny. Właściwie to nawet wyglądał na faceta, który dopiero co tyle właśnie stracił na wadze i bez większego trudu może swoje kilogramy odzyskać.

Wyrośnięty chłopak górował nad wszystkimi. Wiatr zatrzymywał się na nim niczym na niebotycznych palmach rosnących przy wjeździe do Niebiańskiego Portu w Phoenix. Jego wściekłość (tak jak postura) najbardziej kojarzyła się z wściekłością potwora, który ma za mało miejsca, by się dalej rozrastać. Gdy matka zwracała się do niego, chłopiec odrzucał głowę do tyłu i spluwał – plwocina zakreślała potężny szary łuk w powietrzu. Zaskoczyło mnie, że rodzice pozwalają mu w tym wieku żuć tytoń. Następnie odwrócił się i wbił spojrzenie w matkę, która wreszcie stanęła do niego bokiem, ciągle wykonując niespokojne gesty dłońmi.

Chłopiec miał na sobie zatłuszczony kombinezon roboczy – tak mi się przynajmniej wydawało z tej odległości. Zza paska wystawało mu

coś, co wyglądało na narzędzia stolarskie czy raczej ciężkie oporządzenie mechanika samochodowego lub montera instalacji telefonicznych. Może ten chłopak gdzieś pracował po szkole i przyszedł tutaj prosto z roboty.

Jeśli to miało być familijne powitanie sierżanta w gronie najbliższych krewnych, przeszły mnie ciarki na myśl o jeszcze mniej być może reprezentacyjnych członkach rodziny, którzy nadal pewnie świętują trzydniową „piknikową stypę". Kiedy patrzyłem na tę zbieraninę, myślałem, że nawet za milion dolarów nie chciałbym zajmować się tym, czym Owen.

Nikt nie miał pojęcia, z której strony oczekiwać samolotu. Ja zaufałem majorowi i właścicielowi zakładu pogrzebowego. Tylko oni dwaj patrzyli w tym samym kierunku, a wiedziałem, że to nie pierwsze zwłoki, jakie witali na lotnisku. Dlatego też spoglądałem tam, gdzie oni. Wprawdzie było już po zachodzie słońca, jednakże jaskrawe smugi cynobrowego blasku rozświetlały niebo. I właśnie w jednej z tych smug światła dostrzegłem schodzący do lądowania samolot Owena. Tak jakby zawsze tam, gdzie zjawiał się Owen Meany, towarzyszył mu jakiś snop światła.

Owen poświęcił całą podróż z San Francisco do Phoenix na pisanie dziennika. Zapisywał jedną stronę po drugiej – zdawał sobie sprawę z tego, że nie zostało mu zbyt wiele czasu.

WIEM JUŻ TAK DUŻO, ALE JESZCZE NIE WSZYSTKO. TYLKO BÓG WIE WSZYSTKO. ZA PÓŹNO, BYM WYJECHAŁ DO WIETNAMU. A WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE MAM SIĘ TAM ZNALEŹĆ. MYŚLAŁEM, ŻE ZNAM RÓWNIEŻ DATĘ. ALE JEŚLI NIE MYLĘ SIĘ CO DO DATY, TO ZNACZY, IŻ NIE MOŻE SIĘ TO STAĆ W WIETNAMIE. Z KOLEI, JEŚLI MA SIĘ TO STAĆ TAM, TO MYLĘ SIĘ CO DO DATY. A MOŻE TO RZECZYWIŚCIE „TYLKO SEN"? TYLE ŻE JEST TAK REALNY! NAJBARDZIEJ PRAWDOPODOBNA WYDAWAŁA MI SIĘ DATA, TERAZ JEDNAK JUŻ SAM NIE WIEM – PO PROSTU JUŻ NIE WIEM.

NIE BOJĘ SIĘ, ALE JESTEM STRASZNIE ZDENERWOWANY. Z POCZĄTKU NIE PODOBAŁO MI SIĘ TO, ŻE WIEM, TERAZ TO, ŻE NIE WIEM! BÓG WYSTAWIA MNIE NA PRÓBĘ!

Pisał jeszcze wiele innych rzeczy. Czuł się zagubiony. Odciął mi palec, abym się nie znalazł w Wietnamie. Jego zdaniem, postąpił tak,

by mnie fizycznie usunąć ze swego snu, lecz chociaż nie dopuścił do mego udziału w wojnie, najwyraźniej – tak wynikało z dziennika – nadal byłem obecny we śnie. Sprawił, że nie znalazłem się w Wietnamie, udało mu się odciąć mi palec, ale nie zdołał usunąć mnie ze swego snu. I to go niepokoiło. Wiedział, że jeśli ma umrzeć, to ja będę przy tym, ale nie wiedział dlaczego. Skoro jednak odciął mój palec, by mi ocalić życie, to jakby zaprzeczał sam sobie, zapraszając mnie do Arizony. Bóg obiecał mu, że włos mi z głowy nie spadnie. Owen Meany kurczowo się tego trzymał.

MOŻE TO RZECZYWIŚCIE „TYLKO SEN”? – powtórzył. – MOŻE TA DATA TO TYLKO WYMYSŁ MOJEJ WYOBRAŹNI? ALE BYŁA WYPISANA NA KAMIENIU! ONA JEST „WYPISANA NA KAMIENIU”! – dodał, mając naturalnie na myśli własny nagrobek, na którym wykuł już datę swej śmierci. Ale teraz czuł się trochę zagubiony. Sam dobrze nie wiedział, co o tym sądzić.

SKĄD W ARIZONIE MOGŁYBY SIĘ WZIĄĆ WIETNAMSKIE DZIECI? – pytał. Bogu też zadawał pytanie: – BOŻE, JEŚLI NIE CHODZI O TO, BYM URATOWAŁ TE DZIECI, TO DLACZEGO KAZAŁEŚ MI PRZEZ TO WSZYSTKO PRZEJŚĆ? – Jednakże po chwili dopisał: – NIE MOGĘ TRACIĆ WIARY W PANA!

Dosłownie na chwilę przed tym, nim samolot dotknął płyty lotniska w Phoenix, dopisał pospiesznie: ZNOWU TU JESTEM – JESTEM PONAD WSZYSTKIM. PALMY SĄ PROSTE I WYSOKIE. JESTEM WYSOKO PONAD PALMAMI. NIEBO I PALMY SĄ TAKIE PIĘKNE!

Z samolotu wysiadł jako pierwszy – jego mundur rzucał ostre wyzwanie upałowi. Czarna opaska jednoznacznie określała misję, z jaką przyleciał. W jednej ręce trzymał swoją zieloną torbę, w drugiej trójkątny karton. Ruszył prosto do luku bagażowego. Wprawdzie nie słyszałem jego głosu, za to widziałem, że wydaje polecenia bagażowym i operatorowi wózka z podnośnikiem. Na pewno przypominał im, że głowa powinna być wyżej niż stopy, aby przez otwory nie wyciekł żaden płyn. Owen zasalutował, gdy ciało spuszczano z samolotu. Kiedy trumna ze sklejki znalazła się bezpiecznie na dźwigu, wskoczył na jeden z zębów podnośnika i w ten sposób przejechał po pasie startowym do oczekującego karawanu – niczym rzeźba na dziobie statku.

Szedłem przez pole startowe w kierunku rodziny, która stała nieruchomo z oczami utkwionymi w Owena i w trumnę. Stali sparaliżowani wściekłością. Major elegancko ruszył na spotkanie Owena. Szofer otworzył tylne drzwi w długim stalowoszarym karawanie. Właściciel zakładu pogrzebowego zaś odegrał rolę obłudnego, wścibskiego wysłannika śmierci, co zresztą zgodne było z jego naturą.

Owen lekko zeskoczył z wózka. Postawił torbę na asfalcie i otworzył trójkątne pudełko. Przy pomocy majora rozwinął flagę; nie poszło im to łatwo z powodu silnego wiatru. Nagle zapłonęły światła pasa startowego, a flaga wydęła się na wietrze i załopotała, jasna na ciemniejącym niebie. Owenowi i majorowi dopiero po dość skomplikowanych zabiegach udało się jakoś okryć skrzynkę flagą. Kiedy już trumna znalazła się w karawanie, materiał się uspokoił, a rodzina – niczym duże, niezdarne zwierzę – zbliżyła się do samochodu i Owena.

Wtedy dopiero dostrzegłem, że niebotycznie wysoki chłopiec nie ma na sobie kombinezonu roboczego, ale panterkę, a to, co przez pomyłkę wziąłem za plamy po smarze czy oleju, było kamuflującymi cętkami. Mundur był autentyczny, ale chłopiec najwyraźniej za młody, by „służyć” w wojsku. Poza tym w mundurze brakowało kilku elementów. Chłopak miał na nogach zdarte i brudne „wysokie” buty do koszykówki. Na pewno kłóciły się też z regulaminem jego skołtunione, opadające na ramiona włosy. Pasek wcale nie był paskiem stolarskim, tylko raczej pasem myśliwskim, z czymś, co żywo przypominało amunicję – miał chyba kilka prawdziwych naboi – co najmniej w paru otworach tkwiły kule, a na rozlicznych pętlach, otworach i rzemykach zwisały różne przedmioty. Ale ani narzędzia mechanika samochodowego, ani montera telefonicznego. Wysoki chłopak przytroczył do pasa przedmioty, które wyglądały na autentyczny sprzęt wojskowy – saperkę, maczetę i bagnet, chociaż jego futerał niewiele miał chyba wspólnego z wojskiem. Zrobiono go z materiału w zielonym odblaskowym kolorze, a z wierzchu ozdobiono jaskrawopomarańczową trupią główką.

Dziewczyna w ciąży, która – jak mi się wydawało – była siostrą monstrualnie wysokiego chłopca, nie mogła mieć więcej niż

szesnaście czy siedemnaście lat. Zaczęła szlochać. Potem zacisnęła pięść i ugryzła się w dłoń, żeby zdusić płacz.

– Kurwa! – zakrzyknęła matka. Ślamazarny mężczyzna, którego wziąłem za jej męża, składał i rozkładał tłuste ręce, kwitując zaś wypowiedź matki, stwór w mundurze polowym odrzucił głowę do tyłu i wypluł kolejną potężną porcję szarobrunatnej plwociny.

– Możesz już przestać? – spytała dziewczyna.

– Odpierdol się! – warknął w odpowiedzi.

Ślamazarny mężczyzna nie był tak ślamazarny, jak mi się wydawało. Rzucił się na chłopca – mocny prawy sierpowy wylądował chłopakowi na policzku i młodzieniec, tak jak torba Owena, padł na ziemię.

– Żebyś mi się nie odważył tak mówić do siostry! – rzekł mężczyzna.

– Odpierdol się – zakomunikował chłopak, nie wstając. – Ona nie jest moją siostrą – jest moją siostrą przyrodnią.

– Nie odzywaj się tak do ojca – rzuciła matka.

– On nie jest moim ojcem, ty dupo!

– Nie nazywaj matki „dupą" – pouczył go mężczyzna. Ale kiedy podszedł bliżej do powalonego chłopaka, jakby chciał się znaleźć w dogodniejszej pozycji, żeby go, na przykład, kopnąć, chłopak stanął niepewnie na nogi. W jednej ręce trzymał maczetę, w drugiej bagnet.

– Oboje jesteście dupy! – zwrócił się do mężczyzny i do kobiety, a kiedy jego siostra przyrodnia zaczęła na powrót płakać, ponownie odrzucił głowę i strzyknął śliną z tytoniem. Nie splunął wprost na dziewczynę, ale mniej więcej w jej kierunku.

– Bardzo mi się podoba ta pochwa na bagnet – odezwał się do niego Owen. – Sam ją zrobiłeś?

Dokładnie tak jak to już wcześniej wielokrotnie widziałem, cała makabryczna rodzinka zamarła na dźwięk głosu Owena. Ciężarna dziewczyna przestała płakać. Ojciec – który nie był ojcem drągala, cofnął się, bardziej przestraszony Głosem niż bagnetem, maczetą czy jednym i drugim naraz. Matka nerwowo przejechała palcami po lepkich włosach, tak jakby Owen spowodował, że nagle zaczęła się

przejmować swoim wyglądem. Denko czapki Owena Meany'ego sięgało nie wyżej niż do piersi chłopaka.

– Kim jesteś, kurduplu? – spytał go drągal.

– To jest oficer asystujący ciału – wyjaśnił major. – Porucznik Meany.

– Niech sam mi to powie – odezwał się tamten, nie mogąc oderwać oczu od Owena.

– Jestem porucznik Meany – odrzekł mój przyjaciel. Chciał podać chłopakowi rękę. – A ty jak się nazywasz?

Żeby jednak potrząsnąć ręką Owena, chłopak musiałby schować przynajmniej jedną broń, na co najwyraźniej nie miał ochoty. Nie zadał też sobie trudu, żeby wyjawić Owenowi, jak się nazywa.

– Dlaczego masz taki głos? – spytał.

– Jaki głos? To ty mi powiedz, dlaczego tak się zachowujesz? Chcesz się ubierać jak żołnierz i bawić się w żołnierza, więc cóż to, nie wiesz, jak się zwracać do oficera?

Jako facet, który wszystkich ma za nic, chłopak odczuwał respekt dla tego, kto go opieprzał.

– Tak jest – odrzekł po wojskowemu.

– Odłóż broń – polecił Owen. – Czy zmarły żołnierz, którego przywożę, to twój brat?

– Tak jest.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci twego brata – odezwał się Owen. – Może podszedłbyś do tego trochę poważniej?

– Tak jest – odezwał się chłopiec cicho. Najwyraźniej nie bardzo wiedział, w jaki sposób poważniej podejść do śmierci brata. Patrzył bezmyślnie na róg flagi, która znajdowała się zbyt blisko otwartego tyłu karawanu i dlatego od czasu do czasu poruszał nią wiatr.

Następnie Owen Meany podał po kolei rękę pozostałym członkom rodziny i złożył im kondolencje. Na twarzy matki odmalowała się cała gama uczuć – wydawało się, że z jednej strony kusi ją, żeby z Owenem poflirtować, a z drugiej, by go zabić. Apatyczny ojciec zdawał się najprzykrzej dotknięty nienaturalnie niskim wzrostem Owena. Ciastowata gęba tego człowieka odzwierciedlała to brutalną głupotę, to pogardę. Na dziewczynie w ciąży silne wrażenie zrobiła nieśmiałość, z jaką mój przyjaciel się do niej zwrócił.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani brata – rzekł. Sięgał jej do brody.

– To był przyrodni brat, ale mimo to go kochałam! – wyjaśniła. Jej drugi brat przyrodni – ten, który pozostał przy życiu, musiał dołożyć ogromnych starań, żeby nie splunąć. „Biedacy, jacyż oni rozdarci", pomyślałem sobie.

Dopiero gdy znaleźliśmy się w samochodzie majora, gdzie nareszcie mieliśmy okazję popatrzeć na siebie, uścisnąć się i poklepać po ramieniu, major zaczął nam opowiadać o rodzince.

– Wszystko jest tam u nich strasznie pogmatwane i każdy miał już do czynienia z policją – rzekł. Nazywał się Rawls. W Hollywood zrobiłby oszałamiającą karierę. Wyglądał na pięćdziesiątkę, ale w rzeczywistości miał trzydzieści siedem lat i był trochę gburowaty. Stopień oficerski zdobył w czasie ostatnich dni wojny koreańskiej. Kampanię wietnamską zaliczył jako dowódca batalionu piechoty. Major Rawls zaciągnął się do wojska w roku 1949 jako osiemnastolatek. W armii służył zatem już od dziewiętnastu lat. Walczył w dwóch wojnach. Został zgłoszony do awansu na podpułkownika i w momencie, kiedy wszyscy dobrzy „oficerowie liniowi" znaleźli się w Waszyngtonie czy Wietnamie, on kończył karierę wojskową jako profesor KSOR-u.

Major Rawls zdobył szlify oficerskie na polu bitwy i tam też nabrał cynizmu. Wyrzucał słowa długimi wybuchowymi seriami; brzmiało to jak strzały z broni automatycznej.

– Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że każdy się tam pieprzy z każdym – rzekł major Rawls. – Najbardziej w gorącej wodzie kąpany jest ten brat. Przez cały dzień siedzi na lotnisku, gapi się na samoloty, gada z żołnierzami. Nie może się doczekać, kiedy będzie mógł polecieć do Wietnamu. W ich rodzinie gorszy był chyba tylko ten, co zginął. Pojechał, kurwa, trzeci raz! Szkoda, że go nie mogliście zobaczyć między wyjazdami. Cała ta cholerna banda mieszka na polu przyczep, a on nic tylko podgląda sąsiadów. Właściwie sam szukał guza. Gdyby nie pojechał do Wietnamu, to na pewno wylądowałby w więzieniu. Każdy chłopak jest z innego ojca, ale żadnego nie spłodził ten komediant. Jest ojcem tamtej biedaczki. Nie wiem, kto ją wrobił, ale przeczucie mi mówi, że sprawa się

rozegrała w rodzinie. Stawiam na oficera. Pewnie i ona wpadła w jego łapy. Kapujecie? Kto ich tam zresztą wie, może obaj ją dmuchali. Chociaż ten młodszy jest chyba za bardzo stuknięty. Nie może się doczekać, kiedy będzie na tyle dorosły, żeby zabijać. A mamuśka? Jest nieźle nawiedzona. Poczekajcie no tylko, aż zobaczycie resztę towarzystwa. Mówię wam, niepotrzebnie go tutaj przysłali, nawet w trumnie. Zamiast tego trzeba było zapakować całą rodzinkę i ją wysłać do Wietnamu. Może wtedy udałoby się nam wygrać tę pieprzoną wojnę.

Jechaliśmy za srebrzystoszarym karawanem. Kierowca z trudem prowadził go wzdłuż drogi o nazwie Czarny Kanion. Potem skręciliśmy w Wielbłądzi Garb. Palmy drżały na wietrze. W którymś miejscu mijaliśmy grupę staruszków siedzących na metalowych leżakach. Mimo wieczornego upału, mieli na sobie swetry. Pomachali nam. Chyba byli troszkę stuknięci.

Owen przedstawił mnie majorowi Rawlsowi jako swego najlepszego przyjaciela.

– Majorze Rawls, oto John Wheelwright, mój najlepszy przyjaciel. Przyjechał aż z New Hampshire.

– To bliżej niż z Wietnamu. Bardzo mi miło, John – rzekł Rawls, miażdżąc mi dłoń. Ruszył samochodem, tak jakby wszyscy kierowcy na szosie zdążyli mu już zaleźć za skórę.

– Ciekawe, jak ci się spodoba ten pieprzony dom pogrzebowy – zwrócił się major do mnie.

– Trochę przypomina sklep – dodał Owen, a major skwitował to porównanie śmiechem.

– Bo to taki sklepowy grabarz – rzucił Rawls.

– W kaplicy mają przenośne krzyże – wyjaśnił mój przyjaciel. – Mogą je zmieniać w zależności od religii. Mają krzyż z Chrystusem, specjalnie dla katolików. Mają gładki krzyż dla protestantów. Dość ozdobny, wysadzany drogimi kamieniami – dla tych, co są pomiędzy.

– Kto są ci „pomiędzy”? – spytałem Owena.

– Właśnie tacy, jak nasi klienci – rzekł major Rawls. – Pieprzeni baptyści – rzeczywiście są pomiędzy. Pamiętasz tego sukinsyna, kaznodzieję? – zwrócił się Rawls do Owena.

– Chodzi panu o baptystę, który odprawia nabożeństwo? Jasne, że pamiętam.

– Tego to warto zobaczyć.

– Nie mogę się już doczekać – odparłem.

Owen kazał mi włożyć dodatkową czarną opaskę.

– Nic się nie martw. Później będziemy mieli mnóstwo wolnego czasu.

– Chcecie jakieś dziewczyny? Znam kilka dobrych dup – zaproponował Rawls.

– Wiem, że pan zna. Ale nie, dziękujemy. Zamierzamy odpoczywać.

– Pokażę wam, gdzie są sklepy porno – nie ustawał major.

– Nie, dziękujemy. Chcemy sobie po prostu odpocząć.

– A może wy jesteście dwa pedały, co? – Rawls sam się zaśmiał ze swego dowcipu.

– Może – odparł Owen, na co major zachichotał ponownie.

– Twój przyjaciel to najzabawniejszy facet z pierdolcem w całym wojsku.

Rzeczywiście, dom pogrzebowy wyglądał trochę jak magazyn sklepowy, w otoczeniu zupełnie nie licującym z jego funkcją. Zbudowany w stylu meksykańskiej hacjendy, wraz z kaplicą z wymiennymi krzyżami tworzył jedną z prostych litery L w długim szeregu złączonych biało-różowych budynków. Bezpośrednio do domu pogrzebowego przylegała lodziarnia. Obok kaplicy znajdował się sklep zoologiczny – na wystawie leżały węże na sprzedaż.

– Wcale mnie, kurwa, nie dziwi, że on chciał wracać do Wietnamu.

Zanim lizusowaty właściciel zakładu pogrzebowego zdążył zapytać, kim jestem albo z czyjego polecenia przybyłem, żeby zbadać zawartość pojemnika ze sklejki, Owen mnie przedstawił.

– Oto pan Wheelwright, specjalista od ciał. Jego misja ma związek z naszym wywiadem. Prosiłbym, aby pan o tej sprawie z nikim nie rozmawiał.

– Ależ naturalnie – odrzekł tamten. Oczywiście, nie miał pojęcia, o czym można by tu rozmawiać. Major Rawls potarł powieki i spróbował zatuszować śmiech kaszlem. Korytarz wyłożony chodnikiem prowadził do pomieszczenia, które śmierdziało jak laboratorium chemiczne; dwaj niestosownie w tym otoczeniu weseli

pomocnicy poluźniali właśnie śruby na pojemniku, w którym trumna była transportowana. Inny mężczyzna ustawiał sklejkę pod ścianą. Właśnie kończył porcję lodów, więc robił to dość niezręcznie wolną ręką. Czterech ludzi musiało podnieść ciężką trumnę (chyba stal dwudziestka) na chromowe kleszcze. Major Rawls nawijał trzy kołowrotki przypominające kierownicę w niektórych wymyślnych samochodach sportowych.

Owen otworzył wieko i zajrzał do środka. Po chwili odwrócił się do Rawlsa.

– Czy to on? – spytał majora.

Major Rawls długo przyglądał się zawartości trumny. Właściciel domu pogrzebowego dobrze wiedział, że musi poczekać na swoją kolej.

Wreszcie major się odwrócił.

– Chyba on. W każdym razie bardzo podobny – dodał.

Facet ruszył w kierunku trumny, Owen go jednak zatrzymał.

– Proszę pozwolić, aby pan Wheelwright spojrzał najpierw – rzekł.

– Ależ tak, oczywiście – odrzekł tamten, cofając się. Jednocześnie szepnął swoim pomocnikom: „To sprawa wywiadu, nie wolno o tym z nikim rozmawiać". Dwaj pomocnicy, a nawet ten łagodny facet, który odstawiał sklejkę jedząc lody, popatrzyli na siebie niespokojnie.

– Jaka była właściwa przyczyna śmierci? – spytał majora.

– Właśnie to jest przedmiotem dochodzenia – warknął na niego Owen. – Sprawę należy potraktować dyskretnie!

– Ależ tak, oczywiście – odrzekł ten idiota.

Major Rawls znów walczył ze śmiechem. Zakasłał.

Nie chciałem przyglądać się zbyt dokładnie ciału oficera. Byłem tak nastawiony na to, że zobaczę trupa potwornie zdeformowanego, iż z początku odczułem głęboką ulgę. Właściwie wszystko wyglądało normalnie – był cały, miał na sobie zielony mundur, skrzydełka lotnicze i odpowiednie mosiężne odznaki. Warstwa pudru na twarzy przypominała opaleniznę, a skóra zdawała się zbyt mocno naciągnięta na wystających kościach policzkowych. Trochę niesamowicie wyglądały jego włosy, tak jakby zrobiono z nich perukę. Potem powoli zacząłem dostrzegać różne niepokojące szczegóły – ciemne i pomarszczone uszy przypominały suszone

śliwki – jakby słuchawki, w których czegoś słuchał, nagle się zapaliły. Wokół oczu miał równiusieńkie okrągłe obwódki, pewnie od gogli – dlatego trochę przypominał szopa. Zorientowałem się, że okulary stopiły mu się na twarzy i że skóra jest tak napięta dlatego, że miał całą twarz spuchniętą. Stanowiła jeden wielki nabrzmiały bąbel, co sprawiało wrażenie, jakby okropny żar, który go spalił, zrodził się we wnętrzu jego głowy.

Poczułem się źle, ale bardziej ze wstydu niż z powodu mdłości. Tak, jakbym zachowywał się nieprzyzwoicie, naruszając granicę intymnego świata oficera – jak poszukiwacz sensacji, który pochylił się nad wrakiem samochodu po wypadku i nagle zobaczył zakrwawione włosy wystające przez rozbitą szybę. Owen widział, że nie mogę wydusić z siebie ani słowa.

– Tego właśnie się pan spodziewał, prawda? – spytał. Skinąłem w odpowiedzi głową i szybko odszedłem.

Do trumny pędem ruszył właściciel zakładu pogrzebowego.

– No wiecie państwo, mogliby się trochę lepiej postarać! – Udając wielkie przejęcie, wziął papierowy ręczniczek i obtarł jakiś płyn, który wyciekał trupowi z kącika ust. – Poza tym ja i tak nie jestem za otwieraniem trumny. To ostatnie spojrzenie może człowiekowi zdruzgotać serce.

– Nie przypuszczam, żeby ten typ potrafił łamać serca – rzekł major Rawls. Ale ja pomyślałem o jednym złamanym sercu – miał je jego młodszy brat. Można by nawet rzec, że jego stan jest znacznie gorszy.

Jedliśmy z Owenem lody w cukierni obok, podczas gdy major Rawls i właściciel zakładu pogrzebowego prowadzili rozmowę na temat „pieprzonego kapłana". Była sobota, zatem ponieważ nazajutrz wypadała niedziela, nabożeństwo nie mogło się odbyć w kościele baptystów. Był taki jeden duchowny baptystów, który przyjeżdżał odprawiać nabożeństwa w kaplicy pogrzebowej.

– Przyjeżdża dlatego, że jest dupek i nie ma własnego kościoła – oświadczył major Rawls. Podejrzewał, że właściciel zakładu i duchowny często współpracują ze względów „finansowych".

– W kościele też trzeba zapłacić, jak się odprawia nabożeństwo żałobne – wyjaśniał tamten.

– Major Rawls ma już po prostu dość tego konkretnego baptysty – wyjaśnił mi Owen.

– Nie wierzę, żeby ktokolwiek w tej rodzinie chodził do jakiegoś kościoła – rzekł Rawls w samochodzie. – Na pewno ten skurwysyn namówił ich, żeby się podali za baptystów. Powiedział pewnie, że trzeba wyznawać jakąś religię, więc niech wybiorą tę. Razem z tym pieprzonym duchownym to para łobuzów z piekła rodem!

– Katolicy są lepsi w te klocki niż ktokolwiek inny – odezwał się Owen.

– Pieprzę katolików! – brzmiała odpowiedź majora.

– Naprawdę, robią to najlepiej. Wszystko jest u nich odpowiednio uroczyste, mają obrządek, który odbywa się we właściwym tempie – wyjaśniał Owen.

Ze zdziwieniem słuchałem, jak Owen chwali katolików. Co więcej, okazało się, że mówi poważnie. Nawet major nie miał ochoty się z nim sprzeczać.

– Tego nikt nie robi dobrze, tyle wiem – zauważył major.

– Nie powiedziałem, że ktoś to robi „dobrze”, tylko że katolicy robią to „lepiej”.

Spytałem Owena, co wyciekało oficerowi z ust.

– Fenol – wyjaśnił major.

– Nazywa się to także kwas karbolowy – rzekł Owen.

– Ja na to mówię fenol – powtórzył Rawls.

Potem spytałem, w jakich okolicznościach zginął oficer.

– To kompletny dureń – wyjaśnił major. – Nalewał paliwa do helikoptera i popełnił idiotyczny błąd.

– Wystarczy tylko zmniejszyć liczbę oktanów i już.

– Nie mogę się doczekać, żeby wam pokazać ten piknik – rzekł major. Właśnie tam nas teraz wiózł – na stypę, która radośnie trwała już trzeci dzień. Rawls zatrąbił na jakiś samochód wyjeżdżający z podjazdu na drogę przed nami. Odniosłem wrażenie, że samochód się zatrzymał, by nas przepuścić. – Popatrzcie tylko na tego sukinsyna! – krzyknął Rawls i pojechaliśmy dalej przez nocne życie Phoenix.

– Nic się nie bój – Owen poklepał mnie po dłoni. – Musimy się tam tylko pokazać. Nie mamy obowiązku zostawać.

– Nie będzie ci się chciało stamtąd wyrwać! – rzucił major z ożywieniem. – Mówię ci, oni tam są gotowi pozabijać się nawzajem. Na podstawie takiej scenki można nakręcić doskonały film o masowych morderstwach!

Major przesadzał. Ta „banda", jak nazywał rodzinę, wcale nie mieszkała w przyczepie, tylko w parterowym domku z turkusowoniebieską aluminiową ścianą. Z powodu bardzo śmiałego użycia turkusowego koloru dom przypominał wszystkie inne, które przypuszczalnie dawały schronienie miejscowej biedocie. W tej dzielnicy rzucała się przede wszystkim w oczy duża liczba zdezelowanych samochodów. Właściwie więcej stało tutaj samochodów na żużlowych podpórkach, bez kół czy z silnikami wyrwanymi spod maski, niż sprawnych pojazdów zaparkowanych przy krawężniku lub na podjeździe. A ponieważ wszystkie domy zbudowano z tanich nie izolowanych materiałów, mieszkańców zaś nie stać było na klimatyzację albo też nie chcieli sobie tym głowy zawracać, wszędzie wokół (nawet wieczorem) życie, jakie zwykle toczy się wewnątrz domu, prowadzono na zewnątrz. Wystawiono na dwór telewizory, składane stoliki do kart i składane krzesła i dlatego zatłoczone przedmieście przypominało obskurną uliczną kafejkę. Prawie wszędzie na zewnątrz stały barbecue, a buchający czarny dym i skwierczenie tłuszczu mogły sprawiać wrażenie, że ta część Phoenix właśnie przeżyła nalot, który zniszczył domy i zmusił mieszkańców do ucieczki tylko z tym, co najbliższe sercu i możliwe do uratowania. Gdzieniegdzie starsi ludzie kołysali się w hamakach.

Drzwi na werandy przez całą noc łomotały, koty nieustannie walczyły między sobą i pieprzyły się, jazgotliwe szczekanie psów rozlegało się w pobliżu każdego grilla, od czasu do czasu zaś niebo przecinała błyskawica, podświetlając zawiły labirynt anten telewizyjnych, które wznosiły się nad niskimi domami – tak jakby gmatwanina gigantycznych sieci pajęczych zagrażała mniejszej, ludzkiej społeczności.

– Mówię wam – tutaj się nie mordują nawzajem tylko dlatego, że wszyscy by to widzieli – zauważył major Rawls.

Podwórko w domu zmarłego oficera zastawione było namiotami dla dzieci. Na podwórku stały też dwa samochody na żużlowych

podpórkach, i tam właśnie w czasie „piknikowej stypy” sypiały mniejsze dzieci. Na takich samych podpórkach spoczywała również olbrzymia łódź. Była koloru jaskrawoczerwonego jak wóz strażacki z błyszczącym chromowym nadburciem wokół wystającego kabłąka. Wydawało się, że w łodzi śpi się dużo wygodniej niż w turkusowym domu. Z każdego otworu wystawała głowa dziecka bądź dorosłego wyglądającego, co się dzieje na dworze.

Jeden z dwóch potężnych silników łodzi został usunięty z rufy i przymocowany do krawędzi potężnej żelaznej beczki pełnej wody. Zanurzony w niej hałaśliwy silnik chodził bez przerwy. Kilku mężczyzn stojących kołem przyglądało się widowisku – na wszystkie strony leciały bryzgi benzyny i oleju. Potężne śmigła rozcinały breję w beczce. Zebrani przyglądali się pokazowi siły silnika z takim szacunkiem, że major Rawls, Owen i ja właściwie spodziewaliśmy się, że beczka lada chwila uleci w górę albo przynajmniej odjedzie. Dzięki cudowi techniki, czyli przedłużaczowi, w centralnym punkcie wyschniętego brązowego trawnika umieszczono odbiornik telewizyjny. Wianuszek mężczyzn naturalnie oglądał mecz baseballowy. A gdzie były kobiety? Stały w oddzielnych grupkach, zgodnie z wiekiem, stanem cywilnym, zaawansowaniem ciąży, a większość z nich tłoczyła się w rozgrzanym domu, gdzie panował upał niczym w piecu; przywiędły tam tak jak i oklapłe warzywa, poukładane w oddzielnych naczyniach obok miseczek z odpowiednimi sosami, wystawionymi na upał już trzeci dzień z rzędu.

Kuchenny zlew napełniony był lodem, ale bezskutecznie szukałbyś tam następnego piwa. Matka z wysoko upiętymi lepkimi różowymi włosami stała oparta o lodówkę, tak jakby broniła do niej dostępu. Od czasu do czasu strącała popiół z papierosa na coś, co uznała za popielniczkę, a mianowicie na talerzyk orzeszków bardzo pomysłowo zmieszanych z płatkami kukurydzianymi.

– O, kurwa, zjawiło się i wojsko! – rzekła na nasz widok. Z wysokiej szklanki, ozdobionej kiepskim wizerunkiem bażanta, kuropatwy bądź przepiórki, piła coś, co zapachem przypominało burbona.

Nie warto było mnie przedstawiać, mimo że Owen i major kilkakrotnie usiłowali to zrobić. I tak nie wszyscy obecni się znali. Trudno było odróżnić rodzinę od sąsiadów, a już zupełnie nikt sobie nie zawracał głowy tym, które dzieci należały do kogo albo czy są z obecnego czy poprzedniego małżeństwa. Krewni z Yumy i Modesto, których wyróżniało jedynie to, że wraz z dziećmi spali w dość niewygodnych namiotach i zdezelowanych samochodach, zmieszali się z resztą obecnych.

Ojciec, który uderzył pasierba na lotnisku, był pijany jak bela – padł w otwartej sypialni. Rozwalił się jednak nie na łóżku, lecz na podłodze. Na podłodze też przycupnęło czworo czy pięcioro dzieciaków – z zapartym tchem oglądały film kryminalny, który chyba nie pokazywał nic, co mogłoby je zaskoczyć.

– Jeśli znajdziesz tu jakąś babę, to ja stawiam motel – rzekł do mnie Rawls. – Przyglądam się temu widowisku już od dwóch dni, dzisiaj jest trzeci. I zapewniam cię, że nie znajdziesz tu kobity, którą miałbyś ochotę dotknąć. Wyobraź sobie, że jeszcze najlepsza jest ta w ciąży!

Posłusznie próbowałem to sobie wyobrazić. Siostra w ciąży była jedyną osobą, która starała się zachowywać miło w stosunku do nas. Zwłaszcza wobec Owena.

– Masz bardzo trudną pracę – rzekła.

– To nie jest takie trudne jak Wietnam – odparł uprzejmie.

Pomyślałem sobie, że i ona ma trudne zadanie. Polegało ono na tym, że prawie nieustannie musiała czuwać, żeby nie zostać pobita przez matkę albo ojca, lub przez niego zgwałcona, albo też zgwałcona oraz pobita przez młodszego przyrodniego brata, albo jedno i drugie. Wchodziły też w grę inne kombinacje tych możliwości.

– Martwię się twoim bratem, chodzi mi o przyrodniego brata, tego wysokiego. Chciałbym z nim zamienić parę słów, gdzie on jest?

Dziewczyna była tak przerażona, że nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

– Wiem, że na pogrzebie dasz mamie flagę. I wiem, że ona wtedy chce na ciebie splunąć – rzekła po chwili. – A jak ją znam, to na pewno to zrobi! Plunie ci w twarz!

– Czasami coś takiego się zdarza – rzekł Owen. – Gdzie jest ten wysoki chłopak, twój przyrodni brat? Jak on ma na imię?

– Gdyby tego sukinsyna nie zabili w Wietnamie, to zginąłby gdzie indziej – rzekła dziewczyna, rozejrzawszy się czujnie w obawie, czy nie usłyszy jej ktoś z rodziny.

– Nie przejmuj się pogrzebem – pocieszył ją Owen. – Gdzie jest ten dryblas? I jak on ma na imię?

Dziewczyna ze strachem wskazała na zamknięte drzwi w wąskim korytarzu.

– Nie mów mu, że ci powiedziałam – szepnęła.

– Jak ma na imię?

Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy nikt nie widzi. Na nabrzmiałym brzuchu oblepionym sukienką widniała plama po musztardzie.

– Dick – rzuciła, po czym szybko odeszła.

Owen zastukał do drzwi.

– Uważaj, Meany. Znam policjantów z lotniska. Podobno nie spuszczają tego typka z oczu! – ostrzegł Owena major.

Owen zastukał trochę bardziej zdecydowanie.

– Spierdalaj! – wrzasnął Dick przez zamknięte drzwi.

– Rozmawiasz z oficerem! – upomniał go Owen.

– Niech pan spierdala, panie poruczniku!

– Tak już lepej. Co tam robisz? Walczysz?

Major odepchnął mnie i Owena spod drzwi. Kiedy Dick je otworzył, staliśmy na szczęście w bezpiecznej odległości. Miał teraz na sobie inną panterkę. Był bez butów i bez podkoszulka. Twarz wymazał sobie czymś, co przypominało czarną pastę do butów, tak jakby przygotowywał się do jakiejś niebezpiecznej akcji w okolicy, kiedy już wszyscy biesiadnicy pójdą spać. Tym samym czarnym mazakiem zarysował sobie dwa kółka wokół sutków – przypominały dwoje oczu byka.

– Proszę wejść – rzekł, cofając się do pokoju, w którym niewątpliwie marzył o mordowaniu żołnierzy Wietkongu.

W pokoju śmierdziało marihuaną. Dick dokończył malusieńki niedopałek, który trzymał pincetą, nie proponując nam, byśmy pociągnęli. Zmarły oficer, pilot helikoptera, nazywał się Frank Jarvits, ale Dick wolał nazywać go „ksywą zabójcy żółtków”, czyli tak jak

kumple mówili na niego w Wietnamie – „Środeczek”. Dick z dumą pokazał nam wszystkie pamiątki, jakie Środeczkowi udało się przeszmuglować z Wietnamu. Znalazło się tam kilka bagnetów, maczet, kolekcja zamkniętych w plastiku „żuczków wodnych” i jeden hełm z rozpadającą się opaską na czoło. Widniał na niej napis, chyba krwią „Kapelusz Środeczka”. Dick miał również karabin AK-47, który rozłożył na czynniki pierwsze – lufę, magazynek, spust – i tak dalej. Następnie bardzo szybko go złożył. Jego kamienne oczy zabłysły przelotnym ożywieniem, kiedy udało mu się wymusić nasz podziw. Chciał nam pokazać, w jaki sposób Środeczek rozłożył broń, żeby ją przemycić do domu. Miał też dwa chińskie granaty w kształcie butelki; jej grubsza część była żłobkowana, a zapalnik znajdował się przy wąskiej szyjce.

– Nie walą tak dobrze jak nasze, ale za przewiezienie do domu M-67 można trafić do Leavenworth, tak mi mówił Środeczek – wyjaśnił Dick. Ze smutkiem popatrzył na dwa chińskie granaty. Wziął jeden z nich do ręki. – Pieprzone komunistyczne gówno, ale i tak zrobi swoje. – Pokazał nam, jak brat przymocował taśmą klejącą zapalnik granatu. Potem Środeczek opakował granat w karton. Jeden schował między przybory do golenia, drugi do wojskowego buta. – Dojechały sobie spokojnie jako podręczny bagaż.

Okazuje się, że do przemycenia karabinu AK-47 potrzeba było kilku kumpli. Każdy przywoził inną część.

– Tak się to robi – skomentował Dick, kiwając głową w rytm melodii, którą wygrywała mu w głowie marihuana. – Trudniej było po 1966, bo zaczął się przemyt narkotyków. Wtedy dokładniej sprawdzali torby.

Pokój obwieszony był pasami myśliwskimi oraz różnymi elementami zwykłych i polowych mundurów. Ten pokraka żył tylko tym, by wreszcie osiągnąć wiek legalnie sankcjonujący jego udział w legalnych rzeziach.

– Dlaczego nie jesteś w Wietnamie? – spytał Dick Owena. – Pewnie za mały urosłeś, co?

Owen postanowił zignorować to pytanie.

– Porucznik Meany zwracał się z prośbą o przeniesienie do Wietnamu – wtrącił się za to major. – I ma tam już niedługo jechać.

– A dlaczego pan nie jest w Wietnamie? – spytał Dick.

– Dlaczego pan nie jest w Wietnamie, panie majorze – poprawił go Owen.

Dick przymknął oczy, uśmiechał się. Na chwilę albo zasnął, albo od nas odpłynął.

– Dlaczego pan nie jest w Wietnamie, panie majorze?

– Już byłem – odparł Rawls.

– Dlaczego pan tam nie wrócił... panie majorze?

– Tutaj mam lepszą pracę.

– No tak, ktoś musi robić brudną robotę, zgadza się?

– Kiedy wstąpisz do wojska, jak myślisz, co będziesz robił? – spytał chłopaka Owen. – Z takim nastawieniem nie trafisz do Wietnamu, tylko do więzienia. Żeby wojować, nie trzeba być za mądrym, ale na pewno mądrzejszym od ciebie!

Chłopak przymknął oczy i ponownie się uśmiechnął. Kiwał lekko głową... Major wziął do ręki ołówek i postukał nim po lufie karabinu. Na ten odgłos Dick natychmiast odzyskał przytomność.

– Lepiej, stary, nie przynoś tego dzidziusia na lotnisko – odezwał się major. – Żebyś mi się tam nie pokazywał z karabinem czy z granatami. – A kiedy Dick ponownie zamknął oczy, Rawls postukał mu ołówkiem po czole... Chłopak zamrugał powiekami – w jego otwartych oczach zamigotała nienawiść – nienawiść, która przepływa szybko jak obłoki czy dym. – Nie jestem nawet pewien, czy posiadanie bagnetów i maczety jest zgodnie z prawem, kapujesz? Lepiej nie wyjmuj ich z pokrowca.

– Gliny czasami mi je zabierają. Nieraz oddają tego samego dnia – wyjaśnił Dick. Można mu było policzyć wszystkie żebra i mięśnie na brzuchu. – Kto to ten typ bez munduru? – spytał, zauważając, że mu się przyglądam.

– Jest z wywiadu – wyjaśnił Owen. Dick przez chwilę pozostawał pod wrażeniem tego, co usłyszał, lecz podobnie jak i nienawiść, przepłynęło mu ono przez twarz i zniknęło.

– Masz broń? – spytał mnie.

– On nie jest z tego wywiadu – wyjaśnił Owen, a chłopak ponownie zamknął oczy, wyraźnie dając do zrozumienia, że co to za wywiad, w którym nie nosi się broni.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci twego brata – rzucił Owen, gdy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Zobaczymy się na pogrzebie – dodał Rawls.

– Ja tam pieprzę, nie chodzę na pogrzeby – warknął Dick. – Zamknij pan drzwi, panie agencie! – rzucił, więc je zamknąłem z drugiej strony.

– Niezła próba, Meany – rzekł Rawls, kładąc Owenowi rękę na ramieniu. – Ale tego cholernego dzieciaka nic już nie zbawi.

– To nie ja mam decydować ani pan, majorze, kogo i co może „zbawić".

– Mówię ci – odezwał się Rawls, kładąc z kolei dłoń na moim ramieniu. – Owen jest za dobry jak na ten świat.

Gdy wychodziliśmy z turkusowego domu, dziewczyna w ciąży próbowała ocucić matkę, która leżała na podłodze w kuchni. Major spojrzał na zegarek.

– Zgodnie z planem – rzekł. – Tak samo było wczoraj i przedwczoraj. Mówię wam, pikniki są teraz zupełnie inne niż kiedyś, nie mówiąc już o „tradycyjnej" stypie.

– Co się dzieje z tym krajem? Powinniśmy wszyscy być tutaj i opiekowac się takimi ludźmi jak oni. My tymczasem wysyłamy ich do Wietnamu!

Major podwiózł nas do motelu. Był to dość skromny, ładny budynek w stylu hacjendy, z basenem podświetlonym od spodu; takie światła wnosiły element niepokoju, bo ogromnie powiększały i zniekształcały ciała pływaków. W basenie nie kąpało się jednak zbyt wiele osób. Dopiero kiedy Rawls, który wprosił się na niezwykle późną kolację, wreszcie sobie poszedł, zostaliśmy z Owenem sami. Siedzieliśmy w płytkiej wodzie, wlewając w siebie coraz większe ilości piwa i wpatrując się w przepastne niebo Południa.

– Czasem chciałbym być gwiazdą – rzekł Owen. – Znasz tę piosenkę? „Spada gwiazda, pomyśl sobie jakieś życzenie!". Nie znoszę jej. I nie chcę wymyślać żadnych życzeń. Za to chciałbym być gwiazdą. O czymś takim powinni napisać piosenkę! – zauważył Owen, kończąc chyba szóste albo siódme piwo.

Major Rawls zbudził nas wczesnym telefonem.

– Nie przychodźcie na ten pieprzony pogrzeb! Rodzina robi piekło z powodu nabożeństwa. Nie chcą, żeby się tam zjawił ktokolwiek z wojska. Mówią, że flagę możemy wsadzić sobie w tyłek. Nie chcą jej.

– Mnie w to graj – odparł Owen.

– W takim razie chrapcie dalej!

– Nie mam nic przeciwko temu.

Nie poznałem więc tego dupka „objazdowego baptysty". Później major Rawls opowiadał mi, że matka opluła zarówno kaznodzieję, jak i właściciela zakładu pogrzebowego, może żałując, że nie miała okazji oplucia Owena, kiedy wręczałby jej flagę.

Była niedziela, 7 lipca 1968 roku.

Po telefonie majora zasnąłem z powrotem, za to Owen zabrał się do pisania dziennika.

CO SIĘ DZIEJE Z TYM KRAJEM? WSZĘDZIE PANUJE IDIOTYCZNA MENTALNOŚĆ „WYRÓWNYWANIA RACHUNKÓW" I PEŁNA SADYZMU WŚCIEKŁOŚĆ. Włączył telewizor. Gdy dużo później zbudziłem się ponownie, nadal pisał, przyglądając się jednemu z telewizyjnych kaznodziei, którego pozbawił głosu.

– Lepiej nie słuchać tego, co mówią – wyjaśnił mi.

CZY TEN KRAJ JEST TAK OGROMNY, ŻE MUSI WSZYSTKO UPRASZCZAĆ? – pisał. – WEŹMY NA PRZYKŁAD WOJNĘ. ALBO MAMY STRATEGIĘ „NA WYGRANIE", PRZEZ CO W OCZACH ŚWIATA STAJEMY SIĘ MORDERCAMI, ALBO ZGINIEMY, NIE WALCZĄC O ZWYCIĘSTWO. WEŹMY, NA PRZYKŁAD, COŚ, CO NAZYWAMY „POLITYKĄ ZAGRANICZNĄ". NASZA „POLITYKA ZAGRANICZNA" TO EUFEMIZM NA OKREŚLENIE KONTAKTÓW MIĘDZYLUDZKICH, A TE CORAZ BARDZIEJ SIĘ POGARSZAJĄ. PRZEGRYWAMY, A NIE POTRAFIMY ZBYT DOBRZE PRZEGRYWAĆ.

WEŹMY TEŻ TO, CO NAZYWAMY „RELIGIĄ". WYSTARCZY WŁĄCZYĆ TELEWIZJĘ W NIEDZIELNY PORANEK. POPATRZMY SOBIE NA TE CHÓRKI BIEDNYCH, OGŁUPIAŁYCH LUDZI I NA TYCH KOSZMARNYCH KAZNODZIEJÓW, SPRZEDAJĄCYCH KAWAŁKI O JEZUSIE JAK ŻARCIE DO SZYBKIEGO PRZYGOTOWANIA. JUŻ NIEDŁUGO W BIAŁYM DOMU POJAWI SIĘ EWANGELISTA, A W SĄDZIE NAJWYŻSZYM KARDYNAŁ. KTÓREGOŚ DNIA

ROZPOCZNIE SIĘ JAKAŚ EPIDEMIA – JA STAWIAM NA CHORÓBSKO PRZENOSZONE DROGĄ PŁCIOWĄ. I CO WTEDY POWIEDZĄ NAM NASI NIEZRÓWNANI PRZYWÓDCY, GŁOWY KOŚCIOŁA I PAŃSTWA? JAK NAM POMOGĄ? ZAŁOŻĘ SIĘ, ŻE NAS NIE WYLECZĄ, LECZ JAK POCIESZĄ? WYSTARCZY WTEDY TYLKO WŁĄCZYĆ TELEWIZOR I OTO, CO USŁYSZYMY. POWIEDZĄ: „A NIE MÓWILIŚMY!”. POWIEDZĄ: „TRZEBA SIĘ BYŁO NIE PIEPRZYĆ NA PRAWO I LEWO. PRZECIEŻ MÓWILIŚMY, ŻEBYŚCIE TEGO NIE ROBILI PRZED ŚLUBEM”. CZY NIKT NIE WIDZI, DO CZEGO CI PROSTACZKOWIE ZMIERZAJĄ? CI UCZCIWI FANATYCY NIE WIERZĄ, A ICH DOMOROSŁA MĄDROŚĆ NIE MA NIC WSPÓLNEGO Z „MORALNOŚCIĄ”.

DO TEGO WŁAŚNIE ZMIERZA NASZ KRAJ – DO ZBYTNICH UPROSZCZEŃ. CHCECIE ZOBACZYĆ PREZYDENTA PRZYSZŁOŚCI? WYSTARCZY WŁĄCZYĆ TELEWIZOR W NIEDZIELNY PORANEK. WYSTARCZY ZNALEŹĆ JEDNEGO Z TYCH ŚWIĘTOSZKOWATYCH BAŁWANÓW: TO WŁAŚNIE ON, TO WŁAŚNIE NASZ NOWY PREZYDENT. A CHCECIE ZOBACZYĆ PRZYSZŁOŚĆ TYCH WSZYSTKICH DZIECIAKÓW, KTÓRE POWPADAJĄ W PUŁAPKI NASZEGO POTĘŻNEGO, ROZLAZŁEGO SPOŁECZEŃSTWA? WŁAŚNIE PRZED CHWILĄ SPOTKAŁEM JEDNEGO Z NICH. JEST WYSOKI, CHUDY, MA PIĘTNAŚCIE LAT I NAZYWA SIĘ DICK. A Z JEGO TWARZY WYZIERA PRZERAŻENIE. Z NIM JEST INACZEJ NIŻ Z TELEWIZYJNYM KAZNODZIEJĄ, NASZYM PRZYSZŁYM PREZYDENTEM. PROBLEM POLEGA TYLKO NA TYM, ŻE I TEN, I TEN JEST TAK GŁĘBOKO PRZEKONANY, ŻE MA RACJĘ. PRZYSZŁOŚĆ JAWI SIĘ NAPRAWDĘ PRZERAŻAJĄCO, NAPRAWDĘ PRZERAŻAJĄCO!

W tym momencie się zbudziłem i zobaczyłem, że pisze. Wpatrywał się w kaznodzieję, choć go nie słyszał. Tamten gadał jak najęty, machając rękami, a z tyłu stał chór składający się z kobiet i mężczyzn w idiotycznych szatach... Nie śpiewali, ale z uśmiechem kiwali się w przód i w tył. Wszyscy jak jeden mąż mocno zaciskali wargi, jakby śpiewali murmurando. Albo jakby zjedli coś, co ich zahipnotyzowało. Chyba że to słowa kaznodziei wprawiały ich w hipnotyczny trans.

– Co robisz? – spytałem Owena.

– Lepiej nie słuchać tego, co mówią – odpowiedział mi wtedy.

Zamówiłem dla nas obu ogromne śniadanie – nigdy wcześniej nie przynoszono mi śniadania do pokoju. Kiedy brałem prysznic, dopisał coś jeszcze w dzienniku.

ON NIE WIE, DLACZEGO TU JEST. A JA NIE ŚMIEM MU TEGO WYJAŚNIĆ. JA ZRESZTĄ TEŻ NIE WIEM, DLACZEGO TU JEST. WIEM TYLKO TYLE, ŻE MA TUTAJ BYĆ. ALE I TEGO NAWET JUŻ „NIE WIEM NA PEWNO”! NIC Z TEGO NIE ROZUMIEM. JAK SIĘ MA DO TEGO WSZYSTKIEGO WIETNAM? GDZIE SĄ TE BIEDNE DZIECI? CZY BYŁ TO TYLKO OKROPNY SEN? A MOŻE JA MAM BZIKA? MOŻE JUTRO BĘDZIE PO PROSTU NASTĘPNY DZIEŃ?

– No i co zamierzasz dzisiaj robić? – spytałem go podczas śniadania.

– Nieważne co, bylebyśmy tylko miło spędzili czas – odpowiedział z uśmiechem.

Spytaliśmy w recepcji, gdzie moglibyśmy zagrać w koszykówkę. Owen oczywiście chciał poćwiczyć strzelanie, a przy takim ścinającym z nóg upale w południe przyjemnie byłoby spędzić kilka godzin w chłodnej sali gimnastycznej. Na pewno major Rawls mógł nam umożliwić wstęp na stanowy stadion sportowy. Nie mieliśmy jednak ochoty na towarzystwo Rawlsa. Nie chcieliśmy też wynajmować samochodu i szukać boiska na własną rękę.

– W tym mieście gra się w golfa i w tenisa – odrzekł recepcjonista.

– Nic nie szkodzi. Jestem pewien, że już dosyć natrenowaliśmy się tego idiotycznego strzału.

Chcieliśmy pójść na spacer, ale oświadczyłem, że upał nas wykończy.

Zjedliśmy ogromny lunch na patio przy basenie. Między daniami wchodziliśmy sobie do wody. Bez przerwy piliśmy piwo i chłodziliśmy się w basenie. Byliśmy właściwie jedynymi gośćmi. Kelnerzy i barman patrzyli na nas jak na wariatów – myśleli pewnie, że przylecieliśmy z Marsa!

– Gdzie się podziali wszyscy goście? – spytał Owen barmana.

– O tej porze roku ruch nie jest zbyt duży – odrzekł tamten. – A wy czym się zajmujecie?

– Ja się zajmuję trupami – odparł Owen. Potem, gdy siedzieliśmy w basenie, chichotaliśmy, że zajmowanie się trupami nie jest pracą sezonową.

Późniejszym popołudniem Owen rozpoczął grę, którą nazywał „czy pamiętasz?".

– Pamiętasz, jak pierwszy raz zobaczyliśmy pana Fisha? – spytał mnie.

Nie pamiętałem. Wydawało mi się, że pan Fish „był od zawsze".

– Tak, rozumiem cię doskonale. A pamiętasz, jak mama była ubrana na pogrzebie Sagamore?

Nie pamiętałem.

– Miała czarny sweter w serek i te szare flanelowe spodnie, a może była to długa szara spódnica.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek miała długą szarą spódnicę.

– Chyba masz rację. A pamiętasz starą sportową marynarkę Dana? Tę, która wyglądała, jakby była marchewkowa?

– W kolorze jego włosów?

– Właśnie o tę mi chodzi.

– A przypominasz sobie kostiumy dla krów, które zrobiła Maria Beth Baird?

– I tak były lepsze niż te idiotyczne gołębice. Gołębice pamiętasz?

– Pamiętasz, jak przez Barb Wiggin ci stanął?

– Ja pamiętam, jak tobie stanął przez Germaine!

– A pamiętasz, kiedy ci pierwszy raz stanął? – Po tym pytaniu zamilkliśmy obaj. Moją pierwszą erekcję wywołała Hester, a tego Owenowi nie chciałem powiedzieć. Ja z kolei wyobrażałem sobie, że pierwszą erekcję Owena mogła spowodować mama i może właśnie dlatego nie odpowiadał.

– Wiesz, to chyba tak jak ty czujesz, że pan Fish był od zawsze. Mnie z kolei chyba on zawsze stał – odrzekł w końcu.

– Pamiętasz Amandę Dowling? – pytałem dalej.

– Na samo wspomnienie ciarki mnie przechodzą! A pamiętasz zabawę z pancernikiem?

– Oczywiście. Przypominasz sobie, jak Maureen Early zlała się w majtki?

– I to dwukrotnie! A pamiętasz, jak babcia wyła niczym banshee?

– Tego nigdy nie zapomnę! A pamiętasz, jak w kamieniołomach odwiązałeś sznur i podczas kąpieli się schowałeś?

– Ja już nie żyję – pozwoliliście mi umrzeć!

Kolację też zjedliśmy na brzegu basenu. Piliśmy piwo w basenie jeszcze grubo po północy, kiedy to barman oświadczył, że nie może nas już obsługiwać.

– Zresztą i tak nie wolno pić w basenie, bo jeszcze utoniecie. A ja już muszę iść do domu.

– Zupełnie jak w wojsku. Nic, tylko regulamin!

Zabraliśmy więc sześć puszek piwa i kubełek lodu do pokoju. Oglądaliśmy Kino Nocne, a potem Kino po Północy, jednocześnie przypominając sobie wszystkie filmy, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. Byłem okropnie pijany i nie pamiętam, co oglądaliśmy w Phoenix. Owen Meany wypił tyle, że zasnął w wannie. Wszedł tam, bo brakowało mu siedzenia w basenie. Ale z łazienki nie mógł oglądać filmu, więc kazał mi go sobie opowiadać.

– Teraz ona całuje fotografię! – wołałem.

– Która całuje jego fotografię? Ta blondynka? I jaką fotografię?

Ciągnąłem opowieść, aż usłyszałem chrapanie. Potem wypuściłem wodę, wyciągnąłem go z wanny – był lekki jak piórko – i wytarłem, ale on się nie zbudził. Mruczał tylko coś pod nosem w pijackim zwidzie.

– Wiem, że przyjechałeś w jakimś celu.

Kiedy wsadziłem go do łóżka, nagle otworzył szeroko oczy.

– O Boże! A dlaczego mój głos się nie zmienił? Dlaczego dałeś mi taki głos? Musiałeś mieć w tym jakiś cel! – Potem zamknął oczy i rzekł: – Watahantowet.

– Dobranoc, Owen – powiedziałem, gdy sam się położyłem i zgasiłem światło.

– Nie bój się. Nic złego ci się nie stanie. Twój ojciec nie jest takim złym facetem – rzekł Owen.

Rano obudziłem się z potwornym kacem. Owen był już na nogach i pisał w dzienniku. TO DZISIAJ!... TEN, KTO WE MNIE WIERZY, CHOĆBY I UMARŁ, ŻYĆ BĘDZIE NA WIEKI!

Był poniedziałek 8 lipca 1968 roku – tę datę zobaczył na nagrobku Scrooge'a.

Major Rawls podjechał do motelu i odwiózł nas na lotnisko, do tak zwanego Portu Niebiańskiego. Wydawało mi się, że Rawls zachowuje się zupełnie inaczej niż zwykle – był mało rozmowny. Mruknął tylko coś, że miał „nieudaną randkę". Owen wyjaśnił mi, że major bardzo często popadał w skrajne nastroje.

– Nie jest z niego zły facet. Tylko wie, że nie zrobi tego, co chciał. Jest trochę staroświecki, jak żołnierz starej daty. Chce udawać, że nie ma żadnego wykształcenia, tymczasem nieustannie czyta. Nawet nie chodzi do kina. I nigdy nie mówi o Wietnamie. Tylko od czasu do czasu przemyca coś takiego, że w wojsku nie przygotowali go na to, by zabijać kobiety i dzieci czy żeby im się dać zabijać. Nie wiem, dlaczego nie dorobił się podpułkownika. Już prawie kończy mu się dwudziestoletnia służba, a patrzy na te lata z dużą goryczą. Jest tylko majorem. Nie przekroczył czterdziestki, pewnie już niedługo przejdzie na emeryturę.

Major marudził, że jedziemy na lotnisko za wcześnie. Mój samolot odlatywał do Bostonu dopiero za dwie godziny. Owen nie zrobił sobie żadnej rezerwacji do Tucson. Okazuje się, że między Tucson i Phoenix jest dużo połączeń. Zatem Owen zamierzał poczekać, aż ja polecę. I wsiąść do najbliższego samolotu.

– Są miejsca, w których można przyjemniej spędzić czas niż na tym pieprzonym lotnisku – narzekał major.

– Pan, majorze, nie musi z nami czekać.

Rawls jednak nie chciał być sam. Najwyraźniej nie miał ochoty na rozmowy, ale potrzebował towarzystwa. Albo też sam nie wiedział, czego chce. Poszedł do sali gier i zagonił kilku młodych rekrutów, żeby z nim zagrali w kulki. Kiedy się dowiedzieli, że był w Wietnamie, zaczęli mu wiercić dziurę w brzuchu, bo chcieli coś od niego usłyszeć. Potrafił im powiedzieć tylko tyle: „To kurewska wojna. A i wy jesteście sukinsyny, skoro chcecie tam jechać".

– Chcecie jechać do Wietnamu? Idźcie sobie z nim porozmawiać! – Major wskazał na Owena. – Ten dupek też się tam wybiera!

Większość chłopaków dostała przydział do Fortu Huachuca. Mieli tak krótko ogolone włosy, że widać było strupy od golarki. Duża część skierowanych do Huachuca prawdopodobnie lada dzień wyruszy do Wietnamu.

– Wyglądają jak dzieciaki – zauważyłem.

– Tak, bo to wojna, w której biją się dzieci – odrzekł Owen. Rekrutom powiedział, że im się pewnie spodoba Fort Huachuca. – Słońce świeci tam przez cały czas. I nie jest tak gorąco, jak tutaj. – Bez przerwy spoglądał na zegarek.

– Mamy mnóstwo czasu – stwierdziłem, a na jego twarzy pojawił się ten dobrze mi znany uśmiech stanowiący mieszaninę współczucia z lekką pogardą.

Jedne samoloty lądowały, inne startowały. Niektórzy rekruci odlecieli do Fortu Huachuca.

– Pan nie leci, poruczniku? – spytał ktoś Owena.

– Później. Zobaczymy się później.

Przybyli nowi rekruci i major Rawls ruszył na dalsze polowanie. Był specjalistą od piłeczek.

Narzekałem na okropnego kaca. Owen musiał mieć gorszego albo przynajmniej równie okropnego, ale teraz rozumiem, że się nim pewnie rozkoszował. Wiedział, że to jego ostatni kac. Potem znowu naszło go zwątpienie i zdawało mu się, że już zupełnie nic nie wie. Siedział obok mnie i widziałem, jak wpada z jednej skrajności w drugą – ze zdenerwowania w przygnębienie, w strach, który po chwili ustępował miejsca podnieceniu. Przypuszczałem, że to z powodu kaca, ale on na pewno myślał: „Może zdarzy się to w samolocie". Potem po chwili musiał sobie mówić: „Nie ma tu żadnych dzieci. I nie muszę jechać do Wietnamu. Może się jeszcze z tego wywinę".

– Nie trzeba być geniuszem, żeby przechytrzyć armię – powiedział wtedy do mnie na lotnisku, zupełnie ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Pewnie nie – odparłem; nie miałem pojęcia, o czym mówi.

Chwilę później myślał sobie pewnie: „To był tylko szalony sen. Kto do cholery wie to, co wie Bóg? Powinienem pójść do psychiatry!".

Wstawał wtedy i chodził w kółko. Rozglądał się w poszukiwaniu dzieci. Szukał też swego zabójcy. I nieustannie spoglądał na zegarek.

Kiedy ogłosili, że mój samolot do Bostonu odleci za pół godziny, Owen uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jeszcze może się okazać, że to najszczęśliwszy dzień w moim życiu! A nuż nic się nie zdarzy!

– Chyba nadal jesteś pijany. Tylko patrzeć, jak ci się zacznie kac!

Właśnie wylądował jakiś samolot. Przybył z Zachodniego Wybrzeża i podkołował prosto pod nasze okno. Usłyszałem, jak Owen głęboko wciąga powietrze, i spojrzałem w kierunku, w którym patrzył.

– Co się z tobą dzieje? – spytałem. – Przecież to tylko pingwiny!

Zakonnice – było ich dwie – czekały na kogoś, kto przylatywał z Zachodniego Wybrzeża. Stały przy wejściu na pas startowy. Z samolotu jako pierwsze wysiadły dwie następne siostry. Zakonnice pomachały do siebie. Kiedy z samolotu wyłoniły się dzieci – szły tuż za zakonnicami – Owen rzekł tylko:

– Oto i one.

Nawet z wejścia na płytę lotniska mogłem dostrzec, że to dzieci pochodzenia azjatyckiego. Wschodnie rysy miała też jedna z sióstr, które wysiadły z samolotu. Dzieci było kilkanaścioro. Tylko dwoje z nich trzeba było nieść – jedno trzymała na rękach zakonnica, a drugie – starsze dziecko. Grupa była mieszana, średnia wieku wynosiła może pięć, a może sześć lat, choć widziałem też dzieciaki dwunasto- lub trzynastoletnie. Były to sieroty z Wietnamu. Dzieci-uchodźcy.

Wiele jednostek wojskowych wspierało sierocińce w Wietnamie. Żołnierze poświęcali swój czas dzieciom, chętnie przekazując im podarunki, które docierały do nich z ojczyzny. Nie istniał żaden oficjalny rządowy program pomocy dla dzieci-uchodźców – w każdym razie nie przed upadkiem Sajgonu w 1975 roku. Jednakże w ciągu całej wojny w Wietnamie prowadziły działalność różne Kościoły.

Na przykład Katolicka Opieka Społeczna. Jej przedstawiciele już w połowie lat sześćdziesiątych zajmowali się ewakuacją sierot z Wietnamu i umieszczaniem ich w Stanach. Po przybyciu do Ameryki dzieci przejmował przedstawiciel opieki społecznej z archidiecezji czy diecezji miast, do których przybywały. Wsparcia tej akcji udzielał również Kościół luterański.

Dzieci, które zobaczyliśmy z Owenem w Phoenix, przybywały do tego miasta pod eskortą zakonnic z Katolickiej Opieki Społecznej. Na ich spotkanie wyszły siostry z archidiecezji w Phoenix. Miały je zabrać do nowych domów i rodzin zastępczych w Arizonie. Widzieliśmy z Owenem, że dzieci są ogromnie niespokojne.

O ile nie zaskoczył ich upał – bo tam, skąd przybywały, jest równie gorąco – na pewno przytłoczył je ogrom nieba, pustynia i księżycowy wygląd miasta. Trzymały się za ręce, tworząc zbitą grupkę, i nie odstępowały sióstr zakonnych. Jeden z chłopaczków płakał.

Gdy weszły do terminalu Niebiańskiego Portu, zmroził je powiew klimatyzacji. Zrobiło im się zimno. Zbiły się w jeszcze ciaśniejszą gromadkę, rozcierając ramiona. Płaczący chłopiec usiłował owinąć się habitem zakonnicy. Dzieci tłoczyły się, niepewne i zagubione. Z sali gier przyglądali się im młodzi rekruci o wygolonych głowach. Dzieci przyglądały się żołnierzom. Naturalnie, były przyzwyczajone do ich widoku. Kiedy tak się sobie nawzajem przyglądali, dawało się wyczuć, że jednymi i drugimi targają mieszane uczucia.

Owen zrobił się nagle potwornie zdenerwowany. Jedna z zakonnic zwróciła się do niego.

– Panie oficerze...

– Tak, siostro, w czym mogę pomóc? – rzucił szybko.

– Kilku chłopców musi skorzystać z toalety – rzekła zakonnica. Młodsza siostra zachichotała. – Dziewczynki same zaprowadzimy – mówiła dalej ta pierwsza. – Gdyby tylko pan mógł zabrać chłopców.

– Naturalnie, siostro. Chętnie dzieciom pomogę.

– Ciekawe, co powiesz na toaletę, jak ją zobaczysz – rzekłem do Owena. Ja prowadziłem. Owen tylko pilnował dzieci. Chłopców było siedmiu. Poszła z nami również zakonnica Azjatka – niosła na ręku najmniejszego. Płaczący chłopiec uspokoił się, gdy tylko zobaczył Owena. Dzieci bacznie przyglądały się memu przyjacielowi. Owszem, widziały już wielu żołnierzy, ale nigdy nie widziały żołnierza, który byłby równie mały jak one! Nie mogły oderwać od niego oczu.

I tak szliśmy dalej. Kiedy mijaliśmy salę gier, major Rawls stał do nas plecami, więc nas nie zauważył. Rawls zaciekle grzmocił w piłeczki. U wejścia do korytarza, którym poprzednio szedłem –

a który prowadził donikąd – minęliśmy stojącego w cieniu Dicka Jarvitsa, wysokiego, świrniętego brata zmarłego oficera.

Miał na sobie panterkę i dwa dodatkowe pasy myśliwskie. Mimo panującego w korytarzu mroku, był w okularach słonecznych, pewnie takich, jakie stopiły się na twarzy jego brata, kiedy helikopter stanął w płomieniach. Właśnie z powodu tych okularów nie wiedziałem, czy Dick dostrzegł Owena oraz mnie i dzieci. Jednakże z jego szeroko rozdziawionych ust wywnioskowałem, że to coś, co Dick przed chwilą zobaczył, okropnie go zaskoczyło.

„Tymczasowa toaleta męska" wyglądała dokładnie tak samo jak kilka dni temu. Znajdowały się tam nadal szczotki i wiadra, a lustro tak jak stało oparte o ścianę, tak stało. Olbrzymia tajemnicza umywalka speszyła dzieci. Któryś chłopaczek chciał się tam wysiusiać, ale pokazałem mu obstawiony rupieciami pisuar. Drugi zamierzał nasikać do kubełka – jego skierowałem do kabiny ze sklejki. Owen Meany, jak dobry żołnierz, stał pod oknem – pilnował drzwi. Od czasu do czasu spoglądał w górę, próbując oszacować, jak głęboki jest parapet. Pod tym oknem wydawał się szczególnie malutki, jako że parapet znajdował się prawie dziesięć stóp nad ziemią, wysoko w górze.

Zakonnica czekała na swych podopiecznych pod drzwiami. Pomogłem jednemu z dzieciaków rozpiąć rozporek. Widać nie miały zbyt często do czynienia z suwakami błyskawicznymi. Brzdące szczebiotały po wietnamsku. Małe, lecz wysokie – niczym trumna stojąca na węższym boku – pomieszczenie odbijało echem ich głosy.

Już wcześniej mówiłem, że myślę wolno. Dopiero gdy usłyszałem ich piskliwe głosy w obcym języku, przypomniał mi się sen Owena. Zobaczyłem, że stojąc z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia, z niepokojem spogląda na drzwi.

– Co się stało? – spytałem.

– Stań obok mnie – powiedział. Szedłem w jego kierunku, kiedy nagle kopnięte drzwi rozwarły się na oścież. Stanął w nich Dick Jarvits, chudy i prawie tak wysoki jak one. W obu rękach bardzo ostrożnie trzymał chiński granat.

– Cześć, Dick! – rzekł Owen.

– Ty kurduplu! – odezwał się Dick. Jedno z dzieci krzyknęło. Chyba wszystkie widziały już w swoim życiu człowieka w panterce. Myślę, że chłopiec, który krzyknął, wcześniej widział też już taki granat. Kilkoro dzieci wybuchnęło płaczem.

– *Dung sa* – polecił im Owen. – Nie bójcie się! *Dung sa, Dung sa* – powtarzał. Posłuchały go bezwiednie, nie tylko dlatego, że przemawiał w ich języku, ale z powodu jego głosu – brzmiał dokładnie jak ich głosy. Dlatego właśnie mu zaufały, dlatego go usłuchały. – *Dung sa* – rzekł, a one przestały płakać.

– To miejsce świetnie się nadaje na twój grób – razem z tymi wszystkimi wypierdkami. Z całym tym smrodem! – rzekł Dick.

– *Nam sun!* – polecił Owen. – *Nam sun!* Połóżcie się na podłodze! – zrozumiał go nawet najmłodszy chłopaczek. – Połóżcie się! *Nam sun! Nam sun!*

Dzieci padły na podłogę, zakryły uszy i zamknęły oczy.

– Już wiem, dlaczego nie przeszedłem mutacji – zwrócił się do mnie Owen. – A ty rozumiesz, dlaczego?

– Tak – odparłem.

– Teraz będziemy mieli dokładnie cztery sekundy – rzekł do mnie Owen spokojnie. – A ty Dick, wiedz, że nigdy nie dotrzesz do Wietnamu – zwrócił się do odrażającego drągala, który wyrwał zapalnik i cisnął wirujący granat w kształcie butelki wprost we mnie.

– Tutaj, kurwa, trzeba szybko myśleć, asie wywiadu! – rzucił Dick.

Złapałem granat; choć nie było to równie łatwe jak z piłeczką baseballową, miałem szczęście. Spojrzałem na Owena, który już zmierzał w moim kierunku.

– Gotów? – spytał. Podałem mu granat i rozchyliłem ramiona, by go złapać. Jakże lekko wskoczył mi w ręce! Podniosłem go, równie łatwo jak zawsze.

W końcu przecież całe życie ćwiczyłem podnoszenie Owena Meany'ego!

Zakonnicy czekającej na dzieci pod drzwiami „tymczasowej toalety" nie podobał się wygląd Dicka. Pobiegła po innych żołnierzy. To major Rawls złapał Dicka, uciekającego na oślep, byle dalej od ubikacji.

– Co zrobiłeś, ty skurwysynu? – wrzasnął na niego major.

Dick wyciągnął bagnet. Rawls wyrwał mu maczetę. Stępioną stroną ostrza jednym ruchem rozciął chłopakowi gardło. Wyczułem, że w nienaturalnie zielonych oczach majora kryło się coś więcej niż zwykła złość. Możliwe, że to szkła kontaktowe. Ale Rawls nie otrzymał szlifów oficerskich na polu bitwy w Korei na piękne oczy. Może nie był przygotowany na to, by zabijać jakiegoś nieszczęsnego piętnastolatka, jednakże pewnie jeszcze mniej był przygotowany na to, by dać się zabić gówniarzowi, którego – jak to powiedział Owenowi – przynajmniej na tej ziemi, „nic już nie zbawi".

Kiedy Owen spytał: „Gotów?", wyobrażałem sobie, że zostały nam dwie sekundy życia. Poszybował znacznie wyżej niż moje ramiona. Kiedy go podniosłem, wzleciał nawet wyżej niż zazwyczaj. Ryzykował maksymalnie. Wzleciał prosto w górę, nie odwracając się w moim kierunku. Nie wrzucił granatu na parapet, za to złapał parapet dwiema rękami, przyciskając granat i utrzymując go tam obu przedramionami. Chciał się upewnić, że granat nie stoczy się z powrotem do pomieszczenia. Udało mu się tylko wcisnąć głowę. Bogu dzięki całą głowę! – poniżej sufitu. Trwał tak przez niecałą sekundę.

Wtedy granat eksplodował. Huk był ogłuszający – jak po piorunie, który uderza zbyt blisko. Nastąpił rozrzut fragmentów o niezwykle dużej prędkości (jak mi później wyjaśnił major) rozpryskujących się równomiernie, jednakże dzięki cementowemu parapetowi odłamki nie doleciały ani do mnie, ani do dzieci. Spadło na nas za to to, co rykoszetem odbiło się od sufitu. Poleciał na nas ostry, kłujący grad terkoczący w pomieszczeniu jak broń maszynowa – na nasze głowy posypały się odłamki cementu, kafelków i gipsu. Okno wyleciało w powietrze i nagle poczuliśmy cierpki, palący smród. Major Rawls, który właśnie przed chwilą zabił Dicka, otworzył drzwi na oścież i wsadził kij od szczotki w zawiasy, żeby trzymać drzwi otwarte. W środku brakowało świeżego powietrza. Dzieci trzymały się za uszy i płakały. Niektórym z uszu leciała krew. Wtedy zorientowałem się, że i mnie leci krew z uszu i że nic nie słyszę. Po twarzach dzieci poznałem, że płaczą, a patrząc na majora Rawlsa zorientowałem się, że chce, żebym coś zrobił.

Czego ode mnie chce? Zachodziłem w głowę, wsłuchując się w bolące uszy. Po chwili wśród dzieci pojawiły się zakonnice. Bogu dzięki, wszystkie dzieci się ruszały. Nawet bardziej niż ruszały. Chwytały się nawzajem, ciągnęły zakonnice za habity i wskazywały na poszarpany sufit w pomieszczeniu o kształcie trumny, a także na dymiącą czarną dziurę powyżej parapetu.

Rawls potrząsał mnie za ramię. Starałem się odczytać z ust majora, co do mnie mówi, bo nadal nic nie słyszałem.

Dzieci rozglądały się dokoła. Coś pokazywały. Zacząłem się rozglądać wraz z nimi. Teraz patrzyły wokół także zakonnice. Nagle uszy mi się odetkały, usłyszałem coś niby trzask czy rozdzieranie, tak jakby w uszach rozbrzmiewało mi jeszcze echo wybuchu, dobiegło mnie trajkotanie dzieci i krzyk majora, który mną potrząsał.

– Gdzie on? Gdzie jest Owen? – wrzeszczał.

Spojrzałem w kierunku czarnej dziury – ostatni raz widziałem Owena uczepionego parapetu. Któreś z dzieci zaglądało do ogromnego zlewu. Spojrzała tam też jedna z zakonnic i przeżegnała się. Major pospiesznie ruszył w jej kierunku.

Kobieta jednak nie potrzebowała pomocy. Owen był tak lekki, że nawet ona bez trudu mogła go unieść. Wyjęła go z umywalki, jakby był dzieckiem. Ale potem nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić. Druga siostra uklękła na podłodze wśród gruzów. Przysiadła na piętach, rozpostarła swój habit na udach. Zakonnica trzymająca Owena złożyła jego głowę na nogach klęczącej siostry. Pozostałe usiłowały uspokoić dzieci i odsunąć je od mego przyjaciela, ale dzieciaki tłoczyły się wokół niego, ciągle jeszcze płacząc.

– *Dung sa*, nie bójcie się! – powiedział, i smyki się uciszyły. W tym czasie w drzwiach zebrały się dziewczynki z tej grupy.

Major zdjął krawat i próbował założyć go Owenowi jak opaskę uciskową tuż powyżej łokcia. Ja ściągnąłem krawat Owenowi i chciałem to samo zrobić na drugim ramieniu. Owen nie miał obu rąk – zostały obcięte tuż poniżej łokci – mniej więcej w trzech czwartych przedramienia. Nie zaczął jednak jeszcze mocno krwawić. Lekarz wyjaśnił mi potem, że tętnice pewnie doznały skurczu. Krwawił, ale nie tak bardzo, jak można by się spodziewać po równie gwałtownej amputacji. Fragmenty ciała, które zwisały z kikutów,

były cieniutkie i delikatne jak pajęczynki o zawiłym wzorze starej koronki. Nie miał żadnych innych obrażeń.

Nagle rany zaczęły krwawić obficiej. Im mocniej razem z majorem zaciskaliśmy opaski, tym obficiej Owen krwawił.

– Proszę wezwać kogoś – polecił major jednej z zakonnic.

– Teraz już wiem, dlaczego musiałeś tutaj być. Rozumiesz dlaczego? – zwrócił się do mnie Owen.

– Tak.

– Pamiętasz nasze treningi?

– Tak.

Owen próbował podnieść ręce. Próbował sięgnąć w moim kierunku, chyba chciał mnie dotknąć. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę z tego, że nie ma rąk. Nie zdziwiło go to odkrycie.

– Pamiętasz Watahantoweta? – spytał mnie.

– Tak.

Potem uśmiechnął się do „pingwina", siostry, która próbowała ułożyć go jak najwygodniej na swoich kolanach. Na jej habicie widniała krew. Starała się owinąć Owena habitem, bo drżał.

– „Kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie na wieki" – rzekł do niej Owen. Siostra przytaknęła. Zrobiła nad nim znak krzyża.

Potem Owen uśmiechnął się do majora.

– Proszę dopilnować, żebym dostał za to jakiś medal! – Na co major skinął głową i mocniej zacisnął opaskę.

Tylko na króciutką chwilę twarz Owena się zmieniła – jakby przebiegło przez nią coś głębszego i mroczniejszego niż ból.

– Siostro, jest mi okropnie zimno. Czy nie może siostra nic na to poradzić? – zwrócił się do trzymającej go zakonnicy. Ale po chwili źródło jego niepokoju wyraźnie zniknęło i Owen znowu się uśmiechnął, patrząc na nas z tym swoim dobrze znanym, denerwującym uśmiechem.

– Robisz się coraz mniejszy, ale nadal cię widzę – powiedział, zwracając się tylko do mnie.

I odszedł od nas. Zostawił nas. Z błogiego wyrazu jego twarzy czytałem, że był co najmniej tak wysoko jak palmy.

Major Rawls zrobił już co trzeba, żeby Owen dostał medal. Ja musiałem złożyć zeznania jako naoczny świadek, ale to właśnie

major przepchnął wszystkie papiery odpowiednimi kanałami wojskowymi. Owen Meany otrzymał tak zwany Medal Żołnierski za „odwagę, która wymaga narażenia własnego życia w warunkach innych niż konflikt zbrojny z wrogiem”. Według majora Medal Żołnierski ma większą wartość niż Brązowa Gwiazda, za to mniejszą od Legii Zasługi. Mnie oczywiście było wszystko jedno, jak się ten medal plasuje, ale major słusznie zakładał, że dla Owena takie rzeczy miały ogromne znaczenie.

Major nie był obecny na jego pogrzebie. Kiedy zatelefonowałem do niego, Rawls tłumaczył się, dlaczego nie przyjedzie do New Hampshire. Zapewniłem go, że wszystko świetnie rozumiem. Widział już dostatecznie dużo trumien owiniętych flagą. Widział już dostatecznie wielu bohaterów. Nigdy się nie dowiedział, że Owen znał prawdę dużo wcześniej. Major wiedział tylko tyle, że Owen był bohaterem. Nigdy się też nie dowiedział, że Owen Meany był cudem.

Za Owena odmawiam szczególnie często jedną modlitwę. To ta, której słowami modlił się za mamę na cmentarzu, kiedy zastaliśmy go tam razem z Hester. Wtedy gdy przyniósł na cmentarz latarkę, ponieważ wiedział, że mama nie znosiła ciemności.

– Niech aniołowie zawiodą cię do raju – mówił nad grobem mamy. Dlatego właśnie tę modlitwę odmawiam za niego, bo wiem, że była jedną z jego ulubionych.

Za Owena Meany’ego modlę się nieustannie.

Często próbuję sobie wyobrazić, co odpowiedziałbym Marii Beth, kiedy podeszła do mnie na pogrzebie Owena – jeśli wtedy mógłbym przemówić, jeśli nie straciłbym głosu. Co bym jej wtedy powiedział? Jak bym jej odpowiedział? Biedna Maria! Zostawiłem ją tam na cmentarzu bez odpowiedzi.

– Pamiętasz, jak go podnosiliśmy? Był lekki jak piórko. Jak to możliwe, że prawie w ogóle nie ważył? – spytała mnie dziewczyna, która kiedyś była Matką Boską.

Mogłem jej odpowiedzieć, że to jedynie złudzenie, iż Owen „nic nie ważył”. Byliśmy tylko dziećmi – nadal jesteśmy tylko dziećmi – to mogłem jej powiedzieć. Co wiedzieliśmy o Owenie? Co tak naprawdę wiedzieliśmy? Mieliśmy wrażenie, że to wszystko to tylko zabawa – wydawało nam się, że to my tworzymy bieg wydarzeń. Kiedy byliśmy

dziećmi, wydawało nam się, że prawie wszystko to tylko zabawa, w której nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić i wyrządzić żadnej szkody.

Gdy podnosiliśmy Owena i bez trudu podawaliśmy go sobie ponad głowami, wydawało nam się, że Owen nic nie waży. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ponad naszą zabawą, w górze, rządzą inne siły. Teraz wiem, że istniała inna siła, która potęgowała naszą iluzję, iż Owen nic nie waży. To siła, której nie mogliśmy poczuć, bo nam zabrakło wiary – to ta sama siła, która unosiła Owena i wyjmowała go nam z rąk.

Boże! Błagam Cię, oddaj nam go! Nie ustanę w moich modlitwach!

14 Przekład Ewy Kołaczkowskiej.

15 Przekład Jerzego Łanowskiego.

16 Przekład J. Sujkowskiej.

17 Przekład Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.

18 Przekład Jacka Salija OP.

Spis treści

PODZIĘKOWANIA
KIKS
PANCERNIK
ANIOŁ
DZIECIĄTKO JEZUS
DUCH PRZYSZŁYCH WIGILII
GŁOS
SEN
PALEC
STRZAŁ